

F O N D A L E E



玉遺產

D · Z · I · E · D · Z · I · C · T · W · O

J A D E I T U

DZIEDZICTWO JADEITU

Tom trzeci sagi o Zielonych Kościach

Fonda Lee

Przełożył Michał Jakuszewski

**Wydawnictwo MAG
Warszawa 2023**

Spis treści

Klany zielonych kości

Rozdział 1. Bezklanowi

Rozdział 2. Zdrada

Rozdział 3. Nieczytelne chmury

Rozdział 4. Filarowy za granicą

Rozdział 5. Trzymanie fasonu

Rozdział 6. Wiatr się zmienia

Rozdział 7. Nowy przyjaciel

Rozdział 8. Reprezentant rodziny

Rozdział 9. Siódma dyscyplina

Rozdział 10. Nie możesz wygrać

Rozdział 11. Powolna wojna

Rozdział 12. Nowa robota

Rozdział 13. Bez tajemnic

Rozdział 14. Zieleń zmieniająca się w czerni

Interludium 1. Osąd po latach

Rozdział 15. Sceptycy

Rozdział 16. Tylko interesy

Rozdział 17. Wrogowie

Rozdział 18. Sum

Rozdział 19. Uśmiechy i słowa

Rozdział 20. Postęp

Rozdział 21. Znaczenie zieleni

Rozdział 22. Synowie klanu

Rozdział 23. Przyjaciele przyjaciół

Rozdział 24. Wreszcie się zaczęło

Rozdział 25. Wielkie uderzenie

Rozdział 26. Nekolva

Rozdział 27. Niebo widziało

Rozdział 28. Zdecyduj

Rozdział 29. Brutalne przebudzenia

Interludium 2. Jedna góra

Rozdział 30. Zły keczek

Rozdział 31. Rozczarowanie

Rozdział 32. Zmiany

Rozdział 33. Prawdonoścy

Rozdział 34. Brak rozsądku

Rozdział 35. Ci, którzy mają wybór

Rozdział 36. Nowy początek
Rozdział 37. Wyjazd z domu
Rozdział 38. Musimy coś wymyślić
Rozdział 39. Klub kamiennookich
Rozdział 40. Kłopotliwe córki
Rozdział 41. Druga szansa
Rozdział 42. Śmierć konsekwencji
Rozdział 43. Wolność
Rozdział 44. To nie jest Kekon
Rozdział 45. Bardzo źli ludzie
Rozdział 46. To, co najcenniejsze
Rozdział 47. Jeśli okaże się to konieczne
Rozdział 48. Długi i straty
Rozdział 49. Pojedynek księcia
Rozdział 50. Straszliwe prawdy
 Interludium 3. Szarża dwudziestu
Rozdział 51. To wystarczy
Rozdział 52. Koniec poszukiwań
Rozdział 53. Dawne tajemnice
Rozdział 54. Wielkie plany
Rozdział 55. Małe noże
Rozdział 56. Życie i śmierć
Rozdział 57. Impas
Rozdział 58. Spełniona groźba
Rozdział 59. Koniec długiego osądu
Rozdział 60. Ostatnie długi
Rozdział 61. Stare tygrysy
Rozdział 62. Filar Kekonu
Rozdział 63. Wspomnienie
Podziękowania
Mapy

Tytuł oryginału: *Jade Legacy. The Green Bone Saga: Book Three*

Copyright © 2021 by Fonda Lee

Copyright for the Polish translation © 2023 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Elwira Wyszynska, Magdalena Górnicka

Mapa: Tim Paul Illustration

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-67793-69-8

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10

00-657 Warszawa

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 733 50 10

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

*Dla Lahny i Aarona,
z miłością i dumą z naszego małego klanu*

KLANY ZIELONYCH KOŚCI

A także
ich współpracownicy i wrogowie

Klan Bez Szczytów

Kaul Hiloshudon – filar

Kaul Shaelinsan – prognostyczka

Emery Anden – Kaul przez adopcję

Kaul Maik Wenruxian – żona Kaul Hila, kamiennooka

Kaul Lanshinwan – były filar klanu, starszy brat Hila; nie żyje

Kaul Nikoyan – syn Kaul Lana, adoptowany syn Hila i Wen

Kaul Rulinshin – syn Hila i Wen, kamiennooki

Kaul Jayalun – córka Hila i Wen

Juen Nurendo – róg

Juen Imriejin – żona rogu

Juen Ritto, Juen Din – bliźniaczy synowie rogu

Maik Tarmingu – filarowy

Maik Kehnugo – były róg; nie żyje

Maik Sho Linalin – wdowa po Kehnie

Maik Camiko – syn Kehna i Liny

Lott Jinrhu – pięść klanu

Woon Papidonwa – cień prognostyka
Woon Ro Kiyalin – żona Woon Papiego

Hami Tumashon – zaklinacz deszczu
Hami Yasuto – syn Hami Tummy

Terun Bintono – szczęściodawca
Luto Tagunin – szczęściodawca
Kaul Seningtun – Płomień Kekonu, patriarcha rodziny, nie żyje
Kaul Dushuron – syn Kaul Sena, ojciec Lana, Hila i Shae, nie żyje
Kaul Wan Riamasan – wdowa po Kaul Du, matka Lana, Hila i Shae

Yun Dorupon – były prognostyk, zdrajca; nie żyje
Haru Eynishun – była żona Kaul Lana; nie żyje

Kyanla – gosposia w rezydencji Kaulów
Sulima – gosposia w rezydencji Kaulów

Inne pięści i palce

Vuay Yuduo – pierwsza pięść Juen Nu
Iyn Roluan – pięść wysokiej rangi
Vin Solunu – pięść wysokiej rangi, mający talent do Postrzegania
Dudo, Tako – osobiści strażnicy Kaul Maik Wen
Hejo, Ton, Suyo, Toyi – pięści z klanu
Kitu, Kenjo, Sim – palce z klanu

Przyszłe zielone kości

Mal Ging – uczeń w Akademii Kaul Du, kolega z klasy Jai
Noyu Hanata – uczennica w Akademii Kaul Du, koleżanka z klasy Jai
Noyu Kaincau – starszy brat Noyu Hany
Eiten Ashasan – córka byłej pięści, dziedziczka gorzelni Przekłęte Piękno
Teije Inno – odległy kuzyn rodziny Kaulów

Ważni latarnicy

Pan Une – właściciel restauracji Podwójne Szczęście
Pani Sugo – właścicielka Klubu dla Dżentelmenów Boski Bez

Fuyin, Tino, Eho – latarnicy z branży detalicznej

Klan Góra

Ayt Madashi – filar
Iwe Kalundo – prognostyk
Nau Suenzen – róg

Ayt (Koben) Atosho – bratanek Ayt Mady
Koben Yirovu – głowa rodziny Kobenów
Koben Tin Bettana – żona Koben Yira
Koben Ashitin – pięść, syn Yira i Bett
Koben Oponyo – latarnik, wujek Ayt Ata
Sando Kintanin – pięść, kuzyn Ayt Ata

Aben Sorogun – pięść wysokiej rangi
Niru Vononu – pięść niskiej rangi

Gont Aschentu – były róg klanu; nie żyje
Ven Sandolan – były latarnik klanu; nie żyje

Ayt Yugontin – Włócznia Kekonu, adopcyjny ojciec Mady, Ima i Eoda; nie żyje
Ayt Imminsho – adoptowany starszy syn Ayt Yu; nie żyje
Ayt Eodoyatu – adoptowany drugi syn Ayt Yu; nie żyje

Tanku Ushijan – były róg z czasów Ayt Yugontina; nie żyje
Tanku Dingumin – pięść, syn Tanku Ushijana

Pomniejsze klany

Jio Wasujo – filar klanu Jedność Sześciu Dłoni
Jio Somusen – róg klanu Jedność Sześciu Dłoni
Tyne Retubin – prognostyk klanu Jedność Sześciu Dłoni

Sangun Yentu – filar klanu Jo Sun
Icho Danjin – szwagier Sangun Yena
Icho Tennsuno – pięść z klanu Jo Sun

Durn Soshunur – filar klanu Czarny Ogon

Ruch Bezklanowa Przyszłość

Bero – przestępca

Gurino – członek założyciel RBP

Otonyo – członek założyciel RBP

Tadino – członek RBP, właściciel baru w klubie Mała Persymona

Ema – nowa członkini RBP

Vasti Eya Molovni – nekolva, agent z Ygutanu

Inni na Kekonie

Jim Sunto – były Anioł Marynarki z Republiki Espenii

Guim Enmeno – kanclerz Rady Książęcej Kekonu, wierny Górze

Generał Ronu Yasugon – główny doradca wojskowy Rady Książęcej

Canto Pan – przewodniczący Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego

Son Tomarho – były kanclerz Rady Książęcej; nie żyje

Ren Jirhuya – artysta

Sian Kugo – producent filmowy i współwłaściciel Wybrzeża Kin

Toh Kitaru – prezenter prowadzący wiadomości w Kekońskiej Stacji Państwowej

Dano – student z Królewskiego Uniwersytetu Jan

Lula – kurtyzana

Doktor Timo, Doktor Yon – lekarze zielonej kości

Mistrz Aido – prywatny nauczyciel jadeitowych dyscyplin

Wielki Instruktor Le – dyrektor Akademii Kaul Dushurona

Przedstawiciele rządu espeńskiego

Galo – agent wywiadu Republiki Espenii

Berglund – agent wywiadu Republiki Espenii

Ara Lonard – ambasador Republiki Espenii w Kekonie

Pułkownik Jorgen Basso – dowódca Bazy Marynarki Wojennej na Eumanie

W Espanii

Keko-Espeńczycy

Dauk Losunynin – filar Południowej Pułapki

Dauk Sanasan – żona Dauk Losuna, jego „prognostyczka”

Dauk Corujon – „Cory”, syn Losuna i Sany, prawnik

Dauk Kelishon – „Kelly”, siostra Cory’ego. Wicesekretarz Departamentu Przemysłu

Sammy, Kuno, Tod – zielone kości z Port Massy

Remi Jonjunin (Jon Remi) – przywódca zielonych kości w Resville

Migu Sunjiki – przywódca zielonych kości w Adamont Capita

Hasho Bakuta – przywódca zielonych kości w Evenfield

Pan i Pani Hian – rodzina goszcząca kiedyś Emery Andena

Rohn Torogon – dawny „róg” Południowej Pułapki: nie żyje

Danny Sinjo – sportowiec i aktor

Paczki

Willum „Chudziak” Reams – szef paczki z Południowego Brzegu

Joren „Mały Jo” Gasson – szef paczki z Baker Street

Rickart „Cwany Ricky” Slatter – szef paczki z Wormingwood; siedzi w więzieniu

Blaise „Byk” Kromner – były szef paczki z Południowego Brzegu; siedzi w więzieniu

Inni w Espanii

Doktor Elan Margen – starszy rangą naukowiec w Centrum Badań Medycznych Dempheya

Rigly Hollin – współudziałowiec i wiceprezes WBH Focus

Walford, Berrett – inni współudziałowcy WBH Focus

Art Wyles – prezes korporacji Anorco Global Resources

Deputowany Blake Sonnen – przewodniczący Narodowej Rady Zdrowia

Doktor Gilspar – sekretarz Espeńskiego Towarzystwa Lekarskiego.

W innych miejscach

Iyilo – przemytnik jadeitu, szef Ti Pasuiga; Wyspy Uwiwa

Guttano – kierownik Studia Filmowego Światło Diamentu; Szotar

Choyulo – szef barukańskiego gangu Faltów; Szotar

Batiyo – członek barukańskiego gangu Faltów; Szotar

Sel Lucanito – potentat przemysłu rozrywkowego, właściciel Spektaklu Numer Jeden; Marcucuo

Falston – espeński żołnierz

Hicks – espeński żołnierz

ROZDZIAŁ 1

BEZKLANOWI

Poczwórna Wygrana – kasyno połączone z hotelem – nie sprawiała wrażenia najlepszego miejsca na rozpoczęcie rewolucji. Była dogodnym celem wyłącznie dlatego, że Bero tu pracował i wiedział, jak ominąć straż. Cały Janloon drżał z zimna po nagłym nadejściu najchłodniejszej i najbardziej wilgotnej zimy od dziesięcioleci, ale jasne światła i zgiełk kasyna bez chwili przerwy wabiły grających o wysokie stawki hazardzistów oraz zagranicznych turystów, a ich pieniądze napełniały kufry klanu Bez Szczytów. Dzisiaj jednak tak nie będzie.

Dziesięć minut przed południem Bero pojawił się w kasynie z wózkiem bagażowym z trzema walizkami i wepchnął go do windy. Było w niej trzech biznesmenów pogrążonych w ożywionej rozmowie.

– Góra oferuje mi daninę niższą o piętnaście procent – mówił jeden z nich.

– Kaulowie nie mogą temu dorównać – poskarżył się łysy mężczyzna w granatowym garniturze. – A mimo to nadal oczekują ode mnie, że będę w stanie konkurować z zagranicznymi franczyzami, które wyrastają wszędzie jak chwasty z powodu umów handlowych, jakie narzucili krajowi.

Pierwszy biznesmen skrzywił się z niezadowoleniem.

– Zatem wolisz płacić daninę Ayt Madzie?

– To żadna władzy morderczyni, ale co z tego? Wszyscy oni tacy są. Zrobiła to, co musiała, żeby utrzymać kontrolę nad Górą – wtrącił trzeci z nich, mocno opalony. – Przynajmniej stawia na pierwszym miejscu interesy Kekonu, a teraz wreszcie wybrała następcę. Myślę, że...

Drzwi windy, które zaczęły już się zamykać, otworzyły się ponownie i do środka weszło dwóch cudzoziemców. Zajęli ostatnie wolne miejsce, obok wózka Bera. Byli ubrani po cywilnemu, ale nie wyglądali na turystów. Biznesmeni umilkli, spoglądając na obcych z uprzejmą podejrzliwością. W Janloonie roіło się ostatnio od przedstawicieli zagranicznych rządów i korporacji.

Winda zjechała na parking. Gdy wszyscy już z niej wyszli, Bero wytoczył swój wózek wraz z jego zawartością na zewnątrz i spojrział na zegarek. Zielone kości z klanu Bez Szczytów uważnie obserwowały zyskowne kasyna na ulicy Dla Ubogich, ale w dzielnicy nie było ich aż tak wiele. Eitena, który dał Berowi zatrudnienie w Poczwórnej Wygranej, nie było dziś w robocie. Bero przez wiele tygodni obserwował harmonogram pracy ochroniarzy i wiedział, że w samo południe w kasynie nie będzie żadnego z jadeitowych wojowników klanu Bez Szczytów. Rzecz jasna, gdy już zacznie się zamieszanie, zaraz się zjawią. Dlatego szybkość miała kluczowe znaczenie.

Obok niego zatrzymała się furgonetka. Siedzący za kierownicą Tadino wyskoczył z niej błyskawicznie. Jadący z tyłu Otonyo i Guriho podążyli za nim. Bero raczej nie lubił trzech Oortokanów, za ich cudzoziemski akcent i brzydkie ygutańskie ubrania – zwłaszcza Tadina, który miał ostry, szczekliwy głos oraz wąską twarz kojarzącą się z polującym na szczury terierem. Niemniej byli to jedyni znani mu ludzie, którzy nienawidzili klanów zielonych kości równie mocno jak on i pragnęli ich całkowitego upadku.

– Nikt nas nie zatrzymywał ani nie zadawał żadnych pytań – pochwalił się Tadino.

Nawet gdyby ktoś się nimi zainteresował, w furgonetce nie było broni ani żadnych podejrzanych materiałów. Bero zdjął walizki z wózka i rzucił je na ziemię. Guriho, Otonyo i Tadino wyjęli ich zawartość – maski gazowe, pojemniki z farbą w aerozolu, łomy, pistolety oraz pojemniki z gazem łzawiącym.

Gdy już wyposażyli się w to wszystko, Bero otworzył kluczem dla pracowników drzwi na schody biegnące przy szybie windy. Po wejściu na górę otworzył kolejne drzwi. Za nimi znajdował się wyłożony dywanami korytarz biegnący za kuchnią kasyna.

Tadino uśmiechnął się i włożył maskę gazową. Guriho oraz Otonyo klepnęli się nawzajem po plecach i podążyli za jego przykładem. Ten pierwszy męczył się przez moment, nim zdołał wepchnąć do maski swą bujną brodę. Potem popędzili przed siebie, nie oglądając się na Bera. Otonyo wtoczył do kuchni jeden z pojemników z gazem łzawiącym, a Tadino rzucił drugi na podłogę kasyna. Jego zawartość zaczęła wydostawać się z sykiem na zewnątrz. Bero przycisnął się do drzwi, by nikt go nie zauważył. Rozległy się krzyki, a potem odgłosy kaszlu i wymiotów oraz tupot nóg.

Gdy padł strzał, hałasy zaczęły się na dobre – krzyki przerażenia na górze, spadające na podłogę talerze i przewracane meble, brzęk tłuczonego szkła, metaliczny łoskot drzwi ewakuacyjnych oraz szybki furkot obrotowych drzwi

wejściowych. Klienci Poczwórnej Wygranej uciekali pośpiesznie przed gazem, wypadając w panice z ciepłej, wygodnej sali na ulicę Dla Ubogich.

Bero zasłonił bandaną nos i usta, a potem wyrzwał zza rogu na klatkę schodową. Nadal otaczało go okropnie dużo hałasu, ale kłęby dymu utrudniały mu obserwację. Trochę żałował, że nie sieje chaosu razem z innymi – nie strzela w powietrze, nie wymachuje łomem, tłukąc szyby, nie niszczy ścian ani mebli. Szkody się naprawi, ale koszty obciążą klan Bez Szczytów. Upokorzą go, a jednocześnie przedstawią swe stanowisko w sposób, którego nie można będzie zignorować. Bero skrzywił się z niezadowoleniem. Był odważniejszy od swoich towarzyszy i miał gęstszy krew. Robił rzeczy, na myśl o których te oortokańskie kundle zeszczwałyby się ze strachu.

Cofnął głowę na klatkę schodową i zamknął drzwi. Niczego nie udowodni, stercząc tu dłużej. Jeśli zielone kości się zjawią, połamią nogi durniom, których uda im się złapać. Bero już zbyt wiele razy uniknął podobnego losu. Cenił własne kończyny. Kiedyś miał jadeit i tyle błysku, że mógł dobrze żyć z jego sprzedaży. Niestety te czasy minęły. Nienawidził klanów, ale potrzebował tej roboty.

Drzwi otworzyły się z hukiem i trzech mężczyźni wypadli chwiejnym krokiem na klatkę schodową. W ich oczach błyszczało szaleństwo, włosy mieli prze poczone i dyszeli ciężko. Bero popędził razem z nimi na parking. Pierwszy dotarł na dół i schował się za rogiem, gdy otworzyły się drzwi pobliskiej windy i wybiegła z niej szóstka uciekających pracowników kasyna. Kiedy się oddalili, nacisnął alarm, by winda nie mogła wrócić na górę, po czym wyprowadził swych towarzyszy z klatki schodowej. Zdjęli maski gazowe i wrzucili ekwipunek do walizek.

– Przez dwa tygodnie siedźcie cicho. Potem spotkamy się w Małej Persymonie – przypomniał im Guriho, gdy wsiedli do furgonetki.

Pojazd opuścił parking i Bero został sam.

Podjechał wózkiem do zsypu i wrzucił do niego walizki z obciążającą go zawartością. Upewnił się, że jego służbowy uniform się nie pobrudził, i udał się na codzienną przerwę śniadaniową. Wrócił po trzydziestu minutach. Pod Poczwórnią Wygraną stały dwa radiowozy i samochód strażacki, a po chodniku spacerowały trzy zielone kości z klanu Bez Szczytów. Zmuszeni do opuszczenia pokoiw goście hotelowi marzli na chodniku, czekając, aż pozwolą im wrócić. Bero schował ręce do kieszeni i czekał razem z nimi, starannie ukrywając uśmiech. Po wewnętrznej stronie szklanych drzwi wejściowych kasyna napisano czerwoną farbą: **PRZYSZŁOŚĆ JEST BEZKLANOWA.**

ROZDZIAŁ 2

ZDRADA

Szósty rok, pierwszy miesiąc

Kaul Hiloshudon przyglądał się sześciu biznesmenom, jedzącym w jego towarzystwie kolację. Miał nadzieję, że nie będzie musiał zabić żadnego z nich. Spotkali się w największej prywatnej sali Podwójnego Szczęścia. Na stole nadal było mnóstwo jedzenia, ale Hilo nie miał apetytu. Wrogom mógł odbierać życie bez chwili wahania, ale to byli ludzie z jego klanu. Znał ich wszystkich, lepiej czy gorzej, i od lat utrzymywał z nimi kontakty. Klan Bez Szczytów potrzebował lojalnych członków.

– Jak zdrowie żony, Kaul-jen? – zapytał latarnik Fuyin Kan. Niezobowiązujące rozmowy toczone przy stole ustąpiły miejsca pełnej zażenowania ciszy.

Hilo nie przestał się uśmiechać, ale ciepło zniknęło z jego oczu, gdy spojrzał na siedzącego naprzeciwko mężczyznę.

– Rekonwalescencja wymaga wiele czasu, ale jest lepiej niż było. Dziękuję, że o to zapytałeś.

– Słyszę to z przyjemnością – odparł Fuyin. – W końcu nie ma nic ważniejszego niż zdrowie i bezpieczeństwo naszych rodzin. Niech bogowie opromienią klan Bez Szczytów swą łaską.

Wzniósł w toaście kieliszek hoji. Pozostali biznesmeni podążyli za jego przykładem.

Fuyin nie był typowym bezjadeitowym latarnikiem. Nosił dwa pierścienie z jadeitami, jadeitowe kolczyki w uszach, a do tego sprzączkę u paska. Był kiedyś pięścią, ale przed piętnastu laty opuścił militarną stronę klanu, by kierować rodzinną firmą zajmującą się handlem detalicznym. Słowa mężczyzny

wyrażały uprzejme zainteresowanie, ale Hilo Postrzegął jego jadeitową aurę jako gęstą, skłębioną chmurę pełną łatwych do rozpoznania resentymentów oraz nieufności.

Odsunął talerz i oparł się wygodnie, podczas gdy kelnerzy zbierali talerze i napełniali filiżanki herbatą. Nie patrzył na siedzącą obok Shae, lecz wyczuwał w jej aurze nerwowość. Jego siostra również nie jadła zbyt wiele. Nie dało się już dłużej odwlekać rozmowy.

– Zaprosiłem was tutaj, ponieważ prognostyczka mówi mi, że są pewne kwestie, które musicie omówić bezpośrednio ze mną jako filarem – zaczął Hilo.
– Wszyscy jesteście szanowanymi i cenionymi latarnikami naszego klanu i w związku z tym pragnę, rzecz jasna, porozmawiać z wami i rozwiązać wszelkie problemy, zanim staną się źródłem poważnych nieporozumień.

Pierwszym latarnikiem, który się odezwał, nie był Fuyin, lecz łysy mężczyzna siedzący obok niego, pan Tino. Zaliczał się do starszych członków klanu i kiedyś przyjaźnił się z nieżyjącym dziadkiem Hila.

– Kaul-jen, biorąc pod uwagę obecny stan gospodarki oraz fakt, że musimy konkurować nie tylko z naszymi rywalami z klanu Góra, lecz również z zagranicznymi firmami, wielokrotnie prosiliśmy Biuro Prognostyka o obniżenie daniny. Jak z pewnością sobie przypominasz, klan Bez Szczytów podniósł ją, by móc toczyć wojnę klanową, ale nie obniża jej znacząco już od sześciu lat.

– Ta wojna trwa, tyle że w ukryciu – przypomniał mu Hilo. – Góra zamierza prędzej czy później nas podbić. Staramy się utrzymać daniny na rozsądnym poziomie i wykorzystujemy pochodzące z nich pieniądze do wzmocnienia klanu, jak prognostyczka uzna za stosowne.

Shae wyprostowała się, usłyszawszy te słowa.

– Musimy zwiększyć możliwości klanu Bez Szczytów, jeśli pragniemy pokonać nieprzyjaciół. Udoskonaliśmy naszą technologię, powiększyliśmy Akademię Kaul Dushurona, by mogła szkolić więcej zielonych kości. Otwieramy też biura i prowadzimy interesy za granicą. – Szef sztabu prognostyczki, Woon Papidonwa, natychmiast wręczył jej aktówkę. Otworzyła ją i wyjęła ze środka plik papierów. – Mogę was zapoznać z budżetem klanu na przyszły rok i pokazać, w których miejscach dochody z daniny...

Kolejny latarnik, opalony na brąz pan Eho, machnął niecierpliwie ręką.

– Nie wątpię, że wydajecie te pieniądze. Problem w tym, na co je poświęcacie. Klan Bez Szczytów ciągle próbuje prowadzić interesy w Espenii, co na dłuższą metę z pewnością zaszkodzi naszemu krajowi. – Nie chciał patrzeć na prognostyczkę, której nieraz już okazywał dezaprobatę. – Młódzież za bardzo ulega cudzoziemskim wpływom. Dlatego mamy teraz wyższą przestępczość

i więcej problemów społecznych. Weźmy na przykład to, co wydarzyło się w zeszłym tygodniu w kasynie Poczwórna Wygrana. To był skandal. A odpowiedzialnych za atak chuliganów nadal nie złapano.

Hilo zmrzył powieki, poirytowany mentorskim tonem Eha.

– Jeśli chcesz kogoś oskarżać o wzrost przestępczości, pomyśl, jak wielu członków barukańskich gangów sprowadziła do kraju Góra, by powiększyć swoje szeregi. Ale to nie ma znaczenia. Wiem, że Góra próbuje nas podejść, proponując niższe daniny, w związku z czym nagle dochodzicie do wniosku, że to niesprawiedliwe, że płacicie tyle co zawsze, podczas gdy wydaje się wam, że moglibyście znaleźć korzystniejszą ofertę.

Pełna zażenowania cisza, która nagle zapadła, była wystarczającym potwierdzeniem. Kilku latarników starannie unikało jego spojrzenia.

Ale Fuyin Kan nie odwrócił wzroku.

– Przejście do innego klanu byłoby trudną i drastyczną decyzją – oznajmił. – Wpłynęłoby nie tylko na sytuację finansową danego człowieka, lecz również na to, gdzie może mieszkać, do której szkoły sztuk walki mogą uczęszczać jego dzieci, na jego życie towarzyskie i na to, kto jest jego przyjacielem, a kto wrogiem. Nie chcemy się posuwać tak daleko. Dlatego przybyliśmy tu całą grupą, licząc na osiągnięcie porozumienia.

Pozostali latarnicy przesunęli się ku przodowi na znak poparcia dla tych słów. Fuyin pozwolił, by inni przemówili przed nim, było jednak oczywiste, że to on jest ich przywódcą, zgodnie z podejrzeniami Hila.

To skończy się źle, pomyślał, nie dał jednak za wygraną.

– Nie możemy w tej chwili obniżyć daniny. Mogę dać ci słowo jako filar, że w miarę jak nasze interesy za granicą będą się rozrastać, zaczniemy dzielić się zyskami z całym klanem. Biuro Prognozyka będzie stopniowo zmniejszało jej wysokość przez pięć najbliższych lat.

Nie miał pojęcia, czy miałyby to sens pod względem finansowym, ale brzmiało rozsądnie. W aurze Shae nie zapłonął nagły gniew na niego, uznał więc, że poradziłyby sobie z tym zadaniem.

Fuyin potrząsnął głową.

– To nie jest żaden kompromis. Wszyscy tu zgodziliśmy się, że sprawiedliwość wymaga, by klan Bez Szczytów dorównał ofercie Góry. Wierzymy też głęboko, że musi zajść zmiana w polityce klanu. Trzeba skończyć z inwestowaniem za granicą i skupić się na obronie naszych interesów w domu.

W jadeitowej aurze Shae pojawiły się fale konsternacji.

– Jeśli obniżymy daninę, a jednocześnie zrezygnujemy z działalności, która przynosi nam najszybciej rosnące dochody, klan będzie tracił pieniądze na dwóch frontach. To droga do zagłady.

Niektórzy latarnicy wymamrotali coś pod nosem, ale Fuyin tylko rozpostarł dłonie.

– Góra radzi sobie dobrze. Chcesz powiedzieć, że klan Bez Szczytów nie potrafi jej dorównać? Jeśli tak, czy możesz mieć do nas pretensję, jeśli wspólnie podejmiemy działania dla zabezpieczenia naszej przyszłości?

Te słowa mogły nie brzmieć jak groźba, ale nią były. Fuyin zgromadził kilku niezadowolonych latarników i oznajmił, że jeśli klan Bez Szczytów nie spełni ich żądań, wszyscy przejdą do Góry. Nawet Shae nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na ten bezczelny szantaż.

Hila wypełnił gniew mieszający się z rozczarowaniem.

– Fuyin-jen... – zaczął, koncentrując całą uwagę na byłej pięści i ignorując pozostałych siedzących za stołem mężczyzn – po co przybyłeś tutaj, by prosić mnie o cokolwiek, skoro już przeszedłeś na stronę Góry? Czy Ayt Mada rozkazała ci, byś pociągnął tych ludzi ku zgubie razem ze sobą?

Twarz Fuyina stała się nieprzeniknioną maską.

– O czym ty gadasz?

– Już od miesięcy płacisz daninę Górze. Mogę pokazać wszystkim dowód znaleziony przez Maik Tara, ale może lepiej sam się przyznasz, zamiast kłamać mi prosto w oczy. – Hilo zachowywał spokój, lecz w jego głosie pobrzmiwała zimna, złowroga nuta. – Nie jesteś zwykłym latarnikiem, jak twoi towarzysze. Jesteś zieloną kością, która złamała klanowe przysięgi.

Przy stole zapadła całkowita cisza. Cichy szum głosów dobiegający z pozostałej części lokalu, znajdującej się za suwanymi drzwiami, brzmiał jak kakofonia. Reszta latarników skuliła się na krzesłach. Z ich twarzy odpłynęły wszelkie barwy.

– Oskarżasz mnie o zdradę klanu? Byłem pięścią wysokiej rangi, kiedy ty jeszcze byłeś niegrzecznym chłopakiem w Akademii. To ty zdradziłeś nas wszystkich, Kaul Hiloshudon.

Gorycz, którą filar wyczuwał w aurze Fuyina, przerodziła się w gwałtowną burzę. Cienka warstewka uprzejmości, jaką do tej pory utrzymywał, zniknęła.

– Mój ojciec zbudował z niczego kwitnący interes, mając tylko własny pot, nieustępliwość oraz patronat klanu. Dzięki bogom, że już nie żyje i nie musi patrzeć, jak jego firma jest wypychana z rynku, bo otworzyłeś nasz kraj przed cudzoziemcami, jak kurwa rozkładająca nogi przed każdym. – Głos Fuyina stał się ochrypły i drżący. – Mój syn tak bardzo cię podziwiał. Chciał się stać taki jak ty. Miał tylko dwadzieścia lat, był palcem dopiero od sześciu miesięcy, kiedy zabito go bez powodu, w wojnie klanów, do której nigdy by nie doszło pod rządami twojego brata albo dziadka. Masz czelność żądać ode mnie wierności?

Nie, Kaul-jen, jesteś tylko szczeniakiem, a nie filarem, a twoja siostra liże buty Espeńczykom. Nie jestem ci nic winien.

Hilo nie odpowiadał mu przez nietypowo długą chwilę. Postrzegał łomotanie serc i wstrzymywane oddechy wszystkich otaczających go ludzi, zwłaszcza Shae, był to jednak jedynie drobiazg w porównaniu z naciskiem wzbierającym w jego dłoniach i głowie.

– Fuyin-jen... – zaczął wreszcie – widzę, że trudności, których doświadczyłeś, wzbudziły w tobie nienawiść do mnie, ale popełniłeś błąd, pozwalając, by wykorzystała cię Ayt Mada. – Wstał i spojrzał byleją pięści prosto w oczy. – Jeśli czułeś się tak bardzo nieszczęśliwy, w każdej chwili mogłeś porozmawiać ze mną. Bez względu na to, czy to kłopoty w interesach spowodowały, że pragniesz się wyrzec życia, czy nie możesz wybaczyć mi śmierci swego syna, mogłeś poprosić, bym pozwolił ci odejść z honorem, a być może nawet założyć swój mały klan w jakiejś innej części kraju. Zgodziłbym się na to z uwagi na wysoką pozycję twojej rodziny i dawne poświęcenia. Nie musiałeś sprzedawać się Górze ani wciągać innych w tę pierdoloną farsę, która miała zaszkodzić klanowi Bez Szczytów.

Fuyin stanął na palcach. Był wyższy niż filar, przekroczył już czterdziestkę, ale nadal był w świetnej formie fizycznej. Często ćwiczył z innymi zielonymi kośćmi.

– Miałbym cię błagać o pozwolenie na opuszczenie miasta, w którym się urodziłem, by żyć na wygnaniu jak bezwartościowy wyrzutek? Mam obciąć sobie ucho i skomleć o darowanie życia? Nigdy. – Jego twarz zamarła w wyrazie straszliwej determinacji. – Kaul Hiloshudon, filarze klanu Bez Szczytów, oferuję ci czystą klingę. – W pokoju rozległy się szepty zdumienia i lęku. Od lat nikt nie wyzwał Kaula Hilo na pojedynek. – Wybierz miejsce i broń...

– Odmawiam. – Odpowiedź Hila zmroziła wszystkich w pokoju. Na twarzy filaru dostrzegano się jego sławną furję. – Jesteś zdrajcą. Nie zasługujesz na pojedynek. Przykro mi z powodu śmierci twojego syna i niepowodzeń w interesach, ale wielu z nas przeżyło straszliwe tragedie, a mimo to nie złamało przysięg.

Fuyin dał się na moment zbić z tropu. Nawet Shae i Woon patrzyli na Hila z zaskoczeniem. Nigdy dotąd nie słyszano, by Kaul Hiloshudon odrzucił osobiste wyzwanie. Opadł z niedowierzaniem na pięty.

– Jesteś tchórzem – warknął.

– Jestem filarem klanu – odparł Hilo. – Postąpiłbym głupio, gdybym wątpił, że nadal pozostajesz groźnym wojownikiem. – Być może nie masz już po co żyć, ale ja nie mogę się narazić na obrażenia, które odciągnęłyby mnie na pewien czas od rodziny i obowiązków. – Zmarszczył brwi. Zrozumiał, że tłumaczy

przyczyny odmowy raczej sobie samemu niż Fuyinowi. – Jeśli pragniesz zachować życie, możesz oddać wszystko, co posiadasz, klanowi i zaakceptować wygnanie z Kekonu. W przeciwnym razie przyznam ci śmierć konsekwencji, z bronią w ręku. To wszystko.

Gdy Hilo wypowiedział te słowa, drzwi pokoju otworzyły się nagle i do środka wszedł Juen Nu, róg klanu Bez Szczytów. Towarzyszyli mu Maik Tar i Iyn Ro. Trzy zielone kości czekały na dole. Hilo rozkazał im wejść do środka, gdy tylko Postrzegą jakieś zagrożenie ze strony kogoś z obecnych. Pan Tino i pan Eho odsunęli się od Fuyina, otwierając szeroko oczy, jakby nagle stał się tykającą bombą zegarową. Oskarżony o zdradę rzucał spojrzenia na wszystkie strony. Ręce mu drżały. Juen, Maik i Yin ruszyli ku niemu, okrążając wielki stół z obu stron. Żaden z latarników nie odważył się wstać z krzesła.

Shae zaczęła się podnosić. Jej aura iskrzyła się niespokojnie. Prognostyczka wezwała tych latarników na obiad, który miał doprowadzić do pojednania, a teraz wyglądało na to, że zakończy się egzekucją.

– Hilo – wysyczała, na tyle głośno, żeby ją usłyszał. – Nie rób tego w tym miejscu. Lepiej...

Nikt nie usłyszał reszty jej sugestii, ponieważ Fuyin wyszarpnął mały pistolet z ukrytej pod paskiem wszywanym kabury i zaczął strzelać.

Tar zareagował natychmiast, wznosząc Odbijanie przed filarem. Małokalibrowe pociski pomknęły ku sufitowi. Fuyin Kan odrzucił broń, warknął wściekle i posiłkując się Lekkością, przeskoczył nad stołem. Wyciągnął karambit i spróbował ciąć w gardło Hila.

Filar odpowiedział na atak. Wskoczył na stół, również pomagając sobie Lekkością, i złapał przeciwnika za łokieć, powstrzymując trajektorię jego broni. Potem pchnął z całej siły jego środek ciężkości, pozbawiając go równowagi, gdy tylko Lekkość zaczęła opuszczać Fuyina i jego stopy dotknęły blatu. Napastnik zachwiał się, ale uderzył śmiertelnie groźnym Przenoszeniem. Stal Hila ledwie zdołała odbić atak. Filar obrócił się błyskawicznie, pociągając drugiego mężczyznę za sobą. Stopa Fuyina wpadła w wazę na wpół wypełnioną stygnącą zupą. Mężczyzna poleciał na łeb na szyję ku skrajowi stołu. Talerze, filiżanki i jedzenie wyskakiwały na wszystkie strony spod stóp walczących.

Wiele lat temu, gdy Hilo był jeszcze nastolatkiem i uczył się w Akademii, ćwiczył równowagę i Lekkość, ćwicząc ze sparingpartnerami na wąskich półkach i chwiejących się platformach. Wtedy uważał, że te ćwiczenia są głupie. Walki toczono na asfalcie i betonie, nie na kłodach nad wodospadami, jak na filmach. Teraz, gdy walczył na stole w restauracji, przypomniał sobie na moment, jak instruktorzy uczyli go, że zielone kości, choćby nawet najlepiej przygotowane, nie mogą liczyć na to, że zawsze będą miały szansę wyboru,

w jakich warunkach chcą walczyć. Szarpali się ze sobą, obaj pochyleni, aż Hilo wyciągnął błyskawicznie lewą rękę i otoczył głowę przeciwnika od tyłu, jakby była piłką sztafetową. Uniósł karambit, który pojawił się nagle w jego prawej dłoni, i wbił w szyję Fuyina. Złapał go za włosy i pociągnął jego twarz ku stołowi. Karambit wbił się głębiej. Gdy mężczyzna opadł na kolana, rozległ się trzask rozbijanych talerzy. Hilo pociągnął nóż ku górze, używając całej swej Siły, i przeciął tchawicę.

Fuyin miotał się jeszcze przez króciutką chwilę, zrzucając na podłogę kolejne przedmioty. Wreszcie znieruchomiał. Pod jego podbródkiem utworzyła się kałuża krwi, ciemniejsza plama na czerwonym obrusie, mieszająca się z rozlanym rosołem oraz kawałkami jedzenia. Wszystko to trwało niespełną minutę. Hilo nadal słyszał słabo, lekko ogłuszony hukiem wystrzałów w zamkniętym pomieszczeniu. Kiedy zwrócił się do pięciu pozostałych latarników, którzy podnosili się już z podłogi, nie był pewien, czy krzyczy, czy mówi normalnie.

– Czy jest tu ktoś jeszcze, kto ma jakieś osobiste pretensje, albo czuje się tak niezadowolony, że jest gotowy podtrzymać żądania Fuyina?

Latarnicy wstali z potulnymi minami. Pan Eho spojrzał na ciało i przełknął głośno ślinę, po czym dotknął czoła splecionymi dłońmi i pokłonił się nisko, oddając honory filarowi.

– Kaul-jen, muszę ze wstydem wyznać, że uległem namowom Fuyina wyłącznie z powodu finansowej interesowności. Z radością akceptuję zaproponowany przez ciebie kompromis. To całkowicie mnie zadowala.

– Mnie również, Kaul-jen – dodał pośpiesznie pan Tino, otrzepując spodnie.
– Wybacz mi moją głupotę. Sądziłem, że Fuyin reprezentuje interesy nas wszystkich, ale teraz widzę, że popełniłem błąd, ufając mu. Mamy szczęście, że natychmiast go przejrzałeś.

Pozostali latarnicy pokiwali głowami, wyraźnie zawstydzeni, i również zapewnili, że są wierni klanowi.

Hilo miał ochotę stłuc wszystkich na kwaśne jabłko, a potem zażądać, by obcięli sobie uszy, jeśli pragną zachować patronat klanu, powstrzymał jednak ten impuls. Nie sądził, by ci biznesmeni mieli wystarczająco gęstą krew, żeby wytrzymać coś takiego. Leżące na stole ciało Fuyina było wystarczającym argumentem. Dalsze zastraszanie ich nie dałoby mu nic poza osobistą satysfakcją. Odwrócił się z niesmakiem.

– Zabierzcie ich stąd – rozkazał swoim pięściom.

Iyn wyprowadziła skarconych latarników z budynku. Oddalili się z wielką ochotą, rzucając nerwowe spojrzenia za siebie. Niektórych z nich szczere wyrzuty sumienia albo strach mogły rzeczywiście skłonić do powrotu z uchem

w szkatułce, ale Hilo o to nie dbał. Uważał, że bezjadeitowym latarnikom nigdy nie można ufać. Chroniła ich *aisho* i zależało im wyłącznie na pieniądzach. Oczekiwali od klanu siły i ochrony, ale z łatwością mogli przenieść swą wierność na inny, dla zysku albo z chęci przetrwania. Nie można było mieć pretensji do Ayt o to, że ze wszystkich sił starała się ich ukraść.

– Lepiej pójde porozmawiać z panem Une, żeby uspokoić sytuację – odezwał się Juen.

Huk strzałów i odgłosy przemocy z pewnością zakłóciły atmosferę w lokalu i przstraszyły starego restauratora. Była właśnie pora obiadowa. Po wyjściu rogu Tar objął ramieniem barki Hila.

– Za szybko go załatwiłeś, Hilo-jen. Jestem twoim filarowym, czy nie mogłeś mi pozwolić zdobyć choć odrobiny jego zieleni?

Hilo łypnął z kwaśną miną na zwłoki Fuyina. Nie odpowiedział na uśmiech szwagra.

– Zabierz jego jadeit dla klanu – rozkazał. – Nie czułbym się dobrze, nosząc go, bo wiem, że jego syn zginął za klan Bez Szczytów, kiedy byłem rogiem.

Ruszył ku drzwiom, ale Shae zagroziła mu drogę. Jej jadeitową aurę wypełniało niezadowolenie.

– Chcesz po prostu sobie pójść i nie powiedzieć nic więcej? – zapytała.

Nozdrza Hila rozszerzyły się, gdy usłyszał ton jej głosu.

– Co jeszcze miałbym powiedzieć? Chciałaś, żeby ten obiad rozwiązał problem uskarżających się latarników. Już się nie uskarżają, prawda?

– Nie sądzisz, że jeśli zamierzałeś zlikwidować Fuyina na oczach wszystkich, to powinniśmy porozmawiać o tym wcześniej? Dlaczego mi nie powiedziałeś, że masz dowody na to, że płaci daninę Górze?

– Bo ich nie miałem – warknął. – Miałem przeczucie. Kiedy zobaczyłem jego reakcję, byłem już pewny. Już przedtem miał do mnie pretensje, nic więc dziwnego, że Ayt do niego dotarła. Był zdeterminowany zginąć i zabrać mnie ze sobą do grobu.

Mimo że Hilo rozumiał to wszystko, uważał zdradę byłej pięści za sprawę osobistą. Zarzuty Fuyina nadal niosły się echem w jego głowie. Pragnął wyjść stąd, oddalić się od ciała.

Spróbował odepchnąć Shae na bok, ale ona ponownie zagroziła mu drogę.

– To nie jest żadne wyjście, Hilo – nie ustępowała. – Egzekucja zdrajcy może uspokoić ludzi na pewien czas, ale nie rozwiąże problemów, z powodu których ci latarnicy zwrócili się przeciwko nam. Nie rozmawialiśmy ze sobą o tych sprawach jak filar z prognostyczką.

Hilo odsłonił zęby, pochylając się ku siostrze.

– Chcesz rozmawiać ze mną jak prognostyczka? W takim razie rób to, co należy do prognostyczki. Powiedz mi, jak to, do chuja, możliwe, że Góra wydaje więcej i kradnie nasze biznesy, mimo że pobiera tak niską daninę? Powiedz mi, jak możemy ich powstrzymać i wygrać. A jeśli nie potrafisz, oszczędź mi swoich cholernych wykładów.

Otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, a potem zamknęła je tak gwałtownie, że Hilo usłyszał trzask zębów. Łypnęła na niego ze złością. Jej twarz poczerwieniała z irytacji. Woon, który stał obok, położył dłoń na ramieniu prognostyczki i odciągnął ją do tyłu. Hilo wypadł ze złością z pokoju.

Juen nadal rozmawiał z zaniepokojonym panem Une, dzięki czemu Hilo nie był narażony na załamywanie rąk i ocieranie czoła w wykonaniu starego restauratora. Niektórzy ze stałych gości Podwójnego Szczęścia ulotnili się podczas krótkiego wybuchu przemocy, być może obawiając się, że rozleje się ona na resztę restauracji. Niewykluczone też, że przestraszył ich atak anarchistów na kasyno Poczwórna Wygrana, do którego doszło w zeszłym tygodniu. Inni jednak siedzieli sobie spokojnie w restauracji. Na widok Hila wymamrotali pełne szacunku słowa i dotknęli czoł, próbując jednocześnie zerkać do pomieszczenia, w którym znajdowały się zwłoki. Wyciągali szyje z chorobliwą ciekawością, jaką widzi się podczas spektakularnych zderzeń samochodów albo pożarów budynków. Wieczorem cały Janloon będzie wiedział, że Fuyin Kana zabito za zdradę klanu.

Filar opuścił restaurację głównym wejściem i usiadł za kierownicą duchesse signa. Miał w Podwójnym Szczęściu zarezerwowane miejsce na parkingu i zawsze, gdy odwiedzał lokal, pilnowano jego samochodu. Tar podążył za nim i zastukał w okno po stronie pasażera. Gdy tylko Hilo opuścił szybę, oparł się o okno, wsadzając ręce do środka.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał burkliwym tonem. Mogło to znaczyć, że boi się o bezpieczeństwo Hila albo po prostu jest zły, bo go pominięto.

– Muszę się trochę przejechać, żeby przewietrzyć sobie głowę – odpowiedział Hilo, wsuwając kluczyk do stacyjki. – Pomóż Juenowi i Iyn wszystko posprzątać. – Hilo chwilami obawiał się zlecać klanowe zadania Maik Tarowi i Iyn Ro jednocześnie, z uwagi na ich burzliwy związek, ciągle wahający się między żarem a chłodem. W tej chwili jednak dogadywali się niezłe. – Przygotuj się na podróż do Port Massy. O tej porze roku jest tam zimno. Weź ze sobą ciepłe ubranie. Masz wszystko, czego potrzebujesz? Bilety, paszport i tak dalej?

– Jasne – odparł jego szwagier.

– Będę w domu za parę godzin – dodał Hilo i ruszył, zostawiając Tara na parkingu. Spojrzał jeszcze we wsteczne lusterko i zauważył, że jego filarowy jest

wyraźnie smutny i zagubiony.

* * *

Jeździł pół godziny, nie zmierzając właściwie nigdzie. Włączył ogrzewanie, by odepchnąć od siebie mroźne powietrze, działające na miasto jak zimny ręcznik przyciśnięty do ciała. Ulice wywierały wyjątkowo przygnębiające wrażenie. Jaskrawe kolory Janloonu wyblakły pod szarym, bezchmurnym niebem. Ludzie byli podekscytowani wiadomością, że w górach spadł śnieg.

Zdał sobie sprawę, że, nawet się nad tym nie zastanawiając, pojechał do Dzielnicy Portowej i zatrzymał się przed Klubem dla Dżentelmenów Boski Bez. W ostatnich latach wiele w Janloonie się zmieniło, ale Boski Bez nadal był taki sam. Hilo pomyślał z ironią, że to pewny interes, któremu nie zaszkodzą nowoczesność ani zagraniczna konkurencja. Odźwierny odprowadził jego samochód, a gdy tylko Hilo wszedł do środka, pani Sugo, latarniczka będąca właścicielką klubu, przywitała go ewidentnie fałszywym uśmiechem. Rzecz jasna, nigdy nie była dla niego nieuprzejma i zawsze pilnowała, by jego wizyty przebiegały dokładnie tak, jak sobie tego życzył. Z pewnością jednak nie przyjmowała z entuzjazmem rzadkich, niezapowiedzianych odwiedzin filaru.

– Kaul-jen – przywitała go. Oddała mu honory i zaprowadziła go do luksusowo urządzonego pokoju, w którym znajdowała się kanapa. – Cieszę się, że znowu cię widzę. Mam posłać po Sumi? Albo po Vinę?

Hilo pokręcił głową.

– Po jakąś inną.

Przyklejony do twarzy pani Sugo uśmiech osłabł nieco.

– Czy mogę zapytać, Kaul-jen, tylko po to, żeby świadczyć ci lepsze usługi, czy coś ci się nie podobało u którejkolwiek z kobiet, z którymi spędzałeś tu czas?

– To kurwy – odpowiedział. Nie było w tym złości, po prostu czuł się zmęczony. Rzucił marynarkę na oparcie kanapy i nalał sobie szklanekę cytrusowej wody ze stojącego na stole dzbanka. – Tylko nie przysyłaj mi żadnej, z której korzystał mój brat. Ta myśl mi się nie podoba.

Pani Sugo zacisnęła mocno usta, maskując niezadowolenie uprzejmym ukłonem, i wyszła z pokoju. Hilo klapnął na kanapę, zamknął oczy i potarł kciukami ich kąci. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Lan odwiedzał ten lokal. Doszedł do wniosku, że jego brat z pewnością czuł się rozpaczliwie samotny. Raczej zasmuciła go myśl, że sam znalazł się teraz w podobnej sytuacji. Był filarem klanu już od sześciu lat. Dłużej niż Lan. Bracia nie byli zbytnio do siebie

podobni, ale być może pozycja filaru wpływała tak samo na każdego mężczyznę – izolowała go i męczyła, aż wreszcie go zabijała, szybko albo powoli.

Nie mógł się powstrzymać przed zadawaniem sobie pytania, czy Ayt Mada, która zamordowała wielu członków własnego klanu, kiedykolwiek czuła się równie głęboko rozczarowana i zraniona jak on w tej chwili. Sam bezskutecznie próbował ją zamordować, posługując się rodziną Venów z klanu Góra, nie powinien się więc dziwić, że ona również w podobny sposób wykorzystywała niezadowolenie czy słabe punkty w jego klanie. Shae miała rację, choć przyznawał to z wielką niechęcią. Zdrada Fuyina nie była izolowanym przypadkiem, a jego śmierć nie rozwiąże prawdziwego problemu. Po wielu nieudanych zamachach na życie Hila Góra rozpoczęła długotrwałą kampanię, mającą zniszczyć ekonomicznie klan Bez Szczytów.

Rozległo się ciche pukanie. Hilo wstał z kanapy, otworzył drzwi i znalazł za nimi piękną kobietę. Miała ciemniejszą skórę i więcej krągłości niż ta, która usługiwała mu podczas poprzedniej wizyty, jakieś dwa czy trzy miesiące temu. Przyniosła hebanową tacę z butelką hoji i ciasteczkami daktylowymi ułożonymi na delikatnym glinianym talerzyku.

– Kaul-jen – rzekła. Jej głos był pełen troski, ale pobrzmiwała w nim nerwowa nuta, sugerująca, że pani Sugo i pozostałe dziewczyny ostrzegły ją, czego ma się spodziewać. – Czy mogę wejść?

Hilo przytrzymał jej drzwi.

Postawiła tacę na niskim stoliku przed kanapą, uklękła przed nim i starannie podwinęła rękaw, po czym otworzyła butelkę hoji i napełniła dwa kieliszki. To był dobry, stary trunek o silnym, skomplikowanym bukacie.

Hilo wypił kieliszek.

– Chodź do łóżka – zażądał.

– Kaul-jen – odparła kobieta sugestywnym, uspokajającym tonem. – Nigdzie się nam nie śpieszy. Możesz tu zostać całą noc. Czemu nie odprężysz się na moment i nie pozwolisz, bym dała ci więcej radości? Z pewnością potrzebujesz chwili ulgi od trudnych zadań filaru. Wypijmy jeszcze jedną kolejkę i będziesz mógł mi opowiedzieć, jak ci minął dzień.

Hilo wykrzywił usta w ironicznym grymasie.

– Mam w domu żonę i dzieci. Nie potrzebuję rozmów. – Wstał. – Jeśli będziesz współpracować, to nie potrwa długo.

Wlepiła w niego spojrzenie. Otworzyła usta, jakby chciała podjąć kolejną próbę przekonania go, ale potem z oburzeniem postanowiła dać sobie z tym spokój. Skończyła z udawaniem, wypila haustem kieliszek hoji, wyprostowała się, rozwiązała pasek jedwabnej szaty i pozwoliła, by opadła na podłogę. Położyła się nago na kanapie z grymasem rezygnacji na twarzy. Hilo pomyślał,

że wygląda to atrakcyjniej niż jej wystudiowany uśmiech, bo przynajmniej jest autentyczne. Miała gładką skórę i znamię na brzuchu, obok pępka.

Rozebrał się. Dziewczyna otworzyła szeroko oczy, ujrawszy plamy krwi na rękawach oraz karambit, który odpiął i położył na stoliku obok tacki. Potem otworzyła je jeszcze szerzej na widok błyszczących kawałków jadeitu na jego obojczykach, piersi i wokół pępka.

– Nie dotykaj ich, a nic ci się nie stanie – uspokoił ją Hilo, widząc strach w jej oczach. Podniósł jedną z darmowych prezerwatyw leżących na stoliku.

– Odwróć się i oprzyj na rękach i kolanach.

Kiedy skończył z nią i poszła do łazienki, ubrał się, zabrał marynarkę i nóż, a potem zjadł dwa ciasteczka z tacki. Zostawił na stoliku hojny napiwek. Kurtyzany z Niebiańskiego Bzu zarabiały przede wszystkim na stałych klientach, którzy często kupowali im prezenty i płacili dodatkowo za wyłączny dostęp. Ponieważ nie spodziewał się, by miał jeszcze kiedyś ją zobaczyć, uznał, że powinien dodatkowo zapłacić za jej zmarnowany czas.

Na dole pani Sugo życzyła mu dobrej nocy, uśmiechając się kwaśno. Rozumiał jej irytację. Niebiański Bez był przybytkiem wysokiej klasy. Tutejsze kurtyzany potrafiły grać na różnych instrumentach, recytowały poezję i towarzyszyły klientom na eleganckich galach, a on zachowywał się jak w tanim burdelu. Przed budynkiem czekała na niego duchesse. Odźwiernemu nie chciało się zaparkować samochodu gdzie indziej. Poprzednie wizyty nauczyły go, że Hilo nie zostanie tu długo. Filar okrążył swój cenny samochód, pochylił się i zajrzał do środka. Odkąd Maik Kehn, jego szwagier i były róg, zginął w zamachu bombowym, Hilo z wielką ostrożnością podchodził do rodzinnych samochodów i ich kierowców, wystrzegając się zagrożenia, którego nie Postrzeże dzięki jadeitowym zmysłom.

– Czy spuściłeś go z oczu chociaż na sekundę? – zapytał.

Odźwierny przysiągł na swoje życie, że nie.

Usatysfakcjonowany tymi słowami Hilo wsiadł do pojazdu, obrócił kluczyk w stacyjce i ruszył do domu.

* * *

Dotarł do rezydencji przed kolacją. Jego matka i Kyanla rozmawiały w kuchni. Czuł zapach smażonych jarzyn. Na kanapie siedział Niko. Wcześniej nauczył się czytać i tylko na moment oderwał wzrok od komiksu, by powiedzieć:

– Cześć, wujku.

Natomiast Ru i Jaya wybiegli mu na spotkanie, przekrzykując się nawzajem, by przyciągnąć jego uwagę i coś mu opowiedzieć. Hilo pocałował syna w głowę,

pozwolił córce wdrapać się na swoje plecy i zaniósł ją po schodach na górę.

– Tato, pokaż mi nowy jadeit! – zażądał Ru, idąc tuż za ojcem.

Hilo odwrócił się na szczycie schodów i spojrzął z góry na chłopca.

– Jaki nowy jadeit?

– Ten, który zdobyłeś – nie ustępował Ru. Stał na palcach i objął Hila w pasie – Wujek Tar mówił, że zabiłeś dzisiaj kogoś, kto kiedyś był w klanie, ale stał się zły. Gdzie jest twój nowy jadeit?

Hilo wydał z siebie cichy, pełen dezaprobaty pomruk. Jego szwagier z pewnością wrócił do domu wcześniej i zdążył już opowiedzieć dzieciom uproszczoną wersję tego, co się dziś wydarzyło. Tar nigdy nie ukrywał przed siostrzeńcami i siostrzenicą, jak naprawdę wygląda życie zielonych kości. Uważał, że powinny zrozumieć, że Hilo jest nie tylko ich tatą, lecz również przywódcą wielkiego i potężnego klanu. Dlatego często był zajęty i nie było go w domu. Miał wrogów, którzy chcieli go zabić, i czasami musiał pierwszy odebrać im życie, by móc wrócić wieczorem do rezydencji i utulić ich do snu.

Hilo nie twierdził, że się z nim nie zgadza, nie chciał jednak, by chłopakowi wypełniano głowę opowieściami o zielonych kościach. Przez nie będzie tylko gryzł się tym, czego mu brakuje, zamiast być dumny z tego, kim jest. Ru był kamiennookim. Nigdy nie będzie nosił jadeitu ani nie osiągnie żadnej znaczącej pozycji w klanie Bez Szczytów. Hila zasmucała świadomość, że jego syn nigdy nie stanie się jadeitowym wojownikiem, lecz jednocześnie cieszył się z tego, że przynajmniej jedno z jego dzieci będzie miało prostsze, bezpieczniejsze życie.

– Nie mam żadnego nowego jadeitu – odpowiedział stanowczo. – Wystarczy mi ten, który już noszę. Powinniśmy zachować nowo zdobytą zielen dla przyszłości, bo los nie przestaje się do nas uśmiechać. Przestań słuchać wszystkiego, co opowiada ci wujek Tar. – Hilo postawił Jayę na podłodze i czule pogłaskał dzieci po główkach. – Wracajcie na dół i przygotujcie się do kolacji.

Kiedy zbiegły na parter, wyprostował się i otworzył drzwi sypialni. Wen odpoczywała w łóżku, wspierając się na poduszkach ułożonych pod wezglowiem. Wyglądała na zmęczoną, jak zawsze po sesjach fizjoterapeutycznych. Musiała na nowo uczyć się podstawowych rzeczy – jak chodzić po prostej linii, przekładać kubek z jednej ręki do drugiej, stać bez potrzeby opierania się o coś. Wszystko to wymagało wielkiego wysiłku i czuła się potem zmęczona fizycznie oraz emocjonalnie.

Zatrzymał się w drzwiach na kilka sekund, a potem przysiadł na skraju łóżka i położył dłoń na wyprostowanej nodze żony.

– Jak dzisiaj poszło?

– Nie najgorzej – odpowiedziała Wen. – Mogę d... dotknąć palców u nóg i... wyprostować się i się nie przewrócić. – Uśmiechnęła się słabo. – To prawdziwy

s... sukces.

Hilo każdego dnia czuł, że serce mu pęka, gdy widział Wen tak słabą i bezradną, mówiącą z tak wielkim trudem. Czasami musiał opuszczać pokój, bo nie mógł patrzeć, jak płacze z frustracji wywołanej tym, że nie potrafi nawet dokończyć zdania, które było w pełni uformowane w jej umyśle, ale nie chciało wyjść z jej ust w takiej formie, o jaką jej chodziło. Niemniej było teraz znacznie lepiej niż w zeszłym roku, gdy w ogóle nie była w stanie poruszać jedną połową ciała i ledwie mogła powiedzieć coś zrozumiałego. Wtedy nie miał nawet pewności, czy jej umysł i osobowość przetrwały nienaruszone. Musiał ze wstydem przyznać, że kilkakrotnie popadł w rozpacz tak głęboką, że zadawał sobie pytanie, czy nie byłoby mniej okrutne dla nich obojga, gdyby Andenowi nie udało się przywrócić jej do życia.

Wen zawsze była pełna wdzięku i elokwentna, pewna siebie na swój łagodny sposób, spostrzegawcza i zdeterminowana. Kochał ją wtedy bardziej niż cokolwiek innego na świecie, a teraz sam już nie był pewien, co czuje. Chwilami, gdy patrzył na żonę, wypełniało go gorączkowe, wszechogarniające pragnienie, by wziąć ją w objęcia, kochać się z nią i za wszelką cenę bronić jej przed wszystkimi możliwymi niebezpieczeństwami. Częściej jednak czuł tępy, bolesny gniew, zimne niedowierzanie i nieprzejednaną furję. Nie posłuchała jego rozkazów, ukrywała przed nim znaczną część swoich poczynań, naraziła się na niebezpieczeństwo i niemal uczyniła go wdowcem, a ich dzieci sierotami. Zrobił, co tylko mógł, by zapewnić jej bezpieczeństwo, dać wszystko, czego mogła zapragnąć, i być dla niej dobrym, a ona naraziła ich na tyle bólu.

– Czy Shae... przyjdzie dzisiaj? – zapytała Wen.

– Nie.

– Powinieneś za... za... za... – Widział, jak walczy z tym słowem, próbując wypchnąć je z gardła, jakby zadławiła się kawałkiem jedzenia. – Powiedzieć jej... żeby przychodziła częściej.

Wstał, nie odpowiadając na jej słowa. Wyciągnęła do niego rękę, ale odsunął się od niej. Widział ból w jej oczach. Z pewnością już przyzwyczała się do tego... niezdecydowania w jego uczuciach. Chwilami nienawidził samego siebie z tego powodu. Ale inna część jego jaźni pragnęła ją ukarać, zranić równie mocno, jak ona zraniła jego.

– Kolacja gotowa – oznajmił, oglądając się przez ramię. – Jeśli nie chce ci się schodzić na dół, poproszę Kyanłę, żeby przyniosła ci talerz do pokoju.

ROZDZIAŁ 3

NIECZYTELNE CHMURY

Gdy jej brat wyszedł z pokoju, Shae usiadła ciężko na jednym z krzeseł stojących najdalej od ciała Fuyin Kana i wsparła czoło na dłoniach. Nie było jej winą, że na koniec obiadu wyciągnięto noże i przelano krew. Powtarzała to sobie raz po raz, ale te płytkie słowa pocieszenia w niczym jej nie pomagały.

Była prognostyczką. Jej zadaniem było wyprzedzać wszystkich o krok. Prognostyk czyta w chmurach, jak mówiło stare powiedzenie. Dzisiaj instynkt Hila okazał się trafniejszy niż jej przemyślany osąd. Odczuła go bardzo boleśnie. Było też prawdą, że umowy handlowe z Espenią, które zawarła, przyniosły korzyści klanowi Bez Szczytów, lecz jednocześnie naraziły kekońskie firmy na dodatkową zagraniczną konkurencję. Przyczyniła się do kłopotów Fuyina i nie mogła mieć do niego pretensji o nienawiść, jaką czuł. Jej obowiązkiem było podtrzymywanie lojalności latarników klanu, żeby jej brat nie musiał ich zabijać.

Woon przykucnął przy krześle Shae i położył dłoń na jej kolanie. Dzięki bogom nie został ranny podczas walki. Jej szef sztabu rzadko robił cokolwiek bez zastanowienia, ale w chwili gdy Fuyin wyciągnął pistolet, odruchowo spróbował ją osłaniać, mimo że nosiła więcej jadeitu niż on. Nie była pewna, czy powinna mu za to dziękować, czy raczej go skarcić.

– Shae-jen, postąpiłaś właściwie, próbując zawrzeć kompromis – rzekł cicho cień prognostyczki. – To Fuyin doprowadził do wybuchu przemocy, zapewne w zamian za sporą zapłatę.

– To była pułapka typowa dla Ayt Mady – zgodziła się z przygnębieniem w głosie. – Gdyby klan Bez Szczytów ustąpił przed żądaniem latarników, czekałaby nas finansowa ruina. A gdybyśmy pozwolili im bez przeszkód opuszczać klan, nasz upadek nastąpiłby jeszcze szybciej. – Uniosła głowę. Po śmierci Fuyina i ujawnieniu jego zdrady otworzyły się przed nimi inne opcje. –

Nadal możemy skorzystać na tej awanturze, jeśli będziemy działać szybko i dopilnujemy, by majątek Fuyina pozostał własnością klanu.

Jej szef sztabu skinął głową.

– Na szczęście filar nie zgodził się na pojedynek – stwierdził. Zwycięzca pojedynku czystej klingi mógł sobie wziąć jadeit pokonanego, ale nie miał prawa tknąć jego rodziny ani majątku. – Możemy opłacić spadkobierców Fuyina i sprzedać fragmenty jego firmy za obniżoną cenę innym naszym latarnikom zajmującym się handlem detalicznym. To z pewnością ich udobrucha. W tym tygodniu skontaktuję się z najważniejszymi z nich i porozmawiam z nimi osobiście.

To upewni ich, że propozycja jest autentyczna i pochodzi prosto z Biura Prognozyka. Zdrajca nie żyje, a wszystko, co stworzyli on i jego rodzina, przypadnie tym, którzy dochowali wierności.

– Dziękuję, Papi-jen. – Shae położyła dłoń na jego dłoni. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Mięśnie jej ramion rozluźniły się nieco, choć nadal czuła ucisk w klatce piersiowej, wywołany ostrymi słowami Hila. Ataki ze strony brata nie były dla niej nowością, ale kiedy poprzednio było między nimi aż tak źle, mogła uciec na dwa lata za granicę. Teraz musiała współpracować z Hilem w kierowaniu klanem, a jednocześnie tolerować to, że jej unika i ciągle ma o coś do niej pretensję. Nie mogła nawet twierdzić, że na to nie zasłużyła. Ukrywała tajemnice przed filarem, sprzeciwiła się jego woli, rozkazała Andenowi i Wen zrealizować plan zamachu, co omal nie doprowadziło do ich śmierci.

Hilo miał rację również w innej sprawie. Nie miała pojęcia, dlaczego Ayt wygrywa, i nie wiedziała, jak ją powstrzymać.

Personel restauracji zamknął dostęp do ich sali. Tar i Iyn wynieśli ciało Fuyina drzwiami na zaplecze, żeby nie niepokoić pozostałych gości, a pan Une zjawił się tu w towarzystwie Juena, by poddać oględzinom uszkodzenia ścian i opraw oświetleniowych. Klan będzie musiał mu je zrekompensować. Kelnerzy pośpiesznie zabrali splamiony krwią obrus i sprzątnęli porzucane jedzenie.

– Powinniśmy wracać do biura. – Shae wstała z wysiłkiem. – Hami pewnie już na nas czeka.

* * *

Hami Tumashon bardzo się zmienił od czasu ich ostatniego spotkania. Po trzech i pół roku pobytu za granicą przybrał na wadze, przyswoił też sobie pewne espeńskie zwyczaje. Zjawiał się w Biurze Prognozyka w koszulce sportowej pod marynarką i popijał kawę z gałką muszkatołową z przesadnie wielkiego kubka

termicznego. Shae zauważyła też natychmiast, że nie włożył z powrotem jadeitu. Pod nieobecność swej silnej aury przypominał wersję samego siebie ze świata równoległego.

Przed laty Shae również zdjęła jadeit, potem znowu go włożyła, a następnie straciła znaczną jego część w gwałtownym starciu. Zadała sobie pytanie, czy przy każdym z tych traumatycznych zwrotów w jej życiu rzeczywiście nie doszło do rozszczepienia rzeczywistości. Być może w jakimś alternatywnym świecie inna Shae podążyła odmienną drogą, a kobieta, którą była ona, wydawałaby się mieszkańcom owego świata niepokojąco obcym zamiennikiem.

Kiedy oboje z Woonem byli w Podwójnym Szczęściu, do głównej sali konferencyjnej biura dostarczono obiad, by wszyscy pracownicy mogli uczcić triumfalny powrót Hamiego do Janloonu. Były pierwszy szczęściodawca rozbudował filię klanu w Port Massy. Zatrudnił teraz dwudziestu pracowników i niedawno przeniósł jej siedzibę do większego biura w śródmieściu. Zyski z interesów prowadzonych w Espenii wzrosły do imponujących ośmiu procent dochodów klanu, pomijając nawet wzrost miejscowych biznesów, które skorzystały na ułatwieniach importowo-eksportowych wprowadzonych przez klan. Było gorzką ironią, że zlikwidowali dzisiaj człowieka, który ucierpiał z powodu jedyne go uśmiechu losu, jaki spotkał ostatnio klan Bez Szczętów.

– Terun Bin pracuje jak wół, a umysł ma bystry niczym górski potok. Poradzi sobie w Espenii – oznajmił Hami i usiadł obok Shae w części wypoczynkowej jej gabinetu.

Terun Bin miał być następcą Hamiego. Choć miał dopiero dwadzieścia osiem lat, już zdołał osiągnąć pozycję szanowanego szczęściodawcy wysokiej rangi. Niestety miał bardzo niewiele talentu do jadeitu, być może dlatego, że był w jednej czwartej Abukei, choć na to nie wyglądał i tylko niewiele osób o tym wiedziało. Nie uczył się w akademii sztuk walki, lecz w akademickim liceum, a jedyny jadeit, jaki nosił, zdobył dzięki prywatnemu szkoleniu. Za radą Woon Shae awansowała Teruna i wysłała go do Port Massy, gdzie fakt, że nie posiadał zieleni, nie będzie szkodził jego reputacji. Hami poświęcił ostatnie dwa miesiące na przygotowywanie go do przejęcia po nim kierownictwa.

– Osiągnąłeś nawet więcej, niż się spodziewałam – oznajmiła. – Terunowi trudno będzie wejść w twoje buty.

Skinęła na sekretarkę, nakazując jej przynieść herbatę. Nerwy nadal miała zszargane i cieszyła się, że bez jadeitu Hami nie zdoła Postrzec rozdygotania jej aury. Woon zapewne je wyczuwał, ale z pewnością nic nie zdradzi.

Jedynym, co się w Hamim nie zmieniło, była jego szczerść.

– Problem, przed jakim stoimy w Espenii, polega na tym, że jadeit nadal jest w tym kraju nielegalny. Terun tego nie zmieni, mimo że jest inteligentny

i pracowity. A dopóki ta sytuacja się utrzymuje, wszystko, co zdołaliśmy tam zbudować, jest zagrożone. Gdybyśmy mieli to stracić, na dłuższą metę mogłoby to doprowadzić do zniszczenia całego klanu.

Woon siedział między nimi, na fotelu po prawej stronie Shae.

– Staramy się, by naszych interesów w Espenii nie można było połączyć ze związaną z jadeitem działalnością części klanu należącej do rogu – oznajmił. – Postaraliśmy się, by nie było żadnych prawnych związków.

– Tak, ale to wymaga sporego wysiłku i dodatkowych wydatków – zauważył Hami. – W ciągu tych lat nie raz próbowałem ściągnąć do Port Massy szczęściodawców z Janloonu, ale niektórzy odrzucili tę szansę, bo oni albo członkowie ich rodzin byli zielonymi kośćmi i nie chcieli zdjąć jadeitu, żeby przenieść się do Espenii. Problem nie ogranicza się przy tym do Biura Prognozy. Wiele płacących nam daninę kekońskich firm chciałoby poszerzyć swoją działalność, ale ich pracownikom trudno jest latać do Espenii, ponieważ każda zielona kość musi starać się o wizę i rejestrować swój jadeit za każdym razem, gdy przybywa do tego kraju bądź go opuszcza, a nawet po tym wszystkim mogą tam spędzić tylko dwadzieścia dni rocznie.

Shae westchnęła. Wiedziała, że to trudny problem.

– Wciąż wynajmujemy nowych prawników, żeby znaleźli coś, co pozwoli nam zmienić tę sytuację.

– Ilu sponsorowanych przez klan studentów, których wysłaliśmy do Espenii, jest zielonymi kośćmi? Podejrzewam, że niezbyt wielu. Jaka rodzina chciałaby powierzyć na osiem lat syna albo córkę Akademii Kaul Dushurona, żeby opanowali jadeitowe dyscypliny, a potem wysłać ich do kraju, gdzie noszenie jadeitu jest przestępstwem? A przecież to zielone kości szczególnie chcielibyśmy sponsorować. To one są najbardziej lojalne wobec klanu. To one wrócą tu i wykorzystają zdobyte za granicą wykształcenie dla dobra klanu Bez Szczytów. – Wypuścił głośno powietrze. – Bezsensowne i oparte na ignorancji espeńskie prawo znacznie zwiększa dla nas koszty prowadzenia interesów w tym kraju.

Shae opłótła dłońmi filiżankę ciepłej herbaty, którą sekretarka postawiła na stoliku przed nią. Czuła się zniechęcona słowami Hamiego, choć nic z tego, co mówił, nie było dla niej zaskoczeniem. Ale były pierwszy szczęściodawca jeszcze nie skończył.

– A może się zrobić jeszcze gorzej, Kaul-jen – oznajmił, siorbiąc kawę. – Krążą pogłoski, że prawo może się znowu zmienić i wprowadzi się surowe kary dla espeńskich firm prowadzących interesy z podmiotami, które rząd ich kraju uzna za „organizacje przestępcze”. Ponieważ posiadanie jadeitu przez cywilów jest w Espenii nielegalne, mogą ogłosić, że klan Bez Szczytów jest taką organizacją. W ten sposób mogą nie tylko uniemożliwić innym firmom

handlowanie z nami, lecz w najgorszym scenariuszu nawet całkowicie zakazać nam działalności w Espenii.

Woon odchylił z niedowierzaniem głowę do tyłu.

– Rząd Espenii kupuje od Kekonu jadeit do celów militarnych. Jeśli ogłoszą nas przestępcami z powodu czegoś, co jest elementem naszej kultury od tysiącleci, będą musieli uznać własny rząd za nielegalny!

Hami rozpostarł ręce.

– To Espeńczycy – wyjaśnił. – Robią, co tylko zechcą. Czemu hipokryzja miałaby im przeszkadzać? Używają pieniędzy i sprytnie sformułowanych praw w taki sam sposób, jak my jadeitowych dyscyplin. To dla nich rodzaj sztuki walki. Kiedy byłem w Espenii, słyszałem opowieść o właścicielu ziemskim sprzed kilku stuleci, który zabronił czerpania wody z jakiejś rzeki, by móc powiesić całą starszyznę pewnego miasteczka. Być może to tylko legenda, ale jestem skłonny w to uwierzyć.

Rozległo się pukanie do drzwi. Sekretarka Woon uchyliła je i wsunęła głowę do środka.

– Wybaczcie, że wam przerywam, ale dzwoni twoja żona, Woon-jen. Powiedziałam jej, że jesteś na zebraniu z prognostyczką, ale uparła się, że muszę cię znaleźć.

Woon skrzywił się z zażenowania i nietypowej dla niego irytacji.

– Powiedz jej, że zadzwonię później, chyba że to coś bardzo pilnego.

Sekretarka wycofała się, wyraźnie niezadowolona, i zamknęła drzwi.

– Przepraszam – rzekł do Shae i Hamiego.

– Nie ma za co. – Shae zerknęła z troską na swego zastępcę.

Chwilowa nerwowość zniknęła już z jego twarzy i mogłoby się wydawać, że wszystko jest w porządku, ale bardzo dobrze znała jego jadeitową aurę i Postrzegła cichy szum niepokoju, który nagle pojawił się w tle.

– I tak zaraz kończymy – oznajmiła i zwróciła się w stronę Hamiego. – Słusznie postąpiłeś, poruszając ten temat. Zgadzam się, że to długoterminowy problem i musimy stawić mu czoło, jest jednak zbyt skomplikowany, byśmy mogli poradzić sobie z nim w tej chwili. Czy uważasz, że masz wszystko, czego potrzebujesz, by urządzić się z powrotem w Janloonie i objąć nową pozycję, Hami-jen? – Z przyzwyczajenia zwróciła się do niego honorowym tytułem przysługującym zielonym kościom, mimo że nie nosił jadeitu. – Decyzja, czy znowu włożysz jadeit, należy oczywiście do ciebie – poprawiła się pośpiesznie, uświadamiając sobie swój błąd.

Lepiej niż ktokolwiek inny zdawała sobie sprawę, że to decyzja o osobistym charakterze, która może się okazać trudniejsza, niżby się zdawało.

Hami wydał wargi.

– Myślę, że to zrobię, ale nie natychmiast. Potrzebuję trochę czasu na załatwienie spraw rodzinnych i ponowne wdrożenie się w rutynę pracy, nim będę gotowy znowu nosić jadeit. – Rodzina Hamiego przeniosła się do nowego domu, a jego najstarszy syn miał wkrótce rozpocząć naukę w Akademii Kaul Dushurona. – Zapewne też nadal będę regularnie latał do Port Massy, żeby zapobiec prawnym trudnościom, o których rozmawialiśmy, więc z praktycznego punktu widzenia im mniej zielony będę, tym lepiej.

Od dziś Hami miał zostać klanowym zaklinaczem deszczu. To było nowe, niezbędne stanowisko stworzone przez Shae. Jej dawni koledzy ze Szkoły Biznesu Belforte'a mogliby użyć nazwy dyrektor do spraw inwestycji zagranicznych. Hami i kilku jego podwładnych będą odpowiedzialni za komunikację i koordynację działań między Biurem Prognozy w Janloonie a filią klanu w Port Massy. Zajmą się też poszukiwaniem nowych szans biznesowych za granicą, co w tej chwili wydawało się ważniejsze niż kiedykolwiek dotąd.

– Miałaś rację, Kaul-jen – przyznał Hami. – Daleko od domu człowiek uczy się obywać bez jadeitu i po powrocie czuje się dziwnie. Pod pewnymi względami łatwiej jest nie być zielonym. Gdy włożę jadeit, będę musiał znowu stać się osobą pewnego rodzaju. – Żachnął się i wskazał pełnym ironii gestem na uwydatniający się brzuch. – Będę potrzebował wielu miesięcy, by wrócić do dawnej formy. I odzyskać jadeitowe umiejętności po tak długim czasie.

– Tak czy inaczej, jesteś dla klanu bezcenny, Hami-jen – odparła Shae, tym razem celowo używając honorowego tytułu. – Cieszę się z twojego powrotu.

– Potrzebujesz ode mnie czegoś jeszcze, Shae-jen? – zapytał Woon po wyjściu Hamiego. – Jeśli nie, zajmę się sprawą majątku Fuyina, o której rozmawialiśmy.

– Nie zapomnij najpierw zadzwonić do żony – powiedziała mu Shae, kiedy wstał, ale ten żartobliwy komentarz nie wywołał nawet lekkiego uśmiechu. –

Papi-jen... czy wszystko w porządku? – zapytała. – W ostatnim tygodniu nie byłeś sobą.

Nie zamierzała poruszać tego tematu, ale jej cień sprawiał wrażenie zmęczonego, a na jego zwykle starannie wygolonej zuchwie pojawił się lekki zarost.

Woon skrzywił się i z zawstydzeniem potarł policzek. Jego aurę wypełnił impuls przygnębienia.

– Wybacz, Shae-jen. Zdaję sobie sprawę, że ostatnio nieco zaniedbywałem obowiązki. Postaram się wykonywać je lepiej.

– Nie chciałam cię krytykować – zapewniła Shae. – Nie zauważyła, by Woon ostatnio spisywał się gorzej, a współpracowała z nim na co dzień już od ponad

sześciu lat. – Pytałam jako przyjaciółka. Jeśli nie chcesz tym rozmawiać, to nie ma sprawy.

Nagle zaniepokoiła się, że nie sformułowała tego dobrze – jakby jego problemy jej nie obchodziły albo obchodziły ją w niewystarczającym stopniu. Zabrzmiało to, jakby się broniła albo próbowała go przeprosić.

Woon się zawahał.

– Kiya znowu poroniła – powiedział cicho. Odwrócił wzrok, jakby wstydził się przyznać do tak osobistego nieszczęścia. – Zniosła to bardzo ciężko. I ja też.

Shae nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

– Przepraszam. Mogę ci jakoś pomóc? Potrzebujesz urlopu?

Szef jej sztabu pokręcił głową.

– Przeszliśmy przez to już wcześniej i wiem, że nic, co powiem albo zrobię, nie poprawi jej samopoczucia. W pracy mogę być użyteczny dla ciebie i dla klanu. Ale Kiya dzwoni do mnie kilka razy dziennie. Czasami się na mnie gniewa. Nie rozumie, że...

Przerwał nagle.

Shae mocno ścisnęła pustą filiżankę i odstawiła ją pośpiesznie, by nie pękła w jej dłoniach. Woon zapracowywał się dla niej nieustannie. Polegała na nim bardziej niż na kimkolwiek innym. Nie chodziło tylko o to, że pomagał przekonać do jej pomysłów biznesową stronę klanu. Był też dla niej doradcą, a przy tym nieustannie rzucał jej wyzwania. Wiedziała też jednak, że jego żonie z pewnością nie jest łatwo. Rzadko spędzał z nią czas i nie poświęcał jej tyle uwagi, na ile zasługiwała, a w dodatku nieustannie był blisko innej kobiety – nawet jeśli była ona prognostyczką klanu.

Shae pragnęła powiedzieć coś szczerego, co dodałoby mu odwagi, ale pytanie o Kiyę byłoby krępujące. Podejrzewała, że żona Woonu jej nie lubi. Wyciągnęła rękę i ucisnęła ramię przyjaciela. Miała nadzieję, że potraktuje to jako gest zrozumienia.

Mięśnie jego ramienia naprężyły się pod jej dotykiem. Osunął się z powrotem na fotel, z którego przed chwilą wstał, wsparł łokcie na kolanach i przez chwilę wpatrywał się w podłogę, nim wreszcie spojrzał jej w oczy. Kiedy się martwił albo głęboko zamyślał, po prawej stronie jego czoła pojawiał się niewielki dołeczek. Shae często kusiło, by dotknąć go i wygładzić kciukiem.

– Shae-jen... ta praca... nie sprzyja życiu rodzinnemu... Prognostyk zawsze myśli o klanie, a jego cień musi przede wszystkim mu służyć. – Przez jego silną jadeitową aurę przebiegły lekkie zmarszczki przygnębienia. – Nie chciałem mówić ci o tym w taki sposób, ale jeśli będę zwlekał, to wcale nie stanie się łatwiejsze. Myślę, że pora już, bym pomyślał o przeniesieniu się na inne stanowisko.

Zmusiła się do skinienia głową.

– Oczywiście, potrafię to zrozumieć. – Jej słowa nie zabrzmiały przekonująco. Nie potrafiła udawać, że cieszy się z tej perspektywy. – Wybacz, że nie uświadomiłam sobie, iż potrzebujesz zmiany. Prosiłeś o nią kilka lat temu, ale w rezultacie zostałeś tutaj dłużej, niż miałam prawo tego oczekiwać.

Jego twarz się zaczerwieniła.

– Sytuacja była wtedy... inna. I nie chodzi o to, że chcę odejść. Zastanawiałem się nad tym, co będzie lepsze dla mojego małżeństwa. Gdybym myślał tylko o sobie, nigdy nie przyszłoby mi to do głowy.

Uśmiechnęła się, choć kosztowało ją to sporo wysiłku.

– Zastanowimy się nad tym, jakie zajęcie byłoby dla ciebie najbardziej odpowiednie. Cokolwiek zdecydujesz, udzielę ci poparcia. Mam tylko nadzieję, że okażesz jeszcze trochę cierpliwości, nim znajdziemy kogoś, kto będzie mógł cię zastąpić na stanowisku cienia prognostyczki.

– Z pewnością nie odejdę wcześniej. – Woon odprężył się wyraźnie po szybkiej zgodzie Shae, choć w jego oczach nadal można było dostrzec zakłopotanie. – Dziękuję, że okazałaś mi zrozumienie, Shae-jen.

Wstał i zatrzymał się na chwilę, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze. Wreszcie uśmiechnął się blado i opuścił jej gabinet. Słuchała dźwięków dobiegających z sąsiednich sal oraz boksów i zadawała sobie pytanie, jak to możliwe, że choć otaczają ją setki ludzi, czuje się samotna.

ROZDZIAŁ 4

FILAROWY ZA GRANICĄ

Maik Tar lubił mieć jakieś zajęcie, nawet jeśli oznaczało to, że musi wyruszyć na drugi koniec świata i znaleźć się na łódce w Zatoce Whittinga w samym środku espeńskiej zimy. Konkretnie zadania – zdobycie fałszywego paszportu, załatwienie formalności, porozmawianie z odpowiednimi ludźmi, planowanie, załatwienie łódki i sprzętu – powstrzymywały go przed nadużywaniem alkoholu i uleganiem koszmarnym nastrojom. Wreszcie, gdy wszystko było już gotowe, nadchodziły oczekiwanie, adrenalina i intensywny impuls gwałtownej satysfakcji. Hilo-jen ufał mu bardziej niż komukolwiek innemu. Zadanie, które mu zlecił, było trudne i wymagało brutalności, a nikt inny nie mógłby być tak wytrwały, skuteczny i dyskretny jak on. Ta świadomość była dla Tara pocieszeniem nawet w najtrudniejszych momentach.

Powiedziano mu, że w ruchliwych letnich miesiącach łódzie wycieczkowe i prywatne stateczki wypełniają cały port i ciągle płyną w górę i w dół Camres, ale późnym wieczorem i po sezonie nie powinni spotkać na rzece żadnych innych jednostek. Przytupywał i dmuchał w złożone dłonie, przeklinając absurdalne zimno. Niewyraźny zarys nabrzeża zniknął już za nimi.

– Jesteśmy wystarczająco daleko! – zawołał do siedzącego w kabinie Sammy’ego, gdy brzeg niemal zniknął mu z oczu. – Wyłącz silnik.

Łódź kołysała się lekko w ciemności. Tar zszedł pod pokład, pochylając głowę i trzymając się poręczy. Pod sufitem kabiny paliły się dwie pomarańczowe żarówki, a podłogę pokrywały płachty z materiału i czarnego plastiku. Pośrodku siedział mężczyzna przywiązany do czarnego aluminiowego leżaka. Gdy Tar po raz pierwszy zobaczył Willuma „Chudziaka” Reamsa, był on ubrany w ciemnoszary garnitur, na głowie miał filcowy kapelusz i siedział u boku szefa Kromnera w Rezydencji Thoricka. Teraz był nagi do pasa, delikatne ciemne włoski na piersi sterczały mu od gęsiej skórki, twarz miał posiniaczoną po

brutalnym transporcie i kneblu, który teraz zdjęto. Ściągnięto mu też buty i skarpetki, a palce bosych stóp podkuliły się z zimna.

– Jak leci? – zapytał Tar.

Kuno klęczał przy wielkiej metalowej wannie, mieszając beton małą łopatą. Przykucnął i otarł czoło urękawiczoną dłonią.

– Przy takim zimnie będzie dłużej schło – poskarżył się.

– W szafce jest grzejnik. Możemy go włączyć.

Tar wyjął urządzenie i podłączył do prądu. Wszystko poszłoby szybciej, gdyby miał więcej ludzi do pomocy, ale zabrał ze sobą tylko Sammy’ego i Kuna. Im mniej świadków, tym lepiej. Nie znał tych keko-espeńskich zielonych kości i nie ufał im tak jak własnym ludziom. Wolałby, żeby byli z nim Doun albo Tyin, ale wystarczająco wiele kłopotów przysporzyło im stworzenie jednej fałszywej tożsamości. Co więcej, Kaul Hilo pragnął zminimalizować ryzyko i zachować dobre stosunki z Dauk Losunynem, miejscowym filarem. Dlatego nie chciał wywoływać wrażenia, że klan Bez Szczytów próbuje rozciągnąć swą władzę na Port Massy.

Reams rozejrzał się po pomieszczeniu z zimnym gniewem i całkowitym brakiem zaskoczenia.

– Skurwysyńskie keczki.

Tar stanął przed paczkowcem i spojrzał na niego z góry.

– Wiesz, dlaczego się tu znalazłeś? – zapytał po espeńsku.

Nie władał tym językiem zbyt dobrze, ale to nie była jego pierwsza wizyta w tym kraju. Był tu z filarem, ponad trzy lata temu, a potem wracał jeszcze kilka razy, by szkolić miejscowe zielone kości albo załatwiać interesy dla klanu Bez Szczytów, i opanował espeński w wystarczającym stopniu, by sobie poradzić. Nie musiał mówić zbyt wiele.

Chudziak Reams otworzył dłonie, przywiązane w nadgarstkach do poręczy leżaka.

– Sam utopiłem sporo ludzi w rzece – przyznał ponurym tonem. – Bóg wie, że nie brakuje takich, którzy twierdzili, że też zasługuję na taki los. – Popatrzył na Tara z niesmakiem. – Ale nie spodziewałem się, że to będą keczki. Jesteście źli z powodu Rohn Tora, ale nie zdołalibyście zrobić tego sami.

– Rohn Toro jest jednym z powodów, to prawda – zgodził się Tar.

Sammy i Kuno byli przyjaciółmi i protegowanymi Rohna w środowisku keko-espeńskich zielonych kości i od lat byli świadkami brutalnego nękania Kekończyków z Południowej Pułapki przez paczki. To oni pierwsi zjawili się na miejscu, gdy zamordowano Rohna. Dlatego byli teraz tutaj, by wymierzyć sprawiedliwość za zgodą Dauk Losuna. Reams miał jednak rację. Jako nowy

szef paczki z Południowego Brzegu był zbyt ostrożny i za dobrze strzeżony, by ktokolwiek, nawet zielone kości, mógł go porwać bez pomocy z wewnątrz.

– Wszystkie spenki są takie same – skwitował Tar. – Nikt nie może im ufać, nawet swoi.

Kuno przerwał mieszanie betonu, odwrócił się i wskazał więźnia końcem łopaty.

– Inni szefowie nie będą się smucić, kiedy znikniesz, Chudziak – rzekł w płynnym espeńskim. – Mały Jo Gasson i Slatterowie domyślają się, że to ty pomogłeś wsadzić Kromnera do pudła, a po tym, jak sprowadziłeś na wszystkich policję z powodu zamordowania Rohna i próby zabójstwa dwóch kekońskich obywateli, pozbędą się ciebie z wielką radością i zawrą pokój z nami.

– Krótkowzroczne pojeby. Zwrócili się przeciwko paczkowemu bratu, kiedy to bezbożnych keczków i ich trujące kamienie powinno się zetrzeć z powierzchni ziemi. – Splunął na podłogę. Palce jego nóg zrobiły się białe z zimna. – No to bierzcie się do roboty.

Tar potrząsnął głową.

– Zabiłeś Rohn Tora. Narobiłeś sobie wrogów wśród pobratymców. Ale na tym nie koniec. Nie dlatego tu jestem. – Zdjął płaszcz i odłożył go na bok. Robiło się coraz cieplej. Podwinął rękawy i wyjął karambit z pochwy wiszącej u pasa. – Omal nie zamordowałeś mojej siostry. Teraz ma trudności z chodzeniem i mówieniem. Nie masz pojęcia, kim jest, ani kim ja jestem, prawda? Nieważne. Wystarczy, że wiesz, że dla klanu Bez Szczytów to sprawa osobista.

Chudziak Reams był paczkowcem przez całe dorosłe życie i wszyscy w półświatku Port Massy uważali go wyjątkowego twardziela. Tar jednak Postrzegł jego zwierzęcy strach, gdy Reams przesunął spojrzenie z zakrzywionego noża na naznaczoną szaleństwem twarz zielonej kości.

– Kuno, idź na pokład, do Sammy’ego – rozkazał Tar, przechodząc na kekoński. – Wezwę was, kiedy będę was potrzebował.

Młodszy mężczyzna się zawahał.

– Maik-jen – odezwał się niepewnie, oblizując suche wargi. – Dauk Losun powiedział, że powinniśmy być szybcy i ostrożni. Rohn-jen zawsze...

Tar odwrócił gwałtownie głowę. Szalony blask w jego rozszerzonych źrenicach i nóż, który trzymał w dłoni, powstrzymały Kuna przed dalszymi sprzeciwami. Keko-Espeńczyk odłożył łopatę, zdjął robocze rękawice i nakrył metalową wannę wilgotną płachtą, żeby beton nie zaschnął. Potem szybko wyszedł na pokład, tylko raz rzucając za siebie zalęknione spojrzenie.

Tar zwrócił się ku przywiązанemu do leżaka mężczyźnie, który nie był już dla niego Willumem Reamsem. Nie był nikiem, tylko kolejnym wrogiem klanu,

jedną z węzowych głów wielogłowej bestii. Klan miał bardzo wielu wrogów i w umyśle Tara wszyscy oni byli jednym. Łączyła ich jedna straszliwa cecha i w pewnym sensie wszyscy byli tacy sami. Nie powinni być w stanie ranić i zabijać potężnych zielonych kości. Ludzi, którzy byli lepsi od nich, takich jak Maik Kehn. Ale czasami ich zabijali. To oni byli odpowiedzialni za pustkę, która podążała wszędzie za Tarem, odkąd sobie uświadomił, że już nigdy nie zobaczy brata ani z nim nie porozmawia. Kiedy mężczyzna na leżaku zaczął wrzeszczeć, Tar miał wrażenie, że słyszy własne krzyki, wyrażające jego własne uczucia.

ROZDZIAŁ 5

TRZYMANIE FASONU

Szósty rok, czwarty miesiąc

Podczas Tygodnia Noworocznego harmonogram zajęć rodziny Kaulów wypełniały liczne świąteczne zobowiązania. Pierwsze miejsce na ich liście zajmował bankiet dla najważniejszych członków klanu Bez Szczytów. Zjawi się całe jego przywództwo, razem z najważniejszymi pięściami i szczęściodawcami, prominentnymi latarnikami, a także powiązanymi z klanem przedstawicielami rządu i osobami publicznymi. Wen już od kilku tygodni była zajęta tworzeniem listy gości oraz załatwianiem jedzenia, muzyki, dekoracji i ochrony. Hilo musiał zlecić część zadań pracownikom personelu domowego, a także wynająć kilka dodatkowych osób, żeby się nie przeciążała, ale i tak upierała się, że musi wszystko nadzorować osobiście. Obawiała się, że coś może pójść źle, a klan nie mógł sobie w tej chwili pozwolić na okazywanie słabości.

Wieczorem w dzień przyjęcia przyszła jej szwagierka Lina, by pomóc jej się ubrać, upiąć włosy i zrobić makijaż. Po śmierci Kehna Lina wyprowadziła się z domu rogu, ustępując miejsca Juen Nu, i opuściła rezydencję Kaulów, by zamieszkać ze swą liczną rodziną. Mimo to pozostały z Wen bliskimi przyjaciółkami.

– Wyglądasz pięknie w szczęśliwej zieleni – oznajmiła radośnie, zapinając guziki na plecach Wen.

Być może zauważyła napięcie mięśni jej ramion i szyi oraz mocno zaciśnięte usta. Dziedziniec wypełniał się gośćmi i dobiegały stamtąd coraz głośniejsze hałasy. Z okna na piętrze widziała drogie samochody zatrzymujące się na rondzie jeden po drugim. Wysiadali z nich mężczyźni w garniturach i kobiety w wieczorowych sukniach.

Do pokoju wszedł Hilo. Był ubrany w smoking.

– Jesteś pewna, że chcesz zejść na dół? – zapytał. W ciągu kilku ostatnich tygodni mieli mnóstwo pracy i rzadko ze sobą rozmawiali. Kiedy wracał do domu, często już spała. Nieraz kładł się do łóżka, nie dotykając jej, a kiedy się budziła, już go nie było. Teraz jednak przyjrzał się jej uważnie, chyba po raz pierwszy od kilku miesięcy, i jego mina złagodniała.

– Nie musisz tego robić. Wszystko będzie w porządku.

Uśmiechnęła się blado.

– Wiesz, że... nie jest w porządku.

Często trudno jej było wyrazić słowami uwięzione w głowie myśli, sprawić, by wychodziły z jej ust gładko i poprawnie, potrafiła jednak słuchać wiadomości oraz rozmów toczonych w klanie. Zdrada i publiczna egzekucja latarnika będącego zieloną kością, a także niedawny atak na kasyno Poczwórna Wygrana wywołały obawy, że podczas świąt może dojść do kolejnych incydentów sprokurowanych przez antyklanowych ekstremistów. Oba te wydarzenia mogły świadczyć o tym, że klan Bez Szczytów został zepchnięty do defensywy i musi rozpaczliwie bronić swych pozycji. To nie był korzystny obraz w czasach, gdy narastały obawy, że Kekon może się stać miejscem kolejnej konfrontacji w globalnym konflikcie między Espenią a Ygutanem. Tymczasem klan Góra miał mnóstwo pieniędzy i jego członkowie byli usatysfakcjonowani, bo Ayt Mada mianowała swym następcą nastoletniego bratanka. Ich wrogowie nie szczędzili wydatków na noworoczne uroczystości.

Podeszła do męża, a on ujął ją pod ramię. Złapała go mocno, żeby nie stracić równowagi. Nie mogła nosić wysokich obcasów, a bez nich czuła się niższa niż zwykle w porównaniu z Hilem.

– Nie pozwól, żebym się p... przewróciła – poprosiła.

Dzisiejszego wieczoru najważniejsze było trzymanie fasonu. Rodzina Kaulów musiała zademonstrować, że jest silna i zjednoczona. Jako żona filaru powinna dziś grać rolę gospodyni. Gdyby się nie zjawiała, uznano by to za dowód choroby. Hilo milczał, schodząc z nią cierpliwie po schodach. Ustawił ją tak, by jej silniejsza lewa strona była blisko poręczy, co pozwalało jej schodzić najpierw słabszą nogą, stopień po stopniu.

– Dzisiaj jest... rocznica naszego ślubu. Pamiętasz? – zapytała, wypowiadając słowa bardzo powoli, żeby zabrzmiały wyraźnie.

Wzięli ślub w wigilię Nowego Roku, dzień przed tym, w którym Hilo miał stawić czoło śmierci konsekwencji, by ocalić klan.

– Jasne – zapewnił.

W jego głosie nie słyszało się złości, ale Wen przygryzła wargę, słysząc obojętną zwięzłość tej odpowiedzi. Chwile, gdy okazywał jej prawdziwe

okrucieństwo, zdarzały się rzadko i mijały szybko – zimne spojrzenie, ostra odpowiedź, nagły rozbłysk gniewu lub urazy na każde przypomnienie faktu, że okazała mu nieposłuszeństwo i omal jej nie zabito z tego powodu. Każdy taki incydent ranił jej duszę, ale znacznie gorszy był dystans między nimi, jaki celowo utrzymywał. Przez bardzo długi czas żyła w blasku bezkompromisowej miłości Hila i jej nagły brak był dla niej martwą, ciągnącą się bez końca zimą.

Wen zawsze się spodziewała, że coś takiego prędzej czy później się wydarzy. Że Hilo się zorientuje, jak głęboko i przez jak długi czas angażowała się w sprawy klanu za jego plecami i bez jego wiedzy, wykorzystując fakt, że jest kamiennooką, do przewożenia jadeitu i narażając własne życie. Nie wątpiła, że się rozgniewa, ale wierzyła, że jeśli z nim porozmawia, zdoła mu wszystko wytłumaczyć, jak zawsze dotąd. Była pewna, że z czasem Hilo to zrozumie.

Ale nie otrzymała takiej szansy. Kiedy najbardziej potrzebowała się z nim porozumieć, ledwie była w stanie cokolwiek powiedzieć. Granicą jej możliwości było wykrztuszenie kilku zrozumiałych słów. A gdyby Hilo mógł się na nią wściekać, spuścić ze smyczy ból i poczucie zdrady, być może jego gniew wypaliłby się z czasem. Nie pozwalał mu jednak na to szok wywołany faktem, że ledwie uniknęła śmierci, a także fakt, że potrzebowała opieki.

Wen zatrzymała się u podstawy schodów, by głęboko odetchnąć i się przygotować. Hilo położył rękę na jej krzyżu i przez moment opierała się na niej. Potem wyszli razem na dziedziniec, by spotkać się z klanem.

Przywitała ich fala splecionych dłoni unoszonych do czoł.

– Kaul-jen! – wołali goście. – Nasza krew dla filaru!

Wen przełknęła ślinę i przywitała uśmiechem morze twarzy. Ważni ludzie ze wszystkich części klanu widzieli ją u boku Hila po raz pierwszy od ponad półtora roku. Zaczęła silniej ścisnąć ramię męża, ale powstrzymała się, nie chcąc wywołać wrażenia, że nie może utrzymać równowagi.

Hilo uniósł wolną rękę w geście pozdrowienia i zawołał do tłumu podniesionym głosem:

– Bracia i siostry, jako filar rozkazuję wam, żebyście wszystko zjedli i wypili wszystkie beczułki hoji!

Rozległy się śmiechy, po czym ktoś, zapewne jeden z pięści, który zdążył już wypić za dużo, zawołał radośnie:

– Jestem gotowy oddać życie za klan!

Wen zauważyła Shae. Miała na sobie czarną suknię – konwencjonalną, ale było jej w niej do twarzy. Usłyszawszy krzyk pięści, wzniosła oczy ku niebu i pociągnęła łyk wina.

W innej sytuacji dokonaliby obchodu całego pięknie ozdobionego dziedzińca, witając członków klanu i przyjmując od nich honory, dzisiaj jednak

Hilo poprowadził żonę ku głównemu stołowi i pomógł jej usiąść na przeznaczonym dla niej krześle. Zajął miejsce obok niej i goście podchodzili do niego grupkami, by z nim porozmawiać. Sprawiał wrażenie, że jest w dobrym nastroju. Słuchał wszystkich uważnie i uśmiechał się swobodnie w typowy dla niego sposób.

Wen odwzajemniała dobre życzenia, kiwała głową i uśmiechała się, ale mówiła niewiele. Gdy otwierała usta, za każdym razem bała się, że popełni błąd. Kiedyś miała niemal absolutną pamięć do twarzy i nazwisk, co było bardzo użyteczne w każdej sytuacji wymagającej kontaktu z ludźmi. Teraz utraciła również tę umiejętność. „Jakoś to przetrzymasz” – powtarzała sobie.

Fala chłódów już minęła, ale nadal było nietypowo zimno jak na początek wiosny. Kobiety narzucały szale na gołe ramiona, a rozstawione w równych odstępach lampy gazowe dawały ciepło i migotliwy blask, w którym przedmioty rzucały cienie na czerwone baldachimy osłaniające stoły. Tuż przed podaniem kolacji zjawily się dzieci, przyprowadzone przez babcię. Niko i Ru nosili garnitury z krawatami, a Jaya żółtą sukienkę i białe rajtuzy, które w jakiś sposób zdołała pobrudzić na kolanach. Wybiegła przed braci i usadowiła się na kolanach Wen.

– Jaya-se, siedź porządnie – skarciła ją matka, starając się jakoś unieruchomić swe najmłodsze dziecko. Odetchnęła z ulgą, gdy Lina zabrała dziewczynkę na ustawioną na trawniku huśtawkę, by pobawiła się na niej ze swym małym kuzynem Camem.

– Dobrze wyglądasz, pani Kaul – odezwała się żona Woon, siadając obok niej. Jej mąż pogрузił się w rozmowie z grupką starszych rangą szczęściodawców. – Modlę się, by bogowie obdarzyli cię w tym roku dobrym zdrowiem.

– Dziękuję... Kiya – odpowiedziała Wen, ciesząc się, że nie zapomniała imienia kobiety. Mówiła powoli, ale panowała nad głosem. – Życzę ci... tego samego.

Uśmiech na twarzy kobiety zachwiał się nieco, ale szybko przywróciła go na miejsce i wskazała głową Hila, który spacerował po dziedzińcu z Nikiem i Ru, z dumą pozwalając, by goście ich podziwiali, a Ru popisывał się swą gadatliwością. Dał obu chłopcom torebki z czekoladowymi monetami i zlecił im misję rozdania ich wszystkim maluchom.

– Masz piękne dzieci – odezwała się Kiya z tęsknym uśmiechem. – Z pewnością jesteś bardzo dumna z przyszłości klanu.

Wen zadała sobie pytanie, jak wiele Woon Papi opowiada żonie o sytuacji w klanie i czy Kiya zdaje sobie sprawę, w jak trudnym położeniu finansowym się znaleźli.

– Przyszłość... klanu to... coś więcej – przypomniała Kii, wskazując głową zgromadzony tłum.

Każdy, kto zobaczyłby licznych, elegancko ubranych gości, obfitość jedzenia i hoji oraz blask jadeitu na setkach nadgarstków i szyj, pomyślałby, że klan Bez Szczytów jest niezwyciężony. Taki właśnie efekt chcieli wywołać. Wrażenia odnoszone przez ludzi można było kształtować – sprawić, że mały pokój wyda się duży, a wady budynku zamienić w jego zalety. Dzisiejszego wieczoru sprawiła, że klan Bez Szczytów stał się zbyt wielki i potężny, by mógł upaść. Rzeczywistość była jednak bardziej skomplikowana. Widziała w gazetach zdjęcia haseł wypisanych na szklanych drzwiach Poczwórnej Wygranej. Choć zdawała sobie sprawę, że nikt nie odważyłby się zaatakować tak liczного zgromadzenia zielonych kości, zwłaszcza w przeddzień święta, skierowała spojrzenie na strażników pilnujących ceglanych murów otaczających posiadłość oraz jej żelaznych bram. Nikt nie mógł być niczego pewny – ani oni, ani ich wrogowie.

Gdy kelnerzy zaczęli przynosić główne dania, Shae zajęła swoje miejsce przy stole, a Kiya wstała pośpiesznie.

– Powinniśmy iść na swoje miejsca. Lepiej zabiorę stąd męża – oznajmiła i pociągnęła stanowczo za rękaw Woon Papiego, żeby go odprowadzić.

Juen Nu i jego żona zajęli miejsca obok Hila. Tar, który niedawno wrócił z Espenii, przyszedł ze swoją kochanką Iyn Ro. Oboje wyraźnie mieli już w sobie po kilka kolejek hoji i obejmowali się, śmiejąc się głośno. Anden cicho usiadł obok Wen, odetchnął z ulgą i uśmiechnął się do niej półgębkiem.

– Cieszę się, że mam miejsce obok ciebie, siostrze.

Ona również była zadowolona z sąsiedztwa Andena. Tylko on rozumiał, przez co przeszła owej straszliwej nocy w Port Massy. Wyznał jej, że jego również czasami budzą nocą koszmary, w których nie może oddychać. Zawdzięczała mu życie, ale on nadal pozostał zwyczajnym młodzieńcem, którego znała od wielu lat. Kiedy się zacinała albo mówiła niewyraźnie, nigdy nie spoglądał na nią z litością albo zniecierpliwieniem. Cały wysiłek, który musiała wkładać w rozmowę z innymi gośćmi, znikał bez śladu. Co dziwne, kiedy się uspokoiła, miała znacznie mniej trudności.

– Jak ci idzie na studiach medycznych?

– Trzeba bardzo dużo pracować – przyznał ze smutkiem. – Ale nie zamierzam się uskarżać.

– Słyszałam, że na pierwszym roku jest najtrudniej – spróbowała go pocieszyć.

Anden pokiwał głową.

– Jest strasznie dużo materiału i w dodatku trzeba się nauczyć myśleć o jadeitowych umiejętnościach w zupełnie inny sposób. Mam nadzieję, że na drugim roku będzie trochę łatwiej. – Zauważył, że Wen waha się, spoglądając na chochlę, i sam wypełnił jej miskę zupą z owoców morza. – Czasami zastanawiam się, czy warto się tak trudzić, ale jeśli mi się nie uda, nie znajdę żadnego innego użytecznego zajęcia.

– Anden – sprzeciwiła się stanowczo. – N... nie powinieneś tak mówić. Pomyśl, jak wiele dokonałeś, żyjąc bez... bez... jadeitu w obcym kraju. Przedtem wszyscy wokół powtarzali ci, że twoja wartość opiera się tylko na jadeitowych umiejętnościach. Choć oczy... oczywiście ważne jest to, jakim człowiekiem jesteś. Twoi kuzyni już o tym wiedzą i to się nie zmieni, nawet gdybyś jutro rzucił studia.

Tak mocno pragnęła wyrazić swą opinię, że ledwie zauważyła triumf, jakim było wypowiedzenie kilku zdań z rzędu z tylko nielicznymi drobnymi przerwami.

Anden się zaczerwienił i nagle skoncentrował uwagę na przesuwaniu krewetki w kałużę sosu czosnkowego.

– Dziękuję ci za te słowa – rzekł po jakimś czasie. – Obyś miała rację.

– Pewnie, że ją mam.

Wen rozumiała, dlaczego Anden czuje się dzisiaj niezbyt pewnie. Honorowe miejsce przy stole potwierdzało w oczach wszystkich, że Hilo przywrócił kuzyna do łask i znowu uważa go za członka rodziny, ale noszący mnóstwo jadeitu wojownicy oraz bogaci biznesmeni nadal spoglądali na niego z litością i sceptycyzmem. Na nią zapewne również. Bardzo dużo pecha u szczytu, szeptali z pewnością.

Pomimo żartobliwych rozkazów Hila wyglądało na to, że kolejne potrawy napływają na stoły szybciej, niż goście są w stanie je pochłaniać. Stoły ugięły się pod daniami takimi jak pieczone prosięta, ryba gotowana z imbirem, kiełki groszków z czosnkiem oraz smażone ośmiornice. Zespół bębniarzy zęgnął kończący się rok z ogłuszającym łoskotem, a przy dwóch bocznych stołach pięści rzucały sobie wyzwania na pijackie pojedynki. Niko, Ru i Jaya uściskali rodziców na dobranoc, po czym babcia odprowadziła je do łóżek. Oczy Wen zaszyły mgłą ze zmęczenia i wszystko wydawało się jej zamazane. Znużenie wnikało też w jej wszystkie mięśnie i spowalniało myśli.

Zauważyła, że Juen i jego żona oddalili się już jakiś czas temu, teraz jednak róg pojawił się nagle za jej krzesłem i pochylił się w stronę Hila.

– Kaul-jen, moja żona poszła położyć dzieci spać, ale przybiegła z powrotem, żeby mnie zawiadomić, co usłyszała w radiu. – Mówił do ucha filaru, ale musiał podnosić głos, żeby przekrzyczeć fajerwerki i Wen wyraźnie słyszała jego słowa.

– Dwie godziny temu espeński myśliwiec zestrzelił ygutański samolot szpiegowski nad Eumanem. Maszyna spadła w pobliżu bazy. Pilot przeżył, ale popełnił samobójstwo, nim zdołano wziąć go do niewoli. Rządy Ygutanu i Espenii przerzucają się nawzajem oskarżeniami i grożą wojną na Oceanie Amaryckim.

Hilo słuchał tych słów z niemal nieruchomą twarzą, ale Wen zauważyła, że wyraz jego oczu w kilka sekund przeszedł ze spokojnej wesołości, poprzez niedowierzanie, w gniew, niczym ogień, który najpierw jest czerwony, przez chwilę pomarańczowy, a potem niebieski.

– Kurwa, nie mogli sobie znaleźć lepszej chwili – wydyszał.

– Jutro odbędzie się pilne spotkanie Rady Książęcej.

Juen zerknął na bawiących się świetnie gości. Bębniarze zaczęli odliczanie do północy i otworzono kolejną beczułkę hoji. Nawet Shae sprawiała wrażenie, że dobrze się bawi.

– Powiemy ludziom? – zapytał róg.

Hilo zacisnął zęby.

– Nie – zdecydował. – Wkrótce sami się dowiedzą. Niech zaczną Nowy Rok w dobrym nastroju. To może być jedyna okazja, żeby przywołać szczęście, a możemy go cholernie potrzebować – mruknął.

– Zawiadomię dyskretnie tylko najważniejsze pięści – zasugerował Juen. – Żeby się przygotowały do obrony naszych terytoriów, na wypadek gdyby ludzie przestraszyli się inwazji i wpadli w panikę.

Kiedy róg się oddalił, Wen wyciągnęła rękę, by dotknąć ramienia męża. Chciała mu powiedzieć: „Powinieneś też zawiadomić Shae. Biuro Prognozyka musi porozmawiać z naszymi ludźmi w Radzie, zanim wydamy oświadczenie”. Niestety trąciła łokciem wypełnioną herbatą filiżankę i rozlała płyn na kolana ich obojga. A kiedy otworzyła usta, nie była w stanie nic powiedzieć, jakby coś wepchnęło słowa z powrotem do płuc. Mogła tylko patrzeć bezradnie na męża.

Hilo wytarł serwetką herbatę wsiąkającą w ich ubrania.

– Jesteś zmęczona.

Wstał i pociągnął Wen na nogi. Opierała się na nim, gdy szli w stronę domu. Przez chwilę nikt nie zwracał na nich uwagi. Niemal wszyscy goście przenieśli się na trawnik, by obserwować sztuczne ognie, które miały zaraz rozbłysnąć nad miastem. Gdy znaleźli się wewnątrz, Hilo zaprowadził ją na górę i pomógł położyć się do łóżka. Jego dotyk był delikatny, lecz wyzbyty wszelkich uczuć. Rozpiął liczne guziki jej sukni, a potem ułożył żonę pod kocami.

Oczy Wen wypełniły łzy bólu i upokorzenia. Przed laty, gdy byli młodymi kochankami, całym dniami oczekiwała gorączkowo na jego przybycie. Wreszcie się zjawiał – młody wojownik oszołomiony nowym jadem zdobytym w jakiejś

potyczce albo pojedynku. Kiedy go rozbierała, prosiła, by wyliczył swoje zwycięstwa, całując jednocześnie nowe klejnoty wszczepione niedawno w jego ciało. Potem kochali się do nieprzytomności, raz po raz. Erotyczna moc, z jaką na niego działała, przyprawiała ją o oszołomienie.

Hilo nigdy nie przyznał, że odwiedza teraz kurtyzany, ale właściwie nie próbował też tego ukrywać. Kilka razy poczuła na jego ubraniu zapach perfum, znajdowała też w jego kieszeniach zapałki albo papierki od cukierków z Klubu dla Dżentelmenów Boski Bez. Potrafiła się pogodzić z tym, że zaspokajał gdzie indziej swe potrzeby podczas jej długiej rekonwalescencji, ale myśl o tym, że nie potrafią już znajdować pocieszenia u siebie nawzajem, była dla niej zbyt bolesna. Od czasu do czasu próbowali się kochać, ale Hilo nie był sobą. Albo był bardzo delikatny, najwyraźniej bojąc się, że zrobi jej krzywdę, albo po prostu kopulował krótko i gniewnie, jakby wykonywał nieprzyjemny obowiązek.

Teraz zgasił lampę na stoliku i usiadł na skraju łóżka, spoglądając na widoczne za oknem miasto. Wysoko nad dachem Gmachu Mądrości i tarasowym stożkiem wieży Pałacu Triumfalnego pojawiły się już pierwsze fajerwerki. Światło uwidocznilo na moment mroczny profil Hila, zaostriło melancholijne bruzdy, niepasujące do twarzy, w której się kiedyś zakochała. Na dworze zagrzmiały bębny i goście głośnym okrzykiem przywitani początek Nowego Roku.

Kiedy Wen miała siedemnaście lat, naostrzyła kuchenny nóż i przecięła opony w rowerze brata. Nigdy nie powiedziała o tym Kehnowi, który spuścił z tego powodu łomot jednemu z chłopaków z sąsiedztwa. Potem Kaul Hilo codziennie przyjeżdżał do nich samochodem po Kehna i Tara i razem ruszali do miasta – trzy młode palce pragnące zdobyć jadeit i okryć się chwałą. Wen każdego dnia odprowadzała braci do duchesse, by pożegnać się z nimi i przywitać ich po powrocie. Hilo kiedyś się roześmiał, gdy zatrzymał samochód i zobaczył ją, jak stała w deszczu. Powiedział wtedy, że jest najlepszą i najbardziej oddaną siostrą, jaką kiedykolwiek widział, a jego własna siostra nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego.

Wen musiała z żalem przyznać, że była wtedy szaloną z miłości nastolatką, ale przynajmniej nie wiedła bezużytecznie z żalu. Drobiazg taki, jak uszkodzony rower, mógł wpłynąć na wyroki losu, podobnie jak kamienooka była w stanie zmienić rezultat wojny klanów. Szukała w myślach czegoś, co mogłaby powiedzieć, by ponownie zwrócić serce Hila ku sobie, jak wtedy, gdy opuszczał szybę i wychylał się z uśmiechem z samochodu. Była jednak zbyt zmęczona.

– Muszę tam wrócić – oznajmił jej mąż.

Odwróciła się na bok. Poczuła, że jego ciężar przestał naciskać na materac, a gdy do pokoju wpadł blask kolejnej serii fajerwerków, oświetlił tylko pustkę.

ROZDZIAŁ 6

WIATR SIĘ ZMIENIA

Specjalne spotkanie udziałowców Kekońskiej Rady Jadeitowej odbyło się sześć dni później. Mimo powszechnego politycznego oburzenia i potrząsania szabelką ze wszystkich stron dyplomatyczny konflikt między Espenią a Ygutaniem nie przerodził się w otwartą wojnę. Niemniej w Janloonie i innych kekońskich miastach doszło do panicznego wykupu żywności i innych niezbędnych do życia towarów w okresie zwykle przeznaczonym na wypoczynek i świętowanie. Klany zielonych kości wyszły tłumnie na ulice, by zapobiec przestępczości i grabieżom, to jednak był tylko krótkoterminowy problem. Po raz pierwszy od wojny wielu narodów Kekończycy poważnie obawiali się możliwości cudzoziemskiego najazdu. Nawet przywódcy klanów, którzy nienawidzili się nawzajem, zdawali sobie sprawę, że muszą się spotkać.

Shae przysłała do głównego budynku posiadłości wcześniej rano. Dzieci oglądały kreskówki, a Kyanla sprzątała po śniadaniu.

– Ciociu Shae, oglądamy *Wojowniczych poskramiaczy bestii* – oznajmił Ru, ciągnąc ją w stronę kanapy.

To był animowany serial o zielonych kościach strzegących królów z fikcyjnej dynastii z ery trzech koron, którzy nie tylko posiadali nieprawdopodobnie przesadzone jadeitowe talenty, ale też potrafili przywoływać ogromne magiczne bestie i ruszać na nich do walki. Na dywanie przed telewizorem walało się mnóstwo figurek przedstawiających postacie z serialu.

Shae usiadła na kanapie, by sprawić przyjemność bratankowi.

– Gdzie twój tata? – zapytała.

Ru wzruszył ramionami.

– Myślisz, że rozwiedzie się z mamą? – zapytał z nagłym niepokojem Niko.

To zadane przez sześciolatka pytanie pojawiło się z pozoru znikąd. Nim zaskoczona Shae zdołała wymyślić jakąś odpowiedź, Ru rzucił się na brata

i zaczął go okładać pięściami po barkach i brzuchu.

– Przestań tak mówić! Nie rozwiodą się, ty głupia psia mordó!

Jaya podeszła do nich, chichocząc z zaciekawieniem.

Niko niecierpliwie odepchnął młodszego brata, nie odwzajemniając jego ciosów. Shae rozdzieliła chłopców i umieściła ich po przeciwnych stronach kanapy.

– Ru, nie wolno nazywać brata psią mordą – skarciła dzieciaka.

Hilo zszedł na dół i zerknął na ponure miny wszystkich obecnych.

– Zgaście telewizor – polecił. – Pora ubierać się do szkoły.

Ruszył ku drzwiom, a Shae podążyła za nim.

Zaufany kierowca zawiezie ich duchesse do śródmieścia. Hilo zapalił papierosa i opuścił tylną szybę.

Shae zmusiła się do przerwania głuchoj ciszy, która zawsze teraz zapadała, gdy zostawała sam na sam z bratem.

– Chłopcy martwią się o ciebie i Wen.

– Niko martwi się wszystkim – odpowiedział Hilo. – Kto kiedykolwiek widział takiego dzieciaka?

– To dlatego, że jest spostrzegawczy – odparła Shae. Chłopiec często sprawiał wrażenie roztargnionego, zatopionego w myślach, ale nieraz potrafił nagle powiedzieć coś, co dowodziło, że bardzo pilnie słucha wszystkiego, co mówią dorośli. – Wie, że traktujesz Wen inaczej niż przedtem.

– Traktuję ją bardzo dobrze – warknął Hilo. – Zawsze się nią opiekowałem.

Miała ochotę przywalić bratu. Oboje z Hilem wyrządzili sobie w życiu wiele krzywd i uodporniła się na jego gniew. Natomiast jej szwagierka, jedna z najsilniejszych kobiet, jakie w życiu spotkała, potrzebowała miłości Hila jak tlenu.

– Jeśli nadal chcesz zrzucić winę na mnie, to proszę bardzo. Ale czy Wen nie wycierpiała już wystarczająco wiele? Wszystko, co zrobiła, zrobiła dla ciebie i dla klanu. Czy nie potrafisz nawet powiedzieć jej, że to rozumiesz?

Hilo prychnął pogardliwie i gniewnie zgasił papierosa w popielniczce.

– Kto jak kto, ale ty z pewnością nie powinnaś udzielać nikomu rad w sprawach sercowych, Shae. Co z tobą i Woonem?

Nagła zmiana tematu zaskoczyła Shae jak szybkie odparcie ataku i kontra w walce na noże.

– A co ma być? – zapytała, wstydząc się obronnego tonu, jaki usłyszała we własnym głosie. – Jesteśmy przyjaciółmi i współpracownikami.

Śmiech Hila zabrzmiał okrutnie.

– I to ja nie mówię tego, co trzeba powiedzieć? Woon pod innymi względami jest inteligentny, ale nie potrafię zrozumieć, dlaczego się dręczy, pracując dla

ciebie. Powinnaś powiedzieć mu, co naprawdę czujesz, albo już dawno go wyrzucić.

Shae poczuła na twarzy uderzenie gorąca.

– Nie każdy sieje swoimi emocjami na wszystkie strony, jak szrapnelami, Hilo – warknęła. – Oboje z Woonem jesteśmy profesjonalistami, a poza tym w przyszłym tygodniu ma objąć inne stanowisko.

– A jak ci się wydaje, dlaczego musiał poprosić o przeniesienie? – zapytał Hilo.

Nim zdążyła mu odpowiedzieć, duchesse się zatrzymała. Przybyli na miejsce.

– Zapomnij o tym. Skupmy się na tym, żeby ukryć przed Ayt Madą i innymi filarami obecnymi na spotkaniu, w jak fatalnym stanie jesteśmy.

Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Shae się wściekła, bo to on miał ostatnie słowo. Wypuściła z sykiem powietrze, a potem podążyła za nim.

Siedziba Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego mieściła się w dwupiętrowym betonowym budynku w Dzielnicy Finansowej, niedaleko na zachód od klanowego wieżowa na Statkowej i tylko dwie przecznice na wschód od Świątyni Boskiego Powrotu. Jego masywna, bryłowata sylwetka kojarzyła się z rządową biurokracją. Na jego widok Shae nie mogła powstrzymać myśli, że bez względu na całe kulturowe, ekonomiczne i duchowe znaczenie jadeitu, jego wydobywanie i dystrybucję umożliwiały tysiące ludzi wykonujących prozaiczną pracę w swoich biurowych boksach. Przy wejściu oboje z Hilem oddali karambity dwóm wartownikom noszącym kaszkiety i szarfy klanu Tarcza Haedo. Potem wsiedli do windy i w milczeniu pojechali na górę. Postrzegła szum aury brata, przechodzący w groźny warkot. Nawet w najlepszych momentach nie znosił spotkań KSJ.

Gdy weszli do sali obrad, Ayt Madashi była już na miejscu. Rozmawiała z filarem klanu Jedność Sześciu Dłoni, największym z lenników Góry. Nawet nie spojrzała na wieloletnich wrogów, ale jej jadeitowa aura poszerzyła się na moment, gdy Hilo i Shae ruszyli ku swoim krzesłom. Wszyscy uczestnicy spotkania mieli wyznaczone miejsca przy wielkim okrągłym stole. Na blacie umieszczono plakietki z nazwami piętnastu klanów zielonych kości, będących obecnie udziałowcami kekońskiego kartelu jadeitowego. Sugerowało to, że w tej sali wszystkie klany zielonych kości są sobie równe i wspólnie ponoszą odpowiedzialność za opiekę nad krajowymi zasobami jadeitu oraz zarządzanie nimi. Niemniej Góra i klan Bez Szczytów, dwa największe klany zielonych kości w kraju, siedziały naprzeciwko siebie, a reprezentanci pomniejszych klanów zajmowali miejsca bliżej jednej ze stron zależnie od tego, wobec kogo byli lojalni. Przez umysł Shae przemknęła pełna ironii myśl, że ten, kto optymistycznie zaprojektował salę z myślą o promocji egalitarnej współpracy,

nie docenił kekońskiej skłonności do demonstrowania swego statusu społecznego oraz lojalności przy każdej nadarzającej się okazji. Pod ścianami stało czworo milczących bogowierczych pokutników w tradycyjnych długich, zielonych szatach. Zapewniali łączność z niebem i gwarantowali dobre zachowanie członków klanów nawet w tej najbardziej oczywistej strefie konfliktu.

Hilo pozdrowił skinieniem głowy przywódców klanów Kamienny Kubek oraz Jo Sun, lenników klanu Bez Szczytów. Obaj oddali mu honory, gdy siadał na krześle. Shae zajęła miejsce obok niego. Starła się patrzeć we wszystkie możliwe strony, udawała, że przegląda jakieś niepotrzebne papiery, lecz mimo to jej spojrzenie nieustannie wędrowało ku zniekształconemu, częściowo odciętemu lewemu uchu Ayt Mady. Poczowała świerzbienie w starej bliźnie na brzuchu. Filar Góry zerknęła w jej stronę. Ich spojrzenia spotkały się na jedno mroźne mgnienie oka. Potem Ayt znowu zwróciła się ku swemu rozmówcy.

W normalnej sytuacji miejsce po jej lewej stronie zajmowałby Iwe Kalundo, prognostyk Góry, ale dzisiaj siedział tam mężczyzna o potężnej klatce piersiowej, siwych, kędzierzawych, zaczesanych do tyłu włosach i rumianej twarzy. Miał jadeit na lewym nadgarstku i w prawym uchu, a Shae Postrzegąła jego aurę jako gęstą niczym syrop. Miała wrażenie, że skądś go zna. Kim był? Gdyby Ayt mianowała nowego prognostyka, Shae z pewnością by o tym wiedziała.

– To jeden z Kobenów – mruknął Hilo, najwyraźniej zauważając jej dezorientację. – Wujek chłopaka ze strony matki.

Wujek Koben Ata, czternastoletniego podopiecznego Ayt Mady, którego mianowała swym następcą. Chłopak niedawno zmienił z powrotem nazwisko na Ayt Ato, z pewnością po to, by wzmocnić swe pretensje. Shae przypomniała sobie, że niedawno czytała w jakimś czasopiśmie artykuł o rodzinie Kobenów, niemniej zdziwiła się, że Hilo poznaje ich po twarzach. Przypomniała sobie jednak, że kilka lat temu jej brat starał się wzniecić wewnętrzne konflikty w Górze, rozkazując zabić jednego z Kobenów. Z pewnością studiował ich dokładnie.

Czy obecność Kobena była kolejnym dowodem na to, że Ayt postawiła na swego bratanka i jego rodzinę? Być może po wielu latach borykania się z problemem sukcesji postanowiła przekonać opinię publiczną, że jednak dba o przyszłość klanu.

Hilo i Shae zjawili się jako jedni z ostatnich. Po kilku minutach wszystkie miejsca były już zajęte i masywne drzwi zamknięto. Sięgające od podłogi po sufit okna po jednej stronie sali wychodziły na południe i do środka wpadało mnóstwo słonecznego światła, niemniej atmosfera była tu duszna z powodu

wielkiego nagromadzenia jadeitowej energii. Spotkania KSJ organizowano co kwartał, ale większość filarów zjawiała się tylko raz w roku, gdy głosowano nad budżetem Sojuszu i uchwalano kwoty eksportowe i importowe, a także limity wydobywania jadeitu oraz jego dystrybucję. Resztę spotkań zostawiali swoim prognostykom. Tylko w naprawdę wyjątkowych sytuacjach komplet przywódców klanów mógł się spotkać na zebraniu zapowiedzianym z tak krótkim wyprzedzeniem.

Nie wszyscy z obecnych byli zielonymi kośćmi. Choć klany miały pakiet kontrolny, kartelem zarządzało państwo. Dlatego na spotkaniach zawsze zjawiali się przedstawiciele rządu oraz inni dygnitarze, razem ze swymi asystentami.

Jeden z bezjadeitowych urzędników, Canto Pan, obecny dyrektor operacyjny KSJ i przewodniczący rady, wstał i zabrał głos:

– Dziękuję wam za to, że zgodziliście się tu zjawić podczas świątecznego tygodnia. Niech bogowie opromienią swą łaską wszystkie wasze klany.

Shae pomyślała, że to z pewnością niemożliwe. Wszelka boska łaska okazana Górze byłaby katastrofą dla klanu Bez Szczytów i na odwrót. Zachowała jednak tę myśl dla siebie.

– Jak niewątpliwie wiecie, Rada Książęca wydała oświadczenie i wszystkie klany zielonych kości w kraju udzieliły mu poparcia – kontynuował Canto.

Kekoński rząd stanowczo potępił Ygutan za wysyłanie szpiegowskich samolotów nad Euman, jednoznacznie oznajmiając, że wyspa pozostaje kekońskim terytorium, mimo że od dawna stacjonują na niej cudzoziemscy wojskowi „goście”. Nalegał, by konflikt między dwoma mocarstwami powstrzymano za pomocą środków dyplomatycznych, lecz jednocześnie ostrzegał, że jeśli któraś ze stron spróbuje dokonać inwazji na Kekon bądź przejąć nad nim kontrolę, napotka opór.

– Kekon pragnie pokoju, pozostajemy jednak narodem wojowników niemających sobie równych na całym świecie – oznajmił w Gmachu Mądrości kanclerz Guim, stronnik klanu Góra. – W naszej długiej, dumnej historii przelaliśmy rzeki krwi w obronie swej niepodległości i z całą pewnością jesteśmy w stanie zrobić to znowu.

Espeński rząd nie był zadowolony z ostrego tonu tego wystąpienia, które – jak określił to Hilo – w przegadany, elegancki sposób mówiło: „Odpierdolcie się od nas jedni i drudzy”.

– Wszyscy popieramy słowa kanclerza, ale entuzjastyczna reakcja opinii publicznej, jaką widzieliśmy w kilku ostatnich dniach, dowodzi, że poparcie, które mamy, nie ogranicza się do słów – ciągnął przewodniczący Canto. – Dlatego oddaję teraz głos generałowi Ronu Yasugonowi, najwyższemu rangą

doradcy wojskowemu Rady Książęcej, który prosił o pozwolenie zwrócenia się do was bezpośrednio.

Ronu wstał i dotknął splecionymi dłońmi czoła, oddając honory wszystkim przywódcom zielonych kości. Miał na rękawach munduru złote generalskie paski, a w stalową bransoletkę zegarka wprawił jadeity. Shae spotkała go już kiedyś i była pewna, że to człowiek honoru, wykonujący bardzo trudną pracę. Dawno już zamienił wysoką pozycję w klanie Góra na karierę w małej i niedocenianej armii kekońskiej.

– W tym tygodniu Kekończycy byli zmuszeni stawić czoło rzeczywistości, na którą dowódcy wojskowi wskazywali już od wielu lat. Jesteśmy małym krajem i znaleźliśmy się między dwoma tygrysami. Choć kanclerz Guim zapewnia, że potrafimy odeprzeć cudzoziemską agresję, prawda wygląda tak, że naszą niewielką armię można pokonać z łatwością i w krótkim czasie. Espenia i Ygutan co roku zwiększają wydatki na cele wojskowe, a nasze siły zbrojne nadal zajmują niską pozycję na liście priorytetów państwa. Wczoraj stałem przed Radą Książęcą i starałem się przekonać ją do uchwalenia w pilnym trybie ustawy, która pozwoliłaby na zakup sprzętu, zwiększenie liczebności armii i wyszkolenie nowych żołnierzy. Wszystko to są środki niezbędne dla zwiększenia naszej gotowości obronnej.

– Nie zdołamy prześcignąć w wydatkach na zbrojenia krajów znacznie większych od nas – zauważył Sangun Ye, wiekowy, ale nadal bystry filar klanu Jo Sun. – Nasze bezpieczeństwo zawsze opierało się na wyszkolonych wojownikach zielonej kości, którzy w każdej chwili są gotowi do walki. Dbają o to ich klany.

– Przed prawie stuleciem ta starożytna mądrość zawiodła nas w starciu z przeważającymi siłami nieprzyjaciela, co doprowadziło do dziesięcioleci szotarskiej okupacji – zauważył Ronu.

– Mieliśmy wtedy potulnego, tchórzliwego króla i zbyt wiele małych, nieskoordynowanych klanów – odpowiedział Sangun. – To był mroczny okres w naszej historii, ale w końcu pokonaliśmy najeźdźców. Cudzoziemcy mogą sobie potrzasać szabelką, ale czy jakikolwiek kraj, nawet tak wielki i potężny jak Ygutan, byłby na tyle lekkomyślny, by zaryzykować inwazję na Kekon? Mieli wystarczająco wiele trudności w Oortoko, gdzie wszyscy ludzie są słabi. Nie powinniśmy wpadać w panikę z powodu zwykłego samolotu szpiegowskiego.

Syn Sanguna, prognostyk ich klanu, pokiwał głową, podobnie jak kilka innych zielonych kości. Shae czytała opinie licznych politycznych i wojskowych analityków. Większość z nich zgadzała się, że choć Kekon ma kluczowe znaczenie dla espeńskich interesów strategicznych na Amaryku i w związku

z tym jest logicznym celem dla ygutańskiej agresji, koszty podboju i utrzymania historycznie bardzo trudnej do zdobycia wyspy byłyby po prostu zbyt wysokie.

– Klany mogły się stać większe i potężniejsze, ale żyjemy teraz w zupełnie innym świecie niż nasi dziadkowie – sprzeciwił się generał Ronu. – Nie jesteśmy już jedynym krajem, który ma jadeitowych wojowników. Republika Espenii wyposaża swych doborowych żołnierzy w jadeit, który sprzedajemy jej pod auspicjami KSJ. Ygutan i jego wasale zdobywają zieleń na czarnym rynku. Od pewnego czasu trwają prace nad udoskonaloną wersją SN1, która będzie mniej niebezpieczna dla zdrowia. Espeńczycy nazywają ją SN2. Z pewnością trafi ona również do innych krajów.

Shae zauważyła, że siedzący naprzeciwko niej mężczyzna z rodziny Kobenów kiwa energicznie głową i wygląda, jakby chciał zerwać się z krzesła i głośno wyrazić zgodę.

Aura Ronu stała się ostrzejsza i gęstsza na brzegach. Generał mówił z wielkim przekonaniem.

– Oortoko było tylko pierwszym z zastępczych konfliktów między espenosferą a koalicją ygutańską. Kekon nie zdoła uniknąć wplątania w powolną wojnę. Czasy się zmieniły i musimy być teraz gotowi na konfrontację z żołnierzami, którzy potrafią się posługiwać jadeitem tak samo jak my.

Złowrogie słowa generała wywołały serię poirytowanych szeptów. Kekończycy bez oporów czerpali zyski z kontrolowanego przez KSJ eksportu jadeitu, ale w głębi serca z lekceważeniem odnosili się do myśli, że inne rasy mogą się nauczyć posługiwać zielenią. Powtarzali sobie, że zawsze będą w tym lepsi od innych i że noszący jadeit cudzoziemcy muszą brać uzależniające narkotyki i narażać się na przedwczesną śmierć.

Ronu zauważył, że trafił w czuły punkt. Uniósł rękę i kontynuował:

– Rada Książęca może uchwalić zwiększenie wydatków i zakup sprzętu, ale tylko klany zielonych kości są w stanie dostarczyć jadeit i wojowników. Proszę was, jako udziałowców KSJ i filary swych klanów, o wsparcie kekońskiej armii. Obecnie otrzymujemy niecałe cztery procent rocznego wydobycia. Zwiększcie ten przydział do sześciu i pół procent, zaczynając od tego roku. Znieście też tradycyjne bariery rekrutacji i pozwólcie absolwentom szkół sztuki walki zaciągać się do armii natychmiast po ukończeniu szkoły.

Rozległa się fala cichych pomruków, której towarzyszyła irytacja wyczuwalna w licznych jadeitowych aurach. Ta prośba daleko wykraczała poza wszystko, co sugerowano do tej pory. Jej spełnienie przyznałoby maleńkiej kekońskiej armii status porównywalny z klanami zielonych kości.

– Sześć i pół procent wydobycia jadeitu to więcej, niż otrzymuje większość klanów obecnych przy tym stole, a także najważniejsze instytucje zajmujące się

ochroną zdrowia i oświatą – sprzeciwił się filar klanu Kamienny Kubek. – Komu mielibyśmy odebrać jadeit, który damy armii?

– Bardziej niepokoi mnie plan rekrutacji – dodał Durn Soshu, filar Czarnego Ogonu. – Zgodnie z tradycją wszyscy absolwenci składają przysięgi swojemu klanowi. Rok czy dwa lata służby jako palec bardzo dobrze wpływają na młodzież.

Tym razem wielu obecnych pokiwało głowami. Shae wiedziała jednak, że w rzeczywistości wcale nie chodzi o tradycję ani o dobro młodzieży. Klany celowo przyjmowały w swoje szeregi wszystkich absolwentów, pomijając tylko tych, którzy wybierali szlachetne zajęcia, jakimi były medycyna, nauczanie i religijna pokuta.

Generał Ronu rozprostował ramiona. Przywołał na twarz stanowczy wyraz. Z pewnością się spodziewał się, że napotka podobne sprzeciwy.

– Niestety, to właśnie tradycja jest częścią problemu, Durn-jen – zaczął. –

Każda z zielonych kości wstępujących do armii ma inną ilość jadeitu. Otrzymują go po zakończeniu nauki, dostają w spadku od rodziny albo zdobyli go jako palce. Nasiąknęli już klanową kulturą i przenoszą wierność klanom do swoich oddziałów. Spodziewają się, że będą mogli nosić jadeit, kiedy tylko zechcą, i zdobywać go więcej, wyzywając na pojedynki innych żołnierzy. Trudno jest ich nauczyć, by stawiali dyscyplinę wyżej niż klanowe zwyczaje, przedkładali spójność oddziału nad popisy indywidualnej odwagi. Mówię to jako ktoś, kto sam musiał kiedyś przejść przez podobną zmianę. Szczerze mówiąc, zielone kości wychowane i wyszkolone w dużym klanie mogą być dzielnymi wojownikami, ale są kiepskimi żołnierzami. Kiedy wstąpiłem do armii, dwadzieścia lat temu, spotkałem się z niedowierzaniem oraz dezaprobatą rodziny i innych zielonych kości – kontynuował Ronu. – Byłem pięścią średniej rangi i wszyscy mi powtarzali, że to dla mnie krok do tyłu. Minęło już z górą dwadzieścia lat, ale nadal obowiązuje takie samo podejście. Chciałbym to zmienić i proszę was o pomoc w tej sprawie. Jeśli pozwolicie absolwentom szkół walki zaciągać się do armii, nim utrwala się w nich klanowe zwyczaje, dacie do zrozumienia, że służba krajowi w mundurze to honorowe zajęcie, zasługujące na szacunek, w takim samym stopniu jak bycie zaprzysiężonym członkiem klanu.

Musimy dokładnie policzyć, jak wpłynie to na obie strony klanu – napisała pośpiesznie w notatniku Shae. Zasugeruj odroczenie głosowania do następnego cokwartalnego spotkania.

Podsunęła notatkę Hilowi. Zerknął na nią, ale pierwszy zabrał głos filar klanu Jedność Sześciu Dłoni.

– Generał Ronu proponuje zmianę o poważnym znaczeniu. Potrzebujemy czasu, by w pełni rozważyć jej konsekwencje. Powinniśmy pozwolić

przywódcom klanów przedyskutować tę propozycję z sojusznikami i zarządzić kolejne spotkanie za jakiś miesiąc.

Przewodniczący Canto zaczął wstawać z krzesła.

– To brzmi roz...

– Z pewnością właśnie nadeszła chwila na stanowcze działanie, które zapewni opinię publiczną o naszej jedności – odezwała się Ayt Mada, przerywając mu w pół słowa. Wszyscy spojrzeli na nią. – W pełni zgadzam się z generałem Ronu. Kekońska armia potrzebuje więcej jadeitu, więcej ludzi i więcej szacunku.

Do tej chwili ani Ayt Mada, ani Kaul Hilo nie odezwali się ani słowem. Byli filarami dwóch najważniejszych klanów i ich opinia miała największe znaczenie. W ostatecznym rozrachunku to oni rozstrzygną, jakie decyzje zostaną tu dziś podjęte. Z reguły pozwalano, żeby eksperci, urzędnicy państwowi oraz przedstawiciele mniejszych klanów pierwsi zabierali głos, jeśli uważali, że mają coś do powiedzenia, albo chcieli wpłynąć na decyzję Ayt bądź Kaula. Nie byłoby zaskoczeniem, gdyby spotkanie odroczone, nim któreś z dwojga najważniejszych przywódców wyrazi swą opinię. Nikt się nie spodziewał, że Ayt Madashi zabierze głos tak szybko.

– Ponieważ mój prognostyk musiał wyjechać za granicę w ważnych sprawach klanowych i nie mógł być dzisiaj obecny, przyprowadziłam ze sobą Koben Yira – oznajmiła Ayt. – Koben-jen jest szanowanym biznesmenem, właścicielem licznych stacji radiowych i ma też kuzynów w armii. W związku z tym lepiej niż większość z nas rozumie problemy, przed jakimi stają zwyczajni cywile oraz żołnierze w tym niebezpiecznym czasie.

Otrzymawszy pozwolenie Ayt, Koben włączył się do dyskusji jak koń, któremu poluzowano wodze.

– Będzie dla mnie zaszczytem podzielić się swoją opinią z moją filar i Kekońskim Sojuszem Jadeitowym – zaczął niskim, dźwięcznym głosem. – Kobenowie są liczną i dumną rodziną z klasy średniej. Jest wśród nas wiele zielonych kości, a także nienoszących jadeitu kuzynów. Podobnie jak wszyscy ciężko pracujący, patriotyczni Kekończycy dbamy przede wszystkim o bezpieczeństwo rodziny, środki do życia oraz nasze tradycje. To, co wydarzyło się w wigilię Nowego Roku, wzbudziło nienawiść do Ygutanu, ale nie możemy również ufać Espenii, której obecność już od tak dawna rzuca cień na nasz kraj. – Podekscytowany Koben uniósł palec wskazujący. – Dlatego ludzie spoglądają z nadzieją na klany zielonych kości, którym ufają, licząc na szybki i silny przekaz świadczący o determinacji.

Ayt skinęła lekko dłonią, uciszając Kobena. Mężczyzna sprawiał wrażenie, że chętnie powiedziałaby coś więcej, ale powstrzymał się i natychmiast usiadł.

– Powinniśmy dać przykład Radzie Książęcej i działać bez wahania – oznajmiła Ayt, zwięźle i autorytatywnie. – Jako filar klanu Góra popieram zwiększenie przydziału jadeitu dla sił zbrojnych pod warunkiem, że redystrybucja będzie sprawiedliwa. Zgadzam się też, że służba w kekońskiej armii powinna być jedną z opcji stojących przed zielonymi kośćmi po ukończeniu nauki. – Przerwała na moment. – Pod warunkiem, że reszta filarów wyrazi zgodę – dodała, jakby dopiero w tej chwili przyszło jej to do głowy. – Tak ważne zmiany powinno się wprowadzać wyłącznie wtedy, gdy wszyscy są tego samego zdania.

Nikt jej nie odpowiedział. Nawet generał Ronu sprawiał wrażenie zdumionego natychmiastowym i bezwarunkowym poparciem Ayt Mady. Wszyscy odwrócili głowy w stronę Hila, siedzącego w niedbalej pozie naprzeciwko rywalki. Shae napisała pośpiesznie w leżącym między nimi notatniku: GRAJ NA ZWŁOKĘ.

– Nie. – Odpowiedź Hila była jak ciężki głaz rzucony w sam środek strumienia. – Nie mam nic przeciwko temu, by Ronu dostał jadeit, o który prosi. Większa jego część może pochodzić z przydziału, który zwykle otrzymują świątynie. W końcu ile jadeitu mogą potrzebować pokutnicy, żeby rozmawiać z bogami? Resztę pokryje Skarbiec Państwowy. Nie zgodzę się jednak na zmianę przysięg, jakie składają absolwenci Akademii Kaul Dushurona. Jeśli chcecie zrobić to inaczej w Szkole Świątynnej Wie Lona, to wyłącznie wasza sprawa.

Ayt Mada nie traciła czasu.

– Z pewnością tym razem powinniśmy postawić jedność przed partykularnymi interesami, Kaul-jen – oznajmiła wykalkulowanym, moralizatorskim tonem. – Sprawiedliwość wymaga, by dwa klany mające najwięcej członków i jadeitu podzieliły się tym, co mają.

– Armia jest tylko ręką kraju. Klany są jego kręgosłupem. – Hilo przymrużył powieki, wlepiając spojrzenie w drugą stronę stołu. – Nie wszystkie klany mogą sobie pozwolić na poświęcenie części zasobów. Nie wszystkie utuczyły się na rekrutacji *barukanów* i zyskach z czarnego rynku.

Gęsta chmura jadeitowych aur przesunęła się niespokojnie, przenosząc uwagę między jednym a drugim z filarów.

– Bezpodstawne oskarżenia nie powstrzymają waszych latarników przed rozsądnym przeniesieniem swej lojalności w lepsze miejsce, Kaul-jen. Nie zamaskują też faktu, że sprzeciwicie się zaspokojeniu pilnych potrzeb kraju.

Aura Ayt promieniowała gorącym samozadowoleniem. Spojrzała z żalem na generała Ronu, ale mówiła do całej sali.

– Niestety, nie każdy filar potrafi stawiać na pierwszym miejscu interes kraju. Wygląda na to, że KSJ nie jest w stanie udzielić poparcia twoim zasługującym na

uznanie planom zreformowania armii, generale. Chyba że klan Bez Szczytów zmieni zdanie.

Shae zrozumiała, dlaczego Ayt tak szybko i bez wahania poparła propozycję Ronu. Góra mogła sobie pozwolić na oddanie części palców armii, a klan Bez Szczytów nie. Strata części wojowników uniemożliwiłaby im ochronę biznesów przed przestępcami i antyklanowymi agitatorami, nie mogliby też bronić swych granic przed Górą, której liczebność ostatnio wzrosła. Zostawali już z tyłu pod względem finansowym, a dalsza utrata zaufania latarników przyspieszyłaby zagładę klanu Bez Szczytów.

Ayt wiedziała, że Hilo musi zawetować propozycję Ronu i wniosek zostanie odrzucony. Wykorzystała tę okazję, by przedstawić siebie i wspierającą ją rodzinę Kobenów jako przywódców dbających o interesy Kekonu, a klan Bez Szczytów jako interesowny i niepatriotyczny. Rzucała to oskarżenie przeciwko nim już od dawna i nie zamierzała z tego zrezygnować.

Shae schowała ręce pod stół i wygięła długopis tak mocno, że rozpadł się na plastikowe fragmenty. Gniewały ją pułapki nieustannie zastawiane przez Ayt, ale była też wściekła na Hila. Podobnie jak w przypadku zdrady Fuyin Kana w Podwójnym Szczęściu dostrzegł niebezpieczeństwo prędzej od niej, ale dyplomacja nie leżała w jego naturze.

– Kaul-jen... – zaczął generał Ronu – czy zechciałbyś może zmienić...

– Nie potrzebujesz napływu absolwentów szkół sztuki walki – przerwał mu Hilo. – Cudzoziemcy mają mniej jadeitu i rzadszą krew, ale potrafią przygotować posiłek z ochłapów. Nie wmawiaj mi, że nie możesz lepiej wykorzystać pieniędzy i jadeitu, które już masz.

Nikt, nawet Ayt Mada, nie umiał przemawiać tonem nieodwołalnego rozkazu tak, jak Hilo. Generał Ronu umilkł jak młody palec skarcony przez doświadczoną pięść.

– Ta dyskusja z pewnością wniosła bardzo wiele – stwierdził przewodniczący Canto Pan, dziarsko zrywając się na nogi, by rozładować napięcie i zapobiec dalszym replikom. – Myślę, że powinniśmy ją kontynuować na najbliższym cokuwartalnym spotkaniu, gdy rozważymy już wszystkie opcje i zastanowimy się, jak najlepiej zaspokoić potrzeby generała Ronu, jako że wszyscy się zgadzamy, że powinno się to zrobić, nawet jeśli różnimy się w kwestii metod prowadzących do tego celu.

Nikt się nie sprzeciwiał, gdy Canto podziękował Ronu i ogłosił zakończenie spotkania. Hilo natychmiast wstał i bez słowa opuścił salę.

Shae wsadziła papiery do torebki. Słyszała niski głos Koben Yira, pogrążonego w przyjacielskiej rozmowie z lennikami Góry. Podniosła się z krzesła i wypadła z sali. Dogoniła Hila na korytarzu i złapała go za łokieć.

– Mówiłam ci, żebyś nie odmawiał – wysyczała. – Nie dałeś nam czasu na złożenie kontrpropozycji. Góra wykorzystała to przeciwko nam. Postarają się, żeby prasa rozszarpała nas na kawałki.

Hilo wykrzywił twarz we wściekłym grymasie.

– Wolę, żeby rozszarpała mnie prasa, niż żeby zabili mnie naprawdę, gdy wszystkie plany Ayt wreszcie wydadzą owoce. – Zerknął na idących za nimi ludzi i pochylił się do ucha siostry. – Chcesz kłócić się teraz, na oczach naszych wrogów? Próbuję ugasić każdy pożar, który wzniesają, Shae, a ty mi w tym przeszkadzasz. Słowo filaru jest ostateczne, ale ty nigdy nie potrafiłaś tego respektować, prawda?

Wyrwał się z jej uścisku i ruszył ku schodom, chcąc uniknąć wszelkich rozmów przy windach. Shae odprowadzała go wzrokiem, zaciskając mięśnie z bezsilnej frustracji.

– Kaul-jen – odezwał się nagle ktoś za nią.

Odwróciła się i zobaczyła wysoką zieloną kość w drucianych okularach. Poznała prognostyka klanu Jedność Sześciu Dłoni. Na spotkaniu siedział w odległości dwóch krzeseł na lewo od Ayt Mady.

Zaczerpnęła tchu, by oczyścić jadeitową aurę z ekscytacji, i skinęła uprzejmie głową, próbując sobie przypomnieć jego nazwisko. Nacisnął przycisk ze strzałką w dół.

– To było wyjątkowo ożywione spotkanie KSJ, nieprawdaż? – zapytał. – Zupełnie niepodobne do zwykłych debat budżetowych. Być może nasz kraj rzeczywiście znalazł się między dwoma tygrysami, jak powiedział generał Ronu, ale mamy też dwa własne tygrysy, Górę i klan Bez Szczytów. Kiedy rykniecie, mniejsze stworzenia, takie jak my, biegają w tę i we w tę, próbując odgadnąć, przy którym z was łatwiej unikną pożarcia.

Winda przybyła i drzwi się otworzyły. Prognostyk Jedności Sześciu Dłoni skinął uprzejmie na Shae, przepuszczając ją przed sobą. Obrzuciła go nieufnym spojrzeniem. Nie Postrzegająca nieprzyjaznych intencji, nie miała też powodu, by uważać go za osobistego wroga, ale w końcu był sojusznikiem Góry.

Wszedł do windy za nią i natychmiast nacisnął przycisk, by nikt z wychodzących nie podążył za nimi. Zostali tylko we dwoje w ciasnej kabinie. Postrzeganie Shae rozjarzyło się jasnym płomieniem. Tętno mężczyzny przyśpieszyło. Był podenerwowany, lecz nie uwidaczniało się to na jego twarzy. Zjeżdżali na parter.

– Gdzie jest twój filar? – zapytała Shae. – Czy nie wychodzicie razem?

– Wkrótce też wyjdzie, jak już skończy z rozmowami – odpowiedział. – Jutro rano wracamy do Lukangu. – Jedność Sześciu Dłoni miała siedzibę w drugim co

do wielkości mieście Kekonu, na południowym wybrzeżu wyspy. Po czole mężczyzny spłynęła kropelka potu. – Byłaś już tam kiedyś, Kaul-jen?

– Tak, ale dość dawno temu – odpowiedziała.

– Bardzo się rozrosło. Myślę, że będziesz pod wrażeniem. Powinnaś nas odwiedzić, gdy tylko znajdziesz czas.

Wyciągnął wizytówkę z kieszeni na piersi i wręczył ją Shae. Po jednej stronie na białym tle napisano nazwisko Tyne Retubin oraz numer telefonu, a po drugiej umieszczono czerwoną pieczęć klanu, znak symbolizujący autorytet jego filaru.

– Jedność Sześciu Dłoni będzie zachwycona, jeśli zaszczycisz nas wizytą – zapewnił Tyne. – Możesz do mnie zadzwonić. Porozmawiamy jak dwoje prognostyków.

Winda się zatrzymała. Drzwi się otworzyły i Tyne wyszedł, nie odzywając się ani nie oglądając. Shae zaczęła chwilę, by nie widziano ich razem. Zdawała sobie sprawę, że Tyne Retu wykonał niebezpieczne zadanie, zleczone mu przez filar.

Schowała wizytówkę do kieszeni, dotykając palcem jej brzegu, jakby sprawdzała ostrość noża. Nie wypuszczała jej z dłoni, nim dotarła do odległego o pięć przecznic biura na Statkowej. Jej umysł pracował jak szalony. Prostokątny kartonik mógł być kolejną pułapką Góry, ale mógł też oznaczać, że karta się odwróciła i bogowie udzielili jej odpowiedzi, która rozwiąże najpilniejsze problemy klanu Bez Szczytów i pozwoli mu wyprzedzić wrogów. Jedność Sześciu Dłoni, największy z klanów podporządkowanych Górze, była zainteresowana przejściem na ich stronę.

* * *

Pożegnanie Woono było niezobowiązującym spotkaniem urządzonym po pracy w prywatnej sali baru hoji Pijana Kaczka. Zjawiło się wielu szczęściodawców z klanu, pragnących najeść się, napić i złożyć życzenia Woonowi, ale żaden z nich nie siedział tam zbyt długo. Woon Papidonwę otaczano na Statkowej szacunkiem, ale nie miał tam zbyt wielu przyjaciół. To była cena, jaką musiał zapłacić za to, że był zastępcą prognostyczki, podwładnym młodszej od niego kobiety, nawet jeśli pochodziła ona z rodziny Kaulów.

– To było bardzo przyjemne spotkanie, Shae-jen – oznajmił później. Dziękuję. – Zawahał się. – Odwiózłbym cię do domu jak zwykle, ale wypilem kilka kolejek – wyznał. – Muszę chwilę poczekać.

– Ja poprowadzę – zaproponowała. – Przeczyścisz sobie głowę podczas jazdy.

Woon dał jej kluczyki i pojechali jego samochodem do rezydencji Kaulów. Gdy dotarli na miejsce, padający z przerwami deszczyk przerodził się w pierwszą wiosenną ulewę. Skinęła na strażników, wjechała do środka i zaparkowała pod domem prognostyka. Woon otworzył parasol i odprowadził ją do drzwi, unosząc go nad ich głowami. Wpuściła go do środka i zdjęła płaszcz. Woon potrząsnął parasolem.

– Zaczekaj, aż przestanie padać i poczujesz, że możesz już prowadzić – powiedziała.

Zaparzyła herbatę, a potem usiedli razem na kanapie. Woon wziął w ręce filiżankę, którą mu podała.

– Pewnie w przyszłym tygodniu po pracy będę bez zastanowienia jeździł tutaj – stwierdził. – I budził się nocami, przerażony myślą, że zapomniałem ci przypomnieć o ważnym punkcie twojego harmonogramu.

– Nie rób tego. – Shae parsknęła śmiechem. – Cieszę się, że przyjąłeś nowe wyzwanie – dodała poważniejszym tonem. – Mam też nadzieję, że będziesz mógł spędzać więcej czasu z Kiyą.

Woon skinął głową i wypił łyk herbaty. Od tego pierwszego razu nigdy już nie wspominał o poronieniu żony i nie mówił, czy spróbują jeszcze raz.

– Jak wam poszło dziś rano? – zapytał.

Gdy Shae opowiedziała mu, co się wydarzyło, zerwał się na nogi i zaczął spacerować po salonie.

– Przeciągnięcie Jedności Sześciu Dłoni na naszą stronę byłoby ogromnym sukcesem – stwierdził. – Sama ich danina bardzo poprawiłaby naszą sytuację finansową, nie wspominając już o ich zielonych kościach w Lukangu. To miasto rozwija się bardzo szybko i przejęcie nad nim kontroli znaczyłoby znacznie więcej niż zagarnięcie przez Górę Fuyin Kana czy nawet wielu naszych latarników. – Woon zmarszczył brwi i po prawej stronie jego czoła pojawił się dołeczek. Jego umysł pracował intensywnie, podążając tymi samymi drogami, co przedtem umysł Shae. – Czy to może być pułapka? Próba skłonienia nas do ujawnienia pewnych informacji albo odsłonięcia się w jakiś sposób?

– Też się nad tym zastanawiałam – przyznała Shae. – Ale Tyne sprawia wrażenie szczerego. Nie byłby taki nerwowy w tej windzie, gdyby nie chodziło o los jego klanu.

Woon zaczął spacerować w drugą stronę.

– Musimy dokładnie wszystko sprawdzić i posuwać się naprzód bardzo ostrożnie, żeby się upewnić, że to autentyczna oferta, zanim zgodzimy się na spotkanie z ich przywódcami albo zobowiązemy się do czegokolwiek. Oczywiście musimy też utrzymywać wszystko w tajemnicy. Zacznę zbierać

wszelkie dostępne informacje o Jedności Sześciu Dłoni i porozmawiam dyskretnie z naszymi ludźmi w Lukangu.

Shae pokiwała głową. Otworzyła usta, żeby wyrazić na głos zgodę, ale powstrzymała się nagle.

– Nie – sprzeciwiła się.

Woon zatrzymał się gwałtownie i spojrział na nią ze zdziwieniem.

– To już nie jest twoje zadanie – przypomniała mu. – Masz teraz inne obowiązki. – Uśmiechnęła się, starając się nieco go pocieszyć. – W pierwszy dzień obejmiesz nowe stanowisko i będziesz miał mnóstwo roboty. Te sprawy zostaw Lutowi.

Woon będzie klanowym dawcą pieczęci. To było nowe stanowisko. Uznali, że jest potrzebne, ponieważ uwolni Shae od konieczności poświęcania czasu na niekończące się zebrania. Jako rzecznik klanu Bez Szczytów i łącznik do spraw politycznych będzie odpowiedzialny za kontakty z Radą Książęcą, przedstawicielami obcych rządów, zhołdowanymi klanami oraz prasą. To będzie dobre zajęcie dla Woon, ponieważ można było polegać, że wszystko dokładnie przekaże, zrozumie, jakie są priorytety klanu i będzie postępował zgodnie z nimi, zachowa ostrożność w rozmowach z obcymi i nigdy nie powie im zbyt wiele.

Jej szef sztabu sprawiał dotąd wrażenie zadowolonego z nowej pozycji, ale tym razem sprzeciwił się niemal gniewnie.

– To za trudne i zbyt ważne dla Luta.

– Sam przyczyniłeś się do tego, że dostał tę robotę, Papi-jen – przypomniała mu. – Mówiłeś, że jest bardzo bystry i poukładany, i że na pewno dobrze mi się będzie z nim współpracowało.

– Tak, ale... – Woon zaciął się na chwilę. – Jest zupełnie nowy. Wyszkoliłem go, na ile było to możliwe, ale nadal potrzebuje czasu, by się nauczyć, jak być twoim cieniem. Przejęcie lennego klanu to skomplikowane i niebezpieczne zadanie. Nie możemy sobie pozwolić na żadne błędy. Pozwól mi w tym uczestniczyć i przynajmniej nadzorować działania Luta.

Shae zaśmiała się słabo.

– Pamiętasz, że sam prosiłeś o pozwolenie odejścia? Miałeś od tej chwili pracować mniej, a nie więcej.

Nie była w stanie zapomnieć tego, co powiedział jej Hilo dziś rano w samochodzie. „Nie potrafię zrozumieć, dlaczego się dręczy, pracując dla ciebie”. Woon chciał pozostać jej pomocnikiem w jakiejś formie, ponieważ był przekonany, że Shae go potrzebuje. I miał rację.

– W porządku – ustąpiła. – Ale pozwól Lutowi wykonać tyle roboty, ile tylko możliwe, i postaraj się, żeby to nie odciągało cię od twojej właściwej pracy.

Woon skinął z ulgą głową i usiadł obok niej na kanapie.

– Bez względu na mój oficjalny tytuł, moim głównym zadaniem zawsze będzie pomaganie ci, Shae-jen.

Poczuła nagły ucisk w gardle. Przysunęła się do przyjaciela i objęła go ramionami.

– Zrobiłeś już wystarczająco wiele – zapewniła, wspierając podbródek na jego ramieniu. – Od sześciu lat polegałam na tobie bez chwili przerwy i dałam ci w zamian bardzo niewiele. Wszyscy składamy przysięgi zielonych kości i zapewniamy w nich, że jesteśmy gotowi umrzeć za klan. Ale żyć dla klanu, poświęcać mu każdy dzień, jak ty, Papi-jen... myślę, że to jeszcze większe poświęcenie.

Jadeitową aurę Woon przeszył impuls emocji. Oparł się o Shae i położył dłoń na jej ramieniu, dotykającym jego piersi.

– Obawiam się, że myślisz, że opuszczam to stanowisko, bo czuję się zmęczony albo nie odpowiada mi pozycja twojego cienia. Albo że... – zawahał się – oczekuję od ciebie czegoś więcej. Tak nie jest.

Wewnątrz klatki piersiowej Shae narastało napięcie. Nie mogła znieść myśli, że Hilo miał rację, oskarżając ją, że nie mówi Woonowi tego, co trzeba mu powiedzieć. Teraz jednak miała okazję to naprawić, nim będzie za późno.

– Nie mogę mieć do ciebie pretensji o to, że pragniesz odzyskać własne życie. To ja ciebie wykorzystywałam – wyznała, ciesząc się, że Woon nie widzi jej twarzy. Z pewnością jednak Postrzegął łomotanie jej serca. – Po zamordowaniu Lana wykorzystałam twoją żalobę, by skłonić cię do pracy dla mnie, mimo że oboje świetnie wiedzieliśmy, że gdyby wszystko ułożyło się inaczej, mógłbyś sam zostać prognostykiem. Bez ciebie nie poradziłabym sobie na Statkowej, ale żałuję, że tak postąpiłam, a jeszcze bardziej tego, że mówię ci o tym dopiero teraz.

Jej były zastępca milczał tak długo, że Shae zaczęła się obawiać, iż popełniła straszliwy błąd, wspominając o śmierci Lana. Oboje przeżywali ten smutek, ale nie dzielili się nim ze sobą. Odsunęła ręce od Woon, ale on odwrócił się do niej, ujął jej drobne dłonie w swoje wielkie łapska i uściśnął je tak mocno, że wyczuwała jego tętno.

– Nigdy nie stałbym się takim prognostykiem jak ty, Shae-jen – oznajmił ochrypłym głosem, opuszczając wzrok. – Nie byłem też filarowym, jakiego potrzebował Lan. Robiłem wszystko, o co mnie prosił, i dotrzymywałem jego tajemnic, nie zadając pytań. To był błąd. Powinienem był zabrać głos, sprzeciwić się mu. Pójść do Hilo-jena. Ale tego nie zrobiłem. Cieszyłem się z awansu i choć wiedziałem, że Lan odniósł rany i bierze błysk, zostawiłem go samego w chwili, gdy najbardziej mnie potrzebował.

Woon uniósł wzrok. Jego zwykle spokojne oczy wypełniała głęboka rozterka.

– Z powodu tego błędu zasłużyłem na śmierć. Obiecałem sobie, że zrobię dla siostry Lana wszystko, czego nie zrobiłem dla niego, że będę ją wspierał na wszelkie możliwe sposoby, ale także stawiał jej wyzwania i zawsze mówił jej to, co trzeba powiedzieć, by mogła stać się prognostykiem, jakim ja nie potrafiłbym być.

Uniósł rękę i otarł łzę spływającą po boku nosa Shae.

– Nie minęło wiele czasu, nim rola twojego cienia przeszła z obowiązku w coś, co pragnąłem robić dla własnej, egoistycznej przyjemności. Wcale nie była łatwa i niekiedy obawiałem się, że cię zawiodę, ale gdybym mógł zacząć od nowa, zgodziłbym się bez wahania. Klan jest moją krwią, ale dla mnie to prognostyczka jest jego panią.

Shae nie potrafiła mu odpowiedzieć. Deszcz przestał padać i niebo zrobiło się bezchmurne. Woon puścił jej ręce i odwrócił się, by ukryć zawstydzoną minę.

– Powinienem już jechać – rzekł i zaczął wstawać.

Złapała go za nadgarstek i zerwała się na nogi, nim zdążył się wyprostować.

– Nie.

Przez ich jadeitowe aury przebiegła zmarszczka dzielonego pragnienia.

– Shae... – zaczął Woon głosem o dziwnej intonacji.

Nagle przestrzeń dzieląca ich od siebie zniknęła. Wpił się w jej usta – czy może ona zrobiła to pierwsza, nie miała pojęcia, które z nich to zainicjowało. Wiedziała tylko, że dzielący ich kruchy mur, który pracownicy podtrzymywali z przeciwnych stron, runął w jednej chwili. Wpięła się na palce i objęła jego szyję. Woon zanurzył dłonie w jej włosy, przyciągnął jej głowę bliżej i ich języki odnalazły się nawzajem z drżącą, pełną desperacji pasją, wypełniającą każdy centymetr kwadratowy powierzchni ciała Shae.

Wpadła w otchłań pożądania jak kamień wrzucony do spokojnego stawu. Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio z kimś była, prawie cztery lata, a tamten związek zakończył się straszliwą tragedią. Mimo to nie czuła wahania, całując Woon, nie poddawała mu się świadomie ani nie czuła szoku wywołanego niezwykłością. To, co się działo, było dla niej znajome i naturalne jak grawitacja. Czuła żar pożądania wypełniający jego aurę, jakby ktoś podpalił benzynę. Jego gorąco oślepiło jej zmysł Postrzegania.

Z ust Woon wyrwał się cichy pomruk. Pocałował ją jeszcze mocniej i wsunął dłonie pod jej bluzkę, dotykając gołej skóry na brzuchu i plecach. Ich oddechy stawały się coraz głośniejsze. Sięgnęła do jego paska, odpięła go i wyciągnęła koszulę na zewnątrz.

Woon złapał gwałtownie jej dłoń i ją unieruchomił, cofnął głowę i wlepił w nią spojrzenie, w którym żądza mieszała się ze zdumieniem. Pierś mu falowała. Z wielkim wysiłkiem starał się zapanować nad sobą. Jego aura kipiała.

Shae patrzyła na niego, otwierając szeroko oczy. Czuła się jak ptak złapany nagle w locie.

– Dlaczego? – zdołał zapytać. – Dlaczego teraz? – Shae nie potrafiła określić, czy naprawdę liczył na odpowiedź. Odwrócił głowę i nią pokręcił, jakby niespodziewanie otrzymał cios w potylicę i próbował się uwolnić od mroczków przed oczami. – Bogowie, dlaczego teraz, po tak długim czasie?

Pragnęła go objąć i znowu pocałować, ale odsunął się od niej, zapiął pasek i z powrotem wcisnął koszulę w spodnie. Nie był w stanie spojrzeć jej w oczy. Wstrząsnęło ją, jak bardzo zraniona się czuje.

– Byłeś moim szefem sztabu – odpowiedziała. – Łączyły nas relacje służbowe. I... – Shae poczuła nagle ukłucie wyrzutów sumienia. – Byliśmy wtedy z innymi osobami.

– Jesteśmy – poprawił ją Woon. – Mam żonę.

Dotknął czoła kłębem dłoni i potarł dołeczek. Shae widziała, jak to robił, kiedy był w biurze i dyskutował z nią o jakimś trudnym problemie. Speszyło ją, gdy ujrzała ten znajomy gest u siebie w domu, gdy oboje mieli zaczerwienione twarze i potargane ubrania. Tak bardzo przyzwyczyła się do tego, że Woon jest jej solidnym, niezawodnym współpracownikiem, że po prostu nie potrafiła uwierzyć, że kilka ostatnich minut wydarzyło się naprawdę. Gdy jednak przyjrzała się jego głęboko osadzonym oczom, ostro zarysowanym ustom, szerokiej piersi i długim rękoma, zadała sobie pytanie, dlaczego nie wydarzyło się wcześniej.

– Powinienem już jechać – powtórzył, tym razem z przekonaniem.

Odrętwienie i strach skupiły się w zimną kulę w brzuchu Shae. Zniszczyła ich przyjaźń, utraciła jego szacunek i sympatię. Doszła do wniosku, że w ogóle nie radzi sobie z mężczyznami. Była w tym gorsza niż ktokolwiek inny.

Bez słowa wyjęła kluczyki z kieszeni żakietu i podała mu. Kiedy ich palce się zetknęły, Postrzegła tęsknotę i dezorientację, które wypełniły jadeitową aurę Woon, nadając temu przypadkowemu dotykowi nieproporcjonalnie wielkie znaczenie, biorąc pod uwagę, jakie bariery przekroczyli przed chwilą.

– Wybacz – wyszeptała z przygnębieniem. – Nie powinnam...

Przerwał jej gwałtownym potrząśnięciem głowy.

– Nie – rzekł i wziął stojący przy drzwiach parasol, nie oglądając się na nią. Garbił się wyraźnie. – Dobranoc, Shae-jen – powiedział jeszcze, bezskutecznie starając się nadać swemu głosowi normalne brzmienie, po czym otworzył drzwi.

– Jedź ostrożnie – ostrzegła go.

Gorączkowo starała się wymyślić jakieś dalsze słowa, które naprawiłyby sytuację przed jego odejściem, ale nic nie przyszło jej do głowy.

Stała przy oknie, odprowadzając wzrokiem oddalające się światła jego samochodu. Gdy już zniknęły za bramą posiadłości, zarzuciła sobie koc na ramiona i długo siedziała w milczeniu, popijając gorzką, zimną, zbyt mocną herbatę.

ROZDZIAŁ 7

NOWY PRZYJACIEL

Zebrania Ruchu Bezklanowa Przyszłość odbywały się dwa razy w tygodniu w sali Małej Persymony. Półtora roku temu, gdy Bero po raz pierwszy wspiał się po wąskich schodach do słabo oświetlonego pomieszczenia na piętrze, znalazł tam tylko trzech mężczyzn grających w karty. Dzisiaj przy barze i wokół małych stolików zebrało się około trzydziestu osób. Pili brandy, palili i przekazywali sobie nawzajem ulotki wydrukowane na cienkim, szarym papierze gazetowym.

Nigdy niemilknące do końca odgłosy janloońskiego ruchu ulicznego przeszły z cichego szmeru w głośny hałas, gdy ludzie skończyli pracę i wyszli z radością w ciepły wiosenny wieczór. Jednakże nieliczne okna w Małej Persymonie celowo pozostawiono zamknięte. Czerwone lampy wiszące nad czarnym barem i małym parkietem rzucały słaby, klaustrofobiczny blask na twarze o podejrzliwym wyrazie. Śmiały atak na kasyno Poczwórna Wygrana przeprowadzony przed czterema miesiącami zwabił kandydatów na rewolucjonistów, ale uczynił też podobne zebrania bardziej niebezpiecznymi. Klan Bez Szczytów nie zdołał dotąd zidentyfikować sprawców, ale starannie sprawdził wszystkie znane miejsca spotkań przestępców na swym terytorium i obiecał nagrodę każdemu, kto wskaże winnych. Suma była tak wysoka, że Bera kuśiło, by wydać Guriha, Otonya, a nawet Tadina, ale zapewne wsypaliby go, zanimby ich zabito.

Bero ruszył ku ławom z czerwonym obiciem ustawionym pod ścianą i usiadł między Tadinem a młodą kobietą noszącą różową apaszkę. Postawił plecak między swoimi stopami, uważając, by jego zawartość nie brzęknęła przy zetknięciu z podłogą. Tadino trącił go kościstym łokciem.

– Przyniosłeś to? – wyszeptał. – Pójdziemy później narobić trochę syfu, tak?

Guriho i Otonyo nie planowali nowych, spektakularnych ataków. Oznajmili, że wszyscy powinni na razie siedzieć cicho i skupiać się na werbowaniu nowych

członków RBP. Mimo to Bero i Tadino czasami wybierali się na miasto z łomami i pojemnikami z farbą, by wyrządzić trochę szkód w klanowych biznesach. Zawsze przemieszczali się między dzielnicami bez żadnego regularnego wzorca. Byli jak ryby kąsające wieloryba, ale życie Bera nigdy nie wyglądało inaczej. Przyzwyczał się do tego, że zawsze jest na dnie. Można było usunąć farbę i wprawić nowe szyby, ale za każdym razem klany ponosiły koszty i coraz więcej ludzi zaczynało rozumieć, że nawet małe rybki mogą zaszkodzić zielonym kościom.

Guriho wyszedł na środek pomieszczenia, trzymając w dłoni podkładkę do pisanego, i zaczął mówić do mikrofonu. Bero zawsze uważał, że oortokański mieszaniec wygląda jak kozioł w swetrze. Miał małe oczka i długą, gęstą brodę. Dyszał ciężko i mówiąc, spacerował w tę i w tę, zawsze też sprawiał wrażenie nieco zaniedbanego. Był jednak pełnym pasji mówcą.

– Mówią, że jadeit jest darem nieba, ale w rzeczywistości to klątwa zesłana przez demony z piekła. Na całym świecie ludzie wykorzystują go do czynienia zła. Tutaj, na Kekonie, wszyscy muszą żyć pod tyrańską władzą zielonych kości. W Szotarze noszący jadeit członkowie gangów *barukanów* dopuszczają się wymuszeń, morderstw i gwałtów. Wyposażeni w jadeit espeeńscy żołnierze zmieniają Oortoko w zniszczone wojną pustkowia. A kto kontroluje jadeit?! – zawołał Guriho. – Kto siedzi na szczycie tej piramidy przemocy i korupcji? Klany zielonych kości z Kekonu.

Słuchacze poparli go gniewnym pomrukiem i zatupali w podłogę na znak aplauzu. Kobieta siedząca obok Bera pochyliła się na krawędzi ławki, słuchając z uwagą. Była ładna. Bardzo ładna. Zbyt ładna i za młoda na to towarzystwo. Miała krótkie, seksowne włosy, białą jak mleko skórę i pełne, lekko rozchylone wargi.

– Hej, jak masz na imię?

Spojrzała na niego, unosząc brwi z podejrzliwością i zaciekawieniem. Bero był przyzwyczajony do takiej reakcji ze strony kobiet, ponieważ był młody i miał zniekształconą twarz – co czyniło go brzydkim, lecz jednocześnie sugerowało, że jest w nim coś interesującego.

– Ema – odparła po chwili wahania dziewczyna w apaszcze.

Bero chciałby uwierzyć, że z nim flirtuje, podając mu zdrobnienie osobistego imienia zamiast nazwiska, wiedział jednak, że chodzi o to, że nikt na tych zebraniach nie chciał ujawniać swej tożsamości. Obecni stanowili dziwną mieszankę ludzi z podejrzanych środowisk z radykałami – „nowi zieloni” noszący nielegalny jadeit, byli *barukani*, uzależnieni od błysku, studenci i polityczni ekstremiści tacy, jak bojownicy o prawa Abukei, zwolennicy zakazania pojedynków albo anarchiści. Bero zauważył nawet z zaskoczeniem

siedzącego z tyłu sali cudzoziemca. Wielu z tych ludzi nienawidziłoby się nawzajem, gdyby ich nienawiść do klanów nie była silniejsza.

– Jestem Bero – przedstawił się kobiecie, mimo że nie zapytała go o imię.

Wróciła do słuchania Guriha, więc trącił ją lekko łokciem.

– No wiesz, sam kiedyś nosiłem jadeit – dodał. – Bardzo dużo jadeitu. Ciągłe musiałem się ukrywać przed zielonymi kośćmi. Skurwysyny omal mnie nie zabiły. Kilka razy. Dlatego moja twarz tak wygląda. Miałem szczęście, że uszedłem z życiem.

Obrzuciła go krótkim, poirytowanym spojrzeniem, świadczącym, że mu nie wierzy.

– To prawda. Napijmy się potem czegoś, to wszystko ci opowiem.

Guriho łypnął wściekle w kierunku, z którego dobiegały szepty, i Bero zamknął się z niechęcią.

– Manifest Ruchu Bezklanowa Przyszłość – oznajmił mówca i odchrząknął, nim zaczął czytać poważnym, pełnym samozadowolenia tonem. – W wiecznej walce o sprawiedliwsze i równiejsze społeczeństwo, wolne od prześladowania słabych przez potężnych, pierwszym celem naszych szlachetnych wysiłków musi być uwolnienie świata od destrukcyjnego wpływu jadeitu i położenie kresu klanizmowi.

– Z filozoficznego punktu widzenia to brzmi bardzo dobrze, ale co właściwie możecie działać w walce z klanami? – zapytał ktoś niskim głosem z wyraźnym akcentem.

Wszyscy się odwrócili. Mówiącym był jedyny w sali cudzoziemiec. Niski, muskularny mężczyzna miał wielki nos, masywne czoło, oczy spoglądające spod opadających powiek oraz kręcone włosy koloru rdzy. Mimo że nie pasował do reszty obecnych, jego wygląd i intensywność spojrzenia przekonywały przyzwyczajonych do zielonych kości Kekończyków, że to niebezpieczny człowiek, który umie walczyć. W tonie, z jakim zwrócił się do Guriha, nie było agresji, lecz słyszało się w nim wyzwanie.

– Hej, dowiedziałbyś się tego, gdybyś wysłuchał mnie do końca, nim zaczniesz zadawać pytania – odpowiedział mówca, marszcząc brwi. – Klany są potężne, ale nie mogłyby istnieć bez poparcia ludzi. Politycy, latarnicy, każdy, kto zatrzymuje się na ulicy, by oddać honory zielonej kości, wszyscy oni podtrzymują system. Musimy zakłócić jego działanie! Wywołamy powszechną falę społecznego niezadowolenia, otworzymy ludziom oczy i...

– Tak, tak, macie fajne logo, gazetki i zebrania. – Cudzoziemiec nieźle mówił po kekońsku, lecz akcent i niecierpliwość utrudniały zrozumienie jego słów. –

Ale klany zielonych kości mają jadeit, pieniądze, broń i ludzi. U was jakoś nie dostrzegam żadnej z tych rzeczy.

Tadino wstał. Prowadził bar w Małej Persymonie i dzięki temu, że jego ojczym kumpłował się z Gurihem, w sali na piętrze można było bezpiecznie urządzać zebrania.

– Nie wiem, jak to wygląda tam, skąd przybyłeś, ale tutaj nie przerywa się po chamsku innym, a zwłaszcza nie robią tego nieznajomi, którzy nie raczyli nikomu się przedstawić.

Cudzoziemiec również się podniósł. Ci, którzy siedzieli blisko, odsunęli się od niego ostrożnie. Tadino naprężył mięśnie, ale po chwili zastanowienia nieznajomy rozpostarł ręce.

– Masz rację – przyznał bardziej pokornym tonem. – Jak widzicie, nie pochodzę stąd. Nazywam się Molovni i przybyłem do Janloonu, ponieważ dowiedziałem się o waszej szlachetnej walce.

W Małej Persymonie rozległy się szepty, pełne zdumienia i podejrzliwości. Nawet Guriho zamrugał, niepewny, jak odpowiedzieć.

– To Ygutańczyk – wyszeptła podekscytowana Ema.

– Być może o tym nie wiecie, ale poza granicami waszego kraju nie brakuje ludzi, którzy współczują kekońskiemu ludowi, cierpiącemu pod butem klanowego ucisku. Przyszedłem tu, żeby dowiedzieć się więcej o waszej walce. –

Molovni usiadł i skinął głową do Guriha. – Przepraszam, że odezwałem się bez pozwolenia. Proszę, kontynuuj swoją mowę. Z pewnością przepaja ją ambicja, ale nawet cele, które wydają się nieosiągalne, można niekiedy osiągnąć, jeśli ma się odpowiednich przyjaciół.

ROZDZIAŁ 8

REPREZENTANT RODZINY

Emery Anden starał się powstrzymać nerwowość, jaką wzbudzał w nim widok sześciu zagranicznych lekarzy, mających przyglądać się jego śródsemestralnemu egzaminowi. „Wyobraź sobie, że ich tu nie ma” – powiedział sobie stanowczo, po czym odwrócił się, podwinął rękawy i włożył na lewe przedramię lekarską opaskę ćwiczebną. Obcisły skórzany pasek bardzo przypominał te, które nosił jako nastolatek w Akademii Kaul Dushurona, tyle że miał jaskrawożółty kolor, wskazujący, że Anden jest studentem medycyny. Na jego opasce było pięć jadeitów, znacznie mniej, niż nosił w przeszłości, ale wystarczająco wiele, by wykonać stojące dziś przed nim zadanie.

Zamknął oczy i zaczerpnął pięć długich, spokojnych oddechów, wykonując świetnie mu znany rytuał adaptacji. Potem podszedł do zlewu, żeby umyć ręce. Jego ciało wypełniały jadeitowa energia i zdenerwowanie. Sześć lat temu – wydawało się, że upłynęło już całe życie – przysiągł, że nigdy więcej nie będzie nosił zieleni. Teraz zaś wkładał ją i zdejmował tak często, że stało się to dla niego rutyną, porównywalną z innymi obowiązkami i stresami towarzyszącymi studiom medycznym. Na drugim roku nauki w Kolegium Medycyny Bioenergetycznej musiał zdobyć określoną liczbę godzin doświadczenia klinicznego, ale gdy po raz pierwszy wszedł do Centralnego Szpitala, by rozpocząć szkolenie, miał przez chwilę ochotę zawrócić i rzucić studia. Miał złe wspomnienia z tego miejsca. Jako dziecko siedział w korytarzu i słuchał krzyków matki. Po zabójstwie Gont Ascha obudził się dręczony gorączką wywołaną nadużyciem jadeitu. Minęły tygodnie, nim przestał czuć ucisk w żołądku, przechodząc przez drzwi wejściowe. Gdy jednak znalazł się w sali operacyjnej, gdzie obserwowała go grupka nieznanomych, dolegliwości powróciły.

Sześciu espeńskich lekarzy stało pod ścianą. Mieli na sobie pożyczone fartuchy, a w rękach trzymali podkładki do pisania i długopisy. Jeden z nich przyniósł też aparat fotograficzny z obiektywem 35 mm. Byli gośćmi z Centrum Badań Medycznych Dempheya na Uniwersytecie Watersguarda w Adamont Capita. Przybyli tu, by studiować wykorzystanie jadeitu w medycynie. Espeńczycy już przed dziesięcioleciem zdali sobie sprawę z jego militarnej użyteczności, ale dopiero niedawno niektórzy z nich zainteresowali się tym, jak Kekończycy wykorzystują swe jadeitowe umiejętności w innych dziedzinach. Obserwowali Andena z równie wielkim skupieniem jak instruktorzy z Akademii Kaul Du podczas końcowych Testów.

Pacjent – pięćdziesięciosiedmioletni mężczyzna z naczyniakiem wątroby – był już znieczulony i przygotowany do zabiegu. Do Andena należały wyłącznie czynności przedoperacyjne. Chirurg jeszcze nie przyszedł. Doktor Timo, lekarz zielonej kości kierujący nauką Andena, sprawdził parametry życiowe pacjenta, po czym skinął głową, pozwalając studentowi zabrać się do roboty.

– Nie musisz się śpieszyć – zapewnił, by dodać mu odwagi.

Anden raz jeszcze zerknął na zdjęcia rentgenowskie, by sobie przypomnieć kształt i rozmiary guza, który miał być usunięty, po czym rozszerzył swe Postrzeganie i zatopił świadomość w życiowej energii pacjenta. Miarowe tętno krwi przepływającej przez narządy wewnętrzne przerodziło się w jego umyśle w mapę. Najpierw przyjrzał się obrazowi całego ciała, a następnie skupił Postrzeganie na sieci naczyń krwionośnych przeszywających tułów mężczyzny. Posuwał się naprzód przez coś przypominającego kolejne warstwy połączonych ze sobą rur o różnej długości i szerokości. Wszystkie tętniły przepływającym przez nie życiem. Anden przymknął powieki, skupiając się na swoim zadaniu.

Lekarz zielonej kości potrzebował finezyjnego Postrzegania w takim samym stopniu jak Przenoszenia. Anden miał wrodzony talent do tego drugiego, ale udoskonalanie pierwszego wymagało niezliczonych godzin nauki i ćwiczeń. W Akademii Kaul Du, gdzie szkolił się na przyszłą pięć klanu Bez Szczytów, nauczył się traktować Postrzeganie i Przenoszenie jak miecz i włócznię, i używać ich z błyskawiczną, śmiertcioną, pozbawioną subtelności siłą. Postrzeganie morderczych zamiarów skrytobójcy i wykorzystanie Przenoszenia, by zatrzymać jego serce, w niczym nie przypominało delikatnej pracy, do jakiej obecnie wykorzystywał swe jadeitowe umiejętności. Stał przy stole operacyjnym i uniósł dłoń nad górną prawą częścią brzucha pacjenta. Izolował tętnicę wątrobową i sięgnął do niej lekkim, precyzyjnym Przenoszeniem, przekazując do jej wnętrza wystarczającą ilość energii, by stworzyć zakrzep, powstrzymujący dopływ krwi do złośliwego nowotworu. Doktor Timo stał obok i obserwował całą procedurę własnym Postrzeganiem, w każdej chwili gotowy

ingerować, gdyby zaistniała taka potrzeba. Gdy Anden odsunął się i opuścił rękę, doktor skinął głową, po czym szybko i sprawnie zamknął kilka mniejszych naczyń krwionośnych, zapewniając, że cały guz będzie można chirurgicznie usunąć przy minimalnej utracie krwi.

W normalnej sytuacji chirurg po prostu usunąłby teraz guz, ale z uwagi na obecność zagranicznych gości Anden zaczekał piętnaście minut, aż zrobi się kolejne zdjęcie z kontrastem, które udowodni, że dopływ krwi do guza został odcięty. Espeńczycy zgromadzili się wokół zdjęć, pilnie robiąc notatki i rozmawiając. Potem mógł już odejść. Zreźnie ominął wchodzącego do sali chirurga i towarzyszący mu personel, po czym wyszedł na korytarz i usiadł na ustawionej pod ścianą ławce. Następnie zdjął opaskę ćwiczebną, oparł głowę o ścianę, i zamknął oczy, by przetrzymać krótki atak dezorientujących mdłości.

Większość medyków zielonej kości nie zdejmowała jadeitu, ale Anden zawsze pamiętał o tym, by nosić go tylko podczas pracy. Formalnie rzecz biorąc, lekarze nie byli powiązani z żadnym klanem – podobnie jak pokutnicy i nauczyciele – i atak na nich uważano za pogwałcenie *aisho*. Jednakże sytuacja Andena była wyjątkowa. Był członkiem rodziny Kaulów i wszyscy wiedzieli, że to on zabił Gont Ascha, który był wówczas rogiem Góry. Pracował też dla swoich kuzynów w Hiszpanii i brał udział w zabójstwie przemytnika Zapunya. Mógł być medykiem, ale był również zieloną kością z klanu Bez Szczytów i nie chciał podejmować ryzyka, że wrogowie uznają go za jednego z klanowych wojowników, albo że będzie zmuszony stać się nim i użyć swych jadeitowych talentów, by zadać śmierć. Wystarczyłoby bardzo niewiele, by ponownie sprowadzić go na ścieżkę, którą tak stanowczo odrzucił.

Otworzył oczy i zobaczył, że stoi przed nim dwóch hiszpańskich lekarzy. Przyglądali mu się z wielkim zainteresowaniem.

– Demonstracja, którą nam pan przedstawił, była naprawdę imponująca – odezwał się wyższy, szeroko uśmiechnięty mężczyzna z krótko przyciętą brodą. – Czy można zapytać, skąd pan pochodzi? Czy jest pan...? Kim są...?

Wykonał szeroki gest dłońmi. Najwyraźniej chodziło mu o niejednoznaczne pochodzenie Andena.

Towarzyszący lekarzom tłumacz zaczął powtarzać pytanie po kekońsku, ale Anden przerwał mu i odpowiedział po hiszpańsku, starając się ukryć niezadowolenie wywołane krępującym pytaniem cudzoziemca.

– Mój ojciec był Hiszpanem – wyjaśnił. – Ale go nie znałem. Urodziłem się w Janloonie.

– Ale dobrze mówi pan po hiszpańsku – zauważył lekarz.

– Mieszkałem w Port Massy prawie cztery lata – odpowiedział Anden. – Ukończyłem tam college i pracowałem przez pewien czas, zanim wróciłem do

Janloonu.

– Naprawdę? – Lekarz uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Czy zamierza pan kiedyś wrócić do Port Massy? Może zechciałby pan odwiedzić Adamont Capita? – Wyciągnął z portfela wizytówkę i wręczył ją Andenowi – Jestem doktor Elan Martgen, jeden ze specjalistów kierujących badaniami w Centrum Badań Medycznych Dempheya. Po tym, co ujrzałem podczas wizyty w waszym kraju, z chęcią zaprosiłbym kilku kekońskich medyków, by zaprezentowali metody bioenergetycznego uzdrawiania szerszej grupie specjalistów od ochrony zdrowia na naszej dorocznej konferencji tego lata. Oczywiście pokryjemy koszty podróży oraz noclegów.

Anden wstał i przyjął wizytówkę, choć zaproszenie nieco go zdziwiło.

– Cieszę się, że pańska wizyta okazała się użyteczna, ale powinien pan zaprosić kogoś innego. Jestem tylko studentem i nie mam uprawnień do wykonywania zawodu.

Anden wyprzedzał kolegów z grupy. Blokadę przepływu tętniczego, jaką przed chwilą zademonstrował, z reguły pozwalano wykonywać studentom dopiero na trzecim roku. Niemniej był to stosunkowo prosty i rutynowy zabieg. Doświadczony lekarz zielonych kości, jak doktor Timo, zapewne potrafiłby to zrobić przez sen.

Doktor Martgen wymienił spojrzenia z drugim lekarzem, młodszym, niższym mężczyzną o kędzierzawych włosach, po czym znowu zwrócił się w stronę Andena.

– Zamierzamy zaprosić wybraną grupę jadeitowych uzdrowicieli i bardzo byśmy chcieli, żeby znalazł się pan wśród nich.

– Większość żyjących tu ludzi nie mówi po espeńsku tak dobrze, jak pan – dodał młodszy lekarz. – A, szczerze mówiąc, wielu naszych kolegów w kraju powątpiewa w medyczny potencjał bioenergetycznego jadeitu. Nie wierzą, że mógłby być równie skuteczny, jak metody oparte na naukach ścisłych, i uważają, że nie ma sensu studiować praktyk stosowanych do tej wyłącznie na małej, odległej wyspie.

– Mógłby pan pomóc nam ich przekonać – wyjaśnił doktor Martgen.

Anden przyjrzał się obu mężczyznom. Uświadomił sobie, że zwrócili się do niego z uwagi na jego wygląd i częściowo espeńskie pochodzenie. Jeśli ludzie z centrum Dempheya zobaczą że ktoś, kto wygląda jak Espeńczyk i mówi w ich języku, posługuje się czymś, co uważali za mało znaną i tajemniczą cudzoziemską sztukę uzdrawiania, może to pomóc doktorowi Martgenowi zmienić opinię kolegów po fachu, zwierzchników, udziałowców, czy kogo tam właściwie musiał przekonać.

– Pozostanę z wami w kontakcie – odparł nieprzekonująco Anden.

– Proszę, niech pan rozważy naszą propozycję – rzekł doktor Martgen, po czym uściśnął jego dłoń i oddalił się z resztą grupy ku następnemu punktowi dzisiejszego planu zajęć. Gdy już sobie poszli, Anden przyglądał się wizytówce jeszcze przez chwilę, po czym włożył ją do kieszeni.

Do tej chwili nie zastanawiał się poważnie nad możliwością kolejnej wizyty w Espanii. Ta myśl wydała mu się nadspodziewanie atrakcyjna, lecz jednocześnie przyprawiała go o lekki niepokój. Po powrocie do Janloonu z zaskoczeniem uświadomił sobie, że nigdy nie mieszkał w swym rodzinnym mieście jako osoba dorosła. Można powiedzieć, że ostatnie półtora roku w znacznej części poświęcił na wymyślanie siebie od nowa. Był teraz studentem medycyny, miał własne mieszkanie w Starym Mieście nieopodal szpitala i był wujkiem trojga małych dzieci. Port Massy wydawało mu się odległe, a lata, które tam spędził, przypominały sen – w pewnych fragmentach piękny, w innych słodko-gorzki, a w niektórych prawdziwy koszmar. Czasami myślał o ludziach, z którymi się tam zżył; o swych gospodarzach, panu i pani Han; Dauk Losunie i jego żonie Sanie; kolegach, z którymi grał w pikę sztafetową. A także o Corym. Nadal o nim myślał. Czasami za nim tęsknił, lecz częściej po prostu zastanawiał się, co u niego słychać.

Espeńscy lekarze chcieli go zaprosić nie z uwagi na jego nadal niewielkie umiejętności, lecz z powodu tego, co sobą reprezentował. Po raz pierwszy zdarzyło się, by nieznajomi potraktowali jego mieszaną krew jako zaletę, coś korzystnego, a nie pechowego. Na klanowym przyjęciu Wen powiedziała mu, że jego wartość nie opiera się na jadeitowym talencie, lecz na tym, jakim jest człowiekiem. Nie był w stanie w pełni zaakceptować jej słów, ale o nich nie zapomniał.

* * *

W szósty dzień Anden poszedł do rezydencji Kaulów, żeby porozmawiać z kuzynami. Filar, prognostyczka i róg naradzali się za zamkniętymi drzwiami. Anden zaś usiadł z bratankami na kanapie i czytał im książki z obrazkami. Niko słuchał go z uwagą, ale Ru przy każdej stronie zadawał zbyt wiele pytań. Dlatego ledwie zdążyli skończyć jedną książeczkę, nim Jaya obudziła się z drzemki w sąsiednim pokoju, marudna i rozplakana. Anden kochał całą trójkę, zwłaszcza Nika, ale cieszył się, że sam nigdy nie będzie miał własnych dzieci.

Gdy drzwi gabinetu wreszcie się otworzyły i wyszedł z nich Juen Nu, Anden zapukał i wszedł do środka. Hilo siedział za biurkiem, ciężko wspierając głowę na jednej dłoni. Rozłożone przed nim papiery były pełne wykresów i liczb, opatrzonych podkreślonymi uwagami, napisanymi ręcznie przez Shae. Anden nie

potrafił określić, czy przygnębiona mina filaru bierze się z faktu, że musiał sobie przyswoić tak wiele trudnych informacji, czy też jest reakcją na to, co one mówiły. Hilo uniósł wzrok.

– O co chodzi, Andy?

Z nerwowej rozmowy toczonej przy kolacji Anden dowiedział się, że Góra przeszła do ofensywy i wydaje mnóstwo pieniędzy, naciskając na klan Bez Szczytów ze wszystkich możliwych stron. Gdy filarem był Lan, Ayt Mada próbowała osłabić ich klan, atakując jego terytoria. Teraz ich wrogowie posługiwali się pieniędzmi i prasą, a nie szpiegami i ulicznymi przestępcami. Anden nie był już jednak nastolatkiem, czekającym bezradnie na pozwolenie przyłączenia się do wojny. Był dorosły, walczył już na wojnie i miał własne kontakty oraz wpływy.

– Chcę znowu polecieć do Espenii – oznajmił kuzynom.

Gdy wyjaśnił naturę swej prośby, Hilo zapalił papierosa i potarł brew kciukiem.

– Niektórzy w klanie chcieliby, żebyśmy wycofali się stamtąd całkowicie, zamiast wplątywać się w dodatkowe kontakty.

Ostatnio wszystkie media ciągle mówiły o Espenii. Rząd RE zamierzał rozbudować bazę na Eumanie, by poprawić swą pozycję w konfrontacji z Ygutanem. Ta decyzja wywołała wiele sprzeciwów na Kekonie.

– Warto spróbować, Hilo-jen – rzekł Anden.

Shae siedziała ze skrzyżowanymi rękami na jednym z foteli, w pewnej odległości od Hila. Stosunki między filarem a prognostyczką nadal nie były zbyt dobre.

– Pamiętasz, jak mocno się sprzeciwiałeś, kiedy wysłaliśmy cię tam po raz pierwszy? – zapytała Andena, uśmiechając się do niego z przekąsem. – A teraz chcesz tam wrócić. Powinieneś mu na to pozwolić – kontynuowała, zwracając się do Hila. – W tej chwili tylko dochody z naszych interesów w Espenii ratują nas przed katastrofą, ale problem polega na tym, że oba kraje nie ufają sobie nawzajem i właściwie się nie rozumieją. Jeśli możemy zrobić coś, co zmieni ten stan rzeczy, choćby nawet tylko w jednej dziedzinie, takiej jak ochrona zdrowia, to może bardzo nam pomóc.

Hilo nie sprawiał wrażenia w pełni przekonanego.

– W porządku, kuzynie – rzekł jednak. – Możesz polecieć do Espenii. Będziesz tam reprezentantem naszej rodziny.

– Nie! – zawołał w tej samej chwili Niko. Chłopiec stał w uchylonych drzwiach gabinetu, zaciskając małe piąstki. – W Espenii skrzywdzili mamę. Wujek Anden nie powinien tam lecieć! Nie możesz mu tego rozkazać!

Troje dorosłych popatrzyło na Nika ze zdumieniem.

Anden podszedł do sześciolatka i przykucnął przed nim, kładąc dłonie na jego drżących ramionach.

– Niko, sam poprosiłem o to, żeby tam polecieć – zapewnił. – To będzie krótka wizyta i nie wybieram się w żadne niebezpieczne miejsce. Oczywiście, zawsze jest jakieś ryzyko, ale rodziny takie jak nasza nie mogą sobie pozwolić na to, żeby unikać go całkowicie.

* * *

Prognostyczka zadzwoniła do dziekana Kolegium Medycyny Bioenergetycznej i poinformowała go, że sprawa ma ścisły związek z interesami klanu Bez Szczytu. Dlatego wszystkie formalności załatwiono wyjątkowo szybko. Po dwóch miesiącach Anden i trzech najlepszych lekarzy z Kolegium, w tym również doktor Timo przybyli do Adamont Capita. To było stare miasto o wąskich brukowanych uliczkach, pełne historycznych budynków z cegły. Za każdym rogiem spotykało się białe marmurowe pomniki upchnięte między szklanymi wieżowcami, imponującymi gmachami rządowymi i zagranicznymi ambasadami. Anden nigdy dotąd nie był w stolicy Republiki Espenii, mimo że od Port Massy, gdzie mieszkał i pracował prawie cztery lata, dzieliły ją zaledwie trzy godziny jazdy autobusem. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by zwiedzić inne espeńskie miasta. Port Massy było wystarczająco ogromne, niezwykle i przytłaczające dla dziewiętnastolatka.

Teraz jednak ucieszył się z szansy pobawienia się w turystę. Doktor Martgen i personel Centrum Badań Medycznych Dempheya okazali się dobrymi gospodarzami. Dali Andenowi i trzem lekarzom zielonej kości dobrze wyposażone pokoje w hotelu, a w chwilach, gdy goście nie byli zajęci rozmowami z zaintrygowanymi badaczami i pokazami dla nich, oprowadzili ich po kampusie Uniwersytetu Watersguarda i pokazali im główne atrakcje miasta. Jako zwykły student Anden nie grał ważnej roli w spotkaniach i pokazach, ale pomagał przy nich kilkakrotnie i był tłumaczem całej grupy. Pod koniec pięciodniowej konferencji czuł się znacznie bardziej zmęczony myśleniem i mówieniem w dwóch językach jednocześnie oraz radzeniem sobie z odmiennymi zwyczajami gospodarzy i gości niż wykorzystywaniem jadeitowych talentów.

Doktor Timo i pozostali lekarze następnego ranka polecieli z Adamont Capita prosto do Janloonu, ale Anden został na miejscu. Kolejnego dnia pojechał taksówką z hotelu do federalnego Departamentu Przemysłu, którego siedziba była prostokątnym, przypominającym fortecę budynkiem, ulokowanym w odległości jednej przecznicy od Zgromadzenia Narodowego, po drugiej stronie

bulwaru. Siedząc na kanapie w holu przy windach, podziwiał ogromny, biały gmach wznoszący się kwadratowymi tarasami ku imponującemu wierzchołkowi. Tam właśnie rezydował rząd Hiszpanii. Całą budowlę oświetlały z zewnątrz reflektory, których kolor zmieniał się nocą. Proste linie i geometryczne płaszczyzny czyniły ją w oczach Andena surową i nieprzystępną, zamkniętą i niezrozumiałą.

Przyszła po niego sekretarka. Przeprosiła, że kazała mu czekać, i zaprowadziła go do ulokowanego w rogu budynku gabinetu na szóstym piętrze. Napis na drzwiach głosił KELLY DAUK ZASTĘPCA SEKRETARZA. Anden wszedł do środka.

Starsza siostra Cory'ego, Dauk Kelishon, była podobna do ojca i brata, przynajmniej jeśli chodzi o twarz i usta. Uśmiechnęła się uprzejmie do Andena, wstała i uściśniła jego dłoń. Wskazała mu krzesło po drugiej stronie biurka.

– Pan Emery, jak sądzę?

Wyglądała na jakieś czterdzieści lat. Miała na sobie ciemnoszarą garsonkę i czarną bluzkę, a na szyi naszyjnik z pereł. Przycięte na boba włosy sięgały jej do podbródka. Zachowywała się uprzejmie i profesjonalnie, zupełnie inaczej niż jej impulsywnie towarzyski brat.

– Pani Dauk, dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać – odezwał się po kekońsku Anden.

Obróciła krzesło w bok, oparła się jedną ręką o blat, skrzyżowała nogi i przyjrzała się uważnie gościowi. Z jej twarzy nie zniknął uprzejmy uśmiech.

– Zgodziłam się na to spotkanie, by zrobić przyjemność rodzicom. Moja matka potrafi być bardzo natarczywa – odpowiedziała mu po hiszpańsku. – Według nich jest pan przedstawicielem jednego z kekońskich klanów. Obawiam się, że nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną i z Departamentem Przemysłu.

Nie była właściwie nieuprzejma, ale Anden poczuł się nieco zaskoczony jej wyniosłym tonem i przejściem na hiszpański. Z niechęcią podążył za jej przykładem.

– Odwiedziłem Adamont Capita z innych powodów – zaczął, z konieczności mówiąc teraz wolniej. – Miałem nadzieję nawiązać przyjazne kontakty w Departamencie Przemysłu, w imieniu rodziny Kaulów z klanu Bez Szczytów.

– Czy tak nazywa się klan, dla którego pan pracuje?

Anden zawahał się, nie wiedząc, czy kobieta mówi poważnie, czy udaje ignorancję, by poddać go jakiejś próbie.

– Klan Bez Szczytów jest jednym z dwóch największych klanów na Kekonie – zaczął z namysłem. – Kontrolujemy niemal połowę stolicy, a także podobną część wydobywania jadeitu oraz rozmaitych interesów w całym kraju. Połowę miejsc w Kekońskiej Radzie Książęcej zajmują deputowani lojalni wobec

naszego klanu. Filar klanu jest moim kuzynem. Inna moja kuzynka kieruje biznesową stroną klanu jako prognostyczka. Prosimi mnie, bym reprezentował tu naszą rodzinę.

– Panie Emery, moje zadanie w Departamencie Przemysłu polega na pomaganiu sekretarzowi Hughartowi w kierowaniu krajową polityką gospodarczą. Bioenergetyczny jadeit leży poza kręgiem naszych zainteresowań.

– Rozumiem to, ale klan nie zajmuje się tylko jadeitem – odparł Anden. – Chcemy prowadzić interesy w Hiszpanii i współpracować z miejscowymi firmami, ale pewne bariery nam to utrudniają. Chcielibyśmy przedstawić nasze stanowisko ludziom odpowiedzialnym za kształtowanie hiszpańskiej polityki. Rzecz jasna, moja rodzina kontaktuje się z ambasadorem Hiszpanii i z Departamentem Spraw Zagranicznych, a także z oficerami armii RE stacjonującymi w bazie na Eumanie, ale potrzebujemy również przyjaciół w Adamont Capita mogących wpływać na premiera i Zgromadzenie Narodowe.

Przerwał. Być może była to wina uporczywie neutralnej miny Kelly Dauk albo faktu, że zwykle nie wygłaszał po hiszpańsku tak długich i skomplikowanych tekstów, czuł jednak, że słowa wychodzą z jego ust coraz wolniej i sprawiają mu coraz więcej trudności. Zastanawiał się, czy nie wyraża się wystarczająco jasno, by Kelly Dauk mogła go zrozumieć.

– Bardzo szanuję pani rodzinę. Uważam pani rodziców i brata za dobrych przyjaciół.

Siostra Cory’ego przyglądała się Andenowi przez długą chwilę.

– Moi rodzice należą do starszego pokolenia kekońskich imigrantów, które nadal pozostaje wierne tradycyjnej kulturze honoru, ceniącej jadeit i klany – zaczęła wreszcie. – Jestem pewna, że mimo zaawansowanego wieku nadal sprawują rządy nad sąsiadami w swym niewielkim skrawku Południowej Pułapki. Stawiali wymagania mojemu bratu, odkąd był małym chłopcem, kazali mu ćwiczyć, nosić jadeit, być „zielonym”, jak to nazywają. – Jej uśmiech był uprzejmy, ale nie widziało się w nim ciepła. – Rozumiem, dlaczego tak pana polubili. Jest pan młodym człowiekiem ze starego kraju.

Anden szukał odpowiedzi, ale Kelly Dauk splótła dłonie i mówiła dalej.

– Moi rodzice ciągle się uskarżają na rząd. Myślą, że zakaz posiadania jadeitu przez cywilów jest straszliwą tyranią i przejawem rasowych uprzedzeń. Pańscy klanowi towarzysze w Kekonie chcą zarabiać pieniądze na sprzedaży bioenergetycznego jadeitu w tym kraju i pragną złagodzenia ograniczeń albo ich całkowitego zniesienia. Czy dobrze to rozumiem?

Zaskoczony Anden bez zastanowienia znowu przeszedł na kekoński.

– Nie chodzi o sprzedaż jadeitu – odpowiedział. – Czy nie pragnie pani odwołania nierozsądnego prawa, wymierzonego wyłącznie przeciw

Kekończykom i szkodzącego ich interesom? Sama pochodzi pani z rodziny zielonych kości.

– Nie tworzę praw, panie Emery. Ale w przeciwieństwie do niektórych osób ich przestrzegam.

– Moja rodzina nigdy nie oczekiwałaby od pani czegoś wątpliwego bądź niestosownego, co mogłoby zaszkodzić pani pozycji – sprzeciwił się Anden. –

Miałem tylko nadzieję, że zgodzi się pani porozmawiać z moimi kuzynami, przedstawić ich sekretarzowi Hughartowi i innym ważnym osobom w pani departamencie i być może udzielić kilku użytecznych sugestii, jak próbować skutecznego lobbingu, ponieważ ma pani bardzo dużo doświadczenia w takich sprawach i wie, jak to się robi w Adamont Capita. Chciałem prosić panią o przysługę, ponieważ jestem przyjacielem pani rodziny i oboje jesteśmy Kekończykami.

– Jestem Espenką, panie Emery – odpowiedziała Kelly Dauk. – I piastuję stanowisko w rządzie federalnym. – Wstała zza biurka, uprzejmie, lecz stanowczo, każąc Andenowi odejść. Jej sekretarka otworzyła drzwi, żeby go wypuścić. – Jeśli chce pan coś uzyskać dla swego klanu, musi się pan zwrócić do kogoś innego.

* * *

Następnego popołudnia Anden wsiadł do ekspresowego autobusu i po trzech godzinach znalazł się w Port Massy. Gdy gapił się przez okno na znajomy pejzaż metropolii, wypełniała go głęboka, niespokojna nostalgia. Autobus pokonał Most Żelaznego Oka i przejechał tuż pod sławnym Gmachem Masztowym. Pan Hian czekał na gościa na dworcu autobusowym w Quince. Przywitał Andena jak wracającego syna, uściskał go i stwierdził, że zdrowo wygląda.

Pojechali prosto do domu Dauków. Pani Hian i pani Dauk przygotowały już ogromną kolację powitalną – rybę na ostro z rusztu, duszone warzywa, zupę z pięciu grzybów oraz smażony krótki makaron. Dauk Losun posadził Andena na honorowym miejscu przy stole. Przez cały wieczór podawano mu wciąż nowe potrawy i zasypywano go pytaniami. Zjawili się starzy przyjaciele i znajomi. –

Derek, który prowadził obecnie warsztat samochodowy; Sammy oraz dwie inne zielone kości, Rick i Kuno; Tod, który był teraz kapralem Aniołów Marynarki, ale przyjechał do domu na przepustkę; Tami, pracująca obecnie w gabinecie stomatologicznym i dorabiająca robieniem zdjęć. Wszyscy zachowywali się przyjaźnie, ale utrzymywali pewien dystans i rozmawiali z Andenem bardziej oficjalnym tonem niż w czasach, gdy mieszkał w Południowej Pułapce, jakby w ciągu minionych dwóch lat postarzał się o dziesięć i był teraz starszy, a nie

młodszy od nich. Zdawał sobie sprawę, że wszyscy traktują go tak dobrze nie tylko dlatego, że pamiętają go z czasów, gdy był jeszcze studentem mieszkającym u Hianów. Był teraz dla nich przedstawicielem klanu Bez Szczytów, ważnym gościem z Janloonu przysłanym przez rodzinę Kaulów.

Być może przyszli też z ciekawości. Słyszeli opowieści, że to on zaplanował zamach na międzynarodowego przemytnika jadeitu, omal nie zginął razem z Rohn Torem, w tajemnicy był potężną zieloną kością i włożył jadeit, by przywrócić do życia umierającą kobietę.

Cory pojawił się po kolacji, twierdząc, że musiał zostać po pracy w biurze. Jak zwykle jego przybycie wywołało serię powitalnych okrzyków, poklepywania po plecach i śmiechu. Przywitał się z kilkoma innymi ludźmi, nim podszedł do Andena i uścisnął mu rękę, uśmiechając się, jakby byli starymi, lecz niezbyt bliskimi przyjaciółmi. Towarzyszyła mu drobna Espenka.

– To jest Daria, moja koleżanka ze studiów – przedstawił ją.

Anden poczuł nieprzyjemną suchość w ustach. Trudno mu było podtrzymywać rozmowę, gdy Cory wypytywał go, co u niego słychać, jak się czuje w Janloonie po powrocie i jak idą mu studia.

– Nigdy nie wyobrażałem sobie ciebie jako lekarza, Anden, ale na pewno będziesz w tym świetny – zapewnił Cory z nieco tylko wymuszonym śmiechem. – To najlepszy dowód na to, że nie mam o niczym pojęcia, tak?

Zwracał się do Andena jego prawdziwym imieniem i ani razu nie nazwał go „wyspiarzem”, pełnym sympatii, drwiącym tonem, jak za dawnych czasów. Anden z bólem zadawał sobie pytanie, jak to możliwe, że Cory potrafi wszystko wybaczyć, o wszystkim zapomnieć i zachowywać się normalnie. Ale z drugiej strony to właśnie luz i radosne usposobienie były tym, co Anden zawsze u niego podziwiał i uważał za atrakcyjne. Cory nie został w domu rodziców długo, oddalił się z przyjaciółką po niespełna godzinie. Zasmuciło to Andena, lecz jednocześnie poczuł ulgę.

Pod koniec przyjęcia, gdy pani Hian i Dauk Sana uprzątnęły naczynia i posprzątały w kuchni, Dauk Losun przeciągnął się i powiedział do Andena:

– Mam ochotę przejść się trochę po okolicy, żeby to wszystko ułożyło mi się w brzuchu. Co ty na to?

Był ciepły letni wieczór, a wilgoć w powietrzu mogła zapowiadać nocną burzę. Gdy Dauk i Anden szli przez Południową Pułapkę, ludzie pozdrawiali ich, dotykając czoł, i oddawali płytkimi ukłonami honory człowiekowi, którego nazywali swoim filarem. Anden zwolnił kroku, by dostosować się do nieśpiesznego tempa Dauka.

– Anden, przykro mi z powodu tego, jak cię potraktowała moja córka – odezwał się filar Południowej Pułapki. – Naprawdę się tego wstydzę.

– Nie musisz mnie przepraszać, Dauk-jen – zapewnił młodszy mężczyzna.

– Kelishon jest bardzo ambitna i niezależna – wyjaśnił Dauk, kręcąc głową. – Zawsze pragnęła wiele osiągnąć i nie chce mieć nic wspólnego z tym, co uważa za stare kekońskie zwyczaje. Zwyczaje jej rodziców. Żyje zgodnie z espeńskimi zasadami. Kiedy osiągnęła wysoką pozycję w rządzie, miałem nadzieję, że przypomni sobie, skąd przychodzi, i zgodzi się pomóc swym rodakom, ale ona zrobiła się jeszcze bardziej sztywna i wyniosła. Uparcie trzyma się od nas na dystans.

– Niektórzy po prostu różnią się od swojej rodziny, bez względu na krew czy wychowanie – zauważył Anden. – To nie jest niczyja wina.

Nie chciał zawstydząć Dauka, jawnie okazując rozczarowanie, choć zadawał sobie pytanie, jak to możliwe, że w Espenii ktoś, kto nie jest lojalny wobec rodziny, może osiągnąć tak wysoką pozycję w społeczeństwie.

– Może powinienem dołożyć więcej starań, by wychować córki na zielone kości – stwierdził z westchnieniem Dauk. – W latach mojej młodości po prostu się tego nie robiło, chyba że były uzdrowicielkami jak Sana albo może pokutniczkami. A teraz mówisz mi, że na Kekonie kobiety są zielonymi kośćmi, jak twoja kuzynka, i jest nawet kobieta filar. Świat zmienia się bardzo szybko, a ja jestem już stary.

– Jeszcze nie jesteś stary, Dauk-jen – zapewnił Anden.

Dauk miał sześćdziesiąt cztery lata, nadał dopisywał mu apetyt i śmiał się głośno, choć w ciągu dwóch lat, jakie upłynęły od chwili śmierci jego bliskiego przyjaciela Rohn Torą, bardzo mocno się postarzał. Wokół jego ust pojawiły się głębokie bruzdy, a zakola na czole się powiększyły. Anden widział też, jak łykał tabletki podczas posiłku.

– Znasz to stare powiedzenie: „Jadeitowi wojownicy są młodzi, aż nagle stają się starcami”. Wiem, do czego mi bliżej – rzekł z przekąsem Dauk i splótł dłonie za plecami. – Przykro mi, że nie mogłem pomóc ci bardziej, ale Kekończycy mają bardzo niewielki wpływ na politykę w tym kraju, nawet w porównaniu ze zbirami z paczek.

– Moi kuzyni są wdzięczni za wszelkie wysiłki, jakie podjąłeś w naszym imieniu, Dauk-jen – zapewnił Anden. – Prawda wygląda tak, że sytuacja na Kekonie nie jest najlepsza. Powolna wojna pogorszyła stosunki z RE, a nasi wrogowie wykorzystują to przeciwko nam. Atakują nas też na wiele innych sposobów. Potrzebujemy naszych biznesów w Espenii. Dlatego moi kuzyni chwytają się wszystkiego, co mogłoby zapewnić nam lepszą pozycję, nawet jeśli szanse są niewielkie.

Dauk wydał usta.

– Ja też bardzo bym chciał, by zniesiono zakaz noszenia jadeitu, ale nie jestem pewien, czy to możliwe. Klan Bez Szczytów jest potężny, ale nie może zmienić poglądów i praw obowiązujących w kraju, którego mieszkańcy nas nie rozumieją.

Po nieuprzejmej odmowie, z jaką spotkał się wczoraj, Anden był skłonny się z nim zgodzić.

– Zaledwie pięć lat temu byliśmy przekonani, że nie możemy nic zrobić w sprawie paczek, poza znoszeniem ich brutalności – odpowiedział jednak. – I spójrz, jak bardzo to się zmieniło. Któż może zgadnąć, co się wydarzy w przyszłości?

– Optymizm godny młodego człowieka.

Dauk prychnął lekceważąco, ale uśmiechnął się w ciemności.

– Mieliście ostatnio jakieś kłopoty z paczkami? – zapytał Anden.

Paczkowcy i zielone kości z Port Massy nienawidzili się nawzajem. Miejscowe paczki były przekonane, że Kekończycy celowo sprzedali im zły jadeit i są odpowiedzialni za zniszczenie paczki szefa Kromnera z Południowego Brzegu oraz krwawe i spektakularne wojny paczek, a także wzmożenie działań policji, do którego doszło później. Kekończycy zaś nigdy nie wybaczą paczkom brutalnej egzekucji Rohn Tora.

Dauk Losun zrobił poważniejszą minę.

– Paczki zostały okaleczone, ale ranne zwierzę nadal jest niebezpieczne. Mamy więcej jadeitu i wyszkolonych zielonych kości niż przedtem. To wzbudza w paczkach szacunek i strach. Jesteśmy za to wdzięczni klanowi Bez Szczytów, ale jeśli będziemy działać zbyt otwarcie i brutalnie, możemy posunąć się za daleko, przez co wystawimy się na niebezpieczeństwo.

Wrócili do domu Dauków. Anden słyszał głosy Hianów i Sany, ale filar nie wchodził jeszcze do środka. Zatrzymał się na podejściu przed drzwiami i potarł kark dłonią. Następnie zwrócił się w stronę Andena i zmarszczył brwi, starannie dobierając słowa.

– Twój kuzyn, Kaul Hilo, przysłał tu swojego filarowego, żeby pomógł nam ukarać paczkę z Południowego Brzegu. Wspólnie z naszymi ludźmi znaleźli i zlikwidowali ludzi, którzy zamordowali mojego dobrego przyjaciela Rohn Tora i omal nie zabili ciebie i żony Kaul Hila.

Anden nie odpowiedział. Wiedział, że Maik Tar kilkakrotnie wybierał się do Espenii na rozkaz Hila. Cel jego wycieczek nie był zaskoczeniem. Na twarzy Dauka nie dostrzegał jednak satysfakcji, lecz raczej niepokój.

– Ciało Willuma Reamsa nigdy nie odnaleziono, ale dwie zielone kości, które towarzyszyły Maikowi tamtej nocy, opowiedziały mi, co się wydarzyło. Anden, to było straszne. Maik posunął się za daleko. Nie musiał robić takich rzeczy.

W Nowy Rok, gdy fajerwerki już dogasały, pijany Tar zarzucił Andenowi rękę na ramiona.

– Chcę ci powiedzieć, że kiedy wysłałem tych skurwysyńskich spenków na tamten świat, wrzeszczeli z bólu. Zrobiłem to dla ciebie, chłopcze.

Stuknął się z Andenem kieliszkiem hoji, a następnie wrócił w wir zabawy.

Dauk z zakłopotaniem wypuścił powietrze z płuc.

– Pragnienie pomszczenia przyjaciół i ukarania wrogów jest naturalne, ale jeśli powiąże się nas ze straszliwymi zbrodniami, zawsze będziemy uważani za zabójców, a jadeit nigdy nie uwolni się od skazy krwi. Przybyłeś do nas, by mi powiedzieć, że klan Bez Szczytów pragnie rozbudować tu swoje interesy i zdobyć wpływy. Jeżeli będziemy tak postępować, uznają nas za jeszcze gorszych od paczek. To może pokrzyżować wszystkie wasze plany.

– Dauk-jen, dobrze zrobiłeś, poruszając tę sprawę – odparł cicho Anden.

– Mieszkałeś tu przez kilka lat i rozumiesz, że w Espenii zielone kości muszą postępować ostrożniej niż w Janloonie. Kiedy paczki osłabły, policja przeniosła swą uwagę na nas. Szukają pretekstu, by aresztować ludzi w kekońskich dzielnicach, i sprawdzają, czy nie mają jadeitu, nawet jeśli nie popełniono żadnego przestępstwa. Dzięki temu Cory ma mnóstwo roboty – mruknął Dauk. –

Nie może się uskarżać na brak klientów. Ale dla naszej społeczności to bardzo szkodliwe. Po co młodzi ludzie mieliby ćwiczyć jadeitowe dyscypliny, jeśli naraża ich to na prześladowania i skazuje na rolę outsiderów? Wolą wyrzec się swojego dziedzictwa i przystosować się do życia wśród Espeńczyków. Anden, najbardziej ze wszystkiego boję się tego, że za dwadzieścia lat w tym kraju nie będzie już prawdziwych zielonych kości.

Spokój wilgotnej letniej nocy zmącił silny wiatr. Gdzieś w oddali zabrzmiała, a potem ucichła syrena. Jutro Anden wsiądzie do samolotu i odleci do domu. Nie odniósł żadnych prawdziwych sukcesów, którymi mógłby się pochwalić przed kuzynami, nie osiągnął nic, co mogłoby realnie pomóc klanowi Bez Szczytów. Złowrogi ton głosu Dauka pogłębił w nim poczucie bezradności. Szanował Dauk Losuna i ufał jego osądowi, choć czuł też do niego żal za to, że zmusił go do zerwania z Corym.

– Dauk-jen, mam nadzieję, że się mylisz – odparł.

Filar Południowej Pułapki sięgnął pod kołnierz koszuli, i zacisnął dłoń na okrągłym wisiorku, który nosił na srebrnym łańcuszku zawieszonym na szyi.

– Podzielam twoją nadzieję. Martwię się o przyszłość, ale mogę robić tylko to, co zawsze, rozmawiać rozsądnie z ludźmi dla dobra społeczności, dopóki to dla mnie możliwe. – Poklepał uspokajająco gościa po ramieniu i poprowadził go w stronę domu.

– Cieszę się, że mogłem się z tobą spotkać, Anden. Zawsze byłeś zbyt zielony dla tego miasta, ale dobrze, że nas odwiedziłeś.

ROZDZIAŁ 9

SIÓDMA DYSCYPLINA

Szósty rok, dziewiąty miesiąc

Salę ćwiczebną Siódma Dyscyplina powszechnie uważano za najbardziej otwarty dla obcych ze wszystkich licznych ośrodków szkolenia zielonych kości w Janloonie. Znajdowała się w dzielnicy Yoyoyi i należała do klanu Bez Szczytów, ale jej właściciel, była pięść klanu, żądał tylko niewielkiej dodatkowej opłaty od tych, którzy przychodzili tu ćwiczyć, w tym również zielonych kości z lennych i neutralnych klanów, gości z Espenii i innych odległych krajów, niezależnych trenerów wykorzystujących salę do ćwiczeń z uczniami, a nawet kilku *barukanów*, którzy nikomu nie złożyli przysięgi, ale oczekiwano od nich, że będą się dobrze zachowywać.

Sala była duża i dobrze wyposażona, uważano, że w całym mieście ustępuje tylko kontrolowanej przez Górę Fabryce w dzielnicy Grot. Nad wejściem zawieszono motywacyjny cytat oprawiony w ramki. „Doskonałość charakteru jest siódmą dyscypliną jadeitowego wojownika”. Gdy Hilo wszedł do budynku po południu pierwszego dnia, w głównej części sali ćwiczyło tylko kilka klanowych palców. Pojedynekowali się na stępione guan dao albo ćwiczyli Lekkość w obciążonych kamizelkach. Kiedy zauważyli filar, zatrzymali się i oddali mu honory, wołając „Kaul-jen!”. Hilo pomachał do nich ręką, ale nie zatrzymał się, by z nimi porozmawiać.

Na matach na zapleczu mistrz Aido ćwiczył walkę na karambity z mężczyzną, którego niezwykła sława dotarła dzięki klanowym pogłoskom aż do samego filaru. Nieznajomy był niższy, niż spodziewał się Hilo, sprawny i muskularny, miał krótko ostrzyżone, ciemne włosy i krótki zarost na twarzy. Jego jadeitową aurę przesyciała nuta strasznego wysiłku, ale poza tym nie

można było z niej zbyt wiele wyczytać – mentalny odpowiednik pokerowej twarzy. Hilo natychmiast zauważył, że mężczyzna jest biegłym wojownikiem, ale porusza się inaczej niż wszyscy w sali. Nie posługiwał się zwyczajowymi metodami i nie używał klasycznych kombinacji. Gdy odpierał kolejne ataki mistrza Aido, zaskakująco rzadko posługiwał się jadeitowymi talentami – od czasu do czasu przywoływał Siłę albo Stal, a czasami również krótkie Odbijanie, szybko i znienacka, jakby starał się ukryć te umiejętności za prostymi i oczywistymi ruchami. Zielone kości często starały się oszołomić rywali i gapiów nadzwyczajnymi jadeitowymi talentami – potężnym Odbijaniem, skokami wspomaganymi Lekkością – zwłaszcza w publicznych pojedynkach, które z założenia nie powinny kończyć się śmiercią, to zaś było podejście nowoczesnego żołnierza. ZSBWBJ – Zintegrowany System Bojowego Wykorzystania Bioenergii Jadeitu.

– Mistrzu Aido – odezwał się Hilo, wchodząc na matę. – Przedstaw mnie swojemu uczniowi.

Stary instruktor zdziwił się na widok filaru. Rezydencja Kaulów miała własną salę ćwiczeń i dziedzińec, gdzie Hilo zwykle spotykał się ze swoimi prywatnymi nauczycielami. Aido otarł czoło.

– Kaul-jen, to Jim Sunto. Jim, to Kaul Hiloshudon, filar klanu Bez Szczytów – dodał, zwracając się do drugiego mężczyzny.

Sunto przenosił spojrzenie z między Hilem a na mistrzema Aido. Filar spojrział na jadeit mężczyzny – dwa zielone identyfikatory zawieszane na łańcuchu na jego szyi obok drugiego, krótszego łańcucha, na których wisiał trójkątny, złoty wisiołek, symbol góry Icana używany przez prawdonośców. Sunto wyglądał na niespełna trzydzieści lat. Był młodszy niż Hilo. Filar miał już trzydzieści cztery lata i ciągle go zaskakiwało, że tak wielu ludzi jest teraz młodszych od niego.

Sunto skinął ostrożnie głową, ale nie oddał honorów.

– Wiem, kim jest Kaul Hilo.

– Mam nadzieję, że nie przerwałem wam ćwiczeń – rzekł filar do mistrza Aido.

– Już kończyliśmy – odpowiedział instruktor, pojmując aluzję. – Jim, spotkamy się za tydzień o tej samej porze. Kaul-jen – zakończył, oddając honory filarowi, i oddalił się taktownie, zostawiając dwóch mężczyzn na macie.

Sunto podszedł do wieszaka na ręczniki, wytarł pot z twarzy i zawiesił na szyi ręcznik.

– Masz jakiś problem z tym, że tu ćwiczę? – zapytał, oglądając się.

Żadna zielona kość w Janloonie, czy to przyjaciel, czy wróg, nie zwróciłaby się do filaru klanu Bez Szczytów tak nieuprzejmie, nie oddając mu honorów ani

nie okazując należnego szacunku.

– Nie mam żadnego problemu – zapewnił Hilo. – Po prostu usłyszałem, że w Janloonie mieszka i ćwiczy espeński Anioł Marynarki, i przyszedłem zobaczyć go na własne oczy.

– Były Anioł Marynarki – poprawił go Sunto. – Odszedłem ze służby parę lat temu.

– Wśród moich pięści krążą pogłoski, że jesteś naprawdę poważnym sparingpartnerem – kontynuował filar. Zaczął okrążyć Sunta, trzymając ręce w kieszeniach. – Podobno złamałeś Heikemu nos.

– To był przypadek, ale sam był sobie winien. – Sunto płynnie mówił po kekońsku, ale miał wyraźny espeński akcent. – Przesadził z rzucaniem Odbijania i zapomniał o obronie.

– Prowadzisz tu lekcje.

– Kilka seminariów. Podstawy ZSBWBJ, ukrywanie małej broni, obezwładnianie przeciwnika bez zagrożenia dla jego życia i tak dalej. Ludzie o to prosili, a dla mnie to dodatkowe dochody.

Sunto spokojnie stał w miejscu, ale w jego głosie wyraźnie słyszało się podejrzliwość i cały czas zerkał na boki, jakby się spodziewał, że klanowe pięści zaatakują go nagle ze wszystkich stron.

– Chodźmy gdzieś porozmawiać, poruczniku – zaproponował Hilo.

– Dziękuję, wolę rozmawiać tutaj.

– Jak sobie życzysz.

Hilo położył dłoń na ramieniu Sunta. Ten zareagował natychmiast, uwolnił się z uścisku, złapał filar za nadgarstek i unieruchomił jego dłoń. Druga ręka Hila już była w ruchu, atakując Przenoszeniem prawe płuco mężczyzny. Cios był wymierzony daleko od serca i nie spowodowałby trwałych uszkodzeń, ale byłby okropnie bolesny. Sunto padłby na podłogę i przez kilka minut trudno by mu było oddychać.

Ku zaskoczeniu Hila przeciwnik uwolnił jego rękę, jednym szybkim ruchem górnej połowy ciała osłonił się Stalą i użył kontr-Przenoszenia. Staw barkowy filaru przeszył dotkliwy ból. Atak na klatkę piersiową sprawił, że Sunto zgiął się wpół i zaczął kasłać, lecz choć wybito mu powietrze z płuc, mężczyzna bez wahania uniósł nogę i trafił łydką w krocze Hila.

Pomimo Stali oczy filaru zaszyły łzami wywołanymi bólem. Osunął się na jedno kolano. Sunto wyprowadził cios wyprostowaną ręką, wymierzony w tętnicę szyjną. Hilo rzucił się w bok i paraliżujące uderzenie ześliznęło się bez szkody po jego ramieniu. Rzucił precyzyjne poziome Odbijanie, wymierzone w tułów Sunta na wysokości pasa. Mężczyzna padł na podłogę w odległości paru

metrów od Hila. Filar podniósł się, przywołał Lekkość i wylądował z pełną, miazdzącą siłą nie na tułowiu Sunta, lecz tuż obok niego, wgniatając matę.

Sunto w jednej chwili przetoczył się na nogi i przykucnął w pozycji obronnej, ale Hilo wstał, uśmiechnął się półgębkiem i podszedł do niego z otwartymi dłońmi, utykając i pochylając się lekko na skutek bólu wypełniającego mu brzuch.

– Chciałem się przekonać, czy wasze espeńskie szkolenie wojskowe jest autentyczne, czy to tylko puste gadanie.

Sunto zmarszczył brwi ze zdziwieniem.

– To znaczy, że nie przyszedłeś tu po to, żeby mnie zabić albo spuścić mi łomot?

– A czy powiedziałem coś takiego? – zapytał Hilo.

Sunto wyprostował się powoli z wyraźnym niedowierzaniem. Krzywił się z bólu i pocierał klatkę piersiową.

– Przywódca jednego z największych klanów zielonych kości zjawia się niespodziewanie, żeby ze mną porozmawiać? To rozumiałe, że pomyślałem, że mogę już nie wyjść z tej sali. Mnóstwo ludzi w tym mieście nie lubi espeńskich żołnierzy, nawet tych byłych i kekońskiego pochodzenia.

Wszyscy w Siódmej Dyscyplinie przerwali ćwiczenia i gapili się na niezwykle widowisko, jakim była walka filaru klanu Bez Szczytów z byłym Aniołem Marynarki. Ktoś wyjął mały aparat fotograficzny. Hilo zerknął w jego stronę.

– Żadnych zdjęć – warknął. – Wracajcie do swoich zajęć. Nie widzicie, że rozmawiam z naszym gościem?

Skarczone palce wymamrotały słowa przeprosin i oddaliły się z wyraźnymi oporami. Hilo znowu spojrzął na Sunta.

– Gdybyś mi czymś podpadł, z pewnością już byś o tym wiedział. Przyszedłem porozmawiać, tak? Po drugiej stronie ulicy jest restauracja. Postawię ci piwo za tego kopniaka.

* * *

Mieli Dwa Tygrysy wyłącznie dla siebie, ponieważ, formalnie rzecz biorąc, lokal był jeszcze zamknięty. Hilo kazał właścicielowi przynieść im dwie szklanki bursztynowego espeńskiego lagera. Sunto nie chciał papierosa, którego zaproponował mu Hilo, więc filar palił sam. Aurę byłego Anioła Marynarki nadal wypełniała podejrzliwość, pociągnął jednak łyk piwa i zapytał:

– O czym chciałeś porozmawiać?

– Opowiedz mi, jak zostałeś espeńskim żołnierzem i wojskowym instruktorem.

Klan Bez Szczytów zbadał już przeszłość Sunta, ale Hilo był przekonany, że zawsze można się dowiedzieć więcej o człowieku, jeśli się posłucha, jak opowiada o sobie.

Sunto Jimonyon urodził się w Janloonie. Wychowywała go samotna matka. Kiedy miał sześć lat, ponownie wyszła za mąż i przeniosła się razem z jego ojczymem do Espenii. Chłopakowi nie układało się z nim dobrze i w wieku siedemnastu lat opuścił dom, by wstąpić do armii RE. Szybko skierowano go na szkolenie ZSBWBJ i został Aniołem Marynarki. Podczas drugiego okresu służby w Oortoko oberwał szrapnelem i wysłano go do bazy na Eumanie, żeby wrócił do zdrowia. Gdy wojna w Oortoko się skończyła, wystąpił ze służby i został na Kekonie.

– Miałem już dość słuchania rozkazów – wyjaśnił, wzruszając ramionami. – Chciałem trochę pomieszkać i poćwiczyć tutaj, zanim zdecyduję, co chcę robić później.

– Pozwolili ci zachować jadeit – zauważył Hilo.

Sunto położył dłoń na identyfikatorach.

– On nie jest mój – wyjaśnił. – Wydał mi go espeński rząd, a teraz noszę go dzięki bezterminowej pożyczce, ponieważ nadal pracuję jako instruktor ZSBWBJ w bazie na Eumanie. Kiedy tam jestem, mieszkam w kwaterach dla oficerów, a na resztę czasu mam mieszkanie w mieście.

Hilo przechylił z zainteresowaniem głowę.

– Nie chcesz się pojedynkować, żeby zdobyć własną zieleni?

Sunto zerknął na długi szereg jadeitów widoczny między rozpiętymi guzikami koszuli Hilla, po czym znowu przeniósł spojrzenie na jego twarz.

– Nauczono mnie nosić tylko tyle zieleni, ile naprawdę potrzebuję. ZSBWBJ opiera się wyłącznie na oszczędnym wykorzystaniu jadeitu. Na najprostszych i najskuteczniejszych metodach zwiadu i walki możliwych do zastosowania przez żołnierzy sił specjalnych, którym wydziela się taką samą, standardową ilość bioenergetycznego jadeitu. Zwiększanie tej ilości byłoby niepotrzebnym ryzykiem. – Sunto zmarszczył brwi i obrócił w rękach szklanę piwa, poszerzając wilgotny krąg na blacie. – Niektórzy z chłopaków, z którymi byłem w Oortoko, nie czują się teraz za dobrze. Choroby umysłowe, uzależnienie, uleganie kontr-Prawdziwym nałogom. Mam szczęście, że wspierają mnie kekońskie geny, ale nie potrzebuję więcej jadeitu tylko po to, żeby się nim popisywać.

– To prawda. – Hilo zgasił papierosa. Jego twarz nic nie wyrażała. – W końcu jesteś zagranicznym żołnierzem, nie zieloną kością.

Sunto obrzucił go zniecierpliwionym, nieufnym spojrzeniem.

– Posłuchaj, wiem, że twoja rodzina jest bardzo ważna – zaczął rzeczowym tonem, by podkreślić, że nie jest głupi i okazywany przez niego brak szacunku nie bierze się z ignorancji, że jest espeńskim żołnierzem i nie będzie się kłaniał żadnym przywódcom klanów zielonych kości. – Nie przybyłem do Janloonu po to, by pojedynkować się z twoimi ludźmi o jadeit albo wywoływać inne kłopoty. Przysięgam na Prawdę Wieszcza. Chcę pilnować swojego nosa i zarobić kupę forsy, to wszystko.

Hilo niespodziewanie doszedł do wniosku, że lubi Jima Sunto. Był on w Janloonie absolutnym wyjątkiem. Espeńskie obywatelstwo i status żołnierza zapewniały mu bezpieczeństwo. Mógł nosić jadeit i używać go, ale nie był winien wierności żadnemu klanowi i nie kłaniał się nikomu. Miło było spotkać kogoś, kto mógł kopnąć filar w krocze i nie obawiać się, że będzie go to kosztowało życie. Przypomniało to Hilowi lata jego młodości, gdy nie był jeszcze filarem ani nawet rogiem i każdy mógł rzucić mu wyzwanie. Codziennie musiał wtedy zdobywać dla siebie szacunek słowami, pięściami albo nożem.

– Słyszę to z przyjemnością – rzekł, uśmiechając się szerzej.

– W takim razie... – odparł Sunto, kończąc piwo i odsuwając krzesło, żeby wstać – ...wszystko już sobie wyjaśniliśmy i możemy zakończyć tę rozmowę.

– Siadaj, poruczniku. – Sunto nie był już oficerem w czynnej służbie, ale stopień wojskowy wydawał się najodpowiedniejszą formą zwracania się do niego. – Wydaje ci się, że zadałem sobie trud, by spotkać się z tobą osobiście, tylko po to, żeby warczeć na ciebie jak duży pies na małego? – Hilo wskazał rozmówcy krzesło. – Mówisz, że przybyłeś tu, żeby zarabiać pieniądze. Mam dla ciebie propozycję, która pozwoli ci zarobić znacznie więcej. Chcesz jej wysłuchać czy nie?

Sunto nie był pierwszym człowiekiem, którego zaskoczyło, jak łatwo Hilo przechodzi od dobronusznej wesołości do stanowczego autorytetu. Usiadł ostrożnie na krześle.

Filar polecił właścicielowi Dwóch Tygrysów przynieść jego rozmówcy kolejne piwo.

– Ile wiesz o kekońskiej armii? – zapytał.

– Kiedy byłem w Aniołach Marynarki, ćwiczyliśmy trochę z Kekończykami. Właściwie są całkiem niezli, ale raczej rozczarowują, jak na armię kraju, który ma najwięcej bioenergetycznego jadeitu na świecie.

– To dlatego, że cały jadeit i wojowników zawłaszczają klany, a niektórych z nich interes kraju w ogóle nie obchodzi. – Hilo wykrzywił usta w sarkastycznym uśmiechu. – Tak przynajmniej słyszałem.

Wściekało go, że Ayt Mada przechytryła go na spotkaniu KSJ na początku roku, na oczach wszystkich przywódców zielonych kości w całym kraju. Od tego czasu Góra nie przestawała atakować klanu Bez Szczytów w wojnie o wsparcie opinii publicznej. Mimo że niedawno KSJ jednogłośnie uchwaliła zwiększenie przydziału jadeitu dla sił zbrojnych, a deputowani wierni klanowi Bez Szczytów pomogli przegłosować to w Radzie Książęcej, jeśli wierzyć tyradom Koben Yina nadawanym przez radio. Ygutan w każdej chwili mógł napaść na Kokon z powodu tchórzostwa i samolubstwa klanu Bez Szczytów.

Koben z entuzjazmem podjął się nowej roli niczym nieskrepowanego rzecznika Ayt Mady. Z pewnością nie zaszkodziło to staraniom Góry, nieustannie próbującej doprowadzić rywali do finansowej ruiny. Ostatnie raporty Shae dowodziły, że w bieżącym roku dwie trzecie nowo otwieranych biznesów szuka patronatu Góry, a nie klanu Bez Szczytów. Woon Papidonwa nieustannie trudził się nad tym, by poprawić wizerunek klanu i polepszyć jego stosunki zewnętrzne, ale, jak zauważyła Shae, „nie da się sprzedawać pustego powietrza”. Klan musiał odnieść jakieś publicznie dostrzegalne sukcesy.

– Powiedzmy to sobie jasno – wycedził Jim Sunto, gdy Hilo przedstawił mu swoją propozycję. – Chcesz, żebym pomógł zreformować kekońską armię?

– Uczyłeś ZSBWBJ espeńskich Aniołów Marynarki, a na boku również zainteresowane zielone kości – zauważył Hilo. – Kekońskiej armii bardzo by się przydał ktoś taki jak ty, kto im pokaże, jak najlepiej wykorzystać jadeit, jaki mają. Nie da się zaprzeczyć, że cudzoziemcy sporo osiągnęli i nawet zielone kości mogą się czegoś od nich nauczyć.

Sunto oparł się wygodniej i skrzyżował ramiona, lekko przygryzając wewnętrzną stronę policzka.

– Muszę przyznać, że nie spodziewałem się usłyszeć czegoś takiego z ust klanowego filaru. Wiem, że dowództwo armii RE również uważa, że wzmocnienie kekońskich sił zbrojnych mogłoby zapobiec ygutańskiej agresji. –

Dotknął trójkątnego wisiora, który miał na szyi, jakby, zamiast kierować się tylko własnym interesem, pragnął poradzić się również swego cudzoziemskiego boga. – Kiedy będę mógł porozmawiać z waszym generałem Ronu?

* * *

Wen zrobiła na kolację zupę krabową, okonia morskiego na ostro, kiełki groszku z czosnkiem oraz nadziewane bułeczki. Pomagała jej Kyanla, ale Wen mogła z dumą stwierdzić, że większą część pracy wykonała sama, nawet jeśli zajęło jej to wiele godzin. Od czasu do czasu czuła jeszcze odrętwienie i słabość po prawej stronie ciała, ale równowaga oraz kontrola ruchów znacznie się

poprawiły i stopniowo wprawiała się też w wykonywaniu różnych czynności jedną ręką.

Po przyjeździe do domu Hilo ze zdumieniem zauważył, że żona czeka na niego w jadalni. Ubrała się w niebieską suknię z miękkiej tkaniny i założyła naszyjnik z pereł. Na stole stała wykwintna kolacja dla dwóch osób.

– Co to za okazja? – zapytał.

– Pomyślałam sobie, że... byłoby miło, gdybyśmy zjedli razem kolację. Choć raz tylko we dwoje.

Jej mąż zdjął marynarkę, odłożył broń, rzucił kluczyki i portfel na kuchenny blat, a na koniec zasiadł za stołem, zdumiony i podejrzliwy. Rozejrzał się. W domu panowała niezwykła cisza.

– Gdzie są dzieci?

– Nika... wysłałam na noc do Juenów. Ru i Jaya są w domu twojej matki.

– Jaya się wścieknie.

Trzypółletnia dziewczynka miała bardzo dokładne wyobrażenia na temat tego, jak powinno się kłaść ją spać. Rytuał zaczynał się od wieczornej przekąski, a kończył tym, że ojciec czytał jej z wielkiej książki dla dzieci historię o bohaterskim Baijenie. W przeciwnym razie potrafiła dostać ataku złości, który można było Postrzec, a być może nawet usłyszeć, po drugiej stronie dziedzińca.

– Musi się nauczyć, że... nie zawsze może dostać to, czego chce.

Wen ostrożnie naląła zupy do dwóch misek, koncentrując się na panowaniu nad ręką. Obawiała się, że jej dzieci staną się rozpieszczone lub zaniedbane, w takiej czy innej kombinacji tych dwóch cech. Miały rodzinę, która zajmowała się nimi, gdy ona nie była w stanie tego robić, ale nadal cierpiały z powodu tego, że poświęcała im za mało uwagi. Nie mogła ich nosić ani z nimi biegać, a nawet wiązać im sznurowadeł.

Hilo skosztował zupy.

– Jest dobra – przyznał niemal z niechęcią.

Przez kilka minut jedli w milczeniu, ale czuła na sobie jego spojrzenie.

– To jest suknia, w której brałaś ze mną ślub – zauważył.

Uśmiechnęła się.

– Czy nadal dobrze w niej wyglądam?

Pod jedwabiem nosiła rajstopy przeciwzylakowe i biustonosz z wkładkami. Urodzenie i wykarmienie dwojga dzieci, a potem poważny uraz mózgu sprawiły, że jej ciało nie było już takie jak sześć i pół roku temu.

– Jasne. – Spojrzenie Hila nabrało łagodnego wyrazu. – Może nie aż tak dobrze, jak za pierwszym razem, ale tylko dlatego, że wtedy spodziewałem się, że następnego dnia zginę. Wszystko wydaje się piękniejsze, kiedy myślimy, że widzimy to po raz ostatni.

– Czasami... – odpowiedziała Wen, zdejmując pokrywę z półmiska z rybami – wydaje się nam piękniejsze później, kiedy sobie... uświadamiamy, że mamy d... drugą szansę.

Poruszała ręką na oślep, nie mogąc znaleźć łyżki. Nerwy.

Hilo sięgnął na drugą stronę stołu i wyjął sztucce z dłoni Wen. Nałożył jej na talerz trochę okonia morskiego i kiełków grochu. Ale jego ruchy nagle zrobiły się gwałtowne. Przekroił rybę tak, jakby jeszcze żyła i musiał ją zabić.

– Nie ma drugich szans. – Jego głos brzmiał łagodnie, ale słyszało się w nim ból. – Nawet jeśli zostawimy za sobą to, co najgorsze, życie już nigdy nie będzie takie, jak przedtem. – Rozsiadł się wygodniej, głośno szurając nogami po podłodze. – Spójrz na Tara. Są rzeczy, po których nie można już wrócić do siebie.

Wen zacisnęła mocniej dłonie na kolanach, powtarzając sobie, że tego właśnie chciała. Szczerej rozmowy z mężem.

– Tar i Iyn Ro nie powinni brać ślubu – stwierdziła. – Źle wpływają na siebie nawzajem.

– Od lat kłócą się i znowu się godzą – poskarżył się Hilo. – Tym razem mówią mi, że naprawdę są zdecydowani wypowiedzieć przysięgę małżeńską. Czemu nie miałbym dać im szansy? Tar potrzebuje więcej ludzi w swym życiu i więcej zajęć.

Tar nocował w rezydencji tak często, że właściwie tu mieszkał, ale odkąd w zeszłym miesiącu zaręczyli się z Iyn Ro, większość czasu spędzał w jej mieszkaniu w dzielnicy Sogen.

Wen wiedziała, że Hilo zmniejszył zakres obowiązków filarowego i oświadczył mu, że musi trochę odpocząć, że zasłużył na to po podróży do Hiszpanii, gdzie wykonał bardzo trudne zadania. Nie minął się z prawdą, ale prawdziwym powodem było to, co usłyszał od Andena, który po powrocie z Port Massy powtórzył mu rozmowę z Dauk Losunem.

– Hilo-jen. – Wen pamiętała nerwowe brzmienie głosu kuzyna, gdy byli razem w gabinecie filaru. – Zieleń Tara zmienia się w czerń.

Zieleń zmieniająca się w czerń była idiomem opisującym jadeitowego wojownika, który tracił zdrowe zmysły, najczęściej z powodu śwędziawki, i stawał się zagrożeniem dla siebie i innych. Z kimś takim można było się skonfrontować, kazać mu oddać jadeit albo odebrać mu go siłą. Wen była jednak pewna, że problem Tara nie miał nic wspólnego z nadmiernym narażeniem na jadeit. Bez Kehna stał się jedynym kołem rikszy, która wyrwała się spod kontroli. Nadal pozostawał oddany Hilowi, ale był to dla niego jedynie balast powstrzymujący samotność i żądzę krwi. Czuł się naprawdę szczęśliwy tylko wtedy, gdy spędzał czas z dziećmi, zwłaszcza z synem Kehna, Maik Camem.

Jednakże tak bardzo lubił wypełniać ich głowy pełnymi przemocy opowieściami, że nawet Wen, która nie uważała, że dzieci należy chronić przed rzeczywistością, starała się ograniczać czas, jaki spędzały z wujkiem Tarem, żeby po nocach nie dręczyły ich koszmary.

Jego zaręczyny z Iyn Ro były sporą niespodzianką.

– Przynajmniej próbuje się zmienić – bronił go Hilo. – Zasługuje na szczęście.

– A co z nami? – zapytała ostrożnie Wen. – Na co zasługujemy?

Hilo przestał na moment poruszać zuchwą. Przyjrzał się z ukosa żonie, sięgając po tacę z ciepłymi nadziewanymi bułeczkami.

– Co masz na myśli?

Wen zmięła w dłoniach serwetkę, zbierając się na odwagę.

– Nie... nie możemy żyć oddzielnie i nadal tak cierpieć, Hilo. Filar musi dbać o siłę rodziny. Teraz nie jesteśmy silni. Wpadliśmy w pułapkę. Nawet nie... – Nie potrafiła ubrać w słowa skłębionych myśli. Widziała, że jej urywana mowa budzi w nim litość, a zarazem go ekscytuje. – Czy... czy chcesz... czy chcesz rozwodu?

Hilo odepchnął krzesło od stołu. Wen nigdy dotąd nie bała się męża. Nie zdarzyło się, by ją uderzył, ani nawet nie sprawiał wrażenia, że chciał to zrobić. Teraz jednak serce omal nie przestało jej bić, kiedy ujrzała jego twarz.

– Czy tego właśnie pragniesz? – zapytał. – Czy mało ci zdrady, którą popełniłaś? Chcesz jeszcze zniszczyć rodzinę?

Potrząsnęła głową, ale Hilo mówił coraz głośniej. Jego gniew przerodził się w burzę, oskarżenie widoczne w jego spojrzeniu odebrało jej mowę.

– Dlaczego, Wen? Czy cię nie kochałem, nie dbałem o ciebie, nie wspierałem twojej kariery, nie zrobiłem wszystkiego, by zapewnić tobie i dzieciom bezpieczeństwo? Dlaczego nie mogłaś mnie posłuchać w tej jednej, prostej sprawie?

Wen była zdeterminowana stawić czoło mężowi bez łez, teraz jednak poczuła, że oczy zachodzą jej mgłą.

– Stawka była... zbyt wielka. Wiedziałam, że nie wypuścisz mnie... z bezpiecznej skrzynki, w której mnie zamknąłeś. Dlatego przekonałam Shae. Przez ciebie... musiałyśmy kłamać.

– Przeze mnie... – Hilo rozdziawił na moment usta. Potem gwałtownie je zamknął. Wstał, odrzucając serwetkę. – Czasami myślę, że kłamcy wcale nie są lepsi od złodziei – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Kradną zaufanie, a jego nigdy nie będzie można zwrócić.

Nim zdążyła wstać z krzesła, opuścił dom. Nie miała szans nadążyć za jego długimi, pewnymi krokami.

* * *

Hilo wypadł na dwór i wszedł do duchesse, lecz nagle uświadomił sobie, że pod wpływem chwili zostawił kluczyki w domu razem z marynarką. Zawył z frustracji i walnął pięścią w kierownicę. Potem opuścił szybę i wypalił trzy papierosy, zanim się uspokoił.

Zastanawiał się, czy nie spać dzisiaj w samochodzie. Potem pomyślał, że mógłby pójść do Domu Prognostyka i poprosić siostrę, żeby go przenocowała na kanapie. Oba pomysły wydały mu się żałosne. Roześmiał się w ciemności. Wizja pogardliwego spojrzenia, jakim obrzuciłaby go Shae, rozbawiła go, lecz jednocześnie przywróciła mu rozsądek. Ale z drugiej strony... między nią a Woonem coś się wydarzyło. Czują się wyraźnie nieswojo i była przygnębiona. Być może po raz pierwszy w życiu mogliby się razem upić i wypłakać nad hoji. Znowu zachichotał.

Kiedy wrócił wieczorem do domu i zobaczył pięknie wyglądającą Wen, czekającą na niego z kolacją, w której przygotowanie włożyła tak wiele wysiłku, gorąco zapragnął znowu oddać jej serce, wynagrodzić jej wszystkie ostre słowa, jakie kiedykolwiek do niej wypowiedział. Kiedyś bez trudu mówił jej, że ją kocha, wypowiadając te krótkie słowa jednym tchem. Pożegnanie na koniec rozmowy telefonicznej, zaproszenie do kochania się z nim, szept przed zaśnięciem.

Teraz stały się one dla niego nieprzebytą emocjonalną przeszkodą. Za każdym razem, gdy próbował wszystko między nimi naprawić, gniew powstrzymywał go niczym odruch nakazujący cofnąć rękę od płomienia albo stał osłaniająca przed ostrzem. Często oskarżał Shae o to, że trzyma innych na dystans, w jednej chwili nie jest szczerą ze sobą, a w następnej z innymi. Teraz to on oddalił się od innych i w samotności uzalał się nad swoimi niedostrzegalnymi urazami, tak samo jak kiedyś Lan.

Ta myśl wypełniła Hila lękiem i przygnębieniem. Nie był z natury niezależny. Znał siebie i zdawał sobie z tego sprawę. Być może niektórzy naprawdę nikogo nie potrzebowali, ale było ich bardzo niewiele i z reguły coś było z nimi nie w porządku. Klanowe braterstwo obiecywało wojownikom, że nigdy nie zostaną sami. Jaki sens miałyby przysięgi zielonych kości, wszystkie poświęcenia jego rodziny i nieustanna wojna przeciwko wrogom, gdyby ta obietnica spełzła na niczym nawet w przypadku jego samego i tych, których kochał?

Nadal jednak zwlekał. Robiło się coraz później i zabrakło mu papierosów.

Wysiadł z samochodu i powlókł się w stronę domu. Musiał przyznać, że małżeństwo nie może trwać w ciągłym impasie. Na samo wspomnienie

o rozwodzie oczy zaszyły mu krwią, a głowę wypełniły płomienie. Ta opcja nie wchodziła w grę. Nie był pewien, czy kiedykolwiek będzie mógł wybaczyć żonie – albo siostrze – ale Anden powiedział mu kiedyś, że zrozumienie jest ważniejsze od wybaczenia. Jego młody kuzyn był bardzo bystry na swój sposób.

Światła w domu zgaszono, ale jego oczy przywykły już do ciemności. Wen zostawiła resztki kolacji i położyła się spać na kanapie w salonie. Leżała na boku, przykryta kocem. Być może czekała na niego albo schody wydawały się jej zbyt niebezpieczne. Hilo zatrzymał się nad nią, obserwując, jak jej blade barki unoszą się i opadają w rytm oddechu. Była najbardziej miękkim i bezbronnym ze wszystkich stworzeń, lecz jednocześnie najsilniejszą i najbardziej nieustępliwą z jego wojowników.

Pochylił się i dźwignął ją bez trudu. Gdy niósł ją po chodach do sypialni, obudziła się.

– Hilo? – wymamrotała sennie. – Która godzina?

– Jest już późno – odpowiedział. – Ale nie za późno. – Położył ją na łóżku i usiadł na materacu obok niej. – Przepraszam za kolację. Była naprawdę dobra, jedna z najlepszych, jakie zrobiłaś. Ale będą jeszcze inne, na pewno lepsze. Albo następnym razem gdzieś pójdziemy.

– W porządku – odpowiedziała i otarła oczy grzbietem dłoni.

– Niepotrzebnie się zdenerwowałem i wyszedłem z domu. Ale nigdzie nie poszedłem, tylko do samochodu.

Pochylił się nad nią i odsunął kosmyk włosów przylepiony do jej policzka. To był czuły gest, ale jego głos zabrzmiał ostro.

– Myślę, że błędy, jakie popełniamy z miłości, są najgorsze ze wszystkich. Nie mów już nigdy o rozwodzie. Ja też nie będę o nim wspominał. Rozumiesz?

Skinęła głową.

Rozebrał ją, a potem sam zdjął ubranie i położył się przy niej. Powoli, ale stanowczo, zaczął dotykać jej piersi i brzucha. Bioder i pośladków. Sięgnął między jej uda, poruszając szybko palcami i pocałował jej podbródek.

Wen zwróciła się ku niemu, wciskając wilgotną twarz w jego pierś i brzuch. Wsunęła się pod kołdrę i wzięła go głęboko w usta. Nim zdążyła go przeprowadzić za punkt, w którym utraci kontrolę, pociągnął ją w górę, obrócił i zaczął pracować nad nią, aż wreszcie zrobiła się wilgotna. Od dawna już nie skupiali się nawzajem nad swoich ciałach, ich ruchy były ostrożne, ale celowe, jak u doświadczonych kochanków z nowymi partnerami. Kiedy w nią wszedł, oboje wstrzymali z drzeniem oddech.

To z pewnością nie był ich najbardziej namiętny czy gorący akt miłosny, był jednak najbardziej zdeterminowany. Razem truchtali niewprawnie ku spełnieniu.

Gdy było po wszystkim, nie odezwali się ani słowem, tylko zasnęli, splatając palce w ciemności.

ROZDZIAŁ 10

NIE MOŻESZ WYGRAĆ

Szósty rok, dziesiąty miesiąc

Shae pojechała do Lukangu pociągiem. Wagony pierwszej klasy były wygodniejsze niż samoloty Kekońskich Linii Lotniczych, używane na liniach krajowych. Mogła spędzić ten czas na pracy i podziwianiu krajobrazu.

Ponownie przejrzała wszystkie dane, które udało się jej zebrać o klanie Jedność Sześciu Dłoni razem ze swym nowym szefem sztabu, Luto Taguninem. W ciągu sześciu minionych miesięcy Luto dowiódł, że szybko się uczy, jest obowiązkowy, i ma niewyczerpane zasoby energii. Najwyraźniej nie potrzebował dużo snu. Miał dwadzieścia sześć lat i pracował do późnej nocy, potem szedł się zabawić z kolegami, a rano wracał do pracy w dobrej formie. Już teraz sprawnie sobie radził ze wszystkimi komplikacjami biznesowej strony klanu. Shae imponowała jego zdolność zwracania uwagi na szczegóły.

Awans w klanie mógł mu utrudnić jedynie fakt, że nie był zieloną kością. Po biznesowej stronie klanu Bez Szczytów z reguły nie było to przeszkodą, ale w ścisłym kierownictwie klanu z reguły źle na to patrzono i mógł nie mieć dostępu do pewnych kręgów towarzyskich. Tak czy inaczej, Luto nie rozczarował Shae w żaden konkretny sposób poza oczywistym, uderzającym faktem, że nie był Woon Papidonwą.

Nie był tak rozważny i doświadczony jak Woon. Nie miał jego spokoju i nie odgadywał jej myśli, co Woon najwyraźniej potrafił. Nie Postrzegął, że Shae czasami pragnie, by przyszedł do jej gabinetu omówić jakąś trudną sprawę, nie wiedział, kiedy atakować jej decyzje i szukać dziur w jej rozumowaniu. Nie odwoził jej też codziennie do domu po zakończeniu pracy.

Powtarzała sobie, że trudno jej jest przyzwyczać się do zmian, ponieważ od chwili, gdy została prognostyczką, zawsze współpracowała z tym samym szefem sztabu. Z czasem pogodzi się z tym, że tę rolę gra teraz ktoś inny. W końcu nadal często widywała Woonę. Jego nowy gabinet znajdował się tylko piętro niżej i rozmawiali ze sobą niemal codziennie. Klanowy dawca pieczęci był zajęty reakcją opinii publicznej na oświadczenie, że klan Bez Szczytów współpracuje obecnie z kekońską armią i sprowadził ekspertów od ZSBWBJ, żeby opracowali skuteczniejszy, bardziej nowoczesny program nauczania jadeitowych dyscyplin. Gdy Shae przechodziła obok drzwi gabinetu swego cienia i czuła ukłucie rozczarowania faktem, że rezyduje w nim teraz Luto, znajdowała jakieś usprawiedliwienie, żeby zejść piętro niżej i Postrzec znajomą aurę Woonę. Po pocałunku, do którego doszło w jej domu, Shae już pierwszego dnia rano zebrała się na odwagę i odwiedziła nowy gabinet Woonę. W końcu była prognostyczką, zieloną kością najwyższej rangi. Powinna jakoś rozwiązać problem.

– Papi-jen – zaczęła z determinacją w głosie, zamykając za sobą drzwi. – Jeśli chodzi o to, co wydarzyło się w zeszłym tygodniu, nie...

Nim zdążyła wypowiedzieć następne słowo, Woon poderwał się, omal nie przewracając krzesła.

– Nie mów nic więcej, Shae-jen. – Patrzył na nią tylko przez kilka sekund, po czym odwrócił wzrok, jakby stał przed reflektorem i nie był w stanie znieść jego blasku. – Wiesz, co do ciebie czuję. Jeśli przeprosisz mnie za to, co się wydarzyło, i powiesz, że tego nie chciałaś, nie będę mógł tego znieść. A jeśli powiesz, że tego chciałaś i czujesz to samo, co ja, to będzie jeszcze gorsze, bo jeśli pomyślę, że mam szansę... – Umilkł, czując ucisk w gardle. W jego jadeitowej aurze kłębiły się sprzeczne uczucia, których Shae nie potrafiła zanalizować. – Nie mogę porzucić Kii. Po wszystkim, przez co przeszliśmy, to by było niehonorowe. Nie potrafiłbym też znieść utraty twojej przyjaźni i szacunku. Czy... czy byłoby możliwe, żebyśmy nadal ze sobą współpracowali i po prostu... starali się, żeby inne sprawy nie wchodziły nam w drogę?

Znowu spojrzał na nią, ale chyba wolałaby, żeby tego nie robił. Łagodna szczerść malująca się na jego twarzy wypełniła jej wnętrze bolesnym głodem. Miała na sobie elegancką garsonkę i trzymała się na dystans od Woonę, ale myślała tylko o jego ustach na swojej szyi, o jego wielkich dłoniach wsuwających się pod jej koszulę. W jednej chwili uświadomiła sobie, jak strasznie była głupia, odwzajemniając uczucia przyjaciela i współpracownika dopiero w chwili, gdy było już za późno.

– Oczywiście – zdołała odpowiedzieć.

Woon dotrzymał słowa i nadzorował pracę Luta. Obaj starannie potwierdzili szczerść oferty Jedności Sześciu Dłoni, sprawdzili stan finansów klanu i jego

transakcje, a na koniec zgodzili się na bezpieczne, prywatne spotkanie z jego przywódcami. Rozmawiała z nim przez telefon, zanim wsiedli do pociągu.

– Jesteś pewna, że masz wszystkie potrzebne informacje, Shae–jen? – zapytał.

Oboje wiedzieli, że to spotkanie może się okazać bardzo ważne. Jeśli Shae zdobędzie wierność Jedności Sześciu Dłoni wszystko się zmieni. Zachowali maksymalną czujność. Tylko Hilo, Woon i Juen wiedzieli o ich wyprawie.

– Tak – zapewniła Shae. – Luto świetnie wszystko skompilował.

Woon się zawahał. Mógł z łatwością przyjść do jej gabinetu, zanim wyjechała, ale wolał zatelefonować. Po cichu spodziewała się, że będzie chciał pojechać z nią do Lukangu, jak w czasach, gdy był jej cieniem. Nie złożył jednak takiej propozycji. Próbowwała nie czuć się urażona jego w pełni akceptowalnym profesjonalnym dystansem, ale poniosła sromotną porażkę. Lepiej, żeby nie spotykali się osobiście. Zbyt łatwo byłoby mu Postrzec jej uczucia.

Rozmowa telefoniczna umożliwiła obojgu schowanie się za tarczą.

– Życzę ci dobrej podróży. I szczęścia – dodał Woon i odłożył słuchawkę.

Pociąg dotarł na dworzec w Lukangu późnym popołudniem. W przeciwieństwie do Janloonu, pełnej przepychu, spowitej smogiem stolicy osłoniętej ciepłymi wodami oraz wyspami będącymi przedłużeniem łukowatego wschodniego wybrzeża Kekonu, znajdujący się na południowym brzegu wyspy Lukang był wietrznym, wyblakłym od morza miastem, słynącym ze słonecznej pogody i bezpretensjonalnej kultury, typowej dla klasy pracującej. Janloończycy uważają swych kuzynów z południa za mniej wyrafinowanych i wyśmiewają się z ich powolnej mowy, ale Lukang również jest metropolią, pełną fabryk i firm telekomunikacyjnych, które wyrosły w tętniącym życiem porcie.

Wynajęty samochód czekał na Shae i jej towarzysza przy dworcu. Kierowca zawiózł ich prosto na umówione miejsce spotkania, położone głęboko w terytorium Jedności Sześciu Dłoni. Lukangiem władały trzy klany. Góra i klan Bez Szczytów miały tu swoich ludzi i biznesy, ale najważniejsza była miejscowa Jedność Sześciu Dłoni. Przez ponad dziesięć lat utrzymywała luźny sojusz z Górą, płacąc jej daninę w zamian za prawo do niezależnych operacji oraz dostęp do większych zasobów potężniejszego klanu działającego w całym kraju. Shae miała nadzieję zmienić tę sytuację.

Przy wejściu do restauracji i baru hoji o nazwie Unto i Synowie spotkał ich Jio Wasujo, filar klanu Jedność Sześciu Dłoni. Towarzyszyło mu dwóch innych mężczyzn.

– Kaul–jen, twoja wizyta to dla mnie zaszczyt – oznajmił Jio, z szacunkiem oddając jej honory.

– Przybyłam tu z przyjemnością, Jio-jen – zapewniła Shae, odwzajemniając pozdrowienie.

Jio Wasu był starzejącą się, lecz nadal fizycznie imponującą zieloną kością. Nosił jadeit na srebrnym łańcuchu na szyi, ale na czubku głowy miał niewielką łysinę i ważył trochę za dużo. Shae nieraz widziała go, jak siedział obok Ayt Mady na spotkaniach Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego i zauważyła, że częściej słucha i obserwuje, niż mówi.

Jio wskazał dwóch stojących obok mężczyzn.

– Znasz mojego prognostyka, Tyne Retu. – Shae skinęła głową do Tyne’a. Od czasu ich krótkiej rozmowy w windzie kilkakrotnie rozmawiali ze sobą potajemnie. – A to jest mój róg i bratanek, Jio Somu – przedstawił trzeciego mężczyznę filar.

Shae i Luta zaprowadzono uprzejmie, ale szybko do jednej z prywatnych sal lokalu. Na długich półkach stały tam butelki drogiej hoji, z różnych gorzelni i w różnym wieku. Lokalu jeszcze nie otwarto i Postrzeganie mówiło Shae, że nikogo w nim nie ma. Drewniane żaluzje zamknięto, zasłaniając z pewnością piękny widok na długi wał nadmorski i Ocean Amarycki.

– Zostań na zewnątrz i stój na straży – rozkazał bratankowi Jio Wasu. Róg skinął głową i wyszedł. – Wybacz, że nie przywitałem cię w Lukangu w lepszym stylu – rzekł filar do Shae – ale mam nadzieję, że rozumiesz potrzebę zachowania dyskrecji.

– Z pewnością rozumiem, Jio-jen.

Shae usiadła za stołem. Ustawiono na nim dzbanek z herbatą oraz zestaw rozmaitych przekąsek. Luto zajął pozycję z tyłu i na lewo od niej. Tyne Retu nalał herbaty, najpierw napełniając filiżankę Shae. Zjadła trochę prażonych owoców i marynowanych jarzyn, żeby okazać uprzejmość, ale gorąco pragnęła rozpocząć rozmowę i nie miała apetytu.

Jio i Tyne najwyraźniej się z nią zgadzali. Po krótkiej niezobowiązującej rozmowie o różnicach między pogodą na południu i północy oraz wzajemnych pytaniach o zdrowie rodziny, filar Jedności Sześciu Dłoni się pochylił.

– Kaul-jen – wycedził w powolnym, typowym dla południowców tempie. – Kaul-jen, jestem ci wdzięczny za to, że zgodziłaś się odwiedzić Lukang. Nasze miasto nie jest takie duże jak Janloon i ludzie czasami nie doceniają tego, jak wiele ma do zaoferowania.

– Byłabym kiepską prognostyczką, gdybym nie wiedziała, że Lukang obecnie rośnie jeszcze szybciej niż Janloon.

– Jedność Sześciu Dłoni współpracowała z Górą od czasów Ayt Yugontina, ale ostatnio zetknęliśmy się z... – Jio wymienił spojrzenia ze swym

prognostykiem – problemami, które skłoniły mnie do ponownego rozważenia pytania, co będzie najlepsze dla mojego klanu.

Shae miała nadzieję, że jej cień słucha wszystkiego uważnie. Przyzwyczała się, że ma za sobą uspokajającą aurę Woona, i żałowała, że nie jest obecny przy tych negocjacjach, które mogły mieć kluczowe znaczenie. Pochyliła się, podobnie jak Jio.

– Jakie to problemy, Jio-jen? – zapytała zachęcająco.

– Lukang rośnie – odpowiedział filar. – I dlatego ma trudności związane z wielkimi miastami. – Jesteśmy dużym portem położonym najbliżej Uwiwów i dlatego ciągle mamy kłopoty z przemytnikami jadeitu oraz nielegalnym SN1, ale ostatnio sytuacja się pogorszyła. Osiedliło się tu wielu uchodźców z Oortoko, którzy przybyli na Kekon w ostatnich latach. Sponsoruje ich Góra. Niektórzy z nich to dobrzy obywatele, ale inni są *barukanami*. Handlują błyskiem i popełniają inne przestępstwa. Mamy za mało zielonych kości, żeby sobie z nimi poradzić. Prosił Górze, żeby przysłała nam więcej pięści i palców, ale dla nich ważniejsze są ich terytoria w Janloonie.

Jio z początku mówił powoli, ale teraz nagle przyśpieszył.

– Ayt Mada ma swoich *barukanów*, którzy dla niej pracują. To Matyowie, członkowie największego gangu w Szotarze. Odbierają jadeit, który dociera do Lukangu, i przewożą go pod strażą do Janloonu. Dlatego Góra patrzy z pobłażaniem na ich inne poczynania.

– Do Lukangu dociera jadeit? – zapytała zdezorientowana Shae. – Skąd? Z kopalń?

O ile wiedziała, w pobliżu nie było żadnej kopalni kontrolowanej przez KSJ.

Jio ponownie zerknął na swego prognostyka. W jadeitowych aurach obu mężczyzn pojawiła się nerwowość. Shae zorientowała się, że przywódcy Jedności Sześciu Dłoni długo i intensywnie dyskutowali o tym, czy podzielić się z nią tą informacją.

– Z początku my również byliśmy zaskoczeni – przyznał Jio. – Z reguły niepokoiły się jadeitem przewożonym w przeciwną stronę, przemycanym do kraju. To nadal się dzieje, ale w tej chwili transport odbywa się w obie strony. Samoloty i statki przywożą jadeit z Uwiwów.

– Dlaczego... – przerwała nagle, zanim zdążyła skończyć pytanie: „Dlaczego ktoś miałby przemycać jadeit na Kekon, do kraju, z którego pochodził?”. W jednej chwili uświadomiła sobie, jak brzmi odpowiedź.

Cztery lata temu, po zabójstwie uwiwańskiego przemytnika Zapunya przez klan Bez Szczytów, Ayt zawarła sojusz z keko-szotarskimi ochroniarzami i gangsterami, do tej pory pozostającymi na usługach Zapunya. *Barukan* o nazwisku Iyiko, który wywodził się z gangu Matyków i przez wiele lat

współpracował z Zapunyem, zlikwidował synów byłego szefa, zagarnął jego pozycję i stał się nowym przywódcą Ti Pasuiga, największej w całym regionie organizacji zajmującej się przemytem jadeitu oraz błysku i obecnie kierował nią równie bezlitośnie jak jego poprzednik. Choć zielone kości w praktyce położyły kres zorganizowanemu poszukiwaniu jadeitowych odpadów na hałdach kekońskich kopalń, przedsiębiorczy przestępcy nadal potrafili zdobyć sporo surowych i obrobionych klejnotów.

A zgodnie z tym, co mówił Jio Wasu, Góra je skupywała.

Chcąc zawrzeć sojusz z Iykiem i *barukanami* z gangu Matyów, Ayt wyszeptła imię byłego kanclerza Rady Książęcej, Son Tomarha, co doprowadziło do uchwalenia ustawy umożliwiającej imigrację na Kekon uchodźcom z rozdartego wojną Oortoko, w tym również sponsorowanym przez Górę noszącym jadeit *barukanom*. Ayt dała im zajęcie. Kupowali surowy jadeit na Uwiwach i transportowali go do Lukangu, by trafił do skarbców Góry. Nie tylko powiększało to bogactwo klanu w czasach niepewności na rynkach finansowych, lecz również ograniczało podaż i podwyższało cenę nielegalnego jadeitu. Dzięki temu nieoficjalna sprzedaż klejnotów Ygutanowi, Oortoko Wschodniemu i innym krajom przynosiła znacznie większe zyski. Shae była też pewna, że Ayt zagarnia dla siebie część zysków z prowadzonego przez Ti Pasuiga nielegalnego handlu błyskiem, a także ze sprzedaży czarnorynkowych klejnotów, których *barukani* nie przywozili z powrotem na Kekon, lecz odstępowali je innym nabywcom.

Ayt Mada zawsze uważała, że jeden klan powinien kontrolować światowe zapasy jadeitu, a teraz znalazła sposób, by podporządkować sobie znaczną część nielegalnego handlu klejnotami i stworzyć coś w rodzaju czarnorynkowego cienia KSJ. Ale członkiem tego kartelu był tylko jeden klan. Klan Góra.

W Podwójnym Szczęściu, gdy na stole leżało ciało Fuyina, Hilo zażądał: „Powiedz mi, jak to, do chuja, możliwe, że Góra wydaje więcej i kradnie nasze biznesy, mimo że pobiera tak niską daninę?”. Teraz знаła już odpowiedź na jego pytanie. Klucze do wojennego skarbcza Ayt Mady znajdowały się w Lukangu.

Jej serce zabiło szybciej. Zmusiła się do zachowania spokoju, nie chcąc, by mężczyźni z Jedności Sześciu Dłoni postrzegli, jak ważne jest dla niej zdobycie ich poparcia. Ayt z pewnością uważała, że chaos i wzrost przestępczości w Lukangu jest niewysoką ceną za współpracę gangów *barukanów* w nielegalnym handlu jadeitem w trójkącie między Kekonem, Uwiwami i Ygutanem. Gdyby klan Bez Szczytów zdołał się sprzymierzyć z Jednością Sześciu Dłoni i przechwytywać w portach napływający do kraju jadeit, mogłaby pozbawić Górę dodatkowego źródła jadeitu i wbić klin między Ayt a Iyila.

– Jio-jen, wiedziałam, że Góra sprzymierzyła się z *barukanami*, ale do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, do jakiego stopnia szkodzi to waszemu miastu.

Jio wypuścił powietrze z płuc.

– Góra nigdy nie będzie dbała o nasze miasto tak, jak Jedność Sześciu Dłoni. Chcę, żeby nasi miejscowi latarnicy mogli zakładać interesy za granicą. Tam właśnie jest teraz potencjał wzrostu. Musimy też przyciągać do naszego miasta zagranicznych inwestorów oraz turystów. Mój syn pragnie studiować w Espenii. – Filar skierował na Shae pytające spojrzenie. – Jak rozumiem, klan Bez Szczytów ma w tych dziedzinach przewagę nad Górą.

Skinęła głową, starając się ukryć ekscytację.

– To prawda, Jio-jen. Mamy w Espenii więcej sojuszników i własnych ludzi niż jakikolwiek inny klan. Gdyby Jedność Sześciu Dłoni przysięgła nam wierność i zgodziła się płacić daninę, z chęcią okazemy wam przyjaźń i wsparcie na wszelkie możliwe dla nas sposoby. – Żałowała, że była zbyt dumna, żeby poprosić Hila, by jej towarzyszył. Jego wrodzony dar przekonywania bardzo by się teraz przydał. – Jako prognostyczka klanu przemawiam w imieniu mojego brata, filaru, który słynie z tego, że zawsze dotrzymuje obietnic.

W pomieszczeniu narastało poczucie doniosłości chwili. Jio świetnie wiedział, że stoi na granicy, zza której nie będzie już powrotu. Jeśli porzuci Górę, uczyni Ayt Madę swym wrogiem, a tego nie chciałaby żadna zdrowa na umyśle osoba.

– Przyjaźń klanu Bez Szczytów jest wiele warta – przyznał. – W porównaniu z nim jesteśmy małym klanem i nie mamy zbyt wielu pięści oraz palców. Jednakże te, które mamy, z pewnością są zielone. Nasze wpływy w regionie są silne i mamy sporo kwitnących interesów w kilku różnych gałęziach. Tyne-jen zapozna cię ze wszystkimi niezbędnymi szczegółami.

Prognostyk klanu Jedność Sześciu Dłoni natychmiast otworzył aktówkę. Wyciągnął z niej grubą, nieoznaczoną kopertę i położył ją na stole przed Shae.

W środku z pewnością były szczegóły klanowych operacji, aktualne finansowe sprawozdania biznesów należących do klanu bądź płacących mu daninę, lista przywództwa, wykaz wszystkich służących mu zielonych kości z podaniem ich rang oraz spis innych wartościowych aktywów Jedności Sześciu Dłoni, takich jak sojusze z pomniejszych klanami czy wartościowe kontakty polityczne.

Rzecz jasna, Woon i Luto wygrzebali już wszystkie możliwe informacje o Jedności Sześciu Dłoni, zapewne więc nic w raporcie Tyne'a jej nie zaskoczy, ale sam fakt jego złożenia był deklaracją intencji oraz dowodem zaufania. Podejrzewała, że Jio i Tyne nie byli w stu procentach szczerzy. Płacący daninę często zaniżali swoje dochody, licząc na niższą stawkę, albo zawyżali swe

bogactwo i liczbę wojowników, by sojusznicy cenili ich wyżej. Każę Lutowi sprawdzić wszystkie dane i wyszukać w oświadczeniach możliwe sprzeczności, najważniejsze jednak było to, że filar Jedności Sześciu Dłoni zgodził się podporządkować władzy klanu Bez Szczytów i w związku z tym oddał im cały Lukang.

Przyjęła kopertę i schowała ją do torebki.

– Nie wątpię w twoje słowa. Twoja decyzja oznacza wielkie ryzyko dla klanu i dla miasta. Zapewniam, że klan Bez Szczytów jest lojalny wobec przyjaciół. Mamy też pewne wpływy w Lukangu.

Wyciągnęła rękę do Luta, który wyjął ich własną nieoznaczoną kopertę i wsunął jej w dłoń. Położyła kopertę przed Jio i Tyne'em. W środku była robocza wersja umowy o patronacie. Wymieniono w niej, ilu wojowników Juen Nu, róg klanu Bez Szczytów, zgadza się wysłać do Lukangu, by bronili Jedności Sześciu Dłoni przed odwetem Góry (żaden klan nie zgodziłby się zmienić patrona, gdyby nie otrzymał takich zapewnień), a także przybliżoną wysokość daniny. Ostatecznie określi się ją po dokładnej kontroli ksiąg mniejszego klanu.

– Wyliczyłem wszystko na podstawie danych z zeszłego roku, więc to są tylko przybliżenia. Przed upływem tygodnia mogę przedstawić uaktualnioną wersję – zapewnił Luto. – Jeśli prognostyczka pozwoli – dodał pośpiesznie z zawstydzeniem w głosie.

Właściwie nie udzieliła m pozwolenia na zabranie głosu, ale była w stanie wybaczyć taki entuzjazm. Niemal od niego dygotał. Kiedy Luto został cieniem Shae, z pewnością liczył na to, że będzie świadkiem właśnie takich dramatycznych wydarzeń. Sojusz nie będzie oficjalny, dopóki obie strony nie uzgodnią wszystkich szczegółów i Jio nie przybędzie do Janloonu, by osobiście złożyć przysięgę Kaul Hilowi. Niemniej klany wyraziły już swoje intencje. To było wielkie zwycięstwo dla klanu Bez Szczytów. Wszelkie niezbędne działania podejmie się natychmiast.

Jio przyjął kopertę i chciał znowu podjąć rozmowę, ale w tej samej chwili Shae Postrzegła jakieś poruszenie energii pod budynkiem. Szybko zbliżały się aury zielonych kości. Co najmniej sześć. Wyprostowała się i spojrzała na Jio Wasu.

– Czy to twoi ludzie? – zapytała.

Luto, który nie był zielony, i Tyne, który nosił niewiele jadeitu i najwyraźniej miał słaby zmysł Postrzegania, popatrzyli na nich ze zdziwieniem. Jio wstał. W jego aurze, a także na twarzy pojawił się niepokój.

– Nie – odezwał się. – To niemożliwe. Nikt nie wiedział o naszym spotkaniu. Gdzie jest...

Drzwi nagle się otworzyły i pojawił się w nich Jio Somu, róg Jedności Sześciu Rąk. Towarzyszył mu wysoki, starszy mężczyzna. Shae natychmiast go poznała. To był Nau Suenzen, róg Góry.

Jej dłoń błyskawicznie powędrowała do karambita, który nosiła na plecach pod blezerem, ale Jio Wasu zamarł, gapiąc się na bratanka z szokiem i niedowierzaniem.

Młodego mężczyznę zalewał pot, ale jego twarz miała stanowczy wyraz, a jadeitowa aura gorzała mroczną determinacją.

– Wybacz, wujku. Nie zostawiłeś mi wyboru.

Nau Suen zrobił krok w przód. Cztery dodatkowe zielone kości z Góry weszły za nim do środka i natychmiast rozciągnęły się w wachlarz. Postrzegając w budynku trzy kolejne, przy frontowym wejściu i obu tylnych. Odsunęła się, trzymając Luta za ramię, aż oboje oparli się plecami o ścianę. Jej asystent wytrzeszczał oczy i nie odzywał się ani słowem. Czuła na granicy Postrzegania kwaśny posmak jego strachu. Zaciskała mocno dłoń na rękojeści karambita, ale uszy wypełniał jej głośny szum krwi, a umysł pracował gorączkowo. Szukała jakiejś drogi ucieczki, jednak żadnej nie znalazła. Ściany zbudowano z grubych kłód, a okna były małe. Nie zdołałaby się przez nie przecisnąć nawet z pomocą całej swej Siły i Stali.

Jio Wasu nie spuszczał spojrzenia z bratanka.

– Zdradziłeś nas – wyszeptał z niedowierzaniem.

– To dziwne oskarżenie z ust filaru właśnie przyłapanego na złamaniu przysięgi wierności i przejściu na stronę klanu Bez Szczytów – stwierdził Nau Suen. Omiótł pomieszczenie zimnym spojrzeniem, zatrzymując je kolejno na wszystkich obecnych. Shae przebiegły ciarki, gdy przywitał ją niemal serdecznym skinieniem głowy. – Powinieneś się dowiedzieć, Jio-jen, że twój bratanek poinformował mnie o zdradzie, którą popełniłeś, i podał datę oraz miejsce spotkania, stawiając jako warunek to, że darujemy ci życie.

– Góra i tak wkrótce by się dowiedziała – rzekł Jio Somu, jakby błagał wujka o zrozumienie. – A wtedy musielibyśmy walczyć o własne życie. Dlaczego uważasz, że opłacałoby się nam przejść do klanu Bez Szczytów? Tak będzie lepiej dla wszystkich. Nie chcielibyśmy, żeby Lukang zmienił się w Janloon.

– Co za to dostaniesz, Somu? – zapytał z odrętwieniem Jio Wasu.

Odpowiedział mu Nau:

– Oczywiście, gdy udasz się na wygnanie, Jio Somu zostanie filarem klanu Jedność Sześciu Dłoni, który nadal będzie władał Lukangiem jako wierny lennik Góry.

Tyne Retu wydał z siebie nieartykułowany okrzyk gniewu.

– Somu, ty podły psie...

Rzucił się na młodszego Jio. Wyciągał ręce, by złapać zdrajcę za gardło. Dwie zielone kości Nau Suena złapały go natychmiast, a trzeci wbił mu w pierś guan dao. Shae zobaczyła srebrny sztych broni wysuwający się z jego pleców po lewej stronie. W tej samej chwili Postrzegła spazm jego przebitego serca niczym krzyk wypełniający jej umysł.

Jio Wasu ryknął z wściekłością i wyciągnął mały pistolet z kabury ukrytej pod marynarką. Nim zdążył wycelować, ludzie Nau Suena wystrzelili jednocześnie. Jio błyskawicznie rzucił Odbijanie i Stal, ale nawet to nie mogło go uratować w tak małym pomieszczeniu i przy tak wielkiej liczbie pocisków. Kule odbijały się wszędzie. Butelki hoji pękały na półkach, sypiąc odłamkami szkła.

Shae rzuciła wąski, pionowy klin Odbijania w przestrzeń między dwiema zielonymi kośćmi Góry, obalając obie na ziemię i tworząc wyłom w nieprzyjacielskim szyku. Jej kończyny wypełniły pełne desperacji Siła i Lekkość. Nadal mocno ściskając Luta za ramię, skoczyła prosto w chaos wypełniający tworzącą się lukę, ale zachwiała się, gdy ciężar asystenta pociągnął ją w dół. Odwróciła się akurat na czas, by zobaczyć, jak młody mężczyzna pada z krwawiącą dziurą w szyi.

Jej umysł wzdrygnął się gwałtownie, ledwie rejestrując ten widok. Prawa noga ugięła się pod nią. Poczowała przeszywający ból w udzie, promieniujący w dół i w górę, do miednicy. W panice osłoniła się Stalą i próbowała wstać, ale Nau Suen rzucił potężne, precyzyjne Odbijanie, silnie uderzając w jej klatkę piersiową. Shae walnęła w ścianę znajdującą się za jej plecami i osunęła się na podłogę.

Strzały ucichły, ale Shae nic nie słyszała. Równie dobrze mogłaby być pod wodą. Jio Wasu leżał na podłodze obok swego prognostyka. Jego ciało przeszyły liczne kule. Jio Somu, zdraziecki bratanek, gapił się na zwłoki wujka z grymasem przerażenia na twarzy. Mimo że to nie on nacisnął spust, od tej chwili będzie znany jako morderca swego filaru i członka rodziny.

Młody mężczyzna zacisnął pięści. Shae zauważyła, że jego drżące usta się poruszyły.

– Trzeba było mnie posłuchać, staruchu.

Dwie zielone kości z Góry wyciągnęły ciało Jio Somu z pokoju.

Spojrzała na Luta, który był jej szefem sztabu zaledwie od sześciu miesięcy. Jego martwe oczy były szeroko otwarte i wpatrywały się w sufit.

Nau Suen przeszedł nad powiększającymi się kałużami krwi i spojrzał na nią z góry.

– Kaul-jen.

– Obiecałeś bratankowi, że darujesz im życie – warknęła przez zaciśnięte zęby.

– Zaatakowali pierwsi – zauważył Nau. – To korzystne dla nowego filaru. Jego wuj mógłby wrócić, żądny zemsty. Powiedz mi, co robi twój filar z tymi, którzy zdradzili klan.

Nigdzie nie widziała swojego karambita. Na pewno wypadł jej z ręki w chwili między postrzałem a uderzeniem o ścianę. Kręciło się jej w głowie i niewyraźnie słyszała słowa Nau. Zaciskała mocno dłoń na ranie na udzie, ale krew wypływała między jej palcami, wsiąkając w dolną część spódnicy. Ból był straszliwy. Zafascynowało ją, że ośmiocentymetrowy obcas jej prawego czółenka się odłamał, ale poza dziurą po kuli rajstopy były nietknięte. Za plecami Nau dwie jego pięści pochyliły się, by zabrać jadeit z trupów Wasu i Tyne'a.

Pięść Góry przykucnął obok niej. Skupiła się, by napotkać jego groźne, przeszywające spojrzenie.

– Z pewnością zdajesz sobie sprawę, Nau-jen... – zaczęła, oblizując suche wargi i z bólem rozciągając je w jadowitym uśmiechu – ...że nie uda ci się nikomu wmówić, że umarłam na atak serca.

Róg spojrział na nią z pozbawionym wesołości zaciekawieniem.

– Jeśli tu umrzesz, Kaul Hiloshudon wyjdzie z lasu i jutro rano na ulicach wybuchnie wojna między naszymi klanami. Nie to rozkazała mi Ayt-jen osiągnąć w Lukangu. Miałem ukarać zdrajcę i zapewnić, że miasto pozostanie w rękach Góry. Broń palna jest śmieszna i niegodna zaufania. Metal lata na boki i wszędzie jest pełno Odbijania. – Przesunął wzrok z jej twarzy na nogę. – Kula ominęła tętnicę udową. Miałaś szczęście.

Wskazała podbródkiem Luta.

– O nim nie można tego powiedzieć.

– Przeprowadziłaś męczyznę nienoszącego jadeitu na spotkanie klanów zielonych kości. – Nawet nie spojrział na ciało. – To nieostrożne. Jakbyś pozwoliła dziecku bawić się na środku ruchliwej ulicy.

Głowę Shae wypełniły wyrzuty sumienia połączone z nienawiścią. Zadała sobie pytanie, gdzie leży jej karambit i czy mogłaby jeszcze załatwić Nau.

– Możesz spróbować – powiedział róg, jakby wyraziła to pragnienie na głos. – W przyszłym roku przechodzę w stan spoczynku. Zostałem tak długo dla Ayt-jen, ale praca rogu to zajęcie dla młodych męczyzn.

Obejrzał się przez ramię i wydał swym ludziom kilka szybkich poleceń, rozkazując im zabrać stąd Jio Somu dla jego własnego bezpieczeństwa i oddać rodzinom pozbawione jadeitu zwłoki Jio Wasu i Tyne Retu.

Oddalili się natychmiast.

Nau zdjął ze stołu trzy serwetki i połączył je ciasnymi węzłami. Następnie otoczył pasem tkaniny udo Shae powyżej rany i zawiązał go szarpnięciem tak gwałtownym, że aż syknęła z bólu. Wziął ze stołu dwie pałeczki, przebił nimi dwie warstwy prowizorycznego bandaża i obrócił kilka razy, zaciskając opaskę z wprawą polowego chirurga. Z pewnością zbliżał się już do sześćdziesiątki. Będąc nastolatkiem, walczył w ruchu oporu podczas szotarskiej okupacji, jako towarzysz Ayt Yu oraz dziadka Shae. Pomimo nadludzkiego talentu do Postrzegania nigdy nie próbował używać Przenoszenia w celach medycznych. Być może nauczył się wykorzystywać jadeitowe talenty tylko do zabijania, nie ratowania życia.

– Powiedz swojej filar... – zażądała Shae, zaciskając pięści na fałdach spódnicy, żeby odwrócić swoją uwagę od bólu i narastającego odrętwienia nóg – ...że jeszcze nie wygrała. Wiem, co tu robi, i powstrzymam ją.

Nau Suen wstał i spojrzał na Shae, która leżała oparta o ścianę, oddychając z wysiłkiem.

Wytarł krew z dłoni o czysty brzeg obrusa.

– Kiedy Ayt Yugontin, niech bogowie obdarzą go uznaniem, leżał na łożu śmierci... – zaczął nieśpiesznie – jego syn, ówczesny róg, i grupa jego bliskich doradców dyskutowali o podziale klanu Góra. Twierdzili, że po odejściu Ayta klan utraci legendarnego przywódcę, wojownika, który był jego sercem i duszą. Najlepiej będzie, jeśli wszyscy pójdą własnymi drogami, każdy z mężczyzn – popierany przez którąś z frakcji – założy własny, mniejszy klan, zamiast borykać się z trudnym zadaniem dorównania wielkiemu filarowi. Byłem tam, pamiętam tę rozmowę. Ayt Mada była wtedy prognostyczką, Rzadko mówiła o rodzinie, z której się wywodziła, wspomniała jednak, że pamięta kłótnie rodziców. Pewnego wieczoru jej ojciec wyszedł ze złością z domu, siostra i brat uciekli do kolegów, a ona poszła nad rzekę. Miała wtedy osiem lat. Kiedy spadły szotarskie bomby i ziemia się osunęła, pochłaniając całą wioskę, wszyscy członkowie jej rodziny zginęli w samotności.

Nau zjadł dwa kawałki nietkniętych, pokrojonych na ćwiartki śliwek oraz garść prażonych orzechów, nadal stojących na zbrukany krwią stole.

– Mada-jen powiedziała doradcom Ayt Yu, że po śmierci jej ojca nowym filarem powinna zostać najsilniejsza zielona kość ze wszystkich kandydatów. Zaproponowała, że stanie do pojedynku o przywództwo z dowolnym spośród nich. Uśmiechnęli się tylko i zakpili z jej pomysłu. Kobiety nie pojedynkują się z mężczyznami. Ja jednak miałem najlepszy zmysł Postrzegania z nich wszystkich i wiedziałem, że nie powinni się śmiać. Ayt Mada zabiła ich, żeby nie dopuścić do rozpadu Góry.

Po drodze do wyjścia róg wybrał sobie z półki jedną z ocalałych butelek starej hoji. Odwrócił się przez ramię i spojrzał na nią. W jego wzroku wyczuwało się zimne współczucie.

– Znam ją od dwudziestu pięciu lat. Oczywiście nie masz innego wyboru, jak walczyć. Ale nie możesz wygrać.

Opuścił pokój. Rozbite szkło chrzęściło pod jego stopami.

ROZDZIAŁ 11

POWOLNA WOJNA

Shae człogała się po całej restauracji aż wreszcie znalazła telefon ukryty pod barem i wybrała pierwszy numer, jaki jej przyszedł na myśl, i połączyła się z automatyczną sekretarką w gabinecie Woon. Było już po godzinach pracy. Potem zadzwoniła do niego do domu.

– Czy jest Papi? – zapytała. – To znaczy Woon-jen. Czy jest w domu?

– Kto mówi? – zapytała nagle podejrzliwa Kiya.

– Kaul Shae, prognostyczka – odpowiedziała Shae, zaciskając zęby z bólu. –

Muszę porozmawiać z twoim mężem. Czy jest...

Nim zdążyła skończyć zdanie, na drugim końcu połączenia rozległ się jakiś dźwięk, jakby Kii wyrwano słuchawkę z ręki.

– Shae-jen? – rozległ się pełen lęku głos Woon. – Co się stało?

Po dziesięciu minutach od zakończenia rozmowy przyjechała karetka. Dosłownie sekundy po niej zjawił się samochód pełen zielonych kości z klanu Bez Szczytów. Poznała jedną z nich, młodą mężczyznę z Janloonu. Nazywał się Lott. Zapewne tymczasowo przeniesiono go do Lukangu.

– Pojedziemy za tobą aż do szpitala, Kaul-jen – zapewnił Lott, truchając obok wynoszących Shae z budynku ratowników medycznych.

– Filar i prognostyk Jedności Sześciu Dłoni nie żyją – oznajmiła, łapiąc go za ramię, nim załadowano ją do karetki. – Róg klanu sprzedał ich Ayt Madzie. Musimy zabezpieczyć nasze terytoria, zanim wieści się rozejdą, a potem opanować tak wielką część Lukangu, jak tylko zdołamy, zanim zrobi to Góra.

Gdy dotarli do szpitala, Lott zostawił strażników pod jej drzwiami. Woon wyczarterował mały samolot i był przy jej łóżku już po dwóch godzinach. Towarzyszył mu Juen Nu z dwunastoma klanowymi wojownikami zielonych kości. Shae usiadła na łóżku – jej zranioną nogę zabandażowano i umieszczono na poduszce. Wyjaśniła im plan Góry, polegający na przerzucaniu

czarnorynkowego jadeitu przez Lukang, i wręczyła rogowi kopertę z informacjami o członkach i zasobach Jedności Sześciu Dłoni, którą schowała w torebce. Wszystkie te zasoby stały się teraz przedmiotem sporu.

O północy w klanie Jedność Sześciu Dłoni wybuchła wojna domowa. Lukang zmienił się w pole bitwy. Shae spała nerwowo, budząc się co chwila. Woon cały czas był w jej pokoju bądź rozmawiał przez telefon na korytarzu. Iyn Ro albo Lott Jin co kilka godzin wracali do szpitala, by złożyć raport z bieżących wydarzeń.

– Ten bezwstydnym zabójca krewnych Jio Somu ma poparcie około dwóch trzecich Jedności Sześciu Dłoni i wspiera go również Góra, ale mniej więcej jedna trzecia, a także wielu czołowych latarników, zwróciła się do nas, błagając o pomoc w wywarciu zemsty – poinformowała ją Iyn wkrótce po świcie. Krótkie, sterczące włosy pięści były rozczochrane, a aura kobiety płonęła od adrenaliny i nowego jadeitu. Shae słyszała pogłoski, że narzeczoną Tara mają awansować na pierwszą pięść. Byłaby pierwszą kobietą, która osiągnęła tak wysoką pozycję po militarnej stronie klanu. – Zła wiadomość jest taka, że Góra przerzuciła tu swoje siły przed nami i ma też po swojej stronie miejscowe gangi *barukanów*. Wyprzedzili nas i nadal kontrolują większą część dawnego terytorium Jedności Sześciu Dłoni.

– Nie zdołamy wygrać ulicznej wojny o miejscowe biznesy – stwierdził Woon, spacerując w kółko u podnóża łóżka Shae. – Sądząc po tym, co wiemy, najważniejsze jest przejęcie kontroli nad portem i policzenie się z *barukanami*, którzy przemycają jadeit dla Góry.

– To właśnie robimy – odburknęła Iyn. Nie lubiła, jak krawaciarze z biznesowej strony klanu wydawali jej polecenia. – Najbardziej zacięte walki trwają w dzielnicy portowej. Juen-jen rozkazał sprowadzić z Janloonu piętnaście kolejnych zielonych kości, ale jeśli ściągniemy ich więcej, możemy pozbawić ochrony nasze terytoria w stolicy. Będziemy mieli szczęście, jeśli uda się nam zachować w Lukangu to, co już mamy. Chyba że Biuro Prognozy ma jakiś lepszy pomysł?

Uniosła z ironią brwi, spoglądając na Shae. Woon znowu zaczął spacerować w kółko.

* * *

Shae wypisano ze szpitala po dwudziestu czterech godzinach. Wróciła do domu o pierwszej w nocy. Woon otworzył drzwi wejściowe, a potem wrócił do samochodu i uniósł ją ostrożnie. Ból w zranionej nodze osłabł, ale nadal czuła się słabo i była senna od środków przeciwbólowych. Objęła Woon ramionami

i wsparła głowę na jego barku, gdy niósł ją do środka. Od kilku miesięcy nie była tak blisko niego i jego znajoma spokojna aura oraz dotyk jego ciała dodawały jej otuchy. Kiedy położył ją na kanapie w salonie, wypuściła go z objąć i natychmiast poczuła chłód.

Przyniósł poduszki oraz koc z jej sypialni i wsunął pod głowę oraz pod zranioną nogę Shae, żeby było jej wygodniej. Dopóki nie będzie w stanie wejść na schody, powinna spać na parterze, gdzie łatwiej jej będzie dotrzeć do kuchni i łazienki. Usiadł na podłodze obok kanapy i wsparł łokieć oraz głowę na poduszkach. Przez dwie ostatnie doby spał bardzo niewiele i był wykończony. Shae wyciągnęła niepewnie rękę i wsparła dłoń na jego barku.

– Dziękuję – wyszeptwała. – Raz jeszcze.

Woon położył dłoń na jej dłoni. Odwrócił z westchnieniem głowę, przesunął rękę do swego policzka i wtulił twarz w jej wewnętrzną powierzchnię. Palce Shae zdrząły, dotykając jego skóry. Pomimo wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin, wezbrało w niej bolesne pożądanie, tak intensywne, że niemal dotykalne, jak haczyk wbity w jej pępek. Aura Woon nabrała głębszego odcienia. Spoglądał na nią z bezradnym pytaniem w oczach. Nie opierał się, gdy przyciągnęła go do siebie.

Zaczęli się całować i nie mogli przestać. Shae nie widziała wyraźnie. Zapomniała o ranie i o zmęczeniu. Usta Woon poruszały się powoli, a jego żądza była głęboka. Podniósł się na kolana i pochylił nad nią, podtrzymując jej głowę jednym ramieniem. Drugą dłonią dotykał jej szyi, a potem klatki piersiowej. Podźwignęła się ku niemu. Nie przestając jej całować, niemal z obawą, jakby narażał się na straszliwe niebezpieczeństwo, rozpiął górne guziki bluzki Shae i zaczął dotykać jej piersi przez biustonosz. Zamknął oczy, głaszcząc ciepłymi palcami stwardniałe sutki pod tkaniną.

Jęknął, cofnął dłonie i usta, a potem osunął się obok niej, dotykając czołem poduszek. Trzymała się go jeszcze przez mgnienie oka, a potem zwolniła uścisk.

– Nie ma szans – wyszeptał stłumionym głosem. – Nic na to nie poradzę, że jestem w tobie zakochany.

Osunęła się na kanapę i sięgnęła po jego dłoń.

– Nie mam prawa cię o nic prosić. I nie będę.

Do domu wszedł Hilo. Shae i Woon nie zwracali uwagi na nic poza sobą nawzajem. Dlatego nie Postrzegli zbliżania się filaru, nim stanął w drzwiach salonu i obrzucił ich beznamietnym spojrzeniem.

Woon zerwał się błyskawicznie na nogi i zamrugał kilka razy, nim oddał filarowi honory, unosząc dłonie do czoła.

– Kaul-jen – powiedział i odchrząknął.

– Wracaj do żony, Woon – rozkazał mu Hilo.

Mężczyzna wzdrygnął się, jakby filar go uderzył. Przez dłuższą chwilę wyraźnie walczył z pragnieniem wytłumaczenia się. Wreszcie odzyskał z trudem zwykłe dla siebie opanowanie. Skinął krótko głową, ominął Hila i ruszył do swojego samochodu.

Shae odwróciła się i zaczęła zapinać guziki bluzki. Jej twarz płonęła. Usiadła zagniewana.

– Musiałeś wpaść tu tak nagle? I potraktować go tak brutalnie?

– Wydaje ci się, że to, co robisz, jest dla niego dobre? – zapytał jej brat bez śladu wyrzutów sumienia. – Chcesz złamać mu serce albo zniszczyć życie?

– Z pewnością nie – wymamrotała.

Zatrzymał się przy niej i przymrużył powieki.

– Co właściwie jest z tobą nie w porządku, Shae? Kochasz go czy nie? Jeśli tak, musisz mu powiedzieć, żeby rzucił żonę. W przeciwnym razie pozbądź się go z Biura Prognozyka albo przenieś poza Janloon. Mówiłem ci o tym już dawno temu.

Shae otworzyła usta. Na myśl przysły jej dziesiątki odruchowych odpowiedzi, których nauczyła się przez wszystkie te lata znajomości z Hilem. „Nie mieszaj się do mojego życia”. „Nie masz o tym pojęcia”. „To nie twój interes”. Rzecz jasna, nic z tego nie było prawdą.

Hilo był filarem i wszystko, co dotyczyło klanu, było jego interesem, w tym również potencjalnie destrukcyjny romans między prognostyczką a dawcą pieczęci.

Zamknęła usta, powstrzymując łatwe, dziecinne odpowiedzi, jakich miała ochotę mu udzielić. Opuściła wzrok i potarła oczy koniuszkami palców.

– Jeszcze nie, Hilo, proszę. Mam już dość tracenia ludzi.

Aura jej brata niespodziewanie zmieniła charakter. Wycofała się subtelnie. Nic nie powiedział, kiedy uniosła twarz od dłoni i wskazała na plastikowy pojemnik z tabletkami stojący na stole.

– Daj mi te tabletki przeciwbólowe i szklanekę wody.

Spełnił jej prośbę, a potem usiadł na skraju stolika i wziął z jej rąk szklanekę, kiedy wypila. Shae widziała ich odbicia w szybach okiennych. Noc była bezksiężycowa i w posiadłości Kaulów panowała cisza. Trudno było uwierzyć, że w tej samej chwili w innej części kraju wojownicy z ich klanu toczą zacięty bój.

– Przykro mi z powodu Luta – rzekł Hilo. – Niech bogowie obdarzą go uznaniem.

– Niech bogowie obdarzą go uznaniem – powtórzyła Shae. – Był młody i miał przed sobą całe życie. Nawet nie był zieloną kością. Nie powinien był zginąć. To była bezsensowna śmierć.

Hilo spojrział na nią ze współczuciem pomieszany z surowością.

– Gdyby to ciebie kula trafiła w szyję, czy chciałabyś, żebym powiedział, że twoja śmierć była bezsensowna? Luto nie był zielony, ale oddał życie za klan, jakby był pięścią albo palcem.

– Pięści i palce noszą jadeit i składają przysięgi. Wiedzą, że w każdej chwili mogą się znaleźć na polu walki.

– Wszystko jest teraz polem walki – odparł z przygnębieniem Hilo. – Każdy biznes, każde miasteczko, każdy artykuł w gazecie, konferencja prasowa albo cholerne głosowanie w Radzie Książęcej. – Znajoma wojowniczość w jego głosie mieszała się z nutą głębokiej rezygnacji. – Kiedyś wiedzieliśmy, co wolno robić, gdy patrzy na nas Stary Wujek. Istniały rzeczy, których mogliśmy być pewni. Ale teraz wszystkie granice zniknęły. Każdy członek klanu uczestniczy w walce.

Shae zastanawiała się, czy jej brat myśli o Wen. Nie była już pewna, czy potrafi przeniknąć jego umysł. Od dwóch lat rzadko rozmawiał z nią o czymkolwiek poza klanowymi sprawami. Pamiętała, jak bardzo ją kiedyś irytowała jego radośnie agresywna otwartość, jego dotykalność, to, że obejmował ją nagle, prowokował i drażnił się z nią. Kiedy teraz na niego patrzyła, jak siedział na stoliku, wspierając łokcie na kolanach, było jej brak uśmiechniętego, aroganckiego brata, jakiego kiedyś miała, tego, który zawsze wydawał się tak bardzo pewny siebie.

– Od lat próbujemy złamać Górę i wysłać Ayt Madę do grobu, ale ta suka nadal stoi na czele swojego klanu i nie przestaje nas atakować – poskarżył się Hilo. – Nie zdobędziemy Lukangu. Zapewne uda się nam przejąć jego część, być może nawet znaczną, ale jeśli to miasto jest kluczem do jej sojuszu z *barukanami* i zachowania kontroli nad czarnym rynkiem, nigdy nie pozwoli, żeby Jedność Sześciu Dłoni przeszła w ręce innego klanu.

Shae zastanowiła się nad tym, co jej powiedział Nau, nad jego niezachwianą pewnością siebie.

– Masz rację – przyznała. – Ale wreszcie wiemy, co musimy zrobić, żeby zabrać jej narzędzia. Wczoraj w szpitalu stworzyliśmy z Woonem plan.

Gdy opisała go bratu, był pod wrażeniem.

– Ayt i jej prognostyk prędzej czy później znajdą sposób, żeby to obejść – stwierdził.

– Tak – zgodziła się. – Ale to ich spowolni i poniosą straty, które uniemożliwią im dalsze podkupywanie naszych latarników.

– Juen nadal będzie musiał zdobyć tak wielką część Lukangu, jak tylko się da, i wysłać jak najwięcej pracujących dla Góry *barukanów* do więzienia albo do grobu.

Shae pokiwała głową i podłożyła sobie pod głowę kolejną poduszkę, by złagodzić uporczywy ból.

– Być może straciliśmy szansę na uczynienie Jedności Sześciu Dłoni naszym lennikiem, ale niewykluczone, że nadal możemy wyjść z tej sytuacji zwycięsko.

Hilo milczał przez długi czas.

– Jesteś dobrą prognostyczką, Shae – przyznał głosem, w którym duma mieszała się z nutą goryczy.

Wsparła głowę na poduszkach i zamknęła oczy, wreszcie ulegając zmęczeniu.

– A ty jesteś dobrym filarem czasu wojny, Hilo – wyszeptała. – A toczymy teraz wojnę. Naszą własną powolną wojnę.

Zasypiała już, gdy Hilo przykrył ją kocem.

– Powiedziałem Andy’emu, żeby przyszedł do nas później i przyjrzał się tej nodze – dodał jeszcze. – Kto wie, czy lekarze z Lukangu znają się na rzeczy.

Poczuła, że pocałował ją w czoło, a po chwili usłyszała, że zamknął za sobą drzwi wejściowe.

* * *

Po dwóch dniach Shae przyszła o kulach do biura. Choć zauważyła, że na ulicach jest więcej klanowych pięści i palców, a wszyscy oni są czujni i podenerwowani, to Janloon wyglądał tak samo jak zawsze. Pogoda była przyjemna i wszędzie widziało się mnóstwo czerwonych lamp Święta Jesieni, razem z zapowiedziami świątecznej obniżki cen. W odległym o setki kilometrów Lukangu trwały walki, ale janloończycy uważali, że to lokalny południowy konflikt, wywołany przez paskudny rozłam w niewielkim klanie Jedność Sześciu Dłoni. Góra i klan Bez Szczytów zgodnie z niewypowiedzianym porozumieniem nie starały się zmieniać panującej w stolicy opinii. Siły Góry i jej lenników nadal kontrolowały większą część miasta, ale klan Bez Szczytów i rozłamowcy z Jedności Sześciu Dłoni odparli ataki *barukanów* na cenne dzielnice położone w pobliżu portu.

– Lukang rośnie i dlatego ma trudności związane z wielkimi miastami – martwił się nieżyjący Jio Wasu.

Wojna klanów z pewnością była tego przykładem. Jego zdradziecki bratanek, Jio Somu, musiał się ukrywać przed pragnącymi go zamordować krewnymi.

Shae dotarła do drzwi gabinetu Luta i stała przed nimi kilka minut, wspierając się na kulach. Dręczyły ją wyrzuty sumienia. Dopiero po śmierci młodego mężczyzny zaczęła odnosić wrażenie, że ten gabinet powinien należeć

do niego. Ruszyła powoli do własnego pokoju i powiedziała sekretarce, żeby zaczęła zbierać CV kandydatów na nowego szefa jej sztabu.

W południe włączyła telewizor, by zobaczyć, jak Woon Papi wygłasza na konferencji prasowej klanu Bez Szczytów oświadczenie nawołujące do wprowadzenia embarga na handel z Uwiwami.

– Wczoraj w Radzie Książęcej przedstawiono projekt ważnej ustawy, która wzmocni bezpieczeństwo państwa i pomoże w walce z przestępczością na naszych ulicach – oznajmił klanowy dawca pieczęci swym spokojnym, rzeczowym tonem.

Obecni reporterzy uprzejmie wysłuchali jego słów, mimo że wszyscy wiedzieli, że za propozycją embarga stoi klan Bez Szczytów. Rankiem po powrocie Shae do Janloonu Kaul Hilo i Woon Papi udali się do Gmachu Mądrości i zwołali zebranie najważniejszych członków rządu lojalnych wobec klanu Bez Szczytów. Przed upływem dwudziestu czterech godzin złożono projekt ustawy.

– Uwiwy są pierwszym punktem docelowym, do którego trafia jadeit przemycany z Kekonu, i jednym z największych na świecie producentów nielegalnego SN1 – mówił Woon.

Przedstawił niepokojące dane statystyczne na temat przemytu jadeitu, uzależnienia od narkotyków, seksturystyki i ulicznej przestępczości, a potem zręcznie połączył te sprawy z wybuchem ulicznej przemocy w Lukangu oraz demoralizującymi cudzoziemskimi wpływami. Woon miał na sobie szary garnitur i niebieski krawat. Na jego nadgarstku błyszczał jadeit. Shae pomyślała, że bardzo dobrze się prezentuje w telewizji, na swój spokojny, dyskretny sposób.

– Klan Bez Szczytów bez zastrzeżeń popiera propozycję embarga. Filar prosi, by wszyscy lojalni członkowie klanu oraz dbający o dobro państwa obywatele postąpili tak samo – zakończył dawca pieczęci. – Prosimy też inne klany zielonych kości o udzielenie wsparcia tej inicjatywie. Rzecz jasna, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by wspomóc rząd w uchwaleniu tych praw i wymuszeniu ich przestrzegania.

– Po wprowadzeniu embarga towary, pieniądze ani jadeit nie będą mogły się przemieszczać między Kekonem a Uwiwami – mówiła Shae, wyjaśniając bratu plan. – Bez względu na to, czy uda się nam przejąć kontrolę nad Lukangiem, jeśli zablokujemy dostęp do Uwiwów, utrudnimy Górze łączność z czarnym rynkiem. W ten sposób pozbawimy funduszy skarbiec Ayt Mady.

Była pewna, że Góra transferuje zyski ze sprzedaży jadeitu i błysku za pośrednictwem spółek zależnych i korporacji fasadowych. Dlatego embargo miało również zabronić kekońskim firmom prowadzenia interesów z podmiotami uwiwańskimi.

– W tej chwili Góra ma sześć miejsc w Radzie Książęcej więcej od nas – przypomniał jej Hilo.

Zdziwiła się, że zapamiętał tę liczbę.

– To znaczy, że będziemy potrzebowali co najmniej tylu radców niezależnych albo powiązanych z mniejszymi klanami, którzy zgodzą się nas poprzeć – odpowiedziała Shae. – Znajdziemy ich.

Miała rację. Już kilka godzin po wystąpieniu Wooną współpracownicy Shae oznajmili jej, że projekt został dobrze przyjęty przez prasę i spotkał się z szerokim publicznym poparciem. Nawet niektórzy radcy powiązani z Górą zapewnili, że na niego zagłosują. Kraj pragnął rozwiązań politycznych i śmiałych akcji, które obronią Kekon przed związanymi z powolną wojną zagrożeniami, otaczającymi wyspę ze wszystkich stron.

Shae uśmiechnęła się, położyła nogę na krześle i pomasowała okolice zranionego miejsca. Ból z niego promieniował do łydki. Nawet Góra nie zdoła powstrzymać pociągu napędzanego impetem ducha chwili. Członkowie rządu wierni klanowi Bez Szczytów szybko przepchną ustawę, a razem z nią plan reformy armii przedstawiony przez Hila. Popularność klanu znacznie ostatnio wzrosła, a Ayt Mada raczej nie będzie mogła się przeciwstawić ich propozycjom, żeby nie wyjść na hipokrytkę i nie rozgniewać własnych zwolenników.

Dobry nastrój Shae utrzymał się jednak tylko do ostatniej godziny pracy, gdy nagle zjawił się nieoczekiwany gość. Na zdjęciu Kii, które Woon trzymał na biurku, widniała promiennie uśmiechnięta panna młoda o długich włosach wysuwających się spod stylowego czerwonego kapelusza o szerokim rondzie. Kobieta, która weszła do gabinetu Shae i usiadła naprzeciwko niej, miała na sobie czarny golf, a jej złowroga mina podkreślała cienie pod oczami i bladość mocno zaciśniętych warg.

– Kiya – odezwała się nieprzyjemnie zaskoczona Shae. – Co cię sprowadza...

– Opuszczam męża – przerwała jej kobieta. – Ma w sobie zbyt wiele szlachetnego tchórzostwa, żeby poprosić o rozwód. Dlatego ja muszę to zrobić. Chcę, żebyś wiedziała, że to jest moja decyzja. Nie odebrałaś mi go. Sama się go wyrzekłam.

Shae milczała przez prawie minutę.

– Nie pragnęłam tego – odpowiedziała wreszcie. Bezbarwne brzmienie jej głosu ukrywało fale poczucia winy oraz ulgi, a także służących jako tarcza wyrzutów sumienia. – Uwierz mi, nigdy nie próbowałam zniszczyć waszego małżeństwa.

– W takim razie jesteś jeszcze okrutniejsza, niż mi się wydawało – odpowiedziała Kiya. – Zrozumiałabym, gdyś próbowała coś odebrać komuś, kto

jest w słabszej pozycji. Potrafię zaakceptować porażkę z lepszą kobietą. Ale ty mówisz, że nigdy się nie zastanawiałaś nad swoim postępowaniem. Że zrobiłaś to wszystko ot, tak sobie.

Podbródek Kii drżał przez krótką chwilę, ale szybko uniosła wzrok i spojrzała Shae prosto w oczy.

– Wszyscy wiedzą, że mój mąż spędza prawie cały swój czas z inną kobietą, i to nie dlatego, że dla niej pracuje. I wszyscy odwracają wzrok. Kiedy byłam małą dziewczynką, ojciec i bracia nigdy nie pozwalali nikomu mnie skrzywdzić. Przegnali jednego z moich pierwszych chłopaków, kiedy mieliśmy razem iść do kina, a on nie przyszedł na spotkanie. A teraz mówią mi, żebym nie narażała się klanowi przez konfrontację z prognostyczką. Próbowali mnie przekonać, żebym nie zrywała z Woon Papim, bo on stoi bardzo wysoko w klanowej hierarchii i to jest dobre dla naszej rodziny.

W oczach Kii pojawiły się łzy.

– W pierwszy dzień tego tygodnia były moje urodziny. Papi wcześniej wyjechał z pracy i mieliśmy spędzić wieczór razem. Kiedy tylko zadzwoniłaś, wyszedł bez słowa. Nie powiedział mi, dokąd jedzie ani kiedy wróci. Ledwie na mnie spojrzał. Teraz wraca do domu tylko po to, żeby się przespać i wziąć prysznic, a potem znowu wyjeżdża. Mówi mi tylko, że to klanowe sprawy.

Twarz Shae zrobiła się gorąca.

– Przykro mi. To była pilna sprawa. Twój mąż wykonuje ważne zadania dla klanu Bez Szczytów. Nie ma nikogo, na kim mogłabym bardziej polegać. Potrzebowałam go. I nadal potrzebuję.

– Ja potrzebowałam go bardziej – odgryzła się Kiya. – Nie jestem zieloną kością jak ty, ale byłam zmuszona poświęcić dla klanu cztery lata życia. Nigdy już ich nie odzyskam.

Odwróciła się i ruszyła ku wyjściu.

– Kiya. – Shae nienawidziła brzmienia własnego głosu. – Czy czegoś potrzebujesz? Czy mogę ci jakoś pomóc?

Żona Woon zatrzymała się i odwróciła powoli, jakby zaskoczyło ją to pytanie.

– Pierdol się, Kaul Shaelinsan, prognostyczko klanu Bez Szczytów. Niech cię szlag trafi.

ROZDZIAŁ 12

NOWA ROBOTA

Bera aresztowano i zamknięto w więzieniu. To był pech, oczywiście. Zawsze miał pecha. Nowo zainstalowana kamera monitoringu nad sklepem sportowym w Małym Młotku zrobiła mu zdjęcie w tym samym tygodniu, gdy na ulicach roіło się od janloońskiej policji, mającej utrzymywać porządek podczas publicznego protestu przeciwko planowanemu powiększeniu espeńskiej bazy na Eumanie. Złapano go z puszkami z farbą w sprayu i łomem w plecaku. Tadino zachorował na grypę żołądkową i Bero nie miał nawet współtowarzysza niedoli. Zawieźli go na komisariat samego.

Ale z drugiej strony miał też szczęście. Mogły go złapać zielone kości, a wtedy zapewne wylądowałby w szpitalu, a nie w celi. Przeżył już znacznie gorsze rzeczy niż kilka dni w pudle. Zadzwoił do Poczwórnej Wygranej i powiedział, że jest chory, a potem po prostu przeczekał tę niewygodną sytuację. Odzywał się tylko monosylabami i wzruszał pogardliwie ramionami, kiedy sierżant policji zadawał mu pytania. Po trzech dniach drzwi jego celi otwarto. Dowiedział się, że skazano go na grzywnę wysokości trzech tysięcy dienów. Dostał nakaz zjawienia się w sądzie za dwa miesiące, żeby zapłacić grzywnę, publicznie przeprosić właściciela sklepu i ewentualnie otrzymać dalszą karę, zależnie od oceny wysokości strat.

Bero spodziewał się, że na tym się skończy, ale spotkała go niemiła niespodzianka. Sierżant nie wypuścił go przez wejściowe drzwi komisariatu, lecz wyprowadził go tylnym wejściem i przekazał dwóm mężczyznom. Jeden z nich był Kekończykiem, a drugi cudzoziemcem. Posadzili go na tylnym siedzeniu srebrnego SUV-a o przyciemnionych oknach, nawet nie zdejmując mu kajdanek. Samochód ruszył.

– Kurwa, dokąd mnie wieziecie? – zapytał Bero.

– Spokojnie – odpowiedział pierwszy mężczyzna, który najwyraźniej był Kekończykiem tylko z pochodzenia, bo mówił z obcym akcentem. – Chcemy po prostu z tobą porozmawiać.

– Pierdolcie się, kimkolwiek jesteście! – zawołał Bero i kopnął z całej siły w siedzenie kierowcy. – Nie macie prawa nigdzie mnie wieźć, speńskie skurwysynki.

– Przestań – warknął mężczyzna. – Jeśli chcesz się zachowywać jak dupek, zawieziemy cię tam, gdzie pracujesz, i będziesz mógł opowiedzieć szefowi, czym zajmowałeś się w wolnym czasie. Poczwórna Wygrana należy do klanu Bez Szczytów, prawda? Czy to nie Ruch Bezklanowa Przyszłość był odpowiedzialny za incydent, do którego doszło tam nieco ponad rok temu?

Bero zamknął się natychmiast. Kimkolwiek mogli być ci cudzoziemcy, wiedzieli o nim znacznie więcej niż policja. Pierwszy mężczyzna włożył mu worek na głowę.

– To dla twojego bezpieczeństwa – oznajmił. – Siedź spokojnie i trzymaj gębę na kłódkę.

Po jakichś dwudziestu minutach samochód się zatrzymał. Drzwi się otworzyły i Bera – nadal z workiem na głowie – wyprowadzono z SUV-a i zaprowadzono do jakiegoś budynku. Trzymano go za łokieć, gdy szedł korytarzem, minął drzwi, i na koniec posadzono na krześle. Dopiero wtedy zdjęli mu worek i kajdanki. Potarł nadgarstki i łypnął ze złością na dwóch mężczyzn, którzy go tu przyprowadzili. Ten, który rozmawiał z nim w samochodzie, był gładko ogolony i pachniał dziwną wodą kolońską. Drugi miał bardzo jasne oczy i krótko ostrzyżone włosy. Znajdowali się w zwyczajnym pokoju, pozbawionym okien, lecz raczej niebudzącym strachu. Były tu krzesła i stół. Pomieszczenie wyglądało jak mały, ale zwyczajny pokój biurowy.

– Proszę, napij się czegoś – rzekł mężczyzna wyglądający na Kekończyka.

Postawił na stole butelkę napoju arbużowego i otworzył drugą dla siebie. Berowi chciało się pić, więc zapomniał o irytacji i pośpiesznie złapał butelkę. Nadal jednak łypał spođe łba na obu mężczyzn.

– Skoro mamy już odrobinę prywatności, możemy się przedstawić, jak należy. – Odzywał się tylko mężczyzna mówiący po kekońsku, ale Bero podejrzewał, że szefem jest ten starszy, który stał bez słowa z boku, krzyżując ręce na piersiach. – Nazywam się Galo, a to jest Berglund. Pracujemy dla Wywiadu Wojskowego Republiki Espenii.

– Nie gadaj. – Bero uśmiechnął się szyderczo. – Nigdy bym się nie domyślił.

– Mamy dla ciebie propozycję – ciągnął Galo, nie zwracając uwagi na sarkazm. – Myślę, że kiedy ją usłyszysz, zrozumiesz, że przyjęcie jej leży w twoim interesie. – Położył na stole zdjęcie. – Poznajesz tego człowieka?

Na fotografii przedstawiono muskularnego mężczyznę o kręconych włosach, który po raz pierwszy pojawił się w Małej Persymonie w zeszłym roku. Tego, który wywołał tak wielkie zamieszanie swoimi pytaniami oraz zapewnieniem, że są ludzie gotowi pomóc Ruchowi Bezklanowa Przyszłość. Potem odbył prywatną rozmowę z Gurihem i innymi. Nazywał się Molovni. Bero widział go później jeszcze kilka razy. Na zebraniach siedział pod ścianą i najwyraźniej wszyscy go teraz lubili. Sam pokazywał się tam od czasu do czasu. Miał nadzieję lepiej poznać Emę, która jeszcze nie zgodziła się pójść z nim do knajpy, ale tolerowała go w wystarczającym stopniu, by wydawało się możliwe, że prędzej czy później ulegnie jego namowom.

– Tak, i co z tego? – zapytał Bero, mimo woli czując ciekawość.

Galo postukał palcem w zdjęcie.

– Vastik eya Molovni jest nekolvą. Po ygutańsku znaczy to „dziecko narodu”. Słyszałeś o nich?

– O nekolvach? – Bero z niedowierzaniem przesunął spojrzenie na twarz Molownego. – Mają jadeitowe talenty, mimo że nie noszą jadeitu. Tak mówią ludzie. Słyszałem, że w rzeczywistości nie istnieją, że Ygutanie ich wymyślili, żeby zastraszyć innych.

– Istnieją – zapewnił Galo. – Ale ich możliwości są przesadzone. Nekolvowie są efektem ygutańskiego programu militarnego, rozpoczętego po wojnie wielu narodów. W ciągu ostatnich trzydziestu lat setki abukejskich kobiet wprowadzono do Ygutanu albo zwabiono tam obietnicą pracy jako służące. Kiedy tam trafiły, zmuszono je do zostania surogatkami, rzekomo dla bezpłodnych małżeństw. Ich potomstwu mieszanej rasy od dzieciństwa podawano niewielkie dawki SN1 i jadeitowego proszku. Niektóre dzieci poważnie chorowały albo nawet umierały, ale te, które rokowały nadzieje, poddano najlepszemu szkoleniu wojskowemu dostępnemu w kraju.

– Ygutańscy żołnierze jedzą jadeit?! – zawołał Bero.

Galo zerknął na Berglunda, który skinął głową, każąc mu kontynuować.

– Ygutanie nie dysponuje poważnymi zasobami bioenergetycznego jadeitu wysokiej jakości. Jadeit niskiej jakości, kupowany na czarnym rynku i mielony na proszek przemysłowymi metodami, jest bardziej skuteczny, gdy podaje się go drogą doustną. Skutki uboczne znacznie ograniczają długość życia, ale nekolvowie nie noszą widocznego jadeitu, co czyni ich świetnymi szpiegami i agentami do zadań specjalnych. Wymagają regularnych dawek jadeitu i SN1, więc łatwo ich kontrolować. Są odpowiedzią Ygutanu na nasze Anioły Marynarki albo kekońskich wojowników zielonej kości. I są teraz w Janloonie.

Jeśli Ygutańczyk rzeczywiście mógł być tak potężny jak zielona kość, nic dziwnego, że Guriho, Otonyo i inni przywódcy Ruchu Bezklanowa Przyszłość

chcieli się z nim zaprzyjaźnić. Bero odsunął od siebie zdjęcie Molownego.

– Właściwie go nie znam. Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy.

– Jeśli nekolva uczestniczy w wywrotowej działalności na Kekonie, to znaczy, że stoi za tym rząd Ygutanu. Chcemy wiedzieć, co kombinuje Molovni. To może mieć wielkie znaczenie dla obu naszych krajów. – Do tej chwili Galo stał, opierając się o blat. Teraz przyciągnął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Bera. – Wiemy, że chodziłeś na antyklanowe zebrania i uczestniczyłeś w wywrotowych akcjach – oznajmił ściszym głosem, poważnym i zatroskanym. – Chcemy, żebyś bardziej zaangażował się w działalność RBP i informował nas o wszystkim, czego się dowiesz. Co się dzieje na zebraniach, kiedy zjawia się na nich Molovni, co mówi, z kim rozmawia i z kim spędza więcej czasu.

Bero skrzywił się paskudnie.

– Nie będę szpiegował dla spenków.

Beznamiętny profesjonalizm widoczny na twarzy Gala przeszedł na moment w grymas irytacji. Keko-Espeńczyk otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale powstrzymał go obserwujący ich z uwagą Berglund. Galo zwrócił się ku niemu i przez chwilę obaj mężczyźni rozmawiali w swoim języku. Gdy mówiący po kekońsku agent ponownie spojrzał na Bera, jego twarz odzyskała spokojny wyraz. Pojawił się na niej zimny, pełen pewności siebie uśmiešek.

– Powiniennem wcześniej wspomnieć, że nie oczekujemy, że informatorzy będą dla nas pracowali za darmo. Zidentyfikowaliśmy i wybraliśmy cię, a potem użyliśmy swych wpływów w janloońskiej policji, żeby sprowadzić cię tutaj. Oczywiście możesz się nie zgodzić. Wtedy odwieziemy cię z powrotem na komisariat i będziemy udawali, że ta rozmowa nigdy się nie odbyła. Wrócisz do swojej pozbawionej perspektyw roboty i do ukrywania się przed zielonymi kośćmi. Być może lepiej by było, gdybyś stąd wyjechał, zanim twój pracodawca się dowie, za co cię aresztowano, ale to utrudni ci zapłacenie wysokiej grzywny za wandalizm, która nad tobą wisi. Z drugiej strony możesz też zarabiać tysiąc espeńskich thalirów miesięcznie.

Bero omal nie zakrztusił się arbuzowym napojem.

– Zajmiemy się również tą nieszczęsną grzywną – zapewnił od niechcienia Galo, jakby był sprzedawcą oferującym klientowi bonusowy element do zestawu kuchennych noży. – Zastanów się też nad tym, czy nie byłoby dobrze mieć sojuszników, którzy pomogą ci uciec nawet przed zielonymi kośćmi, gdyby sytuacja twoich przyjaciół w Ruchu Bezklanowa Przyszłość stała się trudna?

– Oni nie są moimi przyjaciółmi – odburknął Bero.

Właściwie nie był to sprzeciw. Tysiąc thalirów miesięcznie. Ile to będzie w dniach? Siedem tysięcy? Osiem? W każdym razie bardzo dużo.

– Dlatego świetnie się nadajesz do tej roboty – odpowiedział Galo. – Nie wątpię, że masz prywatne powody, by nie lubić klanów. W przeciwnym razie nie wstąpiłbyś do RBP. Widzę jednak, że ideologia cię nie interesuje. Mógłbym próbować cię przekonać, że jesteśmy po tej samej stronie i współpracując z nami, pomagasz swojemu krajowi... Ale to cię nie wzruszy, prawda? Nie wiesz, co to lojalność. Robisz to, co musisz, i dbasz tylko o własne interesy. – Galo cały czas mówił rzeczowym, spokojnym tonem. Z jego twarzy nie zniknął uśmiezek. – Co ty na to?

Bero wypił resztę napoju.

– Zgoda – odpowiedział.

ROZDZIAŁ 13

BEZ TAJEMNIC

Siódmy rok, szósty miesiąc

Pewnego popołudnia Niko wrócił do domu zapłakany. On i jego rodzeństwo bawili się ze swoim kuzynem Maik Camem i z chłopakami Juena w domu rogu. Juen Nu i jego żona mieli czworo dzieci, w tym bliźniaków dziesięć miesięcy starszych od Nika. Lina często przyprowadzała do nich Cama, żeby pobawił się z kuzynami, i po dziedzińcu oraz po całym terenie posiadłości Kaulów zawsze biegały małe dzieci, wszędzie rozrzucając swoje zabawki.

Niko pobiegł do Wen i poskarżył się, że bliźniaki się z niego nabijają. Cam, Ru i Jaya budowali domy z klocków, a trzech więksi chłopcy ukradli z szuflady biurka paczkę papierosów i zapalniczkę, a potem zaczęli się nimi bawić. Żona Juena zauważyła, co robią, i zabrała im zawłaszczony przedmiot, a następnie skarciła ich surowo, mówiąc, że mogli spalić cały dom. Niko przestraszył się tych słów i oskarżył kolegów, że to oni skłonili go do nieposłuszeństwa. Ogień zabija, przypomniał im z oburzeniem. Jego rodzona matka zginęła w pożarze domu. Dlatego mieszkał z ciotką i wujkiem.

Bliźniaki go wyśmiały.

– Kto ci to powiedział? – zapytały. Ciocia Shae wytłumaczyła mu to, kiedy był mały.

– Naprawdę w to wierzysz? – zadrwił Juen Ritto. – Jesteś synem filaru, nie jakimś głupim dzidziusiem.

Niko zacisnął pięści i zażądał gniewnie, żeby mu powiedzieli, o co im chodzi, ale oni uciekli.

Wen uspokoiła chłopca, mówiąc mu, że koledzy tylko się z nim drażnili. Wieczorem, gdy dzieci poszły spać, opowiedziała mężowi o wszystkim, co się

wydarzyło.

Hilo był zły na nietaktowne zachowanie synów Juena, ale to nie była ich wina. Ani wina ich ojca. Byli tylko dziećmi. Podśluchali, co mówili ich rodzice, i bezmyślnie powtarzali to innym. Zresztą wiedział, że ta chwila prędzej czy później musi nadejść. Niko miał już osiem lat i był bardzo dojrzały jak na swój wiek. Z pewnością rozumiał wiele dorosłych spraw. Prędzej czy później pozna prawdę i byłoby lepiej, żeby usłyszał całą opowieść od samego Hila, a nie od kogoś innego.

– Porozmawiam z nim – zapewnił, ale nie był zachwycony tą perspektywą.

Ujrawszy zrezygnowaną minę męża, Wen przerwała ćwiczenia fizjoterapeutyczne, które wykonywała w salonie, i usiadła obok niego na kanapie. Dotknęła jego dłoni, a kiedy jej nie cofnął, wzmocniła uścisk i przytuliła się do niego. Dziewięć miesięcy po emocjonalnym kryzysie podczas kolacji nadal czuli się niepewnie w swoim towarzystwie i obojgu zdarzały się dni, gdy smutek i pretensje uniemożliwiały okazywanie cieplejszych uczuć. Jednakże w miarę jak Wen odzyskiwała siły, łatwiej im było się odprężyć i rozmawiać ze sobą normalnie, tak jak kiedyś.

– Koniec z tajemnicami – przypomniła mu.

– Koniec z tajemnicami – zgodził się. Bardzo wiele problemów między ludźmi, nawet kochającymi się nawzajem, brało się z braku porozumienia i z nieszczerości.

Dlatego szóstego dnia rano Hilo obudził bratanka, którego traktował jak najstarszego syna, i powiedział mu, że zjedzą razem śniadanie. Reszta rodziny jeszcze spała. Po drodze do garażu spotkali tylko ogrodników, dźwigających mnóstwo pojemników z czerwonymi i żółtymi peoniami symbolizującymi szczęście małżeńskie. Były przeznaczone na ślub Shae i Wooną w następnym weekend.

Gdy tylko na akcie rozwodu Wooną wysechł atrament, Hilo porozmawiał z nim, a Wen z Shae. Wyznaczono datę. Filar wszedł nagle do pokoju hotelowego, w którym tymczasowo mieszkał były szef sztabu Shae, i bez zbędnych wstępów oznajmił.

– Woon-jen, sama myśl o poprzednich związkach mojej siostry od lat przyprawiała mnie o ból głowy. Byłeś najlepszym przyjacielem Lana, a teraz wykonujesz dobrą robotę jako dawca pieczęci. Lepiej, żebyś nie okazał się kolejnym niefortunnym wyborem. Możesz albo przeprowadzić się na drugi koniec kraju – przydałoby się nam więcej ludzi w Lukangu – albo ożenić się z Shae. Ale zdecyduj się szybko, bo mam już serdeczne dość tego przeciągającego się syfu. Nie mogę liczyć na to, że siostra zwróci się do mnie

w podobnej sprawie, jeśli więc wreszcie postanowiłeś podążyć za głosem serca, teraz masz szansę.

Woon z początku miał bardzo zaleknioną minę, ale teraz na jego twarzy pojawiła się radość.

– Kaul-jen... – zaczął ostrożnie – czy mam twoje pozwolenie o poproszenie Shae-jen...

– Tak, do chuja, udzielam ci błogosławieństwa jako filar – przerwał mu z westchnieniem Hilo.

Nie wiedział, jak poszła rozmowa Wen z Shae, ale cieszył się, że jego żona zajęła się tą sprawą, bo siostra mogłaby mu się sprzeciwić, nawet gdyby chodziło o coś, czego gorąco pragnęła, tylko po to, żeby nie przyznać, że miał rację. Kiedy zapytał Wen, uśmiechnęła się.

– Nie przejmuj się – odpowiedziała. – Twoja siostra po prostu musi porozmawiać o tej decyzji z inną kobietą. Zobaczysz.

Ślub Kaul Shaelinsan, prognostyczki klanu Bez Szczytów i wnuczki Płomienia Kekonu, powinien być wielką klanową uroczystością wyprawioną w Świątyni Boskiego Powrotu, połączoną z wystawnym bankietem w hotelu Gwiazda Generalska. Ograniczono się jednak do stosunkowo skromnego ślubu w posiadłości Kaulów. Para młoda powiedziała sobie „tak” szybko i z powściągliwością, żeby nie urazić rodziny Kii, która miała niewysoki status w klanie, ale nie zasługiwała na publiczne upokorzenie.

Poważne rozmowy z dziećmi były łatwiejsze. Niko uwielbiał smażony chleb, Hilo zaprowadził go więc do nowej Gorącej Chaty w Dzielnicy Portowej, mimo że Wen z pewnością powiedziałaby, że takie śniadanie nie jest zdrowe dla dzieci. Usiedli na ławce, patrząc na wodę, i jedli diabelnie gorące pałeczki prosto z frytkownicy. Niko rzucał okruchy do wody, dla ptaków. Poranne słońce przegnało część uciążliwej wilgoci wiszącej w powietrzu. W pobliżu gromadzili się już sprzedawcy żywności, pamiątek oraz przewodnicy czekający na pasażerów wysiadających ze statków wycieczkowych, które przybyły do portu nocą.

Żaden z nich nie przyplłynął tu z Uwiwów. Nie pozwalało na to embargo handlowe.

Sytuacja klanu była lepsza niż w zeszłym roku. Góra porzuciła próby przejmowania ich latarników, którzy stali się obecnie znacznie bardziej lojalni z uwagi na sukcesy Kaulów. Konflikt w Lukangu nadal pozostawał nierozstrzygnięty, ale sytuacja ustabilizowała się na tyle, że Juen mógł wycofać stamtąd kilka swych starszych rangą pięści, takich jak Iyn i Lott. Wojowników, którzy tam zostali, wystarczy, by wesprzeć rozłamową frakcję Jedności Sześciu Dłoni. Walczące klany na razie znalazły się w sytuacji patowej, ale Hilo nie

wściekał się tym już tak bardzo, jak w dawnych czasach. Przez długi czas marzył, że zniszczy Górę jednym rozstrzygającym uderzeniem, choćby nawet miał zapłacić za to życiem, ale teraz pogodził się już z myślą, że droga do zwycięstwa będzie długa. Musi po prostu przeżyć wrogów.

Hilo zamówił dwa kubki słodzonego mleka, by popić smażony chleb, i dmuchnął na jeden z nich, by ostudzić mleko dla Nika, zanim mu je podał. Chłopiec był podekscytowany specjalnym traktowaniem i uwagą, jaką poświęcał mu Hilo, wiedział jednak, że nie dzieje się to bez powodu. Dlatego był jeszcze spokojniejszy niż zwykle, jadł z wielkim skupieniem i co chwila zerkał na wujka.

– Czekaś na Święto Łodzi? – zapytał Hilo.

– Pewnie tak – odpowiedział Niko.

Był dziwnym dzieckiem. Trudno było go zdenerwować, ale też rzadko się ekscytował, czy w ogóle wyrażał uczucia. Był uważny i inteligentny, uczył się najlepiej w klasie, ale zdaniem Hila miał w sobie zbyt wiele melancholii Lana.

– W Święto Łodzi przyjdziemy tu, żeby obejrzeć zatopienie okrętu. Zjemy słodkie prażone orzechy, takie, jakie lubisz, kupimy napój arbuzowy i będziesz mógł zostać, jak długo zechcesz.

Niko się rozpromienił.

– Czy wujek Anden też będzie mógł przyjść?

– Oczywiście, pod warunkiem, że nie będzie zajęty. Niko-se... – kontynuował Hilo, nie zmieniając spokojnego, ciepłego tonu – słyszałem, że chłopaki Juena powiedziały ci wczoraj coś, co cię zdenerwowało. Czy chcesz mi o tym opowiedzieć?

Chłopiec przestał się uśmiechać. Poruszył nogami, drapiąc czubkami butów ziemię pod ławką.

– Czasami możesz usłyszeć, jak inne dzieci rozmawiają o naszej rodzinie. Mogą nawet mówić rzeczy, które wydadzą ci się złośliwe albo nieprawdziwe. Należy się tego spodziewać, z uwagi na naszą pozycję w klanie. Kiedy usłyszysz coś, czego nie jesteś pewien, nie powinieneś reagować natychmiast, na podstawie tego, co ci się wydaje. Po prostu przyjdź z tym do mnie albo do mamy. Ciocia Shae albo wujek Anden mogą oszczędzać twoje uczucia, bo cię kochają, a wujek Tar lubi opowiadać niestworzone rzeczy i czasami przesadza, ale ja zawsze powiem ci prawdę.

– Pomyśleli, że jestem głupi, bo powiedziałem, że moja mama... to znaczy nie mama, ale pierwsza matka, którą kiedyś miałem... zginęła w pożarze.

– Nie jesteś głupi – zapewnił go Hilo. – Problem w tym, że ludzie bardzo lubią rozmawiać o tragediach innych za ich plecami. Nie mówiliśmy ci, co spotkało twoją matkę, bo byłeś za mały, żeby to zrozumieć, i mogłoby cię to

przestraszyć albo zasmucić. Ale teraz jesteś już wystarczająco duży i powinieneś poznać prawdę.

Filar przerwał na chwilę, by dokończyć swój kawałek smażonego chleba i zebrać myśli.

– Twój tata, mój starszy brat, był dobrym człowiekiem i potężną zieloną kością, ale czasami miał zbyt miękkie serce. Nie rozumiałem go wtedy, ale teraz, kiedy mam więcej lat, chyba lepiej go pojmuję. Kiedy został filarem, żona rzuciła go dla innego mężczyzny, cudzoziemca. Uciekli razem do dalekiego kraju.

Niko przyglądał mu się z czołem zmarszczonym w wyrazie koncentracji – zupełnie jak wtedy, kiedy coś rysował albo budował z klocków, bądź też zatopił się w lekturze. Hilo Postrzegął jednak, że małe serce chłopca bije szybko. Poklepał się po kieszeniach, ale opuścił ręce. Starał się nie palić za dużo przy dzieciach.

– W normalnej sytuacji osobę, która zdradziła filar i klan, trzeba ukarać. Powinno się ją zabić, bez względu na to, kim jest. Nawet jeśli kiedyś była naszym przyjacielem albo kimś, kogo kochaliśmy – wyjaśnił Hilo. – Twoja ciocia Shae musiała zabić poprzedniego prognostyka, ponieważ sprzeciwił się twojemu ojcu. Na pewno pamiętasz, że wujek Tar opowiadał ci, że musieliśmy kiedyś pozbawić życia człowieka imieniem Fuyin, który kiedyś był jedną z naszych pięści, dlatego że przeszedł na stronę Góry. Nie chciałem tego robić, ale wtedy nie spełniłbym obowiązku filaru i wszyscy by pomyśleli, że mogą nas zdradzać bezkarnie.

– Mój tata musiał zabić moją mamę? – zapytał przerażony chłopiec.

– Nie, Niko, już ci mówiłem, że miał miękkie serce. Pozwolił im odejść. Wkrótce się okazało, że to była bardzo szczęśliwa decyzja, bo twoja matka już była w ciąży. Dlatego urodziłeś się w Stepenlandzie. Wiesz już o wojnie, jaką toczymy z Górą, i o tym, że twojego tatę zabito, kiedy byłeś bardzo mały. Nie wiedział, że się urodziłeś. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero prawie dwa lata później.

Hilo uważnie obserwował bratanka.

– Kiedy się dowiedziałem o twoim istnieniu, poleciałem do Stepenlandu z twoim wujkiem Tarem, żeby porozmawiać z Eyni. Dla twojego dobra wybaczyłem jej zdradę. I powiedziałem, że może wrócić do Janloonu i zamieszkać tutaj z rodziną, żebyś nie musiał wychowywać się za granicą, z daleka od ludzi, którzy bardzo cię kochają. Z początku ona i jej chłopak się zgodzili, ale potem okazało się, że kłamali i próbowali z tobą uciec. Nie można im było przemówić do rozsądku. Nie tylko zhańbili twojego ojca, ale chcieli cię wychowywać z dala od twojego klanu i rodziny. Nie mogłem do tego dopuścić.

Usta chłopca zadrżały, a jego oczy wypełniły się łzami.

– Czy naprawdę była taka zła, że musiałeś ją zabić? – zapytał płaczącym głosem, rozgniewany i zawstydzony wiadomością, że jego matka zaliczała się do najgorszych ze wszystkich ludzi, zdrajców klanu.

– Niko-se, przede wszystkim zrobiłem to bardzo szybko. Nie miała czasu się przestraszyć i w ogóle nie cierpiała. I nie zawsze ludzie muszą być źli do szpiku kości, żeby podejmować złe decyzje. Ktoś, kto jest dobry, mógł mieć niedobre doświadczenia albo spotkać niewłaściwych ludzi, którzy wypaczyli jego umysł. Niestety, Eyni była jedną z takich osób. Gdyby zabrała cię wtedy, nigdy nie poznałbyś mnie, mamy, wujków, ciotek, brata, siostry ani kuzynów. Nigdy byś się nie dowiedział, kto był twoim prawdziwym ojcem. Nie uczyłbyś się w Akademii i nie zostałbyś zieloną kością. Czy chciałbyś tego?

Niko potrząsnął głową. Hilo objął go i przytulił mocno. Chłopiec był już za duży, by mógł go sadzać sobie na kolanach jak kiedyś. Pomyślał z żalem, że jego dzieci rosą bardzo szybko.

Niko wytarł załzawioną twarz o koszulę Hila, wtulając ją w jego ramię.

– Czy ja też będę zły, jeśli moja matka była zdrajczynią i trzeba była ją zabić?

– Nawet o tym nie myśl – sprzeciwił się ostro Hilo. Odsunął się od chłopca i z powagą spojrzał mu w oczy. – Nikt nie musi stać się taki, jak jego rodzice. Możemy uczyć się z ich błędów i dzięki temu uniknąć ich powtarzania. Twoją prawdziwą mamą jest ta, która cię wychowała. Jej ojca, który był też ojcem twoich wujków, Tara i Kehna, którego możesz nie pamiętać, bo zabili go, kiedy byłeś jeszcze mały, skazano na śmierć za zdradę i ich rodzina okryła się hańbą. Ale sprzeciwili się temu losowi i teraz nazwisko Maik znalazło się na samym szczycie klanu i wymienia się je zaraz po naszym. Jesteś odrębną osobą, Niko. Masz wokół siebie wielu ludzi, którzy cię kochają i są z ciebie dumni. Wszyscy mówią, że jesteś bardzo podobny do ojca. Dlatego nigdy nie myśl, że zła śmierć, jaka spotkała twoją matkę, ma cokolwiek wspólnego z tobą. Rozumiesz?

Niko pociągnął nosem i skinął głową. Hilo ponownie go objął i pocałował w czubek głowy.

– Teraz rozumiesz, dlaczego ci o tym nie powiedziałem, kiedy byłeś mniejszy – stwierdził. – Nie zrozumiałbyś tego. To mogłoby cię przestraszyć albo zamącić ci w głowie. – Hilo musiał przyznać, że chłopiec zapewne i tak czuje trochę strachu i dezorientacji, ale w tej chwili nie można było nic na to poradzić. Trzeba będzie dać mu miłość i otuchę. – Jeśli będziesz chciał jeszcze o tym porozmawiać, przyjdź prosto do mnie albo do mamy.

– Czy czasami czujesz się źle, kiedy kogoś zabijesz, wujku? – zapytał cicho Niko. – Chyba nie mógłbym zabić swojego kolegi, na przykład Ritta albo Dina, bez względu na to, co by zrobili. Chyba żeby spalili cały dom.

– Nie czuję się źle, kiedy zabijam wrogów, tych, którzy mogliby skrzywdzić naszą rodzinę. Ale czasami jest znacznie trudniej, kiedy to jest ktoś, kogo znałem albo nawet mu ufałem. Wtedy czuję się naprawdę paskudnie, ale i tak muszę to zrobić.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Hilo pogłaskał bratanka po włosach i pozwolił mu oprzeć się o swój bok, by chłopiec mógł w spokoju przetrwać wszystko, co usłyszał od wujka. Czuł ulgę na myśl, że ma to już za sobą. Mógł tylko mieć nadzieję, że udało mu się wytłumaczyć dziecku tak trudną sprawę. Był Kaulem, zieloną kością oraz filarem klanu Bez Szczytów i wszystko to były zasadnicze elementy jego tożsamości, czuł jednak, że najważniejsze, by był dla swoich dzieci kochającym i prawdomównym ojcem. Niko był najstarszym synem w rodzinie. Jeśli miał kiedyś zostać filarem, trzeba będzie go dobrze wychować, wspierać, ale w żadnym razie nie rozpieszczać.

– Kocham cię, Niko. Nigdy o tym nie zapominaj.

– Ja też cię kocham, wujku – odpowiedział Niko, ocierając łzy.

Hilo pocałował chłopca w czoło i odsunął od siebie.

– Nie mów Ru ani Jai, że byliśmy w Gorącej Chacie – dodał, mrugając znacząco, gdy szli do samochodu. – Bo będą nam okropnie zazdrościli.

ROZDZIAŁ 14

ZIELEŃ ZMIENIAJĄCA SIĘ W CZERŃ

Siódmy rok, ósmy miesiąc

W samym środku nocy Hilo obudził telefon. W pierwszej chwili nie poznał głosu Tara. Jego szwagier gadał od rzeczy i płakał w panice. Hilo zorientował się, że Tar dzwoni z automatu pod apartamentowcem w Sogenie, gdzie znajdowało się jego mieszkanie.

– Nie ruszaj się stamtąd – rozkazał. – Słyszysz mnie?

Odłożył słuchawkę i się ubrał. Wen obudziła się i usiadła w łóżku. Spoglądała na niego bez słowa, z pytaniem i strachem w oczach.

– Coś się wydarzyło – poinformował ją Hilo. – Znajdę go i przywiozę tutaj najszybciej, jak się da.

Obudził Juena oraz trzy pięści – Lotta, Vina i Tona. Po piętnastu minutach dotarli do miejsca, z którego dzwonił Tar. Nie było go już w budce telefonicznej. Podążyli za krwawym śladem pozostawionym na chodniku. Filarowy przebiegł przez trzy przecznice, nim padł na ziemię za narożnikiem budynku. Był półprzytomny, a jego ubranie przesiąknęło krwią. Kiedy zobaczył Hila, jego twarz przybrała dziwny wyraz, w którym mieszały się ze sobą ulga, prośba i strach.

– Hilo-jen, pomóż mi – błagał, niemalże się dławiąc. – Zrobiłem coś strasznego.

Hilo nie wierzył własnym oczom. Jego najwierniejszy, budzący strach zastępca leżał w zaułku zboczony krwią, płacząc i drżąc. To nie mogło dziać się naprawdę. Juen i Lott uklękli przy nim i powstrzymali krwawienie, posługując się Przenoszeniem, po czym zanieśli go na tylne siedzenie jednego z dwóch samochodów.

– Zawieźcie go do domu – rozkazał Hilo Lottowi i Tonowi. – Zadzwońcie do Andena, żeby przyjechał i zajął się jego obrażeniami. Nie pozwólcie mu nigdzie odejść ani do nikogo dzwonić. I nikt nie może go zobaczyć. Ani moja żona, ani dzieci.

Hilo poszedł z Juenem i Vinem do apartamentowca. Mieszkanie Tara znajdowało się na samej górze – przestronny penthouse z oknami wychodzącymi na południową stronę miasta. Drzwi były otwarte i Hilo wszedł do środka. Widok był okropny. Mieszkanie zostało zdewastowane. Beżowy dywan lepił się od krwi, a jej plamy na ścianach już zbrązowiały. Meble i drzwi rozbito na kawałeczki. Ciało Iyn Ro leżało w salonie, częściowo na kanapie, a częściowo na podłodze. Śmiertelna rana w jej szyi była ziejącą, czerwoną dziurą. Nawet doświadczonemu w walce na noże Hilowi trudno było na nią patrzeć.

– Jebać bogów w niebie – wyszeptał przerażony Juen.

Z kończyn Hila odpływało ciepło. Co innego zobaczyć zieloną kość zabita w walce z nieprzyjacielem albo w uczciwym pojedynku, a co innego ujrzeć scenę rzezi w mieszkaniu kuzyna. Jego umysł stawiał opór, nie chciał uwierzyć w to, co rejestrował wzrok. Maik Tar, jego filarowy i szwagier, człowiek, którego kochał i któremu ufał od czasów, gdy byli nastolatkami i uczyli się razem w Akademii, zamordował zieloną kość ze swego klanu, kobietę, z którą w przyszłym miesiącu zamierzał się ożenić. Jadeitowe kolczyki i bransoletki nie zniknęły z ciała ofiary. Wyglądało to odrażająco, jakby była zwierzęciem, które zarżnięto bez powodu, a potem porzucono, żeby zgniło w promieniach słońca.

Hilo został tam jeszcze przez pewien czas, żeby załatwić sprawę zabrania ciała. Potem się oddalił, rozkazując Juenowi i Vinowi, by się upewnili, że wszystko odbędzie się, jak trzeba, i zawiadomili rodzinę. Pojechał sam do domu Kaulów, pogrążony w oszołomieniu. Światła latarń przesuwwały się po białej masce duchesse w monotonnym rytmie zharmonizowanym z biciem serca wypełniającym mu uszy.

Iyn Ro nie była jakąś mało znaczącą ofiarą. Była starszą rangą pięścią klanu Bez Szczytów, jedną z nielicznych kobiet, którym udało się osiągnąć tak wysoką pozycję. Wszyscy ją znali, a kobiety po zieleńskiej stronie klanu darzyły ją podziwem. Hilo zwrócił na nią uwagę już dawno temu, kiedy był rogiem. Wyróżniała się pracowitością, a Juen uważał ją za najlepszą kandydatkę na pierwszą pięść, kiedy Vuay przejdzie w stan spoczynku. Niewielu mężczyzn mogło dorównać jej zapałowi i niewielu by tego chciało. Dlatego ciągle wracała do Maik Tara. Nie poddała się łatwo. Świadczyło o tym zniszczone mieszkanie oraz liczne obrażenia, jakie odniósł Tar.

To była najstraszliwsza zbrodnia, jaką popełniono w klanie Bez Szczytów, odkąd Hilo sięgał pamięcią. Szok będzie straszliwy. Krewni Iyn będą żądali

sprawiedliwości.

Gdy przyjechał do domu, Anden i Lott czekali na niego na schodach przy drzwiach wejściowych. Stali obok siebie, ale nie rozmawiali. Obaj mieli poważne miny. Kiedy Hilo ujrzał ich razem, przypomniał sobie, że są w tym samym wieku. W Akademii byli w jednej klasie, a nawet się przyjaźnili, ale jako dorośli mężczyźni bardzo się różnili.

– Zamknęliśmy go w gabinecie, Hilo-jen – poinformował go Lott. – Nie próbował uciekać.

Twarz Andena wydawała się blada w pomarańczowym blasku świateł pod drzwiami frontowymi. Nosił lekarski jadeit, a jego aura była słaba i znużona. Zużył sporo energii.

– Obrażenia go nie zabiją – zapewnił w odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie Hila. – Pękła mu śledziona, ale powstrzymałem krwawienie i uzupełniłem mu płyny. Nie byłem pewien, czy powinienem robić coś więcej, bo...

Przerwał, nie chcąc powiedzieć nic więcej. Hilo położył dłoń na ramieniu kuzyna na znak podziękowania i wszedł do domu.

Lott zostawił przy Tarze trzy swoje pięści – dwie w pokoju i jedną pod drzwiami. Postąpił rozsądnie, ponieważ Tar, nawet ranny, był jednym z najgroźniejszych wojowników w klanie, a jeśli postradał zmysły, nie sposób było przewidzieć, do czego jest zdolny. Jednakże gdy Hilo wszedł do środka, zobaczył, że jego szwagier siedzi spokojnie na kanapie, wspierając łokcie na kolanach i splatając dłonie na karku. Uniósł głowę i spojrzał na filar. Hilo nigdy w życiu nie widział równie żalösnej i zrozpaczonej miny.

– Ona nie żyje, prawda?

Gdy filar skinął głową, Tar się rozplakał. Targał nim przeciągły, pełen desperacji szloch, jakie Hilo słyszał przedtem tylko raz – gdy Tar dowiedział się o zamordowaniu Kehna.

Podszedł do płaczącego mężczyzny, którego uważał za brata, usiadł obok niego i objął go, by dodać mu trochę otuchy.

– Nie wiem, co się stało – zdołał wykrztusić Tar. – To zaczęło się jak zwykła kłótnia, ale nagle zrobiło się znacznie gorsze. Chciała mnie opuścić, Hilo-jen. Raniła mnie słowami... – Aura Tara przypominała ostre kawałki potłuczonego szkła. W przerwach między łkaniem z jego ust wydobywały się kolejne słowa. – Nie chciałem jej skrzywdzić, przysięgam na bogów. Kocham ją. Kurwa, miałem się z nią ożenić. Jasne, czasem wpada się w gniew. Za często się ze sobą kłóciliśmy, ale powiedzieliśmy sobie, że z tym już koniec. Że tym razem nam się uda. Ale dzisiaj, kiedy wróciliśmy do domu, oznajmiła, że odwołuje ślub i opuszcza mnie na dobre. Sypiała z kimś innym, wiedziałem, że tak jest. Sama

mi o tym powiedziała. Była pijana i... tak, ja też trochę wypilem... nie mam pojęcia, jak to się stało, że wyciągnęliśmy karambity. W ogóle sobie tego nie przypominam.

Hilo pozwolił Tarowi wygadać się i wypłakać. Nic z tego, co powiedział, nie miało znaczenia. Jego uczynku nie można było usprawiedliwić. Nic nie tłumaczyło faktu, że pięść klanu zginęła z jego ręki. Jeśli jednak Tar czuł, że potrzebuje to powiedzieć, Hilo mógł przynajmniej go wysłuchać. Kiedy wreszcie umilkł, filar wyciągnął paczkę papierosów. Zapalił papierosa dla swego filarowego, a potem drugiego, dla siebie, żeby uspokoić nerwy. Nie był pewien, czy potrafi stawić czoło temu, co musi się wydarzyć.

Uświadomił sobie, że to on jest odpowiedzialny za tragedię, do której doszło. Zlecał filarowemu najmroczniejszą klanową robotę, wszystkie zadania, który były najtrudniejsze, najbardziej problematyczne i wymagały skrajnej przemocy i brutalności. Podczas wojny klanowej zmienił zadania filarowego tak, by ta rola pasowała do natury Maik Tara, który był niezachwianie lojalny, gwałtowny, godny zaufania i dyskretny. Człowiek wykonujący tego typu zadania potrzebował kotwicy, przeciwwagi, jakiejś innej siły, która pozwoliłaby mu zachować człowieczeństwo i nie zmienić się w śmiercionośne narzędzie. Kehn był taką kotwicą, ale nie było go już od lat, Hilo i Wen popadli zaś w rutynę i nie poświęcali mu należytej uwagi. Jego związek z kimś równie impulsywnym jak Iyn Ro był pomyłką. Prędzej czy później musiała go rzucić, a on nie był już w stanie znieść kolejnej utraty.

Wen wiedziała, pomyślał z przygnębieniem Hilo. To on był nadmiernym optymistą. Ograniczył obowiązki Tara, wierząc, że to wystarczy, by okiełznać jego instynkty. Pobłogosławił ich małżeństwo, przekonany, że Tar stanie się dzięki niemu szczęśliwszym i lepszym człowiekiem. Doszedł do wniosku, że to wszystko była jego wina. To on zmienił swego szwagra w potwora.

– Tar... – zaczął łagodnym tonem – nie byłeś sobą. Ogarnął cię dzisiaj szal i zrobiłeś coś, czego nigdy byś nie uczynił, gdybyś myślał jasno.

Hilo zadał sobie pytanie – teraz, gdy było już za późno – czy może stały za tym przyczyny medyczne. Winny mógł być nagły początek śwędziawki. Tar był człowiekiem zdolnym zlekceważyć albo zignorować objawy nadmiernego narażenia na jadeit, wmawiać sobie, że to tylko jakaś przelotna dolegliwość, coś, przez co nie przestanie być zielony.

– Tego, co zrobiłeś, nie da się odwrócić. Zamordowałaś członkinię klanu, naszą pięść, zieloną kość. Wiesz, że to zbrodnia, której nie można wybaczyć.

Filarowi trudno było nawet wypowiedzieć te słowa, a Tarowi z pewnością znacznie trudniej było je usłyszeć. Dłonie zaczęły mu drżeć. Unieruchomił je między kolanami i zgarbił się. Sprawiał wrażenie, że zbiera mu się na wymioty.

Hilo ledwie potrafił uwierzyć, że ten wrak człowieka przez wiele lat był jednym z najgroźniejszych wojowników klanu.

– Pójdziemy się przejść, Tar. – Te słowa wyszły z ust Hila wbrew jego woli. – Dasz radę to zrobić czy będziesz potrzebował pomocy?

Tar spojrział na niego. W jego oczach widniała rozpacz, lecz również zrozumienie i pogodzenie się z losem.

– Mogę chodzić – zapewnił ze śladem swej zwykle niezłomnej odwagi.

– Czy mogę bezpiecznie zostawić ci jadeit?

Nie wydał rozkazu odebrania Tarowi zieleni. Nie chciał upokarzać go jeszcze bardziej, jeśli tylko będzie mógł tego uniknąć.

– Nie będę robił kłopotów, Hilo-jen.

Hilo wsparł dłoń na plecach filarowego i wyprowadził go z pokoju, a następnie skierował ku drzwiom domu. Pięści stojące w korytarzu odsunęły się, pozwalając im przejść.

– Czy mogę zobaczyć dzieci? Tylko na moment – zapytał Tar.

– Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł – odparł Hilo. – Śpią.

Tar skinął głową. Wyszli z domu razem. Lott i Anden odprowadzali ich wzrokiem z posępnymi minami. Nie wiedzieli, co powiedzieć, więc nie powiedzieli nic.

Posiadłość Kaulów zajmowała obszar około dwóch hektarów. Budynki mieszkalne i główny dziedziniec znajdowały się w samym jej centrum. Resztę wypełniały ogrody, staw, murawa, sala ćwiczebna oraz niewielki gaj, dzielący domostwa rodziny od sąsiadów i od miasta na zewnątrz. Hilo prowadził Tara ścieżkami wijącymi się po posiadłości. Okrążyli budynek do rogu, zeszli po niewielkim stoku, gdzie dzieci Juena zawsze budowały fortece i bawiły się w bitwy. Hilo towarzyszył filarowemu, który był ranny i nie mógł iść szybko. Kiedy się zachwiał albo potknął, Hilo łapał go za łokieć, żeby pomóc mu zachować równowagę. Była trzecia albo czwarta rano. Zapadła cisza tak głęboka, jak to tylko możliwe w Janloonie. Chwila przerwy między dniem, który minął, a tym, który nadejdzie.

Gdy już oddalili się od domów i byli zupełnie sami – Hilo ledwie Postrzegął odległe aury pozostałych zielonych kości przebywających na terenie posiadłości – zatrzymał się i spojrział na filarowego. Tar cofnął się o krok i opadł na kolana.

– Hilo-jen – zaczął ochryplym głosem. – Przepraszam, że cię zawiodłem. Od czasu, gdy byliśmy razem w Akademii, pragnąłem jedynie służyć ci i być twoim najlepszym wojownikiem. Przeszliśmy razem bardzo wiele. – Głos mu się załamał, ale po chwili Tar wziął się w garść. – Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem – zakończył ze spokojem. Dotknął czołem ziemi, i wyprostował się.

Był teraz spokojny i pełen skruchy – całkowite przeciwieństwo strasliwego szaleństwa, z powodu którego trafił w to miejsce.

– Zamknij oczy – rozkazał Hilo.

Tar go posłuchał. Filar wyciągnął karambit i zajął pozycję za plecami klęczącego mężczyzny. Jadeitowa aura Tara pulsowała żalem i strachem, bicie jego serca zajmowało sam środek Postrzegania Hila. Filarowy nie ruszył się jednak z miejsca, nawet gdy Hilo położył dłoń na czubku jego głowy. Trzeba było to zrobić. Jedno szybkie uderzenie, od lewej do prawej, wymierzone w gardło. Nieraz już zabijał ludzi nożem, będzie po wszystkim, nim zdąży wykonać jeden oddech.

Minęła sekunda. A potem druga. Hilo zaczął drżeć. Ścisnął karambit w dłoniach tak mocno, że poczuł, że rękojeść zaczęła ustępować przed jego mimowolną Siłą. Drugą dłonią złapał szwagra za włosy z tyłu głowy. Miał wrażenie, że drzewa są coraz bliżej i zasłaniają mu pole widzenia z obu boków.

Jego palce rozluźniły się spazmatycznie. Karambit wysunął mu się z dłoni i spadł na żwir u jego stóp. Odwrócił się od Tara niczym marionetka na sznurkach.

– Niech to szlag – wyszeptał. – Ja pierdolę.

Zacisnął mocno dłoń na najbliższym pniu, pochylił głowę, a drugą dłonią zasłonił oczy.

– Ja to zrobię, Hilo-jen – odezwał się klęczący za jego plecami Tar. Wziął leżący na trawie karambit Hila, podniósł się z wysiłkiem i strzepnął ziemię z kolan. – Możesz spokojnie stąd odejść. Zostaw mnie samego. Ja się tym zajmę.

Te proste słowa, wypowiedziane tak rzeczowo i z tak wielką łatwością, pozbawiły Hila resztek determinacji. To właśnie Tar robił za niego od lat. Załatwiał trudne sprawy. Zastępował go w najgorszych, najokrutniejszych chwilach – cicho, niezawodnie, skutecznie i bez skargi – żeby Hilo mógł spokojnie odejść.

Filar się odwrócił.

– Oddaj mi ten nóż, Tar.

Filarowy wręczył mu karambit, a on zatknął go sobie za pas. Następnie potarł oczy. Jego umysł pracował gorączkowo.

– Oto co się stanie. – Opuścił ręce. – Zostaniesz pozbawiony jadeitu i wygnany z Kekonu. Nigdy nie będziesz mógł tu wrócić. Jeśli spróbujesz to zrobić, zostaniesz wyjęty spod prawa i każdy będzie mógł cię zabić za moją zgodą. Klan będzie żądał twojej krwi i będę musiał przekonać wszystkich, że winna była śwędziawka i powinno się darować ci życie, pod warunkiem, że nigdy już nie włożysz zieleni. Odeślę cię do jakiegoś miejsca, gdzie będziesz mógł zacząć od nowa, bez jadeitu i bez klanu.

Tar potrząsnął głową. Na jego twarzy malowała się dezorientacja, jakby nie był pewien, czy powinien dziękować Hilowi, czy mieć do niego pretensję.

– Bez klanu i jadeitu jestem niczym, Hilo! – zawołał. – Jeśli sam nie chcesz wykonać wyroku, każ to zrobić komuś innemu. Tak będzie łatwiej dla wszystkich i to będzie słuszny postępek.

– Być może – zgodził się filar. – Ale nie zniosę utraty kolejnego brata. Było ich już zbyt wielu. – Złapał Tara za ramiona, przyciągnął do siebie i dotknął czołem jego czoła. – Zawsze mogłem na ciebie liczyć. I dlatego ciągle żądałem od ciebie zbyt wiele. Teraz proszę cię tylko o jedno. To ostatnie, czego od ciebie pragnę. Żyj.

* * *

Gdy po dwóch godzinach Hilo wrócił do domu, znalazł Wen siedzącą na podłodze w kącie ich sypialni. Podciągnęła kolana do klatki piersiowej, a skronią opierała się o ścianę. Oczy miała czerwone i opuchnięte. Ledwie uniosła wzrok, gdy wszedł do środka.

– Stało się? – zapytała bezbarwnym głosem. – Czy mój brat nie żyje?

Hilo powiesił marynarkę na słupku łóżka i usiadł ciężko w jego rogu.

– Żyje – odpowiedział. – Odebrałem mu jadeit i skazałem na wygnanie. – Odetchnął głęboko i wyjął z kieszeni garść jadeitu – pierścionki, spinki, dzwonek, zegarek – i wysypał to na stolik przy łóżku. Jadeit Tara. Hilo obiecał mu, że wszystko to kiedyś przypadnie Maik Camowi. – Wielu ludzi w klanie będzie twierdziło, że powinienem go skazać na śmierć. Mają powody do gniewu. Iyn i jej rodzina zasłużyli na coś lepszego. Będę musiał jakoś sobie z tym sobie poradzić. Nie mogłem zabić brata. Kim trzeba być, żeby zrobić coś takiego?

Wen gapiała się na niego z lekko rozdziawionymi ustami, jakby chciała coś powiedzieć, ale zabrakło jej słów.

Hilo rozpiął koszulę. Niebo nad domem zaczynało już jaśnieć, a on rozpaczliwie potrzebował choć paru godzin snu, żeby stawić czoło burzom, które z pewnością nadejdą następnego dnia.

– Wprowadzę pewne zmiany – zaczął niespiesznie. – Paznokcie, ludzie Tara, wrócą pod rozkazy Juena. Za całą zieleńszą stronę klanu powinien odpowiadać róg. Za czasów dziadka i Lana filarowy był kimś innym. Zmieniłem to z powodu wojny i z uwagi na to, kim jest Tar. Cokolwiek rozkazałem mu zrobić, zawsze się zgadzał. Potrzebowaliśmy tego. Ale nie chcę, żeby tak było dłużej.

Obejrzał się, zdjął zegarek, wyciągnął karambit z za pasa i odłożył oba na kredens.

– Filarowy był kimś, kto nie odpowiadał przed połową klanu zajmującą się jadeitem ani przed tą, która zajmuje się pieniędzmi – stwierdził. – Zawsze stał u boku filaru, udzielał mu rad, które ten powinien usłyszeć, i starał się, żeby wszystko działało gładko. Który pomagał mu być filarem.

Podszedł do Wen. Wyciągnął rękę i pomógł jej się podnieść.

– Ty jesteś taką osobą – rzekł cicho. – Nie mógłbym być filarem bez ciebie. Oboje krzywdziliśmy się nawzajem, ponieważ zbyt uparcie trzymaliśmy się własnych oczekiwań, i zapłaciliśmy za to wysoką cenę. Jaki jednak sens ma życie, jeśli wyrzekamy się tych, których kochamy? – Wziął ją w ramiona i pogłaskał po włosach, a potem pocałował w czoło, policzki i usta. – Wen, czy zgodzisz się zostać moim filarowym?

Ujęła jego podbródek drżącą dłonią.

– Klan jest moją krwią – wyszeptała tonem pełnym emocji, lecz opanowanym, po czym pochyliła głowę i pocałowała go w dołek u podstawy szyi. – A filar jest jego panem.

INTERLUDIUM 1

OSĄD PO LATACH

Ostatni król Kekonu Eon II panował w najtrudniejszym okresie dziejów swego kraju i zapisał się w historii jako okryty hańbą nieudacznik. Przez trzysta lat po zjednoczeniu wyspy pod rządami dynastii Jan panowały na niej względny pokój i dobrobyt, gdy jednak Eon II wstąpił na tron w wieku dziewiętnastu lat, w kraju zaczęły się polityczne zawirowania. Po raz pierwszy na wyspie zaznaczyli swą obecność cudzoziemcy. Kupiecka Gildia Podróżników Bramsko ze Stepenlandu, Cesarstwo Tun, kontrolujące portowe miasto Toshon na południowym półwyspie oraz szotarska marynarka wojenna panująca nad Wschodnim Amarykiem coraz częściej wchodziły w konflikty ze sobą oraz z miejscową ludnością.

Po kilku gwałtownych incydentach oraz wysuniętych przeciwko rodzinie królewskiej oskarżeniach o przyjmowanie łapówek od cudzoziemców liczne klanowe rodziny zielonych kości zaczęły się opowiadać po jednej ze stron – obrońców zagrożonej monarchii albo tych, którzy domagali się jej obalenia. Gdy Cesarstwo Szotaru najechało wyspę z całą siłą swej nowoczesnej armii, miało przeciwko sobie jadeitowych wojowników, którzy posiadali wyjątkowe talenty, lecz brakowało im organizacji oraz jedności.

Mimo to walki były bardzo zacięte, a ofiary tak liczne, że później odkryte dokumenty ujawniły, że szotarscy dowódcy byli gotowi puścić całe miasto z dymem, twierdząc, że w przeciwnym razie wszystkie zielone kości na wyspie będą walczyły, dopóki nie zginą, a każdy z nich zabierze ze sobą setki nieprzyjacielskich żołnierzy. Doradcy sugerowali królowi Eonowi II, by uciekł za granicę i kontynuował walkę na wygnaniu, on jednak ich nie posłuchał i rozkazał klanom się wycofać. Poddał się Szotarczykom i abdykował. Szotarski rząd zamknął go w wygodnym więzieniu i postarał się, by jego śmierć wyglądała na naturalną, choć w rzeczywistości otruli go cudzoziemscy strażnicy.

Kekończycy powszechnie gardzili królem Eonem II jako tchórzem i mięczakiem. Dlatego, gdy pięćdziesiąt lat później przywrócono monarchię – przynajmniej symbolicznie, jeśli nie realnie – wnuk brata Eona II, Eon III przybrał tytuł księcia, żeby zdystansować się od znienawidzonego krewniaka. Późniejsi historycy łagodniej traktowali Eona II. Jego z pozoru przedwczesna kapitulacja uratowała miliony istnień ludzkich, a także pozwoliła ocalałym wojownikom zielonej kości przegrupować się i stworzyć Towarzystwo Jednej Góry, nieustraszoną sieć oporu obejmującą cały kraj, która położyła kres rządóm Szotarczyków i stała się prekursorem współczesnych klanów. Podczas pobytu w więzieniu były monarcha nakłaniał obywateli do pokojowego zachowania i współpracy z cudzoziemskimi okupantami, później jednak odkryto, że sprzedał większą część majątku rodziny królewskiej i za pośrednictwem latarników potajemnie przekazał pieniądze zielonym kościom walczącym w partyzantce. Szotarski strażnik więzienny, który napisał wspomnienia o Eonie II, opisuje go jako zamkniętego w sobie mola książkowego, który bardzo lubił zwierzęta – przeciwieństwo stereotypu Kekończyków jako wojowniczych brutali, często wykorzystywanego przez szotarską propagandę.

– Zapamiętają mnie nie za to, kim byłem, ale za to, kim nie byłem – lamentował ponoć na łożu śmierci okryty hańbą król. – Być może tak będzie lepiej. Niech bogowie osądzą mnie za to, czego nie zrobiłem.

ROZDZIAŁ 15

SCEPTYCY

Trzynasty rok, szósty miesiąc

Podobnie jak większości młodych lekarzy pracujących w przychodni w Papai, Andenowi zawsze wciskano najgorsze godziny pracy – późne noce, wczesne poranki, święta. Z osiemnastu zatrudnionych tam lekarzy tylko trzech było zielonymi kośćmi i często musiał siedzieć w pracy nawet dłużej albo wzywano go po godzinach. Sława mistrza jadeitowych dyscyplin oraz wysoki status członka rodziny Kaulów sprawiały, że pięści i palce z klanu zazwyczaj zwracały się do niego i nigdy nie brakowało mu pacjentów. Co więcej, Papaja była biedną dzielnicą, przemoc była tu powszechna i Anden często musiał sobie radzić z nagłymi przypadkami. Pewnego wieczoru wezwano go do pacjenta z odmą opłucnową i krwotokiem wewnętrznym. Ze zdziwieniem przekonał się, że jest to Lott Jin, jego kolega z Akademii Kaul Du, a obecnie pierwsza pięść klanu Bez Szczytów.

– Co ci się stało, Lott-jen?! – zawołał.

Większość obrażeń Lotta była skutkiem tępych urazów. O dziwo, żadna kość się nie złamała. A liczne rany od noży były płytkie. Rzecz jasna, Lott świetnie władał Stalą, ale naczynia krwionośne i miękkie narządy trudno było osłonić, nawet przy wielkich jadeitowych talentach.

– To byli *barukani* – wyjaśnił z przygnębieniem Lott.

To wystarczyło. Po pewnym czasie dwa niepokojące się o swego dowódcę palce siedzące w poczekalni wyjaśniły, że Lott wpadł w pułapkę zastawioną przez ludzi uzbrojonych w gazrurki, łomy i tasaki podczas obserwacji kryjówki gangu *barukanów*. Pierwsza pięść zabił czterech napastników, a potem wyskoczył z drugiego piętra przez wyjście ewakuacyjne. Niektórzy *barukani*

opanowali jadeitowe umiejętności w wystarczającym stopniu, by mogli stanowić zagrożenie nawet dla zielonych kości, zwłaszcza jeśli mieli przewagę liczebną. Większość z nich należała kiedyś do szotarskiego gangu Matyków i poczuli się do pewnej lojalności wobec Góry, która potępiała ich nielegalne praktyki i karała ich za nie, lecz jednocześnie wykorzystywała ich do prostych zadań oraz do ataków na klan Bez Szczytów, w których wołała nie uczestniczyć bezpośrednio. Podporządkowanie sobie klasy przestępczej, a jednocześnie wykorzystywanie jej w rozgrywkach z rywalami, było w klanach głęboko zakorzenioną tradycją.

W normalnej sytuacji Lotta trzeba by było operować, żeby powstrzymać krwotok, ale Anden zdołał odnaleźć zranione miejsce i zamknąć naczynia krwionośne kilkoma impulsami skupionego Przenoszenia. Czuł się dziwnie, udzielając pomocy koledze ze szkoły, w którym kochał się jako nastolatek, nie mógł jednak nie zauważyć, że Lott nadal jest atrakcyjny, mimo że twarz mu pobladła, falujące włosy miał mokre od potu, zamknął oczy o długich rzęsach, a zmysłowe usta zaciskał mocno z bólu. Był też jedną z najsilniejszych zielonych kości w klanie.

– Będziesz musiał zostać na noc pod tlenem – oznajmił mu Anden, powoli posługując się rozproszonym Przenoszeniem, by usprawnić krążenie krwi i przyspieszyć zdrowienie. – Wrócisz w pełni do zdrowia, Lott-jen, ale to potrwa kilka tygodni.

Lott skinął głową, nadal nie otwierając oczu. Anden podszedł do zlewu i zaczął myć ręce.

– Byłeś najlepszy w naszym roczniku – odezwał się Lott. – Spodziewałem się, że to ty zostaniesz pierwszą pięścią, nie ja.

Anden odwrócił się. Jego szkolny kolega otworzył oczy i gapił się na niego, unosząc kąciki pełnych ust w sarkastycznym uśmiechu, i wskazał na swe zabandażowane ciało.

– Jesteś pewien, że dokonałeś właściwego wyboru? – zapytał. – Nie żałujesz? Anden zmarszczył brwi, spoglądając na swe suszące się dłonie.

– Kto wie, jaką rangę mógłbym osiągnąć? Być może do tej pory zabiłaby mnie Góra albo śwędziawka. Los decyduje o roli, jaką gramy w klanie, w takim samym stopniu jak zasługi. Zapewne nawet w większym.

To było prawdą również w przypadku Lotta. Pierwszą pięścią miała zostać Iyn Ro, ale zamordował ją Tar. Anden zadrżał na tę myśl.

Czuł na sobie spojrzenie dawnego kolegi i powolne ruchy jego jadeitowej aury.

– Nie sądzę, by ktokolwiek z nas mógł wiedzieć, czy dokonał właściwego wyboru – podjął. – Ale ja niczego nie żałuję, dopóki nadal żyję i mogę być użyteczny na inne sposoby. – Usiadł na krześle obok łóżka rannego, starając się

nie zwracać uwagi na jego ciemne oczy ani na cień zarostu na żuchwie. – A co z tobą, Lott-jen? – zapytał. – Kiedy byliśmy w Akademii, nie chciałeś złożyć przysięgi jadeitowego wojownika. Dlaczego to zrobiłeś?

Twarz Lotta przybrała twardszy wyraz. Jego aura się wycofała. Anden pomyślał, że nie doczeka się odpowiedzi, lecz po chwili Lott zaczął mówić.

– Wszyscy mi powtarzali, że mój tata był świetną pięścią. Że był tak zielony, jak to tylko możliwe. Kiedy byłem młody, nie chciałem mieć nic wspólnego z tym skurwysynem, niech bogowie obdarzą go uznaniem. – Spróbował zaczerpnąć tchu i aż zgiał się z bólu. Potem znowu oparł się o uniesioną przednią część łóżka. – Ale po jego śmierci to klan nam pomógł. Zaopiekował się moją mamą i rodzeństwem. Teraz moja siostra ukończyła college, a mama prowadzi firmę cateringową. Przedtem nie mogły nawet marzyć o czymś takim. Czemu nie miałbym się starać osiągnąć najwyższej możliwej rangi? To najlepsze, co mogę dla nich zrobić. – W jego oczach pojawił się wyzywający blask, jakby się spodziewał, że Anden będzie się z nim spierał. Gdy tak się nie stało, z głosu Lotta zniknęła wojownicza nuta. – Filar był pierwszą osobą w klanie, która rozmawiała ze mną jak z mężczyzną – przyznał. – Oczekiwał, że będę sobą, a nie nieudaną kopią mojego taty. Przekonał mnie, że człowiek może być zielony, nie pozwalając, by zawładnęły nim gniew i okrucieństwo.

– Nigdy nie uważałem cię za kopię kogoś innego – odpowiedział cicho Anden. – Zawsze byłem przekonany, że jesteś po prostu sobą.

Pod wpływem impulsu wyciągnął rękę do drugiego mężczyzny, ale ten się odsunął. Jego ruch nie był gwałtowny ani demonstracyjny, ale łatwo było go zrozumieć. Anden cofnął rękę. Zaczerwienił się ze wstydu.

– Cieszę się, że jesteś zadowolony ze swojej decyzji – dodał Lott. W jego głosie nie słyszało się irytacji, ale odwrócił wzrok, udając, że nie widzi zażenowania rozmówcy. – Dziękuję, że mnie połątałeś, keke. Teraz, gdy zostałem pierwszą pięścią, moje życie stało się bardziej niebezpieczne i jeśli będę miał pecha, spadnę z większej wysokości. Nie mogę sobie pozwolić na nieostrożność ani błędy.

* * *

Gdy Anden wrócił do małego gabinetu, który dzielił z dwoma innymi lekarzami – obu nie było dziś w pracy – czekała na niego nagrana na automatyczną sekretarkę wiadomość po espeńsku. Zerknął na zegarek i szybko przeliczył strefy czasowe. W Adamont Capita był ranek. Nie chcąc obciążać przychodni drogimi rachunkami za rozmowę międzynarodową, posłużył się

kartą, by zadzwonić do doktora Martgena, który odebrał telefon już po drugim sygnale.

– Chwała Wieszczowi, że udało mi się do pana dodzwonić – oznajmił espeński lekarz. – Obawiam się, że dotarliśmy do ściany.

Od sześciu lat doktor Martgen razem z grupą zapaleńców ubiegali się – z dyskretnym, acz znaczącym wsparciem klanu Bez Szczytów – o legalizację wykorzystania bioenergetycznego jadeitu w medycznych procedurach opartych na kekońskiej sztuce uzdrawiania. Projekt ustawy poddano debacie w Zgromadzeniu Narodowym, ale blokowało go Espeńskie Towarzystwo Lekarskie.

– ESL nie tylko zamierza uniemożliwić uchwalenie ustawy, ale domaga się zaostrzenia kar dla wszystkich, którzy, jak to ujęli, wykorzystują bioenergetyczny jadeit w „niesprawdzonych i potencjalnie szkodliwych procedurach medycznych”.

Anden nacisnął mocno blat knykciami dłoni. Nie dziwił się, że większość espeńskich lekarzy nie rozumie jadeitu i uważa go za niedopuszczalne zagrożenie dla swojej praktyki, jeśli jednak kary rzeczywiście zostaną zaostrzone, uzdrowicielom zielonych kości, takim jak Dauk Sana, która od dziesięcioleci po cichu pomagała miejscowym Keko-Espeńczykom, może zagrozić aresztowanie i wieloletnie więzienie.

– Czy możemy coś w tej sprawie zrobić?

– Mam też dobre wiadomości – odpowiedział doktor Martgen. – Wczoraj udało się nam przekonać deputowanego Sonnena, przewodniczącego Narodowej Komisji ds. Zdrowia, do opóźnienia głosowania o trzy tygodnie, żebyśmy mogli urządzić publiczną demonstrację możliwości bioenergetycznej medycyny, nim prawodawcy podejmą decyzję. – Nastąpiła krótka przerwa. – Wiem, czasu jest bardzo niewiele, ale gdyby pan mógł...

Anden osunął się na krzesło. Legalizacja jadeitu w Hiszpanii, choćby nawet tylko do celów medycznych, od wielu lat była celem klanu Bez Szczytów.

– Przylecę tak szybko, jak tylko zdołam – zapewnił. – Muszę wcześniej załatwić kilka spraw w pracy i z rodziną. Spróbuję sprowadzić też innych. Zadzwonię do pana.

Anden odłożył słuchawkę, zaczerpnął tchu i potarł dłońmi twarz. Potem znowu sięgnął po telefon i zaczął dzwonić do współpracowników, prosząc ich, by zastąpili go przez następne trzy tygodnie. Zostawił też wiadomość dla sekretarki, z prośbą o przełożenie mniej pilnych wizyt. Na koniec zadzwonił do rezydencji Kaulów. Hila nie było w domu, ale Anden wyjaśnił sytuację Wen, która powiedziała, że ma załatwić lot do Hiszpanii i klan udziela mu wszelkich upoważnień.

– Przekażę filarowi wszystko, co mi powiedziałeś – zapewniła, mówiąc o Hilu jak filarowy, a nie jak ktoś, kto co noc dzieli z nim łożę.

Zdobywszy aprobatę klanu, Anden zadzwonił do doktora Tima i doktora Yona, dwóch doświadczonych lekarzy, którzy już nie raz towarzyszyli mu podczas profesjonalnych wizyt w Centrum Badań Medycznych Dempheya. W normalnej sytuacji nigdy nie pozwoliłby sobie na to, by kontaktować się z nimi w tak niedogodnej porze i prosić, by zmienili swoje plany na trzy najbliższe tygodnie. W obu przypadkach przeprosił, że zawraca im głowę w domu.

– Mój kuzyn, filar klanu Bez Szczytów, prosił mnie, żebym działał w imieniu klanu – oznajmił potem, podkreślając w ten sposób, że nie składa tej prośby jako młodszy kolega, lecz jako reprezentant rodziny Kaulów. Zapewnił obu mężczyznom, że otrzymają wynagrodzenie za swój wysiłek i klan pokryje koszty podróży.

Obaj lekarze zgodzili się mu towarzyszyć. Na koniec Anden zadzwonił do Akademii Kaul Dushurona, wykręcił numer dodatkowy do akademika dla chłopców, a na koniec dwucyfrowy numer pokoju. Przed kilku laty we wszystkich pokojach zainstalowano telefony. Za czasów Andena nikt nie słyszał o takich luksusach. Przeprosił Nika za to, że nie będzie mógł iść z nim pójść w przyszłym tygodniu na mecz Duchów Janloonu, drużyny piłki sztafetowej, której kibicował czternastolatek. Obiecał mu też, że jeśli będzie dwa razy w tygodniu zaglądał do jego mieszkania, żeby odebrać pocztę i podlać rośliny, otrzyma w nagrodę sto dniów.

– Nie ma sprawy, wujku Andenie – odpowiedział Niko. – Słyszałem, że w Espenii jest mnóstwo złodziei. Czy kiedy tam jesteś, nosisz pod ubraniem pasek z kieszonką na pieniądze, dla ochrony przed kieszonkowcami?

Niko był wyjątkowo ostrożnym nastolatkiem i zawsze wyobrażał sobie najgorsze możliwe scenariusze. Anden zapewnił go, że dzielnice Adamont Capita, które odwiedzi, są całkowicie bezpieczne.

– Czy mógłbyś mi przywieźć torebkę tych kwaśnych cukierków, jak poprzednim razem? – zapytał go młody kuzyn.

Anden obiecał, że to zrobi.

Następnie zadzwonił do Kekońskich Linii Lotniczych i po irytująco długim oczekiwaniu na odpowiedź udało mu się zabukować bezpośredni lot do AC na jutrzejsze popołudnie. Jedyne wolne miejsca, jakie pozostały, to były środkowe siedzenia w samym tyle kabiny głównej.

Na lotnisku Anden zastanawiał się przez dłuższą chwilę, nim zdecydował się na dopłatę do klasy biznesowej. Nawet jeśli kuzyni dali mu pełnomocnictwo, zawsze wahał się przed wydawaniem klanowych pieniędzy, jako że nie miał

żadnego oficjalnego stanowiska w klanie Bez Szczytów i uważał, że zaciągnął niespłacalny dług wobec rodziny Kaulów. To oni go wychowali, dzięki ich pieniądзом zdobył wykształcenie zielonej kości w Akademii Kaul Dushurona, ukończył college w Espenii, a na koniec studia medyczne w Kolegium Medycyny Bioenergetycznej. I co dał im w zamian?

Nieźle zarabiał jako lekarz, jego kontakty z Keko-Espeńczykami z Port Massy dobrze się przysłużyły klanowi po obu brzegach Amaryku, od lat był też łącznikiem między naukowcami Martgena a lekarzami z Janloonu. Jednakże jego przybrany dziadek, nieżyjący Kaul Seningtun, niech bogowie obdarzą go uznaniem, sprowadził do domu sierotę, pragnąc wzmocnić szeregi swej rodziny nadzwyczaj utalentowanym jadeitowym wojownikiem, który pomoże jego wnukom kierować klanem. Wiedział, że kuzyni nie oceniają jego wartości w równie wyrachowany sposób, przypuszczał jednak, że inni ludzie tak robią. Lott Jin otwarcie zasugerował, że to Anden powinien być pierwszą pięścią, a nie on. Powtarzał sobie, że w wieku trzydziestu jeden lat powinien przestać przejmować się tym, co myślą o nim inni, niemniej nadal uważał, że ma im coś do udowodnienia.

Gdy już znalazł się w samolocie, nie żałował podjętej decyzji. Po dwunastu i pół godzinie uciążliwej podróży znajdzie się w stolicy Espenii, gotowy zademonstrować swe jadeitowe umiejętności sceptycznym, wrogo nastawionym zagranicznym ustawodawcom. To, żeby był dobrze wypoczęty i nie zawiódł klanu, powołania ani ojczyzny, było ważniejsze niż kilka tysięcy dniów.

* * *

Gdy Anden przybył do hotelu Capita View, przywitali go tam doktor Martgen oraz Rigly Hollin, którzy usiedli naprzeciwko niego w hotelowej restauracji. Łatwo było zauważyć, że Martgen przeżywa poważny stres. Jego jasne oczy były podkrążone, a zwykle wypielęgnowana broda zrobiła się zaniedbana i nieprzystrzyżona. Jego mina wyrażała odwagę, lecz również skrywany strach, jak u człowieka stojącego przed plutonem egzekucyjnym. Badania, które prowadził, podobnie jak obrona bioenergetycznej medycyny, uczyniły go pariasem w oczach wielu członków medycznej społeczności. Jeśli Narodowe Zgromadzenie odrzuci ustawę o legalizacji jadeitu, zapewne będzie to dla niego oznaczało koniec kariery.

Natomiast Rigly Hollin był podekscytowany i skupiony jak sportowiec przed zawodami. Anden czasami musiał go prosić, żeby mówił wolniej albo powtórzył swe słowa, by go zrozumieć.

– To dla nas wspaniała wiadomość, naprawdę wspaniała – zapewnił. – Deputowany Sonnen dał nam dokładnie to, czego potrzebujemy. Każdy może zlekceważyć albo zdyskredytować dane zawarte w raporcie, ale nie da się spierać z tym, co ludzie zobaczą na własne oczy. Piłka dotknęła granicy naszego pola i teraz kolej na naszą rundkę.

Anden nie zrozumiał sportowego odniesienia. Nigdy nie zdołał pojąć zasad gry w rundki ani nie zainteresował się nią zbyt. Niemniej optymizm tamtego dodał mu odwagi. Rigly Hollin był wiceprezesem firmy WBH Focus, zajmującej się marketingiem i piarem. Ożenił się z Kekonką. Podczas pobytu w Janloonie, pięć lat temu, zachęciła go do poddania się bioenergetycznej kuracji, która pomogła mu na dolegliwości wywołane kontuzją, jaką odniósł na zawodach sportowych ponad dziesięć lat wcześniej. Zdumiony poprawą Hollin po powrocie do Espenii przekonał się, że w jego kraju podobne praktyki nie są legalne, pomijając uczestników kilku programów badawczych. Dlatego skontaktował się z doktorem Elanem Martgenem. Od tego czasu firma Hollina podjęła współpracę z Martgenem i innymi specjalistami pracującymi nad programem, rozpoczynając wielką kampanię, mającą zapoznać opinię publiczną z bioenergetyczną medycyną i argumentować na rzecz jej legalizacji. WBH Focus nakręciła trzydziestominutowy film dokumentalny i zapłaciła za jego emisję w wielu ważnych stacjach telewizyjnych, umieszczała w ogólnokrajowych gazetach artykuły opisujące wyniki osiągnięte przez Martgena, a także zebrała setki tysięcy podpisów pod petycją do prawodawców.

Wszystkie fundusze na tę kampanię pochodziły pośrednio od klanu Bez Szczytów. Centrum Badań Medycznych Dempheya było instytucją *non-profit*, zależną od rządowych grantów. Nie byłoby w stanie zapłacić za filmy i reklamy w dużych gazetach. Biuro Prognozyka rokrocznie wypłacało hojną darowiznę dla Kolegium Medycyny Bioenergetycznej, przeznaczoną na wymianę kulturową i współpracę akademicką. Kaul Shae jasno oznajmiła, że te pieniądze mają służyć tylko jednemu celowi – promocji jadeitowej medycyny w Espenii.

Martgen i Hollin wyjaśnili Andenowi, że pokaz odbędzie się w miejscowej prywatnej przychodni, która zgodziła się wynająć na krótki okres dostępne pomieszczenia. Sprzęt do przetwarzania obrazu będzie można otrzymać na miejscu. Espeńskie Towarzystwo Lekarskie przyśle swoich obserwatorów, a Hollin postarał się, by obecni byli również reporterzy i kamerzyści. Anden i dwóch pozostałych kekońskich lekarzy, którzy mieli zjawić się jutro, przyjmą każdego pacjenta zainteresowanego terapią. Na liście znalazło się już wielu prawodawców i dziennikarzy.

– Zdajemy sobie sprawę, że żądamy bardzo wiele od pana i pańskich kolegów po fachu – oznajmił z niepokojem doktor Martgen. – Wolałbym

uniknąć tego konfliktu, ale Espeńskie Towarzystwo Lekarskie jest potężną, konserwatywną organizacją. Nie zmienia się łatwo, zwłaszcza jeśli chodzi o zaakceptowanie idei pochodzących z innych krajów i kultur.

Z rozmów, które słyszał podczas kolacji w domu Kaulów, Anden dowiedział się, że Góra omija obecnie embargo na handel z Uwiwami dzięki spółkom zależnym w Oortoko Wschodnim, kierowanym przez sprzymierzonych z nią *barukanów*. Były też znaki sugerujące, że klan zamierza rozszerzyć swą działalność na Espenię, a interesy prowadzone w tym kraju od lat były najsilniejszym punktem klanu Bez Szczytów.

– Ayt gra antycudzoziemską kartą na użytek opinii publicznej, ale wie, że RE jest zbyt wielka i ważna, by mogła ją zostawić nam – stwierdził pewnego razu Hilo. – Prędzej czy później Góra zacznie działać.

Pomimo narastającego w nim niepokoju, Anden zdołał się uśmiechnąć.

– Powinienem trochę się przespać – oznajmił. – Wygląda na to, że czeka mnie mnóstwo roboty.

* * *

Później wspominał dwa tygodnie pracy w Adamont Capita jako jeden z najbardziej wyczerpujących i trudnych zawodowo epizodów w swej karierze. Osobiście przyjął ponad dwieście osób. Doktor Timo i doktor Yon mieli jeszcze więcej pacjentów i ich całkowita liczba wyniosła około ośmiuset. Zetknął się z najrozmaitszymi dolegliwościami. Niektórym chorym dolegał chroniczny ból, nieogracane obrażenia, wrzody albo rany, które leczył, zwiększając dopływ krwi do dotkniętego chorobą obszaru i stymulując gojenie. Inni potrzebowali rozbicia kamieni nerkowych albo blaszek miażdżycowych w tętnicach za pomocą precyzyjnego Przenoszenia. Odciął też dostęp krwi do wielu guzów i włókniaków. W kilku przypadkach jego zadanie było czysto diagnostyczne – niewyjaśnione choroby albo ból wymagały od niego wyteżenia Postrzegania, by wykryć w ciele jakieś patologiczne zmiany, które trzeba będzie później precyzyjniej zbadać za pomocą tomografii komputerowej bądź rezonansu magnetycznego albo poddać klasycznej terapii.

Większość odwiedzających go pacjentów była gotowa spróbować wszystkiego, co mogłoby im pomóc. Cieszyli się też z szansy na darmową terapię. Jednakże Andena przez cały czas obserwowało kilku espeńskich lekarzy, którzy przyglądali mu się podejrzliwie, łypali spode łba i robili notatki, a czasami nawet wypytywali chorych, by się upewnić, że to autentyczni pacjenci, a nie podstawieni aktorzy. Anden odpowiadał na pytania zadawane przez dziennikarzy i starał się komentować wszystko na bieżąco na użytek

kamerzystów. Wyjaśnił obserwatorom, że kekońska jadeitowa dyscyplina Przenoszenia jest podstawą całej medycyny bioenergetycznej, ale medycy rzadko używają tego pojęcia, ponieważ w jego skład wchodzi wiele różnych rodzajów terapii, różniących się tym, czy celem jest zwiększenie, zmniejszenie czy przekierowanie energii, a także szybkością i siłą koniecznych działań oraz tym, którego układu organizmu dotyczą – krwionośnego, nerwowego i tak dalej.

Do tej pory Anden tylko raz wykorzystywał swe jadeitowe umiejętności dzień po dniu przez tak długi czas – podczas końcowych Testów w Akademii Kaul Dushurona, a nawet wtedy nie wydawało mu się to aż tak trudne. Codziennie przychodził do przychodni przed wschodem słońca, pracował przez cały dzień, a potem wracał po ciemku do hotelu i padał zmęczony na łóżko, rano zaś wstawał i zaczynał wszystko od nowa. Prawodawcy i dziennikarze, którzy poddali się zabiegom kekońskich medyków albo którzy mieli wśród pacjentów przyjaciół bądź znajomych, byli pod wrażeniem i obecnie publicznie popierali ustawę o legalizacji. Ich opinie szybko przedostały się do mediów. Informacje o gościach z Kekonu szerzyły się szybko i setki ludzi przychodziły do przychodni, w nadziei, że oni również się załapią. Niektórzy wiele godzin stali w kolejce na ulicy. Niestety, większość trzeba było odesłać, co wywołało dogodne oburzenie.

– Przyleciałem do Adamont Capita, żeby pomóc w uchwaleniu ustawy, a nie po to, by pracować jako siostra miłosierdzia – poskarżył się w pewnej chwili doktor Yon na widok długiej kolejki pod poczekalnią niewielkiej przychodni.

Pod koniec tych dwóch tygodni Anden odnosił wrażenie, że jego zmysł Postrzegania wypalił się całkowicie. Cała otaczająca go energia zmieniła się w jego umyśle w jedną szarą plamę. Wątpił, czy znalazłby siły, by choć ogłuszyć mysz za pomocą Przenoszenia. Obaj jego towarzysze również byli wykończeni i choć byli entuzjastycznymi zwolennikami spopularyzowania jadeitowej medycyny na całym świecie, często napomykali, że lepiej, by cały ten wysiłek na coś się zdał. Powtarzali, że dobrze by było, gdyby prognostyczka klanu Bez Szczytów poczuła się zadowolona z ich pracy, porozmawiała z dziekanem Kolegium Medycyny Bioenergetycznej i przekonała go, by dał podwyżkę niektórym pracownikom.

Martgen i Hollin byli zachwyceni.

– Głosowanie w Zgromadzeniu odbędzie się pod koniec tygodnia – poinformował Andena ten drugi. Espeńskie Towarzystwo Lekarskie podjęło kolejną próbę opóźnienia go, twierdząc, że potrzebne są „dodatkowe badania”, ale deputowany Sonnen odrzucił ich wniosek. – Jesteśmy w ostatniej rundce – oznajmił Hollin. – Nie zdołają sprzeciwić się woli ludu.

Jego optymizm okazał się jednak przedwczesny. Czterdzieści osiem godzin przed wyznaczonym terminem głosowania do drzwi pokoju hotelowego Andena zapukało dwóch prawników. Espeńskie Towarzystwo Lekarskie zdołało przepchnąć wniosek o poddanie medyka kierującego pokazem specjalnemu przesłuchaniu przez prawodawców, celem wyjaśnienia związków łączących go z klanem Bez Szczytów. Następnego dnia rano Anden miał się stawić przed Narodową Komisją ds. Zdrowia.

* * *

Tak na pewno czuje się oskarżony, pomyślał. Siedział sam przy małym stoliku, na którym stał mikrofon. Przed sobą, na podwyższeniu, miał długą, półokrągłą ławę, za którą siedziało dwunastu espeńskich prawodawców, gapiących się na niego z uwagą. Zadali mu tonem uprzejmego zainteresowania kilka pytań dotyczących jego kwalifikacji zawodowych i najwyraźniej byli już gotowi przejść do sedna sprawy.

– Doktorze Emery – zaczął jeden z członków komisji, doktor Gilspar, aktualny sekretarz Espeńskiego Towarzystwa Lekarskiego. – Czy to prawda, że adoptował pana i wychował Seningtun Kaul, przywódca i patriarcha klanu Bez Szczytów, jednego z dwóch największych kekońskich klanów kontrolujących bioenergetyczny jadeit?

– Tak, to prawda – potwierdził Anden.

– A czy jest również prawdą, że rodzina Kaulów przez osiem lat opłacała pana naukę w jednej z kekońskich szkół jadeitowej walki, w których uczy się dzieci na ulicznych wojowników tak zwanych klanów zielonych kości?

Anden powiódł wzrokiem po czekających na jego odpowiedź Espeńczykach. Nie nosił dziś jadeitu i nie był w stanie Postrzec, którzy z członków komisji są mu przychylni, a którzy są jego przeciwnikami. Mógł próbować to odgadnąć na podstawie ich min oraz mowy ciała. Większość jednak spoglądała na niego z kamiennymi twarzami.

– Ukończyłem Akademię Kaul Dushurona, jedną z najlepszych akademii sztuk walki w kraju. Wielu absolwentów, ale nie wszyscy, przyłącza się do klanu Bez Szczytów. Część, podobnie jak ja, wybiera inne zajęcia, na przykład medycynę.

– Ale nadal pozostaje pan członkiem klanu Bez Szczytów? – zapytał inny deputowany.

– Większość mieszkańców Janloonu jest w taki czy inny sposób powiązana z klanami zielonych kości – wyjaśnił Anden. – W naszym kraju to instytucje o kluczowym znaczeniu, podobnie jak stowarzyszenia zawodowe u was.

– Tym spośród obecnych, którzy nic nie wiedzą o klanach zielonych kości...
– zaczął Gilspar, spoglądając na pozostałych członków komisji – powinno się uświadomić, że w praktyce kontrolują one wydobycie, obróbkę oraz dystrybucję bioenergetycznego jadeitu, legalnego i nie, w kraju i za granicą. Ich wpływy w tym niewielkim kraju są tak ogromne, że można je uznać za nieoficjalny rząd. Nie cofają się przed użyciem żadnych środków, jakie uznają za konieczne, w tym również przemocy.

– Całkiem jak stowarzyszenia zawodowe – zauważył jeden z reporterów.
Niektórzy wybuchnęli śmiechem.

– Do czego zmierzają te pytania, doktorze Gilspar? – zapytał deputowany Sonnen.

– Panie przewodniczący, staram się ustalić, czy doktor Emery i jego wspólnicy mogą mieć motywy sprzeczne z interesami espeńskich pacjentów – bronił się doktor Gilspar. Jego głos niósł się echem w sali o wysokim suficie. –

Ponieważ wychowała pana rodzina rządząca klanem, raczej nie można pana uznać za jego szeregowego członka, nieprawdaż, panie Emery? Czy można uznać pana za przywódcę klanu?

Anden pochylił się w stronę mikrofonu, by jego głos zabrzmiał wyraźniej.

– Osobiście jestem blisko z rodziną Kaulów, ale nie mam żadnego tytułu w klanie Bez Szczytów ani nie piastuję żadnego stanowiska. Jako lekarz nie jestem winien lojalności żadnemu klanowi. Moim obowiązkiem jest używanie jadeitowych talentów do leczenia tych, którzy tego potrzebują.

– Niemniej przyznaje pan, że w przeszłości wykorzystywał te talenty, by dopuszczać się aktów przemocy?

Anden czuł się tak, jakby szedł po wąskiej desce, a ten niesympatyczny Espeńczyk popychał go co chwila z innej strony, żeby go z niej zepchnąć.

– Kiedy byłem młody, uczono mnie wykorzystywania jadeitu w walce, a w moim rodzinnym mieście, Janloonie, trwał wtedy konflikt i niekiedy musiałem się bronić. Co więcej pojedynki są w moim kraju powszechne i prawie każdy mężczyzna kiedyś się pojedykował.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – sprzeciwił się przedstawiciel ETL.

– Jak brzmi pytanie, wokół którego pan tańczy, doktorze Gilspar? – wtrącił się zniecierpliwiony Sonnen. – Próbujemy tu ustalić, czy powinniśmy zalegalizować wykorzystanie bioenergetycznego jadeitu do celów medycznych. Ani przeszłość, ani charakter doktora Andena nie mają nic do rzeczy.

Rozległy się wspierające go pomruki. Anden po raz pierwszy ujrzał, jak niektórzy z obecnych polityków kiwają głowami.

Nagle poczuł uznanie dla Sonnena. Zaczynał już się zastanawiać, czy którykolwiek z członków komisji zwróci uwagę na fakt, że pytania zadawane

przez przedstawiciela ETL są coraz bardziej stronnice i pozbawione związku ze sprawą. Niemniej Gilspar jeszcze nie skończył. Czując, że fala obraca się przeciwko niemu, wsparł się pięściami o blat i uniósł się z miejsca.

– Panie przewodniczący, to oczywiste, co się tu dzieje – podjął z jeszcze większą gwałtownością. – Dzięki kontraktom wojskowym Kekończycy zarabiają miliony thalirów na sprzedaży jadeitu Republice Espenii. Klany władające wyspą to bezlitosne, barbarzyńskie organizacje, które teraz zapragnęły przejąć również nasz rynek medyczny. Czy pozwolimy im na to? Czy naprawdę dopuścimy do tego, by zgraja keczków poddawała naszych obywateli swym kontr-Prawdziwym zabiegom?

Salę wypełniły okrzyki i ożywiona dyskusja. Kark Andena zrobił się gorący, a koszula, którą nosił pod ciemną marynarką, lepiała mu się do pleców od potu. Mimo to siedział na miejscu, nie okazując gniewu, podczas gdy ludzie wokół niego krzyczeli, a dziennikarze robili zdjęcia. W młodości Anden był przekonany, że wszyscy Espeńczycy są tacy, jak jego biologiczny ojciec – płytcy, aroganccy i niewierni. Od tego czasu poznał ich wystarczająco wielu, by zrozumieć, że to tylko stereotyp, taki sam jak wszystkie. Ten mężczyzna był jednak wyjątkowo chamski i arogancki. Właśnie z powodu ludzi takich jak Gilspar na całym świecie nienawidzono Espeńczyków. Z całkowitą pewnością siebie wygłaszał półprawdy o rzeczach, o których nie miał zielonego pojęcia. Miał czelność osądzać innych na podstawie swych pełnych hipokryzji standardów i motywów, a nawet okazywał pogardę rodzinie nieznanemu.

Deputowany Sonnen uderzył młotkiem i zarządził trzydziestominutową przerwę.

– Doktorze Emery, niech pan zaczeka w poczekalni dla gości, aż zdecydujemy, czy potrzebujemy zadać panu jeszcze jakieś pytania.

Anden gorąco pragnął stąd uciec. Poczekalnia była tylko zwykłym pokojem z kilkoma fotelami, telefonem oraz olejnymi portretami espeńskich premierów. Spotkał tam Martgena i Hollina, którym pozwolono oglądać sesję tylko z balkonu. Martgen był blady i ocierał pot z czoła, jakby to jego poddano przesłuchaniu. Hollin poklepał Andena po plecach i zapewnił, że wypadł znakomicie. W porównaniu z Gilsparem był wcieleniem wiarygodnego, profesjonalnego spokoju.

Anden skorzystał z telefonu w poczekalni, by połączyć się z recepcją hotelu Capita View i zapytać, czy są dla niego jakieś wiadomości. Wczoraj wieczorem, gdy tylko się dowiedział, co go czeka jutro, natychmiast zadzwonił do Shae, żeby wyjaśnić jej sytuację. Chciał się dowiedzieć, czy kuzyni mają dla niego jakieś dalsze instrukcje. Recepcjonistka odpowiedziała, że rzeczywiście jest dla

niego wiadomość, i przełączyła go na system poczty głosowej. Ku swemu zdziwieniu Anden usłyszał głos Hila.

– Andy, gdy tylko otrzymasz tę wiadomość, zadzwoń do mnie do domu, na rodzinny numer. Skorzystaj z automatu. Nie przejmuj się, że u nas jest późno. Zadzwoń o dowolnej porze.

W budynku były automaty telefoniczne, ale Anden nie był pewien, czy można je uznać za wystarczająco bezpieczne. Oznajmił, że wyjdzie na chwilę na dwór, bo musi zapalić, żeby się uspokoić. Przynajmniej w części było to prawdą. Jedną przecznicę stąd znajdowała się budka telefoniczna. Zadzwoił na koszt odbiorcy pod numer telefonu w gabinecie filaru. Spojrzał na zegarek. W Janloonie była już prawie północ. Hilo odebrał po trzecim sygnale.

– Jak leci, kuzynie? – spytał filar i Anden zdał mu krótką relację z tego, co się wydarzyło.

– Shae kazała swoim ludziom wygrzebać jakieś haki na tego Gilspara. On bierze mnóstwo forsy od firm farmaceutycznych. I ma przynajmniej dwie kochanki. Gdybyśmy byli zmuszeni go uciszyć, możemy to zrobić, ale na razie radzisz sobie świetnie. Zaczekajmy, co będzie dalej.

– Hilo-jen, wstydzę się, że w moich żyłach płynie espeńska krew – wygarnął Anden, nie mogąc się powstrzymać.

– Nie mów tak, Andy – skarcił go Hilo. – Nie pozwól, żeby słowa espeńskiego biurokraty, który ma w żyłach wodę, podważyły twoją opinię o sobie. Czy nie powtarzałem ci zawsze, że w twoim przypadku odrobina cudzoziemskiej krwi jest bardzo użyteczna? Czy nie jest dla nas korzystne, że w Espanii możesz uchodzić za miejscowego? – Hilo przerwał na chwilę, po czym Anden usłyszał jego stłumione słowa. Być może filar przycisnął słuchawkę do barku. – Hej, czy nie jesteś już za duży, żeby uściskać tatę na dobranoc? – zapytał z drwiącą surowością. Z pewnością mówił do Ru, który jako jedyne z jego dzieci nadal mieszkał w rezydencji. Jaya zaczęła w tym roku naukę w Akademii. Po chwili Hilo wrócił na linię. – Tak czy inaczej, zrobiłeś już tam wszystko, co tylko mogłeś. Musisz polecieć do Resville. Jutro, jeśli to tylko będzie możliwe.

– Resville? – To miasto leżało na dalekim południu Espanii, trzy godziny lotu od stolicy. – A po co?

– Tam właśnie Góra próbuje się wcisnąć do Espanii – wyjaśnił Hilo. – Wiedzieliśmy, że czegoś spróbują, a miejscem, które wybrali, jest Resville. Zdają sobie sprawę, że w Port Massy jesteśmy za silni, więc podjęli próbę gdzie indziej, licząc na to, że nic nie zauważymy. Musimy ich zmiażdżyć. Chcę, żebyś się z kimś spotkał i załatwił to dla nas.

Anden spojrział na zegarek. Trzydzieści minut już minęło. Powinien czekać w budynku, by się dowiedzieć, czy będą chcieli zadać mu dalsze pytania. Spędził już w Adamont Capita szesnaście dni, a jako noszący jadeit obywatel Kekonu mógł przebywać w tym kraju tylko dwadzieścia dni z rzędu. Miał nadzieję, że wykorzysta ostatnie dostępne dni, żeby pojechać do Port Massy i odwiedzić pana Hiana, który przekroczył już osiemdziesiątkę. Pani Hian odeszła – niech bogowie obdarzą ją uznaniem. Jak długo jeszcze pożyje jej mąż? Resville leżało bardzo daleko od Port Massy.

– Muszę wracać do budynku, Hilo-jen. Już jestem spóźniony. Może będę musiał tu jeszcze trochę zostać. Na razie nie jestem pewny. Oczywiście, jeśli mamy szansę zniszczyć przyczółek Góry w Resville, powinniśmy ją wykorzystać, zanim zdążą się tam zakorzenić, ale nie mogę po prostu stąd odjechać bez żadnego ostrzeżenia. To wyglądałoby podejrzanie. Zadzwonię wieczorem, wcześniej rano według waszego czasu.

Odwiesił słuchawkę i popędził z powrotem do budynku. Wrócił zdyszany, dziesięć minut za późno, i przeprosił zaniepokojonego doktora Martgena, mówiąc, że pomylił wejścia i zabłądził w korytarzach. Okazało się, że niepotrzebnie się śpieszył. Minęło jeszcze czterdzieści pięć minut, nim ponownie wezwano go przed oblicze komisji.

Gilspar miał zaczerwienioną twarz, a jego mina wyrażała przygnębienie. Nie odezwał się już i nie miał szansy zadawać Andenowi kolejnych pytań.

Deputowany Sonnen odchrząknął.

– Komisja większością głosów postanowiła, że wniosek o legalizację wykorzystania bioenergetycznego jadeitu powinien być jutro rano poddany pod głosowanie w Zgromadzeniu Narodowym – oznajmił. – Usłyszeliśmy już wystarczająco wiele argumentów obu stron tej debaty. Choć niektórzy zgłaszali stanowczy sprzeciw, dowody, które poznaliśmy, są niepodważalne.

Kilku obecnych zaczęło bić brawo, ale Sonnen powstrzymał ich, unosząc rękę.

– Doktorze Emery, zanim pozwolę panu odejść, pragnę panu podziękować za ciężką pracę, cierpliwość i poparcie, jakiego udzielił pan naszej sprawie. Spotkanie z wybitną osobą mieszanej rasy, wykorzystującą najlepsze elementy obu stron swego dziedzictwa, było dla nas źródłem inspiracji. Liczba pacjentów, którym pan pomógł w ostatnich dwóch tygodniach, jest świadectwem pańskiego oddania powołaniu, a choć spotykał się pan z niewrażliwymi lub pełnymi uprzedzeń słowami, mam nadzieję, że błędą one w porównaniu z wdzięcznością wielu ludzi, którzy z radością przyjęli dar obcej kultury.

Anden podziękował Sonnenowi i opuścił salę żegnany oklaskami. Został jeszcze na chwilę, by przyjąć uściski dłoni pełnego ulgi doktora Mortgena oraz

kilku członków jego grupy, a także radosne poklepywanie po plecach Rigly'ego Hollina i jego współpracowników. Potem wrócił do pokoju hotelowego i się spakował. Następnego ranka, po dwóch godzinach debaty, Zgromadzenie Narodowe uchwaliło niewielką większością głosów legalizację wykorzystania bioenergetycznego jadeitu do celów medycznych. Anden leciał już wtedy do Resville, by zniszczyć wrogów klanu na rozkaz filaru.

ROZDZIAŁ 16

TYLKO INTERESY

Adres, który dali mu kuzyni, zaprowadził Andena do przerobionego magazynu w przemysłowej dzielnicy Resville. Na drzwiach nie było żadnego napisu. Było tu znacznie cieplej niż w Adamont Capita. Pokryte stiukiem ściany wyblakły w blasku słońca, a otaczający je beton wydawał się niemal biały w suchym upale. Wewnątrz było ciemno w porównaniu z oślepiającym blaskiem na dworze i czuł też silny odór starego potu. Anden spodziewał się czegoś w rodzaju sali uraz w Port Massy – tajnej sali ćwiczebnej dla zielonych kości, wieczorem służącej jako miejsce spotkań. Jednakże pomieszczenie, w którym się znalazł, raczej nie przypominało piwnicy ośrodka kultury kekońskiej w Południowej Pułapce. Większą część powierzchni magazynu zajmowało coś, co wyglądało jak ring pokryty sfatygowanymi niebieskimi matami leżącymi na betonowej podłodze. Otaczała go gęsta siatka, sięgająca od podłogi aż po sufit. Ring nie był pusty. Stały na nim drewniane skrzynie ustawione w stosy, metalowe beczki na ropę oraz betonowe bloki. Z dźwigarów zwisały sznury, a na górze widziało się poziome stalowe belki zawieszane na przytwierdzonych do obu ich końców grubych łańcuchach.

Na otoczonym siatką obszarze dwie zielone kości toczyły spektakularną walkę sparingową. Zeskakiwały z przeszkód, posługując się Lekkością, rzucały Odbijanie, od którego sznury się kołysały, a metalowe beczki przewracały się i toczyły. Siła ścierała się z Siłą, a Stal odbijała ciosy, po których wojownicy padali w stosy roztrzaskanych skrzyń. Walczący nie próbowali wyrzucić sobie krzywdy, niemniej pokaz ich umiejętności był imponujący. W dodatku działo się to w Hiszpanii, gdzie zielone kości musiały ćwiczyć w ukryciu. W Akademii Kaul Du były wielkie, świetnie wyposażone place ćwiczebne. Przy niektórych okazjach, na przykład w Dzień Bohaterów, uczniowie ze starszych roczników demonstrowali widowiskowe walki pokazowe. Dla Andena wyglądało to jak

nielegalna, niskobudżetowa wersja tamtych pokazów, urządzana w obskurnej sali.

Pod barierą z siatki stał jakiś mężczyzna. Obserwował walczących i krzyczał na nich. Najczęściej były to przekleństwa wyrażające entuzjazm bądź rozczarowanie, jakby oglądał telewizyjną transmisję.

– Tak, kurwa! – wrzeszczał. – Na jaja Wieszcza, pozwolisz, żeby ci to zrobił? Ruszaj się, do cholery!

Anden podszedł do mężczyzny, który zauważył go i obrzucił nieprzyjaznym spojrzeniem. Był młody – miał dwadzieścia kilka lat – i przystojny na swój grubiański sposób. Miał ostro zarysowane bary i łokcie, ciemne usta oraz wydatne czoło. Nosił wytarte džinsy i czarną koszulę wypuszczoną na spodnie. Jego przedramiona oplatały wymyślne tatuaże. Anden nie widział na nim jadeitu – Kekończycy w Espenii nie nosili go otwarcie – wiedział jednak, że ma do czynienia z zieloną kością, nie tylko dlatego, że powiedziano mu o tym wcześniej, lecz również dlatego, że stojąc blisko nieznanego, nawet bez jadeitu wyczuwał ostre, gorące granice jego aury.

Rozległ się donośny dzwon, zapewne sygnalizujący koniec walki.

Obaj przeciwnicy znieruchomieli na ringu, dysząc ciężko i ocierając pot z czoła, po czym spotkali się pośrodku, uścisnęli sobie dłonie i pogrążyli się w rozmowie. Anden spojrzał na stojącego obok mężczyznę.

– Jesteś Jon Remi?

– A kto mnie pyta? – odpowiedział tamten, spoglądając na niego.

Anden dotknął czoła, krótko oddając mu honory.

– Jestem Emery Anden z klanu Bez Szczytów – odpowiedział po kekońsku. – Moi kuzyni przysyłają ci pozdrowienia z Janloonu. A Dauk Losunyn z Port Massy.

Remi Jonjunin, lepiej znany jako Jon Remi, nadal robił wrażenie nieprzystępnego, ale skierował na Andena całą swą uwagę.

– A więc to cię przysłali Kaulowie – rzekł bardziej przyjaznym tonem. – Słyszałem o tobie. Kiedyś przyjaźniłeś się z Rohn Torem.

– Niech bogowie obdarzą go uznaniem – dodał Anden.

– Nie znałem go. – Remi wzruszył ramionami, przechodząc z powrotem na espeński. – Byłem wtedy jeszcze dzieciakiem, a stąd jest kurewsko daleko do Port Massy. Po prostu o nim słyszałem. Był czymś w rodzaju miejskiej legendy. Mówili, że to najbardziej zielony człowiek w kraju. Ale paskudnie zginął. Jebać paczki.

– Rzeczywiście był najbardziej zielonym człowiekiem w kraju – potwierdził Anden.

– A jak się ostatnio ma staruszek Dauk? – zapytał Remi. – Nadal wymyka się grobowi?

Dauk Losun mógł nie być prawdziwym filarem klanu, ale Anden nigdy nie słyszał, żeby ktoś tak lekceważąco mówił o starym przywódcy zielonych kości, najbardziej wpływowym w Port Massy, a nawet w całej Espenii. Słyszał kiedyś, że Jon Remi był sojusznikiem Dauków i człowiekiem, do którego należy się zwracać w Resville we wszystkich sprawach dotyczących zielonych kości. Espeńczycy dbali o uprzejmość znacznie mniej od Kekończyków, a Remi urodził się w tym kraju, być może więc nie chciał okazać braku szacunku.

– Nie miałem okazji spotkać Dauk-jena podczas tej wizyty – odpowiedział Anden. Mówił teraz ostrożniej i również przeszedł na espeński, ponieważ Remi najwyraźniej wolał mówić w tym języku. – Ale słyszałem, że ma się dobrze i właśnie urodził mu się piąty wnuk.

– Gratulacje, gratulacje – odparł Remi z roztargnieniem w głosie. Dwie zielone kości zeszły z prowizorycznego ringu przez ruchomy fragment bariery. – Widzisz tego z dłuższymi włosami? – zmienił nagle temat, wskazując palcem. – Danny! – zawołał. – Jesteś jebanym jadeitowym zwierzęciem, na castingach wykończysz wszystkich, ziom. – Mężczyzna pomachał do niego ręką. – To Danny Sinjo – oznajmił z dumą. – Już od dwóch lat występuje w pokazowych walkach w Marcucuo. Ma osiem zwycięstw i jedną porażkę. Szotarskie studio wytypowało go do roli w gangsterskim filmie. Zapamiętaj go sobie. Kiedy za kilka lat zobaczysz go na wielkim ekranie, będziesz mógł powiedzieć, że widziałeś go w Resville, w klubie Jona Remi, nim jeszcze stał się sławny.

Anden nie wiedział zbyt wiele o sprawach, o których mówił Remi, ale gdy przyjrzał się uważniej Danny’emu, musiał przyznać, że z pewnością jest on materiałem na gwiazdę filmową, przynajmniej jeśli chodzi o wygląd. Pomyślał jednak z przygnębieniem, że jego standardy atrakcyjności zdecydowanie się obniżają. Pomyślał z bólem o Lott Jinie. Czego właściwie się spodziewał, próbując się odwołać do płytkiego, nastoletniego uczucia?

Odrzucenie nie zaboloby go aż tak bardzo, gdyby miał inne opcje, minęło już jednak wiele czasu, odkąd ostatnio przytrafiło mu się coś, co mógł nazwać okazją. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy był fakt, że wiele lat poświęcił na studia medyczne i rozpoczęcie kariery lekarza, przede wszystkim jednak chodziło o to, że nie wiedział, gdzie znaleźć odpowiedniego partnera. Nie chciał chodzić do miejsc, w których zwykle zbierali się mężczyźni zainteresowani pozbawionymi zobowiązań spotkaniami. Zbyt dobrze go znano jako członka rodziny Kaulów i wolał, żeby nie widziano go w miejscach i sytuacjach, które mogłyby źle o nim świadczyć.

– Dziwię się, że szotarskie studio filmowe chce zatrudnić kekońską zieloną kość – rzekł do Remiego.

– Pewnie, że to zrobią. Danny będzie głównym czarnym charakterem, szefem gangu *barukanów*, który zabił żonę i dzieci gliniarza. No wiesz, szotarskie filmy kryminalne są popularne na całym świecie. Zarabiają kupę forsy. – Remi poprowadził go wokół ringu, do miejsca, gdzie stał stół bilardowy z kilkoma kanapami segmentowymi obitymi splekaną skórą. Usiadł na jednej z nich i wykonał ręką szeroki gest. – I co o tym sądzisz? – zapytał. – Wytrzymuje porównanie z salami w Janloonie?

Anden nie chciał odpowiedzieć, że nie, podejrzewał jednak, że Remi celowo zadał mu to pytanie, chcąc go sprowokować do uprzejmego kłamstwa, które byłoby boleśnie oczywiste dla kogoś, kto mógł je Postrzec.

– Nie spodziewałem się zobaczyć czegoś takiego w Espanii – odparł tylko. – Nie boisz się kłopotów z policją?

Remi odsłonił zęby w uśmiechu, jakby spodziewał się tego pytania.

– Resville to miasto paczek, ziom. Jest przeszło trzy razy mniejsze niż Port Massy, ale mamy tu co najmniej sześć konkurujących ze sobą grup. A na samym szczycie siedzą baronowie narkotykowi z Tomascio. Policja nie ma czasu dla garstki keczków z jadeitem. – W głosie Remiego słyszało się pogardę, a nawet resentment. – Resville różni się od reszty kraju. Można powiedzieć, że zasady traktuje się tu... nieco swobodniej.

Nic dziwnego, że Góra wybrała właśnie to miejsce, by ustanowić przyczółek w Espanii. Resville dzieliło zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od granicy z Tomascio, pogoda przez cały rok była tu dobra, a ciepłe plaże i liczne rozrywki czyniły to miasto jednym z największych ośrodków turystycznych w kraju. Anden usiadł na kanapie naprzeciwko Remiego.

– Jesteś właścicielem tej sali?

– Mój wujek – odpowiedział Remi. – Ja kieruję nią w jego imieniu. Radzimy sobie nieźle. Co miesiąc urządzamy walki i mniej więcej w połowie przypadków mamy komplet widzów. Nie ma porównania z jadeitowymi zawodami w Marcucuo, ale tutaj to ma bardziej bezpośredni charakter. Część z tego, co tam robią, to pic na wodę, choreografia. Tutaj dozwolone jest wszystko poza śmiertelnością Przenoszeniem. To jedno z niewielu miejsc na całym kontynencie, gdzie ludzie mogą ćwiczyć po amatorsku, zanim spróbują zrobić karierę w Marcucuo.

Anden uświadomił sobie, że wie stanowczo za mało o podejrzanym światku jadeitowych walk dla sportu i dla zysku. Na Kekonie używanie jadeitu we wszystkich profesjonalnych sportach było zakazane. Zielone kości miały przestrzegać *aisho* i służyć swoim klanom albo wykorzystywać swe talenty do

szlachetnych celów, takich jak medycyna, nauczanie albo religia. Był pewien, że Hilo skrzywiłby się paskudnie na samą myśl o zielonej kości wychodzącej na ring przy wrzasku publiczności, by walczyć o pieniądze i sławę dla siebie. Nie ulegało jednak wątpliwości, że są ludzie, którzy to robią, w miejscach, gdzie podobne rozrywki są legalne, a przynajmniej przymyka się na nie oczy. Anden był zmuszony uznać Jona Remi za gorszy rodzaj zielonej kości, w ogóle niezasługujący na szacunek.

Niemniej klan Bez Szczytów nieraz już zawierał ugody z podejrzanymi osobnikami, gdy było to konieczne – zaczynając od gangów motocyklowych w Janloonie poprzez paczki aż po sam rząd Espanii. Anden dawno już się nauczył, że nie można oceniać Keko-Espeńczyków według tych samych standardów co wyspiarzy. Według źródeł klanu Bez Szczytów Jon Remi był najważniejszą zieloną kością w mieście Resville. Miał grupę lojalnych zwolenników i nie dopuszczał paczek i policji do okolic zamieszkanych przez Kekończyków oraz nie pozwalał im się mieszać w ich interesy. Kontrolował areny walk, burdele, a nawet handlarzy błyskiem, ale z drugiej strony człowiek, który nie przestrzegał zasad, był dokładnie takim sojusznikiem, jakiego potrzebowali obecnie w Resville.

– Widzę, że muszę się jeszcze bardzo wiele nauczyć o tej części kraju – zauważył.

– Nigdy nie utrzymywaliśmy bliższych kontaktów z Port Massy. Oczywiście szanujemy Dauka i przestrzegamy zasad nakazujących zachować jadedit dla siebie. Gościliśmy tu kilka pięści z Janloonu i niektórzy z naszych ludzi latali szkolić się do starego kraju i nauczyli się kilku użytecznych rzeczy. Z pewnością popieram utrzymywanie kontaktów. – Tatuaz przedstawiający czarną czaszkę z wysuwającymi się z jej oczu wężami uśmiechał się do Hila. – Ale zawsze działamy niezależnie od Port Massy i od Janloonu. Powiedz mi, dlaczego klan Bez Szczytów nagle zainteresował się Resville?

– Idziemy tam, gdzie są nasi wrogowie – odpowiedział Anden.

– Masz na myśli Górę – domyślił się Remi.

– Wkupili się w nowy projekt budowlany w tym mieście. Mają pakiet kontrolny w kasynie Piaski Iluzji w jego wschodniej części, zdobyli też przyczółki w handlu detalicznym, kasynach i bukmacherce. – Wszystko to były dziedziny, w których Góra tradycyjnie była silna w Janloonie. – Osiągnięte tu zyski w całości przesyłają na Kekon, żeby wykorzystał je przeciwko klanowi Bez Szczytów. Z pewnością rozumiesz, dlaczego nas to niepokoi.

– A twoi kuzyni przysłali cię tutaj, żebyś ze mną o tym porozmawiał – stwierdził z uśmiechem Keko-Espeńczyk.

– Nie mamy zbyt wielu ludzi w Resville – odparł Anden. – Potrzebujemy miejscowego partnera. Powiedziano mi, że to ty jesteś człowiekiem, do którego powinienem się zwrócić. To byłoby dla ciebie korzystne. Bardziej niż ta sala.

– No wiesz, nie tylko wy szukacie tutaj partnera. – Remi pochylił się ku Andenowi, wlepiając w niego spojrzenie. – Góra ma tu jeszcze mniej ludzi niż wy. Jak twoim zdaniem zamierzają bronić swych inwestycji z tak daleka, zwłaszcza przed paczkami i śmiertelnymi wrogami ich klanu, Kaulami?

W głosie Remiego pojawiła się nagle cicha nuta sprytu. Anden natychmiast sobie uświadomił, że on i jego kuzyni się spóźnili. Góra już zaproponowała Remiemu sojusz. Zrodził się w nim strach, że zaraz go zaatakują i zabiją. Musiał stłumić pragnienie, by nagle rozejrzeć się w poszukiwaniu wrogów. Nikt nie wypadł z ukrycia, żeby poderżnąć mu gardło. Remi siedział spokojnie i uśmiechał się, doskonale wiedząc, że myśli jego rozmówcy gnają jak szalone, pełne kalkulacji i niepokoju.

Anden również nie ruszał się z miejsca. Nie odrywał spojrzenia od twarzy tamtego. Gdyby Jon Remi już pracował dla Ayt Mady, nie dałby mu szans. Z pewnością jeszcze nie zdecydował.

– Co ci zaoferowała Góra? – zapytał.

– Dokładnie to, czego byś się spodziewał – odpowiedział Keko-Espeńczyk. – Pieniądze, ludzi i jadeit w zamian za ochronę ich nieruchomości oraz biznesów w Resville przed paczkowcami i klanem Bez Szczytów.

Anden skinął głową.

– I co im odpowiedziałeś?

– Że się zastanowię. – Remi rozciągnął pełne wargi w ironicznym grymasie. – Chciałem się dowiedzieć, co proponuje druga strona.

– Masz znacznie więcej powodów, żeby sprzymierzyć się z nami niż z Górą.

– Chętnie je usłyszę, ziom, ale nie w tej chwili. Jesteś gościem z Janloonu i chciałbym, żebyś się trochę rozerwał. Nikt nie powinien mówić, że reprezentant klanu Bez Szczytów opuścił Resville, nie nacieszywszy się najpierw tym, co mamy tu do zaoferowania. – Remi wstał. – Spotkajmy się dziś wieczór w Niebieskiej Oliwce. Powiedz, że jesteś ze mną, a wpuszczą cię na piętro. Będę mógł postawić ci drinka, zanim kupisz moją lojalność.

* * *

– Remi na zewnątrz wydaje się całkiem zielony – tłumaczył Anden Hilowi przez telefon. – Ale urodził się w Hiszpanii i mam co do niego złe przeczucia. O ile potrafię to określić, nie czuje szacunku do niczego i nie odpowiada przed nikim.

Nie chciałbym, żeby pracował dla Góry i stał się naszym wrogiem, ale uważam, że nie powinniśmy mu ufać nawet jako sojusznikowi.

– Czy potrafi zrobić to, czego od niego chcemy? – zapytał Hilo. – Nie musimy mu ufać w żadnej innej sprawie.

– Jak wiele jesteśmy skłonni mu dać, Hilo-jen? – Anden spojrział na zegar stojący na stoliku w hotelowym pokoju. – To będzie musiało być więcej, niż ofiaruje mu Góra. Czy przyznasz mu status lennika, taki sam jak klanowi Jo Sun?

Anden skrzywił się paskudnie, ale filar tego nie widział. Myśl o przyznaniu młodemu keko-espeńskiemu szefowi gangu statusu równego statusowi filaru pomniejszego klanu zielonych kości wydawała się absurdalna, ale z drugiej strony Resville było większe niż wszystko, co kontrolował klan Jo Sun. Istniała też możliwość, że Remi postanowił opowiedzieć się po stronie Góry albo nawet już to zrobił, a propozycja spotkania była jedynie pułapką. Bardzo możliwe, że nie wyjdzie stamtąd żywy.

– Andy – rzekł Hilo. – Nie potrafię ci tego powiedzieć, bo nie spotkałem go osobiście. Poleciałbym tam z tobą, gdybym mógł, ale wtedy Góra natychmiast by się zorientowała, co robimy. Odgadnij, czego może chcieć, i daj mu to. Ale nie więcej. Nie dopuść, by pozwalał sobie na zbyt wiele albo okazywał brak szacunku, ale załatw to dla nas. To jest ważne. Rozmawiałeś z Shae, więc znasz liczby. Wierzę w ciebie, Andy.

* * *

Anden nie miał odpowiedniego ubrania. Przyleciał do Espenii, żeby pracować, a nie odwiedzać nocne lokale w Resville. Kupił przesadnie drogą kurortową koszulkę w hotelowym sklepie z pamiątkami, a do tego włożył czarne dżinsy, marynarkę i eleganckie buty. Nie pozwolą mu wnieść do klubu broni, ale przez długi czas siedział na skraju łóżka i obracał w palach jadeitową bransoletę, którą nosił tylko wtedy, gdy przyjmował pacjentów. Jeśli coś pójdzie nie tak, jeśli Remi zastawił na niego pułapkę, bo pracował dla Góry, jadeitowe talenty mogą zdecydować o życiu bądź śmierci.

Zamknął jadeit w sejfie. Instynkt podpowiadał mu, że gdyby Jon Remi zamierzał wyrządzić mu krzywdę, już by to zrobił. Gdyby zaczął wkładać jadeit za każdym razem, gdy mogło mu grozić niebezpieczeństwo, wkrótce zapomniałby o swej żelaznej zasadzie i zaczął go nosić ciągle. W ten sposób bardzo szybko znowu stałby się wojownikiem zielonej kości, zmuszonym zabijać, żeby nie zginąć.

Po przyjsciu do Niebieskiej Oliwki przekonał się, że przesadził z ubraniem. To, co na sobie miał, stanowczo nie pasowało do lokalu. Na parkiecie kłębiło się mnóstwo półnagich ciał, podrygujących w rytm espeńskiej bądź tomasciańskiej muzyki klubowej i czerwonych stroboskopowych świateł. W samym środku dwójka tancerzy nieokreślonej płci wirowała w uniesionych nad podłogą klatkach. Wokół baru o lustrzanej powierzchni ustawiono czarne winylowe stołki. Gdy szedł w stronę schodów, starszy mężczyzna w siatkowej koszulce złapał go za tyłek. W pierwszej chwili Anden był zbyt zaskoczony, żeby zareagować. Potem zrobił to bez zastanowienia. Złapał mężczyznę za nadgarstek, wykręcił go boleśnie i walnął nim o blat. Tamten zaklął głośno, przekrzykując muzykę, ale Anden już żałował, że wywołał scenę. Puścił mężczyznę i przepchnął się przez tłum, znikając w ciemnym wnętrzu, nim zraniony osobnik albo ktokolwiek inny zdążył ruszyć za nim w pościg. Wejście na schody zamykał aksamitny sznurek. Stało tam dwóch bramkarzy, którzy przepuścili go, gdy powiedział, że chce się zobaczyć z Jonem Remi.

Znalazł go w towarzystwie dwóch transkobiet w identycznych czerwonych minispódniczkach, śmiejących się z jakiegoś jego żartu. Dwóch barczystych kekońskich mężczyzn – zapewne podwładnych bądź ochroniarzy Remiego – stało obok ze znudzonymi minami. Przyjrzeni się z uwagą zbliżającemu się Andenowi, ale przepuścili go na rozkaz szefa. Remi klepnął obie kobiety w tyłki i kazał im odejść, bo musi pogadać o interesach. Posłuchały go z nadąsanymi minami, po drodze zerkając figlarnie na przybysza. Anden usiadł naprzeciwko Remiego, który raptem wstał z poważną, zatroskaną miną.

– Czego się napijesz? – zapytał. Żrenice miał rozszerzone, a twarz lekko zaczerwienioną.

– Pewnie nie mają tu hoji? – zapytał Anden, myśląc, że naprawdę przydałby mu się kieliszek.

– Nie mają, ale powinni. No wiesz, robi się coraz popularniejsza.

– W takim razie niech będzie piwo. Wybierz, jakie sam lubisz.

Remi skinął na kelnera, który przyniósł piwo dla Andena, a dla niego kieliszek jakiegoś przezroczyściego, mocnego trunku. Następnie gospodarz zaciągnął fioletową zasłonę.

– Podoba ci się tu? – zapytał. – Byłeś na parkiecie? Resville to piękny plac zabaw. Znajdziesz tu wszystko, czego zapragniesz, ziom. Jesteś na wakacjach. Powiedz mi, czego pragniesz, a załatwię ci to. Wolisz starszych facetów czy młodszych?

Na krótką chwilę Andena ogarnęło zdziwienie. Później ta propozycja go zaintrygowała i mimo woli poczuł pokusę. Był daleko od Janloonu. Nikt tu nie będzie wiedział, że jest członkiem rodziny Kaulów. Mógł się zbliżyć do tylu

nieznajomych, do ilu tylko zechce, wiedząc, że już nigdy ich nie zobaczy. Przez telefon powiedział jednak Hilowi, że nie zaufałyby w pełni Jonowi Remi, nawet gdyby stał się ich sojusznikiem. Podejrzał, że Remi umówił się z nim tutaj, by wytrącić go z równowagi, znaleźć coś, co zapewni mu przewagę.

– Nie jestem na wakacjach – poprawił go.

Przez twarz Remiego przemknął grymas irytacji, być może gniewu.

– Tylko interesy, tak? Jesteś człowiekiem z klanu, ze starego klanu, za dobrym na coś takiego?

Anden nie odpowiedział na to retoryczne pytanie. Gospodarz zachnął się, jakby to wszystko był żart, i pochylił się ku niemu ze skupioną miną. Zbliżył twarz tak bardzo, że jego ostra jadeitowa aura ponownie zadrapała granice Postrzegania Andena.

– Jak sobie życzysz. Przejdźmy do rzeczy. Góra będzie mi płaciła sto pięćdziesiąt tysięcy thalirów miesięcznie plus kilogram szlifowanego jadeitu. Są sprzymierzeni z *barukanami*, więc otrzymamy wsparcie miejscowych szotoespeńskich gangów. Mogłbym też kupować błysk ze zniżką, prosto z Uwiwów. *Barukani* mówią, że mogliby sprowadzić z Szotaru turystów zainteresowanych arenami i klubami ze striptizem. – Remi usiadł prosto. – Nie przychodzą mi do głowy żadne powody, by odrzucić tę propozycję.

Anden pociągnął łyk piwa, próbując zebrać myśli.

– Złamałbyś sojusz z Dauk Losunem, który jest przyjacielem klanu Bez Szczytów. Nie dostałbyś więcej jadeitu ani wsparcia z Port Massy. Propozycja Góry jest korzystna finansowo, ale byłbyś tylko płatnym zbirem, a nie prawdziwym lennikiem. Dostawałbyś działkę z zysków i nie mógłbyś liczyć na pomoc w razie kłopotów. Klan Bez Szczytów ma tu większe wpływy, więcej legalnych biznesów i prawników na swoje usługi.

Remi wzruszył ramionami.

– Stanowczo wolę twardą, zimną forszę niż status lennika. Co on mi da? Co mnie obchodzi klanowy prestiż w Kekonie? Albo prawnicy w Port Massy, jeśli już o tym mowa?

Anden zorientował się, że wybrał niewłaściwą drogę i spróbował zmienić podejście.

– Możemy dać ci tyle samo pieniędzy i jadeitu. Nie sprzedamy ci błysku ani nie przyciągniemy szotarskich turystów, ale mam do zaoferowania coś lepszego. Klan Bez Szczytów ma w Port Massy biuro, w którym zatrudnia dziesiątki ludzi. Gdybyśmy zdobyli miejscowe poparcie, moglibyśmy otworzyć filię w Resville. To by oznaczało miejsca pracy, inwestycje oraz napływ kekońskiej ludności. Więcej ludzi i pieniędzy dla twoich biznesów. Dostałbyś też procent od naszych zysków. Im lepiej by się nam powodziło, tym więcej byś na tym skorzystał. –

Kiedy mówił, nasunęły mu się kolejne pomysły. – Opracowaliśmy już system przerzucania między Kekonem i Espenią zielonych kości, pracujących jako nauczyciele i instruktorzy. Skorzystaliby na tym wojownicy z twojego klubu, ci, którzy mogą pójść w ślady Danny’ego Sinjo. Co więcej, dzięki klanowi Bez Szczytów można teraz legalnie używać jadeitu do celów medycznych. To byłaby dla ciebie kolejna okazja do zysków.

Remi wysłuchał tego wszystkiego z zamyśloną miną.

– Stawiasz mnie w trudnej sytuacji, ziom – stwierdził. Przygryzł dolną wargę i poruszył żuchwą w przód i w tył, demonstrując obłudne niezdecydowanie. – Któremu klanowi powinienem się sprzedać? Wiem, że wyspiarze ze starego kraju nie raczyliby nawet spluć na kespeckiego śmiecia takiego jak ja, ale nagle oba wielkie klany ubiegają się o względy miejscowych, żeby zadać cios konkurencji, jakby nie miały do tego okazji w domu. – Remi wzruszył ramionami z przesadną obojętnością. – Ale klan Bez Szczytów ma pewną zaletę. Iwe Kalundo z Góry to łysy, brzydki skurwysyn, a o tobie nie można tego powiedzieć.

Remi rozpiął rozporek i wyciągnął zwisającego bezwładnie fiuta. Błede, sterczące biodra mężczyzny zdobił wąski łańcuszek jadeitów.

– Coś ci powiem. Jeśli zrobisz mi łaskę w imieniu klanu Bez Szczytów, zawrzemy umowę. – Spojrzał Andenowi w oczy. – I tak masz na to ochotę. Potem zrobię to, o co proszą twoi kuzyni. Opowiem się po waszej stronie w Resville.

Anden poczuł na karku kłujące ciepło. Zza zasłon boksu dobiegał pulsujący rytm, płynący z sali tanecznej. Wnikał do jego ciała przez podeszwy butów, wypełniając kręgosłup, a wreszcie głowę. Powoli przysunął się bliżej, aż wreszcie siedział tuż obok Remiego, który oblizywał wargi, niecierpliwie obserwując każdy ruch Andena.

– Mój kuzyn, filar... – zaczął cicho Anden, głosem, który nie do końca brzmiał jak jego własny – kazał mi domyślić się, czego właściwie chcesz, i dać ci to. – Odtrącił dłonie Remiego i złapał go za jaja, aż członek zaczął sztywnieć. – Potrzebowałem trochę czasu, żeby zrozumieć, co to właściwie jest. Pragniesz mieć władzę dla siebie. Żyć według własnych zasad, nie jako narzędzie innych, wypełniające polecenia ludzi z Kekonu czy z Espenii. Jesteś tylko kespeckim ulicznym zbirem z Resville, zmuszonym dokonać wyboru między kekońskimi klanami dobijającymi się do twoich drzwi. Ale chcesz podjąć decyzję w chwili, gdy członek rodziny Kaulów będzie robił ci łaskę.

Zacisnął dłoń na jądrach Remiego. Ten otworzył szeroko oczy, a jego jadeitowa aura wezbrała. Jej ostre granice drapały Postrzeganie Andena niczym stalowe opiłki.

– Zapomnij o wszystkim, co ci powiedziałem do tej pory. – Anden nigdy nie służył po militarnej stronie klanu, ale wychowywał się wśród Kaulów i całe życie stykał się z pięściami. Nauczył się mówić spokojnym stanowczym głosem, który przyciągał uwagę i sugerował przemoc. Pomyślał o swym kuzynie Lanie i starał się przemawiać takim tonem, jakiego użyłby on. – Oto jak brzmi prawdziwa oferta. Nie dostaniesz nic poza zapewnieniem, że klan Bez Szczytów będzie się trzymał z dala od Resville, pod warunkiem, że Góra również stąd zniknie. Cokolwiek odbierzesz naszym wrogom, zatrzymasz dla siebie. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, ludzi, jadeitu albo czegokolwiek innego, by osiągnąć ten cel, możemy ci w tym pomóc. Poza tym ograniczymy swoją działalność do Port Massy i do innych części kraju. Dopóki zachowasz szacunek dla autorytetu Dauka i dla innych zielonych kości, Resville będzie należało do ciebie. Masz na to moje słowo jako przedstawiciela klanu Bez Szczytów. Jeśli zaś wybierzesz Górę, przyślemy tu swoich ludzi z Janloonu i z Port Massy i zaczniemy wojnę o to miasto. Robiliśmy to już w Kekonie i możemy to zrobić za granicą, nawet jeśli będzie nas to drogo kosztowało. Jeden z klanów pokona drugi albo może paczki wykorzystają sytuację i przegonią stąd oba, ale ktokolwiek zwycięży, to nie będziesz ty. Zostaniesz sam, jako zwykły uliczny zbir, stojący niżej niż *barukani*.

Anden schował fiuta Remiego do spodni i zapiął rozporek. Wstał i spojrzał z góry na spoczywającego na kanapie Remiego.

– Mój samolot do Janloonu odlataje jutro po południu. Moi kuzyni spodziewają się, że odezwę się do nich przedtem. Jeśli chcesz zostać sługusem Góry, nie musisz nic robić. Jeśli pragniesz czegoś innego, zadzwoń do mnie jutro przed południem.

Anden wyszedł z boksu. Po cichu spodziewał się, że dwaj ochroniarze Remiego spróbują go zatrzymać, ale tego nie zrobili. Zszedł na dół po schodach i opuścił Niebieską Oliwkę. Dopiero gdy znalazł się w taksówce, poza zasięgiem Postrzegania Remiego, serce zaczęło mu bić szybciej pod wpływem adrenaliny, jakby jego organizm powstrzymywał się od reakcji, dopóki się nie upewnił, że nic mu nie grozi i nawet zielona kość nie zdoła wyczuć jego strachu oraz gniewu w tej ważnej chwili.

ROZDZIAŁ 17

WROGOWIE

Juen Nu został wezwany na spotkanie urządzane w siódmy dzień podczas brunchu w Podwójnym Szczęściu. To nie był jeden z jego ulubionych lokali. Osobiście uważał, że restauracja jest przeceniana i zawdzięcza swą sławę długiej działalności oraz kilku rzeczywiście znakomitym daniom firmowym. W mieście były nowsze, bardziej atrakcyjne miejsca, ale to był ulubiony lokal rodziny Kaulów, a nie sposób było być rogiem klanu Bez Szczytów, nie stając się jednocześnie jej przyszywanym członkiem. Juen nie miał innego wyboru niż jeść tu posiłki częściej, niżby chciał.

Dzięki bogom, przynajmniej w starym budynku zainstalowano klimatyzację i w sali można było znaleźć schronienie przed uciążliwym letnim upałem. Kiedy wszedł do środka, filar, jego żona, prognostyczka oraz jej mąż siedzieli już przy swoim stole pod tylną ścianą zajęci posiłkiem. Gdy tylko rodzina Kaulów odwiedzała Podwójne Szczęście, właściciel lokalu, pan Une, pilnował, by nikt nie zajmował miejsc przy sąsiednich stołach, można więc było swobodnie rozmawiać.

– Kaul-jenowie – przywitał ich Juen i oddał niezobowiązująco honory, po czym również zasiadł za stołem.

– Juen-jen, są jeszcze jajka na parze i ciastka orzechowe, ale zostały tylko dwa chrupiące kotleciki z kalmarów – oznajmiła Wen, nalewając mu herbaty. – Jeśli czujesz się głodny, możemy zamówić więcej jedzenia.

– To całkowicie wystarczy – zapewnił Juen.

Poprosił filar, żeby pozwolił mu zjeść wczesne śniadanie z żoną oraz dziećmi i spędzić z nimi rano, a następnie zjawić się w Podwójnym Szczęściu z lekkim opóźnieniem i zjeść tylko trochę, zanim rozpoczną dyskusję o sprawach klanu. Mimo że był rogiem i jego rodzina mieszkała w posiadłości Kaulów (żona Juena poparła tę decyzję z uwagi na wygodę i bezpieczeństwo), Juen starał się

zachować od nich pewien dystans. Nie chciał podzielić tragicznego losu Maików i być świadkiem tego, jak Kaulowie wchłaniają jego rodzinę. Kaulowie byli silni, ale mieli pecha. W ich rodzinie było aż dwoje kamiennookich, a także adoptowany kuzyn, który był mieszkańcem i homoseksualistą. Juen lubił Kaulów, nawet tych pechowych, i zawsze bez najmniejszego wahania będzie wykonywał rozkazy Hilo-jena, pragnął jednak zachować szczęście własnej rodziny, przeżyć niebezpieczeństwa związane z jego pozycją, dożyć chwili, gdy będzie mógł przejść w stan spoczynku i doczekać się wnuków.

Anden uznał przybycie Juena za sygnał do rozpoczęcia dyskusji o sprawach klanowych, odłożył serwetkę i odsunął talerz, gotowy odejść.

– Czy jest jakieś inne miejsce, w którym powinieneś teraz być? – zapytał go Hilo. – Jeśli nie, zostań.

Wypowiedział te słowa od niechcienia, ale wszyscy obecni rozumieli, że to rozkaz.

Anden zawahał się, rozejrzał niepewnie i usiadł z powrotem.

Juen westchnął cicho. Filar już uczynił swą pechową żonę filarowym, a teraz wprowadzał swego pechowego kuzyna, który nie miał w klanie żadnej oficjalnej pozycji, do wewnętrznego kręgu dowodzenia, z pewnością dlatego, że młody lekarz ostatnio osiągnął w Espenii bardzo wiele i dobrze przysłużył się klanowi. Juen nie krytykował decyzji filaru w sprawach wychodzących poza kompetencje rogu, musiał jednak zadawać sobie pytanie, czy tak wiele pecha w najwyższym kręgu nie stanowi zagrożenia dla całego klanu i w związku z tym nie uczyni pracy rogu bardziej niebezpieczną.

Hilo spojrział na niego.

– Jak udała ci się podróż?

– Mniej więcej tak, jak się spodziewałem. – Juen niedawno wrócił do Janloonu po trzydniowym pobycie w Lukangu. Od lat trwał tam impas i sytuacja zapewne się nie zmieni, dopóki Jio Somu pozostanie filarem Jedności Sześciu Dłoni. Klan Bez Szczytów nadal wspierał jego przeciwników, którzy nieustannie starali się pomścić śmierć poprzedniego filaru oraz prognostyka i odzyskać przywództwo nad klanem, które prawnie im się należało. – Chcą nakarmić robaki tym zdradzieckim zabójcą krewnych i byli niezadowoleni, że nie chciałem im udzielić większej pomocy.

Juen był pragmatykiem i sądził, że szanse wyszeptania imienia Jio są niewielkie. Zdrajca cały czas otaczał się strażnikami i tak paranoicznie obawiał się zamachów, że rzadko opuszczał ufortyfikowaną rezydencję. Zdaniem Juena zabicie go nie znajdowało się wysoko na liście priorytetów klanu Bez Szczytów. Ważniejsza była skuteczna obrona tego, co już mieli, oraz stłumienie

niepokojącego wzrostu aktywności gangów *barukanów*, a także antyklanowych anarchistów w samym Janloonie.

Gdy to powiedział, Hilo się z nim zgodził.

– Już wystarczająco długo udzielaliśmy poparcia naszym sojusznikom z Lukangu. Daj im trzy miesiące na zdecydowanie, czy chcą założyć własny klan lenny, czy złożyć przysięgę klanowi Bez Szczytów.

Juen skinął głową i wziął sobie ciastko orzechowe.

– Jeśli chodzi o anarchistów, nadal nie zdecydowano, czy powinny się nimi zajmować zielone kości, czy raczej policja.

Antyklanowy ekstremizm miał niewielu zwolenników, ale był coraz bardziej niepokojącym zagrożeniem, jak niepoddające się leczeniu zakażenie grzybami. Niektóre działania tak zwanych bezklanowych były tylko zakłóceniami porządku publicznego, jak rozdawanie ulotek z ich manifestem albo pisanie sprayem haseł na publicznych budynkach, zdarzały się też jednak poważniejsze uczynki. Niedawno podpalono zakład szlifierza jadeitu i choć pożar udało się powstrzymać, a winnych złapano i ukarano, Juén zauważył, że problem jest poważniejszy.

– Ci ekstremiści w niczym nie przypominają klanu ani nawet ulicznego gangu. Są luźno zorganizowani i wykorzystują nadarzające się okazje. Ich celem nie jest przejęcie kontroli nad terytorium czy nad biznesami ani nawet kradzież jadeitu czy pieniędzy. Chcą tylko wzbudzić niezadowolenie i przyciągnąć do siebie nieprzyjemną uwagę, by móc szerzyć swe toksyczne idee.

– Na marginesie społeczeństwa zawsze trafiają się fanatycy – zauważył Anden, marszcząc brwi ze zdziwienia. – Dlaczego nagle zrobiło się ich więcej i co ich tak bardzo ośmieliło?

– Dlatego że teraz mogą liczyć na poparcie i pieniądze cudzoziemców – wyjaśnił Woon. – Powolna wojna u wszystkich wzbudziła zainteresowanie Kekonem i jadeitem. Niektóre zagraniczne rządy oraz organizacje wspierają antyklanowe poglądy.

– Przyjdę na twoje następne spotkanie z szefem policji – poinformował Juena Hilo. – Masz rację, że powinniśmy podjąć bliższą współpracę z gliniarzami, żeby wytropić tych szaleńców i pozbyć się ich. – Zjadł ostatni kotlecik z kałamarnicy i otarł usta serwetką. – Ale najpierw musimy się zająć poważniejszym problemem.

Filar zerknął na prognostyczkę, która podała Juenowi aktówkę. Znajdowały się w niej powiększone zdjęcia, najwyraźniej zrobione z helikoptera. Widniały na nim kawałki skalistego brzegu oraz sąsiadującego z nim oceanu. Czarnym markerem oznaczono coś, co wyglądało na statek. Na dodatkowych zdjęciach, zrobionych z teleobiektywem, można go było zobaczyć wyraźniej. To był

transportowiec o pomarańczowym kadłubie. Cały jego pokład był zapchany ciężkim sprzętem.

– Co to jest? – zapytał Juen.

– Prototypowy statek górniczy – wyjaśnił Hilo. – Zbudowany przez espeńską firmę, by szukać jadeitu na dnie oceanu wokół Kekonu.

– Wolno im to robić?! – zawołał Juen z niedowierzaniem i oburzeniem. – Na kekońskich wodach?

– Ostatnio widziano go w odległości dwudziestu pięciu kilometrów od brzegu Eumanu – odpowiedziała mu Shae. – Zawiadomili nas o tym wodzowie abujejskich plemion łowiących ryby w tych okolicach. Te wody kontroluje Espeńska Marynarka Wojenna. W gruncie rzeczy, biorąc pod uwagę, ile ich pancerników patroluje Amaryk, Espeńczycy panują nad większością wód otaczających Kekon.

– Jeśli espeńska armia na to pozwala, to czy Rada Książęca nie powinna zwrócić się w tej sprawie do rządu RE? – wtrącił się Anden.

– Już to zrobiła – odpowiedział Woon. – To sporny punkt dyplomatyczny. Już od lat w naszych stosunkach z Espenią panuje napięcie z uwagi na rozbudowę bazy na Eumanie. Ponieważ RE nie chce ustąpić w tej kwestii, KSJ zmniejszył eksport jadeitu do Espenii, a Espeńczycy zareagowali na to w typowy dla nich sposób. Zaczęli szukać innych źródeł.

– Takich jak espeńska firma przeszukująca dno oceanu u brzegów Kekonu – dokończył za niego Juen. – Czy to może się udać? Czy tam naprawdę jest jadeit?

– Rozmawiałam z kilkoma geologami z Królewskiego Uniwersytetu Jan – zaczęła Wen, mówiąc powoli i wyraźnie. – Rzeki wypływające z gór już od milionów lat unoszą jadeit do oceanu. Wiele spływa również z hałd otaczających kopalnie. Pytanie brzmi: czy można stworzyć opłacalną metodę przesiewania tak wielkiej ilości wody i żwiru, by odnaleźć maleńkie zielone kamyczki?

– Art Wyles, prezes korporacji Anorco Global Resources, najwyraźniej uważa, że można – odpowiedziała Shae. – Ten espeński potentat zainwestował setki milionów thalirów w rozwój technologii górnictwa podmorskiego. Ten statek jest pierwszym poważnym testem. Wyles ma ponoć również wysoką pozycję w potężnym Stowarzyszeniu Producentów Broni i mnóstwo kontaktów politycznych.

– Jeśli takie głupie i aroganckie przedsięwzięcie mogłoby kiedykolwiek stać się opłacalne, to z pewnością właśnie teraz, gdy cena jadeitu poszybowała bardzo wysoko w górę – poskarżył się Woon, który, odkąd wżenił się w rodzinę Kaulów, zabierał głos znacznie częściej. – Krążą pogłoski, że Ygutan ma teraz własnych jadeitowych żołnierzy, a Espeńczycy rozpaczliwie starają się zachować

przewagę nad swoimi wrogami. Najchętniej całkowicie ominęliby KSJ i pozwolili, by jadeit wydobywała dla nich godna zaufania espeńska korporacja.

Juen schował zdjęcia z powrotem do aktówki. Zauważył, że filar nie dodał już nic więcej, pozwalając, by wyjaśnień udzielali członkowie jego rodziny. Do tej chwili to była polityczna sprawa, ale odkąd włączyli w nią róg, jej charakter zmienił się na militarny.

– Hilo-jen... – zaczął Juen, z ekscytacją i lękiem na myśl o tym naprawdę niezwykłym wyzwaniu – to nie będzie łatwe...

– Gdyby było, nie prosiłbym o to ciebie – odparł Hilo. – Chcę zniszczyć ten jebany statek.

* * *

Juen pomyślał, że nawet w klanie ludzie często błędnie sobie wyobrażają, że najważniejszymi cechami dobrego rogu są jadeitowe talenty oraz umiejętność walki. Sam z pewnością był groźnym wojownikiem, ale raczej nie uważał, by to była najważniejsza cecha kwalifikująca na jego stanowisko. Z pewnością nie w dzisiejszych czasach, kiedy jako róg musiał dowodzić tysiącami zielonych kości w wielu różnych miastach, a nawet krajach. Klany zrobiły się za duże, by mogły atakować się nawzajem bezpośrednio, nie wywołując katastrofy. Dlatego prowadziły wojny zastępcze, za pośrednictwem lenników, sojuszników, gangów przestępców, szpiegów, polityków i dziennikarzy. Wszystko to czyniło zadanie Juena bardziej skomplikowanym.

Gdy Vuay przeszedł w stan spoczynku i zaczął nauczać w Akademii, Juen podzielił obowiązki pierwszej pięści między trzy równe rangą stanowiska. Piastujący je ludzie mieli odpowiadać bezpośrednio przed nim. Pierwszy z nich sprawował nadzór nad Janloonem, drugi nad resztą Kekonu, a trzeci nad białymi szczurami. Dawne paznokcie Maik Tara wcielił do tego trzeciego oddziału i skupił się na modernizacji jego działań i umieszczeniu informatorów wśród *barukanów* na Kekonie, w Szotarze i na Uwiwach, co miało pozwolić mu dowiedzieć się więcej o poczynaniach Góry. Juen cały czas musiał sobie radzić z trudnymi ludźmi, dysponował tylko ograniczonymi zasobami i był zmuszony do organizowania w swym umyśle tysięcy szczegółów. A teraz miał jeszcze na głowie zagraniczny statek górniczy.

Zadzwoił do swego wroga. Aben Sorogun został rogiem Góry po tym, jak przed czterema laty Nau Suenzen przeszedł w stan spoczynku. Juen widział go na własne oczy zaledwie kilka razy, na publicznych uroczystościach, miał jednak wiele informacji na jego temat, zebranych przez szpiegów klanu Bez Szczytów.

– Aben-jen... – zaczął, gdy już uzyskał połączenie – zapewne wiesz o statku espeńskiej firmy działającym w pobliżu Eumanu. To zniewaga dla wszystkich zielonych kości. Mój filar pragnie, by zniknął, i podejrzewam, że twoja filar również. Nie nazywam się Kaul ani ty nie nazywasz się Ayt, nie widzę więc, czemu nie mielibyśmy ze sobą współpracować w tej sprawie, nawet jeśli stosunki między naszymi klanami pozostają niezmienione.

Aben się zgodził. To była dobra wiadomość, ponieważ plan stworzony przez Juena był dość kosztowny i mógłby przyciągnąć uwagę Góry, gdyby nie nawiązał z nią współpracy. Sześć tygodni po spotkaniu z rodziną Kaulów w Podwójnym Szczęściu Juen znalazł się na plaży pośrodku nocy. Miał ze sobą dwie łodzie hybrydowe pozyskane z demobilu, dzięki kontaktom klanu Bez Szczytów w kekońskiej armii. Osiem zielonych kości – cztery z klanu Bez Szczytów i cztery z Góry – wyposażono w sprzęt do nurkowania. Wśród klanowych pięści i palców było sporo dobrych pływaków, ale tylko nieliczni mieli doświadczenie płetwonurków.

– Nie wiem, jak to wygląda w Akademii Kaul Du, ale w Szkole Świątynnej Wie Lona nie uczą podmorskiego sabotażu – zauważył z ironią Aben Soro, który zajął pozycję w jednej z łodzi. – Być może powinienem porozmawiać o tym z wielkim instruktorem.

W bezpośrednim kontakcie Aben okazał się zaskakująco sympatyczny. W niczym nie przypominał posiwiąłego weterana Nau Suena ani niewzruszonego, brutalnego Gont Ascha. Być może Ayt Mada doszła do wniosku, że jej klan potrzebuje świeżej, dającej się lubić twarzy u szczytów władzy. Aben nosił jadeit na grubym, zielonym łańcuchu na szyi. Sprawiał wrażenie mężczyzny, który ogląda transmisje sportowe, ma wielkie psy i może się zaprzyjaźnić z każdym, lecz mimo to otaczała go aura twardziela, z którym lepiej nie zaczynać. Traktowali się nawzajem uprzejmie i współpracowali ze sobą w tej jednej sprawie, ale Juen nie zapominał, że gdzie indziej – w Lukangu i w Resville za oceanem – ich siły próbują zniszczyć się nawzajem i jest całkiem prawdopodobne, że gdy sytuacja się zmieni, jeden z nich zabije drugiego.

Dzisiaj jednak połączył ich wspólny cel. Zamiast wypłynąć z Eumanu, gdzie mogliby zauważyć ich Espeńczycy, zebrali się na opuszczonym brzegu przy wylocie głównej zatoki Kekonu, dwie godziny jazdy od Janloonu. Tak daleko od miasta nie było zanieczyszczenia świetlnego. Niebo było czarne jak atrament i usiane gwiazdami. Zielone kości w obu łodziach mknęły ku zagranicznemu statkowi górniczemu. Przez dziewięćdziesiąt minut kołysały się rytmicznie na łagodnych falach, aż wreszcie pod osłoną ciemności zbliżyły się z obu stron do posuwającej się powoli naprzód espeńskiej jednostki.

Przed akcją Juen dowiedział się o ich celu tyle, ile tylko zdołał. Statek nadal poddawano testom i nie osiągnął jeszcze pełnej zdolności operacyjnej. Załoga była nieliczna. Zdalnie sterowane maszyny zbierały z morskiego dna próbki, by sprawdzić zawartość jadeitu, nim uruchomi się drogą wyspecjalizowaną maszynę, połączoną ze statkiem olbrzymim węzłem, do którego będzie zasysała muł. Następnie przekaże się go do innych urządzeń, które wydobędą z niego klejnoty. To była imponująca, supernowoczesna technologia. Juen nie potrafił się powstrzymać przed podziwem dla Espeńczyków. Kiedy motywowała ich chciwość, potrafili być naprawdę pomysłowi.

Wyłączyli silniki i płetwonurkowie z obu łodzi skoczyli z pluskiem do wody. Z szybkością możliwą tylko dla zielonych kości umieszczą na podwodnej części kadłuba statku magnetyczne miny dywersyjne. Juen siedział w kołyszącej się powoli łodzi i wycęzał Postrzeganie, ale nie wyczuł zaniepokojenia u żadnego z członków załogi. Co kilka minut prznosił Postrzeganie na Abena, raczej z odruchowej nieufności wobec wroga niż dlatego, że rzeczywiście obawiał się zdrady. Byli tu razem właśnie po to, by żadna ze stron nie mogła zdobyć przewagi nad drugą.

Po trzydziestu minutach płetwonurkowie byli już na łodziach i wszyscy ruszyli w drogę powrotną. Gdy bomby wybuchną, oni będą daleko. Eksplozje nie będą tak silne, by zagroziły życiu załogi – zabijania cudzoziemców lepiej unikać – ale zniszczą ster, śrubę i rurę do wydobywania mułu, a także zrobią dziury w kadłubie i jeśli się uda, uszkodzą też znajdujący się na pokładzie sprzęt.

W optymalnej sytuacji oznaczałoby to koniec kosztownych prób wydobywania jadeitu przez Anorco, Juen był jednak przekonany, że Espeńczycy naprawią statek i będzie trzeba go niszczyć jeszcze kilka razy. Z pewnością też wniosą skargę o uszkodzenie własności prywatnej przed Radą Książęcą, ale kekoński rząd z pełnym zadowoleniem i zgodnie z prawdą oznajmi, że nie miał nic wspólnego z sabotażem. Cudzoziemcy nie mieli innego źródła jadeitu, a poza tym Kekon nadal odgrywał kluczową rolę w ich strategii obrony regionu przed Ygutaniem, mogli się więc jedynie skarżyć.

Kiedy wrócili na brzeg, Juena swędziała twarz, a uszy miał obolałe od wielu godzin narażenia na bryzgi morskiej piany i wiatr. Zeskoczył na ląd i pomógł wyciągnąć łódź na plażę. Wszyscy pracowali szybko, żeby załadować łodzie i sprzęt na ciężarówkę z przyczepą, a następnie odwieźć je do magazynu. Nadal było ciemno, ale za parę godzin wszędzie słońce, a oni musieli wrócić do Janloonu. Aben i jego ludzie pracowali ciężko razem z nimi. Gdy już wszystko załadowano i ciężarówka odjechała, zielone kości obu klanów wsiadły do swoich samochodów, upewniwszy się najpierw, że nie ma w nich bomb, które mogła podłożyć druga strona.

– Juen-jen – rzekł Aben i dotknął dłonią czoła.

– Aben-jen – odparł Juen, powtarzając ten sam gest.

Usiadł za kierownicą swego roewolfe'a G8 i popędził do miasta ze swoimi pięściami. Gdy słońce wstanie, on i Aben Soro znowu będą wrogami, jak zwykle. Musiał wracać do pracy.

ROZDZIAŁ 18

SUM

Bero spotykał się ze swoimi mocodawcami raz na sześć do ośmiu tygodni, za każdym razem w innym miejscu publicznym, którego z reguły nie odwiedzał i gdzie nikt ich nie podsłucha. Dwa dni przed spotkaniem pod jego drzwi wsuwano kartkę z datą, miejscem i godziną. Czuł się jak tajny agent w filmie szpiegowskim, tyle że to nie było takie ekscytujące, jak się spodziewał. Na przykład nie dali mu pistoletu, tajnego telefonu ani kapsułki z cyjankiem, żeby mógł popełnić samobójstwo, jeśli złapią go Ygutańczycy. Dostał jednak kryptonim. Sum. Nie lubił go. Sumy były brzydkimi, żerującymi blisko dna rybami. Nie miał jednak wyboru. Zawsze rozmawiał tylko z Galem, Keko-Espeńczykiem. Jego partner, Berglund, obserwował ich, spacerując obok niczym zagraniczny turysta.

– Czy znasz jakieś szczegóły ich planów? – po raz kolejny naciskał na niego Galo, gdy krążyli po niemal całkowicie pustym muzeum sztuki.

Bero nigdy dotąd nie był w takim miejscu. Rozmawiając z Keko-Espeńczykiem, udawał, że przygląda się z zainteresowaniem abukejskim wyrobom garncarskim.

– Ciągłe mówią, że zrobią coś wielkiego, zadadzą cios, wyrażą swoje stanowisko, ale wszystko to tylko niejasne pieprzenie – odpowiedział Bero, sfrustrowany raczej uporczywymi pytaniami Gala niż faktem, że nie udało mu się zdobyć więcej informacji o działalności Vastika eya Molovni w Ruchu Bezklanowa Przyszłość.

Liczba bezklanowych rosła. Tyle mógł im powiedzieć z całą pewnością. Na spotkania przychodziło coraz więcej ludzi. Coraz więcej było takich, którzy mieli odwagę sprzeciwić się klanom. Przemówienia Guriha zrobiły się tak żywiołowe, że Bero czasami się obawiał, że przywódca ruchu zacznie toczyć pianę z ust albo dostanie udaru. Guriho zapewniał, że ich sprawa nabiera impetu.

Ludzie byli gotowi przeciwstawić się korupcji i uciskowi rządu, religii oraz kapitalizmu. Wszystko to były siły zakuwające ich w okowy klanizmu. Albo coś w tym rodzaju. Nie potrafił spamiętać wszystkich kwiecistych słów przywódcy.

– Guriho mówi, że wkrótce nadejdzie pora, by wyjść na ulice i walczyć, ale nie chce powiedzieć, kiedy ten moment nadejdzie ani jak to będzie wyglądało – poskarżył się Bero.

– Czy udało ci się zbliżyć do grupy kierującej organizacją? – zapytał agent.

– Próbowałem, keke – odpowiedział Bero, mimo że Galo nie był żadnym keke. – Jest ich czworo. Molovni, Guriho, Otonyo i ta dziewczyna, Ema. Nie dopuszczają nikogo innego.

Galo odsunął się od gabloty z abukejskimi garnkami i podszedł do ściany obwieszanej bogowierczymi obrazami religijnymi. Najwyraźniej spodziewał się, że Bero będzie się go trzymał. Berglund, który stał w kącie sali, udając, że czyta muzealną broszurę, schował ją i podążył za nim, trzymając się na dystans.

– O tych trzech mężczyznach wiemy sporo, ale kim jest kobieta? – zapytał Galo. – Skąd się wzięła? Nie jest Ygutanką ani *barukanem*, nie ma też żadnych politycznych motywów, sądząc z tego, co nam o niej mówiłeś. Dlaczego została jedną z przywódców grupy?

Bero się skrzywił. On również tego nie rozumiał. Z jakiegoś powodu Emę przyjęto do wewnętrznego kręgu Molovniego, a jego nie. Na pewno pierdoliła się z nimi wszystkimi. To było jedyne możliwe wyjaśnienie.

– Powiedziałem już wam wszystko, co wiem – poskarżył się. – Pracuje jako sekretarka gdzieś w śródmieściu. Przez pewien czas mieszkała w Tun. Jej rodzina prowadzi jakiś interes, a przynajmniej prowadziła. Chyba zbankrutowali. Mówi, że ma pretensję do klanów o to, że zrujnowały jej rodzinę.

Wkrótce po tym, jak zaczął pracować dla Espeńczyków, Bero zdołał namówić Emę, żeby wybrała się z nim do baru. Była ładna i nawet śmiała się z jego żartów. Sprawiała wrażenie samotnej, pozbawionej przyjaciół. Opowiedział jej, że jego twarz jest zniekształcona, bo kiedy miał szesnaście lat, złapali go i pobili bracia Maikowie. Rzecz jasna, miał też do opowiedzenia ciekawsze historie, ale zachowa je na później, bo mogłaby mu nie uwierzyć. Ku jego rozczarowaniu Ema nie była tak zachwycona, jak na to liczył. Co gorsza, gdy zaproponował, żeby poszli do jego mieszkania, odpowiedziała, że musi jutro rano iść do pracy, i tylko pocałowała go w policzek.

Od tej pory wybrał się z nią kilka razy do baru, a raz poszli razem na nocny film. To był horror. Ani razu nie udało mu się jednak posunąć dalej. Nie dowiedział się też o niej niczego ciekawego, co zadowoliloby Espeńczyków.

Pewnego wieczoru Bero czekał w zaułku pod Małą Persymoną, mając nadzieję, że spotka ją tam, gdy będzie szła do metra albo pójdzie za nią do

miejsca, gdzie mieszkała. Gdy minęło dwadzieścia minut i nadal się nie zjawiała, wrócił na górę. W pomieszczeniu nikogo nie było, ale usłyszał głosy. Wszedł za bar i przekonał się, że jest tam mały pokoik – albo może duży schowek na szczotki, bądź pomieszczenie, w którym muzycy i wokaliści mogli się schować w przerwie między występami, czy po prostu ekscentryczny tajny pokój. Drzwi zastępowała fioletowa zasłona wisząca w wejściu. Nie była jednak zasunięta w całości i Bero zauważył przez szparę, że w środku siedzą Molovni, Guriho, Otonyo i Ema. Rozmawiali ściszymi głosami, stojąc nad wielką płachtą papieru leżącą na blacie.

Być może opowieści o jadeitowych talentach nekolvów były jednak prawdziwe. Molovni odwrócił się nagle i odsunął zasłonę. Bero odskoczył gwałtownie do tyłu. Ygutańczyk przeszył go groźnym spojrzeniem.

– Co tu robisz? – zapytał. – Spotkanie już się skończyło.

– Chyba zgubiłem klucze za barem – skłamał pośpiesznie Bero. – Czy ktoś je widział?

Rozglądał się ostentacyjnie, omiatając spojrzeniem bar i ławkę, na której ostatnio siedział. Ema zwinęła papiery ze stołu, ale Bero zdążył zauważyć, że to plan Janloonu oraz ręcznie narysowane szkice budynków. Guriho wyszedł z pomieszczenia, by pomóc Berowi w poszukiwaniach. Molovni nadal spoglądał podejrzliwie spod opadających powiek.

– Nikt z nas nie widział twoich kluczy – oznajmiła Ema. – Powiemy ci, jeśli się znajdą.

Bero zrobił rozczarowaną minę.

– O czym rozmawialiście? – zapytał. – No wiecie, mogę wam pomóc. Co to za plan?

Molovni położył wielką łapę na jego ramieniu i poprowadził go ku schodom.

– Nadal nad nim pracujemy, przyjacielu. – Uścisk jego dłoni był silny jak u zielonej kości. – Jeśli będziemy potrzebowali pomocy, z pewnością cię o nią poprosimy.

Po tym zdarzeniu Bero zawsze przychodził wcześniej na spotkania bezklanowych albo zostawał dłużej, w nadziei, że uda mu się podsłuchać coś jeszcze, ale nie miał już szczęścia. Najwyraźniej Molovni i jego towarzysze przenieśli swoje narady w inne miejsce i na inny czas.

Bero nie rozumiał, dlaczego mu nie ufają. Może myśleli, że klany go obserwują, mimo że już dawno rzucił robotę w Poczwórnej Wygranej. A może kojarzyli go z tym beznadziejnym głąbem Tadinem. Albo uważali, że może być zagrożeniem, bo policja zatrzymała go kiedyś za wandalizm? Ale ostatnio starał się nie przyciągać uwagi, czyż nie tak? Może po prostu go nie lubili?

Na razie mógł jedynie przekazywać Espeńczykom informacje, jakie zdobył na ogólnych spotkaniach – ilu ludzi się zjawilo, z kim rozmawiał Molovni, jak bezklanowi rekrutowali nowych członków i zdobywali fundusze. Wreszcie, dzięki regularnej frekwencji i uporczywemu okazywaniu zainteresowania, udało mu się zostać sekretarzem ruchu. Od roku był odpowiedzialny za tworzenie listy obecności na spotkaniach, zapisywanie wszystkich wydarzeń i prowadzenie tajnych list członków. Bez trudu zrobił kopie wszystkich tych dokumentów i regularnie przekazywał je Galowi oraz Berglundowi. Nieustanny napływ niezbyt interesujących, ale szczegółowych informacji wystarczał, by zaspokoić głód zbirów z wywiadu wojskowego RE. Nadal dostawał pieniądze, a to było najważniejsze.

Jednakże Galo i Berglund chcieli czegoś więcej. Podejrzewali, że Ygutan przekazuje kekońskim kandydatom na rewolucjonistów pieniądze, broń oraz inne zasoby. Pragnęli konkretnych dowodów. Pragnęli przełomu.

Stojący po drugiej stronie sali Berglund spojrzął partnerowi w oczy i wykonał ukradkowy gest, nakazujący mu kończyć rozmowę.

Galo ponownie spojrzął na Bera.

– Jeśli ta Ema ma wpływ na Molovniego, mogłaby wprowadzić cię do jego grupy. Spróbuj znowu się do niej zbliżyć.

Powiedział to tak, jakby uważał to za bardzo łatwe. Bero wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu.

– Uwierz mi, bardzo bym tego chciał.

Galo zerknął na niego z nieskrywaną irytacją.

– Powinieneś się z nią zaprzyjaźnić. Lepiej ją poznać, a nie tylko próbować zaciągnąć do łóżka. Gdzie właściwie pracuje? Czy ma powiązania z jakimiś ygutańskimi interesami? Szczegóły. To sprawa wagi państwowej.

Espeńczycy kilkakrotnie już podkreślali, że Ygutan wspiera nowo narodzony, lecz szybko się rozwijający ruch antyklanowy, manipuluje nim i pragnie go wykorzystać, by zachwiać polityczną stabilnością Kekonu. Jeśli klany utracą władzę, jadeit zaleje rynek. Ygutan i jego sojusznicy będą mieli łatwiejszy dostęp do niego. Nie będą już musieli polegać na nielegalnych kontraktach i chciwych czarnorynkowych pośrednikach. Niepokoje społeczne na Kekonie mogą też doprowadzić do powołania bardziej proygutańskiego rządu i renegotjacji obecnie istniejących umów eksportowych z Republiką Espenii.

Dla Gala i Berglunda, a także wszystkich ich zwierzchników w Adamont Capita taka perspektywa była nie do przyjęcia. Nie chcieli niczego, co mogłoby zaszkodzić wpływom ich ojczyzny na Kekonie.

– Tak, tak, słyszę cię – mruknął Bero. – Pracuję nad tym.

Galo jak zwykle wręczył mu kopertę z gotówką. Bero sięgnął po nią, ale Keko-Espeńczyk cofnął rękę i przez chwilę wpatrywał się w niego z niemal ojcowską troską.

– Inwestujemy w ciebie już od lat, Sumie. Zapłaciliśmy ci dotąd więcej, niż sam mógłbyś zarobić przez całe swe nędzne życie. Pamiętaj, że pieniądze wyczerpią się w tej samej chwili, co moja cierpliwość. Espeńska armia zapewnia ochronę swoim ludziom, ale tylko tym, których uważamy za wartościowych.

Galo przekazał mu kopertę i opuścił muzeum. Dwie minuty później Berglund wstał z ławki w kącie, na której siedział, i podążył za nim. Osamotniony Bero przeklinał wszystkich, w tym również siebie.

ROZDZIAŁ 19

UŚMIECHY I SŁOWA

Trzynasty rok, jedenasty miesiąc

Wen stała przed sięgającym podłogi lustrem w sypialni, przyglądając się sobie z uwagą. Włożyła suknię od projektanta, barwy leśnej zieleni, ozdobioną subtelnym, tradycyjnym nadrukiem, ale o nowoczesnym, sugestywnym wykroju. Uzupełniła ją wiszącymi złotymi kolczykami w kształcie liści oraz szykownymi złocistymi butami na płaskim obcasie. Nadal bała się, że się przewróci, jeśli spróbuje chodzić na wysokich obcasach. Zastanawiała się, czy zaczesać włosy do góry, czy do dołu, ale w końcu zdecydowała, że odsunie je od twarzy za pomocą spinki w kształcie wachlarza i pozwoli, by opadały. Taka mniej formalna elegancja pasowała do charakteru wydarzenia. Po raz kolejny przećwiczyła mowę, jaką miała wygłosić, robiąc przerwy i starannie wymawiając każde słowo, które mogło jej sprawić trudności i spowodować, że się zająknie, stojąc przy mikrofonie. Jako kamiennooka i żona filaru wyrobiła w sobie odporność na negatywne opinie innych. Przyzwyczała się do tego, że ludzie nieustannie poddają osądowi jej wygląd zewnętrzny i wrodzoną niedoskonałość. Nie przejmowała się niczym, co ludzie mogli powiedzieć na te tematy, ale panicznie bała się myśli, że mogą ją uznać za słabego filarowego.

Rola filarowego tradycyjnie nie była zbyt widoczna i z reguły nie budziła większego zainteresowania poza klanem. Jednakże Kaul Hilo, mianując swą kamiennooką żonę na stanowisko zajmowane przedtem przez jednego z jego najbliższych przyjaciół i najgroźniejszych wojowników, postąpił tak niekonwencjonalnie, że wywołało to sporo komentarzy. Niektórzy uważali to za przesunięcie ośrodka władzy w klanie, sygnał, że filar wycofuje się z bezpośredniego zaangażowania w działania jego militarnej strony, zostawiając

kontrolę rogowi i jednocześnie mianując osobę niebędącą zieloną kością swym najbardziej zaufanym doradcą. Padały też ostrzejsze słowa. Niektórzy sugerowali, że Kaul Hilo po prostu musi mieć u swego boku kogoś z rodziny Maików, a teraz została mu już tylko własna żona.

Od wygnania Tara minęło sześć lat. Wen opłakiwała brata, jakby umarł. Całkiem możliwe, że rzeczywiście tak było, ponieważ zakazano mu powrotu oraz kontaktów z członkami klanu. Gdy szła na grób Kehna w Parku Wody, zabierała ze sobą dwa koszyki z kwiatami oraz owocami i błagała bogów, by obdarzyli uznaniem obu jej braci. Wiedziała, że Tar przebywa w Port Massy, gdzie cały czas obserwują go sojusznicy klanu. Zabroniono im ingerencji w jego życie i nie mogli zrobić mu krzywdy, ale mieli go zabić, gdyby pogwałcił któryś z nałożonych na niego zakazów.

Co kilka miesięcy pisała do niego listy, opowiadając, co się dzieje w rodzinie i jak się mają jego bratankowie oraz bratanica. Nie ukrywała tego przed Hilem, a on na to pozwalał, ponieważ Tar zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu jej odpisywać. Właśnie dzięki temu Wen wiedziała, że jej długie listy są ważne dla mężczyzny, który stał się duchem. Nigdy nie zaryzykował ich utraty.

Wzięła kartki z tekstem mowy w urękawicznione dłonie i ruszyła w stronę kuchni. Ru zszedł na dół. Miał na sobie szkolny mundurek. Rzucił piłkę Koko, a potem nakarmił żółtego psa, usiadł i pochłonął śniadanie złożone z jajek oraz gorących płatków śniadaniowych, które postawiła przed nim matka.

– Czy mogę pójść dziś po szkole do mojego kolegi Tiana? – zapytał.

– Nie będę mogła cię stamtąd odwiedzić – odpowiedziała.

– Mógłbym pójść na piechotę do mieszkania wujka Andena. On później mnie odwiedzie.

– Jak daleko to jest? Gdzie właściwie mieszka ten Tian?

– Na Błoniach. – Wen obrzuciła go surowym spojrzeniem.

Dwunastolatek jęknął spektakularnie.

– Mamo, jego mieszkanie jest tylko dwie przecznice od Starego Miasta.

– Ale to nadal terytorium Góry.

– Nie toczymy z nią wojny – sprzeciwił się Ru.

– Zawsze toczymy z nią wojnę, nawet jeśli tego nie dostrzegasz.

– Mamo! – Kiedy Ru się gniewał, jego twarz nabierała kolorów i stawał się jeszcze bardziej podobny do Hila. – Nikt w mojej klasie nie ma rodziców, którzy robią rwetes, kiedy przejdzie się kawałek po „nieprzyjacielskim” terytorium.

– Nikt w twojej klasie nie jest Kaulem. – Wen również zaczynała się irytować. – Nie chodzi tylko o Górę. Jest też mnóstwo innych złych ludzi.

– Na Błoniach? – zaprotestował Ru. – Przecież nie będę chodził sam nocą po Psiej Głowie!

– Ale w pobliżu nie będzie naszych pięści i palców, nie możesz też liczyć na to, że wejdiesz do sklepu i znajdziesz latarnika klanu Bez Szczytów, który ci pomoże, jeśli będziesz tego potrzebował.

Hilo wszedł do kuchni przez drzwi na patio. Ru natychmiast zwrócił się w jego stronę.

– Tato, czy mogę pójść po szkole do domu Tiana? To tylko dwie przecznice od granicy Błoni, a mama jest absurdalnie podejrzliwa. Tato, proszę!

Hilo przeniósł spojrzenie z syna na Wen. Kobieta westchnęła i wzruszyła ramionami w obronnym geście.

– Weź ze sobą karambit – polecił Hilo. – I zadzwoń do mieszkania wujka, zanim wyjdiesz. Powiedz mu, że ma się ciebie spodziewać.

– Zrobię to, obiecuję! – zawołał Ru.

Jego nastrój natychmiast się poprawił. Złapał szkolną torbę, pogłaskał Koko po głowie i wybiegł przez drzwi frontowe na podjazd. Shae albo Woon podwiozą go do szkoły po drodze do biura. Pies pobiegł za panem, merdając ogonem, i zaskomlał, kiedy Ru go zostawił. Wen raczej nie przepadała za zwierzakiem, który czasami gryzł jej buty albo meble, ale Hilo podarował mu go, kiedy chłopiec ukończył dziesięć lat. Tego dnia zacząłby naukę w Akademii Kaul Du, gdyby nie był kamiennookim.

Filar usiadł przy stole.

– Potrzebuje trochę swobody, żeby poczuł, że coś potrafi.

– Wiem – odpowiedziała. – Ale nie znam zbyt dobrze jego kolegów i ich rodzin.

Wszyscy koledzy Nika i Jai wywodzili się z rodzin powiązanych z klanem Bez Szczytów. Wen bez kłopotów mogła zadzwonić do ich rodziców. Ru chodził do jednej z najlepszych szkół w mieście, ale to nie była Akademia. Ojciec Tiana był inżynierem, a jego matka nie pracowała. Nie mieli żadnych powiązań klanowych. Sprawiali wrażenie dobrych ludzi i Wen odbyła z nimi kilka przyjaznych rozmów, ale to nie było to samo.

Czasami, gdy tęskniła za Nikiem i Jayą, Wen cieszyła się, że jedno z jej dzieci nadal mieszka w domu, ale w innych chwilach jego obecność była przypomnieniem jej własnego dzieciństwa, gdy czuła się jak wyrzutek nawet we własnej rodzinie.

– Dla Ru wszystko będzie wyglądało inaczej niż dla ciebie – przypomniał jej Hilo, wyczuwając jej troskę. – Ludzie nie są już tacy przesądni jak kiedyś, a poza tym jesteś dla niego przykładem. – Nie spuszczał z niej spojrzenia, wrzucając szczypiorek do gorących płatków śniadaniowych. – Czemu się tak wystroiłaś?

– Idę na uroczysty obiad na cele dobroczynne – wyjaśniła. – Zbieramy fundusze dla Kekońskiej Fundacji Parków i Ochrony Przyrody.

Na czole Hilo pojawiła się zmarszczka wyrażająca powątpiewanie.

– A po co? – zapytał. – Czy nie byłaś na czymś podobnym dwa tygodnie temu?

– Wtedy to była zbiórka dla Kekońskiej Rady Małych Przedsiębiorstw. – Wen otworzyła czarny terminarz. – Gdyby filar chodził na te wszystkie takie imprezy, to byłoby marnotrawienie jego czasu, ale ktoś z klanu Bez Szczytów powinien się zjawić. Ktoś, kto zabierze głos w naszym imieniu.

– Moglibyśmy wysłać Woonę.

– Woon może być najlepszym specjalistą w klanie, gdy chodzi o konferencje prasowe, ale czy wyobrażasz sobie, jak prowadzi towarzyskie rozmowy na gali na rzecz artystów? – Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. – Musimy wykorzystywać podobne okazje, by zademonstrować, że klan Bez Szczytów reprezentuje nie tylko jadeitowych wojowników, lecz również zwykłych ludzi. Zwłaszcza teraz, gdy ekstremiści idealizują cudzoziemskie zwyczaje i wmawiają ludziom, że Kekon może się obyć bez klanów.

Hilo również się uśmiechnął.

– Powiem Juenowi, że naszą nową bronią przeciwko bezklanowym będą imprezy plenerowe.

– Nie żartuj sobie – skarciła go Wen. – To jest ważne.

Hilo skończył śniadanie, zaniósł puste miski do zlewu i odkręcił kran, żeby je wypłukać. Kyanla przechodziła już stopniowo w stan spoczynku, ale przyjdzie później, żeby posprzątać i zrobić kolację. Wen widziała, że mąż zastanawia się nad jej słowami. Zmarszczył brwi i wytarł dłonie w ręcznik.

– Zapewne masz rację, gdy chodzi o te imprezy. Opłaca się pokazać opinii publicznej przyjazną twarz, ale nadal nie rozumiem, dlaczego to musisz być ty. To nie jest zadanie filarowego.

Wen wstała i objęła go w pasie od tyłu.

– Zadaniem filarowego jest robić to, co mu każe filar – sprzeciwiła się ze słodką stanowczością. – A poza tym jestem nie tylko filarowym, lecz również twoją żoną. Pozwól mi czasem ładnie się ubrać, spotkać się z ludźmi i nacieszyć swoją funkcją. To może okazać się użyteczne. Czy sam przed chwilą nie powiedziałeś, że ludzie potrzebują trochę swobody, żeby pokazać, że coś potrafią?

Hilo westchnął. Odwrócił się, również ją objął i dotknął ustami jej czoła. Wiedziała, że po tym, jak mianował ją filarowym, musiał walczyć ze swym instynktem, nakazującym mu osłaniać ją przed wszystkimi niebezpieczeństwami. Pragnął ufać jej tak, jak przedtem, ale czasami jego pytania były ostre

i przesycała je podejrzliwość. Wen starała się nie mieć mu tego za złe i próbowała się uwolnić od utrwalonego nawyku ukrywania przed nim informacji o swych poczynaniach, gdy mogły się one spotkać z jego dezaprobatą. Nie mogła odzyskać jego zaufania w jednej chwili. Naczynie, które tak gwałtownie opróżniono, można było napełniać tylko kropla po kropli.

Oparła otwarty terminarz o pierś męża. Zamiast uczestniczyć potajemnie w klanowych sprawach zajmowała się teraz nimi na co dzień, zonglując harmonogramem oznaczanych różnymi kolorami zadań.

– Nie zapomnij, że twoje spotkanie z generałem Ronu przeniesiono na dzisiejsze popołudnie. Musisz przejrzeć raport, który ma przedstawić Radzie Książęcej w przyszłym tygodniu. Rano dzwoniła twoja siostra. Powiedziała, że nie czuje się dobrze i nie będzie mogła przyjechać. Zastąpi ją Woon.

– Znowu? – zdziwił się Hilo, unosząc brwi. – To już trzeci taki przypadek w tym miesiącu. To do niej niepodobne. Nigdy nie zostawiała mnie samego na takich spotkaniach, bo bała się, że może przypadkowo wypłynąć coś, o czym wie więcej ode mnie.

Wen ze wszystkich sił starała się powstrzymać uśmiech.

– Może powinieneś ją zapytać, dlaczego ostatnio tak często czuje się źle, mimo że nikt inny w rodzinie nie choruje.

– Pewnie masz rację – odpowiedział Hilo tak niewinnym tonem, że Wen musiała się odwrócić i zasłonić usta dłonią, żeby nie parsknąć śmiechem. Jej mąż przymrużył powieki, uświadamiając sobie, w czym rzecz. – Kurwa, nie wierzę w to.

Wen uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami, jakby nic na ten temat nie wiedziała.

– Cieszę się z tego. Myślałem, że Shae nie jest tym zainteresowana, ale to do niej podobne. Czekala tak długo, jak tylko się dało, nim wreszcie podjęła decyzję.

– Nic ci nie powiedziałam – oznajmiła Wen. – Bądź miły dla siostry i pozwól jej, żeby sama wszystkich zawiadomiła, gdy już będzie gotowa. – Przesunęła palec do następnej pozycji. – Espeński ambasador znowu dzwonił w sprawie zniszczenia górniczego statku Anorco. Odesłałam go do Woon Papiego.

Hilo prychnął pogardliwie i wyrwał terminarz z jej rąk.

– Bardzo dobrze. Woon zignoruje go w imieniu klanu. Na tym polegają obowiązki dawcy pieczęci. – Położył notes na ladzie. – Pamiętasz, jak rano leżałaś nago w łóżku i przeciągałaś się kusząco, by mnie odciągnąć od spraw klanu? A teraz chcesz rozmawiać tylko o nich?

Wen spojrzała ironicznie na męża.

– Wolałbyś, żebym zaniedbywała obowiązki filarowego?

Złapał ją za barki i odwrócił od siebie. Jego usta dotknęły jej skóry tuż za uchem.

– Istnieją inne sposoby na to, by pomóc filarowi przygotować się do codziennych obowiązków. – Wsunął dłoń pod suknię Wen i uszczypnął jej pierś. – Mam teraz pół godziny wolnego. Tak jest napisane w tej twojej książce. A ty wyglądasz bardzo ładnie. Wystroiłaś się dla innych, ale nie dla mnie.

Oparła się o kuchenny stół i popchnął ją lekko w dół. Uniósł suknię w górę, a majtki pociągnął w dół. Rozchylił jej nogi kolanami, a potem zniknął jej z oczu, chowając się za nią. Poczowała jego dłonie na wewnętrznej powierzchni ud, a potem dotyk gorących ust. Zadrżała, stanęła na palcach i uniosła jedną nogę, by ułatwić mu zadanie. Wstał, rozpiął rozporek i jednym płynnym ruchem wszedł w nią głęboko. Uśmiechnęła się, poruszając się w rytm jego pchnięć. Nie byli już młodzi, ale Hilo nadal miał impulsywną naturę. Częściej mieli teraz dom tylko dla siebie i z pewnością miało to sporo zalet.

* * *

Godzinę później, gdy uda miała już suche, a suknia była na właściwym miejscu, sprawdziła w lusterku makijaż. Kierowca otworzył przed nią drzwi lumeczy 6C. Wsiadła z kabrioletu i weszła do Szkoły Świątynnej Wie Lona.

Przyszło jej na myśl, że to hipokryzja z jej strony. Zamartwiała się tym, że jej syn zapuści się tylko kawałek w głąb kontrolowanej przez Górę dzielnicy, a sama przed chwilą beztrąsko wkroczyła do samego serca nieprzyjacielskiego terytorium. Wie Lon był najstarszą szkołą sztuk walki w kraju. Tu właśnie wychowywano kadry dla Góry. Tutaj uczyła się Ayt Madashi i niemal wszystkie wysokie rangą zielone kości w klanie. Wielką i imponującą główną salę ćwiczebną czasami wynajmowano też na duże prywatne imprezy, takie jak ta.

Wen z zainteresowaniem rozejrzała się wkoło. W przeciwieństwie do Akademii Kaul Dushurona, zbudowanej w samym Janloonie, szkoła Wie Lona znajdowała się czterdzieści pięć minut jazdy na zachód od miasta. Przypominała raczej zaciszny obóz w lesie. Bardzo dobre miejsce, jeśli ktoś chciał przekonać ważne osobistości do wspierania ochrony przyrody.

Osobiści strażnicy szli tuż za zbliżającą się do wejścia do sali Wen. Hilo nie pozwalał jej teraz opuszczać posiadłości Kaulów bez ochrony. Nie sprzeciwiała się mu. Dudo i Tako byli byłymi pięściami godnymi zaufania, uprzejmymi ludźmi, którzy w nic się nie wtrącali, chyba że sytuacja tego wymagała. Ich obecność uspokajała Wen, przypominała, że nigdy nie będzie bezradna, że wspiera ją cała moc jej męża i klanu, którym władał. Nie była pewna, czy w przeciwnym razie starczyłoby jej pewności siebie, żeby wrócić do publicznej

działalności. Dwaj mężczyźni pomagali jej też na inne sposoby. Gdy dotarła do schodów prowadzących do sali, Dudo wręczył jej laskę, na której się wspierała, wchodząc na sześć niskich stopni. Starła się, żeby nikt nie widział jej utykania, ale upadek byłby jeszcze bardziej bolesny i upokarzający. Po wejściu na ostatni stopień oddała laskę Dudowi, uniosła głowę, by odzyskać pewność siebie, i weszła do środka.

Salę wypełniał łagodny blask słońca, wpadający do środka przez wysokie okna. Na parkiecie, na którym zwykle ćwiczyli uczniowie, ustawiono okrągłe stoły, nakryte zielonymi obrusami i ozdobione miniaturowymi ogródkami skalnymi usytuowanymi pośrodku. Wen ruszyła do głównego stołu ustawionego na przodzie sali. Zatrzymywała się od czasu do czasu, by przywitać się z ludźmi – ważnymi latarnikami klanu Bez Szczytów, wieloletnim prezydentem Kekońskiej Stacji Państwowej Toh Kitą oraz dwoma aktualnymi członkami Rady Książęcej. Nie miała już niemal absolutnej pamięci, na jakiej polegała niegdyś. Musiała robić listę nazwisk i pomagać sobie sztuczkami mnemotechnicznymi, żeby poradzić sobie w takich sytuacjach.

Gdy dotarła do okrągłego głównego stołu, przywitał ją przewodniczący Kekońskiej Fundacji Parków i Ochrony Przyrody.

– Pani Kaul, to dla nas zaszczyt, że zechciałaś tu przybyć i powiedzieć kilka słów w imieniu swojego klanu. Wiem, że dla naszych darczyńców informacja, że filar klanu Bez Szczytów popiera ich działania na rzecz ochrony środowiska naturalnego naszego kraju, będzie miała wielkie znaczenie.

Wen wątpiła, by Hilo poświęcał tej sprawie wiele uwagi – o ile robił to w ogóle – zapewniła jednak przewodniczącego, że z radością przekaze wszystkim słowa męża.

Gdy zajęła miejsce, przybyło dwoje ostatnich gości mających zasiadać przy głównym stole. Mężczyznę w średnim wieku poznała natychmiast. To był Koben Yiro, jeden z najważniejszych i najgłośniej wyrażających swe opinie zielonych kości w klanie Góra, głowa licznej rodziny Kobenów oraz wujek Ayt Ata. Zwalista kobieta z trwałą ondulacją z pewnością była jego żoną.

– Pani Kaul! – zawołała Koben Tin Bett. Uśmiechnęła się szeroko i usiadła obok Wen. Powiesiła wielką torebkę na oparciu krzesła. – Bardzo się cieszę, że cię tu widzę. Wyglądasz znacznie zdrowiej, niż się spodziewałam. – Pociągnęła męża za rękę. – Siadaj, Yiro-se, zaraz podadzą jedzenie.

Koben Yiro rozpiął marynarkę, usiadł obok żony i pochylił głowę w stronę Wen z przyjaznym, lecz lekko protekcyjnym uśmiechem. Wen nigdy dotąd nie spotkała Kobenów, ale słyszała w radio charakterystyczny głos Yira znacznie częściej, niż miała na to ochotę. Mówił o sprawach politycznych i klanowych, zawsze wychwalając Górę i bezlitośnie krytykując klan Bez Szczytów. Ayt Mada

bez zahamowań pozwalała Kobenowi napawać się sławą. Była znakomitą mówczynią i bardzo groźną liderką zielonych kości, ale bezczelny Koben Yiro łatwiej trafiał do zwykłych Kekończyków. Przypominał pełnego uprzedzeń, lecz w gruncie rzeczy dobrodusznego wujka.

– Koben-jen – odpowiedziała Wen z uprzejmym uśmiechem. – Pani Koben.

– Mów mi Bett – odparła kobieta i pogłaskała Wen po dłoni. – Żony nie muszą się zachowywać tak oficjalnie jak ich mężowie, gdy rozmawiają ze sobą.

Fotograf z „Dziennika Janlońskiego” poprosił o pozwolenie zrobienia zdjęcia całego stołu i Wen uśmiechnęła się do aparatu. Potrafiła już sobie wyobrazić nagłówek w rubryce towarzyskiej. „Starcie klanów na obiedzie poświęconym zbieraniu funduszy na ochronę przyrody”.

– Przyszłaś tu sama? – zapytała pani Koben, unosząc wyskubane brwi w wyrazie podziwu i zatroskania. – To wielka odwaga. Choć z pewnością nikt nie upadłby tak nisko, żeby pociągać się za uszy na tak ekskluzywnym spotkaniu. – Wyjęła z torebki chusteczkę i wytarła palce przed jedzeniem, po czym założyła okulary, żeby przeczytać menu, nie przestając mówić do Wen. –

Oczywiście rozumiem, że chcesz się chwilę odprężyć, skoro wykonałaś już swój obowiązek wobec klanu i twoje dzieci trochę podrosły. Słyszałam, że twój bratanek... Niko, tak? Dobrze sobie radzi w Akademii. Masz też córkę, która jest normalna i również tam się uczy, tak?

– Pani Koben, muszę ze wstydem przyznać, że wiesz o mojej rodzinie więcej niż ja o twojej. – Wen uśmiechnęła się do niej słodko. – Pomijając twojego siostrzeńca, oczywiście, choć chłopak już nie nosi nazwiska Koben. Zmiana nazwiska na Ayt była bardzo sprytnym posunięciem, podnoszącym jego status.

– Mój siostrzeniec ma już dwadzieścia jeden lat i jest pięścią. Trudno nazwać go chłopakiem – przypomniała jej pani Koben.

– Już dwadzieścia jeden? – zdziwiła się Wen. – Myślałam, że jest młodszy. Być może dlatego, że zaraz po Nowym roku stoczył pierwszy pojedynek. Mój mąż i bracia byli nastolatkami, gdy zaczęli zdobywać dla siebie zieleni, więc moje kryteria są inne.

Wzruszyła ramionami i rozłożyła serwetkę. Kiedy była podenerwowana albo przeżywała stres, mogła zacząć się jąkać albo zapominać słów, ale przeżyła już stanowczo zbyt wiele, by się bać kogoś takiego jak pani Koben.

– Zieleni ma wiele aspektów, oczywiście – odparła Koben Ti Bett tonem karcącej matki. – Bezjadeitowe kobiety nie powinny się wypowiadać na ten temat.

– Nie bądź taka skromna – nie ustępowała Wen. – Mężczyźni potrzebują pomocy swoich kobiet. Wykonując obowiązki żony i ciotki, z pewnością robisz dla chwały swego klanu równie wiele, jak twój mąż.

Oczy kobiety poruszyły się nerwowo, jak u zwierzęcia, które nagle uświadomiło sobie, że ofiara, którą ugryzło, ma kolce. Na szczęście w tej samej chwili przyniesiono jedzenie i Koben Bett wykorzystwała tę okazję, by zwrócić się w stronę męża.

Bezjadeitowe kobiety mają bardzo niewiele broni, pomyślała Wen ze złośliwą satysfakcją. Toczymy pojedynki na uśmiechy i słowa.

Próbowała coś zjeść, ale nie miała apetytu. Myślała o mowie, którą wkrótce będzie musiała wygłosić. Ciągłe sobie wyobrażała, że popełni jakiś błąd i skompromituje się na oczach wszystkich, w tym również zarozumiałych Kobenów. Zwróciła się w stronę gościa siedzącego po drugiej stronie i ze zdziwieniem zauważyła, że jest Abukei. Przedstawił się jej kekońskim nazwiskiem i abukejskim imieniem osobistym. Ren Jirhuya. Był młody i przystojny, mógł mieć trzydzieści parę lat.

– Co cię łączy z Fundacją Parków i Ochrony Przyrody, panie Ren? – zapytała go Wen.

– Mianowano mnie kulturowym ambasadorem plemienia Yinao. – Mężczyzna się zawahał. – Jestem też artystą – podjął po chwili. – Autorem wszystkich dzieł oferowanych na sprzedaż w celu zebrania funduszy, a także krótkiego filmu animowanego, który odtworzą po obiedzie. Proszę mi mówić Jirhuya. Tak czuję się swobodniej.

Wen podobały się dzieła, które widziała na plakatach i w programie imprezy. Jako dekoratorka wewnątrz potrafiła docenić równowagę kolorów oraz ekspresyjny, nowoczesny styl, z jakim wyrażano tubylcze motywy oraz tematy.

– Często robisz takie rzeczy?

– Kiedy tylko trafi się okazja – przyznał. – Przede wszystkim pracuję w przemyśle filmowym.

Z fascynacją zauważyła, że Jirhuya nosi na prawym palcu wskazującym prosty pierścień z zielonym kamieniem. Na Kekonie noszenie blagierskiego jadeitu uważano za niegustowne i jarmarczne, kojarzące się z keko-szotarskimi gangsterami. Jirhuya nie mógł być *barukanem* i nic w nim nie wydawało się tanie ani nieprzemyślane. Jego garnitur z bładoniebieskiego płótna – bardzo dobrze uszyty i świetnie pasujący do szczupłej sylwetki właściciela – był plamą koloru na tle identycznych ciemnych garniturów pozostałych mężczyzn. Lekko kręcone włosy były krótko obcięte i dobrze uczesane, a w mowie nie słyszało się nawet śladu śpiewnego akcentu typowego dla Abukei.

– Zastanawiam się nad twoim pierścieniem. Czy on coś oznacza? – zapytała.

Ren zaczerwienił się lekko.

– To abukejska tradycja. Dorośli noszą pierścień na kciuku, kiedy mają męża bądź żonę albo po prostu żyją w stałym związku, na palcu wskazującym, jeśli są

singlami i poszukują partnera, albo na małym palcu, jeśli nie są zainteresowani.

Tym razem to Wen się zawstydziała. Słyszała o tym kiedyś – być może od Kyanli, która nosiła na prawym małym palcu srebrną obrączkę – ale zapomniała. Zainteresował ją kamień w pierścieniu, a nie jego lokalizacja.

– Przed stuleciami do takich pierścieni używano jadeitu, z uwagi na jego święty związek z ciałem Pierwszej Matki, bogini Nimumy – kontynuował Jirhuya. – Ale to skończyło się już dawno temu, z oczywistych powodów. – Każdy, kto nosił jadeit, ale nie miał jadeitowych zdolności, był łatwym celem dla złodziei. Z pewnością żaden Abukei albo kamiennooki nie zrobiłby czegoś takiego, chyba że chciał narazić się na nieszczęście albo na oskarżenie o przemyt. – Jirhuya obrócił pierścień na palcu. – Noszenie zielonego pierścienia to ukłon w stronę tradycji, a blagierski jadeit łatwiej jest teraz zdobyć, bo jest na niego zapotrzebowanie za granicą.

Kelnerzy zabrali talerze, odtworzono krótki film, a potem przewodniczący wstał, podziękował wszystkim gościom i wezwał ich do politycznego oraz finansowego wspierania ochrony przyrody. Szczególną wdzięczność wyraził klanom zielonych kości i poprosił Wen o powiedzenie kilku słów.

Wstała i ruszyła w stronę mównicy. Starła się wywołać wrażenie, że jej powolne ruchy są celowe, a nie spowodowane ostrożnością. Dłonie się jej pocily. Kiedy stanęła przed mikrofonem, poświęciła chwilę na przyjrzenie się pełnym zainteresowania twarzom gości. Potem zaczęła mówić, tak powoli, jak podczas prób, udając, że opowiada rodzinną anegdotę przyjaciołom, a nie wygłasza mowę przed nieznanymi, by jej słowa brzmiały wyraźnie i naturalnie, bez zająknięć i przerw.

Zacząła od zabawnej historii o tym, jak przed laty Hilo wybrał się z nią na wycieczkę w góry i zgubili drogę. Hilo był wtedy rogiem klanu Bez Szczytów i znał Janloon, jak pies stróżujący zna każdy kamień i każde źdźbło trawy na swoim podwórku, ale w głuszy jego poczucie kierunku było znacznie słabsze. Audytorium wybuchnęło śmiechem na myśl, że straszliwy Kaul Hiloshudon mógł brnąć uparcie przez las w niewłaściwym kierunku. Wen poczuła wzbierającą w niej falę triumfu. Podejrzewała, że Hilo nie ucieszyłby się, gdyby się dowiedział, że opowiedziała o tym zawstydzającym incydencie licznej grupie wysoko postawionych janlończyków, ale tutaj go nie było. Mogła bez przeszkód zapoznać obecnych ze zrozumiałą, ludzką stroną swej rodziny, uświadomić im, że Kaulowie, choć potężni, są takimi samymi ludźmi jak inni.

– Gospodarka naszego kraju się rozwija, nasze miasta rosną i wciąż buduje się nowe fabryki, ale musimy zrównoważyć nasz dobrobyt roztropnością. Wielu powiedziałoby, że jadeit jest najcenniejszym zasobem naturalnym Kekonu. Może się nim jednak posługiwać tylko niewielu ludzi, natomiast naturalne piękno

naszej wyspy należy do wszystkich, bez względu na bogactwo, klan, krew czy umiejętności. Dlatego wszyscy powinniśmy bronić go z taką samą pasją, jak bronimy swych rodzin i wyznawanych wartości.

Wróciła na miejsce żegnana aplauzem, pełna zadowolenia i ulgi z tego, że się udało.

Jirhuya pochylił się ku niej.

– To była piękna mowa, pani Kaul – oznajmił. – Czy zechciałabyś przemówić również w Towarzystwie Pomocy Niereaktywnym? Pracuję dla niego jako wolontariusz i znam członków rady. Gdyby ktoś o tak wysokiej pozycji w klanie Bez Szczytów otwarcie opowiedział o tym, że jest niereaktywny, to pomogłoby to uwolnić od piętna tę grupę ludzi. Rozważysz tę propozycję?

– Z chęcią się zgodzę, jeśli tylko znajdę czas – zapewniła.

Rozmowę przerwał im przewodniczący fundacji, który wrócił na mównicę i poprosił Koben Yira, by powiedział kilka słów w imieniu klanu Góra. Koben wstał, zapiął marynarkę na szerokiej klatce piersiowej i podszedł do mikrofonu. Wszyscy umilkli, kierując na niego spojrzenia.

– Przez większą część swojej historii Kekon był cywilizacją żyjącą w harmonii z naturalnym środowiskiem – zaczął Koben przesyconym dramatyzmem basem. – Nie ma na to lepszego przykładu niż wielka Szkoła Świątynna Wie Lona, w której się dzisiaj zebraliśmy. Niestety, te wartości, podobnie jak wiele innych ważnych elementów kekońskiej kultury, są obecnie zagrożone.

Koben zaczął mówić o wieloletniej degradacji kekońskiej przyrody, spowodowanej chciwością kolonialnych mocarstw – o wylesianiu spowodowanym potrzebą wypełnienia kontraktów eksportowych z Republiką Espenii, o zanieczyszczeniach, którym winne były zagraniczne korporacje, o utracie pięciu kilometrów kwadratowych naturalnych siedlisk na Eumanie wywołanej powiększeniem bazy marynarki wojennej RE.

– Kiedy wypowiadam te słowa... – zagrzmiał, unosząc palec. Jego dźwięczny głos wibrował od pasji. – Espeńska firma poszukuje jadeitu na dnie morskim u naszych brzegów. Odważni patrioci zniszczyli pierwszy statek, ale espeńska chciwość nie zna granic i wkrótce przysłało drugi, by kradł jadeit z oceanu, jednocześnie zatruwając tradycyjne tereny połowów i niszcząc niezastąpione siedliska. Nie możemy rozwiązać problemu szkód ekologicznych, jeśli nie będziemy rozmawiać o ich podstawowej przyczynie, jaką są cudzoziemcy – oznajmił Koben. – Pora już, byśmy zeszli z destrukcyjnej ścieżki, którą kroczymy od dziesięcioleci. Musimy przestać kłaniać się zagranicznym korporacjom, marnotrawić cenne zasoby na uchodźców i pozwalać, by jadeit opuszczał nasze brzegi.

Niektórzy ze słuchaczy stukali w stoły w uprzejmym aplauzie, inni zaś tupali nogami i popierali mówcę głośnymi okrzykami. Zachwycony tą reakcją Koben uniósł pięść nad głowę.

– Musimy razem położyć kres cudzoziemskiemu wyzyskowi pod każdą postacią! Tylko w ten sposób obronimy nasz piękny wyspiarski dom – zakończył z przekonaniem.

Wen poczuła rumieniec wypełzający na jej szyję. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że jej dłonie drżą. Odstawiła filiżankę, nim ktokolwiek zdążył to zauważyć. Poświęciła mnóstwo czasu i energii, by jak najlepiej przygotować się do tego wieczoru. Chciała zrobić dobre wrażenie, być przedstawicielką swojej rodziny w inspirujący, budzący sympatię sposób.

Była głupia. Koben Yiro wygłosił agresywną polityczną diatribę, wzmacniającą wrażenie, że to Góra jest klanem bardziej dbającym o obronę zasobów i tradycji Kekonu. Dokonał sztuki niemożliwej nawet dla Ayt Mady, dodatkowo zwiększając popularność rodziny Kobenów.

Koben Yiro zszedł z mównicy, żegnany ogłuszającym aplauzem. Kilku członków klanu Góra wstało z miejsc i oddało mu honory. Dziennikarze robili mu zdjęcia.

– Mój mąż jest bardzo głupi – oznajmiła Koben Bett, pochylając się ku Wen.
– Martwił się, że ton jego mowy będzie zbyt ciężki dla ludzi, którzy przyszedli zjeść obiad. Na szczęście nalegałam, żeby niczego nie zmieniał. Będzie musiał przyznać, że dobrze zrobił, że mnie posłuchał. – Usiadła wygodnie i upiła łyk herbaty ze spokojnym, triumfalnym uśmiechem. – Miałś rację, pani Kaul. Mężczyźni często potrzebują naszej pomocy. Szkoda, że nie było tu naszych filarów, żeby zobaczyli, co możemy zrobić dla klanów.

ROZDZIAŁ 20

POSTĘP

Już od czasów, gdy był rogiem, Hilo urządzał rankiem drugiego i piątego dnia sesje treningowe, na które przychodziły wszystkie czołowe pięści klanu. Chciał się upewnić, że jego najlepsi wojownicy zachowują dobrą formę. Sam również potrzebował jak najlepszych sparingpartnerów. Gdy obowiązki filaru nie pozwalały mu się zjawić, jego miejsce zajmowali Juen albo Lott. Po zieleńskiej stronie klanu zaproszenie na ćwiczenia w domu filaru stało się wyznacznikiem wysokiego statusu.

Od trzech lat Hilo zapraszał również Jima Sunto. Niektóre pięści spoglądały na to z niezadowoleniem, ale Sunto wzbudził zainteresowanie Hila już podczas ich pierwszego spotkania w Siódmej Dyscyplinie. Intrygowała go myśl o wypróbowaniu swych sił w starciu z doborowym jadeitowym wojownikiem wyszkolonym według espeńskiego systemu i sprawdzeniu, czego może się od niego nauczyć.

Dziś rano zmierzyli się ze sobą, podobnie jak siedem lat temu, tyle że tym razem Hilo miał pistolet, a Sunto nóż. Celowo używali narzędzi, którymi posługiwali się mniej biegle. Kaul Hilo zasłynął jako niezrównany mistrz walki na karambity, a Jim Sunto był znakomitym strzelcem.

Słońce wstało dopiero przed chwilą i wszystkie zielone kości chuchały na dłonie, by je ogrzać. Filar zajął pozycję pośrodku trawnika. Ręce zwisały mu luźno. Unosił jeden kącik ust w krzywym, niecierpliwym uśmiešku. Sunto krążył spokojnie wokół niego, aż nagle w mgnieniu oka pokonał dzielącą ich przestrzeń.

Utalentowana zielona kość potrafi pokonać dziesięć metrów w czasie znacznie krótszym niż ten, jakiego przeciętny strzelec potrzebuje, by wyciągnąć broń i wystrzelić. Hilo wielokrotnie już wykorzystywał ten fakt, by zadać śmiertelny cios. Każdy, kto spróbuje wyciągnąć pistolet, by zastrzelić zieloną

kość uzbrojoną w karambit, zwłaszcza w walce z bliska na Janłońskiej ulicy, zapewne zginie, zanim zdąży oddać choć jeden strzał.

Hilo musiał zrobić coś dokładnie przeciwnego niż zwykle w walce – zwiększyć dystans dzielący go od przeciwnika, zamiast go zmniejszać. Sunto zaatakował na ukos, zamiast więc próbować ucieczki do tyłu bądź na bok, czego nie mógłby zrobić wystarczająco szybko, filar wyciągnął pistolet, padł na plecy i wystrzelił do góry.

Trafił Sunta w brzuch. To była tylko wiatrówka i śrut nie był w stanie przebić się przez Stal, ale mógł zadać ból. Hilo przetoczył się po trawie i wystrzelił jeszcze raz, z pozycji kucznej. Tym razem odległość była za duża i przeciwnik z łatwością Odbił pociski. Żeby zmniejszyć dystans, Sunto musiałby jednak przedostać się przez niebezpieczną strefę, w której był za blisko, by skutecznie Odbić pociski, ale nadal nie mógł dosięgnąć rywala nożem. Hilo ponownie trafił żołnierza, tym razem w pierś. To ledwie go spowolniło. Sunto uderzył karambitem, celując w twarz przeciwnika.

Filar złapał go za nadgarstek, powstrzymując stępiony nóż o długość palca od swojej szyi.

– Mógłbyś mnie załatwić, gdyby nóż nie był tak łatwy do zauważenia – stwierdził z uśmiechem. – Trzeba było odwrócić moją uwagę drugą ręką, a potem przesunąć dłoń na rękojęści i uderzyć w ten sposób.

Wyjął nóż z rąk Sunta i szybko zademonstrował ruch. Zbici w grupkę gapie pokiwali głowami.

Sunto mruknął z uznaniem.

– Ale i tak nie trafiłeś mnie trzy razy – zauważył, pocierając bolącą pierś.

Celem były trzy trafienia albo śmiertelne cięcie. Nie rozbrowienie przeciwnika. Gdy obaj walczący byli biegłymi wojownikami, chodziło tylko o to, kto pierwszy wykona zadanie.

– Nawet kiedy oberwiesz tutaj... – Sunto zbliżył pistolet do swego tułowia, jak podczas walki z bliska, i przesunął się tak, żeby inne zielone kości mogły to zobaczyć – ...nadal możesz strzelić, jeśli pochylisz broń tak, żeby nie trafić we własne ciało. To trzeci strzał.

Hilo klepnął go w ramię. Sunto nosił za mało zieleni, by mógł się mierzyć z Hilem lub jego najlepszymi zielonymi kośćmi w walce, w której o wszystkim decydowały jadeitowe umiejętności. Jego biegłość w Lekkości i Odbijaniu – dwóch dyscyplinach, które zużywały najwięcej jadeitowej energii – była poniżej przeciętnej. Espeńskie szkolenie nie przywiązywało do nich zbyt wielkiej wagi, ponieważ zaburzały spójność szyku i nie były zbyt użyteczne przeciwko automatycznej broni o dużym zasięgu. Sunto był jednak szybki, skuteczny i miał pragmatyczne podejście, znał też pewne sztuczki, których nie uczono

w Akademii. Hilo nie słyszał również o żadnych prywatnych instruktorach, którzy by to robili. Niektóre z nich nie były zbyt użyteczne dla zielonych kości. Hilo wątpił, by jego pięściom przydało się na coś omiatające grunt Odbijanie, mające unieszkodliwić na odległość miny wyzwalane przez nacisk albo rozciągnięty nad ziemią drut. Inne sposoby mogły jednak okazać się wartościowe. Na prośbę filaru Sunto udzielił serii lekcji pięściom wysokiej rangi oraz zielonym kościom z rodziny Kaulów. Uczył ich, jak osłonić się Stalą przed niespodziewanym wybuchem. Choć minęło już wiele lat, Hila nadal dręczyło wspomnienie śmierci Kehna. Jej nagły, bezosobowy charakter przeczył wszelkim zasadom honoru. Jeśli metody Sunta mogły uchronić jego rodzinę i innych członków klanu przed bombami podłożonymi w samochodach, warto było się z nimi zapoznać.

Hilo wręczył pistolet Lottowi, a Sinto oddał nóż Vinowi, żeby teraz oni spróbowali. Filar obserwował ćwiczące pięści, aż wreszcie każdy otrzymał swą szansę. Kiedy patrzył na dwudziestoparoletnich mężczyzn, takich jak Suyo i Toyi, uświadamiał sobie z bólem, że nie jest już młody. Jego jadeitowe umiejętności nadal były bardzo wysokie. Siłą i wytrzymałością nie ustępował znacznie młodszym wojownikom, a doświadczenie zapewniało mu nad nimi przewagę. Cieszył się, że je posiada. Jednakże walczył niemal przez całe życie i to nie pozostało bez śladu. Zauważył kilka drobiazgów, które pojawiły się, gdy przekroczył czterdziestkę. Nie był już taki szybki jak kiedyś, potrzebował więcej czasu, żeby dojść do siebie po drobnych obrażeniach, a starsze i poważniejsze, którymi nie przejmował się przez wiele lat, przypominały mu o popełnionych błędach.

Nad miastem wschodziło słońce, przeganiając jesienny chłód. Hilo ogłosił koniec ćwiczeń. Podszedł do niego Sunto.

– Czy moglibyśmy minutkę porozmawiać?

Parę stojących blisko pięści zerknęło na niego z ukosa. Byli oburzeni tym, że tak bezceremonialnie przemawia do filaru. Hilo nie czuł się urażony. Dla Sunta to było naturalne. Jednakże ludzie Hila stali blisko, więc kazał żołnierzowi zaczekać.

– Muszę jeszcze omówić parę spraw z rogiem. To nie potrwa długo. Potem możemy pogadać.

Po rozmowie z Juenem, gdy pozostałe zielone kości oddaliły się już do swoich obowiązków, Hilo usiadł z Suenem przy stole na patio, wspierając nogi na oparciu wolnego krzesła.

– Jak Rada Książęca przyjęła raport generała Ronu?

– Całkiem nieźle. Zgodzili się zwiększyć wydatki na szkolenie. Kanclerz nas pochwalił. Powiedział, że w ciągu siedmiu lat poczyniliśmy bardzo duże

postępy.

Dzięki pomocy Sunta i innych wynajętych zagranicznych ekspertów kekońska armia stworzyła Dowództwo Wojny Specjalnej, nadzorujące działania wszystkich sił specjalnych, przede wszystkim Kompanii Złotych Pajaków, coraz liczniejszego oddziału wyposażonych w jadeit żołnierzy, którzy przechodzili specjalistyczne szkolenie i uczestniczyli we wspólnych ćwiczeniach z espeńskimi Aniołami Marynarki. Armia Kekonu nadal była maleńka w porównaniu z armiami większości innych krajów, ale zaczęto ją uważać za dodatkowe zabezpieczenie przed możliwą ygutańską inwazją. Espeńczycy intensywnie wspierali jej wzrost, pomimo innych sporów między oboma krajami.

– Słyszałem, że po zmianie przepisów liczba chętnych do służby w armii znacznie wzrosła – stwierdził Hilo. – Mistrz Aido powiedział mi, że ma dziesiątki zgłoszeń od nowych uczniów. Nawet wielki instruktor Le zastanawia się nad wykorzystaniem jednego z pól ćwiczebnych Akademii do wieczornych albo weekendowych programów, jeśli znajdzie się wystarczająco wielu instruktorów. – Zapalił papierosa. – Jestem pod wrażeniem, Sunto. Dzięki tobie ludzie naprawdę chcą służyć w armii.

Do tej pory na ochotnika zgłaszali się wyłącznie absolwenci szkół sztuki walki, którzy przesłużyli co najmniej rok jako klanowe palce, Sunto jednak zdołał przekonać wszystkich, że to zbędne, a nawet szkodliwe.

– Jeśli ograniczymy się do palców opuszczających klan, ledwie zdołamy wypełnić jeden pokój rocznie – zauważył.

Teraz wystarczyło zaświadczenie lekarskie o wystarczającym poziomie tolerancji na jadeit oraz podstawowa znajomość sześciu dyscyplin – mniej więcej na poziomie czwartego roku w Akademii. Te zmiany otworzyły drzwi przed ludźmi, którzy uczyli się na zajęciach po lekcjach albo u prywatnych instruktorów.

Suwane drzwi na patio otworzyły się i nowa gosposia, Sulima, przyniosła herbatę, ciastka oraz owoce pokrojone na plasterki. Sunto przyjął herbatę, ale nie chciał nic jeść.

– Generał Ronu dostałby jeszcze więcej rekrutów, gdyby zgodził się przyjmować dorosłych bez żadnego jadeitowego wyszkolenia.

– Lepiej zostaw ten temat – przerwał mu Hilo.

– Espeńskie Anioły Marynarki nie zaczynają się aklimatyzować do jadeitu w wieku dziesięciu lat. To nie jest potrzebne, kiedy mamy nowe metody – odpowiedział Sunto, uparcie ignorując ostrzeżenie filaru. – SN2 jest bezpieczniejsze niż SN1 dziesięć albo piętnaście lat temu. Powoduje mniej

trwałego uszczerbku na zdrowiu i ryzyko przedawkowania również jest mniejsze. Nadal nie jest dobre dla zdrowia, ale wojna też nie.

– Już ci mówiłem, że nie zdobędziesz żadnego poparcia dla pomysłu faszerowania kekońskich żołnierzy narkotykami – odparł Hilo. – Błysk jest legalny tylko ze względu na pilne wskazania medyczne.

Nawet jeśli rzeczywiście jest potrzebny, jak w przypadku Lana, pomyślał ze smutkiem.

Sunto prychnął, przyznając się do porażki.

– To samo usłyszałem od Ronu. Piętno SN1 jest w tym kraju tak silne, że armia nie chce go podawać nawet ochotnikom.

– Chcesz podnieść prestiż sił zbrojnych, prawda? Nikt nie zechce, żeby jego syn służył w armii rzadkokrwistych ćpunów uzależnionych od SN1.

Hilowi jadeitowa aura Sunta zwykle wydawała się blada. Nie słaba czy ciemna, lecz właśnie blada. Jej kolor nie przyciągał uwagi ani nie rzucał się w oczy. Teraz jednak powiększyła się i stała ciemniejsza.

– Rzadkokrwisci ćpuni uzależnieni od SN1 – powtórzył mężczyzna. – Pewnie tak właśnie zielone kości myślą o espeńskich żołnierzach. Być może umknęło twojej uwagi, że jesteśmy tu po to, żeby bronić waszej wyspy i całego tego regionu świata, posługujemy się w tym celu jadeitem i ryzykujemy własne życie oraz zdrowie. Nie wszyscy mają genetyczny dar tolerancji na jadeit, ale po to właśnie jest nauka. Po to jest postęp.

Hilo nie rozumiał powodów oburzenia Sunta. Mężczyzna nie był Espeńczykiem, nie brał błysku i przed wielu laty z własnej woli porzucił służbę w Aniołach Marynarki. Mówił jednak jak ktoś, kto nadal służy w armii RE i Hilo odpowiedział mu tak, jakby rozmawiał z kimś takim.

– Postęp dla nas nie oznacza, że mamy się stać tacy jak wy. Powinieneś już to zrozumieć.

Sunto znowu usiadł.

– Rozumiem to. – Nie spierał się już, ale wyraźnie był niezadowolony. – Nie tak chciałem poruszyć ten temat, ale to pomoże wyjaśnić decyzję, jaką podjąłem. Zrobiłem dla waszego programu szkolenia wszystko, co mogłem. Generał Ronu był dla mnie dobrym partnerem. Wprowadziliśmy wiele udoskonaleń, ale czas już, bym zajął się czymś innym. Odchodzę pod koniec miesiąca. Kekońska armia ma mocne fundamenty i Ronu będzie budował dalej na tym, co już udało się nam stworzyć. Moje miejsce zajmie ktoś inny.

Hilo był przyzwyczajony do bezpośredniości Keko-Espeńczyka, ale nie ucieszył się, że były Anioł Marynarki rezygnuje z pracy, którą ofiarował mu klan Bez Szczytów. Nie spodobało mu się też, że Sunto przedstawił tę decyzję jako fakt dokonany. Żołnierz nie był zieloną kością z klanu i nie musiał pytać filaru

o pozwolenie, nim podejmie ten krok, ale nie byli też dla siebie obcy. Praca dla Armii podniosła prestiż Sunta i pozwoliła mu zwiększyć zarobki, ćwiczył też z Hilem oraz jego ludźmi i często bywał gościem w domu Kaulów.

– Czuję się rozczarowany, poruczniku – odpowiedział filar po pełnej wyrzutu przerwie. – Widzę jednak, że podjąłeś już decyzję, więc nie będę cię nakłaniał do zmiany zdania. Osiągnąłeś wszystko, na co liczyłem podczas naszego pierwszego spotkania. Byłem zadowolony, że szkolisz moje pięści. Rozstańmy się jak przyjaciele.

Wstał i wyciągnął rękę do Sunta. Keko-Espeńczyk również się podniósł i uścisnął jego dłoń.

Ruszyli razem ku bramie posiadłości Kaulów. Gdy dotarli do samochodu Sunta, mężczyzna zatrzymał się, zanim wszedł do środka i odruchowo dotknął złotego wyobrażenia góry Icana, który nosił na szyi razem z jadeitowymi identyfikatorami. Potem opuścił rękę i zwrócił się w stronę filaru.

– Jest coś jeszcze – oznajmił. – Praca dla kekońskiej armii była dla mnie cennym doświadczeniem zawodowym, a dzięki ćwiczeniom z zielonymi kośćmi nauczyłem się bardzo wiele. Jestem wdzięczny za to, że dałeś mi te szanse. Szanuję cię jako przywódcę i dlatego chcę, żebyś usłyszał to, co teraz powiem, z moich ust, zamiast dowiedzieć się później od kogoś innego.

Błada jadeitowa aura Sunta przesunęła się nieco, podobnie jak jego stopy.

– Zamierzam założyć własną firmę. Będzie się zajmowała szkoleniem, ochroną i wsparciem bojowym dla rządów oraz organizacji. Rozmawiałem o tym już od pewnego czasu z paroma innymi byłymi Aniołami Marynarki, którzy będą moimi wspólnikami.

Jedyną odpowiedzią filaru były bezruch i cisza.

– To najlepszy sposób na to, by połączyć moje doświadczenie jako Anioła Marynarki, instruktora ZSBWBJ, dodatkowe szkolenie, jakie przeszedłem oraz pracę nad zreformowaniem kekońskiej armii. Armia RE zaangażowała się w konflikty na całym świecie i pilnie potrzebuje wsparcia prywatnych firm. Ta, którą założę, będzie miała prawdziwe wojskowe doświadczenie oraz wykwalifikowanych członków potrafiących się posługiwać bioenergetycznym jadeitem.

– Kompania jadeitowych wojowników – warknął Hilo. – Najemników.

Sunto zmarszczył brwi, ale nie cofnął się przed coraz groźniejszym spojrzeniem filaru.

– To nie jest właściwe określenie. Nie będziemy bandą płatnych zbirów. Pragnę stworzyć organizację wierną wysokim standardom i ideałom Prawdonośców.

– Cudzoziemskim ideałom.

Hilo pochylił się lekko, zacisnął palce i opuścił głowę.

– Nie liczyłem na zrozumienie ani aprobatę filaru klanów zielonych kości.

– Pod tym względem masz rację – warknął Hilo. Jego jadeitowa aura rozbłysła gwałtownie. Zaniepokojeni strażnicy posiadłości spojrzeli w jego stronę. – Jadeit powinni nosić wojownicy, którzy złożyli przysięgi swym klanom, nie żołnierze opłacani przez korporacje.

Sunto napiął mięśnie i skulił się lekko.

– Nie wszyscy podzielają twoje przestarzałe poglądy. Mam kontakty w departamencie wojny RE i zdobyłem tam poparcie. Bogaty przedsiębiorca Art Wyles będzie naszym pierwszym poważnym inwestorem.

Strażnicy podeszli bliżej, spoglądając pytająco na Hila. Filar powstrzymał ich spojrzeniem, ale zrobił krok w stronę Sunta.

– Dałem ci szansę zrobienia kariery, ćwiczyłem z tobą i traktowałem cię jak przyjaciela – wycedził, jakby wyciągał powoli broń. – Zastanów się dobrze nad tym, co robisz, poruczniku Sunto.

Keko-Espeńczyk cofnął się o krok i otworzył drzwi samochodu, nie odrywając spojrzenia od Hila.

– Obawiałem się, że zareagujesz w ten sposób, ale nie powinieneś brać tego do siebie, Kaul. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałem ci, że przybyłem tu dla korzyści i chcę zarobić trochę pieniędzy. To się nie zmieniło. –

Wskazał strażników i na zamknięte bramy. Wiedział, że jest zdany na łaskę i niełaskę filaru, ale nie czuł strachu. – Być może trudno ci to zaakceptować, ale na świecie jest miejsce na więcej niż jeden rodzaj jadeitowych wojowników. Nie zakładam konkurencyjnego klanu zielonych kości, który będzie chciał cię wykończyć. Firma będzie miała siedzibę w Espenii, a jej filia na Eumanie, pod jurysdykcją espeńskiej armii. W jadeit będzie ją zaopatrywał rząd tego kraju. Ty kierujesz swoim klanem zgodnie ze swoimi zasadami, a ja będę kierował swoją firmą stosownie do moich. Nie ma powodu, żebyśmy byli wrogami.

– Jeśli rzeczywiście w to wierzysz, jesteś niewiarygodnie naiwny. – Hilo nagłym gestem nakazał otworzyć bramę. Gdy Sunto wsiadł do samochodu, Hilo podszedł do pojazdu, położył dłonie na drzwiach i zajrzał do środka przez otwarte okno. – To powinno być oczywiste, ale powiem to, żeby nie było żadnych wątpliwości. Nigdy nie angażuj się ze swoją militarną firmą i zagranicznymi najemnikami w żadne działania na Kekonie.

Sunto włączył silnik.

– Firma nazywa się Międzynarodowe Rozwiązania Ganlu – odpowiedział spokojnie, choć rzadki u niego gniew wypełnił jego jadeitową aurę niczym ciemny atrament nalany do wody. – Ta nazwa pochodzi od kekońskiego księcia, który opuścił wyspę i jego lud o nim zapomniał, ale on zmienił świat.

– Zjeżdżaj z mojego domu, bo cię zabiję – warknął Hilo.

Odwrócił się i ruszył z powrotem do budynku, nie oglądając się na samochód Sunta, który wytoczył się powoli z posiadłości Kaulów.

ROZDZIAŁ 21

ZNACZENIE ZIELENI

Czternasty rok, drugi miesiąc

Lekarz Shae pozwolił jej latać samolotem. Miała wygodne miejsce w klasie biznesowej, ale trwający jedenaście i pół godziny lot do Port Massy nie należał do przyjemności nawet w najlepszych warunkach, a teraz była w ciąży. Nie mogła jednak tego uniknąć. Za kilka miesięcy w ogóle nie będzie zdolna do transamaryckiego lotu, a miała jeszcze trochę spraw do załatwienia. Dbała o nawodnienie i co godzinę wstawała z fotela, żeby pójść do łazienki i rozprostować nogi. Dzięki bogom mdłości pierwszego trymestru już minęły. Zazdrościła Hami Tumashonowi, który siedział obok niej. Klanowy zaklinacz deszczu był przyzwyczajony do latania na tej trasie i najwyraźniej w ogóle mu to nie przeszkadzało. Przez dwie godziny produktywnie pracował, czytając korespondencję i pisząc notatki służbowe. Potem przerzucił jeszcze Port Massy Post, zasnął i nie obudził się aż do końca lotu.

Gdy znaleźli się w Port Massy, Shae zdumiało zimno oraz widok brudnych śnieżnych zasp na ulicach. Od białego światła zimy szczypały ją oczy. Oboje z Hamim opuścili lotnisko opatuleni w płaszcze i szaliki. Terun Bin, pierwszy szczęściodawca klanu w Espenii, przywitał ich osobiście. Miał samochód z kierowcą.

– Kaul-jen, dlaczego nie przywiozłaś ze sobą janloońskiej pogody?! – zawołał, oddawszy im honory.

Gdy już wsiedli do pojazdu, Terun włączył ogrzewanie. Kierowca ruszył agresywnie, nie zważając na gniewne klaksony taksówkarzy, a Terun odpowiadał po espeńsku na ich krzyki, z płynną swobodą rodowitych portmassańczyków. Jego ożywiona, lecz zarazem wymagająca natura dobrze się sprawdzała

w Espenii. Już od ośmiu lat sprawnie kierował rozbudową klanowych interesów, ale w wieku trzydziestu pięciu lat doszedł do wniosku, że powinien znaleźć sobie żonę i być może założyć rodzinę. Dlatego poprosił, by wiosną przeniesiono go z powrotem na Kekon, a w klanie rozpoczęły się intensywne poszukiwania jego następcy. Shae cieszyła się na myśl, że zobaczy go w Janloonie. Terun miał rzadko spotykany talent do interesów. Potrafił wchłonąć mnóstwo informacji i znaleźć odpowiedź, nim rozmówca skończył zadawać pytanie.

– Kaul-jen... – zaczął, oglądając się przez ramię – załatwiłem wszystko, o co prosiłaś. Spotkanie odbędzie się jutro po południu. Zarezerwowaliśmy salę w restauracji blisko twojego hotelu. Jeśli czujesz się na siłach, nasz miejscowy personel bardzo chętnie porozmawia z prognostyczką.

Shae wolałaby zamówić kolację do pokoju i wcześniej położyć się spać, przyjęła jednak zaproszenie Teruna. Hami, jako zaklinacz deszczu, często odwiedzał filie klanu i z wielką biegłością koordynował jego międzynarodowe interesy, podróżując między Janloonem, Port Massy, Adamont Capita, gdzie znajdowała się druga, mniejsza filia w Espenii, a teraz również Khitakiem w Tun. Niemniej było ważne, by i prognostyczka od czasu do czasu zjawiała się osobiście, żeby szczęściodawcy (albo współpracownicy, jak nazywano ich tutaj) widzieli, że rodzina Kaulów dostrzega ich wysiłki.

Pojechała do hotelu i mimo że w Janloonie było już dobrze po północy, zapewniła Wooną, że przybyła bezpiecznie. Wiedziała, że jej mąż nie zaśnie, dopóki nie otrzyma tej wiadomości. Nie chciał, żeby leciała do Espenii, mimo że miał jej towarzyszyć Hami, a Anden zapewniał, że zagrożenie dla zdrowia nie jest wielkie. Pierwsza żona Wooną, Kiya, kilkakrotnie poroniła i dlatego bał się, że może się wydarzyć coś złego. Shae od wielu lat polegała na stoickim, rozsądnym optymizmie swego cienia, a teraz stał się on dla niej wiecznie się niepokojącym mężem. Dziwnie się czuła w tej sytuacji. Wyłącznie dzięki temu, że nie potrafił się uwolnić od nawyków szefa jej sztabu, udało się jej go przekonać, żeby został w Janloonie i kierował interesami klanu pod jej nieobecność. Choć od śmierci Luta funkcję cienia prognostyczki pełniło dwóch innych mężczyzn, nadal to Woonowi ufała najbardziej, gdy chodziło o podejmowanie ważnych decyzji w jej imieniu.

Wciąż ogarniało ją niekiedy oszołomienie, gdy budziła się u boku męża. Współpracowali ze sobą przez wiele lat, zanim wzięli ślub, i choć w pracy nie widywali się codziennie już od wielu lat, te wspomnienia wywoływały dziwne napięcie.

– Wiesz, że kiedy nie jesteśmy w pracy, możesz mnie pocałować bez pozwolenia, prawda? – zapytała kiedyś, zawstydzając go głęboko.

– Nie możesz zakończyć dyskusji w ten sposób – mówił jej nieraz z irytacją.
– Kiedy jesteśmy w domu, nie odpowiadam przed tobą jako prognostyczką.

Zapewniał, że nie przeszkadza mu ani go nie dziwi, że nikt nie zwracał się do Shae jego nazwiskiem, lecz wszyscy nazywają ją „Kaul-jen”, tak jak zawsze, ale świadomość, że wżenił się w rodzinę Kaulów, wywołując jednocześnie skandal, z pewnością nie była przyjemna nawet dla kogoś tak wyrozumiałego, jak Woon Papidonwa.

– Tylko cztery przecznice od naszego biura na Jonsie znajduje się licencjonowana przychodnia kekońskiej medycyny – przypomniał jej przez telefon. – Pracują tam dwaj lekarze, którzy uczyli się w Janloonie. Zadzwoń tam, żeby się upewnić. Masz adres i telefon tej przychodni?

– Tak, Papi – uspokoiła go. – Anden już mi o tym mówił. Nie martw się.

Ciąża była męcząca, lecz jak dotąd przebiegała bez komplikacji. Pocieszała ją świadomość, że jeśli okaże się to konieczne, będzie mogła otrzymać pomoc wykwalifikowanego lekarza zielonej kości. Nie spodziewała się, że pocnie w wieku czterdziestu lat. Szczerze mówiąc, sama poczuła się zaskoczona. Mimo że lubiła bratanicę i bratanków, uważała się za pozbawioną pragnień macierzyńskich. Nie była pewna, czy kiedykolwiek zdecydowałaby się na dziecko, gdyby nie Woon. Nigdy nie widziała, by cokolwiek uczyniło go tak szczęśliwym jak perspektywa zostania ojcem.

– Kiedy Terun wróci do Janloonu, będziesz mogła wziąć trochę urlopu – oznajmił.

– Porozmawiamy o tym później – odpowiedziała. – Jak poszło spotkanie z espeńskim ambasadorem?

Udało się jej odwrócić uwagę męża wzmianką o pracy, a potem zakończyła rozmowę, by mógł położyć się spać. Usiadła przy oknie, by patrzeć na zimową panoramę miasta, i delikatnie pocierała rosnący brzuch, mając nadzieję, że znowu poczuje ruchy dziecka. Czasami myślała o swej pierwszej, przerwanej, ciąży i o Tau Maro, który bardzo kochał siostrzenice, ale nie doczekał się własnych dzieci, z nią ani z kimkolwiek innym. Dlatego że odebrała mu życie. W takich chwilach nawiedzała ją zimna, przerażająca myśl, że nie zasługuje na dziecko, że stanie się coś strasznego i będzie to sprawiedliwy wyrok losu.

Pewnego razu podzieliła się tymi obawami ze szwagierką.

– Siostro Shae, odkąd to życie jest opowieścią, w której postaci, czy to dobre, czy złe, dostają dokładnie to, na co zasługują? – zadrwiła Wen, która nie była przesadna nawet w najmniejszym stopniu. – Nie jesteś przyzwyczajona do strachu, ale każda kobieta, która spodziewa się dziecka, musi się bać. To naturalne uczucie.

Shae pomyślała, że te słowa są nieco niesprawiedliwe. Dobrze znała strach. Któż poza nią w tej rodzinie regularnie modlił się do bogów? Najszczęśliwsze modlitwy rodzą się z przerażenia.

Kolację urządzono w kekońskiej restauracji uważanej za najbardziej autentyczną w całym Port Massy. Wyjątkami było tylko kilka popularnych, zespenizowanych dań, takich jak wędzona wieprzowina na grzankach albo smażona sałatka z krewetek. Jedzenie było zaskakująco dobre, nieporównanie lepsze od wszystkiego, co jadła w tym kraju piętnaście lat temu, gdy była studentką w Windton. Bardzo się ucieszyła, że może porozmawiać z pracującymi w Espenii członkami klanu, a także z miejscowymi pracownikami. Niemniej przeprosiła wszystkich i wyszła wcześniej, by móc porządnie się wyspać.

Późnym rankiem następnego dnia dotarli z Hamim do siedziby klanu w Port Massy. Biuro Łącznikowe Handlu z Kekonem, jak głosił szablonowy napis na drzwiach, a także drugi, na czarnej tablicy informacyjnej w holu budynku, powiększyło się niedawno i zajmowało obecnie całe jedenaste piętro drapacza chmur na Packer Avenue. Biuro było mniejsze niż to w Janloonie na Statkowej, ale prawie tak samo wygodne. Z pewnością bardzo się różniło od skromnego przysadzistego biurowca, w którym mieściła się miejscowa siedziba klanu, gdy Hami po raz pierwszy przybył do Espenii. Na jedenastym piętrze panował intensywny ruch. Przywitały ich dzwoniące telefony, odgłosy stukania w klawisze oraz dźwięki rozmów po kekońsku i espeńsku. Shae zauważyła na twarzy Hamiego wyraz satysfakcji. Sukces klanu Bez Szczytów w Espenii był przede wszystkim jego zasługą.

Ten sukces był jednak poważnie zagrożony. Kiedy zjawił się Rigly Hollin z dwoma jego współnikami z agencji reklamowej WBH Focus, Shae spotkała się z nimi w głównej sali konferencyjnej biura. Uścisnęła ich dłonie i przedstawiła im Hamiego oraz Teruna.

– Cieszę się, że mam okazję spotkać się z panem osobiście, panie Hollin – oznajmiła po espeńsku. – Mój kuzyn, doktor Emery, opowiadał mi, że pan i pańska firma wykazaliście się wielką skutecznością w kampanii na rzecz legalizacji wykorzystania bioenergetycznego jadeitu w medycynie. Wasze osiągnięcia mówią same za siebie.

– Ja również się cieszę, że mam okazję się z panią spotkać, Kaul-jen – odpowiedział Hollin. Zaimponował jej, używając prawidłowej formy zwracania się do zielonych kości oraz dotykając złączonymi dłońmi czoła, by oddać jej honory na kekoński sposób. Zaskoczyła ją to, ale przypomniała sobie, że Hollin ożenił się z Kekonką. – WBH Focus jest globalną agencją i chętnie witamy zagranicznych klientów.

Shae wskazała stół przedstawicielom firmy reklamowej. Hami i Terun, przyzwyczajeni do espeńskich zwyczajów biznesowych, zajęli miejsca obok niej.

– Mam nadzieję, że poinformowano was, dlaczego jesteśmy zainteresowani usługami waszej firmy – zaczęła.

Hollin pokiwał głową, otworzył teczkę i wyjął z niej dokumenty.

– Legalizacja wykorzystania bioenergetycznego jadeitu do celów medycznych otworzyła drzwi przed jego społeczną akceptacją. Niemniej nie można wygrać rundki, jeśli nie dotrwa się do ostatniego rzutu. – Pomimo sukcesów odniesionych przez Andena Espeńskie Towarzystwo Lekarskie ciągle sprzeciwiało się wykorzystaniu jadeitu i nadal nie powstał ruch domagający się całkowitego zniesienia zakazu. Hollin wręczył jej wykresy oraz tabele z wynikami sondaży. – Wstępne badania rynku wykazują, że większość w dalszym ciągu uważa bioenergetyczny jadeit za niebezpieczny, a nawet nienaturalny i kontr-Prawdziwy. Ten pogląd wzmacnia uprzedzenia, nie tylko skierowane przeciwko Kekończykom. Skaza przenosi się również na byłych żołnierzy, co utrudnia im powrót do życia w cywilu.

Hollin rozłożył na blacie zdjęcia. Przedstawiono na nich kopalnię odkrywkową, w której wychudzeni mężczyźni grzebali w skalnym rumowisku, zniszczone budynki w rozdartym wojną Oortoko oraz twarze aresztowanych *barukanów*.

– Oto co ludzie kojarzą obecnie z jadeitem. – Schował pierwsze zdjęcia i rozłożył następne. – A czym powinniśmy zastąpić te wyobrażenia?

Shae zobaczyła Anioły Marynarki z flagą Espanii, kekońskiego lekarza z medyczną jadeitową bransoletą rozmawiającego z matką i dzieckiem oraz grupę dzieci ćwiczących w Akademii. Zadała sobie pytanie, w jaki sposób udało mu się zdobyć tę ostatnią fotografię, ale nagle uświadomiła sobie, że to publicznie dostępne zdjęcie, wykorzystywane przez Akademię do reklamy programu szkolenia zagranicznych uczniów, skierowanej do mieszkających w Espanii Kekończyków.

– Nie sprzedajemy napojów gazowanych ani samochodów – stwierdził z niedowierzaniem Hami. – Jadeit nie jest czymś, czego potrzebują zwyczajni ludzie. Nie mogą też go sobie kupić. Trudno będzie zmienić ich zdanie, jeśli nie oferujecie im żadnych konkretnych korzyści.

– Dlatego właśnie to tak ekscytujące wyzwanie! – zawołał jeden ze współników Hollina, tęgi, piegowaty mężczyzna, którego przedstawiono im jako Bernetta. – Długa, skomplikowana kampania marketingowa mająca zmienić powszechną opinię o produkcie, którego nie można kupić? Nie jestem pewien, czy jakkolwiek agencja reklamowa próbowała dotąd czegoś takiego.

– Jesteśmy przekonani, że kluczowe znaczenie będzie miało skojarzenie bioenergetycznego jadeitu z pozytywnie postrzeganymi wartościami, zwłaszcza tymi, które Espeńczycy już podziwiają w kekońskiej kulturze, takimi jak dyscyplina, obowiązek, honor, siła oraz etos wojownika nakazujący bronić słabszych – odezwał się trzeci z gości, ciemnoskóry mężczyzna nazwiskiem Walford. – Ludzie chętniej zaakceptują jadeit, jeśli przekonamy ich, że może on mieć wartość nie tylko w waszym kraju, lecz również u nas.

Gdy Shae usłyszała słowa cudzoziemca, przeszło ją nagle, zaskakujące ukłucie bólu. Podniosła zdjęcie przedstawiające nastoletnich uczniów Akademii w ćwiczebnych mundurkach, przyglądających się z uwagą instruktorowi i jego pomocnikowi, którzy demonstrowali ćwiczenie Odbijania.

– W kekońskiej kulturze wszystko łączy się z jadeitem. Nasze mity, nasza historia, nasz sposób życia – wyliczała. Dotknęła bransoletki, którą miała na nadgarstku. – Bycie zielonym znaczy więcej niż wszelkie umiejętności, jakie można opanować.

Czy w ogóle jest możliwe, żeby ktoś, kto nie jest Kekończykiem, to zrozumiał? – zadała sobie pytanie.

Hollin wziął w rękę czarny niezmywalny marker i zaczął nim mazać po zdjęciu Aniołów Marynarki trzymających flagę, zakreślając słowa „wojownik”, „honorowy”, „zielony” i „patriota”.

– Na Kekonie bioenergetyczny jadeit jest znany od tysiącleci. W Hiszpanii jest nowością. To znaczy, że możemy sami określić jego znaczenie.

– Nie jesteśmy największą agencją, jaką mogła pani wynająć, ale doświadczenie Rigly’ego oraz pasja, z jaką podchodzi do tej sprawy, gwarantują, że zajmiemy się nią poważnie – dodał Walford.

Jedną z cech, które Shae lubiła u Espeńczyków, był entuzjazm, z jakim podchodzili do szansy zarobku. Zwabieni perspektywą nowego profesjonalnego wyzwania oraz korzystnego, wieloletniego kontraktu z bogatym zagranicznym klientem, trzej cudzoziemcy sprawiali wrażenie gotowych paść na kolana i złożyć przysięgę wierności klanowi Bez Szczytów.

Ale z drugiej strony, czy latarnicy rzeczywiście zachowywali się inaczej? – pomyślała.

Podziękowała przedstawicielom WBH Focus, że zechcieli się z nią spotkać, zapewniła, że zapozna się z dodatkowymi materiałami, które dla niej przynieśli, i wkrótce się z nimi skontaktuje. Po ich wyjściu zwróciła się do zaklinacza deszczu i pierwszego szczęściodawcy.

– To może się okazać wielkim marnotrawstwem klanowych pieniędzy – przyznał z westchnieniem Terun. – Ale już od wielu lat próbujemy zdobyć większy wpływ na espeńską politykę i niczego dotąd nie osiągnęliśmy. Hami-jen

poruszał kwestię wysokich kosztów oraz ogromnego ryzyka wiążącego się z inwestowaniem w Espenii już przed ośmiu laty, kiedy tu przybyłem. Międzynarodowe napięcia związane z powolną wojną tylko zwiększyły powody do niepokoju.

Hami pokiwał głową.

– Ustawa o legalizacji użycia jadeitu do celów medycznych przeszła wyłącznie dzięki temu, że nasza kampania zwróciła się bezpośrednio do opinii publicznej. Będzie to wymagało wiele czasu, ale kontynuacja takiego podejścia może złagodzić skutki uprzedzeń rasowych i stworzyć poparcie dla całkowitego zniesienia zakazu.

– W takim razie wybierzmy tę drogę – zgodziła się Shae. – Terun, ktokolwiek zastąpi cię tutaj, będzie musiał uwzględnić ten nowy priorytet. Hami-jen jako zaklinacz deszczu również będzie musiał się w to włączyć.

Obaj mężczyźni pokiwali głowami.

Shae położyła dłoń na brzuchu. Jak będzie wyglądał świat, w którym będzie żyło jej dziecko? Świat, w którym espeńscy biznesmeni będą decydowali o znaczeniu jadeitu? Czy w takim świecie będzie można wychować zieloną kość?

To jedyny świat, jaki mamy.

Mogła przynajmniej zapewnić, że klan Bez Szczytów będzie miał wpływ na jego postać.

– Kaul-jen, powinniśmy też porozmawiać o wiadomościach z Resville – wtrącił Terun.

Pierwszy szczęściodawca rzucił na stół najnowszy numer Resville Gazette. Gazeta otworzyła się na artykule stwierdzającym, że otwarcie kasyna Piaski Iluzji opóźniło się po raz drugi, a powodem kosztownej zwłoki znowu były niewyjaśnione trudności ze znalezieniem i utrzymaniem wykonawców.

Hami przeczytał artykuł i prychnął pogardliwie.

– Góra z pewnością jest wściekła. Całe szczęście, że Jon Remi jest po naszej stronie.

Piaski Iluzji nie były jedyną inwestycją Góry w Resville, która natknęła się na niespodziewane trudności. Kilka innych wspieranych przez ten klan biznesów zajmujących się handlem czy hazardem miało tajemnicze problemy prawne lub padło ofiarą napadów rabunkowych bądź podpaień. Góra miała w Espenii ograniczoną liczbę ludzi i trudno jej było bronić swoich firm, nie wspominając już o kontratakowaniu. Kekończykom i Szotarczykom sprowadzonym przez Górę do Resville trudno było operować w mieście, w którym wszyscy gangsterzy znali się i nie znosili nawzajem, ale obcych przybyszy nienawidzili jeszcze bardziej.

– Juen Nu wysłał już potajemnie Remiemu transport jadeitu, ale on poprosił klan Bez Szczytów o dodatkowe pół miliona thalirów na zakup broni i łapówki dla miejscowych urzędników – poinformował ją Terun. – Całą sumę w gotówce przekaże mu strona rogu, ale najpierw trzeba będzie przemyścić pieniądze do Espenii za pośrednictwem firm fasadowych.

– Nie możemy pozwolić, żeby cokolwiek, co dzieje się w Resville, miało powiązania z biznesową stroną klanu – oznajmił stanowczo Hami. – Remi to przestępca, nawet jeśli jego przestępstwa przynoszą nam korzyść.

– Istnieje ryzyko, ale starannie ukryjemy wszelkie ślady. – Terun zapisał w swym żółtym notesie kilka uwag dla siebie. – To będzie kosztowny rok dla klanu.

Hami i Terun jednocześnie spojrzeli na prognostyczkę, czekając na jej decyzję. Tego samego popołudnia autoryzowała kampanię reklamową mającą podkreślić pozytywne strony jadeitu i zgodziła się na tajne przekazanie pieniędzy gangsterowi z Resville. Kierowanie klanem zielonych kości w Espenii było trudnym problemem, pełnym sprzeczności. Trudno było pracować w innych krajach o obcych kulturach, gdzie trzeba było się posługiwać pośrednikami i sojusznikami, a także toczyć wojny zastępcze.

– Przekażcie mu tę forszę – poleciła. – Szybko i dyskretnie.

ROZDZIAŁ 22

SYNOWIE KLANU

Kaul Rulinshin nieraz już był w Małym Młotku. Chodził tam na zakupy i na mecze szkolnej drużyny piłki sztafetowej. Zawsze towarzyszył mu któryś z członków rodziny z przynajmniej dwiema zielonymi kośćmi. Ciocia Lina, matka jego kuzyna, Maik Cama, albo ciocia Imrie, żona rogu, a czasami wujek Anden, z reguły wieźli dzieci wokół miasta, jeśli wyprawa wymagała opuszczenia dzielnic kontrolowanych przez klan Bez Szczytów bądź neutralnych. Rodzice Ru oraz jego ciocia Shae stali zbyt wysoko w hierarchii klanu, by mógł wkraczać na terytorium Góry bez ważnego powodu i bez pozwolenia bądź zaproszenia nieprzyjaciół. To była kwestia klanowej etykiety. Ru rozumiał jej zasady. W końcu miał już dwanaście lat i był synem filaru. Wiedział, że to, co robił teraz z bratem – zakradanie się na terytorium przeciwnika, by zobaczyć, jak Ayt Atosho walczy w pojedynku – formalnie rzecz biorąc, nie było zabronione, ale rodzice nigdy by im na to nie pozwolili.

Musiał się uciec do gróźb, by przekonać Nika, żeby wybrał się razem z nim. Ru uważał za konieczne, by brat mu towarzyszył, bo w ten sposób, jeśli rodzice się dowiedzą, obaj będą mieli kłopoty. Poza tym to Niko naprawdę musiał zobaczyć, jak walczy Ayt Ato, bo kiedyś będzie musiał rywalizować z nim jako filarem konkurencyjnego klanu. Robił to dla dobra brata.

– Mam egzaminy. Muszę się uczyć – sprzeciwiał się Niko. Miał już piętnaście lat i był na piątym roku w Akademii. – Nasze pięści z pewnością wyślą szpiegów z kamerami wideo, żeby wszystko nagrali. A nawet jeśli tego nie zrobią, znajdzie się mnóstwo informatorów, którzy będą sprzedawali nagrania.

– Nie gadaj! Myślałem, że masz więcej odwagi. – Ru mówił cicho, żeby nie podsłuchała ich Jaya.

Cała rodzina spotkała się na kolacji siódmego dnia, ale jej młodszy członkowie wyszli po posiłku na dwór, by dorośli mogli odbyć tradycyjną rozmowę

w jadalni. Gdyby siostra Ru dowiedziała się, co planują, zażądałaby, żeby zabrali ją ze sobą. Miała dopiero jedenaście lat i była o całe czternaście miesięcy młodsza od niego, stanowczo za młoda, by brać udział w takim przedsięwzięciu. To jednak nie powstrzymałoby jej przed poskarżeniem na nich rodzicom, gdyby nie chcieli jej zabrać.

– Usłyszeć o czymś to nie to samo, co zobaczyć to na własne oczy – nie dawał za wygraną Ru.

– Czy to samo powiesz, kiedy tata spuści ci lanie? – zapytał z nieskrywaną ironią Niko.

Filar kazał, żeby mówił mu „wujku”, z szacunku dla jego prawdziwego ojca, ale chłopcy zawsze nazywali ich rodzicami, jakby byli braćmi.

Ru już dawno się zorientował, że Nika dziwnie trudno jest do czegoś sprowokować, w przeciwieństwie do Jai. Mógł go nazwać tchórzem, idiotą albo paskudną psią mordą, a w odpowiedzi otrzymywał tylko spokojne, wzgardliwe spojrzenie.

– Proszę bardzo. Pójdę sam – oznajmił Ru, odwołując się do swej ostatniej broni.

Wiedział, że z pewnością okaże się ona skuteczna, jeśli będzie gotowy spełnić groźbę, ponieważ bez względu na udawaną obojętność Niko nigdy by nie pozwolił, żeby jego młodszy, kamiennooki brat wpakował się w naprawdę poważne kłopoty.

Nazajutrz, pierwszego dnia, jednocześnie urwali się ze szkoły i spotkali na stacji metra na ulicy Lo Low. Zabezpieczyli tam rowery łańcuchami i dalej pojechali metrem. Nie spodziewali się, by ktokolwiek ich poznał, ale Ru postawił kaptur bluzy, żeby ukryć głowę. Niko miał czapkę z daszkiem i zapinaną na ekspres dresową bluzę, pod którą ukrywał koszulkę z Akademią Kaul Dushurona. Pilnowali się, by nie rozmawiać o niczym, co mogłoby ich zidentyfikować jako członków rodziny Kaulów.

Ru doszedł do wniosku, że nie grozi im niebezpieczeństwo ze strony nieprzyjacielskich zielonych kości. Obaj byli nieletni, a on był kamiennookim i *aisho* zapewniało mu podwójną ochronę. Niemniej matka często mu przypominała, że zawsze mogą się pojawić przypadkowe zagrożenia. Wypadki i nieporozumienia mogły być groźne. Niewłaściwe słowo albo błędna decyzja na terytorium wrogiego klanu często miały straszliwe konsekwencje. Wszystkie dzieci Kaulów znały opowieść o tym, jak Gont Asch, chcąc zastraszyć klan Bez Szczytów, uprowadził wujka Andena, gdy ten miał osiemnaście lat i niechcący trafił do Parku Letniego.

Ru i Niko wysiedli na nieznaną im stacji metra w Małym Młotku i musieli sprawdzić plan, by znaleźć plac, na którym miał się odbyć pojedynek. Gdy już

znaleźli się w pobliżu, łatwo im było trafić na miejsce, podążając za tłumem. Grupa pięści i palców z Góry otaczała kordonem obszar, na którym miała się odbyć walka. Bracia Kaul przepchnęli się do punktu, w którym nie przyciągną niczyjej uwagi, ale zobaczą wszystko wyraźnie.

– To on – wyszeptał Ru.

Ayt Atosho miał dwadzieścia dwa lata i był niską rangą pięścią klanu Góra. Miał na sobie luźne czarne spodnie i tradycyjną skórzaną kurtkę. Na plecach niósł guan dao długości około osiemdziesięciu centymetrów. Rozmawiał ze starszym wiekiem małżeństwem – zapewne jego ciotką i wujkiem z klanu Kobenów – zatrzymał się jednak z uśmiechem, by zrobić sobie zdjęcia ze stronnikami Góry, którzy podeszli do niego z aparatami w dłoniach. Ru nigdy dotąd nie widział Ayt Ata na żywo i musiał z niechęcią przyznać, że fotografie mówiły prawdę. Młody dziedzic Góry był wysoki i przystojny, miał gładką cerę, pomalowane na czerwono włosy, postawione na żel i modnie zmierzwione, a nad brwiami nosił po trzy jadeity. Jeśli czuł się niepewnie przed walką, nie okazywał tego w żaden sposób.

W niewielkiej odległości od Ayta jego przeciwnik spacerował nerwowo w tę i w tę. Nikt w klanie Bez Szczytów nie wiedział zbyt wiele o Niru Vonie, poza tym, że jest młodą pięścią i pochodzi z ubogiej rodziny. Zapewne był mniej więcej w tym samym wieku, co Ayt Ato, ale pokryta dziobami twarz sprawiała, że wydawał się starszy. Pogłoski mówiły, że pokłócił się z Atem o kierowanie palcami. Ato nabijał się z jego stylu przywództwa i południowego akcentu, a Niru zaoferował mu czystą klingę.

Zamiast urządzić pojedynki natychmiast, jak zwykle przy tak drobnych sprawach, przełożono go o tydzień, najwyraźniej wyłącznie po to, by rodzina Kobenów mogła zawiadomić całe miasto. Ayt Ato stał się już początkującym celebrytą i rodzina nie miała zamiaru marnować okazji przyciągnięcia do niego większej uwagi. Wśród zgromadzonych gapiów byli fotografowie z kilku tabloidów.

Ru wyciągnął szyję, licząc na to, że zobaczy przywódców Góry. Czuł nerwowy dreszcz na myśl, że znalazł się tak blisko zielonych kości, o których wiedział tylko tyle, że są wrogami jego rodziny i że zamordowałyby jego ojca, gdyby tylko nadarzyła się okazja. To było tak, jakby przycupnął w dole pełnym węży. Muskularny mężczyzna noszący ciężki naszyjnik pełen jadeitów z pewnością był Aben Sorem, rogiem klanu Góra. Stał w niewielkiej odległości od pojedykowiczów i rozmawiał z dwójką innych pięści, krzyżując ręce na piersi. Nigdzie nie było widać Ayt Madashi.

– Co za cyrk – poskarżył się Niko.

Pojedynek wreszcie się zaczął, z piętnastominutowym opóźnieniem spowodowanym długimi rozmowami prowadzonymi przez Ayt Ata. Tłum się uciszył, gdy obaj przeciwnicy dotknęli czół klingami swych guan dao, oddając sobie nawzajem honory. Niru zaatakował pierwszy. Runął gwałtownie do przodu, po czym wykonał klasyczną sekwencję szybkich cięć. Ato ze spokojem sparował jego ataki i odskoczył do tyłu, posługując się Lekkością. Jego broń przeszywała szybko powietrze, gdy bronił się przed naporem przeciwnika próbującego wypchnąć go poza dostępną przestrzeń. W bezbłędnie wybranej chwili Ayt zszedł z linii ataku i rzucił mocne Odbijanie, trafiając przeciwnika w plecy między łopatkami. Niru zachwiał się i omal nie upadł na kolana.

Ato zrobił krok naprzód, chcąc wykorzystać szansę, lecz nagle się zawahał. Ru zadał sobie pytanie, czy młodej pięści polecono, by nie kończył walki zbyt szybko. Pozwolił, by jego rywal odzyskał równowagę, i czekał, aż zaatakuje znowu. Cięcia Niru były szybkie, ale łatwe do przewidzenia. Białe klingi uderzały o siebie, a potem się cofały. Atakowały, parowały uderzenia i kontratakowały. Dwóch wojowników toczyło bój na niewielkim wolnym terenie. Ato wyraźnie przeszedł do ofensywy. Obaj krwawili z drobnych ran na kończynach, w miejscach, gdzie metal przebił się przez Stal i skórę, ale rany wyglądały na powierzchowne. Żadna z nich z pewnością nie zakończy walki.

Sztych guan dao należącego do Niru zaczął się pochylać ku kamiennej nawierzchni. Młody wojownik spróbował odważnego ataku, rzucając trzy Odbijania jedno po drugim. Ato rozproszył je z największym wysiłkiem. Potem Niru przywołał Lekkość i użył całej swej Siły, by zadać cios z góry. Ato sparował uderzenie, kierując jego impet na bok i w dół, ku ziemi. Niru zatoczył się przed siebie, rozkładając szeroko ręce, by zachować równowagę. Ato podciął jego wysuniętą do przodu nogę i mężczyzna padł na ziemię.

Guan dao wysunęło się z brzękiem z jego dłoni. Podniósł się z wysiłkiem i zobaczył wyciągnięty ku niemu oręż Ayt Ata.

– Poddaję się, Ayt-jen – oznajmił z rezygnacją, lecz bez zaskoczenia.

Jego porażka była raczej duchowa niż fizyczna. Pochylił głowę, opuścił wzrok, zsunął pierścienie z palców i zdjął z szyi naszyjnik z trzema klejnotami, po czym ułożył całą tę zieleń na ziemi w geście kapitulacji.

– Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem.

Wypowiedzenie przysięgi zielonej kości było honorowym gestem poddania się i zapewnieniem lojalności, ale od trzydziestu lat jedyną żyjącą osobą, którą tytułowano „Ayt-jen”, była Ayt Madashi. Wśród gapiów zapanowała nerwowa cisza.

Ato wytarł klingę wewnętrzną stroną rękawa i schował broń do pochwy.

– Moja klinga jest czysta – oznajmił. – Dobrze walczyłeś, Niru-jen. Zdołałem wygrać tylko dzięki temu, że krewni i przyjaciele dodawali mi odwagi.

To były uprzejme słowa i napięcie opadło. Tłum zaszeptał z uznaniem.

Brat trącił Ru łokciem w plecy.

– Dobra, zobaczyliśmy walkę. A teraz idźmy stąd.

Ru podążył za nim z niechęcią. Niektórzy chcieli zostać jeszcze chwilę, żeby porozmawiać.

– To z pewnością nie było równie ekscytujące jak walka Kaul Shaenlinsan z Ayt Madashi dwanaście lat temu – poskarżył się znajomym jakiś mężczyzna. – To dopiero był pojedynek. Od tamtych czasów nie widziałem lepszego.

Ru uśmiechnął się dumny z ciotki. Gdy już znaleźli się daleko od placu, opowiedział bratu, co usłyszał.

– To głupie porównanie – skwitował Niko. – Ayt Ato i Niru Von nie walczyli na śmierć i życie. To był tylko pokaz dla członków Góry i dla wszystkich pozostałych ludzi. Dlatego Niru nieźle się spisał, ale nie dał z siebie wszystkiego. Założę się, że przed pojedykiem zdjął trochę jadeitu. Gdyby wygrał, wszyscy Kobenowie staliby się jego wrogami. Ale on przegrał z honorem i dzięki temu Ayt Ato wypadł dobrze. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby wkrótce otrzymał kopertę wypchaną pieniędzmi.

Nawet jeśli pojedynek był ustawiony, bardzo podekscytował Ru. Dał im też powód, by się urwać ze szkoły i wybrać do Małego Młotka. Chłopcu nadal kręciło się w głowie na myśl o tym odważnym czynie. Poklepał brata po ramieniu.

– Ayt Ato jest dobry, ale ty jesteś lepszy. Na pewno mógłbyś go pokonać.

Niko zerknął ze zdziwieniem na młodszego brata, a potem zmarszczył brwi i przymrużył lewe oko.

– Nigdy nie będę walczył z Ayt Atem – odpowiedział. – Chyba że oba nasze klany legną w gruzach i tylko my dwaj pozostaniemy przy życiu. Lepiej módl się, żeby do tego nie doszło.

– Ważne jest to, że mógłbyś go pokonać – nie ustępował Ru. – W szkole Wie Lona zajął chyba piętnastą lokatę. Nieźle, ale ty na razie jesteś w pierwszej piątce, tak?

Niko zatrzymał się nagle i odwrócił do brata.

– Skąd właściwie o tym wiesz?

Ru rozpostarł dłonie.

– A jak ci się zdaje, keke? Mieszkam w naszym domu i słyszę, jak mama i tata rozmawiają o różnych sprawach. Do tego bliźniacy Juenów są w zasadzie naszymi kuzynami.

Ritto i Din byli o klasę wyżej od Nika w Akademii.

Starszy chłopak zmarszczył brwi, wsadził ręce do kieszeni sportowej kurtki i znowu ruszył przed siebie. Ru wyprzedził brata truchtem i zwrócił się ku niemu, idąc tyłem.

– Kiedy ukończysz Akademię, wszyscy będą wiedzieli, że jesteś lepszą zieloną kością niż ten lalusz. I jesteś też inteligentniejszy. Kiedy będziesz się pojedynkował po raz pierwszy, zaproszę... – Ru obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, dokąd idzie, obejrzał się i zatrzymał gwałtownie. – Co to ma być?

Troje ludzi w czarnych maskach – dwóch mężczyzn i jedna kobieta – oblepiało plakatami ceglany mur przy stacji metra. Na największym z nich napisano: „Uwolnić Kekon od jadeitu i tyranów!”. Pod spodem wymieniono mnóstwo nazwisk. Ayt. Kaul. Maik. Koben. Juen. Iwe. I tak dalej. Trzydzieści najpotężniejszych rodzin zielonych kości w kraju. Resztę muru pokrywały czarno-białe, pochodzące z gazet fotografie osób oskarżonych o tyranie. Powiększone zdjęcia były bardzo ziarniste, ale Ru w mgnieniu oka odnalazł zdjęcia ojca, matki, cioci Shae, wujka Papiego, a także kilku innych przywódców klanu Bez Szczytów, rodziców jego kuzynów i kolegów.

Zalała go fala niedowierzania.

– Co wy wyprawiacie?! – zawołał.

Troje wandalii przerwało pracę i spojrzęło na intruzów. Wyraźnie napinali mięśnie rąk i nóg, gotowi do ucieczki przed policją albo zielonymi kośćmi. Gdy jednak zobaczyli, że to tylko dwóch nastolatków, uspokoili się i ponownie zajęli swoją robotę. Ru rozejrzał się wkoło z furją, wypatrując jakiegoś klanowego palca patrolującego okolicę, kogokolwiek, kogo mógłby poinformować o tym przestępstwie. Nagle jednak przypomniał sobie, że jest na terytorium Góry. Prawie wszystkie pięści i palce tego klanu poszły na plac, by obejrzyć pojedynek.

– Przestańcie! Nie znacie tych ludzi! Jak możecie mówić o nich takie rzeczy?

Ru nigdy dotąd nie krzyczał na dorosłych, ale ci ludzie nie zasługiwali na szacunek. To były męty, ukrywające swą tożsamość niczym złodzieje. Ru wychował się ze świadomością, że jego rodzina ma wrogów, zawsze jednak uważał, że chodzi tylko o klan Góra. Nie spodziewał się zetknąć z nienawiścią przypadkowych nieznajomych.

Był kamiennookim chłopakiem, ale pochodził z rodziny zielonych kości i uczono go, że na zniewagi zawsze trzeba odpowiadać. Wyciągnął karambit.

Niko złapał go za rękę.

– Nie bądź głupi – ostrzegł go cicho.

Ru próbował wyszarpać się z uścisku, ale starszy brat był większy i silniejszy od niego. Ru skierował sztych noża w stronę trójki wandalii, którzy zatrzymali

się na widok noża i gapili się na chłopaków z niedowierzaniem pomieszany z groźbą.

– Nie możemy im na to pozwolić – nie ustępował Ru.

Niko zaczął się oddalać, ciągnąc brata za sobą.

Ru zaparł się obiema nogami, krzyżując mu szyki. Był wysoki jak na swój wiek, a Niko był przyszłą zieloną kością i uczył się w Akademii. Czemu miałiby uciekać?

– Czy nic w tej sprawie nie zrobimy?! – zawołał do brata. – Co by pomyślał tata?

– Tata nie chciałby, żebyśmy tu byli – odwarknął Niko.

Idący ulicą ludzie zatrzymywali się na ich widok. Większość spoglądała z niedowierzaniem na plakaty i oddalała się, ale widok trzymającego w ręce karambit Ru przyciągał uwagę i rozległy się pierwsze szepty.

Jeden z zamaskowanych mężczyzn wskazał palcem braci, a potem zdjęcia na plakacie. „Powinniście się tam znaleźć, razem z całą waszą rodziną”.

Czarny roewolfe G8 podjechał nagle do krawężnika i zatrzymał się z piskiem opon. Przednie drzwi otworzyły się gwałtownie. Z samochodu wyskoczyli Juen Nu i Lott Jin. Róg klanu Bez Szczytów wkroczył na scenę, jakby był gotowy zabić wszystkich obecnych. Ru nigdy nie widział, by tak się wściekł. Troje zamaskowanych wandalów porzuciło sprzęt i uciekło, każdy w inną stronę, odtrącając gapiów na boki. Juen nie zwracał na nich uwagi. Złapał obu chłopaków i popchnął ich w stronę roewolfe’a.

– Wsiadajcie, do cholery – warknął.

Przed roewolfe’em zaparkował srebrny victor GS. Wsiadły z niego trzy zielone kości z Góry – pięść i dwa palce. Pięść przyjrzał się całej scenie – Juenowi, Lottowi, Nikowi, Ru i uciekającym szybko gapiom.

– Juen-jen – odezwał się pięść. – Znalazłeś to, czego szukałeś.

– Powiedz swojemu rogowi, że już odjeżdżamy i że nie było żadnych kłopotów – oznajmił Juen, nadal zaciskając dłoń na koszuli Ru. – W tej sprawie wszyscy tu stoją po zieleńszej stronie. Przywykliśmy rozwiązywać takie małe, głupie problemy bez przyciągania uwagi naszych filarów, czyż nie tak?

Chwila napięcia minęła, nim pięść z Góry przesunął wzrok o kilka stopni i spojrzął na świeżo rozwieszane plakaty.

– Widzieliście, w którą stronę uciekły te bezklanowe psy?

– Było ich troje. Rozdzielili się.

Lott Jin opisał wandalów i wskazał kierunki, w których umknęli.

Pięść z Góry skinął głową i dotknął czoła, oddając honory. Lott otworzył tylne drzwi roewolfe’a i Juen wsadził obu chłopaków do środka. Róg i pierwsza

pięć zajęli miejsca z przodu. Lott włączył się do ruchu. Ru wyjrzał przez okno i zauważył, że zielone kości z Góry odprowadzają ich wzrokiem.

Juen odwrócił się w stronę chłopaków.

– Co wam strzeliło do łba? – zapytał tonem tak gniewnym, że Ru skulił się trwożnie. Róg zawsze był najgroźniejszym człowiekiem w każdym klanie, ale Ru widział w Juenie ojca Ritta i Dina, który mieszkał w rezydencji Kaulów, w domu po drugiej stronie ogrodu. Był surowy i nic nie umykało jego spojrzeniu, ale nie było powodu się go bać. Słyszał, jak inni dorośli nazywali Juen Nu nowoczesnym rogiem, rogiem menedżerem. Mówiono, że dowodzi militarną stroną klanu Bez Szczytów nie dzięki ulicznej charyzmie Kaul Hila czy stoickiej powadze Maik Kehna, lecz dzięki organizacyjnym talentom człowieka grającego jednocześnie trzy partie szachów cyrkularnych. W bieżącej chwili jednak nietrudno mu było uwierzyć, że Juen Nu, jak każdy, kto osiągnął wysoką pozycję po zieleńszej stronie klanu, jest zdolny do przemocy na wielką skalę. – Chcieliście wywołać panikę? Albo wojnę?

– Poszliśmy obejrzeć pojedynek – wyjaśnił Ru. – Właśnie wracaliśmy.

– Pojedynek Ayt Ata? Uważaliście, że warto z tego powodu urwać się ze szkoły i zakraść na terytorium Góry?

Samochód przekroczył granicę między Małym Młotkiem a Starym Miastem, wracając na terytorium klanu Bez Szczytów. Juen wskazał najbliższą budkę telefoniczną. Lott zakręcił ostro i zatrzymał samochód.

Pierwsza pięć wysiadł pośpiesznie i popędził do budki. Juen oparł się o dźwignię zmiany biegów i wyłączył silnik.

– Co robi Lott-jen? – zapytał Ru.

– Jak ci się zdaje, co się wydarzyło, kiedy twoja szkoła zawiadomiła nas, że zniknąłeś? – zapytał Juen. – Mamy protokół alarmowy na takie sytuacje. Zawiadamia się setki naszych pięści i palców we wszystkich częściach miasta. Kiedy w Akademii nie mogli znaleźć Nika, wyprowadzili Jayę z klasy i trzymali ją pod strażą. Była wściekła. Domyśliła się, dokąd obaj poszliście. Musiałem wysłać gońców do Aben Sora, żeby błagać naszych wrogów o pozwolenie na poszukiwania w ich dzielnicach. Wystarczyłaby jedna zmyślona pogłoska, jeden fałszywy świadek, cokolwiek, co sugerowałoby, że któregoś z was skrzywdzono albo porwano, by zaczęło się coś strasznego. Lott właśnie odwołuje poszukiwania, zanim coś się wydarzy. A kiedy cię znalazłem, stałeś z wyciągniętym karambitem, jakbyś zamierzał zacząć walkę uliczną w samym sercu Małego Młotka – zakończył róg podniesionym z niedowierzania głosem.

– Widziałeś, co robili ci ludzie? – sprzeciwił się chłopak.

– Bezklanowi anarchiści wykręcają takie numery w całym mieście – warknął Juen. – Chcą wywołać szok, przyciągnąć uwagę mediów i zdobyć sympatię za

granicą. Członkowie rodziny Kaulów grożący im karambitami są dokładnie tym, czego pragną ci szaleńcy. Musimy złapać i ukarać tych ludzi, ale to zadanie dla mnie jako rogu w naszych dzielnicach i dla Aben Sora na terytorium Góry. Nie dla dwunastoletnich chłopców.

Lott wrócił do samochodu.

– Wszystko w porządku – oznajmił z ulgą. – Mamy ich odwieźć do domu.

Ru zapadł się w siedzenie. Wypełniały go poczucie winy i strach.

– Proszę, wujku Juenie, nie mów mamie ani tacie, że byliśmy w Małym Młotku. Powiedz, że znalazłeś nas w Pasze albo w innym takim miejscu – błagał. – Przynajmniej nie mów mamie.

Ojciec, nawet kiedy się wściekł, łatwiej wybaczał Ru wszelkie wybryki. Ze strony matki chłopiec nie mógł liczyć na taką pobłażliwość.

– Nie możemy zaprzeczyć, że byliśmy w Małym Młotku. Widzieli nas tam ludzie z Góry. – Niko odezwał się po raz pierwszy, odkąd wsiedli do samochodu. – Wujku Juen, to moja wina, że poszliśmy obejrzeć ten pojedynek. Zaryzykowaliśmy wypad do Małego Młotka, bo chciałem zobaczyć, jak walczy Ayt Ato, żeby dowiedzieć się więcej o nim i jego rodzinie.

Na moment zapadła pełna zdumienia cisza.

– Hej, to był mój pomysł! – zawołał wreszcie Ru.

Niko uciszył młodszego brata groźnym spojrzeniem. Albo nauczył się go w Akademii, albo ta umiejętność przychodziła naturalnie do wszystkich mężczyzn z rodziny Kaulów, gdy zbliżali się do dojrzałości, bo Ru nie miał pojęcia, jak ją przywołać.

Juen uważnie przyjrzał się obu chłopcom we wstecznym lusterku. Przymrużył powieki, być może próbując Postrzec, czy Niko mówi prawdę. Chłopak ze spokojem odwzajemnił jego spojrzenie. Zielone kości od dzieciństwa uczyły się kłamać tylko przez pomijanie faktów, a nie bezpośrednio.

– Wujku Juenie, odwieźmy Ru z powrotem do szkoły – ciągnął Niko. – Ma lekcje po południu i nie powinien ich opuścić. Jestem jego starszym bratem i to z mojego powodu poszliśmy obejrzeć pojedynek. Wrócę do domu i odpowiem przed rodzicami.

Ru zacisnął pięść i otworzył usta, chcąc znowu się sprzeciwić, ale nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć. Zawsze podziwiał starszego brata. Niko nigdy się z nim nie drażnił i nie okazywał mu wyższości. Nigdy też go nie uderzył, nawet gdy Ru go rozgniewał. Był przy tym inteligentny i wiedział więcej niż inne dzieci w rodzinie. Czasami jednak chłopiec nie potrafił powstrzymać myśli, że to niesprawiedliwe, że Niko odebrał mu pozycję pierworodnego.

Nie chodziło o to, że uważał się nad sobą, bo był kamiennookim. Wiedział, że nigdy nie będzie nosił jadeitu albo kierował klanem, ale nie czuł się z tego powodu niepełnowartościowy ani niekochany. Rzecz jasna, żałował, że nie może doświadczyć tego, czego doświadczyli jego kuzyni i rodzeństwo, ale ojciec zawsze mu przypominał, że on również ma rzeczy, których nie mają jego brat ani siostra. Na przykład psa Koko, własny pokój, konsolę do gier oraz więcej czasu na piłkę sztafetową.

Niemniej Ro był przekonany, że w relacji między nim a Nikiem to on powinien być szefem. Więcej mówił i zawsze wpadał na nowe pomysły. Niko był cichy i zgadzał się na wszystko – do chwili, gdy się sprzeciwił. Dopiero w momencie, gdy mu to odpowiadało, potrafił nagle stać się pierworodnym synem oraz dziedzicem klanu.

Juen Nu wykonywał wyłącznie rozkazy filaru, ale drwiące spojrzenia i wzruszenia ramion, jakie wymienił z Lottem, powiedziały Ru, że obu mężczyznom zaimponowało to, w jaki sposób Niko wyraził swe zdanie. Mówił rozsądnie, wziął na siebie odpowiedzialność, a przede wszystkim podjął ryzyko, by zdobyć wiedzę mogącą zapewnić mu przewagę nad nieprzyjacielem. Wszystko to świadczyło, że jest naprawdę zielony.

– W porządku, Niko-se – rzekł Juen, znowu przybierając znany Ru ton dobrodusznego wujka.

Po dziesięciu minutach chłopca wysadzono przy wejściu do szkoły. Z ulgą połączoną z urazą śledził wzrokiem samochód, który zawrócił na parkingu i pojechał w stronę domu.

ROZDZIAŁ 23

PRZYJACIELE PRZYJACIÓŁ

Czternasty rok, szósty miesiąc

Wen zjawiała się na Janloońskim Festiwalu Filmowym jako gość Ren Jirhui, artysty, którego poznała przed siedmioma miesiącami podczas obiadu na cele dobroczynne. Na jego zaproszenie wygłosiła mowę na corocznej konferencji Towarzystwa Pomocy Niereaktywnym i udzieliła krótkiego wywiadu, który następnie wykorzystywano w telewizyjnych ogłoszeniach, mających zwiększyć świadomość społeczną i walczyć z uprzedzeniami. Polubiła abukejskiego artystę. Robił na niej wrażenie szczerego, sympatycznego i pełnego pasji. Ucieszyła się, gdy przyznano mu pozycję zastępcy dyrektora artystycznego w filmie produkowanym przez Wybrzeże Kin, jedno z nielicznych dużych studiów filmowych na Kekonie.

Kiedy poprosiła go, by przedstawił ją swym znajomym z branży filmowej, zgodził się, ale zgłosił pewne zastrzeżenia.

– Chętnie bym ci pomógł, pani Kaul, ale nie mam w studiu żadnych wpływów.

– Nie chodzi mi o wpływy – zapewniła. – Po prostu chciałam się czegoś dowiedzieć o produkcji filmów, a wolę poznawać ludzi jako przyjaciół przyjaciół.

Podczas festiwalu Jirhuya przestawił ją aktorom, reżyserom, scenarzystom, a także Sian Kugowi, producentowi filmowemu i współwłaścicielowi Wybrzeża Kin.

– Pani Kaul! – zawołał Sian, spoglądając nerwowo na jej ochroniarzy. – Nie miałem pojęcia, że tu będziesz.

Janlooński Festiwal Filmowy istniał już od sześciu lat i rozrastał się z każdym rokiem, nadal jednak nie stał się powszechnie znany. Kekoński przemysł filmowy był niewielki w porównaniu z sąsiednim Szotarem.

– Lubię uczestniczyć w wydarzeniach kulturalnych, gdy tylko to możliwe. – Teraz stało się to dla niej łatwiejsze, ponieważ lepiej panowała nad własnym ciałem i rzadziej musiała posługiwać się laską. Rzecz jasna, nigdy nie odzyska pełni zdrowia, ale nauczyła się lepiej ukrywać chwile słabości bądź zachwiania równowagi. Większości ludzi jej mowa i sposób poruszania się wydawały się zupełnie normalne. – Panie Sian, czy moglibyśmy porozmawiać chwilkę w barze? Chciałabym ci zadać parę pytań na temat przemysłu filmowego.

Producent chętnie się zgodził.

– Kekoński rynek filmowy jest mały. Trudno nam konkurować z wysokobudżetowymi zagranicznymi filmami, espeńskimi albo szotarskimi. Rzecz jasna, jest też telewizja. Każdy ma w domu aparat i ludzie czekają, aż kasety pojawią się w wypożyczalniach. Mam nadzieję, że Janlooński Festiwal Filmowy nie przestanie się rozrastać i będzie przyciągał coraz większe zainteresowanie.

Wen pociągnęła łyk koktajlu, dla niej był to dziś pierwszy drink, a dla gadatliwego producenta filmowego trzeci.

– Jak pan uważa, dlaczego szotarskie filmy są tak popularne?

Pan Sian zmarszczył nos.

– Dlatego że ludzie mają zły gust! – Roześmiał się. – Muszę przyznać, że Szotarczycy mają jedyny w swoim rodzaju tandetny styl. A ich filmy kryminalne silnie uzależniają. Zawsze pokazują w nich burkliwych, ale bohaterkich szotarskich policjantów, rozwiązujących sprawy morderstw albo spisków. Szotarskie studia filmowe zapewne zatrudniają więcej kekońskich aktorów, niż my, tylko po to, by grali *barukanów*.

– To znaczy, że kiedy zagraniczni widzowie widzą kekońskich aktorów, to z reguły grają oni przestępców w szotarskich filmach – skwitowała Shae. – Czy nie martwi to pana jako kekońskiego producenta?

Sian wzruszył ramionami.

– Martwi, ale taki jest kapitalizm. Szotar to duży rynek i jeśli aktorzy mogą zarobić na życie, grając takie stereotypowe role, to co na to poradzić?

– Pamiętam, że kiedy byłam małą, moi bracia ciągle czytali komiksy o Baijenie. I były też filmy o czasach okupacji, pokazujące bohaterkie zielone kości walczące z Szotarczykami.

– Ja też się na nich wychowałem, ale filmy wojenne nie są w tej chwili popularne, a za granicą nie ma popytu na kekońską mitologię – stwierdził producent. – Staram się skupić działalność Wybrzeża Kin na filmach o średnim

budżecie, mających większe szanse na dystrybucję za granicą. Filmy akcji, thrillery szpiegowskie, dramaty i horrory.

– Panie Sian, nie jestem bizneswoman i nie wiem zbyt wiele o branży filmowej, ale mam pewien wpływ na filar i prognostyczkę – stwierdziła z uśmiechem Wen. Przerwała na chwilę. Zauważyła, że choć Sian pije już czwartego drinka, nadal jest w stanie przyciągnąć jego uwagę. – Co byś powiedział na projekt rozbudowy kekońskiego przemysłu filmowego?

* * *

Wen przekonała męża, że powinni wybrać się na wakacje, tylko we dwoje. Niko i Jaya byli w Akademii i zawsze mogli zadzwonić do wujków albo ciotek, gdyby czegoś potrzebowali. Ru zostanie kilka dni z ciotką Liną i kuzynem Camem, a poza tym do końca miesiąca nie wolno mu było spotykać się z kolegami. To była kara za wybryk, którego dopuścił się razem z bratem. Hilo i Wen nie mieli wątpliwości, czyj to był pomysł.

– Dokąd chcesz pojechać? – zapytał Hilo. – Do Marenii? Toshonu?

– Gdzieś dalej. Miałam na myśli Marcucuo.

– Marcucuo? – Hilo uniósł brew. – Dlaczego akurat tam? – zapytał z namysłem.

– Cały czas o nim słyszymy – odpowiedziała Wen. – Czemu nie wybrać się tam, żeby zobaczyć wszystko na własne oczy?

Maleńkie wyspiarskie państwo-miasto Marcucuo leżało nieopodal wschodnich wybrzeży Alusiusa. Oficjalnie liczba jego ludności wynosiła zaledwie osiemset tysięcy, ale przebywało tam pięć razy więcej gości, tymczasowych mieszkańców oraz cudzoziemskich robotników.

Marcucuo było rajem podatkowym dla bogatych i sławnych, tropikalnym edenem dla turystów, gdzie można było znaleźć wszelkie możliwe formy rozrywki i hazardu. Zielone kości mówiły o tej wyspie z pogardą pomieszaną z fascynacją, ponieważ była jedynym miejscem na świecie, gdzie jadeit otwarcie wykorzystywano do sportu i rozrywki. Można tam było obejrzyć pojedynki na arenie, popisy kaskaderskie oraz transmitowane przez telewizję zawody na torach przeszkód. W żyłach wielu uczestników płynęła kekońska krew. Najczęściej byli to Keko-Szotarczy i Keko-Espeńczycy. Często trafiali się też używający błysku cudzoziemcy – samoucy albo dawni żołnierze. Zdarzali się również rodowici Kekończycy, przynoszący hańbę prawdziwym zielonym kościom – ludzie, którzy odziedziczyli jadeit po przodkach albo zdobyli go dzięki szkoleniu, lecz nie złożyli przysięgi klanowej ani nie zajęli się którymś ze szlachetnych zawodów.

Wen wiedziała, co o tym wszystkim sądzi Hilo.

– Dawanie jadeitu cyrkowym małym to marnotrawstwo – stwierdził. – Czemu mielibyśmy dawać im zarobić?

– Cokolwiek sądzisz na ten temat, ludzie z obcych krajów będą używali jadeitu inaczej od nas, a niektórzy Kekończycy uznają cudzoziemskie zwyczaje za atrakcyjne. Walczyliśmy z Górą, Te Pasuiga, *barukanami* z gangu Matyów i espeńskimi paczkami. Wszystkie te grupy wypaczały prawdziwy sens jadeitu. Być może jednak za mało zastanawialiśmy się nad tym, jak sami powinniśmy ukształtować jego znaczenie, żeby przystosować je do współczesnej kultury i czerpać z tego korzyści.

Hilo przyjrzał się jej z uwagą.

– To nie będą prawdziwe wakacje, prawda?

– Pewnie, że będą – odparła, zerkając na męża z urazą. – W Marcucuo można znaleźć wiele ciekawych atrakcji, a pogoda jest piękna. Będziemy chodzili na plażę i chciałabym też zrobić zakupy. Jeśli przy okazji dowiemy się paru rzeczy albo porozmawiamy z ludźmi, którzy mogą się okazać użyteczni dla klanu, to tym lepiej.

Była przyjemnie zaskoczona, kiedy jej mąż zgodził się na wycieczkę, nie zadając dalszych pytań. Hilo był z natury bezpośredni. Nieraz słyszała, jak przemawiał ostro do swoich ludzi, domagając się szczegółów, kiedy nieopatrznie oferowali mu tylko ogólniki albo spekulacje. Wen jednak trzymała swe pomysły w ukryciu, dopóki nie stawały się bliskie rzeczywistości. Czasami zazdrościła Shae i Woonowi swobody, z jaką współpracowali. Nadal nie zdołała jej osiągnąć w relacjach z mężem. Choć cieszyła się, że wreszcie może rozmawiać z nim otwarcie o sprawach klanowych, widziała, że Hilo nie jest zadowolony z tego, że jej nowa rola filarowego przenika w wolny czas, który ze sobą spędzają. Łatwiej było rozmawiać o sprawach zawodowych, gdy oboje byli szczęśliwi jako mąż i żona.

Dlatego po drugiej nocy spędzonej przez nich w połączonym z kasynem hotelu Złota Wieża, zbudowanym przy Placu Łaski, Wen nie śpieszyła się z rozpoczęciem rozmowy. Po przebudzeniu kochali się, a potem leżeli w łóżku przez długi czas, zmęczeni i spoceni.

– Dziś wieczorem idziemy na przyjęcie – oznajmiła wreszcie. – W rezydencji Sela Lucanito. To tomasciański potentat przemysłu filmowego i hazardu, właściciel Spektaklu Jeden, największej firmy promującej jadeitowe dyscypliny sportowe.

Hilo przetoczył się na łóżku i usiadł.

– No dobra – odpowiedział stanowczo. – Już wystarczająco długo ukrywasz przede mną, co właściwie może nam dać pobyt tutaj. Wytłumacz swojemu

filarowi, dlaczego powinien iść na to przyjęcie.

Spojrzała na niego. Jadeit na jego ciele lśnił we wpadających przez okna snopach tropikalnego blasku.

– Pamiętasz, jak rozmawiałam z tobą i z Shae o tym, że klan Bez Szczytów powinien zainwestować w Wybrzeże Kin i w kekoński przemysł filmowy?

– I co?

– Piarowa kampania, jaką Shae rozpoczęła w Espanii, uświadomiła mi, że w dzisiejszych czasach toczy się również wojna innego rodzaju. Wojna o ludzkie myśli i uczucia. Kobenowie już o tym wiedzą. – Nadal była wściekła na myśl o tym, jak łatwo Koben Yiro przyćmił ją swoją wojowniczą retoryką. – Podobnie jak Ruch Bezklanowa Przyszłość, który przedstawia jadeit oraz zieleń jako przestarzałe i złe. Niektórzy w to wierzą, kiedy przeczytają w gazecie o wykorzystaniu jadeitu w zagranicznych wojnach albo obejrzą film, w którym czarnymi charakterami są *barukani*. – Wstała i podeszła do kredensu. – Możemy to zmienić.

Hilo zapalił papierosa. Odwróciła się, chcąc obrzucić go skwaszonym spojrzeniem – próbowała go nakłonić do rzucenia nałogu – ale w końcu byli na wakacjach.

– Nie będziemy się zajmować jadeitowym sportem – oznajmił zdecydowanym tonem Hilo.

– Zgoda. Ale możemy się na nim wzorować.

Nagle zadzwonił stojący na biurku telefon. Wen podniosła słuchawkę.

– Przepraszam, że przerywamy wam wakacje – usłyszała głos Juena. – Czy jest tam Hilo-jen?

Wręczyła słuchawkę mężowi.

Umyła się i ubrała, podczas gdy Hilo rozmawiał z rogiem. Palił papierosa i spacerował po pokoju, oddalając się od biurka na taką odległość, na jaką pozwalała długość przewodu.

– Dziś w nocy pięć naszych zielonych kości wpadło w Lukangu w zasadzkę i zginęło – poinformował żonę. – Nikt, kogo znasz – dodał pośpiesznie, widząc jej niepokój. – To byli członkowie Jedności Sześciu Dłoni, którzy postanowili złożyć przysięgę klanowi Bez Szczytów. Góra dowiedziała się o tym i wyszeptła ich imiona.

Gniewnie zgasił papierosa w popielniczce.

– Czy musimy wracać do domu? – zapytała zaniepokojona Wen.

Hilo potrząsnął głową.

– Juen panuje nad sytuacją.

Wen usiadła na końcu łóżka i patrzyła, jak jej mąż się ubiera. Pogoda była piękna, a niebo bezchmurne. Z hotelowego ogrodu dobiegał śpiew ptaków oraz

unosząca się w powietrzu woń kwiatów. Jednakże Wen wiedziała, że sielanka nie może trwać wiecznie i gdziekolwiek będą, nie uciekną przed klanową wojną i knowaniami wrogów.

Hilo skończył zapinać koszulę, podszedł do żony, ujął ją za podbródek i pocałował w czubek głowy.

– Ayt Mada nie zepsuje nam wakacji – zapewnił. – Po powrocie do domu będę musiał załatwić kilka spraw, ale na razie bawmy się dobrze.

* * *

Po ośmiu godzinach przywitano ich w holu trójskrzydłowej posiadłości w alusjańskim stylu, o ścianach pokrytych stiukiem. Jej właścicielem był Sel Lucanito. Wen jako żona filaru i filarowy spotykała wielu bogatych i potężnych ludzi, ale z reguły byli oni powiązani z klanem Bez Szczytów i pragnęli audiencji u jej męża. Teraz znalazła się w domu nieznanego cudzoziemca, gdzie nie było żadnych klanowych pięści ani palców. To było coś zupełnie innego. Nie była zaniepokojona – w końcu towarzyszył jej Hilo – ale miała wrażenie, że nie jest w swoim żywiole. Bez względu na to, jak potężny mógł być klan Bez Szczytów, Kekon był niewielkim krajem i na świecie nie brakowało ludzi mających więcej pieniędzy i wpływów niż ktokolwiek na całej ich wyspie. Wielu takich ludzi przybywało na Marcucuo, by znaleźć rozrywkę w wielkim stylu i spotkać się z innymi milionerami.

Sel Lucanito zajmował wiele miejsca nie tylko z powodu swego wzrostu – przewyższał o głowę prawie wszystkich mężczyzn w sali – lecz również z uwagi na swą żywiołą hiperaktywność. Multimilioner miał posiadłości w Tomascio, Espenii i Marcucuo, mówił w trzech językach i był właścicielem licznych kasyn, sieci telewizyjnej oraz Spektaklu Jeden. Choć nigdy nie zetknął się z żadnym z Kaulów, wiedział, kim są. Każdy, kto zajmował się interesami mającymi jakikolwiek związek z jadeitem, musiał słyszeć o klanach zielonych kości. Zadał sobie nawet trud nauczenia się kekońskich słów „niech bogowie opromienią was swą łaską”, by osobiście przywitać Kaulów. Z typową dla Tomascian uprzejmością zgiął się w ukłonie niewiarygodnie zgrabnym u kogoś jego wzrostu, po czym uściśnął ich dłonie z pełnym ciepła entuzjazmem.

– Jestem zachwycony, że zechcieliście tu przybyć – zaczął po espeńsku. – Darzę wielką miłością jadeitowe umiejętności oraz tradycję waszego kraju. Dlatego bardzo ekscytuje mnie projekt przedstawienia globalnej publiczności ich unowocześnionej wersji. Z chęcią zobaczyłbym też więcej kekońskich zawodników w zawodach w jadeitowych dyscyplinach sportu. Nic nie przyciąga

publiczności bardziej niż mistyczna aura tradycyjnych wojowników zielonej kości.

Hilo obdarzył medialnego potentata uśmiechem, jaki rezerwował dla ludzi, których chciał traktować uprzejmie, mimo że jego opinia o nich nie była zbyt wysoka. Wen często widziała, jak uśmiechał się w ten sposób do polityków, biurokratów i stawiających przesadne żądania latarników. Z pozoru wyglądało to jak jego zwykły ironiczny uśmieszek. Tylko ten, kto dobrze znał filar, potrafił zajrzeć w jego oczy i zobaczyć, że nie ma w nich ciepła towarzyszącego jego prawdziwym uśmiechom. Ucisnęła lekko jego dłoń, by mu przypomnieć, że powinien okazywać kurtuazję wszystkim, nawet temu cudzoziemcowi, którego prawdziwą pasją było zarabianie pieniędzy na jadeitowych umiejętnościach innych.

– To wspaniałe przyjęcie – stwierdził Hilo, mówiąc po espeńsku z wyraźnym akcentem. Wskazał głową bogaty wystrój, tłum gości w eleganckich strojach oraz obfitość jedzenia i alkoholu. – Żona mi powiedziała, że skoro już odwiedziliśmy Marcucuo, nie możemy pozwolić, żeby ominęła nas taka okazja.

Sel Lucanito uśmiechnął się szeroko i wskazał ręką tłum gości.

– Bawcie się dobrze! Jest mnóstwo spraw, o których moglibyśmy porozmawiać, i mam nadzieję, że to zrobimy, ale nie chcę monopolizować waszego czasu. Jesteście pierwszymi przywódcami klanu zielonych kości, jakich mam przyjemność gościć. Wszyscy będą chcieli was poznać.

– Słyszałam, że Danny Sinjo będzie na tym przyjęciu? – odezwała się pośpiesznie Wen, jakby nagle nasunęła się jej ekscytująca myśl. – Czy to prawda, panie Lucanito? Bardzo bym chciała go poznać.

Lucanito z zadowoleniem potwierdził, że Sinjo rzeczywiście tu jest. Zaprowadził Hila i Wen nad basen, gdzie przedstawił ich keko-espeńskiemu gwiazdorowi jadeitowego sportu, jego dziewczynie i jego menedżerowi. Danny Sinjo rzeczywiście miał urodę gwiazdy filmowej. Jego oczy przyciągały uwagę, zarys szczęki był pozbawiony wad, miał też budowę i postawę prawdziwego wojownika. Jak wszyscy Keko-Espeńczycy ukrywał swój jadeit, ale Wen potrafiła sobie wyobrazić, że na ulicach Janloonu wzięto by go za pięść, gdyby nie długie, nierówno przycięte włosy i twarz nieco zbyt ładna, by pasowała do reszty obrazu.

Sinjo był wyraźnie zaskoczony, gdy mu ich przedstawiono. Odstawił drinka i ucisnął im dłonie.

– A niech mnie. To naprawdę coś.

– Gratuluję wspaniałego zwycięstwa – rzekła Wen.

Sinjo niedawno pokonał przeciwnika z Szotaru i obronił tytuł superczempiona w telewizyjnym programie Wojownik Świata, nadawanym

przez Spektakl Jeden. Wen po raz pierwszy usłyszała o Dannym Sinjo od Andena, który opisał jej subkulturę nielegalnego jadeitowego sportu w Resville po swej pierwszej wizycie w tym espeńskim mieście. Od tej pory z zainteresowaniem śledziła karierę Danny'ego. W oczach Hila mógł on nie być prawdziwą zieloną kością, ale nie sposób było zaprzeczyć, że ma duży jadeitowy talent. Pochodził z rodziny zielonych kości, która wyemigrowała do Espenii. Był dobrze wykształcony i często odwiedzał Kekon, by uczyć się od najlepszych instruktorów. A teraz został też aktorem. Wystąpił już w jednym szotarskim filmie i mówiło się o dalszych rolach.

– Mówisz po kekońsku, Sinjo-jen? – zapytał Hilo.

Danny zamrugnął zaskoczony. Wen podejrzewała, że choć jego sława rosła, nikt dotąd nie zwrócił się do niego honorowym tytułem należnym zielonym kościom. Wen zdziwiła się też, że Hilo go użył. Tym razem jej mąż uśmiechał się szczerze.

– Trochę mówię, ale niezbyt dobrze – odpowiedział po kekońsku Sinjo.

– Nie ma sprawy – odparł Hilo. – Mówisz całkiem niezłe, a ja w miarę znam espeński. Jakoś sobie poradzimy. Miło zobaczyć w tym tłumie kekońską twarz. Mój kuzyn widział cię przed laty w Resville. A teraz moja żona została twoją fanką i uparła się, że musimy się z tobą spotkać.

Sinjo nie sprawiał wrażenia skromnego człowieka. Wen widziała w telewizji, jak popisował się przed publicznością. Teraz jednak, gdy spojrzał na Kaulów zabrakło mu słów.

– Na jaja Wieszcza. To dla mnie zaszczyt.

– Myślałeś kiedyś o powrocie na Kekon? – zapytał Hilo.

– Szczerze mówiąc, nie. Bez obrazy, ale tam nie ma dla mnie nic atrakcyjnego.

– Może się okazać, że coś jednak jest. Bez względu na to, ile walk wygrasz dla Lucanita, czy ilu złoli zagrasz w szotarskich filmach, twoja twarz nadal będzie kekońska. Nikt nie doceni cię tak, jak rodacy. – Hilo położył dłoń na ramieniu Sinja i podał mu drinka zdjętego z tacy przechodzącego obok kelnera. –

Przy basenie jest za duży tłok. Może przejdziemy się kawałek, żeby pogadać w spokoju? Twój menedżer może iść z nami, jeśli chcesz.

Wen uśmiechnęła się i wdała w rozmowę z dziewczyną Sinja – szczupłą, jasnowłosą Espenką – by mężczyźni mogli oddalić się spokojnie i porozmawiać o poważnych sprawach. Na przyjęciu robiło się coraz tłoczniej i hałaśliwiej. Zaczęła grać orkiestra, a kilku pijanych gości wpadło do wielkiego basenu wypełnionego niebieską wodą. Jednakże Wen czuła spokój. Widziała pełną zachwyty minę Sinja. Prawie wszyscy, którzy nosili jadeit, bez względu na wychowanie, narodowość albo pochodzenie, traktowali zielone kości z Kekonu

z szacunkiem i bojaźnią. Początkujący aktor, jakim był Danny Sinjo, nie oddalił się jeszcze od swego dziedzictwa tak bardzo, by mógł nie rozumieć znaczenia faktu, że przyciągnął uwagę filaru klanu Bez Szczytów.

Wen niezachwianie wierzyła w zdolności perswazji swego męża. Hilo potrafił przekonać każdego człowieka, z którym się zaprzyjaźnił. Jutro rano zadzwoni do Biura Prognozy, do swojej szwagierki. Pod koniec tygodnia Sian Kugo będzie latarnikiem klanu Bez Szczytów, Wybrzeże Kin będzie należało do nich, a Danny Sinjo będzie grał w ich filmach.

ROZDZIAŁ 24

WRESZCIE SIĘ ZACZEŁO

Bero był zaskoczony, gdy pewnego wieczoru odebrał telefon i usłyszał w słuchawce głos Emy. Nigdy przedtem nie rozmawiał z nią przez telefon, mimo że wielokrotnie pytał ją o numer. Na polecenie Gala próbował się z nią zaprzyjaźnić, nawet postawił jej kiedyś makaron w restauracji, ale nadal nie udało mu się dostać między jej nogi. Ku niezadowoleniu swych espeńskich mocodawców nie dowiedział się też niczego o szczegółach planów Vastika eya Molovni. Nadal rozważał możliwość zgwałcenia Emy, ale jeśli pieprzyła się z Molovnim, brzydki ygutański skurwysyn mógłby go zabić, a przynajmniej wywalić z grupy, a to oznaczałoby koniec zyskowej umowy z Espeńczykami.

Gdy Ema powiedziała mu, że nikomu nie zdradza swojego numeru, podał jej swój. Ale nigdy do niego nie zadzwoniła. Do tej chwili.

– Mówi Ema – zaczęła. – Ze spotkań bezklanowych.

– Hej – odpowiedział Bero. Zasepił się, lecz jednocześnie ogarnęła go ekscytacja. – Zadzwoniłaś do mnie.

– Posłuchaj, wiem, że nie traktowałam cię zbyt dobrze. Trudno mi się zbliżyć do innych ludzi. Wiem, że czasami wydaję się nieuprzejma. – Przerwała na chwilę. – Czy moglibyśmy spotkać się dziś wieczorem?

Bera kociło, by odmówić zarozumiałej suce, ale ten impuls minął w mgnieniu oka.

– Jasne – zgodził się, starając się nadać głosowi nonszalanckie brzmienie. – W tej chwili nie jestem niczym zajęty. Dokąd chciałabyś się wybrać?

– Nie mam ochoty nigdzie wychodzić – odpowiedziała Ema po chwili milczenia. – Nie dzisiaj. Mam butelkę hoji. Przyjdiesz?

Bero się zgodził. Po drodze kupił na straganie torebkę gorącego smażonego chleba, a w aptece paczkę prezerwatyw. Ema mieszkała w starym dwupiętrowym budynku w Pralni, za wypożyczalnią kaset wideo dla dorosłych. Wszedł na

najwyższe piętro i zapukał do drzwi jej mieszkania. Otworzyła je, uśmiechnęła się bez słowa i pozwoliła mu wejść. Miała na sobie tylko biały szlafrok. Pod spodem nie było bielizny. W mieszkaniu czuło się wilgoć i zapach kwiatów pomarańczy. Zapewne przed chwilą wzięła kąpiel. Otworzyła też butelkę hoji, nie czekając na jego przybycie.

– Smażony chleb! Dzięki bogom! – zawołała i wzięła sobie pasek.

Choć Bero gorąco pragnął zabrać się od razu do rzeczy, rozejrzał się z ciekawością po jednopokojowym mieszkaniu. Było małe, jeszcze mniejsze od tego, w którym mieszkał on, ale Ema miała sporo drogiego sprzętu. Telewizor LCD i wieżę stereo z magnetofonem kasetowym. W otwartej szafce było pełno markowych ubrań, torebek i butów, a leżącą na kredensie biżuterię wykonano z prawdziwego złota. Nie potrafił pojąć, dlaczego mieszkała w tej dzielnicy, jeśli miała pieniądze na takie rzeczy.

Rozciągnął usta w drwiącym uśmiechu. To na pewno były prezenty od bogatych mężczyzn.

Pomyślał z niechęcią, że jego espeńscy mocodawcy z pewnością chcieliby, żeby wykorzystał to spotkanie do zdobycia informacji. Nie dostrzegając w mieszkaniu żadnych wskazówek dotyczących życia osobistego Emy, pomijając oprawioną w ramki fotografię rodziny stojącą na kredensie. Mężczyzna, kobieta, trzech chłopaków i dwie dziewczyny stali na łodzi, a za plecami mieli ocean. Ema była nastolatką, drugim dzieckiem pod względem wieku. Stała u boku starszego brata, który był zieloną kością.

– Chodź do mnie – odezwała się, klepiąc dłonią kanapę, i naląła mu kieliszek hoji.

Bero zdjął marynarkę, wziął kieliszek i usiadł obok niej.

– Dlaczego tak nienawidzisz klanów, skoro twój brat jest zieloną kością? – zapytał.

Ema uniosła kieliszek do ust i wypła łyk.

– Mój brat nie żyje – odpowiedziała. Odstawiła kieliszek i znowu go napełniła. – Skazano go na śmierć. – Skierowała na Bera spojrzenie błyszczących oczu. – A co z tobą? Masz rodzinę?

– Nie – odpowiedział Bero.

– Nie masz nikogo bliskiego?

Trunek palił mu gardło i wypełniał ciało ciepłem.

Pomyślał o ludziach, z którymi zadawał się w ciągu minionych lat, zwłaszcza o tych, których mógł uważać za przyjaciół. Sampa. Pyskaty. Mudt. Wszyscy już nie żyli albo go opuścili. Do nikogo nie zbliżył się na dłużej.

– Coś zawsze stawało na przeszkodzie – odparł. – Jadeit. Jadeit zawsze stawał na przeszkodzie.

– Przykro mi z tego powodu. – Nie sprawiała wrażenia, by z niego drwiła. Po prostu była szczerą. Przysunęła się bliżej. Jej szlafrok się rozchylił. Bero zobaczył piersi i czarne sutki. – Myślisz, że bogowie istnieją? – zapytała niespodziewanie. – Że widzą nas i osądzają, jak mówią pokutnicy?

Członek męczyzny pulsował nieprzyjemnie, napierając na spodnie. Bero zmarszczył brwi. Nigdy nie zastanawiał się głębiej nad tym pytaniem. W jego życiu często zdarzały się niespodziewane zwroty oraz uśmiechy fortuny i czasami myślał, że z pewnością jakaś siła wyższa obserwuje go z uwagą, ciskając nim w różne strony jak kot myszą.

Zdarzały się jednak chwile, gdy myślał, że nic takiego nie istnieje, a zdesperowani ludzie ulegają złudzeniom i trudzą się na darmo, dostrzegając znaki i regularności tam, gdzie ich nie ma. W niczym, czego dokonał w życiu, nie dostrzegał elementów większego obrazu. Takiego obrazu po prostu nie było. Szczęście i pech się równoważyły. Czasami ślizgał się po powierzchni wody, a w innych chwilach zapadał w czeluść, ale pozostawał tylko rybą pływającą w niepoznawalnym, bezlitosnym oceanie.

– Nie sądzę, by to miało znaczenie – odpowiedział po chwili. – Jeśli dali mi takie główniane życie, chuj mnie obchodzi, co o mnie myślą.

Ema spojrzała mu w oczy.

– Zgadzam się.

Wyjęła jego penisa z rozporoka i pochyliła się ku jego kroczu. Jej wilgotne włosy opadały mu na brzuch. Zaczęła ssać. Gdy był już blisko wytrysku, pociągnął ją na kanapę i zaczęli się pieprzyć. Potem przeszli na jednoosobowe łóżko i robili to znowu. Podczas stosunku zamykała oczy, a w jej ruchach wyczuwało się nieubłaganą desperację, mechaniczną i gniewną. Nawet nie kazała mu włożyć prezerwatywy. Kiedy skończył, nadal siedziała na nim okrakiem i pocierała się intensywnie, aż osiągnęła orgazm. Bero był szczerze zdumiony. Odrzucała go przez lata i wolałby, żeby nadal demonstrowała swą zwykłą wyniosłość, być może opierała się trochę albo stawiała wyższe wymagania. Seks był dobry, nawet bardzo dobry, bo w końcu to był seks, ale pod tak długim oczekiwaniu Bero czuł się nieco rozczarowany.

Potem miał ochotę zasnąć, ale mu na to nie pozwoliła.

– Musisz już iść – oznajmiła, potrząsając nim.

Przetoczył się na drugi bok, mamrocząc gniewnie, ale szarpnęła nim znowu. Uniósł głowę z irytacją. Parę godzin temu Ema była pijana i napalona, a teraz wstała i zarzuciła szlafrok, dziwnie trzeźwa i zdeterminowana, choć jej oczy miały lekko nieobecny wyraz.

– To się wydarzy jutro – oznajmiła mu. – Jutro.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co jej chodzi. Potem usiadł.

– Co się wydarzy jutro? – Obudził się już całkowicie. – Mówisz o tym, co planowałaś z Molovnim i tamtymi? O wielkim uderzeniu bezklanowych?

Napisała coś na karteczce i wręczyła ją Berowi.

– Przyjdź pod ten adres w Dzielnicy Portowej jutro o czwartej po południu. Tam się spotkamy, kiedy będzie już po wszystkim. Vastik będzie czekał z łodzią, żeby wywieźć nas z kraju.

– Wywieźć z kraju? – powtórzył zdziwiony Bero, łypiąc ze złością na trzymaną w dłoni kartkę. – Dlaczego mi to dajesz? Molovni nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Nawet nie wtajemniczył mnie w swój plan.

Ema pochyliła się ku niemu i dziwnie niewinnie pocałowała go w policzek.

– Teraz już jesteś wtajemniczony – oznajmiła. – Dlatego że jesteś moim przyjacielem. Vastik nie będzie miał wyboru.

– To znaczy, że Vastik zrobi wszystko, co chcesz? – zapytał Bero przesyconym zazdrością tonem.

Roześmiała się bez śladu wesołości.

– Molovni musi robić to, co mu każą jego panowie w Dramsku. Nienawidzę klanów, ale to jeszcze nie znaczy, że kocham Ygutańczyków. – Wręczyła Berowi jego koszulę i spodnie. Gdy wkładał je z niechęcią, pogrzebała w torebce i wyjęła zwitek banknotów. – Masz. – Wręczyła mu je. – Jest już późno. Weź taksówkę.

– To więcej, niż potrzeba na przejazd taksówką – zauważył, spoglądając na pieniądze. Przyjął je jednak i schował do kieszeni. – Czemu nie powiesz mi, co zamierzasz zrobić? No wiesz, mógłbym ci pomóc.

Wiedział, że jego głos zabrzmiał jak gniewne skomlenie.

Ema uśmiechnęła się do niego ze smutkiem i ciaśniej otuliła się szlafrokiem.

– Już mi pomogłeś. Potrzebowałam dziś porządnego ruchania i dałeś mi je. – Otworzyła przed nim drzwi. – Siedź jutro cicho i przyjdź na czas pod ten adres.

* * *

Po powrocie do mieszkania Bero połączył się ze specjalnym numerem, który dostał od Espeńczyków. Miał go używać tylko w pilnych sprawach: jeśli wyjdzie na jaw, że jest donosicielem, zagrozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo albo zdobędzie jakąś bardzo pilną informację. Było już po północy. Telefon odebrano po trzecim sygnale.

– Kto tam? – usłyszał senny głos Gala.

– Sum. – Bero skrzywił się boleśnie. Nadal nienawidził swego kryptonimu. – To będzie jutro. Cokolwiek Molovni zaplanował z przywódcami bezklanowych, to wydarzy się jutro.

– Skąd wiesz? – zapytał nagle w pełni wybudzony Galo.

– Od tej dziewczyny. Emy. Wreszcie mi się z nią udało. Byłem w jej mieszkaniu i tak dalej.

– Czego dokładnie się od niej dowiedziałeś?

– Nie chciała mi powiedzieć zbyt wiele – poskarżył się Bero. – Wiem tylko, że to ma się wydarzyć jutro i że Molovni ma plan, który umożliwi im ucieczkę z kraju.

– Jaki jest jej adres? – zapytał Galo.

Bero się zawahał. Nagle wyobraził sobie, że espeńscy żołnierze wpadają do budynku w Pralni, rozwalają drzwi Emy, wywlekają ją z mieszkania, ciskają na tylne siedzenie nieoznakowanego pojazdu i wiozą do espeńskiej bazy wojskowej, gdzie zniknie na zawsze.

Nie był pewien, dlaczego ta myśl wzbudziła w nim niepokój. Ledwie znał tę dziewczynę. Od dawna chciał pójść z nią do łóżka i wreszcie mu się udało, ale to jeszcze nie znaczyło, że jest jej cokolwiek winien. Przez kilka lat traktowała go jak wyniosła suka, a jeśli się nad tym zastanowić, dzisiaj też nie była zbyt uprzejma, bo po prostu wyrzuciła go za drzwi. Natomiast Espeńczycy mogli być aroganccy i wymagający, ale dobrze mu płacili. Nie rozumiał, czemu czuje opory.

– Co jej zrobicie? – zapytał.

Galo również zdziwił się tym pytaniem.

– Czemu cię to obchodzi?

– Po prostu chcę to wiedzieć – warknął Bero. – To tylko dziewczyna, tak? Dała się wciągnąć w ten syf *barukanom* i temu ygutańskiemu zbirowi. Co jej zrobicie, jeśli podam wam jej adres?

Na drugim końcu połączenia zapadła długa cisza.

– Zaskakujesz mnie, Sumie – wymamrotał wreszcie Galo. – Akurat w tej chwili musiały się pojawić u ciebie załączki sumienia? Nie skrzywdzimy jej – zapewnił łagodniejszym głosem. – Nawet nie zdradzimy swej obecności, jeśli nie będziemy musieli. Twoja dziewczyna jest kontaktem prowadzącym do Molovniego, a Molovni zaprowadzi nas do działań ygutańskiej armii i programu szkolenia nekolvów. Zapewniam, że z naszej strony nic jej nie grozi. – Bero nadal milczał. – Podaj ten adres, Sumie – warknął ostrzejszym tonem Galo.

Bero to zrobił. Poczul w żołądku dziwny ucisk. To mu się nie spodobało.

– A co ze mną? – zapytał. – Co mam zrobić? Co, jeśli Molovni i bezklanowi dowiedzą się, że na nich donosiłem?

– Nic nie rób – odpowiedział Galo. – Trzymaj się z dala od wszystkich. Jeśli zagrozi ci niebezpieczeństwo, wyciągniemy cię. Trzymaj ten numer pod ręką

i nic nikomu nie mów. – Przerwał. Bero usłyszał, że mówi szybko do kogoś po espeńsku. – Czy możesz nam powiedzieć coś więcej? – zapytał po chwili.

Bero wyjął z kieszeni kartkę i potarł ją palcami. Jeśli Ema nie zaprowadzi Espeńczyków do Molovniego i jego współspiskowców, jej treść z pewnością pozwoliłaby im znaleźć ich wszystkich o czwartej po południu.

Ale bezpieczny azyl i ucieczka za granicę... to byłoby bardzo użyteczne dla Bera. Na wypadek gdyby coś poszło źle. Albo gdyby Espeńczycy zostawili go na lodzie.

– Nie – odpowiedział. – To by było wszystko.

– Dobrze się spisałeś, Sumie – odparł Galo i odłożył słuchawkę.

ROZDZIAŁ 25

WIELKIE UDERZENIE

Czternasty rok, siódmy miesiąc

Hilo nigdy nie cieszył się perspektywą uczestnictwa w zebraniu KSJ. Kiedyś jednak mógł się od tego wykręcić. Czterdzieści lat temu, gdy stworzono Sojusz, jego jedynymi zadaniami było kierowanie wydobyciem jadeitu oraz dystrybucja zasobów tego surowca. Na cokuwartalnych zebraniach z reguły rozmawiano o budżecie, polityce ekonomicznej, kwotach eksportowych oraz przydziale jadeitu krajowym podmiotom. Często zdarzało się, że filary pozwalały prognostykom zająć się tymi wszystkimi sprawami i zjawiały się dopiero pod sam koniec, by oddać głos, jeśli okaże się to potrzebne.

Jednakże w ostatnich latach zakres zainteresowań KSJ znacznie się poszerzył. Państwowy kartel zmienił się w polityczne ciało zajmujące się wszystkimi sprawami związanymi z jadeitem. Organizowano specjalne sesje, by uzgodnić stanowisko KSJ w sprawach takich, jak reforma armii, obywatele obcych państw uczący się w kekońskich szkołach sztuki walki, jadeitowy sport uprawiany w Marcucuo i tak dalej. Klany zielonych kości posługiwały się Sojuszem, by sprzeciwić się legalizacji błysku, zakazowi pojedynków albo politycznemu ekstremizmowi. Z jednej strony dzięki tym zmianom dyskusje na zebraniach nie były już tak nudne, z drugiej jednak Hilo musiał spędzać znacznie więcej czasu w towarzystwie swych wrogów, niżby tego pragnął.

Gdy zjawił się w sali razem z Woonem, jego i klanowego dawcę pieczęci przywitały ciepłe, pełne szacunku gratulacje z okazji narodzin nowego, zdrowego dziecka w rodzinie Kaulów. Niedospany Woon nie przestawał się uśmiechać. Hilo nigdy nie widział go tak szczęśliwego. Z pewnością wolałby zostać z Shae i nowo narodzoną córką, ale przez kilka najbliższych miesięcy

będzie musiał pełnić obowiązki prognostyka pod nieobecność Shae, jak nieraz już to robił w przeszłości.

Ayt Madashi zjawiała się w towarzystwie Kobena Yiro. Z upływem lat Góra również dokonała zmian organizacyjnych. O ile Hilo wiedział, Ayt Mada nigdy nie miała filarowego, ale nieznośny demagog Koben Yiro najwyraźniej służył jej nie tylko jako tuba, lecz również jako nieoficjalny asystent. Hilo nie potrafił określić, czy Ayt trzyma go tak blisko siebie, bo chce zademonstrować jedność z popularną rodziną, czy raczej pragnie się upewnić, że Kobenowie jej nie zdradzą.

Tematem dzisiejszej dyskusji między przywódcami klanów miało być pytanie, co przedsięwziąć w sprawie prób wydobywania jadeitu z dna morza przez firmę Anorco. Po kolejnych aktach sabotażu Art Wyles zatrudnił ochroniarzy z firmy Jima Sunto Międzynarodowe Rozwiązania Ganlu. Teraz statku krążącego nieopodal wybrzeży Eumanu strzegli dniem i nocą wyposażeni w jadeit byli espeńscy żołnierze, zdolni Postrzec zbliżających się napastników i obrzucić ich granatami zaczepnymi, a także technicy usuwający pozostawione przez sabotażystów miny.

– To inwazja i kradzież! – wrzasnął Koben Yiro, waląc pięścią w stół. – Ci aroganccy cudzoziemcy nie mają szacunku dla naszego kraju ani dla znaczenia jadeitu.

– Nikt nie spiera się z tobą w tej kwestii, Koben-jen – oznajmił prognostyk Jedności Sześciu Dłoni, lekko poirytowany tak dramatycznym zachowaniem.

Hilo nie potrafił sobie przypomnieć jego nazwiska.

Krzesło obok prognostyka było puste. Zabójca krewnych Jio Somu nigdy nie opuszczał swego bezpiecznego terytorium w Lukangu, nawet jeśli zapewniono mu obecność pokutników.

– Prezes Anorco, Wyles, ma mnóstwo pieniędzy i kontakty polityczne. Z pewnością nie uda się go odstraszyć. Koncern twierdzi, że jego jednostki działają na wodach międzynarodowych.

– To kłamstwo – stwierdził Koben. – Regularnie przekraczają granicę wód terytorialnych Kekonu.

– Sytuacja prawna nie jest jednoznaczna, ale co możemy zrobić, jeśli Rada Książęca domaga się od nas kompromisu? – zapytał filar klanu Jo Sun.

Dla nikogo z obecnych nie było tajemnicą, że zielone kości z Góry i z klanu Bez Szczytów współpracowały ze sobą w atakach na statki. Politycy z Gmachu Mądrości byli bardzo zaniepokojeni eskalacją konfliktu. Jak dotąd nikt nie zginął, ale śmierć obywateli Espenii albo zielonych kości z któregoś z wielkich klanów mogłaby doprowadzić do katastrofalnego kryzysu dyplomatycznego. Rząd pragnął wynegocjować porozumienie. Klany zgodziłyby się zaprzestać

ataków na własność zagranicznej firmy, a Espeńczycy przystaliby na ograniczenie wydobycia jadeitu do określonych obszarów i kwot.

– Tylko tchórze o rzadkiej krwi negocjują ze złodziejami, błagając ich, żeby kradli tylko część tego, co należy do nas, zamiast wszystkiego! – grzmiał Koben.

Ayt Mada nie próbowała go uciszyć. Hilo pomyślał o przedstawieniach i koncertach, na których mniej znany wykonawca rozgrzewał tłum przed pojawieniem się gwiazdy. Ayt pozwalała, by jej bombastyczny podwładny podekscytował zebranych, co pozwoli jej wykazać się umiarkowaniem na jego tle.

Zrobiła to, uciszając Kobena jednym spojrzeniem.

– Nie znaleźlibyśmy się w tej sytuacji, gdyby pewne klany, których przedstawiciele są tu obecni, nie wspierały espeńskich interesów już od wielu lat.

– Przeszyła Hila pogardliwym spojrzeniem, które poznał już bardzo dobrze. –

Być może Kaul Hilo mógłby jakoś wpłynąć na zdyskredytowaną prywatną firmę militarną, która strzeże naruszających nasze terytorium statków. W końcu przyjaźni się z człowiekiem, który ją założył.

– Jim Sunto nie jest moim przyjacielem – odparł Hilo. – Jeśli szukasz kogoś, kogo można by obciążyć winą, nie zapominaj, że nie mielibyśmy na głowie tej sytuacji, gdyby przywódcy innego klanu nie uczynili naszego kraju azylem dla zagranicznych przestępców.

– Kaul-jen. Ayt-jen, proszę – wtrącił się przewodniczący Canto Pan, demonstrując wielką odwagę, a być może również irytację spowodowaną faktem, że po tak wielu latach na każdym zebraniu KSJ tych dwoje zawsze przypomina obecnym, że życzą sobie nawzajem śmierci. – Zapomnijmy o przyczynach obecnego stanu rzeczy i skupmy się na propozycji Rady Książęcej. Jakie ograniczenia morskiego wydobycia jadeitu moglibyśmy zaakceptować?

Hilo pomyślał, że to zdumiewające, do czego potrafią się przyzwyczaić ludzie. Nigdy by nie uwierzył, że będzie w stanie znieść regularne spotkania z osobą odpowiedzialną za śmierć swego brata, szwagra i wielu swych jadeitowych wojowników, a także w to, że znudzi się ich ciągle się utrzymującą wzajemną nienawiścią. Kiedy tu siedzieli, klan Bez Szczytów polował na *barukanów*, którzy wykonali brudną robotę dla Góry, mordując w Lukangu pięć zielonych kości.

Czego będzie potrzeba, by wygrać tę kurewską wojnę? – pomyślał z furją Hilo. Czy powolny, wiecznie się tłący, rozproszony konflikt między klanami będzie trwał nawet po jego śmierci? Filar Góry przekroczyła już pięćdziesiątkę. Nie miała męża ani dzieci. Jak długo zdoła utrzymać władzę nad klanem pełnym

młodszych, ambitnych zielonych kości? Czemu, na bogów, ta suka nie mogła wreszcie się zmęczyć i dać za wygraną?

Asystent biurowy, którego nie znał, podszedł do niego i zatrzymał się za krzesłem.

– Kaul-jen, przed chwilą do recepcji dostarczono tę kopertę – oznajmił przepaszającym tonem. – Człowiek, który ją zostawił, twierdził, że to bardzo pilna wiadomość i należy natychmiast ci ją dostarczyć.

Hilo przyjrzał się zamkniętej kopercie, ale na grubym papierze nie było żadnych znaków. Rozerwał ją.

W środku była pojedyncza kartka papieru, bez podpisu czy choćby pozdrowień. Tylko jedna linijka napisanego na maszynie tekstu. „Twoje życie jest zagrożone. Natychmiast opuść salę”.

Hilo zajrzał do środka, ale w kopercie nie było nic poza tym przerażającym ostrzeżeniem. Bez słowa wręczył kartkę siedzącemu obok Woonowi. Dawca pieczęci był z natury bardzo spokojny i opanowany, ale nawet on otworzył szeroko oczy, ujrawszy wiadomość. Hilo zauważył, że Woon zaczął zerkać ukradkowo na boki, a jego jadeitową aurę wypełniły podejrzliwość i niepokój. Poszukał wzrokiem asystenta, który przyniósł kopertę, ale młody mężczyzna już się oddalił.

Hilo omiółt wielką salę wzrokiem i Postrzeganiem, lecz wykrył tylko ludzi, którzy powinni tu być: kierownictwo Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego, przywódców klanów zielonych kości oraz ich prognostyków, czworo bogowierczych pokutników stojących w kątach oraz dwie sekretarki nalewające herbatę i roznoszące notatki między uczestnikami. Hilo poszerzył zasięg Postrzegania, sięgając za zamknięte drzwi. Korytarze obok sali były puste. Przy windach siedział za biurkiem znudzony ochroniarz. W większej odległości aury poszczególnych osób zlewały się ze sobą. Ludzie przebywający na dwóch dolnych kondygnacjach byli tylko ruchliwą, niewyraźną plamą.

Przyciągnął Postrzeganie z powrotem do sali i sprawdził jadeitowe aury wszystkich obecnych. Nie wykrył żadnego bezpośredniego zagrożenia. W aurach pozostałych zielonych kości, nawet Ayt Madashi, nie uwidaczniały się mordercze zamiary. Filar Góry gapiła się na Hila z przeciwnej strony stołu. Lata wzajemnej wrogości sprawiły, że oboje wyczuwali najdrobniejsze zmiany w aurach drugiej strony. Nawet nie uciekając się do Postrzegania, Ayt Mada nie mogła nie zauważyć, że coś nagle odwróciło uwagę Hila i że filar klanu Bez Szczytów na kilka sekund zapomniał o dyskusji, wpatrując się w pustkę.

Hilo zwrócił głowę w stronę Woonu.

– Zabierz tę kartkę i wyjdź z sali. Szybko.

Dawca pieczęci pobladł.

– Nie opuszczę filaru – zapewnił z gwałtownością tak wielką, że Hilo przypomniał sobie, że Woon był najbliższym przyjacielem oraz filarowym Lana i jeden filar zginął już, gdy miał nad nim czuwać. – Nie uczynię tego, Kaul-jen.

– Rób, co ci każe – warknął Hilo. – Zaczekaj w korytarzu. Podążę zaraz za tobą. Zatrzymuj wszystkich, którzy będą chcieli wyjść przede mną. Chcę, żebyś wyszedł pierwszy, żebym mógł zobaczyć, kto w sali na to zareaguje. Albo przekonać się, czy nas oszukano.

Dawca pieczęci nadal nie ruszał się z miejsca.

– Zrób to, Woon-jen – rozkazał cicho Hilo. – Pomyśl o córce.

Woon przełknął ślinę. Wziął tajemniczą kartkę, wstał i ruszył w stronę wyjścia. Hilo położył dłonie na blacie okrągłego stołu i również się podniósł, tyle że wolniej. W sali zapadła cisza.

– Obawiam się, że Woon-jen i ja musimy was opuścić – oznajmił filar klanu Bez Szczytów. – Pilna sprawa rodzinna. Kontynuujcie zebranie bez nas.

Ruszył ku drzwiom, starając się nie okazywać pośpiechu. Woon zdążył już wyjść. Bezjadeitowi politycy i decydenci byli po prostu zbici z tropu, ale w aurach przywódców zielonych kości obecnych w sali wyczuwało się narastającą podejrzliwość. Postrzegli, że Hilo mijał się z prawdą, że gwałtowna ekscytacja wyczuwalna w jego jadeitowej aurze miała jakiś inny, niewyjaśniony powód. Ayt Mada zwróciła ku niemu głowę, mrużąc powieki. Śledziła każdy jego krok. Hilo wyteżał. Postrzeganie tak mocno, że słuch i wzrok zlewały się w jego umyśle w jedno. Sala była mrocznym, pograżonym w milczeniu miejscem wypełnionym indywidualnymi aurami. Hilo skupiał uwagę na każdej z nich. Spodziewając się, że co najmniej w jednej wyczuje nagłą eksplozję złej woli.

Pokaż się.

I jedna z nich się pokazała. W pełnej zielonych kości sali pozostawała niezauważona, aż do ostatniej chwili. Hilo dotarł do drzwi i odwrócił się gwałtownie. Ayt Mada zaczęła wstawać z krzesła.

– Kłamiesz. Co naprawdę...

Nagle sekretarka, która właśnie zaczęła wypełniać jej szklanekę, wypuściła z rąk dzbanek. Woda rozlała się po blacie, mocząc papiery Koben Yira. Kobieta tym samym ruchem wyciągnęła ukryty w rękawie nóż i wbiła go w bok szyi Ayt Madashi.

Ayt wyczuła atak, ale zbyt późno. W normalnych warunkach nie sposób byłoby sobie wyobrazić, by skrytobójca zdołał podejść do zielonej kości, takiej jak Ayt Mada, na tyle blisko, by poderznąć jej gardło. Młodej kobiecie udało się to wyłącznie dlatego, że filar Góry całkowicie skupiła uwagę na podejrzanym

zachowaniu Kaul Hila. Wszyscy na sali umilkli na moment pod wpływem szoku i wyraźnie usłyszeli słowa sekretarki:

– Spójrz na mnie, Ayt Madashi, ty krwiożercza suko. Poznajesz mnie? Jestem Ven Emashan, córka Ven Sanda, siostra Ven Haku, dziewczyna, której rodzinę...

Ayt Mada złapała napastniczkę za gardło, używając miażdżącej Siły. Odwróciła się z niemal nieludzkim krzykiem i uderzyła jej głową o kant stołu. Cios był tak potężny, że gruby, czarny blat pękł razem z kośćmi dziewczyny. Ayt Mada cisnęła bezwładnym ciałem w najbliższe okno. Zwłoki uderzyły w szybę z przyprawiającym o mdłości dźwiękiem, tworząc na niej pajęczynę pęknięć, po czym upadły na dywan jak ciężki worek.

Stojący w kątach sali pokutnicy unieśli jednocześnie wzrok i zaśpiewali przyprawiającym o dreszcze chórem:

– Niebo widziało! Niebo widziało! Niebo widziało!

Wszyscy obecni skulili się i pociągnęli za płatki uszu, uświadamiając sobie z przerażeniem, że Ven Ema skazała na wieczne potępienie własną duszę i dusze całej swej rodziny, przelewając krew na oczach bogów. Ayt osunęła się na kolana, zaciskając dłonie na ranie szyi. Między palcami otaczającymi sterczący z niej nóż na zewnątrz wypływały czerwone strużki.

Spanikowany Koben Yiro zerwał się na nogi.

– Ayt-jen! – zawołał i podbiegł do niej. Zatrzymał się nagle i spojrzał na obecnych w sali ludzi. Wszyscy wytrzeszczali oczy w oszołomieniu. – Filar jest ranna! Sprowadźcie pomoc!

Prognostyk Jedności Sześciu Dłoni zrobił kilka kroków w stronę wyjścia, ale zatrzymał się niepewnie. Przed zamkniętymi drzwiami stał Hilo. Nie ruszył się z miejsca. Był wstrząśnięty tym, co zobaczył, tak samo jak wszyscy. Ciężko ranna Ayt Mada upadła na kolana, otwierając szeroko oczy z niedowierzania i bólu. Poruszała ustami, próbując zaczerpnąć powietrza. Krew wypływająca spod jej zaciśniętej dłoni tworzyła jaskrawą plamę na kremowym kardiganie. Hilo powoli przeniósł spojrzenie na resztę obecnych w sali ludzi, poddając ich chłodnej ocenie, po czym bez słowa postąpił dwa kroki naprzód, by zablokować wyjście.

Wszyscy uświadomili sobie ze zgrozą, że jeśli nic nie zrobią, Ayt Mada umrze. Hilo nie musiał nawet ruszyć palcem, żeby do tego doprowadzić. Wystarczy, że nie pozwoli nikomu stąd wyjść. Niektórzy z przebywających w sali ludzi w ogóle nie nosili jadeitu, a spośród zielonych kości nikt nie miał go tyle, co Kaul Hilo, ani nie mógłby się z nim mierzyć w walce jeden na jednego. Gdyby kilku zaatakowało razem, mogliby go pokonać, ale raczej nie zrobiliby tego szybko, a Woon stał na korytarzu i w każdej chwili mógł mu przyjść z pomocą.

Filar Kamiennego Kubka usiadł na krześle i skrzyżował ręce na piersiach, oznajmiając jasno, że nie wystąpi przeciwko klanowi Bez Szczytów. Przywódcy klanu Jo Sun i Czarnego Ogona podążyli za jego przykładem. Filary klanów podporządkowanych Górze popatrzyły na siebie niepewnie. Złożyły przysięgi Ayt Madzie, ale ona wykrwawiała się teraz na podłodze, a na ich drodze stał Kaul Hilo. Czy warto było ryzykować życie, żeby ją uratować?

Koben Yiro zrobił krok w stronę Hila z groźnym wyrazem twarzy.

– Niech ktoś coś zrobi, nim będzie za późno! – ryknął.

Filar klanu Bez Szczytów skierował na niego drapieżne spojrzenie.

– Już jest za późno, Koben-jen – wyszeptał. – Starzy muszą ustąpić miejsca młodemu.

Koben Yiro przełknął ślinę. Jeśli Ayt Mada umrze, okryje się wstydem, jako człowiek, który zawiódł swój filar. Ale z drugiej strony dziedzicem był jego siostrzeniec. Rodzina Kobenów przejmie władzę w Górze.

Na kilka uderzeń serca w sali zapanował makabryczny impas. Ayt próbowała coś powiedzieć, ale choć otworzyła usta, nie wydobyły się z nich żadne słowa. Na jej pobladłej twarzy pojawiła się świadomość, że umiera, otoczona przez ludzi, i nikt nie chce jej pomóc, nawet sojusznicy, którzy przysięgali jej wierność. Kaul Hiloshudon musiał tylko stać w drzwiach z triumfalną miną i przyglądać się jej konaniu. Reszta obecnych była gotowa podążyć za jego przykładem. Zawsze była najsilniejsza i najsprytniejsza z nich wszystkich, i do tego wzbudzała największy strach, ale nie miała w tej sali ani jednego prawdziwego przyjaciela. Hilo wyczytał z jej oczu, że to rozumiała, i choć gorąco pragnął jej śmierci, przez moment poczuł dla niej litość.

Jadeitową aurę Ayt Mady wypełniły gniew i sprzeciw, kipiące niczym lawa. Nadludzkiem wysiłkiem podniosła się na nogi i pobiegła nie w kierunku drzwi, gdzie drogę zagradzał jej Hilo, lecz ku oknu. Pomagając sobie Lekkością, przeskoczyła przez ciało Ven Emy i rzuciła się na uszkodzoną szybę, uderzyła w nią barkiem i rozbiła ją za pomocą Siły.

Hilo warknął i podbiegł do okna. Ayt zleciała z drugiego piętra. Choć była ranna, zdołała utrzymać przy sobie Lekkość i Stal. Runęła na parkującą pod budynkiem furgonetkę, wgniatając metalowy dach, stoczyła się z pojazdu i zwała na beton pokryty odłamkami szkła. Zszokowani przechodnie krzyczeli. Ayt wstała, zachwiała się, upadła, znowu wstała i pobiegła chwiejnie przed siebie.

– Jebać bogów – wydyszał zdumiony Hilo.

Zebrał siły, by przywołać Lekkość, gotowy skoczyć za Ayt. Myślał tylko o tym, by ruszyć w pościg i dopilnować, by naprawdę umarła. Nagle jego spojrzenie padło na stojącą na dole furgonetkę. Zaparkowano ją w strefie

załadunku, ale w środku nikogo nie było. Otoczone Stałą ciało Ayt wgniotło dach i wypaczyło jedno z drzwi, otwierając je częściowo.

Hilo przypomniał sobie ostrzeżenie, które próbował zrozumieć, nim atak na Ayt Madę sprawił, że zapomniał o innym niebezpieczeństwie. Cofnął się kilka kroków i furgonetka na dole eksplodowała. Wybuch zniszczył parter budynku. Cały jego bok pochłonęła szybko rosnąca kula ognista, rozszerzająca się tak gwałtownie, że wyprzedzała krzyki ogarniętych nią ludzi. Hilo zdążył tylko poczuć niedowierzanie i pomyśleć o żonie oraz dzieciach, nim fala uderzeniowa dotarła do niego, a sufit się zawalił, zasypując go setkami kilogramów betonowego gruzu.

ROZDZIAŁ 26

NEKOLVA

Pod adresem, który podała mu Ema, znajdował się ostatni segment w starym szeregowcu w północnej części Dzielnicy Portowej, jeszcze niezgentryfikowanej przez budynki z mieszkaniami własnościowymi, sklepy oraz atrakcje turystyczne. Bero spędził dzieciństwo niedaleko od tego miejsca. W tamtych czasach szeregi zbudowanych w stylu industrialnym domów z brązowej cegły zamieszkiwali dokerzy oraz robotnicy pracujący w fabrykach konserw. Teraz jednak pełno tu było imigrantów z Uwiwów i z Oortoko, zatrudnionych w płacących niskie pensje fabrykach albo w sektorze usług. Bero raz jeszcze sprawdził adres zapisany na karteczce i, rozglądając się, podszedł ostrożnie do drzwi. Sąsiedni segment sprawiał wrażenie niezamieszkanego, jego okna nadal były zaklejone po zeszłorocznym tajfunie, a żółty nakaz eksmisji na drzwiach wyblakł tak bardzo, że był nieczytelny. Naprzeciwko szeregowca cumowała nakryta brezentem motorówka długości ośmiu metrów.

Dotknął gałki, ale drzwi były zamknięte. Spróbował nią poruszyć, by sprawdzić, jak trudno byłoby się włamać do środka, gdy otworzyły się nagle. W pogrążonym w półmroku korytarzu stał Vastik eya Molovni. Muskularne ramiona i ciemnopomarańczowe włosy upodabniały go do demona. Bero odskoczył do tyłu przerażony spojrzeniem cudzoziemca.

– Co tu robisz, do chuja? – warknął Ygutańczyk.

– Powiedziała, żebym tu przyszedł – wyjaśnił Bero.

Nie spodziewał się, że spotka tu Molowniego. Była dopiero druga po południu. Czy Ygutańczyk nie powinien być zajęty realizacją swojego wielkiego planu? I czy Espeńczycy nie próbowali go powstrzymać?

– Tak mi powiedziała – powtórzył. – Ema. Mówiła, że pomożesz nam wydostać się z miasta. Podała mi ten adres.

Molovni spoglądał na niego z niedowierzaniem, poruszając żuchwą. Bero pomyślał, że Ygutańczyk zastanawia się, czy zamknąć przed nim drzwi, czy raczej go zabić. Najwyraźniej jednak doszedł do wniosku, że obie te opcje – Bero na wolności albo Bero jako trup – mogłyby się okazać zagrożeniem. Zaklął pod nosem po ygutańsku, złapał Bera za koszulę, wciągnął go do ciasnego mieszkania i zatrzasnął za nim drzwi.

– Powiedziałeś komuś o tym? – zapytał, popychając go pod ścianę tak gwałtownie, że Bero nie mógł dłużej wątpić, że choć nekolva nie nosi jadeitu, władza Siłą tak wielką, że mógłby go przepchnąć na drugą stronę budynku, gdyby tylko zechciał. – Komukolwiek? Któremuś z tych bezklanowych durniów? – Mówił szybko, jego głos miał warkliwe brzmienie, a silny akcent zniekształcał słowa, minęło więc trochę czasu, nim Bero go zrozumiał. – Powiedziałeś komuś?

– Nie – zapewnił. – Nikomu.

Molovni pochylił nad nim groźną, grubo ciosaną twarz. Bero nadal nie był pewien, czy Ygutańczyk posiada zmysł Postrzegania, ale najwyraźniej doszedł do wniosku, że usłyszał prawdę. Puścił Bera i schował ankeva za pas.

– Nie możesz z nami popłynąć – oznajmił, łypiąc spode łba na Kekończyka, jak na bezpańskiego psa ze śmietnika. – Nieważne, co ci powiedziała. Nie mamy miejsca dla nikogo więcej.

– Nie pierdziel – sprzeciwił się Bero. – Masz łódź, tak? Nie możesz zmieścić na niej dodatkowej osoby?

– Jesteś idiotą – stwierdził Molovni. – Nie mówiłem o łodzi. Po drugiej stronie Goshy czeka na nas statek, który zawiezie nas do Ygutanu, gdzie dostaniemy azyl. Jego załoga przyjmie tylko tych ludzi, których nazwiska wymieniałem. Ciebie zastrzelą. – Gdzieś w oddali odezwała się syrena karetki pogotowia. Potem druga. Ygutańczyk zamknął drzwi na zasuwę. – Jeśli chcesz uciec przed klanami, musisz to zrobić na własną rękę. Możesz też ukryć się w sąsiednim segmencie. Wszystko mi jedno. Ale skoro już tu jesteś, nie możesz stąd wyjść. Przynajmniej do czasu, gdy znajdę się daleko od tej jebanej wyspy.

Odwrócił się od Bera i ruszył wąskimi schodami na górę.

Oszołomiony Kekończyk znieruchomiał na jakąś minutę. Potem podążył za Molovnim. Zasłony w oknach na piętrze były zaciągnięte i światło docierało do środka tylko przez wąskie szpary. Pokój był urządzone ascetycznie, jak cela więzienna. Było tu jednoosobowe łóżko, kredens, biurko i krzesło. Na ścianach nic nie wisiało i nigdzie nie było żadnych przedmiotów o osobistym charakterze, pomijając kilka gazet leżących na blacie oraz radio.

Molovni przesunął antenę i pokręcił gałką. Muzyka klasyczna ustąpiła miejsca skocznemu remiksowi. Potem rozległy się szумы, a na koniec

wiadomości nadawane przez Kekońską Stację Państwową.

– Gdzie jest Ema? – zapytał Bero.

– Ema nie przyjdzie – odpowiedział Ygutańczyk, nie unosząc wzroku.

– Nie przyjdzie?! – zawołał Bero. – Gdzie ona jest? Czy nie miała tu się z tobą spotkać?

Molovni uniósł palec, by uciszyć Kekończyka, i podkreślił głośność. Toh Kita, spiker Kekońskiej Stacji Państwowej, czytał wiadomości. W Dzielnicy Finansowej Janloonu doszło do wielkiego wybuchu. Budynek Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego zawalił się podczas zebrania. Wśród zabitych i rannych mogły się znaleźć dziesiątki przedstawicieli rządu oraz klanów. Policja, służby ratunkowe, a także zielone kości obu wielkich klanów były na miejscu, udzielając pomocy. Toh Kita z powagą obiecał słuchaczom, że stacja będzie podawała nowe informacje w miarę ich napływania.

– Udało się. – Molovni spojrzał na zegarek. – Jeśli Guriho i Otonyo zdołali uciec, wkrótce się tu zjawią.

– Nawet tam nie byłeś? – Bero miał wrażenie, że nic już z tego nie rozumie.

– Inni wszystko zrobili, a ty ukrywałeś się tu bezczynnie? Co z ciebie za szpieg?

Ygutańczyk obrzucił go pełnym pogardy spojrzeniem.

– Nic nie zrobiłem? Siedziałem osiem lat w tym jebanym, skażonym jadeitem mieście, nim wreszcie osiągnąłem ten cel. Kto zaopatrywał bezklanowych we wszystko, czego potrzebowali? Pieniądze, broń, informacje, materiały wybuchowe, azyl polityczny. Wydaje ci się, że łatwo zdobyć takie rzeczy? – Molovni prychnął lekceważąco i zaczął pakować leżące na biurku przedmioty do czarnej torby. – Rewolucja musi przyjść z wewnątrz, ale nic by nie osiągnęła, gdyby nie ja. Gdyby nie nekolvowie.

– Dlaczego tego nie powstrzymali? – mruknął, myśląc o swych espeńskich mocodawcach.

Natychmiast sobie uświadomił, że popełnił błąd, ale było już za późno. Molovni położył torbę na blacie i odwrócił się powoli w jego stronę, podejrzliwie mrużąc małe oczka.

– O kim mówisz?

Bero próbował wymyślić jakiej przekonujące kłamstwo, ale Molovni zbliżał się już do niego. Wyraz podejrzliwości na jego twarzy o grubo ciosanych rysach stawał się coraz wyraźniejszy. Jeśli władał Postrzeganiem, z pewnością wyczuł, że puls Kekończyka przyspieszył nagle.

– Co zrobiłeś, ty bezmyślny pasożycie? – warknął. – Dla kogo pracujesz?

Bero nie zdążył mu odpowiedzieć. Szyby rozsypały się nagle, sypiąc odłamkami do środka, a drzwi wyważono. Ciasne pomieszczenie wypełnił sztorm kawałków drewna, okruchów szkła oraz gwałtownego ruchu. Szok

sparaliżował Kekończyka na całą sekundę. Potem Bero rzucił się w kąt. Do mieszkania wpadło sześciu zamaskowanych mężczyzn wyposażonych w sprzęt bojowy.

Molovni odwrócił się błyskawicznie, wyciągając ankeva, i wystrzelił do najbliższego z odzianych na czarno intruzów. Pocisk uderzył w kamizelkę kuloodporną, a mężczyzna poleciał na ścianę. Molovni zdążył wystrzelić jeszcze raz, nim kolejny zamaskowany napastnik zaatakował go od tyłu dwoma przewodami elektrycznymi o ostrych zakończeniach, które przebiły ubranie, docierając do jego skóry. Molovni zeszywniał nagle i upadł na podłogę. Miotał się, gdy przez jego ciało przepływał prąd, a z jego ust wydobywało się gardłowe rżenie. Oczy wypełniały mu furia i panika, a otwarte usta zamarły w bolesnym grymasie. Trzej mężczyźni rzucili się na leżącego na podłodze Ygutańczyka jak wilki.

Mimo że jego mięśniami targały spazmy, Molovni zdołał zrobić użytek z jadeitowych umiejętności. Przywołał potężne Odbijanie, które przemknęło przez pokój koncentryczną falą. Napastnicy zatoczyli się do tyłu. Bero osłonił głowę rękami, które zasypał deszcz fragmentów drewna i szkła. Przewody wysunęły się z pleców Molowniego. Ygutańczyk błyskawicznie zerwał się na nogi i podniósł leżącego na podłodze ankeva. Gdy uniósł pistolet do swojej skroni, Bero ujrzał w jego oczach szaleńczy strach.

Jeden z napastników kopnął go w łokieć. Broń wysunęła mu się z dłoni i wpadła pod kanapę.

Bero wiedział, że Molovni jest nekolwą, słyszał też o espeńskich siłach specjalnych, posługujących się jadeitem, ale nigdy dotąd nie widział, by ludzie niebędący zielonymi kośćmi walczyli tak szybko i brutalnie. W ostatniej, desperackiej próbie ucieczki przez wybite okno na piętrze Molovni rzucił Lekkość na całą długość pokoju. Niemal mu się udało, ale strąciła go w locie połączona Siła trzech żołnierzy. Unieruchomili go niczym próbującego się wyrwać byka. Wykrzykiwał przekleństwa po ygutańsku, tryskając śliną na boki, gdy związano mu ciasno ręce z tyłu plastikową taśmą. Nogi potraktowano w ten sam sposób, a na głowę założono czarną, płócienną torbę. Jeden z zamaskowanych mężczyzn wyjął z kieszeni kamizelki kuloodpornej strzykawkę i wbił ją w nogę Molowniego. Po kilku sekundach ruchy nekolwy stały się słabe i bezładne. Wkrótce znieruchomiał. Dwóch muskularnych żołnierzy uniosło nieprzytomnego Ygutańczyka niczym ciężki dywan i wyniosło go z mieszkania.

Bero nie opuszczał swojego miejsca w kącie, a zamaskowani mężczyźni w czarnych strojach go ignorowali. Zaczęli rewizję mieszkania. Otwierali szuflady i wrzucali ich zawartość do żółtych worków. Zaglądali za meble i pod

nie, zabrali nawet kosz na śmieci. Szczególną uwagę poświęcili biurku. Torbę z papierami, automatyczną sekretarkę oraz niewielki stosik nieotworzonych listów umieścili w specjalnym pudełku. Poddali oględzinom wszystkie butelki w apteczce w łazience, sfotografowali je i również zabrali. Wymienili ze sobą tylko kilka słów po espeńsku.

Do mieszkania weszli Galo i Berglund. Mieli na sobie ciemne cywilne ubrania, ale byli uzbrojeni i zachowywali się jak funkcjonariusze. Berglund rozejrzał się z zadowoleniem po zdemolowanym mieszkaniu i zaczął coś mówić do jednego z żołnierzy. Trafiony w pierś mężczyzna, który zginąłby, gdyby nie kamizelka kuloodporna, zdołał się podnieść przy pomocy dwóch towarzyszy, którzy następnie wyprowadzili go na zewnątrz. Bero nie zdawał sobie sprawy, że radio nadal gra, do chwili, gdy jeden z Espeńczyków je wyłączył, wyciągnął wtyczkę z kontaktu i wyniósł je z mieszkania razem z resztą dobytku Vastika eya Molovni.

Galo podszedł do siedzącego w kącie Bera i potrząsnął głową z rozczarowaniem, lecz bez zaskoczenia.

– Trzeba było powiedzieć nam wszystko, Sumie. Nie musiałeś tu iść.

Wyciągnął do niego rękę. Bero gapił się na nią, ale nie przyjął pomocy.

– Poszłicie tu za mną? – zapytał.

– Myślałeś, że cię nie obserwujemy? – zdziwił się Galo. – Całe szczęście, że to zrobiliśmy. Choć jako agent nie byłeś godny zaufania, dzięki tobie udało się nam pojmać jednego z nekolvów i zdobyliśmy też dowody na to, że na polecenie ygutańskiego rządu próbował wywołać rewolucję na Kekonie. – Galo rozejrzał się po niemal całkowicie opustoszałym pokoju, z zadowoloną miną lamparta wylizującego nagie kości. – Być może uda się nam wreszcie rozgryźć tajemnicę ygutańskiego programu jadeitowego.

Bero wstał.

– A co z Emą? Mieliście ją śledzić. Gdzie ona jest?

Galo potrząsnął głową.

– Muszę cię ze smutkiem poinformować, że przebywała w budynku KSJ, kiedy się zawalił.

– Jebać was, spenki. Nawet nie próbowaliście powstrzymać wielkiego ataku bezklanowych. Chodziło wam tylko o dorwanie Molovniego. Wiedzieliście, że ją zabijają.

Bero zaciskał mocno dłonie. Znowu zaczął krzyczeć.

Keko-Espeńczyk przeszył go twardym spojrzeniem.

– W tej chwili Espeńska Marynarka Wojenna patroluje wody wokół Goshy. Jeśli szczęście się do nas uśmiechnie, znajdziemy i przechwycimy ygutański statek, który miał pomóc Molovniemu w ucieczce. Terrorystyczny atak na

budynek KSJ, który przeprowadzono dziś po południu, pochłonął wiele ofiar. To prawdziwa tragedia. Ale gdybyśmy mu zapobiegli, Molovni i jego zwierzchnicy zorientowaliby się, że wiemy o ich poczynaniach. Stawka była zbyt wysoka. Nieprzyjacielscy agenci, których dzisiaj przechwyciliśmy, a także zdobyte przez nas informacje, mogą uratować życie tysiącom, być może nawet milionom ludzi.

– Milionom spenków – warknął Bero.

– Krótko przed zamachem staraliśmy się ostrzec naszych kekońskich sojuszników, ale obawiam się, że nic z tego nie wyszło – Galo przyjrzał się z niedowierzaniem Berowi. – Przyłączyłeś się do Ruchu Bezklanowa Przyszłość, żeby obalić klany. Pracowałeś dla nas, żeby zarobić pieniądze na boku. W obu tych sprawach osiągnąłeś pewien sukces i udało ci się przeżyć. Czemu jesteś niezadowolony? Chodzi o to, że ta dziewczyna poświęciła życie dla sprawy w chwili, gdy wreszcie udało ci się ją przelecieć? A może o to, że okazało się, że nie jesteś taki bystry, jak ci się zdawało? Z pewnością tobą manipulowano, ale czego się spodziewałeś?

Ema podała mu ten adres nie po to, by umożliwić mu ucieczkę. Chciała zdradzić Molovniego. „Nienawidzę klanów, ale to jeszcze nie znaczy, że kocham Ygutańczyków”. Tak brzmiały jej słowa. Na pewno podejrzewała, że Bero jest kapusiem, albo po prostu liczyła na to, że sprzeda tę informację.

A teraz nie żyła. Zginęła bez powodu, tak samo jak te durne głąby Pyskaty i Mudt, Soradiyo i wielu innych. A Bero nadal żył. W swoim czasie byłby zadowolony z siebie. Uznałby to za dowód, że szczęście mu sprzyja, nawet jeśli czasami z nim igra. Teraz nie czuł nic.

– Skończyliśmy już tutaj. – Galo odwrócił się od niego i zaczął się oddalać. – Chodźmy, Sumie.

Bero nie ruszył się z miejsca. Gdy Galo zauważył, że Kekończyk za nim nie poszedł, odwrócił się.

– Lepiej, żebyś nie zostawał w mieście – powiedział. – Możemy cię stąd wydostać, dla twojego bezpieczeństwa.

– Nie chcę już od was niczego – odparł Bero.

Wyraz twarzy Gala nieco złagodniał. Pojawiło się na niej coś przypominającego współczucie.

– Posłuchaj, nie jesteśmy przyjaciółmi. Jesteś szpiegiem, a ja jestem twoim oficerem prowadzącym. Ale tym razem udzielę ci rady, dla twojego dobra. –

Wskazał okno. – Przywódcy najważniejszych klanów nie żyją. W Janloonie zrobi się kurewsko nieprzyjemnie. RE będzie miała szansę przyczynienia się do odbudowy sceny politycznej, ale możliwe, że w całym kraju zapanuje chaos. Zielone kości będą się starały dorwać wszystkich, którzy byli związani z Ruchem Bezklanowa Przyszłość. A Ygutańczycy albo bezklanowi mogą się

dowiedzieć, że to ty zaprowadziłeś nas do Molownego. Po co miałbyś tu zostawać?

Bero nie potrafił mu odpowiedzieć i doprowadzało go to do furii. Być może nie miał już nic w Janloonie, ale Janloon był dla niego wszystkim. Nawet szczury mają kanał, który zwą domem, a Janloon był jego kanałem.

– Wykonałeś użyteczną pracę dla RE i zasłużyłeś na szansę nowego życia w innym miejscu – nie ustępował Galo. – Być może nawet zostania nowym człowiekiem.

Z mieszkania zabrano już wszystko oprócz mebli. Berglund i jeden z pozostałych żołnierzy stali w drzwiach, czekając na Gala. Z oddali wciąż dobiegały dźwięki syren. Bero miał wrażenie, że czuje zapach dymu. Zauważył, że zamaskowany hiszpański żołnierz sięga do pistoletu, który ma u boku, i spogląda pytająco na Berglunda. Galo pokręcił głową i spojrzął w pozbawione wyrazu oczy partnera.

– Chcę ci pomóc, Sumie – rzekł cicho Galo.

Na Bera nagle opadło zrozumienie. Zadał sobie pytanie, czy Hiszpancy obezwładnią go i uprowadzą, jak poprzednio Molownego, czy po prostu go zastrzelą. Był już dla nich bezużyteczny, mogli go poświęcić, jak wszystkich ludzi w KSJ.

– Dokąd miałbym się udać?

Galo zwrócił się ku drzwiom.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Pewnie nie ma – odparł Kekończyk pozbawionym wyrazu tonem. Wyszedł z budynku za swym oficerem prowadzącym.

Zamaskowany żołnierz ruszył za nimi.

ROZDZIAŁ 27

NIEBO WIDZIAŁO

Shae skończyła karmić córkę i spróbowała znowu zasnąć, gdy usłyszała zawodzenie swej oglądającej telewizję matki.

– Mamo, co się stało?! – zawołała. Gdy nie otrzymała odpowiedzi, włożyła Cię do plecionej kołyski i popędziła do salonu. Kaul Wan Ria gapiała się na ekran, zasłaniając usta dłońmi. Jej córka w pierwszej chwili nie zrozumiała widocznej na ekranie sceny. Dopiero gdy przeczytała napis WIELKA EKSPLOZJA W CENTRUM JANLOONU, uświadomiła sobie, że widzi dymiące ruiny gmachu Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego. Potrzebowała kolejnych dwóch sekund, by sobie uzmysłować, że dziś po południu było zebranie Sojuszu, w którym uczestniczyli filar i pełniący obowiązki filarowego. Jej matka o tym nie wiedziała.

– To okropne, okropne – powtarzała siedząca na kanapie przed telewizorem Ria. – Kto mógłby zrobić coś takiego? Mam nadzieję, że nie było tam nikogo, kogo znamy.

Pod Shae ugięły się nogi. Złapała za oparcie najbliższego krzesła. Być może to był koszmar wywołany poporodową traumą. Być może źle zapamiętała datę spotkania. Czy naprawdę dzisiaj był trzeci dzień, a nie drugi?

W kuchni zadzwonił telefon. Poszła tam chwiejnym krokiem i podniosła słuchawkę. To był Juen Nu.

– Nie mogę się skontaktować z filarem. – Słowa rogu i straszliwa cisza, jaka po nich nastąpiła, odarły ją z resztek złudzeń. – Wiesz, czy był w budynku?

– Obawiam się, że był – odparła niepokojąco słabym głosem. Zorientowała się, że oddycha bardzo płytko.

Na drugim końcu połączenia zapadła cisza.

– Zostań w domu, Shae-jen – powiedział. – Wyślę tam więcej zielonych kości, a ile tylko będę mógł skieruję do pomagania ratownikom. Zadzwonię, gdy

tylko dowiem się czegoś więcej. – Kolejna chwila straszliwej, złowrogiej ciszy. – Masz coś, co chciałabyś powiedzieć klanowi, jeśli okaże się to konieczne?

– Jeszcze nie – odpowiedziała. – Nie do chwili, gdy się dowiemy, kto to zrobił.

Nie wątpiła, że ten, kto był odpowiedzialny za zamach, pragnął zabić wszystkich przywódców klanów zielonych kości jednocześnie, nie czuła się jednak gotowa rozważyć możliwości, że jej brat i mąż nie żyją i stała się teraz owdowiałą matką małej córki. – Ktoś musi powiedzieć Wen – kontynuowała. – I dzieciom...

Umilkła niezdolna dokończyć zdania. Poczowała, że trudno jej oddychać. Serce tłuło jej szybko i nieregularnie.

– Natychmiast każę moim ludziom znaleźć Wen – zapewnił Juen. – Każę też palcom zabrać Nika i Jayę z Akademii, a Ru z jego szkoły, a potem odwieźć ich do domu.

Juen przerwał rozmowę i Shae poszła do matki.

– Mamo... – zaczęła, ale nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa więcej.

Tia obudziła się i zaczęła marudzić. Shae poszła do sypialni, wzięła ją na ręce i kołysała, spacerując po pokoju. Widok słodkiej buzi niczego nierozumiejącej dwutygodniowej córki sprawił, że oczy zaszyły jej łzami.

– Dlaczego musiałaś się urodzić w naszej rodzinie? – wyszeptała. – Jesteś doskonała, a u nas jest tak dużo cierpienia.

Jej matka weszła do sypialni.

– Shae-se, daj mi ją – poprosiła Ria, wyciągając ręce. – Powinnaś leżeć i odpoczywać, lekarz powiedział, że nie możesz się przemęczać.

Poród Shae przebiegł bez komplikacji, ale potem miała trudności z oddychaniem i rozpoznano u niej lekką kardiomiopatię poporodową. Nosiła teraz zmniejszoną ilość jadeitu i zabroniono jej się przemęczać. Powinna wrócić do zdrowia po trzech do sześciu tygodni.

Wręczyła dziecko Rii. Woon był przekonany, że Tia jest podobna do matki, ale Shae tego nie dostrzegła. Widziała tylko cerę swego męża i jego uszy.

– Muszę na chwilę wyjechać, mamo – oznajmiła i zaczęła się ubierać. Włożyła stare ciążowe spodnie i sweter. – Możesz się zająć Tią? W lodówce jest butelka mleka, a w kredensie mleko w proszku, gdybym nie wróciła za parę godzin.

Jej matka zacisnęła usta i przytuliła wnuczkę.

– Czy to ma coś wspólnego z tym wybuchem w śródmieściu? – zapytała. – Musisz pracować dla klanu, nawet teraz?

Shae skinęła głową, nie udzielając żadnych wyjaśnień. Jej matka zadrżała.

– Czy jest bardzo źle? – zapytała.

– Jeszcze nie wiem. – Shae starała się mówić spokojnie, nie zdradzając niczego. – Czekaj tutaj i nie wierz w nic, co ci powiedzą, dopóki nie będę wiedziała na pewno.

W oczach jej matki pojawił się śmiertelny cień zrozumienia. Ten widok złamałby serce Shae, gdyby całkowicie nie wypełniał jej strach. Kaul Wan Ria przeszła przez to już przedtem. Czekwała w samotności, by dowiedzieć się o śmierci męża. Potem najstarszego syna. A teraz również drugiego syna.

Shae wiedziała, że powinna posłuchać Juena, zostać w domu, gdzie było bezpiecznie, i czekać na wiadomości, ze spokojną rezygnacją, jak jej matka. Nie potrafiła jednak tego zrobić. Musiała pojechać na miejsce, zobaczyć wszystko na własne oczy, upewnić się. Jeśli rzeczywiście została teraz filarem, musiała się spotkać z członkami klanu. Nie mogła być matką leżącą w łóżku razem z niedawno narodzonym dzieckiem.

Rozkazała strażnikom posiadłości zawieźć ją do Dzielnicy Finansowej. Pojazdy na Bulwarze Generalskim posuwały się naprzód bardzo powoli, a kilka przecznic przed miejscem katastrofy natknęli się na kordon. Drogę zagrażały samochody policyjne i strażackie. Na chodnikach zgromadziły się tłumy. Ludzie mamrotali, wskazywali palcami i unosili do nosa chusteczki albo rąbki koszul, by osłonić się przed wszechobecnym smrodem spalenizny oraz unoszącym się w powietrzu popiołem. Wszędzie kręciły się zielone kości z obu wielkich klanów, a także z kilku mniejszych. Wszystkie współpracowały ze sobą, starały się uspokoić latarników i skłonić gapiów do odejścia ze strefy zagrożenia. Na krótki czas zapomniano o rywalizacji.

Shae kazała kierowcy zatrzymać samochód i oznajmiła, że wysiądzie w tym miejscu.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł, Kaul-jen? – sprzeciwił się mężczyzna. Miał wystarczająco wiele rozsądku, by wiedzieć, że nie powinien jej zostawiać samej, w miejscu, gdzie panował chaos, ale prognostyczka otworzyła drzwi i wysiadła, nim zdążył wpaść na pomysł, jak ją powstrzymać.

Przepychała się przez ciżbę, posuwając się w kierunku ruin budynku Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego. Ze wszystkich stron otaczał ją chaos. Jej zmysły atakowały ruch, hałas, dym i skupiska jadeitowej energii. Czuła swędzenie w oczach i w gardle. Poruszała się za szybko, by ktokolwiek mógł ją rozpoznać i zatrzymać. Zresztą i tak nikt nie zwracał na nią uwagi. Minęło dwadzieścia minut, nim zdążyła się przedrzeć do serca wydarzeń. Spociła się i zdyszała, a jej ubranie pokrywała warstewka popiołu. Połowa budynku nadal stała nietknięta. Wyglądało to obscenicznie – wnętrza korytarzy i pokoi wystawione na światło dzienne jakby przecięto architektoniczny model, żeby odsłonić rozkład pomieszczeń. Południowa część gmachu zamieniła się w stertę

gruzów. Krater po eksplozji otaczały sterty kawałków betonu i powyginanego metalu. Szereg drzew i dwa domy po drugiej stronie ulicy poczerniały od wybuchu. Krzątało się tam mnóstwo strażaków w kombinezonach, a karetki pogotowia przyjeżdżały jedna po drugiej. Shae zauważyła wielu rannych – krwawiące rany głowy, poparzenia, złamane bądź zwichnięte kończyny – siedzących i leżących na chodniku. Medycy zajmowali się nimi i poddawali ich triażowi. Kręciła się w kółko przytłoczona i oszołomiona.

Zmysł Postrzegania zaprowadził ją do skupiska znajomych jadeitowych aur. Spotkała Lott Jina, pierwszą pięść klanu w Janloonie, organizującego grupę około pięćdziesięciu zielonych kości z klanu Bez Szczytów. Wszyscy nosili robocze rękawice i osłaniali twarze chustami, a na ich szyjach wisiały czerwone plastikowe gwizdki.

– Vin i Tato dowodzą dwiema ekipami poszukiwaczy, które rozpoczęły pracę na przeciwległych końcach rumowiska i posuwają się ku środkowi! – zawołał Lott. – Jeśli wyczujecie kogoś żywego, nie marnujcie własnej Siły. Chcemy, żebyście skupili uwagę na Postrzeganiu i jak najszybciej posuwali się naprzód. Dmuchaście długo w gwizdek co dziesięć sekund i czekajcie, aż dotrą do was strażacy albo ekipa kopaczy. Batto, Yan i Toyi, wy najlepiej władacie Lekkością. Będziecie nosić wodę i medykamenty, a także przekazywać wiadomości. Wszyscy zrozumieli? – Gdy pięści i palce pokiwały głowami, Lott dodał: – Są tu też ludzie z Góry. Współpracujcie z nimi, ale pamiętajcie, że każdy metr kwadratowy musimy przeszukać sami. Jeśli Postrzeżecie Kaul-jena albo Woon-jena, trzy razy dmuchnijcie krótko w gwizdek. Tylko dla nich dwóch, dla nikogo innego.

Ludzie Lotta dotknęli czół splecionymi dłońmi i rozproszyli się, by zabrać się do roboty.

– Niech bogowie opromienią swą łaską klan Bez Szczytów – wyszeptało kilku z nich.

Shae podeszła do Lotta, który odwrócił się zaskoczony.

– Kaul-jen! – zawołał z gniewnym zaskoczeniem, zapominając o szacunku pod wpływem chwili. – Dlaczego tu jesteś?

– Niczego bym się nie dowiedziała, siedząc w domu przed telewizorem. – Otarła czoło dłonią, zostawiając na nim brudną plamę. – Wiesz... – Uniosła dłoń do piersi, łapiąc z wysiłkiem oddech. – Wiesz, co dokładnie się wydarzyło? Kto jest za to odpowiedzialny? Czy... – Spojrzała na ruiny budynku i na ekipy ratowników. – Czy znaleziono kogoś żywego?

Lott potrząsnął głową.

– Na razie panuje całkowity chaos. Juen-jen rozmawia z policją. Wiemy, że źródłem eksplozji była furgonetka wypełniona potężnymi materiałami

wybuchowymi. Zaparkowała w strefie załadunku, po południowej stronie budynku, dokładnie pod salą, w której trwało zebranie. Zamachowcy mieli dobre informacje. Znali rozkład budynku, wszystkie zabezpieczenia i wiedzieli, o której godzinie zacznie się spotkanie. Są świadkowie, którzy widzieli rano w furgonetce dwóch mężczyzn. Niektórzy zapewniają też, że widzieli, jak Ayt Madashi wypadła przez okno, na chwilę przed wybuchem. Ludzie Góry przeszukują okolicę, ale na razie nie wiedzą więcej od nas.

Shae kaszlnęła.

– W czym mogę wam pomóc?

Lott obrzucił ją zatroskanym spojrzeniem.

– Nie wyglądasz dobrze, Kaul-jen.

– Nic mi nie jest – zapewniła, ale pierwsza pięść nie sprawiała wrażenia przekonanego.

Wyobraziła sobie, jak z pewnością widzi ją Lott – czterdziestojednoletnia kobieta, która odłożyła większość swojego jadeitu i nadal była osłabiona po porodzie – i zalała ją fala frustracji oraz resentymentu, skierowanych raczej przeciwko niej samej niż przeciw Lottowi. Czuła się głupia i bezradna, zupełnie nie jak zielona kość, prognostyczka czy ktoś z rodziny Kaulów. Co, jej zdaniem, mogła tu osiągnąć?

– Muszę tu być. Muszę się dowiedzieć. – Chciała wypowiedzieć te słowa stanowczo, ale zabrzmiały raczej żałościwie. – W tej stercie gruzu są mój brat i mąż.

– Przysięgam na swój jadeit, że ich znajdziemy – zapewnił z przekonaniem Lott i dotknął dłonią jej łokcia. – Musisz oszczędzać siły. Klan cię potrzebuje. Tylko bogowie wiedzą, co nas teraz czeka. – Otworzył przed nią drzwi po stronie pasażera i wręczył jej butelkę wody ze skrzynki stojącej na ziemi obok sterty koców. – Nie mam prawa prosić cię, byś stąd odjechała, ale przynajmniej odpocznij chwilę.

Usiadła w samochodzie i Lott oddalił się, zostawiając drzwi otwarte. Wypiła butelkę wody, a potem położyła głowę na oparciu i potarła oczy brudnymi dłońmi. Kręciło się jej w głowie, a ucisk w klatce piersiowej przeszedł w prawdziwy ból. Nie była w stanie podejmować decyzji w imieniu klanu Bez Szczytów, ale wkrótce może być do tego zmuszona. Obserwowała wysiłki ratowników, a w jej brzuchu narastały mdłości zrodzone ze strachu. Zaskoczona pięści i palce oddawały jej honory, przechodząc obok, ale większość ludzi ją ignorowała. Rannymi zajmowano się na miejscu albo odwożono ich w karetkach. Gdy tylko słyszała gwizdek, jej serce przyśpieszało, ale zawsze był to jeden długi dźwięk, a nie trzy krótkie, na jakie czekała. Zabitych było więcej

niż ocalałych. Ich ciała wydobywano z gruzów, pakowano do czarnych worków i układano na ziemi.

Wysiadła z samochodu i ruszyła przed siebie, pogrążona w otępieniu. Nie potrafiła znieść myśli, że jest bezużyteczna, mimo że Lott miał rację, twierdząc, że nie jest zdolna do fizycznej pracy pośród gruzów, gdy w powietrzu unosił się pył. Nikt nie zauważył, że się oddaliła. Być może powinna była zostać w domu. Wen z pewnością już się dowiedziała. Nika, Ru i Jayę zabrano ze szkół. Powinna ich przywitać, gdy odwieziono ich do rezydencji. Jej piersi zaczynały się robić nieprzyjemnie twarde i obrzękłe. Uświadomiła też sobie, że zapomniała powiedzieć matce, gdzie są pieluszki.

Nogi niosły ją przez niesamowicie opustoszałe ulice Dzielnicy Finansowej. Kierując się raczej bezmyślnym odruchem niż świadomą decyzją, znalazła się pod Świątynią Boskiego Powrotu, odległą o trzy przecznice od miejsca zamachu. Podwórko ze świętymi drzewami było puste i panowała na nim całkowita cisza. Nawet wiatr umilkł. Weszła do środka. Na podwyższeniu przed murałem przedstawiającym Wygnanie i Powrót również nikogo nie było. Najwyraźniej po bezprecedensowym ataku terrorystycznym w samym sercu Janloonu ewakuowano wszystkie okoliczne budynki, nawet świątynię. Zaniepokoił ją ten widok. W ciągu minionych lat odwiedzała świątynię setki razy – czasami rankiem przed pracą albo późno w nocy – ale bez względu na porę dnia zawsze byli tu pokutnicy pogrążeni w głębokiej medytacji. Oczy mieli zamknięte, ich dłonie spoczywały na świętych jadeitowych kulach, a ich aury pulsowały spokojną, lecz czujną energią, wypełniającą całą świątynię. Teraz tej energii nie było. Shae była tu sama.

Nieprawda. Jej zmysł Postrzegania był zamglony, nie taki jak zawsze, ale gdy szła powoli przejściem, poczuła lekkie muśnięcie aury, którą z pewnością знаła. Rozejrzała się z niedowierzaniem. Jej spojrzenie zatrzymało się na nieruchomej postaci ukrytej w cieniach pod tylną ścianą.

Podeszła bliżej. Jej głośny oddech i stukot butów o posadzkę wydawały się aktem agresji. Wszędzie poznałaby tę gęstą, czerwoną aurę. Była osłabiona i stawała się coraz radsza, niczym rozżarzony węgielek stygnący na zimnie. Ayt Mada zaciskała dłonie na ranie na szyi, jej ramiona i barki pokrywała krzepnąca krew, a oddech był ledwie dostrzegalny.

Ayt usłyszała zbliżające się kroki, rozchyliła powieki i powoli skupiła wzrok. Ta surrealistyczna scena na długą chwilę wypełniła obie kobiety zdumieniem. Wreszcie Ayt Mada rozciągnęła usta w ironicznym uśmiechu. Wesołość przeniknęła powoli do jej zaszklonych, lecz nadal błyszczących oczu.

– Bogowie naprawdę mają poczucie humoru. – Głos Ayt trudno było usłyszeć. – Kaul Shae-jen. Cóż za zbieg okoliczności.

Shae skierowała wzrok ku sufitowi pustej świątyni, w której obie spotkały się przed laty na oczach bogów w niebie, by zaprzysiąc sobie wzajemną wrogość. Przeniosła spojrzenie na leżącą u jej stóp kobietę.

– Może to wcale nie zbieg okoliczności, Ayt-jen – wyszeptała.

– Twój brat nie żyje – wyszeptała Ayt. – Ja nawet nie byłam w budynku, a cisnęło mną na drugą stronę ulicy.

Rzeczowy ton jej słów wypełnił Shae chłodem od stóp do głów. Było zdumiewające, że Ayt przeżyła mimo tak ciężkich obrażeń i zdołała dowlec się do świątyni, być może licząc na to, że znajdzie tu azyl i pomoc. Shae zbliżyła się jeszcze o kilka kroków. Twarz drugiej kobiety była biała jak kreda, a jej wargi zrobiły się sine. Posługiwała się Przenoszeniem wewnątrz własnego ciała, co było trudne dla każdej zielonej kości. Zamknęła skrzepami straszliwą ranę w szyi i spowolniła krwotok, czerpiąc energię życiową z innych części organizmu. To było tak, jakby umierający z głodu człowiek żywił się własnym ciałem. Na dłuższą metę to nie mogło zakończyć się powodzeniem. Prędzej czy później niektóre narządy przestaną funkcjonować. Najpierw Ayt poczuje odrętwienie w dalszych częściach kończyn, a potem zapadnie ciemność.

– Kto ci to zrobił?

Shae była szczerze zainteresowana, a nawet bliska pełnego gorzkiego podziwu. Mordercza nienawiść między ich klanami ciągnęła się od dziesięcioleci, a teraz ktoś inny zdołał wbić nóż w szyję Ayt.

– Sama to sobie zrobiłam. – Uśmiechnęła się, widząc brak zrozumienia na twarzy Shae. – Dziesięć lat temu uśmierciłam Ven Sanda i jego synów za zdradę. Ale jego żonie i córkom pozwoliłam żyć – ciągnęła niewyraźnym, suchym, jadowitym szeptem. – Córce Vena nie wystarczyło, że zginę w zamachu bombowym. Pragnęła, żebym wiedziała, że to ona mnie zabiła. Popełniłam błąd, nie doceniając drugiej kobiety. – Filar Góry oblizwała suche wargi i wlepiła spojrzenie w Shae. – To zdarzyło mi się tylko dwa razy w życiu.

Shae spojrzała na śmiertelną nieprzyjaciółkę swej rodziny, kobietę odpowiedzialną za niemal wszystkie cierpienia, które nadały kształt jej dorosłemu życiu. Za zamordowanie jej brata Lana; wojnę klanów; utratę większej części jadeitu i ciężkie rany, jakie zadała Shae w pojedynku czystej klingi, który omal nie zakończył się jej śmiercią; zamach bombowy, w którym zginął Maik Kehn; zdradę i egzekucję Tau Mara; a wreszcie śmierć jej krótkotrwałego szefa sztabu Luta. Lista nieszczęść, jakie ściągnęła Ayt na klan Bez Szczytów, była długa, a każde z nich zostawiło na duszy Shae paskudną bliznę.

Spojrzała na puste podwyższenie. Dziś wyjątkowo nie było tu żadnych pokutników, którzy ujrzeliby, co się wydarzyło w świątyni, i zameldowali o tym

niebu. Dłoń Shae powędrowała ku jej krzyżowi, gdzie miała ukryty karambit. Wyciągnęła go z niewzruszoną pewnością, że bogowie celowo odwrócili dziś twarze niczym podstępni członkowie rodziny dający ukradkiem dziecku prezent, którego nie powinni aprobować. Zaciśnęła na rękojeści dłoń, ciepłą i pełną determinacji. Jej klan, jej rodzina i jej życie mogły leżeć w gruzach, ale miała przynajmniej to. Wszystko zależało teraz od niej. Mogła wykonać zadanie, z którym nie poradzili sobie jej bracia, wreszcie zakończyć wojnę między klanami. Być może Lan na nią patrzył. Niewykluczone, że Hilo również.

Przykucnęła ostrożnie. Ayt mogła być ciężko ranna i bliska śmierci, ale tygrys złapany w sidła potrafił z ostatnim tchnieniem rozszarpać gardło myśliwemu. Ayt miała znacznie więcej jadeitu od niej i była w stanie przywołać przedśmiertny impuls mściwej siły woli, by zabrać ją ze sobą.

Filar Góry przesunęła się z wyraźnym bólem.

– Gratuluję, Kaul-jen. Z końcem dzisiejszego dnia możesz się stać jedynym filarem na Kekonie. Nie zazdroszczę ci jednak. – Z jej twarzy zniknął pogardliwy uśmiezek, a w głosie słyszało się znużenie i gniew. – Coś ci poradzę. Nie powtórz mojego błędu. Nigdy nie okazuj litości.

Shae znieruchomiała. Złowrogie słowa Ayt dodały ciężaru nożowi, który trzymała w dłoni. „Możesz się stać jedynym filarem na Kekonie”.

Klany walczyły ze sobą od wielu lat. Dziś jednak zaatakował je inny wróg, pragnący zagłady ich wszystkich. Ekstremistów nie obchodziło *aisho*, byli gotowi zabijać setki niewinnych ludzi. Chcieli przewrócić kekońskie społeczeństwo do góry nogami, siać chaos i zniszczenie, udowodnić, że nawet najważniejsze instytucje w kraju można zniszczyć, a najpotężniejsze zielone kości również mogą zginąć z rąk ludzi niemających jadeitowych mocy.

Widziała gruzy pozostałe po zamachu i choć pragnęła temu zaprzeczyć, wiedziała, że Ayt zapewne ma rację i wszyscy ludzie, którzy byli w budynku, zginęli. Potrafiła przewidzieć, co się teraz stanie. Pomniejsze klany po utracie filarów pogrążą się w kryzysie. Całe miasteczka i niektóre gałęzie przemysłu ogarnie chaos. Kraj będzie potrzebował przewodnictwa dwóch wielkich klanów. Dwudziestodwuletni bratanek Ayt Mady zostanie filarem, a klan znajdzie się pod kontrolą nieroztropnej rodziny Kobenów. Kobenowie oskarżą o terrorystyczny atak imigrantów i cudzoziemców. Obudzą w ludziach reakcyjną furję i wykorzystają swe wpływy w Radzie Książęcej, by wprowadzić izolacjonistyczną politykę, która cofnie kraj o dziesięciolecia, zagrozi międzynarodowym operacjom klanu Bez Szczytów i sprowokuje zagraniczną agresję.

Jeśli zaś chodzi o jej klan... Shae czuła zimny strach wnikający aż do szpiku kości. Niedawno została matką, a teraz zapewne była też wdową. Jej zdrowie nie

było zbyt dobre i straciła większą część jadeitu. Nie była w stanie pełnić obowiązków filaru. Nie chciała objąć tej pozycji. Sama myśl o tym wypełniała ją przerażeniem.

Zadała sobie pytanie, czy tak właśnie czuł się Hilo zaraz po śmierci Lana. Nigdy z nim o tym naprawdę nie rozmawiała. Dla niej może to być jeszcze trudniejsze. Będzie musiała kierować klanem Bez Szczytów, a być może również całym krajem, po straszliwej katastrofie, pozostałe klany zielonych kości ogarnie chaos, lud będzie domagał się zemsty, a obce mocarstwa mogą spróbować wykorzystać to zamieszanie.

Silniej ścisnęła karambit. Powieki Ayt opadły, jej jadeitowa aura pulsowała słabą niecierpliwością, a oddech stawał się coraz płytszy i bardziej wysiłony.

Mruknęła pod nosem i schowała broń. Nie potrafiąc uwierzyć, że to robi, podeszła do Ayt Mady, objęła ją i pomogła jej usiąść. Wzmocniła ucisk na ranę, z której sączyła się krew. I zaczęła Przenosić swą cenną energię, ogrzewając ciało filar Góry.

„Nigdy nie okazuj litości”.

– Okazałabym litość, gdybym poderżnęła ci gardło, Ayt-jen, i oszczędziła ci bycia filarem w tych strasznych czasach, gdy będziesz najbardziej potrzebna – wysyczała.

ROZDZIAŁ 28

ZDECYDUJ

Anden przeżył już wiele szoków, ale nawet w najbardziej szalonych wizjach nie wyobrażał sobie, że zobaczy, jak jego kuzynka Kaul Shae wychodzi tylnym wejściem ze Świątyni Boskiego Powrotu, obejmując jedną ręką ramiona filar Góry. Obie kobiety chwiały się na nogach i obie były pokryte krwią Ayt.

Przez kilka sekund gapił się tylko na to, rozdziawiając usta z grozy i zdumienia. Nie potrafił pojąć tego niewiarygodnego widoku. Wziął się w garść, wysiadł z samochodu i pośpieszył im z pomocą. Gdy do nich dotarł, zawahał się, odsuwając się odruchowo od Ayt, jakby zobaczył żmiję. Potem położył rękę na drugim ramieniu rannej kobiety, otworzył drzwi samochodu i pomógł Shae wsadzić ją do środka.

Shae zajęła miejsce obok kierowcy, a Anden usiadł za kółkiem. Zwrócił się w stronę kuzynki i obrzucił ją pytającym spojrzeniem. Prognostyczka wyglądała okropnie. Popiół pokrywał jej włosy i zabarwiał warstewkę potu pokrywającą twarz. Zrobiła się szara niczym trup.

– Shae-jen – zaczął powoli Anden. – Dlaczego ratujemy życie Ayt Madashi?

– Potrzebujemy jej – odparła z przygnębieniem Shae. – Nie mogłoby być mniej odpowiedniej chwili na to, by największy klan w kraju ogarnął chaos. Albo by władzę nad nim przejęła rodzina Kobenów, co mogłoby mieć prawie równie fatalne skutki. – Zauważyła w oczach Andena głęboki lęk. – Nie mam żadnych wiadomości – rzekła cicho. – A ty?

Anden potrząsnął głową.

– Sprawdziłem we wszystkich szpitalach.

Shae znalazła go w poradni w Papai, gdzie pomagał tłumom rannych, zalewającym wszystkie janloońskie placówki medyczne. W przerwach między przyjmowaniem pacjentów dzwonił do rezydencji Kaulów, domu Shae, domu rogu oraz Biura Prognostyka, by sprawdzić, czy członkowie jego rodziny są

bezpieczni. Linie telefoniczne były przeciążone i Shae miała wielkie szczęście, że udało się jej dodzwonić do niego z budki telefonicznej obok świątyni już za trzecim razem. Wybiegł z poradni, nic nikomu nie mówiąc. Nadal miał na sobie fartuch i nosił jadeit.

Anden obejrzał się przez ramię, zerkając na tylne siedzenie ryuny 5T. Hilo nabijał się z niego z powodu tego bardzo praktycznego wehikułu, ale w tej chwili Anden cieszył się, że go ma, bo z pewnością był to ostatni samochód, jaki mógłby sprawdzić ktoś, kto poszukiwał zaginionej filar Góry. Ayt Mada oddychała, ale się nie poruszała.

– Miejsce wybuchu jest tylko kilka przecznic stąd – zauważył Anden. – Są tam karetki i zielone kości z Góry. A może powinniśmy ją zawieźć prosto do Centralnego Szpitala?

– Ani jedno, ani drugie – sprzeciwiła się Ayt Mada z pasją tak wielką, że Anden wzdrygnął się, słysząc głos śmiertelnej nieprzyjaciółki swej rodziny dobiegający tuż zza jego pleców. – Nikt z Góry nie może mnie zobaczyć w takim stanie. Nie rozumiesz tego? – Zaczerpnęła chrapliwie tchu i spróbowała usiąść. – Najpierw... najpierw muszę odzyskać siły...

– Potrzebujesz lekarza, Ayt-jen – sprzeciwił się Anden. – Straciłaś za dużo krwi.

– Wystarczy, że mogę umrzeć od ran przed upływem godziny od chwili, gdy mnie znajdą. Zabierzcie mnie daleko od wszystkich.

Głos Ayt-jen był podszyty uczuciem, którego Anden w pierwszej chwili nie rozpoznawał. Strachem. Minęła chwila, nim to sobie uświadomił. Wśród członków Góry mogli być ludzie gorąco popierający rodzinę Kobenów, albo tacy, którzy żywili zadawnione pretensje z powodu któregoś z rywali zabitych przez Ayt w ciągu minionych lat. Z pewnością by się nie zmartwili, gdyby filar stała się jedną z nieszczęsnych ofiar dzisiejszego haniebnego zamachu. Nawet w szpitalu, pod opieką własnych zielonych kości, poważnie osłabiona Ayt nie mogłaby się czuć w pełni bezpiecznie.

Anden zaklął pod nosem, otarł pył z okularów i ruszył w drogę. Na szczęście ulice były puste – udało mu się przedostać przez kordon otaczający miejsce zamachu tylko dlatego, że był lekarzem – i przed upływem piętnastu minut dotarli do jedyne miejsce, które przyszło im do głowy – mieszkania Andena w Starym Mieście. Zatrzymał się na podziemnym parkingu, blisko windy, i wysłał Shae przodem, by się upewniła, czy nie natkną się na nikogo w korytarzu. Miał w bagażniku płaszcz przeciwdeszczowy. Narzucił go na ramiona Ayt i postawił kaptur, by ukryć jej twarz. Filar Góry była ledwie przytomna, a jej aura znacznie osłabła. Nie była w stanie utrzymać się na nogach. Anden uniósł ją bez trudu i zaniósł do windy, a potem do mieszkania.

Ręce Ayt zwisały bezwładnie, liczne klejnoty, jakie nosiła, lśniły na tle pobladłej skóry, a ich energia wywierała coraz silniejszy nacisk na głowę i klatkę piersiową Andena. Nie potrafił sobie wyobrazić nic bardziej niewiarygodnego. Potężna Ayt Madashi upadła tak nisko, że spoczywała bezwładnie w jego ramionach.

Gdy już znaleźli się w środku, położył Ayt na kanapie, odsunął się od niej i otarł pot z czoła. Shae zamknęła za nimi drzwi i zasunęła żaluzje. Oboje znieruchomieli na mgnienie oka. Stali w zaciemnionym pokoju, dysząc ciężko i gapiąc się z niedowierzaniem na Ayt oraz na siebie nawzajem. Wreszcie Anden wypuścił powietrze z płuc.

– Shae-jen, czy mogłabyś mi pomóc? Potrzebuję apteczki. Jest pod zlewem w łazience. Zagotuj też wodę.

Skinęła głową i zrobiła to, o co ją prosił. Anden uklęknął przed nieprzytomną Ayt i zbadał Postrzeganiem jej ciało, zapamiętując najpoważniejsze obrażenia. Następnie położył dłonie na jej tułowiu i zaczął Przenosić, powoli i systematycznie, by nie nadwerężyć osłabionego organizmu. Najpilniejszym problemem była utrata krwi. Zabrał się do hamowania krwawienia z paskudnej rany od noża, a także niewidocznych krwotoków wewnętrznych wywołanych licznymi urazami, zapewne spowodowanymi wyskoczeniem przez okno albo uderzeniem o ścianę po wybuchu. Gdy wróciła Shae z bandażami i gorącą wodą, uporał się już z największymi zagrożeniami, ale to jeszcze nie znaczyło, że Ayt będzie żyła. Ciśnienie krwi nadal było niebezpiecznie niskie, krążenie słabe, a odwodnienie i infekcja pozostawały realnymi zagrożeniami. Nie mógł zrobić nic więcej, dopóki nie sprowadzi sprzętu i środków medycznych z poradni, nie wywołując przy tym podejrzeń.

Pozwolił swym jadeitowym talentom na chwilę odpoczynku i zajął się czyszczeniem oraz zaszywaniem rany od noża. Zmęczył się już wcześniej pracą w przychodni i miał za mało energii, by móc Przenosić bez chwili przerwy. Shae przez chwilę stała tuż obok, a potem poszła do kuchni. Anden słyszał, że korzysta z telefonu. Po kilku minutach wróciła do pokoju.

– Muszę na chwilę pojechać do domu – oznajmiła. – Dzieci już tam dotarły. Wen jest w drodze. Muszę też nakarmić Cię.

– Usiądź na kilka minut, Shae-jen – nalegał Anden. – Musisz coś zjeść i wypić, a ja tymczasem sprawdzę twoje serce i płuca. Nie możesz pozwolić, żeby stała ci się krzywda.

Shae spojrzała na leżącą na kanapie Ayt.

– Masz wystarczająco wiele problemów na głowie. Oszczędzaj energię.

– Myślisz, że obchodzi mnie życie Ayt Mady? – zapytał Anden tonem ostrzejszym, niż było to jego zamiarem. – Zajmuję się nią na twój rozkaz, ale nie

postawię jej życia wyżej od twojego.

Poszedł do kuchni i zrobił dwie miski zupy błyskawicznej, zawierającej najwięcej białka wśród wszystkich, które znalazł w szafce i w lodówce – pszenny makaron, jaja na twardo, wodorosty i kawałki suszonej ryby – po czym kazał kuzynce usiąść i zjeść ją razem z nim. Shae włączyła telewizor. Na wszystkich kanałach podawano wiadomość, że dwóch mężczyzn powiązanych z zamachem bombowym zginęło w strzelaninie w Dzielnicy Portowej. Niespodziewana wiadomość od anonimowego nadawcy zaprowadziła policję do Dzielnicy Portowej, gdzie Guriho i Otonyo – dwaj Oortokanie z kryminalną przeszłością, znani członkowie Ruchu Bezklanowa Przyszłość – próbowali uciec z miasta łodzią. Guriho zginął w gwałtownej wymianie ognia, a Otonyo zastrzelił się, nim zdążono go aresztować.

Zwolennicy ruchu obwołali obu zamachowców bohaterami i przeprowadzili serię mniejszych ataków w całym mieście. Uzbrojeni ludzie wymachujący czarnymi flagami i skandujący: „Przyszłość jest teraz! Przyszłość jest bezklanowa!” w całym mieście próbowali zniszczyć budynki rządowe oraz najważniejsze nieruchomości należące do klanów. Zielone Kości z Tarczy Haedo dzielnie broniły Skarbcza Państwowego oraz Gmachu Mądrości, ale donoszono też o użyciu broni palnej, granatów z gazem łzawiącym oraz bomb rurowych w okolicach Fabryki, na ulicy Dla Ubogich oraz w Dzielnicy Finansowej. Shae wciągnęła gwałtownie powietrze, ujrawszy, że niższe piętra należące do klanu Bez Szczytów wieżowca na Statkowej spowijają kłęby dymu.

Przekaz wrócił do Toh Kity w studiu Kekońskiej Stacji Państwowej. Spiker przeczytał wiadomość, że aktualna liczba ofiar zamachu to osiemdziesięciu siedmiu zabitych, stu dwudziestu dwóch rannych oraz sześćdziesięciu czterech zaginionych, w tym filary obu wielkich klanów. Potwierdzono śmierć przewodniczącego KSJ, filarów klanów Jo Sun i Czarny Ogon oraz szeroko znanej zielonej kości z Góry, Koben Yira.

Następnie Toh Kita przeczytał oświadczenie wydane przez Ayt Atosha w imieniu Góry. Wyraził on w nim szok i żalobę, podziękował ratownikom za ich pracę i oznajmił, że każdy, Kekończyk czy cudzoziemiec, powiązany z aktami pozbawionego skrupułów terroryzmu będzie uznany za zaprzysiężonego wroga klanu Góra i całego Kekonu. Góra wyjdzie z lasu i zniszczy Ruch Bezklanowa Przyszłość, a także wszystkich, którzy się z nim sprzymierzyli.

Toh Kita poinformował widzów, że klan Bez Szczytów do tej pory nie wydał oświadczenia. Anden spojrział z niepokojem na Shae. Oświadczenie Góry było zaskakujące, nie ze względu na jego treść, lecz na to, jak szybko je wydano. Ciało Ayt Mady nie odnaleziono, ale rodzina Kobenów starała się jak najszybciej

zagwarantować sobie, że już pierwszy oficjalny komunikat klanu potwierdzi, że Ayt Ato jest nowym filarem. Z pewnością miało to powstrzymać inne wpływowe rodziny w klanie przed rzuceniem wyzwania Kobenom. Jednakże skoro Góra już przemówiła, od klanu Bez Szczytów będzie się oczekiwało, że wkrótce zrobi to samo.

– Powinam już iść – oznajmiła Shae.

Anden zasugerował, żeby zadzwoniła do domu i poprosiła, żeby przysłali po nią strażników. Nie podobała mu się myśl, że jego kuzynka będzie się przemieszczać po mieście sama. Groźba przemocy nadal pozostawała realna. Co więcej, prognostyczka nie powinna się dłużej przemęczać. Odpowiedziała mu jednak, że nie mogą wpuszczać do jego mieszkania zielonych kości z klanu, obdarzonych zdolnością Postrzegania. Anden nadal się niepokoił, ale oddech i akcja serca Shae niemalże wróciły już do normy, wezwał więc taksówkę i dał kuzynce na drogę termos z leczniczą nalewką wspomagającą krążenie.

Gdy prognostyczka już wyszła, Anden wyłączył telewizor. Nie mógłby znieść widoku zdjęć Kaul Hila i Ayt Mady z podpisem ZAGINIENI, gdy jedna z tych osób leżała na jego kanapie i mógł uratować jej życie, ale to nie była ta właściwa osoba. Ayt Mada oddychała powoli, a jej oczy drżały pod zamkniętymi powiekami. Wiedział, że powinien się przespać, by odzyskać siły, ale nie sądził, by był w stanie zasnąć. Nerwowość i niepokój wypełniały go aż po brzegi, a poza tym wydawało mu się absurdalne spanie w tym samym pokoju z osobą będącą największym wrogiem jego rodziny, nawet jeśli w tej chwili nie mogła być dla niego groźna. Anden westchnął i raz jeszcze zrobił użytek z jadeitowych umiejętności, wysyłając swą energię do ciała Ayt, by zachęcić je do przyspieszenia produkcji osocza i czerwonych krwinek.

Ayt to wyczuła. Rozchyliła powieki i spojrzała na niego.

– Pamiętasz, jak spotkaliśmy się po raz pierwszy, Emery Anden? – zapytała ochryłym głosem. – Gont Asch przyprowadził cię na spotkanie ze mną. Byłeś wystraszonego nastolatkiem, ale zachowałeś się jak mężczyzna. Już wtedy wiedziałam, że będziesz bardzo wartościowym nabytkiem dla Kaulów. – Rozciągnęła bezkrwiste usta w pozbawionym wesołości uśmiechu. – W swoim czasie zastanawiałam się, czy kazać cię zabić, ale teraz cieszę się, że nigdy mnie do tego nie zmusiłeś.

– Powinnaś oszczędzać siły, Ayt-jen – odparł Anden. – Nie ma potrzeby rozmawiać.

* * *

Shae nie było przez cały wieczór. W tym czasie Anden pośpiesznie pojechał do przychodni, w której pracował, i zabrał dwa worki z płynem infuzyjnym, zestawy do podłączenia kroplówki, stojak, bandaże oraz antybiotyki. Zrobił to tak szybko, jak tylko mógł, nie rozmawiając z nikim. Ayt spała, ale pomysł zostawienia jej samej w jego mieszkaniu był tak niezwykły, że nie miał najmniejszej ochoty tego robić. Nie miał jednak wyboru. Bez względu na to, jak wiele energii Przeniósł do ciała Ayt, by złagodzić skutki obrażeń, wszystko to zda się na nic, jeśli nie uzupełni płynów i nie powstrzyma infekcji.

Kiedy wrócił, Ayt nadal nie odzyskała przytomności. Jej skóra nie była już jednak taka szara jak przedtem i wydawało się, że oddycha łatwiej. Pomyślał, że powinien zmyć z niej krew i dać jej nową koszulę, ale na myśl o rozbieraniu Ayt Mady jego umysł cofnął się trwożnie, jak spłoszone zwierzę. Zmontował kroplówkę.

– Ayt-jen, muszę uzupełnić ci płyny i zmienić bandaże – oznajmił.

Nie otworzyła oczu, ale wyczuł w jej aurze poruszenie sugerujące, że usłyszała go i zrozumiała. Nie chciał, żeby obudziła się nagle i rozszarpała mu gardło, gdy poczuje, że coś ukłuło ją w ramię. Z drugiej strony pomyślał, że bać się jej w takiej chwili to głupota. Była ciężko ranną kobietą w średnim wieku, nie demonem.

Włączył telewizor i zaczął oglądać wiadomości, odpoczywając przed kolejną sesją Przenoszenia. Nadal pokazywano ratowników i zielone kości kopiących w gruzach gmachu KSJ. Mieli ręczne latarki i czołówki. Napisy na dole ekranu cały czas podawały uaktualnioną liczbę ofiar. Jeden z reporterów zdołał się przedrzeć do brudnego, spoconego Juen Nu. Zapytał go, czy nadal ma nadzieję, że jego filar żyje. Juen Nu, róg klanu Bez Szczytów, w normalnych warunkach był rzeczowym człowiekiem, jasno postrzegającym rzeczywistość i nieskłonny do sentymentalizmu, teraz jednak łypnął ze złością na dziennikarza i warknął, że zielone kości nie polegają na nadziei, dopóki możliwe jest działanie, i wszystko szłoby szybciej, gdyby media nie zawracały im głowy i pozwalały pracować.

Anden wziął w rękę słuchawkę i zaczął wybierać numer do rezydencji, ale jego palec zawisł nad ostatnim guzikiem. Uszy wypełniał mu ciągły sygnał. Wyobraził sobie pozostałych członków rodziny zebranych w salonie albo w rzadko używanym pokoju modlitewnym i czekających na wieści. Dręczona niemożliwym do zniesienia strachem Wen spokojnie mówiłaby dzieciom, że ich ojciec nie chciałby, by wpadały w panikę. Ru i Jaya byliby wystraszeni i zadawali pytania, ale Niko zachowałby spokój, skrywając strach wewnątrz. Andenowi nie przychodziły na myśl żadne słowa, jakimi mógłby ich pocieszyć. Nie powinien dzwonić tylko po to, żeby zająć linię, która powinna być wolna.

I jak mógłby okłamać krewnych, wymyślić jakiś powód, dla którego nie jest z nimi? Nie mógł im przecież powiedzieć, że potajemnie opiekuje się Ayt Mada.

Z ciężkim sercem odłożył słuchawkę.

Można by pomyśleć, że w takiej sytuacji nie będzie w stanie zasnąć spokojnie, ale zmęczenie wywołane niepokojem i zużyciem jadeitowej energii okazało się zbyt silne. Zapadł w sen w fotelu, nadal nosząc jadeit, i obudził się gwałtownie, gdy Postrzegł dwie zielone kości zbliżające się do drzwi. Jedna z jadeitowych aur należała do Shae. Drugiej nie znał. Zimna, zrównowazona energia przypominające spojrzenie sokoła. Otworzył drzwi, nim Shae zdążyła zapukać. Obok prognostyczki stał wysoki, postarzały mężczyzna, chudy, posiwiały i prawie łysy. Jego oczy miały jednak przeszywający wyraz, a na wytartej skórzanej opasce na lewym nadgarstku nosił jadeit.

– Przepraszam, że to trwało tak długo – rzekła Shae. – To jest Nau Suen.

Anden nigdy dotąd nie spotkał byłego rogu Góry. W czasie, gdy Nau pełnił tę funkcję, Anden najpierw przebywał w Espenii, a potem czas zajmowały mu studia medyczne. Wiedział jednak, że Nau zasłynął jako podstępny skrytobójca o przerażająco rozwiniętym zmyśle Postrzegania. Ayt Mada zawsze mu ufała, gdy chciała wyszeptać czyjeś imię. Stary mężczyzna stojący w korytarzu już przed wielu laty przeszedł w stan spoczynku, a także nie był w dobrej formie fizycznej, lecz Anden przełknął ślinę i ostrożnie dotknął czoła.

– Witaj, Nau-jen – rzekł.

Nau wszedł bez słowa do środka, ledwie spoglądając na Andena, i przykucnął przy kanapie. Ayt Mada odzyskała przytomność i niepewnie próbowała usiąść. Były róg delikatnie położył dłoń na jej czole, jakby była dzieckiem mającym gorączkę.

– Cześć, stary przyjacielu – odezwała się Ayt. – Znowu przybywasz mnie uratować.

– To Kaul Shae przybyła do mnie – przyznał cicho Nau. – Gdyby nie ona, myślałbym, że leżysz pod tą kupą gruzu. Wszyscy tak mówili, nawet Kobenowie.

Ayt zerknęła na Shae nad ramieniem swego byłego rogu. W jej oczach nie uwidaczniała się wdzięczność, lecz coś, co Anden uznał za pełne konsternacji uznanie.

– Niektórzy ludzie będą głęboko rozczarowani – stwierdziła, z pewnością mając na myśli członków obu klanów.

Nau dotknął grubych bandaży na jej szyi.

– Jak do tego doszło? – zapytał.

– To była córka Vena – wyjaśniła z goryczą Ayt. – Przebrała się za sekretarkę i zaatakowała w odpowiednim momencie.

Nau syknął przez zęby.

– Mada – westchnął. – Pamiętasz, jak ci mówiłem, żebyś nie zostawiała nikogo z tej rodziny przy życiu? Oboje się starzejemy, a nasi wrogowie nadal są młodzi.

– Ty przynajmniej przeszedłeś w stan spoczynku, Suen-jen – odparła z ironią.

Anden nigdy by się nie spodziewał, że usłyszy w jej głosie taki ton. Wyciągnęła igłę z ramienia, postawiła stopy na podłodze, oparła się dłońmi o kanapę i spróbowała wstać, zachwiała się jednak i omal nie upadła. Nau złapał ranną kobietę i pomógł jej zachować równowagę. Ayt oparła się o niego. Po jej twarzy spływał pot. Stary róg uniósł ją w ramionach. Na jego poranej bruzdami twarzy na moment pojawiło się napięcie, ale nadal władał Siłą w wystarczającym stopniu, by udźwignąć to brzemie. Oplotła go ozdobionymi jadem ramionami i wsparła głowę na jego barku.

– Zawieź mnie do domu – mruknęła.

Anden i Shae odsunęli się, gdy Nau ruszył ku drzwiom. Nim do nich dotarł, lekarz wyrwał się z oszołomienia.

– Zaczekaj! – zawołał.

Przyniósł z kuchni plastikową torbę na zakupy i wrzucił do niej zapasowe bandaże oraz buteleczkę z antybiotykiem. W tej samej chwili zadzwonił stojący na ladzie telefon. Shae podniosła słuchawkę.

Anden wręczył torbę Nau, który zawiesił ją niezgrabnie na nadgarstku. Obie ręce zajmowała mu Ayt.

– Zmieniaj bandaże co cztery godziny i łykaj dwie tabletki dziennie. – Anden spojrzał w oczy Nau. – Twoja filar będzie potrzebowała transfuzji. Powinna leżeć w szpitalu. Przynajmniej wezwij lekarza zielonej kości, żeby się nią opiekował.

Nau nie odrywał spojrzenia od jego twarzy.

– Niech bogowie opromienią cię łaską za to, co uczyniłeś, doktorze Emery Anden – rzekł. – Nawet jeśli wiem, że nigdy nie ratowałeś komuś życia z większą niechęcią.

W tej samej chwili jademowa aura Shae zapulsowała od emocji tak silnych, że obaj mężczyźni zwrócili się w stronę prognostyczki. Słuchawka wypadła jej z rąk i zwisała luźno na kablu. Kobieta oparła się dłońmi o blat. Anden miał wrażenie, że stanęło mu serce. Sekunda stała się wiecznością.

Shae spojrzała na niego. Jej oczy powilgotniały z ulgi.

– Znaleźli ich – wydyszała. – Żyją.

Anden zerknął w stronę telewizora. Dźwięk był wyłączony, ale na ekranie nie powtarzano już w kółko tych samych relacji. Pokazywano teraz nosze dźwigane do karetki. Kamera była zbyt daleko, żeby Anden mógł rozpoznać twarze, ale

napisy na dole ekranu głosiły: FILAR I DAWCA PIECZĘCI KLANU BEZ SZCZYTÓW ZNALEZIENI ŻYWI.

Andenowi zakręciło się w głowie. Kolana się pod nim ugięły. Położył dłoń na oparciu sofy.

– Yatto, Ojcie Wszechrzeczy, Stary Wujku Jenshu i wszyscy bogowie w niebie, dziękuję wam – wyszeptał nabożnie, choć nigdy nie był zbyt religijny.

Tylko dzięki temu, że nadal nosił jadeit, zauważył napięcie, które nagłe wypełniło jego mieszkanie. Nau Suen również wpatrywał się w ekran telewizora, a jego zwykle nieprzenikniona jadeitowa aura powiększyła się i pociemniała w Postrzeganiu Andena.

Gdy tylko Shae wyszeptała „Żyją”, wszystko się zmieniło.

Gdyby Kekon jednocześnie utracił filary obu największych klanów, wywołałoby to potężny kryzys. Shae uratowała życie Ayt dlatego, że bała się destabilizacji. Jeśli jednak Kaul Hilo żył, nadal był filarem klanu Bez Szczytów. Nie było wątpliwości, czego oczekiwaliby od Andena i Shae, gdyby Ayt Mada znalazła się na ich łasce i niełasce. Gdyby Ayt teraz zginęła, Góra pograżałaby się w chaosie, podczas gdy klan Bez Szczytów pozostałby nietknięty. Kaulowie by zwyciężyli.

Nau powoli przeniósł spojrzenie na Andena, stojącego między nim a drzwiami mieszkania. Były róg Góry budził powszechny strach, ale nawet w najlepszych latach nie był zbyt sprawny fizycznie. Odnosił zwycięstwa dzięki sprytowi i umiejętnościom. Nau był w zaawansowanym wieku, a Ayt odniosła poważne obrażenia i nie była w stanie chodzić, nie wspominając już o walce. Shae i Anden byli młodszy i silniejsi niż dwie zielone kości z Góry. A Anden nosił cały swój jadeit.

Poczuł, że ostre jak nóż Postrzeganie byłej pięści Góry przesunęło się po nim, sprawdzając jego intencje. Jadeitową aurę Nau wypełniała gorzka determinacja. Był gotowy walczyć i zginąć za swoją filar, a także zabrać ze sobą co najmniej jedno z Kaulów. Nikt z ludzi obecnych w budynku KSJ nie chciał tego zrobić, nawet nieżyjący Koben Yiro.

Anden nie ruszał się z miejsca. Miał przed sobą kobietę, która od dwudziestu lat toczyła wojnę z jego rodziną. Mógł położyć temu kres. Był zmęczony, ale mógł jeszcze przywołać Siłę, by zadać śmiertelny cios, albo uderzyć Przenoszeniem w kluczowe dla życia miejsce.

– Anden – odezwała się Shae nerwowym szeptem.

Nie obejrzał się na nią.

Nau przesunął Ayt, pragnąc położyć ją na podłodze, ale filar Góry postawiła nogi na podłodze i stanęła o własnych siłach. Musiała się wspierać o bark swego byłego rogu, ale zdołała się wyprostować. Spojrzała na telewizor.

– Nie potrafię powiedzieć, ile razy zadawałam sobie pytanie, dlaczego Kaul Hilo jeszcze żyje. Wygląda na to, że będę musiała zadawać je sobie dalej – rzekła z nutą gorzkiego humoru. Na jej czoło wystąpił pot, ale na twarzy malował się niezachwiany spokój. Spojrzała na Andena. – Zdecyduj, doktorze Emery.

Anden Postrzegał bicie wszystkich serc w pomieszczeniu, ale najlepiej własnego. W jego klatce piersiowej narastał nacisk, a jadeitowa energia się skupiała. Przysięgał sobie, że nigdy już nie użyje jadeitu, by odebrać komuś życie. Wtedy nie mógł jednak wyobrazić sobie podobnej sytuacji.

Bez wahania poświęciłby karierę lekarza, gdyby oznaczało to, że Góra już nigdy nie skrzywdzi kogoś, kto był mu bliski. Czy zabójstwo kobiety, której życie przez cały dzień z wielkim wysiłkiem starał się uratować, doprowadziłoby do tego celu? Ile istnień ludzkich uratowałby, gdyby raz na zawsze położył kres wojnie klanów? Czy tego właśnie chciałby Lan?

Kolejne sekundy ciągnęły się nienaturalnie długo. Anden zaciskał pięści. Nie spuszczać z oczu Ayt i Nau, zszedł im z drogi. Nau zamrugał, a na jego twarzy pojawił się tik. Przesunął się, by podtrzymać swoją filar. Oboje wyszli na korytarz i się oddalili. Anden stał w drzwiach aż do chwili, gdy nie był już w stanie ich Postrzegać.

– Czy popełniłem błąd? – wyszeptał sam do siebie.

Shae oparła się o ścianę.

– Nie mam pojęcia.

ROZDZIAŁ 29

BRUTALNE PRZEBUDZENIA

Kaul Hila i Woon Papiego pośpiesznie przewieziono do Centralnego Szpitala. Leżeli tam ponad dwa tygodnie, a klanowe pięści strzegły ich przez cały ten czas. Hilo miał wstrząs mózgu, złamaną łopatkę, pękniętą śledzionę, a także oparzenia i drobne urazy. Woon złamał sobie kilka żeber oraz miednicę, a do tego utracił słuch w jednym uchu. Gdy wreszcie wydobyto ich spod gruzów, obaj byli też poważnie odwodnieni. Powszechnie uważano, że fakt, iż przeżyli, choć wielu innych ludzi obecnych w budynku – w tym również zielone kości noszące mnóstwo jadeitu – zginęło, był cudem świadczącym, że bogowie otaczają ich opieką.

Gdy jednak Hilo odzyskał jasność myślenia i był zdolny rozmawiać, wyjaśnił, że nie było żadnego cudu. Przed laty poprosił byłego Anioła Marynarki Jima Sunto, by nauczył jego i wszystkie czołowe zielone kości klanu Bez Szczytów metod obrony przed terrorystycznymi zamachami bombowymi, wchodzących w skład espeńskiego ZSBWBJ. Tradycyjne metody używania Stali chroniły przed zderzeniami i przed bronią białą, koncentrując się na kościach i na powierzchni ciała. W przypadku bliskiego wybuchu najgroźniejsze było jednak działanie fali uderzeniowej na narządy wewnętrzne, zwłaszcza płuca i jelita, a także na oczy i uszy. Gdy tylko Hilo uświadomił sobie, co się dzieje, przywołał tyle Stali, ile tylko zdołał, i najpierw skierował całą swą potężną jadeitową energię do wnętrza tułowia i głowy, by osłonić wrażliwe na siłę uderzeniową części ciała, a dopiero potem na zewnątrz, dla ochrony przed tępymi urazami, gdy uniósł się nagle pod wpływem podmuchu „jak kot porwany przez jebany tajfun”. Woon również uczestniczył w lekcjach Jima Sunto i choć nie władał Stalą tak dobrze, jak filar, znajdował się w korytarzu, dalej od miejsca wybuchu, i przyczyną jego obrażeń były sypiące się z góry fragmenty budynku.

Shae przyniosła córkę do szpitala, by pokazać ją mężowi. Woon był oszołomiony środkami przeciwbólowymi, ale na widok ich obu jego oczy wypełniły ulga i szczęście.

– Kiedy byłem uwięziony w ciemności, myślałem, że już nigdy nie zobaczę ciebie ani Tii – rzekł do Shae. – Wiedziałem, że Hilo-jen żyje, bo Postrzegalem go gdzieś w pobliżu. Dlatego nie traciłem nadziei, ale i tak było okropnie.

Zakrztusiła się, ujrzawszy jego rany.

– Czuję się tak, jakby całe zło, jakie kiedykolwiek cię spotkało, było moją winą.

Nie po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy rzucono na nią klątwę sprawiającą, że ściąga nieszczęścia na wszystkich, którzy się do niej zbliżą.

Woon potrząsnął głową i sięgnął po jej rękę.

– Byłem filarowym, cieniem prognostyczki i dawcą pieczęci. Zawsze stałem w cieniu kogoś innego. Prawdę mówiąc, wtedy właśnie czułem się najbardziej użyteczny. Cieszę się, że bogowie postawili mnie dokładnie tam, gdzie powinienem się znaleźć. Gdyby nie Tia, to ty byłabyś w tamtej sali.

Shae podała córkę mężowi. Niemowlę poruszyło się, ale nie obudziło. Do tej pory Tia była spokojnym dzieckiem, do tego stopnia, że przesądna rodzina zielonych kości mogłaby się poczuć nieco zaniepokojona.

– Chętnie je i przybiera na wadze, ale nie płacze często – poinformowała męża Shae.

– To dobrze – odparł Woon, przytulając córkę. – W rodzinie Kaulów jest już wystarczająco wielu wojowników o gęstej krwi. Ucieszę się, jeśli odziedziczy pewne cechy osobowości po mnie, bo i tak już jest bardzo podobna do ciebie.

Siedziała obok Woon, przepełniona głęboką wdzięcznością podszytą lekką nutą strachu, aż wreszcie zasnęła. Potem nakarmiła i przewinęła Tię, a następnie wyszła na korytarz i skierowała się do pobliskiego pokoju, w którym leżał jej brat.

Choć minęło już wiele dni, odkąd wykopano go spod gruzów, Hilo nadal wyglądał okropnie. Większą część jego ciała pokrywały bandaże, ale mimo to siedział w łóżku, jadł z miski przecier owocowy i rozmawiał wesołym tonem z Nikiem, Ru oraz Jayą.

– Przynajmniej moja twarz nadal wygląda dobrze. Nie chcielibyście, żeby wasz tata przypominał straszdyło, prawda? Bez obaw, wkrótce wrócę do domu. Pomagajcie mamie i nie sprawiajcie jej kłopotów, dopóki tu jestem.

Chłopcy pokiwali z powagą głowami, a Jaya zarzuciła tacie ręce na szyję. Skrzywił się z bólu i delikatnie rozluźnił jej uścisk.

– No dobra, opuściliście już wystarczająco wiele lekcji jak na jeden tydzień. Lott-jen was odwiezie.

Jego synowie i córka oddalili się w towarzystwie otaczających ich strażników. Wen nadal siedziała na krześle u boku Hila. Juen Nu wszedł do środka i zamknął drzwi.

Gdy dzieci odeszły, z twarzy Hila spadła pogodna maska. Przeszył Shae pełnym wściekłości spojrzeniem.

– Nie potrafię uwierzyć, że uratowałaś Ayt.

Rozeszły się już wieści, że Ayt Mada wróciła do swej rezydencji na Wyżynach i zamknęła się w niej, by wracać do zdrowia w otoczeniu lojalistów, wśród których byli Nau Suen i jej prognostyk, Iwe Kalundo.

– Widziałem ją z nożem wbitym w szyję! – zawołał Hilo, podnosząc głos. – I to właśnie ty ją ocaliłaś. Wystarczyłoby, żebyś ją tam zostawiła.

Nadal trzymająca w ramionach śpiącą Cię Shae usiadła na jedynym wolnym krześle w pokoju – po drugiej stronie łóżka, naprzeciwko Wen.

– Myślałam, że nie żyjesz, Hilo – odpowiedziała niewzruszona jego gniewem. – Że zginąłeś razem z dziesiątkami innych zielonych kości i urzędników rządowych. Gdybyśmy stracili również Ayt, cały kraj pogrążyłby się w chaosie.

– I tak zabrakło bardzo niewiele – mruknął Juen.

Róg wyglądał, jakby nie golił się ani nie brał prysznicą od wielu dni. Gdy tylko znaleziono Hila i Woonę, zabrał się do walki z przemocą bezklanowych powstańców. Zaraz po zamachu, gdy przywódców wielkich klanów jeszcze nie odnaleziono, a większość zielonych kości była zajęta grzebaniem w ruinach i poszukiwaniem żywych ofiar, kilka luźno ze sobą powiązanych grup uzbrojonych ekstremistów posłuchało wezwania Ruchu Bezklanowa Przyszłość i wyszło na ulice.

Rada Księżęca, obawiając się, że wszystkie filary zielonych kości nie żyją i klany pogrążą się w chaosie, sprowadziła do Janloonu trzy tysiące żołnierzy, w tym również kompanię wyposażonych w jadeit Złotych Pająków.

– Przyznaję to z wielką niechęcią, ale mieliśmy szczęście, że rząd sprowadził do miasta żołnierzy i dał nam czas na odzyskanie równowagi. Nikt się nie spodziewał, że RBP będzie tak dobrze uzbrojony. Podejrzewaliśmy, że mają zagraniczne wsparcie, ale nie do tego stopnia.

– Przynajmniej wszystkie pieniądze i zasoby, jakie daliśmy generałowi Ronu, na coś się przydały. – Hilo zrobił groźną minę, po czym wsparł na moment głowę na poduszce. Najwyraźniej męczyło go nawet to, że nie śpi i robi proste rzeczy. – Czuję się nawet gorzej niż po tym, jak Gont Asch spuścił mi łomot. Wtedy przynajmniej, kiedy się ocknąłem, usłyszałem dobre wieści.

– Wszyscy podejrzewają, że stoi za tym Ygutan – odezwała się Shae. – W bazie na Eumanie ogłoszono stan alarmowy, co sugeruje, że RE jest tego

samego zdania.

Hilo skrzywił się i zamknął oczy.

– Podczas zebrania doręczono mi liścik ostrzegający, że powinienem natychmiast opuścić budynek. Nikt się pod nim nie podpisał, ale przypuszczam, że przysłali go Espeńczycy.

Wen uścisnęła dłoń męża.

– Dlaczego ich nie posłuchałeś?

– Gdy tylko wstałem, wszyscy się zorientowali, że coś jest nie w porządku. Wysłałem Woonę przodem, tłumacząc się pilną sprawą rodzinną. Myślałem, że zagrożenie pochodzi z wewnątrz i może mieć coś wspólnego z Ayt. – Hilo otworzył oczy. Lśniła w nich furia. – Jeśli rzeczywiście Espeńczycy wysłali tę wiadomość, to znaczy, że wiedzieli o zamachu. Mogli uratować wszystkich w budynku, ale tego nie zrobili.

Juen zaklął.

– Te dwulicowe cudzoziemskie psy chciały wybuchu buntu. To dałoby im znakomity pretekst do wysłania wojska w celu przywrócenia porządku i przejęcia kontroli nad Kekonem.

Shae zmarszczyła brwi.

– Jestem pewna, że byli na to przygotowani, ale nie sądzę, by właśnie to było ich celem. Jeśli weźmie się pod uwagę konflikty w sprawach bazy na Eumanie, eksportu jadeitu oraz morskiego górnictwa, nie ma nic dziwnego w tym, że nie kochają klanów, a zwłaszcza Góry. Jeśli jednak ostrzegli Hila, to znaczy, że mieli nadzieję, iż klan Bez Szczytów przetrwa. – Przesunęła śpiącą Cię na drugą rękę, trzymając ją blisko siebie. – Pamiętajcie, że Espeńczycy zawsze próbują rozwiązywać problemy za pomocą pieniędzy, nim uciekną się do przemocy. Jeśli nadarzyłaby się okazja, woleliby podporządkować sobie Kekon, nie narażając życia własnych żołnierzy. Gdyby jedyny ocalały klan stał się ich dłużnikiem i był zależny od ich pomocy, mogliby zmusić go do kapitulacji w sprawach, na których najbardziej im zależy.

Hilo wykrzywił usta w grymasie wściekłości.

– Nikt poza mną, Woonem i waszą trójką nie wie, że dostałem ten cholerny liścik. Nie jesteśmy nic winni cholernym spenkom.

Poskubał bandaż na piersi. Tymczasowo zabrano mu część jadeitu i jego aura zrobiła się chropawa oraz niestabilna. Ciągłe dotykał się w miejscach, gdzie przedtem były jadeity, niczym człowiek czujący przymus zlokalizowania amputowanej kończyny. Wen złapała go za rękę i powstrzymała przed zrywaniem bandaża.

– Wszyscy wolelibyśmy, żeby Ayt zginęła, ale prognostyczka ma sporo racji – zaczęła. – Kraj, w którym są dwa wielkie klany, trudniej jest kontrolować,

trudniej nim manipulować albo go zdestabilizować.

– Jebać ostrymi kijami wszystkich samolubnych, podstępnych cudzoziemców – warknął Hilo. – Ale nie w tej chwili. Najpierw musimy się uporać z tym całym bałaganem. Bezklanowi fanatycy pragnęli powstania tak bardzo, że pozwolili, by cudzoziemcy przejęli kontrolę nad ich ruchem. Sami uknęli bicz na własną dupę. Teraz wszyscy – rząd, prasa i opinia publiczna – będą się domagali ich krwi.

Juen skinął głową, cały czas spacerując u podnóża łóżka.

– Wczoraj przeprowadzono tylko dwa nowe ataki. Anarchiści potrzebowali śmierci twojej i Ayt. Wiadomość, że oboje żyjecie, była dla nich straszliwym ciosem. Niektórzy dali już za wygraną i próbują zniknąć. Gdy już odzyskamy kontrolę nad ulicami, będziemy musieli działać szybko, żeby załatwić tylu członków organizacji, ilu tylko zdołamy, zanim znowu schowają się pod ziemię.

Róg zatrzymał się i spojrzał na filar ze wstydem i żalem na twarzy.

– Do tej chwili nie uważaliśmy bezklanowych za poważne zagrożenie. Ani my, ani nikt inny. Rozmawiałem z Aben Sorem na temat skoordynowania naszych akcji przeciwko nim. Nie sądzę, żeby był człowiekiem Ayt w takim sensie, w jakim byli nimi Nau i Gont. Możemy z nim współpracować.

– Uwzględnij też pomniejsze klany, przynajmniej te, które nadal są zdolne do działania. – Hilo poświęcił trochę czasu na uregulowanie oddechu i zebranie energii. Wskazał na szklankę wody oraz opakowanie z tabletkami przeciwbólowymi i Wen mu je podała. – Nie potrafię uwierzyć, że to mówię, ale sprowadź tu też kilku dziennikarzy. Kobenowie wydali już oświadczenie, a w telewizji wciąż pokazują opłakującą śmierć Koben Yira wdowę. Próbuje zrobić z tego starego gaduły męczennika. Im szybciej ludzie zauważą, że nie umarłem ani nie jestem w śpiączce, tym lepiej.

– Co zamierzasz powiedzieć? – zapytała Shae z lekkim niepokojem.

– Tylko to, o czym Ruch Bezklanowa Przyszłość wkrótce się dowie. – Hilo połknął dwie tabletki i popił je wodą. – Każdy, kto myśli, że pozbędzie się nas tak łatwo, zasługuje na to, co go spotka. Klany są kręgosłupem tego kraju i nie ma chuja, żeby mogły zniknąć.

* * *

Vastik eya Molovni obudził się w miążdzącym uścisku odstawienia jadeitu i błysku, nie w celi o betonowych ścianach, jak się spodziewał, ale w sterylnym pokoju wypełnionym światłem tak jasnym, że jego opuchnięte oczy i obolała głowa nie mogły tego znieść. Przywiązano go do wózka leżącego i stało nad nim dwóch mężczyzn.

– Witamy, panie Molovni – rzekł jeden z nich. Stojący poza polem widzenia więźnia tłumacz powtórzył jego słowa po ygutańsku. – Skoro już odzyskał pan przytomność, chcielibyśmy zadać panu kilka pytań na temat nekolvów.

– Wypierdalać, espeńskie świnie – warknął Molovni.

Czuł w ustach suchość, a jego obrzęknięty język poruszał się z trudem. Trafił tu przez tego małego szpicla ze zniekształconą twarzą. Powinien był skrócić mu kark, a potem popełnić samobójstwo, jak go uczono.

Ale nauczono go również opierać się przesłuchaniu.

– Nie dostaniecie ode mnie nic użytecznego – warknął. – Przełożeni nie zdradzali mi ważnych tajemnic wojskowych, które mogłyby zaszkodzić Ygutani, gdybym nie wytrzymał waszych tortur.

Choć demonstrował odwagę, zalewał go zimny pot, a jego serce zaczęło bić znacznie szybciej.

– Pańskie wyobrażenia są mylne – odpowiedział drugi mężczyzna. – Armia RE nie posługuje się torturami. To barbarzyński sposób zdobywania informacji, a w dodatku jest niepewny w porównaniu ze środkami farmaceutycznymi, jakie mamy do dyspozycji. W końcu to w naszych laboratoriach stworzono SN1, na którym musi pan polegać. – W ramię nekolvy wbiła się igła. – Pańskiemu ciału nic się nie stanie, ale umysł przy odpowiedniej zachęcie otworzy się jak kwiat w promieniach słońca. Będzie pan miał mnóstwo do powiedzenia. Ten proces trwa długo, ale nigdzie nam się nie śpieszy.

INTERLUDIUM 2

JEDNA GÓRA

Zgodnie z zapewnieniami biura rekrutacji Szkołę Świątynną Wie Lona założyło przed ponad sześciuset laty trzech nauczycieli zielonej kości. Jeden z nich był potomkiem samego legendarnego bohatera Baijena. W tamtych czasach nie było wielkich klanów, takich jak obecnie. Na całej wyspie małe, rodzinne klany miały własny jadeit i własną tradycję sztuk walki, pozwalającą bronić ich miejscowości. Trzech wizjonerów założyło szkołę po to, by wyszkolić w niej najbieglejszych i najbardziej zdyscyplinowanych wojowników na całym Kekonie. Uczniowie zapoznawali się tam ze sztuką, nauką oraz tradycją bogowierczej religii. Tę instytucję ulokowano w górzystej okolicy w interiorze wyspy, by uczniowie mogli ćwiczyć blisko natury i bogów, a z dala od trosk zwykłych ludzi. Kandydaci na uczniów musieli wędrować trzy dni na piechotę, by dotrzeć do bram szkoły. Przyjmowano każdego kandydata, który przeszedł próby, bez względu na królestwo, klan i rodzinę, z jakich pochodził.

Szkoła przyciągała uczniów z całej wyspy, a także znanych nauczycieli, którzy pragnęli uczyć się od innych i doskonalić swe umiejętności, by móc je przekazać kolejnemu pokoleniu. W następnych stuleciach wojownicy zielonej kości stopniowo stawali się coraz ważniejszą i bardziej wpływową klasą społeczną. Łączyły ich ze sobą wspólne metody szkolenia oraz powiązania, których początki z reguły miały coś wspólnego ze Szkołą Świątynną Wie Lona. Dzisiaj Kekon może się pochwalić kilkunastoma szkołami sztuk walki i choć niedawno powstała Akademia Kaul Dushurona może konkurować z Wie Lonem rozmiarami i prestiżem, to aura tradycji spowijająca Szkołę Świątynną nie ma sobie równych.

Obecny kampus szkoły, ulokowany sześćdziesiąt pięć kilometrów na zachód od Janloonu, założono po wojnie wielu narodów, łącząc ze sobą trzy tajne obozy treningowe działające podczas okupacji, po tym, jak oryginalną Szkołę

Świątynną Wie Lona spalili szotarscy żołnierze. Prawie stu instruktorów i uczniów, którzy próbowali bronić szkoły, pojmano, pozbawiono jadeitu, uwięziono, poddano torturom i stracono.

Wśród tych, którzy uciekli przed czystką, był szesnastoletni uczeń nazwiskiem Ayt Yugontin. Wyprowadził on grupę młodszych uczniów do lasu, gdzie ukrywali się przed wrogami, podczas gdy szkoła, która była dla nich domem, płonęła przez całą noc, wypełniając powietrze kłębamii czarnego dymu. Rankiem wszyscy uciekli przed szotarskimi poszukiwaczami w głąb lasu, gdzie znaleźli ich zwiadowcy miejscowej komórki Towarzystwa Jednej Góry. Ayt Yu, który później stał się znany jako Włócznia Kekonu, zasłonił własnym ciałem grupkę płaczących, zmęczonych dzieci i zażądał, by dowódca zwiadowców przedstawił się mu i powiedział, do którego klanu należy.

– Nazywam się Kaul Seningtun, a nazwa mojego klanu nie ma już znaczenia
– odpowiedział zwiadowca. – W tych górach wszystkie zielone kości są braćmi.

ROZDZIAŁ 30

ZŁY KECZEK

Dziewiętnasty rok, trzeci miesiąc

Dauk Losunyin zmarł na serce w wieku siedemdziesięciu sześciu lat. Zostawił żonę, czworo dorosłych dzieci, sześcioro wnuków oraz nieoficjalny tytuł filaru Południowej Pułapki, który piastował przez wiele lat. Anden i Hilo polecili do Port Massy na pogrzeb, by okazać szacunek zmarłemu jako sojusznicy rodziny Dauków oraz społeczności keko-espeńskich zielonych kości. Podczas długiego lotu Hilo obejrzał film, a potem wypił kieliszek hoji i zasnął. Anden spróbował podążyć za jego przykładem, ale nie potrafił się skupić na czytaniu ani uspokoić myśli i zapaść w sen. Nie potrafił uwierzyć, że Dauk nie żyje. Wydawało mu się, że całkiem niedawno siedział w jego jadalni i cieszył się domową kuchnią Sany razem z Corym i Rohn Torem.

Smutek mieszał się w nim z niepokojem. W Espenii nie było klanów. Ludzie nazywali Dauka filarem wyłącznie z szacunku dla jego osobistych wpływów. Nie było żadnej formalnej organizacji ani porządku sukcesji. Dlatego po śmierci Dauka zmieni się nie tylko nazwisko przywódcy espeńskich zielonych kości, lecz być może również sama natura keko-espeńskiej społeczności. Z pewnością nie pozostanie to bez wpływu na klan Bez Szczytów.

Pogrzeb odbył się w wyjątkowo pogodny zimowy poranek. Krucha, pokryta lodem trawa chrzęściła pod stopami Andena, a jego oddech zmieniał się w powietrzu w rozświetloną promieniami słońca parę. Na tle Zatoki Whittinga na mlecznobiałym niebie ostro rysowały się czarne linie mostu Żelaznego Oka. Zgodnie z życzeniem Dauka to był tradycyjny kekoński pogrzeb z pewnymi zmianami i dodatkami zgodnymi ze zwyczajami obowiązującymi w Espenii. W Port Massy nie było bogowierczych pokutników o randze wystarczająco

wysokiej, by można ich było wyświęcić na Wykształconych. Recytacjami, które miały zaprowadzić ducha Dauka do życia przyszłego, w którym będzie oczekiwał na Powrót, kierowała trójka świeckich pokutników z miejscowej kekońskiej świątyni. Potem odśpiewano espeńskie pieśni żałobne i wygłoszono mowy. Wielu mówców wychwalało charakter Dauka i opowiadało, jak pomógł im w chwili potrzeby.

Anden przemawiał w dwóch językach. Zaczął od osobistych wspomnień o tym, z jakim ciepłem i hojnością przywitał go Dauk Losun, gdy przybył tu po raz pierwszy jako student, a zakończył w bardziej oficjalny sposób, przekazując kondolencje i wyrazy uznania w imieniu rodziny Kaulów.

– Dobrze to powiedziałaś, Andy – pochwalił go potem Hilo.

Anden stanął obok kuzyna i przedstawiał wszystkich żałobników, którzy podchodzili do filaru klanu Bez Szczytów, by oddać mu honory albo uścisnąć dłoń z ciekawością i nerwową bojaźnią, a potem oddalali się i obserwowali go z daleka, jakby był medialnym celebrytą, który przybył tu incognito. Hilo przyjmował wyrazy szacunku, ale zachowywał powagę odpowiednią do sytuacji, nie chcąc odciągać uwagi od pogrążonej w żałobie rodziny. Ukrywał jadeit pod czarnym garniturem z krawatem i płaszczem tego samego koloru. Można by go było wziąć za krewnego z dalekich stron. Białą kopertę, którą położył na tacy na datki obok trumny Dauka, oznaczono pieczęcią klanu Bez Szczytów. Z pewnością pokryje wszystkie koszty pogrzebu.

Gdy Dauka już pochowano, odbyła się stypa w ośrodku kultury kekońskiej, gdzie przez dziesięciolecia filar Południowej Pułapki przewodniczył spotkaniom w miejscowej Sali uraz. Anden nie był w ośrodku od lat i uderzyło go, że właściwie nic się tu nie zmieniło, mimo że gustownie udekorowano go na uroczystość. Na ścianach zawieszono białą tkaninę, a stoły, z reguły otaczające miejsce przeznaczone na walki kogutów w piwnicy, nakryto obrusami i ustawiono na nich wazy z białymi azaliami. Poobtłukiwane regały i stare fotele zepchnięto w narożniki Sali i ukryto przed wzrokiem gości za pomalowanymi składanymi parawanami. Palono kadzidło, a przed małą bogowierczą kapliczką ustawiono talerze z owocami.

– Ach, tęsknię za starą dzielnicą – lamentował pan Hian, który przeniósł się na przedmieście, do młodszego syna. – Tam, gdzie teraz mieszkamy, w bibliotece nie ma kekońskich gazet, a sklepy spożywcze są za duże.

Usiadł obok Andena i na całą godzinę pogrążył się we wspomnieniach, niekiedy dość chaotycznych, bo na stare lata pamięć zaczynała go zawodzić. Anden nie miał nic przeciwko temu. Wiedział, że to może być dla niego ostatnia okazja, by się z nim spotkać.

Cory Dauk podszedł do niego, by podziękować mu za mowę.

– Dla taty to znaczyłoby bardzo wiele. Wiesz, że zawsze był bardzo dumny z tego, że jest zieloną kością ze starego kraju.

– Jego wnuki to chyba jedyne, z czego był bardziej dumny.

Podczas spotkań ze swym byłym chłopakiem Anden nadal czuł coś w rodzaju nostalgii pomieszanej z zażenowaniem, upłynęło już jednak wiele czasu i mogli ze sobą rozmawiać po przyjacielsku. Cory był teraz żonaty, miał dwuletniego synka, pięknego jak cherubinek, a w drodze była też córka. Przybrał trochę na wadze, ale dzięki rowerowym wycieczkom w weekendy zachował dobrą figurę. Zapisał też krótką brodę – otwarcie przyznawał, że po to, by wywierać onieśmielające wrażenie, gdy dyskutuje z sędzią w Sali sądowej. Jego żona pracowała w opiece społecznej i była Keko-Espenką w drugim pokoleniu. Poznali się na jednym z jego procesów i sprawiali wrażenie szczęśliwego małżeństwa.

Siostry Cory’ego, rzecz jasna, również były obecne. Anden uprzejmie przywitał Kelly Dauk, mimo że pamiętał, jak chłodno przyjęła w przeszłości propozycję przyjaźni, jaką złożył jej w imieniu klanu. Przedstawił Kelly Hilowi, który również nie wypominał jej okazanej wcześniej niechęci.

– Pani Dauk, pani matka opowiedziała mi, że niedawno otrzymała pani nowe stanowisko – zaczął przyjaznym tonem.

Najstarszą siostrę Cory’ego przeniesiono z Departamentu Przemysłu na pozycję przewodniczącej Komisji Antykorupcyjnej, której zadaniem była walka z korupcją i powiązaniem ze zorganizowaną przestępczością wśród polityków.

– Nie wolno mi dyskutować o mojej pracy, panie Kaul – odpowiedziała. – Nawet z rodziną i przyjaciółmi, a tym bardziej z szefem kekońskiego klanu.

Zamieniła kilka słów z niektórymi z obecnych i szybko opuściła spotkanie.

Hilo nie sprawiał wrażenia urażonego, ale Cory czuł, że musi przeprosić za zachowanie siostry.

– Kelly pracuje dla rządu – przypomniał im z westchnieniem. – Nie chce, żeby widziano, że spotyka się z zielonymi kośćmi.

Na spotkaniu rzeczywiście było bardzo wiele zielonych kości. Tłok stał się tak wielki, że Anden ledwie mógł się ruszać. Wyglądało na to, że zjawiała się tu połowa Kekończyków w mieście. Poznał Toda, Sammy’ego i kilka innych osób, ale było tu też wielu młodszych ludzi z Południowej Pułapki, których nie znał, a także trochę gości z innych części kraju.

Po jakiejś godzinie przed budynkiem zatrzymała się srebrna limuzyna. Wysiadł z niej Jon Remi w towarzystwie trzech swoich ludzi. Byli ubrani w jasne sportowe marynarki, eleganckie buty oraz wielkie okulary przeciwsłoneczne, jak typowi gangsterzy z południa. Kiedy weszli, wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę. Anden poczuł, że gardło wypełnia mu kwaśny

niesmak. Nonszalanckie chamstwo Remiego, które tak dobrze pamiętał ze spotkania w Niebieskiej Oliwce, stało się jeszcze wyraźniejsze, odkąd zaczął ociekać bogactwem. Twarz miał opaloną, a zaczesane do tyłu włosy podkreślały wydatne czoło i usta rozchylone w wyrazie osobliwej pogardy.

Szefowie paczek i tomasciańscy handlarze narkotyków w Resville nazywali Jona Remiego „Złym Keczkem”. Był bardzo zadowolony z tego przydomku. Dzięki jadeitowi i pieniądzom, które dostał od klanu Bez Szczytów, przegnał Górę z miasta i stworzył własne małe imperium. Już przed laty przejął salę ćwiczebną z rąk wujka i uzyskał kontrolę nad hazardem wiążącym się z nielegalnym sportem jadeitowym uprawianym w Resville. Nie ograniczał się już do handlu błyskiem i kobietami, lecz rozszerzył swą działalność na inne dziedziny, z reguły kontrolowane przez paczki, między innymi lichwę i wymuszenia. Jego ludzie słynęli z okrucieństwa. Remi nagradzał ich jadeitem za zabójstwa tych, których uważał za swoich rywali.

W Port Massy powszechnie uważano, że Zły Keczek to niestabilny awanturnik, a nie prawdziwa zielona kość. Nawet bez pomocy Postrzegania Anden widział, że przez pomieszczenie przebiegły fale niepokoju. Rozmowy ucichły i wszyscy schodzili z drogi ludziom z Resville.

Remi podszedł do Hila, zwalniając po drodze i zdejmując okulary.

– Staruszek Dauk w końcu przeniósł się do nieba – oznajmił po espeńsku. – Ale w zamian sławny Kaul Hiloshudon zstąpił na ziemię i raczył nas odwiedzić.

Remi zatrzymał się, przyglądając się Hilowi jak pies obserwujący zbliżającego się do drzwi nieznajomego – pełen napięcia i gotowy zaszczekać. Filar odwzajemnił jego spojrzenie z wyczekującym spokojem.

Minęło kilka sekund, nim Remi uniósł złączone dłonie do czoła i uklonił się płytko.

– Jak to mawiają w starym kraju? – zapytał, mówiąc po kekońsku z silnym akcentem. – Niech bogowie opromienią cię swą łaską, Kaul-jen.

Anden podszedł do filaru.

– Hilo-jen, to jest Remi Jonjunin, nasz przyjaciel z Resville. Nie zwracaj uwagi na jego marny kekoński i fatalne maniery. Jestem pewien, że to tylko nerwy. Nie chciał okazać ci braku szacunku.

Zły Keczek zaczął się zwracać w jego stronę. Jego twarz pociemniała z oburzenia. Anden miał nadzieję, że Remi zrobi coś głupiego. Bardzo by chciał, żeby Hilo skarcił gangstera albo – jeszcze lepiej – złamał mu szczękę. Ale filar klanu Bez Szczytów położył tylko dłoń na jego ramieniu, jakby byli starymi przyjaciółmi.

– Remi-jen, słyszałem o tobie tak wiele, że mam wrażenie, że już cię znam. Złóż kondolencje żonie i dzieciom Dauk Losuna, niech bogowie obdarzą go

uznaniem. O interesach porozmawiamy jutro, gdy pora będzie bardziej odpowiednia.

Podszedł do nich Tod.

– Powiem Sanie, że tu jesteś, Jon – oznajmił z wymuszoną serdecznością. – Czego się napijesz?

Remi przez moment sprawiał wrażenie zbitego z tropu. Od lat słyszał, że Kaul Hilo to najbardziej niebezpieczny człowiek na Kekonie, i być może jego wyobrażenia o nim ukształtowały się na tej podstawie, a teraz nie wiedział, jak zareagować na miłe przywitanie. Prychnął lekceważąco i wzruszył ramionami.

– Hoji. Nie znoszę tego syfu, ale trzeba uczcić pamięć staruszka, tak?

Oddalił się, nie oglądając się na Hila i Andena. Jego ludzie podążyli za nim. Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu, znowu zaczęły się rozmowy, Hilo obrzucił Andena ostrym spojrzeniem.

– Co się z tobą dzieje, Andy?

– To cham i gangster, Hilo-jen – odpowiedział z pasją Anden. – Wyraźnie chciał cię sprowokować. Na pogrzebie Dauk-jena, na oczach wszystkich. Niczego nie szanuje.

– Nie pokazuj, jak mocno kogoś nienawidzisz, dopóki nie jesteś gotowy stać się jego wrogiem – ostrzegł go filar. – Remi jest daleko od swojego miasta, w którym stał się potężny, a człowiek taki jak on musi zachowywać się arogancko, żeby zademonstrować pewność siebie. Nawet jeśli nie jest dobrym człowiekiem, nie możesz zapominać, że w sprawie Góry zrobił wszystko, czego od niego chcieliśmy.

Jim Remi i jego gang, głowy węży, rzeczywiście okazali się bardzo użyteczni dla klanu Bez Szczytów. Podejmowane przez Górę próby utworzenia przyczółku w Espenii napotkały wiele przeszkód i w końcu spełzły na niczym. Kalundo, prognostyk Ayt Mady, skierował plany ekspansji na Szotar. Po prawie dwudziestu latach od chwili, gdy Anden po raz pierwszy przybył do Port Massy, klan Bez Szczytów nadal pozostawał jedynym kekońskim klanem mającym znaczące wpływy w Republice Espenii.

Nie zdołał jednak zapewnić swym interesom prawnego bezpieczeństwa, a teraz, bez przyjaźni i wpływów Dauk Losuna, znacznie trudniej będzie im osiągnąć cokolwiek w tym kraju. Hilo obserwował zielone kości z Resville. Ich jasne marynarki łatwo było zauważyć przy barze. Anden wyczuł, że gładka jadeitowa aura filaru wezbrała na mgnienie oka.

– Jon Remi pozostaje naszym sojusznikiem, dopóki nie powiem, że już nim nie jest – rzekł cicho Hilo. – Czy tak się stanie, zależy wyłącznie od niego. Zobaczmy, co wydarzy się jutro.

* * *

– Tu jest kurewsko zimno – stwierdził filar po powrocie do hotelu Crestwood.

Zdjął marynarkę i krawat, a potem włożył sweter i włączył ogrzewanie w pokoju. Anden słyszał już przedtem, jak jego kuzyn skarżył się, że od zimna ma bóle w barku, a czasami również w nadgarstku. Lata walki były poważnym obciążeniem dla ciała, nawet pomijając obrażenia po zamachu bombowym. Chirurdzy zszyli mu śledzionę i naprawili łopatkę, ale i tak potrzebował wielu miesięcy fizjoterapii, by móc znowu ćwiczyć. Minęło już pięć lat i Hilo sprawiał wrażenie zielonej kości równie potężnej jak dawniej, ale Anden wiedział, że możliwości nawet najlepszych uzdrowicieli i trenerów mają swoje granice. Ci, którzy dobrze znali filar klanu Bez Szczytów, zauważyli, że czasami krzywi się z uporczywego bólu, a jego ruchy tracą typową dla siebie grację.

– Zejdę na dół, do sklepu z pamiątkami, żeby kupić jakieś drobiazgi dla kolegów z przychodni – oznajmił Anden.

To było drobne kłamstewko, ale nawet jeśli Hilo je Postrzegł, nic nie powiedział.

Zjechał windą na dół, wyjął kartę telefoniczną i zadzwonił z jednego z automatów w holu do Janloonu.

– Dobrze, że złapałem cię, zanim wyszedłeś do pracy – powiedział, gdy odebrano połączenie. Na wyspie było już po świcie, a Jirhuya zawsze wstawał wcześniej.

– Nigdzie mi się nie śpieszy – odpowiedział Abukei. – Czekam, aż reżyser wypowie się w sprawie budżetu. Zjem śniadanie, a potem pójdę poćwiczyć w siłowni. – Szybko rosnący kekoński przemysł filmowy, wspierany finansowo przez klan Bez Szczytów, już od kilku lat zapewniał abukejskiemu artyście stałą pracę. Anden usłyszał, że w tle zakręcono wodę. – Szkoda, że cię tu nie ma – dodał sugestywnym tonem Jirhu.

– Też tego żałuję – odparł Anden. – Musimy tu zostać jeszcze kilka dni, żeby załatwić kilka klanowych spraw. Wrócę w czwarty dzień. – Nie usłyszał odpowiedzi Jirhu, bo akurat w tej chwili przez hotelowy hol przechodziła liczna grupa ludzi. Anden musiał osłonić drugie ucho, by przytłumić dźwięk ich głośnych rozmów. – Przepraszam, tu jest okropny hałas. Co powiedziałaś?

– Czy nic ci nie grozi?

Jirhuya zawsze zadawał to pytanie, gdy chodziło o działalność Andena w klanie Bez Szczytów. Abukei nie chciał mieć nic wspólnego z klanami, pomijając konieczności wynikające z codziennego życia w Janloonie. Wiedział, że w świecie Andena jest bardzo wiele jadeitu i pieniędzy, polityki i rozlewu

krwi – tak wiele, że nawet zwyczajni Kekończycy nie potrafili tego ogarnąć, nie wspominając już o abukejskich artystach. Kiedy chodziło o sprawy klanowe, interesowało go wyłącznie bezpieczeństwo Andena.

Wen przedstawiła ich sobie przed dziesięcioma miesiącami.

– Anden, czy znalazłbyś czas na obiad następnego drugiego dnia? – zapytała go pewnego wieczoru po kolacji w domu Kaul. – Chciałabym, żebyś poznał mojego przyjaciela. To utalentowany artysta, pracuje dla wytwórni filmowej. Jest też przystojny i jest singlem. – Uniosła rękę, nim zdążył się zastanowić, jak powinien jej odpowiedzieć. – Muszę też dodać, że jest Abukei, ale nie powinienes go osądzać, dopóki go nie poznasz. Myślę, że bardzo do siebie pasujecie. Załatwię to tak, żeby nie czuł żadnego nacisku.

Anden omal nie zaniemówił z wrażenia na myśl, że Wen szuka dla niego partnerów. Właściwie dał już sobie spokój z próbami znalezienia kogoś odpowiedniego. Ostatnia znajomość przetrwała tylko kilka randek, a pula ewentualnych kandydatów poważnie zmalała. Lott Jin ożenił się z kobietą, której Anden nie znał, ale rozwiódł się z nią po trzech latach i nie sprawiał wrażenia zainteresowanego nowymi związkami. Zresztą Anden i tak na to nie liczył. Czasami spotykał na przyjęciach mężczyzn, których poznał na studiach medycznych albo w pracy, ale obawiał się zawodowych komplikacji. W całym Janloonie nie było drugiego lekarza zielonej kości, w którego żyłach płynęłaby mieszana krew. Nie mógłby ukryć, kim był i gdzie go widywano, nawet gdyby tego chciał. Większość mężczyzn czujących pechowy pociąg do osób tej samej płci wolałaby nie przyciągać do siebie uwagi, z jaką musiałyby się łączyć związki z rodziną Kaulów.

– Skąd wiesz, że w ogóle byłby zainteresowany? – spytał Anden.

– Przyjdź na ten obiad – odpowiedziała.

Anden podszedł sceptycznie do tej propozycji. Nie czuł szczególnego pociągu do abukejskich mężczyzn i nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby się spotykać z którymś z nich. Dlatego na tym pierwszym spotkaniu poczuł się zaskoczony, a nawet miał lekką pretensję do Wen za jej przenikliwość. Jirhuya miał ostro zarysowane kości policzkowe i gładką skórę barwy brązu, był też szczupły i trzymał się prosto, dzięki czemu pasowały na niego wszystkie ubrania. Umiał przy tym wykorzystać ten fakt i zawsze ubierał się elegancko, nawet jeśli wychodził z domu tylko na chwilę. Mimo że nie miał budowy wojownika, jaką Anden zawsze kojarzył z męską atrakcyjnością, w dzieciństwie uprawiał pływanie i górską wspinaczkę, a teraz regularnie odwiedzał siłownię. Jirhu często się uśmiechał i łatwo nawiązywał kontakty z ludźmi. Chętnie opowiadał o sobie i był szczerze zainteresowany innymi. Pod tym względem przypominał Andenowi Cory’ego. W przeciwieństwie do niego miał jednak

bogate życie wewnętrzne – pełne kolorów, pomysłów i uczuć, których Anden nie potrafił w pełni zrozumieć. Jirhu był człowiekiem oddanym swemu artystycznemu powołaniu silniej niż Cory czemukolwiek w życiu. Po kilku pierwszych spotkaniach Anden przekonał się ze zdziwieniem, że to on przejmuje inicjatywę w ich związku. Dzwonił do Jirhu, by zaprosić go do siebie, robił kolację i wypożyczał filmy.

Dźwięk w słuchawce przypomniał Andenowi, że czas na karcie zaraz się skończy.

– Jutro mamy spotkanie. Nie ma powodów do niepokoju – zapewnił swojego chłopaka.

To nie było prawdą. Na takich spotkaniach często decydowano o życiu albo śmierci i wojnie albo pokoju. Ale nie o to pytał go Jirhu. Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Potem Anden rzeczywiście poszedł do hotelowego sklepu z pamiątkami, gdzie kupił kilka torebek kwaśnych cukierków oraz breloczków w kształcie Gmachu Masztowego. Mógł sobie oszczędzić fatygi i po prostu zadzwonić z pokoju, ale nie wspomniał jeszcze filarowi o swoim chłopaku. Hilo zapewne już wiedział o ich związku, ale Anden nie był pewien, jak poruszyć ten temat. Pokój hotelowy w zagranicznym mieście, w dodatku na koniec trudnego dnia – to chyba nie było odpowiednie miejsce ani czas.

* * *

Następnego dnia Dauk Sana urządziła spotkanie w swym domu. Choć Daukowie zawsze żyli skromnie, zainwestowali w wiele kekońskich biznesów, które rozkwitały dzięki wsparciu klanu Bez Szczytów. Cory i jego siostry byli finansowo niezależni, więc Daukowie na stare lata zrobili się dość bogaci. Zamiast przenieść się do mniejszego domu, zbudowali znacznie większą i piękniejszą rezydencję, w której mogli urządzać spotkania i przyjmować dzieci oraz wnuki. Formalnie rzecz biorąc, nie mieszkali już w Południowej Pułapce, ale właściwie tego nie potrzebowali, ponieważ coraz większą część dzielnicy zajmowały drogie obiekty przeznaczone na działalność handlową, a Kekończycy z biegiem lat rozproszyli się po całym mieście. Stara Kekońska Dzielnica w Południowej Pułapce nadal istniała, ale powstały też inne, równie liczne skupiska, między innymi na Jonsie i w Quince.

Uczestnicy spotkania zasiedli za długim mahoniowym stołem w jadalni, zupełnie nieprzypominającej przytulnego pomieszczenia w starym, niebieskim dwupoziomowym domu Dauków. Nalano herbaty i ustawiono na stole talerze z przekąskami, co w niedorzeczny sposób upodabniało zebranie do rodzinnego spotkania, mimo że za stołem siedzieli też ludzie, którzy się wzajemnie nie znali,

a także tacy, którzy szczerze się nienawidzili. Dauk Sana włożyła biały sweter i pokryła twarz białym pudrem. Zasiadła na honorowym miejscu, a jej syn Cory, jedyna zielona kość spośród jej dzieci, siedział u jej boku.

Miejsce obok Andena zajmował Etto Samishun, którego przybysz z Kekonu pamiętał z lat młodości. Wtedy wszyscy mówili na niego „Sammy”, ale teraz ludzie zwracali się do niego „Etto-jen”. Powszechnie uważano go za najbardziej utalentowaną zieloną kość nadal mieszkającą w Południowej Pułapce. Sammy oraz kilku innych protegowanych nieżyjącego Rohn Tora kierowali luźną siecią kilkudziesięciu zielonych kości, które nadal broniły dzielnicy i pozostały lojalne wobec Dauk Losuna aż do śmierci.

Inną znaną Andenowi osobą był Shun Todorho. Tod był kapralem Aniołów Marynarki, ale zwolniono go honorowo ze służby po wojnie oortokańskiej. Po przejściu do cywila walczył z uzależnieniem od narkotyków oraz depresją, trzy razy stracił pracę, a raz żonę, aż wreszcie Dauk Losun dał mu robotę w sali uraz, pod warunkiem, że podda się odwykowi i psychoterapii. Później Tod stał się pobożnym bogowiercą, ożenił się po raz drugi, znowu zaczął nosić jadeit i uczyć młode zielone kości. Nadal był bliskim przyjacielem Dauków i kierował najnowszą salą uraz w Orslow, podmiejskiej dzielnicy w południowej części Port Massy, która szybko zmieniała się w odrębne duże miasto i mogła się pochwalić rosnącą populacją nowych, bogatszych imigrantów z Kekonu.

Resztę miejsc przy stole zajmowali ludzie, których Anden nie znał, choć Sana opowiedziała mu trochę o niektórych z nich: Migu Sun, stary przyjaciel Rohn Tora, reprezentował kekońskie zielone kości z Adamont Capita; Hasho Baku był przedstawicielem odległego o pięć godzin jazdy Evenfield; i oczywiście był też Remi Jon. Każdemu z nich towarzyszyło dwóch albo trzech ochroniarzy, którzy zajęli miejsca pod ścianą, stojąc albo siedząc na dodatkowych krzesłach. W sumie w jadalni zgromadziło się około dwudziestu osób. Wszyscy przybyli tu na pogrzeb Dauk Losuna, a także po to, by się dowiedzieć, kto po jego śmierci będzie kierował sprawami zielonych kości.

Anden również był ciekawy i pełen niepokoju. Sana zawsze pomagała mężowi i doradzała mu, w gruncie rzeczy pełniła funkcję jego prognostyczki, ale była już wiekową kobietą. Nie potrafił sobie wyobrazić, by młodzi mężczyźni zebrani w jadalni zaakceptowali jej władzę.

Cory był synem Dauka, ale w niczym nie przypominał ojca. Urodził się w Espenii i był lekkoduchem. Najbardziej użyteczny dla rodaków był jako prawnik, a także praworzędna osoba, której działalność pozostawała pod niemal każdym względem legalna. Pozostali noszący jadeit mężczyźni, którzy siedzieli przy stole, byli przywódcami w swoich dzielnicach, ale żadnego z nich nie darzono szacunkiem w całym kraju, jak Dauk Losuna. To nie była ich wina.

Populacja zielonych kości w całej Espenii nie była już małą grupką skupioną w Południowej Pułapce, jak sześćdziesiąt lat temu, gdy Dauk przybył tu po raz pierwszy.

Wszyscy obecni uświadamiali też sobie, że klan Bez Szczytów z pewnością będzie chciał mieć coś do powiedzenia w tej sprawie. Kaul Hilo nie włożył dziś ciemnego garnituru z krawatem i nie miał poważnej miny, takiej jak wczoraj. Siedział swobodnie na krześle, wspierając się jedną ręką o blat, i w typowy dla siebie sposób zajmował więcej miejsca, niżby należało. Pod jego rozpiętą koszulą błyszczał jadeit – więcej jadeitu, niż nosił ktokolwiek z obecnych, a być może nawet więcej niż wszyscy razem. Nie kierował spotkaniem, ani nie zajmował szczególnie honorowego miejsca, ale nie ukrywał faktu, że jest tu najpotężniejszym i najbogatszym człowiekiem. Anden siedział po prawej stronie swego filaru.

Sana na początek podziękowała wszystkim za złożone w zeszłym tygodniu kondolencje.

– Wiem, że mój ojciec spogląda z radością z góry na wszystkich swoich przyjaciół. – Cory dotknął ramienia matki w pocieszającym geście i jej drżący głos uspokoił się nieco. – Jestem bardzo wdzięczna wszystkim, którzy przybyli tu z Evenfield, Adamont Capita, Resville, a zwłaszcza z Kekonu. – Spojrzała na Hila i Andena. – Cała nasza społeczność czuje się zaszczycona, że filar klanu Bez Szczytów raczył osobiście przybyć z daleka, razem z naszym drogim przyjacielem Andenem, żeby dzielić z nami żałobę.

– Nigdy bym nie zaniedbał złożenia ostatnich wyrazów szacunku przyjacielowi i drugiemu filarowi – zapewnił Hilo.

Sana otarła oczy i pokiwała głową.

– Dla Losuna największe znaczenie miały nasza kekońska społeczność oraz tradycje zielonych kości – kontynuowała, gdy już wzięła się w garść. – Przez całe życie robił wszystko, co tylko mógł, by je chronić. A teraz, kiedy odszedł, musimy podjąć pewne decyzje w sprawie przyszłości.

Sana zerknęła na syna. Cory pochylił się na krześle, gdy spojrzenia wszystkich pozostałych również skierowały się na niego.

– Nikt nie może zastąpić mojego ojca w roli filaru – oznajmił rzeczowo Cory, bez cienia wstydu czy samokrytyki. – Jednakże moja matka i ja, na spółkę z Sammym i Todem, rozmawialiśmy z wieloma zielonymi kośćmi z Port Massy i jego okolic. Chcemy porozmawiać z wami o tym, jaką drogę powinna wybrać w przyszłości kekońska społeczność.

– Losun i ja często rozmawialiśmy o naszych nadziejach na to, że Kekończycy będą mogli osiągnąć równie wiele jak wszyscy inni urodzeni w tym kraju – podjęła Sana. – Że nasze dzieci i wnuki będą biznesmenami, gwiazdami

filmowymi albo członkami Zgromadzenia Narodowego. Jak jednak może się to stać, gdy cały czas jesteśmy kojarzeni z jadeitem, a Espeńczycy go nie rozumieją i mają o nim złą opinię? – Wdowa westchnęła głęboko. – Czy mamy wyrzec się naszej kultury, dziedzictwa towarzyszącego nam od tysiącleci, i stać się słabymi imigrantami, jak Tuni i Szotarczycy? Czy raczej powinniśmy wyrzec się szansy na akceptację i zdobycie legalnych wpływów? Żadna z tych alternatyw nie jest dobra. Musimy znaleźć inną drogę. To właśnie próbowali osiągnąć nasi przyjaciele z klanu Bez Szczytów.

Spojrzała na Hila. To nie był Kekon i te zielone kości nie składały klanowych przysiąg, gdy więc Hilo omiół spojrzeniem wszystkich obecnych i zaczął mówić, w jego głosie nie słyszało się przepojonego pewnością siebie autorytetu, do jakiego przywykł Anden, lecz ton łagodnej perswazji.

– Wielu z was wie, że klan Bez Szczytów już od dawna próbuje znieść zakazujące noszenia jadeitu prawa obowiązujące w tym kraju. Mój kuzyn Anden odniósł już pierwsze zwycięstwo, przekonując espeńskich lekarzy i polityków, by zalegalizowali wykorzystanie go do celów medycznych. Obecnie kekońscy lekarze kierują przychodniami w samym Port Massy. Andy, powiedz nam, ilu ich obecnie jest.

– W Espenii jest sześćdziesiąt placówek jadeitowej medycyny oraz około dwustu oficjalnie zarejestrowanych lekarzy – odpowiedział Anden. – Uczestniczyłem w naradzie lekarzy z janloońskiego Kolegium Medycyny Bioenergetycznej, które stworzyło projekt międzynarodowych standardów praktyki, jakich będą musiały przestrzegać przychodnie, by móc legalnie działać. Zgromadzenie Narodowe zatwierdziło wprowadzenie specjalnych wiz, które pozwolą kekońskim lekarzom na przyjazd do Espenii, i praktykowanie tu swej sztuki. W ostatnim roku do janloońskiego kolegium przyjęto dwunastu Keko-Espeńczyków. To największa liczba zagranicznych studentów w całej jego historii.

– To, co osiągnął Anden, to wielki krok naprzód, ale przed nami jeszcze długa droga – podjął Hilo. – Klan już od pewnego czasu współpracuje z firmą piarową, by zmienić podejście Espeńczyków do jadeitu. Być może widzieliście niektóre spoty. W tym kraju najpewniejszą drogą, by cokolwiek osiągnąć, jest posłużenie się telewizją.

Siedzący przy stole ludzie zachichotali.

Rigly Hollin i jego partnerzy z WBH Focus, uzbrojeni w wyniki badań grup fokusowych oraz badań postaw, zapłacili za reklamy na całą stronę w czasopiśmie oraz telewizyjne spoty przedstawiające jadeit w pozytywnym świetle. Podczas lotu do Port Massy Hilo widział podobną reklamę w czasopiśmie oferowanym podczas lotu w samolotach Air Espenia. Na zdjęciu

przedstawiono grupę Aniołów Marynarki, unoszących swoje identyfikatory z napisami WSPIERAJCIE NASZYCH JADEITOWYCH WOJOWNIKÓW. Hilo skrzywił się pogardliwie na ten widok, ale nie sposób było zaprzeczyć skuteczności strategii Shae. Espeńczycy nigdy nie zaakceptują jadeitu, dopóki nie uwierzą, że nikt na świecie nie ma go więcej od nich, nawet Kekończycy.

– Gdyby jadeit zaakceptowano, wszyscy moglibyśmy żyć swobodnie jako zielone kości, nie obawiając się prawa. W naszych dzielnicach istniałyby nie tylko przychodnie jadeitowej medycyny, lecz również prawdziwe bogowiercze świątynie oraz szkoły, w których uczy się jadeitowych dyscyplin. Oczywiście nigdy nie będzie tu tak jak na Kekonie, ale może być znacznie lepiej niż teraz. –

Głos Sany zachował moc, ale ona nie była przyzwyczajona do pozostawania w centrum uwagi. Rozejrzała się, spoglądając na siedzące przy stole zielone kości, po czym splotła dłonie i zacisnęła usta. – A co najważniejsze, nie musielibyśmy już wybierać, czy chcemy być Kekończykami, czy Espeńczykami. Moglibyśmy być jednymi i drugimi. Wiem, że Losun bardzo by pragnął, żeby to marzenie się spełniło.

Cory pokiwał głową i usiadł prościej.

– Dlatego proponujemy stworzenie organizacji, Stowarzyszenia Kekońskich Espeńczyków, które będzie działało na rzecz międzykulturowego porozumienia i zajmowało się problemami dotyczącymi wszystkich Keko-Espeńczyków – zaczął. – Będziemy pomagali nowym imigrantom, promowali kekońską kulturę i transamaryckie więzi biznesowe, a także lobbowali na rzecz zniesienia zakazu noszenia jadeitu. – Spojrzał na Hila i Andena – To nie będzie klan. Nie będzie żadnego filaru. Ale zielone kości będą ze sobą współpracowały, by bronić naszej społeczności, więc pod tym względem stowarzyszenie będzie przypominało klan.

Anden pomyślał, że w ostatnich latach życia Dauk Losun miał jednak powody do dumy z syna. Cory nie mógł się pochwalić zieloną duszą w tradycyjnym kekońskim sensie tego słowa, ale odnalazł własną drogę do sukcesu w świecie swego ojca. Kiedy zabrał głos, mówił z niezachwianą pewnością siebie.

– Mamy nadzieję osiągnąć swoje cele, ale będziemy musieli współpracować, by zmienić pewne kulturowe uwarunkowania i to, w jaki sposób Keko-Espeńczycy są postrzegani przez opinię publiczną – kontynuował prawnik poważniejszym tonem, zwracając się do wszystkich obecnych. – Jeśli chcemy zniesienia zakazu noszenia jadeitu, musimy zademonstrować, że zielone kości są przestrzegającymi prawa obywatelami pod wszystkimi innymi względami. To znaczy, że konieczne będzie wycofanie się z nielegalnej działalności. – W jadalni zapadła pełna wyczekiwania cisza. – Na przykład nasze sale uraz. Krótco przed

śmiercią ojca rozmawiałem z nim o wprowadzeniu nowych zasad: koniec z walkami kogutów, nielegalnym hazardem i pojedynkami czystej klingi. Nie możemy sobie pozwolić na nic, co da policji pretekst do nalotów na nasze lokale.

Z ust zielonych kości spoza Port Massy wyrwały się szeptki niedowierzania.

– Jaki sens miałyby sale uraz bez tego wszystkiego?! – zawołał Hasho Baku, który przyjechał tu z Evenfield. – Ludzie będą się pojedynkować bez względu na to, co im powiesz. Po prostu będą to robić w innych miejscach, gdzie jeszcze łatwiej będzie ich złapać.

– Głównym problemem są pojedynki ze skutkiem śmiertelnym – odpowiedział Cory. – Espeńskie prawo nie uznaje czystej klingi, więc jeśli dochodzi do śmierci bądź poważnych obrażeń, narażamy się na policyjne śledztwo i zarzuty o popełnienie przestępstwa. Możemy znaleźć sposób rozstrzygnięcia sporów, który prawu łatwiej będzie zaakceptować. A sale uraz mogą pozostać centrami życia społecznego bez przemocy.

– Zważywszy wszystko razem, w konfrontacji z paczkami radzimy sobie dobrze – odezwał się Sammy. – W gruncie rzeczy tak dobrze, że w niektórych częściach kraju wyparliśmy je całkowicie. Ale nie uczyniliśmy tych miejsc bezpiecznymi dla wszystkich. Kekońscy gangsterzy przejęli handel narkotykami, prostytutkę i wymuszenia. – Nikt nie spojrział na Jona Remiego, ale było oczywiste, kogo miał na myśli Sammy. – Każdy przypadek, gdy Kekończyk noszący jadeit zostaje aresztowany za poważne przestępstwo, wzmacnia negatywny stereotyp. Jako zielone kości musimy przestrzegać surowszych standardów, gdy chodzi o to, komu pozwalamy się szkolić i zostać zieloną kością. Musimy też zdecydować, jakie uczynki nie będą dłużej tolerowane.

Jon Remi prychnął pogardliwie, wystarczająco głośno, by wszyscy go usłyszeli.

– A kto podejmie tę decyzję? Wy? – Przeniósł spojrzenie na Hila i Andena, po czym skrzyżował na piersi wytatuowane ręce. – A może zdecyduje za nas wielki klan Bez Szczytów?

– Jako prawnik, który uczestniczył w dziesiątkach takich procesów, mogę ci powiedzieć, że osoba oskarżona o noszenie jadeitu, która nie popełniła żadnego innego przestępstwa i nie była dotąd karana, może zostać skazana za drobne przestępstwo i wyrok będzie wynosił rok, najwyżej dwa lata więzienia – odparł Cory. – Niemal zawsze udaje się nam zamienić więzienie na grzywnę i prace społeczne. Z drugiej strony, jeśli ktoś nosił jadeit i oskarżono go o handel narkotykami, wymuszenia, pobicie albo zabójstwo, uznaje się to za okoliczność obciążającą, co oznacza oskarżenie o zbrodnię, gdzie kara może wynosić nawet dożywocie.

Migu Sun, starszy wiekiem zielona kość z Adamont Capita, odchrząknął.

– Wychowywałem się w bogowierczej rodzinie i zawsze mnie uczono, że bogowie zostawili na Ziemi jadeit, by poddać śmiertelników próbie. Zwrócili nam część niebiańskiej mocy, żeby sprawdzić, jaki użytek z niej zrobimy. Czy wykorzystamy tę moc do podporządkowania sobie innych i czynienia zła, czy raczej będziemy pracować dla dobra wspólnego i chronić słabych? Opowiadano mi historie o legendarnych jadeitowych bohaterach i o bojownikach ruchu oporu z Towarzystwa Jednej Góry. Ale gdy przywieźliśmy jadeit na ten brzeg ze swojego kraju, zepsuła go espeńska kultura. Młodzi ludzie uważają go obecnie za środek pozwalający zdobyć to, czego pożądamy. Wielu z nich używa błysku albo innych narkotyków. Nie ćwiczą jadeitowych dyscyplin, jak w dawnych czasach. Dauk Losun był mądrym i wpływowym człowiekiem, zawsze żył skromnie i polegał na radach żony oraz zaufanych przyjaciół. Pragnął, byśmy wszyscy mieli w tym kraju lepsze życie. – Migu spojrzął na Sanę i Cory'ego. – Jeśli musimy zmienić charakter sal uraz, to niech i tak będzie. Niech paczki przejmą nielegalne interesy. Jeśli nie powstrzymamy naszych ludzi przed zwracaniem się ku narkotykom i przestępczości, zielone kości będą siedziały w więzieniach, a nasz jadeit wpadnie w ręce rządu. Spadniemy do poziomu *barukanów* w Szotarze. Nie będziemy mieli żadnych perspektyw. – Migu wstał, zwrócił się w stronę Hila i oddał mu honory, kłaniając się nisko. – Kaul-jen, twój klan już osiągnął tu bardzo wiele. Jeśli zapewnisz, że nadal będziesz nas wspierać, z pewnością wszystko stanie się możliwe. Niech bogowie opromienią swą łaską klan Bez Szczytów. Dla dobra wszystkich Kekończyków.

Remi parsknął śmiechem, ostrym jak wystrzał.

– Ty stary durniu. Wydaje ci się, że klan Bez Szczytów opłaca reklamy i lobbuje u polityków w naszym interesie? – Potrząsnął głową, uśmiechając się szyderczo do Migu Suna. – Kekońskie klany gównem obchodzi ktokolwiek z nas. Kaulowie pragną tylko rozbudować swe biznesowe imperium. Chcą, żeby kespekowie tacy jak my, których nawet nie uważają za prawdziwe zielone kości, słuchali ich i byli grzeczni, żeby nie zabrudzić pięknego obrazu, który próbują zademonstrować espeńskiemu rządowi i firmom, z którymi współpracują. Spodziewają się, że będziemy wykonywać ich rozkazy, tak samo jak ich palce. Następnym razem zasugerują, żebyśmy całkowicie wyrzekli się jadeitu.

– Nikt tego od nikogo nie żąda. – Słowa Hila zabrzmiały równie ostro, jak śmiech Remiego. Wszystkie spojrzenia w pokoju skierowały się na niego. – To prawda, że klan Bez Szczytów prowadzi w Espenii wiele interesów i że zamierzamy je rozbudowywać i ochraniać. To nikogo nie zaskakuje. Przynosimy pieniądze, jadeit i pracę, żebyście mogli na tym skorzystać, tak samo jak my. –

Skierował spojrzenie na Remiego, przypominając mu o korzyściach, jakie odniósł. – Przed laty powiedziałem Dauk Losunowi, że jeśli będziemy ze sobą

współpracować, Kekończycy mogą stać się w tym kraju potężniejsi od paczek. A teraz mówię wam wszystkim to samo. Daukowie mają rację. Najpoważniejszym zagrożeniem dla was nie są już paczki. Źródłem trudności jest wasz niski status. Jeśli nie chcecie dłużej ukrywać swojego jadeitu, musicie przestać robić rzeczy, które powodują konieczność ukrywania go.

– Wydaje ci się, że uwierzę w ten hipokrytyczny syf? – Remi wskazał palcem na Hila. – Klany w Janloonie pobierają daninę. Dlaczego nie miałbym robić tego samego w Resville?

– Daninę! – zawołała z oburzeniem Sana. – Wydaje ci się, że jesteś pięścią? Czy złożyłeś przysięgę klanowi? Czy pomożesz właścicielowi biznesu, od którego bierzesz pieniądze, załatwisz jego synowi przyjęcie do szkoły walki, udzielisz mu kredytu, żeby mógł rozbudować interes albo wspomóżesz go finansowo, jeśli tajfun zniszczy jego dom? Nie, ty myślisz tak samo, jak paczki. Tylko bierzesz, a nigdy nic nie dajesz. To nie zaprowadzi cię do sukcesu w tym kraju.

Remi oparł się na krzesło i rozpostarł arogancko ramiona, demonstrując drogie ubranie i trzech młodych twardzieli stojących za nim.

– Widzę, że mamy inne definicje sukcesu.

Jego ludzie ryknęli śmiechem i pokleпали szefa po plecach. Jeden z nich wysunął język jak hiena, demonstrując jadeitowe kolczyki. Anden był zdumiony. Nawet w Espenii nigdy nie widział, by zielone kości zachowywały się tak niestosownie w towarzystwie starszych wojowników, a tym bardziej filaru. Sammy i Tod naprężyli mięśnie. Od strony pozostałych mężczyzn czekających pod ścianą dobiegły ostrzegawcze szepty. Hilo nie ruszył się z miejsca.

Cory wstał i rozpostarł ręce w uspokajającym geście.

– Nie ma powodu się denerwować. Zmiany nie zajdą w jeden dzień. Wszyscy wiemy, że sytuacja w Resville wygląda inaczej niż w Port Massy – powiedział łagodnym tonem rozjemcy szukającego kompromisu. Anden skrzywił się z niezadowoleniem, widząc tę niegodną zielonej kości ugodowość. – Posłuchaj, Jon, jeśli uważasz, że przyłączenie się do stowarzyszenia nie leży w twoim interesie, to nie ma sprawy. Prosimy cię jednak, byś pomyślał o przyszłości, w swoim własnym interesie, tak samo jak w naszym. Zaczynaj się wycofywać z najbardziej ryzykownych biznesów. Jeśli potrzebujesz prawnej porady, jak można legalnie...

Remi wstał z krzesła i oparł się dłońmi o blat.

– Nie potrzebuję twojej pomocy, ziom. Nie odpowiadam przed żadnym stowarzyszeniem ani społecznością, a już z pewnością nie wykonuję rozkazów jebanego klanu Bez Szczytów. – Odwrócił głowę i spojrzał na filar. Niewielu ludzi było w stanie wytrzymać spojrzenie Kaul Hila, ale Jon Remi był jednym

z nich. – Zabiłeś albo kazałeś zabić kupę ludzi, a teraz próbujesz mnie uczyć, jak powinienem się zachowywać. Twój klan ma biura w wieżowcach, mnóstwo forsy w skarbcach i całą kurewską wyspę pełną jadeitu, a mimo to masz czelność mówić, że ja i moje chłopaki musimy głodować. Sponsorujesz ludzi, którzy przybywają tu z Janloonu, sługusów twojego klanu, którzy zajmują miejsca w uczelniach, kradną pracę i wysyłają pieniądze z powrotem na Kekon, ale chcesz, żeby ci z nas, którzy walczyli zębami i pazurami o swoje miejsce w tym kraju, oddali swe zdobyte z trudem źródła utrzymania i pozwolili, by pożarły je paczki. – Nozdrza Remiego rozszerzyły się nagle, a jego grubo ciosana, lecz na swój sposób atrakcyjna twarz pociemniała pod wpływem niebezpiecznego resentymentu. – Zgodziłeś się, że Resville należy do mnie, że pozwolisz mi kierować wszystkim po swojemu, pod warunkiem, że nie wpuszczę do miasta waszych wrogów. Zrobiliśmy to, o co nas prosiłeś, a teraz próbujesz nam rozkazywać? Keczkom ze starego kraju wydaje się, że są lepsi od nas? Nic z tego. Jesteś mi coś winien, Kaul.

Anden siedział wystarczająco blisko, by zauważyć, że aura jego kuzyna zafalowała nagle i stała się ostra jak koniec bicia.

– Nie jestem ci nic winien – odparł filar łagodnym tonem. – Nie kierujesz lennym klanem, nie jesteś latarnikiem, ani nawet moim przyjacielem, bo przyjaciel nie wyrażałby się w ten sposób, nawet gdyby się ze mną nie zgadzał. Zawarliśmy ugodę. Dzięki niej stałeś się bogaty i potężny. Tylko z powodu szacunku dla naszego dawnego sojuszu nie poczuję się urażony twoimi słowami. Przybyłem tu, by okazać szacunek Dauk Losunowi, niech bogowie obdarzą go uznaniem, oraz wesprzeć jego rodzinę i następców. Nie przywiozłem ze sobą pięści ani palców. Rozejrzyj się po pokoju. To zielone kości z Espenii domagają się zmian, które z początku mogą być trudne, ale wszyscy się zgadzają, że na dłuższą metę okażą się korzystne.

Remi wyprostował się nagle. Gdy zdjął z oparcia krzesła jasną sportową marynarkę i przerzucił ją sobie przez ramię, tatuaż czarnej czaszki z węzami wychodzącymi z pustych oczodołów rozciągnął się w uśmiechu śmierci.

– Gównu mnie obchodzą minimalne szanse na legalizację jadeitu czy inwestycje klanu Bez Szczytów. Szanowałem Dauka, dopóki żył, ale wszyscy mamy teraz własne terytoria i własne metody działania. Nie mam żadnych problemów z nikim z obecnych w tym pokoju, dopóki wszyscy pilnujemy własnego nosa i pozwalamy innym się nasycić. W Port Massy możecie robić, co wam się podoba, ale ja rządę Resville na swój sposób.

Zły Keczek skinął raptownie głową do swoich ludzi i głowy węży opuściły spotkanie. Nikt się nie odzywał ani nie próbował ich powstrzymać, gdy

uśmiechali się drwiąco, spoglądając na resztę spod ciemnych okularów. Kiedy wyszli, zapadła pełna zakłopotania cisza.

Hasho Baku również wstał, choć z wyraźną niechęcią.

– Jon mówił zbyt ostro i nieuprzejmie, ale zgadzam się z nim – oznajmił. – Myślę, że szansa zniesienia antyjadeitowych praw jest zbyt mała, by warto było powoływać takie stowarzyszenie, a zmiany, jakie proponujecie, wywołają tylko podziały wśród zielonych kości. – Oddał honory Dauk Sanie i Kaul Hilowi. – Szanuję wasze intencje i nie będę stał wam na drodze, ale uważam, że będzie najlepiej, jeśli wszyscy wrócimy do swoich miast i nie będziemy próbowali niczego narzucać innym zielonym kościom. W ten sposób będziemy mogli pozostać przyjaciółmi.

Skinął głową do wszystkich obecnych i opuścił dom razem ze swoimi ludźmi.

Cory zrobił głośny wydech, potarł włosy dłonią i znowu oklapł na krześle z zaszepioną miną.

– Mogło pójść lepiej.

– Wiedzieliśmy, że niektórzy się sprzeciwią – odparł Tod. – Reszta zgadza się z tobą, Cory.

– Później porozmawiam z Hashem w cztery oczy – zapewnił Migu Sun. –

Nie wątpię, że da się przekonać, gdy tylko zrozumie, co próbujemy osiągnąć. Przynajmniej wiemy, że nie będzie się nam sprzeciwiał ani powodował kłopotów. Możemy też być pewni, że jego ludzie w Evenfield zachowają dyskrecję w posługiwaniu się jadeitem. A jeśli chodzi o Remiego... – Mężczyzna westchnął. – Spróbuję pogadać z niektórymi znajomymi z Resville. Może skłonią go do powrotu do rozmów.

Podczas całej tej żywej dyskusji Anden zachował milczenie. Z pewnością właśnie tego oczekiwał od niego Hilo. Teraz jednak poczuł nagle gorąco i mdłości, jakby przed chwilą wyszedł z klubu nocnego Niebieska Oliwka.

– Jona Remiego nie da się skłonić do rezygnacji z nawet najmniejszej części władzy.

– Andy ma rację – poparł go Hilo. – Szkoda, że Remi urodził się po tej stronie oceanu. Mężczyzna taki jak on, który potrafi bronić swego i rozkazywać innym... gdyby wychowano go na zieloną kość i odpowiednio wyszkolono, mógłby się stać dobrą pięścią. Ale los czyni nas tym, kim jesteśmy, i nie możemy nic na to poradzić.

Ton głosu Hila sugerował, że filar podjął już decyzję. Dauk Sana wciągnęła powietrze między zębami. Wstała i podeszła do krzesła Hila.

– Kaul-jen – zaczęła z niepokojem w głosie. – Nic nie usprawiedliwia chamstwa, jakie okazał Remi wobec gościa, a tym bardziej filaru! Nikt nie

mógłby mieć do ciebie pretensji, gdybyś poczuł się urażony i uznał, że musisz podjąć odpowiednie kroki. Pragnę jednak zachować pokój i okazać szacunek przyjaźni, jaką okazałeś naszej rodzinie. Dlatego muszę cię prosić, byś pozwolił rozwiązać ten problem tym z nas, którzy mieszkają w Espenii. – Uścisnęła dłoń Hila. – Jeśli nie zdołamy tego dokonać, zerwiemy kontakty z zielonymi kośćmi z Resville i będziemy współpracować z policją, by je powstrzymać.

Migu Sun pokiwał z powagą głową, ale młodsze zielone kości w pokoju sprawiały wrażenie zdumionych. W przeciwieństwie do Dauk Sany nie przyszło im do głowy, że Hilo mógłby zareagować na zniewagi Remiego natychmiastowym odwetem. Wdowa błagała filar klanu Bez Szczytów, by powstrzymał się przed pochopnym działaniem. Gdyby Hilo wysłał swoje pięści do Resville, żeby zabiły Remiego i rozpoczęły wojnę z jego gangiem, z pewnością przyciągnęłyby to uwagę policji i spotkało się z negatywną reakcją opinii publicznej. Potężny janloński klan mordujący espeńskich obywateli (choćby nawet przestępców, takich jak głowy węży) z pewnością zaszkodziłby Stowarzyszeniu Kekońskich Espeńczyków już na samym starcie jego działalności. Niewykluczone, że Remi spodziewał się ataku. Być może nawet pragnął zmierzyć się w walce z zielonymi kośćmi ze starego kraju i zdobyć sławę.

Hilo milczał przez chwilę. Wreszcie ujął Dauk Sanę za rękę, wstał z uśmiechem i pociągnął ją za sobą.

– Klan Bez Szczytów ma w Espenii swoich ludzi i prowadzi tu interesy, ale to nie jest nasz kraj. Jako gość nie chciałbym zrobić niczego, co oznaczałoby kłopoty dla moich przyjaciół albo zagroziło naszym wspólnym celom. Klan Bez Szczytów nadal będzie się trzymał z dala od Resville – zapewnił, zwracając się do wszystkich obecnych. – Daję wam słowo jako filar.

Sana rozluźniła się z wyraźną ulgą.

– Dziękuję, Kaul-jen. – Dotknęła czoła splecionymi dłońmi. – Szkoda, że Losun-se nie jest już z nami i nie może również ci podziękować.

Zebranie zakończyło się tą smutną nutą. Zielone kości podzieliły się na grupki, by rozmawiać w holu i w kuchni. Hilo i Anden złożyli ostatnie kondolencje Sanie oraz Cory'emu, przyjęli pożegnalne gesty oddania honorów oraz życzenia szczęśliwej drogi, a potem opuścili dom.

W taksówce, w drodze do hotelu Crestwood, Hilo usiadł wygodnie i wyjął z pudełka ostatniego papierosa. Obracał go w palcach, ale nie zapalił.

– Milczałeś na spotkaniu, Andy. I teraz też milczysz.

– Wczoraj prosiłeś mnie, bym lepiej ukrywał swoje opinie.

– Remi cię niepokoi – zauważył Hilo. – Czy zaskoczyło cię to, co wydarzyło się dzisiaj?

– Nie, ale jeśli nawet problem nie jest zaskakujący, to jeszcze nie znaczy, że nie jest problemem.

Hilo uśmiechnął się, wyciągnął rękę i poklepał kuzyna po ramieniu.

– Byłbyś znakomitą pięścią, Andy. Nie zrozum mnie źle, wiem, że to przeszłość, po prostu chciałem powiedzieć ci komplement. – Znowu spoważniał. – Remi Jonjunin jest jak szef paczki z twarzą Kekończyka. Myślałem, że jest szansa, że zgodzi się na kompromis, żeby zachować dobre stosunki z ludźmi obecnymi na spotkaniu, ale to oczywiste, że uważa, że nie potrzebuje już nikogo z Port Massy. Czemu tak mocno bierzesz jego obelgi do siebie?

– To my stworzyliśmy Remiego – odpowiedział Anden. – Daliśmy mu pieniądze i jadeit, a on wykorzystał je, by stać się Złym Keczkem z Resville. To ja rozmawiałem z nim w imieniu klanu i dałem mu wolną rękę w mieście. To moja wina, że teraz jest dla nas problemem.

Hilo włożył do ust niezapalony papierosa.

– Zaufałem ci. Byłem pewien, że podejmiesz właściwą decyzję. Co było dla nas dobre wtedy, jest dla nas niedobre teraz, ale czasami tak się dzieje. Twój przyjaciele z Port Massy proszą nas o bardzo dużo zaufania w sprawie Złego Keczka. I bardzo dobrze. Musimy skupić uwagę na tym, co dzieje się w domu. Na walce z bezklanowymi.

Anden obrzucił filar sceptycznym spojrzeniem.

– Hilo-jen – rzekł. – Lubię Cory’ego, Toda i Sammy’ego. To dobrzy ludzie, dbają o swoją społeczność i wiedzą, co to znaczy nosić jadeit. Ale nie są klanem. Mogą być zieloni na swój sposób, ale to nie wystarczy, by mierzyć się z przeciwnikiem pozbawionym moralności, takim jak Remi.

Taksówka zatrzymała się przed hotelem i obaj wysiedli. Hilo postawił kołnierz płaszczka i wszedł do środka przez obrotowe drzwi.

– Nie śpiesz się tak bardzo, Andy. Wczoraj oznajmiłem ci, że Remi pozostaje naszym sojusznikiem, dopóki nie powiem, że już nim nie jest. – Dotknął zapalniczki, a potem z niechęcią schował ostatniego papierosa z powrotem do pudełka. – Teraz to mówię.

ROZDZIAŁ 31

ROZCZAROWANIE

Kaul Nikoyan leżał na plecach w mieszkaniu dziewczyny, gapiąc się na widoczną na suficie plamę światła padającego z ekranu wyciszonego telewizora. Dziewczyna, Mera, uparcie nie wyjmowała z ust jego członka, ale kochali się ze sobą już raz, a myślami przebywał teraz gdzie indziej. Słońce już zaszło. Zerknął na stojący na stoliku budzik. Za godzinę będzie musiał zgłosić się do Lott Jina, który przydzielili mu obowiązki na dzisiejszą noc.

Niko wiedział, że jego wujek nie pochwaliłby tego, w jaki sposób spędził popołudnie. „Nie uprawiaj seksu przed pracą, jeśli służysz po zieleńszej stronie klanu” – powiedziała by Hilo, cytując popularne powiedzenie jadeitowych wojowników. Dobre pięści i palce nie wychodziły na ulicę odprężone i nieuważne. Musiały być czujne jak głodne wilki.

Niko nie wierzył w stare przysłowia, a wujek i tak znalazł w nim mnóstwo rzeczy, do których mógł się przyczepić. Cóż mógł znaczyć jeszcze jeden drobiazg? Niewykluczone, że będą mieli dziś okazję użyć siły, a być może nawet skonfiskować trochę nielegalnie zdobytego jadeitu, ale nie spodziewał się, by mogło im zagrozić poważne niebezpieczeństwo. Nigdy nie było wątpliwości, że Niko zostanie palcem klanu, ale filar polecił Juen Nu, żeby go nie rozpieszczał. Niko pracował tyle samo, co wszystkie początkujące zielone kości, podejmował takie samo ryzyko i w takim samym stopniu oczekiwano od niego przestrzegania dyscypliny. Jednakże w tym roku Juen Nu miał przejść w stan spoczynku. Filar udzielił mu już pozwolenia. Czołowym kandydatem na nowy róg był Lott Jin, ale dopóki awansu nie zatwierdzono oficjalnie, Niko wątpił, by pierwsza pięść naraził się na gniew Kaulów, pozwalając, by dziedzicowi klanu stała się krzywda, gdy był pod jego opieką.

– Chcesz zamówić coś do jedzenia? – zapytał Niko, pragnąc w ten sposób odwrócić uwagę dziewczyny od prób obudzenia jego żądz.

Mera padła na łóżko obok niego. Miała rozmazaną na twarzy szminkę. Była ładna, ale inne ładne dziewczyny próbowały już przyciągnąć jego uwagę. Pierwsza z nich ofiarowała mu siebie, gdy miał szesnaście lat, w ciemnym kącie ogrodu w posiadłości Kaulów podczas klanowego przyjęcia noworocznego. Poczł się wtedy zbyt skrępowany, by skorzystać z tej propozycji. Za drugim razem było tak samo, ale w końcu ciekawość zwyciężyła i od tamtej chwili był już z kilkoma dziewczynami, choć poziom satysfakcji, jaką mu to sprawiało, był różny.

– Możemy to zrobić, jeśli chcesz – zgodziła się Mera. – Ale wolałabym gdzieś pójść.

– Nie jestem aż tak głodny. Mogę zjeść później. Pomyślałem sobie, że może masz na coś apetyt.

– Tylko na ciebie.

Mera otoczyła z westchnieniem ręką klatkę piersiową Nika i wsparła głowę na jego barku.

Jej głos miał tak marzycielskie brzmienie, że Niko skrzywił się boleśnie. Miał dwadzieścia lat i już stał się cyniczny, jeśli chodziło o miłość. Mera była tylko kolejną ambitną dziewczyną próbującą zdobyć serce pierwotnego syna Kaulów i wżenić się w rodzinę władającą klanem Bez Szczytów.

Uważał, że to вина jego rodziców. Wszyscy znali romantyczną historię o tym, jak młody Kaul Hiloshudon zakochał się w kamiennookiej dziewczynie i wyniósł okrytą hańbą rodzinę Maików na sam szczyt klanu. Przed kilku laty jedna z sieci kablowych próbowała nakręcić o tym ckliwy serial, ale Biuro Prognozyka na czas położyło kres temu projektowi. Nawet tragiczny los wujków Nika, Kehna i Tara, nie zmniejszył atrakcyjności tej opowieści, być może dlatego, że Kaul Maik Wen, żona filaru, była znacznie bardziej widoczna niż jej poprzedniczki.

– Lubię spędzać z tobą czas. Jesteś słodką dziewczyną – oznajmił Niko.

Mera zeszywniała, usłyszawszy ten protekcjonalny komplement.

– Nie jestem słodka. Jestem najmłodszą z czworga rodzeństwa i moi rodzice nie mogli sobie pozwolić na wysłanie dziewczyny do Akademii, ale nie jestem delikatnym kwiatkiem. Moi bracia się pojedynkowali. Moja starsza siostra jest latarniczką. Moja rodzina należy do klasy średniej, ale jesteśmy zieloni.

– Nie powiedziałem ani słowa o twojej rodzinie.

Niko odwrócił się na brzuch. Nacisk łóżka na jego swędzącą, gojącą się skórę stał się nieprzyjemny. Mera usiadła i wyłączyła telewizor. Podciągnęła nogi pod brodę i spojrzała na Nika z cichą, gorącą frustracją, jakby nagle się przekonała, że w puzzlach, które próbuje ułożyć, brakuje jednego elementu. Dziewczyny były pewne, że pod powściągliwym zachowaniem Nika krył się przysły róg,

porywczy i gorąckrwisty, i ogarniało je zdumienie, gdy nie potrafiły odnaleźć tej osoby. Dotknęła koniuszkami palców pręg na jego plecach i ramionach.

– Co ci się stało?

– A jak myślisz? Wychłostali mnie – mruknął w poduszkę.

– Ojciec cię wychłostał?

W jej głosie zabrzmiało zaskoczenie, niemalże zadowolenie. Najstarszego syna filaru można było wychłostać za złe zachowanie, jak zwykłego chłopaka.

– To mój wujek, nie ojciec – poprawił ją Niko. – Wychłostał mnie za to, że nie zachowałem się, jak przystoi zielonej kości.

Przesunęła palcami po jego karku.

– Wyglądasz mi na dobrą zieloną kość – mruknęła, lekko dotykając jego naszyjnika.

To był śmiały, intymny gest. Niektórzy noszący jadeit mężczyźni nie pozwalali go dotykać nawet własnym żonom. Niko odziedziczył ten naszyjnik po ojcu – swym prawdziwym ojcu, Kaul Lanie, o którym bardzo wiele słyszał, ale nigdy go nie poznał. Sześć jadeitowych paciorków na łańcuszku. Pozostałe zdjęto i schowano w bezpiecznym miejscu. Rodzice powiedzieli mu, że przywróci się je na miejsce, kiedy na nie zasłuży.

Niko wsparł podbródek na złożonych rękach.

– Ale co to właściwie znaczy być dobrą zieloną kością? Wszyscy najwyraźniej wiedzą, kto nią nie jest, ale nikomu jakoś nie chce się wyjaśnić, na czym to polega. Ludzie widzą moją twarz, moje nazwisko oraz mój jadeit, i wydaje im się, że mnie znają.

Zachichotał, raczej w zamyśleniu niż z wesołością, a potem umilkł na chwilę.

– Wiesz, co myślę? – podjął. – Myślę, że widzą tylko skorupę. Błyszczącą, zieloną i pustą.

Mówił głównie do siebie i nie spodziewał się, że dziewczyna mu odpowie, lecz po paru minutach zauważył, że umilkła. Nie odsunęła się od niego, ale opuścił ją seksualny zapach. Wycofała się, zamknęła w sobie.

Poczuł lekką irytację, a potem ulgę. Przetoczył się na łóżku, wstał i zaczął się ubierać. Wciągnął spodnie, zapiął koszulę, przypiął karambit do pasa i przytroczył kaburę z pistoletem na plecach. Nim wyszedł, przysiadł na łóżku i delikatnie pocałował Merę w policzek. Nie odsunęła się, ale też nie uniosła twarzy ku niemu w nadziei na coś więcej.

– Mówiłem prawdę. Lubilem spędzać z tobą czas – oznajmił. – Przykro mi, jeśli poczułaś się rozczarowana.

Wstał i opuścił pokój.

* * *

Incydent, który skłonił wujka do tak surowego ukarania Nika, zaczął się niewinnie. W zeszłym tygodniu, w pubie Świnia i Świnia, kilka palców założyło się ze sobą o coś niewinnego, być może o piłkę sztafetową. Pokonany młody mężczyzna imieniem Kitu obraził się na coś, co powiedział Niko, i zaproponował rozwiązanie sporu przez fizyczną konfrontację. Niko, który przez cały tydzień był przeziębiony, odmówił, być może bardziej nieuprzejmie, niż było to jego zamiarem, mówiąc, że drugi chłopak nie zasługuje na jego uwagę. Kitu zaoferował mu czystą klingę.

To byłby dość typowy pojedynek, nie chodziło w nim o poważną osobistą urazę. Nikt nie oczekiwał, że walczący będą próbowali zabić się nawzajem, choć oczywiście stawka była poważna, bo zwycięzca mógł zabrać jadeit pokonanemu. Wszyscy obecni w pubie opuszczali miejsce między stołami, gdzie miała się odbyć walka.

Niko nie ruszył się z miejsca.

– Kitu, lepiej nie próbuj się ze mną pojedynkować. Przegrasz.

Właściwie wcale nie było to pewne. Rodzina Kitu nie była zamożna, ale był on całkiem niezłym wojownikiem, a jadeit, jaki nosił jako palec drugiego stopnia, zdobył w walce, a nie odziedziczył. Natomiast Kaul Niko miał wrodzony talent, a jego rodzina zatrudniała mnóstwo nauczycieli. Ludzie z klanu szeptali jednak, że Niko nie przykłada się do nauki tak, jakby należało tego oczekiwać od Kaula.

Nawet gdyby Kitu przegrał pojedynek, zdobyłby uznanie. Trzeba było mieć gęstą krew, żeby rzucić wyzwanie pierworodnemu synowi Kaula, a gdyby wypadł naprawdę dobrze, zaczęto by go traktować poważniej i inni braliby go pod uwagę jako godnego przeciwnika w następnym pojedynku.

– Wstajesz czy nie? – warknął niecierpliwie.

– Pojedynkowałem się w zeszłym miesiącu, keke – odparł Niko. Pojedynek był bardziej wyrównany, niż chciałby to przyznać, i omal nie skończył się dla Nika złamaniem żuchwy. – Nie mam dziś na to ochoty.

Odmowa zaskoczyła i rozczarowała wszystkich, a najbardziej Kitu, który chciał zrobić karierę po militarnej stronie klanu i szukał okazji do pojedynków. Odrzucenie czystej klingi było jednak w złym tonie, jeśli oferowano ją szczerze i nie było żadnych przekonujących usprawiedliwień.

– Jeśli w tej chwili jesteś zbyt pijany albo ci się nie chce, spotkam się z tobą jutro w południe – oznajmił i czekał, aż Niko wybierze miejsce i broń.

– Tak bardzo chcesz, żeby ktoś skopał ci tyłek i zabrał jadeit? – zapytał Niko obojętnym tonem, ale w jego wnętrzu nagle zapłonął gwałtowny resentyment.

Nie chodziło o to, że gardził umiejętnościami Kitu albo bał się z nim walczyć. Przyszedł do Świni i Świni, żeby się odprężyć i nie rozumiał, dlaczego miały zepsuć sobie wieczór dlatego, że ktoś inny pragnął zdobyć sławę.

Poirytowało go też, jak szybko nawet jego koledzy zaczęli przestawiać stoły i krzesła, oczekując od niego, że będzie się pojedynkował na każde skinienie.

Wyjął z kieszeni marynarki kluczyki samochodu i uniósł je w dłoni. Rzeczywiście był lekko pijany, ale nie do tego stopnia, żeby nie był w stanie myśleć jasno. Albo mógł wykorzystać ten fakt do wykręcenia się od pojedynku.

– Kitu, wiesz czego potrzebujesz bardziej niż obitej twarzy? Nowego samochodu. Ten grat, którym jeździsz, ma już chyba dwadzieścia lat. Czy to nie jest stare dwudrzwiowe tezzo twojej mamy? – Zadzwoił kluczykami. – Coś ci powiem. Możesz dostać pojedynkę czystej klingi albo możesz dostać mój samochód. To roewolfe SX coupe, ma tylko dwa lata. Rodzice sprezentowali mi go, kiedy ukończyłem Akademię. Stoi w tej chwili na parkingu.

Rzucił kluczyki na stół. Przesunęły się po blacie i zatrzymały w połowie drogi między dwoma młodymi mężczyznami.

W całym pubie zapadła cisza. Kitu przesunął wzrok między Nikiem a kluczykami.

– Żartujesz.

Niko wzruszył ramionami i wskazał kluczyki.

– Weź je. Zgodzimy się, że zapłaciłem za znieważenie ciebie, a ty otrzymasz coś, co jest własnością Kaulów, bez narażania się na utratę krwi i połamanie kości.

– Hmm, Niko-jen, jesteś pewien, że chcesz to zrobić? – zapytał ze skrepowaniem jeden z kolegów Nika. – To nie wydaje się w porządku. Dlaczego nie zaczekacie z tym do jutra, żeby się przekonać, czy jesteście gotowi walczyć?

Kilku pozostałych wyraziło szeptem zgodę. Nikt nie był pewien, czy to, co chce zrobić Niko, jest sprzeczne z *aisho* czy nie, z pewnością jednak nie zgadzało się z obowiązującymi zwyczajami pojedynkowymi.

– Co wybierasz, Kitu? – zapytał Niko.

Twarz młodego palca kilka razy zmieniała wyraz. Ściągnął brwi, zmarszczył nos, a jego wargi zadrżały i się wykrzywiły. Podniósł kluczyki i znieruchomiał na kilka sekund, spodziewając się, że Niko wyśmiej go za to, że dał się nabrać, i zażąda zwrotu kluczyków. Gdy tak się nie stało, nie potrafił już odłożyć ich na stół.

Niko miał rację, mówiąc że stary samochód matki Kitu ledwie się trzyma, a jego nie stać na nowy. Było też prawdą, że wynik każdego pojedynku zawsze jest niepewny. Kitu mógł zostać ranny, stracić jadeit, a nawet zginąć. Przedtem był gotowy podjąć to ryzyko, ale teraz już nie był tego taki pewien. Miał

wrażenie, że Niko się z nim bawi, ale nie wiedział, co mógłby w tej sprawie zrobić.

Cofnął się powoli, nie spuszczać wzroku z Nika. Jego jadeitową aurę wypełniało niedowierzanie. Dotarł aż do drzwi pubu i wyszedł na zewnątrz. W lokalu zapadła nietypowa cisza i wszyscy usłyszeli warkot silnika odjeżdżającego roewolfe'a.

Rozległy się śmiechy, płynące nie tyle z wesołości i rozbawienia, ile ze skrepowania i niedowierzania. Wszyscy mieli wrażenie, że Niko w jakiś sposób pokonał i upokorzył Kitu, mimo że podarował mu drogi samochód. To jednak źle o nim świadczyło, ponieważ zademonstrował, że jest okrutny i to w bardzo osobliwy sposób. To było tak, jakby ktoś zatrzymał się na ulicy przy bezdomnym i zaproponował mu tysiąc dienów, jeśli zaszczeka jak pies, a biedny skurczybyk to zrobił.

Gdy Niko wrócił wieczorem do domu, jego wujek wiedział już, co się wydarzyło. Wiadomości z pewnością dotarły do klanowych pięści, które przekazały je rogowi, a ten zawiadomił filar.

– Do licha, co jest z tobą nie w porządku? – zapytał Hilo. – Chłopak wyzwał cię uczciwie, a ty nie dosyć, że mu odmówiłeś, to jeszcze zrobiłeś idiotów z niego i z siebie. – Być może spodziewał się, że usłyszysz jakąś odpowiedź, że jego bratanek będzie się bronił, okaże skruchę albo sprzeciwi, ale Niko tylko gapił się na niego. W końcu Hilo wybuchł gniewem. – Jesteś Kaulem! Jesteś synem filaru! Twój ojciec i dziadek przewracają się ze wstydu na drugi bok w swych cholernych grobach. Nie wychowywaliśmy cię z matką po to, żebyś zachowywał się tak haniebnie.

– Nie miałem ochoty walczyć – odpowiedział Niko. – Jestem przeziębiony.

– Jeśli czujesz się chory i nie możesz bronić swego jadeitu, to w ogóle nie powinieneś tam iść! – wrzasnął Hilo. Zamknęli się w gabinecie filaru, ale słyszano go w całym domu, być może nawet w całej posiadłości. – Nikt nie miałby do ciebie pretensji o odłożenie pojedynku o kilka dni, jeśli złapałeś jakiegoś wirusa. A teraz wszyscy opowiadają, że oddałeś samochód, by wykręcić się od pojedynku. Jak możesz nazywać się zieloną kością?

Niko zauważył, że jego wujek intensywnie zastanawia się nad tym, jaka kara byłaby odpowiednia za podobny brak zdrowego rozsądku. W końcu kazał mu sięgnąć koszulę i uklęknąć, a potem wymierzył mu dwanaście razy cienkim kijem. Od tej chwili Niko miał dwa razy w tygodniu mieć dodatkowe lekcje u prywatnych instruktorów, a Hilo będzie raz na miesiąc zjawiał się na takiej lekcji, by sprawdzić postępy bratanka. Odcięto mu też dostęp do rodzinnych funduszy, dopóki nie zdobędzie dla siebie nowego jadeitu w zasługujący na szacunek sposób. Rzecz jasna, nie dostanie też nowego samochodu.

Niko opuścił gabinet, krzywiąc się z bólu po razach. Pograżył się w pełnych goryczy rozmyślaniach. Ru czekał pod gabinetem, by zapytać o coś ojca, ale gdy usłyszał, jak surową karę wymierzono jego bratu, doszedł do wniosku, że lepiej nie wchodzić do środka, i udał się do lodówki po lód do przyłożenia na rany dla Nika. Jaya, która była w domu, bo właśnie był długi weekend wiosennego kwitnienia, oderwała na moment wzrok od gry wideo.

– Naprawdę cię popierdoliło, co?

Zdaniem Nika naprawdę popierdolony był fakt, że nikt nie uważał, że to, co zrobił, było lepsze od alternatywy, czy choćby możliwe do przyjęcia. Kitu potrzebował nowego samochodu, a Niko dobrowolnie oddał mu swój jako rekompensatę za to, że nie zgodził się na pojedynek, którego tamten w owej chwili pragnął. W czym problem? Jaki pożytek z całej władzy i bogactwa jego rodziny, skoro nie pozwalało mu ono rozporządzać swym czasem i własnością, jak tego zapragnął? Na świecie było wielu ludzi noszących jadeit, ale tylko zielone kości musiały przestrzegać surowych, pozbawionych sensu zasad.

Ojciec Kitu odwiózł następnego dnia roewolfe'a do posiadłości Kaulów. Towarzyszył mu zawstydzony syn. Filar zapewnił, że ich wylewne przeprosiny są zbędne. Wyjaśnił, że Niko był pijany i posunął się ze swoim żartem za daleko. Z pewnością nie chciał zawstydzić Kitu ani jego rodziny.

– Chłopaki często robią głupstwa. – Hilo westchnął, co spotkało się z pełnym zrozumieniem ojca Kitu.

* * *

Po wyjściu z mieszkania Mery Niko zameldował się u Lott Jina w Bułeczce ze Śliwkami w dzielnicy Kuźnia, piekarni należącej do latarnika klanu Bez Szczytów. W przerwie między porą zamknięcia po południu a chwilą, gdy piekarze przychodzili do pracy wczesnym rankiem, lokal był miejscem, w którym pięści spotykały się ze swoimi palcami, jednym z kilkudziesięciu w całym mieście. Niko żałował, że nie zjadł czegoś u Mery, bo od wypełniającego lokal zapachu chleba i ciastek do ust podeszła mu ślinka. Na miejscu były już dwie inne zielone kości Lotta. Kenjo – krępy i ciemnoskóry – był specjalistą od samochodów i broni palnej. Podobnie jak Niko był palcem pierwszej rangi i wkrótce miał awansować na pięść. Sim ukończył Akademię dopiero dwa i pół miesiąca temu, miał tylko trzy klejnoty, które dostał na ceremonii, i był nerwowy oraz napakowany energią, jak tresowany do walki kogut przed pierwszym pojedyńkiem.

Niko spodziewał się, że każą im patrolować Kuźnię, gdzie niedawno doszło do starć między barukańskimi a uwiwańskimi gangami ulicznymi.

– Mam nadzieję, że wszyscy macie dziś ochotę zamoczyć swoje klingi – oznajmił jednak Lott Jin ku jego zaskoczeniu. – Doszły do nas informacje o dwóch przemytnikach broni, którzy sprzedali sto wojskowych ankevów Ruchowi Bezklanowa Przyszłość, jeszcze przed zamachem na budynek KSJ. Wiadomość pochodzi od jednego z naszych białych szczurów, ale prowadzi do Kikuta. Wydano też nakazy aresztowania. To będzie trójstronna operacja.

Wszyscy jęknęli głośno. „Trójstronna operacja” stała się po militarnej stronie klanu potocznym określeniem sytuacji wymagającej udziału klanu Bez Szczytów oraz Góry, a także janloońskiej policji. Podczas trwającej kampanii, mającej na celu wykorzenienie wszystkich antyklanowych elementów, takie operacje stały się bardzo pospolite. Zielone kości ich nie znosiły. Klany tradycyjnie sprawowały kontrolę nad swoimi dzielnicami i nie wpuszczały konkurentów na swe terytorium. Przestępcy tradycyjnie uciekali przed zielonymi kośćmi na obszar innego klanu, a pięści i palce od równie dawna wymieniały się z rywalami informacjami i przysługami, nawet w czasach wojny, nawet jeśli ich przywódcy byli śmiertelnymi wrogami. Podpalacza, który podłożył ogień pod budynek należący do Góry, łapał klan Bez Szczytów, by wymienić go na handlarza błyskiem, który działał w Pralni, ale schronił się w Mieście Rybaków. Janloońska policja zajmowała się wszystkim, co nie zasługiwało na uwagę klanów – drobnymi przestępstwami, a także zwykłymi morderstwami i napadami z bronią w rękę bądź naruszeniami przepisów ruchu drogowego. Policjanci przyzwyczaili się do tego, że muszą pracować w cieniu dwóch wielkich klanów i sprzątać pozostawiony przez nie bałagan. Wszyscy lubili ten układ, nawet przestępcy.

Jednakże po zamachu wykorzenienie antyklanowego ekstremizmu stało się absolutnym priorytetem. Zbrojny bunt wzniecony przez Ruch Bezklanowa Przyszłość był spektakularny i przerażający, ale szybko go stłumiono. Rada Książęca natychmiast wyjęła spod prawa terrorystyczną organizację i poleciła klanom oraz policji skoordynować wysiłki w stopniu większym niż dotąd. Rodzina Nika zawsze uważała Ayt Madę za najgorszą ze swoich wrogów – zarówno w kraju, jak i za granicą – a walka o jadeit, zyski biznesowe oraz władzę polityczną między oboma klanami nadal trwała w najlepsze. Ulice Janloonu były jednak domeną rogów. Juen Nu i Aben Soro mieli pragmatyczne podejście do rzeczywistości. Byli lojalni wobec swoich klanów, ale nie nosili nazwisk Kaul ani Ayt. Nie zapomniano o dziesięcioleciach rywalizacji między dwoma wielkimi klanami, ale pierwszeństwo miała teraz wspólna walka z zagrożeniem, jakim byli antyklanowi agitatorzy.

Wysiłki włożone w tę walkę okazały się opłacalne. W ostatnich latach zabito bądź aresztowano tysiące członków i zwolenników RBP. Nikt nie lubił

trójstronnych operacji, ale nic nie wskazywało na to, by miano z nich zrezygnować. Lott Jin rozdał im czarno-białe zdjęcia dwóch handlarzy bronią – idących ulicą, wchodzących do budynków albo z nich wychodzących i rozmawiających z ludźmi.

– Przyjrzyjcie się im uważnie. Dziś mają dobić targu na ulicy Banya. Pójdziemy tam z trzema ludźmi z Góry.

Niko przyjrzał się zdjęciom jako ostatni. Jeden z handlarzy był Kekończykiem, a drugi Uwiwaninem. Ulica Banya znajdowała się w samym centrum tłocznej części Kikuta zamieszkaney przez imigrantów z Uwiwów.

– To dla nas nieznaną okolicą i będzie tam kupa ludzi – ostrzegł ich Lott, jakby czytał w myślach Nika albo po prostu Postrzegł jego niepokój. – Jeśli spierdolimy sprawę, może to doprowadzić do konfliktu między Juen-jenem a Aben-jenem. To oznaczałoby problemy dla mnie, co skończyłoby się kłopotami dla was. Jeśli dojdzie do jakichś komplikacji, niech zajmie się nimi Góra. To jest ich terytorium.

Lott wyjął zapalniczkę i spalił wszystkie zdjęcia. Będą musieli zidentyfikować poszukiwanych ludzi z pamięci i zagwarantować, że zostaną pojmani bądź zabici. Nie mogło być mowy o wręczeniu zdjęć ludziom z Góry i pozwoleniu, by sami załatwili tę sprawę. Informacje, jakie można było uzyskać dzięki tym fotografiom – gdzie i kiedy je zrobiono, pod jakim kątem i z jakiej odległości – mogłyby doprowadzić do zdemaskowania cennego białego szczura, którego Góra z chęcią by zlikwidowała, gdyby tylko mogła, bo z pewnością informował klan Bez Szczytów również o jej poczynaniach.

Przyjechali na miejsce niezwykle efektowną czerwoną lумеzzą ft scorpion i zaparkowali w pobliżu rybiej głowy – osobliwie wyglądającego skrzyżowania ulicy Drogowej z aleją Magnoliową, znajdującego się na granicy między ubogimi częściami Pralni i Miasta Rybaków. Mężczyźni wysiedli z samochodu i czekali. Całe miasto było mokre od padającego od tygodnia Północnego Potu, ale wczesnym wieczorem chmury zniknęły i nic nie wskazywało na to, by znowu miało padać. Niko podrapał się po swędzących plecach.

Sim podszedł do niego.

– Niko-jen, zastanawiałem się... – Potarł nerwowo pokryty trądzikiem policzek. – Moja mała bratanica, ta, która była w szpitalu... zbliżają się jej urodziny. Jest zagorzałą kibicką Duchów Janloonu, a wiem, że klan ma swoje miejsca na stadionie piłki sztafetowej. Powiedziano mi, że trzeba być pięścią drugiej rangi albo wyższej, żeby załapać się na listę oczekujących, ale jeśli uważasz, że istnieje szansa, to czy nie sprawiłoby ci kłopotu...

Niko wzruszył ramionami.

– Mogę zapytać wujka. Może uda się wcisnąć na najbliższy mecz dwie dodatkowe osoby.

Sim uśmiechnął się szeroko.

– Byłaby zachwycona. Będę ci wiecznie wdzięczny, jeśli filar zgodzi się zrobić wyjątek. Oczywiście zrozumiem, jeśli się okaże, że to niemożliwe. – Dotknął czoła. – Dziękuję, Niko-jen.

Dopiero po kilku minutach Nikowi przyszło do głowy, że powinien był zapytać, jak ma na imię jego bratanica, ile ma lat i od jak dawna interesuje się piłką sztafetową. Dobrze by było, gdyby lepiej poznał inne palce, ludzi, którzy walczyli u jego boku, którzy pewnego dnia mogli uratować mu życie albo stać się jego najlepszymi pięściami, gdy już będzie filarem.

Jego wujek nie musiałby nawet o tym pomyśleć. Na tym właśnie polegał największy talent Kaul Hila. Wystarczała mu zwyczajna rozmowa, by zdobyć czyjąś lojalność na całe życie. A matka Nika nie musiałaby pytać o imię bratanicy Sima. Zapamiętałaby datę jej urodzin i w przyszłym roku wysłałaby jej koszulkę Duchów Janloonu. Natomiast Ru i Jaya z łatwością wymyśliliby coś, co mogliby powiedzieć.

Dla Nika takie zachowanie nie było czymś naturalnym. Nawiazywanie kontaktu z ludźmi, wpływanie na nich i rozkazywanie im. Na ogół wolał być sam, a najbardziej nie lubił, gdy wypychano go na środek sceny. Ufanie innym i zdobywanie ich zaufania sprawiało mu trudności. Nawiazał bliską przyjaźń z bliźniakami Juenów i ze swym kuzynem Maik Camem, nie sądził też, by odnosił się do innych wrogo, ale wielu kolegów ze szkoły czy palców, którzy w ostatnich latach próbowali się do niego zbliżyć, przekonało się, że to trudne zadanie. Mera była tylko ostatnim przykładem.

Kilka dni po tym, jak filar ukarał go za to, że nie chciał pojedynekować się z Kitu, zaprosił go na śniadanie, tylko we dwóch. Hilo uspokoił się już nieco i chciał porozmawiać.

Hilo zaczął z westchnieniem:

– Traktuję cię surowo tylko dlatego, że cię kocham. Chciałbym, żebyś był lepiej przygotowany ode mnie, gdy nadejdzie chwila, byś objął przewodnictwo nad klanem. Wszystko, co robisz teraz, nawet jako palec, jest częścią obrazu, jaki musisz stworzyć dla siebie i dla rodziny.

Niko nie wspomniał wujkowi o tym, że wygląda na to, że ten obraz jest już niemal całkowicie gotowy, a on musi się tylko do niego dopasować. Czasami, ku swemu zawstydzeniu, łapał się na tym, że zazdrości Ru, że urodził się kamiennookim, a Jai tego, że jest dziewczyną. Oni przynajmniej mieli inne opcje. Jemu nie pozostawiono wyboru. Nie odważył się jednak przyznać do tego wujkowi.

Lott Jin zerknął na zegarek i skrzywił się z niezadowoleniem. Każdy, kto służył pod rozkazami Juen Nu, był przyzwyczajony do punktualności. Niko przyglądał się pierwszej pięści, zastanawiając się interesownie, co uczyniło go wyjątkowym, pozwoliło wspiąć się wyżej niż setki innych wojowników w klanie. Jadeitowe talenty były tylko częścią odpowiedzi na to pytanie. Lott z pewnością był silną zieloną kością, a jego umiejętność rzucania nożami stała się legendarna, lecz w klanie byli inni równie biegli wojownicy. Być może nawet bieglejsi. Lott nie był też najbardziej lubiany ze wszystkich wysokich rangą pięści. Chwilami popadał w pesymistyczny, wojowniczy nastrój, jego krytyczne uwagi bywały pełne pogardy, a pochwał udzielał rzadko. Niemniej coś w nim przed laty przyciągnęło uwagę filaru. Niko poszukał właściwego słowa. Determinacja. Całe życie Lott Jina opierało się na roli zielonej kości z klanu Bez Szczytów. Niektórzy ludzie po prostu kierowali się swymi skłonnościami, ale inni decydowali, kim chcą być, i nadawali sobie odpowiedni kształt.

Trzy motocykle torroyo RP800 przejechały przez rybią głowę i zaparkowały wokół lumezzy. Pięść z Góry zsiadł z pierwszej z maszyn i podszedł do Lott Jina. Gdy Niko opuścił samochód, przeszło go nieprzyjemne ukłucie rozpoznania. Minęło kilka lat, odkąd zobaczył Ayt Atosha na własne oczy, choć kilka razy widywał go później w telewizji. W ostatnich latach Atosho na dobre stał się przystojny, jak gliniana figurka po wypaleniu. Szereg jadeitowych paciorków wszczepionych nad obiema brwiami przyciągał uwagę do oczu o opadających powiekach. Miał na sobie tradycyjną, obcisłą kamizelkę, a pod nią jaskrawoczerwoną koszulę z jadeitowymi spinkami. Ayt Ato był chodzącym wzorem mody miejskich zielonych kości.

Niko słyszał, jak żartowano, że każda kobieta w Górze kocha się w młodym następcy. Niestety dla nich Ayt Mada kategorycznie zabroniła dwudziestosiedmioletniemu bratankowi wchodzenia w jakiegokolwiek związku, dopóki nie ukończy studiów. Pracował nad tym już od sześciu lat, uczęszczając na uniwersyteckie kursy w niepełnym wymiarze godzin.

– Lott-jen! – zawołał Ayt Ato, podchodząc do nich. – Słyszałem, że niedługo zostaniesz rogiem klanu Bez Szczytów.

– Decyzja należy do filaru – odparł Lott.

Przed laty członkowie Góry zamordowali jego ojca i ucięli mu głowę. Konieczność zmuszała go do współpracy z ludźmi z przeciwnej strony, ale nigdy nie okazywał przyjaźni nikomu z Góry.

Ayt Ato przeniósł spojrzenie na Nika.

– Kaul-jen – rzekł.

Jego aura kłóciła się z demonstrowaną na zewnątrz pewnością siebie. Była ciasna i ostrożna, niczym płaszcz osłaniający ramiona.

– Ayt-jen – odparł Niko.

Po raz pierwszy obaj spojrzeli sobie prosto w oczy i zamienili choć słowo. Ta scena była naznaczona dziwną niepewnością. Niko nagle zdał sobie sprawę z obecności otaczających go jadeitowych aur, wywierających nacisk na jego Postrzeganie. Pomyślał, że powinien zrobić coś subtelnego, ale świadczącego o wielkiej mocy, żeby zademonstrować, że jest równy rywalowi, którego nigdy nie spotkał i o którego nigdy nie prosił. Być może byłoby mu łatwiej, gdyby potrafił wzbudzić w sobie osobistą nienawiść do niego, lecz było go stać jedynie na nieokreśloną niechęć do faktu, że ktoś taki istnieje. Potrafił myśleć jedynie o tym, że jest młodszy, nosi mniej jadeitu, nie jest tak dobrze ubrany, a do tego jest tylko wykonującym rozkazy palcem, a nie dowódcą wojowników.

Ayt Ato przerwał krępujące milczenie, przedstawiając towarzyszące mu zielone kości.

– To jest Koben Ashi – oznajmił, wskazując na wyższego z nich. – Syn nieżyjącego Koben Yira. – A to Sando Kin.

Kolejny członek rodziny Kobenów, ożeniony z siostrą matki Ata.

Lott krótko przedstawił ludzi z klanu Bez Szczytów, a potem potwierdził szczegóły misji i oficjalnie poprosił o pozwolenie wejścia na terytorium Góry. Ayt Ato mu go udzielił.

– Zatem ruszamy? – zapytał, zerkając na Nika.

Zielone kości z Góry wsiadły na motocykle, by eskortować lumezzę do Kikuta. Siedzący za kierownicą Lott obejrzał się na Nika, być może wyczuwając niepokój w jego aurze.

– Nie wiedziałem, że to będzie Ayt Ato i Kobenowie – oznajmił.

– Nieważne – odparł zbyt szybko Niko.

Lott zmarszczył brwi, choć z odrobiną współczucia.

– Masz rację, to nieważne. Dlatego nie bierz tego do siebie. Dzisiaj wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

Niko doszedł do wniosku, że to вина jego wujka. Nie spotkanie z Ayt Atem, ale fakt, że w ogóle znalazł się w tej sytuacji. Filar rozkazał Juenowi i Lottowi dać mu więcej okazji na zdobycie zieleni i udowodnienie swej wartości. Niko dotknął pistoletu i karambita, a potem paciorków w jadeitowym naszyjniku. Nie znosił niespodzianek, zmuszających go do szybkiego podejmowania decyzji. Wolał mieć czas na zastanowienie, czasami dość długi.

Pod adresem na ulicy Banya znaleźli salę bilardową wciśniętą między zakład fryzjerski a wypożyczalnię kaset wideo z filmami dla dorosłych. Nad zaciemnionymi oknami migał czerwony neon z napisem „Noce na Tialuhii”.

– Przygotujcie się – rozkazał Lott, po czym z rykiem silnika zatrzymał samochód przy wyjściu.

Ayt Ato i jego kuzyni wjechali na motocyklach do wąskiego zaułka za tylnymi drzwiami. Dwaj ochroniarze stojący na ulicy natychmiast wpadli do środka, jak króliki czmychające do nory. Gdy tylko ludzie z klanu Bez Szczytów wyskoczyli z samochodów, przywitała ich salwa. Kule rozbijały szyby wychodzących na ulicę okien, a gapie uciekali z krzykiem, szukając schronienia.

Niko przykucnął, odruchowo osłaniając się Odbijaniem. Jego osłona zderzyła się z falą wypuszczoną przez Kenja. Ich interferencja spowodowała skierowaną ku górze eksplozję mocy. Porwane nią pociski pomknęły ku niebu, zrywając pranie ze sznurków rozwieszonych między balkonami w wąskiej uliczce. Zbłąkana kula rozbiła jedno z tylnych świateł lumenty.

– Jebane sucze syny – warknął Lott Jin i rzucił potężne Odbijanie, które przemknęło przez wybite okna, ciskając do środka wir odprysków szkła.

Obaj widoczni strzelcy padli na podłogę, a Lott rzucił sześć noży jeden po drugim, opróżniając przypiętą do krzyża pochwę.

Niko wpadł do środka razem z pozostałymi palcami, podążając tuż za Lottem. Jeden ze strzelających mężczyzn już nie żył. Z jego ciała sterczały dwa noże – jeden z gardła, a drugi z lewego oczodołu. Jego kumpel leżał na podłodze i charczał, zaciskając dłonie na wąskim sztylcie wbitym w pierś. Kenjo trącił stopą jego głowę, by przyjrzeć się twarzy, a potem strzelił mu między oczy. Żaden z nich nie był którymś z handlarzy bronią przedstawionych na fotografiach.

Kilkanaście osób kuliło się pod ścianami albo schowało się pod stoły bilardowe. Byli wśród nich barman i dwaj pracownicy lokalu. Ich gęsty, kwaśny strach przeciągał Postrzeganie Nika, przyspieszając wydzielanie adrenaliny. W tych gęstych oparach nie wyczuwał jednak morderczych zamiarów.

– Wszyscy zostać na miejscach! – zawołał Sim. – Nie wchodźcie nam w drogę, a nic wam się nie stanie.

Kenjo przechylił głowę.

– Z tyłu.

– Niko, idź przodem – rozkazał Lott.

Niko przełknął ślinę, wyciągnął karambit i ruszył szybko, ale ostrożnie, ku tyłowi budynku. Potłuczone szkło chrzęściło pod jego butami. Lott szedł tuż za nim, a Kenjo i Sim po jego bokach, lecz mimo to czuł się jak siedzący z tyłu klasy uczniów, którego nagle wywołano do tablicy, by sam odpowiedział na pytanie. Klejnoty wprawione w rękojeść noża wypełniały mu ciało gorącą i gęstą jadeitową energią. Czuł, jak jej strumienie krążą w brzuchu, spływają wzdłuż kończyn i docierają do głowy. Energia czaiła się, gotowa osłonić go Stalą bądź Odbijaniem albo rzucić do ataku Siłę i Lekkość. Postrzeganie było jego najsłabszą dyscypliną, ale skierował je przed siebie i wykrył czterech mężczyzn

ukrywających się za zamkniętymi drzwiami. Ich jadeitowe aury płonęły gorącym, żądnym mordu szkarłatem.

Napreżył mięśnie. Teraz. Ruszaj.

Przed nim eksplodował ogłuszający trzask. Rzucił się naprzód i kopnął drzwi. Rozszczepiły się pod wpływem jego Siły. W pierwszej chwili widział tylko zamazaną plamę walki – ogień pistoletów i jaskrawe jadeitowe aury. Jakiś mężczyzna biegł ku niemu z szaleństwem w oczach, unosząc broń. Nim Niko zdążył zareagować, głowę napastnika przeszła kula, tworząc otwór wylotowy pośrodku czoła. Mężczyzna runął na podłogę.

Lott odepchnął Nika na bok jednym przedramieniem – żeby go chronić albo po prostu dlatego, że stał mu na drodze. Pierwsza pięść rozejrzał się po pokoju, unosząc trzymanego w drugiej ręce ankeva. Jego jadeitowa aura płonęła niczym podpalona benzyna.

Po chwili opuścił broń i wszedł do środka.

Niko odsunął się od ściany. Strzały umilkły. Jedynym słyszalnym dźwiękiem były zwierzęce jęki leżącego na podłodze mężczyzny, trzymającego się obiema rękami za brzuch. Trzej pozostali również leżeli. Dwóch z nich nie żyło. Ayt Ato i jego kuzyni chodzili po pokoju. Sando Kin krzywił się z bólu, trzymając się za krwawiące ramię, ale rana nie wyglądała na poważną. Przez tylne drzwi, wyrwane przez Kobenów z zawiasów, wpadał do środka powiew z zaułka, powoli rozpraszający swąd prochu.

Koben Ashi spojrział na makabryczną scenę, wzruszył ramionami i uśmiechnął się drwiąco do zielonych kości z klanu Bez Szczytów.

– Następnym razem postaramy się zostawić kilku dla was – rzucił.

– Załatwiliśmy tych śmieci na ulicy, zarozumiały głąbie – odparł Sim, ale w jego słowach nie było złości i obaj mężczyźni się roześmiali. Niko stał jak sparaliżowany, nadal ściskając w dłoni karambit.

W pokoju były sterty plastikowych pojemników, dystrybutor wody oraz faks. Na stole leżała otwarta aktówka, a także kilka plików banknotów. Część z nich rozsypała się podczas walki. Na podłodze stały trzy metalowe skrzynki. Lott postawił jedną z nich na stole i wyłamał zamek. Kenjo zajrzał do środka nad jego ramieniem i mruknął z uznaniem. W środku były dwa starannie zapakowane fullertony P1 z zapasowymi magazynkami i amunicją.

Ayt Ato zauważył spojrzenie Nika.

– Kaul-jen, czy zechcesz nam powiedzieć, których z tych ludzi szukamy? – zapytał, wskazując leżących na podłodze mężczyzn.

Lott przymrużył powieki, słysząc protekcyjalny ton pięści Góry, ale Niko to zignorował. Przyjrzał się uważnie twarzom, porównując je z tymi, które widział na zdjęciach.

– Tych dwóch – odpowiedział.

Jeden z poszukiwanych już nie żył. W pierwszej chwili trudno go było poznać, ponieważ ogolił sobie głowę, a część żuchwy odstrzelił mu pocisk. Drugim handlarzem był postrzelony w brzuch Uwiwanin, który leżał, jęcząc, na podłodze.

– Zdechnijcie w cierpieniach, nędzne, skurwysyńskie psy – wycharczał, próbując usiąść. – Niech piekło was zajebie.

Przeklinał ich po kekońsku i po uwiwańsku, używając wszystkich obelg, jakie znał w obu językach. Na jego koszuli i spodniach rosła plama krwi. Ayt Ato odsunął się od czerwonej kałuży rozlewającej się na betonie, nie chcąc poplamiać eleganckich czarnych butów, po czym skinął na swego kuzyna, Koben Ashiego, który pochylił się i poderżnął karambitem gardło rannemu.

– To nie jest takie trudne, jeśli współpracujemy ze sobą – stwierdził Ayt Ato, zwracając się w stronę Nika. – Kto powiedział, że musimy podążać za przykładem starszych?

W jego przykuwających uwagę oczach nie widziało się fałszu, choć kąciki kształtnych ust unosiły się lekko w zaciekawieniu.

Niko odprowadzał go spojrzeniem, kiedy Ato wyszedł z budynku na spotkanie z policją, która zjawiała się w umówionym czasie, by nie przeszkadzać podczas walki, ale zdążyć zabezpieczyć miejsce akcji i aresztować ocalałych współników. Dziennikarze w należących do mediów furgonetkach zjawili się dosłownie sekundy po nich. Tłoczyli się wokół zielonych kości z Góry, robili im zdjęcia i kręcili filmy pokazujące, jak skonfiskowane pieniądze i broń przekazuje się policji.

Kilku reporterów zauważyło ludzi z klanu Bez Szczytów wychodzących z sali i podbiegło do nich, pragnąc być pierwszymi, którzy złapią Ayt Ata i Kaul Nika na tym samym zdjęciu. Lott Jin obrzucił ich ostrzegawczym spojrzeniem.

– Nie ma szans – warknął. – Chyba że omówicie najpierw sprawę z filarem klanu Bez Szczytów.

Wycofali się. Powszechnie wiadano, że Kaul Hilo nie znosił, jak przedstawiciele mediów okazują zainteresowanie komuś z jego rodziny – zwłaszcza Wen i Ru, ze względów bezpieczeństwa, ale również pozostałym. Uważał dziennikarzy za pasożytów i gardził Kobenami za to, że im schlebiają.

– Chodźmy – rozkazał swym ludziom Lott. – Nie mamy tu już nic do roboty.

– To my znaleźliśmy tych skurczybyków, a teraz cała zasługa ma przypaść Górze? – poskarżył się Kenjo. – Ayt Ato chyba nawet nie wyciągnął broni. I co z tego mamy?

Lott obrzucił palec złowrogim spojrzeniem.

– Nie pozwoliliśmy, by zagraniczni handlarze bronią sprzedali fullertony bezklanowej hołocie. Zapomniałeś, że ekstremiściomal nie zabili filaru i nadal chcą zniszczyć nasz kraj? Dzisiaj pomogliśmy Górze w Kikucie, a w przyszłości Aben Soro pomoże nam na naszym terytorium. Pamiętasz, co to znaczy być zieloną kością? A może myślisz, że jesteśmy tu tylko po to, żeby pokazali nas w telewizji?

Zawstydzony Kenjo opuścił wzrok.

– Wybacz, Lott-jen. Byłem samolubny.

Lott przeniósł spojrzenie na Nika.

– Nie przejmuj się tym, co się wydarzyło. Będziesz miał jeszcze wiele szans.

Niko wolałby, żeby Lott się nie odzywał. Uświadomił sobie jednak, że to prawda, a nie tylko wytwór jego wyobraźni. Wszyscy naprawdę chcieli, żeby wyróżnił się w akcji, zrobił takie wrażenie jak Ayt Ato. Dzisiejszy wieczór był chwilą, w której mógł poprawić swą reputację po incydencie z Kitu, ale nic z tego nie wyszło.

Przybyły trzy inne zielone kości z Góry, by udzielić wsparcia Kobenom, którzy zatrzymali sześciu cywilów. Czterej mężczyźni i dwie kobiety klęczeli na usianej odłamkami szkła podłodze sali bilardowej. Byli wśród nich barman i dwoje pracowników. Niektórzy płakali i błagali zielone kości o zmiłowanie, inni zaś milczeli zrezygnowani, pochylając głowy. Sando Kin, któremu założono już prowizoryczny bandaż na zranioną rękę, wyszedł z sąsiedniego zakładu fryzjerskiego, wlokąc za sobą sprzeciwiającego się głośno fryzjera. Kazał mu usiąść na chodniku obok pozostałych.

Ayt Ato przerwał rozmowę z dziennikarzami, ale obejrzał się, by się upewnić, że nadal go obserwują, gdy szedł wzdłuż szeregu klęczących Uwiwan. Przyglądał się z ciekawością i rozczarowaniem ich przerażonym twarzom. Wreszcie się zatrzymał.

– Wszyscy pracowaliście w sali bilardowej albo w jej sąsiedztwie – oznajmił głośno i wyraźnie. – Wiedzieliście, że ludzie, którzy dzisiaj się tu zebrali, byli kryminalistami i wrogami klanu. Jeśli temu zaprzeczycie, każda zielona kość Postrzeże, że kłamiecie.

Policyjny tłumacz przełożył słowa pięści na uwiwański. Mówił przez megafon, żeby usłyszeli go mieszkańcy sąsiednich domów oraz gapie.

– Mogliście o tym poinformować dowolny palec, ale woleliście ukrywać bezklanowe psy w swojej dzielnicy. Nie jesteście na Uwiwach, gdzie panuje bezprawie i takie czyny uchodzą bezkarnie.

– Zaczyna się przedstawienie – mruknął Lott.

Podszedł do lumenty, przyjrzał się potłuczonemu tylnemu światłu i splunął z niesmakiem na ziemię, po czym wsiadł do samochodu. Sim i Kenjo zrobili to

samo.

– Elementy ekstremistyczne są jak komórki rakowe w ciele. Trzeba je zidentyfikować i usunąć, a tych, którzy karmili raka, pociągnąć do odpowiedzialności.

Ato z pewnością pilnie uczył się retoryki, był bowiem prawie równie dobrym mówcą, jak jego ciotka Mada. Na jego gładkiej twarzy malowały się spokój i determinacja. Oczy i kamery zebranych śledziły go z uwagą. Wcześniej po południu Niko pragnął znaleźć jakiś powód, by poczuć do niego większą niechęć. Teraz stało się to łatwiejsze.

– Jeśli popełniłem przestępstwo przeciwko klanowi, utnę sobie ucho i do końca życia będę nosił haniebną bliznę – kontynuował Ato. – Każdy, kto wspiera antyklanową działalność, czynnie bądź biernie, powinien codziennie pokazywać swym sąsiadom znak hańby, by nie mógł zapomnieć, że musi starać się o poprawę swego zachowania.

Koben Ashi trzymał w dłoni krótką stalową rurę. Gdy policyjny tłumacz powtórzył słowa Ayt Ata po uwiwańsku, Koben zapalił palnik butanowy i przystawił koniec rury do płomienia, aż metal rozgrzał się do czerwoności. Sando Kin unieruchomił wyrywającego się, wytrzeszczającego oczy właściciela zakładu fryzjerskiego, a Koben przycisnął koniec rury do jego policzka. Mężczyzna zawył tak głośno, że obudziłby nawet umarłych. Nozdrza Nika wypełniła przyprawiająca o mdłości woń przypalonego mięsa. Gdy Sando zwolnił uścisk, fryzjer padł na ziemię, zwijając się z bólu. Na jego twarzy widniał wypalony okrąg. Koben Ashi ponownie rozgrzał koniec rury i przeszedł do następnej ofiary.

Niko otworzył drzwi po stronie pasażera i wsiadł do lumezzy. Lott Jin zaciskał dłonie na kierownicy tak mocno, że zbieleły mu kostki. Jego twarz zmieniła się w pozbawioną wyrazu maskę. Pierwsza pięść był dzielnym wojownikiem, ale tracił równowagę na widok okrucieństwa wobec bezsilnych. Niko słyszał pogłoski, że kiedyś pobił drugą pięść za to, że ten kopnął psa. Lott zapalił silnik i włączył bieg, a potem zaklął, widząc, że będzie zmuszony omijać inne stojące na ulicy pojazdy.

Kilku reporterów podbiegło do lumezzy.

– Kaul-jen! – zawołał jeden z nich, zwracając się do Nika. – Czy twoja rodzina pójdzie za przykładem Góry i zacznie piętnować zwolenników bezklanowych złapanych na terytorium klanu Bez Szczytów?

– Nie odpowiadaj na to pytanie – rozkazał Nikowi Lott, który zdołał wreszcie wyprowadzić samochód na wolną przestrzeń i zjechać z ulicy Banya. Nacisnął pedał gazu i ruszył pośpiesznie w stronę terytorium klanu Bez Szczytów. – Tylko

czterem osobom wolno wygłaszać publiczne oświadczenia w imieniu klanu: filarowi, prognostyczce, rogowi i dawcy pieczęci. Nie jesteś jedną z tych osób.

– Ayt Ato też nie – zauważył Niko.

Był zły, ale ta złość nie miała określonego celu, była jak pestka w żołądku otoczona zieloną skorupą jego osobowości, wypełnioną teraz czarnym zwątpieniem.

Lott Jin prychnął pogardliwie.

– Ayt Ato nosi swoje nazwisko niczym koronę. Zachowuje się, jakby był księciem rodziny Kobenów. Księciem stada małą.

Niko nie powiedział już nic więcej. Tak jest, o to właśnie chodzi. Ayt Ato wie, że jest księciem, a ja nie, pomyślał jednak, czując nagłe olśnienie. Lott Jin i Ayt Ato mieli jedną ważną wspólną cechę. Wiedzieli, kim powinni być.

Niko taki nie był. Miał za dużo pytań, dostrzegał zbyt wiele spraw, które wypełniały go niepewnością. Nie uważał, by miał jakiegokolwiek kwalifikacje na przyszły filar klanu Bez Szczytów, pomijając krew płynącą w jego żyłach. Nie czuł się też zobowiązany do zaakceptowania tego przeznaczenia. Każdy kto miał choć odrobinę rozumu, uświadomiłby sobie, że pochodzenie to za mało. Często zadawał sobie pytanie, czego nie wie, co umyka jego uwagi, jakie inne możliwości czekają za drzwiami, które przed nim zamknięto, gdy był jeszcze zbyt młody, by wiedzieć o ich istnieniu.

Oparł głowę o okno i obserwował ulice Janloonu z nieokreśloną, lecz intensywną ciekawością oraz cichą, pełną urazy desperacją.

ROZDZIAŁ 32

ZMIANY

Dziewiętnasty rok, ósmy miesiąc

W Świątyni Boskiego Powrotu było mnóstwo ludzi, niemal wyłącznie zielonych kości z Góry. Wszystkie poduszki były już zajęte, więc Shae wsunęła się do ostatniego rzędu i uklękła na podłodze. Założyła letni kapelusz z szerokim rondem i ciemne okulary, więc klęczący obok członkowie Góry niskiej rangi jej nie poznali. Było tu tyle jadeitowych aur, że mogła mieć nadzieję, iż jedna więcej pozostanie niezauważona. Nad szeregami głów zauważyła klęczącą na samym przodzie Ayt Madashi. Gdy spojrzenie Shae padło na jej plecy, filar Góry odwróciła się powoli i spojrzała na szeregi twarzy za sobą. Być może Shae tylko sobie wyobrażała, że Ayt Postrzegła ją już w chwili wejścia, a teraz próbowała ją wypatrzeć w ciemnych zakamarkach świątyni, w której spotkały się przed laty. Ayt pokryła twarz białym pudrem i założyła białą jedwabną apaszkę, by ukryć paskudną bliznę po ranie zadanej jej podczas zamachu.

Filar Góry odwróciła się i przyłączyła do melorecytacji pokutników.

Shae razem ze wszystkimi obecnymi szeptała cytaty z Księgi Powrotu, obiecujące, że cnotliwe dusze pewnego dnia wzniosą się do poziomu boskości i połączą ze swymi kuzynami w niebie.

Być może nie powinna tu przychodzić. Nie była członkiem Góry ani nawet obcą osobą pragnącą oddać szacunek zmarłemu. Nie знаła Nau Suenzena i nie darzyła go miłością. Byli wrogami i z chęcią wysłałaby go do życia przyszłego, gdyby nadarzyła się okazja, dopóki był rogiem. Nau Suen nie był przykładem czterech Boskich Cnót – pokory, współczucia, odwagi i dobroci. Przez pięćdziesiąt lat był najbardziej lojalnym i najsprytniejszym skrytobójcą służącym Aytom. Podrzynał gardła szotarskim generałom, wykończył też brata Ayt Mady

Eoda oraz wszystkich mężczyzn z rodziny Venów. Shae była również pewna, że zamordował kanclerza Son Tomarha. A po tym wszystkim przeszedł w stan spoczynku i zamiast zginąć od klingi, umarł we śnie w wieku siedemdziesięciu lat z powodu choroby układu oddechowego. Jego śmierć była spokojna, mimo że gwałtownie zakończył życie tak wielu ludzi.

Shae nie była pewna, czy Nau Suen zasłużył na modlitwy, ale z drugiej strony nie miała pojęcia, kto mógłby na nie zasługiwać. Modliła się o dusze ludzi takich jak jej dziadek, Yun Dorupon i Maik Kehn. Z pewnością gdyby w tej trumnie leżeli ona albo Hilo, znaleźliby się ludzie, którzy by uznali, że oni również nie zasługują na uznanie bogów, tak samo jak Nau Suen. Mimo że Nau był jej wrogiem, nie potrafiła zapomnieć wyrazu jego starych oczu tego popołudnia w mieszkaniu Andena, gdy unosił Ayt Madę w swych chudych ramionach. Nigdy dotąd też nie widziała, by filar Góry była pokłony w świątyni, a dzisiaj dotykała czołem podłogi, gdy tylko pokutnicy podnosili głosy.

Mam nadzieję, że cierpisz. Myśl, że Ayt może czuć żałobę i że opłakuje teraz śmierć przyjaciela, sprawiała Shae okrutną przyjemność. W przeciwnym razie to nie byłoby sprawiedliwe i przywrócenie równowagi między nimi nigdy nie będzie możliwe.

– Niech bogowie obdarzą go uznaniem – powtórzyła szeptem razem ze wszystkimi.

Czemu mieliby tego nie zrobić? W dzień Powrotu nie będą w stanie oddzielić ludzi zasługujących na uznanie od tych, którzy na nie nie zasługują, nie rozdzielając przy tym rodzin. Powinni obdarzyć nim wszystkich, bez względu na ich wady i braki w boskich cnotach. Albo nie obdarzyć nim nikogo.

Shae wstała i opuściła świątynię na samym końcu tłumu żałobników. Dziesiątki samochodów zajmowały cały parking i wszystkie dostępne miejsca na ulicach. Prywatni kierowcy i taksówkarze podjeżdżali do samego wyjścia. Shae oddaliła się od tego miejsca i stanęła na rogu ulicy, obserwując uważnie. Choć śmierć Nau Suena nie była spektakularna, przyciągnęła uwagę mediów. Dziennikarze i kamerzyści czekali na zewnątrz, wachlując się w parnym upale. Czekali, aż najważniejsi członkowie Góry opuszczą świątynię.

Nagle przerwali rozmowy i znieruchomieli. Ayt Ato wyszedł ze świątyni w towarzystwie grupki krewnych. Członkowie klanu oddawali mu honory i podchodzili bliżej, by złożyć kondolencje, mimo że nic właściwie go nie łączyło ze zmarłym. Kiedy Nau przeszedł w stan spoczynku, Ayt Ato uczył się jeszcze w szkole Wie Lona i nawet nie był palcem.

Jest młody, pomyślała Shae, ale nagle przypomniała sobie, że była w tym samym wieku, gdy została prognostyczką klanu Bez Szczytów.

Jeden z dziennikarzy zadał Aytowi pytanie, a kamerzyści zrobili zbliżenie na atrakcyjną twarz pięści.

– Nau Suenzen był dla mnie wzorem, niemalże drugim dziadkiem – wyznał Ayt. – Aż do końca życia wypełniała go energia i siła woli. Był zielony w ciele i na duszy jak sam Baijen.

Ze świątyni wyszła Ayt Mada. Filar Góry jak zawsze trzymała się prosto i robiła imponujące wrażenie, ale chodziła już wolniej niż kiedyś. Shae zadawała sobie pytanie, czy to skutek żałoby, czy może nóż córki Vena wywołał jakieś nieusuwalne uszkodzenia, których Ayt nigdy nie zademonstruje publicznie. Opuściła rondo kapelusza. Co prawda nie powstrzymałoby to zmysłu Postrzegania drugiej kobiety, ale Ayt nawet nie zerknęła w jej stronę. Zignorowała też wszystkich klanowych lojalistów, którzy tłoczyli się, by okazać jej szacunek i złożyć kondolencje. Obrzuciła pogardliwym spojrzeniem scenę rozgrywającą się wokół Ayt Ata i warknęła pod nosem parę słów – za cicho, by Shae mogła je zrozumieć.

Młody mężczyzna zeszywniał. Prognostyczka nie widziała wyrazu jego twarzy. Odwrócił się od dziennikarzy i posłusznie podążył za ciotką do czekających na nich samochodów. Aben Soro poruszył nagle głową, dając znak dwóm swoim zielonym kościom, które uprzejmie, ale stanowczo rozproszyły dziennikarzy. Ayt Mada zajęła miejsce z przodu swego srebrnego stravaconi primus S6. Ato usiadł z tyłu. Po paru minutach tłum czekający przed wejściem do świątyni zniknął, pozostawiając tylko typowy dla letniego popołudnia ruch przechodniów wypełniających ulicę nadal zaśmieconą pozostałościami po zeszłotygodniowej paradzie i sztucznych ogniach. Dzień Bohaterów, naprawdę odpowiednia chwila, by opuścić ten świat, dla starego wojennego bohatera, jakim był Nau Suen.

Shae zatrzymała taksówkę i kazała się zawieźć do posiadłości Kaulów. Zastanawiała się, czy Ayt Mada skarciła bratanka dlatego, że uważała jego zachowanie za płytkie i niegodne przyszłego filaru. Ayt umiała wykorzystywać media, przekazywała im informacje korzystne dla Góry i szkodliwe dla jej wrogów, ale nie podlizywała się dziennikarzom ani nie wciskała im pustych frazesów.

Natomiast Kobenowie nie mieli żadnych zahamowań przed występowaniem w talk-show i wyszukiwaniem okazji, by zrobić sobie zdjęcia. Ci, którzy wierzyli, że fortuna odwróci się od tej rodziny po śmierci przesadnie szczerego Koben Yira, nie wzięli pod uwagę wdowy, która wykorzystwała męczeńską śmierć męża, by przyciągnąć do siebie uwagę i zdobyć miejsce w Radzie Książęcej.

– Pociesza mnie myśl, że Ayt Mada zapewne nie znosi Koben Tin Bett równie serdecznie jak ja – zauważyła Wen zaskakująco jadowitym tonem, gdy

dowiedziała się o jej wyborczym zwycięstwie.

Shae nie uważała za prawdopodobne, by Ayt Mada mogła zazdrościć Kobenom popularności bądź czuć się zagrożona z jej powodu. Żaden z nich nie mógł się równać z nią talentami ani sławą wśród zielonych kości. Ale z drugiej strony zapewne nie zapomniła, że gdy wszyscy w mieście myśleli, że zginęła, Kobenowie wygłosili oświadczenie, nim jeszcze odnaleziono ciało.

Taksówka podjechała pod bramy posiadłości. Gdy Shae weszła do Domu Prognostyka, Tia padła jej w ramiona i usmarowała farbą do malowania palcami jej bluzkę i spódnicę.

– Mama, wróciłaś! Maluję z tatą obrazki!

Shae pozwoliła, by córka zaprowadziła ją do kuchni. Całe rolki papieru afiszowego rozwinięto i przyklejono taśmą do blatu. Wielobarwne odciski dłoni dziecięcych i znacznie większych, dorosłych – przerobiono na motyle, ptaki i inne zwierzęta.

– Te małe są moje, a te duże taty – wyjaśniła Tia.

– A ja się zastanawiałam, dlaczego dłonie ci tak urosły – zażartowała Shae.

– Głupia mama. – Dziewczynka się roześmiała. – Jaya mówi, że nie jesteś zabawna, ale ja myślę, że jesteś.

Woon podszedł do Shae i potrząsnął głową na widok jej usmarowanego farbą ubrania.

– To zmywalna farba – uspokoił ją. – Pomyślałem sobie, że prosiaczka i tak trzeba będzie wykąpać przed kolacją.

Woon przeszedł w zeszłym roku w stan spoczynku, przekazując pozycję dawcy pieczęci Terun Binowi. Shae martwiła się, że jej mąż popełnił błąd. Nie potrafiła uwierzyć, że mężczyzna, który był dotąd jedną z najwyższych rangą zielonych kości na Statkowej, będzie czuł się szczęśliwy, malując palcami z pięciolatką i robiąc jej śniadanie. Woon był jednak przekonany, że postępuje słusznie.

– Spędziłem wiele lat, wykonując rozkazy małej, twardej kobiety i zajmując się z pozoru nieistotnymi szczegółami – przypomniał jej. – Mam w tym doświadczenie.

– To niesprawiedliwe – sprzeciwiła się. – Wcale nie jestem mała.

W gruncie rzeczy czuła się zazdrosna o czas, który jej mąż i córka spędzali tylko we dwoje. Woon bardzo długo nie mógł doczekać się dziecka i czuł się zachwycony, że został ojcem. W przeciwieństwie do Hila nie wrócił też w pełni do zdrowia po zamachu bombowym. Nie słyszał na jedno ucho i lekko utykał. Shae wiedziała, że rani to jego dumę, nawet jeśli sprawiał wrażenie skromnego człowieka o stoickim podejściu do życia. Z pewnością to również wpłynęło na jego decyzję o przedwczesnym wycofaniu się z klanowej działalności.

Nie przestał jednak pilnie obserwować wydarzeń dotyczących klanu i często rozmawiał o nich z żoną.

– Słyszałaś o Konwencji Lybońskiej?

Nie czekając na jej odpowiedź, złapał pilota i włączył telewizor w salonie. Komentatorzy z KSP dyskutowali o zawarciu bezprecedensowej umowy międzynarodowej, określającej etyczne granice militarnego wykorzystania bioenergetycznego jadeitu. Osiemdziesiąt pięć państw, pod przewodnictwem Republiki Espenii, w tym również Kekon, wysłało swych przedstawicieli na obrady do Stepenlandu, by potępić bezprawne programy hodowli ludzi, obozy wojskowe dla dzieci, wymuszanie uzależnienia oraz przymusowe połykanie jadeitowego proszku.

Shae zmoczyła ścierkę do wycierania naczyń i starła farbę z rączek Tii, nie przestając oglądać wiadomości. Konwencja Lybońska była owocem szczegółowego raportu o ygutańskim projekcie tworzenia nekolwów, ogłoszonego w zeszłym roku przez espeńską armię. Raport opierał się przede wszystkim na relacjach zbiegłych z kraju Ygutańczyków, przede wszystkim byłego nekolwy, znanego tylko jako „Agent M”.

– A więc RE przekonała większą część świata, by nałożyła sankcje na jej wrogów – stwierdziła Shae.

Woon ostrożnie zdjął malowidła córki z kuchennego stołu i odłożył je na bok, żeby wyschły.

– Koniec hodowli nekolwów to bardzo dobra wiadomość. – Już od lat na wyspie krążyły pogłoski o kobietach z abukejskich plemion albo po prostu z biednych okolic kraju, podstępem wywożonych do Oriusa, gdzie zmuszano je do surogacji. – Ale Espeńczycy odmawiają Kekonowi sprawiedliwości.

– To coś, do czego nigdy się nie przyznają – odparła z goryczą Shae. – A nam brakuje wystarczających dowodów.

Choć powszechnie wierzono, że zamach w Janloonie umożliwiło zagraniczne wsparcie, nikt z klanów ani policji nie odkrył niezbitych dowodów na uczestnictwo Ygutanu. Nie zdołano też odnaleźć prawdziwych sprawców. Kilku członków Ruchu Bezklanowa Przyszłość zeznało na przesłuchaniach, że główną postacią w organizacji był cudzoziemiec nazwiskiem Molovni, ale jeśli ten człowiek rzeczywiście istniał, ulotnił się niczym duch.

Shae była przekonana, że Molovni nie zniknął bez śladu. Espeńczycy pojмали go albo zaproponowali mu azyl w zamian za współpracę. Molovni albo „Agent M”, bo pod tym bezosobowym kryptonimem znał go teraz świat, przebywał bezpiecznie w Espenii i nigdy nie stanie przed sądem za zamordowanie setek kekońskich obywateli.

W telewizji powiedziano, że Dyrektoriat Ygutański wydał stanowcze oświadczenie, stwierdzające, że Konwencja Lybońska jest owocem bezpodstawnej paniki sianej przez Espeńczyków. Dygnitarze z Dramska ogłosili, że żądania, by Ygutan zgodził się na międzynarodową inspekcję programu tworzenia nekolvów, są bezczelnym zamachem na suwerenność tego państwa. Potem zaczęła się reklama i Woon wyłączył telewizor.

Shae wykręciła ścierkę nad zlewem, gapiąc się na mydliny znikające w odpływie.

– Papi, czy popełniłam błąd, nawiązując kontakty z Espeńczykami? – Mąż zawsze był osobą, której zwierzała się z najpoważniejszych dręczących ją wątpliwości. – Przez wszystkie te lata bardzo często atakowano mnie z tego powodu, ale ja zawsze uważałam, że postąpiłam słusznie i że na dłuższą metę leżało to w interesie klanu. Teraz nie jestem już tego taka pewna.

Od bardzo dawna starała się prowadzić klan Bez Szczytów po linii, korzystać z kontaktów z cudzoziemcami, ale nie ulegać ich wpływowi. Jednakże od chwili zamachu odnosiła wrażenie, że kraj unosi się bezwładnie na wietrze, targany zewnętrznymi i wewnętrznymi siłami.

Woon wyjął ścierkę z jej rąk i wytarł największą plamę na jej koszuli.

– Cudzoziemcy zawsze będą zagrażali Kekonowi i naszemu jadeitowi – przypomniał jej z powagą. – Byliby tutaj bez względu na to, czy jesteś prognostyczką, czy nie. Nikt nie poradziłby sobie z nimi lepiej, nie zapominając przy tym o interesach klanu Bez Szczytów.

– Mamo, zobacz, mamo! – wtrąciła się Tia, łapiąc ją za rękę i próbując zaciągnąć do przyjęcia, jakie zorganizowała dla swoich lalek.

– Przykro mi, ale nie mogę się teraz bawić, Tia.

– Musisz znowu pracować? – poskarżyła się dziewczynka, wydymając usta.

– Tylko przez jakąś godzinę – uspokoiła ją Shae.

Mimo że pragnęła spędzać więcej czasu z rodziną, często zadawała sobie pytanie, czy w ogóle nadaje się na matkę. Wierzyła, że potrafi sobie poradzić z każdą sytuacją na Statkowej, ale była całkowicie bezradna wobec żądań córki domagającej się opowieści o przyjaźni dla każdej ze swoich lalek.

– Przyjdziecie później z tatą do dużego domu i zjemy kolację z gośćmi.

– Jakimi gośćmi? Czy będą jakieś dzieci?

– Tylko Ru i Jaya – odpowiedziała Shae, choć oni raczej się nie liczyli. Jaya miała już szesnaście lat, wkrótce osiągnie siódmy rocznik w Akademii. Ru był rok starszy od niej. A jeśli chodzi o Nika, Shae zadawała sobie pytanie, czy w ogóle był kiedyś dzieckiem. Tia nie miała rodzeństwa ani kuzynów w swoim wieku.

– To są duże dzieci! – sprzeciwiła się dziewczynka.

– Ty też będziesz kiedyś dużym dzieckiem.

Tia potrzęsnęła głową, otwierając szeroko oczy.

– Nie chcę być dużym dzieckiem.

– Dlaczego? – zainteresowała się Shae. – Dlaczego?

Córka objęła z niepokojem jej nogę.

– Duże dzieci muszą uczyć się walczyć. Kiedy się przewróciłam i zaczęłam płakać, bo krew leciała mi z nosa, Jaya powiedziała, że muszę się przyzwyczaić do krwi. I że duże dzieci nie płaczą, kiedy zrobią sobie krzywdę.

Shae pomyślała, że mogła popełnić błąd, prosząc bratanicę o zaopiekowanie się Tią. Jaya była całkowicie pozbawiona taktu. Przykucnęła i objęła córkę.

– Nie wszystkie duże dzieci są takie same. Ale jeśli się tym martwisz, możesz zostać małym dzieckiem, jak długo chcesz. Nie mam nic przeciwko temu.

* * *

Przebrała się w czyste ubranie i poszła do głównego budynku.

Ru odrabiał lekcje przy stole jadalnym, gryząc koniec ołówka. Koko leżał pod stołem przy jego nogach, ogryzając gumową zabawkę.

– Cześć, ciociu Shae – odezwał się chłopak.

Zerknął na nią i znowu skierował wzrok na podręcznik. Był już w ostatniej klasie liceum i tylko kilka miesięcy dzieliło go od egzaminów końcowych.

Wen wyszła z kuchni i wyjęła ołówek z jego ust.

– Nie rób tego – skarciła go. – To zły nawyk. Wydajesz się przez niego słaby i nerwowy. – Zajrzała do kuchni, gdzie jej matka pracowała ze służącymi. Shae zauważyła niektóre z przygotowywanych dań: rybę gotowaną w mleku, wieprzowinę na zimno w sosie pieprzowym, pieczone warzywa z czosnkiem i smażony makaron.

– Niech bogowie bronią, by nasi goście pomyśleli, że jesteśmy skąpymi gospodarzami i nie nakarmimy ich porządnie – powiedziała Wen. Shae, która od chwili narodzin Tii nie widziała na oczy czystego domu, zauważyła z zazdrością, że rezydencja jest niewiarygodnie zadbana. Świeżo ścięte lilie gwiazd, symbolizujące przyjaźń, stały w pięknych wysokich wazonach, wypełniając hol swą wonią. Wen twierdziła, że nigdy nie pragnęła grać oficjalnej roli żony filaru ani nie spodziewała się, że będzie to robić, lecz mimo to świetnie się sprawdzała jako gospodyni.

– Filar i róg są w gabinecie – poinformowała prognostyczkę.

Shae weszła do pokoju. Hilo i Juen byli pogrążeni w poważnej rozmowie.

– Lott Jin bardzo się zmienił od czasów, gdy był palcem – mówił róg. – Pilnie wypełnia swe obowiązki i traktuje wszystkich sprawiedliwie, choć od czasu do

czasu ulega nastrojom, a chwilami staje się zbyt miękki. Nikt jednak nie wątpi, że jest zielony. Bardzo dobrze opiekuje się matką i rodzeństwem. Martwię się tylko tym, że nie ma żony ani dzieci. W jego wieku to świadczy o lekkim pechu. – Juen wypuścił z namysłem powietrze z płuc. – Ale jako pierwsza pięć sprawdził się znakomicie i jest najlepszym kandydatem na pozycję rogu. Decyzja należy do ciebie, Hilo-jen, ale uważam, że śmiało można mu zaufać.

Awansowanie kogoś na jedną z najwyższych pozycji w klanie równało się uczynieniu go honorowym członkiem rodziny Kaulów. Ktoś taki zamieszkałby w posiadłości, jadał kolacje z Kaulami i dopuszczano by go do wszelkich tajemnic. Taka decyzja wymagała starannego namysłu, a charakter kandydata był równie ważny jak jego zdolności.

– Gdybyś zdecydował, że nie chcesz jeszcze przechodzić w stan spoczynku, po prostu to powiedz – rzekł Juenowi Hilo. – Masz dopiero czterdzieści pięć lat.

– To dużo dla rogu – odparł ze smutkiem Juen. – Przecież wiesz, że ci, którzy żyją po zieleńszej stronie klanu, liczą swoje lata jak psy, Hilo-jen. Kiedy byliśmy młodzi, w ogóle nie mieliśmy z żoną czasu dla siebie. Nie pozwalało nam na to czworo dzieci i obowiązki rogu. Zawsze obiecywałem, że później jej to wynagrodzę.

– Zatem musisz dotrzymać obietnicy – stwierdził Hilo, uśmiechając się z sympatią. – Obserwowałem Lott Jina już od lat i zgadzam się ze wszystkim, co powiedziałaś. Mianuję go nowym rogiem na twoim przyjęciu pożegnalnym. – Zerknął na Shae. – Co cię zatrzymało?

Nie chciała mu mówić, że była na uroczystości pogrzebowej Nau. Gdy jej brat usłyszał o jego śmierci, prychnął tylko pogardliwie.

– Wreszcie pozbyliśmy się tej starej żmii. Nigdy nie spotkałem rogu, którego bym mniej lubił. Nawet Gont Ascha, mimo że tamten skurwysyn zabił mnóstwo moich pięści i palców, i niewiele brakowało, żeby mnie również wysłał do grobu. Ale przynajmniej robił to otwarcie. Nau Suen przyprawiał mnie o gęsią skórkę.

Zamiast mu odpowiedzieć, Shae otworzyła torebkę i wyjęła z niej kwadratową wyściełaną kopertę. Wręczyła ją Juen Nu. Róg otworzył kopertę i wyjął z niej dyskietkę.

– To najnowszy podarunek od naszych espeńskich przyjaciół – oznajmiła.

– Espeńska przyjaźń jest warta tyle, ile zwalenie konia przez tanią dziwkę – stwierdził Hilo, krzywiąc się z niesmakiem. – Gdy tylko poruszymy temat przybrzeżnego górnictwa, każą nam spierdalać. A potem uśmiechają się i mówią, że chcą nam pomóc.

Sześć miesięcy po zamachu Biuro Prognozyka odwiedziło dwóch agentów wywiadu wojskowego RE. Przedstawili się jako Berglund i Galo, a potem usiedli

przed biurkiem Shae.

– Pani Kaul-jen, Republika Espenii udziela Kekonowi stanowczego poparcia w walce z radykalnym politycznym terroryzmem.

Jego keko-espeński partner, Galo, wyjął z teczki kopertę i położył ją na biurku.

– Klany zielonych kości wykazały się wielką szybkością i skutecznością w walce z tym zagrożeniem. Pragniemy udzielić wam dodatkowej pomocy, dzieląc się z wami informacjami o Ruchu Bezklanowa Przyszłość. Nasi zwierzchnicy mają nadzieję, że pomoże wam to w całkowitej eliminacji tego zagrożenia.

– Dlaczego nie podzielicie się nimi z Radą Książęcą albo z kekońską armią?
– zapytała Shae.

Galo pochylił się ku niej.

– Z waszym klanem od dawna łączą nas bliskie stosunki. Zwłaszcza z Kormoranem. – Skrzywiła się, słysząc kryptonim, który espeński wywiad wojskowy nadał jej ponad dwadzieścia lat temu. – Wierzymy, że wasz klan nie ma żadnych powiązań z Ygutaniem.

Z pewnością nie można było powiedzieć tego o Górze, która prowadziła we wspomnianym kraju wiele interesów, legalnych i nie. Obaj mężczyźni wstali i zwrócili się ku wyjściu.

Shae oparła się dłońmi o blat i również wstała z krzesła.

– Szkoda, że nie podzieliliście się z nami tymi informacjami przed zamachem – rzekła głosem zimnym jak tafla lodu. – To uratowałyby życie setkom ludzi.

Dwaj mężczyźni zatrzymali się w drzwiach jej gabinetu. Berglund obejrzał się przez ramię. Jego wyblakłe oczy niczego nie wyrażały.

– Ten zamach był straszliwą tragedią. Wszyscy chcielibyśmy, żeby udało się mu zapobiec, ale nie ma sensu szukać teraz winnych. Ważne, byśmy nie dopuścili do powtórzenia się takiej katastrofy, nieprawdaż?

Od tej chwili informacje często trafiały na biurko prognostyczki. Na dyskietkach znajdowały się nazwiska członków i zwolenników Ruchu Bezklanowa Przyszłość, adresy kryjówek i miejsc spotkań oraz dane o osobach i grupach przestępczych podejrzewanych o zaopatrywanie RBP bądź współpracę z nim. Jednakże Espeńczycy nigdy nie byli do końca szczerzy. Niektóre fragmenty plików zredagowano, z pewnością dlatego, że zawierały nazwiska espeńskich agentów. Nie było też ani jednej wzmianki o ygutańskich nekolvach, ani o człowieku nazwiskiem Molovni.

Przekazywała zyskane informacje Juen Nu, a on łączył je z tymi, które zdobyła jego własna, imponująca siatka szpiegów. Gdy Juen został rogiem, Shae nie uważała go za przywódcę mogącego się równać charyzmą z Hilem albo

Kehnem. Okazało się jednak, że biegły organizator jest najlepszym rogiem na te czasy. Juen Nu piastował tę funkcję przez szesnaście lat, dłużej niż ktokolwiek przed nim w historii klanu Bez Szczytów, i dzięki niemu militarna strona klanu stała się bardziej elastyczna i zdolna do szybkiego reagowania. Dzielił się odpowiedzialnością z podkomendnymi, zwiększał technologiczne możliwości klanu i znacznie rozbudował siatkę jego informatorów. To głównie dzięki niemu operacja rozbicia bezklanowych udała się tak dobrze. Był roztropny i wolny od sentymentów, współdziałał z Górą, ale nigdy jej nie ufał i wszystko sprawdzał osobiście, co najmniej trzy razy. Aben Soro z Góry miał pod sobą więcej ludzi i był bardziej widoczny jako róg, ale klanem Bez Szczytów kierowano sprawniej. Lott Jinowi nie będzie łatwo dorównać poprzednikowi.

Juen wsunął dyskietkę z powrotem do koperty.

– Espeńczycy ostatnio nie dają nam zbyt wielu informacji, których już byśmy nie znali. To, co dostawaliśmy od nich poprzednio, było szczegółowe i użyteczne. Na pewno pochodziło od ich agentów w RBP. Teraz to głównie domysły i niepewne kontakty.

– Nadal dzwonią do mnie członkowie klanu, prasa i nasi ludzie w Radzie Książęcej – odezwała się Shae. – Pytają, co sądzimy o piętnowaniu.

Juen prychnął pogardliwie.

– Jest nieskuteczne. To tylko tania sztuczka pod publiczność, nic więcej.

Shae uważała, że ta metoda – choć popularna – jest też okrutna, bezsensowna i skierowana głównie przeciwko imigrantom – ale jako prognostyczka miała obowiązek wskazywać konsekwencje każdej decyzji.

– Niektórzy sądzą, że nie bierzemy przykładu z Góry, bo jesteśmy za dumni albo zbyt miękcy.

– Tacy ludzie to krótkowzroczni durnie. Dzięki piętnowaniu bezklanowi łatwiej znajdują siebie nawzajem i czują się zjednoczeni w swej wrogości wobec społeczeństwa. A ci, których naznaczono niesłusznie, zwrócą się ku Ruchowi Bezklanowa Przyszłość, nawet jeśli do tej pory mu nie sprzyjali.

Hilo splótł dłonie za głowę i oklapł na krześle, zastanawiając się nad tą sprawą.

– Juen jest rogiem. Ufam jego opinii. Ludzi, którzy pomagają bezklanowym, powinno się ukarać, ale nie ma powodu, by nasze pięści naśladowały wszystko, co robią Kobenowie na swoim terytorium.

Juen skinął głową usatysfakcjonowany tym werdyktem.

Shae usiadła w wolnym fotelu. Pomyślała o tym, co widziała dziś po południu pod Świątynią Boskiego Powrotu.

– Podejrzewam, że nawet Ayt Mada nie jest zachwycona metodami Kobenów. Współpracowała już z *barukanami*, Uwiwanami i Ygutańczykami.

Uczyniła obcych członkami Góry. Sprzymierza się z cudzoziemcami, jeśli służy to jej interesom, a Kobenowie sprzeciwiają się temu z zasady.

– Ato jest młodym i popularnym tradycjonalistą – zauważył Juen. – Ayt Mada za parę lat osiągnie sześćdziesiątkę i ludzie zaczną się zastanawiać, kiedy może przejść w stan spoczynku. Jeśli zamierza uczynić Ata swym następcą, musi mu pozwolić na zademonstrowanie siły. – Róg wydał wargi. – Może jest gotowa ustąpić Kobenom w niektórych sprawach, choćby miało to zwrócić przeciwko nim część klanu, pod warunkiem, że nadal będą ją popierać, czekając na swoją kolej.

– Nawet największe tygrysy w końcu się starzeją. – Hilo wyjął srebrną zapalniczkę i zaczął obracać ją machinalnie między palcami. – Ale jeśli Kobenowie wierzą, że Ayt Mada wkrótce odda przywództwo nad klanem ich ładnemu chłopcu, czeka ich rozczarowanie. Ta stara suka będzie jeszcze gorsza niż dziadek, niech bogowie obdarzą go uznaniem. Będzie trzymała się władzy, dopóki ktoś jej nie wyrwie z jej starczych łapsk. – Zignorował spojrzenie Shae, oburzonej brakiem szacunku wobec ich dziadka. – Ayt wykorzystuje Kobenów, tak samo jak wszystkich. Zniszczenie bezklanowych jest sprawą, w której wszyscy obecnie zgadzamy się ze sobą. Ale nigdy nie pozwoli, by gorliwość Kobenów zaszkodziła jej zagranicznym interesom albo sojuszowi z *barukanami*. Dopóki każe bratankowi czekać, może ich trzymać na smyczy.

I dzięki za to bogom. Shae obawiała się, że może nadejść dzień, gdy gorzko pożałuje, że darowała Ayt Madzie życie, ale na razie musiała czuć się zadowolona z faktu, że ich stara rywalka żyje i nadal włada Górą. Zniszczenie RBP było słusznym celem, ale gdyby będące reakcją na idee bezklanowych poglądy Kobenów wyrwały się spod kontroli, mogłoby to doprowadzić do równie skrajnej polityki – zakazu handlu z zagranicą, wygnania cudzoziemców oraz wprowadzenia kolejnych drakońskich praw wymierzonych przeciwko wszystkiemu, co uznano by za antyklanowe sentymenty.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszła Wen. Włosy miała wysoko upięte w elegancki kok. Włożyła suknię z głębokim dekoltem, koloru leśnej zieleni. Shae nagle uświadomiła sobie, że nie przebrała się w nic ładniejszego ani nie poprawiła makijażu.

– Goście z Toshonu już przybyli – oznajmiła.

Hilo, Juen i Shae wstali, by przywitać Icho Dana. Filar klanu Jo Sun wszedł do pomieszczenia w towarzystwie swego prognostyka oraz rogu. Poprzedni filar i prognostyk klanu zginęli w zamachu na budynek KSJ. Od tej chwili Icho dzielnie starał się zastąpić zabitego szwagra, ale choć był kompetentnym przywódcą, z powodów zdrowotnych miał trudności z noszeniem jadeitu, a do tego w Jo Sun nie było nikogo, kto potrafiłby pokierować biznesową stroną

równie sprawnie, jak poprzedni prognostyk. To właśnie był słaby punkt małych klanów. Wielu z nich brakowało zasobów utalentowanych zielonych kości i utrata przywódców o kluczowym znaczeniu oznaczała dla nich wyrok śmierci. Po zamachu niektóre małe klany połączyły się, a inne zostały wchłonięte przez większe. W zeszłym roku Góra pokojowo anektowała klan Czarny Ogon z Gohei. Icho Dan rozpoczął rozmowy z klanem Bez Szczytów przed sześcioma miesiącami. Dzisiaj klan Jo Sun przestanie istnieć.

Wielkie klany stawały się coraz większe. Nadal jesteście dwoma tygrysami, pomyślała z przygnębieniem Shae. Pożeramy wszystko, co możemy, dopóki nie będziemy zmuszeni znowu stanąć do walki ze sobą.

Icho włożył swój najlepszy garnitur i krawat.

– Kaul-jen, obawiałem się nadejścia tego dnia już od chwili śmierci mojego szwagra, ale jednocześnie wypełnia mnie ulga i wdzięczność, że wreszcie nadszedł – zaczął głosem stanowczym, lecz pełnym smutku.

Opadł na kolana i dotknął czoła splecionymi dłońmi. Jego róg i prognostyk uklękli po obu jego bokach, w lustrzanym odbiciu pozycji, jakie zajmowali Shae i Juen stojący obok Hila.

– Klan Jo Sun należy teraz do ciebie, Kaul Hiloshudon. Jego jadeit jest twoim jadeitem. Jego biznesy będą odpowiadały przed twoją prognostyczką, a jego wojownicy będą gotowi zginąć dla twojego rogu. Twoi wrogowie są moimi wrogami, a twoi przyjaciele moimi przyjaciółmi. Wyrzekam się tytułu filaru i przysięgam wierność klanowi Bez Szczytów. Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem. Na mój honor, moje życie i mój jadeit.

Icho dotknął czołem dywanu w gabinecie Kaulów. W jego oczach pojawiły się łzy. Pozostali przywódcy klanu Jo Sun uczynili to samo, z godnością i rezygnacją. Gdy Icho się wyprostował, Hilo pociągnął go na nogi i uściskał serdecznie.

– Wiem, że to było trudne. Być może najtrudniejsze, co można uczynić w życiu. Wyrzec się własnej dumy, nawet ze słusznych powodów. Nawet gdy nie ma innego wyjścia. Zielone kości z Jo Sun są teraz zielonymi kośćmi z mojego klanu. Będę je traktował tak samo jak swoich wojowników. A Toshon jest teraz terytorium klanu Bez Szczytów. Zapewnimy mu dobrobyt i będziemy go bronili równie stanowczo jak naszych dzielnic w Janloonie.

Shae widziała, że biedny Icho nie wierzy do końca w słowa Hila. Niemniej skinął z wdzięcznością głową.

– Dziękuję. Kaul-jen.

– Teraz, gdy mamy już trudną część za sobą, możemy razem zjeść dobrą kolację. – Hilo położył rękę na ramieniu byłego filaru. – Kiedy obudzisz się jutro, być może nadal będziesz smutny, ale jednocześnie poczujesz się lepiej,

wiedząc, że wreszcie uwolniłeś się od ciężkiej roboty, o którą nigdy nie prosiłeś, a jednocześnie wypełni cię duma na myśl, że zrobiłeś wszystko, czego mógł od ciebie oczekiwać twój szwagier.

ROZDZIAŁ 33

PRAWDONOŚCY

Art Wyles, prezes korporacji Anorco Global Resources, zawsze spędzał dwa tygodnie drugiego miesiąca w swym domu w Kekonie. Miał sześć różnych miejsc, które zwał domami, położonych w różnych częściach świata. W Port Massy posiadał rezydencję na Jonsie, w której mieszkała jego żona z dwojgiem dzieci, i penthouse w Quince, gdzie umieścił kochankę. Był też właścicielem domku letniskowego na południowym wybrzeżu Espenii, nieopodal Resville, małego, ale luksusowego mieszkania wakacyjnego na Marcucuo, a także wiejskiego domu oraz winnicy pośród zielonych wzgórz Karandi. W porównaniu z nimi dom na Eumanie był stosunkowo skromny – odnowiony, piętrowy budynek z cegły, w szotarskim stylu kolonialnym, wzniesiony na skalistym wzgórzu na brzegu Oceanu Amaryckiego. Mimo to ostatnio tu właśnie najchętniej spędzał czas. Z dwóch powodów.

Pierwszym z nich była zyskowna działalność, którą obserwował przez lornetkę z oszklonej werandy. Dziś rano powierzchnia morza miała jasnoszarą barwę i była płaska jak blat stołu. Nigdzie nie było widać chmur ani fal. Idealne warunki.

Przybrzeżne górnictwo było bardzo zyskowne, ale wiązało się z dużym ryzykiem. Początkowe nakłady inwestycyjne były ogromne, a Kekończycy – a ściślej mówiąc janloońskie klany, które sprawowały w kraju realną władzę – niechętnie patrzyły na wydobycie i używanie bioenergetycznego jadeitu przez cudzoziemców. Wyles musiał przyznać, że słowo „niechętnie” jest eufemizmem. Nie cofali się nawet przed morderstwem.

Klany wielokrotnie sabotowały jego statki, powodując poważne opóźnienia i wielomilionowe straty. Kekończycy byli brutalną rasą i Wyles nie wykluczał możliwości, że posuną się do zamachu na jego życie. Nie da się jednak zastraszyć. Ktoś, kto urodził się w ubogiej dzielnic Port Massy, zamieszkaney

przez klasę pracującą, a mimo to dotarł na szczyty espeńskiej plutokracji, musiał się cechować niezłomną determinacją i przesadnym upodobaniem do ryzyka. Po jego stronie stał wielki majątek, potężni przyjaciele, a co najważniejsze niezachwiana wiara w Boga i Prawdę. Te trzy czynniki nie tylko zapewnią mu bezpieczeństwo, lecz z czasem doprowadzą go do sukcesu.

Bioenergetyczny jadeit wysokiej jakości był tak rzadki i cenny, że nawet niewielka jego ilość mogła zwrócić wysokie koszty operacji. Po latach badań i poszukiwań, niepowodzeń i udoskonaleń, należące do Wylesa statki przesiewały teraz tak wiele wody morskiej, piasku oraz żwiru, że naprawdę przynosiły zysk. Anorco było jedyną firmą na świecie zajmującą się legalnym przetwarzaniem bioenergetycznego jadeitu. Na tę myśl serce Wylesa biło szybciej.

Był też drugi powód. Wyles spędzał na Kekonie bardzo wiele czasu i podczas tych wizyt serce biło mu szybciej z zupełnie innych przyczyn. Miała na imię Lula. Gdy odsunął lornetkę od oczu i oddalił się od okna, ujrzał jeszcze piękniejszy widok. Weszła do pokoju odziana w szlafrok z lawendowego jedwabiu. Związała go luźno w talii, częściowo odsłaniając mlecznobiałe piersi oraz brzuch. Postawiła na stoliku tacę z brunchem – koszyk ze świeżo upieczonymi żółtymi bułeczkami, miękkimi jak poduszki i parującymi kusząco, oraz miseczki z kremem jajecznym, na którym ułożono owoce w kształt kwiatów.

– Chodź – rzekła kusząco. – Zjedzmy coś.

– Rozpieszczasz mnie – odparł z uśmiechem Wyles.

Rozchylił bardziej szlafrok dziewczyny i przesunął dłońmi po jej piersiach, muskając kciukami koniuszki sutek. Lula była najwspanialszym przykładem kekońskiej kobiety, jaki kiedykolwiek widział, a uważał się za konesera międzynarodowej urody. W miasteczku było mnóstwo burdeli obsługujących espeńskich żołnierzy, ale Wyles, choć spędzał poza domem wiele tygodni, nigdy nie miał ochoty zanurzać się w tym samym źródle co marynarze. Był bogaty i miał wyrafinowany gust, zwiedził cały świat, poznał smak tego, co ma on do zaoferowania, jeśli chodzi o kuchnię, sztukę i kobiety. Jego żona była elegancką kobietą z towarzystwa i wyróżniała się pod wszystkimi względami. Jego kochanka – była modelka – pojawiała się na okładkach modowych czasopism na całym świecie. Dlatego potrzeba było naprawdę nadzwyczajnej kobiety, żeby przyciągnąć uwagę Arta Wylesa.

Poznał Lulę na prywatnej kolacji wydanej na cześć espeńskiego ambasadora. Na tę okazję sprowadzono pięć kurtyzan, ale Lula wyróżniała się wśród nich jak łąbędź na tle gęsi. Skromna czarna suknia ozdobiona cekinami podkreślała wszystkie krzywizny jej młodego, gibkiego ciała, twarz lśniła jak jezioro

w blasku księżycy, a włosy przypominały błyszczące wodospady czarnego atramentu. Jej śpiew i taniec wyrażały wręcz nadludzką grację i piękno. Wyles natychmiast sobie uświadomił, że musi ją mieć, obawiał się jednak, że jego oczekiwania mogą pozostać niepełnione. Niepotrzebnie. Seks z tym wyspiarskim aniołem okazał się transcendentną przyjemnością pochodzącą z innego wymiaru.

Szybko załatwił sobie wyłączność na Lulę. Gdy tylko wybierał się na Kekon, zawiadamiał ją o tym z trzydniowym wyprzedzeniem, żeby miała czas się przygotować. Mieszkała z nim w jego domu na Eumanie, przygotowywała mu posiłki i spała z nim codziennie. Kiedy odlatywał do Port Massy, mogła wrócić do Janloonu i odwiedzić rodzinę albo wybrać się na zakupy za pensję, którą jej płacił. Mówiła trochę po espeńsku i szybko uczyła się tego języka coraz lepiej. Była zgodna, taktowna przewidywała wszystkie jego pragnienia i nigdy nie żądała zbyt wiele. Wyles pomyślał z westchnieniem, że w Espenii nigdy nie znalazłby takiej kobiety.

– Moja słodka, spodziewam się dziś po południu gościa i obawiam się, że przez długie godziny będziemy rozmawiali o interesach – poinformował ją, gdy skończyli posiłek. – Może pojechałabyś na zakupy albo do klubu fitness?

Wstała i pochyliła się, by go pocałować.

– Zaczekam na ciebie, Arto-se.

Podobało się mu, jak wymawia jego imię w kekońskim stylu. W jej delikatnych ustach brzmiało to naprawdę czarująco. Zabrała pustą tacę i wyszła z pokoju, całkowicie bezgłośnie dzięki pantofelkom, które miała na nogach.

Wyles przeszedł do biblioteki, zabierając ze sobą kolejny kubek kawy oraz gazetę. Zaczeka tam na gościa. Nagle zadzwonił telefon. Uniósł słuchawkę i usłyszał piskliwy głos Jorena Gassona.

– Słyszałem, że należą ci się gratulacje, Artie.

Wyles zmienił pozycję ze skrepowaną miną, ciesząc się, że rozmówca tego nie widzi.

– Wieści rozchodzą się szybko.

Rzecz jasna, Gasson, który miał liczne kontakty i zawsze wiedział, co w trawie piszczy, zwykle dowiadywał się jako jeden z pierwszych o wszystkim, co mogło go dotyczyć, nawet jeśli nie ogłoszono jeszcze tego publicznie. Wyles miał nadzieję, że zdąży przynajmniej powiedzieć żonie i dzieciom, zanim otrzyma ten nieunikniony telefon. Mały Jo Gasson był jego przyjacielem, ale jednym z tych, którymi wolał się nie chwalić.

– Prezydent elekt Stowarzyszenia Producentów Broni – oznajmił z dumą Gasson. – To niezły sposób na wejście do polityki. Naprawdę niezły. – Stowarzyszenie Producentów Broni było jednym z największych i najpotężniejszych stowarzyszeń zawodowych w Espenii. Jako jego prezydent

Wyles będzie miał zapewniony dostęp do premiera oraz wpływ na polityków w Zgromadzeniu Narodowym. – Pokonaliśmy długą drogę, czyż nie tak?

– Masz rację.

Wyles spojrzął na zegarek. Pragnął jak najszybciej pozbyć się Gassona.

– Jesteśmy przyjaciółmi już od... dwudziestu pięciu lat? Czasami sam się dziwię, że byłem obecny na samym początku i pierwszy powiedziałem: „Ten Art Wyles wysoko zajdzie”. Zawsze miałem nosa do takich spraw.

– Wiesz, że nigdy nie zapomnę o tym, co zrobiłeś dla mnie przez wszystkie te lata. Posłuchaj, mam za parę minut ważne spotkanie dotyczące jadeitowego interesu. Może pogadamy później?

– Jasne, Artie – zgodził się Gasson. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że jestem z ciebie dumny.

– Dziękuję, Mały Jo. To znaczy dla mnie bardzo wiele.

Wyles odłożył słuchawkę i westchnął z ulgą. Wiedział, że jest tylko jednym z wielu ludzi opłacanych przez paczkę z Baker Street – podobnie jak Joren Gasson, który swobodnie poruszał się między legalną i nielegalną sferą biznesu oraz polityki, był tylko jednym ze wspierających go ludzi, czasami użytecznym, a w innych chwilach wręcz przeciwnie. Wyles starał się nie przyciągać niczyjej uwagi do Gassona, o ile tylko było to możliwe. Zresztą miał w tej chwili na głowie ważniejsze sprawy.

Jim Sunto z charakterystyczną dla niego wojskową precyzją zjawił się dokładnie o wyznaczonym czasie. Zbrojni wartownicy pilnujący domu wpuścili go do środka. W końcu wszyscy byli pracownikami firmy Międzynarodowe Rozwiązania Ganlu, kierowanej przez Sunta. Wyles zainwestował w nią sporo pieniędzy po jej powstaniu i stał się jej pierwszym znaczącym klientem. Firma ochraniała wszystkie prowadzone przez Anorco operacje w zakresie górnictwa podwodnego i przydzieliła też Wylesowi grupę osobistych strażników.

Wstał, żeby przywitać gościa.

– Cieszę się, że cię widzę, Jim. Dziękuję, że mnie odwiedziłeś. Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie, jeśli odbędziemy tę rozmowę w bezpiecznym miejscu, gdzie nikt nas nie podsłucha. – Wskazał byłemu Aniołowi krzesło. – Czego się napijesz?

– Łyczek whisky, jeśli masz jakąś z północy – odparł Sunto.

– Pewnie, że mam – odpowiedział Wyles i wyciągnął butelkę z jednej z swoich ulubionych wytwórni, z Cape Glosset nad Zatoką Whittinga. – Po tak długim pobycie tutaj nie przestawiłeś się jeszcze na hoji?

Sunto wziął szklaneczkę z rąk Wylesa i pociągnął łyczek z zadowoleniem.

– To pewnie oznacza, że powrót do ojczyzny nie udał mi się za bardzo. Co cię gryzie, Art? – Sunto zawsze miał w zwyczaju przechodzić od razu do sedna

sprawy. – Ostatnio nie mieliśmy zbyt wiele kłopotów. Liczba prób sabotażu spadła radykalnie.

Od chwili zamachu bombowego w Janloonie klany były zbyt zajęte walką z bezklanowymi, by kontynuować ataki na statki i budynki Anorco.

Wyles zbył to pytanie machnięciem ręki i nalał sobie whisky.

– Uzbrojone w miecze zbiry z klanów to tylko lokalny problem. – Rozparł się wygodniej na obitym skórą fotelu naprzeciwko gościa. – Wzrost wpływów Ygutanu i herezja wybawieńców to problemy globalne.

– Wieszcz zakazuje kłamstw kontr-Prawdy – oznajmił stanowczo Sunto.

– Obyśmy wszyscy ujrzeli i usłyszeli Prawdę – dodał Wyles.

Obaj mężczyźni unieśli symbole Świtu na Icanie, które nosili na szyjach, i dotknęli ich ustami.

Pobożni prawdonoścy wiedzieli, że powolna wojna z Ygutanem nie jest tylko konfliktem ekonomicznym i militarnym, lecz również duchowym. Wybawieńcy, kierowani przez ygutański zakon proteków, rozsyłali swych misjonarzy po całym świecie, by propagowali nową religię nakazującą życie w ubóstwie. Twierdzili, że dotychczas znana Prawda jest niekompletna, a pełną Prawdę ogłaszają ygutańscy misjonarze. Głosili też inne heretyckie przekonania.

Misjonarze nie podróżowali sami. Zgodnie z informacjami zdobytymi przez espeński wywiad wojskowy, w szerzeniu kontr-Prawdy głoszonej przez Ygutan daleko poza jego granicami uczestniczyli nekolvowie. Specjalnie wyszkoleni, noszący bioenergetyczny jadeit agenci szpiegowali dla swych panów z Dramska, dokonywali zamachów skrytobójczych oraz wspierali i zaopatrywali proygutańskie powstania.

– Odbyłem kilka bardzo interesujących rozmów z przedstawicielami Departamentu Wojny. Co wiesz o operacji „Pas Przeciwpożarowy”?

Sunto uniósł brwi, usiadł wygodniej i skrzyżował ramiona na piersi.

– Znam tylko pogłoski, które usłyszałem przed odejściem z Aniołów – zaczął z namysłem. – Podobno to tajny program, zatwierdzony przez premiera Galtza podczas wojny oortokańskiej. Jego celem ma być przeciwstawianie się ygutańskiej ekspansji na całym świecie.

Wyles zachichotał.

– W tej chwili to chyba najlepiej znana tajemnica w całej armii. W ramach operacji „Pas Przeciwpożarowy” prowadzono działania w miejscach tak odległych od siebie jak północne Tun, Krenia i Sutaq. Współdziałano z lokalnymi sojusznikami, by odeprzeć ygutańskie wpływy oraz herezję wybawieńców.

Sunto pokiwał głową. Ręce nadal krzyżował na piersi.

– Co to ma wspólnego z nami?

Wyles się uśmiechnął. Lubił Jima Sunto. Wiedział, że niektórzy wysoko postawieni ludzie w dowództwie Marynarki Wojennej RE albo w Zgromadzeniu Narodowym nigdy nie zaakceptują Sunta z uwagi na jego kekońskie pochodzenie, ale to byli rasiści. Wyles wierzył, że oddanie Prawdzie przeważa nad wszystkimi innymi czynnikami, takimi jak kolor czyjejś skóry czy krew płynąca w czyichś żyłach.

– Premier Roburg obciął fundusze przeznaczone na operację „Pas Przeciwpożarowy” – oznajmił Wyles.

Ta decyzja była wielkim rozczarowaniem dla espeńskiej armii i Kościoła Jedynej Prawdy, nie była jednak niespodzianką. Informacje o zwiększonej częstości występowania chorób umysłowych oraz uzależnienia od narkotyków spowodowały, że rząd ograniczył nacisk na wyposażanie żołnierzy w jadeit i uczenie ich ZSBWBJ. Sytuacja ekonomiczna się pogarszała i wyborcy byli przeciwni wdawaniu się w kolejne wojny za morzem, a Zgromadzenie Narodowe naciskało na administrację Roburga, domagając się powrotu żołnierzy do domu.

– Z pewnością rozumiesz, że to stawia Departament Wojny w trudnej sytuacji – dodał Wyles i zakręcił szklaneczką pod nosem. Nie sprawiał wrażenia zbytnio zaniepokojonego.

– Innymi słowy, nie kupią od Anorco tyle bioenergetycznego jadeitu, na ile liczyłeś. – Sunto obrzucił Wylesa chytrym spojrzeniem. – Znam cię, Art. Już wymyśliłeś coś, co pozwoli ci zarobić kilkaset milionów thalirów na tej nagłej zmianie politycznych wiatrów.

– Ty też zarobisz – zapewnił Wyles. – Środki przeznaczone na operację „Pas Przeciwpożarowy” zostały zmniejszone, przynajmniej oficjalnie, ale nawet jeśli Zgromadzeniu Narodowemu i espeńskiej opinii publicznej brakuje politycznej woli do walki z prozelityzmem ygutańskich proteków, w Departamencie Wojny i Stowarzyszeniu Producentów Broni nadal są pobożni prawdonoścy. Nie mów o tym nikomu, ale można ich również spotkać w Biurze Premiera. To rozsądni ludzie, którzy nie pozwolą, by krótkowzroczność polityków naraziła cały świat na podbicie przez kontr-Prawdziwą doktrynę.

Wyles wręczył Keko-Espeńczykowi kopertę. Były żołnierz z ciekawością wyjął znajdujące się wewnątrz kartki i zaczął je czytać. Jego twarz nic nie wyrażała, ale szelest szybko przerzucanych stronic zdradził jego ekscytację.

– To jest...

– Tajne memorandum sekretarza Departamentu Wojny, autoryzujące wykorzystanie prywatnych firm wojskowych w operacji „Pas Przeciwpożarowy”.

Wyles uśmiechnął się i pociągnął łyk ze szklaneczki.

Zdumiony Sunto oderwał wzrok od kartek.

– Art, to naprawdę wielki krok naprzód. Być może zbyt wielki.

– To dla nas szansa, Jim – odparł Wyles. – Aktualnie istnieje tylko jedna prywatna firma wojskowa mająca wyposażonych w jadeit, nauczonych ZSBWBJ żołnierzy. Tą firmą jest MRG.

Sunto powoli złożył dokument i wsunął go z powrotem do koperty. Gapił się przy tym na niego z taką bojaźnią, jakby był świętym tekstem napisanym własnoręcznie przez Wieszcza.

– Zawsze wiedziałem, że gdy tylko założę firmę, okaże się, że jest zapotrzebowanie na jej usługi. – Wstał i zaczął spacerować w tę i w tę przed pełnymi książek regałami Wylesa. Marszczył czoło, zastanawiając się nad implikacjami tego, co przeczytał. – Od początku liczyłem na coś takiego, ale to stało się szybciej, niż oczekiwałem. Stopniowo rozbudowywałem MRG i przyjmowałem wciąż nowych klientów. Mam za mało wykwalifikowanych ludzi, sprzętu i bioenergetycznego jadeitu, by prowadzić operacje na taką skalę.

Wyles złączył palce w piramidkę.

– Jestem gotowy zainwestować w MRG dalsze trzysta milionów thalirów.

Sunto rozkasłał się nagle.

– To by znaczyło... – zawołał, gdy już wrócił do siebie.

– Że MRG stanie się filią Anorco. Wykupię twoją firmę, Jim. Oczywiście zachowałeś tytuły prezydenta i prezesa. – Wskazał za okno, w stronę Amaryku, na którym jego statki przeszukiwały dno. – Anorco ma kapitał i jadeit, a MRG ma ludzi i fachową wiedzę. Razem stworzymy pionowo zintegrowaną prywatną armię. Wzbogacimy się na tym i co ważniejsze, powstrzymamy szerzącą się na świecie kontr-Prawdę.

Mały Jo Gasson nie był jedynym człowiekiem potrafiącym inwestować w pewne interesy. Po pozyskaniu MRG konglomerat Wylesa będzie miał do zaoferowania zarówno jadeit, jak i potrafiących go wykorzystywać żołnierzy. Jako prezydent Stowarzyszenia Producentów Broni Wyles będzie też miał polityczne kontakty i wpływy w Adamont Capita, wystarczające, by wywoływać wojny.

– Zdaję sobie sprawę, że musisz sporo przemyśleć – rzekł Suntowi. – Sugeruję jednak, byś nasilił kampanię rekrutacyjną.

– Na Boga, Wieszcza i Prawdę – mruknął Sunto i uniósł szklaneczkę. – Wypijmy jeszcze jedną kolejkę.

ROZDZIAŁ 34

BRAK ROZSĄDKU

Dwudziesty rok, drugi miesiąc

– Nasz nowy student wybiera pierwszy – oznajmił Hilo, odpychając na bok rękę Jai, która najszybciej sięgnęła do talerza z lepkimi ciastkami z owocami, ustawionego przez Wen pośrodku stołu. – Dzisiaj świętujemy sukces Ru. No dobra, synku, wybierz sobie ciastko.

Ru trącił siostrę łokciem i wziął ciastko z brzoskwinia.

– To dobry wybór – pochwalił go Hilo i położył rękę na jego ramionach. – Zawsze sięgaj po to, co najlepsze.

Nastolatek uśmiechnął się ospale. Uroczystość zakończenia nauki w liceum odbyła się wczoraj. Ru całą noc imprezował z kolegami i obudził się koło południa. Na uroczystą kolację podano wszystkie jego ulubione dania – żeberka w sosie paprykowym, kotleciki z krewetek i smażoną zieloną fasolę. Świeży absolwent przejadł się tak bardzo, że nie był już w stanie skończyć ciastka. Koko tłukł głośno ogonem o krzesło i pochłaniał kolejne kęsy, które Ru podawał mu pod stołem.

Po zbliżającym się nowym roku Ru rozpocznie studia na Królewskim Uniwersytecie Jan. Kampus znajdował się niespełna pół godziny jazdy metrem stąd, ale Ru postanowił, że zamieszka w akademiku, żeby lepiej poznać studenckie życie. Hilo go rozumiał. Kiedy chłopak ma osiemnaście lat, musi oderwać się od rodziców. W przeciwieństwie do rodzeństwa i kuzynów Ru nie uczył się w Akademii Kaul Du. Niemniej Hila smuciła myśl, że jego syn się wyprowadzi. Ru był najbardziej zgodnym z jego dzieci. Nie ulegał nastrojom jak Niko i nie wpadał w złość jak Jaya. Potrafił się dogadać ze wszystkimi i pakował się w kłopoty tylko wtedy, gdy nagle coś przyszło mu do głowy i nie przemyślał

tego do końca, a to było normalne u nastoletnich chłopaków. Czasami kłócił się z matką, ale zdaniem Hila tylko wtedy, gdy Wen była dla niego zbyt surowa.

Zważywszy wszystko razem, miło było, że z nimi mieszkał. Bez niego będzie tu za spokojnie.

– Chcesz deser, mamó? – zapytała teściową Wen.

– Nie, daj więcej dzieciom. Pooglądam telewizję i położę się spać.

Kaul Wan Ria wstała z wysiłkiem z krzesła i Sulima pomogła jej opuścić pokój. Matka Hila miała już siedemdziesiąt osiem lat. Nadal zachowała dobre zdrowie, ale jej włosy zrobiły się zupełnie białe. Sprawiała wrażenie, że się kurczy i wycofuje coraz bardziej, znikając w tle. Jego dziadek na starość zmienił się w pomarszczoną kobrę plującą jadem, ale matka nikomu nie sprawiała kłopotów.

– Zastanowiłeś się, co chcesz studiować? – zapytała chłopaka Wen.

– Ciocia Shae sugerowała studia biznesowe – odpowiedział Ru. – Mówi, że po nich łatwo jest znaleźć pracę w Biurze Prognozy albo w jednej z płacących nam daninę firm.

– Twoja ciocia jest bardzo inteligentna i praktyczna – zauważyła Wen.

– Ale wiele kursów na tych studiach wygląda na nudne – stwierdził Ru. – Nauki społeczne są znacznie ciekawsze. Może socjologię albo politologię? Nie chodzi o to, że nie chcę pracować dla klanu – dodał pośpiesznie. – Po prostu pragnę robić coś, co pomoże innym ludziom. W tym również kamiennookim.

– Z pewnością świetnie sobie poradzisz na politologii, prawie czy cokolwiek sobie wybierzesz – zapewnił Hilo, choć pomyślał, że Ru może być nieco zbyt wielkim optymistą i altruistą. – Będziesz musiał to wszystko przemyśleć. Po to właśnie są studia. Zawsze zostaje ci jeszcze plan rezerwowy. Możesz zostać gwiazdą filmową, jak Danny Sinjo, bo odziedziczyłeś wygląd po matce.

Jaya parsknęła śmiechem. Okruchy ciastka posypały się na jej dłoń.

Wen potrząsnęła głową.

– Wszyscy wiedzą, do kogo jest podobny Ru.

– Tato, daj spokój – poskarżył się chłopak.

– Nie patrz tak na mnie. – Ton Hila był żartobliwy, ale kryła się w nim nuta powagi. – I nie pozwól, żeby przesądne głąby stanęły ci na drodze. Jesteś moim synem. Jesteś Kaulem. Jeśli nie urodziłeś się zieloną kością, to znaczy, że musisz dokonać czegoś innego. Czegoś wielkiego.

– W porządku, tato. – Ru machnął lekceważąco ręką, ale wszyscy widzieli, że słowa Hila wypełniły go dumą. Szturchnął Nika. – Hej, może w przyszłym roku będziemy razem na kampusie.

Niko zerknął na brata, po czym przeniósł wzrok z powrotem na chusteczkę, którą zwijał w węzeł.

– Myślę, że w tej rodzinie ty masz największy zapal do nauki, Ru.

– Nie rozumiem. Myślałem, że nadal chcesz studiować na Uniwersytecie Jan, jak już odsłużysz rok jako pięść?

Jaya spojrzała Ru w oczy i ostrzegła go nagłym ruchem ręki, ale było już za późno. Rozmowa nagle się urwała i zapadła lodowata cisza. Ru rozejrzał się wkoło wyraźnie zdezorientowany. Rzadko stykał się z militarną stroną klanu, a ostatnio był bardzo zajęty egzaminami końcowymi oraz uroczystością zakończenia szkoły. Dlatego nie wiedział, że przed tygodniem róg rozdawał awanse i jadeit.

– Nie zostanę pięścią – oznajmił Niko. – I nie pójdę na studia.

– Pewnie, że zostaniesz – warknął Hilo. – Lott Jin mówi, że dobrze sobie radzisz i nosisz jadeit lepiej niż inni o tej samej randze. Musisz tylko bardziej się postarać. Powinieneś już wykazywać większą inicjatywę, być przykładem dla młodszych palców. Nie możesz liczyć na to, że zostaniesz pięścią, jeśli będziesz się spisywał przeciętnie.

– Oczywiście wyższe wykształcenie jest ważne w dzisiejszych czasach, ale możesz z nim poczekać rok albo dwa, aż zdobędziesz więcej jadeitu – dodała Wen. – Nawet jeśli nadal masz nieco niższą rangę, niż na to liczyłeś, możesz to nadrobić, jeśli tylko się przyłożysz.

Niko uparcie milczał, jak zawsze, kiedy coś go zdenerwowało. Ru – kiedy go skarcono albo skrytykowano – spierał się i próbował załagodzić sytuację, a Jaya zalewała się łzami i wybiegała z pokoju. Niko zaś się wycofywał, tak samo jak teraz, wpatrywał się w blat z ponurą miną, a jego jadeitowa aura kłębiła się jak czarna chmura. Hilo poczuł, że wzbiera w nim gniew.

– Wydaje ci się, że wszystko powinno przychodzić ci łatwo, bo jesteś synem filaru? Że nie musisz ciężko pracować, by dowieść swojej wartości, a haniebne wybryki, jak ten z samochodem, będą ci uchodziły na sucho?

Hilo umilkł nagle. Ukarzał już bratanka za ten incydent i ciągle sobie obiecywał, że nie będzie więcej o nim wspominał.

– Wiedziałeś, że gdy pierwszy raz spotkałem Lott Jina, nie byłem go pewien? – dodał. – Teraz trudno w to uwierzyć, ale kiedy był młody, zachowywał się okropnie. Miewał fochy i pyskował. Jego ojciec był sławną zieloną kością, a on bardzo nie chciał iść w jego ślady. Na szczęście wziął się w garść, zmienił podejście i pracował ciężiej niż ktokolwiek inny. Chcę ci powiedzieć, że nawet jeśli nie miałeś najlepszego startu i popełniłeś kilka błędów, nie jest jeszcze za późno, żeby wszystko naprawić. Musisz się tylko postarać.

Niko po raz pierwszy uniósł wzrok i spojrzał wujkowi w oczy.

– Mówię poważnie. Nie zostanę pięścią i nie pójdę na studia. Dostałem propozycję pracy spoza klanu i ją przyjąłem.

Przy stole zapadła absolutna cisza. Nawet Jaya była zbyt zdumiona, żeby cokolwiek powiedzieć. Hilo zamrugał zdziwiony, jakby Niko mówił w obcym języku.

– Podjąłeś tę decyzję, z nikim o tym nie mówiąc? Nawet z własną rodziną? Po prostu powiedziałaś nam o tym bez ostrzeżenia?

– O czym tu rozmawiać? – zapytał Niko. – Wiedziałem, że się nie zgodzisz.

Hilo miał ochotę uderzyć bratanka, ale Wen położyła dłoń na jego ramieniu. Powstrzymał się i zaczerpnął tchu.

– Wbrew temu, co najwyraźniej sądzisz, nie brakuje mi rozsądku, Niko – zaczął z namysłem. – Jeśli rzeczywiście chciałeś poszukać pracy poza klanem, mogłeś porozmawiać o tym ze mną i z mamą.

Niko nie odpowiedział. Jego jadeitowa aura kipiała jak sztorm w butelce. Był kiedyś niesprawiającym kłopotu dzieckiem, spokojnym i zamyślonym, pełnym ciekawości i chętnym do nauki. Opiekował się młodszym rodzeństwem i nie miał w zwyczaju okazywać złego humoru. Niezadowolony filar zastanawiał się, w którym punkcie popełnił błąd, dlaczego jego zdolny bratanek zmienił się w pobawionego celu i pewności siebie młodego mężczyznę. Hilo zebrał w sobie resztki rodzicielskiej cierpliwości, jakie jeszcze mu pozostały.

– Wychowywaliśmy cię na Kaula, więc być może to naturalne, że zrobiłeś się niespokojny i zapragnąłeś zapoznać się z innymi możliwościami. Nie poświęcałem temu należytej uwagi. Mogłoby ci pomóc, gdybyś popracował parę lat poza klanem. Mógłbyś spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. W końcu twój wujek Andy jest lekarzem. Ale to nie jest decyzja, którą powinieneś podjąć bez rozmowy z rodzicami. Co to właściwie za praca?

Niko upuścił na pusty talerz zmiętą chusteczkę i odsunął się od stołu.

– Przyłączyłem się do MRG.

Wen wciągnęła gwałtownie powietrze. To był jedyny dźwięk, jaki się rozległ, nim Hilo wyciągnął nagle rękę, złapał swoje najstarsze dziecko za włosy i ściągnął je z krzesła. Talerz spadł na podłogę. Wszyscy poderwali się na nogi. Hilo wstał gwałtownie i popchnął Nika na najbliższą ścianę, strącając na podłogę oprawne w ramki rodzinne zdjęcie.

– Zaciągnąłeś się jako najemnik? – zapytał gardłowym głosem. – Będziesz się panoszył w miejscach, gdzie nie powinno cię być, w towarzystwie rzadkokrwistych, uzależnionych od błysku cudzoziemców, sprzedawał swe jadeitowe zdolności tym, którzy zapłacą najwięcej? – Zdzielił Nika w skroń i znowu go popchnął. Wydawało się, że patrzy na niego z góry, mimo że obaj byli tego samego wzrostu. Wytrzeszczył oczy, a jego aura poszerzyła się raptownie. – Co z ciebie za zielona kość? Co z ciebie za syn?

Ru również zerwał się z krzesła. Koko zaszczekał i podniósł się razem z nim.

– Daj spokój, tato – błagał chłopak, starając się bronić brata. – Popenił błąd, ale to tylko kaprys.

– To nie jest kaprys – warknął Niko, pocierając bolące miejsce na głowie. Zwrócił się w stronę Hila, wyprostował się i zacisnął pięści. W jego oczach lśniła zimna nieustępliwość. – Dlaczego musimy udawać, że jesteśmy lepsi od innych, którzy noszą jadeit, nawet cudzoziemców? Tylko z powodu rasy albo genetyki? Rozmawiałem z werbownikami z MRG i wygląda na to, że to interesująca praca. Robią coś, czego nikt przedtem nie robił. Do tej pory znałem tylko klan, a jedyne, co potrafię, to być jadeitowym wojownikiem. Czemu nie miałbym poszukać innych możliwości? Zwiedziłbym świat, a jednocześnie płaciliby mi za moje jadeitowe zdolności.

– Tak traktujesz własną rodzinę w dzień, gdy twój brat ukończył szkołę? – zapytała drżącym głosem Wen.

Niko skrzywił się, ale nie opuścił wzroku.

– Wybacz, mamó – rzekł. – Wybacz, Ru. Nie miałem zamiaru wspominać o tym dzisiaj.

Wen wstała, zaciskając usta w wąską linię.

– Nie mam ci nic więcej do powiedzenia, dopóki nie odzyskasz rozsądku.

Odwróciła się i wyszła z jadalni.

Tylko Jaya nadal siedziała na krześle. Zagwizdała cicho.

– Cholera, tym razem naprawdę przegiąłeś, keke.

Żadne z nich nie chciało stawiać czoła rozgniewanemu ojcu, ale to, co zrobiła Wen, było bezprecedensowe.

– Jutro rano odwiedzę Jima Sunto, czy z kim tam rozmawiałeś, i powiem mu, że postąpiłeś nierozsądnie – oznajmił Hilo tonem, który zastraszyłby każdego z jego ludzi. – Nie zostaniesz najemnym żołnierzem, nie okryjesz hańbą siebie i nas wszystkich. Będziesz służył pod rozkazami rogu. Odbędziesz przepisane szkolenie i w przyszłym roku zostaniesz pięścią. Jeśli zrobisz to wszystko, porozmawiamy o znalezieniu dla ciebie jakiejś szansy, w klanie albo poza nim, bo z pewnością nie zostaniesz filarem.

Niko znowu się skrzywił, po czym jego twarz znieruchomiała.

– Nie zmienię swojej decyzji.

– Niko! – zawołał przerażony Ru, otwierając szeroko oczy. – Nie uważasz, że posunąłeś się za daleko? Dałeś już jasno do zrozumienia, że nie czujesz się szczęśliwy. Tata ofiaruje ci drogę wyjścia. Czy nie obchodzi cię, co sądzą twoi rodzice?

Niko spojrzał na młodszego brata ze smutkiem w oczach.

– Masz już osiemnaście lat, Ru. Masz własne życie. Niedługo zaczniesz studiować. Nie potrzebujesz mojej obecności. – Znowu spojrzał na Hila. – Jeśli

chodzi o moich rodziców, nie mam pojęcia, co mogliby sądzić. Mojego ojca zamordowano w wojnie klanowej i w ogóle nie wiedział o moim istnieniu. Moją matkę skazałeś na śmierć za zdradę. Nie zostało mi po niej nic, nawet zdjęcia. W co powinienem wierzyć, jeśli o nich chodzi? – Odwrócił się na moment, ocierając gniewnie twarz. – Co o tym sądzisz, wujku? Czy moi rodzice chcieliby dla mnie takiego losu, czy raczej powiedzieliby mi, żebym uciekał stąd, dopóki mogę?

Serce Hila przeszły ból. Wyciągnął rękę i złapał się mocno za oparcie krzesła. Na krótką, straszliwą chwilę coś w posturze albo głosie Nika, czy może w jego jadeitowej aurze, spowodowało, że filar odniósł wrażenie, iż młodzieniec, którego uważał za swego najstarszego syna, zniknął, a jego miejsca w salonie zajął Lan. Tak bardzo zasadniczy Lan, jedyny człowiek, którego Hilo w swoim czasie był gotów słuchać. Chwila minęła, zostawiając po sobie jedynie przesywający ból, niepewność i żal.

– Twój ojciec wiedział, co to znaczy być zieloną kością. – Głos Hila przesycało napięcie tak silne, że sam ledwie go poznawał. – Nigdy by od nas nie odszedł. Poświęcił dla klanu wszystko, w tym również życie.

– I dlatego nigdy go nie spotkałem. Czy to ma być dla mnie wzór do naśladowania?

Twarcz Nika poczerwieniała. Odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

– Jeśli to zrobisz... Jeśli stąd wyjdiesz i złamiesz serce matce, nie wracaj więcej – zawołał do niego Hilo.

Jaya i Ru rozdziawili usta, wymieniając zaniepokojone spojrzenia.

– Tato... – zaczęła dziewczyna, ale umilkła.

Niko wahał się przez chwilę. Sprawiał wrażenie, że powstrzymuje go jakiś niewidzialny postronek. Wreszcie stanowczo zrobił krok naprzód, jakby wydobywał się z ruchomych piasków. Potem następny i następny. Drzwi zamknęły się za nim i zniknął im z oczu, ale Hilo jeszcze przez kilka długich minut czuł ból wypełniający wzburzoną, oddalającą się od domu aurę jego bratanka.

* * *

Jim Sunto siedział w gabinecie, rozmawiając jednocześnie przez telefon z dwoma pracownikami działu zarządzania zasobami ludzkimi w Departamencie Wojny, gdy nagle doszło do gwałtownego zamieszania przy bramie. W pierwszej chwili pomyślał, że hałas dobiega z placu ćwiczeń, ale potem usłyszał krzyki wartowników:

– Stać! Stać albo strzelamy!

Nie potrzebował jadeitowych umiejętności, żeby wyczuć ich niepokój.

Odłożył słuchawkę i wybiegł z gabinetu, wyciągając broń. Wypadł z budynku przez drzwi wejściowe i w jednej chwili ujrzał całą scenę. Siatkę ogrodzeniową za budką wartowników rozerwano, a rolowaną bramę wyrwano z prowadnic i przekrzywiono. Dwaj mężczyźni w mundurach MRG leżeli na ziemi. Dzięki Bogu, obaj żyli. Czterej kolejni unosili broń i krzyczeli. Dwaj mieli karabiny R5, a dwaj pozostali pistolety corta kalibru 9 mm.

Kaul Hiloshudon przeszedł przez dziurę w płocie w towarzystwie swych czterech zielonych kości i ruszył w stronę budynku, beztroski i niepowstrzymany jak demon. Najbliższy z wartowników wystrzelił do niego dwa razy. Sunto mógłby mu powiedzieć, że małokalibrowa broń nie ma szans zranić wyszkolonej zielonej kości z odległości stu metrów. Kaul warknął wściekle i Odbił pociski. Jego pięści ze złowrogim szelestem wyciągnęły broń – pistolety ankev 600 oraz guan dao ze stali węglowej.

– Wstrzymać ogień! – ryknął Sunto do swoich żołnierzy. Wybiegł przed nich, wymachując rękami. – Kurwa, wstrzymać ogień, niech was Wieszcz przeklnie! Kaul, do chuja, chcesz tu urządzić krwawą jatkę? – zawołał do intruzów, przechodząc na kekoński. – Każ swoim ludziom się wycofać!

Hilo zatrzymał się i przeszył Sunta przerażającym spojrzeniem.

– Ty zaszczany gównojadzie, zwerbowałeś mojego syna!

– Nie zrobiłem niczego w tym rodzaju. Sam do mnie podszedł na jednym z naszych spotkań informacyjnych. – Bardzo powoli schował cortę do kabury i uniósł puste dłonie. – Opuścić broń! – rozkazał po espeńsku swoim ludziom.

– Poruczniku... – zaczął jeden z nich.

– Powiedziałem opuścić broń!

Sunto ćwiczył z najlepszymi zielonymi kośćmi z klanu Bez Szczytów i wiedział, na co je stać. Jeśli zacznie się strzelanina, rzucą prawdziwy huragan połączonych Odbijań, potem skrócą dystans do przeciwników i w kilka chwil wykończą jego ludzi białą bronią.

– Zastanów się, co robisz – rzekł Kaulowi. – Czy chcesz wziąć na siebie odpowiedzialność za niesprowokowany atak na espeńską firmę i jej pracowników? Chodźmy do mojego gabinetu i porozmawiajmy jak cywilizowani ludzie.

Przez wszystkie lata ich znajomości Sunto nie był pewien, czy opowieści, które słyszał o Kaulu Hilu są prawdziwe. Teraz doszedł do wniosku, że zapewne są. Poznawał pięści towarzyszące filarowi. To byli Lott, Vin, Suyo i Toyi. Spędził z nimi sporo czasu, szkolił ich i uczył się od nich, ale wystarczyłoby jedno słowo Kaula, a zamordowałiby jego i wszystkich jego żołnierzy. Nic

dziwnego, że Kekończyków powszechnie uważa się za dzikusów, pomyślał z żalem i złością.

Hilo przymrużył powieki i obejrzał się przez ramię.

– Zostańcie tutaj – rozkazał Lottowi.

Sunto odetchnął głęboko. Napięcie opadło. Ludzie po obu stronach opuścili powoli broń. Od chwili zakończenia ich przyjaźni Kaul ani razu nie skontaktował się z byłym Aniołem Marynarki ani nie odwiedził ośrodka szkoleniowego MRG na Eumanie. Teraz jednak ominął Sunta i wszedł do budynku, jakby był właścicielem gruntu, na którym go zbudowano.

Porucznik podążył za nim i otworzył drzwi do swego gabinetu. Filar wszedł do środka, ale nie usiadł. Obrzucił krótkim pogardliwym spojrzeniem utilitarne meble i biurowy wystrój pomieszczenia, jakby zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał.

– Ostrzegałem cię, żebyś trzymał swe interesy z dala od Kekonu – oznajmił z zimnym rozczarowaniem człowieka gotowego spełnić groźbę. – Nie posłuchałeś mnie.

Sunto przeszedł za biurko, żeby zachować dystans między nimi.

– Ja tylko urządziłem spotkania informacyjne dla potencjalnych kandydatów na pracowników. Wszystkie firmy to robią. – Łatwo było przewidzieć, że to wywoła gniew klanów, ale nie mógł sobie pozwolić na powściągliwość w werbowaniu. Powodzenie kontraktu z operacją „Pas Przeciwpożarowy” zależało od tego, czy jego firma zdoła zgromadzić wystarczająco wielu ludzi. –

Jesteśmy zainteresowani zatrudnieniem byłych żołnierzy albo ludzi, którzy odbyli prywatne szkolenie na wystarczającym poziomie. Nie próbowaliśmy podkraść klanom zielonych kości, ale będziemy rozmawiać ze wszystkimi zainteresowanymi i wykwalifikowanymi kandydatami.

– Zerwij umowę, którą zawarłeś z Nikiem – zażądał Hilo. – Mój syn nie będzie marnował swojego jadeitu w twojej prywatnej, rzadkokrwistej armii.

– Rzadkokrwistej – powtórzył drwiącym tonem Sunto. – Tak właśnie zawsze nazywałeś wszystkich, którzy nie słuchają twoich rozkazów i nie chcą się podporządkować twojemu zaściankowemu systemowi wartości, prawda? Nie jestem twoim podwładnym, Kaul. A MRG nie płaci ci daniny. Twój syn jest dorosły. Pytałem go kilka razy, czy rzeczywiście jest pewien, że chce to zrobić, a on za każdym razem zapewniał mnie, że tak. Podpisał już kontrakt i wypłaciliśmy mu premię motywacyjną.

Hilo położył dłonie na blacie biurka i pochylił się w stronę Sunta.

– Pod twoją kekońską twarzą kryje się brudna, espeńska dusza – stwierdził ściszym głosem. – Pieniądze do ciebie przemawiają, prawda? Dam ci dziesięć razy więcej, niż już mu zapłaciłeś, jeśli wycofasz swoją ofertę.

Sunto łypnął na niego ze złością.

– Prawo zakazuje przekupywania szefa firmy, żeby zwolnił pracownika.

– Przed laty powiedziałeś mi, że nie przybyłeś tu, by wywoływać kłopoty, ale teraz twoi żołnierze bronią statków, które kradną kekoński jadeit. Nie próbuj demonstrować moralnej wyższości. – Spojrzenie Kaula było zimne i spokojne, podobnie jak jego głos. – Wiedziałeś, że przyjmując Nika do pracy, szkodzisz klanowi Bez Szczytów i niszczysz moją rodzinę. Ale i tak to zrobiłeś. Gdyby na twoim miejscu był ktokolwiek inny, zabiłbym go. Ale z uwagi na naszą dawną przyjaźń proszę, byś wyświadczył mi osobistą przysługę. Jeśli to cię nie wzrusza, spójrz na to pragmatycznie i zadaj sobie pytanie, czy rzeczywiście chcesz, żebym został twoim wrogiem.

Sunto tego nie chciał. Urodził się na Kekonie i od piętnastu lat spędzał tam większość czasu. Wiedział, jak potężne są klany i jak bezlitośni potrafią być ich przywódcy. Z pewnością nie uważał się za zarozumiałego i nieostrożnego człowieka, który nieświadomie naraża się na niebezpieczeństwo.

Twarda rzeczywistość wyglądała jednak tak, że tylko trzy kraje posiadały wyszkolonych, używających jadeitu żołnierzy – Republika Espenii, Ygutan i Kekon. Większość pracowników MRG służyła dawniej w espeńskich siłach specjalnych, ale Sunto potrzebował więcej ludzi. Niestety okazało się, że wynajęcie byłych lub obecnych członków Kompanii Złotych Pająków – niektórych z nich sam wyszkolił, gdy pracował z generałem Ronu nad reformą kekońskiej armii – okazało się trudniejsze, niż się spodziewał. Zielone kości, nawet niepowiązane z klanami, nie chciały zatrudniać się w zagranicznej firmie, a większość Kekończyków nadal uważała, że lista zawodów, które wolno wykonywać ludziom noszącym jadeit, jest ściśle ograniczona.

Gdyby Kaul Nikoyan zatrudnił się w jego firmie, mogłoby to się okazać punktem zwrotnym. Inne zielone kości podążyłyby za jego przykładem. Kandydatom takim jak on brakowało wojskowego doświadczenia, ale nadrabiali to jadeitowym talentem. Napływ tego rodzaju rekrutów zapewne bardzo szybko zwiększyłby możliwości MRG. Klan Bez Szczytów nie mógł potępić bądź ukarać jego firmy ani tych, którzy postanowili się w niej zatrudnić, gdyby jednym z nich był syn filaru.

– Kieruję espeńską firmą – oznajmił Jim, patrząc Kaulowi w oczy. –

Z mojego punktu widzenia twój syn jest naszym pracownikiem, dopóki z własnej woli nie postanowi nas opuścić.

– Nie jestem pewien, czy rozumiesz, co robisz – odparł Hilo pozbawionym wyrazu głosem.

Sunto rozumiał. Od powodzenia operacji „Pas Przeciwpozarowy” zależał sukces MRG, jego osobista reputacja, a być może nawet los świata

prawdonośców. Art Wyles był nieznośnym, pełnym samozadowolenia oligarchą i otaczano go powszechną niechęcią, ale dał Jimowi największą szansę w jego życiu i poręczył za niego w Departamencie Wojny i Stowarzyszeniu Producentów Broni. Przekonał też wszystkich udziałowców Anorco, a jeśli wierzyć pogłoskom, byli wśród nich pewni ludzie z Port Massy, z którymi Sunto wolałby nie zadzierać.

Jim wiedział też, że jako espeński obywatel i były Anioł Marynarki pracujący dla rządu RE jest otoczony szczególną ochroną. Kaul mógł być na tyle nieostrożny, że spróbuje pozbawić go życia, ale naraziłby się w ten sposób na śledztwo i sankcje, a nawet to nie zniszczyłoby MRG. Wyles po prostu wynająłby kogoś innego, żeby kierował firmą. Po zastanowieniu Santo doszedł do wniosku, że woli zaryzykować konflikt z Kauliem niż narazić się espeńskim udziałowcom, bo w tym starciu nie miałby podobnej ochrony.

– Wolałbym nie być twoim wrogiem, Kaul – odpowiedział, nie ruszając się z miejsca. – Ale nie boję się ciebie.

Filar się wyprostował. Sunto przypomniał sobie chwilę, gdy spotkał się z nim po raz pierwszy, w Siódmej Dyscyplinie. Spodziewał się, że wyląduje w szpitalu, i zdziwił się, że Kaul zachował się przyjaźnie, choć otaczała go aura swobodnej arogancji. Uśmiechał się też częściej, niż należałoby tego oczekiwać od człowieka o takiej reputacji. Teraz to wszystko zniknęło bez śladu. Jim pomyślał o córce pozostającej w zasięgu jego prawej dłoni.

– Być może masz rację, sądząc, że nie musisz się niczego bać – stwierdził Hilo. – Nie mogę do niczego zmusić zagranicznej firmy, a wiem, że nie jesteś człowiekiem, którego łatwo można zastraszyć albo zabić. Na krótką metę może to się okazać dla ciebie korzystne. Ale ja nie zapomnę, że odrzuciłeś naszą przyjaźń i zabrałeś mi syna dla własnej korzyści. – Promieniująca od niego jadeitowa energia wydawała się nieludzko jasna. Filar znieruchomiał. – Zapewniam, że prędzej czy później odpowiem na tę zniewagę.

– Powinieneś zadać sobie pytanie, dlaczego twój syn wolał pracować dla MRG niż zostać w twoim domu. Klany zielonych kości stały się przestarzałe. Nawet twoja rodzina to dostrzega. – Sunto poruszył podbródkiem. – A teraz zabierz swoich ludzi i opuść teren mojej firmy.

Przez przerażającą chwilę wyraz twarzy Kaula sugerował, że filar jednak ucieknie się do brutalnej przemocy, która była jego pierwotnym zamiarem. Mijały sekundy, dłuższe i nieporównanie bardziej nerwowe niż w czasach, gdy mierzyli się ze sobą na trawniku w posiadłości Kaulów.

Ogień w oczach Hila przygasł, skrył się za czarnymi węgielkami.

– Łatwo zauważyć, że nie jesteś ojcem, poruczniku. – Kaul zwrócił się ku drzwiom. – W przeciwnym razie nie byłbyś taki pewien, że jesteś

niezwyciężony.

Sunto podążył za filarem, trzymając się na bezpieczną odległość, i obserwował, jak Hilo przywołuje gestem swe zielone kości i opuszcza teren firmy przez zniszczoną bramę.

ROZDZIAŁ 35

CI, KTÓRZY MAJĄ WYBÓR

Gdy koła samolotu dotknęły pasa startowego na janloońskim lotnisku, Anden potarł oczy i wyrztał przez okno na zimowe, popołudniowe niebo. Jego myśli nadal przebywały na drugim brzegu Amaryku. Jako członek Międzynarodowej Rady Certyfikacji Praktyk Medycyny Bioenergetycznej latał do Espanii co najmniej dwa razy w roku, by sprawdzać przestrzeganie standardowych procedur. To oznaczało, że spędzał w powietrzu jeszcze więcej czasu niż prognostyczka. Przynajmniej w samolotach nie wolno już było palić, a srebrny status w Kekońskich Liniach Lotniczych zapewniał mu wygodniejszą podróż niż kiedyś.

Przywoził dobre i złe wieści. Te pierwsze brzmiały tak, że wykorzystanie jadeitu cieszyło się w Espanii coraz większą akceptacją dzięki działalności WBH Focus i Stowarzyszenia Kekońskich Espeńczyków. Złą wiadomością było natomiast to, że na każdą pozytywną wiadomość o kekońskim jadeicie odpowiadały bardzo negatywne. Jon Remi, Zły Keczek z Resville, zdobywał w tym mieście coraz większe wpływy i nadal udawało mu się unikać śmierci z rąk rywali albo aresztowania przez policję.

– Wiele razy próbowaliśmy przemówić Remiemu do rozsądku, przekonać go, by mniej rzucał się w oczy – wyjaśnił Migu Sun na ostatnim zebraniu kierownictwa SKE, w którym uczestniczył Anden. – Ale jego nie da się okiełznać.

Cory był skrajnie sfrustrowany.

– Zielone kości ze wszystkich innych miast zerwały wszelkie kontakty z Remim i jego głowami węży. Współpracujemy z agencjami federalnymi i przekazujemy im wszelkie informacje mogące pomóc policji w aresztowaniu go. Może to zabrzmieć okropnie, ale jeśli wkrótce go nie przyymkną, mam nadzieję, że załatwi go ktoś z paczek – mruknął z przygnębieniem.

Czekając na bagaż, Anden pomyślał, że problem z Espeńczykami polega na tym, że nie czują lojalności do niczego oprócz pieniędzy. Na Kekonie zawsze istniały dwa fundamenty władzy, złoto i jadeit. Żadna suma pieniędzy nie mogła uczynić człowieka jadeitowym wojownikiem, jeśli w jego żyłach nie płynęła odpowiednia krew i nie przeszedł koniecznego szkolenia. Nawet najbogatszych można było zabić. Jeśli ktoś nie nosił jadeitu, potrzebował przyjaźni tych, którzy go nosili. Zawsze istniało coś, co utrzymywało równowagę.

W innych krajach nie było to prawdą. Stowarzyszenie Kekońskich Espeńczyków nie było klanem mogącym narzucać swe życzenia całemu krajowi. Anden odnosił przygnębiające wrażenie, że Jon Remi stawał się nowym wzorem tego, jak odnieść sukces w Espenii jako zielona kość. Stawał się coraz bogatszy i potężniejszy, i będzie przyciągał wciąż nowych zwolenników, którzy będą chcieli się stać tacy jak on.

Taksówka, którą wracał z lotniska, musiała się przebijać przez świąteczny ruch uliczny przez całą drogę do jego mieszkania. Podczas długiej jazdy Anden starał się oczyścić głowę z pesymistycznych myśli i przenieść swą uwagę na teraźniejszość. Zrobił wszystko, co mógł, by pomóc swoim przyjaciółom w Port Massy i wesprzeć interesy klanu Bez Szczytów w tym kraju. Reszta pozostawała poza jego kontrolą.

Gdy wszedł do mieszkania, zastał tam Jirhuyę, który siedział na kanapie w salonie, oglądając sztukę konceptualną.

– Długo ci to zajęło. – Jirhu westchnął, oderwał się od pracy, podniósł się z gracją i pocałował Andena. Pachniał mydłem i płynem po goleniu. Przed chwilą wziął prysznic i się ogolił, jego szorstkie, kręcone włosy nadal były mokre.

– Samolot się spóźnił, a na ulicach były korki – wyjaśnił Anden.

– Wybacz, że nie okazałem się dobrym chłopakiem i nie zrobiłem ci kolacji, *miyan*. – Zawsze tak nazywał Andena, to słowo znaczyło po abukejsku „mój”. – W lodówce nie było zbyt wiele, a ja nie miałem czasu zrobić zakupów.

– Nieważne. Możemy gdzieś pójść. – Nie czuł się jeszcze głodny. Według czasu z Port Massy było jeszcze wcześniej rano. – Albo możemy zamówić coś tuńskiego.

– Zostańmy tutaj. – Jirhu objął go jedną ręką w pasie, a drugą uściśnął mu dłoń i powędrował z nią do jego pośladka. – Minęło dziesięć długich dni, nim wróciłeś z drugiego końca świata.

Drugi pocałunek był głębszy.

Anden poczuł, że jego barki się rozluźniają. Poruszenie między jego nogami przegnało ospałość pozostałą po podróży. Rzucił torbę na podłogę, przechylił głowę Jirhu do tyłu i zaczął całować jego żuchwę i szyję. Oddychał głęboko,

wciskając usta w dołeczek nad gardłem partnera. Jirhu pociągnął go w stronę sypialni, a Anden podążył za nim, mimo że miał lekkie opory. Zawsze był gotowy dać Jirhu to, czego ten pragnął, ale czuł się zmęczony podróżą i wolałby grać bierną niż czynną rolę. Wystarczyłoby też, gdyby po prostu nacieszyli się nawzajem swoimi ciałami za pomocą ust i dłoni.

Jirhu posadził partnera na brzegu łóżka, jakby wyczuwał jego opory, rozpiął mu koszulę i przesunął palcami po jego piersi i brzuchu. Następnie przykucnął między jego kolanami i rozpiął mu spodnie.

– Odpreź się. Sam wszystko zrobię.

Anden odchylił się do tyłu, wsparł na rękach i zamknął oczy. Czuł, że resztki stresu odpływają z jego ciała, ustępując miejsca pożądaniu. Jirhu wprawnie zaprowadził go na szczyt. Gdy ciepło ust partnera się wycofało i usłyszał trzask otwieranej buteleczki z lubrykantem otworzył oczy i wdrapał się na łóżko. Jirhu wspierał się już na rękach i kolanach, dysząc mocno z namiętności. Wyglądał pięknie – szczupłe, smagłe ciało, gładkie plecy, łuk barków przechodzący w piękne ramiona, twarde półkule pośladków. Dawno temu Cory nauczył Andena, żeby się nie śpieszyć, najpierw robić użytek z ust i palców, wchodzić powoli i delikatnie, pamiętać o tym, jak sam chciałby być traktowany. Jirhu jednak czasami bywał zaskakująco niecierpliwy. Nakrył Andena ciałem, złapał za wezłowie łóżka, uniósł biodra i zaczął rytmicznie nimi poruszać. Jirhu lubił dużo gadać – okropnie dużo, choć Anden musiał przyznać, że to go bardzo podnieca. Domagał się, by partner gryzł go w bark, łapał za biodra, dawał mu klapsy w pośladki i głaskał członek. Gdy osiągnął szczyt, wyjęczał serię pełnych ekstazy przekleństw. Anden czuł się jak unieruchomiony na foteliku kolejki górskiej. Jirhu poruszał się gwałtownie i wprawnie, ściskając go mocno, aż wreszcie Anden osiągnął szczytowy punkt i runął z drzeniem na partnera.

Przez chwilę leżeli bez ruchu, ciesząc się echem minionej chwili.

– Byłem trochę zbyt samolubny – przyznał Jirhu z pewną nieśmiałością, lecz bez przeproszającego tonu.

– Lubię, kiedy jesteś natarczywy – uspokoił go Anden.

Być może chodziło o to, że Jirhu miał więcej partnerów, a może jako Abukei był wolny od pewnych kulturowych zahamowań. Tak czy inaczej, zawsze wiedział, czego pragnie. Był pełen determinacji i dobrze się czuł we własnym ciele, nie tylko w łóżku, lecz również gdy chodziło o jego pracę, artystyczną wizję oraz opinie na wszelkie tematy.

Anden wstał i wziął prysznic, bez pośpiechu ciesząc się gorącą wodą spływającą mu po plecach. Kiedy wytarł się i ubrał, Jirhu zamówił już kolację na wynos w restauracji Smaki Tun, składającą się z baraniny z soczewicą, smażonych ziemniaków z ziołami oraz warzywnych klusek. Przyniesiono ją po

kilku minutach. Zjedli posiłek przy stole w kuchni Andena. Ich kolana stykały się, gdy wyjmowali jedzenie z kartonowych pojemników, nakładając je sobie nawzajem na talerze.

– Całe szczęście, że niedługo będziemy mieli więcej miejsca – stwierdził Anden.

Znalazł większe mieszkanie w odległości trzech przecznic stąd, w tej samej części Starego Miasta. Mieli się tam przenieść w przyszłym miesiącu.

Spotykali się już od półtora roku. Jirhu miał klucz do mieszkania Andena, a ponieważ było stąd bliżej do miejsca, w którym pracował, przebywał w nim równie często, jak we własnym. Anden dobrze zarabiał jako lekarz i był z natury oszczędny, więc pomimo wysokich cen nieruchomości w Janloonie mógł sobie pozwolić na kupno domu, ale Jirhu nie chciał o tym słyszeć, dopóki nie będzie w stanie pokryć połowy kosztów. Jako artysta nie zaoszczędził zbyt wiele, ale praca dla Wybrzeża Kin zapewniała mu znacznie większe dochody, i być może wkrótce będą mogli znowu się przeprowadzić.

– Będę tęsknił za tym mieszkaniem – oznajmił z uśmiechem. – Jest bardzo podobne do ciebie.

Wskazał schludne, prosto urządzone pomieszczenia, regały oraz półki, które jego partner sam zrobił z drewna i pomalował, ciężki worek treningowy wiszący w salonie i małe przedmioty oraz dziecięce rysunki z czasów, gdy dzieci jego kuzynów były znacznie mniejsze. Anden spodziewał się, że w ich nowym mieszkaniu Jirhu i Wen natychmiast wezmą się do roboty i wszystko udoskonalą. Sprowadzą atrakcyjniejsze meble i zadbają o to, by kolory się nie gryzły.

– Zbliża się klanowe przyjęcie noworoczne – oznajmił Anden. – W tym roku urządzi się je w hotelu Gwiazda Generalska. Będą tam wszystkie ważne osoby z klanu Bez Szczytów. Chciałbyś tam ze mną pójść? Pytałem filar, czy mogę przyjść z tobą, i powiedział mi, że nie ma nic przeciwko temu.

Powiedział to od niechcenia, jakby chodziło o jakiś drobiazg, prawda jednak wyglądała tak, że zapytał o to Hila już dawno temu, ale czekał na powrót z Espenii, by powiedzieć o tym Jirhu w odpowiednim momencie. Mógł sobie sypiać, z kim chciał, albo nawet z nim mieszkać, ale pojawienie się z kimś na największym klanowym przyjęciu w roku, wyprawianym przez sam filar, to było coś zupełnie innego.

Zwlekał przez wiele tygodni, nim wreszcie zebrał się na odwagę i poszedł do gabinetu filaru.

– Hilo-jen – zaczął, starając się nie okazywać skrępowania. – Spotykam się z kimś już od ponad roku. Nie jest zieloną kością ani członkiem klanu, ale dobrze nam ze sobą i zamierzamy zamieszkać razem. Chciałbym go przyprowadzić na noworoczne przyjęcie.

– Mówisz o tym Abukei – stwierdził Hilo. – Zrób to, jeśli chcesz.

Anden spojrzał na niego ze zdziwieniem. Spodziewał się, że usłyszy więcej pytań.

– Nie... nie masz nic przeciwko temu?

Hilo oderwał spojrzenie od sterty kart, które Wen zostawiła mu do podpisania. Wziął pilota i wyciszył telewizor, do tej pory grający cicho w tle.

– Gdybym miał, to czy nie wspomniałbym o tym? Wen opowiedziała mi o nim już dawno temu i poprosiła o pozwolenie w twoim imieniu. Wiedziała, że minie kupa czasu, nim zdecydujesz się zrobić to sam. – Napisał swoje nazwisko i przystawił na karcie czerwony klanowy stempel, po czym przeszedł do następnej. – Twoje życie osobiste to wyłącznie twoja sprawa, Andy, pod warunkiem że nie wpływa na sprawy klanowe.

Anden nie potrafił potem powiedzieć, dlaczego tak go zaskoczyła nonszalancja kuzyna. Powszechnie w społeczeństwie uprzedzenia wobec Abukei sprawiły, że spodziewał się dezaprobaty filaru. Z tego związku nie zrodzą się jednak dzieci, a żaden Abukei nigdy nie będzie mógł osiągnąć wysokiej pozycji w klanie zielonych kości. Wszyscy odnosili się do nich podejrzliwie, co sprawiało, że okazywali się w praktyce bezużyteczni jako białe szczury, a w pozostałych sytuacjach byli bezradni i chroniło ich *aisho*. Żaden nieprzyjaciel nie zawracałby sobie głowy atakowaniem ich. Wszystko to czyniło Jirhuyę bezpiecznym partnerem dla Andena. Ta myśl przyniosła mu ulgę, lecz równocześnie poczuł się lekko urażony.

W okna mieszkania Andena zabębnił lekki deszczyk. Zimą to był rzadki gość. Zmoczy jezdnie, ale nie potrwa długo. Jirhuya poruszał resztkami kolacji na talerzu.

– Proszę, nie obraż się na mnie, ale... wolałbym nie iść na to spotkanie. –

Spojrzał Andenowi w oczy, ale po chwili opuścił przepaszająco wzrok. – Ciężko pracowałem na własne nazwisko i nie pozwolę, żeby uznano mnie za protegowanego rodziny Kaulów.

– Co to ma znaczyć? – zapytał oburzony Anden.

– Jedydami Abukei będą tam odźwierni i kelnerzy. Jak mnie przedstawiś? Jako swojego „przyjaciela”? Wyjdzie na to, że przyprowadzono mnie tam, żeby zademonstrować szczodrość rodziny Kaulów.

– Nieprawda. Pytałem filar, czy mogę przyjść z tobą. To był mój pomysł, nie jego. – Anden nie spodziewał się, że napotka opór w tej sprawie. Był przekonany, że jego partner się ucieszy, i poczuł się urażony, gdy Jirhu przypisał jego rodzinie tak powierzchowne motywy. – Nie tylko ty będziesz się wyróżniał – nie ustępował Anden. – Jestem sierotą mieszanej krwi, adoptowaną w dzieciństwie przez rodzinę Kaulów. Czy ja również jestem ich protegowanym?

Jirhu potrząsnął głową.

– Twoja matka i twoi wujkowie byli sławnymi jadeitowymi wojownikami. Uczyłeś się w Akademii i wykształcili cię Kaulowie. Nawet jeśli jesteś teraz lekarzem, nadal pozostajesz zieloną kością z klanu. A to oznacza, że jesteś bardziej kekoński ode mnie, ponieważ bez względu na kolor twojej skóry, ludzie widzą zieleń. – Jirhu wstał od stołu, zabrał swój talerz i wrzucił go do zlewu. – Jeśli jesteś Abukei, nie możesz być zielony. Nie możesz być niczym innym jak Abukei.

Anden do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo cieszył się na myśl, że pokaże Jirhuyę całemu klanowi, wiedząc, że nikt się nie ośmieli pociągać za płatek ucha na jego widok w obecności filaru i całej rodziny Kaulów. Był przekonany, że partner, któremu naprawdę na nim zależało, ucieszy się z szansy poznania jego kuzynów.

– Myślałem, że jesteśmy ze sobą na poważnie – wygarnął w przypiływie nagłego bólu. – To wielkie wydarzenie dla klanu Bez Szczytów. Miałem nadzieję, że będziesz tam ze mną.

Jirhuya odwrócił się i zacisnął dłonie na krawędzi lady za plecami.

– Wybacz. Nie chcę niczego zawdzięczać twojej rodzinie. I nie chcę, żeby ktokolwiek myślał, że tak jest.

– Wszyscy coś zawdzięczają klanom! – zawołał Anden. – Myślisz, że przemysł filmowy byłby tym, czym jest teraz, i mógłbyś robić w nim karierę, gdyby moja szwagierka nie zainwestowała w Wybrzeże Kin?

– W tym właśnie rzecz. Klany rządzą wszystkim. Tworzą i niszczą ludzi, firmy, a nawet całe przemysły. Szczęście sprzyjało mi bardziej niż większości Abukei. – Ojciec Jirhui utopił się, szukając okruchów jadeitu spływających rzeką z kopalni, ale wychowała go matka mieszanej krwi oraz kekoński dziadek i był dobrze wykształcony, co otwierało przed nim szanse niedostępne dla wielu jego współplemieńców. – Nie chcę, żeby ludzie myśleli, że zawdzięczam wszystko klanowi Bez Szczytów – dodał ciszej, bardziej niepewnym głosem. – Proszę, *miyan*, spróbuj to zrozumieć.

Anden pomyślał, że z pewnością tego nie rozumie. Otwierał już usta, żeby to powiedzieć, lecz nagle ktoś zapukał do drzwi. Obaj mężczyźni przerwali spór i wymienili zdziwione spojrzenia. Nie spodziewali się niczyjej wizyty. Pukanie powtórzyło się, głośniejsze i pełne desperacji.

Anden otworzył drzwi i ze zdziwieniem ujrzał swego bratanka. Na jego twarzy malowały się ból i rozpacz. Woda spływała mu z mokrych włosów, zalewając oczy.

– Niko! – zawołał Anden i wpuścił go do środka. – Co się stało? Spotkało cię coś złego?

Młody mężczyzna tarł moką twarz rękawem.

– Wujku Andenie, czy mogę na pewien czas zostać u ciebie?

* * *

Następnego popołudnia Anden pojechał do rezydencji Kaulów. Pierwszą osobą, którą tam spotkał, była Jaya. Stała przy bramie z dwójką kolegów z Akademii. Wszyscy trzymali pod pachami deskorolki.

– Może lepiej nie rozmawiaj z nim w tej chwili – ostrzegła go. Kiedy ją spotykał, zawsze rzucała jakiś żarcik. Tym razem nawet się nie uśmiechnęła i natychmiast uświadomił sobie, że to zły znak. – Jest w paskudnym nastroju.

Anden wszedł do budynku. Grube, drewniane drzwi gabinetu były zamknięte. Anden słyszał dobiegający zza nich podniesiony głos filaru oraz odpowiedzi Lott Jina, ale nie rozumiał, o czym rozmawiają. Poszedł do kuchni, otworzył szafkę, wyciągnął szklanekę i butelkę hoji, po czym nalał sobie odrobinę trunku dla wzmocnienia odwagi. Następnie stanął przy drzwiach na patio i wyjrzał na dziedziniec oraz ogród. Zauważył, że na trawniku leżą rozrzucone fragmenty betonowych bloków, niektóre w odległości kilku metrów. Najwyraźniej ktoś ciskał nimi w gniewie.

Drzwi gabinetu się otworzyły i wyszedł zza nich Lott Jin. Wyglądało na to, że nowy róg otrzymał niezły ochrzan. Na jego twarzy malowały się ból i złość, pomieszane z ulgą, że ma już to za sobą i obyło się bez poważniejszych osobistych konsekwencji.

– Co się stało? – zapytał Anden.

– Niko jest skończony – odpowiedział Lott. – Pozbawiono go rangi i zablokowano jego konta. Nie otrzyma żadnej pomocy od klanu. Filar miał ochotę przywlec go tu siłą i odebrać mu jadeit. Może tobie uda się przemówić mu do rozsądku – dodał Lott, widząc zdumioną minę Andena. – Jego zdaniem spierdoliłem sprawę z chłopakiem, nie byłem dla niego odpowiednim mentorem, nie stwarzałem mu szans i nie naciskałem na niego wystarczająco mocno.

– To nie ma nic wspólnego z tobą – zapewnił Anden.

– Wiesz, jaki on jest – odparł Lott i wyszedł.

Anden wszedł do gabinetu. Hilo stał za biurkiem, trzymając w ręce słuchawkę i przeglądając książkę telefoniczną. Kostki dłoni miał niezdarnie zabandażowane. Usłyszawszy otwierające się drzwi, zerknął niecierpliwie na Andena.

– Czego chcesz, Andy? – zapytał.

Znalazł numer, którego szukał, i zaczął naciskać guziki.

– Nie rób tego.

– Czego? – warknął.

Anden podszedł do biurka, zmuszając filara do zwrócenia na niego uwagi.

– Tego. Nie kieruj na Nika własnego gniewu i poczucia winy, dlatego że nie trzyma się planu, który dla niego stworzyłeś. Nie odpychaj go dlatego, że czujesz się urażony i wzgardzony z powodu decyzji, jakie podjął. Postępowałeś tak już przedtem, ze mną, z Shae, a nawet z Wen. Bogowie w niebie, nie rób tego własnemu synowi.

Hilo odłożył słuchawkę tak mocno, że cały telefon aż podskoczył na biurku.

– On nie jest moim synem – warknął. – Nigdy nie był podobny do mnie, nawet w najmniejszym stopniu. Jest skłonny do melancholii jak Lan, a także płytki i nielojalny jak Eyni.

– Niech bogowie obdarzą ich uznaniem – wyszeptał Anden.

– Tolerowałem u niego bardzo wiele syfu. – Pod gniewnym spojrzeniem kuzyna Anden dostrzegł zdumienie i ból. – Wiem, że jest młody i potrzebuje trochę swobody, żeby się buntować. Dawałem mu jej tyle, ile uważałem za rozsądne. Ale tym razem, kurwa, naprawdę przegiął. Chce zmarnować jadeit i szkolenie, które zawdzięcza rodzinie, żeby walczyć dla obcych, dla cudzoziemców, i to tylko za pieniądze. Nawet *barukani* są lepsi. Jesteś lekarzem, Anden. Nie mów mi, że zgadzasz się z tym, co chce zrobić.

Anden opuścił wzrok, a potem znowu spojrzał na filara.

– Nie zgadzam się z jego decyzją, ale uważam, że twoja reakcja jest jeszcze gorsza.

– Nie próbuj mnie przekonywać, Andy.

W głosie filaru słyszało się nutę groźby, która w dawnych czasach natychmiast uciszyłaby Andena, podobnie jak uciszała większość ludzi.

– Wiem, że nie ma sensu z tobą dyskutować, kiedy jesteś taki wściekły.

– Ktoś przynajmniej ma odrobinę rozsądku. – Hilo odwrócił się i otworzył szufladę. – W takim razie zostaw mnie samego. Nie jestem w nastroju do rozmów.

Wyciągnął paczkę papierosów i zaklął, gdy się przekonał, że jest pusta. Zapomniał, że Wen je wyrzuciła, próbując odzwyczaić go od nałogu.

Anden nie ruszył się z miejsca, w którym stał.

– Pozwól Nikowi przyjąć tę pracę – poprosił. – Pozwól mu zachować rangę, pieniądze i jadeit. Powiedz mu, że nie zgadzasz się z jego decyzją, ale nadal pozostaje twoim synem i może wrócić do domu, gdy tylko poczuje się gotowy.

Hilo zakasłał nagle, jakby zakrztusił się śliną.

– Czy nie powiedziałeś przed chwilą, że nie będziesz próbował mnie przekonać? Posuwasz się za daleko, kuzynie, jeśli próbujesz uczyć mnie, jak być rodzicem.

– Nic nie wiem na ten temat – przyznał Anden. – Ale pamiętam, czego od ciebie potrzebowiałem, gdy byłem w takim wieku, jak Niko jest teraz. Nie chcę się z tobą spierać. Mówię ci, co powinienesz zrobić, jako ojciec i jako filar. Jeśli wydziedziczysz Nika, stracisz syna, a klan Bez Szczytów straci dziedzica.

– On się nie nadaje na filar – stwierdził Hilo.

– To samo mówiono kiedyś o tobie – przypomniał kuzynowi Anden. – Niko nie jest taki jak ty, podobnie jak ty byłeś inny od Lana. Jest inteligentny, Hilo- jen. Spostrzegawczy. Zawsze stara się dogłębnie wszystko zrozumieć i musi to zrobić na swój sposób, nawet jeśli miałoby to oznaczać przejście na drugą stronę. Mówisz, że jest zimny i samolubny, ale wydaje się taki dlatego, że ukrywa własne uczucia. Nie jest obojętny. Obchodzi go, co o nim myślisz. Sądzę, że od tego również powinien się uwolnić.

Hilo skrzywił się, ale kiedy przemówił, w jego głosie nie było współczucia.

– Jaki komunikat wyślę klanowi, jeśli pozwolę, by uszło mu to na sucho? Kaul wstąpił do zagranicznej prywatnej kompanii najemników? Góra urządzi jebane przyjęcie. Zacznie kraść naszych latarników i polityków. Utracimy poparcie społeczne. Media nas zniszczą. Nawet Shae się ze mną zgadza. A inne palce pomyślą, że skoro syn filaru może się odwrócić plecami do klanu i wykorzystać swój jadeit, żeby wypełnić sobie kieszenie, to czemu oni nie mieliby postąpić tak samo?

– Publicznie zrób to, co konieczne. Potęp postępek Nika. Powiedz wszystkim, że klan Bez Szczytów nie odpowiada za jego czyny, że dopóki nie przestanie pracować dla Sunta, odbierasz mu klanową rangę i przywileje. Powiedz to, co musi powiedzieć filar. Ale przynajmniej porozmawiaj z Nikiem. Nie odwracaj się do niego plecami.

– Dlaczego to ma dla ciebie takie znaczenie? – zapytał Hilo, wyraźnie tracąc cierpliwość.

– Dlatego że tak postąpiłby Lan! – Anden nie miał zamiaru krzyżeć. Spodziewał się, że przyjdzie tu i przedstawi swoje racje ze spokojną, niezachwianą pewnością. Zacisnął drżące dłonie w pięści, aż zbieleły mu knykcie, i oparł je na blacie biurka. – On nie odwróciłby się plecami do żadnego z nas. Zabiłeś matkę Nika, kiedy był małym dzieckiem. Wszyscy w klanie to wiedzą, nawet jeśli o tym nie rozmawiamy. Chłopak zasługuje na szansę, by cię nienawidzić i opuścić klan Bez Szczytów, jeśli tego właśnie potrzebuje. Jesteś mu to winien. – Anden odetchnął głęboko i się wyprostował. – Jeśli wydziedziczysz Nika, ja również odejdę. Opuszczę klan, Hilo.

Filar gapił się na niego, jakby Anden przystawił zapalną do kałuży benzyny.

– Nie zrobiłbyś tego.

– Myślisz, że cię okłamuję?

Hilo mógł Postrzegać jego determinację, wiedziałby, gdyby Anden blefował. Nie odpowiedział mu.

– Od chwili, gdy Lan przyprowadził mnie do tego domu, najbardziej ze wszystkiego na świecie pragnąłem zostać Kauliem. – kontynuował Anden ochryplym głosem. – Z jednej strony nienawidziłem swej espeńskiej krwi, a z drugiej bałem się, że okażę się prawdziwym synem Szalonej Czarownicy. Z upływem czasu uświadomiłem sobie jednak, że nie muszę być Kauliem, jeśli tego nie chcę. Ty i Shae zawsze pozostaniecie Kaulami. Niko, Ru i Jaya również nie mają wyboru. Ale ja mam. – Jego głos przepajała pewność, choć wydawało się, że ściska go w brzuchu z rozpaczy. – Przez lata byłem człowiekiem klanu Bez Szczytów w Espenii. Sam to przyznałeś. Zawarłem potrzebne dla nas sojusze w Port Massy i w Resville. To ja nadzoruję klanowe interesy w dziedzinie ochrony zdrowia, szkolę lekarzy zielonej kości i wystawiam certyfikaty przychodniom. Gdybym odszedł, stracilibyście to wszystko. Może udałoby ci się znaleźć następcę, ale to już nie byłoby to samo i świetnie o tym wiesz.

– Grozisz mi, kuzynie?

W głosie Hila słyszało się raczej zdumienie niż gniew.

– Proszę cię, Hilo-jen – odparł Anden. – O to, byś mi udowodnił, że to nadal jest rodzina, do której pragnę należeć. – Odwrócił się i ruszył ku drzwiom. – Jeśli postanowisz, że chcesz porozmawiać z synem, znajdziesz go w pokoju gościnnym w moim mieszkaniu. Za dwa tygodnie odwiozę go na lotnisko.

ROZDZIAŁ 36

NOWY POCZĄTEK

Jon Remi zawsze jadał posiłki w jednej z trzech kekońskich restauracji w centrum Resville. Jego ulubioną był Janloońska Uczta, choć nie dlatego, że tam najlepiej karmiono (w Kekońskiej Radości, odległej o dwie przecznice, było lepsze jedzenie). Chodziło o to, że ten lokal był najbezpieczniejszy. Restauracja zajmowała dwa piętra w wąskim budynku. Remi zawsze siadał przy zarezerwowanym stoliku pod tylną ścianą na wyższym piętrze. Nim się zjawił, przysyłał dwóch ludzi, którzy mieli sprawdzić, czy nikt nie zastawił na niego pułapki. Kiedy jadł, pilnowali go ochroniarze, zwrócenii twarzami ku schodom, które były jedyną drogą wejścia na piętro. W jedynym, dużym oknie, wychodzącym na schody przeciwpożarowe, którymi można było uciec w nagłej sytuacji, zawsze zasuwano żaluzje.

Choć Zły Keczek nosił wystarczająco dużo jadeitu, by mógł czuć się pewny, że poradzi sobie z większością zwykłych niebezpieczeństw, miał wyjątkowo wielu wrogów, i nie był na tyle głupi, by wierzyć, że jadeditowe talenty obronią go przed dobrze zaplanowaną zasadzką. Każdy szef paczki w kraju uznawał za zniewagę gwałtowny wzrost kekońskich wpływów w półświatku Resville. Kekończycy kontrolowali teraz znaczną część tego przynoszącego wiele zysków miasta. Sporo szefów podejmowało już próby wyeliminowania Remiego i odzyskania części rynku hazardu oraz nierządu, które uważali za swą prawną własność. Jeden z jego samochodów zniszczył ostrzał z przejeżdżającego obok pojazdu, a ostatnio dwóch mężczyzn zdołało się zbliżyć do niego w Niebieskiej Oliwce, jego ulubionym klubie nocnym, i spróbowało go zabić. Ocalał wyłącznie dzięki temu, że przed laty szkoliły go zielone kości z Janloonu. Dwóch paczkowców, którzy chcieli go załatwić, odesłano do ich szefa w workach na ciała.

Oprócz paczek byli też baronowie narkotykowi z Tomascio – wredni, skurwysyńscy zachodniacy. Remi nie mógł także zapominać o tym, że rozgniewał wiele zielonych kości z Port Massy. Oni również mogli spróbować go załatwić, ale ci świętoszkowaci hipokryci zapewne skupiali się na ochronie własnego tyłka i kapowaniu na niego na policję.

Dlatego, gdy Jon Remi usłyszał pogłoski o nowym przybyszu, który odwiedzał miejscowe areny walk i zadawał niedyskretne pytania o Złego Keczka, w pierwszej chwili pomyślał, że wścibski nieznajomy to policyjny kapuś. Kazał swoim ludziom zbadać sprawę, a gdy usłyszał, czego się dowiedzieli, jego podejrzenia pogłębiły się jeszcze i zmieniły charakter. Ta sprawa bardzo go zainteresowała.

– Przyprawdźcie go tu – rozkazał. – Chcę z nim pogadać.

Dzisiejszego wieczoru na piętrze Janloońskiej Uczty obecni byli tylko trzej zaufani ludzie Remiego – głowy węży, którym dano jadeit w nagrodę za zabójstwo paczkowców. Jeden z nich wyjrzał przez szczeliny w żaluzji, usłyszawszy odgłos nadjeżdżającego samochodu i trzask zamykanych drzwi.

– Przyjechali, szefie.

Remi uważnie przyjrzał się nieznajomemu, gdy prowadzono go po schodach na górę, a potem do jego stolika. Mężczyzna zdjął czapkę. Miał na sobie zwykłe brązowe spodnie, wypuszczoną na nie czarną koszulę oraz wyblakłą sztruksową marynarkę. Remi spodziewał się, że będzie się zbliżał do pięćdziesiątki, ale wyglądał na starszego. Miał pooraną bruzdami twarz o twardych rysach, a jego ciemne włosy upstrzyła już siwizna i rzedniały na skroniach. Poruszał się ostrożnym, nieśpiesznym krokiem, ale widoczna w jego postawie czujność i arogancka drapieżność świadczyły, że ma to, co Kekończycy nazywali zieloną duszą.

– Remi-jen – przywitał go ostrożnym tonem Maik Tar, po czym dotknął czoła i ukłonił się płytko.

Jon Remi wskazał mu krzesło. Maik usiadł, napił się wody ze szklanki i usiadł wygodnie. Nie odprężył się – sprawiał wrażenie człowieka, który nigdy tego nie robi – ale nie okazywał też strachu, mimo że miał przed sobą jednego z najślawniejszych królów zbrodni w mieście. Remi przyjrzał mu się z zainteresowaniem i skinął na kelnera.

– Czego się napijesz? – zapytał Maika.

– Tylko wody – odpowiedział ten po kekońsku.

– Nie chcesz nawet hoji? Mamy tu najlepsze marki z Kekonu, nie jakiś tani syf.

– Nie piję – odpowiedział Maik. – Już nie.

Remi wzruszył ramionami i zamówił dla siebie kolejne piwo. Trzy głowy węży przyjrzały się Maikowi z fascynacją i rozczarowaniem, jakby był fikcyjną postacią, która nagle ożyła na ich oczach.

– Powiedz mi, co sprowadza do Resville człowieka, który kiedyś był jedną z czołowych zielonych kości w Klanie Bez Szczytów?

Maik skrzywił się wściekle i przesunął na krześle.

– Jeśli przyprowadziłeś mnie tu po to, żeby rozmawiać o klanie Bez Szczytów, wybrałeś nieodpowiednią osobę – odpowiedział z goryczą. – Nie jestem zieloną kością już od dwunastu lat. Od tego czasu nie dotknąłem jadeitu, nie byłem w Janloonie i nie spotykałem się z rodziną. W Kekonie jestem nikim.

Słowa mężczyzny przesyciała skwaszona rezygnacja, tak silna, że Remi nie wątpił w ich prawdziwość. Poza tym zbadał już przeszłość Maika. Jego kontakty w Port Massy potwierdzały tę wersję. Maik Tara uważano ongiś za jedną z najgroźniejszych zielonych kości po obu stronach Amaryku. Był prawą ręką Kaul Hiloshudona i wysłał osławionego Willuma „Chudziaka” Reamsa w kawałkach na dno zatoki Whittinga. Potem, dwanaście lat temu, zabił pod wpływem nagłego szału własną narzeczoną i wygnano go z klanu Bez Szczytów. Wszystkie źródła informacji potwierdzały, że Maik nie utrzymuje żadnych kontaktów z Janloonem. Nie odwiedzał wyspy, nie telefonował do nikogo stamtąd i nikt nie przysyłał mu pieniędzy. Maik Tar był splukany i nie nosił jadeitu, ale lepiej było z nim nie zadzierać.

– A mimo to po wszystkich tych latach ludzie nadal wiedzą, kim jesteś – zauważał Remi, stukając z namysłem w zęby końcem wykałaczki. – Okryłeś się sławą, choć już dość dawno. Dlatego nie dziw się, że interesuje mnie, dlaczego nagle pokazałeś się w moim mieście.

Maik pochylił się i głośno wypuścił powietrze.

– Port Massy to wielkie miasto, tak wielkie, że nawet ktoś taki jak ja może w nim zniknąć. Ale życie tam zrobiło się za drogie. I jest tam zbyt wielu ludzi, którzy mają kontakty z klanem Bez Szczytów i wiedzą, kim kiedyś byłem. Nie mogę przed nimi uciec. Dlatego uznałem, że nadeszła pora na zmiany. Nowy początek. W Resville jest cieplej i są tu Kekończycy. – Przechylił głowę i spojrzał Remiemu w oczy. Niewielu ludzi potrafiło się na to zdobyć. –

Usłyszałem też, że mieszka tu człowiek, którego nazywają Złym Keckiem, i zacząłem się zastanawiać, czy mógłby mieć dla mnie jakąś robotę.

Remi uniósł brwi, ciesząc się, że jego sława dotarła do uszu kogoś takiego jak Maik Tar.

– Zawsze mogę znaleźć jakąś robotę, którą trzeba wykonać – odpowiedział nonszalancko. – Ale czemu miałbym ufać komuś, kto kiedyś pracował dla Kaulów?

– Ty też dla nich pracowałeś – przypomniał mu Maik. – I to później ode mnie. A teraz jesteś niezależny. – Odwrócił głowę, by przyjrzeć się głowom węży. Remi zauważył jednak, że jego spojrzenie nie zatrzymywało się na drogich garniturach czy butach ani nawet na broni. Wypatrywał błysku zieleni na ich palcach i nadgarstkach. Po chwili skierował uwagę z powrotem na Złego Kecza. – Słyszałem, że dajesz jadeit tym, którzy wykonają dla ciebie dobrą robotę – wycedził powoli. – To coś, czego Kaulowie nigdy już mi nie dadzą.

Remi nie opanował Postrzegania zbyt biegle, ale wyczuwał, że Maik nie kłamie.

– Skąd mam wiedzieć, że nie przysłali cię ludzie z Port Massy?

Maik zamrugał, a potem uśmiechnął się drwiąco.

– Ci tchórze? Chyba żartujesz. – Dwaj ludzie Remiego nie mogli powstrzymać śmiechu. Maik pokręcił głową. – Kiedyś była tam gęsta krew, kiedy Rohn Toro i stary Dauk jeszcze żyli, ale to było dawno temu.

Gdy tylko Remi usłyszał, że Maik Tar zjawił się w mieście i wypytuje o niego, uświadomił sobie, że będzie musiał go zabić albo przeciągnąć na swoją stronę. Teraz był zmuszony przyznać przed sobą, że człowiek o takim kalibrze i skłonnościach do przemocy jak Maik Tar mógłby być dla niego bardzo użyteczny. Potrzebował zdolnych liderów na ulicach. W ciągu trzech ostatnich miesięcy aresztowano dwóch jego najlepszych ludzi i obawiał się, że paczki mogą wykorzystać tę chwilową słabość. Zły Keczek nosił jadeit, ale urodził się w Espenii. Okrył się sławą w Resville, ale to nie mogło się równać z mistyczną aurą tajemnicy otaczającą klany zielonych kości. Keko-Espeńczycy, bez względu na ich opinię o starym kraju, wiedzieli, że najlepsze zielone kości pochodzą z wyspy, bo tam ludzie od dziecka wychowywali się z jadeitem i nosili go otwarcie, poddawano ich twardemu szkoleniu w akademiach, a ich kultura otaczała zielenią czcią. Wszystko to zapewniało im przewagę. Bardzo dobrze byłoby pozyskać kogoś takiego jak Maik Tar.

Jednakże Remi nadal miał wątpliwości.

– Już od wielu lat nie jesteś pięścią.

– Byłem filarowym Kaul Hiloshudona – oznajmił z dumą Maik. – Zlecał mi najtrudniejsze zadania, takie, w których trzeba było przelać krew ostrożnie, o właściwym czasie i we właściwy sposób. Świetnie sobie z tym radziłem, nie tylko dlatego, że byłem młody i zielony. Miałem odpowiednie podejście. – Wyraz żalu opadł nagle na jego twarz niczym maska. – Popełniłem tylko jeden, straszliwy błąd i nigdy już nie będę mógł wrócić do domu. Pragnę znowu wykonywać robotę, w której jestem dobry, to wszystko. Ale jeśli uważasz, że masz powody, by mi nie ufać, trudno, rozumiem to.

Maik założył czapkę i zaczął się podnosić.

– Chwileczkę – powstrzymał go Remi. Przygryzł koniec wykałaczki i skinieniem rozkazał jednemu ze swoich ludzi przynieść teczkę. – Wielu ludzi stara się uczynić większymi, niż są w rzeczywistości. Teraz, gdy cię spotkałem, muszę przyznać, że ty do nich nie należysz. – Otworzył teczkę, wyjął z niej pistolet, zwitek banknotów oraz kluczyki do samochodu. Położył to wszystko na stole przed Maikiem. – Jeśli szukasz roboty, masz ją. Broń, pieniądze i samochód stojący za restauracją należą do ciebie. Możesz to uznać za premię motywacyjną. Od tej chwili pracujesz dla mnie. Teto wszystko ci wyjaśni. Pogadaj z nim później.

Maik skinął głową. Minę miał obojętną, jakby Remi postawił mu posiłek, a nie dał mu nowe życie, czyniąc go członkiem gangu głów węży z Resville.

– Masz jakieś pytania? – dodał Remi.

Maik wziął pieniądze i schował je bez liczenia. Być może sprawdzenie sumy uraziłoby jego kekońską wrażliwość. Wsadził pistolet i kluczyki do kieszeni marynarki, a potem wstał.

– Po prostu powiedz mi, co mam robić.

ROZDZIAŁ 37

WYJAZD Z DOMU

Dwudziesty rok, trzeci miesiąc

Jeszcze nie jest za późno, pomyślał Niko, gdy przez głośniki wezwano pasażerów jego samolotu. Nadal mógł opuścić lotnisko, przyznać, że popełnił błąd i błagać wujka o przebaczenie oraz przywrócenie mu miejsca w klanie. Przywołał całą swą gniewną determinację i sprawiedliwe oburzenie, by podjąć tę decyzję i stawić czoło rodzicom. Teraz jednak czuł ucisk w żołądku, świadczący raczej o strachu niż ekscytacji.

Wyjął paszport i kartę pokładową.

– Nie ma już odwrotu – powiedział sobie.

Wujek Anden odprowadził go aż do bramki. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Anden był jedynym członkiem rodziny, z którym Niko mógł sobie spokojnie pomilczeć. W latach dzieciństwa, gdy jego matka długo wracała do zdrowia po urazie mózgu, Nikiem i jego rodzeństwem opiekowały się ciotki oraz wujkowie. Wujek Anden był wtedy jego ulubionym kuzynem. Pozwalał mu czytać godzinami, chodził z nim do parku karmić kaczki albo wypożyczał filmy, które mogli razem oglądać. Zadawał mu niewiele pytań, uważnie słuchał odpowiedzi i nigdy nie wygłaszał potem kazań. W przeciwieństwie do innych dorosłych nie wymuszał przestrzegania harmonogramu ani nie zaczynał rozmowy od: „Kiedy dorośniesz i otrzymasz jadeit...”. Nikt inny w klanie nie był taki jak on i dlatego Anden nie oczekiwał, że ktokolwiek z kuzynów będzie podobny do niego.

– Obiecaj mi, że będziesz ostrożny – rzekł Nikowi, gdy uściskali się przy bramce. – Nie wyjeżdżasz z Kekonu na studia, jak ja. Będziesz nosił jadeit w niebezpiecznych sytuacjach, daleko od domu.

Niepokój na twarzy wujka wzbudził w Andenie poczucie winy silniejsze niż krzyki rodziców i ich gorąca dezaprobata.

– Obiecuję, wujku – zapewnił Niko. – Dziękuję, że pozwoliłeś mi zostać w swoim domu. Mam nadzieję, że nie byłem zbyt kłopotliwy dla ciebie i Jirhui.

– Z pewnością nie – odpowiedział Anden.

Rozglądał się, przyglądając się z nadzieją w oczach przechodzącym obok ludziom. Pocierał goły nadgarstek, jakby brakowało mu jadeitu i zmysłu Postrzegania. Niko wiedział, że jego wujek pojechał do domu i rozmawiał z filarem. Anden nie wspomniał o tym ani słowem, ale Niko dowiedział się o tym od Ru, który poprzedniego wieczoru odwiedził go w mieszkaniu i opowiedział mu mnóstwo rzeczy. Błagał brata, żeby nie wyjeżdżał, wylewając z siebie wartki strumień uczuć.

– Ale dlaczego, Niko? Dlaczego odrzucasz swoją pozycję? – pytał oszołomiony i przygnębiony chłopak. – Wiem, że naciski na ciebie mogły być nieprzyjemne, ale wszyscy w klanie pragną, byś został filarem.

Jego brat jak zwykle przesadzał, przekonany, że coś, co jest oczywiste dla niego, musi być prawdą.

Niko odwrócił się, by nie widzieć błagania w jego oczach.

– Nigdy nie miałem kontroli nad własnym życiem, Ru. Tobie tata pozwala studiować w college'u, co tylko zechcesz, ale mnie nigdy nie powiedział nic w tym rodzaju. Skąd ci przyszło do głowy, że w ogóle chcę zostać filarem?

Ru złapał go za ramiona i odwrócił w swoją stronę. Gdy mocno w coś wierzył, bardzo łatwo wpadał w sprawiedliwy gniew.

– Gdybym nie urodził się kamiennookim, zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby zostać filarem, nawet gdyby to kosztowało mnie mnóstwo wysiłku albo gdybym myślał, że wolałbym robić coś innego. – Wpatrywał się intensywnie w Nika. – Pomyśl, jak wiele mógłbyś zmienić, ile dobra mógłbyś zrobić dla wielu ludzi. Klan wpływa na życie milionów. Potrzebuje filaru, który byłby silny i inteligentny. Jak możesz po prostu... uciec przed taką odpowiedzialnością?

Niko odsunął się od brata, wyrywając się z jego objęć.

– Nigdzie nie uciekam.

– W takim razie wróć ze mną do domu! – zawołał Ru. – Razem porozmawiamy z tatą. Poprę cię. Jaya też, a wiesz, że ona zawsze potrafi postawić na swoim. Przekonamy tatę, żeby pozwolił ci chodzić do college'u w ograniczonym wymiarze godzin, żebyś mógł jednocześnie ćwiczyć, by zostać pięścią. Tak robił Ayt Ato, więc ty z pewnością też sobie poradzisz. Jesteś znacznie inteligentniejszy od niego. Potrzebujesz zmiany, po niej

poczujesz się znacznie lepiej. Moglibyśmy razem pójść na Uniwersytet Jan, jak planowaliśmy.

Niko popatrzył na niego obojętnie. Ru przeszedł od namów do oskarżeń.

– Czemu o niczym mi nie powiedziałeś? Bracia powinni trzymać się razem.

Niko pokiwał ze smutkiem głową.

– Nie jesteście już dziećmi, Ru.

Rozczarowanie i nagi ból, jakie pojawiły się nagle na twarzy jego brata, wypełniły Nika wstydem. Nie mógł jednak tego po sobie okazać. Ru był jedyną osobą zdolną złamać jego determinację. Dlatego musiał utwardzić serce.

Podniósł walizkę. Nie wziął ze sobą zbyt wiele bagażu. Tam, dokąd się udawał, zapewne nie dadzą mu za dużo miejsca na rzeczy osobiste. Najpierw dwa tygodnie wstępnego szkolenia w miasteczku o nazwie Fort Jonsrock w północnej Espenii – tam właśnie znajdowała się siedziba MRG – a potem trzy miesiące w jednym z obozów szkoleniowych firmy. Później podpisze dwuletni kontrakt i będą mogli go wysłać w dowolne miejsce na świecie.

Anden zaprzestał bezowocnego rozglądania się i posłał bratankowi przepaszające spojrzenie.

– Próbowałem, Niko. – Pochylił się nieco pod ciężarem rezygnacji. – Nie...

Łatwe do rozpoznania, gładkie ciepło jadeitowej aury filaru zmaterializowało się w Postrzeganiu Nika na dwie sekundy przed chwilą, gdy Hilo podszedł do nich od tyłu. Ręce trzymał w kieszeniach marynarki. Z jego twarzy nie sposób było czegokolwiek wyczytać, ale w oczach widziało się zmęczenie.

– Andy, pozwól mi porozmawiać z synem w cztery oczy – rzekł.

Anden przeniósł spojrzenie między filarem a Nikiem, po czym bez słowa położył dłoń na barku bratanka i uścisnął go mocno. Następnie dotknął czoła, z obojętną miną oddając honory filarowi, odwrócił się do nich plecami i odszedł.

– Przejdź się ze mną kawałek – zażądał Hilo.

– Muszę już iść. Mam samolot.

– To potrwa tylko minutkę – odpowiedział jego wujek tonem rodzicielskiego autorytetu. Niko przywykł do niego tak bardzo, że nie miał innego wyjścia, jak posłuchać.

Ruszyli przed siebie. Niko miał ochotę złamać zasady uprzejmości i okazać gniew. Filar wiedział, że mieszka u Andena. Jeśli chciał z nim porozmawiać, mógł się tam zjawić, zamiast czekać do ostatniej chwili przed odlotem.

Ale w końcu przyszedł.

– Czy mama wie, że tu jesteś?

– Tak – odpowiedział Hilo.

A więc matka nadal była na niego wściekła. W przeciwnym razie przyszłaby tu z mężem. Wszyscy wiedzieli, że Kaul Hilo słynie z mściwości, ale Niko

wiedział, że to jego matka trudniej wybacza i dłużej chowa urazę.

– Nie zmienię zdania – oznajmił. – Już na to za późno.

– Ale nie jest za późno na wiele innych rzeczy. – Hilo zatrzymał się, spojrzał na bratanka i wręczył mu kopertę. – Przywróciłem ci dostęp do kont bankowych. W kopercie jest karta telefoniczna i spis numerów. Filie Biura Prognozyka we wszystkich krajach, w jakich je mamy, i kontakty z mieszkającymi za granicą zielonymi kośćmi, które są członkami albo sojusznikami naszego klanu. Pomogą ci, jeśli będziesz tego potrzebował. Poza tym możesz liczyć tylko na siebie.

Przez umysł Nika przemknęło kilka sprzecznych impulsów, nie potrafił jednak ubrać ich w słowa. Pragnął pogardliwie odrzucić gest wujka i trzymać się swej emocjonalnej przewagi, to jednak byłoby dziecinne. Miał również ochotę ustąpić, powiedzieć coś, co zażegnałoby konflikt między nimi, zanim odleci, ale to równałoby się przyznaniu do porażki. Nigdy nie radził sobie dobrze z szybkim wyrażaniem uczuć. Dlatego milczał.

Z głośników popłynęło ostatnie wezwanie dla pasażerów. Niko włożył kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Lepiej już pójdę – wymamrotał.

Hilo dotknął dłonią tyłu głowy bratanka i przyciągnął go bliżej.

– Poderżnąłbym gardło Jimowi Sunto i puścił z dymem całą jego firmę, gdybym myślał, że to cię powstrzyma – oznajmił cicho. – Ale wiem, że nie o to chodzi. Kocham cię i rozumiem, że masz powód, by mnie nienawidzić. Pamiętaj tylko, że zawsze robiłem to, co uważałem za najlepsze dla ciebie.

Wujek zwolnił uchwyt. Jego jadeitowa aura zgasła, gdy wtopił się w tłum.

* * *

Hilo opuścił lotnisko. Gdy przy krawężniku zaparkowała lumezza ft scorpion należąca do Lotta, usiadł na miejscu dla kierowcy. Pojechali do hotelu przy lotnisku i udali się do apartamentu na czwartym piętrze. Czekali tam na nich Vin Solu, nowa pierwsza pięść Janloonu; Hejo, pierwsza pięść białych szcurów i jeden z jego speców od techniki. Trzech młodych mężczyzn siedziało przy stole pełnym małych gadżetów i słuchało, jak Hejo i jego technik opisują działanie każdego z nich. Gdy Hilo i Lott weszli do pokoju, wszyscy trzej wstali pośpiesznie, by oddać honory filarowi.

– Kaul-jen – wymamrotali chórem.

Hilo przyjrzał się im. Dwaj byli Złotymi Pająkami z armii kekońskiej – pierwszy z nich miał na imię Dasho i Hilo nigdy dotąd go nie spotkał, drugim zaś był Teije Inno, daleki kuzyn Kaulów. Trzecim z mężczyzn był młody palec zwany Simem. Wszystkich wybrał róg, decydując szybko, ale po zastanowieniu.

Wszyscy nosili niewiele jadeitu – najwyżej pięć klejnotów – i pasowali do profilu zielonych kości niskiej rangi pragnących poprawić swój los. Każdy z nich napisał oddzielne podanie i MRG je zaakceptowało. Na podłodze obok ich stóp stały spakowane walizki i torby.

– Niko już odleciał – poinformował ich Hilo. – Wy polecicie jutro, każdy innym samolotem.

Lott wyjął z kieszeni kopertę i wręczył każdemu z trójki mężczyzn bilet na samolot, a także kartę kredytową i gotówkę. Hilo popatrzył na leżące na stole gadzety. Kilka z nich otworzono, by pokazać wnętrze – ukryte kamery wmontowane w turystyczne budziki i długopisy, magnetofony ukryte w zapalniczkach, pluskwy, które można było podkładać w pokojach i – najbardziej pomysłowe – urządzenia podsłuchowe ukryte w jadeitowych zegarkach, kolczykach albo wisiorkach. Produkcja tych ostatnich była najtrudniejsza i najbardziej kosztowna, lecz za to istniała większa szansa, że unikną wykrycia. W MRG rekrutom pozwalano zachować ich własny jadeit i nosić go, jeśli chcieli, a nikt nie odważyłby się dotknąć zieleni należącej do kogoś innego ani poddać jej dokładniejszym oględzinom.

– Nauczyliście się korzystać z tego wszystkiego? – spytał Hilo.

– To proste urządzenia – odpowiedział technik Heja, jeden z trzech specjalistów zajmujących się produkowaniem sprzętu dla klanowych białych szczurów. – Łatwo można się ich pozbyć w razie potrzeby i poza jadeitem niczego w nich nie można powiązać z klanem Bez Szczytów. Gdy znajdziecie się w nowym miejscu, skorzystajcie z kart kredytowych, które wam daliśmy, w dowolnym banku albo bankomacie. Możecie też zadzwonić pod jeden z kontaktowych numerów. Wtedy natychmiast dowiemy się, gdzie jesteście. Jeśli was złapią, przygotowaliśmy przekonujące przykrywki, które udowodnią, że za zbieranie informacji płacą wam dziennikarze śledczy pracujący dla „Dziennika Janloońskiego”.

– Nie obawiajcie się – powiedział im Hilo. – Infiltrujecie espeńską firmę, nie klan Góra. Jeśli was złapią, nie zabiją was. Zapewne nawet was nie okaleczą ani nie pobiją zbyt mocno. Po prostu wywalą was i podadzą do sądu, ale to żaden problem. Z tym możemy sobie poradzić. Nic wam nie grozi, dopóki nie będziecie zachować się podejrzanie ani mówić jawnych kłamstw. Sunto władą Postrzeganiem znacznie słabiej niż Vin.

– Czy nie będzie się wystrzeżał białych szczurów? – zapytał z niepokojem Sim.

Filar skrzywił się z niezadowoleniem.

– Sunto jest przekonany, że zielone kości marzą o ucieczce z klanów i wstąpieniu do jego kompanii. Po naszej rozmowie w jego gabinecie na

Eumanie spodziewa się, że wyszepczę jego imię i wszelkie ataki klanu Bez Szczytów będą miały bezpośredni charakter. Po waszym odejściu klan oficjalnie potępi was wszystkich jako okrytych hańbą zdrajców, ale pamiętajcie, że wasze rodziny będą znały prawdę. Przesyłajcie nam wszelkie informacje, jakie zdołacie zdobyć, ale przede wszystkim miejcie oko na Nika. – Jego bratanek był cholernym durniem, ale Hilo pod żadnym pozorem nie zamierzał pozwolić, żeby zginął w jakiejś głupiej zagranicznej wojnie. – Dopóki mój syn będzie żył i miał się dobrze, a wy nie przestaniecie przysyłać nam zdobytych informacji, pieniądze nie przestaną napływać do waszych rodzin.

Tych pieniędzy było więcej, niż mogły im zapłacić MRG, ale ważniejsze były rzeczy, których kompania najemników nie byłaby w stanie im zapewnić – umorzenie długów dla rodziców Dasha, college dla siostry Teijego i przyśpieszenie przeszczepu serca dla siostrzenicy Sima.

– Czy wszyscy rozumiecie, czego się od was oczekuje? – zapytał Lott. – Jeśli tak, uklękniecie i złożcie przysięgę filarowi.

Trzej mężczyźni uklękli na dywanie w pokoju hotelowym i unieśli splecione dłonie do czoła, oddając honory Hilowi.

ROZDZIAŁ 38

MUSIMY COŚ WYMYŚLIĆ

Bero zakradł się z powrotem do Janloonu jak kot do puszki na śmieci – skradał się cicho i kierował nim głód. Minęło prawie sześć lat, odkąd Espeńczycy wywieźli go z miasta pod osłoną nocy. Sześć lat! Wydawało się, że cały ten czas zniknął w jakiś magiczny sposób. Galo i Berglund załatwili mu prawo pobytu, nie w RE, ale na Iwansie, należącej do Espanii wysepce na południowym końcu Archipelagu Uwiwańskiego. Bero nawet nie wiedział, że Espeńczycy posiadają maleńką wysepkę w Uwiwach. To nieprzyjemnie suche i śmiertelnie nudne miejsce przyciągało espeńskich turystów.

Dali mu nową tożsamość i jednoizbowe mieszkanie. Bero nie był głupi i nie wydał wszystkich espeńskich thalirów, które zarobił jako kapuś, na wystawne życie i przyciąganie do siebie uwagi w Janloonie. Zostało mu wystarczająco dużo, by przeżyć wiele lat na Uwiwach, gdzie było tanio.

Problem w tym, że nienawidził Iwansy. Nikt tu nie mówił po kekońsku. Bero nie znał uwiwańskiego, musiały mu więc wystarczyć okruchy espeńskiego, jakie zdołał sobie przyswoić. Miejscowa kuchnia składała się z pozbawionej smaku papki owiniętej w palmowe liście i innego tego rodzaju syfu. Zarobił trochę forsy, kręcąc się w pobliżu miejsca, gdzie przybijały statki pasażerskie. Można tam było znaleźć kekońskich albo espeńskich turystów, gotowych płacić za obwiezienie po wyspie.

Nie było tu nic do roboty. Pragnął jedynie wrócić na Kekon, ale jego espeńscy mocodawcy na pożegnanie ostrzegli go, żeby tego nie robił. Nie mógł się uwolnić od wspomnienia o ubranych na czarno agentach RE, którzy pojмали Molowniego i wynieśli go z mieszkania z kapturem na głowie. Rok po zamachu bombowym w Janloonie Bero dowiedział się, że Ygutańczyk, który przeszedł na espeńską stronę, znany pod kryptonimem Agent M, zdradził swym nowym szefom wszystkie tajemnice programu tworzenia nekolwów. To z pewnością był

Molovni, ale Vastik eya Molovni, którego znał Bero, próbował popełnić samobójstwo, żeby nie dać się złapać. Mógł jedynie sobie wyobrażać, co zrobili mu Espeńczycy, żeby go zmienić w bezwolne narzędzie. I co mogliby zrobić jemu, jeśli się dowiedzą, że uciekł.

W końcu jednak przestali zwracać na niego uwagę. Skończyły się niepokojące telefony od agentów rządu RE, sprawdzających, co u niego słychać. Być może front powolnej wojny przeniósł się gdzie indziej i to, co robił Bero, nie miało już dla nich znaczenia. A może Galo i Berglund po prostu o nim zapomnieli. Nadal nie znosił Iwansy, musiał jednak przyznać, że przyzwyczał się do niej. Kto wie, co mogłoby mu grozić, jeśli wróci do Kekonu?

Zrobił się z ciebie jebany tchórz.

Gdy tylko znalazł się w Janloonie, natychmiast poczuł się lepiej, jakby przez lata powoli obracał się na rożnie i nagle wrzucono go do wanny wypełnionej chłodnym, leczniczym płynem. Pierwszego dnia usiadł na parkowej ławce w Papai i pozwolił, by miasto wsiąkało w niego przez pory w skórze – woń tłustego pieczonego mięsa, głosy nawołujących po kekońsku handlarzy i taksówkarzy, wiosenna wilgoć na jego spieczonej słońcem skórze. Nawet śmieci pachniały tu lepiej niż w innych miejscach, a szczury miały gładse futra.

Większości ludzi, których znał, już tu nie było. Z ciekawości poszedł do Małej Persymony i ku swemu wielkiemu zaskoczeniu spotkał tam Tadina, który nadal stał za barem. Wyglądał teraz inaczej. Miał dłuższe włosy i nie był tak pyskawy i pełen brawury. Jego oczy miały udręczony wyraz, a na lewym policzku miał czerwoną, okrągłą bliznę.

– Kurwa, keke, czy to ty?! – zawołał Tadino. – Gdzie się podziewałeś?

– Nigdzie – odparł Bero. – Trzymałem się z dala od wszystkich.

– Opuściłeś miasto? Mądra decyzja. Myślałem, że załatwili cię podczas obław, razem z całą resztą. – Tadino wytarł dłonie w ręcznik i rozejrzał się nerwowo. – Nasze nazwiska były na pierdolonej liście, keke. Słyszałeś, że Molovni zniknął? Na pewno nas wsypał. Dobrze, że stąd wyjechałeś.

– Co się stało z twoją twarzą? – zapytał Bero.

Tadino skrzywił się i mimo woli dotknął blizny na twarzy.

– Widzę, że naprawdę cię tu nie było. Klan Góra zrobił nalot na lokal. Oznajmili, że to było miejsce spotkań bezklanowych. Miałem farta, bo myśleli, że jestem tylko barmanem.

– To nie wygląda tak źle – stwierdził Bero.

– Bolało tak kurewsko, że aż zlałem się w gacie. – Tadino zadrżał na to wspomnienie i z ekscytacją pogłaskał rozczochrane włosy, po czym obrzucił Bera pełnym desperacji spojrzeniem. – Naprawdę cieszę się, że cię widzę, keke. No wiesz, nie zostało nas już zbyt wielu. Czemu tu wróciłeś?

– Muszę znaleźć robotę.

To była prawda. Wydał już wszystkie pieniądze od Espeńczyków i musiał znowu zacząć je zarabiać. Oczywistym rozwiązaniem byłby powrót do złodziejstwa albo handlu narkotykami, ale po rozmowie z Tadinem doszedł do wniosku, że to byłoby zbyt ryzykowne. Klany zawsze tolerowały pewien niewysoki poziom ulicznej przestępczości, ale w dzisiejszych czasach każdemu, kogo przyłapano na antyklanowej działalności – okradaniu klanowych biznesów, handlu błyskiem, handlu jadeitem, kontaktach z Ruchem Bezklanowa Przyszłość albo innymi radykalnymi ugrupowaniami, a nawet zbyt licznymi, podejrzanymi związkami z zagranicą – groziła kara od napiętnowania aż po grób, zależnie od tego, jak poważnego wykroczenia się dopuścili. Bero w różnych okresach swojego życia popełnił każdy czyn na tej liście, a teraz, gdy wreszcie wrócił do Janloonu, z pewnością nie chciał, by zielone kości go zauważyły.

Miał niewiele umiejętności pozwalających zdobyć legalne zatrudnienie, ale potrafił prowadzić samochód i dobrze znał ulice miasta, zatrudnił się więc jako kurier dostarczający paczki. Zarobki były jednak gówniane i po sześciu miesiącach stworzył z dwoma kumplami Tadina plan polegający na wykorzystaniu służbowej furgonetki do dostarczania nielegalnych nagrań muzyki i kaset wideo straganiarzom, którzy sprzedawali je turystom w Dzielnicy Portowej, Świątynnej albo w Dzielnicy Pomników. Doszedł do wniosku, że dopóki sprzedają je tylko cudzoziemcom, nic nie powinno im grozić. Zyski nie były jednak nadzwyczajne. Nie było porównania z tym, co kiedyś zarabiał jako nosząca jadeit skorpena, handlarz błyskiem albo szpicel. Mógł się jednak z tym pogodzić. Mniejsze zarobki, ale i mniejsze niebezpieczeństwo. Miał trzydzieści sześć lat. Był pierdolonym starcem.

– Musimy coś wymyślić – powtarzał Tadino za każdym razem, gdy Bero pojawiał się w Małej Persymonie, żeby się napić. Jego naznaczona piętnem twarz najwyraźniej nie odstraszała klientów. Goście odwiedzający Małą Persymonę uważali bliznę za odznakę honorową, coś, co zwiększa jego wiarygodność niczym więzienny tatuaż. – Musimy uratować Ruch Bezklanowa Przyszłość, nim będzie za późno. W przeciwnym razie klany wygrają.

– Klany zawsze wygrywają – wymamrotał pogardliwie Bero. – Guriho i Otonyo wysadzili w powietrze budynek, w którym byli wszyscy przywódcy zielonych kości, i gdzie są teraz? Karmią robaki.

– Dlatego że źle się do tego zabrali – nie ustępował Tadino. – Mówię ci, zastanawiałem się nad tym bardzo długo. Próba załatwienia klanów w ten sposób była głupotą. Tylko się zjednoczyły, żeby nas zmiażdżyć. A teraz polują na nas jak na psy. – Wytarł kontuar gwałtownymi ruchami ścierki, przenosząc swą nienawiść na gładkie drewno. – A gdzie się podzieli zagraniczni „przyjaciele”,

których obiecał nam ten skurwysyn Molovni? Gdzie są teraz te chuje? Puściły nas w trąbę, pozwoliły, żeby nas wyrznęli. Musimy uratować się sami. Nikt inny nie zrobi tego za nas.

Bero nie mógł się z nim spierać. Dlatego milczał, ale to tylko ośmiało Tadina. Mężczyzna oparł się łokciem o bar i przysunął swą kanciastą twarz do twarzy Bera.

– Nie mów mi, że już z tym skończyłeś, keke. Chyba nie zamierzasz siedzieć tu i pić jak menel? Obaj jeszcze się do czegoś nadajemy. Chcesz się odegrać na klanach tak samo jak ja.

Bero skrzywił się, wpatrując się w hoji. Nadal nienawidził zielonych kości, ale to jeszcze nie znaczyło, że chce ryzykować życie dla żalosnych niedobitków RBP. Co mogli zrobić bez Molowniego, który dostarczał im pieniądze i broń z Ygutanu? Lepiej zapomnieć o całym tym syfie.

Widzisz? Naprawdę stałeś się jebanym tchórzem.

Bero dopił trunek. Nagle ogarnął go wstręt do samego siebie. Lata spędzone na Iwansie uczyniły go miękkim i bezużytecznym. Kiedyś miał śmiałość i gęstą krew. Dokonał rzeczy, na które nie zdobyłby się nikt inny. Tadino mógł być rozgoryczony i wygadywać bzdury, ale przynajmniej nadal myślał, starał się robić to, co Bero kiedyś robił sam. Stworzyć plan, który mógłby wszystko zmienić. Może ten skurczybyk o szczurzej gębie miał rację. Może Bero mógł jeszcze czegoś dokonać.

Po raz pierwszy przyjrzał się rozmówcy z zainteresowaniem, choć nadal skrywanym.

– Co kombinujesz?

– Coś ci powiem. – Tadino oblizwał wargi. – Jedyne, co może pokonać klan zielonych kości, to drugi klan zielonych kości.

– To znaczy?

– Kiedy są najlepsze czasy dla ludzi takich jak my? – Kiedy Tadino zaczął odpowiadać na własne pytanie, w jego oczach pojawił się błysk. – Kiedy trwa wojna, keke. – Jedyne sposób, żeby pokonać klany, to sprawić, żeby znowu zaczęły walczyć ze sobą.

ROZDZIAŁ 39

KLUB KAMIENNOOKICH

Pierwszego dnia studiów na Królewskim Uniwersytecie Jan Kaul Rulinshin przystanął na głównym placu kampusu i obserwował z nerwowym zainteresowaniem studentów spacerujących pośród wielkich trawników i budynków z cegły. Ru nie uważał się za osobę szczególnie zainteresowaną nauką, ale wychowywał się we władającej klanem rodzinie, w której prawie wszyscy byli jadeitowymi wojownikami albo zajmowali się biznesem, i zawróciło mu się w głowie od niezliczonych możliwości, jakie otwierał przed nim uniwersytet.

Jego pogodny jak błękitne niebo nastrój mąciła tylko jedna ciemna chmura smutku. Niko powinien być ze mną. Jego starszy brat zawsze był najbystrzejszy z nich wszystkich. Czytał książki i dobrze się uczył, potrafił zaskoczyć dorosłych tym, czego się nauczył i co zapamiętał. Ru nie miał pojęcia, gdzie się teraz podziewa. Dostał od niego tylko jeden list, w którym Niko informował go, że zakończył dwa tygodnie wstępnego szkolenia w Fort Jonsrock, w Espanii. Ru musiał sprawdzić tę nazwę w encyklopedii, by się dowiedzieć, gdzie to jest. Jego starszy brat nie napisał, dokąd teraz pojedzie, ani nie wspomniał o bolesnej rozmowie, którą odbyli przed jego wyjazdem. Nie napisał nawet, czy podoba mu się nowa praca ani czy czuje się szczęśliwy. Na kopercie nie było adresu zwrotnego, więc Ru nie mógł mu odpisać.

Włożył plecak i udał się na pierwsze zajęcia. Rząd i Społeczeństwo dla początkujących. To był kurs wstępny. Wykład odbywał się w wielkiej auli, gdzie krzesła były twarde, a oświetlenie słabe. Nikt go nie poznał, ani tam, ani na dwóch kolejnych wykładach, na których był pierwszego dnia. Nie czuł się tym zaskoczony. Ojciec pilnował, by media trzymały się z dala od niego, a w klanie zawsze przyciągał niewiele uwagi w porównaniu ze swym rodzeństwem.

Gdy jednak wypożyczał następnego dnia książki z biblioteki, bibliotekarka wzięła od niego kartę studencką, przyjrzała mu się z zainteresowaniem, a potem zerknęła na jego nazwisko.

– Ach! Kaul Rulinshin? Jesteś synem filaru, tym...

Nie dokończyła zdania, nie chcąc wymawiać słowa „kamiennookim”. Zaczerwieniła się i dotknęła czoła, oddając mu pośpiesznie honory.

– Mój mąż i jego rodzice są latarnikami klanu Bez Szczytów. Prowadzą sieć warsztatów samochodowych, Rydwany Wanów. Wszystkie czołowe zielone kości w klanie naprawiają tam swoje pojazdy. Mój mąż pracował nad lumezzą rogu, cabriolą prognostyczki i oczywiście duchesse twojego ojca. – Nagle podekscytowana szybko przyniosła mu książki. – W zeszłym miesiącu byliśmy na tym wielkim przyjęciu noworocznym w Gwieździe Generalskiej. Było naprawdę wspaniałe. Pewnie ty też tam byłeś? Rewelacyjna impreza! Twój ojciec na pewno nas nie pamięta, ale jeśli nadarzy się okazja, to czy mógłbyś mu wspomnieć, że Wanowie z Rydwanów Wana przesyłają mu wyrazy szacunku i wierności?

– Powiem mu to, kiedy będę w domu. Na kolacji w piąty dzień – zapewnił Ru.

Bibliotekarka się rozpromieniła.

– To dla mnie zaszczyt, że mogłam cię poznać. Przychodź tu częściej. Jeśli zechcesz zarezerwować miejsce w pokoju nauki indywidualnej albo przy komputerze, powiedz mi, a znajdę ci najlepsze. Limit czasu wynosi dwie godziny, ale da się to ominąć.

Ru jej podziękował. Gdy znowu przyszedł do biblioteki, powiedział kobiecie, że jego ojciec oznajmił, że nie powierzyłby swojej duchesse żadnemu innemu warsztatowi. To zachwyciło ją tak bardzo, że podała mu kod dla personelu, pozwalający korzystać za darmo ze wszystkich kserokopiarek.

Ru spotkał na kampusie również kilku innych członków klanu albo powiązanych z nim ludzi. Asystent prowadzący zajęcia z ekonomii okazał się młodszym bratem pięści wysokiej rangi, a jedna z jego koleżanek na kursie Literatura Kekońska dla średniozaawansowanych była córką wiernego klanowi Bez Szczytów członka Rady Książęcej. Od czasu do czasu poznawali go nieznajomi, prosząc by przekazał wyrazy szacunku swojej rodzinie.

Niko byłby poirytowany podobnymi reakcjami. Poruszałby się po kampusie energicznym krokiem, żeby nikt do niego nie podchodził. Ru nie miał nic przeciwko temu. Zawsze się uśmiechał i odpowiadał uprzejmie. Pod nieobecność brata był zmuszony myśleć o sobie jako najstarszym synu w rodzinie. Nie mógł zostać przywódcą klanu, ale to jeszcze nie znaczyło, że nie może niczego dokonać. W końcu jego matka była kamiennooką, ale pomagała ojcu

wykonywać obowiązki filaru. Pomyślał, że on również mógłby pomagać Nikowi, gdyby tylko jego starszy brat uwierzył w siebie.

„Niko wróci” – powtarzał sobie. „Musi wrócić”. Przygnębiało go, gdy widział, że ojciec potępia Nika, a w dodatku prasa miesza go z błotem, uważając jego zachowanie za przejaw moralnego upadku młodszego pokolenia, które było mniej zielone i nie szanowało *aisho*. Wszyscy ci samozwańczy eksperci nic nie wiedzieli o Niku, a ich nieprzychylnie opisy z pewnością nie pasowały do Jai, Cama czy bliźniaków Juen. Ru wściekał się, gdy słyszał ludzi wypowiadających negatywne bądź ignoranckie opinie oparte na pogłoskach lub powierzchownym pierwszym wrażeniu. Uważał, że ma obowiązek reprezentować swoją rodzinę oraz klan Bez Szczytów i przedstawiać je w możliwie najlepszym świetle. Poza tym lubił poznawać ludzi i dowiadywać się, jaki wpływ wywiera jego klan na życie zwykłych Kekończyków.

Mimo to czuł się samotny na wielkim kampusie Królewskiego Uniwersytetu Jan. Nazwisko, które nosił, zawsze tworzyło barierę między nim a kolegami ze szkoły i powodowało dodatkowe trudności, gdy próbował się z nimi zaprzyjaźnić. Uważali, że nie będzie chciał godzinami stać z nimi w kolejce, żeby obejrzeć najnowszy film z Dannym Sinjo, bo rodzice mogli pójść z nim na premierę. Wahali się przed zaproszeniem go na imprezę przy basenie w kontrolowanym przez Górę Parku Letnim, wiedząc, że musiałyby przyprowadzić ze sobą ochroniarzy. Cieszył się, że miał wtedy szkolną drużynę piłki sztafetowej oraz najlepszych kolegów, Tiana i Shina, którzy traktowali go tak samo jak wszystkich, ale Tian wyjechał do Lukangu, by studiować w Instytucie Technologii, a Shin zaciągnął się do kekońskiej armii. Ru nie miał nawet towarzystwa Koko, bo w akademikach nie pozwalano trzymać psów.

Uważnie śledził tablicę ogłoszeniową z jadalni, na której umieszczano ogłoszenia rozmaitych klubów działających na kampusie, i doszedł do wniosku, że spróbuje szczęścia z jednym z nich. W czwarty dzień po południu, sześć tygodni po rozpoczęciu pierwszego semestru, poszedł do sali w piwnicy Wydziału Nauk Społecznych, by wziąć udział w spotkaniu oddziału studenckiego Towarzystwa Pomocy Niereaktywnym. Słyszał o tej organizacji, ponieważ jego matka przemawiała na niektórych spotkaniach i udzieliła kiedyś wywiadu wydawanemu przez nie czasopismu. Gdy wchodził do pomieszczenia, w ustach zaschło mu ze zdenerwowania. Jak zareagują członkowie Towarzystwa, gdy na ich spotkaniu pojawi się syn klanowego filaru? W końcu rodzina Ru siedziała na samym szczycie piramidy władzy, która najwyżej ceniła jadeitowe talenty i dyskryminowała kamiennookich oraz całą rasę Abukei.

Na kilku stołach pod ścianą stały butelki z napojami gazowanymi oraz przekąski – zwyczajowe miseczki z orzechami i krakersami, ciasteczka

daktylowe, cukierki sezamowe i owocowe, to samo co zawsze. W pokoju było czternaście osób – dziewięcioro kekońskich kamiennookich i pięcioro Abukei. Młoda abukejska kobieta przywitała radośnie Ru i kazała mu napisać nazwisko na identyfikatorze. Zrobił to z lekką obawą, a potem wziął sobie butelkę i usiadł na jednym z pustych krzeseł ustawionych wokół centrum sali.

Jeden z kekońskich studentów wstał i przedstawił się jako Dano. Był na trzecim roku politologii i kierował uniwersyteckim oddziałem Towarzystwa. Choć było już wczesne popołudnie, Dano wyglądał, jakby obudził się dopiero przed chwilą. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, nie ogolił się i miał na sobie zmiętoszoną koszulkę oraz dzinsy, wyglądające tak, jakby przed chwilą wydobył je z dna kosza na pranie. Niemniej przepełniał go entuzjazm.

– W naszym klubie wszyscy wspieramy się wzajemnie – oznajmił grupce zebranych. – Założę się, że każdy z obecnych znalazł się kiedyś w sytuacji, w której był zupełnie samotny, jak pechowiec, ktoś, kim bogowie się nie interesują. Ale to nieprawda. Nie jesteście sami. Im ściślej będziemy ze sobą współpracować, żeby nauczyć ludzi, czym jest niereaktywność, i im bardziej otwarcie się staniemy, tym mniej będzie nam doskwierała samotność.

Dano przedstawił im plan spotkania, opowiedział o organizowanych przez klub wydarzeniach i o związkach między nim a Towarzystwem, a także kampusowej współpracy ze Związkiem Studentów Abukejskich. Wspomniał też, że potrzebuje ochotników, którzy obsadziliby kilka pozycji.

– Widzę, że mamy dziś nowych członków. Przedstawcie się, proszę, nam wszystkim – dodał i usiadł na krześle.

Ru nie zapamiętał nazwisk pozostałych studentów. Gdy nadeszła kolej na niego, poczuł, że pocą mu się ręce.

– Nazywam się Kaul Rulinshin – zaczął, wycierając je o dzinsy. – To mój pierwszy rok na Królewskim Uniwersytecie Jan. – Odchrząknął. – Moja rodzina jest... no cóż, pełno w niej zielonych kości. Przez całe życie otaczały mnie klanowa kultura i jadeit, więc... to wszystko jest dla mnie zupełnie nowe. Cieszę się, że trafiłem do tego klubu i będę miał szansę poznać was wszystkich.

Nie potrafił niczego wyczytać z twarzy otaczających go ludzi. Gdyby miał zmysł Postrzegania, wiedziałby, czy powinien wstać i wyjść. Rzecz jasna, gdyby miał zmysł Postrzegania, nie byłoby go tutaj.

Dano zaczął tupać w podłogę, by okazać mu uznanie. Reszta obecnych podążyła za jego przykładem, uśmiechając się miło. Ru rozluźnił się z wyraźną ulgą.

– Witaj w klubie kamiennookich, keke – rzekł Dano. – Swoją drogą, jestem przeciwny wszystkiemu, co reprezentuje sobą twój klan. – Uśmiechnął się tak

szeroko, że aż rozciągnęły mu się policzki, a potem poklepał Ru po ramieniu. – Na pewno zostaniemy przyjaciółmi!

* * *

Rzeczywiście nimi zostali. Dano miał wrodzony dar do nawiązywania kontaktów. Wydawało się, że zna ludzi ze wszystkich środowisk i zawsze wybierał się na jakieś przyjęcie albo z jakiegoś wracał. Większość godzin na jawie spędzał pijany albo skacowany, ale to nie pozbawiało go energii. Nie tylko przewodniczył oddziałowi TPN na kampusie, lecz również działał w Lidze Niezależności, stworzonej oddolnie organizacji wspierającej w wyborach niepowiązanych z klanami kandydatów, oraz w Strażnikach Praw Imigrantów, którzy udzielali prawnej i finansowej pomocy uchodźcom. Redagował też „Królewskie Kredo”, kampusową gazetkę. Czasami Ru zadawał sobie pytanie, czy Dano w ogóle pojawia się na zajęciach.

Na każdym spotkaniu toczyli zawzięte debaty. Dano kochał dyskusje w prawie takim samym stopniu jak picie.

– Zamierzasz poświęcić się pracy dla systemu, który stoi u podstaw dyskryminacji niereaktywnych? – zapytał w pewnej chwili, gdy Ru wspomniał, że po ukończeniu studiów zapewne będzie pracował dla klanu Bez Szczytów. – Czy to nie tak samo, jakby świnia sama kopała dół, w którym ją upieka?

Ru rozdziawił usta. Nigdy nie spotkał nikogo, kto ośmieliłby się powiedzieć mu coś takiego.

– Nie możesz winić mojego klanu za utrzymujące się od stuleci przesady. Tata zawsze mnie wspierał i nigdy mnie nie lekceważy. Mianował mamę swoim filarowym. Może fakt, że mama i ja jesteśmy kamiennookimi, to jeden z powodów, dla których uprzedzenia słabną.

Opuścili piwnicę w budynku Wydziału Nauk Społecznych i szli pośpiesznie przez kampus. Byli już spóźnieni na zajęcia, ale nie przestawali się spierać.

– Krewni mogą być dla ciebie mili, ale to nie zmienia faktu, że celem istnienia klanów jest obrona interesów zielonych kości i utrzymanie ich u władzy kosztem całej reszty – przyznał Dano.

– Społeczeństwo nie dzieli się na zielone kości i tych, którzy nimi nie są! – sprzeciwił się Ru. – Każda zielona kość ma krewnych i przyjaciół, którzy nie noszą jadeitu, a klany bronią całego Kekonu. Gdybyś uczył się historii... – to był złośliwy przytyk, ponieważ Dano ponoć zmierzał na zajęcia z tej dyscypliny – ...wiedziałybyś, że gdyby nie zielone kości, nasz kraj byłby splądrowaną przez cudzoziemców postkolonialną ruiną, jak Uwiwy, a nie dobrze prosperującym nowoczesnym państwem.

Dano wzruszył ramionami, wyraźnie zadowolony, że udało mu się sprowokować oponenta.

– To prawda, że Towarzystwo Jednej Góry odegrało ważną rolę w położeniu kresu szotarskiej okupacji, ale to było prawie pięćdziesiąt lat temu. Inne kraje nie potrzebują klanów. To przestarzałe, zaściankowe instytucje.

– Musisz opowiadać takie bzdury? – niemalże krzyknął Ru. – Oczywiście, klanizm nie jest doskonały. Nie ma doskonałych systemów. Dlatego wszyscy powinni współpracować ze sobą, by go udoskonalić, zamiast odrzucić go w całości, czego pragną cudzoziemcy i anarchiści. Pomyśl o handlu międzynarodowym, reformie armii, a nawet rozwoju przemysłu rozrywkowego. Wszystkie te zmiany to zasługa zielonych kości. Zasługa moich krewnych. Nie masz o niczym pojęcia! – Dotarli do budynku Wydziału Studiów Międzynarodowych, gdzie miał zajęcia Ru. – Spotkamy się w piąty dzień?

– Jasne – zgodził się Dano. – Przynieś forszę. Podobno będą striptizerki.

Ru nie był pewien, czy lubi Dana, który miał tendencję do moralizowania i doprowadzał go do furii swą ignorancją. Jednakże Ru nigdy nie spotkał nikogo, kto równie regularnie atakowałby jego poglądy na wszystko. To działało na niego ożywczo.

Popełnił błąd, opowiadając Jai o swym nowym znajomym.

– To jakiś popierdolony pyskacz – skwitowała jego siostra. – Naprawdę wygaduje takie rzeczy? Dziwię się, że Kobenowie jeszcze nie przypalili mu gęby.

Przyjrzała się z z troskaniem bratu.

Jaya miała wkurzający zwyczaj traktowania go tak, jakby byli w tym samym wieku, najwyraźniej uważając, że przeznaczenie zielonej kości daje jej wyższą pozycję w naturalnej hierarchii rodzeństwa. Gdy byli w podstawówce, Jaya kopnęła na przerwie pewną dziewczynkę, obaliła ją na ziemię i wysypała wszystkie jej podręczniki do błotnistej kałuży za to, że wskazała palcem Ru i pociągnęła się za płatek ucha.

– Jeśli zrobisz to jeszcze raz, pójdę do twojego domu i zabiję wszystkie twoje zwierzęta – oznajmiła, jakby była starszą siostrą i musiała bronić Ru przed chuliganami na szkolnym boisku.

Dziewczynka się popłakała, co niewiarygodnie zmartwiło i zawstydziło Ru. Potrafił zignorować drobne zaczepki i z pewnością nie chciał, by siostra go broniła.

Jej mina wyraźnie świadczyła, że podejrzewa, że Ru obraca się w złym towarzystwie.

– Zastanawiam się, czy niektórych ludzi, z którymi się spotykasz, nie ma na liście osób do obserwowania, prowadzonej przez Lotta. Jak tam on się nazywa?

– Zapomnij o tym – odpowiedział krótko Ru. – On po prostu lubi prowokować innych. Nie ma powodu się go bać.

Niektóre słowa Dana rzeczywiście można było zinterpretować jako antyklanowy radykalizm, co budziło podejrzenia o związki z Ruchem Bezklanowa Przyszłość. Podczas zamachu w Janloonie Ru miał tylko dwanaście lat. Nigdy nie zapomni, jak zabrali go ze szkoły i czekał ponad dobę, nim się dowiedział, czy jego ojciec żyje. Nienawidził posługujących się przemocą anarchistów i lepiej niż ktokolwiek rozumiał, dlaczego nie wolno tolerować antyklanowych opinii.

Jednakże Dano był studentem, tak samo jak on, a nie terrorystą z RBP. Ru zaczynał się skłaniać ku opinii, że zagrożenie ze strony bezklanowych ekstremistów niefortunnie położyło kres dyskusjom o tym, czy i jak powinny się zmienić klany, żeby ich działalność przynosiła korzyści większej liczbie Kekończyków, w tym również tych, którzy nie nosili jadeitu i nie urodzili się w klanowych rodzinach. Dano nie znał tych spraw od wewnątrz, jak Ru. Góra i klan Bez Szczytów wydawały mu się tajemniczymi monolitycznymi tworamami o złych zamiarach. Nie potrafił zrozumieć, że rodzice Ru i jego ciocia Shae to prawdziwi ludzie. Dobrzy ludzie. Klan składał się z ludzi.

Ru nie zgadzał się z nim w wielu kwestiach, ale nie chciał, by stało mu się coś złego. Postanowił, że od tej chwili będzie przy Jai trzymał gębę na kłódkę. Jego siostra była na ósmym roku Akademii i nie ulegało wątpliwości, że po ukończeniu nauki złoży przysięgę palca. Nie wiadomo, co mogłaby zrobić, gdyby doszła do wniosku, że Dano jest groźbą dla społeczeństwa albo przynajmniej wywiera zły wpływ na jej brata.

ROZDZIAŁ 40

KŁOPOTLIWE CÓRKI

Dwudziesty pierwszy rok, pierwszy miesiąc

W Akademii Kaul Dushurona zaszło wiele zmian od czasu, gdy Shae się w niej uczyła. Powstały nowe budynki i sale, przeznaczone do nauki strzelania z broni palnej, inwigilacji i programowania komputerów, a także innych przedmiotów. Zbudowano też odrębny akademik dla dorosłych uczniów z zagranicy oraz dodatkowe pola ćwiczebne dla dojeżdżających. Pozwolono na ich przyjmowanie, mimo że absolwenci obawiali się, że zaszkodzi to reputacji szkoły i odwróci uwagę od pełnego programu nauczania. Jedna rzecz nie zmieniła się jednak od dwudziestu pięciu lat, a mianowicie tradycja przedtestów.

Jaya była już na ósmym roku i nadeszła pora, gdy musiała do nich przystąpić. Był chłodny, lecz słoneczny dzień późnej jesieni. Cała rodzina Kaulów zjawiła się, by ją wspierać. Przyszli nawet Anden i Jirhuya, którzy wspólnie postanowili, że jakoś zniosą nieprzyjemne skojarzenia łączące się z tym miejscem. Dla Andena każda wizyta w Akademii przywoływała wspomnienia upokarzającej ceremonii zakończenia nauki. Natomiast Jirhuya był jednym z bardzo nielicznych Abukei, którzy kiedykolwiek postawili nogę na terenie Akademii.

Ru wyjątkowo okazał Jai braterskie wsparcie i dopingował ją głośno, a Hilo rozpromienił się z dumy, gdy nazwisko jego córki pojawiło się na szczycie listy po próbie Odbijania. Lekkość straciła ją na szóste miejsce, ale filar powiedział, że nie zależy mu na tym, żeby jego córka była najlepsza na roku. Wystarczy, że będzie zadowolony z jej występu.

– Tu właśnie uczyły się wszystkie zielone kości z naszej rodziny – wyjaśnił Tii, kiedy Shae dała mu potrzytać córkę na kolanach, bo Woon poszedł kupić dla wszystkich napoje gazowane. – Ty też trafisz tutaj, kiedy będziesz większa.

Podczas Masakry Myszy Jaya zajęła miejsce i poruszyła głową w przód i w tył. Rozległo się ciche strzyknięcie. Potem przybiła piątkę z dziewczyną stojącą obok, pokazała język chłopakowi na końcu rzędu i przesłała całusa siódemorocznikowi stojącemu w grupie widzów, co wywołało podejrzliwe spojrzenie Hila. Myszy biegały w kółko w klatkach, drapiąc pazurkami drucianą siatkę. Zabrzmiał dzwon i w tej samej chwili Jaya załatwiła dwie myszy stojące w kącie impulsem Przenoszenia. Zaklęła głośno, gdy chybiła za drugim razem, ogłuszając mysz, lecz jej nie zabijając, dobiła ją jednak w kolejnej próbie, a następnie dwoma szybkimi strzałami energii załatwiła ostatecznie, wyprzedzając drugi czas – uzyskany przez chłopaka stojącego na końcu rzędu – o 0,85 sekundy. Tłum wybuchnął głośnym aplauzem. Najgłośniej krzyczał Hilo. Jaya uniosła zaciśnięte pięści i odtańczyła taniec zwycięstwa.

Tia zalała się łzami.

Rodzice próbowali ją pocieszać.

– To tylko myszy – mówił Woon. – Muszą zginąć, żeby ludzie mogli ćwiczyć Przenoszenie.

– Ale dlaczego ludzie się cieszą z ich śmierci? – lamentowała dziewczynka.

– Nie cieszą się z ich śmierci, tylko ze zwycięstwa Jai – wyjaśniła Shae.

– Wygrała dlatego, że je zabiła! Czy wszyscy w szkole muszą zabijać myszy? Wy też je zabijaliście?

Gdy oboje rodzice przyznali, że tak, rozplakała się jeszcze bardziej.

Shae i Woon opuścili Akademię przed ceremonią rozdania nagród. Powstrzymali łzy córki, kupując jej po drodze smażony chleb w Gorącej Chacie dla zmotoryzowanych. Później Woon położył córkę spać, a Shae poszła do głównego budynku.

– Ma już sześć i pół roku – oznajmiła z niepokojem Hilowi. – Czy zrobiłam coś nie tak? Chyba nie byłam nadopiekuńcza ani jej nie rozpieszczałam?

Tia nie pierwszy raz zareagowała zbyt emocjonalnie. Nie chciała patrzeć na walki kogutów. Nawet sparingowe pojedynki na trawniku budziły jej niepokój. Rzecz jasna, współczucie było jedną z Boskich Cnót, ale przemoc stanowiła nieodłączny element każdej rodziny zielonych kości. Skąd w jej córce wzięła się taka miękkość?

– Być może poświęcałam jej za mało czasu i uwagi.

Siedziała z bratem w salonie. W całym domu panowała cisza. Ru wrócił na kampus, Jaya obchodziła zakończenie przedtestów z grupą kolegów – zajęła trzecie miejsce w ogólnej klasyfikacji i miała powody do zadowolenia – a Wen, zmęczona długim dniem, położyła się spać.

Hilo wyjął z szafki butelkę hoji i dwa kieliszki, po czym napełnił je, wziął jeden w dłoń, a drugi podsunął z uśmiechem siostrze.

– Pękam w duchu ze śmiechu, widząc, jak moja twarda siostrzyczka użala się nad sobą i prosi mnie o radę w sprawie wychowywania dzieci.

– Nie robię niczego w tym rodzaju – sprzeciwiła się odruchowo Shae, ale musiała przyznać sama przed sobą, że jej brat mógł mieć rację. Wzięła w rękę kieliszek hoji.

– Shae... – zaczął Hilo, przybierając na poważny ton – jeśli nauczyłem się czegokolwiek w życiu, to tego, że nie da się przerobić ludzi na takich, jakimi chcielibyśmy ich mieć, bez względu na to, jak bardzo się staramy. Nawet własnych dzieci. Zwłaszcza ich.

Wiedziała, że jej brat myśli o Niku, gdziekolwiek mógł on obecnie przebywać. Nie potrafiła potępić bratanka za to, że odwrócił się plecami do rodziny i klanu, bo sama również kiedyś to zrobiła, ale rozumiała teraz lepiej niż kiedykolwiek, jak czują się ci, których porzucono, gdy widzą przy stole puste krzesło. Miała nadzieję, że Niko robi to, co pragnie robić, i udało mu się znaleźć to, czego szukał. Mogła jedynie modlić się do bogów o to, by synowi Lana nic nie zagroziło.

Hilo przez moment wpatrywał się smętnie w swój kieliszek, po czym zakręcił nim i wypił trunek.

– Nie wszyscy nadają się do takiego życia. Nie mówię o noszeniu jadeitu, tylko o całej reszcie.

Uniosła stopy na kanapę, podciągając nogi. Wypiła łyk hoji i wsparła głowę o poduszkę.

– Nie chodzi o to, że pragnę, by córka podążyła w moje ślady – oznajmiła. Popełniła w życiu wiele błędów, ale gdy wspominała teraz podejmowane decyzje, nie potrafiła określić, które z nich były trafne, a które nie. – Ale trochę mnie dziś zabolalo, gdy Tia spojrzala na mnie ze łzami w oczach. Widziałam, że uświadomiła sobie, że matka być może wcale nie jest taka dobra.

Aura Hila poszerzyła się, a potem skurczyła w obszarze jej Postrzegania w odpowiedniku głębokiego mentalnego westchnienia.

– Tylko dzieci i bogowie są na tyle aroganccy, że osądzają to, czego nie rozumieją. Nie ma powodu przejmować się ich opiniami. Nie martw się o Cię. Jak sama powiedziałaś, ma dopiero sześć i pół roku. Jest jeszcze za mała, żeby się tym gryźć.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Shae słyszała dobiegające z zewnątrz odgłosy pracy robotników malujących dom rogu i powiększających garaż przed wprowadzeniem się nowego lokatora. Juenowie wyprowadzili się z posiadłości i poświęcili cały rok na podróżę po świecie. Shae życzyła im szczęścia. Nie wszystkie z najwyższych rangą zielonych kości w klanie musiały być takie jak ona i Hilo. Nie każdy musiał być Kaulem.

Zastanowiła się nad motywacjami, które kierowały nią przez wszystkie te lata, gdy pracowała jako prognostyczka – obowiązek, zemsta, rywalizacja, osobista duma i pragnienie osiągnięć, nadzieja oraz wiara, że potrafi uczynić klan Bez Szczytów silniejszym, lepszym i nowocześniejszym niż ten, w którym się wychowywała i który w młodości pragnęła porzucić. Teraz jednak wszystko to przesłoniło głębokie, sięgające do szpiku kości pragnienie zapewnienia córce bezpieczeństwa. Pragnęła, by ta słodka dziewczynka o łagodnym usposobieniu nigdy nie musiała walczyć jak jej matka.

– Chcę otworzyć biuro klanu Bez Szczytów w Szotarze – oznajmiła nagle.

Hilo milczał, czekając, aż jego prognostyczka powie coś więcej.

– Nasz wzrost w Espenii zwalnia – wyjaśniła Shae. – Tamtejszy rynek nieruchomości się kurczy, a gospodarka jeszcze przez pewien czas pozostanie słaba. Lata kampanii reklamowych i lobbingu zrobiły sporo dobrego. Udało się nam powstrzymać espeński rząd przed zakazem działalności klanu i zmniejszyć kary za posiadanie jadeitu przez cywilów. Ale nadal nic nie wskazuje na to, że jadeit zostanie całkowicie zalegalizowany.

Hilo otarł dłonią czoło i westchnął z rezygnacją. Shae podejrzewała, że chodziło nie tyle o to, co powiedziała, ile o fakt, że uświadomił sobie, że nie będzie w stanie cieszyć się resztą wieczoru bez konieczności rozmawiania o sprawach klanowych.

– Na Kekonie przejęliśmy klan Jo Sun i mamy teraz również Toshon. Ale Góra powiększyła się o Czarny Ogon, więc ma teraz Gohei, a w dodatku nadal jest silniejsza w Lukangu. Żadna ze stron nie może zdobyć przewagi nad drugą. Potrzebujemy nowych rynków.

– Hami założył biuro w Tun – przypomniał jej Hilo. – Mogłabyś przyspieszyć wzrost tam.

– Próbowaliśmy od lat, ale Tun to trudne miejsce na robienie interesów. Nie ma tam politycznej stabilności, a waluta w każdej chwili może się załamać. Infrastruktura jest kiepska, język trudny, a prawa i rynki finansowe słabo rozwinięte. – Poświęciła już mnóstwo godzin na rozważenie wszystkich możliwych opcji. – Ygutan z oczywistych względów nie wchodzi w grę, a embargo na handel z Uwiwami nadal obowiązuje. Zostaje tylko Szotar.

Hilo zabębnił palcami o poręcz kanapy.

– Hami myśli, że to zły pomysł.

Z upływem lat Shae przestała się już dziwić, gdy okazywało się, że Hilo wie o biznesowej stronie klanu coś, czego się po nim nie spodziewała. Nadal nie potrafił się przebić przez sprawozdanie finansowe bez jej pomocy, ale znał fakty, które były mu potrzebne. Stworzył w swym umyśle mapę wszystkich latarników klanu, uszeregowanych według bogactwa, wpływów oraz lojalności. Wiedział,

kto z podwładnych Shae w Biurze Prognozy posiada szczególną wiedzę albo zdolności w danej dziedzinie, i mógł porozmawiać z takim człowiekiem, gdy tylko zechciał. Rzecz jasna, miał do tego prawo jako filar, ale czasami ją to irytowało. Podejrzewała, że nawet po tylu latach nadal jej nie ufa i myśli, że może coś kombinować za jego plecami.

– Hami jest przekonany, że Góra ma tam zbyt wielką przewagę dzięki sojuszowi, jaki Ayt Mada zawarła z Matyami – przyznała, marszcząc brwi. – Iyilo był członkiem tego gangu, zanim przejął Ti Pasuiga od Zapunya. Dlatego większość barukańskich uchodźców sprowadzonych przez Ayt z Oortoko była Matyami. To największy gang w Szotarze. Kontroluje potężne związki zawodowe i ma wpływy w wielu dziedzinach gospodarki.

– To znaczy, że stworzenie przyczółku w Szotarze byłoby dla nas równie trudne, jak dla Góry zdobycie wpływów w Resville. Rozumowanie twojego zaklinacza deszczu mnie przekonuje – skwitował Hilo.

Potrafiła jednak odczytać z jego twarzy, że nadal jest niezdecydowany.

– Różnica polega na tym, że dzięki twojemu byłemu rogowi, który jest prawdziwym mistrzem szachów, mamy w Szotarze broń, jakiej Góra nie ma w Espenii. Juen stworzył tam wielką siatkę białych szczurów i możemy ją wykorzystać, by otworzyć przed sobą drzwi do tego kraju.

Gdy przedstawiła mu swój plan, Hilo dopił resztę hoji.

– Dam ci pozwolenie, jeżeli Lott zgodzi się na wykorzystanie swoich białych szczurów w sposób, jaki proponujesz, i uda ci się przekonać Hamiego do swojego pomysłu. To może się udać tylko pod warunkiem, że będziemy oszczędzać swoich ludzi, nie wysyłając tam zbyt wielu pięści i palców. Janloon, Lukang, a teraz również Toshon wystarczająco już rozciągnęły siły zieleńszej strony klanu, Góra nadal ma nad nami przewagę liczebną.

W głosie Hila wyraźnie słyszało się żal. Nadal. Minęło już tyle lat, a oni ciągle tkwili w tym samym cholernym impasie. Na każdy krok klanu Bez Szczytów Góra odpowiadała jakimś własnym.

– Nie próbowali nas atakować już od dłuższego czasu – zauważyła Shae.

Od sześciu lat z konieczności współpracowali z rywalami. Musieli zniszczyć Ruch Bezklanowa Przyszłość i skonsolidować swą władzę nad osłabionymi pomniejszych klanami oraz drugorzędnymi miastami. Oboma klanami targają też wewnętrzne konflikty. Shae podejrzewała, że uwagę Ayt Mady zaprzęta w pierwszej kolejności powstrzymywanie ekstremistów z klanu – od tradycjonalistycznych Kobenów po jednej stronie aż po *barukanów* i ich sprzymierzeńców po drugiej. Natomiast w klanie Bez Szczytów odejście Nika wywołało publiczny skandal i otworzyło sprawę sukcesji.

Jedyna korzyść z tego całego zamieszania polegała na tym, że Góra nie próbowała ostatnio wysłać do grobu nikogo z rodziny Kaulów.

Hilo poklepał się po pustych kieszeniach. Wyraźnie brakowało mu papierosa.

– Ayt siedzi teraz cicho – przyznał, wpatrując się z uwagą w Shae. – Może ma jednak jakieś ludzkie uczucia.

Wiedziała, że chodzi mu o to, że nawet Ayt Mada musi czuć jakąś wdzięczność i dlatego powstrzymuje się przed atakami na rodzinę kobiety, która uratowała jej życie, kiedy nikt inny nie chciał tego zrobić.

Gdy Shae schowała karambit w Świątyni Boskiego Powrotu, coś się zmieniło. Postawiła tamę czerwonemu nurtowi krwawej wendety i przynajmniej na chwilę odwróciła jej bieg. Pozostawało jednak niezaprzeczalnym faktem, że nawet jeśli Ayt nie wyszeptwała już ich imion, nadal musieli pamiętać, że Góra jest wrogiem, z którym się ścigają. Gdy tylko klan Bez Szczytów zostanie z tyłu, zwolni albo osłabnie, Góra obali go i zmiążdży.

Shae wyjrzała przez okno, za którym zapadała już ciemność, i wciągnęła policzek.

– Góra nie siedzi bezczynnie. Iwe Kalundo wycofuje ludzi i inwestycje z Ygutaniu.

Hilo wzruszył ramionami bez śladu zaskoczenia.

– To już nie jest dla nich dobry kraj.

Ygutańska gospodarka bardzo ucierpiała z powodu globalnego kryzysu, program tworzenia nekolvów przyciągnął uwagę całego świata i spowodował sankcje, a dyrektoriat w Dramsku rozdzierały wewnętrzne spory. Wszyscy byli przekonani, że to wspierający ponoć RBP Ygutańczycy stali za zamachem bombowym w Janloonie, a to uczyniło ich najbardziej znienawidzonymi ze wszystkich cudzoziemców. Wielu członkom Góry z pewnością nie podobały się inwestycje poczynione w tym kraju przez Ayt Madę.

– Tak, ale Góra nie wycofa się bez planu – zastanawiała się na głos Shae. – O ile mi wiadomo, na razie nie przenieśli biznesów w inne miejsce. Przetawiają szachowe bierki, ale nie potrafię zobaczyć, do czego zmierzają. Jeśli Ayt milczy, to znaczy, że coś knuje.

Zadzwoił telefon w kuchni. Hilo wstał, żeby odebrać rozmowę. Po paru sekundach Shae Postrzegła gwałtowny rozbłysk jego jadeitowej aury. Zerwała się zaniepokojona. Jej brat ścisnął słuchawkę tak mocno, że bała się, że może ją zmiążdżyć swą Siłą.

– Co jest? – wysyczała. – Co się stało?

– Będę za kilka minut – rzekł Hilo do słuchawki przez zaciśnięte zęby. Odłożył ją i sięgnął po marynarkę oraz kluczyki. – Aresztowano Jayę.

* * *

Szef policji wyjaśnił Hilowi, że jego córka uczestniczyła w bijatyce na domowej imprezie. Jeden młody mężczyzna wyładował w szpitalu, ale na szczęście będzie żył. Gośćmi byli głównie uczniowie z Akademii Kaul Du, a wszystkie rodziny gości były powiązane z klanem Bez Szczytów, z pewnością więc była to klanowa sprawa. Jayę przekazano pod opiekę ojca, który odwiózł ją do domu, zaprowadził do gabinetu i zamknął za nimi drzwi. Dziewczyna opadła na jeden z foteli.

Hilo stanął przed córką.

– Wytłumacz się – zażądał.

Osunęła się niżej w fotelu.

Miała na sobie czarne dżinsy i skórzaną kurtkę, a pod nią jaskrawoczerwony top odsłaniający pępek. Oparła nogi na stoliku i spojrzała na ojca, wzruszając ramionami.

– Co miałabym powiedzieć? Dostał to, na co zasłużył.

– Uprawiałaś z nim seks?

– Tato! – Jaya sprawiała wrażenie zażenowanej. – Rzeczywiście chcesz wiedzieć takie rzeczy o swojej córce?

Hilo nadal łypał na nią ze złością.

– Spotykaliśmy się już od pewnego czasu, ale w zeszłym miesiącu go rzuciłam – przyznała. – Jest ładny, ale zaczynał za bardzo do mnie lgnąć, a poza tym potrafi być nadętym głąbem. Tak czy inaczej, nie chcę, żeby on albo jego rodzina zaczęli sobie za dużo wyobrażać.

Hilo skrzywił się, słysząc jej rzeczową odpowiedź. Po odejściu Nika Jaya znalazła się w centrum klanowej uwagi. Uważano, że ponieważ syn filaru jest kamienookim, utalentowany zięć może się stać następcą filaru. Kilkanaście wpływowych rodzin zwróciło się do Hila z prośbą, by przedstawił córce ich synów – w wieku od czternastu do czterdziestu lat. Ignorował te prośby albo odpowiadał:

– Jest jeszcze za młoda. Kiedy osiągnie odpowiedni wiek, urządzę turniej dla zalotników. Będą walczyli na śmierć i życie.

Takie słowa wypowiedziane przez zwyczajnego nadopiekuńczego ojca wywołałyby śmiech, ale gdy chodziło o Kaul Hiloshudona, wesołość była podszyta niepokojem i prośby się skończyły.

– Jeśli to była sprawa między wami, to skąd to zamieszanie?

– Cały czas łąził za mną i za Haną – poskarżyła się Jaya. – Ciągłe próbował przyciągnąć jej uwagę. Może rzeczywiście mu się spodobała, a może tylko chciał wzbudzić moją zazdrość. Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Tak czy

inaczej, w pewnej chwili oboje poszli na górę, a ja zostałam na dole i grałam w bilard ze wszystkimi, gdy nagle Hana zaczęła się bać. Naprawdę, tato! Postrzegalam to, jak...

Jaya zakręciła gwałtownie ręką wokół głowy.

– Dlaczego w ogóle nosiłaś jadeit poza Akademią? – zapytał Hilo. Jego córce zostały jeszcze trzy miesiące do ukończenia nauki i nie wolno jej było nosić jadeitu bez nadzoru dorosłych zielonych kości. – W dodatku go ukrywałaś, jak złodziejka – dodał filar, coraz bardziej rozgniewany. – Oddaj mi go.

Jaya jęknęła, podwinęła nogawkę dzinsów i zdjęła z nogi opaskę ćwiczebną, którą dostała od Akademii. Skrzywiła się pod wpływem nagłego wycofania jadeitu i z niechęcią wcisnęła opaskę z jej trzema klejnotami w wyciągniętą dłoń ojca.

– Hana miała szczęście, że włożyłam opaskę – zauważyła. – Co, gdyby spróbował takiego syfu ze mną?

– Nie ośmieliliby się – odpowiedział Hilo. – Mal Ging to jedyny syn radcy Mal Joon. Dzięki bogom nie wykrwawił się na śmierć. Mielibyśmy poważne kłopoty, nie wspominając już o fakcie, że wyrzuciliby cię z Akademii.

Jaya zatoczyła oczami.

– Tato, nikt mnie nie wyrzuci. Czemu się tak przejmujesz? Myślisz, że to pierwszy chłopak, z którym się pieprzyłam? Albo pierwszy, którego dziabnęłam nożem?

Roześmiała się na widok jego miny.

Hilowi przyszło na myśl, że jego córka zasługuje na porządne lanie, ale nigdy nie potrafił się zdobyć na to, by potraktować ją brutalnie. Była dziewczyną, a w dodatku jego najmłodszym dzieckiem.

– Pragnie twojej uwagi i wie, jak ją przyciągnąć – powtarzała mu nieraz z irytacją Wen.

– I co mam teraz z tobą zrobić, Jaya-se? – warknął Hilo, zwracając się raczej do siebie niż do córki. – Musimy jakoś przebłagać Malów.

– Nie oddam im ucha – odparła Jaya, krzyżując ręce na piersiach i wysuwając dolną wargę. – Nie zasługują na nie, a poza tym wcale nie żałuję tego, co zrobiłam temu głabowi. Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy im cokolwiek dawać. To oni powinni przeprosić Noyu Hanę i jej rodzinę. Czy przepraszałybyś kogokolwiek za to, że broniłeś przyjaciela? Daj spokój, tato, słyszałam te wszystkie historie o tobie.

– Przynajmniej nigdy nie pchnąłem kolegi w krocze karambitem! – Hilo przymrużył powieki. – O jakich historiach właściwie mówisz?

Jaya spojrzała na niego z irytacją, jaką tak świetnie opanowały wszystkie nastoletnie dziewczyny.

– No wiesz, te z czasów, kiedy byłeś pięścią. O tym, co zrobiłeś Tanku Dinowi. Albo o tym, jak byłeś rogiem. Albo o wojnie z Górą.

– Nie rzucaj przykładami, o których nic nie wiesz.

Jaya wstała i zaczęła spacerować po gabinecie z przygnębioną miną.

– No wiesz, nikt nie chce się ze mną pojedynkować. Nawet jeśli oferuję im czystą klingę. Boją się, że jeśli mnie skaleczą, rozerwiesz ich na strzępy. Dlatego Ging bał się zgwałcić mnie i zaatakował Hanę. Co za tchórz. Jak mam po ukończeniu Akademii zdobyć dla siebie jadeit, nie wspominając już o zostaniu pięścią? Życie zielonej kobiety i tak już jest wystarczająco trudne, nawet jeśli pracuje po nudnej stronie klanu jak ciotka Shae.

Hilo był tak zaskoczony, że zapomniał o gniewie z powodu okaleczenia chłopaka Malów. Jaya zawsze była tym z jego dzieci, które najłatwiej mu było zrozumieć i pokochać. Przypomniawszy sobie, że w latach wczesnego dzieciństwa potrafiła być bardzo męcząca. Rzadko zapadała w drzemkę albo choć przestawała się ruszać. Domagała się, żeby się z nią ganiał albo kołysał na huśtawce znacznie dłużej niż obu jej braci, aż do chwili, gdy była bliska wymiotów. Zawsze łatwo okazywała uczucia i żyła chwilą. Nie wiedział, że martwiła się tym, jak to jest być zieloną kobietą, choć po zastanowieniu doszedł do wniosku, że powinien być się tego spodziewać. Usiadł dość ciężko na jednym z foteli.

– Jaya-se – zaczął. – Do końca roku powinnaś się skupić na Testach i zasłużyć na jadeit bez wywoływania kolejnych kłopotów. Absolutnie nie wolno ci chodzić na przyjęcia, nosić jadeitu poza kampusem ani spotykać się z chłopakami, bo inaczej, niech mi bogowie pomogą, rozerwę ich na strzępy, jak to ujęłaś. Załatwię sprawę z rodziną Malów, ale jeśli jeszcze raz trafisz do aresztu – lepiej, żeby to się nie wydarzyło – nie wyciągnę cię stamtąd. Będziesz gniała w celi przez tydzień jak pospolici przestępcy.

Jaya osunęła się na fotelu i wydeła usta.

– Jeśli chodzi o to, co się wydarzy, jak już ukończysz naukę, powinniśmy o tym porozmawiać z twoją matką i z twoją ciotką Shae. Niedobrze się stało, że zwlekaliśmy z tym tak długo. To moja wina, ale byłem bardzo zajęty i zostało jeszcze sporo czasu, więc nie masz się czym przejmować. Masz przed sobą wiele możliwości. Mogłabyś pójść do college’u albo studiować w Espenii, jeśli tego pragniesz. Mogłabyś służyć rok albo dwa jako palec. W klanie jest też mnóstwo płacących daninę firm, w których mogłabyś odbyć staż.

Jaya usiadła prościej.

– Złożę przysięgę zieleńszej stronie klanu, tato. Zostanę pięścią najwyższej rangi, a pewnego dnia rogiem klanu Bez Szczytów.

Hilo nie znosił zniechęcać swych dzieci, ale tym razem uznał, że musi to zrobić.

– Róg to najzieleniejsza, najbardziej niebezpieczna pozycja. Żadna kobieta nigdy nie była rogiem.

– Przed Ayt Madą żadna kobieta nigdy nie była filarem – odcięła się Jaya. – Chcesz mi powiedzieć, że nasi wrogowie mogą sobie pozwolić na więcej od nas? Jestem twoją córką! Czy we mnie nie wierzysz? – zapytała skrajnie nerwowym tonem.

– Pewnie, że w ciebie wierzę – warknął Hilo. – Ale żeby zostać rogiem... nie wystarczy umieć walczyć, być Kaulem albo nosić najwięcej jadeitu. To... – Umilkł nagle.

Trudno mu było wyrazić w słowach, dlaczego myśli, że jego córka może aspirować do pozycji, którą sam kiedyś zajmował, tak bardzo go niepokoi. Róg musiał być znakomitym wojownikiem, sprytnym i wyrachowanym, przywódcą. Przywódcą mężczyzn. Nawet wśród świetnie wyszkolonych i noszących mnóstwo jadeitu zielonych kości tylko nieliczni potrafili sprostać tym wymaganiom. Przede wszystkim jednak bał się wygórowanych i niebezpiecznych ambicji córki, mogących się dla niej zakończyć śmiercią w młodym wieku. Instynkt ojca podpowiadał mu, że powinien ją skierować ku tej części klanu, w której było mniej przemocy.

– Nie masz jeszcze osiemnastu lat – przypomniał jej rozsądnym tonem. – Powinnaś rozważyć wszystkie dostępne opcje i nie podejmować decyzji przedwcześnie.

Jaya zerwała się nagle. W jej oczach zapłonęły ból i oburzenie.

– Nie mów tak! Nie traktuj mnie jak głupiej dziewczyny z durnymi ambicjami. Myślałam, że kto jak kto, ale mój ojciec na pewno mnie zrozumie!

– Siadaj.

Nawet najbardziej krnąbrne dziecko musiało wzdrygnąć się i zawrócić, usłyszawszy rozkazujący ton Hila. Wskazał fotel i Jaya posłuchała go z wyraźną niechęcią. Usiadła z naburmuszoną miną i wbiła wzrok w podłogę.

Hilo potarł twarz dłonią. Powinien był się domyślić, że Jaya okaże się totalnie zielona, a jak sam powiedział dziś Shae, nie powinno się nikogo popychać w kierunku, który nie był mu przeznaczony, albo zabraniać podążania w tym, którego najbardziej pragnął.

– W porządku – zgodził się. – Jeśli jesteś pewna, że chcesz zostać pięścią, porozmawiam z Lott Jinem. Zastanowimy się, którzy z naszych ludzi będą dla ciebie najlepszymi mentorami i w jaki sposób mogłabyś zdobyć dla siebie więcej jadeitu. Przed końcem roku powinnaś porozmawiać ze wszystkimi ważniejszymi pięściami. Potem zdecydujesz, które z nich najbardziej szanujesz i chciałabyś

służyć pod ich rozkazami. Porozmawiaj też z kobietami palcami, żeby zapoznać się z ich opiniami. – Na jej twarzy zaczął się pojawiać uśmiech, ale Hilo szybko go zgasił. – Wszystko to wydarzy się wyłącznie pod warunkiem, że do końca roku będziesz się nienagannie zachowywać, dostaniesz po ukończeniu Akademii cztery jadeity i nie będziesz sprawiać kłopotów. W przeciwnym razie sam odbiorę ci jadeit i wyślę cię do najniższego rangą szczęściodawcy wykonującego najnudniejszą robotę, jaką znajdę, w jakiejś nic nieznaczącej firmie. Przysięgam na niebo.

Jaya podeszła do ojca, objęła go i słodko pocałowała w policzek. Popisywanie się i fochy nastolatki zniknęły bez śladu.

– Daję słowo, że cię nie zawiodę, tato.

Nie będę taka jak Niko. Nie powiedziała tego na głos, lecz Hilo wiedział, że tak właśnie pomyślała. Uściskał ją, mimo że jego niepokój nie minął.

– Jest późno. Idź już spać. Jutro odwiozę cię do Akademii.

Do drzwi zapukał jeden z pilnujących rezydencji palców.

– Kaul-jen – oznajmił, gdy Hilo otworzył drzwi. – Rodzina Noyu chce się z tobą zobaczyć.

Hilo wyszedł z gabinetu. W holu przy wejściu czekało na niego czworo ludzi. Drżąca nastolatka w wieku Jai, jej rodzice oraz noszący jadeit młodzieniec, który z pewnością był jej bratem. Na widok Hila wszyscy pokłonili się nisko, oddając mu honory. Oczy matki zaszyły łzami, a twarz ojca była blada. Podeszedł bliżej, opuszczając wzrok.

– Kaul-jen... – zaczął – przyszedliśmy tu, by okazać ci wdzięczność za to, co zrobiła twoja córka. Uratowała Hanę przed krzywdą, nie wspominając o honorze i reputacji naszej rodziny. Słyszeliśmy, że Jaya spędziła kilka godzin w areszcie, a to z pewnością zepsuło ci wieczór. – Przełknął głośno ślinę. – Nasza rodzina jest mała, ale mój syn jest palcem w klanie, a córka ma nadzieję zostać szczęściodawczynią. Jeśli możemy przysłużyć się twojej rodzinie i klanowi Bez Szczytów również w jakiś inny sposób, z chęcią weźmiemy na siebie ten obowiązek.

Noyu ukląkł na twardym parkiecie i dotknął czołem podłogi. Cała rodzina podążyła za jego przykładem.

– To moja wina! – zawołała Hana, tłumiąc łkanie. – Podpuszczałam Ginga, bo wiedziałam, że on i Jaya zerwali ze sobą i pomyślałam, że może mu się spodobać. Oboje wypiliśmy za dużo i nie...

– Cicho, dziewczyno – syknęła jej matka. – I tak już narobiłaś kłopotów.

Jaya podeszła do przyjaciółki i postawiła ją na nogi.

– Jak możesz myśleć, że to twoja wina?! – zawołała gniewnie. – Ging to pieprzony zasraniec. Jak ci się zdaje, dlaczego z nim zerwałam? To bardzo miło,

że cała twoja rodzina przyszła wyrazić wdzięczność, ale naprawdę nie musieliście się trudzić. Od czego są przyjaciele, jeśli nie od tego, żeby pomagać sobie nawzajem? – Uściskała mocno koleżankę. – Nic nie szkodzi, że posiedziałam trochę w areszcie. Ważne, że jesteś bezpieczna.

Hana rozplakała się na dobre. Uściskała mocno Jayę i nie odeszłaby, gdyby rodzice i brat jej nie odciągnęli, mówiąc, że filar i jego rodzina i tak już poświęcili im zbyt wiele czasu. Hilo był lekko oszołomiony tym wszystkim i nie miał absolutnie nic do dodania. Położył tylko dłoń na ramieniu Noyu i podziękował mu za to, że tu przyszedł.

Usta mężczyzny zadrżały z wdzięczności.

– Kaul-jen, nie tylko jesteś filarem, lecz również wychowałeś dzieci, które są tak samo zielone i dobre jak ty. Gdy na ciebie patrzę, żałuję, że nie potrafię być takim ojcem.

ROZDZIAŁ 41

DRUGA SZANSA

Trzej mężczyźni stali przed Złym Keczkiem Remim i jego dwoma ochroniarzami, niecierpliwi i podekscytowani. Minęła już północ i Janloońską Ucztę zamknięto przed godziną. Na piętrze zostało tylko ich sześciu. Jedyne okno uchylono, by nieco rozproszyć nietypowy dla wiosny upał, ale żaluzje zamknięto i światła przygaszono, żeby stworzyć poważną atmosferę.

– Nasi przodkowie od stuleci zabierali jadeit zabitym wrogom – zaczął z namaszczeniem Jon Remi i rozłożył na stole czarny obrus. Wygłaszał tę mowę już wiele razy i znał rytuał na pamięć. – Tylko najsilniejsi mogli nosić zieleń. A gdy już ją zdobyli, musieli walczyć, by ją zachować. To część naszej kultury. Mamy to we krwi. Dzisiejszej nocy kontynuujemy tradycję przekazaną nam przez pokolenia jadeitowych wojowników.

Położył na obrusie trzy identyczne złote łańcuchy. Na każdym wisiał jadeitowy medalion.

Wśród głów węży zapadła pełna szacunku cisza.

Jadeit trudno było zdobyć – przez tych chciwych skurwysynków z kekońskich klanów – i Remi dobrze się zastanawiał, nim awansował kogoś na żmiję. Trzej stojący przed nim mężczyźni byli członkami gangu już od roku i dowiedli swej wartości, popełniając co najmniej dwa zabójstwa na zlecenie.

– Zasłużyliście na jadeit – ciągnął Remi. – Ale kiedy już go założycie, nie będzie odwrotu. – Uniósł wytatuowane ręce. – Kim jesteśmy.

– Głowami węży!

Mężczyźni unieśli palce ustawione w geście naśladowującym węzowy język.

Remi przywołał pierwszego młodego mężczyznę w rzędzie. Dowiódł on gęstości swej krwi, zabijając dwóch członków Kartelu Copa. Głowy węży grały obecnie rolę języczka u wagi w wojnie między kartelem a sprzymierzonymi ze sobą paczkami ze Wschodniego Resville oraz Cranston. Remi nienawidził obu

walczących stron i ścierał się już z nimi w przeszłości, ale w Resville sojusznicy i wrogowie ciągle zamieniali się ze sobą miejscami.

Mężczyzna pochylił głowę i Remi założył mu na szyję łańcuch z medalionem, mianując go żmiją. Na twarzy obdarowanego pojawił się wyraz bojaźni. Jego aura zmieniła się nagle, gdy wypełniła ją moc jadeitu. Od tej chwili będzie musiał codziennie ćwiczyć z innymi żmijami, by nauczyć się panować nad nowymi umiejętnościami i robić z nich użytek. Będzie też potrzebował codziennej dawki SN2. Remi słyszał, że na Kekonie zielone kości w ogóle nie biorą błysku, ponieważ już w dzieciństwie wystawia się je na działanie jadeitu. Kolejny przywilej, jakim cieszył się stary kraj. Na szczęście Zły Keczek miał pod dostatkiem błysku, a do tego narkotyk był teraz bezpieczniejszy niż w dawnych czasach. W zeszłym roku w całej grupie zdarzyły się zaledwie trzy przypadki śmierci z przedawkowania. Lepsze to niż choćby jeden przypadek śwędziawki. Remi tylko raz widział śmierć spowodowaną śwędziawką. Mężczyzna zabił żonę i dzieci tasakiem, a potem skierował narzędzie przeciwko sobie.

Pierwszy z awansowanych oddalił się z oszołomieniem na twarzy i Remi wezwał następnego członka gangu – byłego więźnia, półkrwi Kekończyka, który opuścił organizację Migu Suna z Adamont Capita, po czym dowiódł swej wartości, kradnąc transport narkotyków należący do Kartelu Copa i zabijając trzech dilerów. Z upływem lat Kartel Copa przejął większą część rynku narkotykowego w regionie, przemycając prochy – głównie pochodne amfetaminy, jak słodka mąka czy buzz – przez granicę z Tomascio. Ludzie kartelu słynęli z niepohamowanego okrucieństwa. W Tomascio było na porządku dziennym, że baronowie narkotykowi przybijali poćwiartowane trupy do płotów, by stały się ostrzeżeniem dla ich wrogów.

Szefowie paczek z Resville nie mieli zamiaru pozwolić, by zachodniacy ich wyparli, ale obawiali się również przeciągającego się konfliktu w ważnym turystycznym ośrodku, jakim było Resville. Dlatego z niechęcią płacili Złemu Keczkowi, by wykonywał za nich czarną robotę. Głowy węży nie były najliczniejszym gangiem w Resville, ale wszyscy w espeńskim półświatku zgadzali się, że w walce jeden na jednego nie ma zabójców skuteczniejszych niż noszący jadeit Kekończycy. W zamian za tę przysługę paczki ze Wschodniego Resville i Cranston zgodziły się oddać głowom węży kontrolę nad hazardem i prostytutką przy eleganckiej Laholla Street we wschodniej części miasta. Remi był przekonany, że zrobił znakomity interes.

Drugi mężczyzna przyjął jadeit i oddalił się, ściskając go w garści.

Walka z Kartelem Copa to nie był żart. Nawet mając za sobą paczki, Remi wahałby się przed podjęciem takiego wyzwania, gdyby nie pewne atuty, jakimi

nie dysponował nikt inny w mieście. Pierwszym z nich były jego noszące jadeit żmije, drugim zaś trzeci i ostatni ze stojących przed nim mężczyzn.

Maik Tar był co najmniej dwadzieścia pięć lat starszy od mianowanych przed nim żmij i w pełni wyglądał na swój wiek. Mimo to był najlepszy ze wszystkich głów węży. Jak wszystkim nowym rekrutom Remi na początek zlecał mu proste zadania – dostarczanie towaru, wymuszenia, wręczanie łapówek albo spuszczenie komuś łomotu. Maik radził sobie z nimi świetnie, bez mrugnięcia okiem. Potem Remi kazał mu zamordować człowieka, byłego członka głów węży, który został policyjnym kapusiem. Następnego dnia donosiciel zniknął bez śladu i policja nigdy nie znalazła ciała.

Remi był zachwycony, lecz również nieco wstrząśnięty. Zlecał Maikowi kolejne zadania, a on nigdy go nie zawiódł. Był zabójcą twardym jak stal. Geniuszem brutalności. W zeszłym miesiącu trzech ludzi z kartelu obrabowało jednego z bukmacherów Remiego, pobiło go na śmierć i uciekło z miasta. Remi dał Maikowi dwóch ludzi i rozkazał mu dopaść złodziei. Maik zostawił trzy spalone ciała w samochodzie na stacji benzynowej, osiem kilometrów od granicy z Tomascio.

W przeciwieństwie do niektórych innych członków gangu głów węży Maik Tar nie pił ani nie brał narkotyków, nie wdawał się w bezsensowne bójkę, nie miał żony ani kochanki, nigdy nie pyskował ani nie kwestionował zadań, jakie zlecał mu Remi. Był o klasę lepszy od pozostałych, dzięki wyjątkowemu instynktowi do ulicznych operacji i przemocy. Zauważał i zapamiętywał szczegóły o kluczowym znaczeniu, spowijała go atmosfera groźby oraz autorytetu i zawsze świetnie walczył. Remi mógł tylko sobie wyobrażać, jaki był Maik za młodu. To jest etyka pracy i dyscyplina, jaką można znaleźć w klanach ze starego kraju, myślał z zazdrością i resentmentem. Takich ludzi mieli Kaulowie. Nieudolne pojeby, z jakimi sam musiał się borykać, nie miały z nimi szans.

W dodatku Maik zrobił to wszystko bez jadeitu. Co będzie mógł osiągnąć po dzisiejszej nocy? Dwie pozostałe nowe żmije nigdy przedtem nie nosiły jadeitu i miną miesiące, nim będą zdolne zrobić z nim coś użytecznego. Przed wygnaniem Maik przez wiele lat nosił bardzo dużo zieleni. Remi uniósł ostatni łańcuch i na oczach wszystkich dodał do pierwszego cennego jadeitowego medalionu dwa kolejne. Nigdy dotąd nie dał nikomu tak wiele zieleni na raz, ale Maik mógł sobie z nim poradzić. Stanie się wtedy niepowstrzymaną siłą. Z Maikiem na czele jego żmij Remi będzie mógł zniszczyć Kartel Copa i wszystkich, którzy ośmielą się stanąć mu na drodze.

Maik otworzył szerzej oczy. Remi wyczuwał jego zniecierpliwienie.

– Znowu jesteś i od tej chwili zawsze będziesz wojownikiem zielonej kości – oznajmił z triumfalnym uśmiechem. – Maik-jen.

Maik pochylił głowę i Remi założył mu łańcuch na szyję. Kekończyk uniósł rękę i wcisnął zielone medaliony w swą nagą skórę. Zadrżał, gdy nagły przyptyw jadeitowej energii wypełnił jego mózg po raz pierwszy od czternastu lat. Jego twarz o grubo ciosanych rysach rozpromieniła się czystą radością i triumfem. Uniósł wzrok ku sufitowi, jakby nawiązał transcendentną więź z bogami.

– Dziękuję – wyszeptał ochryple. – Dziękuję za to, że dałeś mi drugą szansę.

Z niewiarygodną szybkością i Siłą wyszkolonej w Akademii pięści pierwszej rangi Maik Tar uderzył wzmocnionymi Stałą palcami w gardło Remiego, miażdżąc mu tchawicę.

Ochroniarze Złego Keczka i inni obecni w pomieszczeniu członkowie gangu znieruchomieli ze zdumienia na całe dwie sekundy, zanim wyciągnęli broń. W tym czasie Tar złapał stojącego najbliżej i Przeniósł do jego mózgu. Naczynia krwionośne pękły, powodując natychmiastową śmierć. Cisnął ciałem w drugiego ochroniarza, obalił go na podłogę, po czym rzucił się do ucieczki. Pozostałe przy życiu głowy węży otworzyły ogień. Odbijania rzucające przez Tara powstrzymały większość pocisków, ale nie wszystkie. Używał swych jadeitowych umiejętności po raz pierwszy po długiej przerwie i było to dla niego trudne, jakby zdrętwiały mu kończyny. Miał też znacznie więcej lat niż w czasach, gdy był zieloną kością w Janloonie.

Kula przebiła mu bark, a druga trafiła go w nogę. Potknął się i upadł. Rozwścieczeni gangsterzy rzucili się na niego z nożami. Nie mieli pojęcia, jak używać zdobytego przed chwilą jadeitu, ale i tak byli dzięki niemu szybsi i silniejsi. Tar ciął w twarz byłego więźnia, który padł z krzykiem na podłogę, ale spóźnił się ze Stałą i oberwał nożem po żebrach. Władał jednak karambitem z przerażającą skutecznością, a w dodatku warczał jak wściekłe zwierzę i dwaj nadal zdolni do walki przeciwnicy bali się go zaatakować. To dało Tarowi kilka sekund, których potrzebował, by wyskoczyć przez jedyne okno w restauracji, rozbijając je otoczonym Stałą ciałem.

Spadł na poręcz schodów przeciwpożarowych i zleciał z niej na chodnik. Wylądował na nogach, łagodząc upadek Lekkością. Na ziemię posypała się kaskada odłamków szkła. Przechodnie wrzeszczeli. Poczuli, że skręcił sobie nogę w kostce, ale uciekł, utykając, i pokonał półtorej przecznicy, nim pojawiły się dwa radiowozy. Nie stawiał oporu przy aresztowaniu.

* * *

Gdy znalazł się w szpitalu, pod ścisłym nadzorem policyjnym, pozwolono mu na jeden telefon do rodziny. Zadzwoił do Hila, pod nierejestrowany numer, znany tylko członkom rodziny Kaulów. Poznał go w czasach, gdy był filarowym, i z ulgą przekonał się, że nadal jest aktualny.

– Hilo-jen... – zaczął, krzywiąc się z bólu – jestem w szpitalu, ale nie przejmuj się, będę żył.

Przerwał pod wpływem nagłych emocji i nie mógł dodać nic więcej. Rozmawiali ze sobą po raz pierwszy od tej straszliwej nocy sprzed wielu lat.

– Nic nie mów gliniarzom – odpowiedział filar. – Wyślemy do ciebie adwokata. Wyciągniemy cię stamtąd, Tar.

Gdy Hilo dowiedział się, że Jon Remi nie żyje, a zabójcą był nie kto inny jak jego dawny filarowy, nawiedziło go surrealistyczne wrażenie – jakby był w szoku, ale jednocześnie w nim nie był. Teraz zaś czuł się tak, jakby cofnął się w przeszłość do tej straszliwej chwili, gdy stał pod drzewem w posiadłości swej rodziny, trzymając w ręce karambit, a Tar klęczał przed nim. Słuchawka drżała w jego dłoniach, tak samo jak wtedy nóż.

– Spróbujemy załatwić to zgodnie z prawem, a jeśli się nie uda, wymyślimy coś innego. Pamiętaj, nic nie mów i nie przejmuj się. Wracaj do zdrowia i czekaj cierpliwie – Przerwał na moment, żeby się uspokoić. – Dobrze się spisałeś, Tar.

– Cieszę się, że mogłem usłyszeć twój głos, Hilo-jen – odpowiedział Maik po dłuższej chwili.

– Wiesz, że zawsze liczyłem na ciebie bardziej niż na kogokolwiek innego – zapewnił filar. – Zadzwoń do mnie za kilka dni, jak już pogadasz z adwokatem. Pomożemy ci.

Tar nie dzwonił już więcej do domu Kaulów. Policja przesłuchała go, gdy jeszcze leżał w szpitalu. Tłumacz pomagał mu odpowiadać na pytania. Oznajmił, że był członkiem głów węży i wezwano go do restauracji, żeby go zabić, bo Remi podejrzewał, że szpieguje dla kekońskich klanów, które nie chciały, by przestępcze organizacje używały jadeitu. Oznajmił, że zabił Remiego w samoobronie. Współpracował z policją, wymienił nazwiska wszystkich znanych mu członków gangu, zdradził, gdzie są ich kryjówki, i podał szczegółowe informacje o przestępstwach, w które byli zamieszani.

* * *

Wkrótce potem w więzieniu odwiedził go Cory Dauk. Adwokat pamiętał go z czasów pierwszej wizyty Kaul Hila w Espenii. Był wtedy tylko młodym studentem prawa, a Maik Tar był prawą ręką filaru, człowiekiem równie niebezpiecznym jak Rohn Toro. Teraz Maik był znużony i posiwiwały, pobladł też

po pobycie w szpitalu. Odzyskał jadeit na kilka minut i wypełnił go potężny strumień energii, a potem policja mu go zabrała. To było wielkie obciążenie dla umysłu oraz ciała i oczy zapadły mu się głęboko. Rany nie stanowiły zagrożenia dla życia, ale kula oderwała kawałek kości udowej i zapewne już do końca życia będzie utykał.

Maik zapytał, czy może dostać papierosa. Cory nie palił, ale zapytał strażników, czy któryś z nich mógłby poczęstować więźnia. Tar z wdzięcznością przyjął papierosa, zapalił go, usiadł na metalowym krześle i zamknął oczy z zadowoleniem.

– Niepotrzebnie powiedziałeś glinom wszystko, co wiedziałeś, zanim tu przybyłem – powiedział mu Cory. – Mogliśmy wykorzystać twoją wiedzę, żeby zawrzeć umowę.

Maik mu nie odpowiedział. Zaciągnął się papierosem, nie otwierając oczu.

– Zapewne dostaniesz piętnaście do dwudziestu lat więzienia o zastrzonym rygorze – wyjaśnił mu Cory. Był wyraźnie poirytowany, ale nadal zachowywał się profesjonalnie. – Ponieważ zgodziłeś się współpracować z policją, będziemy mogli to zmniejszyć do jakichś dziesięciu lat. Po wyjściu dostaniesz nową tożsamość i obejmą cię programem ochrony świadków. Zamieszkas w innym mieście, gdzie nikt cię nie znajdzie, i będziesz mógł zacząć życie od nowa.

– Już raz to robiłem. – Tar rozchylił nieco powieki. Ten pomysł w ogóle nie przypadł mu do gustu. – Po wyjściu miałbym prawie sześćdziesiąt lat. Byłbym za stary.

Cory przyglądał się mu przez dłuższą chwilę.

– No wiesz, oni chcą cię wydostać. Klan Bez Szczytów. – Rozmawiali po kekońsku i żaden ze stojących blisko strażników ich nie rozumiał. – Twój dawny szef, Kaul Hilo wypytuje o to, jak można wpłynąć na sąd, przekupić gliniarzy i sędziów. Pyta też o szczegóły zabezpieczeń więzienia. Jeśli wylądujesz za kratkami, zrobią wszystko, żeby cię wyciągnąć.

Tar uśmiechnął się z satysfakcją, lecz również ze smutkiem.

– Nie powinni tego robić.

– Zgadzam się – poparł go Cory. – Musieliby złamać mnóstwo różnych praw i przyciągnęliby uwagę do twoich powiązań z klanem. Próbowałem im to wytłumaczyć, ale nie jestem pewien, czy wasz filar mnie wysłucha. Gdybyś zdołał przekonać swoich krewnych, żeby nie próbowali ingerować w proces sądowy, na dłuższą metę wszyscy by na tym skorzystali, w tym również ty.

– Dziękuję za radę – odparł Tar. – Spróbuję ich przekonać.

Cory przyjrzał mu się z wyraźnym niepokojem.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Pytasz jako mój adwokat? – zapytał Tar z drwiącym uśmiechem.

Cory pokręcił głową.

– Anden odwiedził cię, prawda? Poprosił cię, żebyś załatwił Jona Remiego?

Tara śmieszył ton głosu prawnika, sugerujący, że Cory z wysiłkiem tłumi przerażenie. Zgasił papierosa na metalowym blacie dzielącego ich stołu.

– Remi wybrał sobie niewłaściwego wroga – odpowiedział po prostu. – Lepiej nie stawać na drodze klanu Bez Szczytów.

– Nie jesteś już zieloną kością z klanu. Nie możesz wrócić na Kekon. Zatem dlaczego? Co ci to da?

Tar wzruszył ramionami.

– Śmierć konsekwencji. – Zauważył, że ten termin nic nie mówi Cory'emu Daukowi. – Mniejsza z tym. To tradycja zielonych kości ze starego kraju. Tutaj jej nie znają.

ROZDZIAŁ 42

ŚMIERĆ KONSEKWENCJI

Osiemnaście miesięcy wcześniej Anden wybrał się do Orslow, południowego przedmieścia Port Massy, w którym mieszkało coraz więcej Kekończyków. Gdy dotarł do brązowego bungalowu na rogu, zauważył mężczyznę koszącego trawę przed wejściem. W pierwszej chwili go nie poznał. Myśl, że Maik Tar poci się w promieniach słońca, pchając kosiarkę przed swoim skromnym domem, jak zwyczajny sąsiad w popołudnie siódmego dnia, wykraczała poza wyobraźnię Andena. Wysiadł z samochodu i przeszedł na drugą stronę ulicy. Maik spojrział w jego stronę, wyłączył kosiarkę i otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Potem uśmiechnął się szeroko i wyszedł mu na spotkanie.

– Cześć, Tar – przywitał go Anden.

– Niech to szlag, cieszę się, że cię widzę, chłopcze.

Uściskali się i Tar zaprowadził go do swego domu. Gdy już byli w środku, odwrócił się, położył dłonie na ramionach Andena i uścisnął je mocno, jakby chciał się upewnić, czy to rzeczywiście on.

– Niech to szlag – powtórzył. – Szkoda, że nie wiedziałem, że przyjedziesz. –

Odwrócił się, nagle podekscytowany, i otworzył lodówkę. – Chcesz się czegoś napić? Mam tylko napoje gazowane, ale mogę skoczyć po coś innego.

Rozejrzał się po kuchni z wyraźnym zawstydzeniem, uświadamiając sobie, jak mały i ubogi musi się wydawać jego dom. A przecież kiedyś był jedną z najpotężniejszych i budzących największy strach zielonych kości w Janloonie, prawą ręką filaru.

– Daj, co masz – odpowiedział Anden.

Tar przyniósł dwie butelki i usiadł przy stole.

– Jak ci się powodzi? – zapytał ostrożnie.

Ostatni raz widział Tara po owej tragicznej nocy, gdy opatrzył jego rany i pomógł mu zmyć krew z dłoni oraz twarzy. Nie wiedział, co myśleć, gdy

patrzył na niego teraz. W dawnych czasach uważał Maik Tara za przybranego brata, ale nigdy nie był z nim blisko i nie czuł się swobodnie w jego towarzystwie. Tar zawsze sprawiał wrażenie gniewnego i niebezpiecznego, był wilkiem, nad którym potrafili zapanować tylko Hilo i Kehn. Niemniej znał Tara od dawna, często jadał z nim kolacje w domu Kaulów i trudno mu było widzieć w nim przede wszystkim zabójcę Iyn Ro. Nie zastanawiał się nad innymi ludźmi, których pozbawił życia Tar. Robił to na rozkaz filaru i dla dobra klanu.

Maik wzruszył ramionami.

– Nie narzekam. No wiesz, wszystko ze mną w porządku. Lepiej, niż było kiedyś. Minęły lata, nim przestałem nienawidzić wszystkiego, w tym również siebie. Nie miałem jadeitu, klanu ani rodziny, absolutnie nic. Nie skończyłem ze sobą tylko dlatego, że Hilo-jen darował mi życie i wyobrażałem sobie, że jest niewielka szansa, że pewnego dnia mi wybaczy i pozwoli mi wrócić. – Jego oczy przybrały roztargniony wyraz. Potrząsnął głową. – Wiem, że to niemożliwe – dodał, ale w jego głosie nadal pobrzmiwała lekka nuta niepewności. Zerknął z ukosa na gościa, co świadczyło, że na jego widok poczuł lekki przypływ nadziei.

– Cieszę się, że wreszcie poczułeś się tu jak w domu – stwierdził Anden.

Musiał ukryć współczucie, które poczuł, gdy zobaczył, że w oczach Maika pojawiła się maleńka iskierka optymizmu, a jego usta nie zaciskają się już tak mocno. Tar był w tym samym wieku, co Hilo, ale na wygnaniu bardzo się postarzał. Jego palce, nadgarstki i szyja wydawały się nieprzyzwoicie nagie, pozbawione jadeitu, który nosił przez całe dorosłe życie w Janloonie.

– To prawda. – Maik zgarbił się nieco. – Straciłem jadeit, ale po przybyciu tutaj starczało mi na życie. Dwaj faceci, zielone kości od starego Dauka, zaglądali do mnie od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku, ale otwarcie mówili, że zabiją mnie jak wściekłego psa, jeśli tylko okaże się to konieczne.

Uśmiechnął się półgębkiem.

– Kiedy przeniosłeś się do Orslow? – zapytał.

Nie spodziewał się, że Tar zechce kiedykolwiek zamieszkać w tak spokojnej, podmiejskiej okolicy. Zawsze sprawiał wrażenie typowego mieszczucha, przynajmniej w Janloonie.

– Parę lat temu. – Wyjrzał przez okno, jakby się zdziwił, że jest tu już tak długo. – Tu jest... inaczej. Taniej, oczywiście, i to dobrze, ale... – Potarł zuchwę, zastanawiając się nad odpowiednimi słowami. – W Południowej Pułapce są teraz przychodnie jadeitowej medycyny. I nielegalne szkoły dla zielonych kości. Piętnaście lat temu zaczęliśmy tu wysyłać pięści, żeby szkoliły

ludzi Dauka, a niektórzy z ich uczniów latają teraz do Janloonu i wracają. W Orslow nie ma żadnych zielonych kości.

Anden go rozumiał. Bliskość jadeitu i zielonych kości z pewnością była dla niego bolesna. Przypominała mu, kim był kiedyś. Niemniej nawet teraz, gdy wspominał o pięściach z klanu Bez Szczytów przybywających do Port Massy, posługiwał się słowem „wysyłaliśmy”, jakby nadal był jednym z przywódców klanu.

– A co z pracą? – zapytał. – Masz tu jakąś robotę?

– Zacząłem jako bramkarz w klubie w centrum. To głupia i nudna praca, ale przynajmniej łatwa – odpowiedział Maik. – Po pewnym czasie przyszło mi na myśl, że to, co robię, nie różni się zbyt od tego, czym zajmują się palce najniższej rangi – bądź obecny, wyglądaj groźnie i radź sobie z kłopotami, kiedy do nich dojdzie. Nie nosiłem już jadeitu, ale wiedziałem, jak być kimś więcej niż palcem. Kiedyś byłem drugą pięścią w klanie, a potem filarowym. – Na króciutką chwilę w jego oczach pojawił się błysk. – Dlatego zacząłem pracować na własną rękę. Unikałem sal uraz. One są okropnie tandetne, w Janloonie nie znajdziesz nic w tym rodzaju. Jak już wykonałem kilka zadań, ludzie sami zaczęli się do mnie zwracać. Najczęściej chodzi o wytropienie dłużników zalegających ze spłatą, niewiernych mężów, którzy uciekli od żon, znalezienie na kogoś haka i tak dalej. Ale zdarzają się też ciekawsze zlecenia. Robota czasami jest, a czasami jej nie ma, ale na świadczenia wystarcza. – Zażenowany Tar umilkł na kilka sekund. – A co u ciebie, chłopcze? – zapytał, jakby Anden nadal był nastoletnim kuzynem Hilo-jena, a nie znanym trzydziestoosmioletnim lekarzem. – Dobrze wyglądasz. Co słyhać w domu? Przyleciałeś do Espanii w klanowych interesach?

Anden opowiedział mu w skrócie o wydarzeniach w klanie Bez Szczytów. Tar słuchał go z wielkim zainteresowaniem, wypytywał o wszystkie dzieci, a zwłaszcza o Cama, który był na szóstym roku w Akademii, rok niżej niż Jaya. W tym czasie Niko został już starszym palcem, a Ru był w ostatniej klasie liceum. Anden przywiózł ze sobą zdjęcia, wiedząc, że Tar ucieszy się na ich widok. Były filarowy obejrzał je uważnie, nie odzywając się ani słowem. Raz tylko parsknął śmiechem, ujrawszy jakieś wyjątkowo zabawne zdjęcie albo głupią minę któregoś ze swoich bratanków.

Zatrzymał się na dłuższą chwilę przy nieupozowanym zdjęciu przedstawiającym Hila i Wen siedzących razem na trybunach na licealnym meczu piłki sztafetowej, w którym występował Ru. Zrobił je ktoś siedzący obok, być może Shae. Oboje uśmiechali się i wyglądali na szczęśliwych.

Maik obejrzał wszystkie zdjęcia, a potem odwrócił się i otarł ukradkiem oczy.

– Dziękuję, że mi je pokazałeś.

– Możesz je sobie zatrzymać. – Anden odwrócił wzrok, nie chcąc urazić dumy Tara przez okazanie nadmiernej troski. – Poznałeś tu kogoś? Masz jakichś przyjaciół?

Dom ewidentnie należał do kawalera. Proste meble, wnętrze pozbawione dekoracji, a w zlewie stał tylko jeden zestaw naczyń.

– Kilku – odpowiedział Tar. – Zacząłem grać w karty z paroma facetami, których poznałem na siłowni. Zapisalem się w bibliotece do klubu książki dla czytelników, dla których espeński jest drugim językiem. Było też kilka romansów, ale nic poważnego. Nigdy się nie ożeniłem. Nie mogłem tego zrobić po... no wiesz.

Złożył równo wszystkie zdjęcia.

Andena wypełniło dziwne uczucie, mieszanina litości z podziwem. Pamiętał, jak trudny był dla niego pierwszy rok pobytu w Port Massy. Był studentem, miał wsparcie klanu i rodzinę, która się nim opiekowała, a do tego wiedział, że jego wygnanie jest zapewne tymczasowe i prędzej czy później wróci do domu. Tar nie dysponował podobnymi atutami. Był starszy i trudniej mu było nauczyć się nowego języka. Musiał przejść odstawienie jadeitu, znaleźć pracę i zbudować sobie życie od nowa. Nie tylko przeżył, lecz miał teraz domek na przedmieściu, pracę, która mu odpowiadała, i kilku znajomych. To zakrawało na cud. Od życia zielonej kości, które ongiś było dla niego wszystkim, dzieliło go dziesięć lat i cały ocean. Maik Tar został złamany, lecz teraz stał się bardziej cały niż przedtem.

– Cieszę się, że mogłem się z tobą zobaczyć, Tar – powiedział mu szczerze.

Maik odchrząknął i pogłaskał plik zdjęć, po czym spojrział na gościa z oczekiwaniem i zrozumieniem.

– A co z klanowymi sprawami?

Ucieszył się ze spotkania i szansy dowiedzenia się czegoś o członkach rodziny, z pewnością jednak wiedział, że Andena nie sprowadziły tu dobroć i sentymentalizm. Hilo nie zabronił otwarcie spotkań z nim, ale wszyscy wiedzieli, że dla klanu jest martwy. Filar nie rozmawiał z nim ani razu, odkąd go wygnał. Anden wiedział, że nie kierowało nim okrucieństwo, lecz litość. Postąpiłby źle, gdyby dał Tarowi choć odrobinę nadziei. Trzeba go było izolować od klanu, by pogodził się ze swoją sytuacją i mógł rozpocząć nowe życie. Hilo nie ufał też samemu sobie. Bał się, że serce może mu zmięknąć, a do tego nie mógł dopuścić. Maik Tar poznał jednak w Hiszpanii wiele zielonych kości i z pewnością dowiedział się od nich, że gdy Emery Anden zjawia się w tym kraju, reprezentuje filar klanu Bez Szczytów.

– Po odejściu Dauk Losuna, niech bogowie obdarzą go uznaniem, prowadzenie interesów w Hiszpanii stało się trudniejsze – zaczął Anden.

Opowiedział Tarowi o próbach zmiany opinii o jadeicie w tym kraju, usunięcia prawnych barier uniemożliwiających ekspansję. Wyjaśnił, że niektóre zielone kości nie zważają na nalegania swych braci i wolą być notorycznymi przestępcami.

– Szczególne trudności sprawia jeden człowiek – kontynuował z grymasem na twarzy. – Remi Jonjunin albo Jon Remi. Nazywają go Złym Keczkem Remim, jakby był szefem paczki. Najgorsze jest to, że osiągnął sukces dzięki klanowi Bez Szczytów. – Opowiedział Tarowi o sojuszu Remiego z klanem, o tym, że zdobył w Resville wielkie wpływy, a teraz, gdy już stał się bogaty i potężny, nie chce zmienić zwyczajów. – Nikt nie może przemówić mu do rozsądku. W ostatnim miesiącu dwóch jego ludzi aresztowano za prowadzenie nielegalnej wytwórni błysku. Jeden z nich nosił jadeit. Głowy węży Remiego stoją na drodze wszystkiemu, co próbuje osiągnąć w tym kraju klan Bez Szczytów.

– Czy ktoś już próbował go zabić? – zapytał rzeczowo Tar.

– Paczki próbowały. Ale on jest bardzo ostrożny. Ma co najmniej trzy mieszkania i ciągle przemieszcza się między nimi. Jada tylko w kekońskich restauracjach i kiedy gdzieś się wybiera, zawsze wysyła przodem zwiadowców. Cały czas towarzyszą mu noszący jadeit ochroniarze. Żaden zamachowiec z paczek nie zdołał się nawet do niego zbliżyć.

Tar skinął głową.

– A co z innymi zielonymi kośćmi?

– Zielone kości z Port Masy i Adamont Capita podejmowały próby negocjowania z Remim i wzięcia go w cugle, ale odmawiają wyszeptania jego imienia. Nie chcą sprowokować kłopotów z prawem i pogorszyć sytuacji kekońskiej społeczności albo stać się celem zemsty zwolenników Remiego. Dlatego współpracują z policją, żeby doprowadzić do aresztowania go i zlikwidowania jego biznesów. Mają nadzieję, że to w końcu się uda albo paczki rozwiążą problem za nich.

Tar pokręcił głową.

– W Janloonie coś takiego nie byłoby możliwe.

– Nie są w stanie zrobić nic więcej – odpowiedział Anden. Czuł się zobowiązany bronić Cory’ego Dauka i jego keko-espeńskich przyjaciół. – Nie mają klanu ani filaru, zabrakło im ludzi takich jak Dauk Losun i Rohn Toro. Dlatego nie wiedzą, jak powinny się zachowywać prawdziwe zielone kości. Mimo to są naszymi sojusznikami i partnerami w interesach. Nawet gdy Remi znieważył nas osobiście, Hilo-jen dał wdowie po Dauku słowo, że nie wyśle ludzi klanu Bez Szczytów do Resville i nie zrobi nic, co przyciągnęłoby niekorzystną uwagę. – Anden spojrzał znacząco na Tara. – Zły Keczek jest

wrogiem naszego klanu i filar chce się go pozbyć. Ponieważ ja najlepiej znam sytuację w Espenii, polecono mi znaleźć najlepszy sposób na rozwiązanie tego problemu w taki sposób, by nie można by go było powiązać z klanem Bez Szczytów.

– Uwierz mi, byłem kiedyś na twoim miejscu i filar nieraz zlecał mi trudne zadania. Z pewnością nie powierzyłbym takiej roboty byle komu.

– Hilo nie wie, że tu jestem – odparł Anden.

Maik uniósł brwi i się wyprostował.

Anden widział, że były filarowy czuje się rozczarowany. Z pewnością sądził, że filar zasugerował mu wizytę, a przynajmniej się na nią zgodził. Niemniej Tarowi schlebiało, że Anden odwiedził go po tak wielu latach i był gotowy narazić się filarowi, spotykając się z klanowym pariasem bez zgody i błogosławieństwa Hila.

Tar przyniósł dwie kolejne butelki napoju. Usiadł i zmarszczył czoło. Z pewnością zastanawiał się nad wszystkim, co powiedział mu Anden.

– Możesz mnie zapewnić, że zabicie tego człowieka będzie dobre dla klanu? Że pomoże Hilo-jenowi?

– Tak – potwierdził Anden. – Nie przybyłbym tutaj, gdyby tak nie było.

– A czy Jon Remi zasługuje na śmierć?

To pytanie zaskoczyło Andena. Nie sądził, by Maik Tar kiedykolwiek zastanawiał się nad takimi sprawami w przeszłości. Wygnaniec jednak przyglądał mu się z uwagą, czekając na odpowiedź. Wyraz jego twarzy sugerował, że nie jest już człowiekiem, którego znał kiedyś Anden, lecz kimś, kto przez ostatnie dziesięć lat zadawał sobie bardzo wiele pytań i nadal liczył, że znajdzie na nie odpowiedzi.

– Remi jest tym, kim jest – zaczął Anden po długim zastanowieniu. – Pod pewnymi względami zasługuje na podziw. Pragnie żyć po swojemu i żąda dla siebie szacunku, również, gdy wydaje się, że wszystko zwróciło się przeciwko niemu. Ale używa jadeitu wyłącznie po to, by wykorzystywać innych. Wymusza pieniądze nawet od kekońskich biznesów. Zabił wielu ludzi, ale zawsze chodziło mu wyłącznie o pieniądze i narkotyki. Nigdy nie oferuje im czystej klingi. Jego głowy węży niczym się nie różnią od paczkowców. Nie powinno się pozwolić istnieć zielonej kości takiej jak on. Niewielu ludzi na świecie zasługuje na śmierć bardziej od niego.

Tar milczał przez chwilę. Odpowiedź była bardziej przemyślana i szczerą, niż się spodziewał. Doceniał też fakt, że Anden okazał zhańbionemu, wygnanemu z klanu mordercy szacunek i nie okłamał go ani nie zbył paroma frazesami. Wstał i ruszyli razem ku drzwiom.

– Zawsze jestem gotowy zrobić to, czego potrzebuje Hilo-jen – zapewnił. – Nie przejmuj się już tą sprawą, chłopcze.

– Czy mógłbyś powiedzieć chłopakom, zwłaszcza Camowi, że wujek Tar kocha ich i tęskni za nimi? – zapytał jeszcze, gdy Anden wychodził. – Wiem, że niektórych błędów nie można naprawić, ale trzeba jakoś żyć i trzymać się tego, co nam zostało. Powiedz to, dobra?

* * *

Upadek głów węży był szokująco szybki, nawet jak na standardy półświatka Resville. Policja miejska i władze federalne nigdy dotąd nie otrzymały tak wielu informacji o najbardziej osławionym keko-espeńskim gangu. Tydzień po śmierci Remiego aresztowano niemal wszystkich bezpośrednich podwładnych Złego Keczka i postawiono im mnóstwo zarzutów.

Reszta członków gangu nie zdołała przeorganizować się wystarczająco szybko, by przetrwać akcje stróżów prawa i jednoczesne ataki Kartelu Copa oraz miejscowych paczek. Ci z ludzi Remiego, którzy zdołali uniknąć aresztowania, ukrywali się, uciekli z miasta albo porzucili działalność przestępczą. Niektórzy posunęli się nawet do tego, że przestali nosić jadeit. Powstało kilka małych odpryskowych gangów, ale żaden nie rozrósł się zbyt. Traktowano ich z lekceważeniem, jak drobnych kryminalistów. Mieli niewiele jadeitu – o ile w ogóle go mieli – a teraz żaden z przywódców zielonych kości, którzy poparli rodzinę Dauków w Port Massy, nie przyznawał klejnotów ludziom z kryminalną przeszłością.

Paczki szybko wypełniły pustkę pozostałą po upadku głów węży. W krótkim czasie zawarły wstępną umowę z Kartelem Copa, odstępując rywalom większą część rynku narkotykowego, ale odzyskując kontrolę nad hazardem, prostytutką oraz wymuszeniami we wszystkich dzielnicach Resville poza zdominowanymi przez Kekończyków, z których przeganiano je dyskretnie, ale stanowczo.

Wśród keko-espeńskich zielonych kości wytyczono ściśle określone granice. Przekaz brzmiał następująco: „Ćwiczcie potajemnie, noście jadeit, brońcie swojej dzielnicy. Jeśli staniecie się zbyt chciwi i zmienicie się w szefów paczek, czeka was los taki sam, jak Jona Remiego, który zapłacił wysoką cenę za sprzeciwianie się rodzinie Kaulów z klanu Bez Szczytów i brak szacunku dla niej”.

Dwa miesiące po aresztowaniu Maik Tara znaleziono martwego w celi więziennej. Powiesił się na prześcieradle. Wcześniej tego dnia chodził po spacerniaku w pozornie dobrym nastroju. Wrócił już niemal całkowicie do zdrowia po odniesionych ranach. Zjadł kolację i żartował ze strażnikami. Nie

uważano go za potencjalnego samobójcę. Nie zostawił listu, choć wieczorem długo opowiadał o starszym bracie, nieżyjącym od osiemnastu lat, i dodał, że ma nadzieję, że naprawdę istnieje życie po śmierci, jak twierdzą niektórzy.

Jego ciało odesłano do rodziny w Janloonie. Pochowano go obok Kehna na działce rodziny Kaulów na cmentarzu Niebo Czeka. O pogrzebie wiedzieli tylko nieliczni, nawet wśród członków klanu. Przyjaciele i krewni Iyn Ro rozgniewaliby się, gdyby się dowiedzieli, że filar zakończył wygnanie Tara, choćby tylko w ten ostateczny sposób. Na pogrzebie byli jedynie członkowie rodziny Kaulów. Potem Hilo stał długo w miejscu, gdzie pochowano trzech jego braci – Lana, Kehna, a teraz Tara. Towarzyszyła mu Wen. Nie odzywała się, ale łzy spływały po jej twarzy. Hilo nie był w stanie płakać tylko dlatego, że ona to robiła. Żaloba ciężąca mu w piersi nie przypominała palącego gniewu, jaki czuł po zamordowaniu Lana i Kehna. Śmierć Tara była raczej spóźnionym zakończeniem tragedii, która wydarzyła się wiele lat temu.

Anden przystanął po drugiej stronie Hila i spojrzał na trumnę. Twarz miał zapadniętą z żalu.

– Zrozumiem to, jeśli obciążysz mnie winą, Hilo-jen – rzekł cichym, niepewnym głosem.

Hilo nie odpowiadał mu przez dość długą chwilę.

– Tar był najlepszy ze wszystkich. Tylko on mógł tego dokonać. Nie winię cię, nie w większym stopniu niż samego siebie. – Wsparł dłoń na ramieniu Andena i oparł się na nim ciężko, niemalże osuwając się na kuzyna. – Kiedy nie chciałeś włożyć jadeitu, gniewałem się na ciebie przez długi czas. Pamiętasz to oczywiście. Ale teraz cieszę się, że nie zostałeś pięścią, Andy. Pragnę... – Głos Hila załamał się nagle. – Pragnę, żeby chociaż jeden z moich braci żył.

ROZDZIAŁ 43

WOLNOŚĆ

Niko leżał na brzuchu w śniegu, kierując karabin R5 na prowadzącą do miasteczka szosę. Czekał tu już ponad trzy godziny, odziany w brązowo-biały ubiór maskujący. W Udainie zimno było przerażająco suche. Gardło i język Nika przypominały papier ścierny, mimo że cały czas ssał lód, a gdy słońce zaczęło zachodzić, temperatura spadła jeszcze bardziej. Nasilający się wiatr smagał go po twarzy i powodował szczypanie oczu. Nie czuł już kończyn, co było niepokojące, biorąc pod uwagę, że jego sztywne, podkulone palce będą musiały nacisnąć spust, gdy nadejdzie pora. Kiedy był uczniem w Akademii Kaul Du, wybierali się na wyprawy szkoleniowe w gęsto zalesionych górach Kekonu. Nocami bywało tam zimno, ale nie aż tak.

Pragnąc oderwać myśli od swych cierpień, zaczął się zastanawiać, jak w tej chwili wygląda Janloon. Pogodny jesienny dzień, ciepłe promienie słońca padające na ruchliwe ulice, słodkawy, korzenny zapach miasta unoszący się na chłodnej bryzie od portu. Przy tak pięknej pogodzie jego babcia z pewnością wyszła do ogrodu, by pielęgnować rabatki, matka planowała zmianę dekoracji wnętrza, a filar urządził spotkanie na patio albo obserwował pięści ćwiczące na trawniku. Ru był na kampusie i zmierzał na kolejne zajęcia. Jaya ukończyła już akademię. Czy była teraz palcem w klanie?

Sam to sobie wybrałeś, po raz kolejny pomyślał Niko. Przez większość czasu, gdy nie zamarzał i nie tęsknił za domem, był zadowolony ze swej zmieniającej całe jego życie decyzji. Nadal musiał jeździć tam, dokąd go wysłano, i robić to, co mu kazano, jak w czasach, gdy był palcem, ale nikt nie traktował go inaczej z powodu nazwiska, które nosił. Nikt nie prosił, by wstawił się za nim u swej rodziny, ani nie oczekiwał od niego więcej niż od innych. Miał takie samo ubranie, nosił taką samą broń i jadł takie samo gówniane żarcie co

wszyscy. Anonimowość była czymś, czego nigdy dotąd nie zaznał, i ta cudowna wolność mu odpowiadała. Wreszcie stał się niezależny.

Poznał też świat, zobaczył na własne oczy, że jest na nim znacznie więcej rzeczy niż tylko Kekon i klany. Przez całe jego życie nad kekońskim społeczeństwem i każdym aspektem jego życia osobistego dominował krwawy konflikt między Górą a klanem Bez Szczytów. Jednakże poza wyspą bardzo niewiele osób o nim wiedziało, a jeszcze mniej okazywało nim zainteresowanie. Najwyraźniej Jim Sunto miał rację, twierdząc, że kekońskie klany są tylko izolowaną kulturową anomalią. To stało się dla Nika objawieniem. Można powiedzieć, że na to właśnie liczył, opuszczając Janloon. Już od dłuższego czasu podejrzewał, że klan pozwala mu zobaczyć jedynie wąski skrawek rzeczywistości.

Leżący obok niego Teije Inno przesunął się, szukając mniej niewygodnej pozycji. Niko poznał Teijego i kilkunastu innych kekońskich rekrutów podczas wstępnego szkolenia na samym początku minionego roku. Znał jego nazwisko, ale nigdy przedtem go nie widział. Rodzina Teije była spokrewniona z Kaulami i należała do klanu Bez Szczytów, ale nie spotykała się z nimi towarzysko. Na Kekonie różnica statusu społecznego nie pozwalałaby im się zaprzyjaźnić, ale teraz byli dwoma Kekończykami przebywającymi daleko od domu i otoczonymi przez cudzoziemców. Dlatego Niko cieszył się z jego towarzystwa.

Teije trącił go łokciem i wykonał drobny gest. „Postrzegasz to?”. Skierował nagle podbródek w lewą stronę. Niko nic nie widział na szosie. Niebo nadal lśniło ciemnoniebieskim blaskiem, ale pod osłoną sosen było już ciemno. Przestał wyteżać wzrok i skupił się na Postrzeganiu. Żałował, że nie jest silniejszy. W pierwszej chwili wykrył tylko pobliskie skupiska energii – Teije tuż obok niego, maleńkie iskierki gryzoni pod śniegiem i ptaków na gałęziach, a także dwóch innych żołnierzy MRG po drugiej stronie szosy. Po dwóch sekundach koncentracji wykrył jednak niewyraźną plamę grupy ludzi, stłoczonych zbyt ciasno, by mógł ich Postrzec indywidualnie. Miał nadzieję, że Espeńczycy zauważą ich w półmroku, a przynajmniej wyczuli ożywienie w jadeitowych aurach swych kekońskich towarzyszy. Niko nie nazwałby tamtych dwóch mężczyzn przyjaciółmi, ale przyzwyczaił się do nich po trzech miesiącach spędzonych razem na pustkowiach Udainu. Falston był małomówny i cyniczny, a Hicks łatwo wpadał w złość, ale w sumie byli porządni i nie traktowali go tak lekceważąco jak inni cudzoziemcy, z którymi miał do czynienia. Byli espeńscy żołnierze stanowili zdecydowanie najliczniejszą grupę w MRG. Choć nosili najmniej jadeitu, byli irytująco dogmatyczni w swym podejściu do wszystkiego. Często nie odróżniali od siebie Kekończyków, Keko-

Espeńczyków i Keko-Szotarczyków, mimo że te trzy grupy unikały się nawzajem i mówiły trzema różnymi językami.

Pojawił się pojazd – brudnobrązowy, czterodrzwiowy pikap ze skrzynią nakrytą czarnym brezentem. Posuwał się powoli naprzód jednopasmową drogą, zmierzając ku Hansill. Kawałki lodu chrzęściły pod jego zielonymi oponami. Hansill było niewyróżniającym się niczym szczególnym miastem, liczącym sobie około dwustu tysięcy mieszkańców. Espeński wywiad wykrył, że ukrywają się tam wybawieńcy, wyznawcy popieranej przez Ygutan religii, którzy zbuntowali się przeciwko autokratycznemu rządowi Udainu.

Niko przycisnął twarz do karabinu i spojrzał wzdłuż lufy. Przypomniał sobie, że Vin Solunu, jeden z najstarszych rangą pięści w klanie Bez Szczytów dzięki bardzo precyzyjnemu dalekosiężnemu Postrzeganiu i nadzwyczajnej zdolności celowania potrafi z zamkniętymi oczami trafić w cel z odległości dwustu metrów. Niko widział kiedyś, jak strącił wiewiórkę z drzewa, mając opaskę na oczach. Nie był przekonany, czy sam potrafi strzelać tak celnie, nawet mając noktowizor. Zmienił zdanie, zawiesił karabin na plecach i przykucnął, gestem przekazując Teijemu, co zamierza.

Jego towarzysz otworzył szeroko oczy, ale skinął głową, zarzucił karabin na plecy i zajął pozycję obok Nika. Obaj oddychali w tym samym rytmie, gromadząc jadeitową energię. Falston i Hicks nie zrobią tego w taki sam sposób, ale Niko i Teije byli zielonymi kośćmi z Kekonu i załatwiali takie sprawy po kekońsku. Z bliska i osobiście.

Niko zerwał się do biegu. Jego zeszywniałe mięśnie zaprotestowały gwałtownie przeciw nagłemu przejściu z bezruchu w pęd. Siła wypełniła jego kończyny, dodając im szybkości, i pognał ku szosie, pokonując śnieg i chaszczę w dwóch wspomaganych Lekkością krokach.

Doskonale wyliczył czas. Gdy samochód przejeżdżał obok niego, uderzył z całą swą Siłą w drzwi po stronie pasażera niczym spanikowany byk rozbijający stojącą mu na drodze przeszkodę. Nikt poza zieloną kością władającą Stalą na najwyższym możliwym poziomie nie mógłby dokonać czegoś tak niebezpiecznego. Odbił się gwałtownie, przeleciał kilka metrów w powietrzu i wpadł między drzewa. Świat zakołysał się w jego oczach, ale zdołał zauważyć, że samochód skręcił gwałtownie, gdy kierowca nacisnął hamulec, być może sądząc, że zderzył się z jeleniem.

Teije wylądował przed pojazdem i wyprowadził potężne, niskie Odbijanie, które uderzyło w rozchybotane przednie koła maszyny. Ta obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni, wpadła w najbliższą zaspę i utknęła w niej jak krowa w drewnianym płocie.

Niko wstał. Dzwoniło mu w głowie. Nogi zachwiały się pod nim, gdy potężna energia Stali opadła z jego ciała, ale na szczęście nic się nie złamało. Karabin leżał w śniegu nieopodal. Podniósł go i pobiegł w stronę samochodu, łapiąc po drodze Lekkość, żeby nie zapadać się w sypki śnieg. Pochylał się nisko. W jego Postrzeganiu pojawił się nagły impuls strachu ludzi przebywających w pojeździe, gwałtowna eksplozja ostrej czerwieni. Zauważył, że kierowca unosi strzelbę.

Przednią szybę przebiły kule. Ciało kierowcy osunęło się na siedzenie. Falston i Hicks dobiegli do samochodu. Krótkie serie z ich karabinów maszynowych wyglądały jak sztuczne ognie na Nowy Rok. Tylne drzwi pojazdu się otworzyły i wypadł z nich mężczyzna z pistoletem w dłoni. Zrobił jeden krok i padł bez ruchu na lód pośrodku drogi.

Niko dobiegł do nich po kilku sekundach. Echa strzałów cichły już w oddali. Na ziemi wałały się łuski po pociskach.

– Na jaja Wieszcza! – wrzasnął Hicks, klepiąc Nika po plecach. – Ty pierdolony, zwariowany keczku, po prostu walnąłeś ciałem w pikapa!

Niko dyszał ciężko. Serce wciąż mu tłukło od adrenaliny, a także z radości wywołanej powodzeniem śmiałego planu.

„Gdyby tylko róg to zobaczył!” – wyszeptał głos wewnątrz jego umysłu.

Gdy otwierał usta, by coś powiedzieć, z wnętrza pojazdu dobiegł piskliwy krzyk bólu.

Mężczyźni znieruchomieli, usłyszawszy ten przerażający głos. Niko ruszył się pierwszy. Odepchnął Hicksa na bok i podbiegł do otwartych drzwi pojazdu. Kierowca w średnim wieku i drugi, młodszy mężczyzna nie żyli. Leżeli na przednich siedzeniach opatuleni w zimowe płaszcze. Siedzący na tylnym siedzeniu chłopiec, może dwunastoletni, osunął się na kolana młodszego dziecka, dziewczynki, być może swej siostry. Miała dziewięć, góra dziesięć lat. Pokrywała ją krew, ale żyła i jęczała.

– Jebać bogów – wydyszał stojący za nim Teije.

Agenci MRG w udaińskim rządzie powiedzieli im, że ich celem będą zwiadowcy buntowników, a mężczyźni jadący samochodem są przywódcami komórki radykalnych wybawieńców. Zabici nie wyglądali na twardych, wyszkolonych żołnierzy. Raczej na zwyczajnych mieszczuchów.

Teije zerwał plandekę.

– Nic tu nie ma.

Nie było tam broni ani środków wybuchowych, a tylko szczapy drewna, zwój liny i czerwone plastikowe sanki.

Niko nie potrafił się powstrzymać przed spojrzeniem na dziewczynkę. Spod jej różowej wełnianej czapki wysunęły się jasne włosy. Na twarzy miała ciemne

piegi. Otwierała i zamykała usta, gapiąc się na niego z dezorientacją i przerażeniem. Sięgnął do niej i spróbował rozpiąć pas, żeby ją wyciągnąć.

Falston złapał go za rękę. Przez moment espeńskie słowa mężczyzny nie docierały do Nika.

– Musimy stąd zwiewać – mówił. – Zanim zjawią się posiłki.

Niko wyrwał się z jego uścisku.

– Nie będzie żadnych posiłków. Spierdoliliśmy sprawę. – Nagle uświadomił sobie, że pod wpływem szoku i gniewu mówi po kekońsku. – Dziewczynka. Musimy jej pomóc – dodał, z wysiłkiem wymawiając espeńskie słowa.

– To niemożliwe – odparł Falston. – Nie wyżyje.

Miał rację. Niko Postrzegał, że życie odpływa z dziecka niczym biały dym umykający w ciemność. Odepchnął ciało martwego chłopca i zaczął Przenosić w jej ciało, ale to było tak, jakby próbował utrzymać wodę w durszlaku. Energia wylewała się z niej we wszystkich możliwych kierunkach, a jemu brakowało Postrzegania i medycznego szkolenia, by wiedzieć, na czym się skupić.

Gdyby tylko był tu wujek Anden. On wiedziałby, co robić. Potrafiłby ją uratować. Zdołał nawet wskrzесиć moją mamę.

Klatka piersiowa dziewczynki przestała się poruszać. Niko wiedział, w którym momencie zaczął Przenosić w trupa. To było tak, jakby próbował przelewać swoją energię do suchej gąbki. Jej nadal otwarte, niemrugające oczy wpatrywały się w pustkę.

Niko się odwrócił. Teije stał tuż za nim, gapiąc się na dziewczynkę nad jego ramieniem. Jego palce przesuwaly się szybko po jadeicie, który nosił na szyi. Odwrócił się, widząc wyraz twarzy Nika.

– Nic nie mogliśmy zrobić – rzekł słabym głosem.

Niko zwrócił się w stronę Falstona.

– Dlaczego strzelałeś? – zawołał, łapiąc go za kamizelkę kuloodporną. – Zatrzymałem samochód. Wystarczyło zajrzeć do środka. Wystarczyło...

Trudno mu było znaleźć odpowiednie espeńskie słowa, by wyrazić się jasno, zawołać, że każdy kretyn potrafi strzelać z karabinu maszynowego, ale zielone kości nie bez powodu ćwiczą jadeitowe dyscypliny. Każdemu palcowi, który byłby na tyle nieostrożny, by otworzyć ogień do niewinnych ludzi, klan odebrałby jadeit, a potem skazałby go na śmierć albo wygnanie za pogwałcenie *aisho*.

Falston był wielkim i silnym mężczyzną. Złapał go i odepchnął do tyłu. Hicks stanął między nimi, a Teije przytrzymał Nika. Jadeitowe aury rozbłysły ostrym, białym blaskiem agresji i paniki.

– Kurwa, opanuj się! – krzyknął na niego Hicks. – To nie jest niczyja wina. Wykonywaliśmy swoją robotę. Zaszła jakaś pomyłka. Dostaliśmy lipne

informacje, tak?

Teije obejrzał się na samochód i pobladł.

– Czy powinniśmy o tym zameldować?

Zgodnie z zasadami obowiązującymi w MRG wszystkie informacje o śmierci cywilów powinno się przekazywać komisji do spraw etyki.

– Kurwa, nie! – zawołał Hicks przerażony sugestią Teijego. – Nie jesteśmy armią RE! Jesteśmy prywatną firmą wojskową i rząd nie zapewnia nam ochrony. Jeśli zdecydują, że użyliśmy siły w nieuprawniony sposób, mogą nas postawić w stan oskarżenia.

– Są jakieś... zasady – wykrztusił Niko. – My mamy jadeit, a oni nie.

– Mamy też czołgi, wyrzutnie rakiet i zdjęcia satelitarne – zauważył Hicks. –

I co z tego?

– Posłuchaj, to by się nie zdarzyło, gdyby nieprzyjaciel nie ukrywał się wśród cywilów – zauważył rozsądnie Falston. – Ale czasami się zdarza. Kiedy byłem w Oortoko podobne przypadki były tak częste, że wolę o tym nie myśleć. Nie możesz się tym gryźć, ziom. To jest wojna. Kompania z prawnych powodów potrzebuje oficjalnych zasad i innego takiego syfu, ale uwierz mi, nikt z naszych przełożonych nie chciałby, żebyśmy o tym meldowali.

– Zameldujemy, że wyeliminowaliśmy cel – dodał Hicks. – Ci trzej zabici mężczyźni zapewne byli wybawieńcami. – Gdy Niko znowu otworzył usta, Hicks przyciągnął go do siebie tak blisko, że Kekończyk czuł zapach jego oddechu i widział włoski w szeroko rozwartych nozdrzach. – Dość już tego, ty uparty keczku. Zdarzyło się coś paskudnego i wszyscy jesteśmy podenerwowani, ale ja tutaj dowodzę i musisz robić, co ci każe. Masz z tym problem?

Nikt nigdy nie mówił do Nika z taką agresją i brakiem szacunku. Na kilka sekund jego mózg wypełniła pustka, odbijająca się również na jego twarzy. Potem nasunęły mu się liczne możliwe odpowiedzi, ale znał za mało espeńskich wulgaryzmów, by dobrze ująć je w słowa. Niewypowiedziany wstyd palił go niczym gorączka. Gdyby mógł oferować Hicksowi czystą klingę, zrobiłby to bez chwili zastanowienia.

Mógł się sprzeciwić espeńskim towarzyszom broni, skorzystać z drogi służbowej i dotrzeć do samego Jima Sunto albo nawet do firmy matki MRG, koncernu Anorco Global Resources. Ale co wtedy? Jego umysł kręcił się bezradnie w kółko. Czy przełożeni uwierzyliby w jego zeznania, a nie w świadectwo Falstona i Hicksa? Czy ukarano by ich, czy raczej na niego i na Teijego spadłby jeszcze większy ciężar odpowiedzialności? Czy Falston miał rację, twierdząc, że każdy raport przyjęto by niechętnie, wysunięto przeciwko nim zarzuty, a całą sprawę i tak uznano za nieuniknione straty uboczne?

Tak czy inaczej, nie przywróciłoby to życia dziewczynce z samochodu.

Espeńczyk nie spuszczał z niego spojrzenia. Jadeitowe aury pozostałych mężczyzn wypełniały jego umysł gorącym żarem. Zauważył, że Falston złapał mocniej karabin, a Teije z narastającym strachem przenosi spojrzenie między nim a Hicksem.

– Niko-jen...

Niko odsunął się i spuścił wzrok. Nienawidził samego siebie za to, że ustępuje człowiekowi, który przed chwilą wypuścił serię z karabinu maszynowego do samochodu, w którym jechały dzieci. Gdyby odezwał się tak do Nika na Kekonie, już by nie żył.

Ale nie byli na Kekonie. Niko nie miał za sobą klanowych palców. Ani potęgi swej rodziny. Nikogo poza gapiącym się na niego Teijem.

– Nie mam problemu – wymamrotał.

Hicks chrząknął zadowolony.

– Świetnie – warknął. – Nie chciałem nazwać cię keczkiem – dodał nieco łagodniejszym głosem. – Po prostu jesteście wykończeni, to wszystko.

– Powinniśmy stąd zmiatać – wtrącił Falston.

Odwrócił się i ruszył miarowym krokiem przez las w stronę odległego o dwa kilometry miejsca spotkania, skąd miał ich zabrać opancerzony pojazd MRG. Hicks podążył za nim, a po chwili Teije ruszył za nimi. Niko szedł ostatni. Nie oglądał się na drogę.

Kiedy był dzieckiem, zapytał kiedyś ciocię Shae, dlaczego wierzy w bogów. Obrzuciła go dziwnym, ale klarownym spojrzeniem.

– Dlatego że czuję, że na mnie patrzą.

Poczuł się wtedy rozczarowany. Po prognostycze spodziewał się bardziej racjonalnego wyjaśnienia. Teraz wreszcie ją zrozumiał. Przy każdym kroku w śniegu miał wrażenie, że coś kieruje na niego straszliwą uwagę, sięgającą do niego z drugiego końca świata niczym klątwa.

ROZDZIAŁ 44

TO NIE JEST KEKON

Dwudziesty drugi rok, czwarty miesiąc

Dziesięć miesięcy po tym, jak klan założył filię w Szotarze, Wen postanowiła towarzyszyć swej szwagierce, która wybrała się w interesach do Leyolo. Wen nigdy tam nie była i miała ochotę zobaczyć to miasto, a co ważniejsze miała tam też własny interes, który pragnęła załatwić osobiście.

Mąż i córka Shae odprowadzili je rano na lotnisko.

– Kupisz coś dla mnie? – zapytała matkę Tia.

Siedmiolatka rozważyła stojące przed nią opcje.

– Ładną sukienkę!

– Kupię – obiecała prognostyczka. – Ciocia Wen pomoże mi ją wybrać.

– Zrobię to – zapewniła z uśmiechem Wen.

Lubiła kupować ładne ciuszki dla Tii. Jaya zawsze odrzucała wszelkie próby wpływania na jej ubiór. Jedyne, co z nich wynikało, to zmarnowane pieniądze lub zniszczone stroje. Natomiast Tia była delikatnym dzieckiem o skłonnościach artystycznych. Kochała zwierzęta, taniec, wszystko, co błyszczało, i wymyślanie historii. Wen bawiło zachowanie Shae, która kochała córkę, ale była nią nieustannie zdumiona. Nie potrafiła pojąć, jak to możliwe, że takie marzycielskie, łagodne dziecko przyszło na świat w rodzinie Kaulów.

Shae uściskała Cię i pocałowała Woonę na pożegnanie, udzielając mu licznych wskazówek, które zaakceptował z taką samą wnikliwą cierpliwością, z jaką kiedyś kierował sprawami Biura Prognostyka na Statkowej i w Gmachu Mądrości. Gdy Wen na nich patrzyła, wypełniała ją nostalgia i smutek. Jej własne dzieci już dorosły, nawet Jaya opuściła dom. Hilo z oporami wysłał ją do

Toshonu, daleko na południu kraju, gdzie nie będzie przyciągała uwagi jako córka filaru, co da jej szansę wykazania się talentami zielonej kości.

Dawno temu Wen żywiła nadzieję, że pewnego dnia nawiąże z córką idylliczną więź, w której skład będą wchodziły typowo kobiece rozrywki, takie jak chodzenie na brunch i do spa, zakupy i codzienne rozmowy przez telefon. Jednakże Jaya dzwoniła do niej tylko wtedy, gdy czegoś potrzebowała. Najczęściej chodziło o radę ojca w sprawie jakiegoś problemu. Wen mimo wszystko była dumna z córki, ale żałowała, że nie potrafi nawiązać z nią kontaktu, podobnie jak Shae nie rozumiała Tii.

Była również dumna z Ru, choć nie mówiła mu tego tak często, jak by należało. Wszyscy mówili, że chłopak dobrze sobie radzi w college'u. Kiedy był dzieckiem, bardzo się o niego martwiła. Obawiała się, że ludzie będą go lekceważyć i traktować bez szacunku, że będzie się czuł napiętnowany i pozbawiony perspektyw. Ją z pewnością również czekałby taki los, gdyby nie wyszła za Hila. Ru jednak poszedł inną drogą niż ona. Wypełniały go wielkie idee i pewność siebie, być może w przesadnym stopniu.

– Gada tak dużo, że pewnego dnia może zostać kanclerzem. Wtedy będziemy mieli złoto i jadeit w tej samej rodzinie – powiedział kiedyś żartem Hilo. Wen podejrzewała jednak, że może naprawdę w to wierzyć.

Jeśli zaś chodzi o Nika... bolało ją serce za każdym razem, gdy o nim pomyślała. W jego przypadku całkowicie zawiodła jako matka. Przekonała Hila, by sprowadził go do Janloonu, gdy jeszcze był małym dzieckiem, wychowywała go i kochała jak własnego syna, wierzyła z niezachwianą pewnością, że jest darem od bogów, zadośćuczynieniem za to, że Ru odziedziczył jej ułomność. Ale on nienawidził ciężaru tych oczekiwań i uciekł od nich, zabierając ze sobą wszystkie nadzieje rodziny. Teraz nawet nie wiedziała, gdzie działa, gdzie przebywa. Być może Hilo to wiedział. Słyszała, że jej mąż przydzielił Nikowi ludzi, którzy obserwowali wszelkie jego poczynania, i przekazywali informacje filarowi, ale nie mówił jej nic na ten temat, czekając, aż o to zapyta. Nie zrobiła tego.

Lot trwał trzy i pół godziny. W tym czasie Wen i Shae czytały magazyn dla podróżników i planowały, że pójdą do szotarskiej łaźni i obejrzą musical w słynnej na cały świat leyolskiej operze. Minęło już sporo czasu, odkąd ostatnio miały okazję spędzić razem trochę czasu, z dala od nieustannych problemów rodziny. Wen widziała, że prognostyczka robi się coraz bardziej podekscytowana.

– Chyba nie jest za wcześnie na koktajl, jak myślisz? – zapytała ją z niezwykłym dla niej chytrym uśmieszkiem, gdy w klasie biznesowej podawano śniadanie.

– Shae-jen, nigdy bym się nie ośmieliła sprzeciwić zdaniu prognostyczki – zapewniła Wen.

Stewardesa przygotowała dla nich dwie smukłe szklaneczki soku z liczi zmieszanego z winem musującym.

– Musimy dziś zarezerwować stół na kolację, jak zwyczajne osoby – dodała Shae z radosną niecierpliwością. Sam fakt, że nie wystarczy, jak się zjawia i zażądają miejsca, był nowością, przydającą ich podróży posmaku przygody.

Rzecz jasna, nie były same. Obok siedzieli dwaj od dawna towarzyszący Wen ochroniarze, Dudo i Tako. Nie odstąpią jej na krok. Dwie byłe pięści były dla niej jak członkowie rodziny. Z biegiem lat poznała obu mężczyzn bardzo dobrze, spotkała też ich żony i dzieci. Potrafili wtopić się w tłum na każdej imprezie, w której uczestniczyła Wen – od zebrań klanowych, poprzez publiczne wystąpienia, aż po zbiórki na cele dobroczynne.

Zdarzały się dni, gdy była tak samo zajęta jak jej mąż, mimo że starała się nie przeciążać. Musiała pamiętać, że jej fizyczne możliwości są ograniczone, a najważniejszym zadaniem pozostaje wspieranie filaru. Żaden inny przywódca zielonych kości nigdy nie podjął tak kontrowersyjnej decyzji, jak mianowanie własnej żony filarowym. Wiedziała, że jeśli chce zachować umiarkowaną akceptację, z jaką klan przyjął wyniesienie jej na tę pozycję, nie może przekroczyć cienkiej granicy między aktywnością a wykraczaniem poza własne kompetencje. Publicznie grała rolę żony i gospodyni, wspierała sprawy takie, jak sztuka i ochrona środowiska, a także szerzyła w społeczeństwie znajomość problemów związanych z niereaktywnością i niepełnosprawnością. Nigdy nie wypowiadała się publicznie o sprawach klanowych, nie chcąc przyciągać do siebie uwagi w sposób, który mógłby zagrozić autorytetowi Hila.

Tylko prywatnie, w gronie rodzinnym, rozmawiała o ważnych problemach dotyczących klanu Bez Szczytów.

– Czy nasza filia w Leyolo miała ostatnio kłopoty z Górą albo sprzymierzonymi z nią *barukanami*? – zapytała.

Shae zasunęła roletę w oknie, gdy samolot wleciał w obszar blasku porannego słońca.

– Na szczęście tylko nieliczne, dzięki naszym dobrym stosunkom z policją – odpowiedziała.

Szotarskim stróżom prawa nigdy nie udało się skutecznie zinfiltrować izolujących się od społeczeństwa kekońskich grup przestępczych. Natomiast klan Bez Szczytów stworzył w szotarskim półświatku skuteczną siatkę białych szcurów. Gdy Juen Nu był rogiem, doszedł do wniosku, że gangi *barukanów* są słabym ogniwem w strukturze władzy stworzonej przez Ayt Madę. W Szotarze

Keko-Szotarzczycy zaliczali się do podklasy. Byli ubodzy, prawo ich prześladowało i przywykli do życia pełnego strachu i zdrad. Nie trzeba było wiele, jeśli chodzi o łapówki czy groźby, żeby skłonić ich do przekazywania informacji.

Zagraniczni szpiedzy klanu Bez Szczytów odkrywali jednak niewiele naprawdę użytecznych faktów o samej Górze, jako że Ayt Mada była zbyt ostrożna, by wtajemniczać obcych w swoje plany. Niemniej często udawało im się wykryć transfer pieniędzy bądź ludzi, co pozwalało zrównoważyć przewagę liczebną Góry. Ten imponujący przykład współpracy między biznesową i militarną stroną klanu stał się najskuteczniejszą bronią prognostyczki w Szotarze.

Shae przekazywała szotarskiej policji dane zdobyte przez stronę klanu należącą do rogu – duże transporty narkotyków, sprzedaż broni, handel żywym towarem i tak dalej. Szotarzczycy bardzo chętnie przyjmowali tajne informacje od klanu Bez Szczytów, a potem prasa, rząd i opinia publiczna przypisywały im całą zasługę. Rzecz jasna, prognostyczka nie udostępniała im tego wszystkiego za darmo. W zamian mogła uzyskać koncesje biznesowe, wizy pracownicze oraz ważne spotkania, a Miejska Policja Leyolo otaczała biura klanu Bez Szczytów specjalną opieką. Ta wymiana usług pozwoliła klanowi Bez Szczytów na ekspansję w Szotarze i nawet sceptycznie odnoszący się do planu Hami Tumashon w końcu udzielił mu poparcia.

Wen uniosła szklanę.

– Kto by się tego spodziewał? Klan zielonych kości współpracuje z szotarskim rządem!

Wylądowały w Leyolo wkrótce po południu i każda poszła swoją drogą. Na Shae czekał samochód z kierowcą, gotowy zawieźć ją do filii Biura Prognostyka. Wen zaczekała na bagaż, który Tako przyniósł na parking, podczas gdy Dudo sprawdził każdy centymetr czarnego wynajętego SUV-a. Upewniwszy się, że wszystko jest bezpieczne, ochroniarze Wen zawieźli ją do Oazy Sulliya. Nie był to typowy hotel w śródmieściu, lecz ośrodek turystyczny położony na południe od miasta, blisko Czerwonej Wody, regionu, który był sercem szotarskiego przemysłu filmowego.

Wen wprowadziła się do pokoju, przebrała, zamówiła lekki lunch i zadzwoniła do męża, by go zawiadomić, że jest już na miejscu.

– Leyolo rzeczywiście wygląda tak wspaniale, jak w filmach – oznajmiła. Złapała Hila w gabinecie, w przerwie między spotkaniami. Podczas jazdy przez miasto podziwiała stalowe wieżowce, zaliczające się do najwyższych na świecie, superestakady, szybkie tramwaje i ogromne, wirujące neonowe billboardy, palące się nawet pośrodku dnia. Ogromną część miasta zniszczono pięćdziesiąt

lat temu, podczas wojny wielu narodów, ale po odbudowie wyłoniło się ono z popiołów niczym feniks. – Ale jest zimniej niż się spodziewałam, mimo że jest już wiosna.

– Nie wydawaj za dużo pieniędzy, chyba że chcesz kupić całe studio.

– A co, jeśli chcę? – zapytała, nie potrafiąc się oprzeć pokusie podrażnienia się z nim.

– Podejrzewam, że Shae cię do tego namówiła. Obie wywieracie zły wpływ na siebie nawzajem – odpowiedział tonem, który sugerował, że powinni zapomnieć o przeszłości, lecz jednocześnie pobrzmiewało w nim stanowcze ostrzeżenie. „Żadnych tajemnic”. – Muszę już iść – dodał. – Baw się dobrze. Kocham cię.

Po południu ochroniarze zawieźli ją do gmachu Studia Filmowego Światło Diamentu. Czekala już tam na nich tłumaczka, sprawdzona i wynajęta przez Biuro Prognozy. Wen ruszyła razem z nią do recepcji. Następnie zaprowadzono ich do wielkiego narożnego gabinetu. Za biurkiem stał mężczyzna w przyciemnionych drucianych okularach. Miał też łatkę zarostu pod dolną wargą oraz drogą niebieską koszulę o rękawach podwiniętych do połowy muskularnych przedramion. Liczył sobie zapewne najwyżej czterdzieści lat, ale był zupełnie łysy. Wen nie rozumiała szybkich szotarskich słów, które wykrzykiwał do słuchawki, zapewne jednak był bardzo podekscytowany albo ochrzaniał rozmówcę. Zakończył rozmowę, odłożył słuchawkę i spojrzał na Wen.

– Pas Guttano – rzekła, zwracając się do niego honorowym tytułem i dodając kilka słów, których starannie nauczyła się po szotarsku. – To dla mnie przywilej, że mogę się z panem spotkać.

Złożyła dłonie i dotknęła nimi serca.

Guttano odwzajemnił gest powitania, choć jego twarz niczego nie wyrażała. Uśmiechnął się półgębkiem do Wen i wskazał jej miejsce.

– Z pewnością mam do czynienia z panią Kaul.

Wen usiadła w wygodnym fotelu przed szerokim biurkiem kierownika studia.

Tłumaczka, zadbana kobieta o długich, szczupłych dłoniach, przycupnęła czujnie na fotelu obok. Dodo i Tako stanęli pod drzwiami gabinetu. Obie zielone kości ukrywały swój jadeit, ale Guttano przyjrzał się im z lekkim niepokojem, zanim zwrócił się znowu w stronę Wen.

– Wiem, kim pani jest, ale nie mam pojęcia, dlaczego przedstawicielka klanu zielonych kości miałaby chcieć mnie odwiedzić. Aktualnie Światło Diamentu nie kręci żadnego filmu na Kekonie.

Tłumaczka powtórzyła słowa Szotarczyka po kekońsku.

– Chciałam pana prosić o przysługę w imieniu klanu Bez Szczytów. To nie jest drobna sprawa i ponieważ się nie znamy, uznałam, że powinnam przybyć do Leyolo, by porozmawiać z panem osobiście. – Zaczekała, aż tłumaczka ją dogoni. – Klan Bez Szczytów jest głównym udziałowcem Wybrzeża Kin, kekońskiego studia filmowego, które nie znaczy zbyt wiele w skali globalnej, ale jest największym producentem filmów, jakiego mamy na wyspie. Ostatnio odnieśliśmy pewne finansowe sukcesy, głównie dzięki serii filmów akcji, w których występuje Danny Sinjo.

– *Szybkie pięści!* – zawołał z entuzjazmem Guttano i pochylił się, zapominając o powściągliwości, jaką demonstrował do tej pory. – Widziałem wszystkie trzy części! To świetna rozrywka. Druga część nadal jest najlepsza, ale podoba mi się to, co zrobili w trzeciej z postacią graną przez Danny’ego.

– Ja najbardziej lubię pierwszą – odparła z uśmiechem Wen. – *Szybkie pięści* odniosły sukces na krajowym rynku i kasety wideo nadal sprzedają się dobrze, ale budżet filmów był skromny i nakręcono je z myślą o kekońskiej publiczności. Następny projekt Wybrzeża Kin ma być ambitniejszy. To będzie wysokobudżetowy film akcji nakręcony wspólnie z espeńskim studiem, pierwsza kekońska produkcja, która ma odnieść sukces po obu stronach Amaryku. Ale żeby rozpocząć produkcję, potrzebujemy Danny’ego Sinjo.

Guttano pokręcił głową, nim tłumaczka skończyła mu przekazywać całe zdanie.

– Przykro mi. Rozmawiałem już o tym z agentem Danny’ego dwa albo trzy razy. Danny Sinjo podpisał wieloletni kontrakt ze Światłem Diamentu i po prostu nie możemy go uwolnić od tych zobowiązań. Znam Sian Kuga z Wybrzeża Kin i lubię go, ale będzie musiał znaleźć innego aktora.

– Danny Sinjo jest jedyną kekońską gwiazdą filmową rozpoznawalną za granicą do tego stopnia, że może zapewnić popularność wysokobudżetowemu filmowi, a także jedynym znanym aktorem, który przeszedł szkolenie zielonych kości i jest w stanie sam wykonać kaskaderskie numery. Cały scenariusz napisano pod niego.

Guttano rozpostarł z żalem dłonie.

– Będą musieli go przerobić. Światło Diamentu również ma plany, do których potrzebny jest Sinjo.

Wen splotła dłonie na kolanie i obdarzyła kekońskiego producenta filmowego spokojnym, przekonującym uśmiechem.

– Całkowicie rozumiem, że nie leży w pana interesie zwolnienie Sinja z kontraktu. Przybyłam tu po to, by zmienić ten stan rzeczy. Niech pan zapomni o tym, o czym rozmawiał pan z agentem Sinja. Klan Bez Szczytów zapłaci Światłu Diamentu dwadzieścia milionów sep za zwolnienie Danny’ego Sinjo

z prawnych zobowiązań wobec waszego studia. Jak rozumiem, to trzy razy więcej, niż miał mu pan zamiar zapłacić za zagranie roli zastępcy szefa w kolejnych *Ulicach krwi*, których produkcji jeszcze nie rozpoczęto. Nawet biorąc pod uwagę koszt potencjalnej zwłoki oraz kłopoty ze znalezieniem nowego aktora do roli czarnego charakteru, musi pan przyznać, że to wystarczające zadośćuczynienie.

Guttano miał wyjątkowo skrępowaną minę. Kołysał się w fotelu w przód i w tył, i krzyżował ręce na piersi, nadal kręcąc głową.

– Obawiam się, że to po prostu niemożliwe – nie ustępował.

Wen czuła, że jej irytacja narasta z każdą chwilą, lecz w dalszym ciągu starała się mówić rozsądnie. Przypomniała sobie swobodny, lecz onieśmielający ton, jakim posługiwał się Hilo w podobnych sytuacjach, i starała się przydać swym słowom odrobinę energii, jaką miał jej mąż.

– Nim odmówi pan zbyt pośpiesznie, powinien pan sobie uświadomić, że moja rodzina będzie wdzięczna za tę przysługę. Mój mąż ma wielką władzę na Kekonie, a nasz klan posiada też wpływy w innych częściach świata. Nie wiem, jak dobrze zna pan kekońską kulturę, ale traktujemy przyjaźń bardzo poważnie. W pewnej chwili może pan potrzebować potężnego sojusznika, co zdarza się wszystkim, zwłaszcza ludziom o pańskiej pozycji. To byłoby dla pana znacznie cenniejsze niż jeden aktor obsadzony w drugoplanowej roli.

– Pani Kaul, obawiam się, że nie rozumie pani sytuacji. – Guttano zaczął nerwowo przesuwać przedmioty na biurku. Nie patrzył na nią, ale zerkał co chwila na tłumaczkę i dwóch ochroniarzy. Wszędzie, byle nie na Wen. – Nie chodzi o to, że chcę zantagonizować panią albo pani męża. Gdyby zależało to wyłącznie ode mnie, byłbym skłonny z panią negocjować. Ale w tym przypadku nie chodzi o pieniądze. Danny Sinjo podpisał umowę ze Światłem Diamentu, nim zatwierdzono produkcję nowego filmu. Nie może opuścić *Ulic krwi*, żeby pracować dla Kekończyków, zwłaszcza nad projektem finansowanym przez klan zielonych kości. To wyglądałoby... bardzo źle. Pewni udziałowcy studia poczuliby się wzgardzeni i nigdy by tego nie zaakceptowali.

Wen miała już serdeczne dość tych wykrętów. Pozwoliła, by nuta sympatii wycofała się częściowo z jej głosu, ustępując miejsca rozczarowaniu.

– Pozostawałam w przekonaniu, że to pan podejmuje decyzje w takich sprawach, pas Guttano. Jeśli błędnie mnie poinformowano, to czy jest w Świetle Diamentu ktoś, z kim mogłabym porozmawiać? Niech mi pan to powie, a zwrócę się do tamtej osoby.

Guttano odsunął fotel, jakby chciał zwiększyć dzielącą ich odległość.

– Jak już wspominałem, pieniądze nie są tu najważniejsze. Przyjaźń klanu Bez Szczytów byłaby cenna w waszym kraju, ale w Szotarze narobiłaby nam

wrogów.

Zamiast patrzeć na Wen, spojrzął na tłumaczkę i powiedział jedno zdanie po szotarsku.

Młoda kobieta się zawahała. Zdziwiło to Wen. Do tej chwili tłumaczyła szybko i bezbłędnie.

– Co on powiedział? – zapytała.

– Nie jestem pewna, jak oddać sens tych słów po kekońsku. W Szotarze mamy takie powiedzenie: „Jeśli poślubisz diabła, będziesz miał jego matkę za teściową”. To znaczy... w ten sposób określa się umowę albo związek, od którego nie można uciec.

Wen przetrzymała tę informację.

– Chce pani powiedzieć, że on już poślubił diabła.

– Myślę, że to właśnie miał na myśli.

Wen wreszcie zrozumiała upór Guttana. Słyszała, że niezwykle zyskowny szotarski przemysł filmowy ma bardzo wiele kontaktów z zorganizowaną przestępczością. Gangi *barukanów* kontrolowały wiele związków zawodowych, finansowały produkcję filmów, żądały, by konsultowano się z nimi w kwestii przedstawiania keko-szotarskich gangsterów i gloryfikowano ich, a nawet decydowały o obsadzie aktorskiej. Guttano i Studio Filmowe Światło Diamentu z pewnością mieli mnóstwo powiązań z ludźmi, których woleli nie antagonizować.

Nie mogła pokonać tej przeszkody za pomocą pieniędzy i uroku osobistego. Nie, jeśli jeden z gangów *barukanów* trzymał w ręce Światło Diamentu. Będzie musiała porozmawiać o tym z Shae. Razem wymyślą, co można w tej sprawie zrobić.

Wen wygładziła spódnicę i wstała. Jej twarz zachowała neutralny wyraz, mimo że czuła się przygnębiona.

– To dla mnie rozczarowanie, że nie mogliśmy dojść do porozumienia – oznajmiła. – Będę musiała wrócić do Janloonu i rozczarować również mojego męża, a tego wolałabym nie robić. Nie przywykł do tego, że mu odmawiają. Nie mam pojęcia, jak może zareagować.

Doskonale wiedziała, jak zareaguje Hilo. Wzruszy ramionami i powie, że szkoda, ale w sumie to nie ma znaczenia. Wybrzeże Kin spłaciło już wszystkie inwestycje, do których namówiła jego oraz Shae, i przynosiło teraz zyski, a w dodatku przemysł filmowy był tylko drobną częścią długiej listy biznesów płacących daninę klanowi Bez Szczytów. Obejmie żonę, by ją pocieszyć, i powie, że to tylko interesy, a w interesach nie zawsze się udaje, potem zaś zapyta, czy dobrze się bawiła w Leyolo.

Nie wyśle swoich pięści do Szotaru, żeby zmusiły Guttana do posłuszeństwa, zabiły go albo zniszczyły Światło Diamentu, zwłaszcza że taka drastyczna reakcja zagroziłaby planom prognostyczki, pragnącej ekspansji klanu Bez Szczytów. Każdy dobry przywódca zielonych kości znał wartość przemocy i posługiwał się nią bez wahania, gdy było to konieczne, ale zdawał też sobie sprawę, że tego potężnego narzędzia nie można beztrzesko wykorzystywać w błahych sprawach, takich jak kontrakt gwiazdy filmowej.

Ale Guttano o tym nie wiedział. Szotarskie stereotypy przedstawiały Kekończyków jako okrutnych ludzi żyjących poza prawem, a niektórzy wierzyli też, że jadeit wywiera niszczycielski wpływ i przy każdym użyciu pochłania część duszy tego, kto się nim posługuje. Wen zauważyła cień strachu w zasłoniętych przyciemnionymi szklami okularach producenta. Wszyscy wiedzieli, że Kaul Hiloshudon to człowiek noszący mnóstwo jadeitu i zdolny do nieograniczonego przelewu krwi. Wen mogła wykorzystać ten fakt.

– Niech pan się jeszcze nad tym zastanowi – rzuciła beztrzesko. – Będę w Leyolo jeszcze parę dni. Jeśli zdecyduje pan, że podjął decyzję zbyt pochopnie, znajdzie mnie pan w Oazie Sulliya.

Odwróciła się. Dudo i Tako otworzyli przed nią drzwi. Opuszczała budynek Światła Diamentu niezadowolona, miała jednak nadzieję, że jej słowa przemówią do rozsądku Guttanowi i strach, jaki w nim wzbudziła, skłoni go do zmiany zdania.

* * *

Na tylnym siedzeniu SUV-a Shae zrzuciła z westchnieniem buty. Był późny wieczór i ochroniarze Wen wieźli je do hotelu.

– Powinnaś częściej towarzyszyć mi w takich podróżach – powiedziała do Wen. – To mogłoby przejść nam w nawyk.

Po pysznych posiłkach podawanych na *oshoyach* – maleńkich talerzykach serwowanych w przerwach między recytacją wierszy – obejrzały *Chustkę damy* – romantyczny musical, który Shae pierwszy raz widziała, gdy była studentką w Espanii i po kilkudziesięciu latach nadal się jej podobał, nawet po szotarsku. Czuła się wyjątkowo zrelaksowana i na moment zapomniała o klanowych problemach. Wątpiła, by potrafiła sobie pobrażać tak bardzo, gdyby tu była sama.

– Miło jest pobyć trochę bez mężów i dzieci, co? – zapytała.

Wen zgodziła się z nią. Sprawiała jednak wrażenie, że jej uwagę zaprzęta coś innego. Uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy podniosła kawałek odłupanego lakieru do paznokci.

– Shae-jen – odezwała się po chwili. – Czy możemy coś zrobić w sprawie Światła Diamentu? Dowiedzieć się, kto stoi nam na drodze, kogo się boi Guttano?

Shae potarła stopy.

– Mogę spróbować – odpowiedziała niejednoznacznie. Informacje, których pragnęła Wen, z pewnością łatwo byłoby znaleźć, ale nie na tym polegał problem. – Wiem, że ten film jest dla ciebie ważny, ale nie chcemy zbyt silnie zaznaczać obecności klanu Bez Szczytów w Szotarze.

Miejscowa filia Biura Prognozyka była mała i Shae starała się, by nie przyciągała uwagi, ale Góra z pewnością zdawała sobie sprawę z ich obecności w Leyolo i czekała na każdy ich błąd. Próba wciśnięcia się do kontrolowanego przez *barukanów* przemysłu filmowego wydawała się ryzykowna, nawet jeśli Shae zgadzała się z bratową, że o ile chcą zwiększyć wpływy klanu w Szotarze, nie powinni lekceważyć znaczenia popkultury i rozrywki. Pojawienie się każdej kolejnej części *Szybkich pięści* powodowało wzrost liczby zgłoszeń do akademii sztuk walki i próśb o patronat klanu.

Wen zarzuciła na ramiona jedwabny szal.

– Masz rację – przyznała z rezygnacją. – Chyba za bardzo zaangażowałam się w ten projekt. Chciałam coś udowodnić Hilowi.

Filar popierał działalność żony i przyznawał, że jest wartościowa dla klanu, ale to były uboczne projekty, mające drugorzędne znaczenie w porównaniu z klanowymi priorytetami, takimi jak terytorium, jadeit, pieniądze i wojownicy. Gdyby kekoński film osiągnął wielki międzynarodowy sukces, sytuacja mogłaby się zmienić i cała zasługa przypadłaby Wen.

Czasami, gdy Shae czuła się przytłoczona łąčeniami obowiązków klanowej prognozycki z życiem żony i matki, zastanawiała się nad wszystkimi przeszkodami, jakie pokonała jej bratowa dzięki swej cichej, niezłomnej determinacji. Zawsze była wtedy zmuszona przyznać, że w porównaniu z Wen nie ma powodów do narzekań i nic nie usprawiedliwia jej niepowodzeń.

– Wen, nie musisz już niczego nikomu udowadniać.

Bratowa uśmiechnęła się do niej ze smutkiem.

– Shae-jen, nie zapominaj, że w opinii większości klanu mam do wykonania tylko jedno naprawdę ważne zadanie.

Dać rodzinie dziedzica. Nic dziwnego, że Wen przeżyła odejście Nika jeszcze ciężiej niż Hilo.

Za SUV-em zapulsowały nagle czerwone światła. Dudo, który właśnie skręcił z autostrady w stronę hotelu, spojrzął w tylne lusterko i zobaczył radiowóz loyolskiej policji. Zaklął z niedowierzaniem.

– Zatrzymaj się – poleciła Shae. – To tylko szotarski gliniarz.

Wahał się przez chwilę, trzymając stopę między pedałem gazu i hamulcem. Potem jej posłuchał. Zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Umundurowany policjant wysiadł z radiowozu i ruszył w stronę SUV-a. Postrzeżenie Shae nie było już tak ostre jak w czasach, gdy nosiła więcej jadeitu, wyczuwała jednak niepokój samotnego gliniarza zbliżającego się do drzwi od strony kierowcy. Wen spojrzała na nią z pytaniem w oczach.

– Nie ma powodu do obaw – uspokoiła ją Shae.

W Leyolo policjanci nosili tylko rewolwery z mechanizmem spustowym podwójnego działania oraz pałki. Samotny gliniarz nie był zagrożeniem nawet dla jednej wyszkolonej zielonej kości, nie wspominając już o trzech. Mimo to jadeitowe aury obu ochroniarzy pulsowały ostrożnością, a siedzący po stronie pasażera Tako wysunął pistolet z kieszeni i ukrył go pod udem, gdzie mógł go łatwo dosięgnąć.

– Zachowujcie się spokojnie i okażcie mu szacunek – rozkazała Shae.

Policjant mógłby się okazać na tyle nierozsądny, że spróbuje ich zatrzymać albo – niech bogowie bronią – któryś z pięści mógłby dać mu powód do sięgnięcia po broń. Nikt z nich nie umiał mówić po szotarsku, a ostatnie, czego potrzebował klan Bez Szczytów, to zabójstwo głupiego gliniarza przez jego członków z powodu jakiegoś nieporozumienia.

Dudo opuścił szybę. Policjant skierował światło latarki na przednie siedzenie i powiedział coś po szotarsku. Shae pomyślała, że z pewnością żąda pokazania dokumentów.

– Daj mu prawo jazdy i papiery z wypożyczalni samochodów – rozkazała Dudowi.

Usłyszawszy głos Shae, policjant skierował na nią snop światła latarki i przesunął nim po dwóch elegancko ubranych, wracających z teatru kobietach –

Shae miała na sobie krótki biały żakiet i czarną spódnicę, a Wen czerwonobrazową suknię i jedwabny szal.

– Jesteśmy gośćmi. Nie mówimy po szotarsku – powiedziała Shae, próbując połączyć kilka fraz, które znała w tym języku.

Policjant przyjrzał się kekońskiemu prawu jazdy Duda i dokumentom z wypożyczalni. Zwrócił je, odsunął się, wypowiedział rozkaz po szotarsku i skinął na Duda, rozkazując mu wsiąść.

– Co to ma być, do chuja – mruknął Kekończyk.

– Może chce sprawdzić, czy nie mamy narkotyków – stwierdziła Wen z niepokojem w głosie.

– Albo broni. Albo jadeitu. Mamy jedno i drugie – odezwał się Tako.

W Janloonie policjant, który zatrzymałby samochód z zielonymi kośćmi, przeprosiłby i pozwoliłby im jechać dalej. Gdyby miał jakiś problem z ich

zachowaniem, zwróciłby się z tym do rogu. Klany same zajmowały się wykroczeniami swoich członków. Dudo nigdy w życiu nie wykonał polecenia janloońskiego policjanta i tym razem też nie ruszył się z miejsca.

Każda zielona kość z klanu Bez Szczytów wybierająca się w oficjalną podróż za granicę musiała poddać się prowadzonemu przez Biuro Prognozyka szkoleniu, jak należy się zachować w przypadku konfliktu z cudzoziemskimi stróżami prawa. Nie zabijaj ani nie rań nikogo, jeśli tylko możesz tego uniknąć, współpracuj z policją i daj się zamknąć w więzieniu, jeśli nie ma innego wyjścia. Klanowi prawnicy pomogą ci i klan zwróci ci jadeit skonfiskowany przez cudzoziemskich policjantów oraz wypłaci rekompensatę za nieprzyjemności, jakie cię spotkały. Ale ochroniarze Wen nie zamierzali podporządkowywać się tym rozkazom, gdyby to miało oznaczać, że nałożą im kajdanki i rozdziela z osobą, którą przysięgli filarowi bronić za cenę życia. Niefortunny gliniarz zginąłby, zanimby do tego doszło.

Shae Postrzegła narastający niepokój policjanta, który położył rękę na pasie, blisko pistoletu.

– Rób, co ci każe – poleciła Dudowi. – Wsiądź z samochodu.

– Kaul-jen...

Policjant powtórzył rozkaz po szotarsku, bardziej natarczywym tonem. Jego dłoń powędrowała ku rękojeści rewolweru. Przesuwał wzrokiem między siedzącymi w samochodzie ludźmi. Dudo zaklął pod nosem, otworzył drzwi i wysiadł. Policjant skinął na niego, nakazując mu się odwrócić. Dudo posłuchał go, opierając dłonie o bok SUV-a. Na całą tę scenę padały światła przejeżdżających obok samochodów. Gliniarz przeszukał szybko Kekończyka, znalazł pistolet za pasem oraz karambit w pochwie na plecach i zabrał mu oba, wypowiadając kilka stanowczych słów po szotarsku. Żadne z nich ich nie zrozumiało. Dudo się nie poruszył, ale Shae poczuła, że jego jadeitowa aura nagle się poszerzyła. Co, jeśli gliniarz spróbuje mu zabrać również jadeit? Zastanawiała się gorączkowo, próbując wymyślić coś, co zapobiegłoby eskalacji.

Zaniepokojony Tako szarpnął nagle ramionami.

– Coś tu nie...

SUV-a nagle otoczyły trzy czarne samochody. Nim się zatrzymały, ze wszystkich drzwi wypadli zamaskowani mężczyźni. Policjant padł na ziemię, osłaniając rękami głowę. Shae z nagłym przerażeniem uświadomiła sobie, że wszystko to była pułapka. Spocony policjant, jeśli rzeczywiście był policjantem, unieruchomił ich w tym miejscu, zakłócając ich zmysł Postrzegania.

Pomimo zaskoczenia Dudo i Tako zareagowali z godną podziwu szybkością. Pierwszy cisnął potężnym Odbijaniem w mężczyzn wyskakujących z najbliższego samochodu, przewracając kilku z nich na asfalt. Pochylił się,

sięgając po broń, którą zabrał mu policjant, ale nim zdążył się wyprostować, trzech napastników rzuciło się na niego ze zdumiewającą szybkością i gwałtownością, mogącą pochodzić jedynie od jadeitowej Siły. Tako wyskoczył z samochodu po drugiej stronie i zaczął strzelać nad maską SUV-a.

Barukani. Shae otworzyła tylne drzwi i wyciągnęła karambit. Wen krzyknęła, gdy drzwi pojazdu wypełniła sylwetka mężczyzny, który sięgnął ku nim ręką. Shae cięła karambitem w zamaskowaną twarz. Gdy napastnik się cofnął, kopnęła go w pierś bosą stopą, a potem rzuciła Odbijanie, po którym zatoczył się do tyłu.

Tako otworzył tylne drzwi po drugiej stronie wozu i wyciągnął z niego Wen. Nadal strzelał do napastników, osłaniając ją własnym ciałem. Pierwszym strzałem powalił jednego z nich, ale dwie następne kule powstrzymało Odbijanie. Obie wbiły się w karoserie czarnych samochodów.

– Kaul-jen! – zawołał.

Dudo zabił jednego z *barukanów*, który leżał na ulicy z ewidentnie złamanym karkiem. Drugi miotał się na ziemi, trzymając się za nogę i jęcząc z bólu. Mężczyzna trzymający stalową rurkę uderzył nią Duda po szerokich ramionach, a potem prosto w potylicę. Stal zielonej kości uchroniła jego czaszkę przed roztrzaskaniem, ale i tak padł bezwładnie na ziemię.

Mózg Shae wypełniły adrenalina i gniew. Nie wierzyła własnym oczom. Po cichu spodziewała się, że nagle pojawią się kolejne pięści klanu Bez Szczytów, które obronią ich i zabiją napastników. Ale nie były w Janloonie. Barukańskie zbiry atakowały w prymitywny, nieudolny sposób. Ich jadeitowe aury, płonące gwałtowną ekscytacją, były chaotyczne i niestabilne jak u niewyszkolonych nastolatków – ale było ich kilkunastu.

Shae wypadła z krzykiem z samochodu. Wypełniła ją rozgorączkowana satysfakcja, gdy Siła w mgnieniu oka zaniósła ją do pierwszego *barukana*. Kobieta wbiła karambit w jego szyję. Oczy napastnika – jedyna widoczna część jego twarzy – powiększyły się nagle pod wpływem szoku. Przez krótką chwilę prognostyczka czuła jedynie zdziwienie. Minęło ponad dziesięć lat, odkąd ostatni raz dożyła broni, by zabić wroga. Zdezorientował ją widok krwi i Postrzeganie bólu mężczyzny. Potem nawyki powróciły. Wyszarpnęła broń z impulsem Siły, przecinając tętnicę szyjną.

– Zabierz stąd Wen! – zawołała do Taka.

Kolejny mężczyzna złapał ją od tyłu. Wykręciła ciało i wbiła w pierś napastnika włócznię Przenoszenia. Natychmiast poczuła, że uderzenie było słabe i niezbyt precyzyjne. Tylko łut szczęścia pozwolił jej zabić pierwszego przeciwnika. Była zieloną kością, która od dwudziestu lat zaniedbywała sztuki walki. Miała za mało jadeitu, była za stara i zbyt powolna. Atak miał rozsadzić serce przeciwnika, ale *barukan* tylko wciągnął powietrze i zakasłał gwałtownie.

Ale przynajmniej wypuścił ją z rąk. Shae wyrwała się i cofnęła, unosząc przed sobą karambit. Ostre kamyki wbijały się w podeszwy jej stóp. Inni napastnicy ruszyli w jej stronę ośmieleni nieudanym atakiem.

Ukryty za SUV-em Tako nie przestawał strzelać i rzucać Odbijań. Był gotowy bronić Wen nawet za cenę własnego życia. Shae miała wrażenie, że słyszy, jak bratowa woła ją po imieniu, ale nawet jeśli tak było, huk strzałów i szum krwi w jej uszach zagłuszały wszystko. Ujrzała przelotnie twarz Taka, wykrzywioną w grymasie rozgorączkowanej niepewności. Dudo był nieprzytomny, a Shae znajdowała się za daleko, by mógł jej pomóc, nie odsłaniając Wen. Porzucenie prognostyczki było niewyobrażalne, ale jego pierwszym zadaniem była obrona żony filaru. Warknął ze złością i wypuścił ostatnią serię. *Barukani* schowali się za samochodami. Potem uniósł wyrrywającą się i sprzeciwiającą Wen, po czym rzucił się do ucieczki.

SUV był otoczony, ale od drogi odchodził stromy jar. Mimo że Tako musiał dźwigać żonę filaru, pokonał przeszkodę jednym wspomaganym Lekkością skokiem. Sześciu zamaskowanych mężczyzn rzuciło się w pogoń, również skacząc daleko i strzelając do uciekiniera. Zbliżali się szybko, bo trudno mu było biec, gdy dźwigał Wen. Postawił ją na ziemi i dalej uciekali razem. Zawołał do Shae, by podążyła za nim.

Spróbowała to zrobić. Zebrała jadeitową energię, jakby próbowała zaczerpnąć oddechu całym ciałem, przywołała Lekkość i przeskoczyła nad tymi, którzy stali jej na drodze. W trzech kolejnych skokach dotarła do skraju rozpadliny i zatrzymała się przerażona, gdy usłyszała kolejny strzał i zobaczyła, że Tako padł na ziemię. Wstał, ale Wen odwróciła się i pobiegła ku niemu. Shae wydała z siebie gardłowy krzyk sprzeciwu, gdy jeden z zamaskowanych mężczyzn złapał jej bratową i unieruchomił jej ręce, a drugi *barukan* wystrzelił dwukrotnie z odległości uniemożliwiającej skuteczne Odbijanie. Kule wbiły się w tułów Taka. Pomimo dzielącej ich odległości Postrzegła straszliwy ból ochroniarza, który zgiął się w pasie i padł na odłamki szkła.

Odwróciła się. Stało za nią czterech zamaskowanych mężczyzn z bronią w rękach. Druga czwórka otoczyła Wen i Taka. *Barukan* otaczający ręką szyję Wen ruszył w stronę prognostyczki, pchając przed sobą pojmaną kobietę.

– Kaul Shaelinsan! Wydaje ci się, że jesteś twardą janloońską suką?! – zawołał po kekońsku z szotarskim akcentem. – Sprawdźmy, jaka jesteś twarda. Wydaje ci się, że dasz radę prześcignąć kulę z tego pistoletu?

Przystawił lufę do skroni Wen.

– Jeśli naciśniesz spust, wszyscy zginiecie – oznajmiła Shae.

Cieszyła się, że jej głos nie zadrżał, nawet jeśli miała wrażenie, że świat usuwa się jej spod nóg. Ci ludzie wiedzieli, kim jest. Z pewnością znali również

tożsamość Wen. Zadali sobie trud, by zastosować podstęp z policjantem, i zaatakowali przeważającą siłą, spodziewając się, że poniosą straty. Byli gotowi na śmierć, więc jej groźby niczego nie zmieniają.

– Odrzuć nóż – zażądał mężczyzna. – A potem zdejmij jadeit.

Gdyby chodziło tylko o jej bezpieczeństwo, Shae w żadnym wypadku nie pozwoliłaby się rozbroić. Mimo przewagi liczebnej napastników walczyłaby aż do chwili, gdy zabito by ją albo obezwładniono, co wydarzyłoby się z pewnością, biorąc pod uwagę, że Dudo i Tako, wyszkolone pięści znacznie młodsze od niej, nie zdziałały zbyt wiele. To jednak oznaczałoby pozostawienie Wen na łaskę i niełaskę nieprzyjaciół. *Barukani* nie strzelali do obu kobiet. Chcieli wziąć je żywcem.

A to znaczyło, że pragną coś uzyskać od klanu Bez Szczytów.

Pozwoliła, by karambit wysunął się jej z rąk i upadł na ziemię.

Wysiłkiem woli powstrzymała drżenie palców, gdy zdejmowała kolczyki i bransoletki. Gardło ścisnęło jej odrażające poczucie upokorzenia, a twarz płonęła ze wstydu i wstrętu. Czuła się splugawiona, jakby napastnicy kazali jej rozebrać się do naga. Zdjęła jadeit.

– Połóż go na ziemi i cofnij się – rozkazał mężczyzna.

Zacisnęła dłonie na klejnotach. One nie pozwolą ci się z tego wydostać, pomyślała. Nie pomogą tobie ani Wen. Ugięła kolana i rzuciła jadeit na ziemię. Pierwszy dezorientujący impuls odstawienia uderzył ją już po paru sekundach. Zacisnęła dłonie na fałdach spódnicy. Zachwiała się, zakręciło się jej w głowie. Na jej oczy i uszy opadła gęsta zasłona, czyniąc noc jeszcze bardziej surrealistyczną.

Wyprostowała się powoli i cofnęła o dwa kroki. Twarde dłonie złapały ją za ramiona i obaliły na klęczki. Zadrapała sobie kolana o asfalt. Przelotnie ujrzała przerażoną twarz Wen, próbującą coś powiedzieć. Potem nałożono jej na głowie czarną torbę, związano ręce za plecami i pół pociągnięto, pół popchnięto do samochodu. Maszyna ruszyła.

* * *

Hilo był w sali ćwiczebnej ze swym osiemnastoletnim kuzynem, Maik Camem, gdy gosposia, Sulima, przybiegła nagle z głównego budynku i otworzyła drzwi bez pukania.

– Wybacz, Kaul-jen – wydyszała z twarzą pobladłą z niepokoju. – Ktoś zadzwonił...

Filar wyszedł na pogrążony w mroku dziedziniec, dotarł do rezydencji i odebrał rozmowę.

– Kaul Hiloshudon – usłyszał głos mówiącego z akcentem mężczyzny. – Jeśli chciałeś najechać na Szotar, powinieneś przybyć tu osobiście, zamiast przysyłać swoje suki. Jesteś przyzwyczajony do roli szefa, ale od tej chwili nie ty podejmujesz decyzje. Jeśli pragniesz, by twoja żona i siostra wróciły do ciebie nietknięte, zrobisz dokładnie to, co ci każę. – Chwila ciszy. – Słuchasz uważnie, Kaul Hilo?

– Tak. Udowodnij, że żyją i nic im się nie stało.

W tle rozległo się szuranie. Słuchawkę przekazano innej osobie. Słyszał mnóstwo szumów, jakby połączenie było słabe. Serce zabiło mu mocniej, gdy usłyszał głos Wen, ochrypli i przepełniony strachem.

– Hilo?

– Skrzywdzili cię? – Zdołał zachować spokojny ton.

– Nie – odpowiedziała słabym głosem.

– A Shae?

– Zabrali jej jadeit, ale nic się jej nie stało. Dudo i Tako są ciężko ranni.

– Zachowaj spokój – powiedział. – Załatwię tę sprawę.

– Hilo, nie...

Wyrwano jej słuchawkę i znowu rozległ się głos porywacza.

– Masz dowód, o który prosiłeś. A teraz powiem ci, co masz zrobić. Jutro o północy dostarczysz we wskazane przeze mnie miejsce czterdzieści kilogramów szlifowanego jadeitu i dwa miliony espeńskich thalirów, w zamian za swoją żonę. Jeśli wymiana pójdzie gładko, będziesz miał siedem dni na zamknięcie wszystkich operacji w Leyolo, wycofanie z Szotaru wszystkich członków swojego klanu i publiczne oznajmienie, że klan Bez Szczytów nie będzie już prowadził żadnych operacji w naszym kraju, teraz ani w przyszłości. Wtedy, i tylko wtedy, zwrócimy ci siostrę, a także obu mężczyzn, jeśli będą jeszcze żyli.

– Zrobię, jak mówisz – zapewnił Hilo. – Dostaniesz pieniądze i jadeit. Wycofam klan Bez Szczytów z Szotaru. Mogę się pogodzić z materialnymi stratami, ale jeśli skrzywdzisz ludzi, którzy są mi bliscy, sytuacja zmieni się całkowicie.

Jego mózg ogarnęła gorączka. Czuł, że jego pole widzenia się zacieśnia. Najstraszliwsze możliwości, jakie potrafił sobie wyobrazić, ścierały się z narastającą w nim falą gniewu.

To, co teraz powie, będzie musiało być doskonałe. Nie może być ani zbyt agresywny, ani zbyt łagodny. W tym pierwszym przypadku porywacze porzucą swe plany i zabiją więźniów. A jeśli wyda się zdesperowany, nie będą się go bali i nie dotrzymają swej części umowy. Całe to straszliwe rozumowanie przeprowadził bez udziału świadomości.

– Kimkolwiek jesteś, z pewnością masz gęstą krew, bo posunąłeś się do czynów, na jakie nie odważyli się nawet moi najgorsi wrogowie. Nieraz już prowadziłem niebezpieczne operacje, pozwól więc, że coś ci powiem. To nie mnie musisz się bać. Ja będę współpracował, łagodny jak młode koźle. Ale twoi podkomendni... wiem, do czego potrafią być zdolni ludzie, jak trudno jest nad nimi zapanować. Bezpieczni, dobrze traktowani więźniowie są jedynym atutem, jaki masz w ręku. Jeśli zrobisz im krzywdę, żaden z was nie będzie miał okazji nacieszyć się jadeitem i pieniędzmi, które wam dam, ponieważ wszystkich was czeka straszliwa śmierć.

– Jesteś dokładnie taki, jak mówią ludzie, Kaul Hilo – usłyszał rozbawiony głos człowieka, którego wkrótce zabije. – Nawet gdy będziesz płonął w piekle, rzucisz diabłu jakąś arogancką uwagę. – Powiem ci coś jasno. Jeśli zobaczę policjantów, twoja żona i siostra zginą. Jeśli zobaczę reporterów, zginą. Jeśli zobaczę twoje pięści albo palce, zginą. Możesz władać Kekonem, ale my nie żyjemy na Kekonie.

Zakończył rozmowę.

ROZDZIAŁ 45

BARDZO ŻLI LUDZIE

Porywacze zamknęli Wen samą w pokoju i kazali jej usiąść pod ścianą, z rękami związanymi taśmą z przodu. Znajdowała się w jakimś budynku, ale nie miała pojęcia gdzie. Gdy założyli jej torbę na głowę i wpełchnęli do samochodu, cofnęła się myślą do garażu w Port Massy i chwil, gdy umierała z braku powietrza. Podczas całej, ciągnącej się bez końca podróży drżała i pociła się z przerażenia, pewna, że zacznie się dławić albo zwymiotuje. Wreszcie jeden z mężczyzn zauważył, że się hiperwentyluje, i podciągnął torbę tak, że zasłaniała tylko oczy. W końcu poczuła dotyk powietrza na twarzy i nie bała się już, że zemdleje.

Choć minęło kilka godzin, nadal od czasu do czasu łapały ją drgawki, a jej serce przyśpieszało nagle, jakby próbowało ją zabić, zanim zrobi to ktokolwiek inny. Podciągnęła kolana i starała się oddychać powoli i głęboko, wyobrażając sobie, że siedzi nad stawem w domowym ogrodzie, pośród kwitnących magnolii i wiciokrzewów. Powtarzała sobie, że to inna sytuacja niż wtedy z paczkami. Gdyby była taka sama, już by ją zgwałcono albo nawet zabito. Ci ludzie chcieli czegoś od jej męża. W przeciwnym razie nie dopuściliby jej do telefonu na te dwie sekundy. Hilo poruszyłby niebo i ziemię. Przerzuciłby tu całą potęgę klanu, by odnaleźć i uwolnić żonę. Na razie musi zachować spokój, jak jej polecił, myśleć jasno i nie ulegać ślepej panice.

To było trudne, gdy słyszała jęki bólu przetrzymywanego w pobliskim pomieszczeniu Taka. Postrzelono go wiele razy, gdy próbował jej bronić. Stał nie powstrzymała kul, ale spowolniła ich przejście przez ciało, co tylko zwiększyło cierpienia pięści. Wen nie mogła znieść tego dźwięku, ale przynajmniej wiedziała, że Tako żyje. Nie widziała Shae ani nie odebrała żadnego sygnału jej obecności od chwili, gdy *barukani* zabrali jej jadeit i wsadzili do innego samochodu.

Wsparła głowę o ścianę i zamknęła oczy. Nie spała, ale co chwilę zapadała w zrodzoną ze zmęczenia półświadomość i wychodziła z niej, aż wreszcie przez czarną plastikową taśmę, którą oblepiono okno, do środka zaczęły napływać pierwsze promienie słońca. Drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wszedł mężczyzna niosący plastikową tackę z jedzeniem oraz papierowy kubek z wodą. Przeciął scyzorykiem plastikową taśmę krępującą jej ręce i stał przy niej, kiedy jadła. Posiłek był kiepski, składał się z ryżu błyskawicznego i odgrzewanych mrożonych jarzyn. Wen nie miała apetytu, ale zjadła wszystko. Musiała zachować siły. Myśl, że poprzedniego wieczoru jadły z Shae kolację w pięciogwiazdkowej restauracji, sprawiała, że chciało się jej śmiać.

Kiedy skończyła, strażnik kazał jej złączyć ręce, by mógł znowu je skrepować.

– Muszę iść do łazienki – poprosiła Wen.

Mężczyzna się zawahał. Był młody, mniej więcej w wieku jej synów. Miał na szyi niezrozumiały tatuaż i spoglądał na nią z lekką wrogością niczym nerwowy pies, niepewny swojego miejsca w stadzie. Wczoraj wieczorem szef napastników kazał mu pełnić straż w korytarzu, wskazał Wen i warknął coś tonem sugerującym, że młodzieniec jest za nią odpowiedzialny i gorzko pożałuje, jeśli zawiedzie.

– Proszę. Do łazienki – powtórzyła.

Młodzieniec – Wen postanowiła nazywać go Juniorem – zaprowadził ją do łazienki na końcu korytarza. Po drodze minęła otwarte drzwi i zobaczyła Taka, który leżał skulony na plastikowej płachcie w kałuży zakrzepłej krwi. Oczy miał zamknięte, a przy każdym płytkim oddechu na jego twarzy pojawiał się grymas bólu. Z upływem godzin jego jęki stawały się coraz słabsze, ale też coraz dłuższe. Palce i szyję miał gołe. Mimo jego ciężkiego stanu *barukani* zabrali mu jadeit.

Wen próbowała do niego podejść, ale Junior jej nie pozwolił. Wepchnął ją do łazienki i pozwolił jedynie przymknąć drzwi, kiedy się załatwiała. Czerwonobrazowa suknia, którą kupiła zaledwie wczoraj w jednym z modnych sklepów w Czerwonej Wodzie, rozdarła się na ramieniu i na rąbku. Przy zlewie ochlapała twarz zimną wodą, próbując odzyskać pełnię świadomości.

W drodze powrotnej zatrzymała się przy drzwiach pokoju Taka i spojrzała Juniorowi w twarz.

– Nie możecie go tak zostawić – oznajmiła.

Junior złapał ją za rękę i pociągnął do pokoju. Uczepiła się framugi, szarpała się i krzyczała, że nie odejdzie, dopóki nie opatrzą ran pięści. Junior się wkurzył.

– Ty suko – warknął i wyprostował palce Wen, łamiąc jej dwa paznokcie.

Na korytarz wyszli dwaj inni *barukani*, by sprawdzić, co się dzieje. Jednym z nich był szef, który rozmawiał z Hilem przez telefon – żyłasty, zaskakująco niski mężczyzna w maskujących bojówkach i czarnej koszulce, noszący wisiorek w kształcie czaszki wykonany z blagierskiego jadeitu. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał zbyt imponująco, ale jadeitowe pierścienie na jego palcach były autentyczne. Miał zapadniętą, okrutną twarz i wyłupiaste oczy o drapieźnym wyrazie. Wen nazwała go Dużym Psem.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – warknął do Juniora, który zaczął się bronić po szotarsku. Rozmawiając ze sobą, *barukani* cały czas mieszały języki.

Wen przerwała im, zwracając się bezpośrednio do szefa.

– Ten ranny mężczyzna jest pięścią klanu Bez Szczytów – przypomniała mu. – Jeśli umrze, nie dostaniecie za niego okupu. Musicie mu pomóc. Wezwijcie lekarza. Jeśli to zrobicie, mój mąż okaże wam wyrozumiałość.

Duży Pies uśmiechnął się szyderczo.

– Wydaje ci się, że nadal możesz rozkazywać ludziom jak królowa?

– Ona ma rację – stwierdził mężczyzna mieszanej krwi, mający w nosie kółko z jadeitem, najwyraźniej prawa ręka Dużego Psa. – Musimy coś zrobić z tym cholernym hałasem.

Duży Pies wyciągnął pistolet i nim Wen zdążyła krzyknąć, strzelił Takowi w głowę.

– Załatwione – oznajmił.

Drugi Pies ryknął śmiechem, ale Junior pobladł. Oczy Wen zaszyły łzami. Tako od lat był jej ochroniarzem. Miał żonę i dwie córki. Strach przed *barukanami* opuścił ją nagle, ustępując miejsca gniewowi i obrzydzeniu. Od początku nie mieli zamiaru oszczędzić Taka. Po prostu chcieli, żeby cierpiał.

– Jesteście... psami – wyszeptała. – Tako był... był przyjacielem... mojej rodziny. – Nienawidziła myśli, że słabość powraca w chwili, gdy musi okazać siłę wobec tych zwierząt. – Wszyscy... jesteście... już... trupami.

Duży Pies popchnął ją pod ścianę i przysunął do niej swą okrutną twarz. Wzdrygnęła się, widząc groźbę w jego oczach.

– Myślisz, że boimy się twojego męża? Dlatego że przyzwyczaiłaś się, że wszyscy się mu kłaniają i spełniają jego zachcianki? Wydaje ci się, że to z powodu jego groźb tak dobrze cię traktujemy? On nie ma tu żadnej władzy. Nie zdoła nas odnaleźć i nie może nas tknąć. Zastanów się nad tym, zanim postanowisz znowu otworzyć usta.

Drugi Pies i Junior zawlekli ją z powrotem do pokoju.

* * *

Dom Kaulów zmienił się w pokój narad. Do gabinetu filaru przyniesiono liczne telefony i komputery. Lott i Hejo nakazali klanowym specjalistom namierzyć miejsce, z którego zadzwoniono z żądaniem okupu. Porywacze byli ostrożni. Analitycy Heja podejrzewali, że przytwierdzili przenośny telefon komórkowy do krótkofalówki, żeby nie można było ustalić miejsca, z którego wyszło połączenie. Potrafili tylko powiedzieć, że sygnał pochodził z Leyolo, zatem Wen i Shae nie wywieziono daleko poza miasto.

Policja federalna mogłaby mieć lepsze urządzenia, które dodatkowo zawężyłyby obszar poszukiwania, ale Hilo szybko zdecydował, że nie będzie w to mieszał kekońskich ani szotarskich władz. Nie mógł ryzykować wciągnięcia w to leyolskich gliniarzy, bo w ten sposób naraziłby Wen i Shae na dodatkowe niebezpieczeństwo. Chciał też zapobiec rozprzestrzenieniu się informacji, że filarowego i prognostyczkę klanu Bez Szczytów pojмали pospolici zagraniczni przestępcy, a przynajmniej opóźnić ujawnienie tego faktu tak długo, jak tylko to będzie możliwe. W klanie już krążyły niespokojne pogłoski, wywołane nagłym odwołaniem umówionych spotkań przez filar.

Hilo miał ochotę wsiąść do samolotu z armią najlepszych pięści klanu i osobiście polecieć do Leyolo. Publicznie ogłosić, że wyruszył na łowy. Zaoferować oszałamiającą nagrodę każdemu, kto zaprowadzi ich do porywaczy i ogłosić publicznie, że jeśli Shae i Wen nie wrócą do niego przed upływem dwudziestu czterech godzin, będzie zabijał wszystkich *barukanów*, którzy wpadną mu w ręce, aż w końcu znajdzie ludzi, którzy to zrobili, a wtedy załatwi się z nimi i całym ich rodzinami.

Podzielił się tym pragnieniem z Lottem, który wyraźnie się zaniepokoił.

– Kaul-jen, oczywiście wszystkie pięści i palce wykonają twoje rozkazy i oddadzą życie, jeśli to zwróci nam Shae-jen i Wen, ale obawiam się, że to nie jest najlepszy sposób...

– Wiem o tym – warknął Hilo.

Leyolo nie było Janloonem i nie mógł tam wylądować samolotem. Nie panował na ulicami, policją, rządem ani mieszkańcami. Wen i Shae zginęłyby natychmiast, gdy *barukani* by usłyszeli, że przybył do kraju, a ci, którzy byli odpowiedzialni za ich śmierć, uciekliby, wiedząc, że nie znajdzie ich łatwo.

Choć niepokoił się tak bardzo, że nie mógł zasnąć, czuł się również znudzony. Po wydaniu rozkazów nie pozostało mu nic do roboty poza czekaniem na dalsze informacje. Powiedział już Jai, żeby nie przyjeżdżała do Janloonu, lecz czekała spokojnie w Toshonie, nim dowiedzą się czegoś więcej. Trudno mu jednak było postąpić podobnie. Lott oznajmił mu uprzejmie, ale stanowczo, że jego nieustanne spacerowanie w kółko i stres wyczuwalny w jadeitowej aurze nie pozwalają im się skupić, więc Hilo wyszedł na patio, żeby zapalić papierosa.

Niech szlag trafi rzucanie nałogu. Rano nadeszła wiadomość od jednego z tajnych informatorów w leyolskiej policji. Czarnego SUV-a wynajętego przez Taka i Duda najwyraźniej porzucono przy szosie pięć kilometrów od hotelu. Nie było śladów hamowania, pościgu ani zderzenia. Nie wykryto też mechanicznych uszkodzeń. Gdyby osobiści strażnicy Wen wiedzieli, że są śledzeni, wybraliby miejsce łatwiejsze do obrony. Jedynym wytłumaczeniem było to, że w przypadkowym miejscu zatrzymała ich policja. Jeśli porywacze mieli na swoje usługi prawdziwych bądź fałszywych leyolskich policjantów, musieli być doświadczonymi przestępcami.

– To nie byli Matyowie – zameldował Lott, skończywszy rozmowę telefoniczną.

Żaden z białych szczurów umieszczonych przez klan w największym szotarskim gangu *barukanów* nic nie wiedział o planowanym porwaniu. Gdyby to Matyowie byli za nie odpowiedzialni, z pewnością członkowie gangu wiedzieliby, że dzieje się coś wielkiego. Przygotowania trwałyby przez pewien czas. Wyznaczono by kryjówki i zebrano uzbrojonych ludzi. Albo Matyowie nie mieli z tym nic wspólnego, albo wynajęli do tej roboty kogoś innego, o czym wiedziało tylko wąskie grono najwyższych przywódców gangu. Biorąc pod uwagę, jak szybko przeprowadzono operację, to ostatnie nie wydawało się prawdopodobne.

Jeśli to nie byli Matyowie, Ayt Mada zapewne również nie miała z tym nic wspólnego. Hilo poczuł się tym niemal rozczarowany, mimo że wiedział, że jego najstarsza i najgroźniejsza rywalka nie miała żadnego powodu, by uciec się do prymitywnego porwania dla okupu, w którym bardzo wiele mogło pójść źle. Jeśli jednak za porwaniem nie stali tradycyjni wrogowie klanu Bez Szczytów, to w takim razie kto był winny? Odpowiedź otrzymali po kilku godzinach. Członkowie klanu z leyolskiej filii przeszledzili wszystko, co robiły Shae i Wen od chwili przybycia do Szotaru. Gdy sprawdzili wszystkie osoby, z którymi spotkała się tamtego dnia Shae, podejrzenie padło na wizytę Wen w Świetle Diamentu.

Hami Tumashon, który był na miejscu, zabrał ze sobą dwa palce z filii w Leyolo i pojechał do domu Guttana. Złapali producenta na podjeździe jego rezydencji w Czerwonej Wodzie, wsadzili do bagażnika i przewieźli do bezpiecznej kryjówki dwadzieścia kilometrów za miastem. Prerażony Guttano wyznał wszystko za pośrednictwem tłumacza. Po tym, jak Wen odwiedziła go w jego gabinecie, domagając się zwolnienia Danny'ego Sinjo z kontraktu, Guttano obawiał się o własne życie. Zadzwoił do szefa gangu *barukanów* imieniem Choyulo i poprosił go o ochronę, przekazując mu informację, że odwiedziła go żona Kaul Hiloshudona, która zatrzymała się w Oazie Sulliya.

Hami wyjaśnił przez telefon, że Choyulo jest szefem gangu Faltów, Faltowie byli mniej liczni od Matyków, ale obie organizacje utrzymywały luźny sojusz. Faltowie wykonywali brudną robotę dla większego gangu, ale znano ich również z innych rodzajów działalności, takich jak wymuszenia i porwania dla okupu. Ich macki sięgały również do sportu, muzyki oraz branży filmowej. Większość szotarskich filmów gloryfikujących *barukanów* opowiadała o Faltach.

– Co mam zrobić z Guttanem? – zapytał Hami.

Klanowy zaklinacz deszczu od dziesięcioleci pracował po biznesowej stronie klanu, ale był kiedyś pięścią.

Lott nacisnął przycisk mute i spojrzał na Hila.

– Nie powinniśmy go teraz zabijać, Kaul-jen. Jeśli bogaty szotarski producent filmowy nagle zniknie, to przyciągnie uwagę policji. Warto też zadać mu więcej pytań na temat Faltów.

Hilo przywrócił dźwięk w telefonie i wydał instrukcje Hamiemu.

– Zawieź Guttana do hotelu, a potem każ mu zatelefonować do żony i powiedzieć, że musi na kilka dni wyjechać z miasta w pilnych interesach. Problemy na planie filmu albo coś w tym rodzaju. Zostaw z nim strażników, żeby się upewnić, że nie ucieknie ani nie będzie rozmawiał z nikim innym. Jeśli odzyskamy Wen i Shae, puść go wolno. W przeciwnym razie zginie. Jeśli może nam powiedzieć coś więcej o Faltach, powinien to zrobić, o ile chce jeszcze zobaczyć rodzinę.

Hilo opadł na fotel. Miał ochotę zapalić następnego papierosa.

Woon Papidonwa siedział naprzeciwko niego, wspierając głowę na dłoniach. Na jego twarzy malowała się rozpacz. Hilo wolałby, żeby wrócił do domu, bo tutaj nie mógł im w niczym pomóc, ale nie był aż tak okrutny, żeby wygnać męża Shae z pokoju.

– Powinienem być polecieć z nią – lamentował szeptem Woon.

Hilo zbeształ go mocniej, niż na to zasługiwał.

– Gdybyś to zrobił, Tia mogłaby stracić oboje rodziców. Wydaje ci się, że zdołałbyś cokolwiek zmienić? – Świetnie rozumiał, jak trudno jest jadeitowemu wojownikowi pogodzić się z myślą, że nadchodzi czas, gdy nie jest już w stanie samemu toczyć własnych bitew i bronić tych, których kocha, dzięki własnej sile i umiejętnościom. – Shae jest inteligentna. Znajdzie sposób, by pozostać przy życiu do chwili, gdy zdołamy odzyskać ją i Wen. Już teraz robimy w tej sprawie wszystko, co możemy – zapewnił szwagra łagodniejszym tonem.

– W czym mogę wam pomóc, Kaul-jen? – zapytał Woon błagalnym tonem.

– Zaopiekuj się córką – odpowiedział Hilo i znowu się oddalił.

Tia z pewnością zdawała sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Woon nie opuszczał pokoju narad i to Anden zawiózł ją rano do szkoły, a potem przyjechał

po nią po południu. Dziewczynka co kilka minut szarpała teraz nerwowo rękę ojca, pytając, kiedy pojedą do domu i dlaczego u wujka Hila jest tyle ludzi.

Woon przytulił córkę, ale nie potrafił się zdobyć na to, by powiedzieć jej prawdę.

– Zjedz coś, a potem idź do domu babci – rzekł jej tylko.

Tia wybiegła z pokoju za wujkiem.

– Stało się coś złego, prawda?

Hilo przykucnął przy niej, ale wahał się, czy udzielić odpowiedzi na jej pytanie. Nie uznawał okłamywania dzieci i izolowania ich od rzeczywistości, ale Tia była inna.

– Tak – przyznał w końcu. – Ale staramy się temu zaradzić i nie chcę, żebyś się bała.

– Chodzi o mamę?

Hilo skinął głową.

Dziewczynka szeroko otworzyła oczy ze strachu.

– Chcę się dowiedzieć.

– Bardzo źli ludzie porwali twoją mamę, ciocię Wen i dwie pięści, kiedy były w Leyolo. Żądają od naszego klanu pieniędzy, jadeitu i innych ważnych rzeczy, w zamian za ich uwolnienie.

Dziewczynka ucisnęła ramię Hila. Po jej policzkach spływały łzy.

– Wujku Hilo, musisz uwolnić moją mamę, choćby nie wiem co. Daj im wszystko, czego chcą!

– Zrobię, co będę mógł, Tia-se. Przysięgam – zapewnił Hilo. – Ale nasza rodzina ma straszliwych wrogów i zdarza się, że najbardziej ze wszystkiego chcą nas skrzywdzić.

– Dlaczego ktoś miałby nas nienawidzić aż tak bardzo? – zapytała zapłakana dziewczynka. – To nie ma sensu!

Ru wszedł do pomieszczenia zaledwie kilka minut temu. Urwał się ze szkoły i wrócił wcześniej do domu. Koko, choć był stary, czekał głośno i biegał z radości. Ru podszedł do dziewczynki i przykucnął przy niej.

– Tia, wszyscy dorośli są teraz zajęci. Nie powinniśmy im przeszkadzać. Mama chciałaby, żebyś była silna i pozwoliła wszystkim pracować, żeby mogli ją znaleźć i przywieźć z powrotem do domu. – Mimo że chłopak bał się o własną matkę, mówił do Tii tonem zapewniającym, że wszystko będzie dobrze. – Może pójdziemy do drugiego pokoju i zagramy w gry wideo? Pokażę ci nową, którą dostałem w zeszłym tygodniu.

Wziął dziewczynkę za rękę.

– Dziękuję, synu. – Hilo położył dłoń na ramieniu Ru, ciesząc się, że jedno z jego dzieci jest z nim w domu. To, na które zawsze mógł liczyć.

Odkąd Ru poszedł do college'u, wyrażał swe opinie z jeszcze większą swobodą niż przedtem. Zrobił sobie miedziane pasemka we włosach i nosił czarną koszulkę z napisem: „Jestem niereaktywny na bzdury”. Często wspominał o rozmaitych dobroczynnych akcjach, które jego zdaniem klan Bez Szczytów powinien wspierać. Mimo to zawsze chętnie pomagał rodzicom.

Popołudnie zaczynało już przeradzać się w zmierzch, a Hilo nie spał ani chwili od poprzedniej nocy. Wen i Shae były w rękach *barukanów* już od osiemnastu godzin. Dwa miliony thalirów wypłacono z klanowych kont, a czterdzieści kilogramów jadeitu przyniesiono ze skarbców. Wszystko to zamknięto w czterech stalowych walizkach i załadowano do wyczarterowanego samolotu. Za trzy i pół godziny mała ekipa najbardziej zaufanych pięści z klanu przybędzie do Leyolo z pieniędzmi i jadeitem. Za osiem godzin dokonają planowanej wymiany z Faltami.

Osiem godzin. To będą najdłuższe godziny w jego życiu. Za osiem godzin Wen albo będzie bezpieczna, albo zaczną poszukiwać jej ciała.

Hilo nie podzielał niezachwianej wiary Shae w bogów, ale czasami się modlił. W tej chwili cała władza filaru wielkiego klanu zielonych kości nie mogła mu zagwarantować niczego poza obietnicą zemsty, a to znaczyło dla niego znacznie mniej niż kiedyś.

ROZDZIAŁ 46

TO, CO NAJCENNIEJSZE

Wen siedziała z uchem przyciśniętym do drzwi, słuchając rozmawiających w korytarzu mężczyzn. Usłyszała zaniepokojony głos Juniora, choć nie zrozumiała słów, a potem ostrą odpowiedź Drugiego Psa:

– Pewnie, że je zna! Po wymianie będziemy mieli czas. Trzymajmy się planu, a nie będziemy musieli martwić się o Matyów.

Wen usłyszała, że ich kroki się zbliżają. Oddaliła się od drzwi, osunęła na podłogę w kącie i zamknęła oczy, udając, że śpi. Drzwi się otworzyły i światło z korytarza padło na jej twarz.

– Wstawaj – rozkazał Drugi Pies.

Wen usiadła powoli. Nawet nie musiała udawać senności. Gdy Junior podszedł do niej z workiem w rękach, skuliła się. Strach powrócił.

– Nie mogę... w tym oddychać. Załóż mi opaskę na oczy. Proszę.

Nienawidziła brzmienia swojego głosu, ale Junior ustąpił. Złożył tkaninę i zawiązał ją wokół oczu Wen, pozostawiając nos i usta odsłonięte. Potem pociągnęli ją na nogi i kazali iść. Była osłabiona i nagle pozbawiono ją wzroku. Jej z trudem odzyskany zmysł równowagi odmówił posłuszeństwa. Zachwiała się, potknęła i uderzyła o ścianę.

– Co ty wyprawiasz? – warknął Drugi Pies.

Dwaj mężczyźni złapali ją za łokcie i poprowadzili ku wyjściu niczym spletaną owcę. Drzwi się otworzyły. Przez kilka cudownych sekund czuła na twarzy dotyk chłodnego nocnego powietrza. Potem posadzoną ją na tylnym siedzeniu samochodu i zamknięto drzwi.

W pojeździe było tłoczno. Po obu jej stronach siedzieli mężczyźni, unieruchamiając ją w środku.

– Jedźmy – usłyszała dobiegający z siedzenia dla pasażera głos Drugiego Psa. – Musimy to załatwić.

Kierowca ruszył w drogę.

Wen zacisnęła drżące dłonie i wsunęła je między kolana. Nadal się bała, ale to już nie była panika. Raz już ją zabito. Powinna była zginąć w Port Massy, osiemnaście lat temu. Dano jej szansę zobaczenia, jak jej dzieci dorastają, i spędzenia tych lat z Hilem. Niektóre z nich były trudne, ale większość uważała za szczęśliwe. Odzyskała zdrowie po odniesionych obrażeniach i mogła stać przed tłumami ludzi i dziesiątkami kamer, by przemawiać w imieniu klanu. Była nie tylko żoną filaru, lecz również jego filarowym. Nie żałowała tego, w jaki sposób wykorzystwała dar dodatkowych lat życia, i obiecała sobie, że nie będzie błagała, bez względu na to, co jej zrobią. Jednakże rozpaczliwie bała się o Shae i Duda.

– Gdzie jest Kaul Shae? – zapytała. – Co chcecie z nią zrobić?

Nie odpowiedzieli jej. Jazda trwała długo, może z godzinę, choć Wen nie mogła być tego pewna. Wreszcie samochód się zatrzymał. Siedzący w nim mężczyźni zaczęli rozmawiać po szotarsku. Dwaj z nich – Drugi Pies i ten, który siedział po jej lewej stronie – wysiedli. Reszta została w środku. Mijały kolejne minuty. Wen zastanawiała się, dokąd poszli. Może już kopali płytki grób, w którym ją pochowają.

Usłyszała dźwięk krótkofalówki dobiegający z miejsca dla kierowcy. Po kolejnej krótkiej rozmowie *barukan* siedzący po prawej stronie Wen otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

– Wyłaź – rozkazał.

Poznała głos Juniora. Stanęła na nogach, trzymając się boku pojazdu, i wstała. Słyszała szum wody i czuła jej zapach. Zdjęli jej opaskę i zorientowała się, że znajduje się na końcu spowitego mgłą mostu nad rzeką Gondi. Junior przeciął taśmę krępującą jej nadgarstki i wskazał prowadzącą przez most trasę dla pieszych.

– Idź – rozkazał i popchnął ją naprzód.

Ruszyła przez most. Junior szedł za nią. Jej wygłodzone płuca wypełniało zimne, wilgotne powietrze. W miarę jak oddalali się od brzegu, mgła gęstniała. Nie widziała drugiego końca mostu. Srebrzyste dźwigary znikwały w białych oparach. Mijały ich nieliczne samochody jadące w obie strony. Światła ich reflektorów padały na chodnik i po chwili znikwały. Pieszych nie było w ogóle. Trzymała się poręczy, by zachować równowagę, ale gdy spojrzała za nią, natychmiast tego pożałowała. Ciemna, wartka woda była bardzo daleko w dole.

– Stój – rozkazał Junior. – Nie ruszaj się.

Wen usłyszała, że wyciągnął broń, a potem poczuła dotyk zimnej lufy z tyłu głowy. Znieruchomiała, trzymając oczy otwarte. Wiedziała, że nie przesunie się

przed nimi całe jej życie. To był mit. Kiedy nadchodziła śmierć, nie było niczego poza przerażeniem i bólem.

– Kazali ci mnie zabić, żebyś dowiódł swojej odwagi? Naprawdę chcesz uczestniczyć w czymś tak złym?

– Zamknij się – wyszeptał Junior, ale Wen usłyszała nutę niepewności w jego głosie. – Nie masz prawa mówić o złu. Zajmowaliśmy się własnymi sprawami, ale klany musiały zjawić się tam, gdzie nikt ich nie chciał, i spierdolić życie tym, którzy nie chcieli się im kłaniać. Gdyby to zależało ode mnie, zabiłbym wszystkich członków waszej rodziny – wysyczał Junior.

Wen miała wystarczająco wiele doświadczenia z nastoletnimi synami, by wiedzieć, że młodzi mężczyźni często nie znają własnych uczuć, nawet jeśli zapewniają, że jest inaczej. Czowała, że pistolet przystawiony do jej głowy zadrżał lekko.

– W takim razie na co czekamy?

Na chodniku pojawiło się dwóch ludzi zmierzających szybko w ich stronę. Zauważyła, że to Drugi Pies i *barukan*, który wysiadł z samochodu razem z nim. Obaj nieśli metalowe skrzynki, a mięśnie ich rąk wyteżały się od Siły. Minęli Wen i Juniora, ledwie na nich spoglądając. Wen nie odważyła się odwrócić, ale usłyszała, że bagażnik samochodu otworzono. Potem rozległ się głuchy łoskot wrzucanych do środka skrzynek.

– Miałaś dziś szczęście, ty pizdo – stwierdził Junior i cofnął pistolet od jej głowy. – Ruszaj.

Zrobiła krok naprzód, a potem drugi. Przyśpieszała kroku, aż wreszcie uświadomiła sobie, że *barukan* nie idzie za nią. Potykała się i musiała się łapać zimnej, metalowej poręczy. Początkowo nie widziała przed sobą niczego poza mgłą, ale wkrótce pojawiły się w niej sylwetki dwóch mężczyzn. Po kilku dalszych krokach poznała swego bratanka Cama. Towarzyszył mu Hami Tumashon.

Z jej ust wyrwał się stłumiony krzyk. Popędziła ku nim. Cam wybiegł jej na spotkanie i uściskał ją mocno.

– Ciociu Wen, dzięki bogom! – zawołał załamującym się głosem.

Hami zarzucił kurtkę na jej głowę, ramiona i obaj zaprowadzili drżącą z ulgi kobietę na drugi koniec mostu, gdzie czekał samochód. Za kierownicą siedział Vin, jeden z pierwszych pięści klanu. Ruszył, gdy tylko wsiedli do środka. Cam usiadł z tyłu, obok Wen. Włożył jej w ręce gorący termos i otulił ciepłymi kocami, aż wreszcie gwałtowne drżenia ustały.

– Za dwadzieścia minut będziemy w samolocie – zapewnił Hami.

Wen poczuła, że powoli odzyskuje zdolność myślenia.

– A co z Shae?

Hami zacisnął zęby.

– Nadal ją mają – odpowiedział. – Za uwolnienie ciebie zażądali jadeitu i pieniędzy. Powiedzieli, że uwolnią prognostyczkę dopiero wtedy, gdy zlikwidujemy filię klanu Bez Szczytów i całkowicie wycofamy się z Szotaru.

– Ile czasu nam zostało?

– Tydzień – odpowiedział Hami, oglądając się na nią przez ramię. – To paskudnie zaszkodzi naszym interesom. Będziemy musieli spisać na straty wszystko, czego dokonaliśmy tu przez ostatni rok, ale musimy spełnić ich żądania. Rozpoczęliśmy już przygotowania do wycofania ludzi. Kiedy odzyskamy Kaul Shae-jen, zaczniemy się zastanawiać, czy jest jakiś sposób, by uratować sytuację i zemścić się na tych barukańskich psach.

Tydzień. Wen przypomniała sobie słowa, które podsłuchiwała w korytarzu. Wtedy nie wiedziała, o czym mowa. „Po wymianie będziemy mieli czas”. Pochyliła się i złapała Hamiego za ramię.

– Nie możemy jeszcze wsiadać do samolotu. Musimy zadzwonić do Hila.

– Nie martw się, kazałem naszym pięściom obserwować most – odpowiedział Vin. – Już dzwonią do filaru, żeby go poinformować, że wymiana poszła gładko i nic ci nie grozi.

– Mam nadzieję, że z pozostałymi zakładnikami również wszystko się uda – dodał Cam.

Wen potrząsnęła głową. Zbyt łatwo ją uwolnili. We wszystkich tych mężczyznach – Dużym Psie, Drugim Psie, a nawet Juniorze – wyczuwała lekkomyślność i nienawiść. Z radością wysłaliby Hilowi jej zmasakrowanego trupa. Tylko jakiś naprawdę ważny powód mógł ich skłonić do wypuszczenia jej bez szkody. Nie bali się zemsty klanu Bez Szczytów, więc nie chodziło o to. Nie słyszała, by cieszyli się na myśl o pieniądzach i jadeicie.

Wypuszczenie zakładniczki w zamian za okup miało przekonać Hila, że są gotowi do współpracy. To była zmyłka, mająca uspić czujność filaru, przekonać go do wycofania ludzi, wzbudzić w nim przekonanie, że żądania *barukanów* są szczerze.

– Muszę osobiście porozmawiać z Hilem – kontynuowała coraz bardziej rozgorączkowana Wen. – Nie możemy im wierzyć. Nie wycofujemy nikogo. Wszyscy ludzie, których mamy w tym kraju, muszą szukać Shae, bo oni nigdy nam jej nie oddadzą.

* * *

Shae zastanawiała się nad szansami ucieczki i doszła do wniosku, że są minimalne. Bez zieleni nie miałyby szans pokonać *barukanów*, nawet gdyby nie

była przywiązana do krzesła, zakneblowana i nie cierpiała z powodu odstawienia jadeitu. Przechodziła już przez nie dwa razy i to nie było przyjemne, ale miała wtedy szansę dbać o siebie, a teraz była głodna i skrępowana przez wrogów. Z przodu czaszki czuła nieustający ból, wnikający w gałki oczne, a jej twarz i szyję pokrywała warstewka potu, sprawiająca, że drżała z zimna. Z jakiegoś powodu pomyślała o Yun Doruponie, którego nienawidziła, ale który już dawno nie żył. Teraz poczuła się jego towarzyszką w cierpieniu, ponieważ kiedy był prognostykiem, Szotarczycy wzięli go do niewoli, zabrali mu jadeit, a potem poddali go torturom.

W pewnej chwili odniosła wrażenie, że słyszy krzyk Wen. Jej umysł wypełniły najstraszliwsze wizje. Potem rozległy się kroki i strzał. Utraciła zmysł Postrzegania i nie miała pojęcia, czy jej bratowa żyje. Do tej pory była przekonana, że *barukani* porwali je po to, by je wykorzystać jako zakładniczki w rozmowach z klanem Bez Szczytów. Miała nadzieję, że będzie mogła wykorzystać swą pozycję prognostyczki, by skłonić ich do darowania życia Wen, ale od wielu godzin nikt nie przychodził do jej pustego pokoju.

Ogarniała ją coraz większa senność. Jej świadomość odpływała na długie chwile. Miała wrażenie, że upłynęła doba, nim drzwi wreszcie się otworzyły i do pokoju weszło dwóch mężczyzn. Pierwszy był niski i miał groźną minę. Był ubrany w bojówki i nosił na szyi wisiołek z blagierskiego jadeitu, drugi zaś był młody i miał na szyi tatuaż.

– Z pewnością się znudziłaś, Kaul Shaelinsan – odezwał się drwiącym tonem niski mężczyzna, który z pewnością był tu szefem.

Drugi, ten młodszy, podszedł od tyłu do krzesła i uwolnił ją od knebla. Shae poruszyła obolałą żuchwą, próbując wypełnić suche gardło choć odrobiną śliny.

– Zabiliście moją bratową?

Szef *barukanów* uśmiechnął się szyderczo, widząc jej cierpienia.

– Wręcz przeciwnie, jest już w drodze do domu. Twój brat z pewnością bardzo kocha żonę. Zapłacił pełen okup za jej uwolnienie.

Żałowała, że nie ma jadeitu i zmysłu Postrzegania, który pozwoliłby jej określić, czy mężczyzna kłamie. Uczepiła się nadziei, że jednak mówi prawdę i Wen rzeczywiście odzyskała wolność.

– Jeśli to prawda, możemy porozmawiać na wiele tematów – odpowiedziała, starając się nadać głosowi neutralne brzmienie. – Wiecie, kim jestem i jak wiele jadeitu oraz pieniędzy pozostaje pod moją kontrolą. Jestem pewna, że możemy osiągnąć jakieś porozumienie.

– Z pewnością możemy – zgodził się szef *barukanów*, mówiąc po kekońsku z wyraźnym akcentem. W ruchach jego warg było coś, co wyraźnie niepokoiło

Shae. – W końcu najcenniejsze, co posiada prognostyczka klanu, to nie pieniądze albo jadeit, tylko informacje.

Podszedł do jej krzesła i wlepił w nią spojrzenie wyłupiastych oczu.

– Twój klan próbuje zdobyć pozycję w Szotarze, zaprzyjaźniając się z policją i rządem. Przekazujecie im informacje zdobyte przez waszych szpiegów. Dwa miesiące temu agenci federalni przechwycili transport słodkiej mąki wart dwa i pół milionów sep. Nie dowiedzieliby się o nim, gdyby nie mieli szpicla wśród Matyów.

Pokręciła głową.

– Nie jesteście Matyami.

Dzięki sieci szpiegowskiej stworzonej w Szotarze przez klan Bez Szczytów i jej współpracy z miejscowymi stróżami prawa wiedziała, kim są najważniejsi przywódcy tego gangu. Wśród tych ludzi nie było żadnego z nich.

– Jebać Matyów – warknął *barukan*. – Przewożą towar przez Oortoko, ale to my go transportujemy i pilnujemy. Dlatego to Faltowie giną albo trafiają do więzienia, a Matyowie uważają, że to my jesteśmy winni, mimo że prawdziwymi winowajcami są szpicle klanu Bez Szczytów. – Pochylił się, przysuwając do niej twarz tak bardzo, że czuła dziwnie słodką woń wody kolońskiej, mieszającą się z jego kwaśnym oddechem. – Dwa tygodnie po tej wpadce klan Bez Szczytów otrzymał koncesje biznesowe i koncesje na sprzedaż alkoholu w czterech lokalach, które niedawno kupił w Leyolo. Może to przypadek, ale ja nie wierzę w przypadki. Kto był waszym agentem?

– Jestem prognostyczką – odpowiedziała Shae. – Nie kieruję białymi szcurami. Tym się zajmuje strona rogu.

W normalnej sytuacji byłaby to przekonująca odpowiedź, ale Shae była osobiście zaangażowana w każdy aspekt niebezpiecznej operacji, jaką stanowiło rozszerzenie działalności klanu na Szotar. Współpracowała z Lottem i Hejem. Znała nazwiska agentów.

– Na pewno myślisz, że nie umiemy się posługiwać jadeitem i nie wiemy, kiedy kłamiesz – odpowiedział dowódca Faltów z urazą w głosie. Twój brat odzyskał żonę i wycofuje z kraju swoje zielone kości. Jeśli dasz nam to, czego chcemy, będziesz mogła przyjemnie spędzić z nami trochę czasu i również wrócić do domu. W przeciwnym razie będzie po wszystkim przed upływem tygodnia, nim zaczną szukać twojego ciała. Nie chciałbym być zmuszony do robienia takich rzeczy kobiecie.

W tej samej chwili do pokoju wszedł kolejny mężczyzna. Przyniósł zwoje sznura oraz łańcuchy. W ustach Shae zrobiło się sucho jak na pustyni. Związali jej nogi w kostkach i ręce w nadgarstkach, a następnie odwiązali ją od krzesła i otoczyli linami oraz łańcuchami jej tułów i nogi. Zabezpieczyli łańcuchy

kłódkami, unieruchamiając ją całkowicie, jak specjalistę od ucieczek, którego umieszcza się w zamkniętym zbiorniku, by mógł oszołomić publiczność pokazem swych umiejętności. Tyle że ona nie знаła takich sztuczek. Serce waliło jej jak młotem.

Młodszy mężczyzna przerzucił ją sobie przez ramię jak ciężki worek ryżu i zaniósł do łazienki. Była tam wanna w szotarskim stylu, wystarczająco wielka dla trzech albo czterech osób. Nie było w niej wody. Za to siedział w niej Dudo, również bezpiecznie związany i obciążony łańcuchami. Gdy *barukan* umieścił Shae w wannie obok niego, jej ochroniarz uniósł pochyloną głowę. Miał na twarzy pełno siniaków i trudno mu było skupić spojrzenie. Cios w tył głowy spowodował u niego wstrząs mózgu.

– Kaul-jen – wychrypiał. – Wybacz, że nie mogłem cię obronić.

Nie była w stanie mu odpowiedzieć. Nic z tego nie było winą Duda. To ona była winna. Zabrała ze sobą Wen i rozkazała Dudowi zatrzymać samochód na rozkaz fałszywego policjanta. Wtedy te decyzje wydawały się jej rozsądne, podobnie jak wiele innych, które podjęła w życiu.

– Możesz być twardą zieloną kością, suko, ale czy jesteś aż tak bezduszna, by patrzeć, jak druga osoba cierpi i umiera z powodu twojego uporu? – odezwał się szef *barukanów*.

Poczuła dziwną pokusę, by mu powiedzieć, że nieraz już widziała, jak inni płacili za jej błędy. Lan, którego zawiodła jako siostra. Maro, który zginął z jej ręki. Luto, jej szef sztabu przez zaledwie kilka miesięcy. Wen i Anden, którzy wpadli w pułapkę w Espenii. Kiya, pierwsza żona Woon. Dudo będzie kolejny na tej liście. Czy to właśnie znaczyło mieć władzę? Obciążać innych najgorszymi konsekwencjami własnych błędów, często nawet mimo woli? Łańcuchy wbijały się w skórę jej nadgarstków, a gołe nogi wypełniało zimno białej ceramiki.

– Podaj mi nazwiska – zażądał niski mężczyzna. – Nazwiska waszych agentów.

Gdyby zdradziła tożsamość informatorów klanu Bez Szczytów, wszyscy ci ludzie zapewne zginęliby straszliwą śmiercią. Tak czy inaczej, stanie się przyczyną śmierci i cierpień.

– Nie? Dam ci nawet wybór – ciągnął ze spokojem mężczyzna. – Co powiesz na nazwiska policjantów i członków rządu opłacanych przez klan Bez Szczytów?

Zdobywszy taką złotą żyłę informacji o kluczowym znaczeniu dla szotarskiego półświatka, porywacze nie musieli się obawiać zemsty klanu Bez Szczytów. Matyowie zapewniliby im ochronę. Mogliby nawet sprzedać te informacje Górze, by zmusić klan Bez Szczytów do opuszczenia Szotaru, bez względu na to, jaką decyzję podejmie Hilo.

Dudo zdołał podnieść się nieco.

– Wszyscy jesteście już trupami, barukańskie psy – wybełkotał.

Szef porywaczy kazał przynieść do łazienki dwa metalowe pojemniki i postawić je na pokrytej linoleum podłodze. Otworzył je i okazało się, że są pełne oszlifowanego jadeitu. Klejnoty różnych rozmiarów, gotowe do oprawienia i noszenia. Nawet w słabym żółtym świetle łazienki lśniły głębokim, zielonym blaskiem.

Shae wciągnęła powietrze. To była ogromna fortuna, skarb na niemal mitologiczną skalę. *Barukani* gapili się na jadeit z bliskim uniesienia podziwem. Niektórzy dotykali swych skromnych klejnotów. Każdy z pewnością wyobrażał sobie, że jest Baijenem narodzonym na nowo i nosi więcej jadeitu niż jakakolwiek inna zielona kość. Ich szef zagwizdał cicho.

– Piękne, prawda? Piękne i śmiertelnie groźne.

Dwaj mężczyźni włożyli grube, ołowiane rękawice, przechylili jeden pojemnik nad wanną i wysypali do niej jego zawartość. Klejnoty uderzały o brzegi, stukając jak monety wrzucone do wiadra, a potem opadały na nogi Shae i Duda. Następnie *barukani* zrobili to samo z drugim pojemnikiem. Jadeity warte dziesiątki milionów dienów pokryły dno wanny grubą warstwą niczym zielone szklane kamyki na dnie akwarium. Shae szarpnęła się gwałtownie, odruchowo próbując odsunąć się od kaskady, ale nic to nie dało. Tysiące kawałków jadeitu sypały się na jej uda i łydki, wsuwały się w szpary między palcami bosych stóp i znikwały pod ubraniem, gdy miotała się w narastającej panice. Żaden człowiek niebędący niereaktywnym nie potrafiłby znieść kontaktu z tak wielką ilością zieleni naraz.

Przed wielu laty odwiedziła kopalnię jadeitu, wysoko w górach Kekonu. Patrząc, jak wielkie głązy tego surowca przecinano i ładowano na ciężarówki, zadała sobie zrodzone z chorobliwej ciekawości pytanie: co by się stało, gdyby dotknęła otwartą dłonią tak wielkiego skupiska kuszącej zieleni? Wyobraziła sobie natychmiastową śmierć, lecz również długotrwałą chorobę, ale to, czego teraz doświadczała, wyglądało zupełnie inaczej. Nagły przypływ znajomej, dezorientującej mocy, gdy jej jadeitowe zmysły obudziły się nagle. Postrzegąca wszystkie osoby w budynku i wokół niego, czuła energię przepływającą przez jej ciało z każdym uderzeniem ogromnego serca, wyczuwała, że czas zwolnił, gdy jej umysł uwolnił się z klatki ciała. W tej samej chwili sięgnęła po swoje umiejętności, z rozpaczliwym krzykiem skupiła całą potęgę swego szkolenia na przywołaniu Siły, która pozwoli jej zerwać okowy. Sznury i metalowe ogniwa rozciągnęły się, ale nie puściły. A potem zaczął się ból. Narastał szybko, jakby rzuciła się na ogromne metalowe drzwi, próbując je otworzyć, a potem przekonała się, że stają się coraz cieplejsze, aż wreszcie rozgrzały się do

czerwoności, a ona była przykuta do ich powierzchni i nie mogła się od niej oderwać, nim metal spali ją żywcem.

Miała wysoką tolerancję na jadeit, jak wszystkie zielone kości najwyższej klasy, a dodatkowo wzmocniło ją całe życie szkoleń i wystawienia na działanie klejnotów. Jej ciało było przyzwyczajone do jadeitu. Odrażające, gwałtowne wypaczenie tego, co przez całe dorosłe życie było dla niej czymś naturalnym, stało się nagle źródłem straszliwych cierpień. Z tępą desperacją starała się wykorzystać metody panowania nad jadeitową energią, których uczono ją od dziecka – świadome oddychanie, złagodzenie napięć w ciele, wizualizacja – wszystko to było bezużyteczne. Tonęła w potopie ognia. Nawet gdyby nie unieruchamiały jej więzy, nie potrafiłaby przywołać Siły, Przenoszenia ani czegokolwiek, co umożliwiłoby jej ucieczkę. Równie dobrze mogłaby próbować zapanować nad latawcem podczas cyklonu. Zapadła z powrotem w fizyczne wrażenia – jej mięśnie zaczęły drżeć, po całym ciele spływał pot, tętno przyspieszyło gwałtownie, a temperatura ciała i ciśnienie wzrosły.

Dudo zaczął krzyczeć. Na jego szyi uwidoczniły się ścięgna.

– Ten jadeit pochodzi ze skarbców klanu Bez Szczytów. – Głos niskiego szefa *barukanów* dobiegał z bardzo daleka. – Czyż to nie jest akt sprawiedliwości?

ROZDZIAŁ 47

JEŚLI OKAŻE SIĘ TO KONIECZNE

Hilo siedział na skraju łóżka, obserwując, jak koc unosi się i opada powoli w rytm oddechu Wen. Po pełnej łez uldze wynikającej z powrotu do domu nadeszło straszliwe zmęczenie i jego żona zapadła w głęboki sen. Dotknął grzbietem dłoni jej policzka, by się upewnić, że naprawdę wróciła i nie jest to tylko zrodzony z nadziei sen, z którego wkrótce się obudzi, by znowu znaleźć się w koszmarnej jawie, w której nadal jest zaginiona i grozi jej niebezpieczeństwo. Pochylił się powoli i pocałował ją w czoło – ostrożnie, żeby jej nie obudzić.

Wstał, ubrał się i zszedł na dół. Anden siedział na najniższym stopniu schodów, czekając na niego.

– Chodźmy – rzucił Hilo.

Anden usiadł za kierownicą nowej duchesse imperia należącej do filaru i ruszył na południe ulicą Lo Low. Słońce jeszcze nie wzeszło i na ulicach Janloonu zachodziła powolna zmiana warty między nocnymi mieszkańcami miasta a tymi, którzy wstawali najwcześniej. Pijacy, prostytutki i ludzie pracujący na nocnej zmianie wracali do domu, a uliczni handlarze, sprzedawcy gazet i sklepikarze otwierali swoje interesy.

– To mi przypomina czas, kiedy wiozłeś mnie do Podwójnego Szczęścia w Nowy Rok – przerwał milczenie Hilo.

– To było dawno – odparł Anden.

– Bardzo dawno – zgodził się Hilo. – Teraz jesteś znacznie lepszym kierowcą.

Gdy Anden obejrzał się na niego, marszcząc czoło, filar odpowiedział mu swym sławetnym krzywym uśmiechem.

– Cieszę się, że nie każesz mi dzisiaj nikogo zabić – stwierdził Anden.

Po przejechaniu przez tunel na Lo Low skręcili w Patriotyczną i dotarli do Wyżyn. Anden manewrował wielką duchesse tak, by zmieścić się w wąskich

uliczkach willowej dzielnicy. Kąciki jego ust uniosły się nieco.

– Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek będziemy żartowali z tego dnia.

– Miejmy nadzieję, że za dwadzieścia lat będziemy tak samo rozmawiali o dzisiejszym. – Hilo oparł rękę na otwartej szybie i gapił się na wypielęgnowane drzewa skąpane w blasku wschodzącego słońca. – Bogowie, byliśmy wtedy młodzi, Anden. – Z jego głosu zniknęła nuta wesołości. – Wtedy naprawdę byłem gotowy zgiąć z ręki Gont Ascha, gdyby okazało się to konieczne. A teraz... nadal jestem gotowy, ale myślę, że to byłoby znacznie trudniejsze. Można by pomyśleć, że w miarę jak człowiek się starzeje, coraz łatwiej mu stawić czoło śmierci, ale wcale tak nie jest. Przyzwyczajamy się do życia, do ludzi, których kochamy i do wszystkiego, dzięki czemu warto żyć.

Hilo zauważył, że kuzyn przygląda się mu z zatroskaną miną.

– Nie przejmuj się Andy. Nie chciałem tego usłyszeć, ale ostatniej nocy miałeś rację. Tak czy inaczej, przegramy, więc to jedyne wyjście. Wiesz, jak musisz w takim przypadku postąpić.

– Wiem, Hilo-jen – odpowiedział Anden,

– Kiedy coś trzeba zrobić, zawsze znajdzie się sposób – dodał cicho Hilo.

Zatrzymali się przed wielkimi żelaznymi wrotami rezydencji Ayt. Kamery monitoringu zamontowane przy drodze uprzedziły już wartowników, że się zbliżają. Cztery zielone kości z Góry, uzbrojone w guan dao i pistolety, wyszły im na spotkanie. Anden zatrzymał samochód i wyłączył silnik, a potem uniósł otwarte dłonie nad kierownicą, pokazując im, że nie ma broni.

Hilo otworzył drzwi i wysiadł. Jego Postrzeżanie wypełniała nieprzyjazna czujność czterech stojących przed nim zielonych kości, a także dwóch kolejnych, czekających za bramą, gdzie ich nie widział.

– Chcę się zobaczyć z waszą filar! – zawołał do nich podniesionym głosem.

* * *

Pewnego ranka, gdy miał dwadzieścia dwa lata, Hilo jadł ze swym starszym bratem Lanem śniadanie w restauracji Podwójne Szczęście. Po raz pierwszy odwiedził ten lokal i był mile zaskoczony, gdy się przekonał, że choć jest stary, głośny i trochę duszny, karmią tu najlepiej w całej Dzielnicy Portowej. Lan jednak nie poświęcał zbyt wiele uwagi jedzeniu ani rozmowie. Sprawiał wrażenie zmartwionego i w ogóle się nie uśmiechał, słysząc jego słowa.

Zdaniem Hila jego brat nie miał większych powodów do zmartwień. Nosił mnóstwo jadeitu, niedawno się ożenił, a dziadek przekazywał mu coraz więcej odpowiedzialności w kierowaniu codziennymi sprawami klanu. Wreszcie odłożył serwetkę.

– Co cię gryzie? – zapytał. – Masz taką minę, jakbyś nie mógł się wypróżnić od tygodnia.

Przez twarz Lana przemknął wyraz zaskoczenia, a potem irytacji.

– Mam trochę problemów, Hilo – odpowiedział. – Nie muszę się dzielić wszystkimi z tobą.

Hilo podrapał się po żuchwie, zastanawiając się nad tymi słowami. Poczł się nieco urażony. Co prawda związki łączące go z Lanem nie były tak bliskie jak w przypadku rodzeństwa w zbliżonym wieku. Nie byli rywalami ani powiernikami. Niemniej istniało między nimi niewypowiedziane porozumienie, że pewnego dnia Lan zostanie filarem, a Hilo jego rogiem. Złoży przysięgę starszemu bratu, obieca, że będzie mu służył, zabijał dla niego, a jeśli okaże się to potrzebne, odda za niego życie. Dlatego uważał, że ma prawo żądać, by brat wyjaśnił, dlaczego psuje im dobre śniadanie swą melancholią.

– Czy to ma coś wspólnego z tym spotkaniem, które dziadek odbył w zeszłym tygodniu?

Lan przymrużył powieki.

– Skąd wiesz?

– Ma czy nie ma? – zapytał Hilo, wzruszając ramionami.

Lan wypuścił powietrze przez nos, jakby dawał za wygraną, lecz jednocześnie odprężył się nieco. Najwyraźniej ucieszył się, że może wreszcie z kimś porozmawiać o swoich kłopotach.

– Wiesz, że dziadek i wujek Doru martwią się o to, kto zostanie filarem Góry po Ayt Yu?

– Ayt nie jest taki stary – sprzeciwił się Hilo. – Może pełnić tę funkcję jeszcze z dziesięć lat.

– Krążą pogłoski, że musiał zdjąć część klejnotów z powodu nadciśnienia. Włócznie Kekonu może być żywą legendą, ale jego tolerancja na jadeit zaczyna go opuszczać. Nie minie wiele czasu i będzie musiał przejść w stan spoczynku. Może pięć lat, może nawet mniej. Ayt Eodo nie jest jego rodzonym synem tylko adoptowanym, a poza tym Eodo to żart, ludzie nie szanują go jako zielonej kości.

Hilo złamał jedno z orzechowych ciastek.

– Jego córka jest prognostyczką.

– Kobieta filarem? – Lan pokręcił głową. – Ayt nie posunie się tak daleko. Otwierają się drzwi przed jakąś inną rodziną, która chciałaby objąć przewodnictwo nad Górą.

– A czemu to ma być nasz problem? – zapytał Hilo. – Niech Góra sama zajmuje się własnym syfem.

Jako młodsza rangą pięść nie darzył sympatią klanu Góra. On i jego towarzysze często ścierali się gwałtownie z zielonymi kośćmi z konkurencyjnego klanu, w walkach o terytorium albo kontrolę nad biznesami, zwłaszcza w spornych dzielnicach. Po niektórych z tych konfrontacji po obu stronach pozostały pretensje.

– W zeszłym tygodniu dziadek i wujek Doru spotkali się z Tanku Ushijanem – odpowiedział Lan. – Róg Góry zaproponował, żebyśmy zjednoczyli nasze rodziny przez małżeństwo.

Szczęki Hila nagle znieruchomiały. Przez głowę przemknęła mu myśl o Wen. Nie zwykł mieć tajemnic przed rodziną, ale nie zdradził jeszcze dziadkowi ani bratu, że zakochał się w dziewczynie z rodziny Maików, w dodatku kamiennookiej. Najwyraźniej jego twarz albo jadeitowa aura zdradziły panikę, jaka nagle go ogarnęła, bo Lan uśmiechnął się ironicznie.

– Chyba nigdy dotąd nie udało mi się tak cię wystraszyć. Czyżbyś aż tak bardzo bał się myśli o ustatkowaniu się? Tak czy inaczej, nic ci nie grozi. Syn Tanku, Din, jest pięścią pierwszej rangi. Ludzie mówią, że może pójść w ślady ojca i zostać rogiem. Małżeństwo między Shae i Tanku Dinem połączyłoby przywództwo obu klanów.

Hila zalała fala ulgi. Znowu zaczął oddychać. Pogryzł zatrzymany w ustach kęs i go połknął.

– Dziadek się na to nie zgodzi – odparł. – Shae to jego ulubienica.

Lan nie odpowiadał mu przez chwilę, ale jego aura zrobiła się bardziej szorstka. Machinalnie przesunął jedzenie na talerzu.

– Jeśli trzeba zdecydować, co jest najlepsze dla klanu, czasami nie ma miejsca na osobiste uczucia, nawet gdy jest się filarem. Doru uważa, że to świetny pomysł, a wiesz, jaki ma wpływ na dziadka.

Hilo skrzywił się z niezadowoleniem.

– Doru powinien wrócić tam, skąd przybył, do ery trzech koron.

Stary, zręczliwy prognostyk byłby w tamtych czasach jednym z wiecznie spiskujących pałacowych dworzan.

Lan spojrzał na młodszego brata z rezygnacją, której Hilo nie potrafił zrozumieć jeszcze przez wiele lat. Do chwili, gdy sam został filarem.

– Dziadek i Ayt Yu nieraz spierali się ze sobą w ciągu minionych lat, ale teraz, gdy obaj zaczęli się starzeć, chcą zapewnić, że po ich odejściu klany nadal będą szanować się nawzajem. To staje się coraz trudniejsze, bo czerpiemy zyski z różnych biznesów, zajmujemy odrębne terytoria i uczymy się w innych szkołach. – Lan pociągnął machinalnie za spinki z jadeitami, które miał w rękawach.

– Rodzina Tanku mówi, że jeśli sprzymierzymy się z nimi, Ayt Yu pominie tego playboya Eoda i uczyni Tanku Ushiego następnym filarem Góry. To zapobiegnie walkom o sukcesję i zapewni w przyszłości pokojowe stosunki. Shae będzie synową ich filaru, a jeśli młody Tanku dostanie awans, obaj staniemy się szwagrami ich rogu.

Z każdym następnym słowem ta wizja przyszłości podobała się Hilowi coraz mniej. Osobiście nie miał nic przeciwko rodzinie Tanku, ale z pewnością nie chciał się z nią spowinowacić. Starszy Tanku był już po pięćdziesiątce, a jego syn był dwa lata starszy od Lana. Gdyby rodziny połączyły się ze sobą, to oni osiągnęliby dominację. Jak Lan miałby bronić swej pozycji filaru przed ojcem swego szwagra? A gdyby Hilo został rogiem klanu Bez Szczytów, ten sam szwagier byłby jego rywalem. Hilo byłby zmuszony mu ustąpić, żeby bronić małżeństwa siostry. Ten związek mógłby na pewien czas ocalić pokój, ale na dłuższą metę ranga klanu Bez Szczytów z pewnością by spadła. Mogliby nawet stać się lennikami Góry.

Nadal jednak się nie martwił. Znał siostrę.

– Shae nigdy się na to nie zgodzi – skwitował.

Lan wyciągnął papierosa i podsunął paczkę młodszemu bratu, który również wziął sobie jednego, mimo że nie była to jego ulubiona marka.

– Ty i ja o tym wiemy – odpowiedział. – Ale nie sądzę, żeby dziadek wiedział. Zawsze rozpieszczał Shae i jest przekonany, że go posłucha. Gdyby tego nie zrobiła, utraciłby twarz przed Ayt Yu i rodziną Tanku. Tak czy inaczej, rodzina nie będzie już potem taka sama.

Hilo milczał.

– Dlatego nie jestem dziś w dobrym nastroju – poskarżył się Lan. – A teraz widzę, że tobie również zepsułem poranek. Sam jesteś sobie winien, bo zapytałeś.

Hilo zapalił papierosa, ale przekonał się, że mu nie smakuje.

– Dziadek jeszcze nie udzielił odpowiedzi, prawda? Może uda się nam go przekonać, żeby zrezygnował z tego pomysłu.

– Może – zgodził się Lan, jednakże w jego głosie nie słyszało się nadziei. –

Dziadek z wiekiem robi się coraz bardziej uparty. Wiesz, w jakiej sytuacji jestem. W ostatecznym rozrachunku decyzja należy do niego.

Właściciel restauracji podszedł do ich stolika i przedstawił się jako pan Une. Zapytał, czy coś było nie w porządku z posiłkiem, bo Lan zjadł bardzo niewiele. Kiedy go zapewnili, że jedzenie było znakomite, pokłonił się nisko, oddając im honory, i oznajmił, że to dla niego zaszczyt gościć wnuków filaru, i ma nadzieję, że przekażą pochlebną opinię o jego lokalu samemu Płomieniowi.

Lan porozmawiał przez chwilę z panem Une z poważną uprzejmością, której nauczył się w ostatnich latach. Uśmiechał się jednak tylko półgębkiem. Dziadek miał siedemdziesiąt sześć lat, był znacznie starszy od Ayt Yugontina, i choć szykował Lana na swego następcę, nadal nie ogłosił, że zamierza przejść w stan spoczynku. Lan znalazł się w trudnej sytuacji. Bez względu na to, jak mocno nie zgadzał się z Kaul Senem, to gdyby się mu sprzeciwił albo nie wykonał jego rozkazów, mógłby jedynie odwlec chwilę, kiedy zostanie filarem.

– Ani słowa o tym Shae, jasne? – powiedział Hilowi, kiedy pan Une się oddalił. – Lepiej uniknąć wojny między nią a dziadkiem, jeśli to tylko możliwe.

Dwa lata później Shae z własnej inicjatywy wdała się w gwałtowny spór z dziadkiem, ale wtedy ani Hilo, ani Lan nie mieli pojęcia, co się wydarzy.

– Zaufałem ci, Hilo – rzekł mu starszy brat. – Daj słowo, że nic nie powiesz.

Hilo otworzył szeroko oczy z niewinną miną i rozpostarł dłonie w nonszalanckim geście.

– Na mój jadeit, bracie – zapewnił, choć zadawał sobie pytanie, czy Lan powiedział komukolwiek innemu. Wątpił, by jego brat rozmawiał o klanowych sprawach ze swoją zarozumiałą żoną. – Tak czy inaczej, nie jestem aż taki głupi, żeby przynosić złe wieści. Gdyby Shae dowiedziała się o tym ode mnie, wyrzuciłaby mnie przez okno. – Przez kilka minut siedzieli bez słowa, paląc papierosy. – Cieszę się, że jestem tylko pięścią i nie muszę się użerać z tym całym politycznym syfem, jak ty – stwierdził wreszcie Hilo.

Nie przestawał jednak myśleć o tym, czego się dowiedział od brata. Doszedł do wniosku, że ich dziadek jest starym durniem, próbującym zawrócić wskazówki zegara i cofnąć decyzję, którą sam podjął. Towarzystwo Jednej Góry podzieliło się przed pokoleniem. Wysiłki ponownego zjednoczenia Góry i klanu Bez Szczytów miały równie mało sensu jak próby sklejenia stłuczonego jajka. Zamiast zachowywać się jak jakiś starożytny watażka i próbować aranżować polityczne małżeństwo dla Shae, dziadek powinien po prostu ustąpić ze stanowiska. Gdy tylko Lan zostanie filarem, mianuje Hila swoim rogiem, a Shae prognostyczką. Razem będą silniejsi niż rodzina Tanku czy jacykolwiek inni potencjalni następcy Ayt Yu i nie będą musieli składać im feudalnych hołdów. Im prędzej Lan zostanie filarem, tym lepiej.

Im dłużej Hilo zastanawiał się nad owym problemem, tym większy ogarniał go gniew na obecną starszyznę klanu. Martwił się też samolubnie o własne perspektywy. Wszyscy uważali, że jest za młody na róg i musi poczekać jeszcze kilka lat. Gdy Lan zostanie filarem, wszyscy będą od niego oczekiwali, że powierzy kierowanie militarną stroną klanu doświadczonemu wojownikowi noszącemu mnóstwo jadeitu.

Hilo jednak nie mógł sobie pozwolić na powolne awansowanie na coraz wyższe pozycje i czekanie na swoją kolej. Nawet po przejściu w stan spoczynku dziadek z pewnością będzie miał coś do powiedzenia we wszystkich sprawach. Jeśli nie zostanie rogiem, może nie zachować wpływu na brata i nie zdobyć autorytetu w klanie. Jego status będzie za niski, by wszyscy zaakceptowali jego związek z Wen.

Ku zachwytowi pana Une po dwóch dniach wrócił do Podwójnego Szczęścia, tym razem na kolację. Towarzyszyli mu Maik Kehn i Maik Tar. Lan zakazał mu wspominać o całej sprawie Shae, ale Hilo doszedł do wniosku, że może bezpiecznie porozmawiać o niej z dwoma swymi najbardziej zaufanymi przyjaciółmi spośród pięści.

– Muszę zabić Tanku Dina – oznajmił im, gdy przyniesiono przekąski.

Tar znieruchomiał, unosząc do ust chrupiący kotlecik z kalmarów.

– Syna rogu Góry? Wielkiego, wrednego faceta, który ma płaski nos i od chuja jadeitu?

– Właśnie tego – zgodził się Hilo. – W dodatku muszę to zrobić szybko i czystą klingą.

– Miło było cię znać, keke. Poproszę bogów, żeby obdarzyli cię uznaniem – zażartował Tar. Kiedy się zorientował, że Hilo mówi całkowicie poważnie, uśmiešek zniknął z jego twarzy. – Jesteś dobry, Hilo-jen, wszyscy o tym wiedzą. Ale nawet ty nie jesteś Baijenem narodzonym na nowo. Tanku Din jest o klasę lepszy od nas, przynajmniej na razie.

Kandydat na męża Shae był pięścią Góry najwyższej rangi. Zielone kości na ogół toczyły pojedynki między przeciwnikami o mniej więcej równym statusie. Wyzwanie kogoś stojącego niżej w hierarchii było w złym guście, a rzucenie wyzwania komuś noszącemu znacznie więcej jadeitu było po prostu nierozsądne. Można było zwyciężyć w takim starciu, ale to było równie trudne jak pokonanie w walce wręcz kogoś, kto waży dwa razy więcej. Możliwe, ale mało prawdopodobne.

– Czym cię obraził Tanku, że nie możesz poczekać? – zapytał Kehn.

– To nie jest sprawa osobista. Ledwie go znam, choć raczej za nim nie przepadam.

Tanku Din był znany jako świetny wojownik i poukładana pięść, lecz również jako małostkowy człowiek, łatwo wpadający w gniew z powodu krytyki, skłonny karać podwładnych albo porzucać latarników, którzy urazili go jakimś drobiazgiem.

Hilo wyjaśnił Maikom sytuację oraz powody skłaniające go do pośpiechu.

– Dziadek nie będzie mógł wydać Shae za trupa.

Nawet Kehn i Tar sprawiali wrażenie lekko skonsternowanych rozumowaniem Hila, choć nie mogli się z nim nie zgodzić. Starszy z Maików potarł kark i wypuścił powietrze.

– Pojedynek jest zbyt ryzykowny. Moglibyśmy spróbować zasadzki.

Hilo potrząsnął głową.

– Nie możemy pozwolić, by ludzie pomyśleli, że Lan wyszeptał do mnie jego imię. To musi wyglądać na niezaplanowane. – Obaj Maikowie popatrzyli na niego z nieskrywanym sceptycyzmem. – Nie gapcie się tak na mnie – warknął. –

Wasze miny zdradzają, że jesteście gotowi dać za wygraną. Pomyślcie o Szarzy Dwudziestu. Mój ojciec znalazł sposób, by dokonać niemożliwego za cenę własnego życia, ponieważ porażki nie można było zaakceptować. Kiedy coś trzeba zrobić, zawsze znajdzie się sposób.

W następnych latach miał bardzo często powtarzać to zdanie swym licznym pięściom.

Po południu najbliższego trzeciego dnia Hilo i bracia Maik pojechali na terytorium Góry i odwiedzili bar w okolicy kontrolowanej przez Tanku Dina oraz jego palce. Hilo wszedł do Czarnej Gęsi i położył na stoliku schowane w pochwie guan dao.

– Ja i moi przyjaciele nie chcemy wywoływać kłopotów – oznajmił barmanowi – Po prostu mamy ochotę czegoś się napić.

Wszyscy trzej usiedli i zamówili piwo. Pili i rozmawiali, a potem zamówili kolejne piwa, a wreszcie butelkę hoji. Po dwóch godzinach barman poszedł na zaplecze i zadzwonił do Tanku Dina, który zjawił się po piętnastu minutach, by sprawdzić, o co chodzi zielonym kościom z klanu Bez Szczytów, które nie chcą opuścić terytorium Góry. Hilo rozpromienił się na jego widok i zaprosił go skinieniem do stolika.

– Napijesz się z nami, Tanku-jen?

Tanku spojrział na stojące na stoliku butelki po piwie i kieliszki hoji.

– Myślę, że dość już wypiełeś, Kaul. Zdajesz sobie sprawę, że jesteś w Kikucie, prawda? Wracaj do domu.

Wsparł od niechcenia dłoń na rękojęści guan dao.

– Nie powinieneś tak mówić do członka rodziny – zaprotestował Hilo. – Masz się ożenić z moją młodszą siostrą, prawda? Zostaniemy braćmi. Mój dom będzie twoim domem, a twój dom... – zatoczył ręką krąg, wskazując wnętrze baru – moim.

Tanku zamrugał zaskoczony, po czym wsparł dłonie na blacie i zerknął na Maików.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał Hilo ściszym głosem.

– Tanku-jen, nie zdajesz sobie sprawy, w co się pakujesz. Moja siostra jest okropnie rozpieszczona. Dziadek przekazał jej dobrą wiadomość i przyszła do mnie zalana łzami. Powiedziała, że nie chce wyjść za bydlaka o świńskim ryju.

Myśl, że Shae mogłaby przyjść do niego ze swymi problemami, a tym bardziej ze łzami w oczach, bawiła Hilo tak mocno, że jego śmiech był absolutnie szczery. Gdyby Tanku miał bardzo dobry zmysł Postrzegania, być może potrafiłby zauważyć, że Hilo wciska mu kit, ale właściwie nie miało to znaczenia.

Twarz Tanku pociemniała na tę zniewagę. Mimo to postanowił zmienić ton. Odsunął na bok puste naczynia i usiadł przy stoliku. Żaden z Maików nie przesunął się, by zrobić dla niego więcej miejsca. Kehn łypnął tylko na niego mętным wzrokiem, a Tar wsparł głowę na blacie, używając własnego przedramienia jako poduszki. Tanku zmarszczył nos.

– Posłuchaj, Kaul, żaden z nas nie ma w tej sprawie wyboru, więc lepiej nie wdawajmy się w konflikt. Będę dobrze traktował twoją siostrę. Będzie miała pieniądze, piękny dom, co tylko zechce.

– To właśnie jej powiedziałem – odparł Hilo. – Zapewniłem ją, że wcale nie jesteś aż taki głupi i brzydki, jak mówią ludzie. Ale nadal nie była zadowolona, więc obiecałem, że porozmawiam z tobą i wyjaśnię ci kilka spraw. – Hilo zakręcił trunkiem w kieliszku, a potem pochylił się ku rozmówcy i uniósł palec. Zrobił chwilę przerwy, by zebrać myśli. – Przede wszystkim szczerze się cieszę, że od tej chwili ty będziesz się musiał z nią męczyć, a nie ja. Ale jeśli kiedyś ją uderzysz, zabiję cię. Po drugie, koniec z uganianiem się za dupami. Nie chcę, żeby moja siostra złapała jaką paskudną chorobę od twojego wędrującego kutasa albo żebyś ją traktował jak jedną ze swoich kurew. Po trzecie. – Wlepił mętne spojrzenie w twarz Tanku, która poczerwieniała z gniewu. – Nie pamiętam, co było trzecie. Tak czy inaczej, to wszystko, co mam do powiedzenia. Wypijmy za braterską więź, która nas połączy, ty chuju.

Ukradł Tarowi kieliszek i nalał hoji najpierw pięści z Góry, a potem sobie, rozlewając połowę płynu na lepki blat.

Tanku wstał.

– Jesteś pijany i gadasz od rzeczy – oznajmił z niesmakiem. – Zmiataj stąd, a kiedy wytrzeźwiejesz, wróc ze swoim uchem w pudełku.

Nikt z siedzących za stołem nie ruszył się z miejsca. Tanku złapał go za ramię i spróbował podnieść z krzesła.

Hilo wyszarpnął się mu.

– Nie dotykaj mnie, skurwysynu! – zawołał. W jego przekrwionych oczach zapłonął ogień, a z ust trysnęła ślina. – Wasza rodzina to kozojebcy z południa. Wydaje się wam, że możecie się równać z Kaulami? Manipulować moim

dziadkiem, żeby wyciągnąć od nas wszystko, czego chcecie? Nie jesteście godni związku z nami.

Kilkunastu gości obecnych w Czarnej Gęsi zerkało z niepokojem na stolik, przy którym siedziały zielone kości. Wielu z nich zabrało jedzenie oraz trunki i przeniosło się do stolików położonych dalej od miejsca konfrontacji. Barman odchrząknął.

– Czy mam kogoś wezwać, Tanku-jen?

– Nie zwracaj sobie głowy – odpowiedział Tanku, nie odwracając się. Był wyższy i masywniejszy od Hila, a teraz spoglądał z góry na przyszłego szwagra, jakby zamierzał zacisnąć ręce na jego szyi. – Słyszałem, że jesteś lekkomyślnym, aroganckim skurwysynkiem, ale nie spodziewałem się, że okażesz się aż taki żałosny. To wasza rodzina nie jest godna związku z naszą. Gdyby nie wasz dziadek, bylibyście gorsi od zwykłej hołoty.

Hilo wstał chwiejnie.

– Tanku Din, oferuję ci czystą klingę.

Pięść z Góry prychnął pogardliwie.

– Nie pojedynkuję się z pijanymi chłopakami.

– Tchórz – warknął Hilo. – Pijący szczyzny psojebca. Przyjmij czystą klingę albo rozwalę ten lokal, ty cykorze. – Spojrzał rywalowi prosto w oczy. – Nóż czy klinga?

Tanku podjął nieodwołalną decyzję. Jego oczy pociemniały z wściekłości, a w gęstej jadeitowej aurze zakipiała wola wysłania młodej, bezczelnej pięści z klanu Bez Szczytów do szpitala.

– Klinga – odpowiedział. – Natychmiast.

To nie było idealne rozwiązanie. Hilo miał nadzieję, że zdoła sprowokować Tanku do rzucenia wyzwania, co pozwoliłoby mu wybrać karambit. Mimo że pięść z Góry słynął z drażliwości, opierał się jego zaczepkom skuteczniej, niż się tego spodziewał. Hilo kopnął krzesła Maików.

– Chodźcie – rozkazał. – Będę się pojedynkował.

Dotarł do tylnych drzwi i wyszedł do zaułka za Czarną Gęsią.

Tanku Din podążył za nim, wyciągając własną broń. Dopiero w tej chwili, gdy Hilo rzeczywiście miał się z nim zmierzyć w walce, przyszło mu na myśl, że istnieje spora szansa, że zginie bądź zostanie kaleką, a zwycięski przeciwnik zedrze jadeit z jego ciała. Pojedynki czystej klingi były nieprzewidywalne, a nawet jeśli Tanku Din nie miał zamiaru go zabijać, mógł być wystarczająco wściekły, by zrobić to pod wpływem chwili. Pięść z Góry miał dwa razy więcej jadeitu niż Hilo – szeregi klejnotów w obu małżowinach usznych i ciężkie bransolety na rękach. Sposób jego poruszania się i pewność, z jaką trzymał guan dao, świadczyły, że jest przeciwnikiem, którego należy się bać.

Hilo nie rozmawiał o swym szalonym planie z nikim poza Kehnem i Tarem. Nie mógł już nic na to poradzić, ale pożałował, że nie powiedział choć słówka Wen. Nagle zadał sobie pytanie, czy jego ojciec powiedział coś na pożegnanie jemu i jego rodzeństwu, nim wyruszył na ostatnią walkę. Uniósł guan dao i podsunął je braciom Maik. Obaj splunęli na klingę, życząc mu szczęścia.

– Jeśli zginę, powiedzcie mojej rodzinie, że dobrze walczyłem – powiedział przeciwnikowi i co śmielszym gościom, którzy obserwowali ich z wylotu zaułka.

Walczący dotknęli czół klingami swych broni, oddając sobie honory. Hilo zaatakował natychmiast. Tanku biegle parował jego ciosy i odpowiadał precyzyjnymi, potężnymi cięciami, zasypując broń Hila serią wstrząsających klingą uderzeń. Już po trzech sekundach Hilo musiał z niechęcią przyznać, że przeciwnik włada guan dao lepiej od niego. Nie był tym zaskoczony, ale to jeszcze nie znaczyło, że łatwo mu było pogodzić się z tą myślą.

Cofając się przed Siłą rywala, Hilo zmienił postawę i spróbował stworzyć przed sobą bezpieczną przestrzeń, rzucając szybkie Odbijanie. Tanku wykręcił ciało i rozproszył energię prostopadłym kontr-Odbijaniem, nim wypuszczona przez Hila fala zdążyła się oddalić choć na długość wyciągniętej ręki od jego ciała. Hilo wciągnął w siebie jadeitową energię, by ponowić próbę, ale gdy tylko opuścił sztych guan dao, Tanku natychmiast wykorzystał okazję i ciął go w ramię. Hilo osłonił się Stalą na czas, by uniknąć straszliwej rany, ale ból był paskudny.

– Skończyło się pyskowanie, Kaul? – zapytał Tanku z drwiącym uśmiechem.

Hilo warknął i runął naprzód jak wściekły byk, tnąc i rąbiąc zawzięcie. Tanku osłaniał się Stalą, przesuwał ją i wyginając przy każdej akcji przeciwnika. Gdy energia odpływała już z Hila, a jego ramiona zaczynały drżeć, pięść z Góry rzucił się do ataku, z łatwością przebił się przez osłony młodszego rywala, a potem uderzył go w twarz gałką guan dao.

Hilo zachwiał się i osunął na ścianę. W jednej ręce kurczowo trzymał broń, a drugą trzymał się za zraniony bok. Oczy zalewały mu łzy, a z nosa płynęła krew. Zwymiotował i splunął.

– Hilo-jen! Poddaj się, zanim naprawdę zrobi ci krzywdę! – zawołał przekonująco Kehn.

– Lepiej posłuchaj swojego kumpla, Kaul – zasugerował Tanku, opuszczając broń.

Furia w jego jadeitowej aurze mieszała się z satysfakcją. Arogancki przeciwnik cierpiał wielki ból i przegrywał walkę z kretelem. Energię pięści z Góry przepajały spokój i pewność siebie. Mógł tak walczyć bez końca.

Hilo zaczerpnął z bólem tchu, a wraz z nim wciągnął w siebie jadeitową energię. Następnie przywołał Lekkość i skoczył na przeciwnika. Tanku rzucił Odbijanie, które cisnęło młodszą pięścią o ścianę. Hilo zdołał jakoś osłonić się Stalą. Osunął się na ulicę, nie wypuszczając z ręki broni.

– Naprawdę chcesz, żebym cię zabił? – zapytał Tanku.

Hilo kącikiem oka zauważył, że zaniepokojony Tar postąpił krok w jego stronę, ale Kehn go powstrzymał. Wszystko widział niewyraźnie. Potrzęsął głową, jakby chciał usunąć pajęczynę z oczu. Powiedział przedtem Maikom, że nie ma osobistych pretensji do Tanku. Teraz, gdy widział jego pełne pogardy myśli jasno wypisane na twarzy i w zarysie luźno zwisających ramion – „Jesteś tylko głupim dzieciakiem i zwyczajnym zbirzem” – łatwo mu było przywołać nienawiść.

Podniósł się z wysiłkiem i ruszył naprzód, uparty jak muł. Tanku westchnął. Odbił powolny atak wyprowadzony od dołu. Klingi zderzyły się z brzękiem. Gdy byli blisko, Hilo splunął w twarz przeciwnika. Pięść z Góry wzdrygnął się i Hilo, który przez całą dotychczasową walkę celowo ani razu nie użył Przenoszenia, cisnął włócznią niszczyielskiej energii. Nagły atak o wielkiej sile całkowicie zaskoczył Tanku. Cała jego Stal uniosła się ku piersi z zimną, trzeźwą precyzją, zamykając się niczym drzwi. Hilo przeniósł atak w dół i przeciął mu tętnicę udową.

Tanku otworzył szeroko oczy ze zdumienia i przerażenia. Krew spływała mu po nogach, lejąc się na asfalt. Bez chwili wahania czy opóźnienia Hilo złapał go lewą ręką za włosy i pociągnął całą swą Siłą do przodu, aż jego gardło spotkało się z unoszącym się ku górze ostrzem guan dao. Rozległ się straszliwy dźwięk.

Gdy ciało Tanku padło na asfalt, Hilo jeszcze przez kilka sekund stał nieruchomo, spowity mgiełką adrenaliny. Nie potrafił uwierzyć, że rzeczywiście to zrobił. Mała grupka gapiów z Czarnej Gęsi patrzyła na tę scenę, rozdziawiając usta. Po chwili odzyskał równowagę. Uniósł guan dao i wytarł je o rękaw.

– Moja klinga jest czysta.

Czysta czy nie, musiał jak najszybciej zwiewać na terytorium klanu Bez Szczytów. Barman już wrócił do budynku. Z pewnością zawiadomi członków Góry, którzy zjawią się tu za parę minut. Raczej nie mógł liczyć na pomoc Maików. Obaj byli kompletnie pijani, bo od paru godzin ukradkiem wypijali za Hila jego alkohol. Sok z cytryny sprawił, że oczy Hila zaszyły krwią, zjadł też całą ostrą paprykę, by zalewał go pot, a akcja serca przyśpieszyła. Dlatego gdy zjawiał się Tanku, wyglądał dokładnie tak, jak spodziewał się tego przeciwnik –

pijany, lekkomyślny młodzieniec, niegodny prawdziwej walki. Kolejne momenty Hilo przypominał sobie później niczym urywki chaotycznego snu. Pośpiesznie zabrał jadeit Tanku, zaprowadził ich trzech do samochodu i ruszył

naprzód w szalonym tempie. Jedną ręką trzymał kierownicę, a drugą tamował krwotoki za pomocą fragmentów tkaniny, które Tar odrywał sobie od koszuli i podawał mu z tylnego siedzenia. Zielen, jaką zdobył dziś Hilo, sprawiła, że miał najwięcej jadeitu ze wszystkich młodszych rangą pięści w całym Janloonie.

Kaul Sen wpadł w szal. Zwymyślał najmłodszego wnuka od nieodpowiedzialnych szaleńców i wychłostał go tak mocno, że Hilo przez trzy dni nie wstawał z łóżka. Pomimo bólu był raczej zadowolony z siebie. Dziadek mógł go chłostać, ile chciał, ale nie zrealizuje już swoich planów. Nie przywróci życia Tanku Dinowi.

Jedyny problem – jak rozsądnie przypomniał mu Kehn – polegał na tym, że zrobił sobie śmiertelnego wroga z Tanku Ushijana, ojca zabitej pięści i rogu klanu Góra. Nawet jeśli była to czysta klinga, Tanku Ushi z pewnością nie wybaczy zamordowania jedyne go syna i w przyszłości znajdzie jakiś pretekst, który pozwoli mu zabić winnego.

Hilo poczuł głęboką ulgę, gdy półtora roku później Ayt Yugontin zmarł na udar, a jego przybrana córka, Ayt Madashi, przyprawiła wszystkich o szok, natychmiast zabijając Tanku Ushijana i jego najbardziej zaufane pięści. Nie wiedział zbyt wiele o Ayt Madzie, ale nieświadomie wyświadczyła mu ona wielką przysługę, eliminując człowieka, którego uważał za swego najbardziej niebezpiecznego wroga.

Żona Kaul Sena już wtedy nie żyła, a Shae pokłóciła się z rodziną i uciekła do Espenii. Po kilku miesiącach znużony i przygnębiony Płomień Kekonu ustąpił wreszcie ze stanowiska. Przed upływem roku Lan mianował brata rogiem. Hilo miał dopiero dwadzieścia pięć lat i był najmłodszym człowiekiem piastującym tę funkcję, odkąd ludzie sięgali pamięcią.

Czasami, gdy musiał podjąć trudne decyzje, wracał myślami do tego pojedynku, który pozwolił mu zdobyć mnóstwo jadeitu i gwałtownie poprawił jego reputację. To przypominało mu, że niekiedy najbardziej oczywistym rozwiązaniem było podjęcie najmniej rozsądnych kroków.

* * *

Dwie zielone kości z Góry zaprowadziły Hila do Rezydencji Ayt. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek odwiedzi to miejsce, i przyglądał się z ciekawością bogato urządzonemu holowi z jego mozaiką podłogową, antyczną bronią w gablotach oraz pięknymi pejzazami na ścianach. Tak właśnie jego zdaniem powinien wyglądać dom bogatej, potężnej, niezameężnej i bezdzietnej kobiety – dostojny i dobrze zaplanowany, wszystko na właściwym miejscu, ale całkowity brak ludzkiego ciepła.

Dwie pięści kazały mu zaczekać. Po chwili Postrzegł zbliżanie się od dawna znienawidzonej gęstej, czerwonej aury. Dwaj inni mężczyźni otworzyli dwuskrzydłowe suwane drzwi i Ayt Madashi weszła do środka z ogrodu.

Hilo zerknął w lewo i w prawo. Dwie kolejne zielone kości wyszły bezgłośnie z bocznych korytarzy, zwiększając liczbę osobistych strażników Ayt Mady obecnych w pokoju do sześciu.

– To lekka przesada – zauważył z ironią. Przybył tu całkowicie bezbronny. Nie miał karambita, guan dao ani pistoletu.

– Doświadczenie nauczyło mnie, że żadne środki ostrożności nie są przesadne, gdy mam do czynienia z tobą, Kaul Hiloshudon.

Ayt zrobiła się znacznie bardziej podejrzliwa niż w dawnych czasach. Hilo pamiętał, że kiedyś pojawiała się w różnych miejscach w ogóle bez strażników, jakby chciała publicznie zademonstrować, że wierzy w swe jadeitowe umiejętności. Teraz już tego nie robiła.

– Chcę porozmawiać z tobą w cztery oczy – oznajmił Hilo. – Jak filar z filarem.

Spojrzała na niego z głębokim niedowierzaniem.

Rozpostarł dłonie.

– Nie przyszedłem tu sam po to, żeby popełnić samobójstwo. Sądzę też, że wolałabyś, żeby to, co ci powiem, pozostało w tajemnicy.

Ayt zacisnęła usta w wąską linię.

– Można by pomyśleć, że twoja arogancja w końcu przestanie mnie zaskakiwać. Zaczekajcie na zewnątrz – dodała, zwracając się do swoich pięści.

Zielone kości wycofały się niechętnie z pokoju. Ich aury wypełniała nuta podejrzliwości. Hilo nie wątpił, że pozostały w pobliżu, gotowe w mgnieniu oka tu wrócić, gdyby Postrzegły, że choć kichnął agresywnie.

Filar Góry skrzyżowała ramiona, czekając cierpliwie. Miała na sobie szarą wełnianą suknię i długą, czarną chustę, zasłaniającą starą bliznę na jej szyi. Ayt nigdy nie ukrywała lewego ucha, którego część straciła w pojedynku z Shae, ale od czasu zamachu bombowego starannie zasłaniała pamiątkę po sekundzie nieostrożności, która omal nie kosztowała jej życia.

Hilo natychmiast przeszedł do rzeczy.

– Shae porwali *barukani* z gangu Faltów. Pojmali ją, moją żonę i dwie pięści podczas odwiedzin w Leyolo.

Ayt nie sprawiała wrażenia zaskoczonej. Klany obserwowały wzajemnie swoje poczynania od bardzo dawna i Góra z pewnością wiedziała, że coś w klanie Bez Szczytów jest nie w porządku.

– Nie mam z tym nic wspólnego – oznajmiła Ayt. – Twoja prognostyczka podjęła ryzyko, wybierając się do Szotaru i narażając na wrogość *barukanów*.

Czego się spodziewałeś? Słyszałam jednak, że twoja żona jest już bezpieczna w Janloonie. Nie wątpię, że drogo zapłaciłeś za jej powrót, ale z pewnością masz więcej jadeitu i pieniędzy, które możesz zaoferować Faltom w zamian za zwolnienie prognostyczki.

– Ich żądania to podstęp – odpowiedział Hilo. – Wypuścili Wen, żebym uwierzył w ich szczerłość, to wszystko. Zabili już jednego z moich pięści. Gdy dostaną wszystko, czego pragną, nie będą mieli powodu, by wypuścić Shae żywą.

– Dlatego że i tak zabijesz ich wszystkich, bez względu na to, co zrobią – zauważyła Ayt. – Nie krytykuję cię. Na twoim miejscu postąpiłabym tak samo.

Hilo ruszył powoli ku starej rywalce.

– Muszę zadać sobie pytanie, dlaczego ci barukańscy świniójebcy podjęli tak wielkie ryzyko? – odezwał się z namysłem w głosie. – Czemu nie boją się tego, co mogą im zrobić? Muszą mieć jakiś powód, by wierzyć, że otrzymają ochronę. Tym powodem z pewnością jesteś ty, Ayt-jen.

– Już ci mówiłam, że nie mam z tym nic wspólnego – odpowiedziała z niecierpliwością Ayt. Jej spojrzenie ostrzegło Hila, żeby się nie zbliżał. – Możesz Postrzec, że nie kłamię.

– Mogłaś tego nie zaplanować ani nie wydać rozkazu, ale nadal to ty jesteś powodem. – Hilo zatrzymał się nagle. – Faltowie pracują dla twoich sojuszników, Matyów, ale podejrzewam, że mają już dość podrzędnej pozycji i chcieliby zdobyć wyższą. Jeśli wyciągną z Shae użyteczne informacje, które pomogą wszystkim *barukanom*, mogą liczyć na to, że Matyowie zapewnią im bezpieczeństwo. – Zacisnął mocno zęby, zmieniając zarys żuchwy. – Przyślą ci głowę Shae w skrzynce, licząc na to, że ucieszysz się z tego prezentu i również będziesz ich ochraniać. Kiedy dotrę do sedna sprawy, nadal okazuje się, że to ty jesteś powodem, dla którego moja siostra za kilka dni nie będzie żyła.

Ayt zachichotała cicho, jakby rozwiązała prostą zagadkę.

– Przybyłeś tu, by mi powiedzieć, że jeśli twoja siostra zginie z rąk jakichś przypadkowych *barukanów* z Leyolo, obciążysz winą mnie i wypowiesz wojnę Górze? – zapytała.

– Nie – zaprzeczył Hilo. – Chcę cię prosić o pomoc.

Po raz pierwszy, odkąd ją znał, Ayt Mada była zbyt zaskoczona, by udzielić odpowiedzi. Gapiła się na niego przez długą chwilę.

– Czemu, na niebo i ziemię, miałabym pomagać człowiekowi, który stał spokojnie, kiedy wbito mi nóż w szyję, czekając na moją śmierć? – wycedziła celowo ochryplym głosem, jakby wyciągała z pochwy zardzewiały nóż.

– Na moim miejscu postąpiłabyś identycznie – zauważył Hilo.

– Powinnam po prostu cię zabić – oznajmiła Ayt. – Po twojej śmierci *barukani* wykończyliby Shae i to byłby koniec Kaulów. Długa i okrutna wojna między klanami zakończyłaby się zwycięstwem Góry.

– Mogłabyś to zrobić – przyznał Hilo. – A przynajmniej mogłabyś spróbować. Powiedzmy sobie szczerze, Ayt-jen, oboje nie jesteśmy już takimi wojownikami jak kiedyś, ale nadal moglibyśmy stoczyć niezłą walkę. Jestem w twoim domu, nie mam broni, i otaczają mnie twoje pięści oraz palce, więc nie miałbym zbyt wielkich szans, ale jestem przekonany, że mógłbym narobić trochę szkód, zanimbym zginął.

Głos Hila nie stał się głośniejszy ani cichszy, ale jego ton zaostrzył się nagle.

– Gdybym nie wyszedł z twojego domu, mój kuzyn Anden, który czeka na zewnątrz w samochodzie, pojedzie stąd prosto do redakcji „Dziennika Janloońskiego” i opowie przed kamerami o wszystkim, co się wydarzyło w dzień zamachu bombowego. Cały kraj się dowie, że Kaul Shaelinsan ocaliła ci życie, kiedy nikt nie chciał tego zrobić, a ty odpłaciłaś się jej, zabijając mnie i pozwalając, by zginęła w obcym kraju z rąk barukańskiej hołoty.

– Ach, prasa skrytykowałaby mnie i potępiła – odparła z pogardą w głosie Ayt. – Obrzuciliby mnie obelgami i mój obraz w mediach ucierpiałby na pewien czas. Wszystko to już kiedyś przeżyłam. To była niewielka cena za satysfakcję, jaką sprawiłaby mi twoja śmierć.

– Nawet teraz, gdy ludzie mogą się zwrócić do rodziny Kobenów? – zapytał cicho Hilo.

Z twarzy Ayt zniknęła tylko bardzo niewielka część pogardliwej pewności siebie, ale jej jadeitowa aura powiększyła się i nabrała ostrości – dowód na to, że w słowach Hila była przynajmniej część prawdy. Wśród zielonych kości powszechnie wiadano, że Ayt Mada i rodzina jej adoptowanego bratanka nie zawsze się ze sobą zgadzają. Obecnie radczyni Koben Ti Bett popierała w Radzie Książęcej projekt ustawy zabraniającej dalszej emigracji z Szotaru, mimo że jej filar zachowywała milczenie w tej sprawie, nie chcąc narazić na niebezpieczeństwo sojuszu Góry z Matyami.

Czasy się zmieniły. Ayt Madashi przekroczyła sześćdziesiątkę i nie uważano jej już za niezastąpioną. Jej następcą był silny, popularny trzydziestoparoletni mężczyzna i jeśli chciała pozostać u władzy, potrzebowała niezachwianego zaufania swego klanu. Będzie zmuszona zawierać kompromisy, jakich we wcześniejszych latach w ogóle nie brałaby pod uwagę, by opóźnić chwilę nieuniknionego przejścia władzy przez Ayt Ata.

Zupełnie jak dziadek, pomyślał Hilo.

Niemniej Hilo potrafił w oczach Ayt mroczną kalkulację, którą świetnie rozumiał. Być może warto było podjąć nawet największe ryzyko, żeby

w końcu zwyciężyć.

– Czy po wszystkich tych latach naprawdę wierzysz, że jest coś, do czego się nie posunę, jeśli okaże się to konieczne?

– Nie wierzę – przyznał Hilo. – Po cichu spodziewałem się, że zabijesz mnie, gdy tylko się tu zjawię. Ale tego nie zrobiłaś, co świadczy, że moje podejrzenia były trafne. – Skierował na nią spokojne, szczere spojrzenie. – Mimo wszystko nie jesteś maszyną. Choć bardzo byś chciała zobaczyć, jak karmię robaki, poczułabyś coś, gdyby Faltowie zamęczyli Shae na śmierć, żeby zdobyć informacje, które następnie sprzedadzą tobie. Nie wyobrażam sobie człowieka, który byłby gotowy stanąć przed obliczem bogów z takim ciężarem na duszy. A wszyscy jesteśmy ludźmi, nawet ty.

Zauważył niemal niedostrzegalną zmianę w pozycji jej ciała, lekkie obronne zeszywnienie barków i szyi, cień wątpliwości.

– Masz w Szotarze znacznie więcej ludzi niż ja – ciągnął ściszym głosem. – Masz władzę nad Matyami. Możesz interweniować. Możesz potępić Faltów. Jeśli ludzie, którzy porwali Shae, uświadomią sobie, że nie mają obrońców i wykończymy ich jak zwierzęta, ich sytuacja zmieni się diametralnie.

Ayt podeszła do okna w kilku długich krokach i wyjrzała na swój ogród. Nad altaną pochylały się wierzby.

– Nie panuję nad Matyami – oznajmiła odwrócona do niego plecami. – Sprzymierzyłam się z nimi, gdy było to korzystne, ale oni nie są klanem. Nie są prawdziwymi Kekończykami. Są *barukanami*. Mogą zdecydować, że nie obchodzi ich, co sądzę o ich poczynaniach, i opowiedzieć się po stronie Faltów.

Hilo podszedł do niej, zatrzymując się w miejscu, w którym ich jadeitowe aury zaczęły się ocierać o siebie jak granitowe masy skalne w punkcie uskoku.

– Ayt Madashi, którą znałem, nie przyjmowała odmowy od nikogo. Ci, którzy stali jej na drodze... – rozpostarł ręce, wskazując na siebie – musieli być gotowi na śmierć. Dlatego jesteś jedyną osobą na świecie, która w tej chwili jest w stanie mi pomóc. Bogowie zawsze mieli okrutne poczucie humoru.

Z ust Ayt wyrwał się cichy, wzgardliwy śmieszek. Dotknęła chusty, którą miała na szyi, a potem zwróciła się w jego stronę.

– W tym punkcie zgadzam się z tobą całkowicie, Kaul-jen.

– Czy po wszystkich tych latach naprawdę wierzysz, że jest coś, do czego się nie posunę, jeśli okaże się to konieczne? – zapytał, powtarzając jej słowa.

Z posępną godnością człowieka stojącego przed katem opadł na kolana przed rywalką, którą próbował zniszczyć od kilkadziesiąt lat.

– Pomóż mi odnaleźć siostrę i sprowadzić ją żywą do Janloonu. Twój dług będzie spłacony. Życie za życie. Cokolwiek wydarzy się między nami w przyszłości, uznamy to za uczciwe. – Hilo splótł dłonie i dotknął nimi czoła,

oddając honory. – Szotar będzie należał wyłącznie do ciebie. Wycofam z tego kraju klan Bez Szczytów i zostawię go całkowicie Górze, dopóki pozostanę filarem. – Złączył dłonie i dotknął nimi czoła, oddając honory. – Przysięgam ci, że tak będzie, Ayt Madashi. Na mój honor, moje życie i mój jadeit.

ROZDZIAŁ 48

DŁUGI I STRATY

Porywacze wyciągnęli Shae z wanny pełnej jadeitu i położyli na linoleum pokrywającym podłogę łazienki. Zimna, gładka powierzchnia, którą czuła pod policzkiem, przyniosła jej leciutką, złudną ulgę, jak kostka lodu w piekle. W żyłę w jej ręce wbiła się igła i po krótkiej chwili ciało kobiety wypełniło chłodne, błogosławione płynne zbawienie. SN2 dotarło do jej mózgu. Rzecz jasna, zawsze było go za mało. Niewielkie dawki tylko na moment łagodziły najgorsze fizyczne cierpienia, pozwalając zachować jasność umysłu i chroniąc przed upadkiem w otchłań obłędu śwędziawki. Niski szef *barukanów*, noszący zielony wisiołek w kształcie czaszki, pochylił się nad Shae i wyjął knebel tłumiący jej krzyki. Nigdy nie nienawidziła nikogo na świecie bardziej niż jego. Ani Ayt Mady, ani Zapunya, ani nikogo.

– Podaj mi nazwiska – zażądał. – Nazwiska waszych białych szczurów.

– Powiedziałam już wam wszystko, co wiem – wychrypiała.

Nawet język miała gorący. Pragnęła miotać się na podłodze, drapać się po twarzy – wszystko, by tylko złagodzić gorąco kipiące pod jej skórą. Kiedy była w wannie, czuła przynajmniej niemal transcendentny obłęd jadeitowej energii. Gdy leżała na podłodze, zakuta w łańcuchy, nie była w stanie nawet unieść głowy.

– Wymieniłaś tylko paru gliniarzy i polityków. O wszystkich już wiedzieliśmy, że siedzą u was w kieszeni. Musisz się spisać znacznie lepiej – oznajmił z żalem jej dręczyciel.

Shae nie odpowiedziała. *Barukan* westchnął i skinął na noszących ołowiane rękawice mężczyzn, każąc im zanieść ją z powrotem do wanny. Shae wygięła ciało.

– Proszę, zaczekajcie! Powiem wam, jeśli dacie mu trochę błysku.

Wskazała Duda. Pięść umierał. Już przedtem został ranny w głowę i nie był w stanie oprzeć się letalnej dawce jadeitu. Kiedy była w wannie, choć targały nią konwulsje, Postrzegą, że jego serce od czasu do czasu przyśpieszało gwałtownie, by po chwili niebezpiecznie spowolnić. Była zmuszona obserwować, jak miotał się i krzyczał, jak wymiotował, ale kiedy atak minął, zapadł w niemal śmiertelny bezruch, ledwie oddychając.

– Ten skurwysyn skrzył kark mojemu kumpłowi. – Szef *barukanów* trącił Duda na próbę. Kekończyk się nie poruszył. – Jeśli chcesz, żebym marnował na niego drogi błysk, musisz mi dać coś naprawdę cennego.

I tak oboje zginą. Miała już na rękach krew wielu ofiar, zatem jakie znaczenie mogło mieć kilka dodatkowych?

– Drugi kapitan Matyów – zaczęła.

– Hannito? – przerwał jej jeden z mężczyzn. – Nie wierzę w to.

– Nie on – zaprzeczyła. – Jego młodszy brat, dostawca.

Któryś z obecnych zaklął.

– Skurwysyn już nie żyje.

Szef *barukanów* pochylił się nad nią z zainteresowaniem.

– Czy to prawda? Kto jeszcze?

– Wiesz, że nie kłamię – odparła ochrypłym głosem Shae. – Podaj Dudowi błysk.

Barukan spojrział na jednego ze swoich podkomendnych i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Czemu by nie? I tak umrze”. Jego zastępca o mięsistych wargach wyjął strzykawkę i podał jej zawartość Dudowi. Shae nie miała pojęcia, czy pięści może jeszcze cokolwiek pomóc, pomyślała jednak, że przynajmniej złagodzi to jego cierpienia. Kilka sekund po tym, jak błysk wnikał do krwiobiegu, mężczyzna szarpnął się nagle i zaczął oddychać bardziej miarowo. To przynajmniej była oznaka życia.

– Inne nazwiska – zażądał *barukan*.

Shae zdradziła kolejnego białego szczura – żonę szefa gangu. Nie potrafiła się nawet zdobyć na to, by zastanowić się nad tym, jaki los czeka nieszczęsną kobietę. Gdy nie chciała już wykrztusić dalszych nazwisk, włożyli ją z powrotem do wanny. Po krótkim czasie wyjęli ją znowu, podali jej kolejną dawkę SN2 i wrócili do zadawania pytań. Cała procedura stała się dość przewidywalna. Jak wolno mogła im zdradzać kolejne informacje w zamian za SN2, by zachować życie i zdrowe zmysły?

Gdy tylko znalazła się w wannie, pragnęła dać za wygraną. Tonąła w jadeitowej energii, jak można by tonąć we własnej krwi. Tego wrażenia nie sposób było opisać. Każda jej cząsteczka kipiała z gorąca, a jedynym sposobem, w jaki mógł to zinterpretować jej prymitywny układ nerwowy, była swędziawka.

Swędziały ją podeszwy stóp i powierzchnie dłoni, wewnętrzne strony nóg i rąk, owłosiona skóra głowy, jama ustna i gałki oczne. Zrozumiała, dlaczego ta choroba doprowadza ludzi do obłądu, dlaczego okaleczają się albo rzucają do morza. Zapominała, kim jest, i pragnęła jedynie śmierci.

Ale kiedy podawali jej błysk, stawała się sobą na chwilę wystarczająco długą, by pomyśleć: „Muszę dać czas Hilowi”. Jej brat ich znajdzie. Nie da się nabrać podstępom *barukanów*. Jeśli istniało coś, w co wierzyła – poza bogami – to z pewnością w spryt i mściwość Hila. Każdą chwilę, gdy była w stanie myśleć jasno, wykorzystywała na gorączkowe powtarzanie modlitwy: „Yatto, Ojcie Wszechrzeczy, pomóż mi, pomóż mojemu bratu”.

Musiała żyć. Nie mogła zostawić Woonę, by sam wychowywał Cię. Nie zawiedzie swej łagodnej córki, jak rodzice będący zielonymi kośćmi bardzo często zawodzili swe dzieci, jak ojciec zawiódł ją, nim jeszcze się urodziła. Jak Lan zawiódł Nika, a matka Andena swego syna. Nie umrze. Nie utopi się we krwi i w jadeicie.

– Co to jest Umowa Eumańska? Powiedz, co o niej wiesz.

To było coś nowego. Nie słyszała przedtem tego pytania, a przynajmniej nie sądziła, by je słyszała, choć coraz trudniej było jej zapamiętać takie szczegóły. W pewnej chwili przenieśli ją do salonu i cisnęli na fotel.

Jej kończyny nadal były mocno związane. Z pewnością była noc, bo z za żaluzji nie sączyła się nawet odrobina światła. Widziała przed sobą wypaczone, unoszące się w powietrzu twarze. Ich usta poruszały się w zwolnionym tempie, jak u uśmiechających się demonów, topiły się niczym gorący wosk, groteskowe i abstrakcyjne. Ktoś uderzył ją w twarz. Jej głowa zatoczyła się do tyłu, a język wysunął się na zewnątrz.

– Dajcie jej trochę więcej – rozkazał szef.

Więcej błysku. Przed dziesięciu laty to, co jej robili, dawno by ją zabiło, ale hiszpańska medycyna czyniła postępy i znacznie trudniej było umrzeć z powodu przedawkowania SN2. Pomyślała, że to bardzo zabawne i zaczęła się śmiać.

– Szalona suka – warknął *barukan*.

Oblali ją wodą.

– Co to jest Umowa Eumańska? – zapytał raz jeszcze mężczyzna, gdy przestała prychać. – Na czym polega wielki plan Góry? Wiemy, że to ma coś wspólnego z Matyami.

– Nie mam pojęcia, o czym mówicie – wybełkotała Shae.

Małeńka nadal funkcjonująca część jej mózgu uaktywniła się nieco. O czym mówili?

– Matyowie przekazują pieniądze Górze – ciągnął z niecierpliwością szef *barukanów*, mówiąc powoli, jakby rozmawiał z debilką. – Co otrzymują

w zamian? Jesteś jebaną prognostyczką klanu Bez Szczytów i wiesz, co kombinuje Ayt, prawda?

Czyżby? Wiedziała, że to, co mówią, musi mieć coś wspólnego z... właściwie z czym? Czymś, co kiedyś wydawało się oczywiste i ważne, ale teraz znalazło się poza jej zasięgiem.

– Nie wiem. – Łzy spłynęły jej po twarzy. Była straszliwie zmęczona. – Nie wiem. Nie wiem. Kurwa, nie wiem.

– Wrzućcie ją z powrotem do wanny – rozkazał *barukan* ze znużeniem i gniewem.

Ręce znowu uniosły ją w górę. Resztki siły woli Shae wylały się z niej błyskawicznie, jak woda z pękniętego naczynia.

– Nie – łkała. – Nie, nie, nie, nie, nie, nie...

Gdzieś w domu zadzwonił telefon.

* * *

W pokoju na drugim piętrze odległego o czterysta metrów apartamentowca Vin Solunu ustawił swój karabin snajperski Fullerton TAC-50 w sporej odległości od okna i zamknął oczy, żeby dobrze wycelować. Okna w mieszkaniu, które było jego celem, całkowicie zasłonięto. Od czasu do czasu ktoś wyglądał przez szczeliny żaluzji. Wszystkie pozostałe okna zabezpieczono czarnym plastikiem. To była granica zasięgu jego Postrzegania, był więc całkowicie pewien, że nikt w mieszkaniu nie zdoła Postrzec jego. Nigdy jednak nie strzelał z tak wielkiej odległości, posługując się wyłącznie Postrzeganiem, i nigdy stawka nie była aż tak wysoka.

– Vin, co się dzieje w domu? – zabrzmiał w jego słuchawkach głos Lotta. Róg czekał w samochodzie na ulicy w towarzystwie kilku innych pięści. Byli gotowi zaatakować pod osłoną ciemności.

– Jest tam sześcioro ludzi – odpowiedział przez mikrofon nadajnika Vin. – Dwoje się nie porusza. Myślę, że pozostała czwórka to te zaszczane barukańskie szczury, których szukamy. Jest jeszcze trzech innych, którzy stoją albo chodzą na zewnątrz jako strażnicy.

Vin usłyszał dobiegający z wnętrza mieszkania głos zielonej kości z Góry.

– Naprawdę Postrzega to wszystko z takiej odległości? Ja nie Postrzegam ni chuja.

– Cicho, daj mu się skupić – odpowiedział Kenjo.

Vina nieco niepokoiła świadomość, że jeden z dwóch ludzi osłaniających jego pozycję jest członkiem Góry, a on nawet nie zna jego nazwiska, miał jednak w tej chwili na głowie większe zmartwienia.

Filar zawarł umowę z Ayt Madą, która z kolei dobiła targu z Matyami, przekonując ich, by zdradzili porywaczy z gangu Faltów. Matyowie szybko sporządzili listę wszystkich znanych kryjówek Faltów w Leyolo, położonych w promieniu godziny jazdy od miejsca, w którym porwano Shae i Wen. Gdy prywatny samolot wiozący róg oraz dwanaście innych starannie wybranych zielonych kości z klanu Bez Szczytów wylądował w Leyolo, lista już na nich czekała, a razem z nią kontyngent zielonych kości z Góry, które miały im pomóc w poszukiwaniach. Najpierw sprawdzono wszystkie siedem wskazanych adresów, przejeżdżając obok nich samochodami w bezpiecznej odległości. Vin wątpił, by jakikolwiek keko-szotarski *barukan* potrafił postrzegać na odległość większą niż długość boiska do piłki sztafetowej, z pewnością jednak wystawili wartowników wokół miejsca, w którym przebywali. Tato, której talent do Postrzegania ustępował jedynie talentowi Vina, miała wrażenie, że zauważyła prognostyczkę w jednym ze wskazanych mieszkań. Vin potwierdził, że to zapewne rzeczywiście aura Kaul Shae, choć rozjarzała się nieprzewidywalnie i nie miał stuprocentowej pewności. Zrobiono zdjęcia z dystansu i przesłano je faksem do Janloonu. Wen nie widziała budynku z zewnątrz, ale potrafiła opisać wielkość i rozkład piętra na podstawie tego, co udało się jej zapamiętać. Jej opis zgadzał się z wyglądem domu, który obecnie obserwował Vin.

Wszystkie dowody potwierdzały, że znaleźli się we właściwym miejscu. Vin zamknął oczy, trzymając palec na spuście. Oddychał tak płytko i miarowo, jak to tylko możliwe. Wyczuwał wewnątrz domu kilka odrębnych jadeitowych aur, wibrujących silnymi emocjami – strachem, bólem, gniewem i niecierpliwością. Z tej odległości wyglądały jak barwne płomienie świec, tańczące w obszarze jego Postrzegania. Na szczęście ściany składały się wyłącznie ze stiuku, płyt kartonowo-gipsowych i izolacji cieplnej, nie było żadnych cegieł ani betonu. Nie potrafił jednak określić grubości szyb i nie wiedział, czy po drodze nie ma mebli, które mogłyby zatrzymać pocisk bądź zmienić trajektorię jego lotu. Najlepiej by było, gdyby jego cel znalazł się tuż obok ściany albo okna. Trzeba też będzie perfekcyjnie wymierzyć czas całej operacji. Gdy tylko padnie pierwszy strzał, porywacze zorientują się, że ich odkryto. Zabiją więźniów, chyba że Lott i jego zielone kości zjawią się przed upływem kilku sekund.

Ręce Vina nie drżały, ale po jego czole i zamkniętych powiekach spływał pot. Oślonił się przed energią wszystkich innych żywych istot wokół niego, zawężając Postrzeganie, jakby uczynił ze swoich zmysłów bardzo długi i wąski tunel. Nie spierdol tego, pomyślał.

Usłyszał w słuchawkach głos zwracającego się do wszystkich rogu.

– Zaczynamy na sygnał Vina.

– Coś się zmieniło – wyszeptał Vin.

Jedna z aur była już tak słaba, że świadczyło to o zbliżającej się śmierci. Druga była niewiele lepsza, mrugała i rozbłyskiwała co chwila jak bliska przepalenia żarówka. Cztery pozostałe, już przedtem wibrujące od silnego stresu, nagle zapłonęły ekstremalnym podnieceniem i wrogością. Ich posiadacze krążyli po całym pomieszczeniu, wchodząc w wąskie pole strzału Vina i wychodząc z niego. Pięść skierował celownik na najsilniejszą aurę, jaką Postrzegał. Gdy dotknął spustu, zauważył, że energia celu pociemniała od żądy mordy.

– Teraz! – wysyczał do mikrofonu. Wypuścił powietrze z płuc, wstrzymał oddech i wystrzelił.

* * *

Kiedy zabrzmiał dzwonek, *barukani* byli zaskoczeni. Popatrzyli na siebie nawzajem, jakby chcieli zapytać, który z nich spodziewał się telefonu.

– Kto, kurwa...

Mężczyzna z jadeitowym kółkiem w nosie przeszedł do drugiego pokoju i podniósł słuchawkę. Reszta czekała. Zostawili związaną, dyszącą ciężko Shae na fotelu w salonie, gdzie ją przesłuchiwali. Po chwili rozmowa się skończyła i mężczyzna z kółkiem w nosie wrócił do pokoju. Z jego twarzy odpłynęła cała krew.

– To był Choyulo – oznajmił pozbawionym wyrazu głosem. – Powiedział, że Matyowie zwrócili się przeciwko nam i musimy wypuścić te zielone kości, a potem spieprzać.

Zapadła pełna zdumienia cisza.

– Kurwa, wydaje mu się, że to jakaś pierdolona gra wideo? – wybuchnął wreszcie niski szef grupy. – Że możemy nacisnąć klawisz „Usuń” i zacząć od początku? Mówił, że Matyowie zapewnią nam ochronę, jeśli będziemy mieli kłopoty z Janloonem. A teraz mówi, że chcą nas zrobić w chuj? Po tym, jak straciliśmy czterech ludzi? Co to ma, kurwa, znaczyć?

Barukani wdali się w gorącą dysputę, przerywaną przekleństwami i okrzykami po szotarsku. Shae resztką sił starała się cokolwiek zrozumieć.

– Jeśli Matyowie sprzedali nas klanowi Bez Szczytów, jesteśmy już trupami. A nawet gorzej. – Młody mężczyzna z tatuażem na szyi przełknął głośno ślinę. – Lepiej zrobmy, jak mówił Choyulo.

– Jebać Choyula! – zawołał szef grupy, wytrzeszczając oczy. – I jebać Matyów! Mam już dość słuchania tych oortokańskich mięczaków. Żaden z nich nie potrafiłby przeprowadzić takiej akcji. Zwrócimy się wprost do Ayt Mady i do Góry.

– A co, jeśli Ayt też jest z nimi? Jeśli sprzeda nas Kaulom? – zapytał mężczyzna z kółkiem w nosie, zerkając nerwowo na wszystkie strony.

– Nie zrobi tego. Ona nienawidzi Kaulów.

Niski *barukan* podszedł do zamkniętego okna, rozchylił aluminiowe żaluzje i przymrużył powieki, by wyrzeć przez wąziutką szparkę na pustą, skąpaną w blasku księżycy ulicę. Upewniwszy się, że wartownicy nadal są na miejscu, odwrócił się i przeszył swoich ludzi srogim spojrzeniem.

– Wszyscy jesteśmy w tym razem. Lepiej niech nikt nie stchórzy, jasne? Spakujcie forszę i jadeit, a potem zabijcie tego gościa w wannie, jeśli jeszcze nie zdechł. Najpierw musimy zwać z miasta. Potem będziemy się targować z Matyami.

– A co z nią? – zapytał młody mężczyzna z tatuażem, wskazując Shae.

Niski *barukan* spojrzał na nią. Shae widziała bezlitosną kalkulację w jego oczach. Nie mógł liczyć na zmiłowanie, nawet gdyby ją wypuścił. W tej chwili byłaby dla nich tylko ciężarem. Spowalniałaby ich.

– Nie wyciągnęliśmy z tej suki wszystkiego, ale to wystarczy – zdecydował i wyciągnął nóż, by poderznąć jej gardło.

Ciało Shae poruszyło się niezależnie od jej woli. W ostatniej, instynktownej próbie ratowania życia rzuciło się naprzód jak ryba, która miota się na pokładzie kutra rybackiego, szukając choć najmniejszej szansy dotarcia do wody i uratowania życia. Padła na podłogę, wiedząc, że te desperackie wysiłki na nic się nie zdadzą, że to po prostu odruchowa reakcja złapanego w pułapkę zwierzęcia. Odwróciła się na bok, unosząc spojrzenie pełne nienawiści. Mężczyzna z nożem uśmiechnął się z zadowoleniem i zrobił krok w jej stronę. Raptem szarpnął się i zachwiał, jakby uderzono go w plecy. Nóż wysunął mu się z palców i upadł na dywan. Shae śledziła wzrokiem jego pustą dłoń unoszącą się niepewnie do piersi. Zauważyła dwie rany wylotowe, które pojawiły się niespodziewanie niczym para ciemniejących szybko kwiatów na przodzie jego czarnej koszulki.

Ciało mężczyzny upadło z łoskotem na podłogę. Pozostali Faltowie gapili się na to z niedowierzaniem. Potem wpadli w panikę. Wyciągnęli pistolety i celowali z nich w rozbite okno, kryjąc się jednocześnie za meblami albo przyciskając do ścian.

– Zastrzelili Batiya! – zawołał któryś z nich. – Kurwa, jak mogli go zastrzelić?

Żaluzje i czarny plastik stały się teraz dla nich przeszkodą, ukrywającą napastników przed ich wzrokiem.

– Niech ktoś wyjrzy przez okno – rozkazał mężczyzna z kółkiem w nosie.

– Sam sobie wyglądaj – odpowiedział drugi *barukan*, ale wcisnął się w ścianę i zaczął się przesuwac w stronę okna. Przez ścianę przebiły się dwa kolejne pociski. Mężczyzna pod ścianą padł z wrzaskiem na ziemię, trzymając się za ramię. Jego dwaj towarzysze pochyłili się pośpiesznie.

Przednie i tylne drzwi mieszkania wpadły do środka z ogłuszającym hałasem, wyrwane z framug. Największe okna rozpadły się uderzone przez chronione Stałą ciała. Rozległy się strzały. Faltowie opróżniali magazynki pistoletów, gdy zielone kości wpadły z furią do środka. Wokół Shae eksplodowała ogłuszająca przemoc.

Gapła się na walkę, jakby wszystko to był sen. Młody gangster z tatuażem na szyi złapał ją, próbując osłonić się nią niczym tarczą. Chwycił za krępujące Shae sznury i ciągnął ją za sobą po podłodze, unosząc pistolet.

– Nie zbliżajcie się albo ją zabiję! – zawołał. – Przysięgam...

Szarpnęła się gorączkowo i kopnęła go w kostkę. Pisnął z bólu i puścił ją na moment. Gdy spróbował znowu ją pochwycić, ręka, w której trzymał broń, oddzieliła się nagle od jego ciała i zawirowała w powietrzu. Guan dao, które ją odcięło, zmieniło nagle kierunek i wbiło się w ciało młodzieńca między szyją a barkiem, rozpruwając jego tułów ukośnym cięciem. Shae wydała z siebie stłumiony dźwięk, gdy jego krew trysnęła na jej włosy.

Gdzieś w domu poniósł się echem ostatni wystrzał, po czym walka się skończyła. Nad Shae pojawiła się twarz Lott Jina. Oddychał ciężko. Miał na sobie kuloodporną kamizelkę, a klinga jego guan dao lśniła czerwienią. Kręcone włosy lepiły mu się do czoła od potu. Opadł na kolana i złamał kłódkę zamykającą jej więzy.

– Shae-jen – wychrypiał, odwijając łańcuchy. – Dzięki bogom w niebie.

Na widok jego twarzy łzy wypełniły jej oczy. Spróbowała usiąść, wspierając się na osłabionych rękach, ale nie była w stanie tego zrobić. Zbyt mocno dygotała z gwałtownej ulgi.

– Nie żyją? – zapytała. – Wszyscy?

– Nie żyją, Shae-jen – zapewnił Lott. – Dopadniemy każdego, kto brał w tym udział.

Obok Lotta pojawiły się dwie zielone kości, których Shae nie znała, i pomogły mu przeciąć sznury na jej pocieranych nadgarstkach, a potem na ramionach i nogach. Przynieśli nosze i położyli ją na nich ostrożnie. Była za słaba, by się sprzeciwić, a zresztą robili to bardzo ostrożnie. Wynieśli ją z domu, który przez kilka dni był dla niej więzieniem. Westchnęła nagle, gdy poczuła zimne powietrze i ujrzała liczne zielone kości, kręcące się po ulicy w pomarańczowym blasku latarni. Skąd się wzięli ci wszyscy ludzie? Znała część z nich, ale twarze pozostałych były obce.

– Kaul-jen – odezwał się jeden z nieznajomych, pomagając jej wsiąść do samochodu. Pochylił głowę i dotknął czoła. – Ayt Madashi przesyła pozdrowienia.

* * *

Choć minął już miesiąc, Shae nadal nie mogła nosić jadeitu. Kilka tygodni leczenia wielkimi dawkami SN2 o wysokim stopniu czystości uwolniło ją od swędziawki, ale gdy Woon objął ją po raz pierwszy, skuliła się wyłącznie z powodu bliskości jadeitu męża. Anden zapewniał, że wszystkie badania wykazują, że fizycznie jest już całkowicie zdrowa, dodał jednak ze łzami w oczach, że bardzo możliwe, że jej ciało nie będzie już nigdy tolerowało zieleni tak, jak dawniej. Jako jedyny członek rodziny, który świetnie wiedział, co to znaczy być okaleczonym przez jadeit, wyjaśnił jej, że problem ma charakter nie tyle fizyczny, ile psychologiczny. Wiedziała, że jej kuzyn ma rację. Podejrzewała, że jeszcze przez wiele lat będą ją dręczyły koszmary.

Powiedziała sobie jednak, że i tak miała szczęście. Taka pochowano w Parku Wdowy. Dudo jakimś cudem przeżył, ale poniósł wielki uszczerbek na zdrowiu. Zapewne będzie potrzebował leków psychotropowych i psychoterapii przez wiele lat, być może nawet do końca życia. Nigdy już nie będzie nosił jadeitu. Wen co tydzień odwiedzała jego i jego rodzinę.

Próba ustanowienia przyczółku w Szotarze skończyła się dla klanu Bez Szczytów katastrofą. W ciągu trzech dni utracili owoce pracy wielu lat. Na koniec osiągnęli jednak kilka sukcesów. Pięści klanu Bez Szczytów pozostały w Leyolo jeszcze przez dwa tygodnie i dzięki pomocy Góry znalazły oraz zabiły trzydziestu dwóch dalszych członków gangu Faltów, likwidując całe kierownictwo drugiego pod względem wielkości gangu *barukanów* w kraju. Policja zignorowała tę nagłą falę przemocy jako gangsterskie porachunki o podłożu etnicznym. Wkrótce potem Wen otrzymała wiadomość, że Studio Filmowe Światło Diamentu zgodziło się zwolnić Danny'ego Sinjo z kontraktu, by mógł wystąpić w superprodukcji Wybrzeża Kin *Czerń i zieleń*.

– Słyszałeś o Umowie Eumańskiej? – zapytała Shae brata pewnego dnia, gdy siedzieli razem po zachodzie słońca na dziedzińcu posiadłości Kaulów.

Pokręcił głową.

– Co to takiego?

Zmarszczyła brwi.

– Coś, o czym słyszałam. Być może nic ważnego. Jeszcze nie wiem.

Bez jadeitowych zmysłów ogród wydawał się jej znacznie uboższy, jak wyblakły obraz. Dziwnie się też czuła, siedząc blisko Hila i nie mogąc Postrzec

jego aury. Przyjrzała się uważnie twarzy brata, zastanawiając się, czy i on odnosi podobne wrażenie, gdy po tak wielu latach znowu widzi ją bez jadeitu. Po raz pierwszy zauważyła ślady siwizny w jego włosach.

– Co Ayt obiecała Matyom za współpracę? – zapytała.

– Wykończyła projekt ustawy zakazującej imigracji. – Hilo położył nogi na wolnym krześle. – Zawiadomiła stronników Góry w Radzie Książęcej, że mają dopilnować, by projekt przepadł.

Shae skinęła głową. Odrzucenie projektu ustawy oznaczało, że granica między Kekonem a Szotarem pozostanie dziurawa. *Barukani* nadal będą mogli swobodnie wędrować między obydwoma krajami i wysyłać krewnych do pracy na Kekonie, legalnie bądź nie. Matyowie z pewnością cenili to wyżej niż sojusz z gangiem Faltów.

– Kobenowie na pewno się wściekli.

Radczyni Koben Tin Bett zaliczała się do najgłośniejszych zwolenników popularnego w społeczeństwie poglądu, że uchodźcy z Oortoko przyczynili się do wzrostu przestępczości na Kekonie, a napływ *barukanów* spowodował erozję tradycyjnych wartości zielonych kości. A teraz jej własna filar zatopiła ustawę, którą Koben Tin wspierała w Radzie Książęcej. Shae cieszyła się z upadku izolacjonistycznego projektu, ale litowała się też nieco nad starą, sprytną wdową, której tak brutalnie wskazano jej miejsce.

– Co mogą zrobić Kobenowie? – zapytał Hilo, wzruszając ramionami. – Dopóki ich chłopak jest następcą filaru, muszą się starać, by zbytnio nie podpaść Ayt. Tak samo było z Lanem i dziadkiem. Nie widziałas tego z bliska, jak ja. –

Shae czekała na oskarżycielskie spojrzenie brata, ale nic w tym rodzaju się nie wydarzyło. Hilo wpatrywał się w dal. – A Ayt może kontrolować Kobenów, dopóki ma inne opcje. Jestem pewien, że rodzina Iwe nie straciła jeszcze nadziei na to, że Ayt uczyni następcą swego prognostyka.

– Ayt Mada nie przejdzie spokojnie w stan spoczynku.

– To prawda – zgodził się Hilo, powoli kierując spojrzenie w jej stronę. – Zważywszy wszystko razem, myślę, że jest zadowolona z tego, jak potoczyły się sprawy.

Sojusz z Matyami odnowiono, ponownie podporządkowała sobie Kobenów, a Góra zdobyła monopol na szotarskim rynku.

Co więcej, spłaciła dług wobec rodziny Kaulów. Shae wiedziała, że ratując jej życie, Hilo poniósł ciężką stratę na duszy. Nigdy nie wątpiła, że jej brat potrafi odbierać życie innym dla dobra klanu albo poświęcić dla niego własne, ale do tej pory nie wyobrażała sobie, że mógłby paść na kolana przed swą najgroźniejszą rywalką i błagać ją o pomoc. Uważałby to za zdradę wszystkich pięści i palców, które kiedykolwiek dla niego walczyły i zginęły, wykonując jego

rozkazy. Zastanawiała się, czy powinna w jakiś sposób wyrazić dla niego uznanie, ale ubieranie takich uczuć w słowa wydawałoby się banalne, byłoby dystansowaniem się, a nawet zniewagą. Przez pewien czas siedzieli bez słowa.

– Co zrobisz, jeśli nie będziesz już mogła nosić jadeitu? – zapytał wreszcie Hilo.

Dotknęła nagich nadgarstków, niepewna, co mu odpowiedzieć. Pomyślała o Tii, która spała w swoim łóżku, i o prostej głębokiej radości, jaką poczuła, gdy zobaczyła twarz córki i uściskała ją mocno. Omal tego nie utraciła i nie potrafiła w sobie wzbudzić głębszego żalu z powodu rozstania z jadeitem. Zdobyła już w życiu mnóstwo zieleni, zdjęła ją, włożyła z powrotem i straciła jej część w walce. Jadeit był jej zbroją i bronią, ale nie był częścią jej jaźni, jak w przypadku Hila. Żałowała utraty umiejętności, które jej zapewniał, ale nie czuła się z tego powodu pusta ani mniej wartościowa. Podobnie by było, gdyby straciła rękę, nogę albo oko.

Pomyślała, że to dziwne. Zielone kości otaczały jadeit czią, ale to nie same klejnoty na nią zasługiwały. Były tylko widocznym dowodem, że ten, kto je nosi, poświęcił życie nauce dyscypliny władania mocą, wziął na siebie niebezpieczeństwa i koszty związane ze statusem zielonej kości.

Ona nie potrzebowała już takich dowodów. Nie musiała nosić zieleni jako symbolu statusu i wiarygodności, demonstrującego wszystkim, że jest równa swym braciom i godna być jedną z Kaulów. Wszystko to dały jej dwa dziesięciolecia spędzone na najwyższym piętrze budynku na Statkowej. Miała do wykonania robotę. Musiała powetować straty, poprowadzić klan oraz kraj ku wzrostowi i postępowi, bronić ich przed zewnętrznymi zagrożeniami, a także przed najgorszymi impulsami płynącymi z ich natury.

– Co zrobię? – powtórzyła cicho. Zwróciła się w stronę brata i dotknęła dłońmi czoła, oddając mu honory jako filarowi. – Zajmę się swoją pracą. Będę prognostyczką klanu Bez Szczytów.

ROZDZIAŁ 49

POJEDYNEK KSIĘCIA

Dwudziesty drugi rok, dwunasty miesiąc

W dzień urodzin Ru Dano zaprosił go na imprezę w dzielnicy Psia Głowa.

– Jest tam taki lokal, nazywa się Mała Persymona – powiedział mu, gdy szli na zajęcia. – Przyjdzie mnóstwo ludzi. Paru gości, których znam, bardzo by chciało cię poznać.

– Naprawdę?

Ru nie był przyzwyczajony do przyciągania uwagi innych, ale Niko i Jaya opuścili Janloon i był jedynym dostępnym przedstawicielem młodszego pokolenia rodziny Kaulów.

– Jasne! – potwierdził Dano. – Tak czy inaczej, powinienes się trochę zabawić, keke.

Ru doszedł do wniosku, że jego kolega ma rację. Zbliżały się egzaminy śródsesemestralne i od tygodni uczył się do późna w nocy, żeby nadrobić zaległości. Trzeci rok był trudniejszy od poprzednich, a ostatnio jego życie było pełne stresów. Straszliwe porwanie matki i ciotki sprawiło, że na początku roku opuścił mnóstwo zajęć. Latem przez trzy dni w Janloonie szalał tajfun Kitt, najpotężniejszy od trzydziestu lat w całym regionie Wschodniego Amaryku. Straty były olbrzymie. Kampus zamknięto na tydzień, a nawet po jego otwarciu Ru cały swój czas poświęcał na pomaganie klanowi przy odbudowie i niesieniu pomocy poszkodowanym. Ostatni problem polegał na tym, że jego pies Koko oślepl i ogłuchł na starość, a do tego miał trudności z jedzeniem i w ostatnim miesiącu trzeba mu było usunąć kilka zębów. Ru starał się w każdy weekend odwiedzać dom, żeby go zobaczyć.

W dodatku do tego wszystkiego nadal nie potrafił zdecydować, co zrobi, gdy w przyszłym roku ukończy studia. Doszedł do wniosku, że jako główną specjalność wybierze politykę publiczną. Spędzał wiele czasu na kampusie, daleko od klanu, i dobrze poznał studentów z Towarzystwa Pomocy Niereaktywnym, co jeszcze dobitniej uświadomiło mu, że urodził się jako najfartowniejszy kamiennooki w całym kraju. Czasami czuł się jak chodzący paradoks. Mimo swej ułomności cieszył się wszystkimi przywilejami członka władającej klanem rodziny zielonej kości i rzadko przeżywał upokorzenia spotykające innych niereaktywnych, zwłaszcza Abukei. Uważał, że sprawiedliwość wymaga, by wykorzystał swoją pozycję, żeby pomagać innym.

Przyszło mu na myśl, że odpowiadałaby mu praca w jakiejś organizacji *non profit*, zwłaszcza zajmującej się wspieraniem marginalizowanych grup, nie był jednak pewien, czy ojciec to zaakceptuje. Kiedy filar był w dobrym nastroju, chętnie słuchał opinii Ru, ale w innych chwilach reagował niecierpliwie.

– Jesteś zbyt wielkim idealistą, synu. Jesteśmy klanem zielonych kości, nie instytucją charytatywną.

Po katastrofalnej porażce filii w Szotarze priorytet miała biznesowa strona klanu. Ru najbardziej pomógłby rodzinie, gdy po ukończeniu studiów zaczął pracować dla cioci Shae. Prognostyczka sugerowała już, że z chęcią widziałaby go na Statkowej.

– Musisz na pierwszym miejscu stawiać rodzinę – przypomniała mu stanowczo matka. – Dopiero później będziesz mógł pomyśleć o pomaganiu innym.

Ru postanowił, że posłucha rady Dana i pójdzie się trochę zabawić. Nieco hamował go fakt, że Mała Persymona znajdowała się na terytorium Góry, ale ukończył już dwadzieścia jeden lat i nie zamierzał informować rodziców o każdym drobnym ryzyku, jakie podejmował. Mógł przekraczać granice klanowych terytoriów jak zwyczajna dorosła osoba. Dotarł pod adres, który wskazał mu Dano, wszedł na piętro i znalazł tam knajpę o przyćmionym oświetleniu. Wokół małego parkietu ustawiono ławy z czerwonym obiciem i drewniane stoły o podrapanych blatach. Bar miał czarny kolor, a za lustrzanym panelem barowym wisiły małe światełka.

Podeksycytowany Dano przedstawił go chudemu mężczyźnie o ostrych rysach twarzy, stojącemu za barem.

– Tadino nie chciał mi uwierzyć, kiedy mówiłem, że cię znam. – Dano postukał w kontuar. – Przegrałeś zakład, keke!

Mężczyzna imieniem Tadino pochylił się w stronę Ru.

– Naprawdę jesteś Kaul Rulinshin?

Mówił z lekkim – szotarskim? – akcentem i ku zaskoczeniu Ru miał na lewym policzku okrągłą bliznę po oparzeniu.

Ru wyciągnął prawo jazdy i pokazał je barmanowi. Ten roześmiał się w głos.

– Niech mnie szlag. Miałeś rację, Dano. Dzisiaj obaj pijecie za darmo. – Nalał im sporą porcję hoji i dotknął czoła, oddając honory Ru. Kiedy się uśmiechnął, blizna na policzku rozciągnęła się, dotykając kącika oka. – Zawsze chciałem spotkać osobiście któregoś z Kaulów. Można powiedzieć, że jestem uzależniony od klanowych magazynów.

Ru natychmiast poczuł do niego niechęć. Tanie pisemka, które publikowały klanowe plotki i zdjęcia zielonych kości, bardzo źle potraktowały Nika. Musiał jednak przyznać, że nie przedstawiały w pochlebnym świetle nikogo, nawet Ayt Ata. Zdarzało się, że rozgniewane zielone kości niszczyły sprzęt fotograficzny pracujących dla tych magazynów dziennikarzy, a nawet podpalały ich pojazdy, ale najwyraźniej zyski były wystarczająco wysokie, by nie przerywali działalności. Tadino nie zauważył grymasu Ru. Szturchnął kolejnego siedzącego przy barze mężczyznę – bladego, ponurego faceta o zniekształconej twarzy. Zapewne był on stałym klientem Małej Persymony, bo siedział sam, wpatrując się w wypełniony do połowy kieliszek.

– Hej, słyszałeś? – zapytał Tadino. – To jest syn filaru. Okaż mu należny szacunek.

Mężczyzna o pozbawionej uśmiechu twarzy zerknął na Ru i znużonym gestem uniósł dłoń do czoła, po czym ponownie przeniósł swą uwagę na trunek. Ale Tadino jeszcze nie skończył.

– Juni, zgadnij, kto to jest – zawołał przekrzykując muzykę, i gestem przywołał młodą kobietę.

Nieznajoma uniosła ciemne, wytatuowane brwi, widoczne pod równo obciętą grzywką. Jej pełne usta rozchyliły się z zainteresowaniem.

– Tadino, nie spodziewałam się, że ten twój gówniany bar jest taki interesujący. Nie miałam pojęcia, że przychodzą tu Kaulowie. – Podeszła do Ru i trąciła go biodrem. – Znajdź mnie na parkiecie, gdy będziesz gotowy pokazać, co potrafisz – rzekła mu zmysłowym, sugestywnym szeptem,

Wypiła kolejkę i znowu wmieszała się w tłum. Ru miał ochotę za nią podążyć, ale najpierw odciągnął na bok Dana.

– Skąd znasz tego Tadina? – zapytał szeptem. Zdawał sobie sprawę, że jego kolega prowadzi swobodny tryb życia i nie zawsze obraca się w porządnym towarzystwie.

– Poznałem go dzięki Strażnikom Praw Imigrantów. – To była jedna z organizacji, z którymi współpracował Dano. Udzielała pomocy uchodźcom. –

Tadino pochodzi z Oortoko. Był kiedyś *barukanem* i miał w życiu mnóstwo problemów.

– Wiesz dlaczego go napiętnowano? – zapytał Ru.

– Nie mów mi, że popierasz to barbarzyńskie prawo – oburzył się Dano. – Zielone kości napiętnowały tysiące niewinnych ludzi tylko dlatego, że w ich żyłach płynęła cudzoziemska krew, mówili z obcym akcentem albo po prostu znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. To odrażające.

– Nie mówię, że się z tym zgadzam.

Ru miał ochotę przypomnieć koledze, że ma zwyczaj wygłaszać zbyt generalizujące opinie na temat zielonych kości. Entuzjazm do piętnowania ludzi podejrzewanych o antyklanową działalność wywołała jedna z frakcji w Górze, ale nawet w tym klanie nie wszystkie pięści przestrzegały tego zwyczaju. Ale nie w tym rzecz. Dano był tak niezachwianie przekonany o słuszności swych poglądów, że Ru obawiał się, że któregoś dnia przyłapią go z prawdziwymi bezklanowymi przestępcami i nie z własnej winy może się narazić na spotkanie z rozgrzaną do czerwoności rurą albo czymś jeszcze gorszym.

– Musisz myśleć o sobie – upierał się. – Ty też możesz się znaleźć w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Albo w towarzystwie niewłaściwych ludzi.

Ru nie zapomniał, że jego siostra była gotowa spodziewać się po Danie najgorszego, a nawet chciała podać jego nazwisko Lott Jinowi.

– Nie martw się o mnie, keke. Po prostu baw się dobrze, tak? – Dano wyciągnął małą plastikową torebkę wypełnioną czarnym proszkiem. – Hej, chcesz trochę piasku?

Ru potrząsnął głową.

– W takim razie wypijmy jeszcze łyczek – dodał Dano, wzruszając ramionami.

Ru z niechęcią porzucił temat, ale obiecał sobie, że pomówi o tym z Danem przy innej okazji. W tej chwili popsułby tylko nastrój, a w końcu przyszli tu w poszukiwaniu dobrej zabawy. Poprosił o następną kolejkę hoji, ale tym razem z lodem i odrobiną anyżku.

Na parkiecie było dużo ładnych dziewczyn, ale Juni rzucała się w oczy najbardziej ze wszystkich. Miała na sobie ozdobiony cekinami top z głębokim dekoltem, odsłaniający tatuaż na klatce piersiowej – czarną strzałkę skierowaną ku rowkowi między piersiami. Uśmiechnęła się zachęcająco do Ru i zaczęła tańczyć tuż przed nim, poruszając się kusząco w rytm muzyki. Po drugiej kolejce chłopak poczuł się rozluźniony i zebrało mu się na odwagę. Wsparł dłonie na jej biodrach i zatańczyli razem, zbliżając się do siebie coraz bardziej przy każdym basowym impulsie płynącym z głośników. Juni wsunęła nogę między nogi Ru,

muskając udem jego coraz cieplejsze krocze. Ich ciała stykały się ze sobą w ciemności.

Ru poczuł się nieco zawstydzony tym, jak bardzo podekscytowała go piękna kobieta, która wręcz rzuciła się na niego. Podejrzywał, że Niko i Jaya uprawiają seks znacznie częściej od niego, i choć nigdy nie zazdrościł im, że przyciągają uwagę innych dzięki wysokiemu statusowi społecznemu, czasami zadawał sobie pytanie, jak by to było, gdyby mógł korzystać ze wszystkich przywilejów związanych ze swym nazwiskiem. Gdyby wzbudzał powszechne zainteresowanie, po prostu wchodził do pokoju. Gdyby kobiety go pragnęły. Gdyby stała za nim zielen całego klanu i dzięki niej zawsze był kimś więcej niż sobą. To właśnie znaczyłoby być prawdziwym księciem klanu Bez Szczytów.

Niko i Jaya uważali swoją pozycję za coś oczywistego, ale Ru nie. Gdy jednak czasami miał okazję z niej skorzystać, to cóż mogło być w tym złego? Piersi Juni ocierały się o jego ciało, a przesycona perfumami woń jej potu wypełniała mu nozdrza, docierając do mózgu. Przesunął dłonie w dół, wzdłuż jej talii, docierając do pośladków. Narastające w nim pożądanie było jak płynny żar, wypełniający go od krocza aż po koniuszki palców. Była tym, czego dziś potrzebował. Pragnął zapomnieć o wszystkich kłopotach, przestać myśleć tak dużo. Objęła go za szyję. Ciepło jej policzka muskało jego policzek. Dotknęła wargami jego ucha.

– Chodź, coś ci pokażę.

Wzięła go za rękę i sprowadziła z parkietu. Ru rozejrzał się, szukając Dana. Zobaczył go na jednej z ław z czerwonym obiciem. Wciągał piasek z tacki w towarzystwie dwóch innych osób. Rozchichotana Juni poprowadziła go wokół baru. Ku zaskoczeniu Ru za fioletową zasłoną znajdował się kolejny pokój. Były tam dwie kanapy, a na ścianach zawieszono mnóstwo luster. W którąkolwiek stronę się zwrócił, zawsze widział odbicie swej zaczerwienionej twarzy i lśniących oczu.

– O kurczę, tajny pokój – stwierdził z uśmiechem. – Ciekawe, jakiemu celowi ma służyć?

– Kogo to obchodzi? – Juni pociągnęła go ku sobie i zaczęli się całować. Ich usta były gorące i głodne. Smakowała waniliowym błyszczkiem do warg i rumem z sokiem z liczi. – Nikt nie będzie nam tu przeszkadzał.

* * *

– Zostań przy barze i pilnuj, żeby stamtąd nie wyszli – wysyczał do Bera Tadino. – Muszę na chwilę wyjść, żeby zadzwonić. Miej na wszystko oko.

– Nie będę tu stał i słuchał, jak te dzieciaki się pierdola – mruknął skwaszony Bero.

Większość bawiącej się dziś w Małej Persymonie młodzieży była już radośnie pijana albo naćpana. Kilka osób leżało na ławach, a wiele innych wymykało się parami na zewnątrz. Ale Tadino pozwolił Berowi tylko na jedną kolejkę.

– Musimy być gotowi do akcji – nalegał. – Dzisiaj wywołamy nową wojnę klanów i przewrócimy Janloon do góry nogami.

Tadino pobiegł do płatnego telefonu na ulicy i zadzwonił do Koben Ashiego, by go poinformować, że jego dziewczyna jest w Małej Persymonie i jakiś obcy facet obmacuje ją lepкими łapskami. Koben Ashi – pięść średniej rangi w Górze, syn wpływowej radczyni i bliski krewny Ayt Ata – był zazdrosnym skurczybykiem, gotowym zbić na kwaśne jabłko każdego faceta, który choć gapił się zbyt długo na jego kobietę. Według Juni obecnie ze sobą zerwali, ale do Ashiego ta wiadomość najwyraźniej nie dotarła. Wszyscy w Górze wiedzieli, że Juni to trujący kwiat, i nikt nie chciałby jej dotknąć. Dlatego musiała szukać rozrywki w innych miejscach. Nie miała nic przeciwko temu, że Ashi wysłała poderwanych przez nią facetów do szpitala. Wkrótce potem znowu byli razem.

Bero musiał przyznać, że Tadino uknuł niezwykle sprytny plan. Kiedy był młodszy, sam mógłby wpaść na równie ryzykowny pomysł. Jako barman Tadino spotykał wielu ludzi i słyszał mnóstwo plotek o obu klanach. Widział już przedtem Juni w Małej Persymonie i kiedy się zorientował, że zna chłopaka z college'u, który koleguje się z Kaul Ru, wszystko w jego umyśle ułożyło się w całość.

– Już wystarczająco długo traktują nas jak gówno – oznajmił.

Musieli podjąć walkę, sprzeciwić się nieubłaganym prześladowaniom, jakim poddawały ich klany. Pożar międzyklanowej wojny złagodziłby nieco nacisk, pozwoliłby RBP przegrupować siły.

Bero przyznał, że plan mu się podoba, miał jednak pewne wątpliwości. W minionych latach próbował wszelkich możliwych sposobów walki z zielonymi kośćmi. Był zabójcą, złodziejem, rabusiem grobów, przemytnikiem, szpiegiem i terrorystą. To cud, że jeszcze żył. Czy nadal miał w sobie motywację, by spróbować po raz kolejny? Pragnął wierzyć, że tak, że tłący się w jego wnętrzu ogień można rozniecić na nowo.

Ale z drugiej strony znacznie łatwiej byłoby trzymać się z dala od tego wszystkiego i po prostu pić.

– Nie musisz nic robić – powiedział mu Tadino. – Tylko zatrzymaj te dzieciaki w środku i nie pozwól, żeby ktoś im przeszkadzał. A potem siedź tutaj

i bądź świadkiem. Co ty na to? Możesz zatruć życie klanom, ledwie unosząc palec.

To z pewnością zabrzmiało atrakcyjnie. Bero się zgodził. Koben Ashi zjawi się w Małej Persymonie i – nie wiedząc, z kim ma do czynienia – ciężko pobije kamiennookiego syna filaru. Kaul Hilo z pewnością zareaguje gwałtownym atakiem i to będzie koniec kruchej współpracy między klanami, utrzymywanej od czasu zamachu bombowego.

Gdy Tadino zamknął bar, zostawiając go bez opieki, Bero znowu nalał sobie hoji. Przez szczelinę między zasłonami widział i słyszał, co robią Juni oraz syn filaru. Dziewczyna uniosła spódnice do bioder, a Kaul Ru rozpiął koszulę. Całkowicie zajęli się sobą, nie wiedząc, jak paskudnie wykorzystują ich ludzie, których nawet nie znali. Bero przywykł do uzalania się nad sobą, ale teraz, gdy siedział za porzuconym barem i słuchał cmoknięć oraz jęków pożądania, czuł jakąś żalną bliskość z młodzieńcem w sąsiednim pokoju, choć kiedyś, w minionej epoce, otworzył do jego wujka ogień z fullertona na pogrążonym w mroku nabrzeżu.

Gdy dobiegł czterdziestki, doszedł do cynicznego wniosku, że zawsze był tylko odpadkiem ciskanym w różne strony przez fale losu. Szczęście i pech były dwiema stronami tego samego żetonu, rzucanego niedbale na kosmiczny stół gry jako narzędzie niepojętej zabawy bogów. Nie był jednak jedynym człowiekiem, którego wykorzystywali w ten sposób. Nawet syn filaru był dla losu wyłącznie pionkiem.

– Hej, nie bądź zboczeńcem! – zawołała do niego Juni. – Zasuń tę zasłonę, dobra?

Krótką, seksowną fryzurą Juni i jej twarz w kształcie serca przypominały Berowi Emę. A może wydawały mu się podobne, ponieważ obie sterowały niczego niepodejrzewającym mężczyzną, trzymając go za kutasa. Ema dawno już nie żyła, wybuch rozerwał ją na strzępy, ale Bero nadal miał do niej pretensję. Juni również nie lubił, wystarczyło mu na nią spojrzeć. Ema paskudnie go traktowała, ale czasami bywała też miła. Pierdoliła się z nim, choćby tylko dlatego, że i tak zamierzała zginąć. Kiedy zdrowo się urznął, miał wrażenie, że nadal za nią tęskni. Być może brakowało mu również Sampy, Pyskatego i Mudta.

Nie ruszył się z miejsca. Wreszcie Kaul Ru wstał, podtrzymując spodnie jedną ręką, i sam zasłonił kurtynę.

– Ona cię wykorzystuje, keke – powiedział mu Bero.

Na twarzy młodzieńca pojawił się głupi uśmiešek.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Ty dumny dzieciaku, wydaje ci się, że panujesz nad sytuacją?

Z ust Bera wypłynęła pełna goryczy pogarda. Kiedyś wierzył, że naiwna pewność siebie młodości czyni go kimś wyjątkowym i dzięki niej zdobędzie wszystko, czego tylko zapragnie.

– Ona ma chłopaka. To Koben Ashi, pięść z Góry.

Kaul Ru znieruchomiał z zasłoną w dłoni. Zerknął z niedowierzaniem na Juni, a potem znowu na Bera. Na jego twarz powoli wypływało zrozumienie. Starszy mężczyzna uśmiechnął się z dziką radością.

– Wrobili cię, keke.

Na schodach rozległy się kroki. Koben Ashi wpadł do pomieszczenia i odepchnął na boki nielicznych pozostałych tu jeszcze gości. Poruszał głową na wszystkie strony, a w jego oczach płonęła bezrozumna furia. Szły za nim dwa palce, a także Tadino.

– Tam, Koben-jen! – zawołał, wskazując zasłonięty kurtyną pokój za barem.

Pięść z Góry odepchnął na bok Bera i odciągnął zasłonę. Ru cofnął się przed nim z opuszczonymi spodniami, a Juni leżała półnaga na sofie. Zaklął z wściekłością, złapał Kaul Ru za gardło i cisnął nim o bar.

* * *

Ru walnął o kontuar i upadł, uderzając głową o stółek barowy. Przed oczami miał gwiazdy, a w uszach mu dzwoniło. Leżał oszołomiony na lepkiej podłodze, a pierwsza, absurdalna myśl, jaka mu się nasunęła, to że musi zapiąć spodnie, zanim spróbuje wstać. Szarpał się bezsensownie z guzikiem, ale w końcu mu się udało, nim Koben Ashi złapał go od tyłu za kołnierz, podniósł na nogi i cisnął nim o kolejną ścianę. Rozległy się krzyki zaskoczenia i strachu. Większość nielicznych gości nadal przebywających w Małej Persymonie złapała swoje rzeczy i popędziła ku schodom. Wiedzieli, że lepiej trzymać się jak najdalej od rozwścieczonej zielonej kości.

– Jak śmiałeś dotykać moją dziewczynę? Za kogo się uważasz, mały zaszczany szcurze? – warknął Koben. – Przemebluję ci gębę tak, że już żadna dziewczyna nigdy cię nie zechce, ty skurwysynu.

Juni wyszła zza fioletowej zasłony, poprawiając spódnice. Udawała, że płacze, ale oczy miała suche.

– Ashi, to tylko dzieciak, nie wiedział, co robi. Nie zabijaj go!

Ru podźwignął się chwiejnie i uniósł ręce, żeby się bronić, ale nie mógł się równać ze wzmocnioną jadeitem szybkością zielonej kości. Koben uderzył go w żołądek, aż chłopak zgiął się wpół, a potem obalił go kopniakiem na podłogę. Ru charczał z bólu, trzymając się za brzuch. Kącikiem oka zauważył, że Dano

zaczął krzyczeć i spróbował chwiejnym krokiem popędzić mu z pomocą, ale Tadino złapał go za rękę.

Jestem taki głupi, pomyślał dręczony bólem chłopak. Głupi, głupi, głupi.

Okazał się durniem, ufając Danowi, przychodząc do lokalu na terytorium Góry i zapominając o ostrożności, a także wierząc choć przez jedną sekundę, że tylko dlatego, iż jest kamiennookim i najmniej ważnym z dzieci swego ojca, nie przyciągnie uwagi wrogów.

Koben złapał za stołek i odłamał jego nogę, chcąc pobić Ru do nieprzytomności. Dwa palce przyglądały mu się z lekkim niepokojem, ale na ich twarzach nie było widać zaskoczenia.

– Ashi-jen, ten chłopak nawet nie jest zieloną kością – odezwał się jeden z nich. – Nie warto zawracać sobie nim głowy.

Ru uchylił się błyskawicznie. Noga stołka przemknęła obok jego głowy i trafiła go w bark. Cała ręka mu zdrętwiała. Nie wiedzą, kim jestem, uświadomił sobie. Rodzina zawsze trzymała go z dala od mediów i jego zdjęć nie spotykało się w magazynach klanowych. Poza klanem Bez Szczytów znało go niewielu ludzi. A tym bardziej w Górze. Mężczyzna ze zniekształconą twarzą miał rację. Wrobili go. Ale rodzinę Kobenów również.

Rzucił się za stolik. Rozwścieczony napastnik odkopnął go na bok, ale dwie sekundy przerwy dały Ru czas, by wyciągnąć mały karambit, który nosił z tyłu za pasem. Koben skierował spojrzenie na wyciągniętą nagle broń.

– Czysta klinga! – zawołał Ru, wykorzystując odwróconą uwagę napastnika, i przykucnął w pozycji wojownika, unosząc nóż przed sobą. Z nosa płynęła mu krew. – Jestem Kaul Rulinshin, syn filaru klanu Bez Szczytów, i oferuję czystą klingę!

Koben Ashi znieruchomiał, nadal unosząc nogę od stołka nad głową. Przeniósł spojrzenie z karambita na twarz Ru. Jego policzek zdrzął nerwowo. Zerknął na dwa swoje palce, gapiące się na Ru ze zdumieniem i niedowierzaniem.

Po chwili znowu popatrzył na Ru.

– Nie zgrywaj się – warknął. – Syn filaru klanu Bez Szczytów w takim miejscu?

– To prawda! – wybełkotał Dano, który wreszcie wyrwał się Tadinowi i powłókł się chwiejnie naprzód. – To jest Kaul Ru. Przyszliśmy się tu zabawić, to wszystko! Nie zrobił nic złego, nie znał tej dziewczyny. To tylko kamiennooki chłopak z college'u!

Zaciśniętej na prowizorycznej broni knykcie Kobena zrobiły się zupełnie białe. Zwrócił się w stronę Juni.

– Ty mała kurwo, wiedziałaś, że jest Kaulem, i nie potrafiłaś utrzymać nóg razem? Chcesz mnie wplątać w konflikt z klanem Bez Szczytów, ty suko?

Z twarzy dziewczyny odpłynął cały kolor.

– Nie, nie, Ashi, nigdy bym... – Padła na kolana. Tym razem rozpląkała się naprawdę. – Przyszedł do mnie i bałam się mu odmówić.

– Nieprawda. – W oczach Ru zalśniło oburzenie. – Koben–jen, nie miałem pojęcia, kim ona jest. Mam nadzieję, że potrafisz Postrzec, że nie kłamię, kiedy mówię, że nie chciałem cię obrazić. Zaatakowałeś mnie, nie sprawdzisz faktów, więc ty również jesteś winien obrazy. To może rozstrzygnąć tylko czysta klinga.

Koben zmarszczył brwi.

– Nawet jeśli rzeczywiście jesteś Kaulem, nie jesteś zielony. Nie możesz się ze mną pojedynkować.

Ru potrząsnął głową.

– Nie z tobą. Z nim – Spojrzał na Tadina i wskazał go sztychem karambita. –

Ty to wszystko zaplanowałaś. Poprosiłaś Dana, żeby mnie tu dziś przyprowadził, przedstawiłaś mi dziewczynie Kobena, nie mówiąc, kim ona jest, a potem sprowadziłaś tu ludzi z Góry, żeby spuścili mi łomot. – Wyraz twarzy Ru był tak groźny, że nikt z obecnych nie mógł już wątpić, że rzeczywiście jest synem Kaul Hiloshudona. – Nigdy przedtem cię nie spotkałem i nie mam pojęcia, dlaczego mnie nienawidzisz. Z pewnością chciałaś zaszkodzić w ten sposób mojej rodzinie. Uznaję to za osobistą zniewagę. Możesz walczyć teraz ze mną albo odpowiedzieć później przed moim ojcem.

Tadino rzucił się ku schodom, ale nie odbiegł daleko. Dwa palce Kobena dorwały go z nadzwyczajną szybkością zielonych kości, złapały za ramiona, przywlekły z powrotem na miejsce i zwróciły twarzą w stronę Ru. Barman przygryzał wargi w grymasie strachu. Sprawiał wrażenie całkowicie oszłomionego. Sieć, którą utkał, rozplątała się nagle, a potem uformowała na nowo, i to on znalazł się w jej środku. Rozglądał się rozpaczliwie po sali, ale nie znalazł pomocy u nikogo. Dano był przerażony jak zając uwięziony w norze lisa, a nieznajomy ze zniekształconą twarzą trzymał się na dystans.

– Wybieraj broń – zażądał Ru.

Dano mówił, że Tadino był kiedyś członkiem gangu *barukanów*. Nie wglądał na słabego ani tchórzliwego. W gruncie rzeczy sprawiał wrażenie kogoś, kto uczestniczył w wielu walkach. Z pewnością większość ludzi wolałaby z nim nie zadzierać. Był też wyraźnie wyższy niż Ru. Zawahał się jednak na widok karambita w ręce młodszego mężczyzny. Ru trzymał broń ze swobodą i pewnością siebie. Już od dziecka uczył się od ojca walki na noże.

– B... bez broni – odpowiedział Tadino. Walka wręcz zapewni mu przewagę fizyczną.

– Koben-jen, jeśli stoczę z tym człowiekiem pojedynek czystej klingi, by rozstrzygnąć kwestię zniewagi, jaką nam wyrządził, to czy uznasz spór między nami za rozstrzygnięty? – zapytał Ru. – I czy zgodzisz się, że nasze rodziny nie muszą się do tego mieszać?

Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź Kobena. W chwili paniki wykrzyczał wyzwanie na pojedynek, ponieważ to był jedyny sposób, by odzyskać kontrolę nad sytuacją i bronić własnego honoru, gdy wyglądało na to, że nie dadzą mu żadnej szansy. Teraz jednak naprawdę chciał ukarać Tadina. Po tej katastrofie będzie musiał odpowiedzieć przed ojcem i pragnął przynajmniej móc powiedzieć, że stoczył prawdziwy pojedynek, by bronić swej reputacji, a nie, że spuścili mu lanie, bo dobierał się do niewłaściwej dziewczyny na terytorium Góry. Niko już przedtem złamał serce tacie. Co pomyślałby filar o nim i co zrobiłby Kobenom po tak upokarzającym incydencie?

Koben Ashi najwyraźniej zastanawiał się nad podobnymi kwestiami.

– Tak – odpowiedział. – Zgadzam się.

Ru schował karambit i wytarł krwawiący nos o rękaw. Z reguły był skłonny dobrze myśleć o innych i dlatego, gdy spotkał się z autentycznie złą wolą, wpadał w furję.

– Lepiej pomódl się do bogów, bo zapewniam, że pojedynek na gołe pięści nie będzie bolał mniej. – Choć był wściekły, dotknął czoła, oddając honory przeciwnikowi. Ten nie raczył nawet skinąć głową. – Dlaczego to zrobiłeś?

Tadino skrzywił się, odsłaniając zęby w grymasie wściekłości. Dotknął czerwonego śladu, który miał na policzku.

– Dlaczego? A dlaczego szczur próbuje gryźć psa, który go zabija? Wiesz ilu ludzi, których znałem, pobito, napiętnowano albo zabrano? Spójrz na moją pierdoloną gębę! – Splunął na podłogę. – Miała nadejść rewolucja. Wszyscy przywódcy klanów mieli zginąć w zamachu, żeby Ruch Bezklanowa Przyszłość mógł zbudować nowe społeczeństwo. – Słowa Tadina były pełne jadu, ale on sam sprawiał wrażenie bliskiego płaczu. – Wiesz, dlaczego czytam tanie magazyny klanowe? Dlatego że mam nadzieję, że pierdolone zielone kości, takie jak ty, pozabijają się nawzajem.

– Nie jestem zieloną kością – warknął Ru i rzucił się do ataku, szybko wyprowadzając cztery kolejne ciosy skierowane na głowę: dwa proste, jeden lewy sierpowy, a potem prawy ukośny, który musnął policzek Tadina, gdy ten uchylił się odruchowo, by osłonić twarz. Za nimi poszło kopnięcie skierowane na udo przeciwnika.

Tadino syknął z bólu i zaatakował twarz Ru, a potem jego tułów. Trafił go kilka razy, a potem uderzył barkiem w klatkę piersiową, próbując go przycisnąć do najbliższej w ściany. Zaczęli walczyć w zwarcu, usiłując zablokować kończyny przeciwnika. Tadino walnął Ru kolaniem w brzuch. Chłopak stęknął, wypuścił powietrze z płuc i zgiął się wpół. Oczy zaszyły mu łzami. Bolało go już w kilkunastu miejscach po tym, jak oberwał od Kobena, a każdy kolejny cios Tadina tylko pogarszał sytuację.

Ru nauczył się jednak walczyć dalej, nawet kiedy był słabszy. Nie uczył się w Akademii Kaul Du, ale filar chciał, by jego syn opanował sztuki walki. Dlatego ćwiczył walkę na noże i strzelanie z ojcem, z wujkami i licznymi prywatnymi instruktorami zatrudnianymi przez jego rodzinę, a także toczył sparingowe walki z zielonymi kośćmi, których umiejętnościom nie mógł dorównać. Nie miał szans z pięścią taką jak Koben Ashi, ale w starciu z przeciwnikiem nienoszącym jadeitu przygotowanie zapewniało mu przewagę. Był też dwadzieścia lat młodszy i bardziej wytrzymały od Tadina, który już po dwóch minutach i kilku otrzymanych ciosach dyszał ze zmęczenia.

Walcząc w zwarcu, Ru nie tracił orientacji. Chował głowę za zgiętymi rękami i kilkakrotnie uderzył łokciem w mostek i żebra wyższego przeciwnika. Wreszcie Tadino rozluźnił uścisk. Gdy odsunęli się od siebie, Ru wyprowadził potężny cios od dołu, trafiając przeciwnika w szczękę. Tadino zatoczył się do tyłu, trzymając się za twarz i przeklinając.

– Zaszługujesz na coś gorszego niż napiętnowanie, ty bezklanowy psie – warknął z pogardą Ru.

Tadino rzucił się do ataku, próbując obalić przeciwnika na podłogę dzięki większemu wzrostowi i wadze. Ru odskoczył do tyłu, rozpostarł ręce i otoczył ramieniem szyję barmana, unieruchamiając mu głowę. Obaj walczący upadli na podłogę. Dano wydał z siebie stłumiony jęk. Zielone kości z Góry cofnęły się, usuwając im krzesła z drogi.

Twarz Tadina poczerwieniała. Próbował otoczyć przeciwnika w pasie muskularnymi rękami i przycisnąć go do podłogi. Ale Ru był dla niego za szybki. Obrócił się błyskawicznie i przełożył nogę przez plecy rywala. Dosiadł go, nadal zaciskając jedną rękę na jego szyi, a drugą walił go w ucho i w szczękę, warcząc wściekle i uderzając jednocześnie łokciem w jego kark.

Tadino padł na brzuch i osłonił głowę dłońmi. Ru przerzucił się na ciosy w nerki. Zdesperowany barman spróbował zrzucić przeciwnika albo się przetoczyć. Młodszy mężczyzna wsparł stopy na podłodze i zwolnił uścisk, pozwalając, by Tadino przewrócił się na plecy. Następnie skoczył na niego, uderzając kolaniem w jego pierś, i znowu zaczął go okładać, tym razem po twarzy.

– Przestań, poddaję się! – zawołał Tadino, plując krwią.

Ru nie przestał. Nikt z obecnych w pokoju nie próbował go powstrzymać.

– Poddaję się – bełkotał Tadino. – Powiedziałem: przestań. Przestań, przestań, przestań!

– Myślałeś, że możesz mnie wyruchać, bo nie mam jadeitu? – Ru uderzył przeciwnika po raz kolejny, raniąc sobie knykcie dłoni o jego zęby. – Chciałeś wyruchać moją rodzinę i klan Bez Szczytów?

Właściwie nie chciał zabić Tadina, ale zawładnęły nim adrenalina i sprawiedliwe oburzenie. Dopilnuje, by jego przeciwnik dostał to, na co zasłużył. Uczyni z niego wiadomość, której nawet Kobenowie nie będą mogli błędnie zinterpretować. Mógł być kamiennooki, ale nie był słabym ogniwem w swojej rodzinie. Był synem swojego ojca. Nie cofnie się przed żadną walką i nie pozwoli, by go wykorzystywano. Żaden Kaul nigdy nie pozwoli się wyruchać.

Bero widział w życiu wiele okropności, ale, to co wydarzyło się w następnej chwili, nigdy nie miało zniknąć z jego pamięci. Tadino wpadł w panikę, przekonany, że przeciwnik pobije go na śmierć. Rozpaczliwie próbował zepchnąć z siebie Ru, popychając jego klatkę piersiową i biodra. Nagle dotknął poluzowanego karambita za pasem Ru. Złapał raptownie za rękę i ciął na oślep przeciwnika. Ostrze wbiło się w szyję Ru.

Przez mgnienie oka nikt nie rozumiał, co się stało. Obaj mężczyźni gapili się na siebie w szoku. Krew spływała na koszulę Ru i na leżącego pod nim przeciwnika. Zdumiony młodzieniec złapał się za szyję i upadł na bok, otwierając i zamykając usta. Z ust Juni wyrwał się stłumiony krzyk. Zszokowany Dano osunął się na podłogę.

– O kurwa – wyszeptał Koben Ashi. – Kurwa mać.

Pięść z Góry opadł na kolana i zacisnął dłonie na szyi Kaula, próbując w niego Przenosić, ale nic to nie dało. Cięcie było czyste i głębokie, a Koben nie był lekarzem zielonej kości. Bero patrzył w przerażone oczy chłopaka i widział, że odpływa z nich życie.

Tadino cofał się na rękach i kolanach, nadal trzymając w dłoni karambit. Jego twarz zmieniła się w czerwoną miazgę. Nos miał złamany, a wargi poszarpane, ale podbite oczy omiatały pomieszczenie w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca. Wreszcie spojrzały błagalnie na Bera. Tadino otworzył usta, pragnąc go prosić o pomoc, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Koben przykucnął. Jego dłonie i rękawy pokrywała lepka, czerwona krew.

– Co teraz zrobimy, Koben-jen? – zapytał z trwogą w głosie jeden z palców. – Jeśli filar klanu Bez Szczytów obciąży nas winą...

– Zabije wszystkich obecnych w tej sali – dokończył za niego Koben.

Tadino raz jeszcze spróbował ucieczki, ale był zbyt ciężko ranny, by pokonać więcej niż kilka metrów. Koben rzucił Odbijanie i obalił barmana na podłogę, a potem złapał go za szyję, trzymając go na odległość wyciągniętej ręki, jak gęś przed odcięciem głowy.

– Wybrałeś pojedynek na gołe pięści, a potem wyciągnąłeś karambit – oznajmił. – Skalałeś czystą klingę. Twoje życie jest warte mniej niż zero.

– Chciał mnie zabić – jęknął Tadino przez połamane zęby.

– Jestem Kobenem – wydyszał pięść. – Mój kuzyn jest cholernym dziedzicem klanu! Nie pozwolę, żeby wina spadła na mnie. Nie mogę na to pozwolić.

Spojrzał na ciało Kaula Ru, a potem na swoje palce. Bero nigdy dotąd nawet sobie nie wyobrażał, że potężne zielone kości mogą być tak przerażone i zdesperowane.

Dano leżał na podłodze, łkając i wymiotując. Juni podeszła do swego chłopaka. Jej makijaż rozmazał się od łez. Rozpaczliwie złapała go za ramię.

– Ashi, nie chcę umierać. Proszę, ucieknijmy razem. Ashi, kocham cię...

Koben z całej siły uderzył ją w twarz grzbietem dłoni. Padła na podłogę.

– Jeśli uciekniemy, mamy przejebane. – Koben przecesał włosy drżącą dłonią – Moja rodzina nam pomoże. Moja mama jest w Radzie Książęcej. Musimy udowodnić Kaulom, że nie mieliśmy nic wspólnego z tym syfem, jasne? Absolutnie nic.

Bero powinien był opuścić klub razem ze wszystkimi, dopóki miał szansę. Zawsze brakowało mu zdrowego rozsądku i normalnych ludzkich odruchów nakazujących oddalić się, dopóki to możliwe. Teraz jedyne wyjście blokowały palce Kobena i Bero, chcąc nie chcąc, musiał się przyglądać, jak pięść z Góry położył Tadina na podłodze i zaczął łamać mu kończyny.

Biorąc pod uwagę, że barman odniósł już ciężkie obrażenia w pojedynku, było zaskoczeniem, że wytrzymał tak długo. Krzyczał, miotał się i błagał o życie, ale po chwili nie mógł już się ruszać. Zmienił się w gapiący się w pustkę worek połamanych kości i powyginanych kończyn Wreszcie Koben skrzył mu kark.

Juni skuliła się przerażona, gdy jej chłopak odwrócił się od szczątków Tadina i podszedł do niej.

– Ashi, błagam, nie – jęknęła. Po jej twarzy spływały łzy, mieszające się z tuszem do rzęs. – Chciałam, żebyś był o mnie zazdrosny, bo cię kocham. Czy już mnie nie kochasz?

Koben objął szyję dziewczyny obiema dłońmi i zacisnął je z całą Siłą, szybko pozbawiając ją życia.

– Co zrobimy z nimi? – zapytał jeden z palców, wskazując na Dana i Bera.

Dano leżał na podłodze. Strach doprowadził go do stanu bliskiego katatonii. Złał się w portki. Koben trącił go stopą.

– Byłeś kolegą Kaula, tak? Oddamy cię klanowi Bez Szczytów, niech oni zdecydują, co z tobą zrobić. – Pociągnął Dana do pozycji półsiedzącej i pochylił się nad nim. – Ale musisz im o wszystkim opowiedzieć. Widziałeś, co się wydarzyło, i musisz im zdać dokładną relację, jasne?

Koben po raz pierwszy spojrzął na Bera.

– A kim ty jesteś, do chuja?

Zapytany odwrócił głowę, przyglądając się ruinom Małej Persymony – krew i ciała, fragmenty połamanych mebli, smród szczyń i strachu. Wypełniła go ogromna, ziejąca pustka przypominająca suchy wiatr zawodzący w opuszczonym miasteczku. Młoda, nieruchoma twarz Kaul Ru kierowała się ku niemu, a jego martwe oczy wypełniały smutek i poważne zarzuty. „Pech” – zdawały się mówić. „Zawsze pech”.

– Jestem tylko stałym klientem baru – odpowiedział. – Nikim.

– Nikim – powtórzył Koben. Z jego ust wyrwał się lekko szalony chichot. – W porządku, panie Nikt, oto co musisz zrobić, jeśli chcesz żyć. Idź stąd i powiedz wszystkim prawdę, jasne? Latarnikom, policjantom, reporterom. Opowiedz im, co widziałeś. Nie podniosłem ręki na syna Kaul Hila, odkąd się dowiedziałem, kim był. Jego śmierci była winna bezklanowa hołota, taka sama jak ci, którzy stali za zamachem bombowym i zabili moją tatę. To był jeden z nich. Postarałem się, żeby cierpiał, zanim umarł, i zabiłem własną kobietę za współudział w tym czynie. Opowiedz o tym wszystkim, słyszysz? Uwierzą ci, bo jesteś nikim.

Ostatni raz, pomyślał Bero. Ostatni raz pech przerodził się dla mnie w uśmiech szczęścia.

– Jasne – zgodził się. – Rozumiem.

Rzeczywiście rozumiał, i to z niezwykłą klarownością. Chciało mu się umrzeć ze śmiechu i splunąć bogom w twarz po drodze do piekła. To nie potężny, mający swój cel los unosił go na prądach wiodących go do krainy cierpienia, by ocalić go w najmniej spodziewanym momencie. To był fakt, że nie miał znaczenia.

Splótł dłonie i dotknął nimi czoła, oddając honory.

– Powiem im, że to był pech dla wszystkich. Wyrok losu.

Opuścił Małą Persymonę niezatrzymywany przez nikogo, zszedł na dół po wąskich schodach i zniknął w mroku nocy.

ROZDZIAŁ 50

STRASZLIWE PRAWDY

Hilo obudził się nagle z niejasną świadomością, że coś – hałas albo jakaś niezwykła energia – pobudziło jego zmysły, kiedy spał. Niepokój narastał, gdy filar leżał w ciemności, rozszerzając Postrzeganie tak daleko, jak tylko mógł sięgnąć. Jednakże to nie jadeitowe zdolności przekonały go, że coś jest nie w porządku, lecz światło, które padło nagle na okna sypialni. Reflektory samochodu, który wjechał na teren posiadłości i ruszył w górę podjazdem.

Wstał z łóżka, nie budząc Wen. Zamknął cicho za sobą drzwi i zszedł na dół. Gdy dotarł do podstawy schodów, samochód był już na rondzie i jego superczułe Postrzeganie wykryło w środku czterech mężczyzn. Jednym z nich był jego kuzyn Anden. Hilo otworzył drzwi i zobaczył dwa klanowe palce wysiadające z zaparkowanego samochodu. Nie ruszyły w stronę domu, lecz zatrzymały się przy pojeździe, strzegąc zgarbionej postaci na tylnym siedzeniu. Anden sam wyruszył na spotkanie filaru. Ten szczegół natychmiast uświadomił Hilowi, że wydarzyło się coś strasznego, nim jeszcze ujrzał twarz kuzyna.

Z upływem lat wszyscy członkowie klanu i obserwatorzy jego poczynań uświadomili sobie, że doktor Emery Anden ma dostęp do ucha filaru. Kaul Hilo ufał swojemu kuzynowi być może bardziej niż komukolwiek innemu. Jeśli trzeba było porozmawiać z filarem na jakiś szczególnie trudny albo drażliwy temat, Anden najlepiej nadawał się do tego zadania. Dlatego kilka sekund, które minęły, nim jego kuzyn dotarł do wejścia, dało Hilowi czas na przygotowanie się na to, co mogło spowodować wizytę Andena w samym środku nocy. Gdy ujrzał w żółtym świetle jego zrozpaczoną twarz, nie powiedział nic, a tylko odsunął się na bok. Jego kuzyn wszedł do środka, nie odzywając się ani słowem. Hilo zamknął drzwi i się odwrócił.

Anden nie usiadł ani nie zdjął butów. Stał w korytarzu, patrząc na filar. Twarz miał wynędzniałą, a oczy opuchnięte. Choć to jemu zlecono przyniesienie

wiadomości, nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

– Hilo-jen... – zaczął.

Przecucie żałoby zalało filar niczym fala uderzająca o brzeg.

– W porządku, Andy. Powiedz to, co musisz powiedzieć.

Nieoczekiwana łagodność tych słów uderzyła Andena niczym potężny cios. Zatoczył się do tyłu, ale ucisk w gardle ustąpił.

– Ru zginął w pojedynku.

Hilo zamrugał. Gdy podłożono bombę i budynek Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego zwałił się mu się na głowę, wrażenie nie przypominało niczego, co przedtem przeżył czy choćby mógł sobie wyobrazić. Grunt pod jego stopami się rozstał. Przez chwilę czuł nieważkość, a potem nagła ciemność i nacisk tak silny, że ledwie był w stanie się poruszać, oddychać, a nawet myśleć.

To, co czuł teraz, było podobne, choć wydarzyło się niedostrzegalnie i bezgłośnie. Nagła katastrofa – niema, osobista i ostateczna. Jedynym, co pozwoliło mu zachować kontakt z rzeczywistością, był widok stojącego przed nim Andena. Smutek jego kuzyna łatwo było wyczuć, ale robił, co tylko mógł, by go ukryć i nad nim zapanować, żeby dodatkowo nie pogarszać sytuacji filaru.

Hilo zrobił trzy kroki do wnętrza salonu i przytrzymał się oparcia kanapy. Opierał się o nie, aż wreszcie odzyskał równowagę na tyle, że mógł spojrzeć kuzynowi w twarz.

– Opowiedz mi, co się stało.

Anden usiadł na skraju fotela, zwracając się twarzą w stronę Hila, i powtórzył mu wszystko, co wiedział. Dyżurował pod telefonem, ale zasnął w swoim mieszkaniu, gdy usłyszał sygnał wzywający go do szpitala. Spodziewał się, że to zwyczajny nagły przypadek, i z pewnością przeżył straszliwy szok, gdy się dowiedział, że pięści z Góry przywiozły ciało jego kuzyna. Mimo to mówił spokojnie i rzeczowo. Kiedy skończył, wstał i drżącymi dłońmi nalał sobie najmocniejszej hoji w barku.

Przez cały ten czas Hilo słuchał go, nie odzywając się ani słowem. Cierpiał znacznie gwałtowniej niż po śmierci brata albo kuzynów, ale jakaś mała świadoma część jego mózgu pamiętała, że Wen nadal śpi w ich sypialni na górze, i tylko to powstrzymywało go przed padnięciem na podłogę i wyciem jak zwierzę.

– Wierzysz w tę historię? – zapytał wreszcie.

Hilo doskonale wiedział, że przy wystarczająco silnej motywacji można manipulować przebiegiem pojedynku czystej klingi i zaaranżować morderstwo. Jednakże, choć zadawał sobie gorączkowo pytanie: „Kto musi umrzeć?”, nie dostrzegał logiki w poczynaniach nieprzyjaciela. Śmierć Ru nic nie dawała Górze, a tym bardziej gangom *barukanów* albo paczkom czy komukolwiek

innemu. Ru nie był zieloną kością ani dziedzicem klanu. Nikomu nie stał na drodze. Był tylko synem Hila.

– Facet, który siedzi w samochodzie, jest kolegą Ru z college’u. Nosiłem jadeit, kiedy rozmawiałem z nim, a także z Kobenami, i nie Postrzegłem żadnego kłamstwa. Ale nie twierdzę, że nie było podstępu, Hilo-jen. Ludzie Lott Jina przeprowadzą niezależne przesłuchania i dochodzenia. Jeśli jest w tym jakaś tajemnica, z pewnością ją odkryją. Mogę tylko powiedzieć, że na podstawie tego, co wiemy dotąd, wydaje się... – Przełknął z wysiłkiem ślinę, zanim spojrzał filarowi w oczy. – W tej chwili wygląda na to, że to był wypadek. Będę błagał o śmierć, jeśli się mylę.

Hilo miał wrażenie, że świat na zewnątrz zamarł w całkowitym bezruchu. Okrążył kanapę, przeszedł obok Andena i ruszył ku schodom. Po drodze położył ciężką dłoń na ramieniu kuzyna.

– Dziękuję ci, Andy – zdołał powiedzieć cicho.

Potem wszedł na piętro, by obudzić żonę i powiedzieć jej, że ich syn nie żyje.

* * *

Cały Janloon czekał na krwawą jatkę. Jeśli chodziło o zemstę, na Kaul Hiloshudona zawsze można było liczyć. Po śmierci syna z pewnością będzie musiał dokonać na kimś straszliwego odwetu. Jaya wróciła z Toshonu z dwunastoma swoimi palcami i po powrocie rozmawiała z wieloma spragnionymi działaniami zielonymi kośćmi, nim padła na kolana przed ojcem.

– Tato, powiedz nam, kogo mamy zabić, a zrobimy to! – błagała ze łzami.

Nikt nie potrafił jej odpowiedzieć. Ru oferował czystą klingę. Ludzie z klanu Bez Szczytów nie znaleźli żadnych dowodów na to, że Góra czy ktokolwiek inny zaplanowali jego śmierć. Studenta, który wybrał się z nim do klubu, przesłuchiowano tyle razy, że był bliski załamania nerwowego. Jego wersję potwierdził anonimowy świadek, który rozmawiał z policją. Na prośbę Shae Hilo oszczędził Dana, którego jedyna wina polegała na tym, że okazał się niegodnym zaufania przyjacielem. Choć Ruch Bezklanowa Przyszłość mógł być pośrednio odpowiedzialny za to, co wydarzyło się w Małej Persymonie, nie było żadnych dowodów na istnienie zakrojonego na szeroką skalę spisku wywrotowców. Po latach nieustannych prześladowań i utracie zagranicznego wsparcia RBP był bliski upadku. Plan Tadina, mający sprowokować wojnę klanów, był ostatnim, rozpaczliwym gestem.

Dzień po tragedii filar zamknął się w gabinecie z prognostyczką i swym kuzynem Andenem. Wyszli po kilku godzinach. Wszyscy mieli zaczerwienione oczy i przygnębione miny. Hilo wydał klanowi rozkazy. Dopóki nie wyjaśni się

ostatecznie okoliczności śmierci Ru, nie będzie żadnych odwetowych ataków na Górę, szeptania imion ani rozlewu krwi bez aprobaty filaru. Jasno dał do zrozumienia, że jego rozkazy mogą się jeszcze zmienić, ale na razie trzeba je wykonywać. Wszyscy w klanie wiedzieli, że to doradcy filaru, rozsądni i opanowani nawet w chwili takiej jak ta, byli odpowiedzialni za tę decyzję.

Rankiem w dzień pogrzebu Ru radczyni Koben Tin Bett przybyła do posiadłości Kaulów z kilkoma członkami rodziny. Tęga, dostojna wdowa miała już ponad sześćdziesiąt lat, ale jej kariera polityczna nadal się rozwijała, pomimo niedawnych zatargów z filar Góry. Miała na sobie biały szal i posypała twarz białym, żałobnym pudrem. Towarzyszył jej Ayt Ato, który wreszcie ukończył college i niedawno zaręczył się z kobietą z rodziny Temów. Hilo zgodził się wyjść z domu i przyjąć gości na dziedzińcu, razem z rogiem i prognostyczką.

– Kaul-jen – zaczęła radczyni, oddając mu honory głębokim ukłonem. W jej głosie nie słyszało się typowego dla niej tonu macierzyńskiej wyższości. Sprawiała wrażenie podenerwowanej i obracała w palcach koniuszek szala. – Twoja strata wypełnia moje serce bólem. Nasze klany i rodziny w przeszłości były przeciwnikami, ale utrata bliskiej osoby jest czymś uniwersalnym. Przyjmij, proszę, najszczerze kondolencje od rodziny Kobenów.

Ayt Ato podążył za jej przykładem, z powagą oddając honory Hilowi. Odchrząknął. Kiedy nie było kamer, sprawiał wrażenie, że nie wie, w którym miejscu stanąć i w którą stronę się zwrócić. Zanim zaczął mówić, zerknął nerwowo na strażników z klanu Bez Szczytów.

– Kaul-jen, wolałbym, żebyśmy się spotkali w innych okolicznościach. Moja ciotka, Ayt Mada, prosiła, bym przekazał ci, że przysięga jako filar, że przesłuchała mojego kuzyna oraz jego ludzi i przekonała się, że nie mieli zamiaru doprowadzić do tej tragedii.

Trzej wymienieni mężczyźni, Koben Ashi i jego palce, podeszli do Hila i padli przed nim na kolana. Głowy mieli owinięte bandażami. Opuścili wzrok i unieśli ręce, w których trzymali czarne, drewniane szkatułki.

– Kaul-jen – zaczął Koben Ashi. – Błagam o wybaczenie. Nie zdołałem uratować twojego syna przed knowaniami bezklanowych psów, pragnących doprowadzić do upadku obu naszych rodzin. Mam nadzieję, że świadomość, że zabójca twojego syna cierpiał straszliwie, nim położyłem kres jego życiu, przyniesie ci choć trochę pocieszenia. Niemniej zasłużyłem na śmierć. Jeśli jednak w swej łaskawości oszczędzisz życie moje i tych niewinnych palców, przysięgam, że nie okażę litości naszym wspólnym wrogom.

Jego słowa zabrzmiały sztucznie i bezbarwnie. Z pewnością ćwiczył je starannie.

Przez twarz Hila przemknął cień znajomego uczucia. Błysk gniewu w oczach, nagły grymas ust. Przez chwilę obserwatorzy po obu stronach myśleli, że może wyciągnąć karambit i zabić trzech klęczących przed nim mężczyzn. Czemu nie miałyby przy okazji wykończyć też Ayt Ata? Wszyscy ludzie na dziedzińcu wstrzymali oddech. Koben Ashi zadrżał, ale nadal wpatrywał się w ziemię. Czarna skrzynka w jego dłoniach również zadrżała lekko.

Cień przemocy szybko zniknął z oczu Hila. Kobenowie przyszli tu bez ochrony, ale liczyli na to, że filar klanu Bez Szczytów nie będzie chciał rzucić cienia pecha na pogrzeb syna. Hilo wziął w rękę szkatułkę z odciętym uchem Koben Ashiego. Przyjął też uszy obu palców.

– Niech bogowie opromienią swą łaską twoje miłosierdzie, Kaul-jen – wyszeptała radczyni Koben.

Wszyscy Kobenowie wycofali się tak szybko, jak na to pozwalały zasady dobrego wychowania. Na ich twarzach malowała się wyraźna ulga. Nie tylko strach przed odwetem klanu Bez Szczytów spowodował, że tak radykalnie odcięli się od incydentu i posunęli nawet do poniżenia się przed największym wrogiem klanu Góra. Ru był bezjadeitowym kamienookim i dopiero co ukończył dwadzieścia lat. Kobenowie chętni byli tym, że są wierną tradycji rodziną zielonych kości o wielkich wpływach politycznych, mającą w przyszłości objąć przewodnictwo nad klanem. Dowody, czy chociażby utrzymujące się podejrzenia, że złamali *aisho*, mogłyby poważnie zaszkodzić ich reputacji. Kaul Hilo, przyjmując ich gest, oczyścił ich z zarzutów, co przekonało wszystkich, że wojny nie będzie.

Każdy członek rodziny Kaulów wiedział, że nie taką decyzję pragnął podjąć Hilo. Ale tego właśnie chciałby Ru. Zawsze wspierał dobroczynność i twierdził, że klan Bez Szczytów powinien służyć dobru nie tylko klanu Bez Szczytów, lecz również całego Kekonu. Jego wiara była niezachwiana. Nigdy nie wątpił, że jego ojciec może wszystko. Nie chciałby, żeby z powodu jego śmierci skrzywdzono zwyczajnych ludzi. To położyłoby się cieniem na całym klanie.

* * *

Podczas pogrzebu Wen stała u boku męża i przyjmowała kondolencje od długiej kolejki żałobników. Wspierała się ciężko na lasce, ale nie przejmowała się już tym, że może okazać słabość. Była słaba. Po dwóch dobach nieprzerwanego czuwania ledwie trzymała się na nogach. Niemniej zrobi to. Wypełni ten straszliwy obowiązek razem z Hilem.

Ru zawsze wiedział, że ojciec go kocha. Hilo miał przynajmniej to. O sobie nie mogła tego powiedzieć. Gdyby mogła spędzić z synem jedną, ostatnią

minutę, prosiłaby go o wybaczenie, że była dla niego taka surowa przez wszystkie te lata. Powiedziałyby, że za każdym razem, gdy go krytykowała albo okazywała mu zniecierpliwienie, to była wyłącznie jej wina. Bała się o niego, bo był kamiennookim. Widziała w nim siebie i z jakiegoś wstydliwego powodu miała mu za złe, że nie okazał się dziedzicem, jakiego pragnęła dać Hilowi. A teraz go straciła i nigdy już nie będzie mogła mu powiedzieć, że jest z niego dumna. Ru zawsze uważał, że wszystko z nim jest w porządku, ale ona nie potrafiła mu tego dać. Był pewny siebie i szczodry. W przeciwieństwie do niej nigdy nie pozwolił, by ułomność go definiowała.

Wen nienawidziła siebie za to, że pozwoliła, by smutek wzbudził w niej pretensje do własnego męża. Zwłaszcza że nie poznawała Hila. Ciepło w jego oczach, jego ironiczny, chłopięcy uśmieszek, żywa energia jak u świecącej na niebie gwiazdy – wszystko to zniknęło niczym zdmuchnięty płomień świecy. Wydawał się teraz nieludzki, jak marmurowy posąg. Kiwał głową składającym mu kondolencje członków klanu, a od czasu do czasu powiedział ochryplym głosem jakieś słowo, ale na tym koniec.

Przesunęła powoli wzrokiem po pozostałych członkach rodziny. Wszyscy mieli na sobie białe żałobne szaty – do chwili, gdy spojrzała na swą osiemdziesięcioletnią teściową, która siedziała na plastikowym składanym krześle, opatulona w grube koce. Kaul Wan Ria sprawiała wrażenie całkowicie zagubionej w swoim świecie. Trudno było ocenić, czy w ogóle wie, co się dzieje. Na ten żałobny widok Wen załapało poczucie bliskości ze staruszką, wnikające aż do szpiku kości. Czemu by nie uciec od rzeczywistości, która była tak niesłychanie okrutna dla żon, sióstr i matek?

Wreszcie wszyscy żałobnicy odeszli. Na cmentarzu Niebo Czeka została tylko rodzina Kaulów. Było już późne popołudnie i temperatura szybko spadała. Zimny wiatr zawodził między drzewami w Parku Wdowy, szarpiąc za kapelusze i chusty. Wen miała ochotę wejść do otwartego grobu i dołączyć do syna na jego dnie.

Shae schyliła się i podniosła kilka pozostawionych na ziemi kwiatów. Wręczyła je Tii, która rzuciła kwiaty na zamkniętą trumnę. Prognostyczka pochyliła głowę.

– Lan ucieszy się, że spotka bratanka – wyszeptała. – Zaopiekuje się nim.

Hilo zacisnął pięści.

– Powiniennem był oddać chłopaka pod opiekę innej rodzinie, gdy tylko się urodził – rzekł ochryplym głosem, jakby odwykł od mówienia. Tylko stojące najbliżej Wen i Shae usłyszały jego gwałtowny szept. – Jakimś dobrym, nienoszącym jadeitu ludziom o nieznanym nazwisku. Jak mogłem skazać kamiennookiego na takie życie?

Wen wiedziała, że Hilo po prostu próbuje uwolnić się od bólu, ale jego słowa zraniły ją w samo serce.

– Wcale tak nie myślisz – wyszeptała.

Uświadomiła sobie, że nadal się boi. Bała się, że utraci Hila, że jej mąż zmieni się w kogoś nieznanego.

Śmierć Ru była bezsensownym zbiegiem okoliczności, którego można było uniknąć. Ta straszliwa prawda stała się już oczywista dla całej rodziny. Zielone kości mogły liczyć na to, że ich śmierć będzie miała jakiś sens. Oddawały życie za honor, za jadeit, za klanowe braterstwo. Ru od urodzenia był otoczony kulturą zielonych kości. Jej wartości nadawały kształt jego istnieniu, uczyniły jego duszę równie zieloną jak dusze innych członków rodziny. Ale nie był zieloną kością. A teraz zginął, bo zachował się tak, jakby nią był. Wen rozumiała to szaleństwo lepiej niż ktokolwiek inny.

– Wszystko zrobiłem źle – ciągnął Hilo cichym, pełnym bólu głosem. – Zachęcałem go, dałem mu tyle wolności, ile tylko mogłem, przekonałem go, że może dokonać wielkich rzeczy, osiągnąć wszystko, czego zapragnie. – Zamknął oczy. – To były kłamstwa. Jeśli otacza cię zieleń, nie możesz być wolny, bez względu na to, czy sam ją nosisz. Gdyby tylko... – Głos filaru załamał się nagle, jakby pękła krucha gałązka. – Gdyby tylko się nie pojedynekował. Gdyby tylko choć raz okazał się tchórzem.

Wen sięgnęła ku mężowi, choć dzieląca ich przepaść wydawała się ogromna i absolutnie ciemna. Dotknęła jego dłoni. W pierwszej chwili była ona bezwładna, ale potem jego palce zacisnęły się powoli na jej dłoni. Łzy wypełniły jej oczy i spłynęły w dół, zostawiając ślady na białym, żałobnym pudrze. Ru uwielbiał ojca. Nigdy nie mógłby być tchórzem. Walczył bez Stali, Postrzegania i innych umiejętności, które mogłyby uratować mu życie. I zwyciężył. Być może na tym właśnie polegała wielka tragedia zielonych kości i ich rodzin. Nawet kiedy wygrywamy, musimy cierpieć, pomyślała.

– Robi się późno – odezwał się łagodnym tonem Woon. – Powinniśmy już iść.

Gdy odwrócili się od rodzinnego grobowca, ujrzeli samotną postać, zmierzającą ścieżką ku nim. Anden wciągnął gwałtownie powietrze. Słońce świeciło zbliżającemu się mężczyźnie w plecy i przez kilka pierwszych sekund Wen nie widziała jego twarzy, choć rozpoznawała sylwetkę, sposób chodzenia i linię barków.

Niko miał na sobie czarny garnitur i białą apaszkę. Włosy miał dłuższe niż kiedyś, a jego twarz również się zmieniła. Była szczuplejsza i pokryta zarostem. W jego oczach pojawiło się coś w rodzaju powolnej, udręczonej miękkości,

której przedtem tam nie było. Kiedy opuścił Kekon, miał dwadzieścia lat, ale choć minęły tylko niespełna trzy, wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć.

Przeszedł obok nich i stanął na brzegu grobu brata. Łzy wypełniły mu oczy. Nie wycierał ich, ale pozwolił, żeby spłynęły po policzkach. Wen przypomniała sobie, że w dzieciństwie rzadko płakał i z reguły ukrywał się wtedy we własnym pokoju.

– Wybacz, Ru – wyszeptał. – Powiniennem być z tobą. Powinniśmy razem studiować. Myliłem się w bardzo wielu sprawach. Tak cholernie mi przykro.

Odwrócił się ku wpatrzonej w niego rodzinie, podszedł powoli do Hila i uklęknął przed nim.

– Wujku, nigdy nie będę takim dobrym synem jak Ru. Popełniłem... niewybaczalne czyny. Ale wróciłem do domu.

Wen nie widziała ich najstarszego dziecka od czasu kolacji po ukończeniu szkoły przez Ru. Tłumiąca wszystko żaloba, którą czuła od tygodnia, ustąpiła przed nagłym przypływem uczuć. Jej nogi poruszyły się bez udziału woli i podeszła do niego. Gdy na nią popatrzył, serce podeszło jej do gardła.

– Mamo – rzekł.

Uniosła rękę i spoliczkowała go mocno z dźwiękiem głośnym jak strzał.

Niko odwrócił twarz, ale się nie wzdrygnął. Na jego policzku pojawił się czerwony odcisk dłoni Wen.

Shae patrzyła na nią z wyraźnym szokiem. Nawet Jaya głośno krzyknęła.

– Trzy lata bez wizyt, telefonów czy listów. Bez niczego! – zawołała Wen.

Pierwszy kontrakt Nika z MRG wygasł przed dziesięcioma miesiącami, ale nikt w rodzinie nie otrzymał od niego żadnych wiadomości. Nikt nie wiedział, co robił przez cały ten czas.

– Zasłużyłem na to – wymamrotał Niko. – Kiedy uciekłem, myślałem tylko o sobie. Ru próbował mi to wytłumaczyć, ale ja... – Jego twarz wykrzywiła się w grymasie tłumionych dotąd emocji. Nie mógł dokończyć zdania. Z wysiłkiem wziął się w garść i skierował wzrok na Hila.

Filar odwzajemnił to spojrzenie. Na jego twarzy malowały się sprzeczne, niemożliwe do odczytania uczucia. Niko splótł dłonie i uniósł je do czoła, oddając honory.

– Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem. Czy mi wybaczasz i znowu przyjmiesz jako swojego syna?

Nie czekając na odpowiedź Hila, Niko wy dobył z pochwy u pasa karambit. Zacerpnął tchu, żeby się wzmocnić, złapał za czubek lewego ucha i ciął nożem w miejscu, gdzie łączyło się z czaszką.

Hilo błyskawicznie wyciągnął rękę i chwycił Nika za nadgarstek. Obaj spojrzeli sobie w oczy nad ostrzem noża. Przez moment żaden z nich nie ruszał

się z miejsca. Krew spływała po twarzy młodszego mężczyzny, docierając do szyi i wsiąkając w koszulę. Drżał z bólu. Filar powoli zdjął palce bratanka z rękojeści i zabrał mu broń.

– Nigdy nie przestałeś być moim synem. – Wziął w dłoń garść włosów Nika i zacisnął pięść. Następnie pocałował go w czoło, uniósł apaszkę bratanka i przycisnął ją do uszkodzonego ucha. Na białej tkaninie szybko pojawiła się czerwona plama. – Wszyscy popełniamy błędy. Czasami straszliwe, z którymi ledwie możemy żyć. Ale uczymy się na nich i być może... – Jego głos załamał się nagle. – Być może potrafimy wybaczyć sobie nawzajem.

INTERLUDIUM 3

SZARŻA DWUDZIESTU

W ostatnim roku wojny wielu narodów Cesarstwo Szotaru polegało głównie na panowaniu nad Wschodnim Amarykiem, a okupowana wyspa Kekon była najważniejszą bazą dla jego sił. Z tego powodu Szarża Dwudziestu, sławne wydarzenie w historii wyspy, w opinii wielu ekspertów miała znacznie większe znaczenie dla przebiegu globalnego konfliktu, niż zwykle się uważa.

Atak Towarzystwa Jednej Góry na potężnie ufortyfikowaną szotarską bazę położoną blisko miejsca, gdzie obecnie znajduje się Lukang, okazał się niemal całkowitą katastrofą. Szotarscy szpiedzy poznali datę planowanego szturmu, pozbawiając atakujących przewagi zaskoczenia. Wojownicy zielonej kości natknęli się na ciężki ostrzał artyleryjski, a liczba obrońców była dwukrotnie większa, niż się spodziewali. Szotarczyzy pozostawili w bazie tylko niewielkie siły, a z resztą żołnierzy dokonali wypadu, wykorzystując przewagę liczebną, by okrążyć powstańców.

Gdy Kaul Dushuron uświadomił sobie, że jego ludzie wpadli w pułapkę i grozi im wycięcie w pień, zebrał dwadzieścia swych najlepszych zielonych kości – sam był jedną z nich – oraz sześćdziesięciu słabszych i mniej doświadczonych bojowników.

– To będzie prawdziwa próba naszego bractwa – oznajmił. – Tylko razem, w tym najstraszliwym momencie, możemy sięgnąć po moc nieba i zdobyć przychyłność bogów.

Sześćdziesięciu mniej potężnych wojowników z własnej woli oddało jadeit dowódcy oraz swym bardziej utalentowanym towarzyszą. Noszenie większej ilości zieleni, niż było w stanie znieść ciało, oznaczało narażenie się śmierć z powodu śwędziawki, ale w tej chwili względy zdrowotne nie miały znaczenia.

Owej nocy dwadzieścia wybranych zielonych kości skaleczyło się nożami w język, by przypieczętować pakt. Zaatakowali słabo bronioną szotarską bazę

z niezwykłą gwałtownością, demonstrując przy tym nadzwyczajne jadeitowe talenty. Ci, którzy przeżyli szturm, opowiadali później, że atakujący przeskakiwali przez mury, poruszali się tak szybko, że obrońcy nie mogli ich zobaczyć, i zabijali żołnierzy jednym dotknięciem, kule zaś odbijały się od nich. Dwadzieścia zielonych kości zniszczyło bramę i zabiło prawie trzystu ludzi, nim wszyscy padli. Rozszarpane ciało Kaul Dushurona powieszono później na wieży strażniczej.

Kilka szotarskich oddziałów pośpieszyło z pomocą zaatakowanej bazy. Kiedy wstał świt, zmęczeni żołnierze zobaczyli, że mają przeciwko sobie całą moc Towarzystwa Jednej Góry. Żołnierze – przekonani, że wszystkie zielone kości będą tak straszliwe i niemal nieśmiertelne jak dwudziestka wysłana w pierwszej fali – wpadli w panikę. Wielu z nich nie było nawet Szotarczykami, lecz Tuni, Uwiwanami i innymi kiepsko wyszkolonymi poborowymi z różnych części cesarstwa. Gdy nadszedł atak, poddali się albo uciekli.

Towarzystwo Jednej Góry poinformowało cały kraj o bohaterskiej Szarzy Dwudziestu dzięki tajnym nadajnikom radiowym, gazetkom oraz szeptanym wieściom przekazywanym przez sieć latarników. Po kilku dniach cały Kekon powstał przeciwko siłom okupacyjnym. Dwa tygodnie później dowództwo przeciążonej szotarskiej armii oficjalnie wycofało swe jednostki z Kekonu.

Na urządzonym z opóźnieniem oficjalnym pogrzebie Kaul Du jego pograżony w żałobie ojciec nie chciał wygłosić mowy. Zastąpił go Ayt Yugontin.

– Dobrych ludzi wspominają z miłością przyjaciele – oznajmił Włócznia Kekonu. – A wielkich wojowników wspominają z bojażnią wrogowie.

Ayt przyprowadził na mównicę dwóch małych synów bohatera oraz ciężarną wdowę po nim i oznajmił, że potomków Kaul Du zawsze będą darzyć łaską bogowie. Jego imieniem nazwie się nową szkołę sztuk walki, która będzie szkoliła zielone kości, by broniły Kekonu i dochowywały wierności jego dziedzictwu.

ROZDZIAŁ 51

TO WYSTARCZY

Lula opuściła wzrok, gdy zaprowadzono ją przed oblicze Ayt Mady. „Proszę, niech to będzie dzisiaj” – modliła się bezgłośnie. „Nie zniosę już tego dłużej”. Skryła się przed palącymi promieniami słońca w cienistej altanie i usiadła na swym zwykłym miejscu, splatając dłonie na kolanach. Uniosła na moment spojrzenie. Filar Góry narzuciła zielony szal, harmonizujący z jadeitem owijającym się wokół jej nagich ramion. Jak na sześćdziesięcioparoletnią kobietę była w znakomitej formie. Skórę miała pomarszczoną, ale nie obwisłą, a siwizna w jej włosach przechodziła w srebrne pasemka. Gdy jednak bruzdy wokół jej oczu się pogłębiły, wydała się Luli stara i przerażająca.

Ayt Mada skrzyżowała nogi i wygładziła zmarszczkę na płóciennych spodniach. Wzięła w rękę dzbanek, nalała do szklanki chłodnej miętowej herbaty i postawiła ją przed Lulą. Potem napełniła drugą szklankę dla siebie. Ten gest szacunku dla cenionego gościa wypełnił Lulę nagłą nadzieją. Zerknęła na wielki stos papierów, który przeglądała Ayt – liczne strony wypełnione gęstym tekstem, tylko tu i ówdzie zaznaczonym czerwonym mazakiem. To były zapisy setek godzin rozmów – telefonicznych i na oficjalnych spotkaniach – prowadzonych przez Artę Wylesa, prezesa koncernu Anorco Global Resources, dzięki urządzeniom podsłuchowym ukrytym przez Lulę w domu Espeńczyka.

– Jak się ma twoja rodzina, Lula? – zapytała filar.

– Bardzo dobrze, Ayt-jen – odpowiedziała cicho młoda kobieta. – Nowe lekarstwa pomogły matce, a teraz przychodzi też do nas pielęgniarka i moja siostra mogła wrócić do pracy. Czują się szczęśliwe w nowym domu. – Ayt Mada nie bez powodu przy każdym spotkaniu przypominała Luli, jak bardzo poprawiła się sytuacja jej rodziny. – Jak zwykle modlą się do bogów, by opromienili swą łaską klan Góra, i dziękują ci za twoją szczodrość.

– To tobie powinni dziękować – odpowiedziała rzeczowym tonem Ayt. Oparła się wygodniej i pociągnęła łyk ze szklanki. – Wszystko to zawdzięczają twojej pracy dla klanu. Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię – dodała ostrzejszym tonem. – Wiesz, że nie znoszę tej twojej udawanej skromności.

Lula zacisnęła usta i zmusiła się do uniesienia wzroku.

– Przepraszam, Ayt-jen. To zły nawyk.

Nauczyła się, że cudzoziemcy lubią, gdy udaje, że sama ich obecność wypełnia ją bojaźnią. W tej chwili jednak nie udawała. Jak mogła nie być podenerwowana w towarzystwie tej przerażającej kobiety, od której zależało wszystko w jej życiu?

– Czego się dowiedziałas od naszej poprzedniej rozmowy?

– Premier Waltor oficjalnie zaakceptował skład rządu – odpowiedziała Lula.

– Pod koniec miesiąca pan Wyles obejmie stanowisko sekretarza handlu zagranicznego.

– Czy to znaczy, że zrezygnuje z pozycji prezydenta i prezesa Anorco?

– Espeńskie prawo tego wymaga, żeby uniknąć konfliktu interesów. Ale zachowa pakiet kontrolny w konglomeracie i pozostanie emerytowanym prezydentem Stowarzyszenia Producentów Broni. Jeśli chodzi o operację „Pas Przeciwpozarowy”, mianuje swego keko-espeńskiego wspólnika, Jima Sunto, prezesem MRG i przekaze mu odpowiedzialność za kontrakt z Departamentem Wojny.

Filar skinęła głową.

– A co z umową z paczkami?

– Nadal będzie prał pieniądze dla paczki z Baker Street w zamian za dotychczasową działkę. Paczki nie przestaną kupować jadeitu od Anorco za gwarantowaną cenę, żeby odsprzedać go na czarnym rynku. W dodatku pan Wyles otrzyma podwyżkę comiesięcznej pensji, jaką dostaje za to, że jest wpływowym przyjacielem Jorena Gassona w Adamont Capita. – Wyles nigdy nie opowiadał jej o takich rzeczach, ale Lula sama domyśliła się wszystkiego. Podsluchiwała rozmowy z „Małym Jo”, pytała Wylesa o kolegów z dzieciństwa w Port Massy, a kiedy wybrali się do Marcucuo, zauważyła, że spotykał się z Espeńczykami w ciemnych garniturach, którzy zostawiali mu teczki wypełnione thalirowymi banknotami. – Zrobił się teraz ostrożniejszy. Nie chce, żeby jego związki z paczkami wyszły na jaw. Nie spotyka się ani nie rozmawia z Gassonem bezpośrednio. Nie chce, żeby widziano ich blisko siebie.

Espeńska prasa przedstawiała Arta Wylesa jako pobożnego prawdoność i self-made mana, który pochodził z biednej rodziny i wychowywał się w ubogiej dzielnicy Por Massy, ale doszedł do pieniędzy i władzy dzięki biznesowym talentom i trafionym inwestycjom. Lula, która z konieczności dowiedziała się

o nim wszystkiego, czego tylko mogła, przekonała się ze zdziwieniem, że Espeńcyzy chcą wierzyć w tę bajeczkę, a przynajmniej starannie ignorują wszelkie przeczące jej fakty oraz pogłoski.

Kecońcyzy wiedzieli, że nikt nie może zrobić kariery, jeśli nie znajdzie patrona i nie zapewni sobie ochrony. Wyles zawdzięczał swe wczesne sukcesy paczce z Baker Street – największej, najbogatszej i mającej najlepsze koneksje wśród polityków organizacji przestępczej w całej Republice Espenii. Ayt Mada nie była tego pewna, kiedy znalazła Lulę i doprowadziła do jej spotkania z oligarchą. Odkrycia kurtyzany nie zaskoczyły jej, ale potrzeba było lat, by zdobyć nagrania, które uczynią tę wiedzę użyteczną.

Dłoń Luli zadrżała. Kostki lodu w szklance zagrzechotały, gdy pociągnęła łyk chłodnej herbaty, by złagodzić ucisk w żołądku. Za każdym razem, gdy odwiedzała rezydencję Ayt Mady, by złożyć raport, żegnały ją te same słowa:

– Nadal nie mamy tego, czego potrzebujemy. Musisz tam wrócić i dowiedzieć się więcej.

Wracała raz po raz, by nadal być kochanką cudzoziemca. Brała mu do ust, wpuszczała do cipki i do odbytu. Udawała, że ją to zachwyca. Że go kocha. Nauczyła się biegle kłamać po espeńsku, szeptała mu, że jest najlepszym kochankiem, jakiego miała w życiu, że uśmiechnęło się do niej szczęście i czuje się wdzięczna za to, że zauważył ją i uczynił swoją kobietą, dawał jej tyle wspaniałych rzeczy i tak dobrze ją traktował. Towarzyszyła mężczyźnie czterdzieści lat starszemu od niej w biznesowych podróżach i nocowała z nim w pięciogwiazdkowych hotelach. Umieszczała podsłuchy w jego domach w Marcucuo i w Karandi – ale nie w Espenii, bo tam miał żonę i rodzinę, a także drugą kochankę, więc nie mógł pokazać się z nią w tym kraju. Udawała, że nawróciła się na wiarę prawdonośców i chodziła z Wylesem na nabożeństwa, powtarzając cudzoziemskie słowa wyrażające cześć dla cudzoziemskiego Boga i jego Wieszcza. Skłaniała go do snucia opowieści o swych przyjaciołach, interesach i ambicjach politycznych. Udawała, że ma trudności z espeńskim i nie rozumie wielu rzeczy, o których mówi. Dlatego rozmawiał przy niej o nich bez zahamowań, jakby była jego kotem.

Kiedy Wyles opuszczał Kekon, Lula mogła udawać, że jest wolna. Brała lekcje śpiewu i marzyła o tym, że pójdzie do college'u i pewnego dnia zdobędzie prawdziwą pracę jako nauczycielka muzyki. Mogła być z Sumi i wyobrażać sobie wspólną przyszłość. Sumi opłakiwała pułapkę, w jakiej się znalazły, i obiecywała, że na nią zaczeka, ale Lula wiedziała, że niczyja cierpliwość nie jest niewyczerpana. Za każdym razem, gdy dzwonił cudzoziemiec i wzywał ją do swojego domu, ich krucha iluzja wolności pękała.

W końcu zadała pytanie, którego się bała.

– Czy to wystarczy, Ayt-jen?

Filar Góry spojrzała na leżącą przed nią stertę dowodów, jedną z wielu podobnych, jakie Lula zdobyła dla niej przez wszystkie te lata.

– Czy to mi wystarczy? – Spojrzała z głęboko zamyśloną miną na idealnie spokojne stawy i starannie ułożone kamienie swego ogrodu. – Czy cokolwiek mogłoby wystarczyć? – Przeniosła spojrzenie na Lulę i zatrzymała je na niej, jakby dziewczyna była umiarkowanie interesującą rzeźbą. – Ile masz lat?

– Dwadzieścia cztery, Ayt-jen.

Kiedy Wyles ją odkrył, miała siedemnaście.

Przez twarz filar Góry przemknęło jakieś uczucie, którego Lula nie rozumiała do końca. Nostalgia? Litość?

– Nadal jesteś młoda – stwierdziła Ayt-jen. – Ciesz się tym, dopóki możesz.

Ayt Mada nigdy nie zbliżyła się bardziej do wyznania, że rozumie jej poświęcenie. Lula przez siedem lat była kurwą cudzoziemca i białym szcurem pracującym dla Góry. Podejrzewała, że jako jedyna z licznych agentów klanu składała meldunki bezpośrednio Ayt Madzie. Z pewnością był to wielki zaszczyt. Była też wdzięczna za to, co Góra dała jej rodzinie. Mimo to nienawidziła Ayt z cichą rezygnacją, z jaką królik nienawidzi myśliwych.

Ayt Mada skinęła na jednego ze strażników i kazała mu przynieść telefon.

– Dobrze się spisałaś, Lula – oznajmiła. – Mam wszystko, czego potrzebowałam. Nie musisz się obawiać, że cudzoziemiec znowu do ciebie zadzwoni.

Lula padła na kolana i dotknęła czołem drewnianej podłogi altany.

– Dziękuję, Ayt-jen – wykrztusiła przez łzy. Usiadła i oddała honory drżącymi dłońmi. – Niech bogowie opromienią cię swą łaską.

Strażnik wrócił i wręczył Ayt Madzie bezprzewodowy telefon. Filar Góry nie patrzyła już na młodszą kobietę. Wybrała numer, przerzucając kartki małego notesu. Płacząca kurtyzana równie dobrze mogłaby nie istnieć. Lula wstała i wycofała się z altany, opuszczając ją po raz ostatni. Zdążyła jeszcze usłyszeć głos Ayt Mady:

– Iwe-jen, pora już, byśmy podjęli zaplanowane kroki.

ROZDZIAŁ 52

KONIEC POSZUKIWAŃ

Dwudziesty szósty rok, piąty miesiąc

Niko wszedł do rudery w dzielnicy Pralnia i zmarszczył nos, czując zapach moczu na klatce schodowej. Nawet najbiedniejsze dzielnice Janloonu nie były aż takie złe jak niektóre miejsca, jakie odwiedził podczas swych podróży po świecie, ale i tak prawie wszyscy ich unikali, w tym również zielone kości. Było tam za ciemno, by widzieć zieleń, jak mawiano. W tym przypadku dosłownie, bo żarówki na klatce schodowej były przepalone.

Dwie zielone kości, które filar przydzielił mu jako strażników, podążyły tuż za Nikiem na pierwsze piętro. Znalazł pokój, którego szukał, i zapukał do drzwi. Nikt mu nie odpowiedział, ale wyczuwał, że w środku ktoś jest. Zapukał jeszcze raz.

– Idź sobie – rozległ się niewyraźny głos po drugiej stronie.

W drzwiach nie było zamka, więc Niko popchnął je i wszedł do środka. Na wytartym dywanie przed rozlatującą się kanapą leżał mężczyzna w średnim wieku, ubrany w szorty i brudną koszulkę. Oglądał telewizję w małym lampowym aparacie ustawionym na odwróconej do góry dnem drewnianej skrzyni. Pozbawione okien pomieszczenie wypełniał odór pleśni i starego piwa. Na podłodze leżało kilka pustych butelek po alkoholu. Mężczyzna obrzucił Nika nieprzyjaznym, pozbawionym zainteresowania spojrzeniem.

– Jesteś Betin Rotonodun? – zapytał Niko.

Pijak wykrzywił w grymasie połowę twarzy. Druga połowa pozostała nieruchoma.

– Nikt mnie tak nie nazywa – zachnął się. Odwrócił twarz i pociągnął łyk piwa z butelki, którą trzymał w dłoni. – Kim, kurwa, jesteś? Pracujesz dla rządu?

– Jestem z klanu Bez Szczytów – odpowiedział Niko. – I chcę ci zadać kilka pytań.

To przyciągnęło uwagę mężczyzny. Wyprostował się nagle i przyjrzał Nikowi z uwagą. Na widok długiego naszyjnika z jadeitowych paciorków na szyi gościa wybałuszył oczy, aż zrobiły się wielkie jak owoce liczi.

– Jesteś... – Mężczyzna zamrugał dwa razy i oblizał wargi. – Jesteś z rodziny Kaulów.

Niko skinął na swoich strażników, rozkazując im zostać na korytarzu. Podeszedł do telewizora i wyłączył go. Zauważył stołek ze schodkiem stojący pod ścianą, przyciągnął go i usiadł, zwrócony twarzą do lokatora pokoju, który nadal leżał na podłodze, gapiąc się na niego z niedowierzaniem.

– Trudno cię było znaleźć, panie Betin.

– Bero – poprawił go ostrym tonem mężczyzna. – Nigdy nie używam tego nazwiska i nie jestem nic winien skurwysynowi, po którym je odziedziczyłem. Skąd o tym wiesz? – Jego serce przyśpieszyło nagle. Nawet Niko to Postrzegają. Mężczyzna nie sprawiał jednak wrażenia przestraszonego. Był zaniepokojony, być może podekscytowany. – Wiesz, kim jestem? – zapytał.

Niko skinął głową. Wyjął z kieszeni dyktafon cyfrowy i położył go na brzegu skrzyni, obok telewizora.

– Jesteś Sum. Byłeś agentem espeńskiego wywiadu wojskowego, który przez kilka lat dostarczał mu informacje o działalności Ruchu Bezklanowa Przyszłość, aż do chwili zamachu na budynek KSJ. Potem zniknąłeś bez śladu, więc zakładam, że dali ci nową tożsamość. Ale użyłeś prawdziwego nazwiska, by wystąpić o rządową pomoc. Dzięki temu dowiedziałem się, że wróciłeś do Janloonu.

Bero gapił się na niego ze zdumieniem. Niko nie mógł mieć do niego pretensji. Od zamachu minęło już dwanaście lat. Ruch Bezklanowa Przyszłość nadal istniał, lecz zostały z niego tylko żałosne resztki. Trwająca dziesięciolecia powolna wojna pochłonęła mnóstwo środków finansowych oraz ofiar w ludziach podczas konfliktów na całym świecie, ale nie przyniosła rozstrzygnięcia i zapadała teraz w stan uśpienia. Ygutani nie prowadził dalszych działań zaczepnych i obie strony wynegocjowały wycofanie się z zagranicznych konfliktów. Były agent zapewne doszedł do wniosku, że nikt nie będzie go szukał. Nawet espeński rząd najwyraźniej zgadzał się z tą opinią, ponieważ po dziesięciu latach odtajnił większość dotyczących go dokumentów.

Klan Bez Szczytów miał jednak długą pamięć i nie zwykł wybaczać. Ciotka Shae wydała Nikowi niezwykle polecenie. Miał wykorzystać odtajnione informacje do uzyskania od naocznych świadków relacji o tajnych poczynaniach wywiadu RE na Kekonie przed zamachem i zaraz po nim. Przydzieliła mu paru

ludzi do pomocy, ponieważ oboje wiedzieli że ta misja będzie wymagała sprawdzania mnóstwa fałszywych tropów. Niko zdawał sobie sprawę, że prognostyczka poddaje go próbie, ale nie przejmował się tym. Czasochłonna, metodyczna, nieprzyciągająca niczyjej uwagi praca detektywa bardzo mu odpowiadała.

Niestety, po sześciu miesiącach nadal nie zdobył wystarczająco wielu dowodów, by potwierdzić podejrzenia Shae. Dwaj wytropieni przez niego emerytowani agenci wywiadu wojskowego nie chcieli rozmawiać z fałszywym reporterem, którego do nich wysłał. Espeński wywiad nadawał swym informatorom kryptonimy. Czasami udawało mu się ustalić ich tożsamość, ale większości nie zdołał odnaleźć. Dane Suma zawierały kopię nakazu aresztowania za antyklanowy wandalizm, którą można było porównać z bazą danych janlońskiej policji, ale tylko łut szczęścia sprawił, że prawdziwe nazwisko Bera niedawno znowu się pojawiło w rządowym systemie i to wyłącznie dlatego, że jego posiadacz był bezrobotnym alkoholikiem żyjącym z zasiłku.

– Opowiedz mi o swojej pracy dla Espeńczyków – zażądał Niko. – Tak szczegółowo, jak to tylko możliwe.

Bero milczał przez niemal minutę. Wreszcie parsknął głośnym, ochryplym śmiechem, pełnym zachwytu i niedowierzania.

– I to wszystko?

– Zapłacimy ci, jeśli o to pytasz.

Niko wyjął kopertę z kieszeni na piersi i położył ją obok dyktafonu. To było marnowanie klanowych pieniędzy. Był pewien, że ten człowiek wyda wszystko na alkohol, do ostatniego dnia.

Bero spojrział na kopertę, a potem na niespodziewanego gościa. Na jego zniekształconej twarzy pojawił się dziwny wyraz nieco szalonego zapału. Usiadł prosto i wypuścił z płuc cuchnący oddech zadowolenia.

– Jasne, keke, jasne. Opowiem ci wszystko.

– Świetnie. – Niko włączył nagrywanie. – Czy znałeś mężczyznę nazwiskiem Vastik eya Molovni?

* * *

Po powrocie do Janloonu Niko nie liczył na to, że klan powita go z radością. Rzeczywiście tak się nie stało. Zarówno w klanie, jak i poza nim było wielu niezadowolonych, którzy mówili z niechęcią, a niekiedy z oburzeniem, że wrócił dlatego, że zabrakło mu pieniędzy, że jest zagranicznym agentem, który znowu

zdradzi rodzinę, że ma potajemną kochankę i nie może się z nią ożenić, dopóki nie odzyska pozycji w klanie. Krążyło też wiele innych teorii.

Niko nie mógł nic zrobić w sprawie okrutnych plotek. Musiał po prostu jakoś znosić pomówienia i nie pozwolić, by na niego wpłynęły. Nałożył na siebie najcięższą pokutę, jaką potrafił sobie wyobrazić, w jego opinii znacznie gorszą niż obcięcie ucha. Zgodził się udzielić wywiadów dla telewizji, radia oraz prasy. Szczerze opowiedział w nich o swych decyzjach odejścia i powrotu. Wielokrotnie przeproszał z pokorą, że zranił i zawiódł rodzinę oraz klan, zapewniał też, że od tej pory będzie robił wszystko, co w jego mocy, by okazać się dobrym synem i potencjalnym dziedzicem.

Pogrążeni w żałobie rodzice początkowo nie pomagali mu zbyt wiele. Filar oficjalnie zaakceptował jego powrót do klanu, ale poza tym trzymał się od niego na dystans. Jeśli chodzi o matkę, nie liczył na to, że kiedykolwiek mu wybaczy. Nie było go tu, gdy Ru potrzebował jego obrony.

Mimo to nie dawał za wygraną. Gniewne szeptki jego przeciwników z czasem umilkną, pod warunkiem, że będzie trzymał głowę nisko i dowiedzie czynem szczerości swoich intencji. Zrobił to, co sugerował mu kiedyś Ru, i rozpoczął studia wieczorowe na Królewskim Uniwersytecie Jan, powoli zmierzając ku dyplomowi z ekonomii i zarządzania organizacyjnego. Przez dwa lata pracował też wieczorami po militarnej stronie klanu. O ironio, szkolenie i doświadczenie jakie zawdzięczał służbie w MRG, dodały mu pewności siebie, a jego motywacja również się zmieniła. Wystarczyło sześć miesięcy, by awansował na pięść, co położyło kres pytaniom, czy jego poprzednie słabe osiągnięcia brały się z braku umiejętności.

Z błogosławieństwem ciotki Shae stał się też cieniem pierwszego szczęściodawcy Terun Bina, by lepiej poznać tę stronę klanu, która miała siedzibę na Statkowej. Wkrótce potem prognostyczka zaczęła zlecać mu zadania. Jednym z nich był ten projekt poszukiwania starych okrucich prawdy. Niedawno zaczął uczęszczać na spotkania ciotki z latarnikami i innymi udziałowcami klanu.

W ciągu trzech lat, jakie minęły od jego powrotu do Janloonu, Niko z determinacją robił wszystko, czego można było od niego oczekiwać, a nawet więcej.

– Kiedyś byłeś okropnie zarozumiały. Ciągle chciałeś ignorować zasady i robić wszystko po swojemu. A teraz zrobiłeś się pracowity jak mrówka. Wydaje się, że nigdy nie śpisz – zaważyła pewnego razu Jaya, nieoczekiwanie okazując mu siostrzane zainteresowanie. – Co się z tobą stało?

– Nie jestem już kapryśnym nastolatkiem. Dorosłem i zmienił mi się punkt widzenia, Jaya, To wszystko.

To była płytka odpowiedź. Prawda była bardziej skomplikowana i nie miał pewności, czy potrafi ją kiedykolwiek wyjaśnić. Opuścił Kekon w poszukiwaniu czegoś nieokreślonego. Poczucia własnego ja, niezależnego od członkostwa w klanie. Odpowiedzi na dręczące go pytanie, kim mógłby się stać, gdyby wujek nie zabrał go od rodzonej matki i nie uczynił pierwszym synem rodziny Kaulów. Kiedy podjął decyzję o zaciągnięciu się do MRG, był przekonany, że cudzoziemcy mają rację, twierdząc że brutalna i przestarzała tradycja zielonych kości odróżnia je od całej reszty świata.

Teraz wiedział lepiej. Jadeit, krew i okrucieństwo były wszędzie.

Po opuszczeniu MRG wędrował po świecie bez żadnego określonego celu, kierował się tam, gdzie prowadziło go poczucie winy i niejasny lęk, że skalało go złamanie *aisho* i nigdy nie będzie mógł wrócić do domu z obawy, że sprowadzi ze sobą niełaskę bogów. Skierował się na wschód, na drugi koniec kontynentu Orius, i spędził dwa miesiące w stepenlandzkim mieście Lybon, w nadziei, że odkryje jakąś więź z miejscem swoich narodzin. To było przyjemne miasto, ale zupełnie mu obce. Rzadko można tam było spotkać Kekończyka. Nie odkrył żadnej więzi.

Opuścił Stepenland i udał się do Karandi, a potem do Speniusa i w końcu na południe, do Alusiusa. Po drodze podejmował się dorywczych prac, choć raczej po to, żeby czymś się zająć, niż dlatego, że rzeczywiście potrzebował pieniędzy. Rąbał drewno, przenosił skrzynki, wycierał kurz i zamiatał podłogi. Ukrywał swój jadeit jak złodziej.

Gdy mieszkał w motelu w Alusiusie, nieopodal przyjemnej cichej plaży nad Morzem Mesumiańskim, zadzwonił do niego Teije Inno, jeden z nielicznych ludzi, z którymi utrzymywał kontakty po zakończeniu służby w MRG i którzy wiedzieli, gdzie można go znaleźć. Teije przeprosił go, wyznając, że przez cały czas, kiedy się znali i przyjaźnili, był białym szczurem, pracującym dla klanu Bez Szczytów. Teraz dzwonił do Nika na prośbę rogu, by przekazać mu wiadomość, że jego brata zabito.

* * *

Kiedy Bero skończył mówić, Niko pokiwał głową i wyłączył dyktafon.

– Bardzo mi pomogłeś – stwierdził.

Wyjął z kieszeni długopis i napisał coś na kopercie, którą położył przy telewizorze.

– Pieniądze w środku należą do ciebie, ale zapisałem też numer do Biura Prognozyka. Jeśli zadzwonisz jutro rano i powiesz, kim jesteś, znajdą dla ciebie mieszkanie lepsze niż ta nora. Opłacimy czynsz za trzy miesiące z góry. Możesz

wykorzystać ten czas na to, żeby wytrzeźwieć, znaleźć pracę i być może poprawić swój byt. Albo możesz wydać te pieniądze i zapisać się na śmierć w nieco przyjemniejszym otoczeniu. Oferta jest ważna tylko do jutra. Wybór należy do ciebie.

Wstał i zwrócił się ku wyjściu.

– To już wszystko? – zapytał pijak rozczarowanym, niemal gniewnym głosem. – Hej, zaczekaj! – zawołał, gdy Niko dotarł do drzwi. – Zadałeś mi mnóstwo pytań, więc ja też zadam ci jedno. Tego wymaga sprawiedliwość, tak?

Niko się odwrócił. Bero podnosił się na nogi, a w jego przekrwionych oczach pojawił się wyraz szaleństwa.

– Masz bardzo ładny naszyjnik. Przyciąga uwagę. Powiedz mi, jak zdobyłeś ten cały jadeit?

Niko uniósł dłoń do paciorków, które miał na szyi. Wszystkie były identyczne i nieskazitelne. Wisiały na srebrnym łańcuszku, oddzielone od siebie czarnymi przekładkami.

– Należał do mojego ojca – odpowiedział. – Zasłużyłem na niego, kawałek po kawałku, dowodząc swej wartości dla klanu.

Bero zachichotał dziwnie.

– Twoim ojcem był Kaul Lan, filar klanu Bez Szczytów. Jesteś jego synem.

– Zgadza się. Tak to z reguły działa – odpowiedział niecierpliwie Niko.

– Wszędzie bym poznał ten jadeit – kontynuował mężczyzna, wskazując na niego palcem. Potem dźgnął się nim dumnie we własną pierś. – No wiesz, byłem czymś więcej niż tylko narzędziem w rękach cudzoziemców. Byłem przemytnikiem, złodziejem, rabusiem grobów, a przede wszystkim zabójcą. Wszyscy wokół mnie prędzej czy później karmili robaki. Jestem jebanym półbogiem śmierci, keke. Zapewne zabiłem więcej ludzi niż większość zielonych kości. Założę się, że więcej niż ty. – Bero uśmiechnął się jak trupia czaszka. –

Dawno temu Góra poleciła mi załatwić twojego tatę. Zrobiłem to dla jadeitu. Dla tego jadeitu. To ja zacząłem przed laty całą wojnę klanów. Przeze mnie zostałeś sierotą. – Roześmiał się jak zraniona hiena. – Bogowie wreszcie postanowili zakończyć swoją chorą komedię.

Gdy Niko wszedł do pokoju, leżący na podłodze mężczyzna był znużonym, skulonym szczątkiem, pogrążonym w zgorzknieniu i apatii. Teraz jednak wstał. Jego rzadniejące włosy opadały na ciemne oczy, które zmieniły się w bezdenne studnie gniewu i desperacji, zrodzonych ze zbyt długiego wpatrywania się w otchłań, w której niczego nie ujrzały. Jego twarz przypominała portret szaleńca, przystawiającego sobie nóż do gardła i krzyczącego wniebogłosy, by choć w ostatniej chwili zdobyć uznanie.

– I co? – Bero zatoczył się niepokojąco w stronę Nika, jakby stał na krawędzi okna. – Nie masz nic do powiedzenia? Nie możesz użyć Postrzegania, żeby się upewnić, że mówię prawdę? Uwierzyłeś we wszystko, co powiedziałem ci wcześniej, i teraz też musisz mi uwierzyć. Czy nie...

Niko poruszył lekko dłonią, rzucając krótkie, poziome odbijanie, które uderzyło Bera w brzuch niczym kij. Pijak stęknął z bólu i padł na pośladki. Uniósł wzrok, czekając na kolejny cios, ale Niko nie ruszył się z miejsca.

– Wydaje ci się, że każdą zieloną kość można ot, tak sobie sprowokować do popełnienia zabójstwa? – zapytał Niko ze spokojną, lecz pełną zdumienia pogardą. – Tylko dlatego, że mogę złamać ci kark, miałbym wyświadczyć ci tę przysługę? Naprawdę wierzysz, że gdyby zamordował cię klan Bez Szczytów, przydałoby to twojemu nędznemu życiu dramatyzmu albo znaczenia?

Okazana litość zbiła z tropu i rozwścieczyła pijaka.

– Nie rozumiesz tego? Jestem wszystkim, czego zielone kości nienawidzą i pragną zdeptać – warknął. Podźwignął się z podłogi, dysząc ciężko i trzymając się za brzuch. – Dlatego że nie godzę się z tym, że jestem nikim! Jestem kimś, słyszysz? Nie jak ci wszyscy tchórze zadowolający się ochłapami. Dokonałem wielkich rzeczy! Jeśli czegoś pragnę, sięgam po to, bez względu na cenę. Tym właśnie jestem, do chuja!

Upadł nagle na kolana i skrył twarz w dłoniach.

– Nie dam ci tego, czego pragniesz – odpowiedział bez ogródek Niko. – Zapomnij o tym. Pragnij czegoś innego.

– Nie słyszałeś, co ci powiedziałem, ty pojebany głąbie? Co z ciebie za zielona kość? – Bero uniósł gwałtownie głowę. Z jego ust tryskała ślina. – Zabiłem twojego ojca!

– Nieprawda – odparł bez ogródek Niko. – Nie znałem ojca, ale wiem, że był dobrym człowiekiem, szanowanym filarem i zaliczał się do najpotężniejszych zielonych kości. Mówiono mi to przez całe życie i postanowiłem w to uwierzyć. Zamordował go klan Góra, ale prawda wygląda tak, że człowieka takiego jak on mogą doprowadzić do upadku jedynie własne niedoskonałości i siły pozostające poza ludzką kontrolą. Nie ktoś taki jak ty.

Strażnicy czekający w korytarzu nie ruszyli się z miejsca, mimo że słyszeli krzyki. Nieuzbrojony, nienoszący jadeitu pijak nie był żadnym zagrożeniem i nie Postrzegali niepokoju szefa.

Niko obrzucił zimnym spojrzeniem Bera, który gapił się na niego z niemym niedowierzaniem.

– Nie rozumiesz tego, bo nie jesteś członkiem klanu zielonych kości – wyjaśnił, jakby mówił do upośledzonego umysłowo dziecka. – Odebranie komuś życia w imię zemsty jest poważną decyzją. Zhańbiłbym pamięć ojca, gdybym

poważnie potraktował twoje słowa. Jeśli chcesz zakończyć swoje życie, musisz to zrobić sam, ale nie wmawiaj sobie, że ono ma jakiegokolwiek znaczenie.

Niko wyszedł z pokoju i opuścił budynek w towarzystwie strażników. Czuł się głęboko zaniepokojony. Nie słowami pijaka, ale tym, co zobaczył w jego pustych oczach. Nawet w nędzniku takim jak Bero, który upadł na samo dno, żyło gorące, doprowadzające do szaleństwa pragnienie stania się częścią wielkiego mitu. Ten mit władał Kekonem i wniknął w kości jego mieszkańców, budząc w nich obsesję na punkcie otoczki zieloności, przyciągającą nawet cudzoziemców, którzy nigdy w pełni jej nie rozumieli.

Klany i jadeit, morderstwo i zemsta, brzemiona, wendety i błędy przechodzące z ojca na syna albo z brata na brata – dla Nika wszystko to nie było mitem, lecz elementem jego życia, nieuniknionymi prawdami, które jednak można było kształtować na własny sposób. Musiał zwiedzić cały świat, żeby się z tym pogodzić.

ROZDZIAŁ 53

DAWNE TAJEMNICE

Shae długo czekała na nieuniknioną prośbę o spotkanie z espeńskim ambasadorem. Zabrała ze sobą Nika. Podczas jazdy samochodem ze Statkowej do Dzielnicy Pomników poddawała bratanka próbom.

– Jak twoim zdaniem powinniśmy podejść do tej sprawy?

Niko przymrużył z namysłem jedno oko. Ta mina zawsze przywodziła jej na myśl Lana.

– Jeśli Espeńczycy proszą o spotkanie, to znaczy, że czegoś chcą. Ale zawsze są gotowi dać coś w zamian. Z pewnością mają do zaoferowania coś, co ich zdaniem skłoni nas do współpracy. Aktualny rząd RE, w przeciwieństwie do poprzednich administracji, sprawia wrażenie bardziej zainteresowanego pieniędzmi niż jadeitem. To może być dla nas korzystne, bo ułatwi dobicie targu z nimi. Jesteśmy też jednak w niepewnej pozycji. Nie możemy ulec ich żądaniom, ale ponieważ projekt ustawy o legalizacji jadeitu wreszcie trafił do Zgromadzenia Narodowego, nie powinniśmy też robić niczego, co zaszkodziłoby naszym stosunkom.

Shae skinęła głową zadowolona z jego wnikliwej odpowiedzi.

– Widzę, że śledzisz wiadomości.

Niko starał się zapoznać z zasadami działania klanu z zapałem, który zaskakiwał wszystkich. Podejrzewała, że to żałoba po Ru skłaniała go do poświęcania pracy każdej godziny na jawie. Nie była pewna, czy to dla niego zdrowe, ale jego osiągnięcia budziły uznanie.

Ambasada Hiszpanii była nowoczesnym szklanym sześcianem. Nad jej stalową bramą powiewało dwanaście flag RE. Celowo zbudowano ją tak, by przyćmiła inne, skromniejsze ambasady w Dzielnicy Pomników. Gdy już strażnicy wpuścili Shae i Nika do środka, zaprowadzono ich do prywatnego salonu ambasadora, słonecznego pomieszczenia umeblowanego jak pokój biurowy. Były tam

miękkie fotele o wysokich oparciach, a na ścianach wisiały portrety sławnych espeńskich premierów.

Ambasador Lonard przywitała ich, a potem przedstawiła pułkownika Jorgena Basso, nowego dowódcę Bazy Marynarki Wojennej na Eumanie. Odkąd została prognostyczką, Shae miała już do czynienia z siedmioma ambasadorami i trzema dowódcami bazy. Przypomniała sobie, jak bardzo podenerwowana była, gdy po raz pierwszy zasiadła do rozmowy z ambasadorem Gregorem Mendoffem i pułkownikiem Lelandem Deillerem w Białej Latarni. Obaj mężczyźni dawno już przeszli w stan spoczynku i wyjechali do ojczyzny.

Lonard i Basso oddali honory wieloletniej prognostycze w prawidłowy kekoński sposób, a potem uścisnęli jej dłoń, dziękując, że zechciała się z nimi spotkać. Shae nie przedstawiła Nika, ponieważ przyprowadziła go jako obserwatora. Jej bratanek usiadł na krześle z tyłu, nieco na lewo od niej.

Ambasador Lonard była kobietą o pociągłej twarzy, wąskich wargach, prostych, czarnych brwiach i pozbawionych wesołości oczach. Była co najmniej dziesięć lat młodsza od Shae, lecz cechowała się bezpretensjonalną pewnością siebie starej politycznej wyjadaczki. Siedziała prosto na krześle, splatając dłonie na kolanie.

– Pani Kaul, miałam nadzieję, że wasz filar również się zjawi.

– Mój brat jest bardzo zajęty – odpowiedziała Shae. Hilo nadal nienawidził dyplomatycznego syfu. – Pani poprzednik powinien pani wytłumaczyć, że jako prognostyczka mogę przemawiać w imieniu filaru. – Uśmiechnęła się uprzejmie do cudzoziemców. – Co klan Bez Szczytów może zrobić dla naszych espeńskich przyjaciół?

Ambasador skinęła na sekretarza, nakazując mu zamknąć drzwi salonu. Zatrzasnęły się, poruszając się bezgłośnie na zawiasach.

– Zakładam, że zna pani sytuację, do jakiej doszło na Eumanie.

– Jeśli ma pani na myśli obozowisko protestujących, to tak, znam.

– W promieniu dwóch kilometrów od espeńskiej bazy wojskowej obozuje ponad dwa tysiące cywilów – oznajmił z oburzeniem pułkownik Basso, potężny łyсы mężczyzna noszący okulary. Jego smagła cera mogła wskazywać na tomasciańskie pochodzenie. – I już od miesiąca ich liczba zwiększa się każdego dnia. Nie możemy zaakceptować takiego zagrożenia.

– Oni nie przebywają na naszym terenie – odparła ze spokojem Shae. – Ta część Eumanu historycznie należy do rdzennych mieszkańców. W zeszłym roku Rada Książęca uchwaliła ustawę przekazującą ją z powrotem w ręce Abukei. Ludzie zgromadzili się tam za pozwoleniem plemiennej starszyzny. Protestują przeciwko morskiemu górnictwu, które trwa nadal, mimo trwających od lat sprzeciwów całego Kekonu.

Ambasador Lonard zacisnęła zęby tak mocno, że jej wąskie wargi zniknęły niemal całkowicie.

– Pozbawiony kontroli tłum nie jest najlepszym sposobem na rozwiązywanie skomplikowanych problemów.

Shae uniosła brwi.

– W tym problemie nie ma nic skomplikowanego. Konflikt trwa wyłącznie dlatego, że rząd Espenii popiera działania koncernu Anorco eksploatującego kekońskie zasoby.

Ta sytuacja utrzymywała się od dwunastu lat. Ani dyplomatyczne wysiłki kekońskiego rządu, ani wielokrotnie podejmowane przez klany próby sabotowania statków górniczych nie przyniosły rezultatu. Miejscowe plemiona Abukei, poirytowane dewastacją ich terenów rybackich, zorganizowały protest, który szybko zdobył szerokie poparcie społeczne.

Ambasador Lonard zręcznie wywinęła się od dyskusji na ten temat.

– W tej chwili najważniejsze jest dla mnie bezpieczeństwo kekońskich i espeńskich obywateli, które może być zagrożone, gdyby doszło do aktów przemocy.

Shae nie wspomniała, że ambasador martwi się raczej reakcją mediów na Eumański Impas, jak nazwano tę sytuację. Espeńczycy woleli nie przyciągać uwagi do faktu, że nadal utrzymują na terytorium Kekonu znaczne siły wojskowe, mimo że obiecali zredukować ich liczebność, by wspomóc międzynarodowe wysiłki mające na celu zakończenie powolnej wojny.

Prognostyczka usiadła prościej.

– Czego oczekujecie od klanu Bez Szczytów?

Ambasador Lonard i pułkownik Basso wymienili spojrzenia, jakby odpowiedź była oczywista i Shae celowo demonstrowała upór. Wiedziała, czego domagają się cudzoziemcy, ale chciała, by powiedzieli to na głos.

Pułkownik zdecydował się na szczerłość.

– Zlikwidujcie obóz i przekonajcie protestujących, żeby się rozproszyli.

– Siłą, jeśli okaże się to konieczne – dodała za niego Shae.

– Zielone kości świetnie potrafią posługiwać się przemocą – zauważyła ambasador Lonard. – Mam jednak nadzieję, że demonstracja stanowczości wystarczy, by zapanować nad sytuacją.

Mimo że żądanie brzmiało dokładnie tak, jak się tego spodziewała Shae, poczuła się głęboko urażona. Wypełnił ją zimny gniew, zapanowała jednak nad nim i zręcznie wplotła go w swoją odpowiedź.

– Jestem prognostyczką klanu Bez Szczytów od dwudziestu sześciu lat – zaczęła. – W tym czasie stosunki między naszymi krajami przeszły przez różne fazy. Pod wieloma względami przyjaźń między nami jest silniejsza niż

kiedykolwiek przedtem. Jednakże przyjaźń to coś, czego łatwo można nadużyć, a takie nadużycia prowadzą do pretensji, a nawet wrogości. Espenia prosiła Kekon o jadeit, żołnierzy, ziemię, wsparcie militarne i koncesje polityczne. A teraz sugerujecie, żeby zielone kości zwróciły się przeciwko ludziom, których bronią. Większość protestujących na Eumanie to bezjadeitowi cywile. Proście nas o złamanie *aisho*.

Pułkownik Basso spuścił z zakłopotaniem wzrok, słysząc te szczere słowa, ale ambasador Lonard tego nie zrobiła.

– Pani Kaul, mam doktorat z kultury obszaru Wschodniego Amaryku. Spędziłam na Kekonie wiele lat i sporo się nauczyłam o waszym kraju i klanach zielonych kości. Dlatego mogę z przekonaniem stwierdzić, że *aisho* to ideał, który... nie zawsze jest dogodny i nie zawsze ściśle się go przestrzega.

Espenka przechyliła głowę, spoglądając Shae w oczy.

– Czy może pani szczerze zapewnić, że zielone kości, w tym również pani rodzina, nigdy nie naginały zasad moralnych dla własnych korzyści? Czyż nie karaliście brutalnie antyklanowych dysydentów, ludzi noszących nieusankcjonowany jadeit oraz zagranicznych konkurentów, nie okazując żadnych zahamowań? – zapytała nieoczekiwanie po kekońsku. Mówiła w tym języku z akcentem, ale biegle. – Złoto i jadeit nigdy nie chodzą razem. Czy to kiedykolwiek było prawdą?

Milczenie prognostyczki było dla niej wystarczającą odpowiedzią.

– Wasz klan i jego zwolennicy w RE od bardzo dawna próbują uchylić obowiązujący w naszym kraju zakaz noszenia bioenergetycznego jadeitu przez cywilów – podjęła ambasador Lonard, przechodząc na espeński. – Dziesięć lat temu powiedziałabym, że to niemożliwe. Muszę jednak przyznać, że z upływem lat nastawienie opinii publicznej się zmieniło.

Coraz powszechniejsza akceptacja kekońskich praktyk medycznych, kontynuowana przez wiele lat kampania grupy WBH Focus, odbierane na całym świecie w systemie pay-per-view zawody w jadeitowych dyscyplinach sportu w Marcucuo, zwiększona skuteczność i bezpieczeństwo SN2, a teraz również pokazy umiejętności zielonych kości w popularnych, budzących zachwyt publiczności filmach – wszystko to zmieniło opinię Espeńczyków o jadeicie. Większość z nich sądziła obecnie, że jego wykorzystanie powinno się regulować, zamiast go zakazywać.

Ambasador Lonard lekko postukała palcami w kolano.

– W przyszłym miesiącu Zgromadzenie Narodowe będzie głosować nad ustawą o legalizacji. Nawet jeśli ustawa przejdzie, premier Waltor musi ją podpisać. Może skorzystać z prawa weta. Ale z drugiej strony, gdyby publicznie poparł projekt przed głosowaniem, jej przyjęcie byłoby niemal pewne.

Shae pomyślała, że najsprytniejsi Espeńczycy na swój sposób przypominają pięści. Posługują się słowami i pieniędzmi jak guan dao i karambitami. Lonard uśmiechnęła się chłodno, ale zachęcająco.

– Jeśli pomożecie nam w sprawie Eumanu w imię bezpieczeństwa nas wszystkich, jestem przekonana, że premier zapewni gładkie uchwalenie ustawy z wielką korzyścią dla waszych interesów.

Shae nie odwzajemniła jej uśmiechu. Kilka korzystnych trendów w interesach klanu Bez Szczytów – ożywienie na rynku nieruchomości, gospodarczy rozkwit Toshonu oraz sukcesy w branży filmowej – pozwoliły częściowo wynagrodzić straty poniesione w wyniku fiaska operacji w Szotarze. Nie ulegało jednak wątpliwości, że na dłuższą metę klan potrzebuje bezpieczeństwa swych inwestycji w Espenii bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Nie doceniła ambasador Lonard. Stawiając swe żądanie, kobieta nie kierowała się ignorancją, lecz głęboką wiedzą. Pułkownik Basso chrząknął z pełną samozadowolenia zgodą i skrzyżował ręce na piersi.

Shae odczekała chwilę, nim udzieliła odpowiedzi. Zwlekała ponad dziesięć lat z powiedzeniem tego, co zamierzała teraz powiedzieć, i nie miała zamiaru się śpieszyć.

– Ponieważ mówimy o kekońskich interesach w Espenii, nie ma powodu, byśmy nie porozmawiali o espeńskich interesach na Kekonie. – Pochyliła się. –

Dwadzieścia lat temu nad Eumanem zestrzelono ygutański samolot szpiegowski, co wywołało obawy przed agresją Ygutanu. W odpowiedzi na ten incydent Espenia rozbudowała swoją bazę, pomimo powszechnych sprzeciwów opinii publicznej. Poszerzyła też działalność wywiadu na Kekonie. W szczytowym punkcie powolnej wojny mieliście na wyspie znacznie więcej szpiegów, niż wyobrażał sobie nasz rząd. Wywiad RE dowiedział się o planowanym zamachu terrorystycznym, który miał zabić przywódców klanów zielonych kości i wywołać wspierane przez zagranicę powstanie, które zdestabilizowałoby cały kraj.

Shae pamiętała wszystko, jakby to było wczoraj – chwila, gdy ujrzała ruiny budynku i ciała mnóstwa zabitych, a także świadomość, że pod tymi gruzami są jej mąż i brat. W jej głosie nie słyszało się jednak gniewu. Ukrywała go pod maską spokoju.

– Zamiast podzielić się tą informacją, espeński wywiad pozwolił, by do zamachu doszło. Zginęły setki ludzi. Gdyby atak osiągnął zamierzony cel, jakim było zniszczenie klanów, RE była gotowa wypełnić polityczną pustkę, przekazując władzę swoim marionetkom. Dzięki dopuszczeniu do zamachu agentom RE udało się zatrzymać nieprzyjacielskiego agenta nazwiskiem Vastik

eya Molovni, który zdradził wam bardzo wiele informacji o ygutańskim programie tworzenia nekolvów.

– Nieraz już słyszałam te pozbawione dowodów domysły – odparła lekceważąco ambasador Lonard.

– Mamy dowody – odpowiedziała Shae. – Potrzebowaliśmy wielu lat, ale moi ludzie w końcu zebrali wystarczająco wiele relacji, by stworzyć obraz tego, co naprawdę się wydarzyło. W tym również dowody potwierdzające, że Vastik Eya Molovni był owego dnia w Janloonie, oraz zeznania świadka, który widział, że zatrzymali go agenci RE. – Spojrzała na dwoje Espeńczyków. – Ilu protestujących zebraloby się teraz na Eumanie, gdyby ludzie wiedzieli, że espeński rząd dopuścił do zamachu na gmach KSJ, a nawet go pragnął? Że nasi tak zwani sojusznicy aresztowali człowieka odpowiedzialnego za ten atak i potajemnie wykorzystali go do swoich celów, odmawiając obywatelom Kekonu prawa do sprawiedliwości?

Pułkownik Basso prychnął gniewnie, a potem spojrzał na nią z oburzeniem.

– Espeńska armia od dziesięcioleci broniła waszego kraju. Liczba ofiar tragicznego zamachu była bardzo niewielka w porównaniu z liczbą tych, którym uratowały życie informacje o ygutańskim zagrożeniu, jakie udało się nam zdobyć.

– Oczywiście życie Espeńczyków zawsze było dla was warte więcej od życia cudzoziemców – stwierdziła Shae. – Jak jednak zauważyła ambasador, z upływem lat opinie na wiele tematów się zmieniły. Polityczni rywale premiera Waltora kwestionują decyzje podjęte przez niego podczas powolnej wojny. W chwili zamachu w Janloonie był on zastępcą premiera, a później odegrał kluczową rolę w powstaniu Konwencji Lybońskiej. Zbliżają się wybory i zapewne nie chciałby, żeby kojarzono go ze śmiercią tak wielu cywilów. Nie byłby też zadowolony, gdyby przeprowadzono dochodzenie w sprawie Agenta M, który wcale nie uciekł z Ygutanu na własną rękę. Międzynarodowe konwencje podpisane przez RE zabraniają tortur i farmakologicznego przesłuchiwanie jeńców.

Ambasador Lonard nagle zapomniała o gładkiej uprzejmości. Jej małe nozdrza rozszerzyły się z irytacji, a w oczach pojawił się cień zwątpienia i szybkiej kalkulacji.

– Wszystkie te oskarżenia dotyczą wydarzeń sprzed ponad dziesięciu lat – odpowiedziała z wyzywającą obojętnością. – Jeśli jednak jest pani zdeterminowana wywołać z ich powodu polityczną aferę, pogorszy to stosunki między naszymi państwami, ale espeńskich wyborców nie interesuje...

– Operacja „Pas Przeciwpozarowy” – przerwał jej Niko.

Shae obejrzała się na bratanek, zaskoczona tak nagłym złamaniem zasad. Do tej pory zachowywał się, jak należy, grając rolę milczącego obserwatora. Ten nagły wybuch przyciągnął do niego zaskoczone spojrzenia obojga Espeńczyków.

– To jest mój bratanek, Kaul Nikoyan – przedstawiła go z opóźnieniem, starając się ukryć niezadowolenie z jego zaskakującego zachowania i sprawić, by wydało się celowe. – Ma coś do dodania do naszej rozmowy.

– Operacja „Pas Przeciwpożarowy” – powtórzył Niko. Nieźle mówił po espeńsku, choć nieco się zacinał. – To nie są stare wieści. Być może wywołają polityczną aferę, jak to pani ujęła, bo z pewnością bardziej zainteresują espeńskich wyborców.

Pułkownik Basso omal nie spadł z krzesła.

– Co pan wie o...?

Niko obrzucił potężnie zbudowanego espeńskiego oficera spojrzeniem, które Shae wydało się niepokojące. Jej bratanek z twarzy przypominał Lana, ale wyraz, który ujrzała teraz w jego oczach, kojarzył się z Hilem.

– Kekońskie zielone kości walczyły jako najemnicy w espeńskich wojnach. Byłem jedną z nich. Znam też inne.

Choć minęły już cztery lata, Shae nadal brakowało jadeitu. Czuła się dziwnie, gdy ktoś przez pomyłkę zwrócił się do niej „Kaul-jen”, ale kiedy mówiono do niej „pani Kaul”, było jeszcze gorzej. Często budziła się w stanie lekkiej paniki, wywołanej wrażeniem, że brakuje jej czegoś o kluczowym znaczeniu, czasami sięgała też odruchowo po swe jadeitowe talenty, ale znajdowała jedynie pustkę, jakby próbowała poruszyć fantomową kończyną. W takich momentach najbardziej brakowało jej Postrzegania. Cudzoziemcy nie udawali już, że to przyjazna rozmowa. Ich twarze zmieniły się w pozbawione wyrazu maski. Niko tylko się na nich gapił, nie mówiąc już nic więcej.

Shae straciła jadeitowe zmysły, ale nadal miała doświadczenie zdobyte w ciągu dziesięcioleci czytania w chmurach.

– Pani ambasador, pułkowniku. Mam wrażenie, że nasze kraje są sobie bliższe niż kiedykolwiek, jako że nasz związek opiera się na wielu dawnych tajemnicach. – Shae wstała. Niko zrobił to samo. – Klan Bez Szczytów nie wyśle zielonych kości, żeby zakończyły Eumański Impas – oznajmiła cudzoziemcom. – To, co pani powiedziała, jest prawdą. Jadeitowi wojownicy nie są wzorami Boskich Cnót. Bez względu na nasze umiejętności jesteśmy tylko ludźmi i często nie udaje się nam dochować wierności naszym ideałom. Nie jesteśmy też jednak wasalami, którzy złamią *aisho* na życzenie Espeńczyków. Proponuję inną umowę. Zapomnijmy o dawnych pretensjach o złe traktowanie Kekonu podczas powolnej wojny. Nie zdradzimy waszych tajemnic dotyczących zamachu w Janloonie, Molovniego oraz operacji „Pas Przeciwpożarowy”, pod warunkiem,

że nie będziecie blokować legalizacji jadeitu przez Zgromadzenie Narodowe. Możecie to nazwać umową o bierności.

Pułkownik Basso łypnął tylko na nią ze złością, nie odzywając się ani słowem, ale ambasador Lonard podniosła się sztywno na nogi.

– Miałam nadzieję, że z uwagi na ekonomiczne więzi łączące klan Bez Szczytów z Espenią okażecie się bardziej skłonni do współpracy niż wasi rywale albo kekoński rząd. Jeśli zielone kości nie zgodzą się położyć kresu protestom na Eumanie, mój rząd nie będzie odpowiedzialny za ewentualne ofiary wśród kekońskich obywateli.

Shae zwróciła się w stronę wyjścia.

– Pani ambasador, jeśli chodzi o Kekon i jego jadeit, odpowiedzialność jest ostatnim, czego oczekuję od pani rodaków.

* * *

Wrócili do samochodu i Shae kazała kierowcy zawieźć ich do szkoły Tii. Do końca lekcji zostało jeszcze pół godziny, postanowili więc poczekać w stojącym w cieniu drzewa pojeździe. Otworzyli okna, by wpuścić do środka świeży powiew.

– Przepraszam za nieuprzejme zachowanie, ciociu Shae – przerwał po chwili ciszę Niko. – Pomyślałem, że to ważne, bym odezwał się akurat w tym momencie, ale powinienem opowiedzieć ci przedtem o wszystkim, co wiedziałem.

– To prawda, powinieneś – skarciła go Shae. – Jeśli twoja wiedza o operacji „Pas Przeciwpożarowy” mogła okazać się ważna podczas rozmowy, powinieneś wcześniej podzielić się nią z prognostyczką.

– Rozumiem swój błąd. – Niko zgarbił się nieco. – Kiedy pracowałem dla MRG, uczestniczyłem w operacji „Pas Przeciwpożarowy” – podjął po dłuższej chwili. – Już przed laty espeński rząd zaczął zmniejszać militarne wykorzystanie jadeitu i zaangażowanie w zagraniczne konflikty. Potajemnie opłacał kompanię Jima Sunto, by walczyła z wybawieńcami oraz ygutańskimi wpływami na świecie zamiast espeńskiej armii.

– Sunto ci o tym powiedział? – zapytała Shae.

Niko pokręcił głową.

– Nie bezpośrednio. Musieliśmy podpisać umowy o zachowaniu poufności. Nie wolno nam było mówić nikomu spoza MRG, dokąd nas wysyłają. Wielu z nas domyśliło się wszystkiego dzięki podsłuchanym fragmentom rozmów. Później poświęciłem trochę czasu na dokopanie się prawdy. – Nie chciał patrzeć jej w oczy. – Nie jestem dumny z tego, w czym uczestniczyłem.

– To cię nie usprawiedliwia – odpowiedziała Shae, choć irytacja już ją opuszczała.

Zgarbiona sylwetka jej bratanka świadczyła o poczuciu winy. Miała ochotę wyciągnąć do niego ręce i przytulić go mocno, jak zwykle robić, kiedy był małym chłopcem i szukał u niej pocieszenia. Pragnęła mu powiedzieć, że rozumie, jak trudno mu było odejść, a potem wrócić. Z obiema tymi decyzjami wiązała się duma, a zarazem wstyd. Motywy i doświadczenia Nika różniły się od jej przeżyć, i czuł się też winny z innych powodów, lecz mimo to chciałyby dać mu coś, co wygładziłoby bruzdy pojawiające się przedwcześnie na jego młodej twarzy.

– Niko-se – zaczęła. – Zrobiłam w życiu bardzo wiele rzeczy, o których woleę nie mówić. Co tydzień proszę bogów o zrozumienie i wybaczenie. Mimo to, gdy wychodzę ze świątyni, nadal muszę podejmować decyzje, które mogą powiększyć dźwigany przeze mnie ciężar. Nie sądzę, by jakikolwiek przywódca zielonych kości mógł tego uniknąć.

Niko wyjrzał przez okno, kierując wzrok ku budynkowi szkoły. Dwa lata temu Shae i Woon wspólnie doszli do oczywistego, lecz trudnego wniosku, że Tia nie poradzi sobie w Akademii Kaul Du, więc powinni uszanować życzenia córki i pozwolić jej kontynuować naukę w zwyczajnej szkole, zamiast uczyć ją na zieloną kość. Shae powtarzała sobie, że to była słuszna decyzja. Tia kochała swoją szkołę podstawową w Północnych Wzgórzach, tę samą, do której wcześniej uczęszczał Ru.

Po twarzy przyglądającego się wejściu do szkoły Nika przemknął cień. Shae zadała sobie pytanie, czy pomyślał o Ru, i wyobraził sobie, że to on za chwilę wyjdzie ze szkoły, by obaj mogli wrócić do domu na rowerach. Widziała białą bliznę w przedniej części lewego ucha bratanka, gdzie chrząstkę wciśnięto z powrotem na miejsce.

Kiedy Shae wróciła na Kekon po latach spędzonych za granicą, była pełna oporów i wątpliwości, początkowo nie chciała dać się wciągnąć w klanowe sprawy. Niko nie miał podobnych zahamowań. Od chwili, gdy przystawił ostrze karambita do swojego ciała, ani razu nie zwątpił w swą decyzję zrobienia kariery w klanie. Anden był chyba jedynym człowiekiem, przy którym Niko potrafił się niekiedy odprężyć, ale nawet on wyznał Shae z niepokojem:

– Czasami nie jestem pewien, czy Niko w ogóle myśli o sobie. Dlatego potrafi zaakceptować nawet najcięższą pracę i najgorsze upokorzenia.

Gdy Shae patrzyła na zakłopotaną twarz młodzieńca, jej serce przeszywał ból. Żałowała, że Lan nie może zobaczyć syna. Wiedziała, że byłby z niego dumny, ale być może czułby też smutek. Zadałby mu te same pytania, które zadawała Shae.

– Czy rzeczywiście tego pragniesz, Niko? Czy chcesz zostać filarem?

Bratanek nie odpowiedział jej natychmiast.

– Ciociu Shae... – rzekł wreszcie głosem przepojonym spokojną pewnością – po opuszczeniu Kekonu przekonałem się, że na świecie są tylko dwa rodzaje ludzi. I nie są to zielone kości oraz ci, którzy nimi nie są. To ci, którzy mają władzę, i ci, którzy jej nie mają.

Niko zwrócił się w jej stronę. Jego spojrzenie wydawało się tak odległe, jakby stał po drugiej stronie szerokiej doliny.

– Nawet jadeit nie gwarantuje nam przynależności do tej pierwszej grupy. Jeśli klany nie będą już definiowały jego znaczenia, tę władzę przejmą od nas inni. Wzmocnią wszystkie najgorsze strony jadeitu i nie zachowają żadnej z tych najlepszych.

Skinęła głową. Niko ujął w słowa coś, co sama czuła od długiego czasu – wrażenie, że walczy nie tylko z Górą i innymi wrogami klanu, lecz również z czymś znacznie większym i bardziej nieubłagany.

Niko opuścił wzrok, przyglądając się swoim dłoniom.

– Myślałem, że zdołam uciec i znaleźć jakiś inny sens w życiu. Ale jeśli klan upadnie – czy to szybko, czy powoli – jeśli rzeczywiście stanie się tak przestarzały i pozbawiony znaczenia, jak sądzą ludzie tacy jak Jim Sunto, wszystko, co uczyniło mnie tym, kim jestem, w tym również zamordowanie mojego ojca i śmierć mojej matki, utraci jakikolwiek sens. Każda kropla przelanej krwi, wszystkie poświęcenia, każde dziecko wyszkolone na zieloną kość przez stulecia dziejów Kekonu... to jest brzemie, jakie dźwiga filar. Ta moc należy tylko do nas i do nikogo innego. – Ponownie spojrzął w stronę szkoły. Na jego twarzy pojawił się smutny uśmiezek. – Ru powiedział mi, że postępuję głupio i samolubnie, próbując od tego uciec. Miał rację.

Shae wypełnił nieokreślony, złowieszczy niepokój o bratanka. Niko był jeszcze młody – za młody, by patrzeć na rzeczywistość z tak klarownym pesymizmem. Przemyślał już kwestię dziedzictwa klanu i ciężaru władzy znacznie głębiej niż Lan, Hilo czy ona, kiedy byli w jego wieku. Shae i jej bracia dorastali z sentymentalnymi oczekiwaniami płynącymi z faktu, że byli wnukami Płomienia Kekonu i mieli odziedziczyć klan po pokoleniu, które przyniosło zwycięstwo, pokój i odbudowę kraju. Wszyscy troje – każde na swój sposób – byli zmuszeni objąć pozycje, jakie im przydzielono, i robili, co tylko mogli.

Niko od najmłodszych lat jasno postrzegał wojnę i okrucieństwo. Porzucił wszystko, co znał, i przekonał się, że na zewnątrz jest jeszcze mroczniejsza i bardziej splątana głusza. Jego powrót był świadomą decyzją, wolną od sentymentalizmu wiążącego się z miłością albo honorem.

Bardziej przypomina Ayt Madę niż którekolwiek z nas, pomyślała Shae.

Ale przynajmniej ma nas. Kochamy go i przypominamy mu, jak być człowiekiem.

Zabrzmiał dzwonek. Podekscytowane dzieci wypadły z budynku. Shae wysiadła z samochodu i stanęła obok stojaków na rowery. Gdy zobaczyła Tię, pomachała do niej. Córka pożegnała się z dwójką kolegów i podbiegła do matki. Torba podskakiwała jej na plecach, a uszy robionej na drutach czapki w kształcie szczeniaczka kołysały się na wszystkie strony. Zbliżały się jej dwunaste urodziny i błagała o pieska, mającego zastąpić biednego starego Koka, który opuścił ten świat kilka miesięcy po swoim panu. Serce mu pękło i nie był w stanie żyć dalej.

– Mamo! – zawołała Tia. – Wiesz co? Grałam w szkolnym przedstawieniu! – Spojrzała za plecy Shae. – Cześć, Niko – dodała nieśmiałym tonem.

Tia zawsze zachowywała się nieco bojaźliwie w towarzystwie najstarszego ze swych kuzynów, który miał piętnaście lat więcej od niej.

– Cześć, mała kuzynko – odpowiedział Niko. – Podoba mi się twoja czapka.

Dziewczynka uśmiechnęła się i trochę uspokoiła. Oboje ruszyli w stronę samochodu, rozmawiając po drodze. Shae szła kilka kroków za nimi, przyglądając im się uważnie.

ROZDZIAŁ 54

WIELKIE PLANY

Dwudziesty szósty rok, siódmy miesiąc

Anden oglądał wiadomości telewizyjne w towarzystwie Shae oraz większości personelu biura na Statkowej. Wszyscy tłoczyli się w głównej sali konferencyjnej na najwyższym piętrze klanowego wieżowca. Zjawili się nawet Woon Papidonwa i Hami Tumashon, którzy przeszli już w stan spoczynku, ale wcześniej poświęcili klanowi wiele lat pracy. Rozmawiali przyjaźnie ze wszystkimi, czego nigdy nie robili w czasach, gdy pełnili funkcje cienia prognostyczki i pierwszego szczęściodawcy.

Był późny wieczór czasu janlońskiego, ale w Adamont Capita nie nadeszło jeszcze południe. Ustawa NA3882, odwołująca uchwalony dwadzieścia cztery lata temu zakaz posiadania bioenergetycznego jadeitu przez cywilów, przeszła w Zgromadzeniu Narodowym niewielką większością głosów. Gdy zagraniczny korespondent KSP ogłosił wyniki głosowania, w sali rozległy się krzyki radości i otworzono butelki hoji. Dzięki tej ustawie klan Bez Szczytów zaoszczędzi miliony dniów na samych honorariach dla prawników. Wykorzystanie jadeitu w medycynie, sztukach walki oraz rozrywce z pewnością wzrośnie, co przyniesie klanowi zyski we wszystkich tych dziedzinach. Zdobędzie się dziesiątki dodatkowych wiz dla zielonych kości, które wyjadą do Espenii, by się uczyć albo pracować. Tymczasem róg zacznie po cichu wysyłać tam dodatkowy jadeit, żeby zwiększyć siły klanu i jego sojuszników.

Anden skorzystał z telefonu w sali konferencyjnej, żeby zadzwonić do Cory'ego Dauka, prezesa Stowarzyszenia Kekońskich Espeńczyków, i pogratulować mu zwycięstwa, na które obaj pracowali od z górą dziesięciu lat. Do samego dnia głosowania SKE lobbowało u polityków i umieszczało reklamy

przygotowane przez WBH Focus we wszystkich ważniejszych mediach. Wynik bynajmniej nie był przesądzony. Kilka paczek, które nie chciały stracić zysków z nielegalnego handlu jadeitem i błyskiem, a także obawiały się dalszego wzrostu wpływów Kekończyków, prowadziło w tajemnicy kampanię mającą zapobiec uchwaleniu ustawy. Posługiwały się przekupstwem i groźbami, by wpłynąć na polityków, biznesmenów, członków SKE oraz wszystkich, którzy się za nią opowiadali. Nieliczne, ale skuteczne ekipy pięści i palców wysłanych przez Lott Jina do Hiszpanii oraz współpracujące z nimi zielone kości z Port Massy od miesięcy miały mnóstwo roboty z neutralizowaniem tej działalności. Zapewniały ochronę, przekupywały przekupionych, a czasami też szeptały imiona paczkowców.

– Podejrzewam, że będę miał mniej roboty jako prawnik – oznajmił radośnie Cory. – Może zacznę się specjalizować w branży rozrywkowej. Będę pracował dla wytwórni filmowych albo dla organizatorów jadeitowego sportu. Tam można teraz zarobić najwięcej, tak?

– Jeśli znajdziesz nowego Danny’ego Sinjo, natychmiast zawiadom moją siostrę – odpowiedział Anden.

– Mój syn uwielbia ten film! – zawołał Cory. – Widzieliśmy go trzy razy.

Zeszłoroczny komercyjny sukces *Czerni i zieleni* po obu stronach Amaryku stał się nieoczekiwanym punktem zwrotnym w długiej wojnie kulturowej. Danny Sinjo został dzięki niemu międzynarodową gwiazdą i pojawiła się też fala przychylnego zainteresowania kulturą zielonych kości. Wiele uwagi poświęcono efektownym scenom akcji, które nakręcono całkowicie bez efektów specjalnych, kaskaderów albo podwieszania na drutach. Film był sympatyczną opowieścią o trudnej przyjaźni dwóch policjantów. Pierwszy z nich był zawadiacką zieloną kością z fikcyjnego klanu Jedno Niebo, drugi zaś hiszpańskim tajnym agentem nauczonym ZSBWBJ, który nagle znalazł się w obcym dla siebie środowisku. Obaj musieli się uporać z licznymi byłymi ygutańskimi żołnierzami, którzy zmienili się w gangsterów, by dotrzeć do ich szefa, osławionego barona narkotykowego.

Wybrzeże Kin, a co za tym idzie klan Bez Szczytów, zarobiło mnóstwo pieniędzy na tym filmie, który miał się teraz stać franczyzą. Zgodnie z przewidywaniami Jona Remiego Anden mógł się teraz chwalić, że poznał Danny’ego Sinjo na długo przed tym, nim ten stał się sławny. To jednak Wen sprawiła, że przepowiednia Złego Keczka się sprawdziła. Dzisiaj nie zjawiała się na Statkowej, ponieważ wręczała główną nagrodę na Janloońskim Festiwalu Filmowym, który stał się teraz znacznie większą imprezą, i jako filarowy wspierała go klanowym budżetem.

– Mam nadzieję, że twój syn wie, że latem w kinach pojawi się *Czerń 2 i Zieleń 2* – powiedział Cory’emu Anden. – Może uda mi się znaleźć dla niego plakat z autografem.

– To by była rewelacja, ziom.

Cory umilkł nagle. Wydawało się, że pragnął powiedzieć coś jeszcze o swoim synu albo zapytać o rodzinę Andena, ale się powstrzymał. Odkąd dowiedział się, jaką rolę odegrał Anden w zamordowaniu Jona Remiego, powstał między nimi kolejny mur. Cory podtrzymywał go, zawsze kończąc rozmowę, kiedy stawała się zbyt osobista i przechodziła na temat jego żony i dzieci. Anden był rozczarowany, ale nie zaskoczony. W końcu Cory był Espeńczykiem i uważał za naturalne to, że pragnie się czegoś trudnego, ale trzyma na dystans od tego, w jaki sposób to zostało osiągnięte.

Postanowił mu pomóc.

– Proszę, przekaż matce wyrazy mojego szacunku i gratulacje.

– Dziękuję, Anden... Niech bogowie opromienią swą łaską klan Bez Szczytów.

Po zakończeniu rozmowy Terun Bin wręczył Andenowi plastikowy kubek z hoji.

– Wszystko to zaczęło się od ciebie, doktorze Emery. Byłeś człowiekiem klanu Bez Szczytów w Espanii, nim jeszcze otworzyliśmy tam biuro.

Anden nie znał pierwszego szczęściodawcy zbyt dobrze, ale podczas rozmowy z nim zawsze uderzał go fakt, że mówi on bardzo szybko i z wielką energią, a jego umysł pracuje jeszcze szybciej. Terun był zawodowym szczęściodawcą, zaczął pracować dla biznesowej strony klanu zaraz po ukończeniu college’u. Teraz stał się jednym z najwyższych rangą członków klanu Bez Szczytów, mimo że nie pochodził z rodziny silnych zielonych kości i nigdy w życiu nie nosił więcej niż jednego jadeitu. Dwadzieścia lat temu byłoby to w Kekonie obciążeniem, ale prognostyczka rozsądnie wysłała go na długi czas do Espanii, a gdy wrócił do Kekonu, przydzielała mu różne stanowiska, między innymi mianując go na kilka lat dawcą pieczęci. Dzięki temu znał teraz wszystkie aspekty klanowych interesów.

– Chciałem porozmawiać z tobą o tym, jak rozbudowywały się przychodnie jadeitowej medycyny – ciągnął Terun. – To byłby najlepszy przykład na to, jak rozwiązać problem szkół sztuki walki prowadzonych za granicą. Potrafisz uwierzyć, że mam na biurku już sześć podań od instruktorów i prywatnych nauczycieli czekających na uchwalenie ustawy? Proszą klan Bez Szczytów o patronat dla szkół, które zamierzają otworzyć w Espanii, by uczyć sztuk walki Keko-Espeńczyków, a nawet cudzoziemców.

Anden nie był tym zaskoczony. Na janloońskim rynku konkurencja między szkołami sztuki walki była bardzo silna. Nawet w mniejszych miastach, jak Lukang czy Toshon, instruktor musiał ukończyć z wyróżnieniem Szkołę Świątynną Wie Lona albo Akademię Kaul Dushurona, mieć wieloletnie doświadczenie jako pięść, a także koneksje w jednym z wielkich klanów. Natomiast w Espenii nawet ktoś, kto był przeciętną, lecz kompetentną pięścią, mógł otworzyć szkołę i przyjmować uczniów. Niektórzy zrobili to już przed laty, choć niejawnie.

Anden zapewnił Teruna, że z chęcią podzieli się z nim posiadaną wiedzą, lecz nagle przerwał mu krzyk dobiegający z korytarza.

– Filar! Przyszedł filar!

Pół minuty później Hilo wszedł do sali. Odgłosy zabawy ustąpiły miejsca fali splecionych dłoni i oddawanych honorów. Filar rzadko odwiedzał Statkową.

– Kaul-jen, nasza krew dla filaru – wyszeptało kilku latarników.

Hilo przesunął spojrzeniem po zgromadzonym w pomieszczeniu tłumie i powoli rozciągnął usta w uśmiechu.

– Nie przeszkadzajcie sobie – rzekł. – Po prostu nie byłem w stanie znieść myśli, że mam się położyć do łóżka, kiedy moja siostra się bawi. – Uniósł ręce, by uciszyć śmiechy. – Rzecz jasna, prawda wygląda tak, że chciałem pogratulować wam wszystkim. Nie przychodzę tu zbyt często, ale tylko dlatego, że mam silną prognostyczkę. Nawet jeśli nie zawsze się ze sobą zgadzamy, zawsze robi to, co dobre dla klanu.

Odszedł do Shae i oddał jej honory.

– Niech twoi wrogowie pierzchają z trwogą, Kaul-jen – wypowiedział słowa, którymi tradycyjnie gratulowano zwycięskim wojownikom zielonych kości. Następnie objął ramiona siostry i pocałował ją w czoło. Mimo że prognostyczka nie nosiła już jadeitu i na swój triumf pracowała od dziesięcioleci, natychmiast rozległ się aplauz. Ludzie tupali i unosili z radością kubki hoji. Prognostyczka sprawiała wrażenie głęboko zawstydzonej.

– Zawsze musisz na przyjęciach przyciągać uwagę – mruknęła do brata.

Znowu jest sobą, pomyślał Anden, odwracając się, by ukryć potężną ulgę.

Wszyscy rozpaczali po śmierci Ru, ale Hilo był niemal całkowicie zdruzgotany. Zamknął się w sobie i utracił zainteresowanie życiem. Filaru, który zawsze chciał osobiście rozwiązywać wszystkie ważne problemy klanu, nic już nie obchodziło. Na prawie rok Hilo zostawił kierowanie klanem prognostyczce i rogowi, którzy musieli z poczuciem winy zakłócać jego spokój nawet, gdy chodziło o najprostsze sprawy. Całymi dniami nie opuszczał domu albo godzinami jeździł bez celu po mieście, czasami zaś wybierał jakiś kierunek, zatrzymywał się gdzieś poza miastem i spał w samochodzie. Kilka razy

zaparkował duchesse na terytorium Góry, próbując sprowokować atak na siebie. Trzeba przyznać Aben Sorowi, że nie dopuścił do niczego w tym rodzaju, choć Lott Jin kilkakrotnie był zmuszony gorączkowo poszukiwać filaru. Anden nie był jedynym członkiem rodziny, który się obawiał, że jego kuzyn, choć miał dopiero pięćdziesiąt parę lat, podążał w ślady dziadka, pogrążając się powoli w żałobie i tęsknocie za minionymi czasami.

Hilo jednak wracał powoli do siebie, być może dzięki temu, że on i Wen bardzo wspierali się nawzajem w swej żałobie. Członkowie rodziny często widywali, jak oboje spacerowali razem po posiadłości, jedli posiłek przy stole na patio, pogrążeni w niezwykłym dla siebie milczeniu, albo wybierali się do Parku Wdowy, by odwiedzić rodzinny grobowiec. Możliwe też, że to obecność Nika przywołała Hila z powrotem do życia. Uczył bratanka umiejętności zarządzania klanem i dlatego musiał znowu uznać obowiązki filaru za osobistą, niezbędną dla siebie sprawę. Z czasem znowu zaczął się uśmiechać, ćwiczyć i brać udział w klanowych spotkaniach.

Okazywał też zainteresowanie pewnymi sprawami, które wcześniej go nie obchodziły. Niespodziewanie ofiarował wielką sumę Towarzystwu Pomocy Niereaktywnym. Przekazał też darowiznę Janloońskiemu Zarządowi Szkół Publicznych i zapłacił za nową aulę na Uniwersytecie Jan. Choć dobrze wiadano, że unika polityków, nieoczekiwanie zaczął się pokazywać z nimi, czasami w towarzystwie Wen, by poprzeć projekty ustaw, jakich przedtem z pewnością nie uznaliby za ważne. Była wśród nich ustawa o zakazie dyskryminacji z powodu niereaktywności i mieszanej krwi, gwarantująca prawa do zatrudnienia i równej płacy, zwrócenie Abukei tysięcy hektarów tradycyjnych plemiennych terenów, zezwolenie kekońskiej armii na ograniczone wykorzystanie SN2 klasy medycznej podczas szkolenia oraz obniżenie progu wykształcenia w szkołach sztuki walki dla rekrutów przyjmowanych do Kompanii Żółtych Pająków. Jim Sunto proponował wprowadzenie tych dwóch ostatnich rozwiązań już piętnaście lat temu. Wtedy Hilo sprzeciwiał się im, podobnie jak prawie wszyscy, ale obecnie rozważano je na nowo, w związku ze stopniowym słabnięciem piętna związanego z używaniem błysku.

Niektórzy obserwatorzy, zwłaszcza ci powiązani z Górą, szeptali, że filar klanu Bez Szczytów robi się miękki i ustępuje sentymentalnym, bezjadeitowym reformatorom, ponieważ ma zbyt wielu doradców, którzy nie są typowymi zielonymi kośćmi lub nawet nie są nimi w ogóle. Inni chwalili klan za to, że interesuje się bieżącymi społecznymi problemami i jest przykładem filantropii.

Ale Anden znał prawdę. Jego kuzyn robił to wszystko dla Ru. Sprawy, które wspierał jego nieżyjący syn, argumenty o dobru, jakie mógł uczynić klan, którymi się posługiwał, problemy, którymi próbował zainteresować ojca – a ten

ustępował mu albo go ignorował – wszystko to nabrało teraz nowego znaczenia. Hilo robił dla syna rzeczy, których nie zrobił podczas jego krótkiego życia, rzeczy, które uczyniłyby Ru dumnym z klanu i tego, że jest Kaulem. Tylko w ten sposób mógł udowodnić, że nadal go kocha.

– Wujku...

Maik Cam podszedł do niego, być może zauważywszy, że Anden ze zbyt wielką powagą wpatruje się w kubek hoji. Syn Kehna miał nowy pierścień z jadeitem i trzy kolejne paciorki na platynowym łańcuszku. Wyglądał skromnie i profesjonalnie, jak wypadało młodemu prawnikowi. Nowe klejnoty zdobył w pojedynku z członkiem Góry, niezadowolonym, że pozwano go o naruszenie prawa do znaku handlowego. Cam był równie zielony, jak inni członkowie rodziny jego ojca, ale upodobanie do wiedzy odziedziczył po matce, Linie, która była nauczycielką. Dotknął od niechcienia czoła, oddając Andenowi honory.

– Dziękuję, że zgodziłeś się nadzorować mój pojedynek. Jestem ci naprawdę wdzięczny.

– Jesteś szybki z guan dao – pochwalił go Anden. – Cieszę się, że wygrałeś. Wolałem łątać twojego przeciwnika niż ciebie.

Zgodnie z nowymi prawami pojedynki czystej klingi wymagały obecności co najmniej dwóch świadków – po jednym dla każdej ze stron – a także kogoś, kto umiał udzielać pomocy w nagłych wypadkach. Anden był najbardziej znanym lekarzem zielonej kości w klanie Bez Szczytów i ciągle proszono go, żeby był obecny podczas starcia. Nie była to jedyna zmiana w prawach dotyczących pojedynków. Między rzuceniem wyzwania a walką musiały teraz minąć dwadzieścia cztery godziny. Tylko zielone kości mogły się pojedynkować na karambity albo guan dao, wprowadzono też ograniczenia ilości jadeitu, jaką zwycięzca mógł odebrać pokonanemu.

Poprzednie próby wprowadzenia ograniczeń dotyczących pojedynków czystej klingi zawsze kończyły się niepowodzeniem. Tym razem, ku zdumieniu wszystkich, Kaul Hilo publicznie poparł nowy projekt. Posunął się nawet do tego, że przyznał, iż niektóre pojedynki, jakie stoczył w życiu, właściwie nie były potrzebne. Dodał, że zielone kości mogą zdobywać doświadczenie i jadeit z mniejszym ryzykiem dla życia i zdrowia, a nienoszących jadeitu obywateli powinno się zachęcać do rozwiązywania sporów w inny sposób. Oznajmił, że jego syn mógłby nadal żyć, gdyby nie czuł potrzeby pojedynkowania się albo gdyby pojedynek opóźniono i lepiej kontrolowano.

Zdumiewająca zmiana opinii filaru Klanu Bez Szczytów wywołała gwałtowne debaty wśród zielonych kości, ale nawet tradycjonalistyczna rodzina Kobenów nie mogła mu się przeciwstawić, nie narażając się na śmieszność, bo Hilo stoczył w życiu więcej pojedynków i zdobył więcej jadeitu niż

którykolwiek z nich. Filar wsparł projekt z tą samą budzącą sympatię, lecz groźną zdolnością przekonywania, z jaką kierował klanem, i jego pragnienia szybko się spełniły.

Cam wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Mógłby mnie pokonać, gdyby nie zmęczył się użeraniem się z pozwem – odpowiedział, skutecznie łącząc uprzejmość z przechwalaniem się. Był muskularny, miał szerokie ramiona i dorównywał wzrostem ojcu, ale w przeciwieństwie do Kehna często się uśmiechał i miał poczucie humoru. – Gdzie Jirhu? – zapytał. – Nie przyszedł?

– Nie przyszedł – potwierdził Anden. – To... trochę za bardzo klanowa impreza, jak na jego gust.

Już dawno zawarli z Jirhuyą kompromis. Chłopak Andena przychodził na rodzinne spotkania Kaulów, gdzie świetnie się ze wszystkimi porozumiewał, choć zachowywał się z nieco większą rezerwą niż zwykle, ale unikał wielkich klanowych spotkań. Nosił na prawym kciuku pierścień z blagierskim jademitem i nie ukrywał ich związku, a Kaulowie akceptowali go, ponieważ był ważny dla Andena, ale nic więcej nie łączyło go z klanem Bez Szczytów.

Anden z czasem lepiej zrozumiał obawy Jirhu dotyczące kwestii patronatu, choć początkowo wydawały mu się one nierozsądne. W gruncie rzeczy cieszył się, że kariera i codzienne sprawy jego chłopaka nie mają nic wspólnego ze światem zielonych kości. Jirhu zapewniał mu azyl od klanu i jego spraw. Słuchał skarg Andena i dodawał mu odwagi, ale nigdy nie pytał go o szczegóły ani nie żądał wyjaśnień. W zamian za to Anden nie naciskał, by związał się z klanem Bez Szczytów bardziej, niż miał na to ochotę. Jirhuya nawet nie chciał skorzystać z telefonu, by rozwiązać jakiś prosty problem przy pomocy kogoś z rodziny Kaulów, lecz szukał na własną rękę jakiegoś bardziej skomplikowanego wyjścia.

– Niko! – zawołał Cam i skinął na kuzyna, by do nich podszedł.

Na widok Maika Niko uśmiechnął się szeroko. Podszedł do nich, uściskał obu serdecznie i pozwolił, by Cam wypełnił jego kubek hoji. Mimo potężnej budowy i groźnego wyglądu Maik miał dar budzenia zaufania. Gdy tylko spotykali się z Nikiem, przywoływał inną stronę jego osobowości.

– Gdzie się ukrywałeś, keke? Juenowie pytają, o której dziś razem poćwiczymy.

– Jesteśmy dziś dwójką krawaciarzy, Cam – odpowiedział Niko. – Juenowie nas zniszczą.

Obaj bliźniacy, Ritto i Din, byli pięściami pierwszej rangi.

– Oni też tak myślą – odparł Maik, który palił się do poddania próbie świeżo zdobytego jadeitu. – Musimy pilnować, żeby pięści z naszego klanu nie zrobiły

się zbyt zarozumiałe.

Anden pozwolił kuzynom kontynuować rozmowę i podszedł do Hila oraz Shae.

– Skąd się wzięli ci wszyscy młodzi ludzie? – zapytał filar klanu Bez Szczytów. – Dopiero co minęła północ, a już czuję się kurewsko zmęczony. Wymknijmy się stąd razem, żeby wyglądało na to, że wzywają nas pilne klanowe sprawy. – Położył dłoń na ramieniu kuzyna i razem ruszyli w stronę wind.

Anden się uśmiechnął.

– O co chodzi? – zapytał Hilo, ale on tylko potrząsnął głową.

– O nic, Hilo – odpowiedział. – To był miły wieczór.

* * *

Świat legł w gruzach z powodu wycinka z gazety, który Shae przeczytała, czekając, aż jej córka zakończy ćwiczenia taneczne. Za dźwiękoszczelnymi oknami studia odziane w zwiewne jedwabie dziewczyny skakały i wirowały w rytm muzyki, której nie słyszała, ale prognostyczka siedziała bez ruchu, a w jej uszach narastał ogłuszający ryk.

Umowa Eumańska.

Po porwaniu przez Faltów pozostały jej emocjonalne blizny i utrata tolerancji na jadeit, a także dręczące pytanie, jakie zadali jej *barukani*, jedyne, na jakie nie potrafiła odpowiedzieć. *Co to jest Umowa Eumańska? Opowiedz nam o Umowie Eumańskiej.* Za każdym razem, gdy o tym myślała, drżała i czuła wnikające w nią witki paniki. Pytanie ciągle powracało, dręczyło ją w koszmarach na jawie i wymykało się zrozumieniu, choć minęły już lata.

Na czym polega wielki plan Góry? Jesteś jebaną prognostyczką klanu Bez Szczytów i wiesz, co kombinuje Ayt, prawda?

Sprawdziła wszystkie zależne od Góry biznesy i zasoby powiązane z Eumanem. Nie było tego wiele. Kilka nieruchomości w centrum miasteczka, eleganckie usługi towarzyskie dla cudzoziemców, stocznia. Nie znalazła nic, co by świadczyło, że któryś z tych interesów może być elementem wielkiej umowy z *barukanami*.

Euman był najszerzej znany z espeńskiej bazy wojskowej. Czyżby Góra zawarła tajną umowę z armią RE? Stosunki między Ayt Madą a Espeńczykami były wrogie bądź nie było ich wcale, więc wydawało się to mało prawdopodobne, choć z pewnością było możliwe. Shae nie znalazła jednak żadnych dowodów na to, że Ayt Mada utrzymuje kontakty z rządem RE. Gdyby tak było, ambasador Lonard i pułkownik Basso zwróciliby się do Góry, a nie do klanu Bez Szczytów z prośbą o uwolnienie ich od protestujących.

Wiem że mają coś z tym wspólnego Matyowie. Dowiedziała się tego od Faltów. Matyowie przekazują pieniądze Górze. Co otrzymują w zamian?

To przynajmniej szpiegzy klanu Bez Szczytów byli w stanie potwierdzić. Matyowie przekazywali na konta w zagranicznych bankach miliony szotarskich sep. Informatorzy Shae dawno już donieśli jej, że Iwe Kalundo, prognostyk Góry, likwiduje interesy klanu w Ygutanie. Być może chodziło tylko o to, że nie chciał, by zasoby Góry były uwięzione w kraju, który przegrywał powolną wojnę i w którym narastała destabilizacja, wyglądało jednak na to, że klan nadal siedzi na tym kapitale i nie inwestuje go gdzie indziej. Bierność nie leżała w charakterze Ayt. Góra i Matyowie gromadzili mnóstwo płynnych zasobów. W jakim celu?

Niko powiedział jej, że zarówno Jim Sunto, jak i prezes Anorco, Art Wyles, mają domy w pobliżu poligonu MRG na Eumanie. Być może Umowa Eumańska miała coś wspólnego z tymi dwoma cudzoziemcami. Hilo i Lott Jin umieścili już szpiegów klanu w organizacji Sunta, ale nie poddali dotąd Wylesa dokładnej obserwacji. Shae zebrała o nim wszelkie możliwe informacje. Rozkazała zbierać dane na jego temat filii klanu w Port Massy i informować ją za każdym razem, gdy w mediach pojawi się wzmianka o nim. Teraz miała przed sobą fotokopię artykułu z Port Massy Post, wysłaną faksem razem z innymi raportami.

Artykuł był krótki. Zawiadamiał, że Art Wyles, niedawno mianowany sekretarzem handlu zagranicznego, zrezygnował z pozycji prezydenta i prezesa koncernu Anorco. Choć prawo nie zmuszało go do tego, zamierzał sprzedać pakiet kontrolny niewymienionej z nazwy prywatnej firmie inwestycyjnej z Kekonu. Artykuł kończył się informacją, że wartość Anorco wyceniono na szesnaście miliardów thalirów, a wśród jego aktywów znajdowała się technologia wydobywania jadeitu z dna morskiego oraz prywatna firma wojskowa Międzynarodowe Rozwiązania Ganlu. Umowa miała wejść w życie za dziesięćdziesiąt dni.

Umowa Eumańska.

Zajęcia z tańca się skończyły. Dziewczynki oddały honory nauczycielce i zaczęły zbierać torby oraz buty, rozmawiając ze sobą. Tia została jeszcze na chwilę z drugą uczennicą, by przećwiczyć pewien element. Skakała tak wysoko i z taką elegancją, jakby była na granicy Lekkości. Miała naturalną sprawność córki zielonych kości, tyle że skierowaną na ciepło i wyobraźnię.

W normalnej sytuacji Shae wstałaby, zebrała rzeczy Tii, pomachała do niej przez okno, by jej przypomnieć, że jadą na kolację, teraz jednak siedziała bez ruchu na ławce, powoli ulegając panice. Wszystkie elementy układanki ułożyły się w całość.

„Prywatna firma inwestycyjna z Kekonu” wymieniona w artykule była klanem Góra. Zyski ze sprzedaży ygutańskich biznesów w połączeniu z pieniędzmi od Matyów posłużą do dokonania największego zakupu w historii Góry. Ayt Mada przejmie Anorco i zostanie właścicielką firmy górniczej, której technologia i zasoby będą całkowicie niezależne od Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego. Nie będzie odpowiadała przed nikim. Będzie mogła zaopatrywać w jadeit armie oraz inne organizacje na całym świecie, a inne klany nie będą miały nic do powiedzenia. Przejmie kontrolę nad MRG, mającą noszących jadeit żołnierzy, obozy szkoleniowe, śmigłowce, broń i bogowie wiedzieli, co jeszcze. Anorco i MRG dysponowały biurami, personelem i zasobami w Espenii. Jednym ruchem Góra zdobędzie przewagę nad klanem Bez Szczytów w tamtym kraju. Uchylenie zakazu noszenia jadeitu, o które Shae walczyła od lat, przyniesie Górze więcej korzyści niż komukolwiek innemu.

W zamian za finansowe wsparcie Umowy Eumańskiej Ayt Mada da Matyom tyle jadeitu i broni, że zdobędą całkowitą dominację nad szotarskim światem przestępczym, zwłaszcza w Oortoko Wschodnim, gdzie rola przestępczości zorganizowanej rosła w miarę słabnięcia ygutańskiej kontroli. Nie tylko zawrze pokój z *barukanami* ze swego klanu, zrażonymi przez Kobenów, lecz wzmocni ich lojalność.

Tia wyszła ze studia.

– Jestem okropnie głodna – oznajmiła, wkładając buty. Gdy Shae wstała, nie odpowiadając jej, córka spojrzała na nią. – Co się stało?

– Nic, Tia-se – wyszeptała prognostyczka. – Myślałam o pracy.

Podeszły do samochodu. Jeden z ochroniarzy poszedł za nimi i otworzył im drzwi. Odkąd Shae przestała nosić jadeit, musiała się pogodzić z tym, że cały czas towarzyszą jej osobiści strażnicy. Po drodze do domu Tia opowiadała o próbach przed szkolnym przedstawieniem, zbliżającym się teście z matematyki i firmowych džinsach, które chciała dostać. Shae nie była w stanie słuchać jej słów. Myślała o tym, że zakup Anorco przez Ayt zostanie uznany za wielki narodowy triumf Kekonu, odzyskanie zasobów kraju zagarniętych przez zniechęconą zagraniczną firmę górniczą, przeciwko której właśnie protestowały tysiące ludzi.

Publiczne poparcie dla Góry gwałtownie wzrośnie, a w tym roku miały się odbyć wybory do Rady Książęcej. Zakładając, że nowe miejsca w Lukangu przypadną politykom lojalnym wobec Jedności Sześciu Dłoni, klanowi będącemu lennikiem Góry, Ayt Mada miała szansę zdobyć absolutną większość w radzie, co od wielu lat nie udało się żadnemu klanowi. Mając tak silną pozycję – militarną, finansową i polityczną – Ayt będzie mogła mianować następcą, kogo zechce. Nie będzie już potrzebowała liczebności ani popularności Kobenów.

Wielkie osiągnięcia Iwe Kalunda jako prognostyka pozwolą jej usprawiedliwić odsunięcie bratanka i mianować swą lojalną prawą rękę następnym filarem Góry, co zagwarantuje, że jej polityka będzie kontynuowana.

Jak tego dokonała? Shae miała ochotę wykrzyknąć to pytanie. Jak Ayt zdołała zmusić espeńskiego potentata do sprzedaży konglomeratu wartego wiele miliardów thalirów? Czym zagroziła Wylesowi, że zgodził się oddać swe biznesowe imperium, prawa do kekońskiego jadeitu oraz opartą na jego wierze operację „Pas Przeciwpozarowy”? To nie mogło być nic tak prostego jak groźba śmierci. Ayt z pewnością planowała to od lat.

Shae zaniemówiła z wrażenia. Powinna była wyczytać to w chmurach. Ayt Mada po prostu była lepszą prognostyczką od niej, mistrzynią strategii, której nie miała szans dorównać. Inni walczyli o honor albo zemstę, a ona wyłącznie o władzę.

– Mamo, mamo. Słuchasz mnie? Na pewno wszystko jest w porządku? Wyglądasz, jakby coś cię gryzło.

Tia spoglądała na nią z troską.

Shae poczuła nagły ból w klatce piersiowej, jakby otwierała się tam czeluść. To właśnie oznaczała decyzja, że nie wyślą córki do Akademii i nie wychowają jej na zieloną kość. Tia żyła w bańce zwyczajnych trosk dziewczyny przed okresem dojrzenia. Nawet kiedy dorośnie, nie będzie w stanie w pełni zrozumieć rodziców ani reszty rodziny.

– Przepraszam. To... klanowe sprawy. Nie musisz się nimi martwić – odpowiedziała Shae, gdy samochód zatrzymał się przed Domem Prognostyka. – Idź się umyć przed kolacją.

Tia wpadła do środka, zostawiając torbę przy wejściu, powiedziała ojcu „cześć” i pobiegła na piętro. Shae powoli podążyła za nią. W domu pachniało czosnkiem, przyprawami i pieczonym mięsem. Woon wyszedł z kuchni i wytarł dłonie w ręcznik.

– Tym razem nie przypaliłem kaczki – pochwalił się z dumą.

Przed pięćdziesiątką Woon rzadko gotował, ale teraz zrobił się w tym lepszy od niej. Zatrzymał się nagle, zauważając minę żony albo Postrzegając jej wzburzone emocje. Z jego twarzy zniknął uśmiech. Shae podeszła do męża, objęła go i bez słowa położyła głowę na jego szerokiej piersi.

Nie miało znaczenia, jak szybko rósł klan Bez Szczytów, jak silni są jego wojownicy i jak zyskowne biznesy. Nie byli w stanie konkurować z tak przemożną siłą. Ayt Mada w końcu zniszczy rodzinę Kaulów i przejmie ich klan. Być może zrobi to szybko, a być może nieuchronna klęska będzie nadchodziła powoli. Tak czy inaczej, wynik mógł być tylko jeden.

Już po wszystkim, pomyślała Shae. Ayt wygrała. Jesteśmy skończeni.

* * *

– Nie jesteśmy skończeni, dopóki wszyscy nie zginiemy – oznajmił Hilo.

Progностyczka natychmiast zwołała zebranie. Przywódcy klanu Bez Szczytów zebrali się w gabinecie filaru w rezydencji Kaulów. Kiedy była dzieckiem, zawsze czuła się onieśmielona w tym pomieszczeniu. Jej dziadek, jego prognostyk i jego róg siedzieli w obitych skórą fotelach i dyskutowali o klanowych sprawach, często do późnej nocy.

Teraz panowała tu atmosfera bliskości i spisków. Hilo rozparł się w największym fotelu i postukiwał machinalnie w udo brzegiem karty do gry. Wszędzie leżało ich tu mnóstwo, żeby miał czym zająć ręce, kiedy najdzie go ochota na papierosa. Lott stał przy telewizorze z płaskim ekranem, Wen i Shae siedziały na kanapie, a Anden zajął drugi fotel. Shae wyjaśniła wszystkim, do jakich wniosków doszła, z detalami opisując wszystkie szczegóły mistrzowskiego zagrania Ayt.

– To bardzo sprytny i zgrabnie pomyślany plan – przyznała.

Hilo obrócił kartę w palcach i przyjrzał się swej rodzinie, swym najbliższym doradcom.

– Zawsze wiedzieliśmy, że czeka nas bezpośrednia konfrontacja z Ayt, która zakończy to, co zaczęło się tak dawno temu. Wszystkie te lata powolnej wojny między klanami służyły wzmocnieniu naszych sił. Zrobiliśmy się zbyt wielcy, by można nas było połknąć. Dlatego Ayt musiała postawić wszystko na jedną kartę. Problem ze sprytnymi, zgrabnie pomyślanymi planami polega na tym, że kurewsko łatwo jest je zepsuć.

– Umowa Eumańska wchodzi w życie za niespełna dziewięćdziesiąt dni – zauważyła Shae.

– To znaczy, że nie mamy wiele czasu – rzucił niecierpliwie Hilo. – Kiedy coś trzeba zrobić, zawsze znajdzie się sposób. Zdecydujemy, co to będzie.

Tej nocy, a także podczas kilku następnych, poświęcili na dyskusje wiele godzin. Przeprowadzono rozmowy telefoniczne, zarezerwowano bilety lotnicze, umówiono spotkania. Klan Bez Szczytów był bestią o ramionach sięgających na drugi koniec świata i musiał szybko oraz dyskretnie wprowadzić je w ruch w odpowiednio wybranym momencie, sięgając po różne rodzaje broni, w które się wyposażył, lecz do tej pory trzymał je w ukryciu. Dziewięćdziesiąt dni. Zbliżało się Święto Łodzi. Kiedy nadejdzie, klan Góra *de facto* przejmie władzę nad krajem albo rządy Ayt Mady się skończą. Nie było innej opcji. To będzie rozstrzygające starcie między obydwoma klanami.

Ku zaskoczeniu Shae brat nie podzielał jej obaw. Przynajmniej otwarcie. Hilo wydał rozkazy i poczynił przygotowania, które miały ich zgubić albo ocalić,

mówił też jednak o planach na lato. Być może wyjedzie gdzieś na tydzień z Wen, Niko i Jaya, zanim będzie miał zbyt wiele zajęć.

– Słyszałem wiele dobrego o Dolinie Vittari w Tomascio – stwierdził. – Ty, Woon i Tia moglibyście wynająć willę obok nas.

Zlecił też renowację posiadłości, twierdząc, że dziedziniec jest przestarzały, potrzebują większego kina domowego i lepszej sali ćwiczebnej. Poświęcał także wiele czasu na rozmowy z Nikiem, przy których Shae nie była obecna.

– Czego jeszcze mielibyśmy się bać? – zapytał pewnego wieczoru, gdy wyraziła zdziwienie jego spokojem. Siedzieli na patio, po tym, jak upał wypalił resztki mżawki zwanej Północnym Potem. – Pamiętasz, jak w Nowy Rok przesiedzieliśmy tu razem całą noc, myśląc, że wkrótce zginiemy? Ale nadal tu jesteśmy. Od tego czasu wydarzyło się bardzo wiele dobrego, lecz również mnóstwo straszliwych rzeczy. Nic już nie może nas zaskoczyć. Najważniejsze, żebyśmy cieszyli się tym, co mamy, i miłością naszych bliskich. – Wyciągnął papierosa schowanego w przedniej kieszeni koszuli, a razem z nim zapalniczkę. – Ale zapalę sobie, na wypadek gdyby to miał być mój ostatni raz. Nie mów Wen.

Shae spojrzała na niebo nad skąpanym w blasku świateł miastem. Nie potrafiła podzielać spokoju ducha brata. Klan Bez Szczytów stał się wszystkim, na co kiedyś liczyła – potężną, nowoczesną, międzynarodową organizacją, pozostawał zielony w swym sercu, ale był czymś znacznie więcej niż suma jego jadeitu czy jego wojowników. Trudno jej było pogodzić się z możliwością, że pomimo wszystkich osiągnięć i poświęceń nadal mogą ponieść klęskę z rąk wroga, którego powstrzymywali przez dziesięciolecia niczym starożytne miasto zasypane u szczytu swej chwały przez wulkan, zagrażający mu od tak dawna.

Tia jest jeszcze za młoda. Nadal mnie potrzebuje.

– Jak ty to robisz, Hilo? – zapytała. – Jak możesz sobie poradzić z tym światem, jeśli nie wierzysz w bogów?

Hilo wypuścił z nozdrzy dwie smużki dymu i rozsiadł się wygodniej. Jego oczy utraciły wyraz. Shae wiedziała, że jej brat rozciąga Postrzeganie, być może próbując sprawdzić, gdzie znajdują się wszyscy ludzie w posiadłości Kaulów –

Wen była na górze w rezydencji, Woon i Tia po drugiej stronie dziedzińca, ich matka w ogrodzie, gdzie wykonywała powoli ćwiczenia rozciągające, Lott i Niko zajęli się wieczornymi ćwiczeniami z małą grupką pięści na polu za domem rogu. A może sięgał jadeitowymi zmysłami jeszcze dalej, pozwalając, by zalał go energetyczny szmer miasta, obserwując je z oddali niczym lew siedzący na skale.

– Jak możemy to robić? – Hilo westchnął. – Kto jak kto, ale ty z pewnością znasz odpowiedź, Shae. Nie radzimy sobie ze światem. Pozwalamy, żeby on

poradził sobie z nami.

ROZDZIAŁ 55

MAŁE NOŻE

Kaul Jaya wybrała grupkę swych najlepszych zielonych kości i opuściła bazę w położonym na półwyspie Toshonie, by wyruszyć do Lukangu. Przed wyjazdem zadzwoniła do ojca.

– Lott Jen wyśle za tobą bliźniaków Juen z dwudziestoma naszymi wojownikami – poinformował ją filar. – Będą na miejscu jutro wieczorem.

– Do tego czasu będzie po wszystkim – zapewniła Jaya. – Ale mogą pomóc w sprzątaniu.

– Nie bądź zbyt pewna siebie – skarcił ją Hilo. – Sprzątanie jest najtrudniejsze.

– Żartuję, tato – odpowiedziała Jaya.

Było to jednak prawdą tylko w połowie. Pragnęła wykonać zadanie szybko i samodzielnie, by udowodnić ojcu, że jej i jej ludziom można zlecać trudne misje i nie będą potrzebowali wsparcia z Janloonu. Podejrzewała że to Lott Jin przekonał filar do powierzenia jej tego ważnego zadania. Pomyślała, że gdyby zależało to od jej ojca, kazałby jej wrócić do Janloonu, zamieszkać w domu i patrolować jakąś spokojną, nudną dzielnicę w rodzaju Zielonej Równiny, gdzie mógłby mieć na nią oko. Po śmierci Ru chciał, żeby wróciła natychmiast. Musiała sprzeczać się i błagać, by pozwolił jej zostać w Toshonie.

– Jio Somu to stary wilk – przypomniał jej Hilo. – Zdradził własnego wujka i zdołał utrzymać pozycję Filaru Sześciu Dłoni aż do dziś. Jego pięści i palce wyszkoliła Góra. Nie powinnaś go lekceważyć.

– Nie martw się. Wiem, jaka jest stawka.

– Jak często ćwiczysz? – zapytał ojciec. – Kiedy ostatnio się pojedynkowałeś?

– Ćwiczę codziennie, tato. A pojedynkowałam się w zeszłym miesiącu. Z byłą pięścią z dawnego klanu Jo Sun. Była naprawdę niezła. Cholernie szybka.

Zdobyłam dwa nowe klejnoty. – Jej ojciec milczał. – Nie martw się tak bardzo, tato.

Kiedyś taki nie był.

– Jak już będzie po wszystkim, powinniśmy porozmawiać o twoich przenosinach do Janloonu. Tęsknię za tobą, Jaya-se.

– Ja też za tobą tęsknię, tato. Kocham cię. – Zamknęła klapkę telefonu i odeszła do zaparkowanego obok brocka compass.

Eiten Asha i Noyu Kain pakowali już ostatnie bagaże, broń i sprzęt do wielkiego bagażnika.

– Zostaw lodówkę na tylnym siedzeniu – zawołał z wnętrza SUV-a Icho Tenn. – Są w niej napoje i przekąski.

Podróż do Lukangu zajęła im większą część dnia. Pociągiem dotarliby tam szybciej. Już za dwa lata, gdy zakończy się budowa linii kolei dużych prędkości, droga trwałaby niespełna dwie godziny. Biorąc jednak pod uwagę, jak wiele rzeczy musieli ze sobą zabrać, samochód był jedyną opcją. Czasami jechali dość wolno – wiele szos na półwyspie było jednopasmowych i nie zawsze utrzymywano je w dobrym stanie. Niemniej brock łatwo sobie radził ze spotykanymi niekiedy dziurami, a poza tym nigdzie im się nie śpieszyło.

Zatrzymali się po drodze, by zrobić sobie zdjęcia na plaży i zjeść obiad w miasteczku Yanshu. Tenn prowadził, Jaya siedziała obok niego na miejscu dla pasażera, a Asha i Kain zajęli miejsca z tyłu. Późnym popołudniem letni upał zrobił się dokuczliwy. Dotarli do środkowej części Kekonu, gdzie teren był bardziej płaski, a drogi szersze. Czworko młodych zielonych kości otworzyło okna. Słuchali głośniego szotopopu i rozmawiali o stoczonych walkach, obejrzanych filmach, najlepszym i najgorszym seksie w życiu i o tym, czy letnich i dojeżdżających uczniów można uważać za prawdziwych absolwentów Akademii Kaul Du. Wszyscy wywodzili się z tradycyjnych rodzin zielonych kości i gardzili tymi, którzy byli „jasnozieloni”.

– Nie każdy może być wyszlifowany – stwierdził Tenn.

Wszyscy się zgodzili, że Danny Sinjo taki jest, ale drugi aktor, Espeńczyk, z pewnością wspomagał się kaskaderami i gadżetami.

– Ta scena na dachu – zachnęła się Asha. – Widzieliście kiedyś, żeby cudzoziemiec używał Lekkości w taki sposób? Nie ma szans.

Jaya wysunęła rękę przez otwarte okno i zaczęła bębnić palcami o karoserię brocka, wystukując rytm muzyki. Śmiała się i żartowała radośnie, mimo że czekało ich z pewnością niebezpieczne zadanie. A może właśnie dlatego bardziej cieszyła się życiem. Była dumna z tego, co osiągnęła w minionych czterech latach. Toshon z pewnością nie był tak dużym i ważnym miastem jak Janloon, ale rozrastał się i w ważnych chwilach przynosił zyski klanowi. Tam właśnie

została pięścią dzięki własnym wysiłkom. Ludzie na dalekim południu nie dbali aż tak bardzo o klanową rywalizację w stolicy. Choć konflikt między Górą a klanem Bez Szczytów dotyczył całego kraju, południowcy mieli własne zmartwienia.

Największymi problemami były tam bezrobocie i narkotyki. Jaya poświęcała na rozmowy telefoniczne z ciotką Shae i ludźmi z Biura Prognozy więcej czasu, niż miała na to ochotę. Zachęcała ich do objęcia patronatem nowych latarników ze swego regionu. Koordynowała z władzami miasta i policją zwalczanie przestępczości oraz działania mające przyciągnąć na półwysep więcej inwestorów i turystów z północnej części kraju. Zwalczała też handel narkotykami – słodką mąką, piaskiem, buzzem i oczywiście błyskiem – z brutalną skutecznością, nie tylko jako janloonka, lecz również jako jedna z Kaulów. To była jedyna sprawa, w której Jaya nie miała nic przeciwko opieraniu się na reputacji ojca. Handlarzom narkotyków złapanym po raz pierwszy ucinano jeden kciuk, za drugim razem następny, a za trzecim podrzynano gardła.

Stworzyła grupę ambitnych pięści, lojalnych wobec niej, młodych zielonych kości słynących z tego, że ciężko pracują i lubią imprezować. Szarooka Eiten Asha, jedyna oprócz Jai kobieta w ekipie przysłanej tu z Janloonu, była dwa lata od niej starsza i zasłynęła już jako twarda i zdolna zielona kość. Wielu ludzi z zaskoczeniem dowiadywało się, że jest dziedziczką sławnej firmy produkującej hoji, Przekłete Piękno. Noyu Kaina, starszego brata Noyu Hany, koleżanki Jai z Akademii, przeniesiono do Toshonu na jej życzenie. Icho Tenn był członkiem rodziny władającej przedtem klanem Jo Sun, jedynym w wyjściowej grupie rodowitym toshończykiem. Dobrze dogadywał się ze wszystkimi, lecz jednocześnie był głęboko lojalny wobec swojego miasta. Razem mieli na swoje rozkazy około sześćdziesięciu palców.

Jako kobieta Jaya nie mogła liczyć na to, że ludzie będą jej automatycznie słuchać tylko dlatego, że jest pięścią. Nie sądziła, by potrafiła się posługiwać autorytarnym opanowaniem Ayt Mady albo zimną kompetencją cioci Shae. Poza tym te stare, wyniosłe kobiety siedziały w salach konferencyjnych. Musiała odnaleźć własny styl.

Wiele palców początkowo słuchało jej, bo wiadano, że jest hojna i lubi się bawić, chodziła z nimi do kina, urządziła wspólne ćwiczenia i konsultowała się z nimi przed podjęciem decyzji, gdy tylko istniała taka możliwość. Na małym terytorium było to łatwiejsze. Za pieniądze skonfiskowane handlarzom narkotyków kupiła dwa duże domy, które stały się miejscem spotkań dla jej zielonych kości. Czasami urządzano tam hałaśliwe imprezy, pełne pijaństwa i seksu. Błysk i inne narkotyki były jednak całkowicie zakazane.

Pierwszego z palców przyłapanych na łamaniu jej zasad odesłała do Janloonu. Drugiego posadziła na krześle, wycięła mu jadeitowe kolczyki z nosa i uszu, okaleczając go na stałe, a potem wykopała go na zbity pysk. Nigdy nie używała swego nazwiska jako broni, ale też nie musiała tego robić. Wszyscy szeptali, że jest nieodrodną córką swego ojca. Jej ekipę zwano Małymi Nożami, a wieści o łączących ich bliskich więzach dotarły nawet do Janloonu.

Jaya i jej przyjaciele znaleźli się na przedmieściach Lukangu przed kolacją i spędzili noc w motelu za miastem. Było mało prawdopodobne, by ktokolwiek zauważył ich przybycie i zawiadomił o nim miejscowe zielone kości. Następnego ranka zjedli brunch w przydrożnej makaroniarni i pojechali na spotkanie z kolejnymi Małymi Nożami, które przyjechały wczoraj dwoma samochodami.

Razem ruszyli do klubu Wielka Trójka, gdzie w piąte dni zawsze można było znaleźć Jio Somu.

Szydł przy wejściu do budynku głośił wielkimi literami WALKI KOGUTÓW. SALON GIER AUTOMATYCZNYCH. INTERNET. Tenn okrążył kwartał, wysadził Jayę, Ashę i Kaina na rogu ulicy i się oddalił. Trzy zielone kości weszły do środka. Wielka Trójka była starym, cuchnącym stęchlizną lokalem, ambitnie próbującym odnowić swój wizerunek za pomocą nowoczesnych atrakcji i udogodnień. Po lewej stronie znajdowała się niewielka arena walk kogutów, z automatami do zawierania zakładów. O tak wczesnej porze nie było tu nikogo poza dwoma znużonymi treserami, którzy siedzieli na ławkach, rozmawiając o swoich ptakach, i czekali na przyjście gości. Po prawej stronie było pomieszczenie z kilkoma maszynami do gier, umieszczonymi za barem przekąskowym, oraz wyświetlony na tablicy spis cen, zmieniający się co piętnaście minut.

Jaya zapuściła się w głąb sali i znalazła Jio Somo. Filar klanu Jedność Sześciu Dłoni siedział za okrągłym stołem w boksie z tyłu klubu, jedząc lunch z dwiema swoimi zielonymi kośćmi. Obok stało trzech ochroniarzy, trzymających dłonie na pistoletach i rękojeściach noży. Ich jadeitowe aury były wyraźnie pobudzone. Postrzegli pięści z klanu Bez Szczytów, gdy tylko weszły do środka.

– Jio-jen – odezwała się Jaya, podchodząc z uśmiechem do stołu i uprzejmie oddając honory Jio Somu. – Nazywam się Kaul Jayalun i mój ojciec, filar klanu Bez Szczytów, przysłał mnie tu z ważną propozycją dla Jedności Sześciu Dłoni. – Czy mogę się przysiąść?

Widziała, że Jio Somu za młodu z pewnością był przystojny. Teraz, gdy miał już czterdzieści parę lat, włosy mu wyblakły, ale nadal miał silnie zarysowaną żuchwę i bystre oczy, schowane za żółtymi okularami. W minionych latach wielu

ludzi próbowało go zabić, ale paranoja, jaka się w nim rozwinęła, okazała się opłaczalna. Jako jeden z nielicznych filarów, którzy nie zjawili się na spotkaniu w budynku KSJ w dzień zamachu, wzmocnił pozycję Jedności Sześciu Dłoni w Lukangu, podczas gdy inne małe klany miały trudności lub nawet upadły.

Jio zdjął okulary i popatrzył na Jayę oraz jej dwóch towarzyszy z podejrzliwością połączoną z rozbawieniem.

– Od kiedy klan Bez Szczytów przysyła dzieci z propozycjami biznesowymi?

Omiótł ją spojrzeniem od stóp do głów. Jaya miała modne sportowe buty, wzorzystą letnią spódnicę, czerwony top z szerokimi rękawami oraz okrągłym dekoltem, a także szytą na miarę skórzaną kamizelkę stanowiącą nowoczesną kobiecą modyfikację tradycyjnego ubioru bojowego zielonych kości. Na jej złotym naszyjniku oraz bransoletach widniały pięknie rozmieszczone jadeity.

– Jio-jen, moje słowa są przeznaczone wyłącznie dla twoich uszu.

Jaya zerknęła znacząco na innych ludzi obecnych w lokalu – treserów kogutów, kelnerów oraz kilku gości.

Jio uniósł brwi z zainteresowaniem i nieufnością.

– Każcie tym ludziom opuścić lokal i zaczekać na zewnątrz – polecił swoim zielonym kościom. – I nie wpuszczajcie nikogo do środka. – Spojrzał na dwie młode pięści towarzyszące Jai, ale nie przestraszył się ich zbyt. Miał więcej jadeitu niż one. – Jeśli twoi ochroniarze zostaną, to moi również.

– Jak sobie życzysz – odparła obojętnie Jaya. Towarzyszący filarowi przy posiłku mężczyźni oddalili się z niechęcią, a ona usiadła na ławce obok niego. Ochroniarze Jio zbliżyli się, ale on skinął na nich, odsyłając ich na miejsce. Kaul Hiloshudon nie naraziłby życia ukochanej córki w próbie zamachu.

– Mogę się napić trochę chłodnej herbaty? – zapytała Jaya. – Jest okropny upał.

Jio nalał dziewczynie szklankę herbaty z sokiem cytrusowym i podsunął ją jej. Przez chwilę obserwował, jak jej blada grdyka porusza się podczas picia. Kiedy skończyła, wytarła palcem pozostawiony na szklance półokrąg szminki.

– Jio-jen... – zaczęła, patrząc mu prosto w oczy. – Klan Jedność Sześciu Dłoni od wielu lat jest lojalnym lennikiem Góry, ale z pewnością jesteś praktycznym człowiekiem, który stawia własne interesy na pierwszym miejscu. W końcu zdradziłeś własnego wujka i przyglądałeś się, jak go zamordowano. To znaczy, że twoja lojalność jest elastyczna.

Z twarzy Jio zniknął wyraz wyrozumiałości.

– Czy Kaul Hilo rzeczywiście jest tak naiwny, że uważa, że może mnie przekupić po tak wielu latach?

Jaya otworzyła oczy nieco szerzej.

– Przysięgam na swój jadeit, że mój ojciec nigdy nie znieważyłby cię propozycją łapówki! Wie, że twoja lojalność wobec Ayt Mady jest szczerą. Niektórzy powiedzieliby nawet, że jesteś dla niej lepszym sojusznikiem niż Kobenowie. Po prostu z uprzejmości, jak filar filarowi, oferuje ci możliwość zmiany stron na czas i uniknięcia losu Góry. – Uśmiechnęła się ujmująco. – Kazał mi przekazać, że ta stara jędra Ayt Mada wkrótce zniknie, a on z chęcią położyłby kres długoletniej wrogości z Jednością Sześciu Dłoni i zaakceptował cię jako lennika klanu Bez Szczytów.

Jio popatrzył na nią ze zdziwieniem, a potem ryknął głośnym, gardłowym śmiechem.

– Jaya-jen – odpowiedział, posługując się jej osobistym imieniem, jakby byli przyjaciółmi. – Twoja rodzina próbuje zniszczyć Górę już od dziesięcioleci. Wybacz, ale jestem przekonany, że Ayt-jen pozostanie filarem jeszcze przez wiele lat.

– Przykro mi, że nie mogę ci opowiedzieć ze szczegółami, w jaki sposób doprowadzimy do upadku Ayt, ale ojciec zapewnia mnie, że to wydarzy się wkrótce – odpowiedziała Jaya. – Po Ayt władzę przejmie rodzina Kobenów, a jak rozumiem, oni nie przepadają za wami zbyt. Jesteście południowcami, a oni pochodzą z północy, gardzą też *barukanami*, których macie w swoim klanie. Pod rządami Ayt Atosha nie możecie liczyć na status uprzywilejowanego lennika, jakim cieszyacie się teraz. Czy o czymś zapomniałam?! – zawołała do stojących nieopodal Ashy i Kana.

– Jest też kwestia embarga, Jaya-jen – pośpieszyła jej z pomocą Asha.

– Ach tak. – Uderzyła się otwartą dłonią w czoło i znowu spojrzała na filar Jedności Sześciu Dłoni. – Ponieważ wydaje się prawdopodobne, że Rada Książęca znormalizuje stosunki z Uwiwami, do Lukangu wrócą statki handlowe, a nad portem nadal panuje klan Bez Szczytów. Dlatego lepiej byłoby dla was sprzymierzyć się z naszym klanem. Oczywiście możecie też upaść razem z Ayt, ale dlaczego miałbyś tego pragnąć?

Postrzegła, że aurę Jio Somu wypełniła pełna samozadowolenia pogarda. Widział w niej rozpieszczoną księżniczkę bawiącą się w pięść, której uchodzi to na sucho dzięki pobłażliwości ojca. Jaya z pewnością nie pierwszy raz spotykała się z taką reakcją – a dzisiaj wręcz na nią liczyła – ale nie przestawało jej to irytować.

– Jesteś bardzo pewna siebie, prawda? – zapytał Jio. – Osobiście przyjechałaś aż do Lukangu, licząc na to, że zdradzę swoich najstarszych sojuszników z powodu słów ładnej dziewczyny.

Jaya nie przestawała się uśmiechać, ale odwróciła wzrok.

– Miło, że tak mówisz, ale szczerze mówiąc, czuję się trochę podenerwowana. Ojciec okazał mi wielkie zaufanie, prosząc, bym zdobyła dla niego tak cenny sojusz. – Pociągnęła za jadeitowy kolczyk w uchu. – Naprawdę myślisz, że jestem ładna?

Jio zachichotał i przysunął się do niej.

– Nie jestem ślepy. Po co ojciec naprawdę wysłał cię do Lukangu? – Jaya obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem. – Znam takie gierki. Jesteś jedną z najlepszych kart w talii ojca, prawda? Trzymał cię w odwodzie już od pewnego czasu.

Jaya świetnie wiedziała o tym, że wielu zalotników – albo robią to ich rodziny – zwraca się do jej ojca, jakby była nagrodą, którą mógł przyznać. Samolubnie ucieszyła się z powrotu Nika, bo teraz debilne klanowe spekulacje na temat jej życia osobistego nieco osłabły. Nie była jednak zdziwiona, że nawet słynący ze skrajnej ostrożności Jio Somu błyskawicznie zareagował na tak drobną zachętę. Pod stołem jego kolana dotknęły jej kolana i pozostały na miejscu.

– Chodzi o miejsca Lukangu w Radzie Książęcej, tak? Hilo nie chce, żeby przypadły Górze.

Jaya wykorzystała okazję, by położyć dłoń na jego kolanie, tym, które dotykało jej kolana.

Opuściła wzrok.

– Mój ojciec mógł przysłać pluton pięści i postawić ultimatum, ale tego nie zrobił. Wysłał mnie, swoją jedyną córkę, żebym z tobą porozmawiała. To sprawi, że potraktujesz jego propozycję poważnie i zrozumiesz, że pragnie przyjaznej rozmowy, a nie gróźb.

– Taki sprytny polityczny plan jest nietypowy dla Kaul Hiloshudona – zauważył Jio. – Twój ojciec nie słynie z subtelności. Być może z upływem lat zdobył trochę mądrości.

– Słyszałam, że to się czasami zdarza – odpowiedziała Jaya. – Czy zatem potraktujesz poważnie ofertę mojej rodziny? Co mam powiedzieć ojcu?

Jio przesunął językiem po dolnej wardze. Jego spojrzenie przesunęło się powoli po jej ciele.

– Będę potrzebował więcej informacji, żeby zdecydować, czy warto zmienić strony. – Zerknął na dwie pozostałe zielone kości, przyglądające się mu z uwagą. – Mogłabyś dziś wieczorem zjeść ze mną kolację. Odeślij swoich strażników, żebyśmy mogli głębiej przedyskutować sprawę potencjalnego sojuszu.

Pod blatem położył dłoń na jej dłoni.

Jaya cofnęła rękę i odsunęła głowę. Rozchyliła wargi.

– Jio-jen... – zaczęła, udając niedowierzanie – czy sugerujesz... że mógłbyś zdradzić Górę i przejść na stronę mojej rodziny, gdybyś mógł mnie przerznąć?

– Z pewnością nie – sprzeciwił się Jio. – Potrzeba by czegoś znacznie więcej niż jedna noc.

Jaya wstała.

– Przybyłam tu, by odbyć poważną rozmowę o zawarciu sojuszu, a ty insynuujesz, że jestem kurwą, a ojciec chce, żebym cię uwiodła dla politycznych celów.

– Nie wiem, co więcej mógłby mi oferować klan Bez Szczytów – odparł Jio z szyderym uśmiechem.

W oczach Jai zapłonął ogień. Nie miało znaczenia, czy Jio Postrzeże jej prawdziwy gniew oraz złą wolę.

– Mogę tolerować obelgi skierowane przeciwko mnie, ale nie przeciwko moim rodzicom. Jio Somusen, filarze Jedności Sześciu Dłoni, oferuję ci czystą klingę.

Jio rozdziawił usta, a potem ryknął głośnym śmiechem. Jego ochroniarze przygryzali wargi, by nie podążyć za jego przykładem. Nawet nie zauważyli, że zalotne zachowanie i udawany gniew Jai zniknęły bez śladu.

Jio przestał się śmiać i otarł chusteczką z kącików oczu łzy.

– Wracaj do domu, księżniczko. – Wskazał jej ręką drzwi klubu. – No wiesz, spędziłabyś ze mną kilka miłych chwil. Nie przeszedłbym na stronę klanu Bez Szczytów, ale byłoby zabawne obserwować, jak próbujesz mnie do tego przekonać, zwłaszcza że jesteś taka naiwna. Wracaj do ojca i powiedz mu, że będzie musiał spisać się lepiej.

– A więc odmawiasz przyjęcia czystej klingi? – zapytała Jaya.

Uśmiechając się, potrząsnął głową.

– Naprawdę jesteś beznadziejna. Żaden szanujący się mężczyzna na świecie nie będzie się pojedynkował z dziewczyną. Jeśli chcesz się przysłużyć swojemu klanowi, przestań bawić się w pięść i wykorzystaj swe prawdziwe talenty.

– Nie prosiłam cię o radę – odparła Jaya. – Jak dotąd żaden mężczyzna nie zgodził się ze mną pojedynkować, ale to nie znaczy, że przestanę oferować czystą klingę, kiedy mnie znieważają. Będę musiała rozczarować ojca, mówiąc mu, że odrzuciłeś naszą przyjaźń.

– Zrób to – zgodził się Jio. – Powiedz mu, że nie mogę się doczekać chwili, gdy Ayt Mada zmiążdży klan Bez Szczytów jak ślimaka.

– Chodźmy – rozkazała Jaya swoim pięściom i wszyscy opuścili Wielką Trójkę przy akompaniamencie chichotów ludzi z Jedności Sześciu Dłoni.

Jeden z ochroniarzy Jio podążył za nimi, otworzył drzwi i skinął dłonią z przesadną uprzejmością, przepuszczając przez nie Jayę. Gdy drzwi się za nią

zamknęły, usłyszała śmiech mężczyzn.

Otworzyła klapkę telefonu i nacisnęła szybkie wybieranie.

– Teraz – powiedziała Tennowi.

Po kilku sekundach trzy brocki compass wypełnione Małymi Nożami zbliżyły się z rykiem silników z trzech różnych stron, otaczając budynek. Młode zielone kości z klanu Bez Szczytów wypadły z samochodów z fullertonami w rękach i rozbiły szyby klubu seriami pocisków. Ryczący z przypływu Siły Tenn rzucił do środka dwa granaty zapalające. Stary drewniany budynek ogarnęły czerwone płomienie.

Stojąca po drugiej stronie ulicy Jaya poczuła na skórze gwałtowne dotknięcie gorąca. Osłoniła się Stalą i uniosła chusteczkę do nosa i ust. Stała wystarczająco blisko, żeby Postrzec ból i przerażenie znajdujących się w środku mężczyzn. Niektórzy nie zdołali wydostać się na zewnątrz, ale Jio Somu i jego dwaj ochroniarze mieli wystarczająco wiele jadeitowych umiejętności, by wyrwać się z gorejącego piekła. Broniąc się Odbijaniem przed pociskami i Stalą przed ogniem, wypadli przez jedno z rozbitych okien niczym plama Stali i Lekkości. Ich włosy oraz ubrania płonęły. Wrzeszczeli niczym żywiołaki. Małe Noże zasypały ich pociskami z karabinów maszynowych. Jio Odbił pierwszą serię, ale już nie drugą czy trzecią. Nawet najpotężniejsza Stal nie mogła się obronić przed taką ilością ołowiu uderzającego z bliska. Filar Jedności Sześciu Dłoni, władający Lukangiem od dwudziestu lat, padł na ziemię jak zakrwawiony strzęp.

Jaya splunęła na chodnik.

– Wykorzystałam swe prawdziwe talenty – skwitowała.

Miała za co dziękować Jio Somu. Gdyby nie czuł się tak pewnie po przeżyciu wielu kolejnych zamachów, mógłby jej nie zlekceważyć. Gdy Jaya została pięścią, ojciec udzielił jej pewnej rady.

– Z mojego doświadczenia wynika, że dopóki przyjaciele mają o tobie wysoką opinię, nic nie szkodzi, jeśli wrogowie mają niską. Im niższą, tym lepiej.

Noyu Kain zadzwonił na straż pożarną i policję. Nim przybyli, Małe Noże ugasiły już większą część ognia. Asha razem z dwójką towarzyszy otworzyła pobliski hydrant i cała grupa zielonych kości Odbijała pył wodny w kierunku Wielkiej Trójki. Sąsiednie budynki ucierpiały, ale w środku nie było nikogo. Gdy Jaya rozmawiała z Jio, zadzwoniono do pobliskich firm, nakazując im dyskretnie wyprowadzić ludzi na zewnątrz.

Później okazało się, że zginął tylko jeden cywil – kierownik kuchni z Wielkiej Trójki, znajomy kuzyna Jio, który nie wyszedł razem z innymi i zaskoczył go pożar. To było niefortunne, ale Jaya mogła zapewnić wszystkich, że przestrzegала *aisho* w granicach rozsądku. Nie czuła się winna z powodu śmierci jednego cywila, który nie wiedział, co dla niego dobre.

Samochody dziennikarzy zjawily się po kilku minutach. Jaya przejrzała się w bocznym lusterku brocka. Twarz pokrywał jej popiół, ale makijaż trzymał się zaskakująco dobrze. Zapisala sobie w pamieci nazwę wodoodpornego tuszu do rzęs, którego użyła. Przypięła guan dao do pasa.

– Jak wyglądam? – zapytala Eiten Ashę.

Przyjaciółka wydeła krytycznie usta, poprawila nieco jej naszyjnik i radośnie uniosła kciuk.

– Biorę na siebie całą odpowiedzialność za to, co się tu wydarzyło – oznajmila z powagą Jaya otaczającym ją kamerzystom. – Ojciec wysłał mnie do Lukangu, bym omówila możliwość poprawy stosunków z Jednością Sześciu Dłoni. Klan Bez Szczytów sprzeciwiał się Jio Somu od dwudziestu lat, gdy zdradził wujka, który był prawowitym filarem klanu. Podczas starcia, do którego wówczas doszło, omal nie zabito mojej ciotki. Mimo to byliśmy gotowi otworzyć w tym mieście nowy rozdział.

Obejrzała się z żalem na spalony budynek Wielkiej Trójki.

– Ale Jio Somu groził mi i składał niestosowne propozycje. Za tę zniewagę wobec mojej rodziny oferowałam mu czystą klingę. Odmówił. Moje pięści były świadkami tego wydarzenia i każda zielona kość może Postrzec, że mówimy prawdę.

Jaya spuściła na moment wzrok, nie wspominając o oczywistym fakcie, że jeśli ktoś znieważył rodzinę taką jak Kaulowie i odmówił przeprosin albo czystej klingi, musiał się liczyć z nieuniknionym odwetem.

– Pozostałych członków Jedności Sześciu Dłoni zapewniam, że klan Bez Szczytów nie pragnie konfliktu z nimi – kontynuowała. – Moja rodzina chętnie podejmie rozmowy o tym, jak nasze klany mogą koegzystować w Lukangu.

Niko beznadziejnie prezentował się w mediach, przypadkowym widzom, wydawał się sztywny i niesympatyczny, ale Ayt Ato nie był jedyną zieloną kością potrafiącą dobrze wypaść przed kamerami.

– Czy spodziewacie się odwetu Góry?! – zawołał jeden z reporterów.

Przed akcją Jaya zadała to samo pytanie filarowi i rogowi.

– Aben Soro nigdy nie lubił Jio Somu i nie będzie chciał tracić ludzi, żeby go pomścić – odpowiedział jej Lott. – Ale Góra będzie musiała wysłać pięści z Janloonu, żeby uniemożliwić nam przejęcie kontroli nad całym Lukangiem.

– Tego właśnie będzie się spodziewał po nas Aben, gdy tylko usłyszy tę wiadomość – zgodził się z nim Hilo. – Zdecydowaliśmy się wykorzystać Małe Noże z uwagi na czynnik zaskoczenia. Przemieszczenie większej liczby naszych wojowników z Janloonu do Lukangu przyciągnęłoby uwagę Góry, która ostrzegłaby Jedność Sześciu Dłoni. Ale Góra nie będzie zwracała uwagi na Toshon – ciągnął ojciec Jai. – Potem Ayt Mada i Aben Soro mogą sobie wysłać

tyle zielonych kości, ile tylko zechcą. Nie musimy panować nad całym Lukangiem. Wystarczy, że narobimy tam zamieszania.

Jio Somu miał dwójkę dzieci, ale za młodych, by mogły być jego następcami. Jego róg mógł spróbować przejąć władzę, ale był niepopularny w klanie. Większość członków rodziny Jio, którzy dochowali wierności dawnemu filarowi, przyłączyła się już do klanu Bez Szczytów, a po śmierci Jio Somu zapewne podążą za nimi inni. Niektóre odłamy Jedności Sześciu Dłoni pozostaną przy Górze, ale będą potrzebowały zwiększonego poparcia z Janloonu. Lukang przerodzi się w zlepek terenów kontrolowanych przez różne klany i nikt nie zdobędzie lojalności wszystkich reprezentantów miasta w Radzie Książęcej.

Klan Bez Szczytów nie potrzebował panować nad całym Lukangiem. Minione lata dowiodły, że ten cel jest bardzo trudny, być może nawet nieosiągalny. Wystarczy, że wreszcie zabiją wiernego Ayt Jio Somu i sprawią, że Góra nie będzie już mogła liczyć na militarne i polityczne poparcie Jedności Sześciu Dłoni. To właśnie udało się osiągnąć Jai.

– Jestem tylko pięścią i nie mogę się wypowiadać o sprawach zakrojonych na szerszą skalę – oznajmiła skromnie dziennikarzom. – Mam nadzieję, że Ayt Mada pozwoli reszcie Jedności Sześciu Dłoni podjąć samodzielną decyzję. Wiemy jednak, że filar Góry zawsze była skłonna do aktów bezsensownej przemocy. Jestem pewna, że ojciec przyśle mi dodatkowy kontyngent zielonych kości z Janloonu, żeby zapewnić, że nie dojdzie do dalszych zamachów na moje życie i mój honor.

Kilku reporterów zaczęło wykrzykiwać kolejne pytania. Dlaczego zabrała na pokojowe negocjacje wojowników, karabiny maszynowe i granaty? Czy ma coś do powiedzenia na temat reputacji Małych Noży? Czy jest obecnie z kimś w związku? Jaya zbyła te wszystkie pytania machnięciem ręki i ruszyła do swojego samochodu. Kiedy rozmawiała z reporterami, jej ludzie szybko pozbawili Jio jadeitu, a potem przeszukali dymiące ruiny, żeby zabrać zieleń zwęglonym trupom. Wyglądali jak górnicy z kopalni węgla – brudni od pyłu i sadzy.

– Ale ty wyglądasz świetnie! – zawołała do niej Asha, pokazując język.

Kain wręczył jej karambit Jio Somu z wysadzaną jadeitami rękojeścią, jego pierścienie, bransoletki oraz klipsy z uszu.

– Zieleń dla największej z Małych Noży – oznajmił.

– Nie zabiłam Jio – przypomniała mu Jaya. – Tylko go podpuściłam. W zasadzie popełnił samobójstwo. Dowodziłam misją, ale to niesprawiedliwe, bym zagarnęła tak wielką część łupu.

Przyjęła karambit, który był bardzo dobrej jakości, ale powiedziała Kainowi oraz Tennowi, żeby resztę jadeitu zdjętego z ciał zabitych ludzi z Jedności

Sześciu Dłoni podzielili równo między wszystkich członków ekipy.

Gdy jechali z powrotem do motelu, próbowała zadzwonić do Janloonu, ale nie mogła złapać zasięgu. Wreszcie udało się jej zobaczyć na ekranie dwie kreseczki, gdy stanęła przed wejściem, a reszta Małych Noży schowała broń, wystawiła wartowników i poszła do najbliższego sklepu po piwo. Wybrała numer gabinetu filaru. Jej ojciec odebrał rozmowę już po pierwszym sygnale.

– Cześć, tato – odezwała się. – Widziałeś mnie w telewizji?

– Przysięgam na bogów, że chcesz mnie zabić stresem! – zawołał Hilo. – Dlaczego nie zadzwoniłaś natychmiast? Pierwsze, co zobaczyłem w wiadomościach, to płonący budynek, bez żadnych dodatkowych informacji. Dzwoniłem dwa razy, ale nie odbierałaś.

– Byłam zajęta, tato! Wyłączyłam telefon. Musieliśmy porozmawiać z reporterami, ugasić pożar, sprawdzić budynek, który w każdej chwili mógł się zawalić, żeby znaleźć cały jadeit i podzielić go między siebie. Zawsze potrzeba czasu, by zdecydować, kto co dostanie, żeby nikt nie poczuł się niezadowolony, i takie tam. Wiesz, jak to jest! Zaufaj mi choć trochę, dobra?

Hilo parsknął pełnym ulgi śmiechem.

– Masz rację. Wiem, jak to jest.

– Jak wypadłam w telewizji – zapytała. – W porządku?

– Wyglądałaś świetnie – zapewnił filar. – Ale powstrzymaj się dziś od szalonych imprez, dobra? Jio nie żyje, ale miał przyjaciół i minie trochę czasu, nim pozbędziemy się wszystkich. Nie zapominaj o czujności i staraj się nie podpaść nikomu w tym mieście. Wkrótce zjawią się bliźniacy Juen i przywiozą ze sobą więcej ludzi. Ty i twoje Małe Noże macie słuchać starszych. Wiem, że przywykłaś do tego, że masz władzę w Toshonie, ale to nie jest Toshon.

– Jestem już pięścią wyższej rangi. Nie musisz mi przypominać o każdym drobiazgu ani uczyć mnie, jak trzymać ludzi w ryzach – poskarżyła się Jaya, grzebiąc w turystycznej lodówce w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Uniosła bark, by przycisnąć telefon do ucha. – Coś jeszcze?

– Jestem z ciebie dumny.

Uśmiechnęła się.

ROZDZIAŁ 56

ŻYCIE I ŚMIERĆ

Gdy samolot wylądował na Tialuhii, Anden rozejrzał się wkoło z wielkim zainteresowaniem. Nigdy dotąd nie był na Uwiwach. Wyobrażał sobie skąpaną w blasku słońca tropikalną wyspę pełną palm i brudnych, rozpaczliwie biednych ludzi, ośrodek przemytu narkotyków i jadeitu. Zdziwił się na widok nowoczesnego lotniska z klimatyzacją. Kierowca, który wioził go czarnym samochodem, nieźle mówił po kekońsku. Kiedy jechali przez największe na wyspie miasteczko Walai, Anden wszędzie widział ślady zniszczenia i oznaki odbudowy – porzucone, walące się budynki pokryte graffiti. Dźwigi przy wysokich, nieukończonych gmachach, policjanci kierujący ruch na objazdowe trasy, wojskowa ciężarówka z espeńską flagą.

Tajfun Kitt przed czterema laty spowodował na Kekonie spore straty, ale Uwiwy spustoszył całkowicie. Doprowadził do śmierci dwustu tysięcy ludzi, zniszczył zaniedbaną infrastrukturę kraju. Republika Espenii, władająca małą wysepką Iwansa, wykorzystywaną w celach wojskowych i turystycznych, pośpieszyła z humanitarną pomocą i wysłała również wojsko, by pomogło w zakrojonym na szeroką skalę planie odbudowy. Oczywiście Espeńczycy niczego nie robili za darmo. W tym przypadku cena, której zażądali, przyniosła korzyści również Kekonowi. Uwiwański rząd musiał zaprowadzić w domu porządek. Nowy prezydent, mianowany przez Espeńczyków, i nowy szef bezpieczeństwa narodowego zwolnili z pracy setki urzędników państwowych i stróżów prawa oskarżonych o korupcję. Przemysł jadeitu, handel narkotykami, sekturystrykę oraz korupcję polityczną postanowiono wykorzenić, by zwabić zagraniczne korporacje, mające wybudować w kraju fabryki sprzętu elektronicznego.

Ograniczenia podróży między Kekonem a Uwiwami częściowo zniesiono. Formalnie rzecz biorąc, zielonym kościom nadal zabraniano wjazdu do kraju, ale

Anden mógł tu przybyć, ponieważ był lekarzem i oficjalnie jego wizyta miała cel humanitarny. To z pewnością nie był pierwszy raz, gdy jego wyjątkowy status i pozaklanowe referencje przysłużyły się klanowi Bez Szczytów w nieoczekiwany sposób.

Miał wrażenie, że znalazł się na skrzyżowaniu dróg. Nie był pewien, jaka przyszłość go czeka, nawet jeśli klan Bez Szczytów zdoła się obronić przed machinacjami Ayt. Zrobił wszystko, co tylko mógł, dla promocji jadeitowej medycyny w Espenii, co z pewnością przysłużyło się interesom klanu, ale teraz jego pracę kontynuowali inni. Służył swym doświadczeniem Biuru Prognozy, gdy za granicą zaczęto otwierać szkoły jadeitowych dyscyplin, lecz Terun Bin wkrótce będzie samodzielnie kontrolował cały ten proces. Rzecz jasna, mógł nadal pracować jako lekarz, miał jednak wrażenie, że to za mało.

Czasami myślał o Lott Jinie, który piął się z determinacją wprost ku szczytowi klanowej hierarchii, aż wreszcie osiągnął pozycję rogu. Kariera Andena była pełna nieoczekiwanych zakrętów i objazdów. A teraz obaj często siedzieli przy kolacji w domu Kaulów, rozmawiając do późnej nocy o klanowych sprawach z filarem oraz członkami jego wewnętrznego kręgu.

Choć często się ze sobą spotykali i szanowali nawzajem swe umiejętności, Anden nie mógł twierdzić, że on i Lott są przyjaciółmi. Nadal dzieliło ich jakieś lekkie, niewytłumaczalne zakłopotanie myślą, że znali się nawzajem w czasach, gdy byli nieprzystosowanymi nastolatkami. Przed laty, na przyjęciu pożegnalnym przechodzącego w stan spoczynku Juena, gdy Anden pogratulował Lottowi awansu na pozycję rogu, usłyszał w odpowiedzi:

– Może to ja powinienem ci pogratulować tego, że udało ci się wykręcić od tej roboty. Dzięki temu miałem szansę ją otrzymać. – Wykrzywił usta w dobrodusznym, lecz również ironicznym uśmiechu. – Pewnie żaden z nas nie znalazł się w miejscu, w jakim spodziewaliśmy się znaleźć.

Anden przyjrzał mu się z uwagą.

– Czy było warto? – zapytał. – Zrezygnować z tego, kim mógłbyś się stać, i wybrać ścieżkę, której się nie spodziewałeś?

Lott wzruszył ramionami.

– Któż mógłby to odgadnąć? A czy ty uważasz, że było warto?

Kiedy Anden wspomniał Jirhui o swych rozmyślaniach na temat przyszłości, jego chłopak wysłuchał go z uwagą.

– Myślę, że to naturalne, że po czterdziestce zaczynamy się zastanawiać, czy mamy już za sobą najważniejsze wydarzenia w życiu, czy może pozostały jeszcze jakieś góry, na które będziemy musieli się wspiąć. Pozycja, jaką osiągnąłeś w klanie, jest sama w sobie ogromnym sukcesem, *miyan*. Być może zadajesz sobie pytanie, co jeszcze mógłbyś dzięki niej osiągnąć.

Jirhu niewątpliwie mówił z głębi serca. Odnosił coraz większe sukcesy w kekońskiej branży filmowej, ale ostatnio jego umysł zaprzętały również inne sprawy. Tajfun Kitt spowodował w ubogich wioskach Abukei znacznie większe straty niż w innych częściach Kekonu i Jirhu coraz bardziej angażował się w obronę interesów rdzennych mieszkańców. Brał teraz udział w protestach na Eumanie i często nie było go w domu przez wiele dni.

Anden obawiał się o jego bezpieczeństwo, ale nie mógł od niego żądać, by trzymał się z dala od miejsc, w których może dojść do aktów przemocy.

– Jeśli ja mogę tolerować choć połowę tego, co robisz dla klanu, ty możesz zaakceptować, że próbuję pomóc swojemu ludowi w sprawach, które są dla niego ważne – oznajmił stanowczo Jirhuya.

Samochód wywiózł go poza granice samego Walai, na szeroką, niedawno wyasfaltowaną drogę. W letnim upale opary bijące z asfaltu unosiły się w powietrzu. Anden zobaczył wysokie, zabezpieczone drutem kolczastym mury więzienia o zaostrzonym rygorze oraz jego masywne wieże strażnicze na długo przed tym, nim przybyli na miejsce. Przy wejściu pokazał dokumenty wartownikowi, a potem zrobił drugi raz to samo – w gabinecie, gdzie dano mu identyfikator dla gościa. Po kolejnych procedurach i trzydziestu minutach siedzenia w małej poczekalni o żółtych ścianach strażnik zaprowadził go do pokoju wyposażonego w metalowy stół i dwa krzesła.

Usiadł na jednym z nich. Drzwi na drugim końcu pomieszczenia otworzyły się i inny strażnik wprowadził do środka więźnia ubranego w szary kombinezon. Ręce skuto mu kajdankami. Anden nigdy go nie spotkał osobiście, ale kiedy na niego spojrzął, trudno mu było uwierzyć, że ten człowiek był kiedyś jednym z najgroźniejszych wrogów klanu Bez Szczytów. Iyilo był w swoim czasie prawą ręką osławionego przemytnika Zapunya, ale zdradził szefa, zawarł sojusz z Górą i przejął kontrolę nad organizacją przestępczą Ti Pasuiga. *Barukan* był teraz otyłym mężczyzną w średnim wieku, miał długie, rzadziejące włosy i błyszczące od potu czoło. Po aresztowaniu przed sześciu miesiącami zabrano mu cały jadeit.

Iyilo opadł ciężko na drugie krzesło i przyjrzał się z pogardą Andenowi.

– Kim, kurwa, jesteś, i czego chcesz? – zapytał po kekońsku z wyraźnym akcentem.

– Jestem Emery Anden z klanu Bez Szczytów – odpowiedział gość po kekońsku.

Iyilo pochylił się ku niemu.

– Jesteś jednym z Kaulów. Kuzynem mieszanej krwi.

– Przez chwilę znałeś mnie jako dziennikarza nazwiskiem Ray Caido.

Przemytnik zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym parsknął śmiechem.

– A więc to tobie powinienem podziękować za zabicie Zapunya. To już tyle lat. A może to ty powinieneś podziękować mi za to, że pomogłem twojej rodzinie wyrzucić zemstę. – Wsparł dłonie na brzuchu. – W tym jednym punkcie mogę powiedzieć, że jestem lepszy od Zapunya. Upadłem, ale to nie wrogowie mnie załatwili.

Początkowo Iyilo całkiem nieźle kierował Ti Pasuiga. Był kiedyś członkiem gangu Matyów z Szotaru i wiele nauczył się od Zapunya, był więc wystarczająco bezlitosny. Współpraca z Ayt Madą pozwoliła mu zachować dominację nad zyskownym trójkątem nielegalnego handlu jadeitem między Kekonem, Uwiwami a kontynentem Orius.

Tak się jednak pechowo złożyło, że Iyilowi brakowało organizacyjnych talentów poprzednika. Jako Keko-Szotarczyk gardził Uwiwanami. Okrutnie karał za zdradę, ale w przeciwieństwie do swego poprzednika nie wydawał pieniędzy na kreujące lojalność inwestycje, takie jak wiejskie szkoły czy szpitale. Z czasem coraz częściej zapominał o utrzymywaniu kontaktów i opłacaniu właściwych ludzi. Z tego powodu stracił panowanie nad politykami i policją, jakie miał Zapunyo. Po nadejściu tajfunu Kitt, gdy Espeńczycy zażądali od uwiwańskiego rządu dowodów na to, że rzeczywiście prowadzi walkę z przestępczością i korupcją, na Ti Pasuiga zapadł wyrok.

Niemniej trudno było mieć do Iyila pretensję o to, że czuł się bezpiecznie. Nosił jadeit i mieszkał w ufortyfikowanej posiadłości bronionej przez dziesiątki strażników, również wyposażonych w jadeit. Policji federalnej brakowało ludzi i wyszkolenia. Nie miała szans go zaatakować. Ale uwiwański rząd wynajął MRG.

Drużyna świetnie wyposażonych, noszących jadeit najemników obserwowała zachowanie Iyila przez wiele tygodni, nim wreszcie zastawiła na niego zasadzkę, gdy udawał się na imprezę sportową. Napastnicy zabili czterech jego ochroniarzy, ale Iyila wzięli żywcem, zgodnie z wymogami kontraktu. Uwiwański rząd ogłosił zwycięstwo i opublikował zdjęcia zakutego w kajdanki więźnia. Zasługi za jego aresztowanie przypisano szefowi bezpieczeństwa narodowego.

Ani klan Góra, ani gang Matyów nie udzieliły Iyilowi żadnej pomocy. Po rozwiązaniu programu tworzenia nekolwów, zmniejszeniu napięć związanych z powolną wojną oraz dekryminalizacji jadeitu w RE jego przemyt stał się biznesem bez przyszłości. Ti Pasuiga przeżyła swą użyteczność i nie miała już kluczowego znaczenia dla dawnych sojuszników.

– Czy Kaul Hilo przysłał cię tu po to, żebyś się chępił zwycięstwem? – zapytał Iyilo. – Mam wrażenie, że ten arogancki skurwysyn wolałby to zrobić osobiście. No wiesz, kiedyś go spotkałem.

– To prawda. Przysłał mnie filar – potwierdził Anden. – Żeby ofiarować ci naszą pomoc.

– Waszą pomoc – odparł Iyilo z nieskrywaną pogardą. – Kaul Hiloshudon torturował mojego kuzyna Soradiya i poderżnął mu gardło. Prędzej uściskałbym dłoń diabłu.

Anden zdjął okulary i wytarł je, powtarzając sobie, że przybył tu w określonym celu i nie powinien dać się sprowokować temu człowiekowi, który upadł nisko i był bezsilny, ale nadal mógł okazać się użyteczny.

– Soradiyo próbował zamordować filar, ale bomba, którą podłożył w samochodzie zabiła jego szwagra zamiast Hila. Po czymś takim nawet Ayt Mada nie zamierzała bronić twojego kuzyna. Tak samo, jak nie broni cię teraz. Raczej nie możesz wybrzydzać, jeśli chodzi o pomoc.

Przemytnik uniósł górną wargę.

– Tak – przyznał z goryczą. – W ostatecznym rozrachunku wszystkie zielone kości są takie same, czyż nie tak? Bronicie samych siebie, a wszystkich innych wykorzystujecie.

– Czy twój prawnik wytłumaczył ci, że odeślą cię na Kekon?

Iyilo wzruszył fatalistycznie ramionami.

– Kekon to dla mnie tylko nazwa. Byłem dzieckiem, kiedy moją rodzinę zesłano do Szotaru jako robotników podczas wojny wielu narodów. To tylko opakowanie mojego życia. Tam się urodziłem i tam umrę.

Anden poczuł odrobinę litości dla więźnia. Iyilo stał się sednem trójstronnego konfliktu prawnego między Uwiwami, Kekonem a Szotarem. Wszystkie te kraje chciały go osądzić za zbrodnie popełnione na ich terenie. Iyilo nie był uwiwańskim obywatelem, mimo że przez dziesięciolecia kierował w tym kraju potężną organizacją przestępczą. Nie miał też obywatelstwa Szotaru, ponieważ, by je uzyskać, musiałby być Szotarczykiem w co najmniej siedemdziesięciu pięciu procentach. Oficjalnie był Kekończykiem, mimo że przeżył na wyspie tylko rok. Teraz jednak kekoński rząd pragnął zrobić z niego przykład, publicznie wyprowadzić go z samolotu zakutego w kajdanki, by zademonstrować haniebny koniec Ti Pasuiga i wszystkich, którzy odważyli się kraść jadeit. Rada Książęca uczyniła ekstradycję Iyila jednym z warunków zniesienia embarga i normalizacji stosunków między oboma państwami. Po długich przepychankach rząd Uwiwów wyraził zgodę.

– Kiedy już znajdziesz się na wyspie, zapewne pożyjesz najwyżej kilka godzin – zauważył Anden.

Iyilo nie odpowiedział, ale jego przygnębiona mina świadczyła, że świetnie rozumie swoją sytuację. Dawny szef Ti Pasuiga był dla Ayt Mady już tylko zagrożeniem. Na Kekonie nikogo nie otaczano większą pogardą niż złodziei

jadeitu. Większość więźniów dzielących z nim celę z przyjemnością wyświadczyłaby przysługę Górze i zagwarantowała, że Iyilo nigdy nie złoży zeznań w sądzie.

– Czego chcesz? – zapytał Iyilo z gniewem pomieszonym ze znużeniem.

Anden zerknął na stojących przy drzwiach strażników. Znajdowali się poza zasięgiem słuchu i niemal na pewno nie rozumieli kekońskiego, ale i tak ściszył głos.

– Nadal masz pewien atut. Wiesz zbyt wiele rzeczy, które mogą zaszkodzić Górze. Szczegóły umowy zawartej przez Ayt z Zapunyem, jej sojusz z tobą i z Matyami, zyski, jakie czerpała z czarnego rynku. Dlatego na pewno każe cię zabić.

Wyjął z teczki telefon komórkowy i położył go na stole.

– W Janloonie czeka prywatny samolot, gotowy dostarczyć na Tialuhiyę spikera Kekońskiej Stacji Państwowej Toh Kitę. Muszę tylko zadzwonić, żeby zapewnić ci wywiad z nim.

Iyilo powoli rozciągnął usta w bardzo zimnym uśmiechu.

– Wiesz, czego nienawidzę najbardziej na świecie? Kapusiów. Kiedy z Zapunyem złapaliśmy jakiegoś w Ti Pasuiga, zawsze staraliśmy się, żeby błagał o śmierć. Swoje tajemnice zabiorę do grobu.

– Ty siedzisz w więzieniu, a Ayt Mada przebywa w swej rezydencji w Janloonie.

– Tak samo jak twój kuzyn Kaul Hilo. Co mi to da, jeśli zamiast pionkiem Góry stanę się narzędziem klanu Bez Szczytów? Nie jestem aż taki głupi, żebym uwierzył, że to mnie uratuje.

Anden nie był pięścią, przyzwyczajoną do wzbudzania strachu, wiedział jednak, że los jego rodziny może zależeć od tego, czy uda mu się to zrobić w tym momencie. W przeszłości nieraz się zdarzało, że musiał przemawiać albo podejmować działania w imieniu klanu, gdy nikt inny nie mógł tego zrobić. W młodych latach dotkliwie odczuwał różnicę dzielącą go od reszty rodziny Kaulów. Dopiero z czasem nauczył się doceniać zalety tej sytuacji. Ponieważ nie zajmował żadnej pozycji w sztywnej klanowej hierarchii, mógł pełnić wiele innych funkcji – uzdrowiciela, zabójcy, emisariusza, doradcy. Dziś będzie to funkcja młotka.

– Ciebie już nie da się uratować – przyznał. – Ale co z twoją rodziną? Tą, której istnienie tak bardzo starałeś się zachować w tajemnicy?

Wyciągnął z teczki kopertę, otworzył ją i położył na stole przed więźniem trzy kolorowe zdjęcia. Na pierwszym przedstawiono ładną, trzydziestoparoletnią Uwiwanę siedzącą na plaży. Miała na sobie pastelową sukienkę na ramiączkach, a długie włosy związała w niezgrabny kok. Twarz miała zwróconą

w bok i rozmawiała z drugą kobietą. W piasku nieopodal bawiła się dwójka dzieci – być może dziesięcio- i ośmioletnie. Na drugim zdjęciu ta sama kobieta i te same dzieci wysiadały z samochodu. Na trzecim stały przed ładnym domem.

Opalona na ciemno twarz Iyila nagle utraciła niemal cały kolor.

– Jestem pewien, że zadbałeś o to, by twoją żonę i dzieci otoczono opieką po twojej śmierci, ale jak będziesz mógł wtedy dbać o ich bezpieczeństwo? Skąd pewność, że ludzie z Ti Pasuiga, których opłaciłeś, by ich strzegli, będą mieli powód, by dochować wierności pamięci o tobie? Uwiwy to niebezpieczny kraj.

– Skąd wiecie...? – wychrypiał Iyilo.

Nie zdołał dokończyć zdania.

– Nie ma znaczenia, jak ich znaleźliśmy – odpowiedział ze spokojem Anden.
– Jeśli my tego dokonaliśmy, innym też może się udać. Nie jesteś zieloną kością z Kekonu i nie możesz liczyć na to, że *aisho* obroni twoich nienoszących jadeitu bliskich. Jesteś tylko barukańskim przemytnikiem, a twoja rodzina to tylko Uwiwanie. Czy Ayt Mada może być absolutnie pewna, że nie powiedziałaś żonie czegoś niedogodnego, o czym nie powinny się dowiedzieć uwiwańskie władze?

Przez całe ciało Iyila przebiegło drżenie. Kajdanki zastukały o metalowy blat.

– Oto oferta mojego filaru. – Anden znowu sięgnął do teczki i wydobyl z niej kolejną kopertę. – Możemy wsadzić twoją rodzinę do samolotu odlatującego jutro do Port Massy. Przewieziemy ich na lotnisko pod strażą, a gdy już znajdą się w Espenii, klan Bez Szczytów zapewni im bezpieczeństwo. Mamy tam pod dostatkiem ludzi i zasobów. Załatwimy im mieszkanie i nowe tożsamości. Twoje dzieci będą miały zwyczajne, bezpieczne życie. Będą chodziły do szkoły, a być może nawet uczyły się jadeitowych dyscyplin. Dostaną pieniądze, które zostawisz im w spadku. A co najważniejsze, będą miały przyszłość inną od życia, na jakie ty byłeś skazany.

Widział, że opór Iyila słabnie, ale potrzebne było jeszcze jedno, lekkie popchnięcie, nim podejmie nieuniknioną decyzję. Anden schował bilety na samolot z powrotem do teczki. Zauważył, że oczy przemytnika poruszyły się lekko, gdy bilety zniknęły i na stole zostały tylko niebezpieczne zdjęcia.

– Rodzina Kaulów zawsze dotrzymuje słowa, nawet danego wrogom. Zwłaszcza wrogom. Oto obietnica mojego filaru, którą polecił ci przekazać. Ujawnij tajemnice Ayt, a my dochowamy twoich. Jeśli oskarżysz Górę, będziemy strzegli twoich synów, jakby byli członkami naszego klanu. Ale jeśli odmówisz, nie jestem w stanie przewidzieć, co zrobi mój kuzyn z tymi zdjęciami. Nie sądzę, by poczuwał się do jakichkolwiek zobowiązań wobec twojej żony i dzieci.

Iyilo poruszył nerwowo grdyką.

– Jesteś lekarzem. Nie możesz ich narazić na niebezpieczeństwo.

– Zdziwiłbyś się, gdybym ci opowiedział, co już uczyniłem – odparł Anden.
– Odbierałem ludziom życie, a innym je ratowałem i w obu przypadkach miałem równie silne wątpliwości.

Zabił Gont Ascha i uratował życie Ayt Madzie. Kazał wykończyć Jona Remiego i w ten sposób doprowadził do śmierci Maik Tara. Ocalił życie niezliczonym nieznanym, ale codziennie dręczyło go wspomnienie śmierci Ru i świadomość, że gdyby tam był, miałby szansę uratować kuzyna. Wszystkie te narastające z biegiem czasu wątpliwości składały się na dręczący go dualizm. Był Kauliem, a jednocześnie nim nie był. Od dawna starał się rozwiązać tę sprzeczność, ale ona po prostu istniała.

– W mojej rodzinie przywykliśmy do podejmowania decyzji dotyczących życia i śmierci. Wiem jednak, po której stronie wolę się opowiedzieć, jeśli to tylko możliwe – rzekł Anden skazanemu na śmierć mężczyźnie. – Nie jesteśmy w stanie cię uratować, Iyilo, ale możemy zapewnić twojej rodzinie życie tam, gdzie nawet Góra ich nie dosięgnie.

Wziął w rękę telefon.

– Obiecałem filarowi, że zadzwonię do niego, gdy tylko podejmiesz decyzję. Jak ona brzmi?

ROZDZIAŁ 57

IMPAS

Koła duchesse imperia toczyły się powoli po nierówno ubitej ziemi. Na chromowaną przednią kratkę i białe drzwi wielkiego, luksusowego sedanu tryskało błoto. Hilo opuścił szybę. Widział w gazetach zdjęcia Eumańskiego Impasu i oglądał telewizyjne relacje, ale nie były one w stanie przekazać niespokojnej energii, a także zapachu. To miejsce wyglądało jak skrzyżowanie obozu uchodźców z festiwalem muzycznym pod gołym niebem. Namioty z brezentu albo plastiku rozbito wszędzie, gdzie tylko ich właściciele mogli znaleźć miejsce. W powietrzu unosiła się woń jedzenia gotowanego na przenośnych piecykach gazowych ustawionych na prowizorycznych, zbitych z desek stołach. Grupa abukejskich kobiet tańczyła i grała tradycyjną muzykę. Wokół nich zgromadził się krąg gapiów. Psy leżały w cieniu tam, gdzie można było go znaleźć – pod samochodami ozdobionymi kekońskim flagami oraz ręcznie malowanymi transparentami z napisami: ANORCO KRADNIE NASZ JADEIT I GWAŁCI NASZĄ ZIEMIĘ. PRAWA ABUKEI! SPENKI DO DOMU.

Obozowisko cały czas się rozrastało. Przebywało tu już około ośmiu tysięcy ludzi, a wciąż przybywali nowi. Tłum zalewał wszystkie miasteczka na Eumanie. Hilo słyszał, że wszystkie miejsca w hotelach są zajęte, a w sklepach brakuje podstawowych towarów, takich jak papier toaletowy, butelkowana woda i poncza przeciwdeszczowe.

Lott zatrzymał samochód, gdy stało się oczywiste, że dalej już nie pojadą. Przybycie duchesse przyciągnęło powszechną uwagę. Ludzie biegli w ich stronę i przepychali się, żeby dotrzeć bliżej, krzyczeli głośno, że przybył filar klanu Bez Szczytów. Hilo wysiadł z samochodu w towarzystwie rogu i dwóch innych zielonych kości – Vin Solu, pierwszej pięści Janloonu, oraz Hami Yasu, syna poprzedniego klanowego zaklinacza deszczu.

– Kaul-jen! Filar! – wołał tłum. – Bez Szczytów! Bez Szczytów! – skandowali inni. Wielu zgromadzonych nie było członkami klanu, a z pewnością niektórzy byli lojalni wobec Góry, ale głosów było wystarczająco wiele, by narastający hałas podążał za idącymi przez obozowisko zielonymi kośćmi.

Lott i jego dobrze wyszkolone pięści ignorowali cały ten rwetes. Ich jadeitowe aury wibrowały czujnością, a groźne miny powstrzymywały innych przed podchodzeniem zbyt blisko. Hilo im zazdrościł. Minęło już sporo czasu, pomyślał. Sporo czasu, odkąd wysiadał z duchesse w towarzystwie grupy wojowników obładowanych jadeitem i bronią, gotowych stawić czoło każdemu przeciwnikowi. W młodych latach żył dla adrenaliny wypełniającej jego żyły w takich momentach. To wspomnienie nadal było wyraziste, ale czuło się w nim też słodko-gorzka nostalgia.

Z tłumy wyłonił się jeden człowiek i ruszył w stronę filaru. Jirhuya nie był tak dobrze ubrany jak zwykle. Zamiast szytej na miarę koszuli i wyprasowanych spodni miał na sobie dzinsy, buty z cholewami i czarną bluzę dresową. W pasie otoczył się barwną abukejską szarfą, a na twarzy miał kilkuniedniowy zarost.

– Kaul-jen – przywitał Hila, oddając mu z szacunkiem honory.

– Jadłeś kolację w moim domu – odpowiedział filar. – Nie zachowuj się, jakbyś ledwie mnie znał.

Na smagłej twarzy Jirhu pojawił się lekko rdzawy rumieniec.

– Przepraszam, Hilo-jen. Rzadko spotykamy się publicznie i bez innych członków rodziny.

Bez Andena.

Hilo uśmiechnął się i położył dłoń na ramieniu Abukei, by mu pokazać, że wcale się na niego nie gniewa. Krępująca powściągliwość Jirhu była zrozumiała, jako że nie sposób było zaradzić społecznej przepaści dzielącej go od rodziny partnera. Szczerze mówiąc, był zdziwiony, że związek Andena z Jirhuyą przetrwał tak długo. Najwyraźniej dobrze do siebie pasowali pod innymi względami.

– Pokaż nam, co tu się dzieje – poprosił Hilo.

Jirhuya poprowadził filar i jego ludzi w górę łagodnego stoku, aż do granicy obozowiska. W odległości sześciuset metrów stał wysoki płot zwieńczony drutem kolczastym. Na ogrodzonym terenie znajdowały się trzy budynki oraz lądowisko dla helikopterów. Bramy strzegli uzbrojeni strażnicy w mundurach polowych, zajmujący też pozycje wzdłuż płotu, w równych odstępach od siebie. Wszyscy trzymali karabiny i podejrzliwie przyglądali się protestującemu.

– Żołnierze MRG – stwierdził Lott.

– Wczoraj było ich dziesięciu, ale dziś rano ich liczba się podwoiła – wyjaśnił Jirhuya. – Jeśli ktoś zbliży się do płotu na odległość dwustu metrów,

strzelają mu pod nogi. Jesteśmy przekonani, że chodzi o to, że dziś po południu ma dotrzeć kolejny transport.

Kilku ludzi podążających za zielonymi kośćmi wymamrotało coś gniewnie i splunęło na ziemię. Wspecjalizowane statki górnicze Anorco kontynuowały wydobywanie jadeitu z dna morskiego. Następnie klejnoty segregowano na pokładach i przewożono helikopterem do centrum obróbki, gdzie pakowano je w celu wysyłki. Jeden z takich punktów znajdował się niespełna dwa kilometry stąd. Gdy Hilo uniósł dłoń, by osłonić oczy przed słońcem, ujrzał w oddali zarysy Eumańskiej Bazy Marynarki Wojennej. Flagi nad nią łopotały na silnym wietrze.

Od początku impasu protestujący rzucali na teren należący do Anorco cegły, pojemniki z farbą oraz tanie materiały wybuchowe własnej roboty. Koncern odpowiedział na to wzmocnieniem ochrony. Żołnierze MRG pełnili teraz straż dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Ani kekoński rząd, ani klany zielonych kości nie udzieliły oficjalnego poparcia przybierającym niekiedy gwałtowny charakter protestom, ale też nie próbowały ich powstrzymać. Kilku członków Rady Książęcej publicznie wyraziło solidarność z protestującymi oraz sympatię dla nich, a całkiem sporo zielonych kości przyłączało się do tłumu z milczącym przyzwoleniem swych filarów. Teraz jednak Kaul Hiloshudon osobiście pojawił się na Eumanie. To było coś nowego. Do tej chwili była to najbardziej spektakularna demonstracja poparcia ze strony klanów zielonych kości. W niespokojnym, pomrukującym tłumie wzbierała fala energii. Na wzniesieniu, na którym stali Hilo i jego ludzie, zbierało się coraz więcej ludzi. Reporterzy wychodzili z samochodów parkujących na granicy obozu. Trzymali w rękach kamery, czekając, aż coś się wydarzy.

– Co możesz nam powiedzieć, Vin? – zapytał Hilo.

– Niektórzy z tych najemników z pewnością noszą jadeit, ale musiałbym podejść bliżej, żeby zauważyć coś więcej, Hilo-jen.

Pierwsza pięść słynął z Postrzegania o dalekim zasięgu, ale nawet Vin Snajper nie potrafił być precyzyjny na taką odległość.

– W takim razie zróbmy to – zasugerował Hilo.

Ruszyli w dół po stoku, zmierzając ku płotowi. W pewnym momencie grupka zielonych kości wyłoniła się z tłumu, podbiegło do filaru i padła przed nim na kolana. Żadna z nich nie wyglądała na więcej niż dwadzieścia pięć lat.

– Kaul-jen – wydyszała młoda kobieta z włosami ufarbowanymi na pomarańczowo i jadeitowym kółkiem w nosie. – Jesteśmy tylko bezwartościowymi członkami klanu. Ja i mój przyjaciel jesteśmy niskimi rangą palcami i wykorzystaliśmy wolne dni, by przyłączyć się do protestu, mój drugi

przyjaciel jest szczęściodawcą, a dwojga pozostałych nie znam, ale wszyscy jesteśmy na twoje rozkazy.

– Żadna zielona kość z klanu Bez Szczytów nie jest bezwartościowa – oznajmił Hilo, uśmiechając się na widok ich młodzieńczego entuzjazmu.

Z tłumu wyłoniło się czworo kolejnych nieznajomych. Wszyscy niepewnie oddali honory Hilowi.

– Kaul-jen... – zaczął jeden z nich. – Jesteśmy zielonymi kośćmi z Góry, ale wszyscy jesteśmy przede wszystkim Kekończykami. Pomożemy ci w walce z cudzoziemcami, jeśli nam pozwolisz. Nasza filar nam tego nie zakazała.

Hilo skinął głową. Nie był zaskoczony, że Ayt Mada zachowuje milczenie w sprawie Eumańskiego Impasu. W końcu właśnie przejmowała potajemnie Anorco.

– Przynieście całą broń, jaką macie – rozkazał zgromadzonym zielonym kościom. – Waszym najważniejszym zadaniem jest ochrona obecnych tu ludzi. Poza tym róbcie to, co każą wam mój róg oraz pięści. Zrozumiano?

Wszyscy oddali honory Hilowi i zapewnili, że tak.

Filar i jego wojownicy podeszli do płotu otaczającego placówkę Anorco. Szły za nimi nowo przybyłe zielone kości oraz ogromny, podekscytowany tłum. Wielu ludzi jechało powoli samochodami, wioząc flagi oraz transparenty. Zaczął padać letni deszcz. Ciężkie, ciepłe krople padały na gołe głowy i rozpryskiwały się na maskach pojazdów.

Vin zwolnił kroku. Jego oczy utraciły nagle wyraz.

– Jest tam co najmniej trzydziestu dwóch ludzi, Kaul-jen – oznajmił. – Nie sięgam Postrzeganiem do drugiego końca, więc mogłem kilku przeoczyć. Myślę, że większość z nich to żołnierze, ale nie wszyscy noszą jadeit. Wykryłem osiemnaście aur.

– Osiemnaście to nie tak źle – odpowiedział Hilo. – Ale też nie za dobrze. Wszyscy mają karabiny i kamizelki kuloodporne, a do tego są już wystraszeni.

Na taką odległość nie Postrzegał tak dobrze jak Vin, ale wyczuwał niepokój narastający w żołnierzach MRG pilnujących płotu. Ich karabiny R5 były wymierzone w zbliżający się tłum.

Jeden z nich zawołał do tłumu przez megafon, najpierw po espeńsku, a potem w ledwie zrozumiałym kekońskim.

– Stać! Zbliżacie się do prywatnego terenu. Zatrzymajcie się albo otworzymy ogień. Zostaliście ostrzeżeni!

– Mamy za mało zielonych kości, żeby załatwić tych wszystkich strażników, nie wspominając już o zdobyciu obiektu – odezwał się zaniepokojony Lott.

– Nie musimy tego robić.

Hilo zatrzymał się w miejscu, w którym zaczął Postrzegać, że niepokój wartowników narasta, a ich palce wędrują ku spustom. Od płotu dzieliło go około dwustu metrów. Zwrócił się w stronę protestujących, którzy podążali za nim niczym armia, i rozpostarł szeroko ramiona, rzucając szerokie, płytkie Odbijanie, które dotarło do ludzi stojących w pierwszym szeregu, wywierając na nich łagodny, ale stanowczy nacisk. Zatrzymali się.

– I co zrobimy teraz, Kaul-jen? – zapytał Hami Yasu.

– Zaczekamy. To nie powinno potrwać długo.

Hilo spojrzał na niebo. Wiatr się wzmaczał, smagając deszczem jego twarz, aż musiał mrużyć powieki. Tłum protestujących kłębił się niecierpliwie. Ludzie rozmawiali ze sobą, ale nikt nie wysuwał się za linię, na której zatrzymał się filar.

W oddali rozległ się dźwięk śmigłowca, zbliżający się z każdą chwilą.

Akurat na czas. Białe szczury umieszczone przez klan w MRG zasłużyły na swoje pensje.

Hilo skinął na Lotta i jego pięści, przywołując ich do siebie, po czym wyjaśnił im, co zamierza zrobić. Pokiwali głowami, nie okazując zaskoczenia ani niepewności.

– Hami-jen, twój ojciec mówi mi, że twoja Lekkość jest znakomita – rzekł filar.

Młody mężczyzna spojrzał na niego z zawstydzoną miną i obiecał, że zrobi, co będzie mógł.

Hilo skoczył na dach pobliskiej furgonetki, pomagając sobie Lekkością, i wylądował w przykucniętej pozycji. Kiedy wstał i uniół ręce nad głowę, tłum ucichł. Wszyscy patrzyli na niego z niecierpliwością.

– Słyszycie mnie?! – ryknął. – Słyszycie mnie?!

Odpowiedział mu głośny tumult. W morzu skierowanych na niego twarzy widział Jirhuyę. Partner Andena przyglądał mu się niepewnie, ale słuchał z uwagą wszystkich jego słów, tak samo jak pozostali.

– Bez względu na to, z której części kraju pochodzicie, któremu klanowi przysięgaliście lojalność, i na to, czy nosicie jadeit, czy nie, wszyscy jesteście Kekończykami. Mamy obowiązek bronić swoich i wywierać zemstę w ich imieniu. Ten, kto krzywdzi kogoś z nas, krzywdzi nas wszystkich. Temu, kto pragnie wojny z nami, odpłacimy po stokroć. – Hilo nie był specjalistą od wygłaszania mów, to zawsze była mocna strona Ayt, ale teraz słowa zjawiały się w jego umyśle w pełni ukształtowane. Nie wiedział, skąd się tam wzięły, ale czuł, że są silne i właściwe. Odchylił głowę do tyłu i ryknął, przekrzykując coraz głośniejszy terkot śmigłowca: – Nikt nam nie odbierze tego, co jest nasze!

Maszyna pojawiła się na niebie, zmierzając ku lądowisku na ogrodzonym terenie. Gdy pilot zwolnił, zawieszając śmigłowiec w powietrzu, Hilo wydał krzykiem rozkaz pięściom, zgromadził całą swą jadeitową energię niczym odpływ, wsysający wodę w ocean, zgiął kolana i skoczył w górę niesiony Lekkością.

Przez chwilę wydawało się, że grawitacja straciła na niego wpływ. Uniósł się wysoko nad ziemię i stojących na niej ludzi. Lott, Vin i Hami skoczyli razem z nim, odbijając się z dachów samochodów albo biorąc krótki, wzmocniony Siłą rozbieg. Nie mogli dosięgnąć śmigłowca – znajdował się za daleko, a oni byli tylko ludźmi, nie ptakami. Mogli jednak wystarczająco się do niego zbliżyć.

U szczytu lotu na dramatyczne mgnienie oka filar zawisł w powietrzu na wysokości okna pierwszego piętra. Czuł, jak jego kierunek się zmienia. Musiał zachować wystarczająco wiele Lekkości, by nie połamać sobie kości przy upadku. Zaskoczenie pilota rozbłysło w Postrzeganiu Hila niczym nagłe światło w zakamarku jego mózgu. Potem ujrzał twarz wyglądającego przez okno mężczyzny. Pilot rozdziawiał usta, zdumiony widokiem czterech ludzi skaczących w górę, jakby chcieli złapać za płozy jego maszyny.

Hilo nadal mocno trzymał się pierwszej dyscypliny, lecz jednocześnie sięgnął po drugą. Jego umysł i ciało sprzeciwiały się boleśnie, gdy z grymasem wściekłości wyciągnął rękę ku kabynie śmigłowca i wysłał w gwałtownym impulsie niemal całą jadeitową energię, jaka mu pozostała.

Cztery snopy Przenoszenia uderzyły pilota niemal jednocześnie. Nie były to precyzyjne ciosy z bliska, które wywołałyby śmiertelne uszkodzenia serca albo płuc przeciwnika. Z tak dużej odległości, a w dodatku w locie, moc była słaba i rozproszona. Każda zielona kość bez trudu osłoniłaby się przed tak śmiesznym, nieortodoksyjnym atakiem.

Ale pilot nie był zieloną kością. Połączone impulsy jadeitowej energii wysłane przez czterech napastników nie zabiły go, lecz zakłóciły działanie narządów wewnętrznych i układu nerwowego, pozbawiając mężczyznę przytomności. Osunął się na siedzenie, a potem padł głową na przyrządy.

Lądowanie Hila było twardsze, niżby tego chciał. Po tak potężnym impulsie Przenoszenia zostało mu bardzo niewiele jadeitowej energii, by pomóc sobie Lekkością i Stałą. Ból przeszył jego łydki i uda, docierając aż do bioder. Filar padł na ręce i kolana. Wstrząs wybił mu powietrze z płuc. Hami Yasu wylądował Lekko obok niego. Tylko trochę się zdyszał.

– Kaul-jen, nic ci się nie stało?

Niech szlag trafi młodych. Hilo skinął głową na znak, że wszystko w porządku. Wstał, otarł pot z czoła i strzepnął pył z dłoni i kolan, po czym spojrzął na śmigłowiec. Wszyscy gapili się z fascynacją na maszynę, jakby

oglądali katastrofę kolejową w zwolnionym tempie, w tym również wartownicy otaczający lądowisko. Niekontrolowany śmigłowiec przechylił się w powietrzu. Nadal zmierzał ku lądowisku, ale opadał stanowczo za szybko. Zaczął wirować wokół długiej osi. Pracujące wirniki spowodowały potężny podmuch, który wyrwał kępy trawy i sprawił, że wielu protestujących szukało schronienia w samochodach. Hilo usłyszał krzyk zdumienia i zachwytu młodej kobiety o pomarańczowych włosach:

– O ja pierdolę...

Pilot w ostatniej chwili odzyskał przytomność, uświadomił sobie, co się dzieje, i desperacko spróbował wyrównać lot. Było już jednak za późno. Maszyna nie trafiła w lądowisko i z przerażającym zgrzytem metalu spadła na ziemię tuż przed płotem. Potem odbiła się w bok, tracąc jedną płożę i tylny wirnik. Wartownicy uciekali przed śmigłowcem, który wyrwał się spod kontroli i kręcił się w kółko. Uderzył w barierę z drutu kolczastego, wyrwijąc cały fragment płotu, po czym znowu padł na ziemię z głośnym hukiem, wzbijając w powietrze kłęby kurzu. Odłamki wirnika poleciały na wszystkie strony.

– Odbijajcie to gówno! – zawołał Lott, unosząc rękę.

Vin, Hami i kilka młodszych zielonych kości pośpiesznie wzniosło prowizoryczną, ale skuteczną barierę Odbijania, osłaniając tłum przed szrapnelami.

Gdy chmura pyłu opadła, wypełniony jadem śmigłowiec leżał na boku w odległości stu metrów od dziury w płocie. Z powyginanej maszyny buchał dym, a na jej skierowanym w górę boku wyraźnie widziało się logo Anorco. Przez przedłużającą się chwilę wszyscy milczeli. Potem tłum eksplodował triumfalnym rykiem. Protestujący od miesięcy patrzyli z nienawiścią na płot, widzieli transporty jadeitu dostarczane do centrum obróbki i odbierane z niej, ale nie mogli zrobić nic poza drobnymi aktami sabotażu i głośnym wyrażaniem niezadowolenia. Widok rozbitego śmigłowca – strąconego przez zaledwie cztery czołowe kości klanu Bez Szczytów! – rozpałił ogień w sercach zebranych. Rzucili się z krzykiem ku wrakowi i dziurze w płocie niczym woda przedzierająca się przez pękniętą tamę.

Najemnicy również popędzili w stronę śmigłowca, biorąc kurs na zderzenie z tłumem. Ich towarzysze biegli w stronę zniszczonego odcinka płotu, unosząc karabiny.

– Osłóńcie tych ludzi, zanim ich zabiją! – zawołał Lott do zielonych kości.

Hałas był tak wielki, że ledwie go słyszały. Róg zerwał się do biegu. Vin pędził tuż za nim, a młodszy od nich Hami szybko ich dogonił i wyprzedził. Dzięki swej Sile przegonili tłum, ale nie mogli doścignąć podskakujących na

nierównym gruncie terenówek, w których część protestujących mknęła ku żołnierzom Anorco niczym szarżująca kawaleria.

Palec o pomarańczowych włosach i jej towarzysze pierwsi dopadli do strąconej maszyny i rzucili się na nią jak wilki na zabitą ofiarę. Wyciągnęli na zewnątrz trupa pilota i rzucili go na ziemię, a potem połączyli swą Siłę, wyważyli uszkodzone drzwi i wynieśli na zewnątrz szczelnie zamknięte metalowe pojemniki.

– Zostawcie to! – zawołał zbliżający się żołnierz MRG.

Zatrzymał się nagle, uniósł karabin R5 i otworzył ogień. Kule uderzyły o metalowy kadłub. Kilka osób schowało się za maszyną, a zielone kości rzuciły Odbijanie. Jeden z ludzi z Góry cisnął w żołnierza potężną falą, obalając go na ziemię i wytrącając mu karabin z rąk. Pozostali najemnicy otworzyli ogień do oszalałego tłumu, przeklinając po espeńsku.

Hami, Lott i pozostałe zielone kości znajdujące się najbliżej żołnierzy próbowali Odbijać pociski zagrażające cywilom, ale Hilo zauważył, że dwie osoby – mężczyzna Abukei i kobieta niosąca transparent – padły na ziemię. Mężczyzna krzyczał, trzymając się za nogę, ale kobieta się nie ruszała. Zielone kości wyciągnęły pistolety i odpowiedziały ogniem. Rozjuszony protestujący łapali każdą broń, jaką tylko mogli znaleźć – noże, kije albo kamienie – i nadal biegli lekkomyślnie naprzód, obrzucając żołnierzy obelgami i tym, co wpadło im w ręce. Najemnicy przestraszyli się i wycofali w stronę płotu, odpowiadając seriami z broni maszynowej, które odbijały się od osłon tłumu albo trafiały w nadjeżdżające samochody, rozbijając szyby i dziurawiąc opony.

Hilo podbiegł truchtem do miejsca zmieniającego się w walną bitwę starcia. Odbijania, kule, kamienie i przekleństwa leciały we wszystkie strony. Niektórzy z protestujących pędzili naprzód, gotowi do walki, inni zaś cofali się gorączkowo, pragnąc schronić się przed ostrzałem. W miejscu potyczki zapanował hałaśliwy rozgorączkowany chaos, jak na arenie wypełnionej po brzegi bojowymi kogutami. Żołnierze MRG wpadli w panikę w starciu z rozjuszonym tłumem. Pociski trafiły jednego z młodych zielonych kości z klanu Bez Szczytów oraz trzech kolejnych cywilów. Lott rzucił się naprzód jak plama Siły i Lekkości i cisnął dwoma nożami. Oba wbiły się po rękocyści w szyję żołnierza, który strzelał, tuż nad kołnierzem kamizelki kuloodpornej. Towarzysze odciągnęli ciało najemnika, wzywając krzykiem pomoc i nie przestając strzelać.

Hilo trzymał w dłoni karambit i przepychał się przez tłum, pomagając sobie Odbijaniem. Zawołał Vina i wskazał pozostawiony z tyłu śmigłowiec.

– Nie pozwól, żeby w tym zamieszaniu zniknęła część jadeitu!

Zauważył rozczochranego, ubłoconego Jirhuyę, otwierającego szeroko oczy pod wpływem adrenaliny oraz strachu, i złapał go za ramię.

– Kurwa, nie złam serca mojemu kuzynowi. Schowaj się za coś natychmiast – rozkazał ostrym tonem. – Za tę furgonetkę.

Jirhuya gapił się ze zdumieniem na filar – który zawsze traktował go przyjaźnie i z tolerancją – jakby zobaczył go pierwszy raz. Hilo popchnął go w kierunku schronienia, a następnie ruszył ku trwającym walkom.

– Przerwać ogień! – zawołał, rozpościerając ręce.

Jego Postrzeżenie wypełniał dysharmonijny hałas wywołany gorączkową aktywnością oraz szalonymi emocjami kłębiącymi się wokół niego, wykrył jednak mordercze zamiary pobliskiego najemnika celującego mu w głowę. Warknął z gniewną niecierpliwością, podrzucił broń nagłym Odbijaniem i w mgnieniu oka skoczył na żołnierza. Wyrwał mu pistolet z przytępieniem Siły, który spowodował nieprzyjemne przesunięcie w jego barku. Walnął przeciwnika w skroń kolbą odebranej mu corty kalibru 9 mm, a gdy ten padł na ziemię, kopnął go w to samo miejsce.

– Kurwa, powiedziałem przerwać ogień!

Hilo przybył na Euman z zamiarem urządzenia spektakularnego pokazu, być może jednak zadziałało to zbyt dobrze. Nie docenił nagromadzonej frustracji demonstrujących. Jego obecność z pewnością pobudziła ich do działania, ale wielu z nich może wkrótce zginąć. Żałował, że nie sprowadził więcej wojowników, ale nie mógł sobie pozwolić na wycofanie większych sił z Janloonu, ponieważ bliźniacy Juen i ich ludzie byli zajęci w Lukangu. Miał tu za mało zielonych kości, by stoczyć bój z żołnierzami i zapewnić ochronę tak wielu bezjadeitowym cywilom.

Żołnierze MRG wycofali się do głównego budynku Anorco, zabierając ze sobą zabitych i rannych towarzyszy. Nadal celowali z karabinów w zagrażający im tłum.

– Pozwólcie im odejść! – rozkazał Hilo.

Ponieważ jego słowa nie dotarły do wszystkich, cisnął potężne Odbijania w obu kierunkach, obalając ludzi na ziemię i odsuwając od siebie protestujących oraz najemników. Lott i Hami podążyli za przykładem filaru. Jeden z cudzoziemskich żołnierzy wykrzykiwał coś gorączkowo do przenośnego nadajnika. Mówił zbyt szybko, by Hilo był w stanie zrozumieć wszystkie espeńskie słowa, było jednak oczywiste, że prosi o posiłki, zapewne z poligonu MRG, odległego o osiem kilometrów.

Filar uśmiechnął się drapieżnie, wskazując najemnika.

– Połącz się ze swoim szefem! – zawołał po espeńsku. – Zadzwoń do Jima Sunto i powiedz mu, żeby tu przyleciał.

Nie miał pojęcia, czy żołnierz z nadajnikiem go usłyszał i czy przekazał wiadomość, ale kamerzyści w swoich samochodach z pewnością go słyszeli. Przykucnęli z boku jak korespondenci wojenni i zaczęli podkradać się bliżej, by złapać lepsze ujęcia Hila i jego ludzi stojących przed tłumem, gdy najemnicy się wycofywali. Miejsce, w którym przedtem stał płot, za obopólną niewypowiedzianą zgodą stało się linią, której nie przekraczała żadna ze stron.

Vin podszedł do filaru. Szła za nim młoda palec o pomarańczowych włosach oraz jej towarzysze. Wszyscy uginali się pod ciężarem metalowych pojemników, które zabrali ze śmigłowca. Rzucili je do stóp Hila i oddali mu honory.

– Jadeit dla naszego filaru! – zawołała kobieta. Twarz miała zaczerwienioną, a w jej oczach lśniła ekscytacja walką. – Niech twoi wrogowie pierzchają z trwogą, Kaul-jen.

Hilo spojrzał na drugą stronę płotu. Letni deszcz nie przestawał padać, spływająca z włosów woda zalewała mu oczy, a zdeptana, porośnięta trawą ziemia zmieniała się w błoto. Po obu stronach bariery nadal słyszało się krzyki. Grupka ludzi wdrapała się na wrak śmigłowca i wymachiwała kekońskimi flagami. Eumański Impas zmienił się w oblężenie.

– Jeszcze nie pierzchli, ale tak się stanie – odparł.

ROZDZIAŁ 58

SPEŁNIONA GROŹBA

Osiemnaście godzin później Jim Sunto przybył opancerzonym samochodem do hotelu Spokojne Apartamenty. Prezes firmy Międzynarodowe Rozwiązania Ganlu przebywał we własnym domu, nieopodal siedziby firmy w Fort Jonsrock, gdy przed świtem obudził go telefon z informacją, że na Eumanie doszło do gwałtownego starcia. Dwóch jego pracowników zginęło, a trzech następnych wylądowało w szpitalu. Życie stracił również zatrudniony przez Anorco pilot śmigłowca. Zabito także dziewięciu kekońskich cywilów, a trzydziestu kolejnych zostało rannych.

Sunto wsiadł do najbliższego dostępnego samolotu do Kekonu. Kiedy wchodził do hotelu, zatrzymały go dwa palce z klanu Bez Szczytów. Zabrały mu broń, wsadziły do windy i zawiozły na najwyższe piętro, całkowicie zajęte przez filar i jego ludzi. Gdy Sunto wchodził do apartamentu, zawładnęła już nim furia.

– Kurwa, co ty wyprawiasz, Kaul?

Hilo siedział na kanapie, kończąc śniadanie i oglądając wiadomości. Bark owiązано mu workiem z lodem. Lott Jin stał przy oknie i rozmawiał przez komórkę, co chwila przechodząc z miejsca na miejsce, by złapać lepszy zasięg. Na Euman przybyły dalsze zielone kości z obu klanów, a także armia, policja państwowa i kolejni reporterzy. Protestujący wycofali się na wzniesienie nieopodal pierwotnego obozowiska, a najemnicy zabrali szczątki śmigłowca i naprawili ogrodzenie. Lott zostawił na miejscu dwanaście swoich zielonych kości i na spółkę z Aben Sorem z Góry ustalił harmonogram patroli dbających o zachowanie pokoju w okolicy. Gdy Sunto wszedł do środka, róg zakończył rozmowę. Wymienił spojrzenia z filarem, a potem przeszedł do sąsiedniego pokoju.

Filar przełknął ostatni kawałek bułeczki z mięsem, a potem złapał pilota i wyciszył telewizor, w którym pokazywano dramatyczne sceny z wczorajszego

dnia – Hilo stojący na furgonetcie, dymiący wrak śmigłowca Anorco, żołnierze MRG strzelający do tłumu, ludzie wynoszeni na noszach. Wytarł usta serwetką i spojrzał na Sunta.

– Pamiętasz, co ci kiedyś powiedziałem, poruczniku?

Jego aura, zwykle spokojna i niemożliwa do odczytania, wibrowała niczym kamerton.

– To ma być twoja chora zemsta na mnie? Zniszczyłeś śmigłowiec, zabiłeś pilota, sprowokowałeś żądny przemocy tłum do szturmowania na własność Anorco i zaatakowałeś moich pracowników. Jesteś psychopata. Masz na rękach krew kilkunastu niewinnych ludzi.

– Typowa espeńska hipokryzja – zauważył Hilo, rozciągając powoli usta w drwiącym uśmiechu. – Stworzyłeś kompanię najemników, walczących w wojnach na całym świecie dla tych, którzy najwięcej zapłacą. Krew ilu ludzi masz na rękach, Sunto?

– To tylko nieuniknione straty, z którymi musi się pogodzić każdy dowódca – obruszył się Keko-Espeńczyk.

– Nieuniknione dlatego, że nie wyznawali twojej religii? A może dlatego, że espeński rząd płacił ci miliony thalirów za operację „Pas Przeciwożarowy”?

Sunto zacisnął zęby. Nie pytał, skąd Filar wie o tej operacji. Od chwili, gdy Niko wrócił do klanu Bez Szczytów, odpowiedź była oczywista. Nie zamierzał jednak dać się zepchnąć do defensywy. To uczynki Hila spowodowały, że przybył tu z drugiego końca świata.

– Nie zmieniaj tematu. Nie będziemy obrzucać się nawzajem moralnymi zarzutami. Wywołałeś dyplomatyczną burzę, która skończy się dla ciebie bardzo źle. Dopilnuję, by oskarżono cię o spowodowanie śmierci pracowników Anorco i MRG, a także o sprowokowanie aktów przemocy i zniszczenie własności prywatnej. Nigdy już nie będziesz mógł się zjawić w RE, bo natychmiast by cię aresztowano. Nigdy nie byłem...

Na widok nonszalancji, z jaką Hilo przyjął te słowa, Sunto zaczął mówić głośniej i z większą pasją.

– Założyciel Anorco, Art Wyles, wkrótce zostanie sekretarzem handlu zagranicznego. Może ci się wydawać, że w swoim kraju jesteś nietykalny, ale czy rzeczywiście wierzysz, że twoi zwolennicy w kekońskim rządzie nadal będą cię popierać, kiedy się zorientują, jak bardzo zaszkodziłeś stosunkom waszego kraju z RE?

Hilo zdjął z ramienia worek z lodem, wstał, poruszył bolącym stawem i pokręcił głową, by rozciągnąć szyję.

– Mówisz, że zaszkodziłem stosunkom Kekonu z RE. A co ty zrobiłeś z pozycją Espenii na Kekonie? – Filar mówił cichym, spokojnym głosem, co

zawsze sygnalizowało niebezpieczeństwo. – Twoi noszący jadeit najemnicy od lat ochraniają statki Anorco, eksploatujące morskie dno należące do Kekonu. Wczoraj twoi ludzie otworzyli ogień do cywilów. Mogli bronić się Odbijaniem albo Stałą, ale woleli użyć karabinów. Sfilmowano to i nadano na wszystkich kanałach informacyjnych. Żołnierze MRG pierwsi otworzyli ogień, nim ktokolwiek z zielonych kości albo protestujących choćby wyciągnął broń.

Wyraz twarzy Sunta się nie zmienił, ale ścięga na jego szyi się uwidoczniły, a jadeitowa aura poszerzyła. Hilo podszedł do niego, przechylając głowę.

– Espeńscy żołnierze nie umieją posługiwać się jadeitowymi umiejętnościami na zatłoczonej ulicy, kiedy otaczają ich zwyczajni ludzie. ZSBWBJ nie uczy *aisho*.

– Ci żołnierze nie użyliby broni, gdyby ich życie nie było zagrożone – warknął rozwścieczony Sunto. – Bez względu na to, jaką wersję przedstawiś kekońskim mediom, pozostaje faktem, że nikt by wczoraj nie zginął, gdybyś nie postanowił urządzić widowiska. Ty to zacząłeś, Kaul.

Hilo pokręcił głową, rozchylając wargi w pogardliwym grymasie.

– Wiesz coś o historii Kekonu? Podczas wojny wielu narodów zielone kości nie pokonały szotarskich okupantów samodzielnie. Miały poparcie ludności. Na Kekonie zielone kości zawsze są dla innych inspiracją do walki. – Lott Jin wrócił do pokoju, niosąc wielkie kartonowe pudło. Postawił je na stoliku przed kanapą. Hilo podszedł do pojemnika. – Bez względu na to, co się teraz wydarzy, ty i twoja kompania jesteście skończeni w tym kraju – oznajmił Suntowi, oglądając się przez ramię.

Bez względu na cały swój gniew i groźby, Sunto spędził na Kekonie wystarczająco wiele czasu, by wiedzieć, że Hilo ma rację. Znaczenie, jakie Kekończycy przypisywali *aisho*, oznaczało, że fakt, iż noszący kekoński jadeit cudzoziemscy żołnierze otworzyli ogień do nieuzbrojonych kekońskich obywateli, musiał wywołać powszechne oburzenie narastające już niczym tsunami w mediach, na ulicach i w Radzie Książęcej. Minęły dopiero trzy godziny, odkąd Wen rozpoczęła zbiórkę pieniędzy na rodziny zabitych i rannych uczestników protestu, w której uczestniczyło wiele sławnych gwiazd filmowych, ale zebrano już setki tysięcy dienów. Coraz więcej ludzi przybywało na Euman, by wesprzeć protest. Przed Gmachem Mądrości również zebrał się oburzony tłum. Pod koniec tygodnia rząd miał wprowadzić w całym kraju zakaz działalności dla MRG i wszystkich innych zagranicznych prywatnych firm wojskowych.

Sunto zacisnęła wielkie dłonie w pięści. Na jego przedramionach uwydatniły się żyły.

– Spotkamy się w sądzie, ty zarozumiała dupku. Dopilnuję, by Anorco i rząd Hiszpanii użyły wszystkich możliwych sposobów, żeby doprowadzić do upadku ciebie i klan Bez Szczytów. – Prezes MRG odwrócił się i ruszył ku drzwiom. – Podczas wojny nie da się uniknąć ofiar, ale to nie jest wojna między naszymi krajami, mimo że bardzo się starasz, żeby tak to wyglądało. To twoja osobista zemsta.

– Dlaczego obie te rzeczy nie mogłyby być tym samym?

Hilo otworzył pudełko i wyjął z niego kasetę wideo. Następnie wsunął ją do odtwarzacza połączonego z telewizorem i włączył dźwięk. Sunto dotarł już do drzwi, ale zatrzymał się, gdy usłyszał głos płynący z kasety.

– *Ludzie z MRG nie używają nazwy operacja „Pas Przeciwpożarowy”, ale wiedzieliśmy, że tak właśnie się nazywa. Tą nazwą posługiwało się całe kierownictwo. Zabroniono nam dyskusowania o naszych misjach. We wszystkich miejscach, do których nas wysyłano, siły RE nie były oficjalnie obecne. Osiemdziesiąt procent naszych ludzi stanowili byli hiszpańscy żołnierze, ale kekońskich rekrutów rozmieszczano we wszystkich jednostkach, ponieważ mieliśmy więcej jadeitu i byliśmy lepsi w niektórych dyscyplinach, takich jak Odbijanie i Postrzeganie.*

Sunto się odwrócił. Postać mówiącego mężczyzny była podświetlona i przyciemniona tak, że nie było widać twarzy, a jego głos elektronicznie zmieniono, ale Hilo wiedział, że to Teije Inno. Zastanawiał się od niechcienia, czy Sunto go pozna, czy znał wszystkich swych ludzi osobiście, jak dobry róg zna swoje pięści i palce, czy pod powłoką korporacyjnego pragmatyzmu kryło się w nim poczucie osobistej zdrady.

Na ekranie Teije mówił dalej.

– *W Udainie naszym celem było stłumienie buntu wybawieńców. Szkoliliśmy tam rządowych żołnierzy i tajną policję, a także pomagaliśmy im tropić i zatrzymywać ludzi podejrzanych o przewożenie buntowi. Buntownikami byli przeważnie rolnicy i ludzie z małych miasteczek...* – Teije umilkł nagle. Gdy odezwał się znowu, mówił wolniej i pomimo elektronicznego zniekształcenia w jego głosie słyszało się żywe emocje. – *Pewnego razu kazano nam zastawić zasadzkę na buntowniczych zwiadowców, ale okazało się, że dane dostarczone przez wywiad były fałszywe. Ludzie, których zabiliśmy, nie byli żołnierzami. Było wśród nich dwoje dzieci. Co gorsza, mieliśmy jadeit i powinniśmy byli Postrzec, że nie stanowią zagrożenia. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko.* – Tym razem przerwa trwała dłużej. – *Słyszałem też o innym incydencie, gdy...*

Sunto podszedł do telewizora, nacisnął przycisk i wyłączył nagranie. Potem odwrócił się w stronę Hila i Lotta, spoglądając na nich z nieskrywanym niesmakiem.

– Czy to był twój syn? Sam napisałeś ten tekst i kazałeś mu wyrecytować go przed kamerą?

Twarz filaru przerażająco szybko zmieniła wyraz.

– Powinienem cię zabić na miejscu – wyszeptał. – Nie, to nie jest Niko.

– Zatem znalazłeś innego byłego pracownika MRG, Kekończyka, którego mogłeś zastraszyć albo przekupić, żeby zniesławił kompanię, nie przedstawiając żadnego kontekstu – skonkludował Sunto. – Gdyby nie operacja „Pas Przeciwpożarowy”, proygutańskie siły zasiałyby wiarę wybawieńców na całym świecie. To prawda, że czasami ginęli cywile, ale to były izolowane incydenty, niezbędne koszty walki o Prawdę. – Sunto odruchowo dotknął trójkątnego wisiora na szyi, ale potem najwyraźniej przypomniał sobie, że znajduje się wśród wyznających kontr-Prawdę niewiernych i zmienił ten gest w lekceważące machnięcie ręką w stronę telewizora. – Myślisz, że takie tabloidowe wyznanie zapewni ci nade mną przewagę? Że będzie obchodziło kogokolwiek poza Kekonem?

– Samo w sobie nie – przyznał Hilo. Lott wyjął z pudełka kolejne kasety, taśmy magnetofonowe, kartki papieru oraz zdjęcia w kartonowych teczkach. –

Ale wszystko to razem? Myślę, że niektórym politykom i dziennikarzom w Hiszpanii może się wydać interesujące.

Sunto gapił się na rosnącą stertę dowodów.

– Skąd masz...

– Ty arogancki skurwysynu – przerwał mu cicho Hilo. – Byłeś tak pewny, że klany już wkrótce trafią na śmietnik historii, jakbyśmy cały ten czas nie toczyli między sobą wojen na wszystkie możliwe sposoby i na całym świecie. Kiedy powiedziałem, że cię zniszczę, uznałeś, że po prostu zamierzam cię zabić.

Wyraz twarzy nie zdradził Sunta, ale jego aura tak. Poszerzyła się i zmała.

– W tym roku w waszym kraju będą wybory, tak? – zapytał Hilo. – Operacja „Pas Przeciwpożarowy” kosztowała bilion thalirów wydanych w ciągu dziesięciu lat. Rząd Hiszpanii ukrywał te wydatki w budżecie Departamentu Wojny, a jednocześnie zapewniał, że wycofuje wojska RE z zagranicznych wojen zastępczych. Jestem pewien, że twoi zwierzchnicy mają politycznych przeciwników, którzy bardzo chętnie uczynią z tych informacji poważny skandal. – Filar uśmiechnął się, nie z wesołości, lecz z uznania dla bezbłędnej precyzji informacji skrzętnie zbieranych przez Shae. – Kiedy do tego dojdzie, trzeba będzie zwalić na kogoś winę. Nosileś hiszpański mundur, modlisz się do ich Boga i Wieszcza, ale twoja twarz i krew pozostają kekońskie. Zwrócą się przeciwko tobie, Sunto.

Keko-Espeńczyk milczał przez całą minutę. Wreszcie skinął głową.

– W porządku, Kaul. – Zacisnął zęby. – Rozumiem sytuację. Ile będę musiał ci zapłacić?

– Ty speński zasrańcu, wydaje ci się, że potrzebuję twoich brudnych pieniędzy?! – zawołał Hilo z tak wściekłą miną, że nawet były Anioł Marynarki mimo woli cofnął się o krok. Lott i jego palce stojący przy drzwiach napięli mięśnie, a ich jadeitowe aury ożywiły się wyraźnie. – Bardzo bym chciał, żeby twoja jebana firma poszła z dymem, a ciebie wsadzili do espeńskiego więzienia ci sami politycy, którzy tak dobrze ci płacili – warknął filar. – Ale zrobię to, czego nie chcę zrobić. Mogę cię uratować, Sunto.

Hilo wskazał na kasety i papiery leżące na stoliku, zawierające efekty niezliczonych godzin pracy klanowych białych szcurków.

– Zamknę to wszystko w sejfie i nikt nigdy tego nie zobaczy. W zamian będziesz musiał wykonać dla klanu Bez Szczytów tylko jedno zadanie.

– Miałbym dla ciebie pracować?! – zawołał prezes MRG ze zdziwieniem i podejrzliwością w głosie. – Co to za zadanie?

– Pomożesz mi doprowadzić do upadku swojego szefa – odpowiedział Hilo. – Wylesa.

– Arta Wylesa? – powtórzył Sunto.

– Słyszałeś mnie – odparł Hilo. – Chcę zniszczyć Anorco.

Sunto wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby.

– MRG to część konglomeratu Anorco Global Resources. Art Wyles od początku inwestował w moją kompanię. To dzięki niemu dostaliśmy kontrakt od Departamentu Wojny. Nie zwrócę się przeciwko przyjacielowi i bratu w wierze.

Hilo miał ochotę przypomnieć Keko-Espeńczykowi, że z nim również się kiedyś przyjaźnił. Espeńska przyjaźń jest warta dokładnie tyle, ile możesz za nią zapłacić, pomyślał.

– Wyles sprzedaje swoje udziały w Anorco prywatnemu inwestorowi – oznajmił. – Tym inwestorem jest klan Góra. Jeśli nie znajdziesz sposobu, by uwolnić MRG od powiązań ze spółką matką, wkrótce będziesz odpowiadał przed Ayt Madashi. – Na twarzy Sunta pojawił się wyraz niedowierzania. Hilo nie potrafił powstrzymać uśmiechu na myśl, że jeden ze zniechęconych wrogów zostanie pożarty przez drugiego. – Firma, którą założyłeś, rzekomo oparta na nowoczesnych, espeńskich zasadach prawdoności będzie broniła zasobów Góry i reprezentowała jej interesy.

– To nie... – Sunto pokręcił głową. – Art rezygnuje z pozycji prezesa Anorco, ale nigdy...

Hilo widział, że Keko-Espeńczyk pragnie oskarżyć go o kłamstwo, ale w jego oczach zapiekła wrogość szybko ustępowała miejsca niepewności, a potem gorzkiemu zrozumieniu.

Sunto pierwszy odwrócił spojrzenie. Podeszedł do kanapy, z której niedawno wstał Hilo, i usiadł na niej ciężko. Filar podeszedł do niego i pochylił się, by spojrzeć mu w oczy.

– Wyles cię zdradził. Sprzedaje swoją firmę, żeby się ratować. Wiem to, ponieważ znam Ayt Madashi. A ty znasz Arta Wylesa. Co mogła znaleźć na niego Góra, żeby doprowadzić do jego upadku?

Sunto poruszał żuchwą w przód i w tył.

– Dowody – odpowiedział niechętnie, ale z pewnością w głosie. Mimo że Hilo na niego patrzył, uniósł do ust wisiołek Świtu na Icanie i wyszeptał modlitwę po hiszpańsku, być może prosząc o siłę albo wybaczenie, Hilo nie był pewien o co. – Dowody przestępczych powiązań Arta z paczkami. Tabloidy z Port Massy często pisały o tym już przedtem, publikowały jego stare zdjęcia z Jorenem Gassonem i innymi członkami paczki z Baker Street, ale to wszystko były tylko niesprawdzone pogłoski. Nic konkretnego, co mogłoby zakończyć jego karierę polityczną albo nawet zaprowadzić go do więzienia. Nie przychodzi mi do głowy nic innego, co mogłoby go skłonić do sprzedania Anorco.

Zapadła długa, pełna goryczy cisza. Obaj mężczyźni myśleli z nienawiścią i niechętnym uznaniem o sobie nawzajem i o swych wspólnych wrogach. Hilo skinął głową i się wyprostował.

– Sprzedaż Anorco zostanie sfinalizowana za sześć tygodni. Moja prognostyczka mówi, że nie będzie można tego zrobić, jeśli Wylesowi postawi się zarzuty o przestępstwa finansowe i zamrozi się jego aktywa. Dodała też, że jeśli Anorco zostanie podzielone, będziesz mógł zachować kontrolę nad MRG dzięki wykupowi przez zarząd.

Hilo przyglądał się przygnębionej minie Sunta, jakby nie był pewny, czy położyć mu rękę na ramieniu w geście pocieszenia, czy raczej skrócić mu kark.

– Ty i twoi najemnicy nigdy już nie postawicie nogi na Kekonie. – Zerknął na stos taśm leżących na stole, przypominając tym, że nadal może zniszczyć MRG. – Ale możesz uratować siebie i swoją firmę, jeśli zapewnisz mnie teraz, że zrobisz to, o co cię proszę. Pomożesz mi zniszczyć Anorco i Górę.

Od chwili, gdy Hilo poznał Jima Sunto, uważał go za całkowitego pragmatyka, który nie jest lojalny wobec nikogo poza sobą samym i swym cudzoziemskim bogiem. Najemnik na mgnienie oka zasłonił oczy dłonią. Gdy znowu spojrzął na Hila, bezsilny gniew w jego oczach ustąpił miejsca pełnej godności rezygnacji. Był jak niedźwiedź w cyrku, który uświadomił sobie, że musi się poniżyć, żeby jeść.

– Czego ode mnie żadasz?

Lott położył telefon na stoliku.

– Możesz zacząć od rozmowy z kobietą nazwiskiem Kelly Dauk –
odpowiedział Hilo.

ROZDZIAŁ 59

KONIEC DŁUGIEGO OSĄDU

Dwudziesty szósty rok, dziesiąty miesiąc

Kierowca cabrioli sentry należącej do Shae omijał szeregi samochodów zaparkowanych na krętej szosie wijącej się przez pagórkowate Wyżyny. Pojazd trząsał się tak bardzo, że Shae nie była dłużej w stanie czytać. Odłożyła dokumenty, gdy tylko skończyła lekturę zeskanowanych artykułów z „Trybuny Adamont Capita”, przysłanych dziś rano z biura klanu w AC.

Biznesowemu potentatowi i politykowi Artowi Wylesowi postawiono zarzut korupcji i prania pieniędzy dla osławionego imperium zbrodni, jakim była paczka z Baker Street. Kelly Dauk, przewodnicząca Komisji Antykorupcyjnej Zgromadzenia Narodowego, zwołała specjalne przesłuchanie rządowe na ten temat. Zablokowano planowaną sprzedaż zagranicznym inwestorom należącego do Wylesa koncernu Anorco. Jeśli dochodzenie wykaże, że aktywa korporacji były powiązane z syndykatami zorganizowanej przestępczości, konglomerat zapewne zostanie podzielony.

Hilo powiedział jej, że to był pierwszy przypadek, gdy Kelly Dauk zaakceptowała, choć z niechęcią, pomoc klanu Bez Szczytów. Miała całe dossier na temat Arta Wylesa i od lat starała się na spółkę z federalnymi prokuratorami zebrać dowody na popełnione przez niego przestępstwa. Tym, czego potrzebowali, była pomoc zaufanego wspólnika biznesowego Wylesa, Jima Sunto, który spotkał się z Wylesem i nagrał przeprowadzoną z nim rozmowę.

Sunto zażądał od Wylesa wyjaśnień w sprawie niespodziewanej sprzedaży Anorco – a co za tym idzie MRG – i to ni mniej, ni więcej kekońskim inwestorom. Próbował przekonać Wylesa do powstrzymania sprzedaży, groził, że opowie jego żonie o kochankach, które miał, a także przypomniał mu o ich

współpracy w operacji „Pas Przeciwpożarowy”, aż wreszcie zdołał trafić do niego jako do brata w wierze. Opuścił pomieszczenie z nagraniem, na którym Wyles przyznawał się do konszachtów z paczką z Baker Street, ale zapewnił Sunta, że gdy tylko zostanie sekretarzem handlu zagranicznego, Joren Gasson pomoże im rozwiązać kekoński problem.

– Ludzie Prawdy zawsze płacą swe długi – zapewnił.

Shae podejrzewała, że Art Wyles przez pewien czas będzie płacił swe długi w więzieniu.

Cabriolę w końcu zmusił do zatrzymania się gęsty tłum ludzi zebrany przed żelazną bramą rezydencji Ayt.

– Dalej nie dojedziemy – oznajmił kierowca, oglądając się przez ramię.

Shae otworzyła drzwi i wysiadła. Jej dwaj strażnicy zrobili to samo.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł, Kaul-jen? – zapytał cicho jeden z nich.

Nie powiedziała Hilowi ani nawet Woonowi, dokąd się wybiera dziś po południu.

– Wiem, co robię.

Shae ruszyła w stronę bramy. Strażnicy jej towarzyszyli, ale nikt nie sprawiał im kłopotów. Ludzie gapili się na nią i szeptali pod nosem, ale schodzili jej z drogi. Nawet reporterzy podbiegający bliżej, żeby zrobić jej zdjęcia, zachowywali pełen szacunku dystans. Wydawało się, że wszyscy obecni zdają sobie sprawę, że nic podobnego dotąd się nie wydarzyło. Shae z pewnością nie wyobrażała sobie takiego tłumu pod bramami rezydencji Aytów. Ponad tysiąc członków Góry – pięści, palców, latarników i szczęściodawców – potępiało w milczeniu swoją filar. Gdy dotarła na przód tłumu, była zmuszona się pochylić, żeby przejść pod wielkim transparentem z białej tkaniny, rozpostartym między tyczkami utrzymanymi przez sześć zielonych kości. Umieszczono na nim długi tekst:

Filar jest panem klanu, kręgosłupem jego ciała. Filar musi przestrzegać aisho i nigdy nie może go łamać. Filar nie będzie współpracować z zagranicznymi przestępcami. Filar wie, kiedy pora ustąpić miejsca komuś innemu.

Komuś, kto nie był Kekończykiem, demonstracja mogłaby się wydawać spokojna, być może nawet dziwnie uprzejma. Nie było krzyków ani skandowania haseł, niczego, co przypominałoby tłum, który Hilo w zeszłym miesiącu tak łatwo nakłonił do użycia przemocy na Eumanie. W przypadku klanu zielonych kości była to jednak szokująca, pozbawiona precedensu sytuacja. Otwarte okazywanie dezaprobaty i sprzeciwu wobec filaru na oczach wrogów, cywilów oraz mediów... to był po prostu bunt. To wydarzenie

przyćmiło nawet ofiary na Eumanie, a już z pewnością upadek pewnego polityka w Espenii.

Między zielonymi kośćmi trzymającymi biały transparent a kilkunastoma lojalnymi wobec Ayt pięściami strzegącymi wejścia utrzymywała się wyraźna ściana napięcia. Strażnicy trzymali ręce na rękojeściach guan dao, obserwując klanowych braci z pełną jadu ostrożnością. Shae wyczuwała wrogość tak wyraźnie, jakby mogła ją Postrzec. Zanosilo się na wojnę domową.

Podeszła prosto do najstarszego z widocznych pięści.

– Powiedz swojej filar, że prognostyczka klanu Bez Szczytów chce z nią porozmawiać.

Strażnik splunął jej pod nogi.

– Kaulowie to bezwstydne, podstępne psy. Nikt z was nie jest nawet w połowie tak zielony jak Ayt-jen. Powinna już dawno uciąć wam wszystkim głowy.

– Jeśli rzeczywiście jesteś lojalny i posłuszny, zaniesiesz jej tę wiadomość. Powiedz, że przybyłam tu z własnej woli, nie na rozkaz brata.

Nie przestając łypać nienawistnie na Shae, pięść warknął do jednego ze swych palców, który odwrócił się i popędził do rezydencji. Prognostyczka czekała cierpliwie. Tłum czekał razem z nią w parnym upale późnego lata. Twarze zebranych lśniły od potu. Ludzie wachlowali się, popijali wodę i przestępowali z nogi na nogę, ale nie zamierzali odejść. Po kilku minutach palec wrócił i pięść z wielką niechęcią kazał otworzyć bramę i wpuścić Shae do środka.

Zaprowadzono ją wyłożoną płytami chodnikowymi ścieżką do gabinetu Ayt Madashi.

Prognostyczka nigdy przedtem nie rozmawiała z nią, nie nosząc jadeitu. Kiedy ujrzała Ayt, nie mogąc Postrzec jej niezwykle gęstej i potężnej aury, poczuła się tak, jakby widziała tylko jej zdjęcie, a nie żywą kobietę. Ayt stała przy jednym z wielkich okien wypełniających jej gabinet słonecznym blaskiem. Miała na sobie jasnobrązowe spodnie oraz burgundowy top. Jej ramiona jak zwykle były nagie i otoczone wielką ilością jadeitu. Pomimo upału nosiła na szyi białą jedwabną apaszkę. Nie odwróciła się, gdy Shae weszła do środka. Z okna gabinetu nie widziała, co dzieje się za bramami, ale z pewnością Postrzegała zbuntowanych członków klanu, którzy zebrali się pod wejściem do jej posiadłości. Shae miała nigdy nie zapomnieć tego widoku – filar Góry z profilu, stojąca w promieniach słońca i nieodzywająca się ani słowem, krzyżująca ramiona na piersiach i kierująca nieruchome spojrzenie nieco w bok. Posąg starej wojowniczkii przed ostatnią bitwą.

Progностyczka poczuła w żołądku silny ucisk lęku. Do tej pory każde jej spotkanie z Ayt Madą miało dramatyczne, nieodwracalne konsekwencje, wpływające przez wiele lat na życie obu kobiet oraz ich klanów. Przybyła tu, licząc na to, że bogowie rzeczywiście zrzadzili, że tak ma być.

– To był bardzo sprytny plan, Kaul-jen – odezwała się Ayt.

Shae zrobiła kilka kroków naprzód.

– Uczyłam się od sprytnej rywalki.

Przed dziesięcioma dniami w telewizji państwowej nadano wywiad z Iyilem przeprowadzony przez Toh Kitę. Uwięziony *barukan* bardzo szczegółowo opisał trwającą ponad dwadzieścia lat współpracę Ti Pasuiga z Górą. Wyjaśnił, że był ochroniarzem i najbliższym współpracownikiem Zapunya, on i jego brat Soradiyo służyli jako łącznicy między uwiwańskim królem zbrodni a filar Góry. Plan zamachu bombowego na Kaul Hila, w którym zamiast niego zginął Maik Kehn, a kilkoro cywilów odniosło rany, był dziełem Ayt Mady, która w zamian obiecała im przymknięcie oczu na przemyt jadeitu.

Potem Iyilo sprytnie odciął swego szefa od kontaktów z Górą i sam z nią spiskował, by przejąć interes Zapunya i zabić jego synów. Z nieskrywanym samozadowoleniem oznajmił widzom, że zgodził się współpracować z Ayt Madą w zamian za obietnicę przepchnięcia przez Radę Księżącą Ustawy o Uchodźcach z Konfliktu Oortokańskiego. Tak też się stało, dzięki nagłej śmierci byłego kanclerza Son Tomarha.

Następnie Iyilo opisał ze szczegółami trójstronną wymianę handlową między Ti Pasuiga, Matyami i Górą. Przemycany jadeit i błysk wędrowały między Kekonem, Uwiwami i Oriusem. Wyjaśnił, że Ayt Mada kontrolowała czarnorynkowe ceny, kupując jadeit dla własnego klanu i potajemnie sprowadzając go z powrotem do kraju przez Lukang. Ten plan doprowadził do wybuchu wojny domowej w Jedności Sześciu Dłoni. Później Ayt Mada tolerowała działalność Ti Pasuiga oraz Matyów, a nawet pomagała im bez przeszkód przemycać jadeit do Ygutanu i Oortoko Wschodniego, by wesprzeć program tworzenia nekolwów, a także konflikty zastępcze toczone w ramach powolnej wojny, w zamian za udział w zyskach, który wykorzystywała do rozbudowy legalnych biznesów Góry. Wywiad prowadzono bez pośpiechu. Czasami Iyilo mówił o Ayt Madzie z podziwem i ostrożnym respektem jako o partnerce biznesowej, w innych chwilach dawał wyraz szyderczej pogardzie dla wszystkich zielonych kości, a w jeszcze innych, na przykład wtedy, gdy rozpaczał, że Ayt nie uratowała jego brata Soradiya przed zemstą klanu Bez Szczytów, był pełen żalu i gorzkości.

Kiedy Toh Kita zapytał go, czy nie obawia się, że Ayt Mada zabije go za te wyznania, upadły szef Ti Pasuiga tylko zachichotał.

– Pewnie, że mnie zabije – odparł, machając lekceważąco ręką do kamery. – Po szotarsku mamy takie powiedzenie. „Jeśli poślubisz diabła, będziesz miał jego matkę za teściową”. Przed tym nie da się uciec. Jadeitowy biznes to diabeł, a Ayt Mada to jego matka.

Telewizyjny wywiad Iyila natychmiast przekazały również prasa i radio. Jego fragmenty nadawano raz po raz, nie zważając na oburzenie zwolenników Ayt, uparcie twierdzących, że to fałszywka sfingowana przez klan Bez Szczytów, który chciał doprowadzić do upadku Góry i przekupił znanego kryminalistę, by wygłosił kłamliwe oskarżenia.

Mimo to wywiad przyniósł skutki, na jakie liczyli Shae i Anden. Zeznania Iyila były bardzo wiarygodne. Nie brzmiały jak recytacja wykutego na pamięć tekstu, lecz jak chaotyczne, pełne nostalgii i złości wynurzenia kogoś, kto nie ma już nic do stracenia i wykorzystuje ostatnią okazję, by uwolnić się od wszystkiego, co ciąży mu na sercu. Na prośbę Kekońskiej Stacji Państwowej Toh Kicie towarzyszyły dwie utalentowane zielone kości ze słynącej z neutralności Tarczy Haedo, które następnie przysięgły na swój jadeit i na honor klanu, że nie Postrzegły w słowach więźnia żadnego fałszu.

Opowieść Iyila potwierdziła pogłoski krążące w Górze od lat. Kilka dni po nadaniu wywiadu nie sposób już było ukryć rozłamu, do jakiego doszło w klanie. Trzydziestopięcioletni Ayt Ato, dawno ogłoszony następcą Ayt Mady, zachowywał milczenie, ale krewni przemawiali w jego imieniu. Radczyni Koben Tin Bett pierwsza wezwała Ayt Madę do ustąpienia ze stanowiska. Sześciu znanych latarników jednocześnie porzuciło Górę, a dwaj z nich posunęli się nawet do tego, że przysięgli lojalność klanowi Bez Szczytów. Czworo innych członów Rady Książęcej również zerwało więzi z Górą i powiększyło szeregi niezależnych radców. Nie chcieli akceptować patronatu klanu, dopóki Ayt Mada pozostawała u władzy.

A teraz wojownicy Ayt musieli strzec jej bramy.

– Kazałaś zabić Iyila? – zapytała Shae.

– Nie – odpowiedziała natychmiast Ayt. – To mógł być ktoś, kto chciał się przysłużyć Górze, ale nie wyszeptalam jego imienia. Po co miałabym to robić? Wyrządził mi już wszystkie możliwe szkody. Kiedyś ci mówiłam, Kaul Shae-jen, że nigdy nie zabijam dla zemsty.

To było godne uwagi. Ayt przyznała, że nie rządzi już klanem żelazną ręką i traci kontrolę nad podkomendnymi.

Iyila miano odesłać na Kekon, ale bezpieczeństwo w uwiwańskich więzieniach zawsze było słabe. Czterdzieści godzin po nadaniu wywiadu znaleziono go w celi z poderżniętym gardłem. Większość ludzi była przekonana, że zrobiła to Góra, ale niektórzy uważali, że klan Bez Szczytów pozbył się

człowieka, który nie był już mu potrzebny. Byli też tacy, którzy sądzili, że winni byli wrogowie Iyila z Uwiwów. Z pewnością miał ich tam wielu. Jeśli to Hilo wydał rozkaz, nie poinformował jej o tym. Jak zwykle jednak dotrzymał danego Iyilowi słowa. Po południu dnia poprzedzającego jego śmierć Iyilo odbył dwugodzinną rozmowę telefoniczną z żoną i dziećmi, którzy byli już bezpieczni w Port Massy, gdzie otrzymali nowe tożsamości.

Ayt wreszcie spojrzała na Shae. Kilka ostatnich lat odcisnęło się na niej wyraźnym piętnem. Grzbiet nadal miała prosty, ale u korzeni jej gęstych, sięgających podbródka farbowanych włosów widziało się stalową siwiznę, a między nosem a wargami pojawiły się bruzdy po wieloletnim zaciskaniu ust. Obie kobiety przyglądały się sobie nad dzielącą je przepaścią wieloletniego wzajemnego zrozumienia i wrogości. Shae zastanawiała się, czy Ayt również dostrzeże jej schyłek i lituje się nad nią z powodu braku jadeitu.

Kiedy się zestarzałyśmy? – zadała sobie pytanie Shae. Niektórzy wierzyli – choć nie było do tego naukowych podstaw – że jadeit opóźnia starzenie, przynajmniej na pewien czas, nikt jednak nie mógłby twierdzić, że tryb życia zielonych kości zwiększa szanse na długowieczność. Istniało nawet wśród nich powiedzenie: „Jadeitowi wojownicy są młodzi, aż nagle stają się starcami”. Musiała przyznać, że w przypadku jej dziadka to było prawdą i wyglądało na to, że z Ayt Madą jest podobnie.

– Chciałabyś napić się herbaty? – zapytała niespodziewanie filar Góry. – Nastawiłam świeży dzbanek.

– Bardzo chętnie.

Progностyczka usiadła na kanapie naprzeciwko Ayt, która wyjęła dwie filiżanki i najpierw nalała gościowi. Shae przyszło na myśl, że bez zmysłu Postrzegania nie będzie miała ostrzeżenia ani szansy obrony, jeśli Ayt postanowi ją zabić. Mogłaby skrócić jej kark równie łatwo, jak nalała herbaty.

Wzięła filiżankę w rękę i wypila łyk. Ręce jej nie drżały. Ayt powiedziała, że nie zabija dla zemsty, i przez całą historię wojny ich klanów nie zrobiła niczego, co kazałoby Shae podejrzewać, że to nieprawda. Mimo że wielokrotnie z zimną krwią dopuszczała się straszliwych uczynków i łamała *aisho*, gdy było to dla niej korzystne, Ayt Mada przestrzegała swych zasad.

– Jestem pod wrażeniem, że tak szybko wykonałaś wszystkie niezbędne ruchy. – Ayt nalała sobie herbaty i oplotła długimi palcami filiżankę. – Klan Jedność Sześciu Dłoni został rozbity i utracił władzę nad Lukangiem. Bez względu na to, jaką groźbę czy łapówkę zastosowaliście w przypadku Iyila, bardzo szybko wszystko wyśpiewał mediom. Nadal zastanawiam się nad tym, jak zdołaliście uczynić Sunta swoim narzędziem, ale świetnie zdaję sobie sprawę, że Kaul Hilo ma dar pozyskiwania dla swoich celów nawet najbardziej

zawziętych wrogów. Cudzoziemiec Wyles został zrujnowany, a sprzedaż Anorco, nad którą pracowałam przez lata, powstrzymano. – Ayt postukała w brzeg ceramicznej filiżanki i uniosła ją do ust. Pociągnęła łyk i oparła się wygodniej, z przeciągłym westchnieniem. – Każde z tych posunięć mogłam przewidzieć i powstrzymać, ale wszystkie naraz okazały się zbyt niszczycielskie. Nie potrafiłabym zrobić tego lepiej.

– Przypisujesz mi zbyt wiele zasług – odpowiedziała Shae. – To było dzieło całej rodziny.

Przed miesiącami Shae była najbardziej ze wszystkich zdemoralizowana mistrzowskim planem Ayt, przekonana, że filar Góry wreszcie rozwiązała zagadkę, która od dawna sprawiała jej trudności, i wie, jak zniszczyć klan Bez Szczytów. Reszta rodziny po prostu zabrała się do roboty. Nie mogliby jednak zrealizować żadnego ze swych celów, gdyby klan nie dysponował szczególnymi zasobami – gdyby Jaya nie miała w Toshonie swych Małych Noży, które były znaczącą siłą, gdyby Anden nie mógł wybrać się potajemnie na Uwiwy, gdyby kolejne rogi nie umieściły białych szcurów wszędzie, gdzie klan ich potrzebował, gdyby jej biuro w Espenii nie wykryło planów Góry i nie skontaktowało się z odpowiednimi prawnikami oraz politykami, gdyby Hilo już od lat nie myślał o zniszczeniu MRG.

Shae od dziesięcioleci podziwiała mistrzowską strategię Ayt. Być może filar Góry, z uwagi na własną dumę, wolała przypisywać swą porażkę sprytowi i talentom młodszej kobiety. Shae jednak знаła prawdę. Nigdy nie była sprytniejsza od Ayt. Żeby pokonać wielkiego szachistę nie trzeba było być większym geniuszem od niego. Wystarczyło zmusić go do grania w inną grę.

Klan Bez Szczytów wyhodował sobie wiele różnych kończyn w kraju i na świecie. Potrzebował ich, by bronić się przed silniejszym wrogiem. Żeby przetrwać, musiał się unowocześnić i nauczyć się szybkiego reagowania. Każdy, kto próbowałby wygrać wojnę z Ayt na jej warunkach, poniósłby klęskę. Hilo od samego początku otaczał się ludźmi, jakich potrzebował. Dlatego w klanie Bez Szczytów roiło się od wybitnych osobowości, które ciągle ścierały się ze sobą, ale w jakiś sposób pchały klan do przodu. Rodzina musiała toczyć straszliwą walkę i ponosiła straty, które nieraz omal nie rozerwały jej na strzępy, ale jednocześnie łączyły ją więzy nieosiągalne dla Ayt i Kobenów.

– Pewnie uważacie się teraz za bohaterów – odezwała się Ayt ostrym od nagłej pogardy tonem. – Podburzyliście zwykłych ludzi, by zademonstrować swą siłę, zniszczyliście zagraniczne koncerty zwróciliście mój klan przeciwko mnie i okryliście mnie hańbą. – W oczach Ayt zapłonął dawny ogień, a jej głos znowu stał się twardy jak stal. – Ale w rzeczywistości tylko opóźniliście nieuniknione. Pojawią się nowe cudzoziemskie potęgi, nowi najemnicy pragnący zagarnąć nasz

jadeit i zniszczyć duszę naszego kraju – wysyczała Ayt. – Wojna między naszymi klanami będzie trwała. I po co? Mogłam wznieść niezdobyty szaniec, który pozwoliłby Kekonowi decydować o swoim przeznaczeniu.

– Który pozwoliłby tobie decydować o jego przeznaczeniu – sprzeciwiła się Shae. – To nie to samo. Jesteś tylko zwykłą kobietą, Ayt-jen. Nie jesteś boginią, bez względu na wszystkie twoje talenty i na to, ile jadeitu nosisz. – Spojrzała w oczy Ayt, bez niepewności, strachu i zwątpienia. – Zielone kości nie są bogami i nie będą nimi do dnia Powrotu, a jeśli nie przestaniemy próbować, on nigdy nie nadejdzie.

– Bogów nie obchodzą ludzie ani narody. – Nagła zmiana tonu Ayt sugerowała głębię bólu, którego nigdy nie okazywała. – Wszyscy jesteśmy dla nich warci tyle samo. Nie dbają o to, kto zginie, a kto będzie żył, kto zwycięży, a kto przegra, kto powinien przewodzić, a kto cierpieć. Ja dbam.

Shae stłumiła współczucie.

– Gra skończona, Ayt-jen – oznajmiła. – Podjęłaś wielkie ryzyko i przegrałaś, a co ważniejsze straciłaś kontrolę nad klanem. Twoi wojownicy stoją pod bramą twojego domu i domagają się, żebyś odeszła. Żeby pozostać filarem, musiałybyś zamordować ich wszystkich. – Słońce przesłoniła chmura i w przestronnym gabinecie Ayt zrobiło się ciemniej. Żadna z kobiet nie ruszyła się z miejsca. – Nie wierzę, żebyś to zrobiła. Nawet ty nie przelałabyś krwi tak wielu swych zielonych kości.

– Nadal nie zdajesz sobie sprawy, do czego jestem zdolna, Kaul-jen – odpowiedziała Ayt.

Shae poczuła, że wzdłuż jej kręgosłupa przebiegł dreszcz.

– Świetnie wiem, że zawsze byłaś zdolna do najstraszliwszych czynków, jeśli uważałaś je za konieczne – odpowiedziała ze spokojem. – Wierzę ci jednak, kiedy mówisz, że nie sprawiały ci one satysfakcji i robiłaś to tylko dla dobra kraju. Co byłoby dla niego dobre teraz, Ayt-jen? Gdybyś ustąpiła z własnej woli i przekazała władzę bratankowi, nawet jeśli uważasz, że on i jego rodzina nie zasługują na tę pozycję, czy spowodować rozlew krwi, który rozerwie twój klan na strzępy i cofnie go o lata?

Ayt nie odpowiadała. Shae po raz kolejny pożałowała gorzko, że utraciła zmysł Postrzegania. Twarz filar była pozbawiona wyrazu jak wykuta z marmuru.

Progностyczka dotknęła gardła w miejscu, gdzie kiedyś miała jadeit. Wszyscy straciliśmy tak wiele, pomyślała. Ona i Ayt Mada nie uciekną od rywalizacji swych klanów, ale rozumiały się nawzajem – dwie zielone kobiety w świecie mężczyzn.

– Pamiętasz historię króla Eona Drugiego? – zapytała. – Abdykował okryty hańbą. Jego zwolennicy pragnęli, by kontynuował walkę, ale on wyrzekł się

korony, by uratować kraj przed dalszymi zniszczeniami i cierpieniem. Ludzie nie rozumieli jego poświęcenia i nie chcieli go docenić, ale dzięki niemu kraj mógł w przyszłości odrodzić się bez króla. Tylko on sam, bogowie i ludzie z przyszlých pokoleń, których nigdy nie miał spotkać, wiedzieli, że postąpił właściwie. Ty też uczyn to, co właściwe, Ayt-jen. Ustąp z własnej woli, a obiecuję, że wpłynę na brata, by wykuł trwały pokój między klanami. Wyrzeknijmy się wendety, która trwała między nami od śmierci Lana. – Shae miała wrażenie, że wypowiadając te słowa, poruszyła coś w pomieszczeniu, a także we własnej klatce piersiowej. – Klan Bez Szczytów przysięgnie przyjaźń i braterstwo z Ayt Atem. Wspólnie stworzymy plan, który pozwoli stopniowo połączyć nasze klany na równych prawach.

Kąciki ust Ayt uniosły się z pozbawioną wesołości ironią.

– A więc po tylu latach wojny, kiedy wreszcie zdobyłaś przewagę, chcesz, bym uwierzyła, że nagle przekonałaś się do pomysłu połączenia klanów? Spodziewasz się, że się nie zorientuję, że będzie to oznaczało podbój Góry przez klan Bez Szczytów?

Shae pokręciła głową.

– Czasy podbojów minęły. Nasze klany są za duże, by mogły się połączyć wbrew woli swych członków. Młodsze zielone kości po obu stronach walczyły u swego boku z cudzoziemcami i bezklanowymi częściej niż przeciwko sobie, a starsze mają już dość wojny. Jeśli przekażesz pozycję filaru bratankowi, ja i Hilo przejdziemy w stan spoczynku przed upływem pięciu lat i będzie można wreszcie zapomnieć o dawnych urazach.

Ayt milczała przez długą chwilę. Nie patrzyła na Shae, lecz wyglądała na zewnątrz przez wielkie okna. Pochylała się nieco, jakby dźwigała jakiś niedostrzegalny ciężar.

– Twój filar się na to zgodzi? – zapytała wreszcie.

– Tak. – Gdy tylko stało się jasne, że klan Bez Szczytów nie tylko obroni się przed spiskiem Ayt, lecz zdobędzie przewagę nad rywalami w oczach opinii publicznej, ich rozmowa na patio skierowała się ku przyszłości i temu, jak zabezpieczyć owoce tego sukcesu. – Nie mogę już przysiąc na swój jadeit, ale zrobiłabym to, gdybym nadal go miała.

Ayt zamknęła oczy, a potem otworzyła je znowu. Lśniły jasno, otoczone gęstą siatką zmarszczek.

– Przed wieloma laty skontaktowałam się z tobą, Kaul Shae-jen – zaczęła. –

Chciałam cię przekonać, żebyś przyłączyła się do mnie. Razem mogłybyśmy wytyczyć lepszą drogę dla naszego klanu i kraju. Odmówiłaś. Od tamtej chwili nienawidziłam cię z powodu tej decyzji, lecz jednocześnie cię podziwiałam.

Z pewnością dostrzegasz ironię w tym, co dzieje się teraz. Siedzisz tu i próbujesz mnie przekonać, żebym zaakceptowała twoją wizję zamiast swojej.

– Spójrz na nas, Ayt-jen – odparła Shae z płynącym z głębi serca westchnieniem. – Jesteśmy już stare. Przez bardzo długi czas próbowałyśmy nawzajem się zabić, a okrutny zbieg okoliczności sprawił, że zawdzięczamy sobie nawzajem życie. Być może czas już, byśmy usunęły się na bok. Być może nowe pokolenie spisze się lepiej od nas.

Ayt dopiła herbatę i wstała. Podeszła do okna, nie spoglądając już na Shae, i znowu zmieniała się w nieruchomy posąg. Tym razem jednak czerwieniejące światło słońca padało na nią pod innym kątem, zmieniając jej nieruchomą sylwetkę wodza czekającego na bitwę w jedyne ocalałego żołnierza na pustym poboju.

– Być może miałaś wtedy rację, Kaul-jen, tego dnia w Świątyni Boskiego Powrotu. Nie poderżnęłaś mi gardła i to było najokrutniejsze, co mi kiedykolwiek zrobiłaś. Zostaw mnie. Powiedziałaś już i zrobiłaś wystarczająco wiele.

* * *

Shae czekała w cabrioli. Słońce zachodziło już za drzewami. Spędziła w samochodzie ponad godzinę. Jeden ze strażników siedział w środku razem z nią, a drugi stał nieopodal. Nie próbowali jednak wyrwać jej z zamyślenia.

Zadzwonił telefon.

– Cześć, mamó – usłyszała głos Tii. – Wiem, że prosiłaś, by do ciebie nie dzwonić, chyba że sprawa będzie bardzo ważna, ale twoja sekretarka powiedziała, że wyszłaś już kilka godzin temu i tata chce się dowiedzieć, czy wrócisz do domu na kolację.

Shae przyjrzała się zielonym kościom z Góry, nadal stojącym na straży przy bramie rezydencji Ayt. Niektóre odeszły, a inne zajęły ich miejsce, ale wiele pozostawało na posterunku przez cały czas, stały tu od świtu do zmierzchu, a być może również przez całą noc – niewzruszone jak uczniowie szkół sztuki walki, ćwiczący w słońcu i w deszczu, by zahartować ciało i umysł, jak przystoi wojownikom zielonej kości.

– Nie sądzę, Tia-se – odpowiedziała córce. – Nie czekajcie na mnie.

– Pojedziesz ze mną szóstego dnia do galerii? – zapytała Tia.

– Być może. Odrób lekcje, zanim wrócę do domu, to porozmawiamy.

Shae zakończyła rozmowę i wlepiała spojrzenie w trzymany w dłoni telefon. Niech zostanie taka najdłużej, jak się da, pomyślała. Po prostu zwyczajna dziewczynka, która wkrótce będzie nastolatką. Nie modliła się do żadnego

konkretnego boga, po prostu kierowała swe życzenie pod adresem wszechświata. Wiedziała, że to nie może trwać bez końca. Tia już teraz musiała walczyć z okrucieństwem świata, w którym żyła jej matka. W miarę dorastania będzie rozumiała coraz więcej i z tego powodu oddali się od rodziny.

Chyba że od dzisiaj świat stanie się inny niż ten, który znała Shae. Niech to się stanie możliwe. Niech nadejdzie świat, w którym będzie mogła pozostać taka jak teraz.

Coś w tłumie się zmieniło. Ochroniarze Shae Postrzegli to i natychmiast zwrócili się w stronę bramy. Prognostyczka wysiadła i stanęła przed samochodem. Z początku nie zauważała żadnej różnicy, ale po chwili przemieszczający się powoli w tył ludzie utworzyli w ciżbie wąskie przejście. Ayt Mada ruszyła powoli w stronę bramy. Ze wszystkich stron otaczały ją lojalne pięści i palce. Wielkie żelazne wrota rozsunęły się gładko, ich elektronicznego milczenia nie zmącił nawet najśłabszy dźwięk. Filar ruszyła między swymi przeciwnikami. Nawet ci, którzy trzymali potępiający ją biały transparent, wyszeptali coś ostrożnie pod nosem i dotknęli czół. Hilo powiedział jej kiedyś, że i największe tygrysy się starzeją, niemniej nawet najstarszy tygrys wciąż pozostawał tygrysem.

Ayt nie odszukała wzrokiem swej najstarszej rywalki stojącej po drugiej stronie ulicy, Shae wiedziała jednak, że filar Góry Postrzega ją i wie, iż Shae obserwuje ją wraz z całym tłumem. Ayt Mada poprawiła spirale jadeitu na swoich przedramionach.

– Filar jest panem klanu, kręgosłupem jego ciała – zaczęła. – Ale klan jest czymś więcej niż tylko filar, a ciało nie może toczyć wojny ze sobą. Nie będę usprawiedliwiała wszystkich działań, jakie podjęłam w imię dobra swojego klanu i swojego kraju, jest jednak jasne, że na moje dawne decyzje padł cień zbyt wielu wątpliwości, by klan Góra mógł pozostać silny i zjednoczony pod moim przewodnictwem. W związku z tym zrzekam się ze skutkiem natychmiastowym tytułu filaru Góry i ogłaszam swym następcą mojego bratanka, Ayt Atosha. Udzielam mu błogosławieństwa i proszę wszystkich członków klanu, zielone kości i tych, którzy nimi nie są, pięści i palce, szczęściodawców i latarników, by przysięgli mu wierność, tak samo jak przysięgali ją mnie, na oczach nieba i na jadeit.

To wiekopomne oświadczenie przyjęto w głębokiej ciszy. Dopiero po chwili zabrzmiały głosy. Reporterzy wykrzykiwali pytania, a Ayt Madashi odwróciła się i ruszyła do domu.

ROZDZIAŁ 60

OSTATNIE DŁUGI

Pierwszym rozporządzeniem Ayt Atosha jako filaru Góry było ogłoszenie w mieście hucznych obchodów Święta Jesieni. Rodzina Kobenów gorąckowo pragnęła poprawić zepsutą opinię klanu i nie szczędziła wysiłków, by powiązać w oczach opinii publicznej zmianę przywództwa z popularnym świętem. Ulice w dzielnicach należących do Góry wypełniły latarnie o dwóch różnych kolorach – świątecznej czerwieni i bladej zieleni symbolizującej klan Góra. Furgonetki pełne palców oraz uczniów Szkoły Świętynnej Wie Lona jeździły po mieście, rozdając żółte ciasto udekorowane klanowymi insygniami. W telewizyjnych talk-show i na zajmujących całą stronę ogłoszeniach prasowych widziało się atrakcyjną twarz Ayt Ata.

Klan Bez Szczytów obchodził święta nieco skromniej. Jego członkowie wyrażali szeptem ostrożny optymizm i snuli spekulacje na temat przyszłości. Najstarsza i najgroźniejsza z ich wrogów straciła władzę. Nie sposób było w to uwierzyć. Całe pokolenie klanu Bez Szczytów nauczyło się utożsamiać Ayt Madę z klanem Góra, widzieć w niej nieustanne, zniechęcające zagrożenie. Nikt jeszcze nie wiedział, co sądzić o jej następcy ani czego się spodziewać po Kobenach.

Hilo zaprosił na kolację całą rodzinę i jej najbliższych przyjaciół. Po spożytym nieśpiesznie posiłku złożonym z tradycyjnych o tej porze roku potraw – zupy z owoców morza z imbirem, trzykrotnie glazurowanej wieprzowiny, marynowanych warzyw na ostro oraz lepkich ciastek z pastą owocową.

– Wieczór jest pogodny, na dworze nadal jest ciepło – oznajmił filar. – Możecie zostać tak długo, jak tylko chcecie.

To był dyskretny sygnał dla tych, którzy nie należeli do wewnętrznego kręgu klanu, że powinni już sobie pójść. Zrobili to pośpiesznie, wiedząc, że filar i jego doradcy będą dyskutować jeszcze przez wiele godzin.

Sulima odprowadziła matkę Hila do pokoju. Kaul Wan Ria miała osiemdziesiąt pięć lat. Nikt z członków klanu nie żył dotąd tak długo, ale Ria słabowała już na ciele i na umyśle. Woon Papi, Juen Nu, dorośli synowie Juena i Maik Cam wyszli na dziedziniec, zabierając ze sobą butelkę hoji, kilka talii kart oraz piłkę sztafetową. Wdowa po Kehnie Lina oraz żona Juena Imrie poszły porozmawiać do ogrodu. Tia chciała obejrzeć film w kinie domowym. Gdy Jirhuya zaproponował, że do niej dołączy, Anden poczuł ulgę pomieszaną z lekkim zaskoczeniem. Od czasu gwałtownych wydarzeń na Eumanie jego partner wykazywał w towarzystwie Kaulów większą nerwowość niż wcześniej. Hilo podejrzewał, że mogło to wywołać napięcie między nim a Andenem, czego jednak się spodziewali? Jeśli mieli zostać ze sobą, Jirhu będzie w końcu musiał nauczyć się widzieć w krewnych swego partnera zielone kości, którymi byli naprawdę, bez względu na dystans, jaki starał się wobec nich zachować.

Hilo przyjrzał się tym, którzy zostali przy stole. Shae i Wen siedziały razem po jednej stronie, Lott i Niko po drugiej, a Anden na przeciwległym końcu. Filar mocno zacisnął dłoń na poręczy fotela, starając się powstrzymać dobrze znany, lecz nadal niesłabnący ból, jaki wypełniał mu serce za każdym razem, gdy poczuł nieobecność Ru. Na talerzu pośrodku stołu zostało jedno ciastko z brzoskwini i Hilo wyobraził sobie – tak wyraźnie, jakby działało się to naprawdę – jak jego syn zrywa się z krzesła, by je sobie wziąć. Poza Ru brakowało tylko Jai, która wróciła do Toshonu. Wszyscy obecni patrzyli na niego wyczekująco. Przez kilka sekund nie był w stanie nic powiedzieć. Przepęłniały go żal i duma.

– Ayt Atosho poprosił o spotkanie między naszymi klanami – oznajmił.

Pozwolił, by Shae wyjaśniła to dokładniej.

– Góra pragnie podyskutować o przysiędze przyjaźni – oznajmiła prognostyczka. – Przysłali prośbę w zgodny z zasadami sposób, ze wszystkimi wymaganymi zapewnieniami, chcą jednak, żeby odbyło się to jak najszybciej i z zachowaniem prywatności. Tylko filar z dwiema osobami towarzyszącymi po obu stronach. My wybierzemy czas i miejsce.

Ta wiadomość nikogo nie zaskoczyła.

– To wydarzyło się bardzo szybko – zauważył jednak Lott.

Ayt Mada zrezygnowała zaledwie trzy tygodnie temu. Fakt, że jej następca tak prędko spróbował nawiązać porozumienie z wrogami swej ciotki, można było uznać za nadmierny pośpiech, oznakę słabości i brak politycznego doświadczenia nowego filaru. Gdyby Hilo miał udzielić rady Kobenom – a z pewnością nie zamierzał tego robić – powiedziałby im, że to zły pomysł spotykać się z wrogami, dopóki nie jesteśmy pewni przyjaciół, a wątpił, by Kobenowie mogli mieć taką pewność.

Wen naląła wszystkim świeżo zaparzonej herbaty.

– Na pewno uważają, że nie mają wyboru. Jeśli Kobenowie chcą wejść w buty Ayt Mady, muszą jak najszybciej udowodnić, że mają władzę.

Wielu ludzi w Górze nadal było lojalnych wobec Ayt Mady i uważało Kobenów za drugorzędną rodzinę, która niezasłużenie zajęła szczytową pozycję dzięki swej liczebności, tradycjonalistycznemu zapałowi oraz faworyzowanemu przez media przywódcy, a nie realnym zasługom.

Ayt Ato, który z pewnością zdawał sobie sprawę z tych zarzutów, zaczął już robić porządki. Aben Sora i Iwe Kalunda – róg i prognostyka Ayt Mady – poproszono o złożenie dymisji w ślad za nią. Zrobili to bez zwłoki. Aben był rogiem tak długo, że jego przejście w stan spoczynku nie było zaskoczeniem. Iwe również miał już swoje lata, a do tego był blisko powiązany z Ayt Madą i od wielu lat zbyt głęboko zaangażowany w działalność, którą Iyilo tak dokładnie opisał w swoim wywiadzie.

Shae przyjęła filiżankę herbaty, którą postawiła przed nią bratowa, i zerknęła na pozostałe na stole ciastka, lecz oparła się pokusie.

– W tej chwili Ayt Ato może ufać wyłącznie członkom własnej rodziny. – Nowy filar mianował rogiem kuzyna drugiego stopnia Sando Kina, a prognostykiem jednego ze swoich wujków, doświadczonego, lecz mało znanego latarnika nazwiskiem Koben Opon. – Wszyscy wiedzą, że Ayt Mada niechętnie przekazała władzę Ayt Atowi i właściwie go nie popiera, co może otworzyć drzwi przed potencjalnymi pretendentami.

– Obawia się, że wykorzystamy jego brak doświadczenia oraz podziały w jego klanie – zauważył Lott. – Opinia publiczna jest teraz po naszej stronie i Kobenom grozi, że kolejni latarnicy Góry przejdą do klanu Bez Szczytów.

– Ayt Ato ma być atrakcyjną twarzą rodziny, ale podejrzewam, że rozumie swoją sytuację i jest sprytniejszy, niż sądzi większość – dodała Wen. – Jeśli nauczył się czegoś od swej ciotki Koben Bett, najpierw spróbuje dyplomacji, nie wojny. Ożenił się z kobietą z rodziny Temów, by zapewnić sobie ich poparcie. Teraz pragnie zawrzeć z nami pokój, żeby mieć czas na zrobienie porządków w domu.

Hilo wykrzywił usta w ironicznym grymasie.

– Ta stara żmija Yun Dorupon już przed dziesięcioleciem zachęcała nas do sojuszu z rodziną Kobenów.

– Wtedy Ayt Mada była zdeterminowana anektować klan Bez Szczytów i wysłać nas wszystkich na cmentarz – odpowiedziała Shae. – To nie mogłoby być równoprawny sojusz, bo wisiała nad nami groźba zagłady. Od tego czasu Kobenowie stali się potężniejsi, ale my jeszcze bardziej. Nie mogą nas podbić.

Siedzący u drugiego końca stołu Anden pokiwał głową.

– Bardzo się zmieniliśmy jako klan. Mamy teraz silniejszą pozycję niż Góra, być może po raz pierwszy. Pytanie brzmi, czy sojusz z Kobenami pomoże nam utrzymać tę sytuację.

Hilo czuł, że Shae wbija w niego świdrujące spojrzenie. To ona udała się do rezydencji Ayt Mady, by skłonić wieloletnią rywalkę do kapitulacji.

– Przysięgłam w imieniu naszej rodziny, że pretensje się skończą – oznajmiła bratu po powrocie. – Obiecałam, że zaczniemy zbliżać klany do siebie bez rozlewu krwi.

Hilo przeciął na pół jedno z ocalałych ciastek.

– Gdzie jest teraz Ayt Mada?

– Opuściła rezydencję Aytów i przeniosła się do należącej do Góry kamienicy na Błoniach – odpowiedział Lott. – Nigdzie nie wychodziła ani nie rozmawiała z mediami, ale najwyraźniej współdziała z bratankiem w przekazaniu mu władzy.

– Ilu ludzi ma ze sobą? – zapytał Hilo.

– Strzeże jej garstka pięści, które pozostały jej wierne. – Lott przerwał na chwilę, wpatrując się w filar, nim odpowiedział na pytanie, które naprawdę mu zadano. – Nie będzie łatwo dostać się do niej, ale to da się zrobić. Kamienica jest mniej bezpieczna od posiadłości Aytów.

– Hilo – sprzeciwiła się Shae. – Góra proponuje nam zawarcie pokoju.

– Ayt Mada nie jest już filarem Góry – przypomniał jej lakonicznie Hilo. – Pokój, jaki możemy zawrzeć z Kobenami, nie dotyczy tej starej suki. Dopóki oddycha, pozostaje dla nas zagrożeniem. Znajdzie sposób, by zachować kontrolę nad klanem, nawet jeśli nie będzie już filarem. Walczyliśmy z nią od trzydziestu lat i nie damy się nabrać na sztuczkę z rezygnacją. Prędzej czy później będzie musiała umrzeć. Lepiej prędzej.

– Dopóki Ayt Mada żyje, nie możemy zaufać żadnemu sojuszowi z Górą – zgodziła się Wen.

Z dziedzińca dobiegły śmiechy i radosne wołania. Hilo słyszał podniesione krzyki i dźwięk przypominający ten, jaki towarzyszy uderzaniu piłką sztafetową o mur.

– To nie jest odpowiednia chwila – nie ustępowała Shae. – Opinia publiczna osądziła Ayt. Straciła poparcie klanu. Zgadza się, że to byłoby do niej bardzo podobne, gdyby spróbowała odzyskać władzę albo kierować klanem z tylnego siedzenia, ale w tej chwili nie będzie w stanie tego zrobić. Pozwoliła, by jej bratanek miał swoje pięć minut, i przekonała wszystkich, że się wycofała. Powinniśmy postąpić podobnie. Gdybyśmy zabili teraz Ayt Madę, honor kazałby mu potraktować nas jak wrogów. To zniszczyłoby szanse na trwały pokój.

– Darowanie życia Ayt Madzie przeszło ci w paskudny nawyk, Shae.

Siostra obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

– Gdy pozycja Ayt Ata będzie już bezpieczna i zapanuje pokój między klanami, uwaga opinii publicznej odwróci się od Ayt Mady. Wtedy będziemy mogli dyskretnie wyszeptać jej imię. Ale najpierw musimy dotrzeć do tego punktu.

– Progностyczka jasno wyraziła swoją opinię – stwierdził Hilo. Wziął sobie połowę ciastka, a drugą położył na talerzu Wen. – A co sądzi reszta?

Lott opuścił wzrok, ściągając w zamyśleniu szerokie usta.

– Od bardzo dawna nienawidziłem klanu Góra, ale kiedy zostałem pierwszą pięścią, a później rogiem, współpracowałem z jego członkami równie często, jak walczyłem przeciwko nim. Nawet jeśli nie we wszystkim zgadzamy się z nowymi przywódcami Góry, nie można ich zrównywać z Ayt Madą. Nie zrobili nic, co uczyniłoby ich naszymi zaprzysiężonymi wrogami. Nie sądzę, by kogokolwiek, nawet nieprzyjaciół, powinno się potępiać z powodu ich krewnych albo zmuszać do kroczenia ścieżką, której nie wybrali.

Odpowiedziało mu milczenie. Lott Jin jako jedyny z obecnych nie był Kauliem, ale nikt nie mógł zaprzeczyć, że poświęcił klanowi dziesięciolecie życia i pomimo wielu przeszkód oraz zwątpienia w siebie przez siedem ostatnich lat był kompetentnym rogiem.

– Czasami wydaje się, że przemoc jest przeznaczeniem, przed którym nie sposób uciec, ale zdarzają się krótkie okresy, kiedy to może się zmienić. Zgadzam się z progностyczką. Po odejściu Ayt Mady powinniśmy zapomnieć o wendecie.

Hilo spojrział na Andena. Jego kuzyn wpatrywał się w Lotta z dziwnym, niemym podziwem. Po chwili zdjął okulary i wytarł je w koszulę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Rodzina Kobenów jest liczna, ale żaden z nich nie jest tak zielony ani tak sprytny, jak Ayt Mada i ci, którzy siedzą przy tym stole. Lubią pyskować i są zdolni do szybkiego reagowania, ale brakuje im inteligencji, by dostrzec szanse mogące zapewnić przewagę. – Anden z powrotem włożył okulary. – Myślę, że powinniśmy przyjąć ofertę Kobenów i zrobić wszystko, co tylko możliwe, żeby zachowali władzę nad Górą. W ten sposób nasz klan z czasem zdobędzie przewagę, a jeśli kiedyś dojdzie do zjednoczenia, klan Bez Szczytów będzie miał dominującą pozycję i Kaulowie, a nie Kobenowie będą rodziną rządzącą wszystkimi zielonymi kośćmi w kraju.

Hilo uśmiechnął się, słysząc przemyślane na zimno słowa kuzyna. Kiedy byli młodzi, często nabijał się z Andena z powodu jego wyważonej powściągliwości, starał się go sprowokować do dania sobie luzu. Teraz jednak nie potrafił sobie

wyobrazić, że jego kuzyn mógłby być inny. W takich chwilach jak ta to tylko podkreślało fakt, że jego dusza jest zielona.

– A co ty sądzisz, Niko? – zapytał Kaul bratanka, który do tej pory milczał. – Powinieneś mieć wpływ na tę decyzję, bo ty, Jaya i wasze zielone kości będziecie musieli żyć z jej skutkami dłużej od nas. Czy możesz współpracować z Ayt Atem? Czy ufasz Kobenom i ich obietnicy przyjaźni?

Niko spojrział na wujka.

– Nie ufam nikomu – odpowiedział. – Ale jestem w stanie z nimi współpracować. Nie muszę lubić Kobenów ani zgadzać się z nimi, ale poznałem Ayt Ata i obserwowałem go przez wiele lat. Myślę, że go rozumiem, przynajmniej pod pewnymi względami. Potrzebuje czegoś od nas i zgadzam się z wujkiem Andenem, że na dłuższą metę leży w naszym interesie, żeby to on przejął władzę.

– Zatem decyzja zapadła. Jako filar od wielu lat polegałem na waszej opinii i nie zamierzam teraz tego zmieniać. – Hilo spojrział na prognostyczkę. – Masz rację, Shae. Nasze wendety nie powinny obciążać następnego pokolenia. Przekaż Górze, że zgadzamy się na spotkanie. – Zerknął na bratanka. – Chcę, żebyś w nim uczestniczył, Niko. Zajmiesz miejsce rogu.

Zaskoczony Lott spojrział w jego stronę.

– Róg powinien być obecny – sprzeciwił się. – To nie jest brak szacunku z mojej strony, Kaul-jen. Zieleńska strona klanu powinna uczestniczyć w dyskusji o zawarciu sojuszu.

– Ważniejsze jest, żeby tam był Niko – odpowiedział Hilo. – Kiedy przejdę w stan spoczynku, to on będzie musiał sobie radzić z Ayt Atem. Ten sojusz ma dla niego większe znaczenie niż dla mnie. Powinien mieć głos w sprawie umowy, jaką zawrzemy. Przedyskutuję przedtem z tobą wszystkie sprawy dotyczące militarnej strony klanu i poruszę je na spotkaniu.

– Kaul-jen... – sprzeciwił się raz jeszcze Lott, ale Hilo uciszył go groźnym spojrzeniem.

– Będziesz siedział przy stole – oznajmił Nikowi filar.

Wszyscy sprawiali wrażenie zaskoczonych tą decyzją, nawet Wen. Od czterech lat Niko uczył się wszelkich aspektów działalności klanu pod przewodnictwem rogu i prognostyczki oraz innych wysokich rangą przedstawicieli stron kierowanych przez nich oboje. Powszechnie się zgadzano, że wnosi cenny wkład. Militarnej stronie klanu zaproponował nowy system informatyczny, który pozwoli na optymalizację rozmieszczenia palców w różnych regionach. Rozstrzygnął spór między dwoma latarnikami, kładąc synowi jednego z nich pracować dla drugiego w charakterze zadośćuczynienia.

Wykonywał też ważną robotę dla Shae, zbierając dowody przeciwko Espeńczykom.

Do tej pory Hilo nie dał jednak do zrozumienia, czy i kiedy zamierza zacząć dzielić się z nim obowiązkami. W końcu Niko miał dopiero dwadzieścia siedem lat. Wielu w klanie zadawało sobie pytanie, czy filar nadal nie dowierza bratankowi bądź gniewa się na niego z powodu czasu, który spędził z dala od rodziny.

Teraz jednak oznajmił, że Niko będzie miał prawo przemówić w imieniu klanu na ważnym spotkaniu z byłymi wrogami. Po raz pierwszy, choć tylko na prywatnej kolacji przy rodzinnym stole, jasno ogłosił, że Niko ma być jego następcą.

Jeśli jego bratanek poczuł się zaskoczony, nie okazał tego.

– Rozumiem, wujku – odparł z powagą. Wszyscy jednak zauważyli, że zerknął ostrożnie na Wen, niepewny jej reakcji.

– Świetnie sobie poradzisz – zapewniła. – W końcu będą z tobą wujek i ciotka.

Powiedziała to raczej rzeczowym niż miłym tonem, ale Hilo ucieszył się, że wsparła jego bratanka, nawet jeśli jej uśmiech był pełen rezerwy.

– Będę gotowy – zapewnił Niko.

– Świetnie. – Hilo spojrzał na Andena. – Ci się stało, Andy? Raptem ucichłeś i masz taką minę, jakby coś cię trapiło.

Anden uniósł nagle głowę i rozejrzał się zaskoczony niespodziewaną uwagą swoich kuzynów.

– Przepraszam, że nie uważałem. Hilo-jen. Chciałem o coś zapytać, ale to może poczekać na inną okazję.

– Pytaj – odparł Hilo. – Lepszej okazji nie będzie. Wszyscy tu jesteśmy rodziną, pomijając Lott Jina, ale jeśli ktoś jest rogiem klanu Bez Szczytów, automatycznie uważa się go za honorowego Kaula.

Anden zawahał się, a potem odchrząknął i wyprostował się na krześle.

– Chcę wystartować w wyborach do Rady Książęcej. – Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem, aż zaczął się wiercić nerwowo. – Wiem, że musiałbym się wyrzec jadeitu, ale zastanawiałem się nad tym długo i jestem gotowy na tę decyzję. Leczenie indywidualnych członków klanu to szlachetne zajęcie, ale jako radca mógłbym wpływać na los wielu osób jednocześnie. Proszę cię o błogosławieństwo i o patronat klanu, Hilo-jen.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Wujku Andenie, powiedziałbym, że jesteś zbyt uczciwy na polityka, ale jeśli się nad tym zastanowić, to byłeś politycznym reprezentantem naszego klanu

od wielu lat i nikt nie nadaje się do tej roboty lepiej od ciebie – stwierdził wreszcie Niko.

Wen się uśmiechnęła.

– W tej rodzinie możesz być uczciwy, a jednocześnie sprytny. Możesz nie nosić jadeitu, ale być wojownikiem.

– Większość członków Rady powiązanych z dużymi klanami nigdy nie nosiło jadeitu i nie rozumieją, jak się rozwiązuje problemy na sposób zielonych kości. Resztę stanowią niezależni, których nic nie łączy z naszym sposobem życia. Jeśli zaś chodzi o nasze wpływy w Radzie, nawet po tym, jak Jaya położyła kres panowaniu Jedności Sześciu Dłoni w Lukangu, wynik wyborów będzie bardzo niepewny. Notowania Góry mogą nawet wzrosnąć dzięki przejęciu władzy przez Kobenów. Musimy zrobić kilka rzeczy. Stawić czoło Espeńczykom i zażądać wycofania ich wojsk, podjąć walkę ze szkodliwymi przesadami i zreformować armię. Wszystkie te zadania wymagają kogoś, kto może mówić jak zielona kość, nawet jeśli nie jest zielony. Spójrzcie, jaką karierę polityczną zrobiła wdowa Koben Tin Bett. Pochodzi z rodziny zielonych kości i reprezentuje ich punkt widzenia w polityce, mimo że nigdy nie nosiła jadeitu. Uważam, że mógłbym robić dla nas to samo. Reprezentować klan, ale zachowywać dystans wobec niego i myśleć o wspólnym dobru.

– Czy to Jirhuya podsunął ci ten pomysł? – zapytała Wen, nadal się uśmiechając.

Twarz Andena poczerwieniała nieco.

– Nie, ale zachęcał mnie do tego. Podejrzewam, że dałbym sobie z tym spokój, gdyby nie należał, bym potraktował to poważnie. – Odwrócił z zawstydzieniem wzrok, ale na jego twarzy pojawił się lekki uśmiešek. – Kiedyś martwiłem się, że nasz związek może się nie utrzymać, bo Jirhu jest zbyt odległy od klanu, ale teraz cieszę się, że pozwala mi patrzeć na sprawy z innej perspektywy.

– Żaden członek rodziny Kaulów nie piastował dotąd politycznego stanowiska – zaczął Hilo. Wszyscy umilkli nagle. – Zawsze byliśmy jadeitowymi wojownikami i nic nie mogło nas skłonić do wyrzeczenia się zieleni. Nawet szansa zdobycia władzy. – Filar uniósł kącik ust w krzywym uśmieszku. – Jedno, co mogę powiedzieć o moim kuzynie, to że zawsze robi wszystko po swojemu, nawet jeśli nikt przed nim tego nie próbował. Jasne, że masz moje błogosławieństwo i poparcie klanu, Andy.

Anden wstał z krzesła i dotknął czoła złączonymi dłońmi, oddając honory z głębokim szacunkiem.

– Dziękuję, Hilo-jen. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by wygrać wybory i nikogo nie zawieść.

Hilo również wstał i kuzyni się uściskali.

– Połóżmy się wszyscy spać z tą dobrą wiadomością – rzekł filar. – Shae umówi spotkanie z Kobenami, a potem porozmawiamy znowu. Jak zwykle mamy bardzo dużo do zrobienia, ale jestem pewien, że wszyscy czujemy się bardzo zmęczeni.

* * *

Gdy wszyscy już się rozeszli i w domu zapadła cisza, Hilo poszedł na górę. Wen leżała w łóżku i czekała na niego. Gdy wsunął się pod kołdrę, odłożyła czytaną książkę i objęła go. Pocałował ją w czoło i pogłaskał po włosach. Przez kilka minut leżeli w milczeniu.

– Kiedy to zrobisz? – zapytała Wen.

– Podczas spotkania. Zaproszenie Nika dało mi pretekst, by nie zabierać ze sobą Lotta. Nie chodzi o to, że chciałem go wykluczyć. Będzie miał do wykonania inne zadanie.

Wen skinęła głową.

– Może minąć kilka tygodni, nim prognostyczka wynegocjuje warunki spotkania. Miejsce, pokutnicy, bezpieczeństwo i tak dalej. Miejmy nadzieję, że do tego czasu Ayt Mada przestanie przyciągać powszechną uwagę. Większość grupki jej lojalnych strażników to starsze wiekiem zielone kości. Nie mogą się mierzyć z naszymi najlepszymi pięściami.

– Jutro wydam Lottowi rozkazy, kiedy nie będzie żadnych świadków. – Ujął podbródek Wen i unióśł go ku sobie. – Uważaj, żeby niczego nie zdradzić Shae. Możesz o tym zapomnieć. Wiem, że bardzo często rozmawiacie ze sobą, kiedy mnie nie ma. Shae i Niko nie mogą wiedzieć o niczym, dopóki to się nie stanie. Będą mogli szczerze przysiąc, że nie mieli nic wspólnego z zabójstwem Ayt Mady i wszyscy Postrzegą, że wyszeptalem jej imię tylko Lottowi.

Wen odsunęła się od niego z oburzeniem.

– Nie zapomniałabym o czymś tak ważnym – zapewniła. – Czy nie poparłam cię przy kolacji? Shae mówi, że działanie w tej chwili byłoby zbyt ryzykowne, ale gdybyśmy go nie podjęli, ryzyko byłoby jeszcze większe. W przypadku Ayt Mady ostrożności nigdy za wiele. Ona i jej zwolennicy muszą umrzeć.

Hilo skinął głową.

– To będzie trudne zadanie. Musimy zdobyć przyjaźń nowego filaru, a jednocześnie wreszcie nakarmić robaki jego ciotką.

Wen dotknęła policzkiem barku męża i przesunęła palcami wzdłuż jadeitów na jego obojczyku i piersi z czułością zrodzoną z długiej znajomości.

– Ayt Ato będzie musiał robić rwetes dla zachowania pozorów, ale nie zacznie wojny z tego powodu – stwierdziła. – Jak już mówiłam, jest inteligentniejszy, niż wydaje się ludziom, a w dodatku doradza mu stara, sprytna Koben Tin Bett. Wie, że Ayt Mada nie przestanie sprawiać mu kłopotów, dopóki będzie się czaiła za kulisami. Jeśli nadal będzie żyła i pociągała za sznurki. Ato nigdy nie zdobędzie pełnego poparcia klanu. Nigdy nie chciała, żeby to on został dziedzicem, i jej straszliwy cień nie przestanie na niego padać aż do jej śmierci. Kobenowie po cichu będą nam wdzięczni, jeśli usuniemy im z drogi dawną filar.

– Zwłaszcza, jeśli dam im dobry pretekst, żeby przestali się gniewać – stwierdził Hilo. – A zrobię to. Gdy tylko ta sprawa się skończy, zrzeknę się tytułu filaru.

Palce Wen przestały się poruszać. Zrobiła długi wydech, wypuszczając ciepłe powietrze na skórę męża.

– Niko nie jest jeszcze gotowy.

– To prawda, że lepiej by było, gdyby miał jeszcze kilka lat, ale nie mamy innego wyjścia. Jest mniej więcej w tym samym wieku co ja, kiedy zostałem filarem.

– Ty byłeś przedtem rogiem – przypomniała mu Wen. – Zdobyłeś lojalność klanowych pięści i palców w czasie wojny. Umiałeś kierować ludźmi w kryzysowej sytuacji, bo zależało ci na nich. Niko nie jest taki jak ty.

Hilo otoczył jedną z jej dłoni własną i westchnął głęboko.

– Wiem jak trudno jest wybaczyć komuś, kto okazał się kimś innym, niż się spodziewaliśmy. Ja też nie radzę sobie z tym zbyt dobrze. Z pewnością jednak widzisz, że Niko się zmienił i pracuje bardzo ciężko. Powinnaś go lepiej traktować i okazać mu trochę uczucia, nawet jeśli o nie nie prosi i wydaje się, że go nie pragnie.

Wen umilkła na chwilę.

– Pewnie, że go kocham, ale on jest jak zamknięta książka. Teraz jeszcze bardziej, niż kiedy był chłopcem. Czy ktoś o takim charakterze może inspirować innych jako przywódca? Myślę, że przydałaby mu się dziewczyna, ale żadna z moich sugestii go nie zainteresowała.

Hilo się roześmiał.

– W dzisiejszych czasach młodzi ludzie odwołują się do romanse. Nie powinnaś się tym zbytnio przejmować. Pamiętaj też, że ja bardzo się różniłem od Lana, a wszyscy ludzie, którzy od tego czasu byli rogami, nie byli podobni do mnie ani do siebie nawzajem. O ile Niko zna siebie, nauczy się, jak być dobrym filarem na swój sposób. Poza tym czasy są teraz lepsze i wszyscy będziemy go wspierać. Ja nie miałem tego wszystkiego. Dlatego wiem, jakie to ważne. Nie będę taki jak dziadek. Nie będę się starał zniszczyć innych z powodu własnych żalów. Mam

ciebie i cieszę się, że będziemy mogli wreszcie trochę się odprężyć. Ty też się cieszysz?

– Tak.

Wen zwróciła ku niemu twarz i go pocałowała.

– Porozumienie, jakie zawrzemy z Górą, będzie paktem między Nikiem a Kobenami. Z chęcią będę go przestrzegał, pod warunkiem, że pomszczę Lana, Kehna i wszystkie pięści oraz palce, które Ayt Mada wysłała do ziemi. – Hilo zgasił stojącą przy łóżku lampę i przyciągnął Wen do siebie. – Shae ma rację. Nasze klany powinny zapomnieć o wendecie. Młode pokolenie zacznie wszystko od nowa i będzie miało realną szansę na pokój. Ale najpierw musimy spłacić ostatnie długi.

* * *

W domu Iwe Kalunda zadzwonił telefon. Były prognostyk Góry zamknął się w nim, odkąd zmuszono go do haniebnej rezygnacji. Iwe wysłuchał w milczeniu tego, co przekazał mu człowiek na drugim końcu linii. Potem zakończył rozmowę i wybrał inny numer.

– Ayt-jen – powiedział. – Mam informacje, których potrzebowaliśmy. Wszystko będzie załatwione tak, jak ustaliliśmy.

ROZDZIAŁ 61

STARE TYGRYSY

Dwudziesty szósty rok, dwunasty miesiąc

Tajne spotkanie między przywódcami klanu Bez Szczytów i Góry, pierwsze takie wydarzenie od dwudziestu pięciu lat, urządzono w siedzibie Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego w tradycyjnie neutralnej Dzielnicy Świątynnej.

Poprzednia siedziba była kwadratowym, przysadzistym gmachem zbudowanym za fundusze państwowe. Nowa, której budowę finansowały wspólnie państwo i klany, wyglądała znacznie efektowniej – dziesięć dumnych kondygnacji ze szkła i zielonego marmuru przyćmiewało nawet starożytne kamienne kolumny i kryty dachówką dach pobliskiej Świątyni Boskiego Powrotu. Głośne „pierdolcie się!” rzucone wszystkim, którzy sobie wyobrażali, że klany można zniszczyć czy choćby je osłabić.

Hilo, Shae i Niko zjawili się o umówionym czasie. Ayt Ato i jego towarzysze czekali już na nich w pokoju, podobnie jak czwórka pokutników ze Świątyni Boskiego Powrotu, stojących pod tylną ścianą z dłońmi ukrytymi pod zielonymi szatami.

Zielone kości z Góry wstały i Ayt Ato dotknął czoła, ostrożnie oddając honory.

– Kaul-jen.

– Ato-jen – odparł Hilo, odwzajemniając swobodny gest. – Mam nadzieję, że się nie obrazisz, jeśli będę się do ciebie zwracał osobistym imieniem. Ayt to nie jest nazwisko, które potrafiłbym wypowiedzieć przyjaznym tonem. Wolę go nie używać, żeby nie zaszkodzić naszym stosunkom.

– Nie mam nic przeciwko temu – zgodził się Ato. – Większość ludzi tak do mnie mówi.

Hilo nieraz widywał twarz Ayt Ata w mediach, ale nigdy dotąd nie spotkał go osobiście. Ato w rzeczywistości był tak samo przystojny jak w telewizji, niemal równie fotogeniczny jak gwiazdor filmowy Danny Sinjo. Charakterystyczne szeregi małych klejnocików w brwiach podkreślały wielkość oczu, ale nieruchoma twarz świadczyła, że młody filar od dwóch miesięcy żyje w wielkim napięciu. Jego jadeitowa aura, którą trzymał blisko siebie, sprawiała wrażenie rozciągniętej i wystrzępionej.

Ato przedstawił tęgiego, brodatego mężczyznę jako swego prognostyka, Koben Opona, a muskularną zieloną kość z płaskim nosem jako Sando Kina, swego kuzyna i róg.

– Nauczono mnie bać się ciebie i nienawidzić, Kaul Hiloshudon – przyznał Ato. – A teraz siedzę przy tobie jak filar przy filarze. W minionych latach wyrządziłeś Górze bardzo wiele szkód, ale stałeś też nieraz u naszego boku i walczyłeś dzielnie z przestępcami, bezklanowymi oraz chciwymi cudzoziemcami. Obaliłeś rządy mojej ciotki Mady, ale teraz jesteś tutaj, gotowy rozmawiać o przyjaźni. Szczerze mówiąc, nie wiem, co o tobie sądzić, czy uważać cię za przyjaciela, czy za wroga.

– Nie chcę być ani jednym, ani drugim, Ato-jen. – Hilo właściwie też nie bardzo wiedział, co sądzić o Ayt Acie. Wydawało się niewiarygodne, że ktoś przez większą część życia przyciągający uwagę mediów mógł pozostawać tajemnicą, gdy chodziło o jego kompetencję. – Prosiłeś mnie o rozmowę o przyszłości naszych krajów. Nie jestem tą przyszłością. Byłem filarem klanu Bez Szczytów przez dwadzieścia siedem lat. Zamierzam wkrótce ustąpić i przekazać władzę bratankowi. Prosiłem go, żeby był dzisiaj z nami i poprowadził spotkanie w imieniu naszego klanu. Dzięki temu nasze rozmowy będą skierowane w przyszłość, a nie w przeszłość.

Ato był wyraźnie zaskoczony tymi słowami, ale spojrzał na Nika z ostrożną, zadowoloną miną.

– Minęło wiele czasu od naszego ostatniego spotkania, Kaul Niko-jen. Obaj przeżyliśmy od tej chwili bardzo wiele. Przykro mi, jeśli w przeszłości wydawałem ci się nieznośnym, aroganckim bufonem. Jak już wspominałem, miałem nadzieję, że będziemy mogli ze sobą współpracować, zamiast podążać za przykładem naszych poprzedników. Wierzę, że to nadal jest możliwe.

Niko poświęcił kilka poprzednich wieczorów na długie konsultacje z ciotką i wujkami, by przygotować się do tego spotkania i dowiedzieć się wszystkiego, co mogło się okazać potrzebne podczas rozmów z Górą. Podszedł bliżej i zajął miejsce obok Hila.

– Nie jestem jeszcze filarem – zaczął. – Muszę dopiero udowodnić, że zasługuję na zaufanie rodziny. Dlatego wujek i ciotka będą mi towarzyszyć,

a ostateczna decyzja należy do nich. Pragnę jednak zapewnić, że nie żywię żadnych uraz do ciebie ani do rodziny Kobenów, nawet z powodu śmierci mojego brata. Mam szczerą nadzieję, że będziemy mogli zakończyć tę długą wojnę.

Wzmianka o Ru zaskoczyła Hila, podobnie jak Ayt Ata. Filar klanu Bez Szczytów Postrzegł falę nagłej niepewności w jego jadeitowej aurze. Shae zerknęła na nich obu. W aurze Nika nic się nie zmieniło. Hilo nie potrafił określić, czy jego nieprzenikniony bratanek mówił szczerze, czy raczej wymienił imię Ru, by zyskać subtelną mentalną przewagę nad Atem i Kobenami, powiedzieć im: „Mógłbym was nienawidzić, ale nie chcę”.

– Poczynając od czasów poprzedzających moje urodziny, kształt mojego życia określała wojna klanów, która kosztowała życie mojego ojca – kontynuował Niko. – To jedno nas łączy, Ato-jen. Nasze życie zdefiniowała śmierć mężczyzn, których nie mieliśmy okazji poznać. Być może uda się nam uwolnić od tego dziedzictwa.

Ayt Ato przyjrzał się Nikowi z ostrożnym, lecz pełnym optymizmu szacunkiem.

– Mam taką nadzieję, Kaul-jen.

Szóstka zielonych kości usiadła razem przy stole. W tej samej chwili Sando Kin zauważył, że coś nie jest w porządku, i pochylił się w stronę Ata.

– Gdzie jest róg klanu Bez Szczytów? – zapytał.

– Poprosiłem Lott Jina, żeby ustąpił miejsca Nikowi – wyjaśnił Hilo. – W przeciwnym razie nasz klan miałby przy stole przewagę liczebną. Jako były róg mogę sam reprezentować militarną stronę klanu.

Nic w tych słowach nie było kłamstwem. Nawet zielone kości władające Postrzeganiem lepiej od Kobenów nie wykryłyby niczego podejrzanego.

Hilo zaczekał, aż ich uwaga skieruje się w inną stronę, po czym sięgnął do kieszeni i nacisnął guzik, by wysłać przygotowaną wcześniej wiadomość.

* * *

Lott Jin siedział na miejscu dla pasażera z przodu czarnego zt bravo, zaparkowanego na Błoniach, obserwując przez lornetkę o dalekim zasięgu kamienicę na samym końcu ulicy. Strzegły jej dwie zielone kości, okrążające budynek ze znudzonymi minami. Lott kazał obserwować kamienicę bez chwili przerwy. Trzymał własne zielone kości poza zasięgiem Postrzegania i polegał na nienoszących jadeitu białych szczurach, które podchodziły bliżej, by dokładniej przyjrzeć się sytuacji. Wczoraj wieczorem Ayt zjadła kolację ze swym dawnym prognostykiem Iwo Kalundem w pobliskiej restauracji należącej do Góry. Potem

wróciła do kamienicy i nikt dzisiaj nie widział, żeby z niej wychodziła. Według oceny Lotta w środku było dwóch kolejnych strażników, ale to wszystko. W końcu to było terytorium Góry i ludzie Ayt nie mieli wielkich powodów do obaw. Lott i Vin siedzieli sami w nieprzyciągającym uwagi zt bravo (czerwona lumezza ft scorpion będąca własnością rogu byłaby stanowczo zbyt łatwa do rozpoznania), a Vin z łatwością mógł Postrzec patrole, zanim patrole Postrzegą ich.

Pager Lotta odezwał się nagle. Róg spojrział na niego. To był sygnał, na który czekał. Krótki kod numeryczny uzgodniony z filarem oznaczał, że Hilo, Shae i Niko są już w budynku KSJ z Ayt Atem oraz jego ludźmi i może przystąpić do działania.

Zadzwoił przez komórkę. Hami Yasu natychmiast odebrał połączenie.

– Już czas – oznajmił Lott.

– Będę za pięć minut – odpowiedział pięść.

Dwa samochody wypełnione najlepszymi wojownikami zielonej kości w klanie Bez Szczytów czekały na parkingu tuż za granicą dzielnicy w Starym Mieście. Gdy tylko się zjawią, zaatakują kamienicę ze wszystkich stron, zabiją Ayt Madę i jej strażników, a potem wrócą na terytorium swojego klanu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, uda się im zaskoczyć Ayt i akcja zajmie im najwyżej kilka minut.

Lott dotknął schowanego w pochwie guan dao, leżącego na jego kolanach. Z pozoru zadanie nie było trudne. Czterech strażników z Góry plus Ayt Mada przeciwko dziesięciu najzbieleńszym wojownikom klanu Bez Szczytów. Ayt Mada nosiła najwięcej jadeitu ze wszystkich kobiet na Kekonie, ale miała już sześćdziesiąt parę lat. Zieleń nie powstrzymywała starzenia i nie było ważne, ile jej ktoś miał, jeśli brakowało mu fizycznej wytrzymałości oraz refleksu, by zrobić z niej użytek, zwłaszcza w starciu z mężczyznami młodszymi o czterdzieści lat. Mimo to Lott się niepokoił. Ayt przeżyła już kilka zamachów na swoje życie. Pokonała w pojedynku Kaul Shae. Wbito jej nóż w szyję i wyskoczyła przez okno. Była jak postać z legendy, której nie sposób zabić.

Inne zielone kości z Góry mogą się zorientować i pośpieszyć jej z pomocą. Albo przeszkodzą im gapie. Niewykluczone też, że w budynku będzie więcej strażników, o których nie wiedzieli. Zaparkowali tak daleko, że nawet Vin nie był w stanie Postrzec, ilu ludzi jest w kamienicy. Lott odmówił w myślach modlitwę do bogów. Z natury nie lubił ryzyka. Wiedział, że nie jest szczególnie utalentowany. Zdobył pozycję rogu dzięki szczęściu, ciężkiej pracy i temu, że zawsze można było na nim polegać i nikt nie miał powodu, by wątpić, że potrafi wykonać zleczone zadania. A teraz filar mu zaufał, powierzył tę ostatnią misję.

Vin włączył silnik. Po minucie obok nich przemknęły dwa SUV-y victor stx.

– To oni, ruszajmy – rzucił Lott.

Vin nacisnął pedał gazu. Błyskawicznie pokonali odległość kwartału dzielącą ich od kamienicy i zatrzymali się z piskiem za pozostałymi pojazdami. Lott otworzył drzwi i wypadł na zewnątrz.

Dwaj strażnicy chodzący wokół budynku Postrzegli atak i rzucili się, by bronić wejścia. Wyciągnęli ankevy, ale napastnicy mieli przygniatającą przewagę ognia. Strzelby wycelowane zza otwartych okien pierwszego SUV-a zasypały ich gradem pocisków. Obie zielone kości z Góry rzuciły Odbijanie i śrut uderzył w okna budynku, krusząc siding i rozbijając szyby. Stał jednego ze strażników albo okazała się za słaba, albo się z nią spóźnił. Oberwał w kolana i padł z krzykiem na ziemię, trzymając się za nogi.

W krótkiej przerwie, która nastąpiła po pierwszej salwie, zielone kości z klanu Bez Szczytów wypadły z samochodów, uzbrojone w pistolety i guan dao bądź karambity. Natychmiast rzuciły się na strażników. Suyo i Hami wpakowali leżącemu na trawie mężczyźnie kilka pocisków z bliska. Podskakiwał gwałtownie, jak uderzany młotem, aż wreszcie jego Stał ustąpiła pod naporem. Juen Din pomknął ku drugiemu przeciwnikowi, pomagając sobie Lekkością. Jego guan dao uderzyło z góry. Strażnik uniósł broń, próbując sparować śmiertelny cios. Juen Ritto wykorzystał lukę i z błyskawiczną Siłą w mgnieniu oka wypruł mu wnętrzności.

Lott i Vin zdążyli już ominąć walczących na trawniku ludzi. Wystrzegając się pułapek, Vin rozwalił zamek drzwi wejściowych pociskami ze strzelby, a Lott Odbił drzwi do środka. Obaj otoczyli się Stałą, ale drzwi zawisły na zawiasach, odsłaniając pusty korytarz. Nie było żadnych rozciągniętych nisko nad podłogą drutów. Nic nie eksplodowało. Lott był już gotowy wpaść do środka.

– Zaczekaj! – powstrzymał go Vin.

Zaniepokojony róg odwrócił się w stronę pierwszej pięci. Vin postukał się palcem w skroń i wskazał dom.

– Postrzegasz to? Tam nie ma nikogo!

Lott zrobił ostrożnie krok naprzód, ściskając w dłoni noże do rzucania, i rozciągnął Postrzeganie najdalej, jak tylko mógł. Vin miał rację. Nie wyczuwał wewnątrz ani jednej jadeitowej aury.

– To niemożliwe! – zawołał. – Wczoraj widzieliśmy, jak Ayt wchodziła do środka, i obserwowaliśmy budynek przez cały czas. Nikt nie wchodził ani nie wychodził.

Nie sposób było wątpić w Postrzeganie Vina, ale i tak przeszukali cały dom. Był pusty. Znaleźli ślady niedawnego pobytu Ayt Mady – naczynia w kuchni, jedzenie w lodówce, ubrania w sypialni, ale nikogo tu nie było. Tylne drzwi nadal pozostawały zamknięte. Zielone kości z klanu Bez Szczytów okrążyły

budynek i były pewne, że nikt nie uciekł przez okna. Ayt i jej strażnicy zniknęli. Wypełniony wściekłym niedowierzaniem Lott wrócił na trawnik przy wejściu i przykucnął przy leżącym na ziemi mężczyźnie z wyprutymi wnętrznościami. Jeszcze żył, ale nie miało to potrwać długo.

– Ayt tu była – stwierdził róg. – Jak uciekła?

Strażnik nie odpowiadał. Jego twarz pobladła i zalewał ją pot. Gapił się w dal. Lott wsparł stopę na jego otwartym brzuchu. Mężczyzna krzyknął. Róg skrzywił się, słysząc ten dźwięk, ale zdarzały się chwile, gdy nie sposób było uniknąć okrucieństwa. Zaczekał, aż umierający mężczyzna popatrzy na niego.

– Suyo jest bardzo biegły w Przenoszeniu – oznajmił, wzywając gestem pięść. – Powiedz mi, jak Ayt Mada zdołała uciec i dokąd się udała, a każę mu natychmiast położyć kres twoim cierpieniom. W przeciwnym razie powiem mu, żeby wrzucił cię do jednego z naszych samochodów i powstrzymał krwawienie tak, żebyś pożył jeszcze kilka godzin.

– Do tunelu... – jęknął mężczyzna. – Nie wiem, dokąd poszła, ale ten dom był kiedyś kryjówką Ruchu Bezklanowa Przyszłość. Tunel jest... pod pomieszczeniem gospodarczym.

– Niech to szlag – wydyszał Lott i wskazał strażnika. – Uratuj go, jeśli możesz, zabij, jeśli nie możesz – rozkazał Sunyowi. Vinowi i połowie pozostałych zielonych kości polecił odnaleźć tunel, którym uciekła Ayt, i podążyć za nią. Druga połowa miała wsiąść do samochodów i pojechać z nim. – Musimy jak najszybciej dotrzeć do gmachu KSJ.

* * *

Ayt Ato pochylił się ku swemu prognostykowi, żeby się z nim naradzić, po czym znowu zwrócił się w stronę stołu.

– Jesteśmy gotowi poprzeć pomysł uznania Eumanu za strefę neutralną dla klanów i zgadzamy się, że nie powinno się tam wydobywać więcej jadeitu, czy to z dna morskiego, czy na lądzie. Należy tam utworzyć park narodowy, by uchronić wyspę przed dalszą eksploatacją. Jak jednak zamierzacie poradzić sobie z cudzoziemcami?

Niko naradzał się chwilę z Shae, zanim odpowiedział.

– Sądząc po tym, co nam wiadomo o trwającym dochodzeniu w sprawie prezesa Anorco, wydaje się prawdopodobne, że koncern zostanie podzielony i sprzedany. Wśród jego zasobów znajduje się wielki zapas jadeitu. Z pewnością możemy się zgodzić, że chcemy, by ten jadeit wrócił na Kekon, zamiast wpaść w ręce innych zagranicznych firm albo organizacji przestępczych. – Ato i jego ludzie pokiwali głowami. – Prognostyczka ma propozycję.

Hilo przed spotkaniem poradził bratankowi: „Jeśli nie będziesz czegoś pewien, oddaj głos ciotce. Ona powie coś mądrego, a ty będziesz miał czas poobserwować ich i przemyśleć sprawę”.

Shae pochyliła się ku rozmówcom.

– Jeśli Góra i klan Bez Szczytów będą ze sobą rywalizowały o jadeit Anorco, dojdzie do licytacji, która może zakończyć się gwałtownie i doprowadzić do wznowienia konfliktu. Proponuję, żeby oba klany założyły spółkę *joint venture* pod patronatem Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego, żeby przejąć zasoby Anorco i podzielić je na takich samych zasadach jak jadeit wydobywany w kopalniach między klanami zielonych kości, a także szkołami, świątyniami, lekarzami i skarbem państwa.

Hilowi trudno było skupić uwagę na negocjacjach, zapewne najważniejszych i zakrojonych na najszerzą skalę, jakie kiedykolwiek prowadzono między Górą a klanem Bez Szczytów. Spojrzał ukradkiem na zegarek. W tej chwili róg prowadził oddział złożony z najsilniejszych pięści w klanie do ataku na rezydencję Ayt Mady.

– To brzmi rozsądnie – przyznał Ayt Ato. – Ale czy możemy się spodziewać kłopotów ze strony espeńskiego rządu po letnim incydencie z żołnierzami MRG? – Ato zerknął na Hila. – Nie zrozum mnie źle, Hilo-jen. Podziwiam cię za to, co wtedy zrobiłeś. To było znakomite publiczne oświadczenie. W telewizji wypadło świetnie. Żałuję, że sam na to nie wpadłem, choć oczywiście wtedy i tak nie mógłbym nic zrobić.

Hilo ponownie skupił się na rozmowie.

– Nie przejmuj się MRG – uspokoił Ata. – A jeśli chodzi o espeński rząd, bardzo chętnie zgodzi się udawać, że nic się nie wydarzyło.

– RE już opóźnia się z wykonaniem zobowiązań dotyczących redukcji wojsk stacjonujących na naszym terenie, a protesty i śmierć cywilów raczej nie poprawiają sytuacji Espeńczyków. Jeśli klany zachowają wspólny front, będziemy mogli wywrzeć na nich większy nacisk.

– Mamy wspólny interes w przeciwstawianiu się chciwym cudzoziemcom, ale musimy przedyskutować sprawę zagranicznych rynków naszych klanów – stwierdził Ayt Ato.

Telefon Hila zawibrował. Filar zaczekał na moment, aż będzie miał okazję dyskretnie wyjąć go z kieszeni. Otworzył klapkę i spojrzał na zielony ekranik. Ujrzał na nim dwie linijki tekstu napisanego przez Lott Jina: „Uciekła. Zanim przybyliśmy”.

Zamknął klapkę i schował telefon do kieszeni. Powoli oparł się wygodnie na krześle i zaczął oddychać miarowo, żeby się uspokoić. Nie chciał okazywać wściekłości i ekscytacji. Niko skupił się na rozmowie z Kobenami, jak należało,

i nie zauważył żadnej zmiany w aurze wujka. Zresztą jego Postrzeżenie zawsze było co najwyżej przeciętne. Natomiast Shae skierowała na niego podejrzliwe, pytające spojrzenie. Nawet bez jadeitowych zmysłów jego siostra zauważyła, że coś jest nie w porządku.

Głowę Hila wypełnił głuchy ryk. *Jebać bogów.* Ayt Mada zawsze wyprzedzała go o krok. Nawet teraz – zhańbiona w oczach opinii publicznej, niepopularna, stara i pozbawiona władzy – nie była jeszcze pokonana. Nie była martwa. Ta suka nie zamierzała dać za wygraną. Nadal próbowała znaleźć jakiś sposób, który pozwoli jej zdobyć to, czego pragnie, i zniszczyć tych, którzy stali jej na drodze. Gdziekolwiek mogła teraz być, pozostawała zagrożeniem dla klanu Bez Szczytów i dla rodziny Kaulów.

Niko i Ato po konsultacji ze swoimi prognostykami zgodzili się, że klany nie będą już nawzajem blokować swej ekspansji za granicą. Klan Bez Szczytów pozwoli Górze otwierać interesy w Espenii i nie będzie atakował jej ludzi ani operacji, czy to bezpośrednio, czy wykorzystując sojuszników. Góra odwdzięczy się tym samym, pozwalając klanowi Bez Szczytów działać w Szotarze, Ygutanie i na Uwiwach, gdzie od dziesięcioleci miała dominującą pozycję.

Wreszcie dotarli do najważniejszego punktu negocjacji – przysięgi przyjaźni między rodzinami Kobenów i Kaulów. Ponieważ to Kobenowie prosili o spotkanie, powinni pierwsi wystąpić z taką propozycją. Hilo wyczuwał jednak, że Ato nadal nie ma pewności. Pragnął dodatkowych zapewnień od Kaulów, którym nie miał powodu ufać.

Filar Góry odchrząknął.

– Nie masz dziewczyny, którą zamierzałbyś poślubić, prawda, Kaul Niko-
jen?

To pytanie zaskoczyło Hila.

– Nie mam – odpowiedział Niko bez chwili zastanowienia. – Jak dotąd.

– Ponieważ nasze rodziny pragną zostać przyjaciółmi, mam nadzieję, że nie obraziłbyś się, gdybym przedstawił ci kilka swych młodszych kuzynek, mniej więcej w twoim wieku. – Zerknął niepewnie na Hila. – Oczywiście jeśli zgodzi się twój wujek.

Hilo przymrużył powieki.

– Wiem, że Kobenowie są tradycyjalistyczną rodziną. To zasługuje na podziw, ale serce mężczyzny należy tylko do niego.

– Niemniej chętnie poznam twoje kuzynki – zapewnił Niko bez chwili zastanowienia i bez uśmiechu. – Wujek martwi się o moje szczęście, ale moje serce jest bardziej rozsądne i mniej wybredne niż u większości mężczyzn.

– Cieszę się, że jesteś gotowy rozważyć tę możliwość – odparł Ato. – W końcu słowa, pieniądze, a nawet jadeit nie wiążą ludzi ze sobą tak silnie jak

rodzina. To nie zmieniło się nawet we współczesnych czasach, nie sądzisz?

Ato wstał. Jego róg i prognostyk zrobili to samo. Młody filar ceremonialnym gestem położył na stole swe guan dao. Ukryta w zdobnej pochwie broń miała klingę o długości ponad osiemdziesięciu centymetrów, a w czarną rękojeść wprawiono szeregi maleńkich jadeitów.

– Kaul-jenowie... – zaczął Ato, zwracając się uprzejmie do nich wszystkich – jako filar Góry przysięgam wam przyjaźń, honor mojej rodziny i siłę mojego klanu. Oferuję wam służbę tej klingi.

Troje Kaulów również wstało. Niko położył na stole przed Ayt Atem osiemdziesięciopięciocentymetrowe Da Tanori z klingą długości pięćdziesięciu pięciu centymetrów z hartowanej białej stali i z pięcioma jadeitami wprawionymi w rękojeść. Należało kiedyś do jego ojca.

„Lan, czy to widzisz?” – zadał sobie pytanie Hilo, czując silny ucisk w piersi. Tego właśnie pragnął jego brat, przed wielu laty. Klan Bez Szczytów tak potężny, że może się oprzeć wszystkim wrogom. Prawdziwy pokój między równymi sobie klanami.

Nieprawda. Coś tu było nie w porządku. Hilo wyczuwał jakieś widmowe migotanie na granicy swego postrzegania. Być może jednak powodowała to tylko straszliwa świadomość, że Ayt Mada znowu go przechytrzyła, bez względu na to, czego dokonał, wszystkie poświęcenia jego rodziny, całą siłę, spryt i determinację, jaką wykazał się jego klan w ciągu minionych lat. Shae coraz częściej na niego zerkiała. Mimo że ze wszystkich sił starał się zachować spokój, pozostałe zielone kości z pewnością Postrzegały niepokój w jego aurze.

– Wujku? – zapytał Niko, spoglądając na niego.

– To dla mnie trudna, pełna emocji chwila – odpowiedział Hilo z wymuszonym uśmiechem. – Mam nadzieję, że wszyscy to rozumiecie. Przez całe życie walczyłem z klanem Góra i trudno jest mi uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, nawet jeśli w pełni się z tym zgadzam. Cieszę się, że pozwoliłem Nikowi mówić.

Jego szczere wyjaśnienia zadowoliły wszystkich oprócz Shae, która przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, nim znowu przeniosła uwagę na sprawy bieżące. Hilo poszerzył swe Postrzeganie na cały budynek, sięgając aż na ulicę. Oba klany ustawiły zielone kości na straży przed gmachem, ale nie działo się tam nic podejrzanego. Hilo przyciągnął Postrzeganie bliżej i skupił je kolejno na wszystkich obecnych w pokoju.

– Jako syn filaru klanu Bez Szczytów przysięgam wam przyjaźń, honor mojej rodziny i siłę mojego klanu. Oferuję wam służbę tej klingi – oznajmił Niko, powtarzając echem słowa Ayt Ata.

Przysięga przyjaźni, wsparta wymianą guan dao, nie była czymś, co zielone kości traktowały lekko. Oznaczała, że nie mogą prowadzić ze sobą wojny, przynajmniej dopóki nie zawiodą wszystkie inne sposoby rozwiązania konfliktu i obaj nie wypowiedzą oficjalnie przysięgi, zwracając sobie swe guan dao. Użycie broni wojownika przeciwko niemu samemu i wykorzystanie jego jadeitu, by go powalić, było czymś niewyobrażalnym, równającym się kradzieży. Od tej chwili każdy, kto zaatakuje Kobenów, stanie się wrogiem Kaulów i vice versa. Gdy jeden z klanów poprosi drugi o pomoc, otrzyma ją.

Na krótką metę implikacje tej obietnicy wyglądały tak, że klan Bez Szczytów zobowiązuje się pomóc Kobenom, gdyby lojalni zwolennicy Ayt Mady – albo ktokolwiek inny – podnieśli bunt przeciwko ich władzy, oraz uznaje ich rodzinę za prawowitych władców Góry. Tego właśnie potrzebował w tej chwili Ato bardziej niż czegokolwiek innego, nawet jeśli musiał w tym celu pokłonić się Kaulom.

Nowy filar Góry zademonstrował swój promienny uśmiech gwiazdy filmowej, ale w jego oczach nie było wesołości.

– Nie jestem taki jak moja ciotka – oznajmił. – Bez wstydu przyznaję, że nie wierzę, by jeden klan koniecznie musiał pokonać drugi, i obiecuję, że zrobię wszystko, by położyć kres dawnym urazom. Przysięgam na oczach nieba i na jadeit.

Niko skinął głową.

– Kiedy byłem małym chłopcem, często powtarzano mi, że muszę ci dorównać – oznajmił. – Teraz cieszę się, że dałeś mi dobry powód, by tego pragnąć. Dopiero przygotowuję się do zostania filarem, więc mogę przemawiać w imieniu klanu wyłącznie z błogosławieństwem wujka.

Spojrzał na Hila.

Filar klanu Bez Szczytów przyjrzał się uważnie Atowi i skinął głową.

– Na oczach nieba i na jadeit – powtórzył, a potem wyciągnął pistolet i wystrzelił dwa razy.

* * *

Kule przeleciały nad ramieniem Ayt Ata i trafiły w stojącego za nim pokutnika. Mózg mężczyzny rozprysnął się na ścianie. Fullerton, który zaczął unosić do wysokości pasa pod obszerną zieloną szatą, upadł ze stukiem na podłogę. Wszyscy obecni w pokoju odwrócili się zszokowani. Shae zauważyła w oczach brata złowrogi błysk triumfu. Jego twarz wykrzywiła się w gwałtownym grymasie zrozumienia.

Pozostali pokutnicy otworzyli ogień.

Sando Kin skoczył na kuzyna i pociągnął go pod stół. Kule przeznaczone dla Ata wbiły się w plecy jego rogu. Hilo wystrzelił jeszcze raz, trafiając drugiego pokutnika w pierś, a potem zaczął wznosić Odbijanie, gdy broń pozostałych skierowała się ku niemu. Gdy jego jadeitowa energia wzbierała, w mgnieniu oka uświadomił sobie, że odbite pociski trafią Nika i Shae. Odwrócił się gwałtownie i osłonił Odbijaniem pierś bratanka z siłą tak wielką, że zbił Nika z nóg. Kule przeleciały nad nim i uderzyły w bok Hila.

Shae widziała, jak jej brat pada na podłogę, jakby w zwolnionym tempie. Potem nie pamiętała nic więcej. Nie przypominała sobie, jak skryła się pod stołem. Nie zachowała żadnych wspomnień chwili, gdy zielone kości pełniące straż przed budynkiem wpadły do pokoju z bronią w rękach. Koben Opon krzyknął do nich, rozkazując załatwić dwóch pozostałych pokutników, którzy wcale nie byli pokutnikami. W jej pamięci zapisało się tylko, jak Hilo szarpnął się nagle, pistolet wypadł mu z rąk, a potem uderzył barkami o ścianę i osunął się na podłogę.

Następnym dźwiękiem, który dotarł do jej świadomości, był ochrypły krzyk, który rozległ się pod stołem, tuż obok niej. Ayt Ato wygramolił się spod bezwładnego ciała kuzyna i obejmował je, zawodząc:

– Nie, nie, nie, nie...

Shae podeszła do Hila na rękach i kolanach. Leżał pod ścianą, z wyciągniętymi nogami, jakby odpoczywał po ciężkiej pracy. Wykrzywił twarz w grymasie bólu. Patrzyła z przerażeniem na krew, która wyciekała na jego koszulę i spodnie, po czym zbierała się wokół jej kolan na twardym parkiecie.

– Hilo.

Nie mogła powiedzieć nic więcej.

Niko podczołgał się do nich, spojrział na wujka i zapadł w całkowity, przerażający bezruch. Shae nagle zauważyła nową twarz, która wyłoniła się spod maski zimnego, pełnego determinacji młodego mężczyzny, jakim stał się jej bratanek – oblicze małego dziecka spotkanego na lotnisku, które chodziło za nią po całym domu, łapiąc ją za nogi, pełne dezorientacji i poczucia utraty.

– Niko.

Nie odpowiedział jej.

– Niko!

Spojrzał na nią. Strach całkowicie odebrał wyraz jego oczom.

– Pamiętasz coś z lekcji medycznego Przenoszenia? Udzielania pierwszej pomocy? Spróbuj powstrzymać krwawienie.

Złapała torebkę i drżącymi dłońmi zaczęła szukać komórki. Gdzie ona była? Bogowie, proszę, proszę, proszę. Jej myśli przerodziły się w bezrozumną, błagalną litanie. Znalazła telefon i zaczęła wpisywać numer pogotowia.

Hilo pokręcił głową i złapał ją za koszulę, zaciskając dłonie na tkaninie.

– Zawieź mnie do domu, Shae – wychrypiał z wysiłkiem.

– Musimy cię odwieźć do szpitala.

– Nie chcę umrzeć w jebanym szpitalu – sprzeciwił się, ponownie kręcąc głową.

– Nie umrzesz – zapewniła.

– Shae – odpowiedział łagodnym tonem. – Nie czuję nóg. Chcę do domu. Chcę zobaczyć się z Wen. Shae, proszę.

Rozplakała się. Nie było żadnego ostrzeżenia, po prostu oczy zaszyły jej nagle mgłą i poczuła dławiący ucisk w klatce piersiowej. Hilo uściśnął ją mocniej, z większą niecierpliwością.

– Jesteś moją prognostyczką czy nie?

Nagle otoczyły ich zielone kości z klanu Bez Szczytów. Był wśród nich Lott Jin. Skąd się wziął? Jak się tu dostał? Shae nie miała pojęcia. Róg spojrzał na nich z poszarzałą twarzą. Potem odepchnął Nika na bok.

– Suyo! – zawołał.

Jeden z pięści podbiegł do niego, opadł na kolana i zaczął Przenosić. Lott i kilka innych zielonych kości próbowało uciskać rany.

Hilo krzyczał z bólu i frustracji.

– Zawieźcie mnie do domu, do cholery! To pierdolony rozkaz pierdolonego filaru!

– Zróbcie, co mówi – wyszeptwała. – Zróbcie, co mówi! – powtórzyła krzykiem.

Kilka pięści podźwignęło jej brata i wyniosło z budynku. Zwisał ciężko między nimi, wlokąc za sobą nogi. Ciągnęła się za nim strużka krwi. Zanieśli go do zaparkowanego pod kamienicą zt bravo i ułożyli na tylnym siedzeniu. Oczy miał zamknięte i oddychał chrapliwie. Niko usiadł obok niego i położył sobie jego głowę i ramiona na kolanach. Shae usiadła z przodu. Trzymała się drzwi samochodu i wciskała głowę w szybę, jakby pojazd był tratwą ratunkową.

Lott pośpiesznie zawiózł ich do domu. Jedynym, co Shae zapamiętała z drogi, był głos Nika, tak cichy, że ledwie go słyszała.

– Tato, nie opuszczaj mnie – błagał.

Hilo nie odpowiadał.

Kiedy samochód zatrzymał się przed głównym budynkiem i drzwi się otworzyły, Anden był już na miejscu. Ktoś musiał do niego zadzwonić i poinformować, co się wydarzyło. Choć go ostrzeżono, zachwiał się gwałtownie na widok kuzyna, jakby uderzono go w twarz. Oparł się o drzwi samochodu, żeby odzyskać równowagę, a potem zabrał się do roboty. Nim zdążono wynieść Hila z pojazdu, zaczął Przenosić ze wszystkich sił. Zmuszał krew do krzepnięcia,

podnosił temperaturę ciała filaru wprowadzał energię do jego serca i płuc. Hilo był już ledwie przytomny. Oczy miał zamknięte, a twarz pobladła.

Wen podbiegła do drzwi wejściowych, zobaczyła męża i padła na ziemię, wyjąc z rozpacz jak zwierzę.

– Nie jestem cholernym chirurgiem! – zawołał Anden do Shae.

– Czy to by cokolwiek zmieniło? – zapytała z odrętwieniem. – Zrób to, czego od ciebie chce.

Hila położono na łóżku. Anden pracował gorączkowo, starając się utrzymać go przy życiu i powstrzymać ból. Od czasu do czasu wydawał krzykiem rozkazy i inni śpieszyli mu z pomocą albo przynosili coś, czego potrzebował. Przez cały ten czas wieści roznosiły się coraz szerzej i członkowie klanu Bez Szczytów zaczęli się zbierać w milczeniu przed bramą posiadłości Kaulów. Pięści i palce, szczęściodawcy i latarnicy. Zjeżdżały się samochody, blokując drogę dojazdową. Wznoszono prowizoryczne bogowiercze kaplice, nad dziesiątkami czarek z kadzidłem unosił się dym.

Lott Jin oddalił się na pewien czas i wrócił z wiadomościami, że całe miasto ogarnął szok. W klanie Góra panował chaos. Ayt Ato żył, ale jego róg zginął, a prognostyk był w stanie krytycznym po postrzale w klatkę piersiową. Czworo pokutników ze Świątyni Boskiego Powrotu znaleziono związanych i zakneblowanych na klatce schodowej piętrowego parkingu nieopodal gmachu KSJ. Czterej zamachowcy, którzy zabrali im szaty i zajęli ich miejsce, okazali się byłymi żołnierzami MRG, którzy niedawno stracili pracę. Jeden z najemników pożył wystarczająco długo, by wyznać, że wynajął ich Iwe Kalundo, obiecując wielką sumę pieniędzy od Ayt Madashi w zamian za zamordowanie wszystkich obecnych w pokoju.

– Powiedziano im, że mają zaczekać, aż obie strony wypowiedzą przysięgę wierności i wymienią guan dao – wyjaśnił Lott. – Najpierw mieli zabić Ayt Ata.

Shae siedziała w kuchni, oplatając się ramionami. Zapadła się w siebie i wpatrywała w pustkę. Ayt Mada wyszeptała imię swego bratanka. Nigdy nie miała zamiaru przekazać mu władzy nad klanem. Okłamała ich wszystkich. Tamtego popołudnia, gdy siedziała naprzeciwko Shae i piła z nią herbatę, kiedy mówiły o poświęceniu i wizji, o położeniu kresu wendetom i o dobru kraju, myślała tylko o wykorzystaniu ostatniej szansy, o tym, że Kaulowie i Kobenowie znajdą się w tym samym pomieszczeniu, by podyskutować o tym, jak będzie wyglądała przyszłość bez niej. Kiedy wszyscy zginą, zamierzała ogłosić, że Kobenowie zdradzili klan, przysięgając przyjaźń Kaulom. Potem zrobiłaby filarem Iwe Kalunda i rządziłaby z za jego pleców.

Telefon w gabinecie zadzwonił i Lott podniósł słuchawkę.

– Mają ją – oznajmił po zakończeniu rozmowy.

Vin i jego ludzie podążyli tunelem za Ayt i dotarli do podziemi janloońskiego metra. Rodzina Kobenów również zaczęła łowy. Wszystkie zielone kości w mieście szukały Ayt Mady, ale ona przed upływem godziny zjawiała się we własnej rezydencji. Weszła przez bramę i skierowała się do swego gabinetu, jakby to był zwyczajny dzień. Tam znaleźli ją ludzie z Góry.

– Mówią, że nie próbowała uciekać ani walczyć – zakończył Lott.

– To zrozumiałe – odparła Shae.

Ayt Mada nigdy nie uciekłyby z Janloonu jak przestępczyni ani nie marnowałyby energii bez celu. Gdy tylko się dowiedziała, że jej bratanek i Kaulowie żyją, poddała się, zdając sobie sprawę, że jej ostatni zdradziecki plan zawiódł.

Dzięki Hilowi, pomyślała Shae. Dzięki temu, że stare tygrysy rozumieją się nawzajem.

Anden zszedł na dół. Oczy miał podkrążone z wyczerpania, a twarz bladą. Wyglądał, jakby nagle postarzał się o kilka dobrych lat.

– Zrobiłem wszystko, co mogłem. Powstrzymałem krwotok, podłączyłem mu kroplówkę i tymczasowo ustabilizowałem temperaturę oraz ciśnienie. Podałem mu też mnóstwo środków przeciwbólowych. – Potarł twarz dłonią, a potem spojrzał na członków rodziny. Miał w oczach łzy. – Wszystko to da mu kilka godzin. Być może dotrwa do rana. Jedna kula przebiła kręgosłup, a inne rozszarpały wnętrzności. Jest przytomny, ale to może nie potrwać długo.

Usiadł na kanapie obok Jirhui i ukrył twarz w dłoniach.

Shae poszła na górę, by zobaczyć brata. Wen i Niko siedzieli po obu stronach jego łóżka. Małe jadeity na jego obojczykach ostro kontrastowały z pobladłą skórą. Kiedy dotknęła barku Hila, omal się nie wzdrygnęła, gdy poczuła szokującą zmianę w jego aurze. Gładka, lśniąca rzeka przerodziła się w słaby strumyczek. Oczy miał jednak otwarte i skupione.

– Pozwólcie mi porozmawiać w cztery oczy z prognostyczką – powiedział do żony i bratanka. – Tylko minutkę.

Gdy Wen i Niko wyszli, Shae przykucnęła przy wezglowiu łóżka. Tysiąc różnych słów przepychało się do jej gardła, zatykając je całkowicie.

– Czy Ato żyje? – zapytał filar.

Skinęła głową i powiedziała mu wszystko, co wiedziała.

– Ayt wyszeptała imiona nas wszystkich. Zrezygnowała i przekazała władzę Kobenom tylko po to, żeby ich zmylić. Żeby zmylić mnie.

Na twarzy Hila pojawił się słaby uśmiezek.

– Ale przegrała. Jest skończona. To był jej ostatni strzał. Zdołała załatwić mnie, ale nie wykończyła nas. To jest najważniejsze. – Obliznął wargi. Jego oczy zachodziły szkłem, ale nadal było w nich światło. Gdy na nią spojrzał, dostrzegła

w nich żądanie. – Shae, musisz pomóc Nikowi. Postarać się, by stał się lepszy, jako filar i jako człowiek. Pomóż mu, tak samo, jak pomogłaś mnie.

– Wiesz, że to zrobię – zapewniła.

Hilo zamknął oczy. Położyła dłoń na jego sercu i wsłuchiwała się w wysilony oddech.

– Czy jest coś, co mam przekazać Lanowi?

Pochyliła nad nim głowę.

– Proszę, nie mów tak, Hilo – wyszeptała. – Nie mogę tego znieść. Nie mogę znieść myśli, że jestem ostatnia.

– Nie jesteś ostatnia.

Z zewnątrz dobiegły jakieś hałasy. Shae w pierwszej chwili nie zorientowała się, że to odgłosy tłumu. Podeszła do okna i odsunęła zasłonę. Lott Jin otworzył bramę, wpuszczając do środka setki zielonych kości z klanu. Wszyscy zebrali się na podjeździe. Zobaczyła całą rodzinę Juenów, Hami Tumę i jego syna Yasu oraz Maik Cama. Widziała też Terun Bina i szczęściodawców ze swojego biura, stojących obok Vina Snajpera i Heja, pierwszej pięści białych szcurów. Zauważyła również swego męża i córkę. Woon obejmował Cię ramieniem. Oboje patrzyli na Lott Jina, stojącego na dachu zaparkowanej przed wejściem duchesse imperia. Kiedy róg uniósł rękę, wszyscy wojownicy klanu krzyknęli gromkim, niosącym się echem chórem:

– Klan jest naszą krwią, a filar jest jego panem!

Tłum został do końca nocy, od czasu do czasu ponownie wyrażając swą lojalność spontanicznym chórem. Wen, Niko i Anden wrócili do pokoju.

– Nie miejcie takich ponurych min – odezwał się Hilo. – Andy wykonał świetną robotę. W ogóle mnie już nie boli.

Rozmawiał z nimi jeszcze przez chwilę, po czym podyktował Shae list do ich matki, nalegając, żeby nie budzili starej, schorowanej kobiety tylko po to, by sprawić jej więcej bólu. Zazartował, że to prawda, że im bardziej zbliżamy się do życia przyszłego, tym silniej w nie wierzymy. Dodał też, że nie może się doczekać, kiedy znowu zobaczy Ru. Przypomniwał im o wszystkich chwilach, gdy nie dawali za wygraną, mimo że sytuacja wydawała się beznadziejna, i o tym, czego dokonali od tego czasu.

– W sumie miałem szczęście.

Zapewnił, że postara się wytrzymać do chwili przybycia Jai, ale w pewnym momencie stracił przytomność. Wen nadal trzymała go za rękę. Reszta rodziny zostawiła ich samych. Shae usiadła obok Andena, wspierając głowę na jego ramieniu i ściskając jego lewą dłoń oraz nadgarstek. Oboje włożyli jadeit, Shae po raz pierwszy od wielu lat, by zatrzymać Hila w swym Postrzeganiu tak długo,

jak będą mogli. Wczesnym rankiem, gdy nad budynkami Janloonu wstawał świt, Shae poczuła, że nieposkromiona aura jej brata zniknęła.

Po kilku godzinach Wen zeszła na dół, od stóp do głów obleczona w biel. Nie odezwała się ani słowem. Poszła do ogrodu, gdzie brała ślub, i usiadła pod drzewem wiśni w sadzie. Żaloba wypełniała całą jej duszę.

ROZDZIAŁ 62

FILAR KEKONU

Pierwsze tygodnie

Gdy do Jai dotarły wieści, że jej ojciec został ranny i nie pożyje długo, wsiadła na motocykl i przez całą noc – równe dziesięć godzin – jechała z maksymalną prędkością autostradą K1. Przybyła za późno. Przy bramie posiadłości przywitali ją jej kuzyn Cam i wujek Anden. Poinformowali ją, że jej ojciec przed dwiema godzinami zmarł z powodu odniesionych ran.

Jaya wpadła do domu, wrzeszcząc z gniewu i żalu. Znalazła Nika w salonie. Siedział z pochyloną głową, pogrążony w poważnej rozmowie z rogiem i prognostyczką.

– Dlaczego nic nie zrobiłeś?! – zawołała. – Natychmiast wezwę dwadzieścia moich Małych Noży! Sami załatwimy Ayt i Iwe Kalunda. Posiekam ich na plasterki!

– Nie zrobisz niczego w tym rodzaju – oznajmił młodszej siostrze Niko. – Sytuacja w Górze i tak już jest zaogniona. Przekonamy się, jak poradzą z tym sobie Kobenowie.

– Masz zamiar czekać beczynnie i zostawić to tym durniom? – zapytała Lotta Jaya.

– Niko-jen jest teraz filarem – przypomniał jej róg. – Decyzja należy do niego.

– Niko wymienił przysięgi przyjaźni z Atem – poinformowała ją Shae. – Dlatego nic nie zrobimy, dopóki nie usłyszymy wiadomości od przywódców Góry. Ayt Mada zamierzała zamordować nas wszystkich, ale najstraszliwszą zbrodnię popełniła przeciwko bratankowi, którego mianowała swym dziedzicem. Jeśli będziemy czegoś od ciebie potrzebowali, róg wyda ci rozkazy.

Gdy Jaya otworzyła usta, by dalej się spierać, Shae rzekła jej twardo:

– Jesteś pięścią pierwszej rangi. Okaż szacunek.

Dziewczyna zwróciła się w jej stronę. Z jej oczu płynęły łzy.

– Mój tata nie żyje i to twoja wina! Ty go przekonałaś, żeby poszedł na to spotkanie. Mogłaś zabić Ayt wiele lat temu, kiedy miałaś okazję. Zawszę lubiłaś tę złą wiedźmę, ale swojemu bratu nigdy nie okazywałaś miłości, ty suko o zimnym sercu.

Shae spoliczkowała ją mocno, najpierw w jeden policzek, a potem w drugi. Jaya wybiegła z domu i nie widziano jej przez kilka dni. Róg wysłał za nią dwie zielone kości, by się upewnić, że nie zrobi nic lekkomyślnego, ale niepotrzebnie się martwił. Jej ludzie pozostali na południu, a bez nich nie mogła wiele zdziałać w Janloonie.

Niemniej pełna żądzy zemsty Jaya dotarła do rezydencji Iwe Kalunda w Wiśniowym Gaju. Przekonała się jednak, że już otoczyli ją członkowie Góry, domagający się egzekucji byłego prognostyka. Zgodnie z przewidywaniami Shae konsekwencje zamachu dawały o sobie znać. Reakcja przeciwko dwojgu winowajcom była zaskakująco szybka i zdecydowana. Opinia publiczna w znacznie mniejszym stopniu niż trzydzieści lat temu była skłonna tolerować fakt, że zielone kości mordują się nawzajem w walce o władzę. Kiedyś przemoc, jakiej dopuszczała się Ayt, uważano za akceptowalny sposób wykazywania przewagi nad rywalami, ale obecnie sądzono, że jest starą despotką, rozpaczliwie trzymającą się władzy. Wielu członków Góry miało pozytywną opinię o Ayt Madzie nawet po jej rezygnacji, ale za zbrodnię skandalicznego pogwałcenia roli mających strzec pokoju bogowierczych pokutników potępili ją wszyscy poza najbardziej zagorzałymi zwolennikami.

Najwyraźniej nikt nie wiedział, gdzie Kobenowie przetrzymują Ayt Madę, ale pod domem Iwe Kalunda Jaya przyglądała się z dziesiątkami gapiów, jak zjawily się pięści z Góry, domagając się, by zdrajca oddał się w ich ręce.

Iwe poprosił o trzy godziny, żeby przygotować się na śmierć. Były prognostyk napisał list. Tłumaczył w nim, że pragnął uratować klan, który kochał, przed niekompetentnym przywództwem, które doprowadziłoby do jego zniszczenia przez wrogów. Podziękował swej dawnej filar, Ayt Madashi, przeprosił rodzinę i wydał polecenia, komu powinno się przekazać jego jadeit. Następnie ubrał się w najlepszy garnitur, wyszedł na dziedziniec i strzelił sobie w głowę.

* * *

W Janloonie i na całym Kekonie palono lampki przewodniki duchów dla Kaul Hiloshudona, człowieka, którego odejście było równie dramatyczne jak całe jego życie. Publiczne czuwanie w telewizji oraz pogrzeb przyciągnęły ogromną liczbę ludzi. Najwyraźniej wszystkie zielone kości w kraju – od pogrążonych w żałobie przyjaciół aż po triumfujących wrogów – miały do opowiedzenia jakąś historię o swych osobistych kontaktach z Kaul Hilem – o jego czynach z lat młodości, sprycie, jakim wykazał się jako róg, i determinacji, z jaką pełnił funkcję filaru, o jego sławnej hojności i strachu, który budził we wrogach.

Cały dom Kaulów udekorowano bielą. Niekończący się strumień lojalnych członków klanu zostawiał pod bramą kadzidło, owoce i kwiaty. W dzień pogrzebu Anden szedł blisko czoła długiego, wijącego się niczym wąż konduktu zmierzającego do Parku Wdowy. Czuł się tak, jakby śnił na jawie, niesiony prądem niczym ryba w wartkiej rzece zbiorowego smutku. Nie padało, ale niebo przesłaniały fioletowe chmury. Pogrzebowe gongi i bębny wypełniały swym echem wyblakłe ulice miasta.

Andenowi nasunęła się myśl, że wszyscy otaczający go ludzie mają wrażenie, że znali Hila w jakiś sposób, choćby nawet pobieżnie. Gdy patrzył na morze twarzy, czuł dziwną, pozbawioną wyrozumiałości niechęć do nich wszystkich. Zazdrościł im smutku, jakby jego zasoby były ograniczone, a oni nie mieli do niego prawa. Nie byli braćmi Hila. Nie znali go naprawdę. Nie Przenosili swej energii do jego ciała w ostatnich godzinach jego życia.

Szybko wyszedł ze stypy i znalazł Nika samego w gabinecie – pokoju, który kiedyś należał do Lana, potem do Hila, a teraz do niego.

– Niko... – zaczął, ale powstrzymał się nagle. Jego młody kuzyn, którego kiedyś kołysał na huśtawce i zabierał na mecze piłki sztafetowej, który leżał obok niego na kanapie i podsuwał mu kolejne książeczki, prosząc o ich przeczytanie, był teraz filarem klanu. Anden dotknął czoła złączonymi dłońmi i pochylił się, oddając honory w przepisowy sposób. – Chciałeś ze mną porozmawiać, Kaul-jen?

Niko uniósł wzrok. Siedział na fotelu, wspierając łokcie na kolanach, jakby przyglądał się dywanowi.

– Nie rób tego – poprosił z przerażoną miną. – Gdy jesteśmy wśród innych, to w porządku, ale kiedy jesteśmy sami, traktuj mnie tak samo jak zawsze. Proszę, wujku Andenie. Wystarczająco trudno jest mi siedzieć w tym pokoju.

Jego głos brzmiał spokojnie, lecz przepelniał go niewysłowiony smutek, podszyty starannie skrywaną paniką.

– Wybacz, Niko, nie zastanowiłem się, co robię.

Anden usiadł obok kuzyna i rozejrzał się po gabinecie – zagracone biurko, telewizor z płaskim ekranem, zdjęcia rodzinne, kilka wiszących na ścianie guan dao, mini lodówka, rysunki dzieci sprzed wielu lat, które Hilo kazał oprawić i nigdy ich nie zdjął.

– Brak mi go – wyszeptał Niko. – Kochałem go, choć czasami myślałem, że nienawidzę. W ogóle nie jestem do niego podobny i nie chciałbym, żeby to się zmieniło. Ale mimo to pragnę jedynie mu dorównać.

Anden rozumiał, co czuje Niko, choć wiedział, że jego własna żałoba nie zaczęła się jeszcze na dobre. Zamiast odciąć się od wszystkiego, rzucił się w wir zadań. Pomagał Shae załatwić sprawy związane z pogrzebem, prowadził kampanię wyborczą, odpowiadał na pytania mediów i przyjmował kondolencje od wszystkich członków klanu, a także jego lenników i zagranicznych biur. Umysł nie może się szybko przystosować do tak fundamentalnej zmiany rzeczywistości. To by go zniszczyło. Gdyby księżyc nagle zniknął z nieba, ludzie nie uwierzyliby w to. Myśleliby, że to złudzenie optyczne albo że przesłoniły go chmury. Czuł, że minie wiele czasu, nim pogodzi się z prawdą.

Niko spojrział na niego.

– Czy jest jakaś szansa, bym cię przekonał, byś nie kandydował do Rady Książęcej? Jeśli tak... chciałbym cię prosić, abyś został moim filarowym. – Na jego twarzy malowała się niemal dziecinna nadzieja. – Ufam ci bardziej niż komukolwiek, wujku Andenie. Zawsze byłeś zieloną kością na swój własny sposób. Nigdy nie piastowałeś żadnego oficjalnego stanowiska i nie oddałeś się całkowicie pracy dla klanu, ale wszyscy wiedzą, że jesteś jednym z nas. Będę teraz potrzebował twoich rad bardziej niż kiedykolwiek.

Anden przyjrzał się swoim dłoniom. Słyszał dźwięki grającej harfy i stłumione głosy tłumu, tak licznego, że nie mieścił się na dziedzińcu i wylewał się na odleglejsze tereny posiadłości.

– Myślałem o zawieszeniu kampanii – przyznał. – Nie jestem pewien, czy poradzę z nią sobie w tej sytuacji, a poza tym to wydaje się samolubne. Ale Jirhu zapytał, czego oczekiwałyby od mnie Hilo-jen, i oczywiście znałem odpowiedź na to pytanie. – Uniósł wzrok, spoglądając na kuzyna. – Wybacz, Niko-se. Jak wspomniałeś, zawsze byłem niezależnym członkiem klanu i nie zajmowałem żadnych stanowisk. To było korzystne dla wszystkich i myślę, że tak powinno pozostać.

Niko zrobił smutną minę, ale pokiwał głową, jakby takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Zawsze możesz się do mnie zwrócić, cokolwiek by się stało – dodał stanowczo Anden. – Nie muszę w tym celu być filarowym. Masz też innych. Twoja ciotka Shae mówi, że zostanie prognostyczką jeszcze przez rok, a Terun

Bin będzie jej godnym następcą. Lott jest silną i roztropną pięścią, masz też Juenów, a twoja siostra jest zieloną kością, jakiej potrzebuje każdy klan. I nikt nie zna klanu lepiej niż twoja mama.

– Nie odezwała się do mnie ani słowem – wyznał cicho Niko. – Chyba znowu uważa, że to moja wina.

Anden pokręcił głową. Wen nie rozmawiała z nikim, czuwając dzień i noc. Gdyby duch Hila komukolwiek się objawił, to z pewnością jej.

– Tak ci się wydaje, bo bardzo kochała Hila. Jej dusza jest zbyt zielona, by mogła zostawić nas na dłużej. – Anden wstał. – Jeśli pragniesz mojej rady, powiem ci, że powinienesz mianować filarowym Maik Cama. Twój kuzyn ma mnóstwo zdrowego rozsądku i przyjaźni się z tobą od lat. Możesz mu zaufać. Jesteś mu bliski i zawsze powie ci prawdę.

Niko milczał przez chwilę.

– Dziękuję, wujku Andenie – rzekł wreszcie i również się podniósł. – Jeśli potrzebujesz od klanu czegoś więcej, co pomogłoby ci w kampanii, pieniędzy, wolontariuszy i tak dalej, wystarczy, że o to poprosisz.

Niepewność i lęk zniknęły z jego głosu. Mówił jak filar. Nadal wyczuwało się świadomość ciężkiego brzemienia, jakie na niego spadło, lecz Anden z ulgą zauważył w nim również opanowanie i akceptację. Poczuł, że z piersi spadł mu wielki ciężar, z którego obecności do tej pory nawet nie zdawał sobie sprawy.

Chłopak sobie poradzi, pomyślał.

Otworzył drzwi gabinetu i zauważył idącą korytarzem Wen. Posuwała się naprzód powoli i ostrożnie niczym obleczona w biel wizja smutku i godności. Sprawiała wrażenie niezmiernie delikatnej, lecz jednocześnie niezniszczalnej, jak pięknie wykonane naczynie, pęknięte i opróżnione, lecz zbyt mocno zahartowane, by rozsypać się na kawałki i spaść z piedestału.

Zszedł jej z drogi. Wdowa po Hilu i matriarchini klanu Bez Szczytów minęła go, zmierzając w stronę Nika. Jej pokryta białym pudrem twarz była nieruchoma jak ceramiczna maska. Zatrzymała się przed synem. Krucha pewność siebie nowego filaru zachwiała się i spadła mu z ramion. Jego grdyka poruszyła się dwa razy, a usta zdrząły, kiedy spojrzał jej w oczy.

– Mamo – rzekł.

Wen nie odpowiedziała, ale jej spokojna siła zamknęła się wokół niej niczym płatki kwiatu, gdy nadchodzi chłód. Podeszła bliżej i uściskała Nika, a potem wyszeptła coś, czego Anden nie usłyszał. Nowy filar wtulił w nią twarz niczym dziecko. Anden z bólem serca cicho zamknął drzwi gabinetu.

* * *

W następnych tygodniach do posiadłości przybywał nieprzerwany strumień ludzi – latarników, polityków i emisariuszy z lennych klanów oraz zagranicznych filii klanu Bez Szczytów – pragnących okazać szacunek Kaul Nikoyanowi oraz przysiąc mu wierność. Niektórzy członkowie klanu nie przyjęli dobrze przysięgi przyjaźni złożonej dawnym wrogom bądź nie ufali Nikowi z powodu jego młodości, braku doświadczenia, sposobu bycia albo popełnionych przed laty błędów, ale wszystko skończyło się tylko na marudzeniu. Nikt nie mógł kwestionować, że Kaul Hilo mianował bratanek swym następcą, a jego długoletnia prognostyczka oraz róg udzielili poparcia nowemu filarowi. Wkrótce wszyscy w klanie pogodzili się z tym.

Dziesięć dni po pogrzebie Ayt Ato pojawił się w posiadłości Kaulów. Towarzyszyło mu tylko dwóch strażników. Ato poprosił o rozmowę z filarem klanu Bez Szczytów. Samo w sobie było to niezwykłym wydarzeniem. Z reguły spotkanie dwóch filarów o porównywalnym statusie aranżowali prognostycy obu klanów i urządzano je na neutralnym gruncie. Filar, który zjawiał się w domu drugiego filaru i prosił o audiencję jak zwyczajny petent, poniżał się przed nim.

Shae przyglądała się, jak jej bratanek przywitał gościa w holu.

– Witaj, Ayt Ato-jen.

– Kaul-jen... – Atrakcyjna twarz Ata była straszliwie znużona. Oczy podkreślane przez maleńkie jadeity w brwiach wydawały się teraz nie tyle duże, ile zapadnięte. Odchrząknął z zakłopotaniem. – Postanowiłem wrócić do nazwiska Koben, które nosiła moja matka. Z nim się wychowałem. Kiedy mianowano mnie dziedzicem klanu, nikt mnie nie pytał, czy chcę przybrać nazwisko Ayt. Szczerze mówiąc, nigdy nie czułem się z nim związany.

Niko pokiwał głową i spojrzał w stronę gabinetu. Shae zauważyła, że nie ma ochoty tam iść. Hilo z początku reagował tak samo, czuł się źle, siedząc na miejscu Lana.

– Chciałbyś się kawałek przejść, Koben-jen?

W ogrodzie wyczuwało się już chłód nadchodzącej zimy. Kwitły późne chryzantemy. Po nieruchomej tafli stawu pływały wąskie płatki białej, czerwonej i złotej barwy, przyniesione tam przez wiatr. Niko zerknął na Shae, bez słowa prosząc ją, by mu towarzyszyła, nim ruszył z Koben Atem zwirowaną ścieżką prowadzącą przez teren posiadłości. Podążyła za nimi, trzymając się na dystans, wystarczający, by słyszeć, co mówią, ale niepozwalający uczestniczyć w rozmowie. Nie czuła się zdolna rozmawiać z kimkolwiek. Jeszcze nie. Chwilami odnosiła wrażenie, że Niko lepiej sobie radzi z nową rolą filaru niż ona ze starą funkcją prognostyczki.

– Z pewnością jestem pierwszym członkiem Góry, którego oprowadzają po posiadłości Kaulów – zauważył Ato. – Rzeczywiście jest taka piękna, jak się

spodziewałem.

– Ja też nie byłem w rezydencji Aytów – przyznał Niko. – Ale słyszałem, że wygląda równie imponująco.

To był niezwykle widok. Dwóch młodych filarów spacerowało razem po ogrodzie, Niko od czasu do czasu wskazywał ręką na to czy tamto, a Ato kiwał głową z uznaniem. To w niczym nie przypominało oficjalnego spotkania dwóch przywódców klanów, ale być może właśnie coś takiego było w tej chwili potrzebne. Ich pierwsza próba zakończyła się straszliwą tragedią. To było coś zupełnie innego.

Wreszcie wrócili do punktu wyjścia, na dziedziniec przed głównym budynkiem. Ato odwrócił się i spojrzał na drugi filar.

– Kaul-jen, szczerze ci współczuję z powodu twojej straty – zaczął. – Twój wujek zawsze był bezlitosnym wrogiem mojego klanu, ale nikt nie może zaprzeczyć, że był wielkim wojownikiem zielonej kości. W dzień spotkania uratował mi życie, tracąc własne.

– Mnie również przykro z powodu twoich strat.

Niko nie dodał nic więcej. Shae pomyślała, że być może powinien, ale albo nie był w stanie mówić o tym dniu więcej niż to konieczne, albo celowo powstrzymywał się przed dalszymi słowami, pragnąc najpierw usłyszeć, co ma do powiedzenia drugi filar. A może jedno i drugie. Jego twarz niczego nie zdradzała. Shae podejrzewała, że jego jadeitowa aura również nie.

– Z pewnością już wiesz, że Iwe Kalundo odebrał sobie życie – kontynuował Ato. – Ayt Madzie odebrano jadeit i zamknięto ją w tajnym miejscu. Pilnują jej zielone kości lojalne wobec mojej rodziny, dla jej bezpieczeństwa, tak samo jak dla naszego. – Jego twarz skrzywiła się nagle w mimowolnym grymasie. – Góra przeżyła szok i zapanował w niej chaos. Obawiam się, że gdzieś w jej wnętrzu pojawiła się rysa. W tej chwili nie jestem pewien, co się z nią stanie i czy w ogóle warto ją ratować.

To było zdumiewające wyznanie. Kto kiedykolwiek słyszał, żeby filar powiedział coś takiego? Jaki przywódca zielonych kości przyznałby, że utracił kontrolę nad własnymi wojownikami i nie jest w stanie kierować klanem?

Być może jednak Koben Ato po prostu zmęczył się już zaprzeczaniem temu, co dla wszystkich stawało się coraz bardziej oczywiste. W Górze nastąpił rozłam. Choć większość członków potępiała szokującą próbę przewrotu, jakiej dokonała Ayt Mada, niekoniecznie entuzjastycznie popierali Kobenów, przez wielu uważanych za nieroztropnych i wywołujących podziały. Ato był powszechnie znany od wielu lat, ale jego filar dawała mu bardzo niewiele swobody i w związku z tym nie miał właściwie osiągnięć, które udowodniłyby,

że jest silnym przywódcą i ma wizję potrzebną, by zdobyć powszechną lojalność i odbudować wizerunek klanu zniszczony przez lata hańby i rzezi.

Wielu latarników Góry oraz pomniejszych zhołdowanych klanów rozczarowanych ciągłymi swarami i nieczujących już strachu przed Ayt Madą ani przed Kobenami, przechodziło do klanu Bez Szczytów. Niektóre rodziny w Górze oddzielały się całkowicie i tworzyły małe, niezależne klany. Lokalne gałęzie gangów *barukanów* rekrutowały keko-szotarskich członków Góry. Frakcja najbardziej zatwardziałych lojalistów Ayt Mady opuściła Janloon i przegrupowała się w Gohei, gdzie ponoć tworzyła własny mały klan, Niosący Włócznię, podający się za duchowych dziedziców Ayt Yu i jego córki Mady.

Na twarzy Koben Ata pojawił się wyraz znużenia.

– Odkąd byłem małym chłopcem wykorzystywano mnie jako bierkę szachową. Krewni oczekiwali, że będę wspaniałym dziedzicem Ayt Yugontina i podniosę status całego klanu. Moja ciotka Mada uczyniła mnie swym podopiecznym, żeby zdobyć poparcie mojej rodziny i zamknąć usta krytykom, ale nigdy nie okazała mi miłości ani nie uważała mnie za godnego następcę. Media i opinia publiczna obserwowały mnie nieustannie. Mówiono mi, co mam robić, jak się ubierać, z kim się ożenić, z kim się przyjaźnić, a kogo uważać za wroga. Zdarzało się nawet, że te żądania były sprzeczne.

Ato nie próbował ukrywać zazdrości, patrząc w oczy Nika.

– Wiem, że ciebie poddawano podobnym naciskom i zazdrościłem ci, kiedy się zbuntowałeś i opuściłeś kraj. Nie jestem jednak pewien, czy widziałeś to, co mnie wydawało się oczywiste. Bez względu na wszystkie swe wady wujek nie przestawał wspierać cię swą siłą, zamiast wystawiać cię na odstrzał. Dla mnie źródłem największych cierpień był mój własny klan.

Ato odwrócił twarz. Między dwoma mężczyznami zapadła cisza. Dźwigali ciężar straszliwego dziedzictwa, ale byli młodzi i starali się wszystko zmienić.

– Nie mogę skazać na śmierć własnej ciotki – oznajmił Ato. – Wyszeptała moje imię i zasługuje na to, ale to ona mnie wspierała i szkolila. Gdybym kazał ją zabić, kontynuowałbym cykl, który rozpoczęła, mordując własnego brata. Mojego ojca, którego ledwie pamiętam. Oznajmiła całemu klanowi, że więzy rodzinne nic nie znaczą. Liczy się tylko siła i wszystkie uczynki są dozwolone. Pod jej rządami klan Góra zrobił się większy i potężniejszy, lecz również okrutny i dysfunkcyjny.

– Może powinieneś przejąć to, co zostało, i zbudować coś lepszego – zasugerował Niko.

– Może i tak – przyznał Ato. – To będzie wymagało czasu, ale spróbuję.

Dwójka filarów zatrzymała się na chwilę. Na ich młodych obliczach już uwidaczniały się bruzdy. Shae skierowała twarz ku słońcu i zamknęła na moment

oczy, by powstrzymać palący ucisk w klatce piersiowej – smutek i litość mieszające się z dumą oraz nadzieją. Jej zadanie jeszcze się nie skończyło. Musiała dotrzymać obietnicy i pomóc Nikowi, potem jednak odłożyła brzemień, jakie przeniosła wraz z braćmi przez kanion, który tak często wydawał się im nieprzebyty.

„Hilo, Lan, czy widzicie to, gdziekolwiek jesteście?” – wyszeptała w myślach. „Wreszcie nam się udało. Ocaliliśmy klan. Uczyniliśmy go silniejszym i przekazaliśmy następcom”.

Brak mi was obu.

Ato ponownie zwrócił się w stronę Nika, ale patrzył na Shae,

– Twoja rodzina wycierpiała z powodu Ayt Mady więcej niż moja, i to ty, nie ja, powinieneś wymierzyć jej sprawiedliwość. Kaul Hiloshudon był moim wrogiem, ale zawdzięczam mu życie. Żeby spłacić ten dług, wydaję Ayt Madę rodzinie Kaulów. Błagam, byście uznali ten gest za akt dobrej woli i zadośćuczynienie za nasze winy.

Po chwili zastanowienia Niko skinął głową.

– W zamian za to pragnę, by klan Bez Szczytów uznał dług krwi za spłacony i nie szukał dalszej zemsty na Górze. Wydaje się już jasne, że Ayt i Iwe działali sami. Ponowny wybuch wrogości między naszymi klanami pomógłby tylko niewielkiej frakcji starej gwardii Ayt, która przetrwała.

Niko wymienił spojrzenie z Shae, po czym znowu skierował wzrok na Ata.

– Przysięgam ci jako filar, na oczach nieba i na jadeit. Dawna nienawiść się skończyła.

Koben Ato skinął z wdzięcznością głową.

– Moja ciotka od początku miała rację. Nie jestem silnym filarem i nie mogę stać się jej następcą. Być może jednak powinniśmy się uwolnić od tego typu przywódców. Cokolwiek się wydarzy, czy Góra przetrwa i czy nadal będę jej filarem, klan Bez Szczytów pozostanie największym i najpotężniejszym klanem zielonych kości w całym kraju. Tobie przypadnie pozycja filaru klanu całego Kekonu. Wiem, że powinienem się uważać za pokonanego, ale w rzeczywistości czuję raczej ulgę.

Dotknął czoła złączonymi dłońmi i pokłonił się, oddając honory.

– Niech twoi wrogowie pierzchają z trwożą, Kaul-jen, i niech bogowie opromienią swą łaską klan Bez Szczytów.

ROZDZIAŁ 63

WSPOMNIENIE

Trzeci miesiąc

Doktor Emery Anden zdobył miejsce w Radzie Książęcej jako reprezentant Janloońskiego Okręgu Śródmiejskiego – w jego skład wchodziły dzielnice Sogen, Stare Miasto, Wioska Sotto i Północne Sotto. Wygrał ze znaczną przewagą. Często wspomniano o fakcie, że jest pierwszym jawnym homoseksualistą, którego wybrano do Rady, dopiero trzecim kandydatem mieszanej krwi i pierwszym członkiem rodziny Kaulów, który kiedykolwiek piastował urząd publiczny. Jego zwycięstwo hucznie uczczono, z pewnością jednak nie było niespodzianką, biorąc pod uwagę, że popierał go klan Bez Szczytów, był cenionym lekarzem o międzynarodowym doświadczeniu i zdobył reputację klanowego lojalisty oraz człowieka o zielonej duszy.

Znajdował ironię w fakcie, że to, co kiedyś uważano za haniebną plamę na jego przeszłości – fakt, że nie przyjął jadeitu po ukończeniu Akademii Kaul Dushurona i w rezultacie spędził kilka lat na wygnaniu za granicą – uważano teraz za dowód na to, że już od młodego wieku kierował się niezłomnymi zasadami moralnymi. Wyborcy najwyraźniej podziwiali go za to, że po tragicznej śmierci matki na śwędziawkę odwrócił się od przemocy i od używania błysku mimo wielkich jadeitowych talentów i silnych nacisków rodziny oraz społeczeństwa. Czasami żałował, że nie może cofnąć się w czasie i zapewnić swej osiemnastoletniej wersji, że poradzi sobie ze wszystkim, co go czeka. Ale z drugiej strony to byłoby dla niego straszne, gdyby w tak młodym wieku dowiedział się, ile trudów i żalu go spotka.

Wczesnym rankiem siódmego dnia – chłodnym, ale słonecznym – w przeddzień złożenia przysięgi radcy, Anden wszedł do małego mieszkania na

pierwszym piętrze nieprzyciągającego uwagi budynku w Małym Młotku. Minął po drodze trzech strażników – zielone kości z Góry, lojalne wobec rodziny Kobenów. Pierwszy stał przy wejściu do budynku, drugi pod drzwiami niewielkiego lokalu, a trzeci w jego środku. Rzecz jasna, poznali Andena – kim innym mógłby być?

– Najwyższy czas – mruknął ten, który stał przy drzwiach, gdy Anden pokazał mu list od Kaul Nikoyana, filaru klanu Bez Szczytów, z insygniami klanu. Potem otworzył przed nim drzwi.

Ayt Madashi siedziała ze skrzyżowanymi nogami na jedynej kanapie w mieszkaniu i oglądała wiadomości na małym telewizorze. Anden przeżył szok, gdy ją zobaczył. Jej nieufarbowane włosy były siwe i szorstkie, garbiła się, jakby było jej bardzo zimno w luźnym golfie z długimi rękawami sięgającymi aż po palce. Anden nigdy dotąd nie widział Ayt z zasłoniętymi ramionami. Wiedział, że pod grubą tkaniną są nagie. Straciła srebrne spirale wysadzone jadeitami, które z dumą demonstrowała przez wiele lat. Po tym, jak poddała się ludziom Kobenów i rozkazała lojalnym wobec niej zielonym kościom zaprzestać walki, zabrano jej jadeit i osadzono w areszcie domowym w tej niemal nikomu nieznannej kryjówce. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że przeżyła odstawienie jadeitu, Andena zdumiewało, jak bardzo umniejszona się wydawała. Jedną z najpotężniejszych zielonych kości w całym pokoleniu zmieniła się w zmęczoną, chudą, nienoszącą jadeitu sześćdziesięciosześcioletnią kobietę.

Ayt wyłączyła telewizor i spojrzała na Andena. Wyczytawszy litość z jego twarzy, zacisnęła mocno usta, a w jej oczach pojawił się cień dawnego ognia, niezłomnej woli, która przez dziesięciolecia była przekleństwem klanu Bez Szczytów.

– Zaskakuje cię, że mnie tu znalazłeś, Emery Anden? – zapytała z nutą ironii.
– Czyżbyś się spodziewał, że pójdę za przykładem Iwe Kalunda?

– Nasunęła mi się ta myśl – przyznał Anden.

– Mnie również. – Ayt zgarbiła się jeszcze bardziej. – Najwyraźniej w żadnej sytuacji nie potrafię wybrać najłatwiejszego wyjścia. Przetrawanie weszło mi w nawyk i trudno mi się od niego uwolnić.

– Podobnie jak jadeit – zauważył Anden, spoglądając na nią. – I władza.

Ayt wyprostowała nogi i postawiła stopy na podłodze, ale nie wstała.

– Koben Ato nie przyszedł. Nie spodziewałam się, że to zrobi. Zawsze był tchórzem. Cofał się przed trudnymi decyzjami, pozwalając, by inni podejmowali je za niego. Mimo że wiedział, iż wyszeptalam jego imię, wolał uniknąć kłopotliwego obowiązku zabicia własnej ciotki i zwalić go na klan Bez Szczytów. – Jej mina wyrażała rozczarowanie i żal, jakby Ayt liczyła na to, że myliła się w ocenie młodego mężczyzny, którego próbowała zamordować.

Przyjrzała się z uwagą Andenowi. – Jestem jednak zaskoczona, że twój kuzyn czekał tak długo. To były trzy bardzo nudne miesiące. Spodziewałam się, że filar klanu Bez Szczytów okaże się bardziej zielony.

– Gdyby to zależało od niektórych innych członków klanu, już dawno stracono by cię publicznie, ucięto ci głowę i pochowano cię w nieoznaczonym grobie – oznajmił Anden. – Jednakże Kaul Niko wolał zaczekać, aż sytuacja się uspokoi, odbędą się wybory, skończą się wakacje, a ludzie przestaną o tobie myśleć.

Ayt spojrzała za jego plecy, jakby się spodziewała, że towarzyszą mu inni. Nikogo tam nie było.

– A teraz przysłał cię samego. Nawet nie chciał spojrzeć mi w oczy.

– Nic dla niego nie znaczysz – odpowiedział Anden. – Jesteś tylko pokonanym wrogiem. Pod tym względem nie przypomina innych zielonych kości. Jesteś odpowiedzialna za śmierć jego ojca, a nawet dwóch ojców – rodzonego i tego, który go wychowywał – ale nie obchodzi go osobista zemsta i nie pozwoli, by jej pragnienie wypłynęło na jego decyzje. Nie chce cię widzieć ani z tobą rozmawiać. Wystarczy mu, że się od ciebie uwolni.

– I dlatego tu jesteś, doktorze Emery – stwierdziła Ayt. – Czy raczej radco Emery. Masz reprezentować klan Bez Szczytów i wymierzyć sprawiedliwość w imieniu rodziny Kaulów.

– Tak – potwierdził.

Skrzywiła się.

– A co z Kaul Shaelinsan? Po wszystkich jej wysiłkach i tak ją oszukałam. Wysłałam do grobu obu jej braci. Dlaczego jej tu nie ma?

– Oznajmiła mi, że nie ma ci już nic do powiedzenia – wyjaśnił Anden. – Już raz darowała ci życie i to wszystko, czego mogą od niej żądać bogowie podczas jej pobytu na Ziemi.

Wręczył Ayt napisany przez Nika list, który przyniósł. Czytał go i wiedział, że jest krótki i bezosobowy, opisuje szczegóły podjętej przez filar decyzji bez żadnych osobistych komentarzy. Jego kopię wysłano do Koben Ata.

– Zostaniesz wygnana z Kekonu – poinformował Ayt Madę. – Resztę swoich dni spędzisz w Ygutanie. Wyślą cię do małego miasteczka na północy, gdzie wydobywa się ropę naftową. Podobno jest tam wyjątkowo nudno. W Ygutanie jadeit nadal jest nielegalny i nie znajdziesz go nigdzie w promieniu setek kilometrów.

Z twarzy Ayt odpłynął cały kolor. List drżał w jej zaciskających się coraz mocniej dłoniach.

– Dlaczego? – zapytała. – Po co ta bezsensowna łaska? Czemu po prostu nie wykona na mnie wyroku?

– To nic by nie dało – wyjaśnił Anden. – Jesteś tylko starą, nienoszącą jadeitu kobietą. Gdyby kazał cię zabić, to by źle wyglądało, mimo że z pewnością na to zasługujesz. Byłaś potężną przywódczynią, nie tylko klanu Góra, lecz również całego kraju. Z pewnością są na Kekonie ludzie, którzy nadal darzą cię sympatią. Po co robić z ciebie męczennicę, dawać ci tę ostatnią satysfakcję i ryzykować dalsze konflikty, podczas gdy razem z Kobenami rozpoczynamy nową kartę w księdze dziejów i przyjmujemy resztki Góry jako klan hołdowniczy? – Anden rozpostarł dłonie. – Tak przynajmniej uważa filar.

To była pierwsza ważna decyzja podjęta przez Kaul Nikoyana, odkąd został filarem. Odbył na ten temat rozmowę z Andenem, Shae i Lottem, a następnie nosił ten problem w sobie przez kilka tygodni. Jeśli rozważny, beznamienny sposób, w jaki do niego podszedł, był wskazówką, jakim filarem się stanie, Anden był pewien, że jego kuzyn okaże się na swój szczególny sposób wielkim przywódcą zielonych kości.

Szyderczy uśmiezek Ayt rozciągał kąciki jej oczu. Sprawiała wrażenie, że cierpi fizyczny ból. Można było pomyśleć, że ma ochotę wybuchnąć śmiechem albo kogoś zamordować. Na moment znowu stała się przerażająca.

– Nigdy bym nie uwierzyła, że kiedyś zatęsknię za Kaul Hiloshudonem.

– Masz dwa dni na spakowanie osobistych rzeczy, jakich będziesz potrzebowała, i odwiedzenie grobu rodzinnego, jeśli tego pragniesz. Gdybyś przez ten czas zmieniła zdanie i postanowiła podążyć w ślady Iwe Kalunda, nikt ze strażników nie stanie ci na przeszkodzie. Jeśli pogodzisz się z wygnaniem i już nigdy nie będziesz próbowała zdobyć jadeitu, wrócić do Janloonu ani wpływać na sprawy zielonych kości, po twojej śmierci ciało zostanie przywiezione na Kekon i pochowane w rodzinnym grobie Aytów. Jeśli złamiesz te warunki, twoje imię po cichu wyszepcze każdy klan, a twoje kości nie dotkną kekońskiej ziemi.

Z każdym słowem Andena duma wyraźnie opuszczała Ayt. Pełna oburzenia pogarda, na jaką zdobyła się na kilka minut, ustąpiła miejsca znużeniu, jakby maska, którą nosiła przez całe życie, zsuwała się z jej twarzy, odsłaniając osobę, jakiej Anden nigdy dotąd nie widział, nawet w chwilach, gdy była bliska śmierci w jego mieszkaniu. Ogarnął ją smutek, głębszy niż Anden potrafiłby sobie wyobrazić.

– Powiedz swojemu filarowi, że nie musi się mnie obawiać – zapewniła, kiedy skończył. W jej głosie nie słyszało się już gniewu ani żądzy zemsty, tylko rezygnację. Godność, nawet jeśli nie akceptację. – Poświęciłam wszystko, co miałam, i nic mi już nie zostało. Wiem, że mój czas minął.

Wyrzała przez wąskie okno małego mieszkania na niewielki skrawek miasta, jaki można było stąd zobaczyć. Snopy słonecznego światła padały na dywan

i w ich blasku widziało się tańczące w powietrzu pyłki kurzu. Z ulicy na dole dobiegały hałasy – warkot autobusu, dzwonek roweru, łoskot czegoś ciężkiego, co wrzucono do puszek na śmieci – ale nic z tego nie miało znaczenia. Nikt z przechodniów nie wiedział, że w małym pokoiku na piętrze kobieta, która była kiedyś filarem Góry, słucha z uwagą ich kroków.

– Przed wielu laty, kiedy zorientowałam się, co się wokół nas dzieje, wyobraziłam sobie wspaniałą i konieczną przyszłość – kontynuowała Ayt. – Zielone kości połączone w jeden potężny klan, kontrolujące nasz jadeit, trzymające w garści cały Kekon, strzegące naszych tradycji i broniące nas przed wrogami zza oceanu, a także przed wewnętrznymi. Jako jadeitowi wojownicy mieliśmy obowiązek stawić czoło wszystkim zagrożeniom i wykorzystać wszelkie szanse, jakie czas z pewnością przyniesie pod nasze drzwi.

Otuliła się ciaśniej swetrem, ale uniosła podbródek, jakby miała przed sobą tłum, do którego przemawiała.

– Wszystko, co uczyniłam, wszystkie wspaniałe i straszliwe decyzje, jakie podjęłam w ciągu tych lat, każdy skrawek ludzkiego szczęścia, który usunęłam z mojego życia, wszystko to uczyniłam celowo i z własnej woli, żeby zobaczyć tę przyszłość. A teraz wreszcie ją widzę, ale nie taką, jaką sobie wyobrażałam. Bez mojego klanu i beze mnie. Ale przez jakąś straszliwą ironię, jaką tylko bogowie potrafią zrozumieć, dzięki mnie. – Schowała dłonie w rękawach, łapiąc się za nagie przedramiona. – To jedno sprawia mi satysfakcję, która nie opuści mnie aż do śmierci.

Oboje umilkli. Wydawało się, że cisza trwała bardzo długo.

– Słyszałem kiedyś takie powiedzenie, że wielkich wojowników wrogowie wspominają z bojaźnią.

Ayt wstała powolnym, lecz płynnym ruchem, przypominającym o jej ongiś niezrównanych opanowaniu i sile.

– W takim razie proszę, byś mnie wspominał, Kaul-jen.

Kaul-jen: To imię wykrzykiwał do niego tłum podczas uroczystości zakończenia nauki w Akademii. Czuł się wtedy zdumiony i upokorzony tym, że uważają go za kogoś, kim nie jest.

Dotknął czoła splecionymi dłońmi i pokłonił się, oddając honory.

– Żegnaj, Ayt-jen.

Odwrócił się, wyszedł z pokoju i opuścił budynek.

* * *

Na dworze zapiął płaszcz i ruszył przed siebie na piechotę, by rześkie powietrze wypełniło mu płuca i przejaśniło w głowie. Ludzie zamiatali wypalone

fajerwerki i wchodzili na drabiny, by zdjąć noworoczne dekoracje. W Małym Młotku w niektórych oknach nadal paliły się zielone latarnie, ale właściciele części biznesów zmienili je na białe. Zdarzały się też puste okna, w lokalach, których właściciele nie podjęli jeszcze decyzji i czekali na rozstrzygnięcie sporów terytorialnych. Gdy przeszedł do Pachy, klanowe palce stojące na granicy oddały mu honory, dotykając czoł i kłaniając się płytko.

Zatrzymał się na rogu ulicy i uniósł twarz ku niebu. Czuł się ociężały, lecz zarazem lekki. Otaczający go świat był piękny i wyrazisty. Nawet jadeitowe zmysły nie mogłyby udoskonalić tego wrażenia. Doskwierał mu ból w piersi – część żałoby przybywała do niego w kawałkach – lecz jednocześnie wypełniały go ulga i miłość. Miłość życia, przepływająca przez jego serce i naczynia krwionośne, miłość do tych, którzy byli mu bliscy – tych, którzy odeszli, i nadal pozostających wśród żywych – a także do jego miasta Janloonu, równie gwałtownego i uczciwego, chaotycznego, dumnego i niezniszczalnego jak jego wojownicy zielonej kości.

Zatrzymał taksówkę. Kiedy pojazd podjechał do krawężnika, zajął miejsce na tylnym siedzeniu.

– Do restauracji Podwójne Szczęście.

Taksówkarz przyjrzał mu się w lusterku wstecznym. Sprawiał wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale zaraz włączył się do ruchu.

– Nie potrafię uwierzyć, że ona jeszcze istnieje – mruknął, raz jeszcze spoglądając na Andena. – No wiesz, są lepsze miejsca.

– Mam do niej sentyment – wyjaśnił Anden.

– Trzyma się nadal tylko dzięki temu, że istnieje od tak dawna – stwierdził taksówkarz, pociągając nosem. – Ludzie mówili, że chyli się ku upadkowi, ale potem rodzina Une wynajęła jakiegoś młodego szefa kuchni z Lukangu, który zdobył sławę za granicą, i on wszystko odnowił. Przetrwiała już tyle wojen, że nic jej nie zniszczy.

Taksówkarz zatrzymał się na czerwonym świetle i obejrzał przez ramię.

– Pracowałem tam kiedyś jako pomywacz. Dawno temu. Byłem wtedy tylko dzieciakiem. Głupim dzieciakiem z głową pełną marzeń.

– Wszyscy kiedyś tacy byliśmy – odpowiedział Anden.

– Tak. Ale moje życie mogło wyglądać inaczej. Naprawdę inaczej. – Światło zmieniło się na zielone. Taksówkarz spojrzął do przodu i nacisnął gaz. –

Oczywiście mogli też mnie zabić. – Parsknął nieprzyjemnie brzmącym śmiechem.

Zatrzymali się przed Podwójnym Szczęściem i mężczyzna wyłączył taksometr.

– Słyszałeś, że tu kiedyś spotykały się zielone kości z klanu Bez Szczytów? Przychodzili tu Kaulowie, nawet sam filar. Ten stary oczywiście. O nowym nic nie wiem.

Przyjął pieniądze i Anden skinął ręką, pozwalając mu zatrzymać resztę.

– Widziałem mnóstwo różnego syfu, keke. Mógłbym opowiedzieć mnóstwo ciekawych historii – ciągnął taksówkarz. – Historii o klanie.

– Nie wątpię w to – odparł Anden. – Krąży ich bardzo wiele.

Wysiadł z taksówki, otworzył dwuskrzydłowe drzwi restauracji i wszedł do środka, żeby zjeść brunch z rodziną.

PODZIĘKOWANIA

Kiedy zaczynałam pisać *Sagę o zielonych kościach*, trudno mi było wyobrazić sobie tę chwilę – koniec podróży znacznie dłuższej i zakrojonej na szerszą skalę, niż się spodziewałam; podróży, która zmusiła moje kreatywne talenty do maksymalnego wysiłku i przez sześć lat zajmowała mi większość spędzonych na jawie godzin. Szczerze mówiąc, czuję się lekko oszołomiona. Wypełnia mnie głęboka duma, ulga oraz smutek, gdy wyobrażam sobie czytelnika, który dotarł do ostatniej strony opowieści o rodzinie Kaulów i czyta teraz te słowa.

W pierwszej kolejności muszę wyrazić wdzięczność licznym pełnym entuzjazmu czytelnikom oraz recenzentom, którzy rozpowszechnili wiadomości o zrodzonej z mojego serca epickiej *urban fantasy* będącej zarazem gangsterską sagą rodzinną. Gdy pisanie sprawiało mi trudności (a zdarzało się to często), pojawiał się e-mail, tweet albo fanart przypominający mi o istnieniu klanowych lojalistów, pragnących zobaczyć zakończenie tej historii w takim samym stopniu jak ja.

Dziękuję wszystkim ludziom z Orbit: mojej pierwszej redaktorce w tym wydawnictwie, Sarah Guan, która kupiła dla niego cały cykl i umożliwiła mu start; mojej nowej redaktorce, Nivii Evans, która pomogła mi doprowadzić go do zakończenia; guru od marketingu i piaru. Ellen Wright, Pauli Crespo, Angeli Man i Stephanie Hess; brytyjskiej ekipie, między innymi Jenni Hill i Nazii Khatun; redaktorce prowadzącej Rachel Goldstein, odpowiedzialnej za okładki Lisie Marii Pompilio; znakomitej adiustatorce Kelley Frodel oraz wszystkim innym, którzy pomogli w wypuszczeniu tej książki na świat w odpowiedniej postaci.

Miałam też wielkie szczęście, że mój dzielny agent Jim McCarthy od początku mojej kariery wierzył w moje możliwości i wspierał mnie nieustannie. Jestem jednak pewna, że wolałby, gdybym od tej pory pisała krótsze książki. (Nie martw się, Jim, tak będzie, obiecuję! Przynajmniej czasami). Czytelnicy wersji beta – Curtis Chen, Vanessa MacLellan, Carolyn O’Doherty i Sonja

Thomas ponownie wykonali swoje zadanie, mimo że prosiłam ich, by jak najwcześniej przeczytali powieść o długości dwustu pięćdziesięciu tysięcy słów. Jestem im winna wdzięczność za to, że towarzyszyli mi na tej długiej drodze.

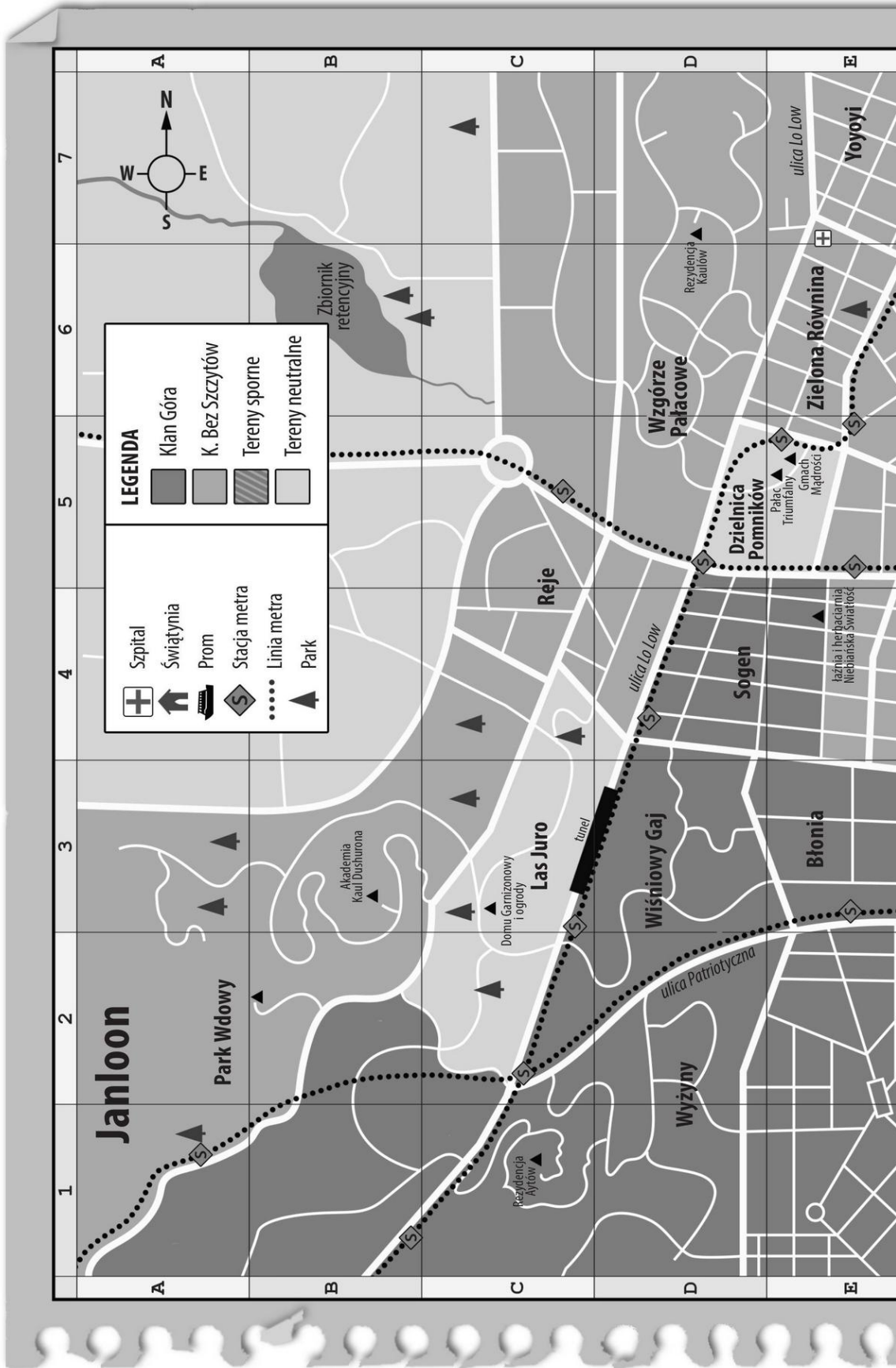
Andrew Kishino był lektorem audiobooków i nie mogę się nachwalić talentu, z jakim nadał tej opowieści dźwiękową formę.

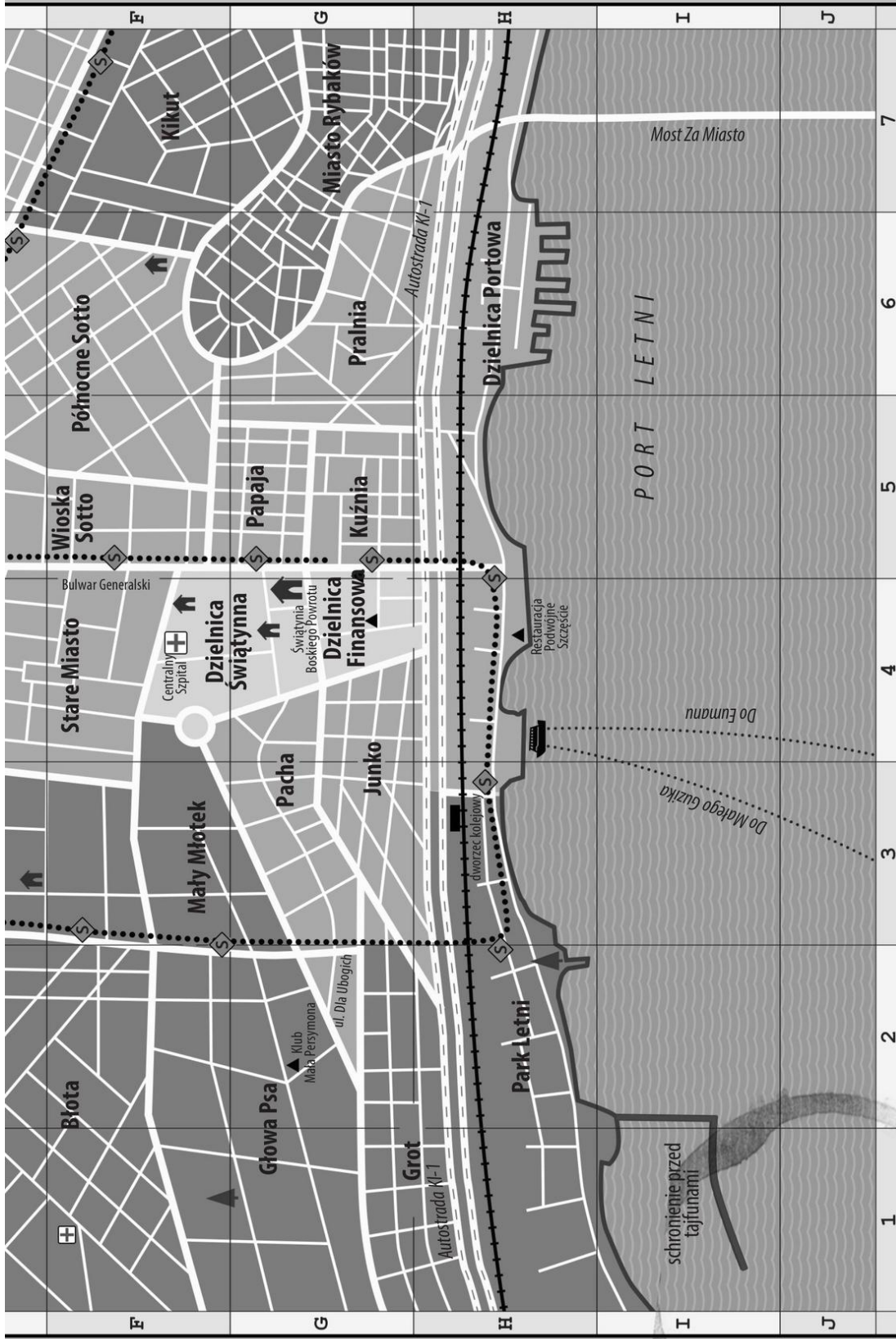
Pisarz pracuje w samotności, ale ja nigdy nie czułam się sama, dzięki przyjaźni i wsparciu innych autorów – na Wybrzeżu Północno-Zachodnim, gdzie mieszkam, na konwentach w kraju i na świecie, a także online. Okopy słów mogą być długie i mroczne, ale wypełniają je ciepło i braterstwo broni.

Na koniec muszę wyrazić ogromną wdzięczność dla męża i dzieci, za ich ciągłą, konieczną cierpliwość, jaką okazywali mi, kiedy spędzałam tak wiele czasu z inną, fikcyjną rodziną.

Znaczną część *Dziedzictwa jadeitu* napisałam podczas globalnej pandemii COVID-19 oraz burzliwych wydarzeń roku 2020. Oprócz trudnych, ale oczekiwanych problemów związanych ze stworzeniem odpowiednio efektownego zakończenia cyklu musiałam, podobnie jak wielu innych pisarzy, walczyć z utratą poczucia wspólnoty, nadziei oraz radości płynącej z procesu twórczego. Rzeczywistość codziennie przypominała mi, że życie jest kruche i niepewne, ale wytrwałość prowadzi do triumfu i nie tylko wojownicy zielonej kości, lecz wszyscy z nas muszą polegać na sile swoich klanów.

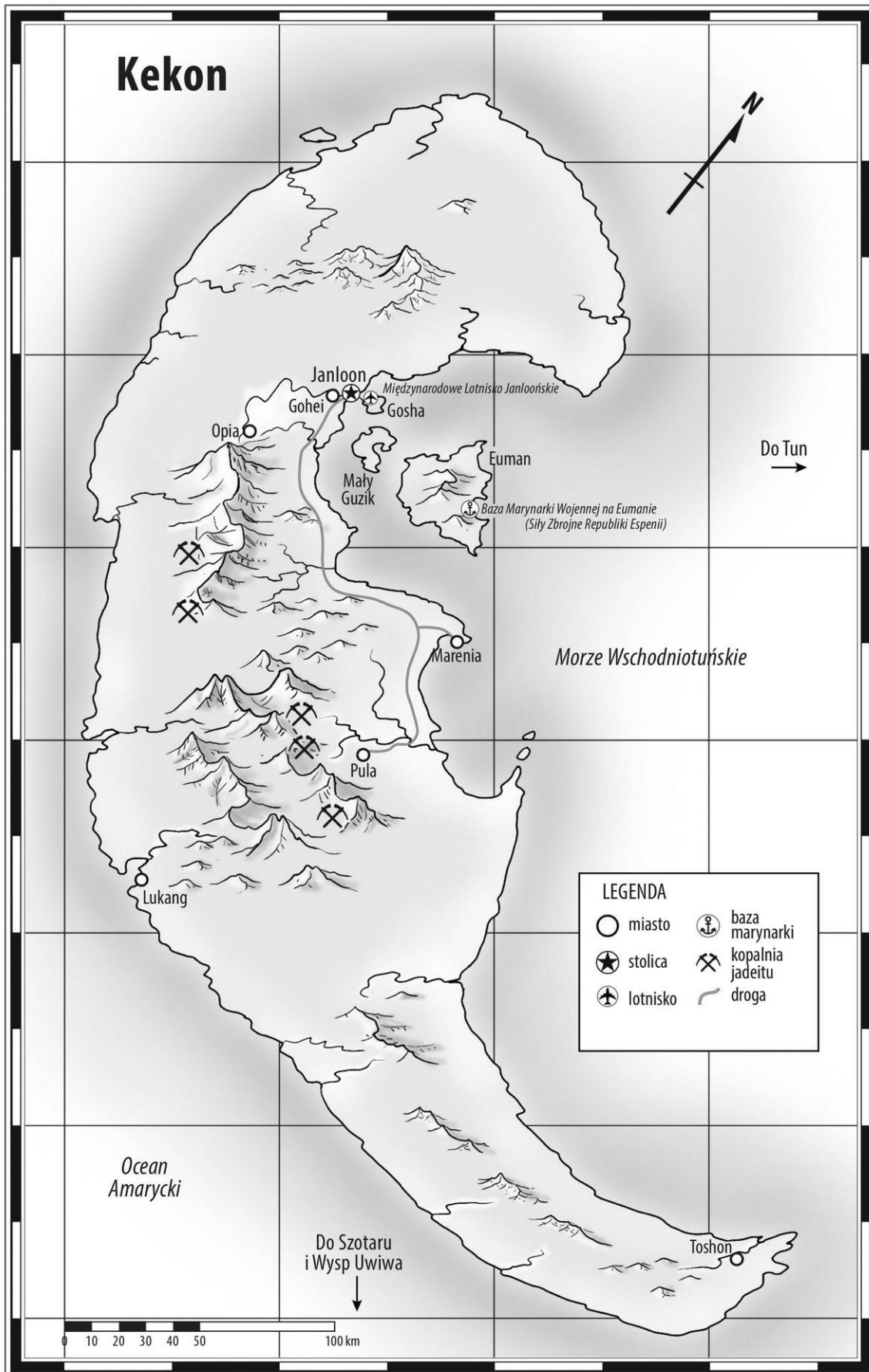
Fonda Lee





Nie szczędzono wysiłków, by podziały terytorialne były zgodne z sytuacją w chwili powstania mapy, ale granice ciągle się zmieniają.
 Jurystom radzi się zwrócić do władz miejscowych o aktualne informacje.

Kekon



Do Tun
→

Morze Wschodniotuińskie

Ocean Amarycki

Do Szotaru i Wysp Uwiwa
↓

LEGENDA

- miasto
- ★ stolica
- ✈ lotnisko
- ⚓ baza marynarki
- ⚒ kopalnia jadeitu
- droga

